ALEKSANDER DUMAS
(OJCIEC)

WICEHRABIA De BRAGELLONE

POWIEŚĆ

TOM II.

PRINTED IN THE UNITED STATES OF AMERICA

Wicehrabia De Bragellone

Powieść

ALEKSANDER DUMAS
(OJCIEC)

WICEHRABIA De BRAGELLONE

POWIEŚĆ

TOM II.



PARYSKI PUBLISHING CO. TOLEDO, OHIO.

PRINTED IN THE UNITED STATES OF AMERICA

CXXXV

PSYCHOLOGJA KRÓLA.

Król przyśpieszonym krokiem wszedł do swojego mieszkania. Może Ludwik XIV-ty dlatego szedł śpiesznie, że czuł się osłabionym. Za sobą bowiem zostawiał jakby ślad tajemniczej żałoby.

Wesołość, którą wszyscy zauważyli, gdy wszedł, i z której wszyscy się cieszyli, przez nikogo w prawdziwem znaczeniu nie była odgadnięta; ale gniewne odejście i twarz zmienioną wszyscy zrozumieli.

Lekkomyślność księżnej, żarciki jej uszczypliwe dla obraźliwego charakteru, zanadto poufałe porównanie króla ze zwyczajnymi ludźmi, oto przyczynom tym wszyscy przypisywali pośpieszne i nadspodziewane wyjście Ludwika XIV.

Księżna, jakkolwiek przezorniejsza, nic innego w tem nie widziała.

Dosyć było dla niej, że zadała mękę miłości własnej temu, który, zapominając o największych zobowiązaniach, pogardzał sercem najdostojniejszej osoby.

Ważnem to było dla niej w obecnem położeniu dać poznać królowi różnicę, jaka zachodzi w kochaniu dostojnej osoby, a ubieganiu się za studenckiemi miłostkami.

W owych wysokich uczuciach, wśród potęgi i władzy, etykiety i ostentacji, król nie tylko nic nie tracił, ale znajdował spoczynek, bezpieczeństwo, tajemnicę i powszechne poszanowanie.

Przeciwnie zaś w poziomej miłości znaleść mógł nawet u najniższych poddanych naganę i śmiech, utracić swój charakter wyższości moralnej i spaść na padół nędzy ludzkiej, gdzie huczą burze.

Księżna mądrze obliczyła zemstę i, jak widzieliśmy, zemściła się dotkliwie.

Niech jednak nikt nie sądzi, że księżna była namiętną, lub rzeczywiście rozkochaną.

Młoda, przyjemna, dowcipna, zalotna, rozkochana była w sobie samej, a jeżeli jej się zdawało, że kogoś kocha, była to raczej fantazja, urojenie, duma, lecz nie miłość.

Księżna widziała albo raczej zdawało jej się, że widzi rzeczy w prawdziwem świetle: wiedziała, że król, jej dostojny szwa-

gier, pierwszy śmiał się z biednej La Valliere i że, według jego usposobienia, niepodobieństwem było, aby kiedykolwiek pokochał osobę, z której szydził.

Nadto czy miłość własna, ten kuszący szatan, który tak wielką gra rolę w komedji, nazwanej życiem kobiety, nie grała tu żadnej roli?

Czyż miłość własna nie mówiła bezustannie, to głośno, to cicho, to szeptem, na wszystkie tony zresztą, że księżna, młoda, piękna, bogata nie może być porównaną z biedną La Valliere, również młodą, to prawda, ale mniej ładną, a nadewszystko ubogą?...

Niech to więc nie zadziwia nikogo, że wielkie charaktery, w porównywaniu z innemi, na swoją przemawiają stronę.

Może zapyta kto, czego właściwie chciała księżna, wymierzając tak mądrze obrachowany cios?

Na co rozwijać tyle sił, aby odstręczyć króla od serca, w którem zamierzał się rozgościć?

Czy księżna potrzebowała tak wielką wagę nadawać La Valliere, gdyby się jej nie lękała?

Księżna nie lękała się panny La Valliere, jeżeli patrzeć z punktu, z jakiego sądzi historyk, wyrokujący o przyszłości.

Księżna nie była wyrocznią ani sibillą. Księżna, również jak każdy inny, nie umiała czytać w owej strasznej księdze, która najważniejsze wypadki ukrywa starannie.

Księżna chciała tylko ukarać króla za nieufność, chciała mu tylko jasno pokazać, że jeżeli użyje on broni zeczepnej, ona, kobieta dowcipna i wielkiego rodu, znajdzie w arsenale swojej wyobraźni broń odporną nawet na pociski królewskie.

Zresztą, chciała mu dowieść, że w tym rodzaju wojny niema monarchów, że każdy walczy tutaj własnemi siłami i że przy pierwszym spotkaniu korona spaść może z głowy, wreszcie, że jeżeli król zamierzył rozkochać w sobie wszystkie damy dworskie, żądza ta ubliżała kobietom wyższego stanowiska, za którą nauka udzielona głowie królewskiej, zbyt dumnej i groźnej, powinna być skuteczną.

Takie uwagi czyniła księżna co do króla.

Mało ją obchodziło, co nastąpić mogło potem.

Tak więc usposobiła umysły swoich dam honorowych i przygotowała szczegóły komedji, która się odegrała.

Król był zmieszany.

Od czasu jak wyrwał się z rąk kardynała Mazariniego, pierwszy raz traktowano go jak zwyczajnego człowieka.

Podobna surowość ze strony poddanych dostarczyła mu mocy do oporu. Siły wzrastają w walce.

Ale zaczepionym być przez kobiety, wystawionym na żarciki przez damy prowincjonalne, przybyłe z Blois, było to pewnym rodzajem hańby dla młodego króla, pełnego próżności, dumnego z osobistych przymiotów i władzy królewskiej.

Jednak nie można było ani czynić wyrzutów, ani karać, ani nawet się gniewać.

Gniewać się było to samo, co przyznać, że go ugodzono, jak Hamleta, bronią śmieszności.

Gniewać się na kobiety!... jaka niedorzeczność, mianowicie, kiedy te kobiety mścić się mogą śmiechem.

Gdyby zamiast pozostawienia całej odpowiedzialności kobietom, jakikolwiek mężczyzna wmieszał się w tą intrygę, z jakąż radością Ludwik XIV-ty byłby użył Bastylji!...

Ale tutaj gniew królewski wstrzymywało rozumowanie.

Posiadać wojsko, więzienia, prawie boską potęgę i całą tą wszechmoc poświęcać marnej obrazie, niegodnem było nietylko króla, ale nawet mężczyzny.

Chodziło zatem, aby w milczeniu połknąć obrazę i na twarzy przybrać zwyczajny spokój.

Księżna albo była powodem tej sceny, albo scena ta wydarzyła się bez jej woli i pomocy.

Jeżeli była powodem, stało się to cokolwiek za śmiało, ale czyż to nie jej rola?

Któż odważył się w najsłodszych chwilach miodowego miesiąca przemawiać językiem miłości?

Kto ośmielił się przewidywać przyszłe powodzenie wiarołomstwa?

Kto pod osłoną wszechwładzy królewskiej mówił młodej księżnie: Nie lękaj się niczego, kochaj króla Francji, on potężny i on jednem skinieniem swojego berła osłoni cię przed wszystkimi, a nawet przed wyrzutami sumienia

Młoda zatem niewiasta ulegała słowu królewskiemu, albo raczej słuchała kuszącego głosu, a teraz, kiedy zrobiła ofiarę moralną ze swojego honoru, ujrzała, że jej odpłacono niewiarą, tem boleśniejszą, ponieważ spowodowaną przez kobietę, daleko niższą.

Tak więc, jeżeli księżna obmyślała zemstę miała do tego niejakie prawo.

Jeżeli przeciwnie niewinną była w tem zdarzeniu, za cóż miał się król na nią gniewać?

Czyż powinna, albo raczej czy mogła powstrzymać języki parafjanek?... czyż miała, przez zbytek źle zrozumianej gorliwości, powciągać, z narażeniem się na ubliżenie, trzy młode dziewice?

Wszystkie te rozumowania przykre były dla dumy królewskiej; lecz kiedy wszystko rozebrał w swoim umyśle, Ludwik XIV-ty uczuł po dokładnej rozwadze, to jest po opatrzeniu rany, inne ukryte, a nieznane boleści.

Nie chciał się jednakże do nich przyznać dlatego, że one w sercu miały siedlisko.

I w rzeczy samej, potrzeba, aby historyk wypowiedział czytelnikom to, do czego Ludwik przyznać się nie chciał, że wyznanie panny de la Valliere pieściło jego serce, że uwierzył w miłość czystą, w miłość pozbawioną wszelkiego interesu, a jego dusza, prosta i młodsza, niż sobie wyobrażał, pociągnęła ku drugiej, która mu się tak objawiła.

Rzeczą co najmniej zwyczajną w historji miłości jest jednoczesne jej poczęcie w dwojgu razem sercach: jedno zawsze prawie kocha przed drugiem, drugie zaś zwykle przestaje kochać po pierwszem.

Tym sposobem prąd elektryczny wywiązuje się w miarę siły pierwszej namiętności, która się zapala.

Im więcej panna de la Valliere okazała miłości, tem więcej król jej uczuł.

I to właśnie zadziwiało króla.

Bo widocznem było dla niego, że żaden sympatyczny prąd nie pociągnął jego serca, albowiem wyznanie nie pochodziło z miłości, ale było tylko zniewagą, wyrządzoną mężczyźnie i królowi, ponieważ było (a wyraz ten palił go, jak rozgrzane żelazo) tylko mistyfikacja.

Tak więc młoda panienka, której ściśle biorąc można było odmówić piękności, rodu, dowcipu i bogactwa, ta młoda panienka, wybrana przez księżnę nietylko dla jej pokory, nietylko, że podmówiła króla, ale nawet znieważyła go, to jest zażartowała z człowieka, który, jak sułtan azjatycki, potrzebował tylko potoczyć oczami, wyciągnąć rękę, albo upuścić chustkę od nosa.

A przecież od wczorajszego wieczora król jedynie nią był zajęty i o niej tylko marzył; przecież od wczorajszego wieczora jego wyobraźnia z lubością stroiła jej obraz we wszelkie powaby, jakich nie miała; a przecież on, którego tyle spraw wzywało, którego tyle kobiet nęciło, on, od wczorajszego wieczora, poświęcał jej wszystkie chwile swojego życia, wszystkie uderzenia swojego serca.

W istocie tego było zawiele.

Oburzenie króla kazało mu zapomnieć o wszystkiem, a nawet o tem, że pan de Saint-Agnan obecny był uniesieniu, które objawiło się w złorzeczeniach.

Wprawdzie pan de Saint-Agnan wcisnął się w kąt i z kąta patrzał na przemijającą burzę.

Zawód, jakiego doznał, w porównaniu z gniewem królewskim wydawał mu się niczem.

Porównywał swoją maleńką miłość własną z ogromną dumą obrażonego króla, a znając serce monarchów w ogólności, a możnych w szczególe, lękał się, czy ten ciężar gniewu, wiszący nad próżnią, nie spadnie czasem na jego głowę, choćby dlatego tylko, że inni złe popełnili, a on był niewinnym.

I rzeczywiście nagle król zatrzymał się w pośpiesznym chodzie i, spoglądając gniewnie na pana de Saint-Agnan, zawołał:

— I ty, Saint-Agnan?

Saint-Agnan uczynił poruszenie, które miało znaczyć.

— Co, Najjaśniejszy panie?

— I ty byłeś tak głupi jak ja, nieprawdaż?

— Najjaśniejszy panie, — wyjąkał Saint-Agnan.

— Pozwoliłeś z siebie tak grubo zażartować.

— Najjaśniejszy panie, — odparł Saint-Agnan, a dreszcz przebiegł mu po całem ciele — niech Wasza królewska mość nie gniewa się; kobiety, jak wiemy, są to istoty niedoskonałe, stworzone do złego; wymagać więc od nich mądrości byłoby to wymagać rzeczy niepodobnych.

Król, który wielkie miał dla siebie poszanowanie i zaczynał wywierać silną nad namiętnościami władzę, jaką przez całe życie zachował; król uczuł, że ubliżyłby sobie, gdyby za wiele się zajmował tym przedmiotem.

— Nie — odpowiedział żywo — mylisz się, panie de Saint-Agnan, ja się wcale nie gniewam, dziwię się tylko, że tak zręcz

nie i śmiało zadrwiły z nas dwie młode dziewczyny. Nie mogę pojąć nawet, dlaczego, mogąc się wprzód przekonać, popełniliśmy niedorzeczność wynurzenia się z uczuciami serc naszych.

— O!... serce, Najjaśniejszy panie, serce, to organ, który koniecznie przywieść należy do funkcji fizycznych, a odmówić mu wszelkich władz moralnych; przyznam się, że kiedy widziałem serce Waszej królewskiej mości tak mocno zajęte tą małą...

— Zajęte?... moje serce?... głowa mogła być zajęta, ale co do serca...

Ludwik spostrzegł, że, chcąc się z jednej strony zasłonić, narażał drugą.

— Zresztą — dodał — nie ma nic do zarzucenia tej dziewczynie; wiedziałem dobrze, że kocha innego.

— Tak, wicehrabiego de Bragellone, uprzedziłem o tem Waszą królewską mość.

— Zapewne. Ale nie byłeś w tem pierwszy; hrabia de la Fere żądał ręki panny de la Valliere dla swojego syna. Dobrze zatem; kiedy z Anglji powróci, pożenię ich, skoro się kochają.

— Widzę w tem wspaniałomyślność Waszej królewskiej mości.

— Słuchaj, Saint-Agnan, wierzaj mi, trzeba przestać podobnemi rzeczami zajmować się — rzekł Ludwik.

— Tak, połknijmy pigułkę, Najjaśniejszy panie — odparł dworak z rezygnacją.

— Zresztą, to nic trudnego, — zakończył król, tłumiąc w sobie westchnienie.

— Ja zaś postanawiam... — znowu odezwał się Saint-Agnan.

— Co takiego?

— Napisać wiersz, który nazwę Drjadą i Najadą. Spodziewam się, że to sprawi księżnie przyjemność.

— Pisz, pisz, Saint-Agnan — pomruknął król — przeczytasz mi swoje wiersze i to mnie zabawi; mniejsza o to, Saint-Agnan — dodał król zaledwie oddychając — cios wymaga siły nadludzkiej, aby go godnie wytrzymać.

Kiedy tak król zakończył, pokazując po sobie cierpliwość angielską, jeden z lokai służbowych zapukał lekko do drzwi.

Saint-Agnan oddalił się przez uszanowanie.

— Wejdź — rzekł król.

Lokaj uchylił drzwi.

— Czego chcesz?... — zapytał król.

Lokaj pokazał list, złożony w kształcie trójkąta.

— Do Waszej królewskiej mości — rzekł.

— Od kogo?

— Nie wiem, oddał mi go jeden z oficerów służbowych.

Król dał znak, a lokaj podał bilet.

Król zbliżył się do świecy, otworzył list, rzucił okiem na podpis i wydał okrzyk.

Saint-Agnan, pełen uszanowania, udawał, że nic nie widzi; lecz, nie patrząc, widział i słyszał.

Przybiegł.

— A!... mój Boże!... — mówił król, czytając.

— Czy Wasza królewska mość chory? — zapytał Saint-Agnan, wyciągając ręce.

— Nie, nie... Saint-Agnan, czytaj.

I podał mu list.

Oczy pana de Saint-Agnan naprzód padły na podpis.

— La Valliere!... — zawołał — o!... Najjaśniejszy panie!..

— Czytaj, czytaj.

Saint-Agnan czytał, co następuje:

"Przebacz, Najjaśniejszy panie, natrętność, nadewszystko przebacz brak formalności, jaki towarzyszy temu listowi: ale list wydaje mi się pilniejszym i ważniejszym, aniżeli podanie... pozwól zatem Najjaśniejszy panie, że go przesyłam.

Powracam do siebie osłabiona boleścią i udręczeniem; błagam cię zatem, Najjaśniejszy panie, o udzielenie mi posłuchania, bym mogła wyznać prawdę memu królowi.

Ludwika de la Valliere."

— A co? — zapytał król, odbierając list panu de Saint-Agnan, zdumionemu tem, co przeczytał.

— A co? — powtórzył Saint-Agnan.

— Co myślisz o tem?

— Ja nie wiem.

— Przecież...

— Najjaśniejszy panie, widać poczuła piorun i lęka się.

— Czego?... — zapytał ze szlachetnością Ludwik.

— Przez Boga!... co chcesz, Najjaśniejszy panie?... Wasza królewska mość masz niejedną, ale tysiąc przyczyn gniewania się na sprawcę, czy sprawców złośliwego żartu, a pamięć Waszej królewskiej mości niechętna jest wieczną groźbą dla nieroztropnej.

— Saint-Agnan, ja tak rzeczy tej nie widzę.

— Król lepiej musi widzieć odemnie.

— Ja widzę w tych wierszach boleść i przymus; a teraz nadewszystko przypominam sobie pewne szczegóły sceny, jaka się zdarzyła tego wieczora, wreszcie...

Król zatrzymał się na rozpoczętem zdaniu.

— Wreszcie — podchwycił Saint-Agnan — Wasza królewska mość udzieli posłuchanie, to w tem wszystkiem najwidoczniejsze.

— Ja coś więcej uczynię, panie de Saint-Agnan.

— Cóż takiego. Najjaśniejszy panie?...

— Weź płaszcz na siebie.

— Ależ, Najjaśniejszy panie...

— Wiesz, gdzie są pokoje dam honorowych księżnej?...

— Wiem.

— A znasz sposób dostania się do nich?...

— O!... co to, to nie.

— Ale musisz znać tam kogoś?...

— Doprawdy Wasza królewska mość jesteś źródłem pomysłów.

— Znasz kogo?...

— Znam.

— Kogoż takiego?...

— Znam pewnego jegomościa, który jest dobrze z jedna z panien honorowych...

— Może z panną Tonnay-Charente?... — zapytał Ludwik, uśmiechając się.

— Na nieszczęście, nie; ale z panną de Montalais.

— A jak się nazywa?...

— Malicorne.

— Czy możesz liczyć na niego?...

— Tak sądzę, Najjaśniejszy panie.. On musi mieć klucz... a jeżeli go ma, pewnie mi z niego zrobi przysługę, jak ja niedawno inną mu wyświadczyłem.

— Dobrze, idźmy zatem.

— Jestem na rozkazy Waszej królewskiej mości.

Król płaszcz swój zarzucił na ramiona pana de Saint-Agnan, a sam wziął jego.

Następnie obydwaj zeszli do przedsionka.

CXXXVI

CZEGO NIE PRZEWIDZIAŁA ANI NAJADA ANI DRJADA.

Saint-Agnan zatrzymał się na dole schodów, prowadzących do pokoi dam honorowych, na pierwszem piętrze u księżnej.

Stamtąd wychodzący lokaj wywołał Malicorna, który był jeszcze u księcia, brata królewskiego.

W dziesięć minut, przybył Malicorne, nosem wietrząc w ciemnościach.

Król cofnął się, kryjąc w najciemniejszy kącik przedsionka.

Saint-Agnan, przeciwnie naprzód wystąpił.

Lecz po pierwszych wyrazach, objawiających żądanie, Malicorne chciał zmykać.

— Ho!... ho!... ho!... — rzekł — pan żądasz odemnie, abym go wprowadził do pokoi dam honorowych?...

— Tak.

— Pojmujesz pan, że nie mogę uczynić podobnej rzeczy, nie wiedząc, jaki jest cel pański.

— Na nieszczęście, kochany panie Malicorne, żadnego wyjaśnienia dać ci nie mogę; potrzeba, abyś mi zaufał jak przyjacielowi, który cię wczoraj wywiódł z kłopotu i który dzisiaj wzajemności od ciebie żąda.

— Ale ja, panie, mówiłem, czego żądałem; żadałem schronienia, żebym nie spał pod gołem niebem, i każdy uczciwy człowiek może objawić podobne żądanie; tymczasem pan nic nie mówisz.

— Wierzaj mi, panie Malicorne — nalegał Saint-Agnan — że gdybym mógł tłumaczyć się, wytłumaczyłbym.

— Kiedy tak, nie mogę pozwolić, abyś pan wchodził do panny Montalais.

— A to dlaczego?...

— Wiesz pan lepiej, niż ktokolwiek inny, ponieważ widziałeś mnie na murze umizgającego się do panny Montalais; przy-

znam się, że byłoby to śmieszne, abym ja, umizgający się do niej, sam drzwi otwierał.

— A któż panu mówi, że ja do niej chcę klucza?...

— Do kogoż więc?

— Zdaje mi się, że nie sama mieszka.

— Nie sama; mieszka z panna de la Valliere.

— Tak, lecz pan zarówno do panny de la Valliere nie masz interesu, jak do panny de Montalais; dwóch tylko jest ludzi na świecie, którymbym klucz powierzył: panu de Bragellone, gdyby mnie o to posił, i królowi, gdyby mi to rozkazał.

— A więc daj mi pan ten klucz, rozkazuję ci — rzekł król, zbliżając się pomimo ciemności i odchylając płaszcz — panna de Montalais niech zejdzie do ciebie, my zaś wejdziemy do panny de la Valliere; właśnie do niej mamy interes.

— Król?... — zawołał Malicorne, zginając się aż do kolan królewskich.

— Tak, król — rzekł Ludwik, uśmiechając się — król, który zarówno pochwala twój opór jak i kapitulację; powstań i wyświadcz nam przysługę, której żądamy.

— Jestem na twoje rozkazy, Najjaśniejszy panie — odpowiedział Malicorne, wchodząc na schody.

— Niech zejdzie panna de Montalais — rzekł król — a nie mów jej ani słowa o mnie.

Malicorne skłonił się na znak posłuszeństwa i dalej wchodził na schody.

Lecz król, po nagłej rozwadze, udał się za nim i to tak pośpiesznie, że, chociaż Malicorne był już w połowie schodów, jednocześnie przybył z nim do pokoju.

Ujrzał wtedy przez drzwi, na wpół otwarte za Malicornem, La Valliere, przechyloną na krześle, a w drugim rogu pokoju Montalais, czeszącą włosy i w szlafroczku stojącą przed wielkiem zwierciadłem i rozmawiającą z Malicornem.

Król otworzył drzwi i wszedł.

Montalais, słysząc skrzypnięcie drzwi, krzyknęła, widząc zaś króla wchodzącego, ukryła się.

Na ten widok, La Valliere powstała jak trup zgalwanizowany i znowu upadła na krzesło.

Król zwolna ku niej postąpił.

— Żądałaś panna posłuchania — rzekł tonem oziębłym — przychodzę wysłuchać cię, mów.

Saint-Agnan, wierny swojej roli głuchego, ślepego i niemego, umieścił się w kąciku przy drzwiach i usiadł na małej ławeczce, którą jakby dla niego postawiono.

Zakryty obiciem, które służyło za osłonę drzwi, przytulony do samego muru, słuchał, nie będąc widziany.

Wypełniał rolę wiernego psa, który czuwa i strzeże, nigdy nie będąc dla swego pana natrętnym.

La Valliere, przestraszona widokiem rozgniewanego króla, powstała powtórnie i w postawie pokornej i błagającej wyjąkała:

— Najjaśniejszy panie, przebacz mi.

— Panna chcesz, aby ci przebaczył?

— Najjaśniejszy panie, wielki błąd popełniłam, a nawet zbrodnię.

— Ty?

— Najjaśniejszy panie!... obraziłam Waszą królewską mość.

— Bynajmniej — odpowiedział Ludwk XIV zimno.

— Najjaśniejszy panie, błagam cię, nie zachowuj dla mnie tej strasznej powagi, którą słuszny twój gniew objawia. Czuję, że cię obraziłam, Najjaśniejszy panie, lecz potrzebuję wytłumaczyć się, że obraza była mimowolną.

— Ale naprzód powiedz mi panna — odrzekł król — czem mnie obraziłaś?... czy niewinnym młodej panienki żartem? Zażartowałaś z młodego, łatwowiernego człowieka, to rzecz bardzo prosta; każda inna kobieta na twojem miejscu uczyniłaby to samo.

— O! Wasza królewska mość sprawiasz mi temi wyrazami nieopisaną boleść.

— A to dlaczego?

— Bo jeżeli żart pochodziłby odemnie, nie byłby niewinnym.

— Koniec końcem — rzekł król — czy, żądając posłuchania, tyle tylko miałaś mi powiedzieć.

I król postąpił krok w tył.

Wtedy La Valliere krokiem niepewnym, z oczami zaognionemi od płaczu, zbliżyła się do króla.

— Czy Wasza królewska mość wszystko słyszałeś?... — rzekła.

— Wszystko.

— Wszystko, co mówiłam pod królewskim dębem?

— Nie straciłem ani jednego wyrazu.

— Wasza królewska mość, skoro mnie słyszałeś, czy mogłeś sądzić na chwilę, że nadużywałam jego łatwowierności?

— Tak, łatwowierności, dobrze się wyraziłaś.

— I wasza królewska mość nie pomyślałeś, że biedną, jak ja dziewczynę, można przymusić do wykonania cudzej woli.

— Przebacz, ale nie pojmuję, ażeby, ta której wola tak swobodnie objawiała się pod dębem królewskim, do tego stopnia ulegała woli cudzej.

— Ale pogróżki, Najjaśniejszy panie!

— Pogróżki?... kto ci groził? kto poważył się grozić?

— Ci, którzy mają do tego prawo, Najjaśniejszy panie.

— Nie znam nikogo, coby miał prawo grozić w mojem państwie.

— Przebacz, Najjaśniejszy panie, są przy boku Waszej królewskiej mości osoby, wysoko stojące, które mają, albo sądzą, że mają prawo zgubić biedną dziewczynę, bez przyszłości, bez majątku, posiadającą jako jedyny skarb tylko dobre imię.

— Jakto — zgubić ją?

— Odbierając jej sławę przez ubliżające wydalenie.

— Moja panno — rzekł król z goryczą — bardzo lubię ludzi, którzy sami się usprawiedliwiają, nie obwiniając innych.

— Najjaśniejszy panie!

— Przykro mi, usprawiedliwienie, jakie mogło być z twojej strony łatwo uczynione, wikła się wśród podejrzeń.

— Którym jednak nie wierzysz, Najjaśniejszy panie?... — wykrzyknęła La Valliere.

Król milczał.

— O! powiedz, powiedz, Najjaśniejszy panie!... — powtórzyła La Valliere z gwałtownością.

— Żałuję, że to wyznałem — odpowiedział król, obojętnie się kłaniając.

Młoda dziewczyna głęboki wydała okrzyk i, uderzając ręką w rękę, wykrzyknęła:

— Zatem nie wierzysz mi, Najjaśniejszy panie!

Król nic nie odpowiedział.

Twarz panny de la Valliere zmieniła się.

— Więc myślisz Najjaśniejszy panie, że to ja powzięłam ten śmieszny, ten bezczelny zamiar żartowania z Waszej królewskiej mości.

— Moja panno, żart nie jest zbrodnią, a kiedy jest dowcipny i zabawny...

— O!... — wymówiła młoda dziewica — król mi nie wierzy, król nie chce mi wierzyć.

— Tak nie chcę ci wierzyć.

— O! Boże! Boże!

— Słuchaj mnie: i cóż nad ten żarcik prostszego?... Król idzie za mną, myślałaś sobie, podsłuchuje i podgląda; król może chce zabawić się moim kosztem; zabawmy się więc jego kosztem, a że król ma serce, zróbmy sobie igraszkę.

La Valliere zakryła twarz rękami, tłumiąc w sobie łkanie.

Król postępował nielitościwie; mścił się nad biedną ofiarą za to wszystko, co sam wycierpiał.

— Przypuśćmy — rzekł — że kocham go i że go przenoszę nad innych. Król jest dobroduszny i dumny zarazem, uwierzy temu, co posłyszy i będziemy się z niego śmiały.

— A! tak myśleć, to okropność!... — zawołała La Valliere.

— Ale to nie wszystko — mówił król dalej — jeżeli dumny monarcha żart weźmie za prawdę, jeżeli będzie tak nieroztropny, że objawi z tego radość, lub chełpliwość, przed całym dworem będzie za to upokorzony; zresztą mogłaś pomyśleć sobie, że kiedyś opowiadanie o tej przygodzie będzie twemu kochankowi przyjemnem, a nawet doda ci wartości posażnej w oczach męża.

— Najjaśniejszy panie!... — zawołała La Valliere z rozpaczą — błagam cię, ani słowa nie mów już więcej; czy nie widzisz, ile ja cierpię?

— Żarty! żarty!... mówił król, zaczynając się wzruszać.

La Valliere padła na kolana i to tak silnie, że aż posadzka jęknęła.

Następnie, składając ręce, zawołała wśród łez:

— Najjaśniejszy panie, wolę hańbę, niż zdradę.

— Co robisz?... — rzekł król, nie usiłując jej podnieść.

— Najjaśniejszy panie, kiedy ci poświęcę swój honor i rozum, może uwierzysz w moje przywiązanie. To, powiedziałam u księżny i co księżna mówiła, jest kłamstwem; to, co powiedziałam pod wielkiem debem...

— I cóż?

— To tylko jest prawdą.

— Pani!

— Najjaśniejszy panie — wykrzyknęła La Valliere, uniesiona gwałtownem uczuciem — Najjaśniejszy panie, chociażbym miała umrzeć na miejscu, w którem wpiły się moje kolana, będę powtarzała, póki głosu mi stanie: Kocham cię!...

— Ty!

— Kocham cię, Najjaśniejszy panie od chwili, gdy cię ujrzałam, od chwili, kiedyś spojrzał na mnie łaskawym i ożywiającym wzrokiem, kocham cię, Najjaśniejszy panie. Jest to zbrodnią obrazy majestatu, aby biedna dziewczyna, jak ja, kochała swojego monarchę i to mu mówiła; ukarz mię za tą śmiałość, pogardź mną za tę bezczelność, ale nie mów, że żartowałam z ciebie albo że cię zdradziłam; pochodzę z krwi, wiernej tronowi, Najjaśniejszy panie i kocham... kocham mojego króla!... umieram!...

I nagle, osłabiona na siłach i głosie, zgięła się we dwoje i jak kwiat upadła, jak mówi Wirgiljusz, pod sierpem żniwiarza.

Król na te słowa, na tą gorącą prośbę, nie zachował już ani urazy ani wątpliwości; całe jego serce otworzyło się dla tchnienia tej gorącej miłości, która przemawiała tak szlachetnie i odważnie.

Skoro zatem usłyszał namiętne wyznanie, osłabł i twarz zakrył rękami.

Ale kiedy uczuł, że ręce panny de la Valliere dotykają jego dłoni, kiedy ciepło jej ciała przeszło w jego żyły, zapalił się i; chwytając La Valliere wpół, podniósł ją i przycisnął do serca.

Ona, omdlała, na jego ramię przechyliła głowę, żadnego niedając znaku życia.

Wtedy król przelękniony przywołał pana Saint-Agnan.

Saint-Agnan, który przez delikatność, pozostał nieruchomy w kącie, udając, że łzy obciera, przybiegł natychmiast.

Pomógł Ludwikowi do posadzenia dziewicy na krześle, ściskał dla ocucenia jej rękę i oblewał ją słynnemi wówczas perfumami królowej węgierskiej.

— Pani! przyjdź do siebie; król ci wierzy, król ci wszystko przebacza. Pani, pomyśl, że król wzruszony jest zanadto, nie wiesz jak Jego królewska mość jest czuły. A! cóż u licha!... miej pani rozum, patrzaj, jaki król blady.

W istocie król bladł widocznie.

— Pani — błagał Saint-Agnan, nie wiedząc co począć — przyjdź do siebie, proszę cię, błagam, już czas, pomyśl, że gdyby król zasłabł, musiałbym przywołać lekarza. A! okropność!.. wstań pani, prędzej, tylko prędzej!...

Trudno było rozwinąć więcej przekonywającej wymowy, niż pan de Saint-Agnan; lecz coś więcej silnego i skuteczniejszego przywróciło pannie de la Valliere przytomność.

Król ukląkł przed nią i wyciskał na jej dłoni gorące pocałunki, a pocałunek to podobno najskuteczniejsze lekarstwo w takich wypadkach.

Nakoniec przyszła do siebie, zwolna rozwarła oczy i rzucając niepewne spojrzenie, zapytała:

— Najjaśniejszy panie, zatem mi przebaczyłeś?

Król nic nie odpowiedział, jeszcze zanadto był wzruszony.

Saint-Agnan sądził, że powinien się oddalić... odgadł on płomień, tryskający z oczów Jego królewskiej mości.

La Valliere powstała.

— A teraz, Najjaśniejszy panie — rzekła z odwagą — teraz, kiedy się usprawiedliwiłam przynajmniej w oczach Waszej królewskiej mości, jak sądzę, pozwól mi oddalić się do klasztoru. Tam przez całe życie będę błogosławiła mojego króla i umrę, kochając Boga, który mnie jednym dniem szczęścia obdarzył.

— Nie, nie — odpowiedział król — tu będziesz żyła, błogosławiąc Boga i kochając Ludwika, który cię kocha i który ci to przysięga.

— Najjaśniejszy panie!... Najjaśniejszy panie!...

Ludwik zamknął jej usta pocałunkiem, a pocałunki króla stały się tak ogniste, że Saint-Agnan uważał za stosowne wyjść za drzwi.

Dziewica z początku nie miała siły odeprzeć natarczywości, gdy jednakże sama uczuła namiętnie wirującą krew, zawołała:

— Najjaśniejszy panie!... spraw, abym nie żałowała mojej przychylności; inaczej dowiedziesz mi, że mną pogardzasz jeszcze.

— Pani — odpowiedział król, śpiesznie cofając się z uszanowaniem — nikogo na świecie nie kocham i nie szanuję więcej nad ciebie, i nikt na moim dworze, przysięgam, więcej od ciebie szanowany nie będzie; przepraszam cię za moje uniesienie, które pochodziło ze zbytniej miłości; ale nie mogę lepiej ci do-

wieść, że więcej jeszcze będę cię kochał, tak szanując cię, jak sama żądasz.

Następnie, kłaniając się i biorąc ją z rękę wyrzekł:

— Pani, czy uczynisz mi ten zaszczyt i przyjmiesz mile pocałunek, który na twojej ręce składam?...

Usta królewskie z uszanowaniem dotknęły drżącej ręki dziewicy.

— Na przyszłość — dodał Ludwik, powstając i obejmując La Valliere swojem spojrzeniem — na przyszłość jesteś pod moją opieką. Nie mów nikomu o złem, jakie ci wyrządziłem, i przebacz innym, cokolwiek złego ci uczynili. Na przyszłość będziesz tak nad nimi wysoko, że, zamiast się ich lękać, łaskami będziesz mogła obsypywać.

I ukłonił się z niezwykłem uszanowaniem.

Następnie, przyzywając pana de Saint-Agnan, który zbliżył się z pokorą, rozkazał:

— Hrabio, spodziewam się, że panna de la Valliere zaszczyci cię swoją przychylnością w zamian za przyjaźń, którą jej poprzysiągłem na wieki.

Saint-Agnan zgiął kolano przed panną de la Valliere.

— Jaka to dla mnie radość — rzekł on — jeżeli pani uczynisz mi ten zaszczyt.

— Przyślę ci twoją towarzyszkę — rzekł król. — Żegnam cię, panno de la Valliere, albo raczej do widzenia; bądź łaskawą nie zapominać o mnie w swoich modlitwach.

— O!... Najjaśniejszy panie — odpowiedziała La Valliere — bądź spokojny; razem z Bogiem jesteś w mojem sercu.

Te ostatnie wyrazy radością upoiły króla, który szczęśliwy i wesoły ciągnął pana de Saint-Agnan na schody.

Księżna nie przewidziała tego rozwiązania.

Ani Najada, ani Drjada nic o niem nie mówiły.

CXXXVII

NOWY GENERAŁ JEZUITÓW.

Kiedy panna de la Valliere i król w pierwszym wyznaniu powierzali sobie wzajemnie wszystkie smutki przeszłości, całe szczęście obecne i wszelkie przyszłe nadzieje, Fouquet, powróciwszy do siebie, to jest do mieszkania, które w zamku było mu wyznaczone rozmawiał z Aramisem o tem, o czem zapewne król w obecnej chwili zupełnie zapomniał.

— Powiedz mi — zaczął Fouquet, kiedy usadowił swojego gościa na krześle i sam usiadł przy nim — powiedz mi panie d'Herblay, jak stoimy w naszych interesach z Belle-Isle i czy masz jakie stamtąd wiadomości?...

— Panie nadintendencie — opowiedział biskup — pod tym względem wszystko idzie, jak sami pragniem; wydatki są zaspokojone i nic nie wykryło naszych zamiarów.

— A załoga, którą król chciał tam postawić?

— Dziś rano otrzymałem wiadomość, że przybyła od dwóch tygodni.

— I przyjęto ją?

— Wyśmienicie.

— A zdawną załogą, co się stało?

— Wyszła do Sarzeau, a stamtąd niebawem przeznaczono ją do Quimper.

— A nowe wojsko?

— Już wszystko nasze.

— Czy jesteś pewny tego, co mówisz, panie d'Herblay?

— Zupełnie, zresztą przekonasz się, gdy się dowiesz, jak się to stało.

— Ale wiesz, że ze wszystkich miejsc dla załogi, Belle-Isle jest najsmutniejsze.

— Wiem o tem i dlatego stosownie postępuję; tam ani przestrzeni niema, ani komunikacji, ani kobiet, ani gry; rzecz naturalna — dodał Aramis z właściwym sobie uśmiechem — że tylu młodych ludzi pragnie się bawić i tem samem przechyla się na stronę tego, który płaci za ich rozrywki.

— A jeżeli będą się bawili na Belle-Isle?

— Jeżeli będą się bawili z łaski królewskiej, króla będą kochali, jeżeli zaś będą się bawili z łaski pana Fouquet, będą kochali pana Fouquet.

— Zatem uprzedziłeś mojego intendenta, aby natychmiast po ich przybyciu...

— Bynajmniej, tydzień pozwolono im nudzić się swobodnie; po ośmiu dniach odezwali się z narzekaniami, że załoga, przed nimi stojąca, lepiej się bawiła. Odpowiedziano im wtedy, że dawniejsi oficerowie umieli przyjaźń pana Fouquet pozyskać i że pan Fouquet, znając ich jako przychylnych dla siebie starał się o to, aby nie nudzili się w jego majątku.

Wtedy zaczęli się namyślać.

Ale natychmiast intendent dodał, że, nie sprzeciwiając się rozkazom pana Fouquet, zna doskonale swojego pana i wie, że każdy szlachcic w służbie królewskiej obchodzi go i że byle poznał nowoprzybyłych uczyni to samo dla nich, co czynił dla innych.

— Spodziewam się, że dotrzymano przyrzeczeń: wiesz, że pragnę, aby nic nie przyrzekano w mojem imieniu, czego dotrzymać nie można.

— Zaraz oddano pod rozporządzenie oficerów naszych dwa statki korsarskie i twoje konie; powierzono im klucze od głównego gmachu tak, że odbywają łowy i przechadzki z damami na Belle-Isle, które nie lękają się choroby morskiej.

— A dosyć jest ich w Vannes i w Sarzeau? nieprawdaż, biskupie?

— Na całym brzegu poddostatkiem — spokojnie odpowiedział Aramis.

— Teraz co do żołnierzy?

— Wszystko jest względne, pojmujesz; dla żołnierzy dosyć, kiedy mają co jeść, pić i dobrą płacę.

— Doskonale; a zatem?...

— Zatem możemy na nich lictzyć.

— To dobrze.

— Stąd wynika, że jeżeli Bóg pozwoli, aby nam co dwa miesiące zmieniano załogę przez trzy lata, poznamy się z całą armją i zamiast jednego pułku, pięćdziesiąt tysięcy będziemy mieli za sobą.

— Wiedziałem o tem — odrzekł Fouquet — że pan d'Herblay jest nieoszacowanym i nieocenionym przyjacielem; ale po-

mimo to — dodał z uśmiechem — zapominamy, co się dzieje z naszym przyjacielem du Vallon? przez trzy dni, które przepędziłem w Saint Mande, przyznaję, że zapomniałem o wszystkiem.

— A ja nie zapominam o niczem — odparł Aramis — Portos jest w Saint Mande, karmią go smacznie i dobrze poją; przeznaczyłem mu przechadzkę po małym parku, przechadzkę, która tylko dla ciebie była zachowaną; przechadza się zatem, probuje swoich sił, zginając młode wiązy i rozdzierając stare dęby, jak to czynił Milon z Krotony; na szczęście, że nie mamy lwów w parku, bo pewnie nie znaleźlibyśmy ich całemi. To zuch ten Portos.

— Tak, ale tymczasem nudzi się.

— O! nigdy.

— Będzie gadał.

— Nie widuje się z nikim.

— Ale czego się spodziewa?

— Zrobiłem mu nadzieję, którą kiedykolwiek spełnimy, a on nią tylko żyje.

— Jaką?

— Że go przedstawimy królowi.

— W jakim charakterze.

— Jako inżyniera na Belle-Isle.

— A! prawda.

— Czy to być może?

— Zapewne, ale teraz czy nie potrzeba, aby na Belle-Isle powrócił?

— Koniecznie; nawet myślę posłać go tam jak można najprędzej. Portos jest to dla nas człowiek potrzebny; jest to człowiek, którego słabą stronę d'Artagnan, Atos i ja tylko znamy. Portos nigdy się nie poddaje; jest pełen godności a wobec oficerów będzie wyglądał, jak rycerz z czasów wypraw krzyżowych. Upoi on cały sztab, sam się nie upiwszy i dla wszystkich będzie przedmiotem podziwu i sympatji; prócz tego, jeżeli będziemy mieli jaki rozkaz do wykonania, Portos jest żywą chorągwią, która przejdzie, dokąd jej polecą.

— Zatem go odeślij.

— Taki właśnie mój zamiar, ale dopiero za kilka dni, bo muszę ci jedną rzecz powiedzieć.

— Jaką?

— Że podejrzewam d'Artagnana. D'Artagnana niema w Fontainebleau, jak mogłeś to zauważyć, a d'Artagnan nigdy nie oddala się, nie będąc bezczynnym. Ułatwiwszy się z moimi interesami, muszę dowiedzieć się, co robi pan d'Artagnan.

— Mówisz, że załatwiłeś interesa?

— A tak.

— Jesteś szczęśliwym pod tym względem; o! chciałbym być na twojem miejscu.

— Myślę, że i ty o nic się nie troszczysz.

— Hm!

— Król cię przyjął wybornie.

— Tak.

— Colbert nie napastuje.

— W tej chwili nie.

— W takim razie — rzekł Aramis, idąc za wątkiem myśli, która mu nadawała siłę, — kiedy tak, możemy myśleć o tem, o czem mówiłem wczoraj co do tej małej.

— Jakiej małej?

— Czy już zapomniałeś?

— Nic sobie nie przypominam.

— Co do La Valliere.

— A! prawda.

— Czy nie chcesz pozyskać tej dziewczyny?

— Byle nie pod jednym względem.

— Pod jakim?

— Ponieważ serce moje jest zajęte, nic zatem dla niej uczuwać nie mogę.

— Ho!... ho!... — rzekł Aramis — serce twoje zajęte, powiadasz?

— A tak.

— Do djabła! trzeba być bardzo ostrożnym.

— A to dlaczego?

— Bo to okropność mieć serce zajęte, kiedy kto głowy potrzebuje.

— Masz słuszność. Ale, widzisz, ja na pierwsze twoje wezwanie wszystko opuściłem; powróćmy więc do La Valliere. Jakąż korzyść obiecujesz sobie z tego, gdybym się nią zajął.

— Król, jak mówią, ma do niej wielką skłonność; tak przynajmniej sądzą powszechnie

— Ale ty, co wiesz o wszystkiem, myślisz inaczej.

— Ja wiem tylko, że byłaby to za śpieszna zmiana; onegdaj bowiem jeszcze król szalenie był zakochany w księżnie; kilka dni temu książę skarżył się na to przed królową matką; były nawet nieporozumienia małżeńskie i strofowania macierzyńskie.

— Jakim sposobem wiesz o tem wszystkiem?

— Dość, że wiem.

— A więc?

— Po owych nieporozumieniach i strofowaniach, król ani słowa nie przemówił do Jej książęcej mości.

— Cóż dalej?

— Następnie zajął się panną de la Valliere; panna de la Valliere jest damą honorową księżny a wiesz, co nazywają płaszczykiem w miłości.

— Zapewne, że wiem.

— Zatem jeżeli panna de la Valliere jest płaszczykiem księżny, to korzystać należy z tej okoliczności. Obrażona miłość własna zwycięstwo sładniejszem uczyni, panna de la Valliere będzie posiadała tajemnicę króla i księżny, a wiesz co rozumnemu człowiekowi daje tajemnica.

— I ty mnie o to pytasz?

— Zapewne, bo nie będę miał czasu nią się zajmować.

— Ona jest ubogą i pokorną, dasz jej byt i czy będzie zbliżona do króla jako kochanka, lub jako powiernica, zawsze z niej możesz mieć korzyść.

— Dobrze, lecz cóż z nią uczynimy?

— Gdy pożądałeś jakiej kobiety, co wtedy czyniłeś, panie nadintendencie?

— Pisałem do niej. Oświadczałem swoją miłość poświęcałem usługi i podpisywałem się Fouquet.

— I żadna ci się nie oparła?

— Jedna tylko — odpowiedział Fouquet — lecz i ona cztery dni temu uległa jak inne.

— A teraz czy zechcesz napisać?... — rzekł Aramis do Fouqueta, podając mu pióro.

Fouquet wziął je.

— Dyktuj. — rzekł — Tak mam rozerwane myśli, że dwóch wierszy nie jestem zdolny napisać.

— Dobrze — rzekł Aramis — pisz..

— "Pani! Widziałem cię i nie dziwi cię to zapewne, że piękną cię znalazłem.

"Ale nie możesz, nie mając godnego ciebie stanowiska, jaśnieć na dworze.

"Miłość uczciwego człowieka, w razie gdybyś miała w sobie dumę, mogłaby być pomocną twojemu dowcipowi i wdziękom."

"Składam moją miłość u twoich stóp, ale że miłość, jakkolwiek uniżona i względna, może narażać przedmiot czci swojej, nie przystoi osobie twojej wartości narażać się, bez zapewnienia przyszłego losu.

"Jeżeli raczysz odpowiedzieć moim uczuciom, miłość moja dowiedzie ci swojej wdzięczności, czyniąc cię na zawsze wolną i niezawisłą."

Napisawszy, spojrzał Fouquet na Aramisa.

— Podpisz — rzekł ostatni.

— Czy to potrzebne?

— Zapominasz, panie nadintendencie, że podpis twój na liście więcej wart, niż miljon.

Fouquet podpisał.

— Teraz przez kogo list poślesz?... — zapytał Aramis.

— Przez doświadczonego lokaja.

— Którego jesteś pewny?

— Jest to mój zwyczajny posłaniec.

— Bardzo dobrze, zresztą, gramy rolę, która nie jest trudna.

— Jakto?

— Jeżeli to, mówisz, jest prawdą, o porozumieniu małej z królem i księżną, król da jej tyle pieniędzy, ile zapragnie.

— Zatem król ma pieniądze — rzekł Aramis.

— Tak sądzić należy, bo ich już nie żąda.

— Bądź spokojny; niedługo o nie zawoła.

— Co więcej jeszcze, sądziłem, że będzie mi mówił o tej uroczystości w Vaux.

— I cóż?

— Ani o niej wspomniał.

— Ale wspomni.

— O! jakże przypuszczać możesz, panie d'Herblay, ażeby król tak był okrutnym.

— Nie on.

— Młody, zatem jest dobry.

— Młody zatem jest słaby, albo namiętny; pan Colbert zaś trzyma w swojej przebiegłej ręce albo jego słabości, albo jego namiętności.

— Widzisz zatem, że go się boisz.

— Nie przeczę.

— Zatem jestem zgubiony.

— Jakto?...

— Tylko przez pieniądze byłem silny u króla.

— A teraz?

— Jestem zniszczony.

— Bynajmniej.

— Jakto?... czyż ty lepiej niż ja znasz moje interesa.

— Być może.

— A jednak, jeżeli zażąda tej uroczystości....

— To ja wyprawisz.

— Dobrze, ale skąd pieniądze?

— Czy ci ich kiedy zabrakło?

— A! gdybyś wiedział za jaką ofiarę dostałem ich ostatnim razem.

— Tym razem jednak nic cię to nie będzie kosztowało.

— Któż mi ich da zatem?

— Ja.

— Ty mi dasz sześć miljonów?

— Dziesięć, jeżeli potrzeba.

— Prawdę mówiąc, kochany panie d'Herblay, twoje zaufanie w sobie więcej mnie trwoży, niż gniew królewski.

— Ba!

— Któż zatem jesteś?

— Zdaje się, że mnie znasz.

— Zapewne; ale powiedz mi czego wzamian żądasz?

— Chcę, aby na tronie francuskim był król Fouquetowi przychylny i żeby pan Fouquet mnie sprzyjał.

— O!... — zawołał Fouquet, ściskając mu rękę — jeżeli o mnie chodzi, możesz być spokojnym, tylko co do pierwszego, zdaje mi się, że jesteś w błędzie.

— Z czem?

— Król dla mnie nigdy nie będzie przychylny.

— Zdaje mi się, że nie mówiłem, aby ten król był ci przychylny.

— Właśnie dopiero co o tem mówiłeś.
— Nie mówiłem ten król, ale król.
— Czyż to nie jedno?
— Wielka różnica.
— Jakto?
— Zaraz pojmiesz; przypuśćmy, że ten król nie jest Ludwikiem XIV-ym.
— Któż więc?
— Taki, któryby wszystko winien był tobie.
— To niepodobna.
— Nawet tron.
— Oszalałeś, niema na świecie człowieka, oprócz Ludwika XIV-go, któryby mógł zasiąść na tronie francuskim. Ja przynajmniej nie widzę żadnego.
— A ja widzę.
— Chybaby książę, jego brat — rzekł Fouquet, spoglądając na Aramisa niespokojnie — ale książę...
— Nie książę.
— Jakże chcesz, aby inny książę, który nie pochodzi z krwi królewskiej... jakże chcesz, aby inny człowiek, który żadnego nie ma prawa...
— Mój król, albo raczej twój król, będzie tem, czem potrzeba, bądź o to spokojny.
— Ostrożnie, panie d'Herblay, ostrożnie, bo mnie aż dreszcz przechodzi.
Aramis uśmiechnął się.
— Jeszcze raz powtarzam, zatrważasz mnie.
Aramis znowu się uśmiechnął.
— Śmiejesz się — rzekł z wyrzutem Fouquet.
— Przyjdzie czas, że i ty, jak ja śmiać się będziesz; teraz zaś ja sam się muszę śmiać.
— Ależ wytłumacz się.
— W właściwym czasie wytłumaczę się, nie bój się, nie jesteś świętym Piotrem, a ja nie jestem Chrystusem, a jednak ci powiem...
"Człowieku małej wiary, dlaczego wątpisz?"
— Dlaczego wątpię?... bo nie widzę.
"Przyjdzie czas, gdy twoje oczy przejrzą."
— Ponieważ jesteś ciemny, nie będę więc z tobą postępował jak z świętym Piotrem, ale jak z świętym Pawłem i powiem ci:

— O!... — rzekł Fouquet — jakżebym pragnął uwierzyć.

— Nie wierzysz!... wszakże dziesięćkroć przeprowadziłem cię przez przepaść, o której myślałeś, że cię pochłonie: nie wierzysz!... ty, który z prokuratora zostałeś intendentem, z intendenta pierwszym ministrem, a z pierwszego ministra zostaniesz wszechwładnym w pałacu królewskim. Ale nie — rzekł z właściwym sobie uśmiechem — nie możesz widzieć, zatem i wierzyć jesteś niezdolny.

I Aramis powstał, aby się oddalić.

— Jeszcze jedno słowo — rzekł Fouquet — nigdy do mnie tak nie mówiłeś i nigdy nie okazałeś się tak pewnym siebie, albo raczej tak lekkomyślnym.

— Bo, żeby mówić głośno, potrzeba mieć głos wolny.

— Zatem go masz?

— Tak.

— Jakże to dawno?

— Od wczoraj.

— Panie d'Herblay, ostrożnie!... śmiałość posuwasz aż do zuchwalstwa.

— Mogę to czynić, bo jestem potężny.

— Ty, potężny?

— Ofiarowałem ci dziesięć miljonów i jeszcze ci je ofiaruję.

Fouquet zmieszany powstał.

— Zobaczymy, zobaczymy — rzekł — mówiłeś o strąceniu monarchów i zastąpieniu ich innymi. Boże mi przebacz, ale ja zwarjowałem, albo tyś rozum postradał.

— Ani jedno, ani drugie.

— Jakże więc możesz mówić?

— Ponieważ może mówić o strąceniu monarchów i wzniesieniu na ich miejsce innych ten, który stoi wyżej ponad królów i trony tego świata.

— Zatem jesteś wszechmocnym!... — zawołał Fouquet.

— Powiedziałem ci to i teraz powtarzam — odpowiedział Aramis z okiem błyszczącem i drżącemi ustami.

Fouquet rzucił się na krzesło i głowę skłonił na ręce.

Aramis popatrzał na niego chwilę, jakby był aniołem przeznaczeń wobec słabego śmiertelnika.

— Żegnam cię — rzekł — śpij spokojnie i posyłaj list do panny de la Valliere. Wszak jutro się zobaczymy?

— Tak, jutro — odpowiedział Fouquet, wstrząsając głowa jak człowiek, który przychodzi do siebie. — Ale gdzie się zobaczymy?..

— Na przechadzce królewskiej.

— Bardzo dobrze.

I rozłączyli się.

CXXXVIII

BURZA.

Nazajutrz dzień był posępny i pochmurny, że zaś wiedziano, iż w tym dniu przez króla była postanowiona przejażdżka, każdy, otwierając oczy, zwracał je ku obłokom.

Nad drzewami unosiła się gęsta i ciemna mgła, która zaledwie miała siłę wznieść się o trzydzieści stóp ponad ziemię, a słońca dojrzeć nie było można przez zasłonę ciężkiej i ciemnej chmury.

Ta posępność nieba zwróciła także uwagę króla, gdy stanął w oknie, powstawszy z łóżka.

Lecz ponieważ już wydano rozkazy dla przejażdżki i poczyniono wszystkie przygotowania i najważniejsza, ponieważ Ludwik liczył na ten spacer, iż odpowie on pod każdym względem potrzebie jego serca, przeto orzekł bez najmniejszego wahania, że stan nieba nie ma w sobie nic zatrważającego i że się przejażdżka odbędzie.

Ludwik wysłuchał mszy jak zwykle.

W czasie nabożeństwa jednakże obliczał minuty, następnie sekundy, oddzielające go od szczęśliwej chwili przejażdżki to jest od chwili, w której panny honorowe wraz z księżną udać się miały w drogę.

Dodać do tego należy, że nikt w zamku nie wiedział o wczorajszem widzeniu się króla z panną de la Valliere.

Montalais przez zwyczajną sobie gadatliwość zapewnieby wiadomość tę rozniosła; ale Montalais w tej okoliczności powstrzymana była przez Malicorna, który zamknął jej usta kłódką wspólnego interesu.

Co do Ludwika XIV-go, ten był tak szczęśliwy, że prawie zupełnie przebaczył księżnie wczorajszą jej złośliwość.

Bo też w istocie raczej wielbić ją, niż skarżyć się na nią miał prawo.

Gdyby nie ta złośliwość, nie odebrałby listu od panny de la Valliere; gdyby nie list, nie byłoby posłuchania, a gdyby nie posłuchanie, pozostałby był dotąd w niepewności.

Zanadto wpłynęło szczęście do jego serca, aby w niem choć najmniejszy gniew pozostał, przynajmniej w tej chwili.

Dlatego też postanowił nie marszczyć brwi przy spotkaniu się ze swoją bratową, lecz okazywać jej właśnie więcej przyjaźni i życzliwości, niż zwykle.

Było to jednak warunkowe, a na ten warunek, powinna była być wcześnie przygotowaną.

O tem właśnie Ludwik podczas mszy myślał.

Około godziny dziesiątej powrócił do zamku, a że przejażdka oznaczona była na dwunastę, przeto zaczął pilnie z Colbertem i Lyonnem pracować.

Przytem chodził Ludwik od stołu do okna, przez które ujrzał na dziedzińcu pana Fouquet, którego dworzanie, skutkiem względów wczoraj mu przez króla okazanych bardzo poważali a który ze swojej strony miną przystępną i swobodną ukłonił się królowi.

Widząc Fouqueta, zwrócił się król instynktownie ku Colbertowi.

Colbert uśmiechnął się i zdawał się być pełnym przychylności szczęścia.

W tej chwili wszedł jeden z jego sekretarzy i podał mu pugilares, który Colbert, nie otwierając schował do kieszeni.

Że zaś było coś złowróżbnego w owej radości Colberta, Ludwik z dwóch tych uśmiechów, wybrał uśmiech Fouqueta.

Dał znak nadintendentowi, aby wszedł, następnie, zwracając się ku Colbertowi i panu Lyonne, rozkazał:

— Ukończcie tę pracę i połóżcie papier na biurku, a ja przeczytam przy sposobności.

I wyszedł.

Na dany znak przez króla, Fouquet pośpieszył za nim.

Aramis, który towarzyszył nadintendentowi, wcisnął się tak zręcznie w tłum dworzan i znikł w nim, że król go nie dostrzegł.

Król i Fouquet spotkali się na schodach.

— Najjaśniejszy panie — rzekł Fouquet, widząc miłe przyjęcie, jakie mu Ludwik gotował — Najjaśniejszy panie, od kilku dni, Wasza królewska mość obsypuje mnie łaskami. To już nie młody król, ale młode bożyszcze rozkoszy, szczęścia i miłości.

Król zarumienił się; komplement zanadto był widoczny.

Król zaprowadził Fouqueta do małego salonu, który oddzielał gabinet od pracy od pokoju sypialnego.

— Czy wiesz, po co cię przywołałem?... — rzekł król, siadając na poręczy okna, tak, aby wszystko widzieć, co się dzieje na dziedzińcu, dokąd wychodziły okna pawilonu księżny.

— Nie wiem, Najjaśniejszy panie; ale przewiduję, że po coś szczęśliwego, o ile widzę to z miłego Waszej królewskiej mości uśmiechu.

— Uprzedzasz się.

— Bynajmniej, Najjaśniejszy panie, patrzę i widzę.

— Zatem się mylisz.

— Ja, Najjaśniejszy panie?

— Bo przywołuję cię, aby się z tobą wykłócić.

— Ze mną, Najjaśniejszy panie?

— Tak i to naprawdę.

— Wasza królewska mość zatrważa mnie, pomimo to czekam pełen zaufania w Jego dobroć i sprawiedliwość.

— Mówiono mi, panie Fouquet, że wielką uroczystość w Vaux przygotowujesz?

Fouquet uśmiechnął się, jak chory przy pierwszym dreszczu powracającej febry.

— I mnie nie zapraszasz?... — mówił król.

— Najjaśniejszy panie, — odpowiedział Fouquet, — wcale nie myślałem o uroczystości, aż oto wczoraj w wieczór jeden z moich przyjaciół — Fouquet z przyciskiem wymówił ten wyraz — dużo dał mi do myślenia w tym względzie.

— Ależ wczoraj wieczorem widziałem cię, panie Fouquet, i nic mi o tem nie mówiłeś.

— Najjaśniejszy panie, czyż mogłem sądzić, że Wasza królewska mość zstąpisz z wysokich sfer, w jakich żyjesz, aby uczcić mój skromny domek swoją królewską obecnością.

— Przebacz, panie Fouquet, ale nic nie mówiłeś o tej uroczystości.

— Nie nie mówiłem o niej królowi, najprzód bo nic w tym względzie nie było postanowione, następnie lękam się odmowy.

— I dlaczego lękałeś się odmowy, panie Fouquet?...

— Najjaśniejszy panie, wysoka chęć, aby moja prośba mile była przyjęta...

— Jak widzę, panie Fouquet, nic łatwiejszego, aby nam się porozumieć. Ty masz chęć zaproszenia mnie na uroczystość, ja pragnę być na niej; zaproś mnie zatem, a będę.

— Jakto?... Wasza królewska mość raczy przyjąć zaproszenie?... — rzekł nadintendent.

— Naprawdę — odpowiedział król z uśmiechem — a nawet więcej niż przyjmuję, bo sam się zapraszam.

— Wasza królewska mość obsypujesz mnie szczęściem i radością!... — zawołał Fouquet — lecz jestem zmuszony powtórzyć to, co pan de la Vieuville mówił do twojego dziada, Henryka IV.

Domine, non sum dignus. (Panie, nie jestem godzien).

— Ja na to odpowiadam, panie Fouquet, że, kiedy wyprawisz uroczystość, proszony, czy nie proszony, przybywam.

— Dzięki ci, dzięki, mój panie i królu!... — rzekł Fouquet, wznosząc głowę, pod ciężarem łaski, która była dla niego ruiną. — Lecz jakim sposobem Wasza królewska mość byłeś o tem uprzedzonym?

— Przez wieść powszechną, panie Fouquet, która opowiada cudowne rzeczy o tobie i o twoim domu. To czyni cię zapewne dumnym, panie Fouquet, że król ci zazdrości?

— To mnie czyni najszczęśliwszym z ludzi, Najjaśniejszy panie; albowiem kiedy Vauk podobać się będzie mojemu panu, znajdę przedmiot godny mu ofiarowania.

— A więc, panie Fouquet, przygotuj uroczystość i na rozcież odemknij drzwi twojego domu.

— O!... Najjaśniejszy panie, oznacz dzień — rzekł Fouquet.

— Od dziś dnia za miesiąc.

— Czy Najjaśniejszy panie, nic więcej nie masz do rozkazania?

— Nic, panie nadintendencie, chyba to tylko, abym cię miał jak można obok siebie najbliżej.

— Najjaśniejszy panie, będę miał szczęście uczestniczyć w przechadzce Waszej królewskiej mości.

— Bardzo dobrze; oto wychodzą już, a i damy udają się na umówione miejsce.

Wymawiając te wyrazy, król z całym zapałem nie tylko mężczyzny, ale mężczyzny zakochanego, oddalił się od okna, aby wziąć rękawiczki i laskę, które mu lokaj podawał.

Na dworze słychać było turkot powozów i tentent koni.

Król zeszedł na dół.

W chwili kiedy się ukazał na ganku, wszyscy się zatrzymali.

Król podszedł wprost do młodej królowej.

Co do królowej matki, coraz bardziej cierpiącej na chorobę, która ją nękała, ta pomimo oczekiwań nie chciała wyjść.

Marja Teresa wsiadła do karety z księżną i zapytała króla, w której stronie pragnie odbyć przechadzkę.

Król, ujrzawszy pannę de la Valliere bladą po wczorajszych wypadkach, jak wsiadła do powozu z trzema towarzyszkami, odpowiedział, że miejsce jest dlań rzeczą obojętną i że wszędzie będzie mu dobrze, dokąd się królowa uda.

Królowa wtedy poleciła stangretom, aby udali się ku Apremont.

Król wsiadł na konia i przez kilka minut jechał obok powozu królowej i księżny.

Niebo nieco wyjaśniło, jednak jakaś mglista zasłona, podobna do zabrudzonej gazy, rozciągała się po całej jego przestrzeni, a słońce odbijało swoje niepewne promienie w migających atomach.

Upał był nieznośny.

Ale ponieważ król nie zważał na stan nieba, nikt nie troszczył się o pogodę, i przejażdżka, według rozkazu, danego przez królowę, kierowała się ku Apremont.

Tłum dworzan był wesoły; uważać można było, że każdy chce zapomnieć, albo wywołać w innych zapomnienie wczorajszego zajścia.

Księżna nadewszystko była ujmującą.

Widziała króla przy drzwiczkach swojej karety, a sądząc, że nie dla królowej się trudzi, myślała, iż król znowu do niej powrócił

Ale po ujechaniu ćwierci mili, król mile się uśmiechnąwszy, ukłonił się i zwrócił konia, pozostawiając przed sobą karetę

królowej i powóz dam honorowych i inne, które, widząc, że przystanął, chciały się także zatrzymać.

Ale król dał znak ręką, aby jechano dalej.

Kiedy przejeżdżała kareta de la Valliere, król zbliżył się do niej.

Powitał damy i zamierzał jechać za powozem dam honorowych księżny, gdy oto nagle rzęd powozów zatrzymał się.

Zapewne księżna, niespokojna o oddalenie się króla, kazała konie wstrzymać.

Król kazał zapytać, dlaczego zatrzymano powozy.

— Pójdziemy pieszo — odpowiedziała księżna.

Sądziła ona zapewne, że król, jadący konno obok karety dam honorowych, nie pójdzie za niemi pieszo.

Orszak był w środku lasu.

Zdawało się, że przechadzka będzie przyjemną, osobliwie dla lubiących dumać, lub zakochanych.

Trzy piękne, długie i cieniste ulice wychodziły z placu, na którym się zatrzymano.

Te ulice, zielonym mchem pokryte, przybrane zielonemi liśćmi drzew, nad któremi świecił kawałek lazurowego obłoku, miły stanowiły widok.

Przez te ulice przebiegały z oznakami widocznego niepokoju spłoszone sarny, które, chwilę zatrzymawszy się na drodze i wzniósłszy głowę, biegły jak strzały, jednym skokiem wpadając w gęstwinę lasu, gdzie nikły; jednocześnie spostrzegać się dawał zając, siedzący na tylnych łapach, myjący pyszczek jedną z przednich łap i wietrzący, czy ludzie, którzy przyszli zakłócić mu spokojność, lub przerwać miłostki, nie mają z sobą psów, lub strzelb na ramieniu.

Całe towarzystwo, widząc, że królowa wysiadła, poszło za jej przykładem.

Marja Teresa wzięła za rękę jedną ze swoich dam honorowych i z ukosa spojrzawszy na króla, który zdawał się nie spostrzegać, że jest przedmiotem uwagi królowej, zagłębiła się w las pierwszą ścieżką, jaką znalazła przed sobą.

Dwóch dojeżdżaczów postępowało przed Jej królewską mością, odgarniając gałęzie, mogące tamować jej drogę.

Księżna, wysiadając z karety, znalazła przy swoim boku pana Guiche, który ukłoniwszy się, oddał się pod jej rozkazy.

Książę, uradowany wczorajszą kąpielą oświadczył, że woli rzekę niż las i, dając urlop hrabiemu de Guiche, pozostał w zamku z kawalerem Lotaryńskim i Manicampem.

Już najmniejszej nie doświadczał zazdrości.

Nadaremnie go zatem upatrywano w orszaku; ale, że książę był księciem bardzo kapryśnym, i rzadko przykładał się do ogólnej zabawy, nieobecność jego była raczej przedmiotem zadowolenia niż smutku.

Wszyscy poszli za przykładem, danym przez królowę i księżnę, obierając drogę według swojego upodobania, lub przypadku.

Król, jak powiedzieliśmy, pozostał przy pannie de la Valliere i zsiadając z konia w chwili, kiedy otwierano drzwiczki karety, podał jej rękę.

Natychmiast panny de Montalais i de Tonnay-Charente oddaliły się; pierwsza jako przewidującą, druga przez grzeczność.

W czasie ostatniej półgodziny, chmury, jakby parte przez wiatr, przewaliły się na zachód; następnie, odparte wiatrem przeciwnym, postępowały ciężko i powoli.

Przechadzano się zatem dalej; niektóre tylko niespokojne głowy wzniosły bojaźliwie do góry spojrzenia.

Inni, bojaźliwsi jeszcze, przechadzali się w bliskości powozów, w których przed burzą spodziewali, się znaleść schronienie.

Największa jednak część orszaku, widząc, jak król z panną de la Valliere śmiało wchodzi w głąb lasu, poszła za królem.

Co widząc, król wziął za rękę pannę de la Valliere i poprowadził ją w boczną stronę, dokąd tym razem nikt nie śmiał iść za nim.

CXXXIX

DESZCZ.

W tym samym czasie i w tym samym kierunku w jakim się udał król z panną de la Valliere lecz idąc środkiem lasu, zamiast drogą, postępowało dwóch mężczyzn, niespokojnych stanem pogody.

Mieli głowy pochylone, jak ludzie o ważnych myślących sprawach.

Nie widzieli ani hrabiego de Guiche, ani księżnej, ani króla, ani panny de la Valliere.

Nagle mignęło coś w powietrzu na kształt płomieni, a później rozległ się huk przeciągły i oddalony.

— O!... — rzekł z nich jeden, wznosząc głowę — burza!... powracajmy do naszych karet, panie d'Herblay.

Aramis wzniósł oczy w górę i badał powietrze.

— O!... — odpowiedział — jeszcze niema nic pilnego.

Następnie, rozpoczynając rozmowę, którą widać grzmot przerwał, rzekł:

— Zatem mówisz, że list, któryśmy wczoraj wieczorem napisali, powinien być o tej godzinie na miejscu swojego przeznaczenia?...

— I jest zapewne.

— Przez kogo doręczyć go kazałeś?...

— Przez mojego lokaja, jak ci to miałem honor powiedzieć.

— Czy przyniósł odpowiedź?...

— Nie widziałem go jeszcze; zapewne mała była na służbie u księżnej i dlatego czekał. Godzina oznaczona wyjazdu nadeszła i wyjechaliśmy. Nie wiem przeto, co się z listem stało.

— Czyś widział króla przed odjazdem?...

— Widziałem.

— Jak go znalazłeś?...

— Najlepszym, albo najgorszym, stosownie do tego, czy był szczery, czy obłudny.

— A uroczystość?...

— Odbędzie się za miesiąc.

— Czy nic nie wyleczyło cię ze złudzeń?...

— Nawet natrętnie, w czem poznałem rękę Colberta.

— To dobrze.

— Czy nic nie wyleczyła cię ze złudzeń?...

— Względem czego?...

— Względem pomocy, którąś mi przyrzekł w tej okoliczności.

— Bynajmniej, popędziłem noc na pisaniu listów i wydałem stosowne rozkazy.

— Uroczystość będzie kosztowała kilka miljonów, z tem się nie taję.

— Ja poniosę sześć. Ty ze swojej strony postaraj się o dwa, albo trzy na wszelki przypadek.

— Cudownym jesteś człowiekiem, panie d'Herblay.

Aramis uśmiechnął się.

— Ale — zapytał Fouquet, zachowując jeszcze resztę niespokojności — ponieważ rozporządzasz miljonami, dlaczego przed kilku dniami nie mogłeś zapłacić panu de Baisemeaux pięćdziesięciu tysięcy liwrów?...

— Bo przed kilku dniami byłem jak Hiob ubogi.

— A dzisiaj?...

— Dzisiaj jestem bogatszy od króla.

— Dobrze — rzekł Fouquet — znam się na ludziach. Wiem, że jesteś niezdolnym niedotrzymywać słowa i nie chcę wydzierać ci tajemnicy; nie mówmy, już o tem..

W tej chwili stłumiony huk dał się słyszeć, a następnie uderzenie piorunu.

— Aha!.. — rzekł Fouquet — czy nie mówiłem!...

— Kiedy tak, — odpowiedział Aramis — wracajmy do karet.

— Zapewne czasu tyle nie znajdziemy, bo oto deszcz.

W rzeczy samej, jakby się niebo otwarło; kroplisty deszcz ulewny zaszumiał po lesie.

— Będziemy mieli dosyć czasu, aby dostać się do powozów, zanim deszcz przemoczy liście drzew.

— A ja ci mówię — odrzekł Fouquet — lepiej schronić się do jakiej pieczary.

— Tak, dobrze; ale gdzie tu pieczara?... — zapytał Aramis.

— Ja — odparł Fouquet z uśmiechem — znam grotę o dziesięć stąd kroków.

Następnie, patrząc w około siebie, zawołał:

— Tak, to tutaj.

— Jakiś ty szczęśliwy, że masz tak dobrą pamięć — mówił Aramis, uśmiechając się z kolei; — ale czy się lękasz, żeby twój woźnica, nie widząc nas powracających, nie pojechał za innemi powozami dworskiemi?

— O!... — odrzekł Fouquet — niema w tym względzie niebezpieczeństwa; kiedy zostawiam mój powóz i woźnicę w jakiemkolwiek miejscu, chyba wyraźny rozkaz króla może go z miejsca poruszyć; zresztą, zdaje mi się, że nie my sami zapędziliśmy się tak daleko. Słyszę stąpanie i głosy.

Wymawiając te słowa, odwrócił się Fouquet i odgarnął laską gałęzie, tamujące mu drogę.

Spojrzenia Aramisa również jak jego pobiegło przez otwór.

— Kobieta!... — rzekł Aramis.

— Mężczyzna!... — dodał Fouquet.

— La Valliere!...

— Król!...

— Czy i król zna twoją jaskinię?... — zapytał Aramis — to mnie zresztą nie dziwi i jest dowodem dokładnej znajomości z nimfami Fontainebleau.

— Mniejsza o to — odpowiedział Fouquet — jeżeli król nie zna pieczary, zobaczymy, co się dalej z nim stanie; jeżeli zaś zna ją, niezawodnie się do niej schroni, lecz i my unikniemy deszczu, ponieważ grota ma dwa otwory.

— Czy daleko stąd do niej? — zapytał Aramis — bo deszcz dokucza.

— Już przy niej jesteśmy.

Fouquet odchylił kilka gałęzi i odsłonił wydrążenie w skale, której poraj i tarnie zupełnie zakrywały.

Fouquet wskazał drogę.

Aramis poszedł za nim.

W chwili wejścia do groty, Aramis odwrócił się.

— Ho! ho! — rzekł — wchodzą w gęstwinę i dążą tutaj.

— Zatem ustąpmy im miejsca, — rzekł Fouquet, uśmiechając się i pociągając Aramisa za płaszcz — nie sądzę jednak, aby król znał moję grotę.

— O, nie — rzekł Aramis — szukają schronienia pod drzewem.

Aramis nie mylił się; król patrzył w górę a nie wokoło siebie.

Trzymał rękę panny de la Valliere i prowadził ją za sobą.

La Valliere pośliznęła się na wilgotnej murawie.

Ludwik raz jeszcze uważnie spojrzał wokoło siebie i, spostrzegając dąb ogromny z gęstym liściem, pociągnął La Valliere pod wielkie jego konary.

Biedna dziewczyna patrzyła dokoła siebie; zdawała się lękać i pragnąć, aby kto był przy niej.

Król kazał jej zbliżyć się do pnia dębu, którego szeroki obwód, osłonięty gęstemi liśćmi, był tak suchy, jakby w tej chwili nie było deszczu.

Sam stanął przy niej z odkrytą głową.

Po niejakiej chwili kilka kropel, przeciskając się przez liście, padło na czoło króla, który nie zwrócił na to uwagi.

— A!... Najjaśniejszy panie, — zawołała tedy La Valliere, chcąc skłonić króla do włożenia kapelusza.

Król ukłonił się i nie chciał nakryć nim głowy.

— Teraz, albo, nigdy ofiarować im trzeba to miejsce — rzekł Fouquet do ucha Aramisowi.

— Teraz, albo nigdy słuchać i nie stracić jednego wyrazu z tego, co mówią — odpowiedział Aramis do ucha Fouquetowi.

Obydwa umilkli a głos króla dokładnie ich dochodził.

— A!... mój Boże!... — mówił król — widzę, albo raczej odgaduję niepokój pani, wierzaj mi mocno, iż szczerzę żałuję, żem cię odłączył od reszty towarzystwa i zaprowadził w miejsce, gdzie cierpisz od deszczu. Jużeś pani zmokła!. . a może ci zimno?

— Nie, Najjaśniejszy panie.

— Jednakże drżysz?

— Najjaśniejszy panie, to z obawy, aby na złe nie tłumaczono mojego oddalenia się w czasie, kiedy zapewne wszyscy są zebrani razem.

— Chętnie zgodziłbym się na to, aby wracać do powozów, ale sama patrzaj i słuchaj i powiedz, czy podobna iść teraz"

W rzeczy samej grzmot huknął i deszcz lał potokiem.

— Zresztą — mówił król dalej — niema złego tłumaczenia na twoję, pani, niekorzyść. Alboż nie jesteś z królem francuskim, to jest z pierwszym szlachcicem państwa?

— Zapewne, Najjaśniejszy panie — odpowiedziała La Valliere — jest to wielkie dla mnie szczęście; ale ja nie o siebie lękam się, tylko...

— O kogoż zatem?

— O ciebie, Najjaśniejszy panie.

— O mnie, pani?... — odpowiedział król z uśmiechem — nie rozumię cię.

— Czy wasza królewska mość zapomniałeś co się wczoraj wieczór działo u Jej wysokości księżny.

— Zapomnijmy o tem, proszę cię, albo raczej pozwól mi pamiętać, abym ci za twój list dziękował...

— Najjaśniejszy panie — rzekła La Valliere — deszcz pada, a Wasza królewska mość stoisz z odkrytą głową.

— Proszę cię, myśl tylko o sobie.

— O mnie!... — rzekła La Valliere, uśmiechając się — ja jestem wieśniaczką, przywykłą do biegania ponad Loarą i po

ogrodach Blois, jakąkolwiek pogoda. Co zaś do mojej odzieży — dodała patrząc na skromną muślinową suknię — Wasza królewska mość widzi, że niema czego żałować.

— W rzeczy samej — odpowiedział król — zauważyłem już nieraz, że wszystko winnaś sobie, a nie strojom, nie jesteś zalotną, a to dla mnie wielki przymiot.

— Najjaśniejszy panie, nie uważaj mnie za lepszą niż jestem, i powiedz raczej, że nie mogę być zalotną.

— A to dlaczego?

— Bo — odpowiedziała La Valliere — nie jestem bogatą.

— Zatem przyznajesz, że lubisz piękne rzeczy? — zapytał król z żywością.

— Najjaśniejszy panie, tylko dostępne dla mnie rzeczy, nazywam pięknemi. Wszystko, co dla mnie jest za wysoko...

— Jest ci obojętnem?

— Nie obojętnem, ale obcem, jako zakazane.

— A ja pani — rzekł król — widzę, że na moim dworze nie zajmujesz miejsca, jakie ci się należy. Zapewne niedostatecznie przedstawiono mi zasługi twojej rodziny. Los twojego domu; jak widzę, okropnie zaniedbany był przez mojego stryja.

— Bynajmniej Najjaśniejszy panie. Jego królewska wysokość książę Orleański, zawsze był najlepszym dla pana St. Remy, mojego ojczyma, ale małe były jego zasługi i stosownie do nich był wynagrodzony; nie każdy może znaleźć sposobność świetnego służenia swojemu monarsze; nie wątpię, że gdyby okoliczności były po temu, moja rodzina znalazłaby tak wielkie serce, jak chęci; ale nie mieliśmy tego szczęścia.

— A więc monarchowie takie trafy nagradzać powinni, i ja z przyjemnością biorę na siebie poprawić niełaskę fortuny.

— Nie, Najjaśniejszy panie — z żywością zawołała La Valliere — niech rzeczy zostaną w takim stanie, jak są.

— Jakto?... pani odrzucasz to, co powinienem i co chcę uczynić dla ciebie?...

— Już uczyniono dla mnie wszystko, Najjaśniejszy panie, skoro mam szczęście należeć do dworu księżny.

— Kiedy pani odmawiasz za siebie, nie odmawiaj jeszcze za swoich.

— Najjaśniejszy panie, twoje szlachetne zamiary olśniewają mnie i zatrważają zarazem, albowiem, czyniąc dla mej rodzi-

ny to, do czego twoja dobroć cię skłania, narobisz nam zawistnych i nieprzyjaciół; pozwól mi, Najjaśniejszy panie, zostać w mierności, zostaw moim uczuciom ich bezinteresowność.

— To cudowne uczucie — rzekł król.

— Prawda — szepnął Aramis do Fouqueta — i zapewne król do niego nieprzyzwyczajony.

— Ale jeżeli tak odpowie ona i na mój list?... — rzekł Fouquet.

— Zresztą, panie d'Herblay — dodał nadintendent, nie ze wszystkiem wierząc temu, co mówiła La Valliere — zręczna to często jest rachubą udawać bezinteresowność.

— Właśnie to samo dopiero co pomyślałem — odparł Aramis — Słuchajmy.

Król zbliżył się do panny de la Valliere, a że woda coraz mocniej przeciskała przez liście dębu, kapelusz trzymał nad jej głową.

Dziewica wzniosła piękne, błękitne oczy ku temu kapeluszowi, który ją osłaniał, skinęła głową i westchnęła.

— A!... mój Boże — rzekł król — jaka smutna myśl mogła dojść do serca pani, kiedy go mojem osłaniam?...

— Najjaśniejszy panie, wszystko ci powiem. Jużem dotknęła tej kwestji, drażliwej dla młodej panienki, lecz Wasza królewska mość nakazałeś mi milczenie. Najjaśniejszy panie, ty nie należysz do siebie. Wasza królewska mość jesteś żonaty. Każde uczucie, które oddala Waszą królewską mość od królowej, będzie dla niej powodem okropnego cierpienia.

Król chciał przerwać dziewicy ale mówiła ona dalej z błagającym wyrazem:

— Królowa czule kocha Waszą królewską mość, królowa z oczów Waszej królewskiej mości poznaje, ilekroć się od niej oddalasz. Będąc szczęśliwą ze znalezienia takiego małżonka, błaga nieba, aby go jej posiadanie zapewnił i zazdrości najmniejszemu wzruszeniu twojego serca.

Król chciał przemówić, ale jeszcze La Valliere zdołała mówić dalej:

— Czyżby to nie było występnem, aby, widząc tyle czułości szlachetnej i żywej, Wasza królewska mość miał dać powód do zazdrości?... O!.. przebacz mi, Najjaśniejszy panie. O!... mój Boże, wiem o tem dobrze, że niepodobna, aby wielka mo-

narchini zazdrościła biednej, jak ja, dziewczynie. Ale królowa jest także kobietą i jej serce, równie jak każdej innej, złośliwi mogą zatruć. W imię nieba, Najjaśniejszy panie, nie zajmuj się mną, jam tego niegodna.

— O!... pani... — zawołał król — nie wiesz o tem, że, mówiąc, jak się teraz odzywasz, zmieniasz mój szacunek w uwielbienie.

— Najjaśniejszy panie, bierzesz moje wyrazy za to, czem nie są; uważasz mnie za lepszą, niż jestem i czynisz wyższą, niż mnie Bóg stworzył. Dzięki ci, Najjaśniejszy panie, bo, gdybym nie znała cię jako najszlachetniejszego mężczyzny w państwie, sądziłabym, że ze mnie żartujesz.

— O!... nie lękaj się niczego podobnego!..

— Najjaśniejszy panie, zmuszoną będę tak sądzić, jeżeli dalej tym językiem będziesz do mnie przemawiał.

— Jestem nieszczęśliwym monarchą — rzekł król ze smutkiem, który w sobie nie miał nic udanego — jestem najnieszczęśliwszym monarchą z całego chrześcijaństwa, ponieważ nie mogę czynem stwierdzić moich wyrazów względem osoby, którą najbardziej kocham na świecie i która rozdziera mi serce, nie wierząc mojej miłości.

— Najjaśniejszy panie — odrzekł La Valliere, zlekka oddalając króla, który się do niej coraz bardziej zbliżał — sądzę, że burza uspakaja się i deszcz ustaje.

Ale w tej samej chwili, kiedy biedne dziecię, zadając przymus swojemu sercu, zgodnemu zapewne z królewskiem, wymawiało te wyrazy, burza kłamstwo im zadała; błyskawica oświeciła las fantastycznem odbiciem i grzmot, podobny do huku dział, zagrzmiał nad głowami kochanków, jakby go wywołał dąb pod którym stali.

Dziewica nie mogła się wstrzymać od krzyknięcia z przestrachu.

Król jedną ręką zbliżył ją do swojego serca, drugą zaś wyciągnął nad jej głową, jakby ją chciał od piorunu osłonić.

Nastąpiła chwila milczenia, w której ta śliczna grupa, jak wszystko, co młode, pozostała nieruchomą; tymczasem Fouquet i Aramis przypatrywali się jej równie nieporuszeni.

— Najjaśniejszy panie, czy słyszysz?... — rzekła La Valliere.

I zwiesiła głowę na jego ramię.

— Tak — odrzekł król — widzisz, że burza nie przemija.

— Najjaśniejszy panie, to jest przestrogą.

Król uśmiechnął się.

— Najjaśniejszy panie, to głos Boga grozi.

— Dobrze, — rzekł król — przyjmuję ten huk za ostrzeżenie a nawet za groźbę, jeżeli jednak za pięć minut ponowi się z równą siłą i gwałtownością; ale jeżeli nie, przebacz, będę uważał burzę, tylko za burzę.

Jednocześnie król wzniósł głowę, jakby badał niebo.

I niebo jakby było w zmowie z Ludwikiem, bo przez pięć minut milczenia, które nastąpiło po huku, jaki przeraził dwoje kochanków, w najzupełniejszej pozostawało ciszy i żaden grzmot słyszeć się nie dał; kiedy zaś znowu się odezwał, odległy był i stłumiony, jakby w ciągu pięciu minut burza, pędzona wiatrem, o kilka mil uciekła.

— A co, Ludwiko — odrzekł król cicho — czy jeszcze będziesz mi gniewem bożym groziła? a skoro chcesz z piorunem czynić przepowiednie, czy nie przyznasz, że nie wróży mi on nieszczęścia?...

Dziewica wzniosła głowę; tymczasem deszcz przeciekał przez liście dębu i oblewał potokiem twarz króla.

— A!... Najjaśniejszy panie — rzekła z wyrazem obawy, który króla wzruszył do najwyższego stopnia.

— Czy to dla mnie — mówiła dalej — król stoi z odkrytą głową i na deszcz się naraża?... Kimże ja jestem?...

— Ty jesteś, jak widzisz — odpowiedział król — bóstwem, przed którem burza cichnie i które pogodę sprowadza.

W rzeczy samej promień słoneczny, przebijając gęstwinę drzew w miljonowych odbiciach, oświetlił jasne krople deszczowe, na liściach wiszące.

— Najjaśniejszy panie — odpowiedziała La Valliere, prawie przekonana, czyniąc najwyższy nad sobą wysiłek — pomyśl, na jaką przykrość dla mnie się narażasz. W tej chwili zapewne szukają cię i wzywają. Królowa musi być niespokojna i księżna o!... księżna!... — zawołała dziewica z uczuciem, bardzo do strachu podobnem.

Imię to pewne na królu sprawiło wrażenie; zadrżał i puścił La Valliere, którą dotychczas trzymał w objęciach.

Następnie wychylił się, aby spojrzeć na drogę, i powrócił do La Valliere, prawie smutny.

— Księżna ... mówiłaś?

— Tak, księżna, która jest także zazdrosną — odpowiedziała La Valliere z głębokiem westchnieniem.

I oczy jej bojaźliwe poważyły się czytać w oczach królewskich.

— Ale — odparł Ludwik, walcząc sam z sobą — księżna, jak sądzę, żadnego nie ma powodu być o mnie zazdrosną, a tem bardziej żadnego do mnie nie ma prawa.

— A jednak.... — rzekła La Valliere.

— O.... pani, — wymówił król z wyrazem wyrzutu — czy należysz do rzędu tych, co myślą, że siostra ma prawo być zazdrosną o brata?

— Najjaśniejszy panie, do mnie nie należy badać tajemnic Waszej królewskiej mości.

— O!... ty tak myślisz, jak inni — zawołał król.

— Ja tylko myślę, że księżna jest zazdrosną, Najjaśniejszy panie.

— Mój Boże!... — rzekł król niespokojnie — spostrzegasz to zapewne z jej postępowania z tobą?... Czy księżna uczyniła ci cokolwiek, cobyś mogła przypisać zazdrości?...

— Bynajmniej, Najjaśniejszy panie; ja bardzo mało wiem.

— O!... gdyby tak było... — zawołał Ludwik z nadzwyczajną mocą.

— Najjaśniejszy panie — przerwała dziewica — już deszcz nie pada; zdaje mi się, że ktoś nadchodzi.

I, zapominając o etykiecie, pochwyciła rękę królewską.

— Dobrze, niech przychodzą — odrzekł król — któż może poczytać mi za złe, że towarzyszyłem pannie de la Valliere?...

— Przez litość, Najjaśniejszy panie; o!... dziwnem się to im wyda, że zastaną przemokłym Waszą królewską mość, a przemokłym dla mnie.

— Spełniłem powinność szlachcica — odpowiedział Ludwik — biada temu, kto zapomni o swojej, obmawiając postępowanie króla.

W tej chwili ukazało się na drodze kika głów ciekawych, które zdawały się czuwać i śledzić a które, spostrzegłszy króla i pannę de la Valliere zdawały się znaleźć to, czego szukały.

Byli to posłańcy królowej i księżny, którzy zdjeli z głów kapelusze na znak, że ujrzeli Jego królewską mość.

Lecz pomimo pomieszania panny de la Valliere, Ludwik nie zmienił swojej pełnej uszanowania i godności postawy.

Następnie, kiedy wszyscy dworzanie zebrali się na drodze, kiedy wszyscy mogli widzieć względy, jakie, stojąc z odkrytą głową podczas burzy, okazywał młodej dziewicy, podał jej rękę i poprowadził ku gromadce, która go oczekiwała, a odpowiadając skinieniem głowy, na wszystkie pojedyncze ukłony i, trzymając kapelusz w ręce, pomógł pannie de la Valliere wsiąść do karety.

Że zaś deszcz padał jeszcze, musiały inne damy, którym uszanowanie nie pozwalało wsiadać do powozów wprzód niż król, znosić bez płaszczów deszcz, od którego Ludwik najskromniejszą z nich swoim kapeluszem osłaniał.

Królowa i księżna musiały, jak inne, patrzeć na zbytnią grzeczność króla; księżna nie mogła nawet wytrzymać, aby królowej nie trącić ręką, mówiąc:

— Patrzaj, patrzaj, Najjaśniejsza pani!..

Królowa zmrużyła oczy, jakby doznała zawrotu głowy; ręką twarz zasłoniła i wsiadła do karety.

Księżna wsiadła po niej.

Król wskoczył na konia i, żadnemu nie towarzysząc powozowi, puścił rumakowi cugle, i zamyślony i zatopiony sam w sobie, powrócił do Fontainebleau.

Kiedy tłum się oddalił, kiedy turkot powozów i tentent koni ucichł, kiedy nakoniec byli pewni, że nikt ich nie widzi, Aramis i Fouquet wyszli z groty.

Następnie w milczeniu obydwa podążyli ścieżką.

Aramis zanurzył wzrok nietylko w całą przestrzeń, jaka się przed nim i za nim rozwijała, ale w cały gąszcz lasu.

— Panie Fouquet — rzekł — kiedy był pewny, że wszędzie jest pusto — cokolwiek ma to kosztować, trzeba twój list, adresowany do La Valliere, odebrać.

— To rzecz najłatwiejsza, jeżeli go posłaniec nie oddał.

— Trzeba koniecznie, rozumiesz?...

— Wszak król ją kocha?...

— Bardzo, a to jeszcze gorsze, że ona kocha króla namiętnie.

— Więc zmieniamy taktykę, nieprawdaż?...

— Tak jest; niema co czasu tracić, trzeba jak najprędzej widzieć się z La Valliere i nie myśląc o tem, aby zostać jej kochankiem, co jest niepodobieństwem, trzeba oświadczyć się z przyjaźnią i najpokorniejszemi usługami.

— Uczynię to, a nawet chętnie — odparł Fouquet — ta dziewczyna wydaje mi się pełną serca.

— Albo zręczności — dodał Aramis — a w takim razie trzeba tem śpieszniej i tem zręczniej postępować.

I dodał po chwili milczenia:

— Albo się mylę, albo ta dziewczyna wielką namiętność w królu obudzi.

— Wsiadajmy do powozu i co konie wyskoczą do zamku.

CXL

TOBJASZ.

We dwie godziny potem, gdy powóz nadintendenta ruszył na rozkaz Aramisa, unosząc ich obydwóch do Fontainebleau pędem chmur, uchodzących przed ostatniem tchnieniem burzy, La Valliere siedziała w swoim pokoju, ubrana w skromny szlafroczek i kończyła kolację na małym marmurowym stoliku.

Nagle drzwi się otworzyły i lokaj uprzedził ją, że pan Fouquet żąda złożyć jej swoje uszanowanie.

Kazała to sobie dwa razy powtórzyć; biedna dziewczyna znała pana Fouqueta z nazwiska tylko i nie mogła odgadnąć, co mogła mieć wspólnego z ministrem skarbu.

Jednak gdy pomyślała, że może od króla jest przysłany, a po rozmowie, którąśmy przytoczyli, było to prawdopodobne, rzuciła okiem w zwierciadło, przygładziła włosy i dała rozkaz aby pana Fouquet proszono.

La Valliere jednak nie mogła się wstrzymać od pewnego pomieszania.

Odwiedziny nadintendenta niezwyczajną były rzeczą w życiu kobiety dworskiej.

Fouquet, sławny ze swojej wspaniałomyślności, grzeczności i delikatności dla kobiet, sam więcej odbierał zaprosin, niż ich żądał.

W wielu domach bytność nadintendenta zapowiadała majątek. W wielu sercach zwiastowała miłość.

Fouquet wszedł z uszanowaniem do La Valliere, przedstawiając się z owym wdziękiem, który był właściwym mężczyznom owego wieku, a którego dziś nie pojmują nawet.

La Valliere odpowiedziała na ceremonjalny ukłon Fouqueta ukłonem panienki, świeżo wyszłej z pensji, i wskazała mu miejsce.

Ale Fouquet, kłaniając się, rzekł:

— Nie wprzódy usiądę, pani, aż mi przebaczysz.

— Ja?... — zapytała La Valliere.

— Tak, pani.

— Ja mam przebaczać?

Fouquet przenikliwe spojrzenie wlepił w młodą dziewicę, a na jej twarzy, zdawało mu się, że widzi zdumienie.

— Widzę pani, że zarówno wiele masz wspaniałomyślności, jak rozumu, i czytam przebaczenie w twoich oczach, o które przyszedłem prosić. Ale uprzedzam cię, że niedosyć mi ustnego przebaczenia i że proszę o przebaczenie z serca.

— Słowo daję panu — mówiła La Valliere — wcale cię nie rozumiem.

— Jest to delikatność ze strony pani — odpowiedział Fouquet — nie chcesz, ażebym się przed tobą rumienił.

— Rumienił!... przedemną rumienił! ale powiedz pan, czego masz się rumienić?

— Miałżebym się mylić — rzekł Fouquet — i czyżby moje względem pani postępowanie nie obraziło cię?

La Valliere wzruszyła ramionami.

— Pan mówisz zagadkowo — odparła a ja jestem za mało domyślną, abym cię mogła zrozumieć.

— Niech i tak będzie — odrzekł Fouquet — nie będę nalegał więcej. Tylko zapewnij mnie pani, błagam cię że mogę liczyć na zupełne twoje przebaczenie.

— Panie — odpowiedziała de la Valliere z pewnym rodzajem niecierpliwości — jedną tylko mogę ci dać odpowiedź i ta zapewne zadowoli cię. Gdybym wiedziała, że mi w czem uchybiłeś, przebaczyłabym ci. Tembardziej, pojmujesz, że, nie wiedząc...

Fouquet przygryzł usta w ten sam sposób jak to czynić zwykł Aramis.

— Skoro tak — rzekł — mogę się spodziewać, że pomimo tego, co się przytrafiło, pozostaniemy w zgodzie, i pani raczy wierzyć mojej pełnej uszanowania przyjaźni.

La Valliere sądziła, że zaczyna pojmować.

— O!... — rzekła sama do siebie — nie myślałam, że pan Fouquet szuka podpory w tak świeżej łasce.

I dodała głośno:

— Pańska przyjaźń, którą mi ofiarujesz jest dla mnie zaszczytem.

— Wiem pani, że przyjaźń pani jest milszą i pożądańszą niż przyjaźń sługi, ale mogę cię upewnić, że ostatnia będzie pełną poświęcenia, wierną i bezinteresowną.

La Valliere ukłoniła się; w rzeczy samej, wiele było szczerości w głosie nadintendenta.

Dlatego, podając mu rękę, dodała:

— Wierzę panu.

Fouquet pochwycił rękę, którą mu podała młoda dziewica.

— Zatem żadnej nie znajdziesz pani trudności, aby mi powrócić ten list nieszczęsny?

— Jaki list?... — zapytała La Valliere.

Fouquet wlepił w nią badawcze spojrzenie.

Badał nawet prostotę i łagodność jej twarzy.

— Przyznam się pani — rzekł nakoniec — że twoje postępowanie jest jak można najdelikatniejsze, i chyba sam byłbym nieuczciwym człowiekiem, gdybym się lękał tak wspaniałomyślnej kobiety.

— Prawdę mówiąc, panie Fouquet, bardzo mi przykro, że jestem zmuszona powtórzyć ci, iż wcale twoich wyrazów nie rozumiem.

— Ależ na honor, czyś pani odemnie nie odebrała listu?

— Na honor, żadnego — odpowiedziała La Valliere stanowczo.

— Dobrze, to dosyć; pozwól pani powtórzyć ci zapewnienie mojego uszanowania.

I, ukłoniwszy się, wyszedł, aby odszukać Aramisa, który w mieszkaniu czekał na niego.

La Valliere, zostawszy samą, obawiała się, czy nadintendent nie zwarjował.

— A co?... — zapytał Aramis, który niecierpliwie czekał na Fouqueta — czy zadowolony z niej jesteś?

— Oczarowany — odpowiedział Fouquet — to kobieta pełna dowcipu i serca.

— Czy się nie gniewała?

— Bynajmniej, udała, że nic nie rozumie.

— Nie rozumie?

— Nie rozumie, że do niej pisałem.

— Jednak powinna cię była zrozumieć, aby list oddać, bo myślę, że ci go zwróciła.

— Nie.

— Przynajmniej musisz być pewnym, że go spaliła.

— Mój kochany panie d'Herblay, już od godziny gram w ślepą babkę i chociaż to zabawne, dosyć mi tego. Zechciej mię z tem zrozumieć: panna de la Valliere udawała, że nie rozumie, co mówiłem; zaprzeczyła, że żadnego nie odebrała listu; zaprzeczywszy zatem stanowczo, nie mogła mi go oddać, ani spalić.

— Co mówisz?... — zapytał Aramis niespokojnie.

— Mówię, że upewniła mnie, iż żadnego listu nie odebrała.

— O! tego już za wiele, czy nie nalegałeś?

— Przeciwnie, nawet do niegrzeczności.

— I zaprzeczała?

— Ciągle.

— I nie zmieszała się?

— Ani na chwilę.

— Zatem, mój drogi, list nasz w obcych zostawiłeś rękach.

— Niestety! tak być musiało.

— Ale to wielki błąd.

— Ciekawym, cobyś na mojem miejscu uczynił?

— Zapewne, trudno ją było zmusić; ale to jest niepokojące, aby nie wiedzieć, co się z listem stało.

— O! to szlachetna dziewica.

— Gdyby odebrała list, byłaby ci go zwróciła.

— Powtarzam ci, że to szlachetna dziewica, patrzałem jej w oczy, a ja znam się na tem.

— I sądzisz, że jest szczerą?

— Zupełnie.

— A ja myślę, że jesteśmy w błędzie.

— Jakto?

— Ja myślę, że ona w istocie nie odebrała listu.

— Nie odebrała?

— Nie.

— Myślisz zatem...

— Ja myślę, że z przyczyn nam nieznanych twój posłaniec nie oddał listu.

Fouquet zadzwonił.

Lokaj wszedł.

— Zawołać Tobjasza — rzekł.

Po chwili, ukazał się człowiek z niespokojnemi oczyma, ściśniętemi ustami, garbaty i krótkie mający ręce.

Aramis przenikliwe wlepił w niego spojrzenie.

— Czy pozwolisz, że go wybadam?... — zapytał.

— Dobrze — odpowiedział Fouquet.

Aramis chciał przemówić do lokaja, ale wstrzymał się.

— Nie — rzekł — sądziłby, że zbyt wielką wagę przywiązujemy do odpowiedzi; badaj go sam, ja udam, że piszę.

I Aramis usiadł przy stole, tyłem odwrócił się do posłańca, na którego rysy twarzy i poruszenia patrzał w przeciwległem zwierciadle.

— Pójdź tu, Tobjasz — rzekł Fouquet.

Lokaj zbliżył się krokiem pewnym.

— Jak dopełniłeś mojego zlecenia?

— Ja zwykle, Jaśnie panie — odpowiedział posłaniec.

— Ale jak, powiedz.

— Udałem się do mieszkania panny de la Valliere, kiedy była na mszy, i list położyłem na toalecie. Czy nie tak pan mi kazał?

— Prawda, a dalej?

— Nic dalej, Jaśnie panie.

— Czy tam nie było kogo?

— Nikogo.

— I ukryłeś się, jak ci mówiłem?

— Ukryłem.

— A Panna La Valliere kiedy powróciła?

— W dziesięć minut.

— Zatem nikt listu wziąć nie mógł?

— Nikt, bo nikt nie wchodził.

— Z zewnątrz, ale z wewnątrz?

— Z miejsca, w którem byłem ukryty, mogłem widzieć, co się dzieje w pokoju.

— Słuchaj — rzekł Fouquet, patrząc pilnie w oczy lokajowi — jeżeli list nie doszedł swojego przeznaczenia, przyznaj się; bo jeżeli popełniona została omyłka, głową to twoją przypłacisz.

Tobjasz zadrżał, ale zaraz odzyskał przytomność.

— Jaśnie panie, położyłem list tam, gdzie mi kazałeś, daj mi pół godziny czasu, a przyniosę ci dowód, że list jest w rękach panny de la Valliere, albo sam list odniosę.

Aramis ciekawie obserwował lokaja.

Fouquet łatwo ufał, a ten człowiek dwadzieścia lat wiernie mu służył.

— Idź — rzekł — i przynieś dowód, o którym mówisz.

Lokaj wyszedł.

— Cóż ty na to, panie d'Herblay?

— Myślę, że potrzeba jakimbądź sposobem o prawdzie się przekonać; myślę nad tem, czy list doszedł, czy nie doszedł rąk panny de la Valliere. W pierwszym wypadku potrzeba, aby go La Valliere wzróciła, jeśli nie przekona nasz, że spalony; w drugim wypadku trzeba postarać się o odzyskanie listu, chociażby to miljon miało kosztować. A co, czy nie jesteś tego zdania?

— Zapewne; ale zdaje mi się, mój biskupie, że przesadzasz niebezpieczeństwo.

— A! zaślepiony człowieku!... — mruknął Aramis.

— La Valliere, którą uważamy za dźwignię polityczna jest sobie po prostu zalotnicą, która spodziewa się, że będę za nią szalał i za pomocą listu trzyma mnie na wodzy. To rzecz bardzo prosta.

Aramis potrząsł głową.

— Czy nie podzielasz tego przekonania?... — zapytał Fouquet.

— Ona nie jest zalotną — odpowiedział stanowczo Aramis.

— Pozwól mi sobie powiedzieć...

— O! ja znam się na kobietach — zapewnił Aramis.

— Mój przyjacielu! mój przyjacielu!

— Zapewne chcesz powiedzieć, że dawno odbywałem studja; ale pamiętaj, że kobiety zawsze jednakowe.

— Tak, ale mężczyźni się zmieniają, i ty dziś więcej jesteś podejrzliwym, niż dawniej.

I, śmiejąc się, dodał:

— Zobaczymy, jeżeli La Valliere zechce mnie kochać w trzeciej części a króla w dwóch trzecich, czy na to można przystać?

Aramis powstał z niecierpliwością.

— La Valliere — odrzekł — nie kocha nikogo, prócz króla i tylko samego króla będzie kochała.

— Cóż więc myślisz uczynić?

— Raczej zapytaj mnie, co byłbym uczynił?

— Najprzód nie byłbym pozwolił wyjść temu człowiekowi.

— Tobjaszowi?

— Tak, Tobjaszowi; to zdrajca!

— O!

— Jestem tego pewny!... Trzeba było nie wypuszczać go, aż wyzna prawdę.

— Jeszcze czas.

— Jakto?

— Przywołajmy go i badajmy.

— Dobrze.

— Ale sądzę, że to rzecz zbyteczna. Od dwudziestu lat służy mi, a nigdy nie zawiódł... jednakże..., dodał Fouquet — uśmiechają się, rzecz to bardzo łatwa.

— Przywołaj go. Dziś zrana zdaje mi się, że tą twarz widziałem rozmawiającą z ludźmi Colberta.

— Gdzie?

— Wprost stajen.

— Ba! moi ludzie zawsze się mają z nimi na baczności.

— Powiadam ci, widziałem go i jego postać, której dawniej nie znałem, skoro tylko wszedł, nieprzyjemne na mnie sprawił wrażenie.

— Dlaczego nic nie mówiłeś, kiedy tu był?

— Ponieważ dopiero od minuty jasno rozglądam się w moich wspomnieniach.

— O! o! przestraszasz mnie — rzekł Fouquet.

I zadzwonił.

— Byle nie było za późno.

Fouquet potwórnie zadzwonił.

Lokaj wszedł.

— Tobjasza!... — rozkazał Fouquet — przywołać Tobjasza!

Lokaj drzwi zamknął za sobą.

— Zostawiasz mi zupełną wolność działania, wszak prawda?

— Zupełną.

— Mogę użyć wszelkich środków, aby dojść prawdy.

— Jak ci się podoba.

— Mogę nawet użyć postrachu.

— Mianuję cię w moje miejsce generalnym prokuratorem.

Czekano dziesięć minut, ale napróżno.

Fouquet zniecierpliwiony znowu zadzwonił.

— Tobjasz!... — zawołał.

— Szukają go, Jaśnie panie — odpowiedział lokaj.

— Nie może być daleko, nigdzie go nie posłałem

— Przekonam się, Jaśnie panie.

I znowu lokaj zamknął drzwi za sobą.

Aramis tymczasem przechadzał sie niecierpliwie i w milczeniu po gabinecie.

Jeszcze dziesięć minut czekano.

Fouquet znowu zadzwonił, aż w uszach zahuczało.

Lokaj wszedł drżący, tak, że z jego twarzy można było złą wieść wyczytać.

— Jaśnie pan myli się; Jaśnie pan musiał dać jakie zlecenie Tobjaszowi, bo wziął on ze stajni najlepszego konia, którego sam osiodłał.

— Cóż dalej?

— Pojechał.

— Pojechał?... — wykrzyknął Fouquet. — Gonić go... pochwycić!...

— Hola!... — rzekł Aramis, biorąc go za rękę — uspokójmy się; złe się stało.

— Stało się.

— Zapewne, nie myliłem się w tym względzie. Teraz nie rozgłaszajmy go przedwcześnie, obliczmy następstwa i osłońmy się, jak można.

— Pomimo to — rzekł Fouquet — złe nie jest tak wielkiem.

— Czy tak sądzisz?...

— Nie inaczej. Wszakże mężczyźnie wolno pisywać do kobiety listy miłosne.

— Tak, mężczyźnie, ale nie poddanemu, osobliwie do kobiety, którą król kocha.

— Mój przyjacielu, król przed tygodniem nie kochał panny de la Valliere, nawet wczoraj o tem nie myślał, a list jest wczorajszy. Nie mogłem przewidzieć miłości królewskiej, skoro jej jeszcze nie było.

— Dobrze — odparł Aramis — ale list na nieszczęście nie ma daty. To mnie najbardziej udręcza. O!... gdyby on miał wczorajszą datę, byłbym zupełnie o ciebie spokojny.

Fouquet wzruszył ramionami.

— Czyż jestem pod opieką?... — rzekł — i czy król jest panem mojej duszy i mojej głowy?

— Masz słuszność — zauważył Aramis — nie nadawajmy rzeczom większej wagi, niż należy; zresztą... jeżeli jesteśmy zagrożeni, mamy środki obrony.

— Zagrożeni!... — powtórzył Fouquet — nie uważaj ukąszenia mrówki za groźbę, któraby mogła zachwiać majątek mój i życie.

— Ale ukąszenie mrówki może zabić olbrzyma, jeżeli mrówka jest zjadliwą.

— A wszechwładność twoja, o której mówiłeś, czy przeminęła.

— Mogę być wszechwładnym, ale nie jestem nieśmiertelnym.

— Zdaje mi się, że wyszukanie Tobjasza jest najważniejsze. Czy tak?...

— Zdaje mi się, że go nie znajdziesz; jeżeli go zaś bardzo żałujesz, możesz przywdziać po nim żałobę.

— Przecież musi być gdzieś na świecie — rzekł Fouquet.

— Zapewne, ale pozostaw mnie dalsze działanie — odpowiedział Aramis.

CXLI

KSIĘŻNA MA CZTERY NADZIEJE WYGRANIA LOSU.

Królowa-matka Anna kazała prosić młodą królowę, aby ją odwiedziła.

Od niejakiego czasu cierpiąca i spadająca ze szczytu wdzięków z pośpiechem, jaki oznacza upadek kobiet, które wiele walczyły, przekonała się Anna Austrjacka, że do wzmagającej się choroby fizycznej przybywa bolesne przeświadczenie, iż obecnie jest tylko żyjącem wspomnieniem wśród nowych piękności nowych rozumów i nowych gwiazd na dworze.

Opinja lekarza i opinja zwierciadła mniej ją udręczały, niż owe nielitościwe ostrzeżenia dworaków, którzy, podobni do szczurów okrętowych, opuszczają pokład, zagrożony zalaniem wody.

Anna Austrjacka nie była zadowolona z krótkich chwil, jakie jej starszy syn poświęcał.

Król, dobry syn, najprzód godzinę rano i godzinę w wieczór przepędzał u matki; ale od chwili, gdy zajął się interesami państwa, odwiedziny poranne i wieczorne ograniczyły się do pół godziny, następnie, powoli, odwiedzin rannych zaniedbano.

Widywano się na mszy; nawet odwiedziny wieczorne zastąpiono widzeniem się na zebraniu u króla, albo u księżny, gdzie królowa bywała przez grzeczność dla synów.

Stąd wyniknął ów wielki wpływ, który księżna na dwór wywierała, zrobiwszy ze swojego domu prawdziwe królewskie zebranie.

Anna Austrjacka czuła to.

Widząc się cierpiącą i przez cierpienie skazaną na samotność z boleścią przewidywała, że większa część jej dni i wieczorów upłynie w samotności, nudach i bezczynności.

Przypominała sobie z trwogą odosobnienie, w jakiem ją niegdyś pozostawiał kardynał Richelieu, smutne i nieznośne wieczory, w czasie których mogła przynajmniej pocieszać się młodością i wdziękami, którym zawsze towarzyszy nadzieja lepszej przyszłości.

Postanowiła przeto przenieść dwór do siebie i ściągnąć księżnę z jej świetnym orszakiem do mieszkania posępnego i smutnego, gdzie wdowa po królu francuskim, matka króla francuskiego, przymuszona była pocieszyć zawsze trwożliwą i niespokojną małżonkę króla.

Anna namyślała się.

Dosyć naintrygowała się w życiu swojem.

W pięknej owej epoce, kiedy jej głowa rodziła szczęśliwe projekty, miała przy sobie dla podniecania dumy i miłości przyjaciółkę, życzliwą, dumniejszą od niej samej, przyjaciółkę która ją kochała, rzecz rzadka na dworze, a którą mało znaczące względy od niej oddaliły.

Ale od tylu lat, prócz pani de Motteville, prócz Moleny, owej mamki Hiszpanki, powiernicy, jako rodaczki, któż mógł powiedzieć, że dał dobrą radę królowej?

Któż także pomiędzy tylu młodemi głowami, mógł przypomnieć jej przeszłość, którą przeżyła?...

Anna Austrjacka przypominała sobie panią de Chevreuse, która więcej z własnej woli niż z królewskiego rozkazu wyjechała na wygnanie, gdzie wkrótce potem umarła pono, jako żona nieznanego szlachcica.

Zadała sobie pytanie, coby pani de Chevreuse w podobnem zdarzeniu przy wspólnych intrygach radziła przedsięwziąć i, po dojrzałej rozwadze, zdawało jej się, że ta zręczna kobieta, pełna doświadczenia i przebiegłości odpowiada jej głosem szyderczym:

— Wszyscy ci drobni młodzi ludzie są biedni i chciwi, potrzebują złota i dochodów, aby przez nie zaspakajać przyjemności życia, zainteresuj ich zatem materjalnemi korzyściami.

Anna Austrjacka plan ten powzięła.

Kieszeń jej dobrze była napełniona; mogła rozporządzać znaczną sumą, uzbieraną dla niej przez kardynała Mazariniego i w pewnem ubezpieczoną miejscu.

Miała najpiękniejsze klejnoty w całej Francji, nadewszystko tak wielkie perły, że król sam wzdychał, ilekroć je widział, albowiem przy nich perły w koronie wyglądały jak ziarnka prosa.

Anna Austrjacka pięknością i wdziękami już rozporządzać nie mogła.

Była bogatą, postanowiła więc na przynętę dla tych, którzy ją mieli odwiedzać, przeznaczyć albo piękne złote talary do wygrania, albo korzystne dotacje, które w dobrym humorze miała rozdzielać, albo znaczne dochody, które zamierzała, dla utrzymania swojego kredytu, wyjednywać od króla.

Tego środka najprzód na księżnie spróbować zamierzyła, bo posiadanie księżny wydawało się dla niej najważniejszem.

Księżna, pomimo niezachwianej ufności w swój rozum i swoją młodość, uchyliła głowę przed przedstawionemi jej korzyściami.

Zbogacona powoli darami i zapisami, zasmakowała w przedwczesnych spadkach.

Anna Austrjacka tego samego środka użyła względem księcia, a nawet względem samego króla.

Urządziła u siebie loterję.

Dnia, w którym rzecz się dzieje, miała być u królowej-matki zabawa; monarchini puszczała na loterję dwie prześliczne bransolety brylantowe wytwornej roboty.

Miały one w sobie dwie starożytne kamee wielkiej wartości; djamenty wprawdzie nie przedstawiały tak znacznej sumy, ale oryginalność, rzadkość pracy, czyniły te klejnoty nietylko pożądanemi na dworze, ale nawet, kiedy błyszczały na rękach królowej, zaszczyt przypuszczenia do całowania ręki czyniły ponętniejszym.

Dworzanie nawet mówili, że bransolety nie miałyby tej wartości gdyby nie były na podobnych rękach jak królowej.

Komplement ten przetłumaczono na wszystkie języki europejskie, a tysiące wierszy francuskich i łacińskich krążyło w tym przedmiocie.

Tego dnia, kiedy Anna Austrjacka zamierzyła odbyć u siebie loterję, była to chwila dla niej stanowcza, król od dwóch dni nie odwiedził matki.

Księżna dąsała się po owej scenie Drjad i Najad.

Król nie gniewał się, bo nowe uczucie wzniosło go ponad burze i rozkosze dworu.

Anna Austrjacka pożądany wywołała skutek, ogłaszając u siebie sławną loterję na następujący wieczór.

Ujrzała w rzeczy samej młodą królowę, od której, jak widzieliśmy, zażądała odwiedzin.

— Moja córko — rzekła — dobrą zwiastuję ci wiadomość. Król bardzo czule mówił mi o tobie. Król jest młody i pochopny do niestałości, ale kiedy będziesz przy mnie, nie poważy się oddalić od ciebie, tem bardziej, że czule jest przywiązany. Dzisiaj wieczorem jest u mnie loterja; czy zechcesz przybyć?

— Mówiono mi, — odpowiedziała młoda królowa z pewnym wyrazem bojaźliwego wyrzutu — że Wasza królewska mość puszcza na loterję dwie piękne bransolety, które są tak wielkiej wartości, że powinny zawsze się liczyć do klejnotów koronnych, tem więcej, iż należały do Waszej królewskiej mości.

—Moja córko — odrzekła Anna Austrjacka, odgadując myśl młodej królowej i pocieszając ją, że nie otrzymała tego podarunku — muszę na zawsze księżnę do siebie przyciągnąć

— Księżnę!... — powtórzyła, rumieniąc się, młoda królowa.

— Nie inaczej, alboż nie lepiej mieć pod oczyma rywalkę, czuwać nad nią i panować, niż wiedzieć, że król u niej ustawicznie przebywa?... Ta loterja jest przynętą, której dla tego używam. Czy zganisz więc mój plan?

— O!... nie, nie — odrzekła Marja Teresa, klaszcząc w ręce z dziecięcą radością.

— I nie żałujesz tego, moja droga, żem ci nie podarowała tych bransoletek, jak to wprzód zamierzyłam?..

— O!... nie, nie, moja dobra matko.

— A więc, moja kochana córko, staraj się, abyś była piękną i aby nasz wieczór był świetny; im bardziej będziesz wesołą, tem ukażesz się milszą i zaćmisz wszystkie kobiety blaskiem twojego znaczenia.

Marja Teresa wyszła uradowana.

W godzinę potem przyjmowała Anna Austrjacka u siebie księżnę, obsypując ją pieszczotami.

— Dobra wiadomość!... — rzekł król, uradowany z loterji.

— Ja zaś nie jestem z niej zadowolona — odrzekła księżna — widzieć tak piękne, jak te, bransoletki, na rękach innej kobiety a nie Waszej królewskiej mości, królowej, albo moich jest to myśl, do której nie mogę przyzwyczaić się.

— Ho!... ho!... — podchwyciła Anna Austrjacka, pokrywając uśmiechem gwałtowną boleść, jaką czuła... — nie unoś się, młoda kobieto, i nie przesądzaj naprzód.

— Ale los ślepy... a jak mi mówiono, dwieście biletów.

— Tak jest: ale jeden tylko wygrywa.

— Zapewne. Ale któż może wiedzieć, na który trafi?... — odrzekła księżna z rozpaczą.

— Przypominasz mi, że miałam sen tej nocy... o!... moje sny dobre są... ja śpię bardzo mało.

— Jaki sen?... Wasza królewska mość cierpi?...

— Nie, — odpowiedziała królowa, tłumiąc tą nadzwyczajną siłą bicie serca... — Śniło mi się, że król wygra bransolety.

— Król?...

— Zapewne chcesz mnie zapytać, co król z niemi uczyni?

— Prawda.

— A pewnie dodasz, że byłoby to dobrze, ażeby król wygrał, bo musiałby komu je ofiarować.

— Albo Waszej królewskiej mości zwrócić.

— W takim razie ja bezwłocznie komuś je ofiaruję — rzekła królowa z uśmiechem — bo nie bez pewnego przymusu, stawiam je na loterję. Lękałam się narobić zawiści, ale jeżeli traf wywiedzie mnie z kłopotu, ja los poprawię... o!... wiem komu je mam ofiarować!...

Tym wyrazom towarzyszył tak dobitny uśmiech, że księżna pocałowaniem musiała go opłacić.

— Ale — dodała Anna Austrjacka — wiesz dobrze, że król nie odda mi bransolet, jeżeli je wygra?

— Zapewne je ofiaruje królowej.

— Bynajmniej. Dla tej samej przyczyny, dla której mnie ich nie zwróci, nie ofiaruje ich królowej.

Księżna spojrzała na przepyszne bransolety, błyszczące w pudełku na bliskiej sofie.

— O!... jakie to śliczne!... — wyrzekła z westchnieniem. — ale zapomiamy, że sen Waszej królewskiej mości jest snem tylko.

— Bardzoby mnie to zdziwiło — odparła Anna Austrjacka — ażeby mój sen miał być zwodniczym; to rzadko mi się przytrafia.

— Zatem Wasza królewska mość możesz przepowiadać?

— Mówiłam ci, moja córko, że nigdy prawie nic mi się nie śni; ale tutaj jest dziwny zbieg snu z mojemi myślami!... tak dobrze odpowiada moim nadziejom.

— Jakim nadziejom?...

— Naprzykład tym, że ty pozyskasz bransolety.

— Zatem król ich nie wygra.

— O!... — odrzekła Anna Austrjacka — alboż tak daleko od serca Jego królewskiej mości do twego?... do ciebie, która jesteś jego siostrą ukochaną?... Nie jest tak daleko, powtarzam, aby sen można nazwać zwodniczym. Zastanów się, jaka stąd korzyść i oblicz ją.

— Obliczam.

— Najprzód korzyść ze snu. Jeżeli król wygra, jestem pewna, że tobie odda bransolety.

— Przypuśćmy.

— Jeżeli ty wygrasz, będziesz je posiadała.

— I to można przypuścić.

— Nakoniec, jeżeli książę wygra?...

— O!... — odrzekła księżna, zanosząc się od śmiechu — książę zapewne je daruje kawalerowi Lotaryńskiemu.

Anna Austrjacka również jak jej synowa, śmiać się zaczęła, to jest tak serdecznie, że jej boleść znowu ją wśród wesołości pochwyciła.

— Co Waszej królewskiej mości?... — zapytała księżna przelękniona.

— Nic, nic.... zanadto się śmiałam... właśnie miałam obrachować czwartą nadzieję wygranej.

— O!... nie widzę jej wcale.

— Za pozwoleniem i ja nie wyłączam się od grających i jeżeli wygram, możesz mnie być pewną.

— Dzięki ci, pani.

— Spodziewam się, że teraz jesteś zadowolona i że od tej chwili, sen nabiera barwy rzeczywistości.

— Wasza królewska mość natchnęła mnie nadzieją i ufnością — wyrzekła księżna — a wygrane bransolety stokroć dla mnie będą droższemi.

— A zatem do widzenia.

— Do widzenia.

I rozstały się.

Anna Austrjacka, opuściwszy synowę, rzekła do siebie, oglądając bransolety:

— W rzeczy samej klejnoty to wielkiej wagi, albowiem przez nie dzisiejszego wieczora zjednam sobie jedno serce i odgadnę tajemnicę.

Następnie, zwracając się do pustej alkowy:

— Czybyś tak postąpiła moja poczciwa Chevreuse?.. — rzekła do pustego pokoju. — Wszak nie inaczej?...

I jakby z echem wróciła cała jej młodość, cała lotność wyobraźni i całe minione szczęście.

CXLII

LOTERJA.

Wieczorem, o godzinie ósmej, wszyscy u królowej byli zebrani.

Anna Austrjacka w pysznej ceremonjalnej sukni, zdobna resztą piękności i zasobów, jakie zalotność podaje zręcznej dłoni, ukrywała, albo raczej siliła się ukrywać przed tłumem dworzan, otaczających ją i jeszcze podziwiających, ślady cierpień, pod któremi upadała i które w kilka lat później strawić ją miały.

Księżna, również zalotna jak Anna Austrjacka, królowa prosta i naturalna, jak zawsze, siedziały pry jej boku, dobijając się o względy.

Damy honorowe, czujne do ataku i odporu nacierającej kawalerji, stały za niemi, będąc gotowe, jakby ściśniony bataljon, na niesienie sobie wzajemnej pomocy.

Montalais, wprawna w ten rodzaj walki, osłaniała całą linję, kierując strzały oczu na nieprzyjaciela.

Saint-Agnan, w rozpaczy z niezłomnego oporu panny de Tonnay-Charente, chciał zrobić odwrót, lecz, przyciągany cudownym blaskiem oczu piękności, powracał na nową coraz narażać się porażkę, z której panna de Tonnay-Charente nowe odnosiła triumfy.

Saint-Agnan sam nie wiedział, co począć.

La Valliere w tym dniu miała już nie dwór, ale dworzan.

Saint-Agnan, sądząc, że tym manewrem zwróci oczy Atheny w tą stronę, powitał dziewicę z uszanowaniem, które kilku ociężałym umysłom nasunęło podejrzenie, iż ma zamiar zastąpienia panny Atheny Ludwiką.

Byli to wszakże ludzie, którzy nie wiedzieli, ani nie słyszeli o scenie w czasie ulewy.

Większość atoli, znając najświeższe wypadki, otaczała pannę de la Valliere i starała się pozyskać jej względy.

Reszta zaś szła za tym przykładem tak, jak na łowach za pięciu lub sześciu zręcznymi myśliwymi, wietrzącymi zwierza, biegnie cała rzesza obławy, patrząc na przodujących myśliwych.

Księżna i królowe oglądały suknie swoich dam honorowych, również jak i innych dam, i zapominały, że są królowemi, pamiętając tylko o usposobieniu kobiecem.

Spojrzenia dwóch młodych panujących ustawicznie padały na La Valliere, którą, jakieśmy powiedzieli, dworzanie w tej chwili otaczali.

Księżna nie znała litości.

— Prawdę mówiąc — rzekła, pochylając się ku królowej matce — jeżeli los jest sprawiedliwy, powinien sprzyjać biednej La Valliere.

— To niepodobna — odrzekła królowa matka z uśmiechem.

— Jakto?...

— Tylko dwieście biletów i wszyscy losu mieć nie mogą.

— Zatem ona go niema?...

— Niema.

— Jaka szkoda!... mogłaby wygrać i sprzedać.

— Sprzedać?... — wykrzyknęła królowa.

— Zapewne; byłoby to dla niej posagiem i nie poszłaby za mąż bez wyprawy, jak to się zapewne zdarzy.

— A! biedna dziewczyna!... — rzekła królowa matka — może i sukien nie ma?

I wymówiła te wyrazy, jak kobieta, która nie pojmuje, co ubóstwo.

— Przekonaj się, Najjaśniejsza pani, że dzisiaj ma tę samą suknię, co wczoraj na przechadzce i którą widać, dzięki staraniom króla, całą zachowała przed deszczem.

W chwili, kiedy księżna wymawiała te słowa, wszedł król.

Dwie księżniczki możeby nie dostrzegły jego przybycia, tak były obmawianiem zajęte, lecz księżna ujrzała, jak La Valliere, która stała wprost galerji, zmieszała się, przemówiła kilka wyrazów do otaczających ją, ci zaś rozstąpili się natychmiast.

Na to poruszenie skierowała księżna ku drzwiom oczy.

W tej chwili kapitan straży zapowiedział króla.

La Valliere, która dotąd na otaczających miała zwrócone oczy, nagle je spuściła.

Król wszedł.

Ubrany był z przepychem, pełnym smaku, i rozmawiał z księciem bratem i księciem de Roquelaure, z których pierwszy był po prawej jego stronie, a drugi po lewej.

Król najprzód postąpił ku królowym, które powitał z uszanowaniem.

Wziął rękę matki i ucałował, księżnie powiedział komplement o wytworności jej stroju, i zaczął obchodzić zgromadzenie.

La Valliere powitał jak wszystkie kobiety, żadnej nie czyniąc różnicy.

Następnie Jego królewska mość powrócił do matki i żony.

Kiedy dworzanie ujrzeli, że król nie przemówił ani słowa do dziewicy, tak wysoko zrana cenionej, natychmiast z tej obojętności wysnuli wniosek, że król miał tylko kaprys, który już przeminął.

Jednak jedną rzecz zauważono, że przy de la Valliere, w liczbie dworzan, znajdował się pan Fouquet, którego pełna względności grzeczność była podporą młodej dziewicy, wśród rozmaitych wzruszeń, jakie nią widocznie miotały.

Właśnie pan Fouquet poufale chciał z panną de la Valliere pomówić, kiedy pan Colbert się zbliżył i, ukłoniwszy się Fouquetowi ze wszelkiemi przepisami grzeczności, zdawał się chcieć zbliżyć do panny de la Valliere i rozpocząć z nią rozmowę.

Fouquet natychmiast opuścił swoje miejsce.

Wszystkie te manewry pożerali oczyma Montalais i Malicorne i przesyłali sobie nawzajem spostrzeżenia.

Guiche, stojąc w oknie, widział tylko księżnę.

Lecz, że księżna często wzrok zatrzymywała na pannie de la Valliere, oczy hrabiego de Guiche, wiedzione wzrokiem księżny, często także padały na młodą dziewicę.

La Valliere instynktownie czuła ciężar tych wszystkich spojrzeń, ładownych w części ciekawością w części zawiścią.

A dla nagrodzenia tych cierpień, nie posłyszała ani jednego wyrazu współczucia od towarzyszek, i nie pochwyciła ani jednego wejrzenia królewskiego.

Dlatego też, co cierpiała biedna dziewczyna trudno wyrazić.

Królowa matka kazała przysunąć stół okrągły, na którym były bilety loteryjne, w liczbie dwustu, i poprosiła panią de Mottevile, aby odczytała listę grających.

Zbytecznie chyba powiedzieć, że lista była ułożona, według wszelkich wymagań etykiety.

Król był na czele, po nim królowa matka, królowa, następnie książę, księżna i tak dalej.

Serca drżały podczas tego czytania.

Było trzysta osób zaproszonych. Każdy był ciekawy dowiedzieć się, czy jego nazwisko znajdzie się pomiędzy uprzywilejowanymi.

Król słuchał z równą uwagą, jak inni.

Po odczytaniu ostatniego nazwiska przekonał się, że La Valliere nie była na liście.

Zresztą każdy mógł zauważyć to opuszczenie.

Król zarumienił się, jakby go jaka nieprzyjemność spotkała.

La Valliere łagodna i bez dumy, żadnego nie objawiała wrażenia.

Przez cały czas czytania, król nie spuścił z niej oka, młoda dziewica rozpływała się pod tym szczęśliwym wpływem, jakim czuła się otoczona i zanadto była wesoła i czysta, aby innemu uczuciu niż miłości, dozwoliła przystępu do serca i umysłu.

Po wysłuchaniu listy, wszystkie opuszczone, albo zapomniane kobiety, nie mogły wstrzymać się od okazania smutku z zawodu.

Malicorne również w liczbie mężczyzn był zapomniany a skrzywienie jego mówiło Lontalais:

— Czyż nie porozumiemy się z fortuną, aby ona o nas nie zapominała?

— O!... nie inaczej — odpowiedział pojętny uśmiech panny Aurory.

Rozdano bilety każdemu, według jego numeru.

Król odebrał swój, następnie królowa matka, dalej królowa, książę, księżna i reszta przeczytanych.

Anna Austrjacka otworzyła worek ze skóry hiszpańskiej, w którym znajdowało się dwieście numerów, wyrytych na gałkach z muszli perłowej i podała go najmłodszej z dam honorowych, aby wzięła jednę gałkę.

Wśród tych powolnych przygotowań, większą okazała się chciwość niż ciekawość.

Saint-Agnan schylił się do ucha panny de Tonnay-Charente.

— Ponieważ po jednym mamy numerze — rzekł połączmy je. Pani będą bransoletki, jeżeli je wygram; jeżeli zaś pani je wygrasz, jedno dla mnie twoich pięknych oczu spojrzenie.

— Przepraszam, pańską będzie bransoleta, jeżeli ją wygrasz —odparła Athena. — Każdy dla siebie.

— Pani jesteś nielitościwa — rzekł Saint-Agnan — i muszę cię ukarać wierszem;

Piękna Irys, gdym ją błagał,
Z moich łez szydziła...

— Ciszej!... — rzekła Athena — przez pańskie wiersze nie będę mogła usłyszeć wygrywającego numeru.

— Numer jeden — mówiła dziewica, która perłową gałkę wyciągnęła z worka.

— Król!... — zawołała królowa matka.

— Król wygrał!... — powtórzyła młoda królowa.

— A! król! twój sen Najjaśniejsza pani!... — mówiła uradowana księżna do ucha Anny Austrjackiej.

Tylko król żadnego nie objawił zadowolenia.

Podziękował jedynie fortunie za to, co dla niego uczyniła, lekko kłaniając się dziewicy, która była wybraną na posłanniczkę bogini.

Następnie, odbierając z rąk Anny Austrjackiej, pośród powszechnego szmeru całego zgromadzenia pudełko, obejmujące bransolety, rzekł:

— Czy w istocie piękne?

— Przypatrz im się i sam osądź — rzekła Anna Austrjacka.

Król oglądał.

— Tak — rzekł — pyszny medaljon, pyszne wykończenie.

— Co za wykończenie!... — powtórzyła księżna.

Królowa Marja Teresa łatwo i na pierwszy rzut oka odgadła, że król nie ofiaruje jej bransolet, ale, widząc także, że nie myśli ofiarować ich księżnie, była prawie zadowoloną.

Król usiadł.

Najpoufalsi z dworzan zbliżali się z kolei, aby podziwiać cud sztuki, który wkrótce za pozwoleniem królewskim z rąk do rąk obiegał.

Natychmiast wszyscy, znawczy i nieznawcy, pośpieszyli okazać podziw i winszować królowi.

W rzeczy samej było co podziwiać; dla jednych pięknymi były brylanty, rzeźba dla innych.

Damy widoczną objawiały niecierpliwość, widząc skarb podobny, opanowany przez mężczyzn.

— Panowie — wyrzekł król, przed którego uwagą nic nie uszło — mógłby kto powiedzieć, że jak Sabińczycy nosicie bransolety; podajcie je damom, które zapewne lepiej od was na nich się znają.

Te wyrazy wydawały się księżnie początkiem wyroku, na który oczekiwała.

Zresztą pomyślną wróżbę czytała w oczach królowej matki.

Dworzanin, który miał bransolety w chwili kiedy król uczynił tą uwagę, złożył je w ręce królowej Marji Teresy, ona zaś wiedząc dobrze, że nie dla niej są przeznaczone, zaledwie obejrzawszy, podała księżnie.

Księżna, a bardziej jeszcze książę, z zajęciem je oglądali.

Następnie przeszły bransolety do dam sąsiednich, którym księżna, podając, rzekła przeciągle:

— Przepyszne!...

Damy, które bransolety z rąk księżny otrzymały, stosowny czas oglądały je i podawały dalej.

Tymczasem król spokojnie rozmawiał z hrabią de Guiche i Fouquetem a raczej pozwalał mówić niż słuchał.

Ucho jego, przywykłe do pewnych zwrotów, jak zazwyczaj ludzi, przywykłych do niezaprzeczonej wyższości, podchwytywało tu i owdzie wyrzeczone zdania, na które nie uważało za potrzebne odpowiadać.

Co zaś do jego uwagi, była ona zupełnie gdzieindziej skierowaną.

Błądziła razem z oczami.

Panna de Tonnay-Charente była ostatnią z dam zapisanych na liście, że zaś bransolety tą samą szły koleją, po niej pozostawały tylko Montalais i La Valliere.

Kiedy bransolety przyszły do nich, zdawało się, że niemi już nikt nie jest zajęty.

Małe znaczenie osób, których ręce w tej chwili dotykały klejnotów, ujmowały im ceny.

To jednak nie przeszkadzało Montalais drżeć z radości, zawiści i chciwości na widok raczej pięknych kamieni niż pysznej roboty.

Widocznie wartość pieniężna miała więcej ceny w oczach Montalais, niż piękność artystyczna, i że przekładałaby djamenty nad kamee.

Dlatego panna de Montalais niechętnie podawała bransolety pannie de la Valliere.

— A! jakie bogate, jakie wspaniałe!... — mówiła Montalais — i ty nie unosisz się nad niemi, Ludwiko? prawdę mówiąc, ty chyba nie jesteś kobietą!

— I owszem — odpowiedziała dziewica z wyrazem niewymownej melancholji. — Ale na co pragnąć tego, co nie może być naszem?

Król z głową, naprzód wychyloną, słuchał, co mówi młoda dziewica.

Zaledwie drżenie głosu doszło jego ucha, aliści powstał cały promieniejący i, przebywając koło, aby się udać do La Valliere, rzekł:

— Pani, mylisz się, jesteś kobietą, a każda kobieta ma prawo do klejnotów.

— Zatem, Najjaśniejszy panie, nie chcesz w moją skromność uwierzyć?

— Wierzę, że wszystkie masz cnoty, a szczerość pomiedzy niemi; powiedz więc otwarcie, co myślisz o tych klejnotach?

— Są tak piękne, Najjaśniejszy panie, że tylko królowej ofiarować je należy.

— Cieszy mnie twoje zdanie; bransolety są twoje i król prosi cię, abyś je przyjęła.

Z poruszeniem, podobnem do trwogi, pośpieszyła La Valliere podać je królowi, Ludwik jednakże lekko odepchnął drżącą jej rękę.

Milczenie zadziwienia, posępniejsze od grobowego, zapanowało w zgromadzeniu.

Jednakże tam, gdzie się znajdowały królowe, nie słyszano, co mówił król, ani nie wiedziano jeszcze, co uczynił.

Usłużna przyjaciółka podjęła się roznieść wiadomość.

Właśnie pannie de Tonnay-Charente księżna dała znak, aby się zbliżyła.

— A! mój Boże!.. — zawołała panna de Tonnay-Charente — jaka ta La Valliere szczęśliwa, król dał jej bransolety.

Księżna tak silnie przygryzła usta, że aż krew się ukazała.

Młoda królowa z kolei spojrzała na La Valliere i księżnę i śmiać się zaczęła.

Anna Austrjacka na białej ręce wsparła podbródek i długi czas pozostała zatopiona w podejrzeniu, które truło jej serce.

Guiche, widząc blednącą księżnę i odgadując tego przyczynę śpiesznie opuścił zgromadzenie.

Malicorne zdołał przecisnąć się aż do Montalais, i wśród powszechnego zajęcia, rzekł jej na ucho:

— Auro, masz pod ręką nasze szczęście i naszą przyszłość.

— Wiem — odpowiedziała Aura.

I czule ucisnęła La Valliere, pragnąc ją w duszy udusić.

CXLIII

MALAGA.

Podczas długiej i uporczywej walki ambicyj dworskich z miłością serca, zapomnieliśmy o jednej z naszych osób.

D'Artagnan, bo trzeba go wymienić z nazwiska, aby sobie przypomnieć, że żyje, d'Artagnan w tym świetnym i lekkim świecie nie miał co robić.

Udawszy się za królem do Fontainebleau na dwa dni, napatrzywszy się na sielanki i sceny komiczno-bohaterskie, przekonał się stary muszkieter, że nie tego potrzeba mu do życia.

Nagabywany co chwila przez ludzi, którzy mu mówili:

— A co, jak mi w tej sukni, panie d'Artagnan?... — odpowiadał im głosem żartobliwym:

— Sądzę, że jesteś pan tak dobrze ubrany, jak najpiękniejsza małpa z jarmarku świętego Wawrzyńca?

Był to komplement jeden z tych, jakie prawił d'Artagnan, kiedy nie miał do innych ochoty; chcąc czy nie chcąc musiano na nim poprzestać.

A kiedy go pytano:

— Panie d'Artagnan, jak ubierzesz się dzisiaj?... — odwiadał:

— Na wieczór, rozbiorę się.

To rozśmieszało damy.

Tak przeminęły dwa dni, a muszkieter, widząc, że tu o nic ważnego nie chodzi i że król zupełnie zapomniał albo raczej zdawał się zapomnieć o Paryżu, Saint-Mande i Belle-Isle, że pan Colbert marzy o lampach i ogniach sztucznych, że damy przez miesiąc czasu zamierzają strzelać oczyma, prosił króla o pozwolenie na wyjazd dla interesów familijnych.

W chwili kiedy d'Artagnan wniósł to żądanie, kładł się król do łóżka, strudzony po tańcu.

— Chcesz mnie opuścić panie d'Artagnan?... —

Ludwik XIV-ty nigdy nie pojmował, ażeby można oddalać się od niego, kiedy takim zaszczytem było przy nim pozostawać.

— Najjaśniejszy Panie — odparł d'Artagnan — opuszczam cię, bom ci na nic nieprzydatny. A!... gdybym ci mógł służyć za równowagę, kiedy tańcujesz, to co innego.

— Ależ, kochany panie d'Artagnan, — odpowiedział król z powagą — równowagi w tańcu nie potrzeba.

— No, to przebacz, Najjaśniejszy Panie, ja o tem nie wiedziałem!...

— Czy widziałeś mnie tańcującego? — zapytał król.

— Widziałem, ale sądziłem, że z czasem będą inne postępy... Omyliłem się; i to jedna przyczyna więcej, abym się oddalił. Powtarzam, Najjaśniejszy Panie, że nie jestem ci potrzebny, zresztą, gdybyś mnie potrzebował, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

— Dobrze, — rzekł król.

I udzielił żądanego pozwolenia.

Nie będziemy zatem szukali d'Artagnana, w Fontainebleau; znajdziemy go przy ulicy Lombardów, pod Złotym Tłuczkiem, u naszego zacnego przyjaciela Plancheta.

Była ósma wieczorem, gorąco; w pokoju w antresolach jedno okno otwarte.

Zapach korzeni, pomieszany z mniej przyjemnym, ale silniejszym odorem błota w rynsztoku, raczył nos muszkietera.

D'Artagnan leżał na ogromnem krześle z poręczami, mając wyciągnięte nogi na ławie.

Ręce skrzyżował pod głową, którą zwiesił na lewe ramię, jak Aleksander Wielki.

Oko jego, zazwyczaj ruchome i przenikliwe, teraz nieporuszone, obrało sobie za punkt obserwacyjny kawałeczek błękitnego nieba, które widać było z za komina.

Tak rozciągnięty i zatopiony w dumaniu, nie był już rycerzem, nie był oficerem pałacowym, ale wprost mieszczaninem, gnuśniejącym od obiadu do wieczerzy, od wieczerzy do spania; był to jeden z tych silnych mózgów, w których dla myśli niema najmniejszego zakątka, tak materja strzeże przystępu u furtki umysłu i czuwa, aby jak kontrabanda nic nie weszło tam duchowego.

Powiedzieliśmy, że była noc, że sklepy oświetlano, a zamykano okna wyższych pięter; na ulicy rozlegał się krok patrolu wojskowego nieregularnem echem.

D'Artagnan nic nie wiedział i nic nie słyszał, tylko patrzył na ów kawałek błękitu.

O dwa kroki od niego, zupełnie w cieniu, leżąc na worku kukurydzy, brzuchem do ziemi, i oparłszy brodę na dłoni, patrzył Planchet na d'Artagnana myślącego, dumającego, czy też śpiącego z otwartemi oczami.

Jego obserwacja trwała już oddawna.

Planchet zaczął kasłać:

— Hm!... hm!...

D'Artagnan nie poruszył się.

Planchet przekonał się, że należy użyć skuteczniejszego środka; po dojrzałej rozwadze, uznał w obecnych okolicznościach za najdowcipniejsze stoczyć się z worka na podłogę, wyrzekając na samego siebie.

— A!... jaki ja głupi!..

Lecz jakkolwiek silny był hałas, sprawiony spadnięciem Plancheta, d'Artagnan, który w życiu swojem nie takie słyszał grzmoty, najmniejszej na niego nie zwrócił uwagi.

Zresztą, ogromny wóz, naładowany kamieniami, wyjeżdżał właśnie z ulicy świętego Moderyka; i turkotem swoim stłumił odgłos spadnięcia Plancheta.

Pomimo to wydawało się Planchetowi, że wyraz "głupiec" wywołał nieznaczny uśmiech na twarz d'Artagnana.

To ośmieliło go i zapytał:

— A co, śpisz, panie d'Artagnan?

— Nie, panie Planchet, nawet nie śpię, — odpowiedział muszkieter.

— Ten wyraz nawet, do rozpaczy mnie przyprowadzi — rzekł Planchet.

— Alboż wyraz ten nie jest tak dobrym, jak inne?

— Prawda, panie d'Artagnan.

— Więc cóż?

— Bo wyraz ten mnie martwi.

— To objaw swoje zmartwienie, panie Planchet.

— Skoro pan mówisz, że nawet nie śpisz, to znaczy, że nie masz nawet ze spania pociechy. To znaczy, jakbyś chciał powiedzieć: Planchet djabelnie się nudzę.

— Ależ ty wiesz, że ja się nigdy nie nudzę.

— Wyjąwszy dzisiaj, wczoraj i onegdaj.

— Ba!...

— Panie d'Artagnan, już tydzień upływa, jak pan z Fontainebleau wróciłeś; tydzień więc nie wydajesz już rozkazów, ani nie mustrujesz swojej kompanji. Brak ci szczęku muszkietów, huku bębnów i całej swojej władzy; o!... ja, który nosiłem muszkiet, bardzo to pojmuję.

— Mój Planchet — odpowiedział d'Artagnan — upewniam cię. że się wcale nie nudzę.

— Cóż zatem robisz, leżąc jak nieżywy?

— Mój przyjacielu, w czasie oblężenia Roszelli, przy którem i ty byłeś, i ja także byłem, i wszyscy byliśmy wreszcie, przy oblężeniu Roszeli, powiadam ci, był Arab sławny z celowania armatami. Człowiek dowcipny, chociaż szczególnego, bo oliwkowego koloru. Ten Arab po pracy, lub po jedzeniu kładł się, jak ja teraz się położyłem, i ćmił, nie wiem jakie pachnące zioła z długiej drewnianej fajki; kiedy zaś kto z przechodzących mówił mu, że śpi ustawicznie, odpowiadał mu ze spokojem: lepiej siedzieć, niż stać, lepiej leżeć, niż siedzieć, a lepiej umrzeć, niż leżeć.

— O!... to straszny był Arab, i ze swojego koloru i ze swoich przekonań — odrzekł Planchet — teraz przypominam go sobie doskonale. Z wielkiem zadowoleniem ścinał głowy protestantom.

— Prawda, i balsamował je, kiedy były tego warte.

— O!... i to sobie przypominam.

— Nie wątpię o tem; ale cóż mówisz o jego rozumowaniu?

— Z jednej strony jest ono, mojem zdaniem, doskonałe, a z drugiej zupełnie głupie.

— Wyjaśnij mi to, panie Planchet.

— Dobrze, mój panie; w rzeczy samej lepiej siedzieć, niż stać, nadewszystko w pewnych okolicznościach, i kiedy kto strudzony (tu Planchet chytrze się uśmiechnął) lepiej leżeć niż siedzieć, ale co do ostatniego, że lepiej umrzeć, niż leżeć oświadczam, że to głupie i nie dam się przekonać, aby łóżko było do pogardzenia, co zapewne i pan potwierdzisz jeżeli się djabelnie nie nudzisz.

— Planchet, a znasz ty pana Lafontaina?...

— Aptekarza z ulicy św. Moderyka?...

— Nie, bajkopisarza,

— A!... pana Kruka.

— Tego samego, otóż ja jestem jak jego zając.

— Czy on i o zającu pisze?...

— On pisze o wszystkiem.

— Cóż zatem robi jego zając?...

— Myśli.

— A!... a!...

— Otóż ja jestem, jak zając pana de Lafontaina. Myślę.

— Pan myślisz?... — zapytał Planchet niespokojny.

— Tak, myślę; mieszkanie twoje, Planchet, jest dosyć smutne, aby nie usposabiało do myślenia, przynajmniej ja tak sądzę.

— Jednak masz pan widok na ulicę.

— A!... to rzecz bardzo zabawna!...

— Ale prawdziwa, panie, bo, gdybyś mieszkał od tyłu, nudziłbyś się jeszcze okropniej; chciałem powiedzieć... więcejbyś pan myślał.

— Na honor, nie umiem ci odpowiedzieć, Planchet.

— Gdyby jeszcze — dodał kupiec korzenny — myśli pańskie były tego rodzaju jak owe, kiedy szło o przywrócenie króla Karola II-go.

Tu Planchet roześmiał się znacząco.

— A!... mój przyjacielu — odrzekł d'Artagnan — jak widzę stajesz się ambitnym.

— Czy czasem, panie d'Artagnan, niema jakiego monarchy do przywrócenia, lub do wsadzenia jakiego Monka do skrzyni?...

— Wszyscy monarchowie są na swoich tronach.... tak pewni, jak ja na mojem krześle, jednakże....

Tu d'Artagnan westchnął.

— Panie d'Artagnan, przykrość mi pan sprawiasz.

— Jakiś ty dobry!...

— Boże, przebacz, ale ja mam podejrzenie.

— Jakie?....

— Panie d'Artagnan, pan chudniesz.

— Ho!... ho!... — odpowiedział muszkieter, uderzając się w piersi, które zahuczały, jak tarcza — to niepodobna, panie Planchet.

— Przekonaj się pan, ale jeżeli u mnie pan chudniesz...

— To co?...

— Zażegnam to nieszczęście.

— Cóż uczynisz, powiedz?...

— Znajdę tego, który cię martwi.

— Alboż ja mam jakie zmartwienie?...

— O!... masz, panie.

— Nie, Planchet, nie.

— A ja powiadam panu, że pan masz zmartwienie i chudniesz.

— Chudnę, czy jesteś tego pewny?...

— Widocznie!... i jeżeli jeszcze bardziej pan schudniesz, wezmę rapir i temu panu d'Herblay gardło poderznę.

— Co?... — zawołał d'Artagnan, podskakując na krześle — co mówisz, Planchet ... co porabia nazwisko pana d'Herblay w twoim sklepie?...

— Dobrze, dobrze; gniewaj się pan, lub nie, złorzecz mi lub chwal, to mi wszystko jedno, ale wiem, co mówię.

D'Artagnan w czasie tej mowy Plancheta, tak usiadł aby żadnego spojrzenia jego nie stracić, i wpatrywał się w niego uparcie, oparłszy ręce na kolanach i wyciągnąwszy ku niemu szyję.

— Zobaczmy, wytłumacz się, powiedz dlaczego wyrzekłeś takie bluźnierstwo? pan d'Herblay, twój dawny dowódca, mój przyjaciel, człowiek duchowny, biskup z muszkietera, dlaczego miałby od ciebie doznać zniewagi?

— Ja w takich razach na każdego podniosę broń.

— Ale pan d'Herblay jest szlachcicem!...

— To mi wszystko jedno, ja wiem tylko o tem, że pan przez niego czarne masz myśli. Malaga!... mieć czarne myśli jest to samo co schnąć. Ja zaś nie mogę na to pozwolić aby pan d'Artagnan chudszy wyszedł odemnie, niż przyszedł.

— Wytłumacz mi, dlaczego myślisz, że pan d'Herblay czarne na mnie myśli sprowadza?

— Bo pana od trzech dni zmora dusi.

— Mnie?

— Tak, bo we śnie wciąż pan powtarzasz: Aramis, niegodziwy Aramis!...

— Ja to mówiłem?... — zawołał d'Artagnan, niespokojny.

— Słowo daję, mówiłeś pan.

— I cóż z tego?... Wszak znasz przysłowie, mój przyjacielu: sen mara...

— Nie ze wszystkiem; bo od trzech dni, gdy pan wychodzisz i powracasz, za każdym razem mnie pytasz:

"Czy nie widziałeś pana d'Herblay?"

"Albo czyś nie odebrał do mnie listów od pana d'Herblay?"...

— Zdaje mi się, że nic w tem nadzwyczajnego, iż ten drogi przyjaciel obchodzi mnie.

— Prawda, ale nie do tego stopnia, abyś pan chudł.

— Daję ci słowo honoru, że utyję.

— Dobrze, ufam panu i zawczasu się cieszę, bo wiem, że pan umie słowa dotrzymać.

— Nie będę już śnił o Aramisie.

— Wybornie.

— Nie będę cię pytał, czy niema listów od pana d'Herblay.

— Doskonale.

— Ale mi jedną rzecz wytłumacz.

— Mów pan.

— Ja dobrze uważam...

— Wiem o tem.

— Przed chwilą, słyszałem od ciebie szczególniejsze zaklęcie.

— Tak.

— Maałga!... chcesz pan zapewne powiedzieć.

— Którego dawniej nie miałeś w zwyczaju.

— Tak.

— Jest to moja klątwa od chwili, gdy zostałem kupcem korzennym.

— Prawda: Malaga, nazwa rodzynków.

— To moja najokropniejsza klątwa; kiedy zawołam: Malaga! to już nie jestem panem siebie.

— Ale ja dawniej nie znałem tej klątwy.

— Prawda, nauczono mnie jej.

Planchet, wymawiając te wyrazy, mrugnął oczami z wyrazem chytrości, który nie uszedł uwagi d'Artagnana.

— E!... e!... — rzekł.

Planchet powtórzył:

— E!... e!...

— Patrzaj, panie Planchet.

— Ba!... ja nie jestem, jak pan, ja nie spędzazm życia na myśleniu.

— To czynisz źle.

— Chcę powiedzieć na nudach; życie nasze jest krótkie, dlaczego nie mamy z niego korzystać?...

— Jak widzę, Planchet, ty jesteś praktycznym epikurejczykiem.

— Czemu nie?... Rękę mam dobrą; piszę nią, albo ważę korzenie; nogę mam pewną, tańczę, albo się przechadzam: żołądek mam zdrowy, jem i trawię; serce zaś mi nie zastygło, a co, panie?...

— Prawda.

— Otóż tak — rzekł kupiec, zacierając ręce.

D'Artagnan założył nogę na nogę.

— Planchet, mój przyjacielu, ja głupieję z podziwienia.

— A to dlaczego?...

— Ponieważ w zupełnie nowem ukazałeś mi się świetle.

Planchet, czując, że mu pochlebiano, zacierał ręce bezustannie.

— A!... — rzekł — ponieważ jestem głupi, nie sądź pan, abym był bez rozumu.

— O!... Planchecie, to mi rozumowanie.

— Powiedziałem sobie — mówił dalej Planchet — że bez rozkoszy niema szczęścia na ziemi, jeżeli więc nie rozkoszy, bo są to rzeczy dość rzadkie, to przynajmniej używać trzeba pociechy.

— Zatem się pocieszasz.

— A tak.

— Wyjaśnij mi ten sposób pocieszania.

— Biorę tarczę i idę walczyć z nudami. Zanim zacznę się nudzić, już się zabawię.

— I to rzecz łatwa?

— Nietrudna.

— I sam ten sposób wynalazłeś?

— Sam.

— To cudowne!...

— Cóż pan na to?...

— Powiadam, że filozofja twoja nie ma równej na świecie.

— Zatem idź pan za moim przykładem.

— Prawda, rzecz to ponętna.

— Czyń pan, jak ja.

— Najchętniejbym pragnął; ale nie wszystkie dusze są do siebie podobne i gdybym chciał się bawić, jak ty, możebym się djabelnie znudził.

— Spróbuj pan.

— Zobaczę; cóż ty robisz?...

— Czyś pan uważał, że od czasu do czasu wychodzę z domu?...

— Mój kochany Planchet, kiedy kogo prawie codzień widujemy i kiedy go niema, brak jego jest widoczny. Alboż i ty bezemnie nie tęsknisz, kiedy idę na wojnę?...

— Niesłychanie; zdaje mi się, że jestem ciałem bez duszy.

— Zgoda, idźmy dalej.

— Kiedyż się oddalam?...

— Piętnastego i trzydziestego każdego miesiąca.

— I bawię?...

— Czasem dwa, czasem trzy, czasem cztery dni.

— I jak pan myślisz, co ja wtedy robię?...

— Rachunki.

— A z jaką twarzą powracam?...

— Bardzo zadowoloną.

— Sam pan powiedziałeś, że z zadowoloną. A czemu przypisuje pan to zadowolenie?...

— Że dobrze handel ci idzie, że kupno ryżu, śliwek, wina i innych rzeczy poszło ci dobrze. Ty Planchecie, zawsze byłeś malowniczego charakteru i dlatego wcale się nie dziwiłem, gdy

obrałeś sobie stan kupca, który jest stanem najbardziej urozmaiconym i charakterystycznym; w tym stanie tyle jest woni i smaku!...

— Prawda, panie, ale mylisz się pan.

— W czem takiem?...

— Sądząc, że, kiedy oddalam się co dni piętnaście, jadę za kupnem, lub sprzedażą. A! panie, jak pan mogłeś coś podobnego pomyśleć?...

I Planchet tak serdecznie począł się śmiać, że d'Artagnan sam o swej przenikliwości mógł zwątpić.

— Przyznam ci się — rzekł muszkieter — że nie bardzo jestem domyślny.

— To prawda.

— Jakto, prawda?

— Musi być prawda, skoro pan sam to mówisz; ale bądź pan przekonany, że nic przez to nie tracisz w mojej opinji.

— O!... to wielkie szczęście!...

— Nie, pan jesteś człowiekiem genjalnym; kiedy zaś idzie o wojnę, o taktykę, o podejście nieprzyjaciela, wodzowie są przy tobie niczem; ale co do spoczynku duszy, co do zdrowia ciała, co do zachowania życia, nie mów mi pan o ludziach genjalnych, to kaci sami na siebie.

— Poczciwy Planchet, zainteresowałeś mnie do najwyższego stopnia.

— I teraz już mniej się pan nudzisz nieprawdaż?...

— Ja się nigdy nie nudzę; kiedy zaś mówisz, bawię się.

— Dobry początek!... teraz zaręczam, że pana uleczę.

— O!... i ja tego pragnę.

— Czy pozwolisz pan, abym spróbował?...

— Nawet zaraz.

— Dobrze, czy masz pan tu konie?...

— Mam, dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści.

— Nie trzeba nam tylu; para wystarczy.

— Zatem są na twoje rozkazy.

— Dobrze, biorę pana ze sobą.

— Kiedy?...

— Jutro.

— Dokąd?...

— O!... kiedy pan pytasz za wiele.

— Ale przyznasz, że muszę wiedzieć, dokąd jadę.

— Czy pan lubisz wieś?...

— Niebardzo.

— Zatem pan lubisz miasto?...

— Jak do czasu.

— To zawiozę pana w miejsce, które jest pół wsią, pół miastem.

— Dobrze.

— W miejsce, gdzie się pan dobrze zabawisz, jestem tego pewien.

— Wybornie!...

— W miejsce, skąd obecnie powracasz pan i gdzieś się piekielnie nudził.

— Ja?...

— A tak.

— Zatem zawieziesz mnie do Fontainebleau?...

— Do Fontainebleau...

— I ty jedziesz do Fontainebleau?...

— Jadę.

— A ty tam po co?...

Planchet zrobił poruszenie pełne złośliwości.

— Może tam masz jakąś własność, łotrze!...

— Tak, mały domek, chałupę.

— Aha!... znam ja cię!...

— Ale to rzecz uczciwa, słowo honoru.

— Zatem jadę do wiejskiego domku Plancheta — zawołał d'Artagnan.

— Kiedy pan zechcesz.

— Czyż nie mówiliśmy, że jutro?...

— Zgoda, jutro, przytem to czternasty, nic nie szkodzi, że dniem wprzód wyjadę.

— Zgoda, jedziemy.

— A pan pozwolisz mi swojego konia?

— Nawet najlepszego.

— Ja wolę najpowolniejszego; wiesz pan, że nigdy nie byłem zawołanym jeźdźcem, a jako kupiec tem bardziej zardzewiałem, przytem...

— Cóż przytem?...

— Przytem — dodał Planchet, mrugając oczyma — nie chcę się strudzić.

— A to dlaczego?... — odważył się zapytać d'Artagnan.

— Bo nie bawiłbym się — odpowiedział Planchet.

I usiadł na worku z kukurydzą, trzaskając stawami w palcach z pewnym rodzajem filuterji.

— Planchet!... Planchet!... — zawołał d'Artagnan — oświadczam stanowczo, że niema na świecie sybaryty tobie podobnego. A!... Planchet, widać, żeśmy z sobą beczki soli nie zjedli.

— A to dlaczego?...

— Bo cię jeszcze nie znałem, przytem muszę wierzyć w to, co mi na myśl przyszło wówczas, kiedyś w lasku Bulońskim o mało nie udusił Lubina, lokaja pana de Wardes. Planchet, ty jesteś człowiekiem pełnym pomysłów.

Planchet zaczął się śmiać serdecznie, następnie pożegnał muszkietera i poszedł do pokoiku, który mu służył za sypialnię.

D'Artagnan znowu, jak dawniej, położył się na krześle, a czoło jego rozjaśnione na chwilę, mocniej się jeszcze zachmurzyło

Zapomniał o niedorzecznościach i marzeniach Plancheta.

— Tak — rzekł do siebie, dalej snując przerwany wątek myśli — wszystko na tem zależy, ażeby się dowiedzieć:

1. Czego Baisemeaux chciał od Aramisa?...

2. Dlaczego Aramis nie daje żadnej o sobie wiadomości?...

3. Gdzie jest Portos?...

W tych trzech punktach leży tajemnica.

— Więc — mówił dalej do siebie d'Artagnan — ponieważ przyjaciele nic nam nie donoszą, ucieknijmy się do swego własnego rozumu. Każdy robi co może!... Malaga!... jak mówi Planchet.

CXLIV

LIST PANA DE BAISEMEAUX.

D'Artagnan, wierny swojemu planowi, udał się nazajutrz rano do pana de Baisemeaux.

Był to dzień porządkowania w Bastylji; szczotkowano działa, czyszczono lawety, myto schody; nawet odźwierni, jak się zdawało, zajęci byli czyszczeniem kluczy.

Komendant Baisemeaux przyjął d'Artagnana w sposób nader grzeczny; ale tak był z nim ostrożny, że cała przebiegłość muszkietera i sylaby wydobyć z niego nie mogła...

Im więcej było ze strony Baisemeaux ostrożnej uprzejmości, tembardziej wzrastała nieufność d'Artagnana, przypuszczał nawet, że komendant postępuje według świeżo otrzymanych rozkazów.

Baisemeaux nie był tak zimnym i obojętnym w Pałacu Królewskim; w Bastylji zmienił swe postępowanie.

Kiedy d'Artagnan usiłował zwrócić rozmowę na interesy pieniężne, które zmusiły pana Baisemeaux do szukania Aramisa i pomimo woli uczyniłyby go więcej otwartym. Baisemeaux udał, że ma wydać rozkazy w więzieniu i pozostawił d'Artagnana samego, a kazał mu tak długo na siebie czekać, że muszkieter zwątpiwszy, aby się czegokolwiek więcej dowiedział, wyszedł z Bastylji, zanim Baisemeaux do mieszkania powrócił.

Ale d'Artagnan miał podejrzenie, a podejrzenie, gdy w nim było obudzone, nie dało już mu zasypiać.

Był on w rodzaju ludzkim tem, czem kot między czworonożnemi zwierzętami, to jest symbolem niespokojności i niecierpliwości.

Kot czatujący jak nieżywy stoi przed punktem swojej uwagi i ani głód, ani pragnienie nie są zdolne go oderwać.

D'Artagnan, którego paliła niecierpliwość, powiedział sobie, że właśnie to, co przed nim ukrywają, musi być ważne, i że przeto trzeba koniecznie się o tem dowiedzieć.

Skutkiem tego obliczał, że Baisemeaux nie zaniedba uprzedzić Aramisa, jeżeli ten dał mu jakiekolwiek zlecenie. Tak się właśnie zdarzyło.

Zaledwie Baisemeaux zdołał powrócić z wieży, d'Artagnan stanął na czatach przy ulicy Petit Musee, tak, aby widzieć wszystkich wychodzących z Bastylji.

Po godzinie oczekiwania, ujrzał wychodzącego żołnierza z warty.

Było to najlepszym dowodem, że d'Artagnan nie pomylił się w przewidywaniach.

Każdy dozorca, a nawet stróż w Bastylji ma swoje dni i godziny do wyjścia, a ponieważ nikt nie ma ani żony, ani mieszkania w zamku, może zatem wychodzić, nie obudzając ciekawości.

Ale żołnierz na warcie musi być dwadzieścia cztery godzin, kiedy jest na straży, a d'Artagnan lepiej, niż ktokolwiek wiedział o tem. Ten więc żołnierz wyszedł za wyraźnym i pilnym rozkazem.

Szedł sobie powoli, jak szczęśliwy śmiertelnik, który zamiast służby, albo nudnej warty, może używać wolności wraz z przechadzką. To też, pieszcząc się powietrzem, słońcem i spoglądając na kobiety, postępował ku przedmieściu świętego Antoniego.

D'Artagnan szedł za nim zdaleka. Jeszcze bowiem nic stanowczego nie postanowił.

— Najprzód muszę — pomyślał sobie — zobaczyć twarz tego hultaja. Dopiero zobaczywszy człowieka, można o nim sądzić.

Podwoił więc kroku, co dla niego nie było trudnem i wyprzedził żołnierza.

Nietylko zobaczył twarz jego, która była rozumną i znamionowała pewien charakter, ale zauważył i nos czerwony.

— Hultaj lubi wódkę — rzekł.

W tej chwili spostrzegł u żołnierza za pasem biały papier.

— Dobrze, więc ma list!... — pomyślał.

Jakże go tu dostać. Żołnierz uradowany, że jest wybrany na posłańca przez pana de Baisemeaux niełatwo da się przekupić!

Kiedy d'Artagnan, pogrążony w myślach, gryzł paznokcie, żołnierz postępował wciąż ku przedmieściu świętego Antoniego.

— Zapewne idzie do Saint-Mande — rzekł do siebie d'Artagnan — a ja nie wiem, co jest w tym liście...

Była to taka okoliczność, że od niej dostać można było zawrotu głowy.

— Gdybym był w mundurze, pochwyciłbym hultaja i list z nim, a pierwszy żołnierz udzieliłby mi pomocy. A gdybym wymienił moje nazwisko... gdybym go poczęstował... e! sam się upiję i nic nie zrobię. Cóż, u licha, nic mi nie przychodzi do głowy!... Napaść na biedaka, powalić i list wydrzeć... Gdyby

to szło o list królowej do lorda albo o list kardynała do królowej; ale dla takich nędznych intryg, jak Aramisa i Fouqueta z Colbertem!... na honor, byłoby to za drogo!

Kiedy tak rozumował, gryząc paznokcie, spostrzegł tłum dozorców policyjnych i jakiegoś komisarza.

Ludzie ci prowadzili człowieka, który im się wydzierał.

Dozorcy darli na nim suknie i ciągnęli go. On zaś żądał, aby go prowadzono z należnymi dlań względami, utrzymując, że jest szlachcicem żołnierzem.

Zobaczył naszego żołnierza, idącego przez ulicę i zawołał na niego:

— Żołnierz! do mnie!

Żołnierz udał się ku temu, który go wzywał, tłum za nim.

Wtedy myśl przyszła d'Artagnanowi.

Była to pierwsza, a przekonamy się, że wcale niezła.

Kiedy szlachcic opowiadał żołnierzowi, jak go ujęto w pewnym domu, jako złodzieja, kiedy on był tylko kochankiem, i kiedy żołnierz, żałując go, dawał mu rady z ową powagą, jaką żołnierz francuski osłania miłość własną, d'Artagnan wślizgnął się po za żołnierza, którego tłum zewsząd cisnął i wyjął mu papier z za pasa.

Że zaś w tejże chwili szlachcic szarpał żołnierza, a komisarz szlachica, d'Artagnan czynność tą mógł najdogodniej wykonać.

Odszedł o dziesięć kroków i za filarem jednego z domów, ten adres wyczytał:

"Do pana du Vallon, u pana Fouquet w Saint-Mande."

— Tego mi potrzeba!... — zawołał.

I, odpieczętowawszy kopertę, bez rozdarcia, wyjął z niej papier, złożony we czworo, który te tylko obejmował wyrazy:

"Kochany panie du Vallon, zechciej powiedzieć panu d'Herblay, że był w Bastylji i badał."

Życzliwy

de Baisemeaux".

— A co?... — zawołał d'Artagnan — rzecz jasna, jak słońce... Portos!... Jestem więc tego pewny, co wiedzieć chciałem. Do licha!... biedny żołnierz ciężko za mój figiel przypłaci. Jeżeli przyjdzie bez listu, dopiero będzie mu ciepło!... Ale ja tego listu nie potrzebuję. Kiedy kto zje jaje, djabli mu po skorupie.

Tymczasem komisarz i dozorcy przekonali żołnierza o słuszności i więźnia prowadzili dalej.

Ten, otoczony tłumem, nie przestawał się żalić.

D'Artagnan znowu się w tłum wcisnął i, upuściwszy list tak, że nikt tego nie zauważył, spiesznie się oddalił. Żołnierz znowu skierował się na drogę do Saint-Mande, myśląc ustawicznie o tym szlachcicu, który wzywał jego pomocy.

Nagle przypomniał sobie o liście i, patrząc za pas, przekonał się, że go niema. Jego trwożliwy przestrach zabawił d'Artagnana.

Biedak z boleścią patrzył wokoło siebie i nakoniec spostrzegł o dwadzieścia kroków po za sobą bielejącą się kopertę, poskoczył ku niej, jak sokół na zdobycz.

Koperata zakurzona była i pomięta, ale w niej znajdował się list.

D'Artagnan zauważył, że przełamana pieczątka mocno zaniepokoiła żołnierza.

Pocieszył się on jednak wreszcie i znowu pismo za pas położył.

— Idź sobie — rzekł d'Artagnan — teraz dosyć mam czasu. Zdaje się, że Aramisa niema w Paryżu, skoro Baisemeaux pisze do Portosa. A!... jaka to rozkosz widzieć się i rozmawiać z tym poczciwym Portosem!...

I, stosując swój chód do kroków żołnierza, pewny był, że w kwadrans po nim przybędzie do pana Fouquet.

CXLV

PORTOS NIC NA SIŁACH NIE STRACIŁ.

D'Artagnan obliczał, według zwyczaju, że godzina ma sześćdziesiąt minut, a minuta sześćdziesiąt sekund.

Dzięki temu rachunkowi co do minut i sekund przybył przed bramę pałacu nadintendenta w chwili, kiedy z niej żołnierz już z pustym pasem wychodził.

D'Artagnan przystąpił do bramy, którą wyhaftowany Szwajcar trzymał nawpół otwartą.

Chętnie byłby wnet wszedł, nie wymieniając swego nazwiska, ale środka na to nie było. Powiedział kto jest zatem.

Pomimo tego ustępstwa, które powinno było usunąć wszelkie trudności, jak przynajmniej sądził d'Artagnan, odźwierny zawahał się; jednak przy powtórnem wymienieniu tytułu kapitana gwardji, Szwajcar, nie dając wolnego przejścia, przestał je przynajmniej tamować.

D'Artagnan domyślił się, że surowe wydano rozkazy.

Postanowił zatem kłamać, co go tak wiele znów nie kosztowało, kiedy widział w tem korzyść państwa, a nadto swój osobisty interes.

Dodał zatem do oświadczeń, już uczynionych, iż żołnierz, który przyniósł list do pana du Vallon, od niego był przysłany, i że list miał na celu uprzedzić o jego przybyciu.

Nic nie można było zarzucić tak dokładnym objaśnieniom.

Pozwolono zatem wejść d'Artagnanowi.

Przedsionki, salony, ogrody, wszystko zwiedził muszkieter. Chodził więcej niż godzinę po tym domu, prawdziwie królewskim, który liczył tyle cudów sztuki, ile mebli, tylu służących, ile kolumn i drzwi.

Nakoniec przybył do oddalonej części zamku, opasanej murem z ciosowego kamienia, po którym pięły się rozmaite rośliny.

W pewnych odległościach stały na murze obwodowym posągi w postawach skromnych, czy też tajemniczych.

Były to posągi westalek, ukryte pod fałdzistemi zwojami zasłon: były to posągi czujnych straży, osłoniętych w zawoje marmurowe i pilnujących pałacu skrytemi spojrzeniami.

Hermes z palcem na ustach, Iris z rozpostartemi skrzydłami, Noc ubrana w makówki, wszystkie te posągi panowały nad ogrodami i gmachami, wychylając się z poza wysokich cyprysów, które wierzchołki wznosiły ku niebu.

Około tych cyprysów roztaczały się odwieczne krzaki różane, które czepiały się kwiecistymi wieńcami każdej prawie gałęzi i rozsypywały po pniach, murze i posągach piękne i wonne kwiaty.

Wszystkie te ozdoby wydały się muszkieterowi wysileniem rozumu ludzkiego.

Usposobienie jego umysłu poetyzowało to wszystko.

Myśl, że Portos zamieszkuje podobny raj, postawiła go wyżej w opinji przyjaciela, który doszedł do przekonania, że

umysł ludzki, choćby taki jak Portosa, nie może nie uledz otaczającym go wpływom.

D'Artagnan znalazł drzwi; przy drzwiach, pewien rodzaj sprężyny, którą ogladał na wszystkie strony.

Drzwi otworzyły się.

D'Artagnan wszedł, zamknął drzwi za sobą i udał się do pawilonu, zbudowanego w kształcie rotundy, w którym słyszeć się dawał szum wód i śpiew ptasząt.

Przy bramie pawilonu napotkał lokaja.

— Czy tutaj — zapytał bez wahania d'Artagnan — mieszka pan baron du Vallon?

— Tak, panie — odpowiedział lokaj.

— Uprzedź go zatem, że rycerz d'Artagnan kapitan muszkieterów Jego Królewskiej Mości pragnie go widzieć.

D'Artagnana wprowadzono do salonu.

W salonie niedługo czekał; znajomy chód zatrząsł posadzką sąsiedniego pokoju, drzwi się otworzyły i Portos rzucił się w objęcia przyjaciela, z pewnym rodzajem pomieszania, które nie było mu do twarzy.

— Ty tutaj?... — zawołał.

— A ty?... — odparł d'Artagnan.

— A tak — odpowiedział Portos, uśmiechając się z przymusem — tak, zastajesz mnie u pana Fouquet; to cię pewno niemało zadziwia?

— Bynajmniej; dlaczegoż nie masz być przyjacielem pana Fouquet? Pan Fouquet ma bardzo wielu przyjaciół, osobliwie też pomiędzy ludźmi uczonymi.

Portos był tak skromny, że tego komplementu nie wziął do siebie.

— Przytem — dodał — widziałeś mnie na Belle-Isle.

— Dlatego właśnie myślę, że należysz do przyjaciół pana Fouquet.

— Znam go — odrzekł Portos z niejakiem pomieszaniem.

— A! mój przyjacielu — zaczął d'Artagnan — jakiż ja żal mam do ciebie.

— A to o co?... — zawołał Portos.

— Dokonywasz dzieła tak znakomitego, jak ufortyfikowanie Belle-Isle i nie zawiadamiasz mnie o tem?

Portos zarumienił się.

— Co więcej — mówił dalej d'Artagnan — wiesz, gdzie jestem; wiesz, że jestem w służbie królewskiej, i nie odgadujesz, że król pragnie poznać człowieka, wykonywującego dzieło, o którem mu cuda prawią; nie odgadujesz, że król wysłał mnie, abym się dowiedział, kto to jest taki?

— Jakto? król wysłał cię...

— No tak, ale przestańmy o tem mówić.

— Do pioruna!... a to dlaczego?... i owszem mówmy; zatem król wie, że fortyfikujemy Belle-Isle?

— A o czemżeby król nie wiedział?

— A o tem wie, kto fortyfikuje?

— Bynajmniej; tylko z tego, co mu mówiono, domyśla się, że to jakiś genjusz wojskowy.

— Do djabła!... gdybym o tem był wiedział...

— Nie byłbyś zapewne z Vannes wyjechał?

— Ciekawy jestem, co sobie pomyślałeś, kiedyś mnie nie zastał.

— Mój drogi, rozmyślałem.

— A! tak, rozmyślałeś, ale o czem rozmyślałeś?

— Jakby dojść prawdy.

— I doszedłeś?

— Doszedłem.

— Ciekawym, czego doszedłeś?... — rzekł Portos, sadowiąc się na krześle i przybierając minę tajemniczą.

— Najprzód doszedłem, że fortyfikujecie Belle-Isle.

— To nic trudnego, bo widziałeś mnie przy pracy.

— Za pozwoleniem; ale jeszcze coś zgadłem, a mianowicie: że fortyfikujesz Belle-Isle z rozkazu pana Fouquet?

— Prawda.

— Nie wszystko jeszcze. Kiedy jestem w usposobieniu odgadywania, nie zatrzymuję się w drodze.

— Kochany d'Artagnan!

— Zgadłem, że pan Fouquet chciał jaknajgłębszą zachować tajemnicę co do fortyfikacji.

— Ja też sądzę, że taki był jego zamiar — odpowiedział Portos.

— Tak, ale czy wiesz, dlaczego chciał zachować tajemnicę?

— Ba!... żeby nikt o niej nie wiedział.

— Najprzód tak... ale była to chęć grzeczności...
— Istotnie słyszałem... że pan Fouquet jest grzeczny.
— Dla grzeczności, którą chciał okazać królowi.
— Ho! ho!
— To cię zadziwia?
— A tak.
— Czy nie wiedziałeś o tem?
— Bynajmniej.
— A ja wiem.
— Toś czarownik.
— Nie, nie jestem nim.
— Skądże wiesz zatem?
— Bardzo prostym sposobem; słyszałem samego Fouqueta, jak mówił do króla.
— Do króla?... a to o czem?
— Że kazał ufortyfikować Belle-Isle, aby z niej królowi uczynić podarunek.
— Słyszałeś, że to mówił pan Fouquet?
— Słowo w słowo. Dodał nawet: "Belle-Isle ufortyfikował inżynier, jeden z moich przyjaciół, człowiek wielkiej zasługi, którego pragnąłbym Waszej królewskiej mości przedstawić.
— "Jego nazwisko?... — zapytał król.
— "Baron du Vallon — odpowiedział Fouquet.
— "Dobrze, zatem przedstawisz mi go" — rzekł król.
— Tak król odpowiedział?
— Słowo d'Artagnana.
— Ho!... ho!... — odrzekł Portos. To dlaczegoż mnie dotąd nie przedstawiono?
— Czy ci nie mówiono o tem przedstawieniu?
— Mówiono, ale ja czekam dotąd.
— Bądź spokojny, przyjdzie czas.
— Hm!.... hm!... — mruknął Portos.

D'Artagnan udał, że tego nie zauważył i zmieniając przedmiot rozmowy, rzekł:

— Ty jednak, jak mi się zdaje, przyjacielu, samotne zamieszkujesz miejsce.

— Zawsze lubiłem samotność. Jestem melancholiczny — odpowiedział Portos z westchnieniem.

To szczególniejsza rzecz; nigdy tego nie zauważyłem.

— Od tego czasu, jak się naukom poświęcam — rzekł Portos, nieco zakłopotany.

— Ale prace umysłowe, jak sądzę, zdrowiu twemu nie szkodzą?

— O! bynajmniej.

— I siły masz zawsze?

— Ogromne! zawsze ogromne!

— Jednakże słyszałem, że w pierwszych dniach twojego przybycia...

— Tak, prawda; ruszyć się nie mogłem.

— Jakto?... — zapytał d'Artagnan z uśmiechem — dlaczego ruszyć się nie mogłeś?

Portos domyślił się, że niedorzeczność powiedział i chciał się poprawić.

— Tak, przybyłem z Belle-Isle na lichych koniach i to mnie utrudziło.

— nMie to wcale nie dziwi, mnie, co za tobą jechałem; bo znalazłem siedm, czy ośm koni padłych na drodze.

— Jestem ciężki, jak widzisz. Tłuszcz się we mnie roztopił i zachorowałem.

— A! biedny Portosie!... — A Aramis jakim się wtedy dla ciebie okazał?

— Jak najlepszym... kazał mnie opatrzyć doktorowi pana Fouquet. Ale wyobraź sobie; że po ośmiu dniach oddychać jeszcze nie mogłem.

— Jakto?

— Pokój był za mały i całe z niego powietrze wciągnąłem w siebie.

— Czy tak?

— Przynajmniej tak mi mówiono... I przeniesiono mnie do innego mieszkania.

— Gdzie już mogłeś oddychać swobodniej?

— A tak; jednakże brak ruchu do rozpaczy mnie przyprowadził. Doktór utrzymywał, że nie powinienem był z miejsca się ruszać; ja zaś przeciwnie, czułem się silnym, jak nigdy. To dało powód do ważnego wypadku.

— Do jakiego wypadku?

— Wyobraź sobie, kochany przyjacielu, że się oburzyłem na

niedorzeczne przepisy lekarza i postanowiłem wyjść wbrew jego woli. Kazałem lokajowi, aby mi przyniósł ubranie.

— Zatem byłeś zupełnie nagi, mój biedny Portosie?

— Przeciwnie, miałem na sobie prześliczny szlafrok; lokaj wykonał mój rozkaz, przyniósł mi ubranie. Gdym je włożył na siebie, przekonałem się, że jest za przestronne; ale, rzecz dziwna, stopy mi się rozszerzyły znacznie.

— Co słyszę?

— I buty były za szczupłe.

— Zatem, widać, nogi ci napuchły.

— Zgadłeś, przyjacielu.

— Czy o tym wypadku chciałeś mi mówić?

— Tak, o tym. A ja nie jestem tak rozważny, jak ty, i mówiłem sobie: skoro buty tyle razy wchodziły mi na nogi, dlaczegoż i teraz wejść nie mają?

— Tym razem, kochany Portosie, pozwól sobie powiedzieć, że byłeś nielogicznym.

— Krótko mówiąc stałem wprost przepierzenia; chciałem wciągnąć but na prawą nogę i ciągnąłem go za uszy obydwoma rękami; tymczasem nagle uszy zostają mi w rękach, a noga wyskakuje, jak strzała.

— Jak strzała?...

— Tak, jak strzała i napotyka przepierzenie, które rozbija. Mój przyjacielu, zdawało mi się, że jak Samson rozwalam świątynię. Co tam naspadało obrazów, porcelany, szkła, firanek, obić!... to rzecz niesłychana.

— Doprawdy?

— A z drugiej strony stała jeszcze serwantka z porcelaną.

— Którąś także wywrócił?

— A! wysadziłem na drugi koniec pokoju.

Portos zaczął się śmiać.

— Prawdę mówiąc, to rzecz niesłychana!

I d'Artagnan również, jak Portos zaczął się śmiać.

— Natłukłem — mówił Portos głosem, przerywanym od śmiechu — więcej, niż za trzy tysiące franków porcelany, ha! ha! ha!

— Dobrze — rzekł d'Artagnan.

— Zbiłem więcej, niż za cztery tysiące franków zwierciadeł, ha! ha! ha!

— Wybornie.

— Nie licząc zwierciadła, które wprost spadło mi na głowę i rozbiło się w tysiąc kawałków, ha! ha! ha!

— Na głowę?... — zapytał d'Artagnan, trzymając się za boki. Na samą głowę?

— Na samą.

— To zapewne stłukło ci głowę?

— E! bynajmniej, właśnie zwierciadło stłukło się o głowę moją, jak szkło.

— A! prawda zwierciadło było szklane.

— Ze szkła weneckiego!... rzadka sztuka, której trudno znaleźć równą, a kosztowało dwieście liwrów.

— I cóż jeszcze spadło ci na głowę?

— Na głowę... wyobraź sobie, na głowę, spadła mi kula kryształowa, wyzłacana i napełniona pachnidłami, w której paliło się i płomień wychodził złoconemi dziobami.

— Rozumiem; ale przecież wtedy się nie paliły.

— Na szczęście; bo byłbym się spalił.

— Zatem tylko głowa nieco się spłaszczyła.

— Nie.

— Jakto nie?

— Bynajmniej; zwierciadło spadło mi też na czaszkę. Widać, że mam w tem miejscu skorupę nadzwyczaj silną.

— Któż ci o tem powiedział, Portosie?

— Doktór; powiada on, że moja głowa udźwignęłaby kościół Najświętszej Panny Paryskiej.

— Ba!

— Tak, moja głowa tak jest zbudowana. Bądź co bądź, gdy spadło zwierciadło na moją głowę, taki huk dał się szłyszeć, jakby wystrzał armatni, a tymczasem tylko szkło się stłukło i ja padłem oblany...

— Krwią, biedny Portosie?

— Bynajmniej, pachnidłami, które były w kuli; a! było to wyborne. ale pachniało zanadto, tak, że padłem odurzony zapachem; czyś kiedy doświadczał czegoś podobnego, panie d'Artagnan?

— Tak, gdym oddychał zapachem konwalji; zatem, mój biedny przyjacielu, upadłeś od uderzenia i odurzenia.

— Ale to coś osobliwego! Doktór zapewnił mnie słowem honoru, że nic podobnego nie widział...

— Masz przynajmniej guza?... — przerwał d'Artagnan.

— Miałem ich pięć.

— Dlaczego pięć?

— Zaczekaj; ramy od zwierciadła miały pięć ozdób złoconych, które były kolczaste.

— Aj! aj!

— Te pięć ozdób dostały mi się we włosy które są bardzo gęste, jak widzisz.

— Na szczęście!

— I wbiły mi się w skórę. Ale to znowu osobliwość, która mnie tylko może się przytrafić!... Zamiast porobić dziury, porobiły guzy. Doktór nie mógł mi tego w zadawalający sposób wytłumaczyć.

— Zatem ja ci to wytłumaczę.

— Zrobisz mi wielką przysługę — odpowiedział Portos, mrużąc oczy, co znaczyło u niego, że natęża uwagę do najwyższego stopnia.

— Od czasu, jak natężasz swój umysł dla nauk ścisłych, dla ważnych wyrachowań, głowa skorzystała na tem: jest przepełniona nauką i wiedzą.

— Czy tak sądzisz?

— Jestem pewien; wynika więc stąd, że zamiast pozwalać, aby cokolwiek obcego weszło do głowy, twoja koścista czaszka, przepełniona wiedzą, korzystała z otworów i zbyteczne materje guzami wyrzuciła.

— A!... — wyrzekł Portos, któremu to tłumaczenie więcej trafiło do przekonania, niż wyjaśnienie doktora.

— Pięć guzów, sprawionych przez pięć ozdób zwierciadła, niezawodnie jest zbiorem umiejętności, wywiedzionym nazewnątrz siłą oddziaływania.

— Nie inaczej! nie inaczej! gdyż i w tem także dowód, że więcej doznawałem bólu nazewnątrz, niż wewnątrz. Przyznam ci się nawet, że, kiedy kładę kapelusz na głowę, naciskając go z owym wdziękiem, który nam wojskowym jest tylko właściwym, nadzwyczajnych doświadczałbym boleści, gdyby dotknięcie nie było lekkie.

— Wierzę ci, Portosie.

— Dlatego, mój przyjacielu — odrzekł olbrzym — pan Fouquet, widząc, że dom jego za słabo jest zbudowany, inne wyznaczył mi mieszkanie. Dlatego tutaj mnie umieszczono.

— Jest to park, zupełnie odosobniony.

— Zupełnie.

— Zapewne miejsce schadzki?... zapewne miejsce sławne w historji ministra?

— Nie wiem. Nie miałem tu schadzek, ani tajemniczych historyj; korzystam tylko z pozwolenia i dla ruchu wyrywam z korzeniami drzewa.

— A to na co?

Aby ćwiczyć ciało; a przytem wybieram gniazda ptasie. To dogodniejsze, niż łazić po drzewach.

— Zatem żyjesz sielankowo, jak Tyrsys, mój kochany.

— Lubię małe jajka i wolę je niż duże. Nie masz wyobrażenia, jaka to delikatna jajecznica z pięciuset jaj dzwońców, zięb, gilów i drozdów.

— Ależ pięćset jaj to okropność!

— To tylko salaterka jajecznicy — odpowiedział Portos.

D'Artagnan z pięć minut wpatrywał się w Portosa, jakby go widział po raz pierwszy.

Portos zaś rozpływał się pod wzrokiem przyjaciela.

Tak stali przez kilka minut.

D'Artagnan, patrząc na Portosa, Portos, rozpływając się z radości.

D'Artagnan jednak koniecznie chciał nadać inny obrót rozmowie.

— Dobrze się tu bawisz, Portosie?... — zapytał.

— Nie zawsze.

— Domyślam się; ale kiedy bardzo się nudzisz, co robisz?

— E! niedawno tu jestem. Aramis czeka na zniknięcie ostatniego mojego guza, aby mnie przedstawić królowi, który, jak mi mówiono, nie cierpi guzów.

— Czy Aramis jest w Paryżu?

— Niema go.

— Gdzie zatem bawi?

— W Fontainebleau.

— Sam?

— Z panem Fouquet.

— Wybornie; ale wiesz co?

— Nie wiem; jednak skoro powiesz, będę wiedział.

— Aramis zapomina o tobie.

— Tak sądzisz?

— Tak, bo tam, gdzie jest, śmieją się, tańcują, bankietują, rozlewają wina kardynała Mazariniego. Czy wiesz, że tam codzień jest balet?

— Do djabła!

— Oświadczam ci zatem, że Aramis zapomina o tobie.

— Być może; właśnie i ja myślałem o tem.

— Byle cię tylko nie zdradził!

— O!...

— Bo to chytry lis ten Aramis.

— Być może; ale mnie zdradzać...

— Słuchaj, najprzód cię uwięzi.

— Uwięzi!... mnie, mnie uwięzi?

— Nie inaczej.

— Chciałbym, abyś mnie o tem przekonał.

— Nic łatwiejszego. Czy stąd kiedy wychodzisz?

— Nigdy.

— Czy jeździsz konno?

— Nigdy.

— Czy pozwalają zbliżać się do ciebie przyjaciołom?

— Nigdy.

— A więc, mój przyjacielu, skoro nigdy nie wychodzisz, nigdy konno nie wyjeżdżasz, nigdy nie widzisz nikogo, to czyż nie jesteś uwięzionym?

— I dlaczegóżby mnie Aramis uwięził?

— O!... przekonasz się; tylko bądź szczerym, Portosie.

— Będę szczerym jak złoto.

— Wszak Aramis zrobił plan ufortyfikowania Belle-Isle.

— Portos zarumienił się.

— Tak — rzekł — ale niczego więcej nie zrobił.

— Zapewne; ale według mnie, to nic wielkiego.

— Właśnie takie też jest i moje zdanie.

— Cieszy mnie, że jednego jesteśmy przekonania.

— Nawet na Belle-Isle nie bywał — dodał Portos.

— Przekonaj się więc teraz.

— Ja udawałem się do Vannes, jak to sam widziałeś.

— Właśnie o to chodzi. Aramis, co zrobił tylko plany, chce uchodzić za inżyniera, tymczasem ty, co znosiłeś kamień do kamienia, co wzniosłeś mury i bastjony, masz uchodzić tylko za rzemieślnika.

— Za rzemieślnika, czyli za mularza?

— Tak, za mularza.
— Za czeladnika, noszącego wapno?
— Zapewne.
— O!... kochany Aramisie, ty, widać zawsze sądzisz, że mam lat dwadzieścia pięć.
— To nie byłoby jeszcze nic, ale on sądzi, że ty masz lat pięćdziesiąt.
— Chciałbym ja go widzieć przy pracy.
— Naturalnie.
— Niedołęga z podagrą!
— A tak.
— I z chorobą na kamień.
— A tak.
— I trzech zębów mu brakuje.
— Czterech.
— A spojrzyj tylko na mnie.

Tu Portos pokazał dwa rzędy zębów mniej coprawda białych, niż śnieg, lecz równie czystych, twardych i zdrowych, jak kość słoniowa.

— Nie wyobrazisz sobie, Portosie — rzekł d'Artagnan — jak król lubi piękne zęby. Twoje zęby skłaniają mnie do tego, że cię przedstawię królowi.

— Ty?...

— A dlaczegoby nie?... Czy sądzisz, że ja gorzej od Aramisa widziany jestem u dworu?...

— O!... nie.

— Czy sądzisz, że mam jakąkolwiek pretensję za ufortyfikowanie Belle-Isle?

— Zapewne, że nie.
— Jeżeli będę działał, to tylko w twoim własnym interesie.
— Nie wątpię o tem.

— A więc!... ja jestem zaufanym przyjacielem króla; najlepszy dowód, że kiedy mu coś nieprzyjemnego donieść potrzeba, ja to biorę na siebie.

— Ale, mój przyjacielu, kiedy mnie przedstawisz...
— To cóż?...
— Aramis będzie się gniewał.
— Na mnie?...
— Nie, ale na mnie.

— Ba!... czy on, czy ja cię przedstawię, to wszystko przecie jedno, skoro masz być przedstawionym.

— Miano mi zrobić ubranie.

— Twoje jest bardzo piękne.

— To, które zamówiłem, miało być daleko piękniejsze.

— Pamiętaj, że król lubi skromność.

— A zatem skromnie będę ubrany. Ale co powie pan Fouquet kiedy usłyszy, że wyjechałem.

— Czyż jesteś tu jeńcem na słowo?...

— Bynajmniej, ale przyrzekłem mu, że nie oddalę się, nie uwiadomiwszy go o tem.

— Za pozwoleniem, powrócimy jeszcze do tego przedmiotu. Czy masz tu co do roboty?...

— Ja nic, przynajmniej nic ważnego.

— Chyba, że jesteś pośrednikiem Aramisa w jakiej ważnej sprawie.

— Na honor, nie.

— To co ci mówię, pojmujesz, że z przychylności dla ciebie mówię: przypuśćmy więc, że Aramisowi masz przesłać jakieś listy.

— A!... listy!... tak... posyłam mu listy.

— I dokąd?...

— Do Fontainebleau.

— A czy je masz?...

— Ale...

— Pozwól mi dokończyć. Czy masz te listy?

— Właśnie jeden dopiero co odebrałem.

— Ważny?...

— Tak myślę.

— To ty nie czytasz ich?...

— Nie jestem ciekaw.

Tu Portos wyjął z kieszeni list, przysłany przez żołnierza, który d'Artagnan przed chwilą przeczytał.

— Czy wiesz, co uczynić należy?... — zapytał d'Artagnan.

— Odesłać go do djabła!...

— Bynajmniej.

— Zatem schować go?...

— I to nie; alboż ci nie mówiono, że to list ważny?

— Bardzo ważny.

— Zatem należy samemu zawieźć go do Fontainebleau.

— Aramisowi?... Tak, prawda.
— A ponieważ król się tam znajduje...
— Więc?...
— Będziesz z tego mógł skorzystać... bo przedstawię cię królowi.
— A!... do szatana, d'Artagnan, tylko ty masz taki dowcip.
— Zamiast więc wyprawiać do naszego przyjaciela mniej lub więcej wiernych posłańców, sami mu list zawieziemy.
— A ja ani o tem pomyślałem, a przecie to taka rzecz prosta.
— Otóż wiele od tego zależy, abyśmy zaraz wyjechali.
— Niewątpliwie; im prędzej wyjedziemy, tem list mniejszego dozna opóźnienia.
— Wybornie rozumujesz, mój przyjacielu, jak widzę; logika wspiera twoję wyobraźnię.
— Czy tak sądzisz?
— Jest to skutek gruntownych nauk — odpowiedział d'Artagnan. — Jedźmy więc.
— A moje przyrzeczenie, dane panu Fouquet?...
— Jakie?...
— Że nie opuszczę Saint-Mande, nie uprzedziwszy go o tem.
— Ach!... mój Portosie — odrzekł d'Artagnan — jakiżeś ty młody!
— Jakto?...
— Wszak będziesz w Fontainebleau?...
— Tak.
— Zatem znajdziesz pana Fouquet?...
— A tak.
— Może nawet u króla.
— U króla?... — powtórzył uroczyście Portos.
— Zbliżysz się więc do niego i powiesz: panie Fouquet, mam honor zawiadomić cię, że opuściłem Saint-Mande.
— A pan Fouquet, widząc mnie w Fontainebleau, u króla — podchwycił Portos z tą samą powagą — nie poważy się powiedzieć, że kłamię.
— Mój kochany Portosie, właśnie to samo chciałem ci powiedzieć, ale mnie uprzedziłeś. Ach!... Portosie, jakiejżeś ty szczęśliwej natury, wiek żadnego nie wywiera na ciebie wpływu.
— Niekoniecznie.
— Więc, zgoda?

— Tak sądzę.
— Nie masz już żadnego skrupułu?...
— Myślę, że nie.
— Zatem biorę cię z sobą.
— Doskonale, każę osiodłać konie.
— Czy masz tu konie?...
— Mam ich pięć.
— Któreś z Pierrefonds sprowadził?...
— Nie, które mi dał pan Fouquet.

— Mój kochany Portosie! nie pięciu, ale dwóch tylko potrzebujemy koni; zresztą mam trzy w Paryżu, a osiem to za wiele.

— Nie byłoby za wiele, gdybym miał moich ludzi; ale niestety!... nie mam ich.

— Czy żałujesz swych ludzi?...

— Żałuję Mousquetona... Mosquetona mi brakuje.

— Wyborne serce — rzekł d'Artagnan — ale wierzaj mi, pozostaw tu konie, jak w domu zostawiłeś Mousquetona.

— A to dlaczego?...

— Ponieważ później...

— Co później?...

— Ponieważ później, może lepiej będzie abyś nic nie miał od pana Fouquet.

— Nie rozumiem tego — odrzekł Portos.

— To polityka, a nawet subtelna.

Portos schylił głowę, na wyraz: "polityka"; ale po chwili dumania, dodał:

— Wyznam ci, d'Artagnanie, że nie jestem tchórzem.

— Wiem o tem doskonale.

— Ale nikt o tem nie wie! Sam mi to mówiłeś, ty jeden z najwaleczniejszych...

— Cóż ci mówiłem?...

— Że są pewne dni, i sam tego doświadczyłem, są pewne dni, w których mniejszej doznaje się przyjemności, obrywając co z muszkietu, lub mieczem.

— I ja tak myślę.

— A widzisz i ja także, chociaż nie wierzę w śmiertelne ciosy.

— A jednak sam zabijałeś.

— Tak, ale mnie nie zabito. Dlatego myślę, że nie umrę ani od miecza, ani od kuli.

— Więc niczego się nie lękasz; chyba może wody?...

— Bynajmniej, pływam jak kaczka.

— Może gorączki?...

— Nigdy jej nie miałem i myślę, że nigdy jej mieć nie będę; ale jedną ci rzecz wyznam...

Tu Portos głos zniżył.

— Jaką?... — zapytał d'Artagnan, stosując swój głos do Portosa.

— Wyznam ci — powtórzył Portos — że strasznie się lękam polityki.

— Ach!... — zawołał d'Artagnan.

— I słusznie — podchwycił Portos głosem stentorowym. — Widziałem Jego wysokość kardynała Richelieu, Jego wysokość kardynała Mazariniego i wiem, że pierwszy z nich miał politykę czerwoną, a drugi czarną. Jak z jednej, tak z drugiej nie byłem zadowolony; pierwsza odcięła głowę panu de Marsillac, panu de Thou, panu de Cinq-Mars, panu de Chalaic, panu de Bouteville i panu de Montmorency; druga rozszarpała wielu członków frondy, do której i myśmy należeli.

— Przeciwnie, nie należeliśmy.

— I owszem, bo jeżeli miecz wyciągnąłem za kardynała, to uderzyłem za króla.

— Kochany Portosie!...

— I dlatego tak boję się polityki, że gdybym widział, iż cokolwiek jest jej w tem, natychmiastbym do Pierrefonds powrócił.

— I miałbyś słuszność, gdyby tak było; ale zemną, kochany Portosie, nigdy niema nic politycznego. Pracowałeś nad ufortyfikowaniem Belle-Isle, król chciał wiedzieć nazwisko inżyniera, kierującego pracami; ty jesteś skromny, jak każdy człowiek zasłużony, a widać Aramis chciał cię schować pod korzec. Ja biorę cię, i oświadczam, że cię przedstawię królowi i zyskam dla ciebie nagrodę. Oto cała polityka.

— I moja taka — odrzekł Portos, podając cd'Artagnanowi rękę.

Ale d'Artagnan znał rękę Portosa; wiedział on o tem dobrze, że ręka zwyczajna kiedy się dostanie pomiędzy palce Portosa, nie wyjdzie bez szwanku.

Podał zatem przyjacielowi nie rękę, ale pięść.

Portos nie zauważył tego.

Potem obydwaj wyjechali z Saint-Mande.

Odźwierni śmiali się trochę i szeptali do siebie. D'Artagnan zrozumiał to, ale nie chciał tego pokazać Portosowi.

— Nasz przyjaciel — rzekł do siebie — był widocznie niewolnikiem Aramisa. Zobaczymy, co wyniknie z wypuszczenia na wolność tego buntownika.

CXLVI

SZCZUR I SER.

Kiedy d'Artagnan, wchodząc pierwszy do sklepu pod "Złotym tłuczkiem," oznajmił panu Planchet, że pan du Vallon podróż z nimi odbędzie; kiedy Portos wchodząc do sklepu, piórem od kapelusza poruszył świece drewniane, na znak przed sklepem wywieszone, jakieś bolesne przeczucie zakłóciło radość Plancheta, jaką na dzień następny sobie obiecywał.

Ale nasz kupiec poczciwe miał serce — drogi zabytek lepszych czasów.

Pomimo też wewnętrznego dreszczu, który starał się przezwyciężyć, przyjął Portosa z uszanowaniem, okraszonem czułą serdecznością.

Portos z początku ża sztywny, z powodu różnicy stanu, jaka zachodziła w owej epoce pomiędzy baronem a kupcem korzennym, stał się jednak bardziej przystępnym, widząc w Planchecie tyle dobrych chęci i uprzejmości.

Najbardziej mu się to podobało, że mu pozwolono zanurzać szerokie ręce w szufladach z suszonymi i smarzonymi owocami, w workach, napełnionych migdałami i orzechami, w szafach, pełnych cukru.

Dlatego, pomimo zaproszenia Plancheta, aby się udał do mieszkania na piętrze, obrał sobie sklep za ulubione miejsce na wieczór, gdzie jego palce natychmiast napotykały to, co oczy ujrzały i nos zwietrzył.

Smaczne figi prowanckie, wielkie śliwki turyńskie były dla Portosa przedmiotem zajęcia, którem pięć godzin bez przerwy się raczył.

W jego zębach, jak pod młyńskiemi kamieniami, trzaskały ogrzechy, z których skorupy zaległy podłogę i pod nogami chodzących pękały z hukiem; Portos za jednym zamachem, wrzucał do gęby ogromne muszkatołowe winogrona w ilości półfuntowej, skąd niebawem przechodziły do żołądka.

Ukryci w kącie sklepu chłopcy, z przestrachem spoglądali po sobie, nie śmiąc się odzywać.

Nie znali oni Portosa, ani nawet nigdy go nie widzieli.

Ród owych Tytanów, którzy nosili ogromne zbroje Hugona Kapeta, Filipa Augusta i Franciszka I-go zaczął już znikać.

Pytali się zatem w duszy, czy to nie jest ludzożerca z powieści o czarownicach, i czy w jego nienasyconym żołądku nie zniknie cały magazyn Plancheta.

Gryząc, chrupiąc, żując, ssąc, smakując i połykając, Portos co chwila powtarzał kupcowi:

— Piękny masz handel, przyjacielu Planchecie.

— Ale nie na długo wystarczy, jeżeli tak dłużej potrwa, — bąknął pierwszy chłopiec sklepowy, któremu Planchet przyrzekł z czasem oddać handel.

I z rozpaczą zbliżył się do Portosa, który swoją osobą zajmował całe przejście, prowadzące do składu.

Sądził, że Portos podniesie się i że poruszenie to powstrzyma jego żądzę pożerania.

— Czego żądasz, mój przyjacielu?... — zapytał Portos łagodnie.

— Chciałbym przejść, jeżeli to panu nie sprawi przykrości.

— Śmiało, mój przyjacielu, to mnie wcale nie fatyguje.

I mówiąc to, wziął subjekta za pas, podniósł z ziemi i przesadził na drugą stronę.

Dopełnił tego z uśmiechem pełnym łagodności.

Nogi zachwiały się pod subjektem, kiedy go Portos stawiał na ziemi i biedak upadł na paki.

Jednak, widząc łagodność olbrzyma, ośmielił się znowu odezwać:

— Ach!... panie, bądźże ostrożnym.

— Z czem, mój przyjacielu?...

— Ogień pan rozniecisz w sobie.

— Jakto, mój dobry przyjacielu?...

— Bo wszystkie te owoce rozpalają.

— Jakie?...

— Rodzynki, orzechy, migdały.

— Ha!... jeżeli migdały, orzechy i rodzynki rozpalają...

— Z pewnością, proszę pana.

— To przecie miód chłodzi.

I, wyciągając rękę ku baryłce miodu, stojącej opodal zanurzył w niej łopatkę, używaną do czerpania.

I połknął z pół funta miodu.

— Mój przyjacielu, teraz będę cię prosił o wodę.

— Czy kubłem?... — naiwnie spytał subjekt.

— Nie, karafką, karafki będzie dosyć, — dobrodusznie odpowiedział Portos.

I, jak trębacz trąbkę, przechylił karafkę do ust i duszkiem ją wypróżnił.

Planchet zadrżał wszystkiemi nerwami, które mają jakikolwiek związek z miłością dla własności.

Jednak, jako godny gospodarz, przestrzegający wiernie dawnej gościnności, udawał, że z wielkiem zajęciem rozmawia z d'Artagnanem i powtarzał ciągle:

— Ach!... panie, jaka radość!... ach!... panie, co za szczęście!...

— Planchet, o której godzinie będziemy jedli kolację?... — zapytał — Portos — przyznam ci się, że mam apetyt.

Subjekt załamał ręce.

Dwaj chłopcy sklepowi schowali się pod kasę z obawy, aby Portos nie wziął się do nich, gdy się nie naje.

— Tutaj zjemy tylko lekki podwieczorek — odrzekł d'Artagnan, — a następnie na wsi u Plancheta będziemy wieczerzali.

— Więc do ciebie na wieś jedziemy, Planchet? — zapytał Portos — Tem lepiej.

— O!... pan mi wielki czynisz zaszczyt, panie baronie.

Wyraz "baron" ogromne sprawił wrażenie na chłopcach sklepowych, którzy po raz pierwszy widzieli człowieka utytułowanego z takim apetytem.

Zresztą tytuł ten uspokoił ich zupełnie, bo nie słyszeli, aby ludożercę nazywano panem baronem.

— Zjem kilka biszkoptów na drogę — odezwał się Portos od niechcenia.

To mówiąc, napełnił kieszenie biszkoptami.

— Mój sklep ocalony — zawołał Planchet.

— Tak, równie jak ser, — odrzekł pierwszy subjekt.

— Jaki ser?...

— Ów ser holenderski, do którego zakradł się szczur i z któregośmy znaleźli tylko wierzch.

Planchet spojrzał po sklepie i na widok tego co uszło przed zębami Portosa, uznał to porównanie za przesadzone.

Pierwszy subjekt spostrzegł, co dzieje się w umyśle pana.

— Tylko niech nie powraca!... — rzekł.

— Czy masz u siebie owoce?... — zapytał Portos, wchodząc do mieszkania, gdzie, jak oznajmiono, zastawiony był podwieczorek.

— Niech go djabli!... — pomyślał sobie kupiec, rzucając na d'Artagnana błagalne spojrzenie, które ten tylko na wpół pojął.

Po podwieczorku puszczono się w drogę.

Późno było, kiedy trzej jeźdźcy, wyjechawszy około godziny szóstej z Paryża, przybyli na bruk Fontainebleau.

Drogę odbyto wesoło. Portos zasmakował w towarzystwie Plancheta, albowiem ten okazywał mu wiele uszanowania i rozmawiał z zamiłowaniem o jego łąkach, lasach i polach.

Portos zaś miał upodobanie i dumę właściciela.

D'Artagnan, kiedy widział, że dwaj jego towarzysze zbliżają się ku sobie, zjechał w bok drogi, cugle zarzucił na siodło i odłączył się od nich.

Portos i Planchet bezustanie rozmawiali.

Planchet wyznał Portosowi, że w dojrzałym wieku swojego życia zaniedbał rolnictwa dla handlu; ale, że młodość jego upłynęła mu w Pikardji, wśród najpiękniejszych łąk, których trawy dochodziły do kolan i pod zielonemi jabłoniami, których czerwone owoce wabiły oko, i że poprzysiągł sobie, iż skoro tylko zrobi majątek, powróci na łono natury i zakończy życie tak jak zaczął, to jest, o ile można najbliżej ziemi, w którą wszyscy przechodzą.

— Zatem, kochany panie Planchet — rzekł Portos — musisz być bliski celu.

— Jakto?...

— Zdaje mi się, że zrobiłeś majątek.

— Tak, ale więcej mówią, niźli jest.

— Na jakiej więc cyfrze myślisz pan spocząć?...

— Panie — odrzekł Planchett, nie odpowiadając na pytanie, jakkolwiek było interesujące — jedną tylko rzecz wielką mi sprawia przykrość.

— Jaka rzecz?... — zapytał Portos, patrząc za siebie, jakby go chciał od niej zwolnić.

— Dawniej — rzekł kupiec — nazywałeś mnie pan krótko Planchetem i byłbyś powiedział: Na jakiej liczbie myślisz spocząć, Planchecie?...

— Zapewne, zapewne, dawniej tak byłbym powiedział, — odparł poczciwy Portos z pomieszaniem pełnem delikatności — ale dawniej....

— Dawniej, byłem lokajem pana d'Artagnana, nieprawdaż, to chciałeś pan powiedzieć?...

— A tak.

— A dziś, chociaż nie jestem jego lokajem, ale zawsze jestem jego sługą; co więcej, od tego czasu...

— Co mówisz, Planchecie?...

— Od tego czasu, mam zaszczyt być jego wspólnikiem.

— Ho!... ho!... — rzekł Portos. — Jakto?... d'Artagnan wszedł w spółkę do handlu korzennego?...

— Nie, nie — odpowiedział d'Artagnan, którego te wyrazy ocuciły z zadumy i skłoniły do rozmowy ze zręcznością i pośpiechem, które cechowały każde działanie jego umysłu lub ciała. — Nie d'Artagnan zawarł spółkę w handlu korzennym, ale Planchet w polityce, nieprawdaż?

— A tak, — odrzekł Planchet z dumą i zadowoleniem zarazem — zrobiliśmy maleńką operację, która mi przyniosła sto tysięcy liwrów, a panu d'Artagnan dwakroć.

— Ho!... ho!... — odrzekł Portos z zadziwieniem.

— Pomimo to, panie baronie, — mówił dalej kupiec korzenny — proszę cię, abyś mnie nazywał Planchetem jak dawniej, i mówił "ty", jak dawniej, bo nie wyobrażasz sobie pan przyjemności, jaką mi to sprawia.

— Zgoda, jeżeli ci to przyjemność sprawia, mój kochany Planchecie — odpowiedział Portos.

Że zaś blisko był Plancheta, wzniósł rękę, aby go uderzyć po ramieniu, na znak serdecznej przyjaźni.

Ale, na szczęście, koń Plancheta podskoczył i wyprzedził barona, ręka więc jego padła tylko na tył konia Plancheta.

Zwierzę aż się ugięło.

D'Artagnan zaczął się śmiać i rzekł:

— Ostrożnie Planchet, bo jeżeli Portos cię kocha, będzie się z tobą pieścił, a pieszcząc, udusi cię. Czy nie widzisz, jaki Portos jest silny?...

— Przecież Mousqueton nie umarł, a jednak baron go kocha, — odrzekł Planchet.

— Zapewne — wyrzekł Portos z westchnieniem, na które wszystkie trzy konie dęba stanęły — i dzisiaj właśnie mówiłem panu d'Artagnan, jak go bardzo żałuję. Ale powiedz mi, Planchet?...

— Dziękuję, panie baronie, dziękuję.

— Powiedz mi, mój poczciwcze, ile włók zajmuje twój park?...

— Park?...

— Tak. Następnie policzymy łąki, a w końcu lasy.

— Gdzie, panie?...

— W twoim zamku.

— Ja, panie baronie, nie mam ani zamku, ani parku, ani łąk ani lasów.

— Cóż zatem masz?... — zapytał Portos — i dlaczego wsią to nazywasz?...

— Nie mam wsi, panie baronie — odpowiedział upokorzony Planchet — lecz poprostu kawałek ziemi.

— A!... — rzekł Portos — rozumiem cię, jesteś skromny.

— Nie, panie baronie, szczerą mówię prawdę: mam dwa pokoje dla przyjaciół i to wszystko.

— Zatem gdzież używają przechadzki twoi przyjaciele?...

— W lesie królewskim, który jest bardzo piękny.

— Prawda, las bardzo piękny — odrzekł Portos — prawie tak piękny jak las Berry.

Planchet wytrzeszczył oczy.

— Pan masz las taki, jak w Fontainebleau, panie baronie?... — wyjąkał.

— Tak, mam dwa lasy, lecz las Berry jest moim ulubionym.

— Dlaczego?... — uprzejmie zapytał Planchet.

— Ponieważ nie znam jego granic i ponieważ jest w nim mnóstwo kradnących zwierzynę.

— A dlaczego ta obfitość złodziei może być panu baronowi przyjemną?....

— Ponieważ oni polują na moją zwierzynę, a ja na nich i w czasie pokoju, prowadzę z nimi jakby wojnę.

Tak rozmawiano, kiedy Planchet, podnosząc głowę ujrzał pierwsze domy Fontainebleau, które rysowały się na tle jasnych obłoków; nad ich zaś ścieśnioną masą wzniosły się spiczaste dachy zamkowe, których dachówka przy świetle księżyca błyszczała jak łuski ogromnej ryby.

— Panowie — rzekł Planchet — mam honor uprzedzić was, żeśmy przybyli do Fontainebleau.

CXLVII

WIEŚ PLANCHETA.

Jeźdźcy podnieśli głowy i przekonali się, że zacny Planchet mówił zupełną prawdę.

W dziesięć minut potem byli na ulicy Ljońskiej, po drugiej stronie oberży pod "Pięknym Pawiem."

Ogromny płot z bzu, tarni i chmielu tworzył czarny i nieprzebyty wał, po za którym wznosił się biały dom, pokryty czerwoną dachówką.

Dwa okna tego domu wychodziły na ulicę.

Dwa drugie były ślepe.

Pomiędzy niemi dawała wejście niewielka brama, opatrzona dachem, wsparta na słupach.

Wchodziło się do bramy przez próg wysoki.

Planchet zsiadł z konia, jakby miał do bramy zapukać, lecz, miarkując się, wziął konia za cugle i przebył około trzydziestu kroków pieszo.

Dwaj jego towarzysze postępowali za nim.

Przybywszy przed bramę, położoną o trzydzieści kroków dalej, podniósł klamkę drewnianą, jedyne zamknięcie, i jedną połowę bramy otworzył.

Wszedł pierwszy, ciągnąc konia za sobą, na mały dziedzińczyk, pełny mierzwy, która bliską zapowiadała oborę.

— Pięknie tu pachnie — rzekł donośnie Portos, zsiadając z konia — będę sądził, że jestem w moich wołowniach w Pierrefonds.

— Ja mam tylko jedną krowę — skromnie pospieszył z odpowiedzią Planchet.

— A ja mam ich trzydzieści — odrzekł Portos — albo raczej sam nie wiem, ile ich mam.

Planchet zamknął bramę.

Tymczasem d'Artagnan, zsiadłszy ze zwyczajną lekkością z konia, nasycał się świeżem powietrzem i, jak prawdziwy paryżanin, kiedy zobaczy zieloność, jedną ręką urwał powoju, a drugą dziką różę. .

Portos urwał grochu, który wił się po tyczkach i gryzł łupiny i ziarna.

Planchet natychmiast zajął się obudzeniem starego i schorowanego wieśniaka, który leżał na mchu, przykryty sukmaną.

Wieśniak ten, poznawszy Plancheta, nazwał jego swoim panem, ku niemałemu, zadowoleniu kupca.

— Postaw konie u żłobu, mój stary, i daj im dobrze jeść — rzekł Planchet.

— Tak, tak, piękne bydlęta — mówił wieśniak — o!.. trzeba je szanować.

— Powoli, powoli, przyjacielu, — odrzekł d'Artagnan — owies i sieczka, to dosyć.

— I wody czystej dla mojego — dodał Portos — bo zgrzany, jak mi się zdaje.

— Bądźcie, panowie spokojni — odezwał się Planchet. — Ojciec Celestyn jest starym żandarmem z Ivry i zna się na koniach; pójdźcie, panowie, do domu.

I poprowadził dwóch przyjaciół przez aleję która ciągnęła się wśród ogrodu warzywnego i łąki, a kończyła się w małym ogródku, gdzie wznosił się dom frontem ku ulicy zwrócony.

W miarę, jak się zbliżano, widzieć można było przez dwa okna wnętrze mieszkania Plancheta.

Mieszkanie to ,słabo oświetlone lampą, ukazywało się z głębi ogrodu, jak miły obraz spokoju, dostatku i szczęścia.

Wszędzie, gdziekolwiek padał biały promień światła, oddzielający się od swojego ogniska w lampie, czy to na starożytne fajanse, czy na sprzęty, błyszczące od czystości, czy na broń, zawieszoną na ścianie, wszędzie znajdował odbicie, albo spoczywał na rzeczy dla oka przyjemnej.

Ta lampa, która oświecała pokój, kiedy liście drzew osłaniały okna na zewnątrz, pysznie rozjaśniała biały, jak śnieg, obrus.

Dwa były nakrycia na tym obrusie.

Żółte wino błyszczało w wysokiej butelce, a wielki dzbanek fajansowy niebieski, ze srebrną przykrywką, obejmował pieniący się jabłecznik.

Przy stole w krześle z wielkiemi poręczami drzemała kobieta trzydziestoletnia, z twarzą, rozjaśnioną zdrowiem i świeżością.

Na kolanach tej czerstwej kobiety wielki kot rudy, wyginając w łuk swoje ciało, chrapał charakterystycznie na wpół zamknąwszy oczy.

Dwaj przyjaciele zatrzymali się przed tem oknem, opanowani podziwem.

Planchet, widząc ich zdziwienie; słodką uczuł radość.

— Ach!... hultaju, Planchecie — rzekł d'Artagnan — teraz wiem, poco wyjeżdżasz.

— Ach!... jaka biała bielizna — odrzekł z kolei Portos głosem piorunującym.

Na ten głos kot uciekł, gospodyni na równe zerwała się nogi, a Planchet, przybierając uprzejmą minę, wprowadził dwóch towarzyszy do pokoju, w którym stał stół nakryty.

— Pozwól, mi moja droga, że ci przedstawię pana d'Artagnana, rycerza, mojego dobroczyńcę.

D'Artagnan wziął rękę kobiety, jak dworak i z takiem rycerskiem uszanowaniem, jakby brał rękę księżny pani.

— Pana barona du Vallon de Bracieux de Pierrefonds — dodał Planchet.

Portos oddał ukłon, z którego Anna Austrjacka, nie chcąc uchodzić za wymagającą, byłaby zadowoloną.

Przyszła kolej na Plancheta.

Szczerze uściskał kobietę, uczyniwszy znak, jakby wprzód chciał prosić o pozwolenie d'Artagnana i Portosa.

Rozumie się, że udzielono mu najchętniej.

D'Artagnan odezwał się nawet z komplementem dla Plancheta.

— O!... to się nazywa urządzić sobie życie.

— Panie — odpowiedział Planchet, śmiejąc się — życie to kapitał, który należy jaknajkorzystniej umieszczać.

— A ty widzę ciągniesz z niego wielkie procenty — odezwał się Portos huczącym głosem.

Planchet powrócił do gospodyni.

— Droga przyjaciółko — rzekł — widzisz tu dwóch ludzi,

którzy część mojego życia wiedli za sobą. Ileżto razy mówiłem ci o nich...

— I jeszcze o dwóch inych — odrzekła kobieta dobitnym akcentem flamandzkim.

— Czy pani jest Holenderką?... — zapytał d'Artagnan.

Portos musnął wąsa, co dostrzegł uważający d'Artagnan.

— Jestem z Antwerpji — odpowiedziała dama.

— I nazywa się pani Gechter — rzekł Planchet.

— Ale ty tak zapewne pani nie nazywasz?... zapytał d'Artagnan.

— Ja nazywam ją Truchen.

— Śliczne imię!... — rzekł Portos.

— Truchen — mówił Planchet — przybyła z Flandrji ze swoją cnotą i dwoma tysiącami złotych uciekłszy od nieznośnego męża, który ją bił. Ja jako pochodzący z Pikardji, zawsze lubiłem Artezjanki. Z Artois do Flandrji to zaledwie krok jeden; ona przyszła szukać pomocy u mego poprzednika przy ulicy Lombardów: umieściła u mnie swoje dwa tysiące któremi ja obracałem, tak, że dzisiaj wynoszą dziesięć.

— Brawo!... Planchet.

— Jest wolna, bogata, ma krowę, rozkazuje służącej i ojcu Celestynowi; szyje dla mnie koszule, robi pończochy na zimę i widuje mnie co dwa tygodnie. Sądzę, że jest zupełnie szczęśliwa.

— W rzeczy samej, jestem bardzo szczęśliwa — zapewniła Truchen.

Portos musnął drugą połowę wąsa.

— Do djabła!... — rzekł d'Artagnan — czyżby Portos miał jakie zamiary...

Tymczasem Truchen, rozumiejąc, o co rzecz chodzi, dodała dwa nakrycia i napełniła stół wybornemi potrawami, które z wieczerzy zwyczajnej czynią biesiadę, a z biesiady ucztę.

Świeże masło, mięsa marynowane, ryby, zwierzyna, wszelkie przysmaki wiejskie.

Nadto Planchet powrócił z piwnicy, obładowany dziesięcioma butelkami, których szkła nie widać było z pod grubej warstwy pyłu.

Ten widok rozweselił serce Portosa.

— Jeść mi się chce — rzekł.

I usiadł przy pani Truchen z morderczem spojrzeniem.

D'Artagnan usiadł po drugiej stronie.

Planchet wesoło usiadł wprost nich.

— Nie dziwcie się, panowie — rzekł — że w czasie wieczerzy Truchen będzie często wstawać od stołu; musi ona pamiętać o waszych sypialnych pokojach.

Istotnie gospodyni zajęła się urządzeniem sypialni na pierwszem piętrze.

Tymczasem trzej mężczyźni jedli i pili, a Portos najwięcej.

Rozkosz była na nich patrzeć.

Z dziesięciu butelek wina, pozostało dziesięć trupów, kiedy Truchen przybyła z serem.

D'Artagnan zachował całą swoją godność.

Portos przeciwnie stracił część swojej powagi.

Śpiewano i rozmawiano.

D'Artagnan poradził, aby odbyć nowy pochód do piwnicy, a że Planchet nie mógł iść pewnym krokiem, więc ofiarował mu się towarzyszyć.

Wyszli zatem, nucąc pieśni, którychby się przelękli djabli.

Truchen została przy stole z Portosem.

Kiedy szukali najlepszego wina, słyszeć się dał donośny odgłos, jaki zazwyczaj pochodzi z ust, dotykających się twarzy.

— Portos myśli, że jest pod Roszelą, — rzekł do siebie d'Artagnan.

I powrócili obładowani butelkami.

Planchet o niczem nie wiedział, tylko śpiewał.

D'Artagnan, który zawsze wszystko widział, zauważył, że lewy policzek Truchen jest czerwieńszy od prawego.

Zresztą Portos uśmiechał się z lewej strony do Truchen i muskał obydwiema rękami obydwie połowy wąsów.

Truchen uśmiechała się także do wspaniałego jespana.

Szumiące wina andegaweńskie już tak ciężyły na umysłach naszych trzech bohaterów, że ledwie siedzieli.

D'Artagnan tyle sił znalazł, że potrzymał stoczek, aby oświetlić Planchetowi jego własne schody.

Planchet ciągnął Portosa, a popychała go Truchen także nieco "wesoła."

D'Artagnan znalazł pokoje i wyszukał łóżka.

Portos położył się, rozebrany przez przyjaciela muszkietera.

D'Artagnan rzucił się na swoje, mówiąc:

— Do djabła!... a jednak przysiągłem, że nie tknę tego żółtego wina, które trąci krzemieniem, fe!... Gdyby muszkieterowie zobaczyli swojego kapitana w takim stanie...

I, zasłaniając firanki łóżka, dodał:

— Szczęście, że mnie nie zobaczą.

Plancheta wyniosła Truchen, rozebrała, wsadziła do łóżka, zasłoniła firanki i drzwi zamknęła.

— To mi wieś zabawna! — rzekł Portos, wyciągając się na łóżku, które strasznie trzeszczało pod jego ciężarem, na co nikt jednak nie zwrócił uwagi. — Tak się u Plancheta bawiono.

O drugiej po północy wszyscy już chrapali.

CXLVIII

CO WIDAĆ Z DOMU PLANCHETA.

Ranek zastał trzech bohaterów, śpiących w najlepsze.

Truchen zamknęła okiennicę, lękając się, aby natrętne słońce nie zajrzało w ociężałe oczy spoczywających.

To też ciemno było pod firankami Portosa i pod baldachimem Plancheta, kiedy d'Artagnan, zbudzony pierwszym promykiem słońca, jaki mu w okno zajrzał, wyskoczył z łóżka, jakby pierwszy miał iść do szturmu.

Do szturmowania obrał sobie sąsiedni pokój Portosa.

Zacny Portos chrapał, aż się rozlegało; widać było olbrzymie jego piersi i ogromne zwieszone w dół pięści.

D'Artagnan obudził Portosa, który, śmiejąc się, przetarł oczy.

Tymczasem Planchet, ubrawszy się także, stał już w drzwiach swojego pokoju, gotów do powitania gości, śmiejących się po wczorajszej hulance.

Chociaż było jeszcze dość wcześnie, cały dom już nie spał. Kucharka mordowała bez litości drób, a ojciec Celestyn zbierał wiśnie w ogrodzie.

Portos, pełen rzeżkości, podał Planchetowi rękę, a d'Artagnana prosił o pozwolenie uściskania pani Truchen.

Truchen wcale temu nie była krzywa. Zbliżyła się do Portosa i spełniła chętnie polecenie.

Portos uścisnął panią Truchen z ciężkiem westchnieniem.

Planchet, wziąwszy obydwóch przyjaciół pod ramię, rzekł:

— Pokażę panom mój domek; wczoraj wieczorem wjechaliśmy, jak do pieca i nic nie mogliśmy widzieć; ale w dzień zmienia się widok i będziecie panowie, zadowoleni.

— Zacznijmy od widoku — rzekł d'Artagnan — piękny widok lubię przedewszystkiem; zawsze mieszkałem w pałach królewskich, a monarchowie bardzo umieją wybierać miejsca pod swe pałace.

— J a— odrzekł Portos — także lubię piękny widok. W moim Pierrefonds kazałem wyciąć cztery aleje, które mi zasłaniały widok.

— Osądzicie, panowie, jakim jest widok z mojego mieszkania — rzekł Planchet.

I podprowadził obydwu gości do okna.

— Ach!... to ulica Ljońska, — odezwał się d'Artagnan.

— Tak, wychodzą na nią dwa okna, ale to widok mało powabny, bo widać stąd oberżę, zawsze gwarną i pełną ruchu, która jest nieprzyjemnem sąsiedztwem. Dawniej były tu cztery okna, ale dwa kazałem zamurować.

— Idźmy dalej — rzekł d'Artagnan.

I weszli na korytarz, prowadzący do pokoi.

Planchet pchnął okiennice.

— Patrzaj!... patrzaj!... — mówił Portos — a tam co?...

— Las — odpowiedział Planchet. — Jednostajny to zawsze widok, tylko w różnych porach roku zmienia barwę: żółtawy jest na wiosnę, zielony w lecie, czerwony w jesieni, a biały w zimie.

— Wybornie, ale firanki przeszkadzają nieco...

— Prawda, — odpowiedział Planchet — ale z tego kącika widać...

— Ach!... obszerne pole... — rzekł Portos.... — patrzcie... ale cóż ja tam widzę?... krzyże, kamienie...

— Ach!... to cmentarz!... — zawołał d'Artagnan.

— Prawda, — odpowiedział Planchet — i daję panom słowo, że to rzecz bardzo ciekawa. Rzadko dzień mija, aby kogoś nie chowano; Fontainebleau jest ludne. Tutaj przychodzą więc młode dziewice, biało ubrane, urzędnicy miejscy, bogaci mieszczanie ze śpiewakami i księżmi, niekiedy oficerowie królewscy.

— Ja tego nie lubię, — rzekł Portos.

— To wcale nie rozweselające, — dodał d'Artagnan.

— A ja upewniam panów, że to napawa świętemi myślami, — odparł Planchet.

— Temu nie przeczę.

— Wszakże — mówił dalej Planchet — musimy kiedyś umrzeć i godną uwagi jest zasada: Pamiętaj o śmierci.

— I temu nie przeczę — odrzekł Portos.

— Ale — zrobił uwagę d'Artagnan — zbawienną jest także myśl o zieloności, o kwiatach, strumieniach, zbożu, polach i przestrzeni bez granic.

— Gdybym miał takie widoki, pewniebym niemi nie pogardził, — rzekł Planchet — ale, mając tylko ten cmentarzyk zielony, zarosły, ocieniony i spokojny poprzestaję na nim i myślę o ludziach w mieście, o tych naprzykład, którzy mieszkają przy ulicy Lombardów i patrzą, jak przed nimi przesuwa się codziennie dwa tysiące wozów i pięćdziesiąt tysięcy pieszych.

— Ale żyjących — rzekł Portos.

— Otóż dlatego, — odpowiedział z bojaźnią Planchet — nie razi mnie, gdy patrzę trochę na umarłych.

— Djabeł z tego Plancheta — rzekł d'Artagnan; — raczej na poetę jest stworzony, niż na kupca.

— Panie — odparł Planchet — jestem jednym z tych ludzi, których Bóg stworzył, aby żyli pewien czas i uważali za dobre wszystko, cokolwiek ich spotka na ziemi.

D'Artagnan usiadł przy oknie i zaczął marzyć.

— Dalipan!... — zawołał Portos — widzę, że zamierzają dać nam widowisko. Zdaje mi się, że słychać śpiewy.

— Tak, to śpiewy, — rzekł d'Artagnan.

— To pogrzeb ostatniego stopnia — odrzekł lekceważąco Planchet. — Tylko ksiądz, organista i chłopiec. Widzicie, panowie, że zmarły był ubogi.

— Nikt za nim nie idzie.

— Prawda — wyrzekł Portos — a jednak widzę jakiegoś mężczyznę.

— Prawda, mężczyznę, spowitego w płaszcz — odparł d'Artagnan.

— Niema na co patrzeć — zakończył Planchet.

— Ale mnie to obchodzi — odparł d'Artagnan, opierając się o framugę.

— Pójdźmy, pójdźmy, panowie — mówił wesoło Planchet — i ja pierwszych dni byłem smutny i przykro mi było, kiedy

krzyże i żałobne pieśni jak gwoździe w łeb mi się pchały; ale od niejakiegoś czasu, zasypiam przy żałobnych śpiewach i ptaszki z cmentarza wydają mi się tak przyjemne jak wszystkie inne.

— Ale mnie to wcale nie bawi — odrzekł Portos — i wolę wyjść.

Planchet poskoezył i podał ramię Portosowi, aby go zaprowadzić do ogrodu.

— Jakto!... ty tu pozostajesz... — zapytał Portos d'Artagnana, odwracając się we drzwiach.

— Tak mój przyjacielu, ale wkrótce połączę się z wami.

— Ho!... ho!... pan d'Artagnan ma słuszność — mówił Planchet. — Czy go już pochowano?

— Jeszcze nie.

— Ach!... grabarz czeka, żeby przywiązano sznury do trumny. Patrzcie... panowie, jakaś kobieta wchodzi na cmentarz.

— Tak, tak, kochany Planchecie — rzekł z żywością d'Artagnan — ale pozostaw mnie, pozostaw... Czuję potrzebę religijnego dumania... nie przeszkadzaj mi.

Planchet wyszedł; d'Artagnan pożerał oczyma z za wpół przymkniętych okiennic to, co się przed nim działo.

Niosący trupa odwiązali sznury i spuścili trumnę do dołu.

O kilka kroków mężczyzna w płaszczu, jedyny świadek tej smutnej sceny, oparł się o wielki cyprys i ukrył swoją postać przed grabarzam i księdzem; ciało zmarłego pogrzebano w pięć minut.

Po zasypaniu dołu oddalił się ksiądz; grabarz przemówił kilka słów do niego i również wyszedł.

— Co, u licha!... — mruknął d'Artagnan — ten mężczyzna to Aramis!...

Aramis w rzeczy samej pozostał nieporuszony; ale, zaledwie odwrócił głowę chód kobiecy i szelest sukni doszły do jego uszu.

Natychmiast zdjął kapelusz z wielkiem uszanowaniem dworaka; następnie, zaprowadził damę pod kasztany i lipy, które ocieniały miejsce ostatniego spoczynku.

— Jak widzę — rzekł d'Artagnan — biskup z Vannes naznacza sobie schadzki. To zawsze opat Aramis, umizgający się w Noisy-le-Sec.

Rozmowa trwała przeszło pół godziny.

D'Artagnan nie mógł widzieć twarzy damy, bo stała tyłem, ale z postawy rozmawiających, z poruszeń ich, ze spojrzeń, jakie rzucali na siebie, widział jasno, że nie mówiono o miłości.

Przy końcu rozmowy, dama z uszanowaniem ukłoniła się Aramisowi.

— Ho!... ho!... — rzekł d'Artagnan — to się kończy nie jak schadzka miłosna. Z początku, kawaler na kolanach; następnie, panna pokonana i błagająca. Ale co to za panna?.... Cóżbym ja dał za to, żeby ją widzieć.

Ale było to niepodobieństwem.

Aramis odszedł pierwszy; dama zasłoniła się kwefem i wyszła po nim.

D'Artagnan nie mógł dłużej wytrzymać: pobiegł do okna od ulicy Ljońskiej.

Aramis wszedł do oberży.

Dama udała się w przeciwną stronę.

Widać, że szła do powozu, który czekał na nią przy ścieżce w lesie.

Szła powoli, ze schyloną głową, zatopiona w głębokiem dumaniu.

— Co u licha!.... muszę zobaczyć tą kobietę — rzekł do siebie muszkieter.

I, nie myśląc dłużej, udał się za nią w pogoń.

Idąc, myślał jakim sposobem zmusi ją do uchylenia zasłony.

— Nie jest młoda, — rzekł — a musi to być kobieta z wielkiego świata. Niech mnie djabli wezmą, znam tę figurę!

Kiedy biegł, zdradził go brzęk ostróg, rozlegający się po bruku. Była to bardzo szczęśliwa okoliczność.

Brzęk ten zaniepokoił damę; sądziła, że ktoś ją goni i odwróciła się.

D'Artagnan podskoczył, jakby otrzymał postrzał w łydki i zawrócił.

— To pani de Chevreuse!... — zawołał.

D'Artagnan nie chciał powracać, nie dowiedziawszy się wszystkiego.

Polecił ojcu Celestynowi, aby dowiedział się od grabarza, kogo dziś z rana pogrzebano.

Ten doniósł mu, że biednego mnicha, franciszkanina, który nie miał nawet psa, coby go kochał na tym świecie i odprowadził na miejsce ostatniego spoczynku.

— Gdyby tak było — pomyślał d'Artagnan — Aramis nie był by na jego pogrzebie. Co do przywiązania, nie ma on psiej natury, ale ma ją chyba co do węchu.

CXLIX

JAK PORTOS, TRUCHEN I PLANCHET, DZIĘKI D'ARTAGNANOWI, ROZSTALI SIĘ W ZGODZIE.

Wielki nieład panował w domu Plancheta.

Portos złamał drabinę i dwie wiśnie, objadł wszystkie maliny lecz nie mógł dorwać się do truskawek, z przyczyn, jak mówił, swego pasa.

Truchen, która się oswoiła z olbrzymem, mówiła:

— To nie pas winien, ale brzuch.

Portos uradowany uściskał Truchen, która zbierała truskawki i z ręki jeść mu je dawała.

D'Artagnan, przybywszy w chwili tych uprzejmych względów, zgromił za lenistwo Portosa, a w duszy żałował Plancheta.

Portos jadł ze smakiem; a kiedy skończył, rzekł, spoglądając na Truchen;

— Podoba mi się tutaj.

Truchen się uśmiechnęła.

I Planchet, uśmiechnął się również, chociaż z pewnym przymusem.

Wtedy d'Artagnan rzekł do Portosa:

— Nie przypuszczam, mój przyjacielu, aby rozkosze Kapui pozwoliły ci zapomnieć o celu przybycia do Fontainebleau.

— O przedstawieniu się królowi?...

— A tak, muszę przejść się po mieście, aby się do tego przygotować. Nie wychodź stąd, proszę cię.

— Dobrze, nie wyjdę — odpowiedział Portos.

Planchet spojrzał na d'Artagnana z obawą.

— Czy pan na długo wychodzi?... — zapytał.

— Nie, mój przyjacielu, dziś wieczorem uwolnię cię od dwóch zbyt natrętnych gości.

— Ach, panie d'Artagnan, jak możesz mówić...

— Nie, mój przyjacielu, twoje serce jest najlepsze, ale domek za szczupły. Serce twoje może ugościć króla i sprawić mu przyjemność... domek zaś... Ty nie urodziłeś się wielkim panem.

— I pan Portos także — mruknął Planchet.

— Ale nim został, mój drogi. Jest on panem stu tysięcy liwrów rocznego dochodu od lat dwudziestu, a nadto od pięćdziesięciu lat posiada dwie pięści, którym równych niema w całej Francji. Mój drogi, Portos jest wielkim panem przy tobie i więcej nic ci nie powiem. Wiem, że jesteś domyślny.

— Ale nie, nie, panie, mów jaśniej!...

— Spojrzyj na twój sad, na twoją śpiżarnię, prawie pustą, na połamane łóżko, na wypróżnioną piwnicę, a nawet na panią Truchen.

— Ach!... mój Boże — rzekł Planchet.

— Pani Truchen jest wyborną osobą, ale zachowaj ją dla siebie, rozumiesz?...

I poklepał go po ramieniu.

W tej chwili, kupiec korzenny spostrzegł, jak Portos i Truchen oddalają się do altanki.

Truchen z całym wdziękiem flamandzkim, przypinała Portosowi kolczyki z podwójnych wisien, a Portos miłośnie się uśmiechał, jak Samson do Dalili.

Planchet uścisnął rękę d'Artagnana i pobiegł ku altance.

Oddajmy tę sprawiedliwość Portosowi, że wcale się nie zmieszał.

Zapewne sądził, że nic złego nie robi.

I Truchen także się nie zmieszała, co było dość przykrem dla Plancheta; ale zbyt wielu ludzi widywał w swoim sklepie, aby nie miał siły panowania nad sobą i wstrzymać się nie umiał.

Wziął tylko Portosa pod ramię i zaproponował mu, aby z nim poszedł obejrzeć konie.

Portos powiedział, że jest strudzony.

Planchet zaproponował baronowi du Vallon, aby skosztował wódki gwoździkowej, którą sam przyrządził i chwalił, że jest wyborna.

Na to baron się zgodził.

Tak więc przez cały dzień musiał Planchet zajmować swojego nieprzyjaciela, poświęciwszy swój bufet miłości.

D'Artagnan powrócił po godzinie drugiej.

— Wszystko przygotowane — rzekł — widziałem Jego Królewską Mość w chwili, kiedy wyjeżdżał na polowanie. Wieczorem czeka na nas.

— Król czeka na mnie!... — zawołał Portos, prostując się.

Przyznać należy, że serce człowieka jest ruchome jak woda; od tej chwili Portos nie patrzał na Truchen z tą czułością, którą przed chwilą miękczył serce Antwerpianki.

Planchet, jak mógł, podniecał jego dumne usposobienie, przechodził w opowiadaniu wszystkie świetności ostatniego panowania, bitwy, oblężenia, ceremonje, mówił o zbytku Anglików i o zdobyczach trzech walecznych towarzyszy, pomiędzy którymi d'Artagnan był najniższym rangą, a został ich naczelnikiem.

Wychwalał Portosa, opisując jego minioną młodość, i oddawał zalety cnocie tego wielkiego pana, oraz ścisłej stałości w dochowaniu przyjaźni.

Słowem Planchet był wymowny i zręczny.

Głaskał Portosa, a panią Truchen przejmował obawą.

O godzinie szóstej muszkieter kazał przygotować konie i ubierać Portosa.

Podziękował Planchetowi za jego gościnność, wślizgnął kilka wątpliwych wyrazów, że może mu wyrobić urząd u dworu, co podniosło Plancheta w umyśle pani Truchen, u której biedny kupiec, dobry i szlachetny, doznał poniżenia, od chwili ukazania się dwóch wielkich panów.

Bo taką jest natura kobiet: ubiegają się za tem, czego nie mają, a pogardzają tem, co u nich dawniej wiele znaczyło.

Oddawszy taką przysługę przyjacielowi Planchetowi, rzekł d'Artagnan cicho do Portosa:

— Mój przyjacielu, masz piękny pierścień na palcu.

— Kosztuje trzysta pistolów — odpowiedział Portos.

— Pani Truchen lepiej będzie cię pamiętała, jeżeli jej zostawisz ten pierścień.

Portos zaczął się wahać.

— Może myślisz, że jest nie dość piękny?... — zapytał muszkieter. — Rozumiem cię. Taki wielki pan, jak ty, nie przebywa

u dawnego swojego sługi, aby mu hojnie nie zapłacić za gościnność. Ale zaręczam ci: Planchet ma tak dobre serce, że nawet nie pomyśli o tem, iż ty masz sto tysięcy liwrów dochodu.

— Mam chęć — rzekł Portos, nadęty tą mową — ofiarować pani Truchen mój mały folwarczek w Bracieux... to także pierścionek na palcu, dwanaście włók...

— To na teraz zawiele, mój drogi... zachowaj to na później.

I zdjął mu pierścionek z palca. Następnie, zbliżając się do Truchen, rzekł:

— Pani, pan baron nie śmie prosić cię, abyś przyjęła od niego ten pierścionek. Pan du Vallon jest człowiekiem wspaniałomyślnym i nadzwyczaj delikatnym. Chciał ofiarować ci folwark, który posiada w Bracieux, ale mu odradziłem.

— Och!... — rzekła Truchen, pożerając oczami djament.

— Panie baronie!... — zawołał rozczulony Planchet.

— Mój dobry przyjacielu!... — wyjąkał Portos uradowany, że d'Artagnan taki obrót dał rzeczom.

Wszystkie te wykrzykniki sprowadziły szczęśliwe rozwiązanie wypadków, które mogły się źle skończyć.

Ale d'Artagnan był tam obecny, a wszędzie gdzie d'Artagnan dowodził, rzeczy musiały iść według jego smaku i woli.

Uściśnięto się.

Truchem, przyszedłszy do siebie, po zdumieniu z hojności barona, poczuła się na właściwem sobie miejscu i podała wielkiemu panu z którym zaczęła się wczoraj tak spoufalać tylko wstydliwe i zarumienione czoło do pocałowania.

Baron Portos tak był zachwycony, że byłby chętnie wypróżnił swoje kieszenie dla kucharki i Celestyna.

Lecz d'Artagnan go powstrzymał.

— Teraz na mnie kolej — rzekł.

— I dał dwa pistole kucharce i dwa Celestynowi.

Nastąpiły podziękowania, któreby rozczuliły Harpagona i uczyniły go rozrzutnym.

D'Artagnan kazał się Planchetowi zaprowadzić aż do zamku, a sam wprowadził Portosa do swojej kwatery kapitańskiej, gdzie przedostał się niepostrzeżony przez tych, których lękał się spotkać.

CL

PRZEDSTAWIENIE KRÓLOWI PORTOSA.

Tego samego wieczora, o godzinie siódmej, król dawał w wielkim salonie posłuchanie posłowi Połączonych Prowincji Holandji.

Posłuchanie trwało kwadrans.

Po nim przyjął król kilku nowo przedstawionych i kilka dam.

W narożniku salonu, za kolumną, rozmawiali z sobą Portos i d'Artagnan, czekając kolei.

— A co, czy widzisz? — rzekł muszkieter do swojego przyjaciela.

— Co?...

— Patrzaj!...

Portos wzniósł się na palcach i ujrzał pana Fouqueta w ceremonjalnym stroju, prowadzącego Aramisa do króla.

— Aramis!... — zawołał Portos.

— Pan Fouquet ma go przedstawić królowi.

— Ach!... — westchnął Portos.

— Za ufortyfikowanie Belle-Isle — mówił dalej d'Artagnan.

— A dla mnie co będzie za to?

— Tobie, jak ci miałem honor powiedzieć, przyrzeczono łaski i kazano pilnować Saint-Mande.

— Ach!... — powtórzył Portos.

— Ale na szczęście ja tu jestem — mówił d'Artagnan — i zaraz przyjdzie kolej na mnie.

W tej chwili Fouquet zwrócił się ku królowi.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — o jedną łaskę mam prosić Waszą Królewską Mość. Pan d'Herblay nie jest dumny, ale może być użytecznym. Wasza Królewska Mość potrzebuje agenta w Rzymie, agenta potężnego. Możemy mieć kapelusz kardynalski dla pana d'Herblay.

Król uczynił poruszenie.

— Nie często proszę Waszą Królewską Mość.

— Jest to sprawa, o której ja rozstrzygać nie mogę — odpowiedział król, usprawiedliwiając tym sposobem swoje wahanie.

— Nie było na to co odpowiedzieć.

Fouquet i Aramis spojrzeli po sobie.

Król mówił dalej:

— Pan d'Herblay może i we Francji być nam użyteczny; arcybiskupstwo, naprzykład...

— Najjaśniejszy Panie — zauważył Fouquet z wdziękiem, który jemu był tylko właściwym — Wasza Królewska Mość obsypuje łaskami pana d'Herblay: przy względach monarchy, arcybiskupstwo może być dodatkiem do kapelusza; jedno nie przeszkadza drugiemu.

Króla wprawiła w podziw przytomność umysłu dworaka. Uśmiechnął się.

— I d'Artagnan lepiejby nie odpowiedział — rzekł.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy d'Artagnan się ukazał.

— Wasza Królewska Mość woła mnie?... spytał.

Fouquet i Aramis zrobili krok, aby się oddalić.

— Pozwól Najjaśniejszy Panie — rzekł żywo d'Artagnan, odsłaniając Portosa — pozwól, że przedstawię Waszej królewskiej Mości barona du Vallon, jednego z najwaleczniejszej szlachty francuskiej.

Aramis, na widok Portosa, zbladł; Fouquet zacisnął pięści.

D'Artagnan uśmiechał się do obydwóch, podczas kiedy Portos, pomieszany, uginał kolano przed Jego Królewską Mością.

— Portos tutaj!... — rzekł Fouquet do ucha Aramisowi.

— Zdrada — odpowiedział Aramis.

— Najjaśniejszy Panie — mówił d'Artagnan — od sześciu lat winienem był przedstawić Waszej Królewskiej Mości pana du Vallon, ale pewni ludzie są, jak niektóre gwiazdy: nie idą bez orszaku towarzyszek. Plejada nie rozłącza się i dlatego właśnie, dla przedstawienia pana du Vallon, wybrałem chwilę, kiedy, Najjaśniejszy Panie, obok niego widzisz pana d'Herblay.

Aramis zaledwie się zdołał powstrzymać.

Spojrzał z dumą na d'Artagnana, jakby przyjmował walkę na jaką go wyzywał.

— Zatem panowie ci są przyjaciółmi?... — rzekł król.

— Najlepszymi, Najjaśniejszy Panie, i jeden odpowiada za drugiego. Zapytaj, Najjaśniejszy Panie, biskupa z Vannes, jak ufortyfikował Belle-Isle!

Fouquet o krok się oddalił.

— Belle-Isle — rzekł Aramis obojętnie — ufortyfikowana została przez pana.

I wskazał Portosa, który się powtórnie ukłonił głęboko.

Ludwik dziwił się i sam sobie nie wierzył.

— Tak — rzekł d'Artagnan — ale zapytaj, Najjaśniejszy Panie, barona, kto mu w pracach pomagał?

— Aramis!... — odpowiedział Portos szczerze.

I wskazał biskupa.

— Co to wszystko ma znaczyć?.... — pomyślał biskup — jakie rozwiązanie będzie miała ta komedja?

— Jakto?... — rzekł król — kardynał... chcę mówić biskup.... nazywa się Aramis?

— Nazwisko z czasów wojskowych — odpowiedział d'Artagnan.

— Zachowane przez przyjaźń — objaśnił Aramis.

— I przybrane przez skromność — dodał d'Artagnan — Najjaśniejszy Panie, pod tą kapłańską suknią, ukrywa się najznakomitszy oficer, nieustraszony rycerz i najuczeńszy teolog w twojem państwie.

Ludwik wzniósł głowę.

— Inżynier — rzekł wpatrując się w godne podziwu oblicze Aramisa.

— Inżynier, według potrzeby, Najjaśniejszy Panie — odparł Aramis.

— To mój towarzysz ze służby w muszkieterach Najjaśniejszy Panie — dodał z zapałem d'Artagnan — człowiek, którego rady wielekroć wsparły ministrów twojego ojca... pan d'Herblay, jednem słowem, który ze mną, panem du Vallon i hrabią de La Fere, znanym Waszej Królewskiej Mości, składał ową czwórkę, o której wiele mówiono za panowania nieboszczyka króla i małoletności Waszej Królewskiej Mości.

— A kto ufortyfikował Belle-Isle?... — powtórzył król.

Aramis postąpił naprzód.

— Aby służyć synowi, jak służyłem ojcu.

D'Artagnan patrzył na Aramisa, kiedy wymawiał te słowa.

Tyle w nich widział prawdziwego szacunku, tyle zapału i poświęcenia, tyle niezłomnego przekonania, że d'Artagnan, wiecznie niedowierzający, dał się ująć.

— Tym razem nie kłamie — rzekł do siebie.

Ludwik był rozrzewiony.

— Kiedy tak — rzekł do Fouqueta, który niecierpliwie czekał na rozcięcie węzła — proszę przeznaczyć dla pana d'Herblay kapelusz kardynalski. Panie d'Herblay, masz moje słowo co do pierwszego awansu, podziękuj panu Fouquet.

Te wyrazy słyszał i Colbert; rozdarły mu serce.

Spiesznie wybiegł z sali.

— Panie du Vallon — rzekł król — oświadcz swoje żądanie. Lubię wynagradzać wiernych sług mego ojca.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł Portos — nie można być wierniejszym.

— Najjaśniejszy Panie — zawołał d'Artagnan — ten zacny szlachcic jest olśniony widokiem Waszej Królewskiej Mości. On, który nie mrużył oczu przed strzałami nieprzyjacielskiemi, spuszcza je przed majestatem króla; wiem, co myśli, a więcej przyzwyczajony do widoku słońca... wyjawię ci myśl jego: on niczego nie potrzebuje, on niczego nie żąda, pragnie tylko mieć szczęście patrzeć na Waszą Królewską Mość przez kwadrans.

— Zatem bądź u mnie na wieczerzy — odrzekł król, żegnając Portosa miłym uśmiechem.

Portos zaczerwienił się z radości i dumy.

Król pożegnał go, a d'Artagnan wepchnął do sali, uściskawszy wprzód.

— Siedź przy mnie u stołu — rzekł mu Portos do ucha.

— Dobrze, mój przyjacielu.

— A Aramis, czy się na mnie nie gniewa?...

— Nigdy cię tak nie kochał; pamiętaj, że mu wyrobiłem kapelusz kardynalski.

— Prawda — rzekł Portos. — Aha!... ale czy król lubi, żeby dużo jeść przy stole?...

— Bardzo mu pochlebia, gdy kto dużo je, bo sam ma prawdziwie królewski apetyt.

— Ach!... to bardzo wesoła wiadomość!... — zawołał Portos.

CLI

WYJAŚNIENIE.

Aramis zręcznym zwrotem zbliżył się do d'Artagnana i Portosa, stojących za kolumną, i ściskając Portosowi rękę, rzekł:

— Aha!.. wymknąłeś się z mojego więzienia?...

— Nie łaj go za to — odrzekł d'Artagnan — to ja, kochany Aramisie, klucz mu podałem.

— A!... mój przyjacielu — odparł Aramis, patrząc na Portosa — czy z mniejszą czekałeś cierpliwością?...

D'Artagnan przyszedł w pomoc Portosowi, który nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Wy, duchowni — rzekł do Aramisa — jesteście wielkimi politykami, my zaś wojskowi idziemy prosto do celu. Otóż tak było: ja poszedłem odwiedzić kochanego Baisemeaux.

Aramis nadstawił uszu.

— Aha!... — rzekł Portos — przypominam sobie, że mam list do ciebie, biskupie, od pana Baisemeaux.

I podał mu list, który już znamy.

Aramis prosił, aby mu pozwolono go przeczytać, a kiedy go czytał, d'Artagnan nie okazał najmniejszego pomieszania.

Zresztą i Aramis tak panował nad sobą, że d'Artagnan podziwiał go.

Po odczytaniu listu, Aramis włożył go do kieszeni z zupełną obojętnością.

— Mówiłeś zatem, kochany kapitanie?... — rzekł.

— Mówiłem, że poszedłem w interesie służbowym do pana Baisemeaux.

— W służbowym?... — zapytał Aramis.

— Tak — odpowiedział d'Artagnan — mówiliśmy zatem o tobie i o naszych przyjaciołach. Wyznać muszę, że Baisemeaux przyjął mnie bardzo zimno, pożegnałem go zatem prędko. Kiedym powracał, jeden z żołnierzy zbliżył się do mnie i zapytał: (widać poznał mnie pomimo cywilnych sukni): Kapitanie, racz mi powiedzieć, do kogo ten list jest przeznaczony?...

I wyczytałem: do pana du Vallon, w Saint-Mande, u pana Fouquet.

— Na Boga!... — zawołałem — Portos nie powrócił, jak sądziłem do Pierrefonds, albo na Belle-Isle, Portos jest w Saint-Mande, u pana Fouquet; pana Fouquet niema w Saint-Mande, Portos jest zatem albo sam, albo z Aramisem, odwiedźmy zatem Portosa.

— I odwiedziłem go.

— Wybornie — odrzekł Aramis, zamyślony.

— Nic mi o tem nie mówiłeś — odezwał się Portos.

— I przywiozłeś Portosa do Fontaineblau.

— Do Plancheta.

— Planchet mieszka w Fontainebleau?... — zapytał Aramis.

— Tak, blisko cmentarza, — nierozważnie odpowiedział Portos.

— Jakto, blisko cmentarza?... — powtórzył podejrzliwy Aramis.

— Dalej — pomyślał muszkieter — korzystajmy z niespokojności, bo to prawdziwy, jak widzę, rozgardjasz.

— Tak, przy cmentarzu — powtórzył Portos. — Planchet to wyborny człowiek. Smarzy doskonałe konfitury; ale na nieszczęście, okna jego domu wychodzą na cmentarz. Ach!... to smutny widok i dziś rano...

— Dziś rano... — rzekł Aramis, coraz mocniej pomieszany.

D'Artagnan odwrócił się i zaczął bębnić marsza na szybie.

— Dziś rano — mówił dalej Portos — widzieliśmy, jak kogoś grzebano.

— Ach!...

— To przykra rzecz!... ja nie mieszkałbym w domu, z którego ustawicznie widać umarłych... Ale d'Artagnan, zdaje się, że to lubi.

— I widział pogrzeb?...

— Nietylko patrzył na niego, ale pożerał go oczyma.

Aramis zadrżał i odwrócił się, aby spojrzeć na muszkietera, ale ten właśnie w najlepsze rozmawiał z panem Saint-Agnan.

Aramis rozpoczął badanie Portosa; następnie gdy z niego jak z cytryny wszystek sok wycisnął, rzucił wyciśnięty miąższ. Powrócił do swojego przyjaciela d'Artagnana.

Saint-Agnan oddalił się, ponieważ u króla zapowiedziano wieczerzę.

— Przyjacielu — rzekł i uderzył go w ramię.

— Kochany przyjacielu — odpowiedział d'Artagnan.

— My nie wieczerzamy z królem.

— Owszem ja wieczerzam.

— Czy możesz dziesięć minut ze mną pomówić.

— Nawet dwadzieścia, bo mam czas, dopóki Jego Królewska Mość nie siądzie do stołu.

— Gdzie chcesz, abyśmy rozmawiali?

— Tutaj na ławce; król wyszedł, można siedzieć, i sala pusta.

— Zatem siadajmy.

Usiedli. Aramis wziął jedną rękę d'Artagnana.

— Przyznaj mi się, przyjacielu — rzekł — że ty skłoniłeś Portosa, aby mi nie ufał.

— Przyznaję, ale nie tak, jak ty to rozumiesz. Widziałem, że Portos nudził się śmiertelnie i chciałem, przedstawiając go królowi, zrobić dla niego i dla ciebie to, czego byście sami nigdy nie zrobili.

— Jakto?

— A moja pochwała?

— Szlachetnie postąpiłeś, dziękuję ci.

— Wyrobiłem ci kapelusz, któregobyś bezemnie nie otrzymał.

— Tak jest, przyznaję — odrzekł Aramis ze szczególniejszym uśmiechem; — w rzeczy samej jesteś jedynym człowiekiem, który dopomaga swoim przyjaciołom do zrobienia karjery.

— Przekonaj się, że też wszystko uczyniłem dla Portosa.

— Tak, i ja się tem chciałem zająć; ale ty masz dłuższą od nas rękę.

Teraz d'Artagnan uśmiechnął się z kolei.

— No — rzekł Aramis, — winniśmy sobie prawdę; czy kochasz mnie zawsze, drogi d'Artagnan?

— Zawsze jak przedtem — odrzekł d'Artagnan, nie zaciągając wielu obowiązków tą odpowiedzią.

— Kiedy tak, to dziękuję ci, za szczerość — rzekł Aramis — Na Belle-Isle byłeś dla króla?

— Tak.

— Chciałeś nam wyrwać przyjemność ofiarowania ufortyfikowanej wyspy królowi?

— Ale, mój przyjacielu, zanim chciałem cię pozbawić tej przyjemności, trzeba było, bym wiedział wprzód o tym zamiarze.

— Zatem przybyłeś na Belle-Isle, nic nie wiedząc?

— O tobie?... A skądże, u djabła, miałem wiedzieć, że Aramis został inżynierem jak Polibiusz, albo Archimedes?

— Prawda. A jednak zgadłeś, żem tam był?

— Tak.

— I Portos także?

— Mój drogi, tegom nie odgadł, że Aramis jest inżynierem; a co do Portosa także zgadnąć mi było trudno. Prawda, że, mówi łacińskie przysłowie: można stać się mówcą, a trzeba urodzić się poetą, ale żadne przysłowie nie mówiło dotąd: można urodzić się Portosem, a zostać inżynierem.

— Zawsze jesteś dowcipny, — rzekł zimno Aramis. — Ale przystąpmy do rzeczy.

— I owszem.

— Kiedy odkryłeś naszę tajemnicę, pośpieszyłeś z nią do króla.

— Tembardziej spieszyłem, że widziałem jak wy spieszycie. Kiedy człowiek, ważący dwieście pięćdziesiąt funtów, jak Portos, pędzi na równi z wiatrami, kiedy podagryczny prałat, — przepraszam powtarzam o co sam mówiłeś — dzień i noc pędzi myślałem, że ci dwaj przyjaciele chcą ukryć przedemną rzecz wielkiej wagi i dlatego... pędziłem o ile moja chudość i zdrowie pozwalały.

— Kochany przyjacielu, zapewne nie rozważyłeś, że mogłeś mnie i Portosowi zaszkodzić?

— Pomyślałem; ale dlaczegóż kazaliście mi na Belle-Isle odgrywać taką dziwną rolę?

— Przebacz mi — rzekł Aramis.

— Miej mnie za wytłumaczonego — odparł d'Artagnan.

— Zatem — mówił dalej Aramis — tym sposobem wiesz wszystko.

— Na honor, nic nie wiem.

— Wiesz, że musiałem natychmiast uprzedzić pana Fouqueta aby wprzód doniósł królowi.

— Ale to było zbyteczne.

— Bynajmniej. Pan Fouquet ma nieprzyjaciół, wiesz o tem.

— Tak, zapewne.

— Jednego nadewszystko.

— Niebezpiecznego?

— Śmiertelnego. Zatem, aby pokonać wpływ tego nieprzyjaciela, musiać pan Fouquet dać królowi dowody poświęcenia, dowody wielkich ofiar. Zrobił on miłą niespodziankę Najjaśniejszemu Panu, ofiarując mu Belle-Isle. Gdybyś ty pierwszy przybył do Paryża, nie byłoby już niespodzianki... i mogłoby się zdawać, że ulegamy jakieś obawie.

— Rozumiem.

— Otóż i cała tajemnica, — rzekł Aramis, zadowolony, że przekonał muszkietera.

— Tylko — rzekł d'Artagnan, — krócej było wziąć mnie na bok i powiedzieć: "Kochany przyjacielu, fortyfikujemy wyspę Belle-Isle w zamiarze ofiarowania jej królowi. Zrób nam tę przysługę i powiedz za kim jesteś, czy jesteś przyjacielem pana Colberta, czy pana Fouqueta?" Może ja byłbym nic nie odpowiedział; ale wtedy, mógłbyś dodać: "Czy jesteś moim przyjacielem?" a ja byłym odpowiedział: Tak.

Aramis skłonił głowę.

— Tym sposobem — mówił dalej d'Artagnan — sparaliżowałbyś mnie, a jabym poszedł powiedzieć królowi: "Najjaśniejszy Panie, pan Fouquet fortyfikuje Belle-Isle; ale oto słowo, które gubernator Belle-Isle dał mi dla Waszej Królewskiej Mości. Albo raczej: oto akt darowizny pana Fouqueta na dowód jego zamiarów." Ja tym sposobem nie grałbym roli głupca, kryć się nie było potrzeby i nie bylibyśmy na siebie patrzyli z pod oka.

— Zatem — odezwał się Aramis — działałeś, jako przyjaciel pana Colberta. Czy jesteś jego przyjacielem.

— Na honor, nie!... — zawołał kapitan, — jest to gbur, którego równie nienawidzę, jak niegdyś Mazariniego, a nie boję się go wcale.

— Co do mnie — mówił Aramis — ja kocham pana Fouqueta i sprzyjam mu. Znasz moje położenie... nie mam majątku... pan Fouquet wiele mi wyświadczył dobrodziejstw i zanadto znam świat, abym dobrego nie umiał ocenić; pan Fouquet podbił moje serce i nie mogę mu go odmówić.

— Doskonale, dobrego masz pana.

Aramis przygryzł usta.

— Sądzę, że najlepszego, jakiego mieć można.

Następnie zamilkł na chwilę.

D'Artagnan nie przerywał mu.

— Wiesz zapewne od Portosa, jakim sposobem został wmie-

szany w to wszystko?...

— Nie — odpowiedział d'Artagnan. — Co prawda, jestem z natury ciekawy, ale nigdy nie badam przyjaciela, kiedy chce ukryć przedemną prawdziwą tajemnicę.

— Zatem ja ci powiem.

— Ale to powiedzenie nie obowiązuje mnie.

— Nie lękaj się niczego; Portos jest człowiekiem, którego najbardziej ukochałem, ponieważ jest dobry i prostomyślny; Portos to umysł prawy i szlachetny. Od chwili, gdy zostałem biskupem, szukam prostych charakterów przez które mogę ukochać prawdę, a znienawidzieć intrygę.

D'Artagnan bawił się wąsami.

— Widziałem i wyszukałem Portosa; bezczynny był, a jego obecność przypominała mi ubiegłe piękne dni. Przywołałem Portosa do Vannes. Pan Fouquet, który mnie lubi, widząc przywiązanie jego do mnie przyrzekł mu przy pierwszej sposobności order. Oto cała tajemnica.

— Wcale jej nie nadużyję — odrzekł d'Artagnan.

— Wiem o tem, mój przyjacielu, bo nikt więcej od ciebie nie jest honorowym.

— Tak sobie i ja pochlebiam.

— Cóż dalej?

I prałat przejrzał swojego przyjaciela, aż do głębi duszy.

— Teraz rozmawiajmy o sobie i dla siebie; czy chcesz być przyjacielem pana Fouqueta? Nie przerywaj mi, nie wiedząc, co znaczy to pytanie...

— Słucham.

— Czy chcesz zostać marszałkiem Francji, panem, księciem i posiadać miljonowy majątek?

— Ależ, mój przyjacielu, odparł d'Artagnan — co czynić należy aby to otrzymać?...

— Być stronnikiem pana Fouquet.

— Ale ja, mój przyjacielu, jestem królewskim.

— Myślę, że nie całkowicie.

— Ach!... d'Artagnan jest tylko jeden.

— Ale myślę, że masz dumę, jak każde wielkie serce.

— Nieinaczej.

— A zatem?

— A zatem chcę być marszałkiem Francji; ale tylko król może mnie zrobić marszałkiem, księciem, parem; tylko król uczynić to może

Aramis wlepił w d'Artagnana przenikliwe spojrzenie.

— Alboż to król nie jest panem? — zapytał d'Artagnan.

— Nikt temu nie przeczy; ale Ludwik XIII-ty był także panem.

— Ale, mój przyjacielu, pomiędzy Richelieum a Ludwikiem XIII-tym nie było d'Artagnana, — spokojnie odpowiedział muszkieter.

— Wokoło króla — rzekł Aramis — wiele jest kamieni, o które potknąć się można.

— Ale nie dla króla.

— Zapewne, ale...

— Słuchaj, Aramisie, widzę, że tu każdy myśli o sobie a nie o monarsze; ja jednak go podtrzymam i tem samem obronię siebie.

— A niewdzięczność?...

— Lękają się jej tylko małe serca.

— A zatem jesteś pewien siebie?...

— Zupełnie..

— Ale król może cię już nie potrzebować?...

— Przeciwnie, sądzę, że będę mu potrzebniejszy niż kiedykolwiek; słuchaj, mój drogi... a gdyby potrzeba było aresztować nowego Kondeusza, kto go aresztować będzie, we Francji, jeżeli nie ten oręż?...

I d'Artagnan potrząsnął mieczem.

— Masz słuszność — wyrzekł Aramis, blednąc.

I, powstawszy, uścisnął rękę d'Artagnana.

— Ach!... ostatni znak na wieczerzę — rzekł muszkieter — pozwól, że...

Aramis ujął za szyję muszkietera, mówiąc:

— Taki jak ty przyjaciel jest najdroższym djamentem w koronie.

I rozstali się

— Dobrze mówiłem, — pomyślał d'Artagnan — że tam coś jest.

— Trzeba prędzej podpalać miny — rzekł Aramis — d'Artagnan zwietrzył lont.

CLII

KSIĘŻNA I GUICHE.

Widzieliśmy, że hrabia de Guiche wyszedł z sali, kiedy Ludwik XIV-ty z taką grzecznością ofiarował pannie de la Valliere prześliczne bransolety, wygrane na loterji.

Hrabia przez jakiś czas przechadzał się zewnątrz pałacu, umysł zaś jego miotany był tysiącem podejrzeń i tysiącem niespokojności.

Następnie widziano go na tarasie, wprost klombów. Czekał na odjazd księżnej.

Więcej niż pół godziny upłynęło, a przez ten czas musiał mieć hrabia nie bardzo wesołe myśli.

Wreszcie wyjął pugilares z kieszeni i po długiem wahaniu, napisał te słowa:

— Księżno, błagam cię o chwilę rozmowy. Nie trwóż się pani tem żądaniem, które nie wchodzi w kolizję z mojem najgłębszem uszanowaniem, z jakiem itd.

Podpisał tę szczególną prośbę, i złożył jak bilecik miłosny. W tem ujrzał, że z zamku wychodzi wiele kobiet, mężczyzn, następnie cały orszak królowej.

Widział La Valliere, następnie Montalais, rozmawiającą z Malicornem.

Widział aż do ostatniego z biesiadników, którzy przed godziną zaludniali apartament królowej matki.

Księżna nie wyszła; musiała jednak, powracając do siebie przebywać dziedziniec, więc z tarasu Guiche patrzył w dziedziniec bez przerwy.

Nakoniec ujrzał księżnę, wychodzącą z dwoma paziami, którzy nieśli pochodnie. Szła pospiesznie i przybywszy do swoich drzwi zawołała:

— Paziowie niech mi poszukają natychmiast hrabiego de Guiche; winien on dać mi wiadomość o pewnem zleceniu. Jeżeli wolny, prosić go, aby przyszedł do mnie.

— Ach, księżna mnie każe szukać!... — zawołał Guiche wzruszony.

I zmiął swój bilet, jako już niepotrzebny.

— Hrabio — rzekł jeden z paziów, spostrzegając go, — szczęśliwi jesteśmy, że cię spotykamy.

— Co tam, panowie?

— Rozkaz od księżny.

— Rozkaz od księżny? — powtórzył Guiche, niby zdziwiony.

— Tak, hrabio. Jej Królewska Wysokość chce się z tobą widzieć. Masz zdać jej sprawę z jakiegoś zlecenia.

— Jestem na rozkazy Jej Królewskiej Wysokości.

— Zatem racz się udać za nami.

Wszedłszy do księżny, zastał ją Guiche bladą i wzruszoną. Przy drzwiach stała Montalais, mało się troszcząc o usposobienie swojej pani.

Guiche ukazał się.

— Ach, to pan, panie de Guiche!... — rzekła księżna. — Wejdź, proszę cię... Panno de Montalais, służba twoja skończona.

Montalais więcej jeszcze zaintrygowana, ukłoniła się i wyszła.

Guiche z księżną zostali sami.

Hrabia miał wszelką przewagę; nie on, ale właśnie księżna wezwała go na schadzkę. Ale tej przewagi jakże by zdołał użyć? Księżna była dla niego nadziemską istotą!... Był to charakter zmienny i niestały.

Bardzo go widzieć pragnęła zapewne, gdyż zaraz zaczęła:

— Czy nie masz mi pan czego do powiedzenia?

Hrabia de Guiche sądził, że odgadła myśl jego. Wszyscy zakochani, są zupełnie do siebie podobni: łatwowierni i zaślepieni, jak poeci i prorocy. Sądził więc, że wiedziała o jego żądzy widzenia jej.

— Dzisiejszy wypadek wydaje mi się dziwnym.

— Wypadek z bransoletami! — zawołała z żywością. — Nieprawdaż?

— Tak księżno.

— Powiedz, czy sądzisz, że król jest zakochany?

Guiche spojrzał na nią przeciągle; księżna spuściła oczy pod tym spojrzeniem, które przenikało do głębi serca.

— Sądzę — rzekł, iż król ma zamiar udręczać kogoś, bo inaczej nie okazywałby się tak uprzedzającym i nie narażałby spokoju serca młodej dziewicy, który dotąd był niezakłócony.

— Co!... o tej bezczelnej dziewczynie pan tak mówisz — podchwyciła księżna.

— Mogę zapewnić Waszą królewską wysokość — odrzekł Guiche z mocą, — że panna de la Valliere jest kochana przez mężczyznę, którego szanować należy, bo jest człowiekiem honoru.

— Och!... może przez Bragellona?

— Tak księżno, przez mego przyjaciela.

— Alboż to króla co obchodzi, że jest on pańskim przyjacielem?

— Król wie, że Bragellone jest zaręczony z panną de la Valliere, a że Raoul służył mężnie królowi, król nie sprawi mu takiego smutku.

Księżna zaczęła się śmiać do rozpuku, co na hrabi sprawiło przykre wrażenie.

— Powtarzam ci, pani, że to być nie może, aby król był zakochany w pannie de la Valliere. I na dowód, że w to nie wierzę, chciałem właśnie zapytać, czyją miłość własną chce król upokorzyć w tej sprawie?... Pani, która znasz cały dwór, tembardziej, że, jak mówią, Wasza Królewska Mość zbliżona jesteś do króla.

Księżna przygryzła usta i zmieniła przedmiot rozmowy.

— Przekonaj mnie pan — rzekła, wlepiając w niego jedno z tych spojrzeń, w które zdaje się cała dusza przechodzić — przekonaj mnie, że pragnąłeś mnie widzieć, nim cię przywołałam.

Guiche poważnie wyjął z pugilaresu to co napisał.

— Ach!... to sentyment — wyrzekła księżna.

— Tak, — odpowiedział hrabia z czułością niedoopisania — tak, to sentyment, lecz ja już usprawiedliwiłem się, dlaczego pragnąłem widzieć panią; pani zaś dotychczas nie raczyłaś mi powiedzieć, dlaczego kazałaś mnie zawołać.

— Ach, prawda!...

I zaczęła się wahać.

— Ja chyba oszaleję! Te bransoletki... — rzekła.

— Zapewne spodziewałaś się pani, że król ci je ofiaruje? — zapytał de Guiche.

— Naturalnie.

— Ależ przed tobą, księżno, przed bratową, żona miała do nich pierwszeństwo.

— Czyż przed La Valliere nie było mnie, nie było całego dworu?

— Upewniam cię, pani — odrzekł z uszanowaniem hrabia — że, gdyby cię słyszano tak mówiącą; że gdyby zobaczono, jak masz zaczerwienione oczy, i gdyby dostrzeżono tę łzę, która błyszczy na rzęsach, o tak!... niezawodnieby powiedziano, że Wasza królewska wysokość jesteś zazdrosną o króla.

— Zazdrosną? — powtórzyła księżna z dumą — zazdrosną o La Valliere?

Sądziła, że pokona hrabiego de Guiche dumnym gestem i wyniosłym tonem.

— Tak, księżno, zazdrosną o La Valliere, powtórzył śmiało.

— Pan, jak sądzę — wyjąkała księżna — chcecz mi ubliżyć?

— Ja jednak tak nie myślę — odparł hrabia, nieco wzruszony, lecz z postanowieniem walczenia przeciw tak gwałtownemu gniewowi.

— Wychodź pan!... — zawołała kiężna w nadmiarze uniesienia, bo zimna krew i milczącce uszanwanie hrabiego rozgniewały ją ogromnie.

Guiche cofnął się, powolnie ukłonił i blady jak mankiety, wyrzekł głosem niepewnym:

— Jeżeli miałem przyjść po niezasłużoną niełaskę, to niepotrzebnie się śpieszyłem.

I odwrócił się powoli.

Zaledwie uszedł pięć kroków, księżna poskoczyła ku niemu, jak tygrysica, chwyciła za rękę i rzekła, drżąc ze złości:

— To co pan nazywasz uszanowaniem, jest bardziej ubliżającem, niż zniewaga. Dalej, znieważaj mnie pan, ale przynajmniej mów.

— A ty pani — odrzekł hrabia łagodnie, wydobywając szpadę, — przeszyj mi serce, ale nie każ konać powolnem cierpieniem.

Ze spojrzenia, jakie na niej zatrzymał, ze spojrzenia, pełnego miłości, z postanowienia jego, a raczej z rozpaczy, zrozumiała, że mężczyzna ten, spokojny napozór, wepchnie szpadę w piersi, jeżeli ona doda choć jeden wyraz.

Wyrwała mu zatem z rąk żelazo i, ściskając rękę z szałem, który mógł uchodzić za czułość, zawołała:

— Hrabio, oszczędź mnie!... Widzisz, że cierpię a żadnej nie masz nademną litości.

Łzy głos jej stłumiły.

Guiche, widząc ją płaczącą, wziął na ręce i zaniósł do krzesła; za chwilę poczęła łkać.

— Dlaczego pani — mówił u jej kolan — nie wyznasz mi swoich cierpień?... Czy kochasz kogo?... powiedz mi. Wprawdzie ja umrę z boleści, ale wprzódy tobie pomogę, ulżę, usłużę.

— Więc mnie pan, aż tak kochasz?

— Tak, pani, kocham cię tak wielce.

Podała mu obydwie dłonie.

— W rzeczy samej, kocham... — szepnęła — tak cicho, że trudno było dosłyszeć.

Hrabia jednak dosłyszał.

— Króla? — zapytał

Ona zlekka skinęła głową, a uśmiech jej był jakby oświetleniem chmur, przez które po burzy widać otwierający się raj.

— Ale — dodała — inne są jeszcze namiętności w wielkiem sercu. Miłość to poezja; lecz życiem mojego serca jest duma, hrabio. Zrodzona jestem na tronie, jestem dumną, z mego rodu i zazdrosną o moje stanowisko. Dlaczego król zbliża do siebie niegodne istoty?

— Jeszcze! — rzekł hrabia — Znowu pani znieważasz biedną dziewicę, która będzie żoną mojego przyjaciela.

— I pan jesteś tak naiwny, że w to wierzysz.

— Gdybym nie wierzył, — rzekł Bragellone byłby jutro o wszystkiem uprzedzony. Tak, gdybym przypuścił, że ta biedna dziewczyna zapomniała o danem słowie... Ale nie, byłoby to nikczemnością zdradzać tajemnicę kobiety, byłoby to zbrodnią zakłócać spokój przyjaciela.

— Zatem sądzisz pan — rzekła księżna z niepomiarkowanym śmiechem — że nieświadomość jest szczęściem?

— Tak sądzę.

— Dowiedź pan, dowiedź pan tego — rzekła z żywością.

— To bardzo łatwo, pani; mówiono na całym dworze twoim, że król cię kocha, a ty króla.

— I cóż z tego? — zapytała księżna, zaledwie oddychając.

— A więc przypuśćmy, że Raoul, mój przyjaciel, przychodzi do mnie i mówi: "Tak, król kocha księżnę; tak, król pozyskał serce księżny." Kto wie, czybym wtedy nie zabił Raoula.

— Ale trzeba by było — odrzekła księżna z uporem kobiecym, który czuje się niepokonanym — trzebaby było, aby pan de Bragellone miał na to dowody.

— Zawsze to jednak lepiej, — odpowiedział Guiche z westchnieniem — że, nic nie widząc, nic nie zgłębiając, nieświadomością ocaliłem sobie życie.

— I posunie pan tak daleko samolubstwo i obojętność, że pozwoli temu nieszczęśliwemu młodzieńcowi ciągle kochać La Valliere? — podchwyciła księżna.

— Aż do chwili, kiedy się przekonam o jej winie.

— A bransolety?

— Ach, księżno!... ponieważ to ty spodziewałaś się otrzymać je od króla, cóż ci mogę powiedzieć?

Argument był silny i księżna czuła się nim pokonaną, nie sprzeciwiała się więc od tej chwili.

Lecz, że posiadała duszę pełną szlachetności, pojęła całą delikatność hrabiego de Guiche.

Czytała jasno w jego sercu, że podejrzewa miłość króla dla La Valliere i że nie chce użyć zwyczajnego środka dla poniżenia swego współzawodnika w umyśle kobiety, przekonywując ją, że jej kochanek zaleca się do innych.

Odgadywała, że podejrzewa La Valliere, ale pragnąc jej dać czas do poprawy, aby nie zgubiła siebie zupełnie, postanowił ostrzec ją bezpośrednio, albo przekonać się o winie dokładniej; i tyle widziała wielkości i szlachetności w sercu tego amanta, że czuła jak serce jej zapala się przy samem zetknięciu z tak czystym płomieniem.

Guiche, nie zląkł się niełaski, wolał być otwartym wolał poświęcić siebie i przez to sam urósł do wielkości bohatera, a księżnę poniżył do stopnia kobiety zazdrosnej i pospolitej.

Prawie go pokochała.

— Och, tyle słów, nadaremnie wyrzeczonych — rzekła biorąc go za rękę. — Podejrzenia, niepokój, nieufność, boleść — sądzę, żeśmy wszystkie te słowa powtarzali.

— Niestety, księżno...

— Wyruguj je pan ze swojego serca, jak ja ruguję je z mojego. Czy La Valliere kocha króla, czy go nie kocha, mości hrabio, czy król kocha, lub nie La Valliere, my zmieńmy nasze role. Och, dziwnie pan na mnie patrzysz i jestem pewną, że mnie nie pojmujesz?...

— Pani! jesteś tak żywą, że często drżę o to, ażeby cię nie obrazić.

— O, jaki pan trwożliwy — rzekła z uśmiechem, pełnym wdzięku. — Och, panie, ja mam dwie role do grania: jestem siostrą królewską i bratową królowej, a z tego podwójnego tytułu czyż nie należy, ażebym się zajęła tem, co ich obchodzi.

— O ile można najmniej.

— Zgoda, ale tu idzie o godność naszą; tembardziej ile, że jestem żoną księcia brata królewskiego.

Guiche westchnął.

— To — rzekła księżna czule — powinno pana skłonić, abyś do mnie przemawiał z największem uszanowaniem.

— Och!... — zawołał hrabia, padając do jej nóg i całując je namiętnie.

— Doprawdy — rzekła — sądzę, że jeszcze jedną rolę mam do odegrania, a zapomniałam o niej.

— Jaką?...

— Jestem kobietą — rzekła cicho. — Kocham!....

Powstał, i usta ich zetknęły się.

Rozległy się czyjeś kroki.

Montalais zapukała do drzwi.

— Co nowego waćpanno?... — zapytała księżna.

Montalais dostrzegła pomieszanie księżny i Guicha.

— Szukają pana de Guiche — odparła.

CLIII

MONTALAIS I MALICORNE.

Montalais miała słuszność.

Pana de Guiche, poszukiwano gwałtownie

Księżna, mimo obrażonej dumy, mimo wewnętrznego gniewu, nic nie mogła zarzucić Montalais, że tak śmiało przekroczyła rozkaz, który jej wchodzić nie pozwolił.

Guiche stracił także głowę, albo, powiedzmy raczej, Guiche, przed przybyciem Montalais, już był nieprzytomny.

I zaledwie usłyszał głos Montalais, w jednej chwili bez pożegnania księżny, jak tego sama grzeczność wymagała, uciekł z pałającem sercem i głową nieprzytomną, zostawiając księżnę, ze wzniesioną na znak pożegnania dłonią.

Guiche mógł powiedzieć to, co Sherubin w sto lat później powiedział, że na sutach miał piętno szczęścia na wieki.

Montalais zastała więc kochanków w wielkiem pomieszaniu, bo zmieszany był ten, co uciekł, jak i ta, która została.

To też młoda dziewczyna rzekła do siebie, rzucając wokoło badawcze spojrzenia:

— Sądzę, że tym razem wiem tyle, ile pragnie wiedzieć najciekawsza kobieta.

Księżna tak była zmieszana tem badawczem spojrzeniem, jak by słyszała to, co Montalais mówiła do siebie; nie rzekłszy więc ani słowa, ze spuszczonemi oczyma weszła do sypialni.

Montalais — widząc to, wytężyła słuch i usłyszała, jak księżna zasuwa rygle u drzwi.

Od tej chwili zrozumiała, że na całą noc jest wolna i, spojrzała ku drzwiom w sposób nieledwie ubliżający, jakby chciała rzec: — Dobranoc, księżno!... — Udała się do Malicorna, który w tej chwili zajęty był przyglądaniem się zakurzonemu kurjerowi wychodzącemu od hrabiego de Guiche.

Montalais zrozumiała, że Malicorne pracuje nad czemś ważnem; pozwoliła mu zatem wytężać oczy, i wyciągać szyję, a kiedy wrócił do naturalnej postawy, uderzyła go po ramieniu.

— Co nowego?... — zapytała.

— Pan de Guiche kocha księżnę — odpowiedział Malicorne.

— Piękna mi nowina!... ja wiem coś świeższego.

— Ciekawym.

— Księżna kocha pana de Guiche.

— Jedno jest następstwem drugiego.

— Nie zawsze, mój piękny panie.

— Czy to zaprzeczenie jest skierowane do mnie?

— Obecni zawsze stanowią wyjątek.

— Dziękuję — odrzekł Malicorne, a następnie dodał: — Król dziś wieczorem po loterji chciał widzieć się z panną La Valliere.

— I widział się.

— Nie!

— Jakto?

— Drzwi były zamknięte.

— I...

— I król zmartwiony musiał powrócić.

— To dobrze.

— Cóż dalej?... — zapytała Montalais.

— Kurjer, który przybył do pana de Guiche został przysłany przez pana Bragellone.

— Wybornie!... — zawołała Montalais, klaszcząc w dłonie.

— Dlaczego wybornie?

— Ponieważ mamy zajęcie. Gdybyśmy się jeszcze teraz nudzili, byłoby to tylko naszą winą.

— Powinniśmy jednak tę pracę podzielić — odrzekł Malicorne — aby nie wprowadzić do niej jakiego zamieszania.

— To rzecz bardzo prosta — odpowiedziała Montalais. — Trzy intrygi, mniej więcej dobrze prowadzone, przynoszą dziennie najmniej trzy listy.

— Och, — zawołał Malicorne, wznosząc ramiona — pomyśl moja droga, że trzy listy na dzień, to dobre dla uczuć mieszczańskich!... Muszkieter na służbie, panna w klasztorze podają sobie codziennie jeden liścik po drabinie, lub szparą w murze. Liścik ten starczy im za całą poezję serca, ale u nas... o! jakże mało, moja droga, znasz czułość królewską.

— Więc jak ty wnioskujesz — dodała zniecierpliwiona, bo mógł ktoś nadejść.

— Wnioskuję... ależ ja dopiero jestem w ciągu opowiadania, jeszcze mam trzy punkty.

— O! na Boga, chyba mi umrzeć przyjdzie z jego flamandzką powolnością!... — zawołała Montalais.

— A ja chyba głowę stracę z twoją włoską żywością; chciałem zatem mówić, że nasi kochankowie zapiszą chyba tomy. Ale cóż z tego wnosisz?

— Że żadna z naszych dam nie będzie mogła chować listów, jakie odbierze.

— Bezwątpienia.

— Że nawet pan de Guiche nie poważy się chować swoich.

— Być może.

— Zatem ja je wszystkie schowam.

— Niepodobna.

— Dlaczego?

— Bo nie masz własnego domu, bo zajmujesz pokój wspólnie z panną La Valliere, który bywa odwiedzany, a nawet jak to się zwykle zdarza w pokoju panien honorowych często szperają; bo lękam się królowej zazdrosnej, jak Hiszpanka, królowej matki, zazdrosnej jak dwie Hiszpanki, wreszcie księżny zazdrosnej, jak dziesięć Hiszpanek.

— O! jeszcze o kimś zapomniałeś.

— O kim?

— Mówiłeś tylko o kobietach, policzmy zatem:

— Książę nr. 1.

— Guiche nr. 2.

— Nr. 3, hrabia de Bragellone.

— A król? król?

— Nr. 4 król, który będzie nie tylko najbardziej zazdrosnym, ale nadto najmożniejszym ze wszystkich. O! moja droga.

— I cóż?

— Zdaje mi się, żeś się wdała nie w swoją rzecz.

— Czy chcesz mi pomagać?

— Zapewne, że chcę. Jednakże...

— Jednakże...

— Sądzę, że póki czas, lepiejby było dać temu pokój.

— A ja przeciwnie sądzę, że najlepiej stanąć odrazu na czele tych wszystkich intryg.

— Ty im nie podołasz.

— Z tobą będę ich prowadziła dziesięć. To mój żywioł. Przekonasz się. Jestem stworzona do życia na dworze, czuję się jak salamandra w płomieniach.

— Porównanie twoje nie uspokaja mnie bynajmniej, droga przyjaciółko. Słyszałem, jak mówili bardzo uczeni ludzie, najprzód, że niema salamander, a potem, gdyby nawet były, jużby się dawno posmarzyły, albo popiekły w ogniu.

— Uczeni twoi mogą być bardzo biegli co do salamander, ale zupełnie nieświadomi co do znajomości kobiet. Zresztą, uczeni twoi nie powiedzą ci tego, co ja ci powiem: Aurora de Montalais powołaną jest, aby za miesiąc była pierwszą dyplomatką na dworze francuskim.

— Dobrze, ale pod warunkiem, że ja będę drugim.

— Zgoda, zawieramy więc przymierze zaczepno-odporne.

— Tylko strzeż się listów.

— Będę ci je oddawała, ile razy się do nich dobiorę.

— A cóż powiemy królowi o księżnie?

— Że księżna zawsze kocha króla.

— A cóż powiemy księżnie o królu?

— Że byłoby błędem nie zachowywać z nim dobrych stosunków.

— A cóż powiemy La Valliere o księżnie?

— Co nam się podoba. La Valliere jest naszą.

— Naszą?

— Podwójnie.

— Jakto?

— Najprzód przez wicehrabiego de Bragellone.

— Wytłumacz mi to.

— Sądzę, że pamiętasz, ile listów Bragellone pisywał do panny de la Valliere?

— Pamiętam.

— Te listy ja odbierałam i chowałam.

— Masz je zatem?

— Mam.

— Gdzie? czy tutaj?

— O! nie, mam je w Blois, w małym pokoiku, który znasz.

— Mały, luby pokoik, pokoik miłosny, przedsionek pałacu, w którym kiedyś będziemy mieszkali. Ach, przebacz... Mówisz, że te listy masz w pokoiku?

— Tak.

— Czyś ich nie schowała czasem do kuferka?

— Bezwątpienia; do tego samego kuferka, do którego chowałam listy od ciebie, gdzie składałam moje, kiedy interesa, albo zabawy nie pozwalały ci widzieć się ze mną.

— To bardzo dobrze — rzekł Malicorne.

— Skąd to zadowolenie?

— Bo widzę, że po listy nie będę potrzebował jechać do Blois. Mam je tutaj.

— Czyś przywiózł ten kuferek?

— Był dla mnie drogim, jako twój.

— Miej przynajmniej o nim staranie, bo w nim są oryginały, które z czasem nabiorą wielkiej ceny.

— Wiem o tem i dlatego się cieszę.

— Teraz, jeszcze jedno i ostatnie słowo.

— Dlaczego ostatnie?

— Czy potrzebujemy pomocników?

— Żadnych.

— Lokajów, pokojówek...

— Ach, to wszystko obrzydliwe typy. Ty będziesz dawał listy, ty je będziesz odbierał. Och, tylko bez żadnej dumy, bo gdyby Malicorne i panna Aurora nie działali sami, musieliby patrzeć tylko, jak inni działają.

— Masz słuszność. Co dzieje się u pana de Guiche?

— Nic, otwiera okno.

— Ukryjmy się.

I znikli oboje. Spisek był już ułożony.

Okno, które otworzono, było rzeczywiście oknem pokoju hrabiego.

Tym razem jednakże hrabia otworzył okno, nie dlatego, aby przez firanki ujrzał cień księżny. Zajęcie jego nie miało w sobie nic miłosnego.

Jakieśmy powiedzieli, kurjer przybył do niego. Kurjer ten był przysłany od Bragellona.

Bragellone napisał do hrabiego de Guiche.

Ten odczytywał po kilkakroć list, który snać uczynił na nim silne wrażenie.

— To szczególniejsze!... — mówił. — Jakimi potężnymi środkami i po jakich drogach przeznaczenie wiedzie ludzi do celu?

I, odchodząc od okna, aby się zbliżyć do światła, odczytał po raz trzeci list, którego wyrazy paliły zarazem jego umysł i oczy.

"Calais.

"Kochany hrabio!

"Zastałem w Calais pana de Wardes, ciężko ranionego w pojedynku z księciem de Buckingham.

"Pan de Wardes, jak wiesz jest waleczny, lecz zarazem mściwy i złośliwy.

"Rozmawiał ze mną o tobie i, o ile zapewnia, czuje dla ciebie wiele życzliwości; następnie, o księżnie, którą uważa za piękną i godną kochania.

"Odgadł twoją miłość dla osoby, o której wiesz.

"Mówił mi również o osobie, którą kocham i wyraził mi najżywsze współczucie, żałując mnie mocno; mówił jednak to wszystko tak niezrozumiale, iż przypisać to musiałem chyba zwykłej jego tajemniczości.

"Oto jak się rzecz ma:

"Miał on otrzymać wiadomości z dworu, pojmujesz, od kawalera Lotaryńskiego...

Mówią — głosiły te wiadomości — że nastąpiła zmiana w miłości króla.

Wiesz, kogo to dotyczy.

Następnie, krążą pogłoski o pewnej damie honorowej, która jest przedmiotem złośliwych potwarzy.

"Te zagadkowe wyrażenia nie pozwoliły mi zasnąć. Żałuję od wczoraj, że mój charakter prawy, ale i słaby pozbawił mnie dalszych wyjaśnień.

"Krótko mówiąc, pan de Wardes wyjeżdżał do Paryża; nie chciałem więc opóźnić jego odjazdu objaśnieniami, a nadto wydawało mi się natrętnem zarzucać pytaniami ranionego człowieka.

"Chociaż jedzie powoli, ale chce być obecnym, jak mówił, na ciekawem widowisku, jakie dwór zapewne wyda niezadługo.

"Dodał do tych wyrazów pewne życzenia i jakby współubolewania. Ani jednych, ani drugich nie zrozumiałem. Byłem zaniepokojony i nie ufałem temu człowiekowi, a wiesz, że nie jestem w stanie pokonać nieufności ku niemu.

"Kiedy wyjechał, umysł mój nieco się rozjaśnił.

"Niepodobna, aby taki charakter jak pana de Wardes, nie wcisnął nieco złośliwości w to opowiadanie.

"Niepodobna jednak, aby w tajemniczych wyrazach pana de Wardes nie było ukrytego czegoś czegobym nie mógł zastosować do siebie, albo do osoby, o której ci wiadomo.

"Zmuszony spiesznie wyjechać, dla wykonania królewskiego rozkazu, nie mogłem nawet myśleć o tem, aby dogonić pana de Wardes i otrzymać od niego wyraźniejsze objaśnienia; ślę zatem do ciebie kurjera i zwierzam ci się z mego niepokoju. Ty jesteś prawie drugim mną.

"Ja myślałem, ty działaj.

"Pan de Wardes wkrótce przybędzie; staraj się zatem dowiedzieć, co chciał mi oznajmić, jeżeli sam się nie domyślasz.

Zresztą pan de Wardes utrzymywał, że książę de Buckingham opuścił Paryż, pozyskawszy pewne względy u księżny; jest to okoliczność, za którą bezzwłocznie wziąłbym broń do ręki, gdybym nie musiał przedewszystkiem wykonać rozkazu królewskiego.

"List ten doręczony ci przez Olivain'na spal po otrzymaniu.

"Kto mówi "Olivain", mówi tem samem o uosobionej wierności.

"Racz, proszę cię, kochany hrabio przypomnieć mnie pamięci panny de la Valliere, której rączki z uszanowaniem całuję.

Ciebie zaś ściskam serdecznie.

Wicehrabia de Bragellone."

P. S. Gdyby zaszło coś ważnego, a na wszystko trzeba być przygotowanym — wypraw do mnie kurjera z temi tylko wyrazami: Przybywaj spiesznie, — a ja, po odebraniu listu, w trzydzieści sześć godzin będę w Paryżu.

Guiche westchnął, złożył list po raz trzeci i, zamiast go spalić, jak polecił Bragellone, włożył do kieszeni.

Pragnął go jeszcze czytać i odczytywać.

— Co za niepokój i jakie zaufanie zarazem!... — rzekł hrabia do siebie. — Cała dusza Raoula maluje się w tym liście.

Zapomina w nim o hrabim de la Fere, a mówi o uszanowaniu dla Ludwiki.

Ostrzega mnie, a błaga co do siebie.

— Ach!... — mówił dalej pan de Guiche z groźnym gestem — mieszasz się do moich spraw, panie de Wardes, to i ja się

zajmę twojemi. Co zaś do ciebie, biedny Raoulu, serce twoje zostawiło tu zastaw. Będę czuwał nad nim, nie lękaj się niczego.

Po uczynieniu tej obietnicy, Guiche kazał prosić Malicorna, aby jeżeli może, przybył do niego natychmiast.

Malicorne udał się na zaproszenie z pośpiechem, który był owocem rozmowy z Montalais.

Im bardziej Guiche badał Malicorna, tem bardziej tenże, dzia łając w cieniu, odgadywał badającego.

Wynikło stąd, że po kwadransie rozmowy, z której Guiche próbował wyłowić całą prawdę co do la Valliere i króla, właściwie, niczego się nie dowiedział, prócz tego, co widział na własne oczy; tymczasem Malicorne wyrozumiał, czy odgadł, jak kto woli, że Raoul zaczyna niedowierzać i, że hrabia de Guiche ma czuwać nad skarbem Hesperyd.

Malicorne przyjął na siebie rolę spostrzegacza.

Guiche w przekonaniu, że wszystko, co mógł, uczynił dla przy jaciela, zajął się swemi sprawami.

Nazajutrz wieczorem doniesiono o przybyciu pana de Wardes i o pierwszem jego przedstawieniu się królowi.

Następnie, przychodząc do zdrowia, miał odwiedzić brata królewskiego.

Guiche udał się do księcia o godzinę wcześniej.

CLIV

JAK PANA DE WARDES PRZYJĘTO U DWORU.

Książe przyjął pana de Wardes z ową uprzejmością, jaka w słabym charakterze budzi się łatwo dla każdej nowości.

Pan de Wardes, którego nie widziano od miesiąca, był istotnie nowym człowiekiem, więc pieścić go było to przeniewierzać się dawnym, a przeniewierzanie zawsze ma swój powab; zresztą, należała mu się jakaś nagroda. Książę przyjął go zatem jaknajmilej.

Kawaler Lotaryński, który bardzo się go lękał jako współzawodnika, ale szanował dla zupełnego z sobą podobieństwa w sposobie myślenia i zarazem dla jego odwagi, powitał pana de Wardes, jeszcze milej, niż książę.

Guiche znajdował się u księżny, jakieśmy powiedzieli, ale stał zdaleka, czekając cierpliwie końca powitań.

Pan de Wardes, rozmawiając z rozmaitemi osobami, a nawet z księciem, nie spuszczał hrabiego z oczów. Przeczucie mówiło mu, że Guiche przybył tylko dla niego.

Zaraz więc przystąpił do hrabiego, skoro skończył mówić z innymi.

Obydwaj uraczyli się najgrzeczniejszymi komplementami, poczem de Wardes powrócił do księcia i innych panów.

Wśród brzmiących jeszcze powinszowań szczęśliwego powrotu, zapowiedziano księżnę.

Księżna rychło się dowiedziała o przybyciu pana de Wardes.

Znała ona szczegóły jego podróży i pojedynku z księciem de Buckingham.

Uważała wszakże za właściwe usłyszeć je z ust człowieka, w którym widziała swego nieprzyjaciela.

Towarzyszyły jej dwie, czy trzy damy.

De Wardes skłonił się księżnie z uszanowaniem i zaraz na wstępie oświadczył, jakby na zaczepkę, że gotów jest udzielić przyjacielom pana de Buckingham wiadomości o nim.

Była to poprostu odpowiedź na obojętność księżny, z jaką go przyjęła.

Atak był żywy, księżna poczuła cios, ale nie pokazała po sobie, że ją ugodził, i rzuciła okiem na księcia i hrabiego de Guiche.

Książę zaczerwienił się, Guiche zbladł.

Tylko księżna nie zmieniła wyrazu twarzy; pojmując, ile de Wardes mógł jej sprawić nieprzyjemności, przy tych dwóch osobach, które go słuchały, pochyliła się z uśmiechem ku przybyszowi.

Ten mówił już o czem innem.

Księżna była odważna, a nawet nieostrożna. Gdy kto jej ustępował, tem więcej nastawała na niego.

Ochłonąwszy więc z pierwszego wrażenia sama zaczepiła.

— A czy wiele ucierpiałeś skutkiem ran, panie de Wardes, bo mówiono nam, że miałeś nieszczęście je otrzymać?

Teraz z kolei pana de Wardes dreszcz przeszedł; przygryzł tylko usta.

— Nie, księżno — drzekł — prawie nic.

— Jednakże; w czasie tak nieznośnego upału...

— Powietrze morskie jest chłodne, a nadto miałem pociechę.

— Tem lepiej!... jaką?

— A tą, że przeciwnik mój więcej cierpiał odemnie.

— Czy był ciężej od pana raniony? Nie wiedziałam o tem — podchwyciła księżna z zupełną obojętnością.

— Myli się, Wasza Książęca Mość, albo raczej nie chce zrozumieć moich wyrazów; nie mówię bynajmniej, aby jego ciało więcej cierpiało od mego, ale ugodzony był w serce.

Guiche pojmował, co wyniknie z tej walki, i odważył się dać znak księżnie; znak ten błagał ją, aby się cofnęła.

Ale ona, nie odpowiadając hrabiemu de Guiche, i udając, że go nie widzi, zapytała z uśmiechem:

— Jakto!... pan de Buckingham został ugodzony w serce?... nie wiedziałam dotąd, że rana w sercu da się uleczyć.

— Niestety, księżno!... — odpowiedział grzecznie de Wardes — kobiety wierzą w to i to właśnie daje im nad nami wyższość, pochodzącą z zaufania w siebie.

— Moja droga, źle to pojmujesz — odezwał się książę zniecierpliwiony — pan de Wardes chce powiedzieć, że książę de Buckingham był ugodzony w serce, ale nie mieczem.

— Ach, rozumiem — zawołała księżna — to żart z pańskiej strony. Ciekawam tylko, czy panu de Buckingham spodobałby się ten żarcik, i prawdę mówiąc, szkoda, że go tu niema.

Błyskawica zajaśniała w oczach młodzieńca. Odrzekł też z przyciskiem:

— I ja tego żałuję.

Guiche nie ruszył się z miejsca.

Księżna zdawała się czekać, aby przyszedł jej na pomoc.

Książę wahał się.

Kawaler Lotaryński zbliżył się wówczas i odezwał:

— Księżno, pan de Wardes wie, że pocisk wymierzony w serce Buckinghama nie jest dla ciebie nowością i to, co mówi, nieraz się widziało.

— Ach, więc zamiast sprzymierzeńca, mam dwóch i to zaciętych nieprzyjaciół — odrzekła cicho księżna.

I zmieniła przedmiot rozmowy.

Jak wiadomo, zmiana tematu rozmowy jest przywilejem monarchów, przywilejem który etykieta nakazuje szanować.

Dalsza rozmowa była umiarkowaną; główni aktorzy skończyli już swoje role.

Księżna wcześnie się oddaliła na swoje pokoje, a książę, który chciał z nią porozmawiać, podał jej ramię.

Kawaler Lotaryński lękał się, aby nie nastąpiło dobre porozumienie pomiędzy małżonkami, gdy ich zostawi spokojnie z sobą razem.

Udał się zatem do apartamentu księcia, aby go zaraz pochwycić, gdy powróci, i zniszczyć trzema wyrazami wszelkie dobre usposobienie, jakie księżna mogła obudzić w mężu.

Guiche przystąpił do pana de Wardes, którego otaczało wiele osób.

Tem samem oświadczył więc niejako chęć rozmówienia się z nim.

Pan de Wardes spojrzeniem i poruszeniem głowy odpowiedział, że go pojmuje.

Dla obcych mogło to być oznaką przyjaźni.

Guiche odwrócił się i czekał.

Niedługo wszakże czekał, bo de Wardes, uwolniwszy się od rozmawiających, zbliżył się do hrabiego de Guiche i obydwaj po grzecznym wzajemnym ukłonie rozpoczęli przechadzkę po salonie.

— Szczęśliwie powróciłeś panie de Wardes — rzekł hrabia.

— Wybornie, jak pan widzisz.

— I zawsze jesteś wesół?

— Więcej, niż kiedykolwiek.

— To wielkie szczęście.

— Cóż chcesz, hrabio, wszystko jest śmiesznem, albo zabawnem na świecie.

— Ma pan słuszność.

— I pan jest mojego zdania?

— Zapewne. Czy przywozisz nam jakie wiadomości?

— Na honor, przeciwnie. Tu ich myślę szukać.

— Wybacz pan. Widziałeś jednak wiele osób w Boulogne, a nawet jednego z naszych przyjaciół...

— Wiele osób... jednego z naszych przyjaciół...

— Masz pan widać krótką pamięć.

— Ach, prawda, Bragellona!

— Tak, właśnie.

— Jechał do króla Karola.

— Tak. Czy nic panu nie mówił, albo pan jemu?

— Przyznaję, że nie wiem o czem z nim mówiłem! ale wiem doskonale, czego nie mówiłem.

De Wardes był uosobioną przebiegłością.

Odgadywał doskonale z postawy hrabiego, zimnej jego godności i powagi, że rozmowa przybierze zły obrót postanowił zatem nie uchylać się od niej, ale być ostrożnym.

— A o czemże pan nie mówiłeś? — rzekł Guiche.

— O rzeczach, dotyczących la Valliere.

— La Valliere... Cóż to ma znaczyć?... Cóż to za rzeczy, o których pan wiedziałeś już zdaleka, gdy Bragellone nie wiedział znajdując się tutaj.

— Czy pan naprawdę zadajesz mi to pytanie?

— Naprawdę.

— Jakto?... pan, dworzanin, pan, żyjący na dworze księstwa, pan, ustawiczny gość w ich domu, przyjaciel księcia, ulubieniec pięknej księżny!...

Guiche zaczerwienił się z gniewu.

— O jakiej księżnie pan mówisz?... — zapytał.

— Mój drogi panie, ja znam tylko jedną. Mówię o księżnie pani. Czy mamy jaką inną księżnę w sercu?

Guiche chciał się rzucić; ale się jeszcze powstrzymał.

Sprzeczka pomiędzy dwoma młodzieńcami była nieuchronna.

Z tą tylko różnicą, że pan de Wardes chciał wywołać sprzeczkę o księżnę, a Guiche w obronie la Valliere.

Guiche odzyskał jednakże całą zimną krew.

— Wcale tu niema mowy o księżnie, kochany panie de Wardes — rzekł Guiche, — ale o tem, o czem przed chwilą mówiłeś; mianowicie, że rzecz jakąś ukryłeś przed Bragellonem.

— O której pan wiesz tak dobrze jak i ja — odpowiedział de Wardes.

— Nie, na honor.

— Ej, jakto!

— Jeżeli mi pan powiesz' będę wiedział; jeżeli nie, pozostanę w dawnej nieświadomości.

— Jakto?... ja, który przybywam z miejscowości oddalonej stąd o sześćdziesiąt mil, ja mam panu mówić, panu który się z miejsca nie ruszyłeś. Mógł pan to widzieć na własne oczy: gdy do mnie dochodziły tylko plotki. I mówisz, hrabio, naprawdę, że nie wiesz o niczem.

— Sądź pan, jak ci się podoba, panie de Wardes; ale powtarzam ci, że nic nie wiem.

— Jesteś pan ostrożny; to bardzo roztropnie.

— Zatem nic mi pan nie powiesz, tak, jak Bragellonowi?

— Udajesz pan chyba, że mnie nie rozumiesz. Jestem przekonany, że księżna nie panowałaby nad sobą tak jak pan.

— Ach, obłudniku — rzekł cicho Guiche — znowu wróciłeś do swego ulubionego tematu.

— Skoro trudno nam się porozumieć co do la Valliere i Bragellona — odparł de Wardes — rozmawiajmy o pańskich interesach osobistych.

— Ależ — odrzekł Guiche — ja nie mam wcale interesów osobistych. Zapewne nie mówiłeś pan o mnie Bragellonowi nic takiego, czegobyś w oczy nie mógł i mnie powtórzyć.

— Bynajmniej; ale pojmujesz hrabio, że, o ile jestem nieświadom pewnych rzeczy, o tyle jestem dobrze objaśniony o innych. Gdyby szło, naprzykład, o opowiedzenie przygód pana de Buckingham w Paryżu, mógłbym ci opowiedzieć wiele interesujących rzeczy, ponieważ odbyłem tą podróż razem z księciem. Czy chcesz pan?

Guiche potarł ręką zwilżone od potu czoło.

— Ależ nie, — wyrzekł — stokroć nie; nie jestem ciekaw tego, co się mnie nie dotyczy. Książę de Buckingham jest tylko moim znajomym, Raoul zaś przyjacielem, nie jestem zatem ciekaw przygód pana de Buckingham, chciałbym natomiast wiedzieć, co się zdarzyło Raoulowi.

— W Paryżu?

— Tak, w Paryżu, albo w Boulogne. Pojmujesz pan, że będąc obecny tutaj, powinienem stawić czoło wszelkim plotkom, albowiem tutaj ja tylko reprezentuję Raoula i jego interesa, a te powinny mnie obchodzić przed mojemi.

— Ależ Raoul powróci.

— Po dopełnionem posłannictwie; tymczasem pojmujesz pan, że nie mogę pozwolić, aby chodziły o nim złe wieści.

— Tembardziej, że jakiś czas zabawi w Londynie — podchwycił de Wardes z naigrawaniem.

— Czy tak pan sądzi? — zapytał naiwnie de Guiche.

— Na Boga?... czy myślisz pan, że go posłano do Londynu dlatego tylko, aby pojechał i powrócił?... O, nie, posłano go do Londynu, aby tam pozostał.

— Ach, hrabio — wyrzekł Guiche, silnie chwytając za rękę pana de Wardes — przykre to podejrzenie dla Bragellona, usprawiedliwia to, co pisał z Boulogne.

De Wardes ostygł, zamiłowanie do żartów zapędziło go za daleko; pozwolił wziąć górę nad sobą.

— Cóż zatem pisał? — zapytał.

— Że mu napomknąłeś coś złośliwie o la Valliere i śmiałeś się z zaufania, jakie w niej pokłada.

— Tak. Wszystko, to uczyniłem, — odrzekł de Wardes. — I byłem gotów usłyszeć od wicehrabiego de Bragellone to, co mówi człowiek, obrażony przez innego. To też gdybym szukał z panem sprzeczki, powiedziałbym ci, że księżna, sprzyjając niegdyś panu de Buckingham, podług domniemywań i pogłosek, wyprawiła pięknego księcia tylko przez wzgląd na ciebie.

— Och, to mnie wcale nie obrazi, kochany panie de Wardes — odpowiedział Guiche z uśmiechem, pomimo dreszczu, jaki przebiegał po całem jego ciele. — Do djabła!... taka łaska byłaby zbyt wielkiem szczęściem.

— Zgoda, ale gdybym koniecznie szukał z panem sprzeczki, chciałbym, ażebyś mi zaprzeczył: mówiłbym ci o pewnym lesie, gdzie spotkałem cię z piękną księżną, o padaniu na kolana, o całowaniu po rękach... a pan, co jesteś żywy i drażliwy...

— Nie, nie, przysięgam panu — odrzekł Guiche, przerywając z uśmiechem na ustach, chociaż zdawało mu się, że skona — nie, przysięgam panu, że wszystko to nie skłoniłoby mnie do wyzwania. W rzeczach dotyczących mnie, mości hrabio, jestem zimniejszy od lodu. Ale rzecz wcale inna gdy idzie o nieobecnego przyjaciela, o przyjaciela, który odjeżdżając powierzył mi swoje sprawy, och, ja, za przyjaciela jestem cały w płomieniach.

— Pojmuję cię, panie de Guiche; ale napróżno mówisz. Niema mowy między nami w tej chwili ani o Bragellonie, ani o nic nieznaczącej dziewicy, którą nazywają la Valliere.

W tej chwili kilku młodzieńców przeszło przez salon, i słysząc wymówione przed chwilą wyrazy, zatrzymało się, aby usłyszeć resztę.

De Wardes spostrzegł to i mówił głośno:

— Och, gdyby la Valliere była zalotną, jak księżna, której zaloty niewinne, jak sądzę, wyprawiły pana de Buckingham do

Anglji, a następnie i ciebie wygnały; albowiem dałeś się zwieść przecie tym zalotom, nieprawdaż, panowie?

Panowie ci zbliżyli się, Saint-Agnan naprzód, Manicamp za nim.

— Cóż pan chce drogi panie, — odpowiedział Guiche z uśmiechem — wszak wszyscy wiedzą, że jestem trochę zarozumiały. Wziąłem żart za prawdę i ukarano mnie wygnaniem. Ale kiedy błąd mój poznałem, złożyłem moją próżność u stóp tego, któremu się to należy, zostałem przywołany znowu i dałem zadośćuczynienie, przyrzekając wyleczyć się z choroby, a muszę już być wyleczony, skoro się teraz śmieję z wieści których stałeś się pan tłumaczem, chociaż wiedziałeś, jak ja i wszyscy ci panowie, że wieści te są potwarzą.

— Potwarzą!... — zawołał Wardes, wściekły, że się dał wciągnąć w pułapkę zimnej krwi hrabiego de Guiche.

— Tak potwarzą. Oto jego list, w którym Raoul mówi, że źle wyrażałeś się o pannie la Valliere i zapytuje mnie czy to, co mówiłeś, jest prawdą? Czy chcesz panie de Wardes, abym tych panów wezwał na sędziów?

I z najzimniejszą krwią odczytał Guiche ustęp listu, dotyczący la Valliere.

— A teraz — dodał — dowiedzione jest, że chciałeś pan zakłócić spokój drogiego mi Bragellona i że twoje koncepty były złośliwe.

De Wardes spojrzał wokoło siebie, aby się przekonać, czy może liczyć na czyją pomoc; lecz, na samą myśl, że de Wardes wyrządził obrazę, bądź pośrednio, bądź bezpośrednio tej, która była bożyszczem danej chwili, każdy kiwnął głową i de Wardes widział, że wszyscy są przeciw niemu.

— Panowie — wyrzekł de Guiche, odgadując instynktownie powszechne uczucie — sprzeczka nasza z panem de Wardes ma przedmiot tak delikatny, że wiele zależy, aby nikt więcej nie słyszał ponad to, co powiedziano. Pilnujcie zatem drzwi, proszę was, i pozwólcie, abyśmy skończyli sami rozmowę, jak przystoi na dwóch rycerzy.

— Panowie! panowie — zawołali obecni.

— Jeżeli niesłusznie broniłem panny de la Valliere — rzekł Guiche — w takim razie winię sam siebie i odwołuję obrażające wyrazy, które mogłem powiedzieć pan de Wardes.

— Do szatana!... — zawołał Saint-Agnan — panna de la Valliere jest aniołem.

— Sama cnota, sama czystość — zawołał Manicamp.

— A widzisz, panie de Wardes, — podchwycił de Guiche — że nie ja sam tylko staję w obronie biednej dziewczyny; panowie, pwtórnie was proszę, abyście nas zostawili samych. Widzicie, że trudno być spokojniejszymi, niż jesteśmy.

Dworzanie sami pragnęli się oddalić; jedni poszli do jednych drzwi, inni do innych.

Guiche i de Wardes zostali sami.

— Doskonale pan to odegrałeś — wyrzekł de Wardes do hrabiego.

— Tak — odparł hrabia.

— Lecz cóż pan chcesz?... ja zardzewiałem na prowincji, mój drogi panie, tymczasem ty nabyłeś panowania nad sobą, które mnie zadziwia. Och, zawsze się czegoś nabywa w towarzystwie kbiet; przyjmij pan zatem moje powinszowanie.

— Przyjmuję je.

— A ja zwrócę je księżnie.

— Tak, kochany de Wardes, mów o niej tak głośno, jak ci się podoba.

— Och, nie nalegaj pan.

— Owszem nalegam, znanym bowiem jesteś jako człowiek złośliwy; ale, jeżeli to uczynisz, będą cię uważali za podłego i książę każe cię powiesić. Mów więc, kochany panie de Wardes, mów...

— Jestem pobity.

— Ale jeszcze nie tak, jak tego potrzeba.

— Jak widzę, chciałbyś mię pan zbić na kwaśne jabłko.

— Nie, jeszcze lepiej.

— Na teraz źle trafiasz, kochany hrabio; po świeżo przegranej partji, nowa już mi nie smakuje. Dosyć straciłem krwi w Boulogne i najmniejsze wysilenie może mi odnowić rany; tym sposobem miałbyś nademną przewagę.

— Prawda, — odpowiedział Guiche — jednakże po przybyciu udawałeś pan zucha i ręce masz silne.

— Tak, ręce mam silne to prawda, ale nogi są słabe, a nadto od pojedynku nie miałem floreta w ręce; ty zaś, zaręczam, ćwiczysz się codzień aby być pewnym siebie.

— Na honor, panie — odpowiedział Guiche — już od pół roku nie mam żadnej wprawy.

— Pomimo to, ja bić się nie będę, przynajmniej z panem. Zaczekam na Bragellona, ponieważ, jak mówisz Bragellone został przezemnie obrażony.

— Och, nie będziesz pan czekał na Bragellona!... — zawołał Guiche w uniesieniu — albowiem sam powiedziałeś, że przybycie Bragellona może się opóźnić, a tymczasem twój złośliwy umysł dokona swojego.

— Będę miał przecież jedną wymówkę. Jestem osłabiony.

— Daję panu tydzień czasu, abyś przyszedł do zdrowia.

— Dobrze, za tydzień zobaczymy się.

— Tak, tak, rozumiem, za tydzień można się wymknąć nieprzyjacielowi. Och, nie, nie...

— Oszalałeś pan... — rzekł de Wardes, cofając się.

— Jesteś nędznikiem, jeżeli nie będziesz się bić natychmiast.

— A jeżeli nie będę?...

— Doniosę królowi, że znieważywszy pannę de la Valliere, nie chciałeś przyjąć mojego wyzwania.

— Och, — odrzekł de Wardes — jesteś niebezpiecznie chytrym, panie uczciwy człowieku!...

— Niema nic niebezpieczniejszego nad chytrość tego, który zawsze postępuje otwarcie.

— Powróć mi pan zatem nogi, albo każ upuścić krwi ze swoich, abyśmy mieli równe siły.

— Nie, ja mam inny środek.

— Mów pan.

— Wsiądziemy na konie i damy do siebie potrzykroć ognia z pistoletów. Strzela pan znakomicie. Widziałem, jak kulą bijesz jaskółki w locie. Nie zaprzeczaj, bo widziałem.

— Sądzę, że masz pan słuszność — odparł de Wardes — i tym razem może cię zabiję.

— Wyświadczysz mi wielką przysługę.

— Będę się starał.

— Słowo?...

— Oto ręka.

— Jeszcze jeden warunek jednakże.

— Jaki?...

— Że nic pan nie powiesz, ani nie każesz powiedzieć królowi.

— Nie powiem, przysięgam.

— Pójdę po konia.
— I ja po mojego.
— Dokąd pojedziemy?...
— W pole; znam doskonałe miejsce.
— Czy pojedziemy razem?...
— Dlaczegóżby nie?...
I obydwaj, idąc do stajni, przeszli pod oknami księżny, łagodnie oświetlonemi; cień rósł za koronkowemi firankami.
— Oto kobieta, — rzekł de Wardes, uśmiechając się — która nawet się nie domyśla, że idziemy na śmierć dla niej.

CLV

POJEDYNEK.

De Wardes wybrał sobie konia, Guiche uczynił to samo.
Następnie, każdy z nich osiodłał swojego rumaka.
De Wardes nie miał pistoletów. Guiche miał ich dwie pary.
Udał się po nie do domu, nabił i dał do wyboru panu de Wardes.
De Wardes wybrał pistolety, których już wielokrotnie używał, a z których, jak mówił Guiche, bił w locie jaskółki.
— Nie dziw się pan — rzekł — że przedsiębiorę wszelkie ostrożności. Broń twoja jest ci dobrze znana. Przez wybór więc z mej strony, równoważą się tylko nasze siły.
— Zbyteczna uwaga, — odpowiedział Guiche. — Ma pan do tego prawo.
— Teraz — rzekł de Wardes — proszę pana, pomóż mi wsiąść na konia, bo po przebytej chorobie jestem jeszcze mocno osłabiony.
— Trzeba było zatem walczyć pieszo.
— Nie, bo na siodle mogę się mierzyć z każdym.
— Dobrze; nie mówmy o tem więcej.
I Guiche pomógł panu de Wardes wsiąść na konia.
— Teraz — mówił dalej młodzieniec — w naszym szale niesienia sobie zguby zapomnieliśmy o jednej rzeczy.
— O jakiej?...
— Że teraz już noc i że musimy zabijać się poomacku.
— Mniejsza o to; zawsze będzie ten sam skutek.

— Należy jednak i na to zwrócić uwagę, że ludzie uczciwi nie potykają się bez świadków.

— Och, — zawołał de Guiche — pan również jak i ja lubi porządnie załatwiać wszelkie sprawy.

— Tak; bo nie chcę, aby mógł ktoś powiedzieć, że mnie zamordowałeś; tembardziej, jeżeli ja zabiję ciebie. Nie chcę, aby mnie obwiniano o zbrodnię.

— Czy mówiono coś podobnego o pańskim pojedynku z panem de Buckingham?... — zapytał Guiche — A wszakże odbył się na tych samych warunkach, na jakich ma się dokonać nasz.

— Ale wówczas był jeszcze prawie dzień i staliśmy po kolana w wodzie; zresztą wielu widzów patrzyło na nasz z brzegu.

Guiche zamyślił się przez chwilę i wkróce przyszedł do przekonania, że de Wardes dlatego chciał mieć świadków, aby wznowić rozmowę o księżnie i nadać nowy charakter pojedynkowi; nie mówiąc przeto nic, dał znak.

Dwaj przeciwnicy puścili się w drogę i wyjechali z zamku bramą, którą już znamy, gdyż przy niej widzieliśmy już Malicorne i Montalais.

Noc, jakby chcąc pokonać upał dzienny, zgromadziła wszystkie chmury i pędziła je w milczeniu z zachodu na południe.

Chmura nierozjaśniona smugami błyskawic ciążyła nad ziemią, jak ogromny całun, którego części wiatr kiedy-niekiedy odrywał.

Ciepłe i duże krople deszczu spadały na ziemię.

— Ziemia mile pachnie — odezwał się de Wardes — to zalotność z jej strony, aby nas przynęcić do siebie.

— Panie de Wardes rzekł Guiche, — przyszło mi kilka myśli do głowy i chciałbym się niemi z panem podzielić.

— Co do czego?

— Co do naszej walki.

— W rzeczy samej, czas już wielki, abyśmy się tem zajęli.

— Czy będzie to pojedynek zwyczajny, podług przepisów?

— Jakież to przepisy?

— Zsiądziemy z koni na równinie, przywiążemy je do pierwszego lepszego drzewa i zejdziemy się bezbronnie: następnie oddalimy się o sto pięćdziesiąt kroków i wrócimy, idąc naprzeciw siebie.

— Dobrze; tak właśnie zabiłem biednego Follivent trzy tygodnie temu w Saint-Denis.

— Przepraszam, zapomina pan o pewnym szczególe.

— O jakim?

— W pojedynku z Folliventem szliście pieszo ku sobie, ze szpadą w zębach, a pistoletem w ręce.

— Prawda. Tym razem, przeciwnie, ponieważ nie mogę chodzić, będziemy się potykać z konia; kto zechce, wystrzeli pierwszy.

— Bezwątpienia będzie to najlepiej, ale, że ciemno, należy liczyć więcej chybionych strzałów, niż w dzień.

— Dobrze; każdy może strzelać trzy razy.

— Doskonale; gdzie będzie miejsce pojedynku?

— Może ma pan jakie upatrzone?

— Bynajmniej.

— Widzi pan zatem ten lasek, ciągnący się przed nami.

— Las de Rochers? Doskonale.

— Znasz go pan?

— Jaknajlepiej.

— Znasz więc polankę pośrodku?

— Znam.

— To udajmy się tam.

— Zgoda.

— Jestto jakby naturalna warownia, gdzie będziemy mogli walczyć jaknajwygodniej...

— Jesteśmy już na miejscu, jak sądzę.

—Tak, widzi pan piękną, półokrągłą polanę. Jasność z gwiazd, jak mówi Corneille, zbiera się na tej płaszczyźnie; naturalne jej granice stanowi las.

— Zgoda; czyń pan, jak mówisz.

— Skończmy zatem z warunkami.

— Oto są moje. Jeżeli ma pan co przeciw nim, powiedz.

— Słucham.

— Zabity koń zmusza swojego pana do walczenia pieszo.

— Rzecz jasna; bo nie mamy koni do zmiany.

— Ale nie obowiązuje przeciwnika, aby zsiadł z konia.

— Przeciwnikowi będzie wolno działać, jak mu się spodoba.

— Przeciwnicy, zszedłszy się z sobą, mogą się już nie oddalać i strzelać do siebie, prawie przyłożywszy sobie pistolet do piersi.

— Zgoda.

— Trzy strzały, nie więcej?

— Sądzę, że dosyć. Oto proch i kule do pańskich pistoletów; odmierz trzy naboje i weź trzy kule; ja wezmę tyleż; a potem wysypiemy na ziemię proch i wyrzucimy kule.

— I przysięgamy na Chrystusa, nieprawdaż, — dodał de Wardes — że nie mamy przy sobie, ani prochu, ani kul?

— Zgoda; ja przysięgam.

I Guiche wyciągnął rękę ku niebu.

— De Wardes naśladował go.

— Teraz, kochany hrabio — rzekł — pozwól mi powiedzieć, że nie dam się oszukać. Albo jesteś, albo będziesz kochankiem księżny. Odkryłem tajemnicę i lękasz się, abym jej nie rozgadał. Chcesz mnie zabić dla zapewnienia milczenia, to rzecz prosta i ja na twojem miejscu uczyniłbym to samo.

Guiche spuścił głowę.

— Panie de Guiche — mówił dalej de Wardes — czy warto narzucać mi tę niegodziwą sprawę Bragellona? Ostrożnie, przyjacielu, drażniąc odyńca przywodzi się go do wściekłości; gdy nęka się lisa, czyni go się tak dzikim, jak żbik. Stąd wynika, że napastowany przez ciebie, będę się bronił na zabój.

— Ma pan do tego prawo.

— Tak, lecz strzeż się, przyjacielu, bo mogę wyrządzić wiele złego; łatwo pojmujesz, że nie byłem tak głupi, abym zamknął na kłódkę moją, albo raczej twoją tajemnicę?... Jeżeli cię zabiję... a to jest prawdopodobne, rozumiesz? — wówczas mam jeszcze dowcipnego przyjaciela, który posiada moją tajemnicę. Och, ty go znasz... Zważ więc dobrze: gdybyś mię zabił, śmierć moja na niewiele ci się przyda; wprost przeciwnie, jeżeli ja cię zabiję... ha!... wszystko to być może...

Guiche zadrżał.

— Jeżeli zabiję pana — mówił dalej de Wardes — księżna będzie miała dwóch nieprzyjaciół, którzy będą pracować nad tem, aby ją zgubić.

— Och, panie — zawołał Guiche rozjuszony — nie licz na moją śmierć! Z tych dwóch nieprzyjaciół, jednego spodziewam się zabić natychmiast; drugiego zaś przy pierwszej sposobności, jaka mi się nadarzy.

De Wardes odpowiedział na to tak szatańskim śmiechem, że człwiek zabobonny pewnoby się był zatrwożył.

Lecz Guiche nie doznał tego wrażenia.

— Sądzę, — rzekł — iż jesteśmy już gotowi, panie de Wardes; wyjeżdżaj zatem, jeżeli nie chcesz, abym ja wyjechał.

— Nie trudź się pan — odpowiedział de Wardes — oszczędzę ci tej fatygi.

I, puszczając konia galopem, przebiegł całą przestrzeń łąki i zajął stanowisko w zakątku, który był wprost stanowiska, jakie sobie obrał Guiche.

Guiche pozostał na miejscu.

Z odległości dwóchset blisko kroków, dwaj przeciwnicy widzieć się nie mogli, ukryci bowiem byli w cieniu wiązów i kasztanów.

Upłynęła minuta wśród najgłębszego milczenia.

Następnie usłyszał każdy w miejscu, gdzie stał, odwodzenie kurków pistoletowych.

Guiche, według zwykłej taktyki, puścił konia galopem, przekonany, że znajduje podwójne bezpieczeństwo w ruchu i spiesznym biegu.

Bieg ten kierował w prostej linji ku punktowi, który powinien był zajmomwać jego przeciwnik.

W połowie drogi spodziewał się spotkać pana de Wardes: omylił się.

Z boku łąki ujrzał nagle światło i kula, świszcząc, obcięła mu pióro od kapelusza.

Prawie jednocześnie, jakby pierwszy strzał służył za oświetlenie drugiemu, znowu rozległ się huk i druga kula przeszyła koniowi hrabiego de Guiche łeb poniżej ucha.

Zwierzę padło.

Dwa te strzały, pochodzące z kierunku zupełnie przeciwnego temu, w którem spodziewał się znaleźć przeciwnika, zdziwiły hrabiego de Guiche; lecz, że był człowiekiem zimnej krwi, prze widział swój upadek i usiłował wydostać przygniecioną nogę z pod konia, zwierzę, konając, poruszyło się w tej chwili, co pozwoliło mu wykonać zamiar.

Powstał, pomacał się, nie był raniony.

Od chwili gdy poczuł, że koń słabnie włożył pistolety do olster, lękając się aby w czasie padania nie wystrzeliły i nie rozbroiły go bezużytecznie.

Stanąwszy na nogi, wydobył pistolety z pochew i udał się ku miejscu, gdzie przy świetle pierwszego strzału widział sylwetkę pana de Wardes.

Guiche odrazu zdał sobie sprawę z manewru nieprzyjaciela. Zamiast biedz na hrabiego de Guiche, albo zostać na miejscu, de Wardes pojechał wbok. Zrobił jakieś piętnaście kroków, kryjąc się w cieniu, który go osłaniał przed oczami przeciwnika: w chwili, kiedy ten przygalopował, de Wardes, strzelił do niego z miejsca, mierząc dowolnie i korzystając ze świetnego celu.

Widzieliśmy, że pomimo ciemności, pierwsza kula przeszła o cal od głowy hrabiego de Guiche.

De Wardes był pewnym swojego strzału. Zdziwił się więc bardzo, kiedy jeździec pozostał na siodle.

Pospieszył zatem i strzelił po raz drugi, lecz chybił jeźdźca, a zabił konia...

Byłaby to szczęśliwa niezręczność, gdyby się był Guiche dostał głębiej pod zabite zwierzę.

Zanim by się bowiem zdołał wyswobodzić, de Wardes nabiłby pistolet na trzeci strzał, a Guiche byłby przez ten czas na jego łasce.

Guiche jednakże zdołał się szybko uwolnić z pod ciężaru i miał trzy naboje do wystrzelenia.

Zrozumiał swe położenie... Teraz szło o to, aby pośpiechem odnieść przewagę nad panem de Wardes.

Pobiegł więc, aby go dopędzić, zanim zdoła nabić pistolet.

De Wardes widział jak Guiche pędzi nań, jak burza.

Kula była już w lufie i tylko oparła się słabo stemplowi.

Źle nabić było to narazić się na stratę ostatniego strzału.

Dobrze nabić było to stracić czas, albo raczej życie.

Zawrócił więc konia.

Guiche raptem się zatrzymał i w chwili, kiedy koń się odwracał, wypalił z pistoletu, kula jego uniosła kapelusz pana de Wardes.

De Wardes stanął i widząc, że ma jeszcze wolną chwilę, skorzystał z niej, aby dokończyć nabicia pistoletu.

Guiche, widząc, że przeciwnik jego nie pada, rzucił jeden pistolet, jako już niepotrzebny szedł naprzód z drugim. Ale za trzecim krokiem wziął go de Wardes na cel i strzelił.

Odpowiedział mu gniewny jęk; ręka hrabiego obwisła i opadła.

Pistolet wypadł mu z ręki.

De Wardes widział, jak hrabia podnosi pistolet lewą ręką i idzie znowu naprzód.

Była to chwila stanowcza.

— Jestem zgubiony, — mruknął de Wardes — nie raniłem go śmiertelnie.

Ale w chwili, kiedy hrabia podnosił pistolet zachwiał się wśród bolesnego westchnienia i potoczył pod konia przeciwnika.

— Przecież — rzekł tenże.

I spiął konia ostrogą.

Koń przeskoczył martwe ciało i uniósł pana swego spiesznie do zamku.

Przybywszy tam, de Wardes z kwadrans namyślał się, co robić.

W pośpiechu, opuszczając pole bitwy, zaniedbał się, czy Guiche w istocie padł nieżywy.

Jeżeli Guiche zginął, czy należało pozostawić jego ciało wilkom?

Byłoby to niepotrzebnem okrucieństwem, bo jeżeli Guiche umarł nie powie o tem nikomu.

Jeżeli nie umarł, dlaczego odmawiać mu pomocy i okazywać się barbarzyńcą?

Ostatnia uwaga przemogła.

De Wardes spytał o Manicampa.

Dowiedział się, że Manicamp, nie mogąc znaleźć hrabiego de Guiche i nie wiedząc, gdzie go szukać położył się spać.

De Wardes obudził śpiącego i opowiedział mu wypadek, którego Manicamp wysłuchał w milczeniu, lecz z wyrazem energji, do której twarz jego zdawała się przecie niezdolną.

I kiedy de Wardes skończył, Manicamp rzekł:

— Jedźmy.

Podczas tej jazdy, wyobraźnia Manicampa zapalała się, a kiedy de Wardes opowiadał, Manicamp stawał się coraz bardziej ponurym.

— Zatem — wyrzekł, kiedy de Wardes skończył mówić — sądzisz pan, że nie żyje?

— Niestety, tak!...

— I panowie biliście się bez świadków?

— Chciał tego.

— To szczególne.

— Mniemam, że pan nie wątpi przecież o mojem słowie?

— Och!...

— Wątpi pan o niem?

— Uprzedzam pana, że więcej jeszcze będę wątpił, jeżeli go znajdę nieżywego.

— Panie Manicamp?

— Panie de Wardes!

— Pan mnie znieważa!...

— Myśl pan co ci się żywnie podoba. Cóż chcesz!... ja nigdy nie lubiłem ludzi, którzy mówią: "Zabiłem w kącie tego i tego i uważam to za nieszczęście", lub "ręczę, że go zabiłem bez podstępu," gdy ciemna noc ma służyć na usprawiedliwienie tego zdania.

— Ciszej, przybyliśmy na miejsce.

Na łączce spostrzeżono martwego konia, a na prawo od niego leżał twarzą do ziemi biedny, krwią zalany, hrabia.

Pozostał na tem samem miejscu i zdawało się, że nie uczynił dotąd najmniejszego poruszenia.

Manicamp ukląkł, podniósł hrabiego i uczuwszy, że zimny, położył go znowu na ziemię.

Następnie, macając około niego, szukał, póki nie znalazł pistoletu hrabiego.

— Niestety!... odparł wtedy, podnosząc się blady, jak płótno, z pistoletem w ręku — niestety!... nie myliłeś się pan, on nie żyje.

— Nie żyje!... — powtórzył de Wardes.

— Tak i pistolet jest nabity — dodał Manicamp, macając panewkę.

— Przecież mówiłem panu, że celowałem, kiedy szedł na mnie, i strzeliłem, kiedy mierzył do mnie.

— Czy jesteś pewien, panie de Wardes, że się z nim pojedynkowałeś?... Bo ja się lękam, czy go nie zamordowałeś. Och, nie tłumacz się, wystrzeliłeś swe naboje, a jego są nietknięte. Zabiłeś konia i jego, zabiłeś hrabiego de Guiche, najlepszego strzelca we Francji, a on nie tknął ani ciebie, ani konia. Na swoje nieszczęście, panie de Wardes, przyprowadziłeś mnie tutaj!... Wszystka krew nabiegła mi do głowy, jestem jak pijany i zdaje mi się, na honor. że ci roztrzaskam głowę. Panie de Wardes, polećduszę swą Bogu.

— Panie Manicamp, zastanów się.

— Zastanowiłem się.

— Czy chcesz mnie zamordować?

— Bez najmniejszego wyrzutu sumienia. Przynajmniej w tej chwili.

— Jesteś pan szlachcicem?

— Było się przecież paziem i złożyło się na to dowody.

— Ale pozwól mi bronić życia.

— Zapewne; abyś zrobił zemną to samo, co z biednym Guiche

I, podnosząc pistolet, wymierzył, mrużąc powieki, wprost w piersi pana d Wardes.

De Wardes nie myślał nawet uciekać, tak był strwożony.

W tem, w okropnej tej chwili milczenia, która panu de Wardes wydawała się wiekiem, dało się słyszeć westchnienie.

— On żyje!... żyje!... — zawołał de Wardes — do mnie, panie Guiche, chcą mnie zamordować.

Manicamp, cofnął się i dwaj młodzi ludzie ujrzeli hrabiego podnoszącego się z trudnością na rękach.

Manicamp odrzucił pistolet i wydając okrzyk radości podbiegł do przyjaciela.

De Wardes otarł czoło z zimnego potu.

— Czas był wielki!... — rzekł cicho.

— Co tobie?... — zapytał Manicamp hrabiego de Guiche — gdzie jesteś raniony?

Guiche pokazał skaleczoną rękę i zakrwawioną pierś.

— Hrabio — zawołał de Wardes — obwiniają mnie, że chciałem cię zamordować; zaklinam cię, powiedz, żem walczył szlachetnie.

— Prawda — odpowiedział raniony — pan de Wardes walczył szlachetnie i kto utrzymuje inaczej, jest moim nieprzyjacielem.

— Ach, panie — rzekł Manicamp — pomóż mi najprzód przenieść tego biednego młodzieńca, a potem dam ci zadośćuczynienie, jakiego tylko zechcesz; albo, jeżeli ci pilno, zawiążmy rany hrabiego naszemi chustkami i ponieważ mamy dwa nabite pistolety, strzelajmy się.

— Dziękuję — odpowiedział de Wardes — w ciągu tej jednej godziny widziałem śmierć zbliska; to okropne, wolę już przyjąć pańskie usprawiedliwienie.

Manicamp zaczął się śmiać i Guiche, pomimo cierpień, nie mógł się również powstrzymać od śmiechu.

Młodzieńcy chcieli go nieść, lecz oświadczył, że ma dość siły i pójdzie sam.

Kula strzaskała mu serdeczny i mały palec; następnie, oparła się na żebrach i nie weszła wewnątrz piersi.

Ból raczej, niż ciężkość rany, powalił hrabiego de Guiche.

Manicamp podał mu rękę, de Wardes wziął go pod drugą, i tak zaprowadzili do Fontainebleau, do doktora, tego samego, który był przy śmierci franciszkanina, poprzednika Aramisa.

CLVI

WIECZERZA U KRÓLA.

Król siadł do stołu, a za nim niewielka liczba zaproszonych osób zajęła miejsca po lewej i prawej stronie, stosownie do wskazówek danych przez mistrza ceremonji, który przestrzegał porządku przy siadaniu do stołu.

W tej epoce, chociaż etykieta nie była jeszcze taką, jak później, dwór francuski uczynił już zupełny rozbrat z tradycjonalną prostotą, przystępnością i patrjarchalną swobodą, jaką widzieć jeszcze było można za Henryka IV-go, a którą podejrzliwy umysł Ludwika XIII-go zastąpił zwyczajami wschodniej wielkości, której szczytu nie mógł jednak zupełnie dosięgnąć.

Król jadł przy oddzielnym stole, który stał jakby na wzniesieniu, wyżej, niż stoły sąsiednie, a był większym od innych.

Na tym stole, najobficiej zastawiono rozmaite potrawy, jako to: ryby, zwierzynę, pieczyste, owoce, leguminy i konfitury.

Król, młody i silny, lubiący łowy i ćwiczenia cielesne, wymagające siły, miał w sobie tę gorącość krwi która jest wrodzona Burbonom i która sprawia, że człowiek prędko trawi i posiada dobry apetyt.

Ludwik XIV-sty był wybrednym biesiadnikiem; lubił przyganiać swoim kucharzom; lecz gdy zyskali jego zadowolenie, nagroda bywała sowitą.

Król zaczynał od wielu zup, albo razem je mieszając, albo jedząc oddzielnie, a każdą zupę przeplatał kieliszkiem wina.

Jadł prędko i dosyć chciwie.

Portos, który z początku, przez uszanowanie, czekał, aż go trąci d'Artagnan, teraz, widząc, jak się sam król popisuje, zwrócił się do muszkietera i rzekł półgłosem:

— Zdaje się, że mogę zacząć. Spójrzno jak Jego Królewska Mość mnie zachęca.

— Król je — rzekł d'Artagnan — ale jednocześnie rozmawia, miej się więc na baczności, abyś, gdy do ciebie przemówi, nie miał pełnej gęby.

— Kiedy tak, to najlepiej nic nie jeść — odpowiedział Portos. — Jednak przyznam ci się, że mi się jeść chce, a wszystko co widzę, ma tak miły zapach, że drażni mi apetyt i powonienie.

— Zmiłuj się, jedz, bo jeżeli będziesz jadł mało, obrazisz tem króla, który powiada zwykle, że ten dobrze pracuje, kto je dobrze, i nie lubi jedzących półgębkiem

— A jak mi się zapcha gęba?... — zauważył Portos.

— No — odpowiedział kapitan muszkieterów — to kiedy król przemówi do ciebie połknij zręcznie kęs i gadaj.

— Prawda, to nic trudnego.

I od tej chwili, Portos zaczął jeść z ugrzecznioną żarłocznością.

Król kiedy — niekiedy spoglądał na jedzących i oceniał jak znawca przymioty biesiadników.

— Panie du Vallon!... — wyrzekł.

Właśnie Portos jadł salami z zająca i w jednej chwili połknął ogromny kawał.

Wygłoszenie nazwiska przejęło go dreszczem, aż mu zając stanął w gardle.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł głosem stłumionym. ale zrozumiałym.

— Niechaj podadzą panu du Vallon ten udziec jagnięcy — rzekł król. — Czy lubisz, panie du Vallon, młodą baraninkę?

— Ja wszystko lubię, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Portos.

A d'Artagnan mu podszepnął:

— Wszystko, co Wasza Królewska Mość mi przysyła.

Portos powtórzył:

— Wszystko, co Wasza Królewska Mość mi przysyła.

Król skinieniem głowy okazał zadowolenie.

— Dobrze ten je, kto się dobrze napracuje — odezwał się król uradowany, że ma naprzeciw siebie tak znakomitego żarłoka jak Portos.

Portos wziął półmisek z jagnięciem i aż połowę włożył na swój talerz.

— A co?.... — spytał król.

— Wyborne — odpowiedział spokojnie Portos.

— Czy w twoich stronach, panie du Vallon, są tak tłuste barany?

— Najjaśniejszy Panie, sądzę, że w moich stronach, jak i wszędzie, wszystko co tylko jest najlepszego, należy do króla; zresztą ja nie jadam baraniny, tak przyrządzonej jak u Waszej Królewskiej Mości.

— Jakże więc jadasz?

— Ja każę przyrządzać całego baranka.

— Całego?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— A to jakim sposobem?

— A oto takim, Najjaśniejszy Panie: mój kucharz, zabawny Niemiec, nadziewa baranka małemi kiełbaskami, które sprowadza ze Strasburga, serdelkami, które mu przywożą z Troyes, i skowronkami, które zamawia w Pithiviers; coprawda, nie wiem jakim sposobem oddziela, jak u drobiu, kości baranka od mięsa, ale to wiem, że mięso zaszywa w skórę. Kiedy się kraje na zrazy ten ogromny salceson, wychodzi z niego różowy sok, który jest przyjemny dla oka, a wyborny dla podniebienia.

I Portos mlasnął językiem.

Król zwrócił na niego zdumione oczy i, biorąc podawanego sobie bażanta, rzekł:

— Panie du Vallon, oto potrawa, którą przekładam nad inne. Jakto! więc całego barana?...

— Całego, Najjaśniejszy Panie.

— Podać te banżanty panu du Vallon; widzę, że to smakosz.

Rozkaz wykonano w jednej chwili.

Wtedy król, wracając do barana, zapytał znowu:

— I nie jest to za tłuste.

— Nie, Najjaśniejszy Panie; tłustość wypływa jednocześnie z sosem i unosi się na wierzchu; wtedy mój koniuszy, umyślnie na ten cel zrobioną srebrną łyżką, zbiera tłustość.

— A gdzie mieszkasz?... — zapytał król.

— W Pierrefonds, Najjaśniejszy Panie.

— W Pierrefonds: gdzie to, panie du Vallon, czy blisko Belle-Isle?

— O! nie Najjaśniejszy Panie, Pierrefonds jest w Soissonais.

— Sądziłem, że mi mówiłeś o tych baranach, z przyczyny słonych łąk.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, ja nie mam słonych łąk, a mimo to są wyborne.

Król zabrał się do legumin, nie spuszczając z oczów Portosa, który jadł, jak najęty.

— Dobry masz apetyt, panie du Vallon — rzekł — jesteś znakomitym biesiadnikiem.

— Na honor, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Portos — gdybyś kiedy przybył do Pierrefonds, zjedlibyśmy sobie we dwóch barana; bo, jak widzę, i Waszej Królewskiej Mości nie zbywa na apetycie.

D'Artagnan trącił Portosa pod stołem w nogę.

Portos zarumienił się.

— W szczęśliwym wieku Waszej Królewskiej Mości — mówił dalej Portos, chcąc się poprawić — służyłem w muszkieterach i nic mnie nie mogło nasycić. Wasza Królewska Mość ma dobry apetyt, jak miałem honor powiedzieć, ale potrawy wybiera delikatne i nie można go nazwać żarłokiem.

Król wydawał się uradowany komplementem swojego współbiesiadnika.

— Czy skosztujesz tych kremów... — zapytał Portosa.

— Najjaśniejszy Panie, tak łaskawie się ze mną obchodzisz, że muszę ci wyznać całą prawdę.

— Mów zatem, panie du Vallon, mów.

— Co do wyrobów cukierniczych, Najjaśniejszy Panie, znam się tylko na ciastach, byle nie były lekkie; wszystkie te pianki rozdymają tylko żołądek i zajmują w nim miejsce, które mogłoby zająć użyteczniej co innego.

— Ach, panowie — zawołał król, wskazując Portosa — oto prawdziwy wzór gastronoma!... Tak jadali nasi ojcowie, którzy dobrze jeść umieli — dodał Jego Królewska Mość — a my tymczasem jesteśmy tylko wybrednisiami.

To mówiąc, wziął talerz majonezu z drobiu i szynki.

Portos zaś napoczął pasztet z kuropatw.

Podczaszy napełnił szklankę Jego Królewskiej Mości.

— Daj mojego wina panu du Vallon — rzekł król.

Był to jeden z wielkich zaszczytów przy stole królewskim.

D'Artagnan ścisnął przyjaciela za kolano.

— Jeżeli zdołasz połknąć te pół łba dzika — rzekł do Portosa — zapewniam cię, że zostaniesz za rok księciem i parem.

— Zaraz — powolnie odpowiedział Portos — spróbuję.

Niebawem nadeszła kolej na nowy puhar, gdyż król uważał sobie za przyjemność podniecać zacnego biesiadnika, i wszystko, cokolwiek podawano Portosowi, sam najpierw kosztował. Portos zamiast zjeść pół łba, jak radził mu d'Artagnan, zjadł cały.

— Niepodobna — zauważył król półgłosem — aby szlachcic, który jada codziennie z tak dobrym apetytem, nie był najuczciwszym człowiekiem w mojem państwie.

— Czy słyszysz?... — rzekł d'Artagnan do ucha swojemu przyjacielowi.

— Tak; sądzę, że mam nieco łaski u Jego Królewskiej Mości — odpowiedział Portos, kołysząc się na krześle.

— Och, płyniesz z pomyślnym wiatrem. Tak, tak.

Król i Portos znowu zaczęli jeść ku wielkiemu zadowoleniu gości, z których jedni, przez chęć naśladowania, próbowali się z nimi, ale niebawem ustali w drodze.

Król zarumienił się; uderzenie krwi do twarzy wskazywało nasycenie.

A wtedy Ludwik XIV-sty, zamiast nabierać wesołości, jak inni wiele pijący, stawał się ponurym i zamyślonym.

Portos przeciwnie był wesołym i rozmownym.

Noga d'Artagnana nieraz musiała mu przypominać przyzwoitość.

Nareszcie ukazały się wety.

Król nie myślał już o Portosie; oczy zwracał ku drzwiom wejściowym i słychać było, jak pytał, dlaczego pan de Saint-Agnan opóźnia swoje przybycie.

Nakoniec, w chwili, kiedy Jego Królewska Mość dojadał konfiitur ze śliwek, pan de Saint-Agnan ukazał się na progu.

Oczy królewskie, przyćmione na chwilę, nagle zajaśniały.

Hrabia skierował się ku stołowi królewskiemu, a gdy się zbliżył, Ludwik XIV-sty podniósł się z fotelu.

Wszyscy powstali, nawet Portos, który zajadał placek z migdałów i orzechów tak twardy, iż jego ciasta można było użyć do spojenia szczęk krokodyla.

Wieczerza się skończyła.

CLVII

PO WIECZERZY.

Król ujął pod rękę pana de Saint-Agnan i poszedł z nim do sąsiedniego pokoju.

— Dlaczego się tak spóźniłeś, mości hrabio?... — spytał król.

— Chciałem przynieść odpowiedź, Najjaśniejszy Panie.

— Zadługo odpowiadała na to, co do niej pisałem.

— Najjaśniejszy Panie, raczyłeś pisać wierszem i panna de la Valliere chciała odpłacić tą samą monetą, to jest złotem za złoto.

— Wierszem!... Saint-Agnan... — zawołał król uradowany. — Dawaj, prędzej dawaj.

I Ludwik przełamał pieczątkę maleńkiego biletu, który w rzeczy samej zawierał wiersze, zachowane nam przez historję, lepsze z chęci, niż z wartości.

Jakiekolwiek atoli były, tak ucieszyły króla, że nie mógł się powstrzymać od objawienia najwyższej radości; powszechna cisza ostrzegła jednak Ludwika, nader bacznego na przyzwoitość, że radość jego może wywołać przeróżne uwagi.

Odwrócił się zatem i włożył bilecik do kieszeni, poczem, podchodząc do swoich gości, rzekł:

— Panie du Vallon, widziałem cię w moim domu z największą przyjemnością i pragnę cię jeszcze widzieć u siebie.

Portos skłonił się, a w ruchu tym, gdy cofał się tyłem, podobny był do kolosu Rodyjskiego.

— Panie d'Artagnan — mówił dalej król — czekaj w galerji na moje rozkazy; jestem ci obowiązany, żeś mi dał poznać pana du Vallon. Panowie, jutro powracam do Paryża — dodał — dla odprawienia hiszpańskich i holenderskich posłów.

— Do jutra więc.

Sala natychmiast się opróżniła.

Król wziął pod rękę pana de Saint-Agnan i kazał sobie raz jeszcze odczytać wiersze panny de la Valliere.

— Jak ci się podobają?... — zapytał.

— Prześliczne, Najjaśniejszy Panie.

— W rzeczy samej, są bardzo piękne, i gdyby były znane...

— Och, poeci umarliby z zazdrości; ale znać ich nie będą.

— A czy oddałeś jej moje?

— Najjaśniejszy Panie, nie mogła się niemi nasycić.

— Lękam się, czy nie były za marne.

— Ach, panna de la Valliere nie tak o nich mówiła...

— Przypadły jej zatem do gustu?

— Jestem tego pewien, Najjaśniejszy Panie.

— Muszę więc odpowiedzieć na jej wiersze.

— E! Najjaśniejszy Panie... jakże tak zaraz... po wieczerzy... Wasza Królewska Mość utrudzi się zbytnio.

— Sądzę, że masz słuszność: praca naukowa po jedzeniu jest szkodliwą.

— Nadewszystko poetycka; zresztą panna de la Valliere musi być teraz trochę niespokojną.

— Dlaczego niespokojną?

— Jak wszystkie kobiety, Najjaśniejszy Panie.

— A to czemu?

— Z powodu wypadku biednego hrabiego de Guiche.

— Ach, mój Boże! cóż mu się przytrafiło?

— Najjaśniejszy Panie, ma przestrzeloną rękę i ranę w piersiach; jest prawie umierający.

— Ach, mój Boże, kto ci o tem powiedział?

— Manicamp sprowadził go w tej chwili do lekarza w Fontainebleau, i wieść natychmiast się rozbiegła.

— Sprowadził!... Biedny Guiche!... jakim sposobem się to stało?

— Ot tak, Najjaśniejszy Panie.

— A to szczególniej mi odpowiadasz, panie de Saint-Agnan. Ja chcę szczegółów? Cóż mówi Guiche?

— On nic nie mówi, Najjaśniejszy Panie, lecz inni...

— Jacy inni?

— Ci, którzy go przynieśli, Najjaśniejszy Panie.

— Którzy zatem?

— Ja nie wiem, Najjaśniejszy Panie, ale pan Manicamp wie dobrze. Pan de Manicamp jest jednym z jego przyjaciół.

— Jak wszyscy — rzekł król.

— Och, nie — odparł Saint-Agnan — mylisz się, Najjaśniejszy Panie, niekoniecznie wszyscy są przyjaciółmi pana de Guiche.

— Co przez to rozumiesz?

— Czy chcesz, Najjaśniejszy Panie, abym się wytłumaczył?

— Tak, chcę.

— A więc, Najjaśniejszy Panie mówią o sprzeczce między dwoma panami.

— Kiedy?

— Dzisiejszego wieczora, przed wieczerzą Waszej Królewskiej Mości.

— To niczego nie dowodzi. Tak surowo zakazałem pojedynków, że sądzę, iż nikt nie poważył się przestąpić mego zakazu.

— To też, Boże mnie uchowaj, abym kogokolwiek oskarżał!... — zawołał Saint-Agnan — Wasza Królewska Mość kazałeś mi mówić, więc mówiłem.

— Powiedz mi więc, jakim sposobem hrabia dę Guiche został raniony?

— Najjaśniejszy Panie, mówią, że na czatach na dzikiego zwierza.

— Dziś w wieczór?

— Dziś w wieczór.

— Ręka przestrzelona i w piersiach rana? Hm... Kto był na czatach z panem de Guiche?

— Nie wiem, Najjaśniejszy Panie, ale Manicamp powinien wiedzieć o wszystkiem.

— Ukrywasz coś przedemną, panie de Saint-Agnan.

— Nic, Najjaśniejszy Panie, nic.

— Wytłumacz mi zatem ten wypadek. Czy broń wypaliła?

— Być może. Ale jeżeli zważyć, Najjaśniejszy Panie, że znaleziono przy panu de Guiche pistolet, jeszcze nabity, trudno w to uwierzyć.

— Pistolet!... ależ przecie nikt nie chodzi z pistoletem na łowy.

— Najjaśniejszy Panie, dodają, że koń pana de Guiche jest zabity i, że trup koński znajduje się jeszcze na łączce.

— Jego koń!... Guiche był na łowach konno!... Saint-Agnan, nie pojmuję ani słowa z tego, co mi mówisz. A gdzież się zdarzył ten wypadek.

— Pośrodku lasu Rochin.

— Dobrze, przywołaj mi pana d'Artagnan.

Saint-Agnan wykonał rozkaz. Wszedł muszkieter.

— Panie d'Artagnan — rzekł król — wyjdziesz bocznemi drzwiami i schodami.

— Dobrze, Najjaśniejszy Panie.

— Wsiądziesz na koń.

— Dobrze, Najjaśniejszy Panie.

— Udasz się na polankę lasu Rochin. Czy znasz to miejsce?

— Najjaśniejszy Panie, biłem się tam dwa razy.

— Jakto?... — zawołał król, zdziwiony tą odpowiedzią.

— Najjaśniejszy Panie, zdarzyło się to jeszcze za czasów kardynała Richelieugo — odparł, ze zwykłą powolnością, d'Artagnan.

— A, to co innego. Udasz się więc i pilnie zbadasz miejscowość. Został tam raniony pewien człowiek; znajdziesz jeszcze na miejscu zabitego konia. Po dokładnem zbadaniu terenu powiesz mi, co myślisz o tym wypadku.

— Dobrze, Najjaśniejszy Panie.

— Uważam za zbyteczne dodawać, że chcę zasięgnąć twojego nie zaś obcego zdania.

— Za godzinę będziesz je miał, Najjaśniejszy Panie.

— Zabraniam ci mówić z kimkolwiek.

— Prócz z tym, który mi poda latarnię — rzekł d'Artagnan.

— Tak, ma się rozumieć — odparł król z uśmiechem, dając do poznania, że komu innemu nie pozwoliłby na taką śmiałość, na jaką pozwalał sobie w swoich odpowiedziach kapitan muszkieterów.

D'Artagnan wyszedł tylnemi schodami.

— A teraz niech mi zawołają lekarza — dodał Ludwik.

W dziesięć minut później przybył zadyszany lekarz królewski.

— Panie — rzekł do niego król — udasz się tam, dokąd cię pan Saint-Agnan zaprowadzi i opowiesz mi o stanie zdrowia chorego, którego zobaczysz.

Lekarz wykonał rozkaz, nie czyniąc żadnej uwagi, bo już w owej epoce przyzwyczajono się słuchać Ludwika XIV-go, i wyszedł, poprzedzany przez pana de Saint Agnan.

— Panie de Saint-Agnan — odezwał się król — przyślij mi Manicampa, zanim będzie z nim mówił lekarz.

Saint-Agnan wyszedł.

CLVIII

JAK D'ARTAGNAN DOPEŁNIŁ KRÓLEWSKIEGO ZLECENIA.

Kiedy król, aby dojść prawdy, wydawał takie rozporządzenia, d'Artagnan, nie tracąc chwili czasu, pobiegł do stajni, zawiesił na kołku latarnię, sam osiodłał konia i udał się do miejscowości, wskazanej przez Jego Królewską Mość.

Według uczynionego przyrzeczenia, nie widział, ani nie spotkał nikogo i skrupulatność posunął do tego stopnia, że sam bez pomocy masztalerza osiodłał sobie konia.

D'Artagnan należał do tych ludzi, którzy w trudnych razach mają sobie za chlubę podwajać gorliwą działalność.

Po pięciu minutach jazdy gałopem był już w lesie, przywiązał konia do pierwszego lepszego drzewa i pieszo udał się na łączkę.

Z latarnią w ręce zaczął wówczas przechadzać się po całej przestrzeni, badając wszystko i rozważając, a po tej półgodzinenj pracy powrócił w milczeniu do konia i, rozmyślając, pojechał do Fontainebleau.

Ludwik czekał w swoim gabinecie; był sam i ołówkiem kreślił na papierze pismo, które jak d'Artagnan zauważył na pierwszy rzut oka było nierówne i poprzekreślane.

Wniósł stąd, że muszą to być wiersze.

Król podniósł głowę i spostrzegł d'Artagnana.

— I cóż, przynosisz mi jakieś wiadomości?...

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie.

— Cóż widziałeś?

— To, co widziałem, wydaje mi się prawdopodobnem, Najjaśniejszy Panie.

— Ależ ja żądałem od ciebie pewności.

— Zbliżę się i do niej, o ile zdołam. Czas był dogodny do poszukiwań, jakie miałem polecone dopełnić; deszcz dzisiejszy rozmoczył drogi.

— Do rzeczy, panie d'Artagnan.

— Mówiłeś, Najjaśniejszy Panie, że zabity koń leży na zakręcie drogi w lesie Rochin; zacząłem zatem od zbadania dróg.

Mówię dróg, bo na łączkę można przybyć czterema różnemi drogami.

Ta, którą się udałem, nosiła świeże ślady. Przeszły po niej, obok siebie dwa konie. Odbicia ośmiu ich kopyt można było dokładnie widzieć na glinie.

Jeden bardziej spieszył, niż drugi. Kroki jego wyprzedzają innego zawsze o pół długości konia.

— Zatem jesteś pewien, że było ich dwóch? — zapytał król.

— Tak, Najjaśniejszy Panie. Konie były rosłe i jednakowego chodu, przyzwyczajone do obrotów, albowiem doskonale się zwracały.

— Cóż dalej?

— Jeźdźcy zatrzymali się widać na chwilę, zapewne dla ułożenia warunków walki; konie niecierpliwiły się tymczasem. Jeden z jeźdźców mówił, drugi słuchał i poprzestawał na odpowiedzi. Koń jego kopał kopytami ziemię, co dowodzi, że zajęty słuchaniem popuścił mu cugle.

— Zatem była to walka?

— Niezaprzeczenie.

— Mów dalej; jesteś zręcznym spostrzegaczem.

— Jeden z dwóch jeźdźców pozostał na miejscu i to ten, który słuchał; drugi przebiegł łączkę i stanął wprost przeciwnika; a wtedy ten, który pozostał na miejscu, przebył przestrzeń galopem, aż do dwóch trzecich długości, sądząc, że naciera na nieprzyjaciela; lecz ten ukrył się w cieniu drzew.

— Ale nie znasz nazwisk, nieprawdaż?

— Nie, Najjaśniejszy Panie; wiem tylko, że ten, który ukrył się w cieniu, jechał na karym koniu.

— Jak o tem możesz wiedzieć?

— Ponieważ na tarninie, rosnącej nad rowem, pozostało kilka włosów z końskiego ogona.

— Mów dalej.

— Co do drugiego dzianeta, nie trudno mi go oznaczyć, bo został na polu bitwy.

— Od czegóż zdechł?

— Od kuli, która przebiła mu skroń.

— Czy była to kula karabinowa, czy pistoletowa?

— Pistoletowa, Najjaśniesjzy Panie. Zresztą, z rany konia, odgadłem taktykę tego, który go zabił; jechał on w cieniu rzuconym przez drzewa, aby przeciwnika wziąć z boku; szedłem śladamim jego po trawie.

— Karego konia?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Mów dalej, panie d'Artagnan.

— Teraz, kiedy Wasza Królewska Mość zna stanowisko dwóch przeciwników, muszę się udać za tym, który pojechał galopem.

— Dobrze.

— Koń jeźdźca, który nacierał, został odrazu zabity.

— Skąd o tem możesz wiedzieć?

— Jeździec nie miał czasu zsiąść i upadł z nim razem. Widziałem ślad nogi, którą wyciągał z trudnością z pod konia. Ostroga, przyciśnięta ciężarem zwierzęcia, zorała ziemię.

— Dobrze; i cóż uczynił, podniósłszy się?

— Poszedł wprost na przeciwnika.

— Który wciąż stał na ścieżce?

— Tak, Najjaśniejszy Panie. Następnie, przebywszy pewną odległość, zatrzymał się, — znać dwie jego pięty, jedna przy drugiej, — strzelił i chybił przeciwnika.

— A skąd wiesz, że chybił?

— Znalazłem kapelusz, przestrzelony kulą.

— A więc mamy dowód!... — zawołał król.

— Niedostateczny, Najjaśniejszy Panie — obojętnie odpowiedział d'Artagnan — jest to kapelusz bez cyfr i herbów, pióro czerwone jak u wszystkich; kapelusz i galon niczem się nie odznaczają

— Czy człowiek z przestrzelonym kapeluszem strzelił po raz drugi?

— Najjaśniejszy Panie, on już zużył obydwa ładunki.

— Skądże wiesz o tem?

— Znalazłem przybitki pistoletowe.

— A co się stało z kulą, która nie zabiła konia?

— Porwała pióro u kapelusza temu, w którego była wymierzona i oberwała kawałek osiczyny po drugiej stronie łączki.

— Więc mężczyzna na karym koniu był rozbrojony, a jego przeciwnik miał jeszcze dwa strzały?

— Najjaśniejszy panie, kiedy jeździec, pozbawiony konia, podniósł się, drugi, widać, nabijał broń. Tylko, że pomieszany był, nabijając, i ręka mu drżała.

— A ty skąd to odgadujesz?

— Połowę łanduku wysypał na ziemię i upuścił stempel, nie mając czasu włożyć go do pistoletu.

— Panie d'Artagnan, to co mówisz jest cudowne.

— Jest to tylo skutek skupionej uwagi, Najjaśniejszy Panie, i każdy żołnierz znać się na tem powinien.

— Zdaje się, że wszystko widzę, jakbym tam był.

— W rzeczy samej, tak się dziać musiało, z małemi tylko zmianami.

— Teraz powróćmy do rycerza, wysadzonego z siodła. Mówiłeś, że szedł na swojego przeciwnika, gdy ten nabijał pistolet?

— Tak, ale w chwili, kiedy mierzył, drugi strzelił.

— Ach, — zawołał król — a strzał?...

— Był okropny, Najjaśniejszy Panie. Jeździec upadł na twarz zrobiwszy trzy niepewne, kroki.

— Gdzież go trafiono?

— W dwa miejsca; najrzód w prawą rękę i tym samym strzałem w piersi.

— Ale, jak to możesz zgadnąć?... — zapytał król pełen zdziwienia.

— O, to rzecz bardzo prosta; kolba pistoletu była skrwawiona i widać ślad kuli, która się odbiła. Raniony, według wszelkiego prawdopodobieństwa, ma serdeczny i mały palec urwany.

— Co do ręki zgadzam się, ale ta rana w piersi?...

— Najjaśniejszy Panie, są dwie plamy krwi w odległości dwóch stóp jedna od drugiej; przy jednej z tych plam trwa była wyrwana, przy drugiej pognieciona tylko od ciężaru ciała.

— Biedny Guiche!... — zawołał król.

— Ach to pan de Guiche — spokojnie rzekł muszkieter — domyślałem się tego, ale nie chciałem mówić Waszej Królewskiej Mości.

Widziałem herby Grammont na olstrach zabitego konia.

— I sądzisz, że ciężko raniony?

— Bardzo ciężko, ponieważ padł odrazu i długo pozostał na tem samem miejscu. Mógł jednak potem iść o własnych siłach z pola bitwy, wspierany przez dwóch przyjaciół.

— Zatem spotkałeś go powracającego?

— Nie, ale znalazłem ślady stóp trzech mężczyzn; mężczyźni po prawej i lewej stronie szli wolno, swobodnie, zaś jeden w środku stąpał ciężko: prócz tego można było dojrzeć ślady krwi.

— Teraz panie, kiedyś tak dokładnie widział walkę, że żaden jej szczegół nie uszedł twojej uwadze, powiedz mi dwa wyrazy o przeciwniku hrabiego de Guiche.

— Nie znam go, Najjaśniejszy Panie.

— A jednakże wszystko widzisz tak dobrze.

— Tak, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział d'Artagnan — wszystko widzę, ale nie wszystko mówię, co widzę, a ponieważ biedakowi ujść się udało, pozwól, Najjaśniejszy Panie, że ja nie będę jego oskarżycielem.

— Jednakże, ten, kto się pojedynkuje jest winowajcą.

— Ale nie w moich oczach, Najjaśniejszy Panie — odrzekł d'Artagnan.

— Panie!... — zawołał król — czy wiesz, co mówisz?

— Doskonale, Najjaśniejszy Panie, bo w moich oczach pojedynkujący się jest walecznym człowiekiem. Oto moje zdanie: Wasza Królewska Mość, możesz mieć inne, bo jesteś panem.

— Panie d'Artagnan, ja zaznaczam, że wydałem rozkaz.

D'Artagnan przerwał królowi z gestem pełnym uszanowania.

— Poleciłeś mi, Najjaśniejszy Panie, podać objaśnienia o walce i uczyniłem to. Czy polecisz mi aresztować przeciwnika pana de Guiche? Wykonam i to również, ale nie rozkazuj mi donosić, bo będę nieposłuszny.

— Aresztuj go zatem.

— Proszę, Najjaśniejszy Panie, wymień jego nazwisko.

Ludwik tupnął nogą.

Następnie, po chwili rozwagi, rzekł:

— Dziesięć, dwadzieścia, sto razy masz słuszność.

— Tak myślę Najjaśniejszy Panie, i jestem szczęśliwy, że przekonanie moje podziela Wasza Królewska Mość.

— Jeszcze jeden wyraz. Kto dał pomoc panu de Guiche.

— Nie wiem.

— Ale mówisz o dwóch mężczyznach... zatem jeden z nich był świadkiem?

— Nie było świadka. Co więcej... kiedy pan de Guiche upadł przeciwnik jego uszedł, nie dając mu żadnej pomocy.

— Nędznik!

— Jest to skutek twoich rozkazów, Najjaśniejszy Panie! Kiedy się kto potyka, a uniknie śmierci, pragnie i po raz drugi ujść przed nią. Do djabła! pamiętają pana de Bouteville.

— Ale wtedy staje się podłym.

— Bynajmniej, tylko roztropnym.

— Zatem uciekł?...

— Uciekł, jak tylko koń mógł wyskoczyć.

— W jakim kierunku?

— Do zamku.

— A dalej?

— Miałem honor powiedzieć Waszej Królewskiej Mości, że dwóch ludzi przyszło pieszo, i oni to przyprowadzili pana de Guiche.

— Jaki masz dowód, że ci ludzie przybyli po walce?

— Dowód oczywisty. W czasie walki deszcz przestał padać, ziemia nie wsiąknęła jeszcze w siebie wody i była wilgotną. Stopy więzły; ale po walce, kiedy Guiche upadł, ziemia stężała i stopy mniej zapadały.

Ludwik klasnął w ręce na znak podziwu.

— Panie d'Artagnan — rzekł — jesteś najsprytniejszym człowiekiem w moim państwie.

— Tak myślał i pan Richelieu, a mówił pan Mazarini, Najjaśniejszy Panie.

— Teraz musimy się tylko przekonać, czy przezorność twoje nie myli się.

— Człowiek się myli, Najjaśniejszy Panie. Errare humanum est — dodał filozoficznie muszkieter.

— Ale ty nie jesteś człowiekiem, panie d'Artagnan, bo sądzę, że się nigdy nie mylisz.

— Wasza Królewska Mość mówił, że przekonamy się...

— Tak.

— Ale jakim sposobem, jeśli wolno spytać?...

— Pan Manicamp...

— Ach, pan Manicamp zna tajemnicę?...

— Guiche nie ma tajemnic dla pana Manicampa.

D'Artagnan potrząsnął głową.

— Powtarzam, że nikt nie był obecnym przy walce i, jeżeli pan Manicamp nie jest jednym z tych, którzy go przyprowadzili...

— Ciszej — rzekł król — oto właśnie nadchodzi; zostań i słuchaj. uważnie.

W tej samej chwili Manicamp i pan Saint-Agnan ukazali się na progu.

CLIX

ZASADZKA.

Król dał jeden znak muszkieterowi, drugi panu Saint-Agnan. Znak był rozkazujący i mówił: Pod karą śmierci, milczeć!...

D'Artagnan oddalił się, jak żołnierz, w kąt pokoju.

Saint-Agnan, jako ulubieniec królewski, oparł się o poręcz krzesła królewskiego.

Manicamp wysunąwszy prawą nogę naprzód, z uśmiechem na ustach, rękami białemi i zgrabnemi, postąpił, kłaniając się królowi.

Król odkłonił się skinieniem głowy.

— Dobry wieczór, panie Manicamp.

— Wasza Królewska Mość kazałeś mnie przywołać.

— Tak, aby się dowiedzieć o szczegóły nieszczęśliwej przygody, która spotkała pana de Guiche.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, to bolesne...

— Czy byłeś tam podczas wypadku?...

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Ale przybyłeś na miejsce wypadku w kilka chwil po jego spełnieniu.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, prawie w godzinę.

— A gdzież się zdarzyła owa przygoda?

— Na łączce w lesie Rochin.

— Ach, to miejsce schadzki na łowy.

— To samo, Najjaśniejszy Panie.

— A więc, panie Manicamp, opowiedz mi, co wiesz ze szczegółów tego nieszczęścia.

— Sądzę, że Wasza Królewska Mość jest już powiadomiony, i nie chciałbym go utrudzać powtarzaniem.

— Nie; nie lękaj się, przyjacielu.

Manicamp spojrzał wokół siebie; zobaczył, że d'Artagnan stoi, oparty o ścianę, z twarzą spokojną, uprzejmą i dobroduszną, a Saint-Agnan, z którym przyszedł stoi oparty o krzeszło królewskie z takim samym wyrazem twarzy.

Zdecydował się zatem mówić.

— Wasza Królewska Mość wie, że wypadki na łowach są rzeczą zwyczajną.

— Na łowach...

— Tak, osobliwie, przy zasadzce na grubego zwierza...

— Ach, — rzekł król — więc to przy zasadzce na zwierza przytrafił się ów wypadek?...

— Tak Najjaśniejszy Panie — odważył się powiedzieć Manicamp — czy Wasza Królewska Mość nie wie o tem?...

Król, który nienawidził kłamstwa, odpowiedział dość ostro:

— Że wypadek przytrafił się podczas zasadzki?

— Tak, na nieszczęście, Najjaśniejszy Panie.

— Na jakiego zwierza była zasadzka?...

— Na dzika, Najjaśniejszy Panie.

— Ach, co za szalona myśl przyszła panu de Guiche, żeby iść w pojedynkę na dzika; to zabawa dobra dla wieśniaka, ale nie dla syna marszałka de Grammont, który ma poddostatkiem psów i łuczników, aby polować, jak szlachcic.

Manicamp wzruszył ramionami.

— Młodość jest lekkomyślną — rzekł krótko.

— No... mów pan dalej — podchwycił król.

Manicamp, nie śmiejąc powiedzieć prawdy i cedząc po wyrazie, jak ten, co wchodząc na bagno, za każdym krokiem próbuje, nim stąpnie, wykrztusił:

— Najjaśniejszy Panie, biedny Guiche poszedł w pojedynkę na dzika.

— W pojedynkę!... śliczny myśliwy!... czy pan de Guiche nie wie, że dzik zwraca się na strzał.

— To mu się właśnie przytrafiło, Najjaśniejszy Panie.

— Zatem wiedział o zwierzu.

— Tak, Najjaśniejszy Panie. Wieśniacy widzieli go w kartoflach.

— Jakież to było zwierzę?...

— Odyniec.

— Trzeba było zatem uprzedzić mnie, panie, że pan de Guiche ma zamiar popełnić samobójstwo, bo przecie widziałem go na łowach i wiem, że jest doświadczonym myśliwym. Kiedy strzela do grubego zwierza i przy psach, przedsiębierze wszelkie ostrożności i strzela z karabinu, nie zaś jak teraz z pistoletów.

Manicamp zadrżał.

— Z pistoletów zbytkownych, dobrych do pojedynku z ludźmi, ale nie z dzikiem!... Cóż u djabła!...

— Najjaśniejszy Panie, są rzeczy, które nie dadzą się wytłumaczyć.

— Masz słuszność, i wypadek który nas zajmuje, jest jednym z takich. Mów pan dalej.

W czasie opowiadania Saint-Agnan, który chciał może dać znak Manicampowi, aby się nie plątał w opowieści, został powstrzymany królewskiem spojrzeniem.

Niepodobna mu było zatem porozumieć się z Manicampem.

Co do d'Artagnana, posąg milczenia w Atenach więcej był może wymowny od niego; Manicamp mówił dalej, kłamiąc tak, jak zaczął.

— Otóż tak się rzecz miała, Najjaśniejszy Panie: hrabia de Guiche czekał na dzika...

— Konno czy pieszo?... — zapytał król.

— Konno; strzelił do zwierza i chybił.

— Niezręczny!...

— Zwierzę rzuciło się na niego.

— I zabiło mu konia.

— Wasza Królewska Mość wie o wszystkiem.

— Mówiono mi, że znaleziono zabitego konia przy drodze w lasku Rochin. Domyślam się, że był to koń pana de Guiche.

— Rzeczywiście jego, Najjaśniejszy Panie.

— No, to, co do konia, dobrze, ale co do pana de Guiche?...

— De Guiche, powalony na ziemię, szamotał się z dzikiem i raniony został w rękę i piersi.

— Straszny wypadek, przyznać należy — rzekł król — ale z winy samemgo hrabiego. Któż na takie zwierzę chodzi z pistoletami?... czy zapomniał bajki o Adonisie?...

— Manicamp podrapał się w ucho.

— Prawda — rzekł — to wielka nieroztropność.

— Wytłumacz mi panie Manicamp...

— Najjaśniejszy Panie, co komu przeznaczone, to go nie minie.

— Ach, jesteś pan fatalistą?...

Manicamp stał jak na szpilkach.

— Gniewam się na ciebie, panie Manicamp — mówił król.

— Na mnie, Najjaśniejszy Panie?...

— Tak; jak mogłeś, będąc przyjacielem pana de Guiche i wiedząc, że ulega podobnym szałom nie powstrzymać go?...

Manicamp sam nie wiedział, co ma czynić; ton mowy króla nie był tonem dowierzającego człowieka.

Z drugiej strony ton ten nie był ani surowym, jak wymagały tego okoliczności, ani nalegająco badawczym.

W głosie króla było więcej żartów, niż groźby.

— I mówisz pan, że konia pana de Guiche znaleziono zabitego?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— I wcale cię to nie zadziwiło?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, na ostatniem polowaniu pod panem de Saint-Maure, Wasza Królewska Mość przypomina sobie, padł koń tak samo.

— Tak, ale z rozpłatanym brzuchem.

— Zapewne, Najjaśniejszy Panie.

— I gdyby koń pana de Guiche również miał rozpłatany brzuch, wcale by mnie to nie dziwiło.

Manicamp zrobił wielkie oczy.

— Ale to mnie właśnie zadziwia — mówił król dalej — że koń pana de Guiche, zamiast mieć rozpłatany brzuch, ma strzaskany łeb.

Manicamp zmieszał się.

— Jeżeli się nie mylę — rzekł król — koń pana de Guiche został trafiony w skroń? Wyznaj, panie Manicamp, że to szczególna historja.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Manicamp — wiesz, że koń jest zwierzęciem bardzo zmyślnem i widać usiłował się bronić.

— Ale koń broni się tylnemi nogami, a nie łbem.

— Koń był widać przestraszony, bo upadł, a wtedy dzik... pojmujesz, Najjaśniejszy Panie wtenczas dzik...

— Tak, pojmuję, co do konia, ale co do jeźdźca?

— To rzecz bardzo prosta; dzik porzucił konia, napadł na jeźdźca i, jak miałem honor powiedzieć Waszej Królewskiej Mości, skaleczył w rękę pana de Guiche, kiedy ten miał do niego wystrzelić z drugiego pistoletu, i uderzeniem kła zranił go w piersi.

— Nie może być nic bardziej prawdopodobnego panie Manicamp; bardzo słusznie ufasz swojej wymowie, bo cudownie opowiadasz.

— Król jest dobry, — pomyślał sobie Manicamp, kłaniając się z największem pomieszaniem.

— Tylko od dzisiaj zabraniam mojej szlachcie chodzić na zasadzki. Ba!... byłoby to to samo, co pozwolić na pojedynki.

Manicamp zadrżał i zabierał się do wyjścia.

— Czy król jest zadowolony? — zapytał.

— Oczarowany; ale nie oddalisz się jeszcze, panie Manicamp — rzekł Ludwik — mam do ciebie interes.

— Doskonale, — pomyślał d'Artagnan — ot ten nie ma naszego dowcipu.

I westchnął, co mogło znaczyć:

— Gdzie się podzieli ludzie posiadający naszą moc i siłę?...

W tej chwili odźwierny uchylił drzwi i zapowiedział królewskiego lekarza.

— Ach, — zawołał Ludwik — właśnie pan Valot wraca od pana de Guiche. Będziemy mieli wiadomości o ranionym.

Manicamp uczuł, że mu się z pod nóg ziemia usuwa.

— Tym sposobem — dodał król — będziemy mieli czyste sumienie.

I spojrzał na d'Artagnana, który nie zmrużył nawet oka.

CLX

LEKARZ.

Wszedł pan Valot.

Scena pozostała taka sama.

Król siedział, Saint-Agnan stał oparty o krzesło, d'Artagnan wsparty o mur, a Manicamp na środku sali.

— A co, panie Valot — spytał król — wypełniłeś mój rozkaz?...

— Z całą gorliwości, Najjaśniejszy Panie.

— Udałeś się do swojego kolegi, tutejszego lekarza?...

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— I zastałeś pana de Guiche?...

— Zastałem.

— W jakim stanie?... powiedz szczerze.

— W bardzo opłakanym, Najjaśniejszy Panie.

— Jednak, jak widać, dzik go nie pożarł.

— Kogo?

— Pana de Guiche.

— Jaki dzik?

— Wszak ranił go dzik? Tak przynajmniej mówią.

— Chyba jaki kłusownik, zazdrosny mąż, zawiedziony kochanek, ktoś, łaknący zemsty.

— Co mówisz, panie Valot; pan de Guiche nie został ranny w walce z dzikiem?

— Rany pana de Guiche pochodzą od kuli pistoletowej, która mu urwała serdeczny i mały palec u prawej ręki, a później weszła pomiędzy żebra.

— Kula!... Czy jesteś pewien, że pan de Guiche został raniony kulą? — zawołał król, udając zdziwienie.

— Na honor — odpowiedział Valot — rzecz to tak pewna jak to, że tutaj jestem, Najjaśniejszy Panie.

I pokazał królowi na wpół spłaszczoną kulę.

Król spojrzał na nią, nie dotykając.

— To ona tkwiła w piersiach biednego chłopca? — zapytał

— Nie ze wszystkiem. Kula nie przebiła klatki piersiowej, Najjaśniejszy Panie; spłaszczyła się zaś albo o nasadę pistoletu, albo o żebro.

— Boże!... — zawołał król — nic mi o tem wszystkiem nie mówiłeś, panie Manicamp,

— Najjaśniejszy Panie...

— Zatem zasadzka na dzika była wymysłem? Mów pan.

— Ach, Najjaśniejszy Panie.

— Zdaje mi się, że masz słuszność — rzekł król, zwracając się do kapitana muszkieterów — widać, był to pojedynek.

Król posiadał umiejętność w wysokim stopniu, nadaną możnym tego świata, mieszania i poniżania maluczkich.

Manicamp rzucił na muszkietera spojrzenie pełne wyrzutu.

D'Artagnan zrozumiał to spojrzenie i nie chciał pozostać pod ciężarem oskarżenia.

Zrobił krok:

— Najjaśniejszy Panie, — rzekł — kazałeś mi obejrzeć i zbadać plac w lesie Rochin i wyjawić zdanie, co tam zaszło. Udzieliłem moich uwag, ale nie oskarżyłem nikogo. Wasza Królewska Mość wymówiłeś pierwszy nazwisko de Guiche.

— Dobrze, dobrze, panie — rzekł król z dumą — spełniłeś swoją powinność. Jestem z ciebie zadowolony, i powinno ci to wystarczyć. Ty zaś, panie Manicamp, zaniedbałeś swej, boś skłamał.

— Skłamał Najjaśniejszy Panie? To zbyt mocny wyraz.

— Znajdź zatem inny.

— Nie będę szukał innego, Najjaśniejszy Panie. Miałem nieszczęście niepodobać się Waszej Królewskiej Mości, zatem uważam za najstosowniejsze przyjąć wyrzuty, jakiemi Waszej Królewskiej Mości podobało się mnie obarczyć.

— Masz słuszność. Nie podoba mi się każdy, próbujący ukrywać prawdę.

— Niekiedy można jej nie widzieć, Najjaśniejszy Panie.

— Nie kłam więcej, bo podwoję karę.

Manicamp ukłonił się, blednąc.

D'Artagnan zrobił jeszcze krok w zamiarze wstawienia się, gdyby rosnący gniew królewski przekroczył pewne granice.

— Panie — rzekł król — przekonałeś się, że próżno byłoby zaprzeczać dłużej. Pan de Guiche pojedynkował się.

— Ja tego nie zaprzeczam, Najjaśniejszy Panie, i Wasza Królewska Mość byłbyś wspaniałomyślnym, nie zmuszając szlachcica do kłamstwa.

— Zmuszając? Kto pana zmuszał?

— Najjaśniejszy Panie, pan de Guiche jest moim przyjacielem; Wasza Królewska Mość zabroniłeś pod karą śmierci pojedynków, kłamstwo może ocalić mojego przyjaciela, więc kłamię!

— Dobrze — mruknął d'Artagnan — zuch!... lubię takich!...

— Panie — odparł król — zamiast kłamać, lepiej było nie pozwolić się pojedynkować.

— Najjaśniejszy Panie, ty który jesteś pierwszym szlachcicem we Francji, wiesz dobrze, że my, wojskowi, nie uważaliśmy pana de Bouteville za shańbionego, choć zginął na placu de

Greve: uciekać i chronić się przed nieprzyjacielem jest hańbą.

— Dobrze, zatem — powiedział Ludwik XIV-ty — dam panu środek zmazania winy.

— Jeżeli tylko przystoi szlachcicowi, chwycę go się z uniesieniem, Najjaśniejszy Panie.

— Nazwisko przeciwnika pana de Guiche?

— Och, och!... — mruknął d'Artagnan — czy wracają czasy Ludwika XIV-go?

— Najjanśiejszy Panie!... — rzekł Manicamp z pewnym tonem błagalnego wyrzutu.

— Jak widzę, nie chcesz go wymienić? — rzekł król.

— Najjaśniejszy Panie, ja go nie znam.

— Brawo!... — odezwał się d'Artagnan.

— Panie Manicamp, oddaj swoją szpadę kapitanowi.

Manicamp skłonił się grzecznie, odpasał szpadę i z uśmiechem podał ją muszkieterowi.

Wówczas wystąpił Saint-Agnan.

— Najjaśniejszy Panie, — rzekł — za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości...

— Dobrze — odparł król, uradowany, że znalazł się ktoś, co stanął pomiędzy nim, a gniewem, jakiemu pozwolił się unieść.

— Panie Manicamp, jesteś walecznym człowiekiem i król oceni twoje postępowanie; kto chce jednak zanadto służyć swoim przyjaciołom szkodzi im. Znasz przecież nazwisko, o które Jego Królewska Mość pyta.

— Prawda, znam.

— Zatem je powiesz.

— Jużbym je powiedział, gdybym miał powiedzieć.

— Skoro tak, to ja powiem, gdyż nie uważam tej tajemnicy za tak ważną.

— Wolno panu, jednak zdaje mi się...

— Och, na bok wspaniałomyślność; nie pozwolę panu iść do Bastylji. Mów pan, albo ja będę mówił.

Manicamp był człowiekiem dowcipnym i pojął, że dosyć zrobił dla swojej opinji; teraz szło o to, aby ją zachować i odzyskać łaskę króla.

— Mów pan, — rzekł do pana Saint-Agnan. — Uczyniłem wszystko, cokolwiek sumienie nakazywało mi uczynić, a sumienie moje musi być pod wysoką władzą — dodał, zwracając się

do króla, — kiedy przeważyło rozkazy Jego Królewskiej Mości przebaczy mi, skoro się dowie, że chodzi tu o honor jednej z dam.

— Jednej z dam?... — zapytał król, niespokojnie.

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

Manicamp skłonił się.

Król powstał i zbliżył się do niego.

— Jeżeli to osoba znakomita — rzekł — nie będę się gniewał, że byłeś tak wstrzemięźliwy — przeciwnie.

— Najjaśniejszy Panie, wszystko, co ma związek z dworem Waszej Królewskiej Mości, albo jego brata, jest znakomite w moich oczach.

— Dworem mojego brata — powtórzył Ludwik XIV-ty z pewnym rodzajem wahania.... — przyczyną walki jest zatem dama dworu mojego brata?

— Tak, dworu księżny.

— Tak, Najjaśniejszy Panie...

— Zatem ta dama?

— Jest panną honorową Jej Królewskiej Wysokości księżny Orleańskiej.

— I powiadasz, że pan de Guiche pojedynkował się o nią.

— Tak i tym razem już nie kłamię.

Ludwik zrobił gest pełen pomieszania.

— Panowie — rzekł, zwracając się do widzów tej sceny — chciejcie się na chwilę oddalić, abym mógł pomówić sam na sam z panem Manicamp. Wiem, że ma mi powiedzieć na swoje usprawiedliwienie ważne rzeczy, a nie śmie wobec świadków... Przypasz pan swoją szpadę, panie Manicamp.

Manicamp wykonał rozkaz.

— Hultaj pełen przytomności umysłu, — rzekł d'Artagnan, biorąc pana de Saint-Agnan pod rękę i oddalając się z nim razem.

— Wypłynie, — rzekł Saint-Agnan d'Artagnanowi do ucha.

— Nawet z honorem, hrabio.

Manicamp spojrzał na pana de Saint-Agnan i na kapitana z podziękowaniem. Spojrzenia tego król nie dostrzegł.

— Chodźmy, chodźmy — mówił d'Artagnan, przechodząc przez próg — miałem złą opinję o nowem pokoleniu. Byłem w błędzie; to zuchy ci młodzi ludzie.

Valot wyprzedził ulubieńca i kapitana.
Król i Manicamp zostali sami w gabinecie.

CLXI

D'ARTAGNAN PRZEKONAŁ SIĘ, ŻE BYŁ W BŁĘDZIE A MANICAMP, ŻE MIAŁ SŁUSZNOŚĆ.

Król sprawdził sam, podchodząc aż do drzwi, czy nikt nie podsłuchuje, następnie, powróciwszy, stanął twarz w twarz przed panem de Manicamp.

— Teraz — rzekł — kiedy jesteśmy sami, wytłumacz się.

— Z największą szczerością, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział młodzieniec.

— A przedewszystkiem trzeba ci wiedzieć, że do niczego nie przywiązuje większej wagi — dodał król — jak do honoru dam.

— Właśnie dlatego miałem na względzie delikatność uczuć Waszej Królewskiej Mości.

— Teraz już cię zupełnie rozumiem. Powiadasz, iż szło o jedną z dam honorowych mojej bratowej, i że osoba, o której mowa, przeciwnik hrabiego de Guiche, ten mężczyzna, którego nie chcesz wymienić...

— Ale, Najjaśniejszy Panie, wymieni ci go pan de Saint-Agnan...

— Tak; mówisz zatem, że ten mężczyzna obraził kogoś z dworu księżny.

— Pannę de la Valliere, Najjaśniejszy Panie.

— Ach!... — wykrzyknął król, jakby to, co usłyszał, było dla niego nadspodziewanem i jakby cios ten ugodził go w samo serce. — Ach, więc to pannę de la Valliere znieważono!...

— Ja nie powiadam, że znieważono, Najjaśniejszy Panie.

— Ale przecie.

— Powtarzam tylko, że mówiono o niej używając mniej przyzwoitych wyrazów

— Używając mniej przyzwoitych wyrazów o pannie de la Valliere i ty nie chcesz mi wymienić tego zuchwalca!

— Najjaśniejszy Panie, sądziłem, iż z tem już rzecz skończona i, że Wasza Królewska Mość nie pragnie już żebym grał rolę donosiciela.

— Prawda, masz słuszność, — odpowiedział król, miarkując się — zresztą ja zawsze dość wcześnie jeszcze dowiem się nazwiska tego, kogo mam ukarać.

Manicamp widział, iż rzecz bierze nowy obrót.

Król zaś spostrzegł, że się zapędził nieco zadaleko.

To też rzekł:

— I ukarzę go nietylko za to, że obraził... pannę de la Valliere, którą wysoko cenię; lecz również dlatego, że przedmiotem kłótni była kobieta. Ja bowiem wymagam, ażeby na moim dworze szanowano kobiety i nie kłócono się o nie.

Manicamp skłonił się.

— A teraz, dowiedzmy się, panie de Manicamp — ciągnął król dalej — co mówiono o pannie de la Valliere?

— Czy Wasza Królewska Mość nie odgaduje?

— Ja?

— Wasza Królewska Mość wie, na jakiego rodzaju żarty może sobie pozwalać nasza młodzież.

— Mówiono, zapewne, że kogo kocha? — odważył się zapytać król.

— Być może.

— Ale panna de la Valliere ma prawo kochać, jeżeli się jej spodoba — podchwycił król.

— Tak samo utrzymywał de Guiche.

— I o to się pojedynkował.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, tylko o to.

Król zarumienił się.

— Więcej nic nie wiesz?

— O czem, Najjaśniejszy Panie?

— O tem, co teraz opowiadasz tak interesująco.

— A cóż ja mam wiedzieć, Wasza Królewska Mość?

— Ot naprzykład, nazwisko mężczyzny, którego kocha La Valliere i przeciwnika pana de Guiche, który jej odmawiał prawa kochania.

— Najjaśniejszy Panie, nie wiem nic, nic nie słyszałem, niczego się nie domyślam; ale powiadam, że Guiche jest człowiekiem wielkiego serca i jeżeli chwilowo wystąpił w obronie panny de la Valliere, to dlatego, że prawdziwy jej obrońca stoi za wysoko, aby mógł jej bronić sam.

Wyrazy te były więcej, niż jasne; to też król się zarumienił, ale tym razem z przyjemności.

Zlekka więc trącił po ramieniu pana de Manicamp.

— Dobrze, dobrze, jesteś nie tylko dowcipnym gaskończykiem, panie de Manicamp, ale nadto dzielnym szlachcicem; twój zaś przyjaciel pan de Guiche jest rycerzem, jakich lubię; oświadcz mu to odemnie.

— Zatem Najjaśniejszy Pan przebacza mu.

— Zupełnie.

— A ja jestem wolny?

Król uśmiechnął się i podał rękę Manicampowi.

Manicamp pochwycił ją i ucałował.

— Och, — dodał król — cudownie opowiadasz.

— Ja, Najjaśniejszy Panie?...

— Doskonale opowiedziałeś wypadek, który spotkał hrabiego de Guiche. Jakbym widział wychodzącego dzika z lasu, potem jakbym widział szamoczącego się konia, a wreszcie jak ten dziki zwierz rzuca się na człowieka. Nie opowiadasz, ale malujesz, panie de Manicamp.

— Najjaśniejszy Panie, sądzę, że Wasza Królewska Mość żartuje ze mnie — rzekł Manicamp.

— Przeciwnie — odparł Ludwik XIV-ty poważnie — ja bardzo rzadko żartuję, panie Manicamp i chcę, abyś opowiedział wszystkim tę przygodę.

— Przygodę z dzikiem?

— Tak, tę o której mi opowiadałeś, i to nie zmieniając ani jednego wyrazu, czy rozumiesz?

— Doskonale, Najjaśniejszy Panie.

— I będziesz ją opowiadał.

— Nie tracąc, ani chwili czasu.

— Teraz przywołaj d'Artagnana. Przypuszczam, że już się nie boisz? co...

— Najjaśniejszy Panie, skoro jestem pewien łaski Waszej Królewskiej Mości, nie lękam się już niczego.

— Zawołaj go więc — rzekł król.

Manicamp otworzył drzwi.

— Panowie — zawołał — król was wzywa.

D'Artagnan, Saint-Agnan i Valot weszli.

— Panowie — wyrzekł król — muszę wyznać, że wyjaśnienie pana de Manicamp zupełnie mnie zadowoliło.

D'Artagnan rzucił na Valota i na Saint-Agnan spojrzenie, które znaczyło:

— A co, czy nie mówiłem?

Król odprowadził pana de Manicamp na bok i rzekł cicho:

— Niech Guiche leczy się, a nadewszystko, niech jaknajprędzej powraca do zdrowia; pragnę mu podziękować w imieniu wszystkich dam, tylko niechaj się więcej nie bije.

— Choćby miał sto razy umrzeć, Najjaśniejszy Panie, stokroć dobędzie broni, kiedy idzie o honor Waszej Królewskiej Mości.

To już było wyraźnie powiedziane.

Ale, jak powiedzieliśmy, Ludwik XIV-ty lubił kadzidła i byle mu ich nie szczędzono nie był bardzo wybrednym co do gatunku.

— Dobrze, dobrze — rzekł, żegnając Manicampa — odwiedzę osobiście pana de Guiche i powiem mu kazanie.

Manicamp wyszedł.

Wtedy król, zwracając się ku trzem widzom tej sceny, zawołał:

— Panie d'Artagnan!

— Najjaśniejszy Panie?

— Powiedz mi, czemu to przypisać, że objawiasz słaby wzrok ty, co zazwyczaj masz dobre oczy.

— Ja mam słaby wzrok, Najjaśniejszy Panie?

— A tak.

— Ha!... musi tak być, skoro Wasza Królewska Mość utrzymuje, ale w jakiej materji?

— A z tym wypadkiem w lesie Rochin.

— Ach!

— A tak. Widziałeś ślady dwóch koni, widziałeś stopy dwóch ludzi, opisałeś szczegóły walki. A tego wszystkiego nie było; proste złudzenie.

— Ach, ach! powtórzył d'Artagnan.

— Tak samo z tem skopaniem ziemi kopytami, z temi niby śladami walki. Guiche borykał się z dzikiem, no i ta walka, jak się zdaje, była długa i zażarta.

— Ach — westchnął znów d'Artagnan.

— I kiedy pomyślę, że ja na chwilę dałem wiarę czemuś podobnemu.... ale mówiłeś z taką pewnością.

— W rzeczy samej, Najjaśniejszy Panie, musiałem źle widzieć — odpowiedział d'Artagnan z humorem, który ucieszył króla.

— Zgadzasz się zatem, że tak nie było?

— Najjaśniejszy Panie, jaknajzupełniej.

— A teraz jak się zapatrujesz na tę sprawę?

— Zupełnie inaczej, niż przed pół godziną.

— I czemu przypisujesz zmianę zdania?

— Rzeczy bardzo prostej, Najjaśniejszy Panie; przed pół godziną wracałem z lasu Rochin z nędzną latarką stajenną.

— A teraz?

— Teraz zaś jaśnieją światła gabinetu królewskiego i oczy twoje Najjaśniejszy Panie świecą, jak gwiazdy.

Król zaczął się śmiać, Saint-Agnan aż się pokładał.

— Tylko pan de Valot — dodał d'Artagnan — sądzi, że pan Guiche ma ranę od pistoletu i że wyjął mu kulę.

— Na honor, przyznam się... — mówił Valot.

— Czyś pan tak nie sądził?... — podchwycił d'Artagnan.

— To jest — odrzekł Valot — nie tylko sądziłem, ale byłbym nawet przysiągł.

— Śniło ci się, mój dobry doktorze — rzekł król.

— Mnie się śniło?...

— Rana pana de Guiche?... sen!... kula?... sen!... Wierzaj mi, to wszystko tylko sen i nie mów o tem — wtrącił d'Artagnan.

— Dobrze mówi — rzekł król — rada, którą ci daje d'Artagnan jest wyborna, nie mów o twoim śnie nikomu, panie Valot, a na honor, nie będziesz tego żałował. Dobranoc, panowie. Och, straszne to bywa polowanie na dzika!...

— Och, tak!... — powtórzył d'Artagnan donośnie — niebezpiecznie jest polować na dziki.

I powtarzał te wyrazy przez wszystkie pokoje, przez które przechodził.

I wyszedł z zamku, prowadząc pana Valot ze sobą.

— A teraz, kiedy jesteśmy sami — rzekł król do pana Saint-Agnan — mów, jak się nazywa przeciwnik pana de Guiche?...

Saint-Agnan spojrzał na króla.

— Och, nie wahaj się — rzekł król — wiesz, że mam przebaczyć.

— De Wardes... — odpowiedział Saint-Agnan.

— Dobrze.

Następnie, wchodząc do swojego pokoju, zawołał:

— Przebaczyć — nie znaczy to zapomnieć.

CLXII

JAK DOBRZE BYWA MIEĆ DWIE CIĘCIWY W ŁUKU.

Manicamp wychodził od króla szczęśliwy, że mu się tak dobrze udało; wtem, zeszedłszy ze schodów i przechodząc obok małych drzwiczek, uczuł nagle, że go pociągnięto za rękaw.

Odwrócił się i poznał Montalais, która czekała na niego i szepnęła tajemniczo:

— Chodź pan prędzej, za mną.

— Dokąd pani?... — zapytał Manicamp.

— Najprzód, prawdziwy rycerz nie powinienby mi zadawać podobnego pytania, lecz iść, poprzestając na dobrej wierze.

— Och i ja jestem gotów postępować, jak prawdziwy rycerz.

— Teraz już zapóźno, teraz straciłeś pan całą zasługę. Idziemy do księżny, mój panie.

— Ach!... — odrzekł Manicamp — to idźmy do księżny.

I szedł za Montalais, która biegła przed nim lekko, jak Galatea.

— Tym razem — mówił do siebie Manicamp, idąc za swoją przewodniczką — nie wierzę, aby kłamstwa myśliwskie miały powodzenie. Będę jednak próbował... i w razie potrzeby... na honor... w razie potrzeby, nowy środek znajdziemy.

Montalais biegła wciąż.

— Jak to jest utrudzające — pomyślał Manicamp — potrzebować naraz i nóg i mózgu.

Wreszcie przybyli.

Księżna kończyła nocne ubranie i była w wytwornym negliżyku.

Dlatego Montalais i Manicamp zastali ją stojącą przy drzwiach.

Na odgłos ich kroków księżna podeszła ku nim.

— Ach!... — wyrzekła — nareszcie.

— Oto pan de Manicamp — odezwała się Montalais.

Manicamp ukłonił się z uszanowaniem.

Księżna dała znak Montalais, aby się oddaliła.

Dziewica była posłuszną.

Księżna w milczeniu ścigała ją oczyma, aż drzwi się za nią

zamknęły, następnie, zwracając się do Manicampa, spytała:

— Co zaszło i co mi powie pan de Manicamp? Podobno ktoś w zamku raniony?

— Tak, pani; na nieszczęście, pan de Guiche.

— Tak, pan de Guiche — powtórzyła księżna. — Słyszałam, jak o tem mówiono, ale chciałam mieć pewność. Więc to panu de Guiche przytrafiło się to nieszczęście?

— Tak, jemu, pani.

— Czy wiesz, panie de Manicamp — rzekła z żywością księżna — że król okropnie nie lubi pojedynków?

— Wiem pani; ale potyczka z dzikim zwierzem znajduje usprawiedliwienie czasem u Jego Królewskiej Mości.

— O! nie wyrządzisz mi pan tej zniewagi, wmawiając we mnie niedorzeczną bajkę, rozsianą nie wiem w jakim celu, że Guiche został przez dzika raniony. Nie, nie, panie, znam ja prawdę i wiem, że pan de Guiche oprócz rany ma zagrożoną i wolność.

— Niestety! Wasza Książęca Mość — odrzekł Manicamp — wiem o tem; ale co począć?

— Widziałeś pan Jego Królewską Mość?

— Widziałem.

— Cóż mówił?

— Opowiedziałem mu, jak pan de Guiche był na łowach, jak dzik wyszedł z lasu Rochin, jak pan de Guiche strzelił do niego i jak zwierz rozjuszony zwrócił się ku niemu, zabił konia i jego samego ciężko ranił.

— I król w to uwierzył.

— Zupełnie.

— Zadziwiasz mnie panie Manicamp, zadziwiasz.

I księżna przechodziła wzdłuż i wszerz po pokoju, rzucając spojrzenia badawcze na Manicampa, który stał nieporuszony na miejscu.

Nakoniec zatrzymała się.

— Jednak wszyscy przypisują tę ranę czemu innemu.

— A jakiejże innej przyczynie, Wasza Książęca Mość?... — zapytał Manicamp — czy bez obrazy mogę Waszej Wysokości zadać to pytanie?

— I pan o to pytasz!... pan zaufany przyjaciel pana de Guiche, pan jego powiernik!

— Tak, pani, zaufany przyjaciel, to prawda, ale nie powiernik. Guiche jest z tych ludzi, którzy mogą mieć tajemnice i mają je zapewne, ale nie powierzają ich nikomu. Guiche bardzo jest delikatny.

— Zatem ja te tajemnice, które pan de Guiche w sobie zamyka, ja z przyjemnością mogę panu odsłonić — rzekła księżna z gniewem — bo i król może powtórnie pana pytać i drugi raz nie poprzestanie na podobnej bajeczce.

— Zdaje mi się, że Wasza Książęca Mość co do króla jest w błędzie. Daję słowo, że Jego Królewska Mość bardzo ze mnie był zadowolony.

— Skoro tak, pozwól mi powiedzieć, panie de Manicamp, że jest to dowodem, jak mała rzecz zaspakaja Jego Królewską Mość.

— Sądzę, że Wasza Książęca Mość myli się co do tego. Jego Królewska Mość znany jest z tego, że tylko na ważnych poprzestaje dowodach.

— A czy pan sądzisz, że jutro będzie zadowolony, kiedy się dowie, iż pan de Guiche o swojego przyjaciela, wicehrabiego de Bragellone, miał sprzeczkę, która wywołała ten pojedynek.

— Sprzeczkę o pana de Bragellone!... — powtórzył Manicamp, udając najszczersze zdziwienie — Wasza Książęca Mość zupełną mówi mi nowość!...

— Cóż tak dziwnego?... pan de Guiche jest podejrzliwy i popędliwy.

— Owszem, ja uważam pana de Guiche za bardzo cierpliwego; nigdy nie obraża się on i nie gniewa, chyba ma słuszną przyczynę.

— Ależ przyjaźń jest ważną przyczyną?... — podchwyciła księżna.

— Zapewne, Wasza Książęca Mość; osobliwie dla serca, które do jego serca jest podobne.

— Nie zaprzeczysz pan, że de Bragellone jest przyjacielem pana de Guiche?

— Nawet wielkim.

— A więc pan de Guiche stanął w obronie Bragellona, a że Bragellone jest nieobecny i nie mógł się pojedynkować, sam bił się za niego.

Manicamp zaczął się uśmiechać i uczynił dwa, czy trzy poruszenia głową, które miały znaczyć:

— Jeżeli pani chcesz wiedzieć koniecznie...

— To mówże pan — odrzekła zniecierpliwiona księżna.

— Ja?

— Widocznie jest, że nie podzielasz mojego zdania i masz mi coś powiedzieć.

— Ja tylko jedną rzecz mam do powiedzenia.

— Mów pan.

— Że ani słowa z tego wszystkiego nie rozumiem, co słyszałem.

— Jakto!... pan nie rozumiesz ani słowa z kłótni pana de Guiche z panem de Wardes?... — zawołała księżna prawie zagniewana.

Manicamp milczał.

— Z kłótni — mówiła dalej — powstałej z mniej więcej właściwego żarciku, a nawet mniej więcej uzasadnionego co do cnoty pewnej damy.

— A! pewnej damy!... to co innego — odrzekł Manicamp.

— Zatem zaczynasz pan pojmować?

— Wasza Książęca Mość przebaczy mi, ale nie śmiem...

— Pan nie śmiesz!... — zawołała księżna z uniesieniem — a więc zaczekaj!... ja, ja śmiem!...

— Wasza Książęca Mość!... — zawołał Manicamp, jakby się zatrwożył — niech Wasza Wysokość zważa, co mówi.

— Zdaje się, że gdybym była mężczyzną, biłbyś się pan ze mną, pomimo edyktów Jego Królewskiej Mości, jak pan de Guiche bił się z panem de Wardes, i to o cnotę panny de la Valliere.

— Panny de la Valliere!... — zawołał Manicamp, cofając się nagle, jakby wcale się nie spodziewał usłyszeć tego nazwiska.

— Dlaczego tak podskoczyłeś, panie Manicamp?... — spytała księżna z szyderstwem — czybyś śmiał wątpić o jej cnocie?

— Ale nie idzie tu bynajmniej o cnotę panny de la Valliere, Wasza Wysokość.

— Jakto! kiedy dwóch mężczyzn strzela się o kobietę, pan mówisz, że ona nic nie stanowi i, że wcale o nią nie idzie!... A! nie sądziłam, ażebyś pan był tak dobrym dworakiem, panie de Manicamp.

— Wybacz, wybacz, księżno — rzekł młodzieniec — ale jesteśmy daleko od rzeczy. Wasza Książęca Mość zaszczycasz mnie rozmową o czem innem, a ja, jak uważam, mówię o czem innem.

— Co? co?

— Przepraszam; zdawało mi się, że Wasza Książęca Mość chciała powiedzieć, iż panowie de Guiche i de Wardes pojedynkowali się o pannę de la Valliere.

— Naturalnie.

— O pannę de la Valliere, wszak prawda?... — powtórzył Manicamp.

— A! mój Boże!... ja nie mówię, aby pan de Guiche osobiście się zajmował panną de la Valliere, ale mówię, że wystąpił za nią w zastępstwie.

— W zastępstwie?

— Dlaczego pan wciąż grasz rolę zdziwionego?... Czyż nie wiadomo, że Bragellone jest zaręczony z panną de la Valliere i że, wyjeżdżając z poleceniem, które mu dał król do Londynu, zobowiązał swojego przyjaciela, pana de Guiche, aby czuwał nad tą interesującą osóbką.

— Nic przeciw temu nie mówię; Wasza Książęca Mość, jak widzę, doskonale o wszystkiem jest powiadomiona.

— O wszystkiem, uprzedzam pana.

Manicamp uśmiechnął się, a to już do złości przywiodło księżnę, która nie była, jak wiemy, cierpliwego temperamentu.

— Wasza Wysokość — rzekł ostrożny Manicamp, kłaniając się księżnie, — pogrzebmy tę sprawę, która nigdy nie będzie dokładnie wyjaśniona.

— O! pod tym względem, nic do życzenia nie pozostaje, objaśnienia są zupełne. Król będzie wiedział, że pan de Guiche wziął w obronę tą awanturnicę, która sobie tony wielkiej damy nadaje; dowie się także, że pan de Bragellone wyznaczył swojego zwyczajnego stróża do pilnowania skarbu z ogrodu Hesperyd i, że ten przyjaciel, pan de Guiche, pokazał zęby margrabiemu de Wardes, że poważył się podnieść rękę do złotego jabłka. Prócz tego musisz wiedzieć, panie de Manicamp, ty, co wiesz o tylu rzeczach, że król ubiega się również o ten sławny skarb i kto wie, może będzie miał za złe panu de Guiche, że bez jego wiedzy, wystąpił jako obrońca. Czy teraz dosyć pan je-

steś objaśniony i czy jeszcze jakiego potrzeba ci dowodu? powiedz.

— Nie Wasza Wysokość, więcej wiedzieć nie pragnę.

— Wiedz jednak, bo potrzeba, abyś wiedział, panie de Manicamp, że oburzenie królewskie straszne będzie miało skutki. U monarchów, takiego charakteru jak król, gniew miłosny, to huragan.

— Wasza Książęca Mość go uspokoi.

— Ja!... — zawołała księżna z poruszeniem gwałtownej ironji — ja!... a to z jakiego tytułu?

— Ponieważ Wasza Królewska Mość nie lubi niesprawiedliwości.

— I to byłoby niesprawiedliwością, według pana, przeszkadzać królowi w jego sprawkach miłosnych?

— Jednak wstawisz się, księżno, za panem de Guiche?

— Oszalałeś pan... — zawołała księżna tonem, pełnym dumy.

— Przeciwnie, Wasza Wysokość jestem przy zdrowych zmysłach i powtarzam, że Wasza Królewska Mość będzie pana de Guiche broniła.

— Ja!

— Tak, pani.

— A to dlaczego?

— Ponieważ sprawa pana de Guiche jest sprawą Waszej Książęcej Mości — odrzekł cicho, ale z zapałem Manicamp, a oczy mu zajaśniały.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Mówię, Wasza Wysokość, że w nazwisku panny de la Valliere, którą Guiche za nieobecnego Bragellona wziął w obronę, dziwi mnie, że Wasza Książęca Mość nie widzi tylko pozoru.

— Pozoru?

— A tak.

— Pozoru? jakiego?... — powtórzyła, jąkając się księżna, którą objaśniały spojrzenia Manicampa.

— Teraz, Wasza Wysokość — rzekł młodzieniec — dosyć powiedziałem, jak sądzę, aby skłonić Waszą Książęcą Mość do obrony przed królem biednego hrabiego de Guiche, na którego spadnie cała nieprzyjaźń stronnictwa możnego Waszej Książęcej Mości.

— Chcesz pan zapewne powiedzieć, że wszyscy, którzy nie lubią panny de la Valliere, a nawet niektórzy z tych, co ją lubią, będą patrzyli na hrabiego niechętnie.

— O! pani, nie posuwaj tak daleko uprzedzeń i posłuchaj rady przyjaciela, pełnego poświęcenia. Czy mam się narazić, abym się nie podobał Waszej Książęcej Mości? czyż potrzeba, abym pomimo chęci wymienił osobę, która była prawdziwą przyczyną kłótni?

— Osobę?... — zapytała księżna rumieniąc się.

— Potrzebaż — mówił dalej Manicamp — okazać pani nieszczęśliwego hrabiego de Guiche, rozjątrzonego aż do najwyższego wzburzenia na wszystkie pogłoski, krążące o tej osobie? Mamże? jeżeli pani nie zechcesz jej poznać, albo jeżeli mi uszanowanie nie pozwoli jej wymienić, mamże przypomnieć jej zajście brata królewskiego z milordem Buckingham i podejrzenia, rzucane wskutek jego oddalenia? Mamże opisać chęć podobania się, chęć widzenia, chęć usunięcia najmniejszej przykrości od osoby, dla której tylko on żyje. Jeżeli potrzeba, uczynię to, a wówczas może pojmiesz pani, że cierpliwość hrabiego była wyczerpaną; drażniony zawsze przez pana de Wardes, przy pierwszem niegrzecznem słowie o tej osobie oburzył się i zemścił.

Księżna ukryła twarz w rękach.

— Panie!.... — rzekła — czy wiesz, co mówisz? i komu to mówisz?

— A wtenczas pani — ciągnął dalej Manicamp, jakby nie słyszał okrzyku księżny — niechże pani nie dziwi, ani zapał hrabiego, z jakim szukał tej sprzeczki, ani jego nadzwyczajny dowcip w ukryciu prawdziwego jej przedmiotu, a nadewszystko ta niezwykła zręczność i krew zimna; a jeżeli osoba, za którą się hrabia de Guiche potykając, krew przelał, winna mu cokolwiek wdzięczności, to nie za utratę krwi, ani za ból, jaki cierpi, lecz za szlachetne ujęcie się za cześć tej, która mu jest droższą nad własną...

— O!... — krzyknęła księżna tak, jakby nikogo nie było przy niej — o! czyżby to za mnie się ujął!

Manicamp odetchnął i naprawdę zasłużył bardzo na to wytchnienie.

Księżna zaś pogrążona była czas niejaki w bolesnem zamyśleniu. poznać to było można po przyspieszonem falowaniu piersi i częstem naciskaniu, serca ręką.

Ale zalotność u niej nie była namiętnością najmniejszą, był to przeciwnie ogień, szukający i zawsze znajdujący podnietę.

— A więc — rzekła — hrabia zobowiązał jednocześnie dwie osoby, gdyż pan de Bragellone winien mu także wielką wdzięczność, że wszędzie i zawsze panna de la Valliere uchodzić będzie za osobę, bronioną przez tak walecznego rycerza.

Manicamp pojął, że jeszcze pozostała resztka wątpliwości w sercu księżny, a zapał jego zaostrzył się tym oporem.

— Zaprawdę — rzekł — piękną przysługę wyświadczył pannie de la Valliere i również piękną i panu de Bragellone, gdyż pojedynek ten, nabrawszy rozgłosu, nie tylko ujął czci pannie del a Valliere, ale i poróżnił hrabiego z panem Bragellone, stąd słuszny wniosek, że strzał pana de Wardes miał trzy następstwa zamiast jednego: zniszczył dobre imię kobiety, honor mężczyzny i może zranił śmiertelnie jednego z najwaleczniejszych ze szlachty francuskiej. A! pani, jej dowodzenie jest zawsze zimne, zawsze potępia, a nigdy nie uniewinnia.

Ostatnie słowa pana de Manicamp rozwiały resztę wątpliwości nie tylko w sercu, lecz i w umyśle księżny.

Nie była to już księżna, ani zbyt ostrożna i ciągle podejrzliwa kobieta, było to serce, co uczuło zimno głębokiej rany.

— Ranny śmiertelnie — rzekła z cicha — o! panie de Manicamp, nie powiedziałeś przecie ranny śmiertelnie?

Manicamp odpowiedział głębokiem westchnieniem.

— Mówisz pan, że hrabia jest niebezpiecznie ranny?

— Ma rękę strzaskaną i kulę w piersiach.

— O mój Boże, mój Boże — zawołała księżna ze drżeniem — to okropne, panie de Manicamp, mówisz ręka strzaskana i kula w piersiach. A! mój Boże i to ten podły nikczemnik, ten zabójca de Wardes to zrobił. O! niebo jest niesprawiedliwe.

Manicamp mocno był wzruszony, bo też istotnie rozwinął wiele siły w ostatniej części swojej obrony.

Co do księżny, nigdy nie zważała na przyzwoitość; kiedy namiętność przemawiała za lub przeciw współczuciu, wówczas nic nie powstrzymywało jej gwałtowności.

Zbliżyła się do Manicampa, który upadł na krzesło, jakby boleść była dość mocną wymówką dla wykroczenia przeciw przepisom etykiety.

— Panie — rzekła, biorąc go za rękę — bądź szczery.

Manicamp podniósł głowę.

— Czyż życie pana de Guiche jest w niebezpieczeństwie?

— Podwójnie, pani, bo krwotok nastąpił z przerwania arterji w ręce, a powtóre z rany w piersiach, o którą lekarze boją się, aby nie wywołała niebezpiecznych następstw.

— Więc może umrzeć?

— Tak, pani, i nawet nie będzie wiedział, że pani wiesz o jego poświęceniu.

— Wszak pan mu to powiesz?

— Ja?

— Czyż nie jesteś pan jego przyjacielem?

— Ja? nie, pani, ja mu nie powiem, a nawet jeżeli nieszczęśliwy będzie w stanie słuchać mnie, opowiem mu tylko to, com widział, to jest okrucieństwo pani dla niego.

— O! pan nie uczynisz tego.

— I owszem! powiem mu tę prawdę, bo zresztą życie silnem jest w człowieku młodym. Lekarze są tak uczeni! A jeżeli szczęśliwym wypadkiem wyleczy się z tych ran, nie chciałbym, aby z okrutniejszej rany, zadanej sercu....

To mówiąc, Manicamp wstał i z głębokiem uszanowaniem chciał jakby się pożegnać.

— Przynajmniej powiedz pan — rzekła księżna, zatrzymując go skinieniem, prawie błagającem — w jakim stanie znajduje się chory i kto go leczy.

— Bardzo się ma źle, a co do lekarza jest nim pan Valot, lekarz Jego Królewskiej Mości, towarzyszy zaś mu inny lekarz, do którego najprzód pan de Guiche był przyniesiony.

— Jakto?... więc on nie jest w zamku?...

— Niestety, pani!... biedny chłopiec tak jest osłabiony, że nie można było go przenieść.

— Powiedz mi, gdzie on jest — rzekła prędko księżna, — poślę dowiedzieć się o jego zdrowie.

— Przy ulicy du Feurre, dom murowany, okiennice białe, a nazwisko lekarza na drzwiach napisane.

— Czy pan wracasz do niego?...

— Tak, pani.

— To musisz mi wyświadczyć przysługę?...

— Jestem na rozkazy Waszej Wysokości.

— A więc zrób coś chciał uczynić, wróć do pana de Guiche, oddal wszystkich obecnych i bądź łaskaw sam się także oddalić.

— Pani...

— Nie traćmy czasu na próżną rozmowę. Nie zważaj na nic innego, tylko na to, co mówię. Poślę jedną z moich dam, a może dwie nawet, z powodu spóźnionej pory, a nie chciałabym, ażeby pan je widział; o! to są szczegóły, które pan zapewne pojmiesz, zwłaszcza, że pan tak łatwo odgadujesz wszystko.

— O!... pani!... pojmuję zupełnie, zrobię nawet lepiej, poprzedzę te damy, ażeby niejako wskazać im drogę i dać opiekę, gdyby tego potrzebowały.

— Więc tym sposobem wejdą tam bez trudności, nieprawdaż?...

— O!... tak, pani, gdyż ja wchodząc pierwszy, usunąłbym wszelkie przeszkody, gdyby się przypadkiem jakie znalazły.

— A więc dobrze, idź, idź, panie de Manicamp, i zaczekaj na dole.

— Idę, pani.

— Ale czekaj!

Manicamp zatrzymał się.

— Skoro usłyszysz kroki dwóch kobiet. idź naprzód, aż do mieszkania chorego, nie oglądając się wcale.

— A gdyby to nie były te kobiety?...

— Na znak klasną trzy razy w dłonie.

— Rozumiem.

— Idź pan, idź.

Manicamp skłonił się i wyszedł z radością w sercu.

Nie wątpił, że obecność księżnej najlepszym będzie balsamem na rany chorego.

W kwadrans potem odgłos drzwi, otwierających się i zamykanych z ostrożnością, doszedł do niego.

Potem lekkie kroki po schodach, w końcu trzy klaśnięcia w ręce, jako znak umówiony.

Wyszedł natychmiast i wierny danemu słowu, udał się, nie oglądając się wcale, przez ulicę Fontainebleau do mieszkania rannego.

CLXIII

MALICORNE ARCHIWISTA PAŃSTWOWY.

Dwie kobiety, okryte płaszczykami, w półmaskach z czarnego atłasu, postępowały bojaźliwie za Manicampem.

Na pierwszem piętrze, za zasłoną z czerwonego adamaszku, paliła się lampa, rzucając mdłe światło.

W drugim końcu tegoż samego pokoju, na łóżku, przyozdobionem wyrzynanemi kolumnami, z firankami tegoż koloru, co zasłona, zaciemniająca światło lampy, spoczywał Guiche z głową opartą na poduszkach, z zamglonemi oczyma; długie, czarne kręcące się włosy rozrzucone zdobiły w nieładzie blade skronie młodzieńca.

Guiche marzył, umysł jego błądził w ciemnościach snu gorączkowego, jaki Bóg zsyła tym, którzy wkrótce mają pójść w drogę niedościgłej wieczności.

Manicamp wbiegł prędko na schody, zatrzymał się trochę przede drzwiami, a otworzywszy je lekko, wsunął głowę do pokoju, widząc zaś, że wszystko tam spokojne, zbliżył się na palcach do dużego krzesła, pamiątki z czasów Henryka IV-go obudził śpiącą w niem kobietę, która pilnowała chorego, i poprosił, ażeby przeszła do drugiego pokoju.

Zatrzymał się potem przy łóżku, chcąc obudzić Guicha, ażeby mu zwiastować tak przyjemną nowinę.

Lecz, słysząc już za drzwiami szelest sukni jedwabnych i przyspieszony oddech towarzyszek podróży, i widząc niecierpliwie otwierane drzwi, usunął się do pokoju, w którym już była dozorczyni chorego.

Zaledwie to uczynił, wnet podniosła się zasłona i dwie kobiety weszły do pokoju, który dopiero opuścił.

Wchodząca pierwej skinęła rozkazująco tak, że przykuła prawie towarzyszkę do ławki, przy drzwiach stojącej.

Poczem śmiało, przystępując do łóżka i odsuwając firanki, zarzuciła ich koniec za łóżko.

Teraz zobaczyła bladą twarz hrabiego i jego prawą rękę, obwiniętą płótnem białem, leżącą na kołdrze ciemnego koloru, która okrywała to łoże boleści.

Zadrżała, widząc krew na wierzchu obandażowania.

Biała pierś młodzieńca była odsłonięta tak jakby świeżość powietrza pomagała mu oddychać.

Niewielki plaster zakrywał ranę, której brzegi zsiniały od krwi spiekłej.

Głębokie westchnienie wydobyło się z ust młodej kobiety.

Oparła się o kolumnę łóżka, przypatrując się przez otwory w masce temu bolesnemu obrazowi.

Oddech krótki i chrapliwy, jak chrapanie konającego, przeciskał się przez zaciśnione zęby hrabiego.

Kobieta chwyciła lewą rękę rannego.

Ręka pałała ogniem.

Lecz w chwili gdy dotknęła jej złodowaciała ręka kobiety, działanie zimna było tak mocne, iż Guiche otworzył oczy i starał się wrócić do życia ożywiając wzrok nieco.

Pierwszy przedmiot, jaki ujrzał, było to widmo, oparte o kolumnę łóżka.

Na ten widok, oczy jego otworzyły się zupełnie, lecz przytomność nie wróciła.

Wtenczas kobieta dała znak towarzyszce, pozostałej przy drzwiach, która zapewne była już uprzedzona, jak ma postąpić, gdyż głosem mocnym i bez zająknienia wyrzekła:

— Panie hrabio!... Jej Królewska Wysokość, Księżna Pani, chce wiedzieć, jak pan znosisz ból pochodzący z rany, i wyrazić przez moje usta żal, jakiego doświadcza z pańskich cierpień.

Na słowo "księżna" Guiche poruszył się, nie spostrzegł bowiem dotąd osoby, która to mówiła.

Naturalnie zwrócił się w stronę, skąd głos pochodził.

Lecz, że ręka zimna nie usunęła się, skierował zaraz wzrok ku nieruchomemu widmu.

— Czy to pani do mnie przemawiasz? — rzekł głosem osłabionym — czy też jest kto inny w tym pokoju?

— Tak — odpowiedziało widmo, głosem prawie niezrozumiałym, spuszczając głowę.

— A więc — rzekł ranny z wysiłkiem — dziękuję!... Powiedz pani księżnie, że z rozkoszą umrę, bo raczyła o mnie pamiętać.

Na to słowo "umrę", wymówione przez konającego prawie, kobieta zamaskowana nie mogła łez powstrzymać.

I gdyby Guiche był więcej panem swoich zmysłów, byłby te łzy dostrzegł, spadające, jak perły, na łóżko.

Kobieta, zapomniawszy, że jest zamaskowaną, podniosła rękę, by łzy otrzeć; palce jej spotkały drażniący i zimny jedwab, a wtedy z gniewem zerwała maskę i rzuciła ją na podłogę.

Na to niespodziewane zjawisko, które zdawało się zstępować ku niemu jakby z obłoków, Guiche krzyknął i wyciągnął ręce.

Ale głos zamarł mu na ustach, jak siła w ciele.

Prawa ręka, która podniosła się popędem woli, bez obrachowania siły, opadła bezwładnie na łóżko, a natychmiast białe zawinięcie jej przybrało kolor czerwony.

Oczy młodzieńca zamknęły się, jakby już pasował się z niepokonanym aniołem śmierci, głowa nieruchomo leżała na poduszkach, a twarz z bladej stała się siną.

Kobieta przelękła się, ale tym razem, wbrew zwyczajowi, przestrach ją pociągał.

Schyliła się nad rannym chcąc ożywić swem tchnieniem tę twarz zmienioną, potem raptownie pocałowała lewą rękę Guicha, który wstrząśnięty tem, jak iskrą elektryczną, otworzył oczy i zemdlał na nowo.

— Chodźmy rzekła do swej towarzyszki — chodźmy, nie możemy tu dłużej pozostać, gdyż niezawodnie popełniłabym jaką niedorzeczność.

— Pani!... pani!... Wasza Wysokość zapomniała maski — rzekła, uważna na wszystko towarzyszka.

— Podnieś ją!... — odrzekła jej pani, wybiegając prawie bezprzytomnie z pokoju.

A że drzwi od ulicy były otwarte, obie kobiety dostały się łatwo do pałacu.

Jedna z nich weszła do pokojów księżny i tam zniknęła.

Druga weszła do pokoju panien honorowych, to jest, o piętro wyżej.

A wszedłszy do swego pokoju, usiadła przed stolikiem i, nie odetchnąwszy nawet, zaczęła pisać następujący bilecik:

"Tego wieczora księżna odwiedziła pana de Guiche."

"Z tej strony wszystko idzie jak najlepiej".

"Staraj się także, aby było dobrze, a nadewszystko spal to pismo."

Złożyła list, nadając mu kształt podłużny, wysunęła się ostrożnie z pokoju i przebiegła korytarz, prowadzący do mieszkania dworzan księcia.

Tam zatrzymawszy się przy jednych drzwiach, zlekka zapukała, wsunęła liścik i uciekła.

Wróciwszy do swego pokoju, ukryła wszelkie ślady pisania i wychodzenia, a czyniąc to, spostrzegła na stole maskę księżnej, maskę, którą przyniosła, podług rozkazu swej pani, ale zapomniała jej oddać.

— O!... o!... — rzekła Montalais, gdyż zapewne czytelnicy poznali ją po tych manewrach, któreśmy opisali — oho, nie oddam jej tej maski, jest ona teraz bardzo drogą.

I pobiegła do skrzyneczki klonowej, w której chowała pachnidła i inne podobne przedmioty.

— O!... nie tutaj taki przedmiot chować należy.

I po chwili milczenia, z uśmiechem, jej tylko właściwym, rzekła:

— Piękna masko, zbroczona krwią tego walecznego, pójdziesz połączyć się w moim zbiorze z listami la Valliere, Raoula, z całem archiwem miłosnem, które kiedyś posłuży do historji państwa francuskiego.

— Ty pójdziesz do pana Malicorne — mówiła dalej, śmiejąc się i rozbierając — do tego zacnego pana Malicorne — mówiła, gasząc świecę — któremu się zdaje, że jest tylko nadzorcą pokojów księcia, a ja tymczasem robię z niego archiwistę i dziejopisarza domu Bourbonów i najświetniejszych rodzin państwa.

— Niechże się teraz uskarża jeszcze ten mrukliwy Malicorne.

I, zasłoniwszy firanki łóżka, zasnęła.

CLXIV

PODRÓŻ.

Nazajutrz, jako w dniu, oznaczonym do podróży, król zeszedłszy po głównych schodach z królową i księżną, wsiadł do karety, zaprzężonej w sześć dziarskich koni.

Cały dwór w ubiorach podróżnych oczekiwał na dziedzińcu.

Wspaniały widok przedstawiało to mnóstwo koni posiodłanych, karet zaprzężonych, mężczyzn, kobiet, pazów i innej służby.

Król wsiadł do karety z obydwiema królowemi.

Księżna zaś z księciem.

Damy honorowe, naśladując ten przykład, powsiadały po dwie do karet dla nich przeznaczonych.

Najprzód ruszyła kareta królewska, potem kareta księżny, następnie inne, podług porządku, jaki był wskazany.

Gorąco było niezmierne.

Lekki wietrzyk, który wydawał się zrana dość mocny, aby odświeżyć powietrze, teraz, ogrzany słońcem, zamiast ochłody, powiększał jeszcze upał.

Księżna najpierwsza zaczęła się uskarżać na gorąco.

Książę odpowiedział jej wyciągnięciem się w karecie, jak człowiek bliski zemdlenia wąchał etery, orzeźwiał się pachnidłami i ciężko wzdychał.

Księżna odezwała się do niego jaknajbardziej uprzejmym głosem:

— Doprawdy, mógłbyś pan karetę zostawić dla mnie, a sam przejechać się konno.

— Konno!... — wykrzyknął książę z wyrazem przestrachu, który dał poznać, jak dalekim był od tego projektu — ja miałbym wsiąść na konia!... ani myślę, a toby mi skóra zupełnie zlazła z twarzy od tego ognistego wiatru.

Księżna zaczęła się śmiać.

— To weźmiesz mój parasol.

— A to wygodnie będzie mi go trzymać — odrzekł książę z najzimniejszą krwią. — Zresztą konia tu nie mam.

— Jakto, niema konia? — odpowiedziała księżna, która zawsze chciała postawić na swojem — konia niema? mylisz się, widzę przecie stąd pańskiego ulubionego gniadosza.

— Mego konia gniadego — podchwycił książę, starając się wykonać ku drzwiczkom karety poruszenie, które go tyle trudów kosztowało, iż, uczyniwszy je zaledwie w połowie, wrócił do poprzedniej postawy.

— Tak — rzekła księżna — konia pańskiego prowadzi pan Malicorne.

— Biedne zwierzę — odpowiedział książę — jakże mu musi być gorąco.

I po tych słowach zamknął oczy, jak człowiek, już umierający. Księżna zaś także się wyciągnęła po drugiej stronie karety, ale nie aby spać, lecz ażeby myśleć bez przeszkody.

Tymczasem król, siedząc na przodzie powozu, doświadczał trosk niespokojnych kochanków, którzy, bez zaspokojenia żądzy, chcą zawsze patrzeć na przedmiot ukochany, a zobaczywszy, oddalają się z większem jeszcze pragnieniem widzenia go znowu. Król, jadąc najpierwej, jakieśmy to powiedzieli, nie mógł naturalnie widzieć powozów dam honorowych, jadących za nim.

Zresztą ciągle musiał odpowiadać na nieustanne zapytania młodej królowej, która, szczęśliwa z towarzystwa ukochanego męża, jak mówiła, w zapomnieniu o etykiecie dworskiej, obarczała go całą swoją miłością, krępowała całą troskliwością, bojąc się, ażeby go jej nie odebrano, albo żeby mu nie przyszedł kaprys opuszczenia jej nagle.

Anna Austrjacka, której nic wówczas nie zajmowało, tylko ostre kiedy niekiedy kłucie poczynającej się w piersiach choroby, Anna Austrjacka udawała wesołą i chociaż dobrze widziała niecierpliwość króla, przedłużała ją złośliwie podniecając rozmowę, właśnie wtenczas, kiedy król chciał być sam z sobą, aby marzyć o swej miłości.

I te ciągłe nadskakiwania królowej i sprzeciwiania się Anny Austrjackiej, drażniły króla, nie umiejącego ukryć niecierpliwości; skarżył się na gorąco, a był to początek innych skarg, które nie były znów takie, aby Marja Teresa nie mogła poznać prawdziwego ich celu.

Biorąc jednak to, co król mówił, dosłownie, chłodziła go wachlarzem z piór strusich.

Kiedy gorąco zmniejszyło się, król uskarżał się, że go nogi bolą od ciągłego siedzenia, a gdy właśnie kareta zatrzymała się dla przeprzęgu, królowa rzekła:

— Jeżeli chcesz, wysiądziemy, bo i mnie nogi zdrętwiały. Przejdziemy się trochę, a gdy powozy nadjadą znowu wsiądziemy.

Król zmarszczył brwi; była to ciężka próba cierpliwości, jaką zadała zazdrosna żona niewiernemu mężowi, żona, która, chociaż pożerana była zazdrością, miała jednak dosyć mocy, aby nie okazać gniewu.

Król nie mógł więc odmówić; wysiadłszy z powozu, podał rękę królowej i poszli naprzód, zanim zmieniono konie.

Idąc, zazdrosnem spoglądał okiem na dworzan, jadących konno.

Królowa spostrzegła wkrótce, że i przechadzka również nudzi króla, jak i podróż w karecie, oświadczyła więc chęć wrócenia do powozu, lecz król nie wsiadł i usunął się na bok, a w szeregu karet starał się rozpoznać tę, która go najwięcej zajmowała.

W drzwiczkach szóstej z rzędu karety ukazała się biała twarz panny la Valliere.

Kiedy król nieruchomo tonął w marzeniach, a cały orszak oczekiwał jego rozkozu, aby ruszyć dalej, ktoś o trzy kroki odezwał się doń z uszanowaniem.

Był to pan Malicorne, siedzący na koniu i trzymający w ręku luźnego wierzchowca.

— Wasza Królewska Mość żądał konia? — rzekł.

— Konia! pan miałbyś jednego z moich koni? — spytał król starając się przypomnieć twarz mówiącego, mało mu dotąd znaną.

— Najjaśniejszy Panie, to koń ze stajni Jego Królewskiej Wysokości, lecz Jego Królewska Wysokość nie jeździ nigdy konno na takie gorąco.

Król nic nie odpowiedział, ale przystąpił do konia, ryjącego ziemię kopytem, i zanim Malicorne zdążył potrzymać mu strzemię, już król był na koniu.

Wróciwszy zaś po tem szczęśliwem zdarzeniu do wesołego humoru, poskoczył ku karecie królowych i pomimo pomieszanej twarzy Marji Teresy, rzekł:

— Na honor, znalazłszy konia, korzystam z niego, bo też dusiłem się w karecie do widzenia, moje panie — i, kłaniając się zgrabnie, znikł im z oczu.

Anna Austrjacka wychyliła się, aby go widzieć nie pojechał daleko, gdyż, zbliżywszy się do szóstej karety, zatrzymał konia i zdjął kapelusz.

Było to powitanie panny la Valliere, która, wydawszy okrzyk zadziwienia, zaczerwieniła się z radości.

Montalais, która siedziała obok niej, ukłoniła się głęboko królowi, poczem, jako kobieta dowcipna, obróciwszy się w przeciwną stronę, udawała, że ją zajmuje bardzo widok krajobrazu.

Rozmowa króla z panną la Valliere zaczęła się, jak wszystkie rozmowy kochanków, od wymownych spojrzeń i nic nieznaczących wyrazów.

Król mówił, że mu tak było duszno w karecie, iż koń był prawdziwem dobrodziejstwem nieba.

I dodał: dobroczyńca jest człowiekiem dowcipnym, gdyż odgadł chęć moją. Chciałbym wiedzieć, kim jest ten, co tak zręcznie usłużył swemu królowi i uwolnił go od okropnych nudów, jakie znosił.

Montalais w czasie tej rozmowy, która od pierwszego wyrazu wzbudziła jej uwagę, przysunęła się tak, aby koniecznie napotkać wzrok królewski.

A stąd wypadło, że pytający wzrok króla, rzucony to na la Valliere, to na nią, zdawał się upoważniać ją do odpowiedzi, rzekła więc:

— Najjaśniejszy Panie! koń, na którym jeździ Wasza Królewska Mość, jest jednym z koni księcia, a prowadził go jeden z jego dworzan.

— A jak się nazywa ten dworzanin?

— Pan de Malicorne, Najjaśniejszy Panie.

Nazwisko wywarło zwyczajny skutek.

— Malicorne — powtórzył król, uśmiechając się.

— Tak! Najjaśniejszy Panie! — odpowiedziała Aurora — oto właśnie ten jeździec, co galopuje po lewej stronie.

I wskazała Malicorna, który z błogą miną galopował, wiedząc dobrze, że o nim mówią, a udając, że ani widzi tego, ani słyszy.

— A tak, to ten sam — rzekł król — przypominam sobie jego twarz i nie zapomnę nazwiska.

I król spojrzał czule na pannę la Valliere.

Aurora nie miała nic więcej do dodania; rzuciła nazwisko Malicorna na dobry grunt, czekając, aby wzrosło, gdy i wypadki powinny były wydać pożądane owoce. Wcisnęła się znowu w swój kącik, nabywszy prawa do dawania różnych znaków panu Malicornowi, który, skoro spodobał się królowi, zasłużył na to zupełnie. Oczywiście, Malicorne, mając słuch ostry, słyszał, a bystrem okiem widział wszystko.

— Dobrze idzie.

Wyrazom tym towarzyszył znak, podobny do przesłanego całusa.

— Niestety — rzekł król — swoboda wiejska już się kończy, a służba przy księżniczce częstsza pozbawi nas możności widywania.

— Wasza Królewska Mość zbyt wysoko ceni księżnę, abyś nie miał często jej odwiedzać, a przechodząc przez pokój...

— O! — rzekł król głosem czułym, zniżając go stopniowo — spostrzedz, nie jest to widzieć się, lecz dla pani, jak się zdaje, to wystarcza.

Ludwika nic nie odpowiedziała, tylko westchnienie wyrwało się z jej piersi.

— Masz pani wielką moc panowania nad sobą — rzekł król.

La Valliere uśmiechnęła się smutnie.

— Obróć tę siłę na rzecz miłości — mówił dalej król — a Bogu podziękuję, że jej pani udzielił.

La Valliere milczała i tylko wzniosła na króla wzrok, pełen miłości.

Wtenczas Ludwik, jakby trawiony tym palącym wzrokiem, potarł ręką po czole i, ściskając konia, wyjechał naprzód.

A ona przymkniętemi nawpół oczyma goniła za tym pięknym jeźdźcem, który całą jej owładnął duszą.

Kochała go już zupełnie i miłość ta upajała ją.

Po chwili król powrócił.

— O! — rzekł — czyż pani nie widzisz, że milczenie twoje zabija mnie. Musiałabyś być okrutną, chcąc ze mną zerwać, a przytem zdaje mi się, że jesteś niestałą, wreszcie boję się tej miłości, którą czuję dla ciebie.

— O, mylisz się, Najjaśniejszy Panie — odrzekła La Valliere — jeżeli kiedy pokocham, to na całe życie z pewnością.

— Jeżeli pani pokochasz — podchwycił król z boleścią — a więc pani nie kochasz?

La Valliere ukryła twarz w dłonie.

— Widzisz więc pani, widzisz, iż mam słuszność oskarżając ciebie, żeś obojętna, zmienna, zalotna, o mój Boże! mój Boże!

— O! nie, Najjaśniejszy Panie, uspokój się, nie, nie, nie.

— Przyrzecz więc, że będziesz dla mnie zawsze jednaką.

— O zawsze, Najjaśniejszy Panie.

— Że nie będziesz miała w sobie tego okrucieństwa, co mię dręczy, tej zmienności, co mię o śmierć przyprawia.

— Nie, nie, nie.

— A więc uważaj. Lubię przyrzeczeniom nadać formę przysięgi, to jest oddać chcę wszystko to, co me serce oddaje pod Boską opiekę. Przyrzecz mi więc, albo raczej przysięgnij mi, że jeżeli w tem życiu, które rozpoczynamy, w życiu, pełnem tajemnic, ofiar, boleści, w życiu przeciwności i nieporozumień, przysięgnij mi, że, jeżeli się w czem pomylimy, jeśli się źle zrozumiemy, jeśli nawet uchybimy sobie lub zawinimy względem naszej miłości, przysięgnij mi, Ludwiko...

La Valliere zadrżała aż do głębi duszy, gdyż pierwszy raz usłyszała swoje imię, tak prosto wymówione przez swego ukoronowanego kochanka.

Ten zaś, zdjąwszy rękawiczkę, wyciągnął rękę, aż do karety.

— Przysięgnij mi — mówił dalej — że we wszystkich naszych sprzeczkach, zdala jedno od drugiego, nie przepędzimy dnia w takiem nieporozumieniu bez zobaczenia się, przynajmniej bez przesłania sobie pociechy i uspokojenia.

La Valliere schwyciła zimnemi rękami pałającą rękę króla i ściskała ją dotąd, aż koń, przestraszony bliskością koła karety, odskoczył i pozbawił ją tego szczęścia.

Przysięgła.

— Powracaj, Najjaśniejszy Panie, powracaj do królowej, bo przeczuwam burzę, która zagraża memu sercu.

Ludwik był posłuszny. Skłonił się pannie Montalais i popędził do karety królowych.

Przejeżdżając, widział śpiącego w powozie księcia.

Księżna nie spała i rzekła do przejeżdżającego króla:

— Co to za piękny koń, Najjaśniejszy Panie. Ale czy to nie gniadosz mego męża?...

Królowa zaś wyrzekła tylko:

— Czy ci już lepiej?... mój drogi, Najjaśniejszy Panie?...

CLXV

PROJEKTY.

Król, wróciwszy do Paryża, udał się na radę i pracował przez znaczną część dnia.

Młoda królowa, pozostawszy po pożegnaniu się z królem u królowej matki, zalała się łzami.

— O!... moja matko — rzekła — król mię już nie kocha. Cóż się ze mną stanie, o Boże!

— Mąż zawsze kocha taką żonę, jaką ty jesteś — odpowiedziała Anna Austrjacka.

— Może przyjść i ta chwila, moja matko, że będzie kochał inną kobietę — nie mnie.

— A cóż to znaczy, podług ciebie, kochać?...

— Jest to myśleć ciągle o kim i szukać zawsze tej osoby.

— A czy uważałaś — zapytała Anna Austrjacka — że król już tak postępuje.

— Nie — odrzekła młoda kobieta z pewnem wahaniem.

— Widzisz więc, Marjo!

— A jednak przyznasz, matko moja, że król mię zaniedbuje.

— Król, moja córko, musi myśleć o całem państwie.

— I dlatego właśnie nie należy już do mnie jednej. I dlatego, jak wiele innych królowych, będę opuszczoną, nawet wtenczas, kiedy miłość, zaszczyty i sława będą dla innych. O moja matko! król jest tak piękny, ile więc kobiet wyzna mu jeszcze, że go kocha, i ileż kochać go będzie.

— Rzadko się zdarza, aby kobiety kochały mężczyznę w królu. A gdyby nawet tak było, o czem wątpię, powinnaś życzyć sobie, Marjo, aby kobiety te prawdziwie kochały twego męża, bo miłość, pełna poświęceń ze strony kobiety... jest przyczyną prędszego zerwania miłości ze strony mężczyzny; a zresztą przez zbytek miłości kobieta traci władzę nad mężczyzną, od którego nie żąda ani władzy ani bogactw — tylko miłości. Po-

winnaś więc życzyć sobie, ażeby króla kochały jego kochanki, on zaś nie kochał żadnej.

— O! moja matko, jakże silnem jest uczucie głębokiej miłości.

— I mówisz, że jesteś opuszczoną?

— A! prawda, prawda!... Jest jednakże cierpienie, któremu oprzećbym się nie mogła.

— Jakie?

— Gdyby król kogoś sobie upodobał? gdyby dzieci miał z inną, o! gdybym, to zobaczyła, umarłabym niezawodnie.

— Marjo! Marjo!... — odpowiedziała królowa matka z uśmiechem, biorąc ją za rękę. — Pamiętaj słowa moje i niech one będą dla ciebie pociechą: Król nie może mieć Delfina bez ciebie, ty zaś możesz go mieć bez króla.

Przy tych słowach, którym towarzyszył znaczący wybuch śmiechu, królowa matka odwróciła się na przyjęcie księżny, którą paź w tej chwili oznajmił.

Księżna zaledwie zmieniła ubranie i przybywała z twarzą wzburzoną, zdradzającą, że ma jakiś plan, którego wykonanie zajmuje ją, a skutek niepokoi.

— Przyszłam zobaczyć — rzekła — czy Wasze Królewskie Moście nie są utrudzone naszą małą podróżą.

— Bynajmniej — odpowiedziała królowa matka.

— Cokolwiek — rzekła Marja Teresa.

— Ja zaś, moje panie, najwięcej ucierpiałam, a to z powodu obawy...

— Jakiej obawy?... — spytała Anna Austrjacka.

— Że król się konną jazdą zanadto zmęczył.

— Konna jazda właśnie bardzo służy królowi.

— Ja przecież sama mu ją poradziłam — rzekła Marja Teresa, blednąc.

Księżna nic na to nie odpowiedziała, lecz uśmiech, jej tylko właściwy, przebiegł po ustach, nie zmieniając rysów twarzy; a potem przechodząc do innego przedmiotu, rzekła:

— Zastaliśmy Paryż takim, jakim go zostawiliśmy; zawsze są w nim intrygi, zmowy, miłostki.

— Intrygi? Jakie intrygi?... — zapytała królowa matka.

— Mówią tu dużo o panu Fouquet i o pani Plessis Belliere.

— A to będzie już tysiączna z kolei — odpowiedziała królowa matka. — Ale jakież tam znowu są knowania?

— Będziemy mieli, jak się zdaje, coś do czynienia z Holandją.

— Jakto?

— Książę opowiadał mi zdarzenie z medalami.

— A!... — rzekła młoda królowa — te medale wybite w Holandji, gdzie widać chmurę, zasłaniającą słońce królewskie. Ale się pani mylisz, nazywając to knowaniem; to tylko brudy.

— I tak godne pogardy, że nie zwrócą nawet uwagi króla — odpowiedziała królowa matka.

— Ale cóż to mówiłaś o miłostkach? Czy nie masz czasem na myśli pani d'Olonne?

— Nie, nie, poszukam trochę bliżej nas.

— Casa de usted (w naszym domu)?... — szepnęła królowa matka do ucha synowej.

Księżna nie słyszała tego i mówiła dalej:

— Wiecie, panie, okropną nowinę?

— O tak! ta rana pana de Guiche.

— I panie, zapewne, jak wszyscy, przypisujecie to przypadkowi na polowaniu?

— Ależ tak — odrzekły obie królowe.

Lecz tym razem ciekawość ich była podniecona.

Księżna zbliżyła się.

— Był to pojedynek — rzekła zcicha.

— A!... — odezwała się surowym głosem Anna Austrjacka, w której uszach bardzo niemile brzmiał wyraz pojedynek, zakazany we Francji od czasu jej panowania.

— Okropny pojedynek , w którym książę o mało nie stracił dwóch najlepszych przyjaciół, a król najwierniejszych sług.

— I o cóż był ten pojedynek?... — spytała młoda królowa, ożywiona tajemnem przeczuciem.

— O miłostki — odpowiedziała z przekąsem księżna — panowie ci rozprawiali o cnocie pewnej damy. Jeden dowodził, że Pallas była niczem w porównaniu z nią. Drugi utrzymywał, że ta pani naśladuje Wenus, podniecającą Marsa. I na honor, ci panowie tak walczyli, jak Hektor i Achilles.

— Wenus, podniecająca Marsa — pomyślała młoda królowa, nie śmiąc zgłębić tej przenośni.

— Któż to jest ta dama?... — spytała bez ogródki Anna Austrjacka. — Zdaje mi się, że mówiłaś, iż to jedna z dam honorowych.

— Czyż to powiedziałam?... — zapytała księżna.

— Tak! zdaje mi się nawet że wymieniłaś jej nazwisko!

— Wiecie, panie, że kobieta tego rodzaju niebezpieczną jest na dworze królewskim.

— To panna La Valliere!... — rzekła królowa matka.

— Mój Boże tak! ta brzydka mała.

— Zdaje mi się, że ona jest zaręczona z pewnym szlachcicem, ale ani z panem de Guiche, ani z panem de Wardes.

— Być może, pani.

Młoda królowa wzięła coś do haftowania z udanym spokojem, któremu drżenie rąk przeczyło.

— Co mówiłaś o Wenerze i Marsie?... — spytała królowa matka — czyż tu jest jaki Mars?

— Ona się tem chlubi.

— Mówisz, że się tem chlubi?

— Tak, i to właśnie było powodem pojedynku.

— I pan de Guiche zapewne trzymał stronę Marsa?

— Naturalnie, jako wierny sługa.

— Jakto wierny sługa? — rzekła młoda królowa, zapominając się, czyim de Guiche jest sługą.

— Mars — odpowiedziała księżna — nie mógł być broniony tylko kosztem tej Wenery, pan de Guiche więc obstawał przy zupełnej niewinności Marsa, zapewne utrzymywał, że Wenus tylko się przechwala.

— A pan de Wardes — rzekła spokojnie królowa — utrzymywał zapewne, że Wenus ma słuszność.

— O, panie de Wardes!... — pomyślała księżna — drogo przypłacisz ranę, którąś zadał najszlachetniejszemu człowiekowi.

I tu zaczęła wymyślać na pana de Wardes z taką zawziętością, że płaciła w części tym sposobem dług za rannego i za siebie, w przekonaniu, że przygotowuje upadek swego nieprzyjaciela.

I tyle na niego nagadała, że gdyby Manicamp tu się znajdował, niezawodnie żałowałby usługi, jaką wyświadczył swemu przyjacielowi, gdyż ta sprowadzała niechybny upadek tego nieszczęśliwego nieprzyjaciela.

— I tego złego przyczyną — rzekła Anna Austrjacka — jest La Valliere!

Młoda królowa zajęła się znowu robotą, z zupełną obojętnością.

Księżna słuchała.

— Wszak takie pani zdanie — rzekła do niej Anna Austrjacka — czyż nie przypisujesz jej powodu do tej sprzeczki i pojedynku?

Księżna odpowiedziała poruszeniem, ani twierdzącem, ani przeczącem.

— Nie mogę pojąć tego, co mi mówiłaś o niebezpieczeństwach zalotności — rzekła Anna Austrjacka.

— Bo też jest tak niezawodnie — pośpieszyła odpowiedzieć księżna — że, gdyby ta młoda osoba nie była zalotną, Mars nie byłby się nią zajął.

Wyraz Mars sprowadził nieznaczny rumieniec na twarz młodej królowej.

Pomimo to jednakże nie zaniechała rozpoczętej roboty.

— Nie chcę, aby na moim dworze uzbrajano w ten sposób jednych ludzi przeciw drugim — rzekła powolnie Anna Austrjacka. — Obyczaje te były może wtenczas dobre, kiedy szlachta rozdzielona, nie miała innego celu gromadzenia się prócz zalotności kobiet. Wówczas kobiety panując same, miały niejako przywilej podtrzymywania odwagi szlachty, wystawiając ją na częste próby. Ale, dziś chwała Bogu, jest tylko jeden pan we Francji. I dlatego do niego należą tylko ich siły i ich myśli. Nie ścierpię więc, aby w ten sposób zmarnowano choć jednego ze sług mojego syna.

I, zwróciwszy się do młodej królowej zapytała:

— Co zrobić z tą La Valliere?

— La Valliere — rzekła młoda królowa, udając zdziwioną. — Nie znam tego nazwiska.

I odpowiedzi tej towarzyszył uśmiech zimny, właściwy tylko ustom panujących.

Księżna była sama wielką księżniczką, wielką z umysłu, urodzenia i dumy, jednakże ciężar tej odpowiedzi zgnębił i ją: musiała chwilę zaczekać, nim przyszła do siebie.

— Jest to jedna z moich dam honorowych — odpowiedziała z głębokiem ukłonem.

— W takim razie — odpowiedziała Marja Teresa tym samym tonem — to twoja, a nie nasza sprawa, moja siostro.

— Za pozwoleniem — rzekła Anna Austrjacka — to moja sprawa. I pojmuję bardzo dobrze — rzekła, rzucając wzrokiem porozumienia na księżnę — pojmuję, dlaczegoś mi pani o tem powiedziała.

— Wszystko, co pani czyni — wyrzekła księżniczka angielska — wychodzi jakby z ust bogini mądrości.

— Mnie się zdaje — odezwała się ze słodyczą Marja Teresa — że najlepiej tę pannę odesłać do domu i dać jej pewną pensję.

— Z mojej kasy może!... — odrzekła żywo księżna.

— Nie, nie pani — przerwała Anna Austrjacka — nie trzeba tego rozgłaszać; król właśnie lubi, aby źle mówiono o kobietach. Trzeba ta załatwić pocichu. Pani będziesz łaskawą przysłać do mnie tą dziewczynę. Ty zaś, moja córko, będziesz tak dobrą i pójdziesz na chwilę do siebie.

Prośby starej królowej były rozkazami.

Marja wyszła do swoich pokoi, a księżna rozkazała paziowi przywołać La Valliere.

CLXVI

PIERWSZA SPRZECZKA.

La Valliere weszła do królowej matki, nie wiedząc wcale, jaki przeciw niej uknuto spisek. Mniemała, że służba jej tego wymaga, a w podobnych razach królowa matka zawsze była dla niej uprzejmą.

Nie zależąc wreszcie bezpośrednio od królowej matki pełniła jej polecenia, powodowana tylko grzecznością, a wysoki stopień łaskawości dodawał jej bodźca, tak, że czyniła to z największą uprzejmością.

Postąpiła więc ku królowej z tym słodkim uśmiechem, który stanowił główny jej wdzięk.

A że nie przystąpiła dość blisko, Anna Austrjacka przywołała ją znakiem, aż do swego krzesła.

Wówczas księżna weszła z twarzą zupełnie spokojną, i wzięła robotę, rozpoczętą przez Marję Teresę.

La Valliere, zamiast rozkazu, którego oczekiwała, widziała te przygotowania, i patrzała ciekawie, a może i z bojaźnią na twarze obu księżn.

Anna rozważała.

Księżna udawała obojętność, jakaby przestraszyć mogła nawet mniej bojaźliwych.

— Panno — wyrzekła królowa matka, zapominając złagodzić akcent hiszpański (co zwykle czyniła, kiedy nie była w gniewie) — zbliż się tutaj, abyśmy o tobie pomówiły, skoro wszyscy gadają.

— O mnie! — krzyknęła La Valliere, blednąc.

— Tak, udawaj, że nie wiesz o niczem, a czy wiesz o pojedynku między panami de Guiche i de Wardes?

— Mój Boże!... pani, wczoraj pogłoska ta doszła do mnie — odpowiedziała La Valliere, składając ręce.

— Czyś nie przeczuwała tej pogłoski naprzód?

— Ale dlaczegóżbym miała przeczuwać?

— Ponieważ ludzie nigdy się nie biją bez przyczyny, a panna powinnaś znać przyczynę nieporozumienia tych panów.

— Nie wiem o niej wcale.

— Jest to sposób obrony, cokolwiek oklepany, takie uparte zaprzeczanie, a ty, co masz tyle dowcipu, moja panno, powinnas unikać tego sposobu.

— Ależ, mój Boże!... — Wasza Królewska Mość przestrasza mię tą oziębłością?... Miałażbym nieszczęście popaść w niełaskę?

Księżna roześmiała się. La Valliere spojrzała na nią z osłupieniem. Anna odpowiedziała:

— Moją niełaskę!... Popaść w moją niełaskę!... ależ nie myślisz o tem, co mówisz, moja panno La Valliere; czyżbym potrzebowała jeszcze myśleć o tych, którzy popadają w moją niełaskę. Ależ ja myślę o pannie tylko dlatego, że o niej trochę za dużo mówią, a nie lubię, żeby mówiono o pannach mojego dworu.

— Wasza Królewska Mość robi mi zaszczyt, mówiąc o tem — odpowiedziała La Valliere przestraszona — ale nie pojmuję, coby mogli o mnie mówić.

— A więc ja ci powiem. Pan de Guiche ujął się za ciebie.

— Za mnie?

— Tak, za ciebie. Jest to człowiek rycerski, a piękne awanturnice lubią, kiedy się młodzież bierze do oręża za nie. Ja nie cierpię pojedynku, a zatem i podobnych zdarzeń i... zapamiętaj to dla siebie.

La Valliere upadła na kolana przed królową, a gdy ta odwróciła się do niej tyłem, wyciągnęła błagalnie ręce do księżny, ale i ta tylko naigrawała się z niej. Uczucie dumy oburzyło ją.

— Pani!... — rzekła — pytałam, jaką jest moja zbrodnia, Wasza Królewska Mość winnaś mi to była powiedzieć, a uważam, że Wasza Królewska Mość mnie potępiłaś, nim pozwoliłaś mi się usprawiedliwić.

— A!... — krzyknęła Anna Austrjacka. — Patrzcież, co za piękne wyrazy, co za piękne uczucia; a to jakaś księżniczka ta dziewczyna, to studnia czułości romantycznej. Widać dobrze, moja ty piękna, że kształcimy nasz umysł w salonach królewskich.

La Valliere, dotknięta do żywego, już nie zbladła, ale zbielała i siły ją opuściły.

— Chciałam ci powiedzieć — przerwała dumnie królowa — że, jeżeli będziesz dobrze podniecać podobne uczucia, poniżysz nas, nas, kobiety, tak dalece, że wstydzić się będziemy stanąć na równi z tobą. Pozostań w swoich granicach, moja panno. Ale powiadano mi nadto, że jesteś podobno zaręczoną?

Serce La Valliere rozdarło nowe cierpienie.

— Odpowiedz że, skoro do ciebie mówią?

— Tak, pani.

— Zaręczona jesteś z jakimś szlachcicem?

— Tak, pani.

— Jak się on nazywa?

— Wicehrabia de Bragellone.

— A wiesz, moja panno, że to bardzo pomyślny los dla ciebie, dla ciebie, bez znaczenia majątku, i niezbyt pięknej: powinnać dziękować niebu, że ci taki los zsyła.

La Valliere nic nie odpowiedziała.

— A gdzież jest teraz wicehrabia de Bragellone?... — pytała dalej królowa.

— W Anglji — rzekła księżna — dokąd odgłos powodzenia tej panny dojdzie go niezawodnie.

— O nieba... — szepnęła La Valliere, prawie nieprzytomna.

— A więc, moja panno — rzekła Anna Austrjacka — każemy powrócić temu chłopcu, i pojedziecie potem oboje dokądkolwiek. Jeżeli zaś jesteś innego zdania, bo dziewczęta czasem mają dziwaczne przywidzenia, zdaj się na mnie, ja ciebie zwrócę na dobrą drogę, już ja to zrobiłam dla niejednej, która więcej wszakże była wartą od ciebie.

La Valliere nic już nie słyszała.

Królowa mówiła dalej bez litości:

— Odeślę cię w takie miejsce, gdzie będziesz miała czas dojrzale rozważać. Rozwaga uspokaja krew burzliwą i trawi wszystkie złudzenia młodości. Spodziewam się, żeś mnie zrozumiała.

— Pani, pani!...

— Ani słowa.

— Pani!... jestem niewinną tego wszystkiego, co sobie Najjaśniejsza Pani wyobraża. Patrz pani na moją rozpacz. Ja tak poważam, tak kocham Waszą Królewską Mość.

— Byłoby może lepiej, gdybyś mnie nie poważała — odrzekła królowa z uśmiechem zimnego naigrawania — myślisz może, że byłabym zadowoloną, gdybyś popełniła jaki błąd?

— A, pani mnie zabijasz!

— O!... bez tych wykrzykników, bardzo proszę, bo inaczej, prędko skończę to wszystko. Wróć do siebie i korzystaj z mojej przestrogi.

— Pani — rzekła La Valliere do księżny Orleańskiej, ująwszy ją za rękę. — Proś za mną, wszakże jesteś pani tak dobrą?

— Ja — odpowiedziała księżna z uwłaczającą radością — ja dobrą? A, moja panno, ty sama w to nie wierzysz.

I z gniewem odepchnęła rękę młodej dziewczyny.

Ta, zamiast upaść pod ciężarem obelg, jak się tego obie księżne po jej bladości i łzach spodziewały, przybrała w jednej chwili wyraz spokoju i godności i wyszła, żegnając głębokim ukłonem królowę.

— I cóż — rzekła Anna Austrjacka — myślisz, że zacznie na nowo?

— Nie ufam tym słodkim i cierpliwym charakterom. Nic bowiem niema odważniejszego nad serce cierpliwe, nic bardziej pewnego siebie nad umysł łagodny.

— Ja ci ręczę, że dobrze pierwej pomyśli, nim spojrzy na Marsa.

— Byle tylko nie użyła jego tarczy — odpowiedziała księżna. Dumne spojrzenie królowej-matki było odpowiedzią na tę uwagę, której wszakże nie brakło dowcipu, i obie damy, prawie pewne zwycięstwa, wyszły, aby połączyć się z Marją Teresą, która, oczekując na nie, ukrywała, o ile mogła, niecierpliwość.

Było już wpół do szóstej wieczorem i król zjadł już podwieczórek, a nie tracąc czasu po skończonej uczcie i naradach, wziął pod rękę Saint-Agnana i kazał się zaprowadzić do panny La Valliere.

Dworak opierał się temu.

— No i cóż — rzekł król — trzeba się do tego przyzwyczaić, ażeby zaś to weszło w zwyczaj trzeba przecież zacząć.

— Ależ, Najjaśniejszy Panie, tutaj pokoje panien są jak latarnie, wszyscy widzą tam wchodzących i wychodzących. Mnie się zdaje, że należałoby wynaleźć jaki pozór... ot ten naprzykład...

— Jaki?

— Gdyby Wasza Królewska Mość chciał zaczekać, aż księżna wróci do siebie.

— Nie chcę pozorów!... Nie chcę oczekiwania!... Dość już tych osłonek, dość tych tajemnic. Nie rozumiem, czem król Francji może sobie uchybić, że lubi towarzystwo dowcipnej panienki. Honny soit qui mal y pense!

— Najjaśniejszy Panie!... przebacz zbytek życzliwości...

— Mów.

— A królowa?

— To prawda!... tak, to prawda. Chcę, ażeby królowe były zawsze poważane. A więc dziś wieczorem pójdę jeszcze do panny La Valliere, ale jutro zgadzam się na wszelkie pozory jakie sam zechcesz. Jutro pomyślimy o tem, dziś nie mam czasu.

Saint-Agnan nic nie odpowiedział, zeszedł ze schodów przed królem i przeszedł przez dziedziniec z uczuciem wstydu, którego nawet nie zmniejszyła wysoka łaska, jaką było towarzyszenie królowi.

Nieszczęśliwy Saint-Agnan, który takim był protektorem La Valliere pod cieniem drzew zwierzyńca w Fontainebleau, teraz w oczach świata nie miał do tego odwagi, wynajdywał w dziewczęciu tysiączne błędy i chciał o nich przekonać króla.

Przecież skończyło się jego udręczenie.

Przeszli dziedziniec, a ani jedna firanka nie podniosła się, ani jedno okno nie otworzyło się.

Król szedł prędko, z powodu niecierpliwości, powtóre z powodu długich nóg Saint-Agnana, który go poprzedzał.

Przy drzwiach Saint-Agnan chciał zemknąć, ale król go zatrzymał.

Była to skrupulatność, bez której dworak mógłby się był obejść, musiał więc iść za królem do La Valliere.

Gdy król przybył, La Valliere właśnie ocierała łzy, a czyniła to tak nieostrożnie, że król spostrzegł.

Spytał ją o przyczynę łez, jak troskliwy kochanek.

— Nic mi nie jest, Najjaśniejszy Panie.

— Ależ przecie płakałaś?

— O nie, Najjaśniejszy Panie!

— Patrz Saint-Agnan, czyż ja się mylę?

Saint-Agnan powinien był odpowiedzieć, ale bardzo był tem zakłopotany.

— I oczy masz czerwone — rzekł król.

— To od kurzu w podróży, Najjaśniejszy Panie.

— Ale nie, nie. Nie masz nawet tej uprzejmości, jaka cię czyni tak piękną i pociągającą. Nie patrzysz nawet na mnie.

— Najjaśniejszy Panie?

— Co mówię!... unikasz nawet mego spojrzenia.

Istotnie odwróciła się.

— Ależ, na imię nieba, co to jest?... — zapytał Ludwik, a krew w nim już się burzyła.

— Nic a nic, Najjaśniejszy Panie. Jestem gotowa dowieść ci, Najjaśniejszy Panie, że umysł mój jest tak daleki od trosk, jak tego tylko można pragnąć.

— Ależ, ja widzę wprost przeciwnie. Czy ciebie czem dotknięto, obrażono?

— Nie, nie, Najjaśniejszy Panie!

— Trzeba mi powiedzieć, kto obraził — rzekł młody król z iskrzącem okiem.

— Ależ nikt, Najjaśniejszy Panie, nikt mię nie obraził.

— A więc, wróć do tej smętnej wesołości, albo do tego rozkosznego zadumania, które tak uwielbiałem tego poranku, no, bądź tak dobrą.

— Dobrze, Najjaśniejszy Panie.

Król tupnął nogą.

— Nie, to nie do wytłumaczenia.

I spojrzał na Saint-Agnana, który również spostrzegł ponurą oziębłość La Valliere i niecierpliwość króla.

Chociaż król prosił i tysiącznych dowcipnych używał sposobów, ażeby zmienić to smutne usposobienie, nic nie pomogło.

Młoda dziewczyna była zgnębiona, nawet widok śmierci nie byłby jej obudził z tego odrętwienia.

Król widząc w tem jakąś niemiłą tajemnicę, oglądał się wokoło z miną podejrzliwą.

A właśnie w pokoju La Valliere była miniatura Atosa.

Król spostrzegł ją, a była bardzo podobną do Bragellona, gdyż pochodziła z czasów młodości hrabiego.

Wlepił w nią wzrok groźny.

La Valliere w stanie przygnębienia, w jakim była, nie pamiętała o niej, nie mogła więc zgadnąć, co tak zajmuje króla.

Królowi stanęły w myśli okrutne dla niego wspomnienia, które jednak zawsze oddalał od siebie.

Przypomniał sobie zażyłość dwojga młodych ludzi od dzieciństwa, a następnie zaręczyny.

Przypomniał sobie, że Atos prosił o rękę La Valliere dla Raoula, i wystawił sobie, że La Valliere, wróciwszy do Paryża, odebrała może jakie wiadomości z Londynu, a te nowiny zniszczyły wpływ, jaki miał nad nią.

I zazdrość osiadła mu w sercu.

Wypytywał na nowo z goryczą.

La Valliere nie mogła mu odpowiedzieć, gdyż musiałaby oskarżyć królowę-matkę i księżnę.

Byłaby to walka otwarta między nią i dwoma możnemi księżnemi.

Zdawało się jej, że król jednak łatwo może czytać w jej sercu, pomimo tej zasłony milczenia.

Że jeżeli ją kocha prawdziwie, powinienby wszystko zrozumieć i wszystko odgadnąć.

Czemże jest współczucie, jeżeli nie boskim płomieniem, który powinienby oświecić serce i zastąpić słowa prawdziwie zakochanych; milczała więc, wzdychając, płacząc i ukrywając twarz w dłonie.

Te westchnienia, ten płacz, najprzód rozczuliły Ludwika XIV-go, potem przestraszyły, wkońcu rozgniewały.

Nie mógł znieść oporu, nawet oporu w postaci westchnień i łez.

Cała jego mowa stała się cierpką, a nawet obrażającą.

Było to nowe cierpienie, dodane do cierpień poprzednich La Valliere.

La Valliere nie starała się nawet bronić, znosiła te wyrzuty i odpowiadała na nie tylko poruszeniem głowy, nie wymawiając innych słów nad te dwa, które wydzierały się z serca, głęboko zranionego:

— Mój Boże, mój Boże!

Lecz one, zamiast rozbroić gniew króla, jeszcze go powiększały.

Król uważał to za wezwanie siły wyższej dla obrony La Valliere przeciw niemu.

Saint-Agnan zaś na odwoływania się doń króla odpowiadał tylko słowami, wymawianemi półgłosem.

Postąpił trzy kroki naprzód, ażeby już wyjść, lecz wrócił.

Biedna dziewczyna nie podniosła nawet głowy, chociaż odgłos kroków oznajmiał jej, że ją opuszcza kochanek.

Zatrzymał się chwilę przed nią z założonemi rękami.

— Po raz ostatni, moja panno!... — rzekł — czy chcesz wskazać mi przyczynę tej zmiany, czy tego kaprysu?

— Cóż ja mam powiedzieć?... mój Boże — rzekła La Valliere — widzisz dobrze, Najjaśniejszy Panie, że jestem tak przygnębiona boleścią, widzisz dobrze, że nie mam ani woli, ani myśli, ani słów!...

— Czyż to tak trudno powiedzieć prawdę?... Mniej na to potrzeba słów, niżeli te, które dotąd wyrzekłaś.

— Ale jaką prawdę?... o czem?...

— O wszystkiem.

I rzeczywiście prawda popłynęła z serca do ust La Valliere.

Ręce uczyniły poruszenie, lecz usta pozostały nieme i ręce opadły.

Biedne dziecię nie było jeszcze dość nieszczęśliwe, aby ośmielić się i odsłonić prawdę.

— O niczem nie wiem — bąknęła.

— O!... to więcej, niż zalotność — krzyknął król — więcej, niż urojenie, to zdrada.

I tym razem, jakby go już nic nie zatrzymywało, rzucił się ku drzwiom i wybiegł z pokoju pełen rozpaczy.

Saint-Agnan wyszedł za nim bardzo z tego zadowolony.

Ludwik XIV-ty nie zatrzymał się, aż na schodach, a oparłszy się na poręczy, rzekł:

— Widzisz!... jakem był niegodnie zwodzony?...

— Jakto?... Najjaśniejszy Panie, — zapytał ulubieniec.

— Guiche bił się za wicehrabiego de Bragellone. A ten Bragellone...

— Cóż?...

— A cóż?... ona go zawsze kocha!... Doprawdy, umrę ze wstydu, jeżeli za trzy dni, choć ślad w sercu mojem pozostanie z tej miłości.

— Ja to mówiłem Waszej Królewskiej Mości — rzekł zcicha Saint-Agnan, idąc za królem i oglądając się bojaźliwie na wszystkie okna.

Nieszczęściem, teraz nie poszło tak pomyślnie, przy powrocie, jak poprzednio.

Jedna firanka się podniosła, a za tą firanką była księżna.

Księżna widziała króla, wychodzącego od panien honorowych.

I skoro tylko król przeszedł, poskoczyła na schody, prowadzące do pokoju, z którego król wyszedł.

CLXVII

ROZPACZ.

Po wyjściu króla, La Valliere powstała, wyciągnąwszy ręce, jakby chciała biedz za nim albo go zatrzymać; potem, kiedy odgłos kroków jego zamilkł w oddaleniu, opuściły ją siły i upadła na kolana przed krzyżem.

Złamana, zgnębiona, pogrążona w swej boleści, nie mogąc o niczem myśleć, oprócz o swojem cierpieniu, klęczała ze złożonemi rękami.

Wtem usłyszała otwierające się drzwi i obróciła się, mniemając, że to król powraca.

Ale omyliła się, była to bowiem księżna.

Cóż ją obchodziła księżna?...

Ale księżna była wzruszona, rozgniewana.

— Mościa panno — wyrzekła, zatrzymując się przed La Valliere — przyznaję, że to bardzo pięknie klęczeć, modlić się i u-

dawać pobożną, ale, chociaż tak oddaną jesteś królowi nieba, wypada abyś choć cokolwiek wypełniała i wolę książąt tej ziemi.

La Valliere podniosła głowę, na znak uszanowania.

— Niedawno, pannie — mówiła księżna — dano, o ile mi się zdaje, przestrogę?

Oczy błędne La Valliere świadczyły, iż nie rozumie, co do niej mówi księżna.

— Królowa ci rozkazała, — ciągnęła dalej księżna — aby postępowanie twoje nie zasługiwało na pogłoski, jakie o tobie krążą.

Wzrok La Valliere stał się pytającym.

— Pomimo to ktoś wyszedł od ciebie, a obecność jego jest niezaprzeczonem przeciw tobie oskarżeniem.

La Valliere milczała.

— Nie chcę — mówiła księżna — aby dom mój, który jest domem pierwszej księżniczki krwi, dawał zły przykład dworowi, a ty, abyś była tego przyczyną. Oświadczam ci więc, moja panno, bez świadków, bo nie chcę cię poniżać, że od tej chwili jesteś wolną i możesz się udać do swej matki w Blois.

La Valliere nie mogła już być więcej poniżoną, niż teraz.

Nie mogła więcej cierpieć, niż cierpiała.

Postawa jej nie zmieniła się, ręce miała złożone, jak przedtem.

— Słyszałaś? — rzekła księżna.

Ogólne wstrząśnienie całego ciała było odpowiedzią La Valliere.

A ponieważ ofiara nie dawała innego znaku życia, księżna wyszła.

Wtenczas La Valliere w sercu, prawie nie bijącem, i w żyłach, w których krew prawie ścięła się, uczuła mocne uderzenie.

Uderzenia te powiększone sprawiły zawrót głowy, z czego wywiązana gorączka przedstawiła jej umysłowi przyjaciół i nieprzyjaciół, walczących z sobą.

Pomimo szumu w uszach, słyszała naraz i słowa pogróżek i słowa miłości; zdawało jej się, że nie jest sama sobą, że porwana jest na skrzydłach burzy, a uniesiona zawrotem głowy, i jakby widziała podnoszące się kamienie grobowe, które jej odsłoniły wczesną noc i zapomnienie.

Lecz bolesne uczucie to ustąpiło wkrótce miejsca rezygnacji. Promień nadziei wcisnął się do serca, jak promień światła do więzienia. Myślą przeniosła się na drogę do Fontainebleau, widziała tam króla, jadącego konno przy jej karecie, mówiącego, że ją kocha i odbierającego podobnąż odpowiedź, przysięgającego i odbierającego przysięgę, że po każdej sprzeczce, nim wieczór upłynie, będzie miała jakiś znak, list lub odwiedziny, zapowiadające spokojną noc po burzliwym wieczorze.

Król sam podał ten projekt; król żądał zaprzysiężenia go i sam przysiągł.

Było więc niepodobieństwem, aby sam niedotrzymał pierwszy tego, czego tak usilnie wymagał, jeżeli nie był despotą, nakazującym miłość, tak, jak posłuszeństwo, jeżeli nie był obojętnym lub szukającym najmniejszej przyczyny, aby otrząsnąć się z niemiłych stosunków.

Król ten, tak miły opiekun, który jednem słowem mógł usunąć jej cierpienia, król połączył się teraz z jej prześladowcami.

O! gniew jego nie mógł trwać długo! teraz, kiedy był sam, powinien był cierpieć to, co ona cierpiała.

Ale on! on nie był tak związany jak ona, on mógł działać, ona zaś tylko czekać.

Czekała też biedna, zdawało jej się, że niepodobieństwem było, aby król nie przyszedł.

Zegar wskazywał wpół do jedenastej.

Król powinien był albo przyjść, albo napisać, albo przysłać słowo pociechy przez pana de Saint-Agnan.

Gdyby przyszedł, pobiegłaby naprzeciw niemu, a usuwając na stronę względy, które teraz uważała za zbyteczne powiedziałaby mu:

— To nie ja ciebie nie kocham, ale to one, bo nie chcą, żebym ciebie kochała.

I tak rozmyślając, uważała Ludwika za daleko mniej winnego.

Bo też prawdziwie nie wiedział on o niczem.

A co mógł pomyśleć o tym uporze niewyznania tajemnicy?

Niercierpliwy, drażliwy, jak mógł zachować zimną krew?

O! ona pewnoby tak nie postąpiła, ona wszystkoby odgadła i zrozumiała.

Ale była tylko ubogą dziewczyną, a nie wielką królową.

O! gdyby przyszedł, chętnieby przebaczyła cierpienie, jakie jej zadał, i kochałaby go dla tychże cierpień jeszcze mocniej.

I z głową, naprzód wyciągniętą, z ustami wpół otwartemi, oczekiwała.

Jeżeli król nie przyjdzie, to przynajmniej napisze; było to drugie, lubo mniej miłe prawdopodobieństwo, mniej uszczęśliwiające, niż pierwsze; wszakże mogłoby być dowodem miłości, choć miłości bojaźliwej.

O! jakżeby ciekawie czytała ten list, jakżeby się spieszyła z odpisaniem, a jakżeby po odesłaniu odpowiedzi odczytywała, przyciskała do serca raz jeszcze list ten, przywracający jej spokój i szczęście.

Wreszcie, gdyby król nie przyszedł i nie pisał, przysłałby przynajmniej Saint-Agnan'a, albo gdyby tenże przyszedł sam od siebie, opowiedziałaby przecie wszystko; majestat królewski nie wstrzymywałby wyrazów, a wówczas wątpliwość znikłaby z serca królewskiego.

Wszystko więc, serce i wzrok, ciało i dusza biednej La Valliere, przeszły w oczekiwanie.

Postanowiła sobie jeszcze godzinę czekać, sądząc, że do północy król może przyjść, napisać lub przysłać.

Najmniejszy ruch w pałacu czynił jej nadzieję, każdy przechodzący przez dziedziniec wydawał się jej posłańcem królewskim, do niej spieszącym.

Wybiła jedenasta, potem kwadrans, potem wpół do dwunastej.

Minuty, wlokąc się powoli w oczekiwaniu, biegły jeszcze dla niej za prędko. Trzy kwadranse uderzyło.

Północ!... północ!... ostatnia nadzieja nadeszła. Z ostatniem uderzeniem zegara, ostatnie zgasło światło w pałacu, i ostatnia w jej sercu nadzieja.

Tak więc król pierwszy nie dotrzymał przysięgi, wykonanej tego poranku.

Dwanaście tylko godzin upłynęło od przysięgi do czasu jej złamania!...

Niedługo trwało złudzenie!...

A więc król nietylko nie kochał, ale i pogardzał tą, którą wszyscy winili, a pogardzał do tego stopnia, że dozwolił ją haniebnie wygnać z pałacu.

A jednakże któż, jeżeli nie on, jeżeli nie król był powodem tej hańby?!...

Uśmiech goryczy był całą oznaką gniewu, który w tej długiej walce pokazał się na anielskich ustach dziewicy.

Po królu cóż jej zostawało na świecie?...

Nic.

Tylko Bóg w niebie.

Pomyślała o Bogu.

— Mój Boże!... — rzekła — wskazałeś mi, co mam czynić, od ciebie więc oczekuję wszystkiego.

I spojrzała na krzyż, który ucałowała z pobożną religijnością.

— Oto jest pan!... — rzekła — który nigdy nie zapomina i nie opuszcza tych, co go nie opuszczają i nie zapominają. Jemu więc trzeba się poświęcić.

Gdyby ją kto był teraz widział, dojrzałby z jej oczu, że biedna znękana ułożyła plan, do jakiego tylko jej umysł był zdolny.

Plan poświęcenia się Bogu.

Potem, nie mogąc się utrzymać na nogach, padła na kolana, z głową, opartą o drzewo krzyża, okiem natężonem, oddechem przyspieszonym, oczekując jutrzenki.

Zrana, godzina druga, zastała ją w tem samem obłąkaniu, a raczej uniesieniu.

Już nie należała do siebie.

Skoro tylko ujrzała różowe światło poranku, odbijające się na dachach i niepewne na ścianie wyobrażenie krzyża, który objęła rękami, powstała z mocą, ucałowała nogi Boga męczennika i zeszła ze schodów, okrywszy się płaszczykiem.

Przybyła do kraty zamkowej właśnie wtenczas, kiedy patrol otwierał ją dla wpuszczenia warty Szwajcarów, a przesunąwszy się poza żołnierzami, wypadła na ulicę, gdy dozorca jeszcze rozmyślał, coby to za kobieta wymykała się tak rano z zamku.

CLXVIII

UCIECZKA.

La Valliere wyszła za patrolem.

Patrol udał się na prawo przez ulicę św. Honorego; La Valliere poszła na lewo.

Zamiar już był powzięty; chciała się udać do klasztoru Karmelitanek w Chaillot, którego przełożona słynęła z surowości, dreszczem przejmującej panie światowe.

La Valliere nie znała Paryża, nigdy po ulicach nie chodziła pieszo i z pewnością zabłądziłaby w spokojniejszym stanie umysłu.

Łatwo więc wytłumaczyć, dlaczego poszła w stronę wprost przeciwną.

Chciała tylko, coprędzej oddalić się z pałacu królewskiego i to też uczyniła.

Słyszała tylko, że Chaillot leży nad Sekwaną i ku niej też zmierzała, idąc przyspieszonym krokiem.

W innej porze dnia postać jej zwróciłaby uwagę najobojętniejszych, ściągnęłaby wzrok najmniej ciekawych.

Ale o wpół do trzeciej zrana, ulice Paryża są puste, z wyjątkiem tylko robotniczej klasy, lub próżniaków, wracających po bezsennej nocy z szynków do domu.

Dla pierwszych dzień się zaczynał, dla drugich zakończył.

La Valliere bała się wszystkich idących, nie umiejąc przez nieznajomość ludzi odróżnić w nich uczciwości od cynizmu.

Nędza dla niej była przestrachem i wszystkich spotykanych uważała za zbrodniarzy.

Ubiór jej choć skromny był jednak wyszukany; miała bowiem na sobie tą samą suknię, w której stawiła się przed królową matką; nadto bladość jej i piękne oczy przemawiały językiem, nieznanym dla tej klasy ludzi, bezwiednie budziły w jednych grubjaństwo, a w drugich litość.

La Valliere szła tak bez wytchnienia, aż do placu Greve, zatrzymując się tylko kiedy-niekiedy dla nabrania tchu, poczem biegła jeszcze prędzej.

Przybywszy na plac Greve, spotkała się z trzema ludźmi podpitymi, wysiadającymi z łodzi, przywiązanej do brzegu.

Łódka była napełniona baryłkami z winem, i widać było, że ci ludzie nieźle je napoczęli.

Śpiewali niezgodnymi głosami, a przychodząc do barjery, zasłaniającej brzeg rzeki, stali się zaporą dla dalszej La Valliere podróży.

La Valliere zatrzymała się.

Ci ze swej strony uczynili toż samo, a widząc kobietę, tak wytwornie ubraną, jednozgodnie prawie otoczyli ją, wzięli za ręce i jęli wyśpiewywać.

"Kiedy nudzisz się sama, chodźże bawić się z nami, itd."

La Valliere zrozumiała wówczas, że ludzie ci chcą ją zatrzymać, spróbowała się więc im wymknąć, lecz siły ją opuściły i krzyknęła przeraźliwie.

Ale w tejże chwili gromada, która ją otaczała, rozwarła się, jeden z napastników upadł na lewo, drugi na prawo, trzeci zachwiał się na nogach.

Oficer muszkieterów stanął przed nią, ze zmarszczonemi brwiami, groźbą na ustach i ręką, wzniesioną do wykonania tej groźby.

Pijacy, na widok munduru, a bardziej jeszcze przekonani dowodem siły tego, co go nosił, uciekli.

— A! miljon djabłów!... — rzekł oficer — wszak to panna La Valliere.

La Valliere, odurzona tem, co się stało, zmieszana wymienieniem swego nazwiska, podniosła oczy i poznała d'Artagnana.

— Tak, panie, to ja — i chwyciła go za rękę — Pan będziesz moim obrońcą, nieprawdaż, panie d'Artagnan — dodała błagalnym głosem.

— Niezawodnie, że będę pani bronił, ale mój Boże, dokąd pani idzie o tej godzinie.

— Idę do Chaillot.

— Idziesz pani do Chaillot tędy? ależ to zupełnie w innej stronie.

— O! to bądź pan tak dobry wskazać mi drogę i towarzyszyć mi choć kilka kroków.

— Bardzo chętnie.

— Ale jakże się to stało, że pana tu spotkałam? Jakimże cudem znalazłeś się tu pan na moją obronę? Zdaje mi się, doprawdy, że albo marzę, albo mi się zmysły pomieszały.

— Znalazłem się tu dlatego, że mam dom na placu Greve, oto ten, na którym jest figura Najświętszej Panny, i że, odbierając tam pieniądze od lokatorów, nocowałem w nim i dziś raniutko wyszedłem do pałacu, aby obejrzeć warty.

— Dziękuję — rzekła La Valliere.

— Otóż ja wiem, co ja tu robiłem — rzekł d'Artagnan do sie-

bie— ale co ona tu robiła i po co idzie do Chaillot o tej godzinie?

I podał jej rękę.

La Valliere szła prędko.

Jednakże pośpiech nie zdołał ukryć mocnego osłabienia, d'Artagnan spostrzegł to i radził spocząć; La Valliere odmówiła.

— Zapewne pani nie wiesz, gdzie jest Chaillot?

— Nie wiem.

— To bardzo daleko.

— Mniejsza o to.

— Przynajmniej mila.

— Pójdę i milę.

D'Artagnan nic nie odpowiedział.

Poznał z tych słów silne postanowienie: więcej prawie niósł, niż towarzyszył, La Valliere.

Nakoniec spostrzegli Chaillot.

— Do którego domu pani idzie?.... — spytał d'Artagnan.

— Do Karmelitanek, panie.

— Do Karmelitanek?... — powtórzył d'Artagnan zdziwiony.

—— Tak! a ponieważ Bóg zesłał mi pana na towarzysza podróży, przyjm moje podziękowanie i pożegnanie.

— Do Karmelitanek? pożegnanie? to chyba pani wstępujesz do klasztoru?... — zawołał d'Artagnan.

— Tak, panie.

— Pani!!!

Był w tym wyrazie "pani", do któregośmy dodali trzy wykrzykniki, aby go o ile można uczynić wyrazistym, był w nim cały poemat.

Przypomniał jej i miłość w Blois i nowsze wspomnienia z Fontainebleau.

Wyraz ten zdawał się oznaczać: pani co mogłaś być szczęśliwą z Raoulem, a możną z Ludwikiem, chcesz wstąpić do klasztoru?

— Tak, panie! poświęciłam się na służbę Boską i zrzekam się świata.

— Ale czy pewną pani jesteś swego powołania i czy nie mylnie tłumaczysz wolę Boską?

— Nie! skoro Bóg pozwolił, ażebym spotkała pana. Bez ciebie uległabym zmęczeniu, a ponieważ Bóg zesłał mi pana na mojej

drodze pokazuje się, że Jego jest wolą, abym dosięgła celu, jaki zamierzyłam.

— Tak!... — rzekł d'Artagnan, powątpiewając — ale wydaje mi się to zbyt wyszukane.

— Bądźcobądź — rzekła młoda dziewica — objaśniłam pana o mojem postanowieniu. Teraz mam tylko o jedną jeszcze łaskę prosić pana.

— O jakąż?

— Król nie wie o mojej ucieczce z pałacu królewskiego.

D'Artagnan uczynił poruszenie.

— Król — mówiła dalej La Valliere — nie wie o moich zamiarach.

— Król nie wie!... — krzyknął d'Artagnan. — Ależ pani! zastanów się nad następstwami twego kroku. Nikt z osób, należących do dworu, nie powinien nic podobnego przedsiębrać bez wiedzy królewskiej.

— Ja już do dworu nie należę.

D'Artagnan patrzył na młodą dziewczynę z wzrastającem zadziwieniem.

— O! bądź pan spokojny; wszystko było przewidziane, a choć by nie było, to już zapóźno zmienić moje postanowienie, gdyż już się to stało.

— A więc czegóż pani jeszcze żądasz?

— Panie, na litość jaka się należy nieszczęściu, na szlachetność twej duszy, na honor szlachcica, zaklinam cię, abyś mi uczynił przysięgę.

— Przysięgę?

— Tak!

— Jaką?

— Przysięgnij, panie d'Artagnan, że nie powiesz królowi, żeś mię widział i że jestem u Karmelitanek.

D'Artagnan pokiwał głową.

— Nie!... — rzekł — na to nie przysięgnę.

— A dlaczegóż?

— Bo znam króla, bo znam ciebie, pani, bo znam dobrze i siebie, bo znam ludzi. Nie, na to nie przysięgnę

— A więc — krzyknęła La Valliere z odwagą, do jakiej wydawała się niezdolną — jabym cię była błogosławiła do końca dni moich, a teraz bądź przeklęty, ponieważ przez to uczynisz mnie najnikczemniejszą ze wszystkich istot na świecie.

Powiedzieliśmy, że d'Artagnan znał się dobrze na wyrazach z serca pochodzących, nie mógł się więc tym oprzeć.

— Ha, niechże już tak będzie, skoro pani chcesz!... — odrzekł. — Bądź spokojną, nie powiem nic królowi.

— O dziękuję ci! dziękuję, panie — zawołała La Valliere — jesteś najszlachetniejszym z ludzi.

I w uniesieniu radości schwyciła rękę d'Artagnana i mocno ją ścisnęła.

D'Artagnan był rozrzewniony.

— Do djabła — rzekł do siebie — ona od tego zaczyna, na czem inne kończą, to bardzo rozczulające.

Wówczas La Valliere, która z osłabienia usiadła na kamieniu, powstała i udała się ku klasztorowi Karmelitanek, oświeconemu promieniami wschodzącego słońca.

D'Artagnan postępował za nią zdaleka.

Drzwi klasztoru były nawpół otwarte; uczyniwszy znak pożegnania ręką, wślizgnęła się przez nie jak cień i znikła mu z oczu.

D'Artagnan, pozostawszy sam, zamyślił się głęboko nad tem, co zaszło.

— Na honor, jestem teraz, jak to mówią, w fałszywem położeniu; zachować podobną tajemnicę, jest to samo, co mieć żarzący się węgiel w kieszeni i zawsze się spodziewać ognia. Nie zamilczeć zaś tego, na co się przysięgło, to także nieszlachetnie. Lecz zwykle dobre myśli przychodzą mi wtenczas, kiedy biegnę, ale tym razem bodajbym się mylił, zdaje mi się, że dobrze się nalatam, nim znajdę rozwiązanie dla tego zagadnienia.

— Dokąd biedz? Ha, najlepiej będzie ku Paryżowi, tylko biegnijmy prędko; ale, ażeby biedz prędko, lepiej byłoby, gdybym miał cztery niż dwie nogi.

— Konia!... jak słyszałem w teatrze w Londynie. Dam moją koronę za konia!... E, ja myślę, że mię to tak drogo nie będzie kosztowało. Stoi przecież oddział muszkieterów przy rogatce Conference i zamiast jednego konia mogę ich mieć dziesięć.

I w skutku tego postanowienia, powziętego ze zwykłą sobie prędkością, dobiegł d'Artagnan do oddziału, wybrał najlepszego bieguna i w dziesięć minut był już w Pałacu Królewskim.

Piąta uderzyła na zegarze zamkowym.

D'Artagnan zapytał o króla, lecz ten, pracując wczoraj długo z panem Colbert, spał jeszcze.

— Ha — rzekł d'Artagnan do siebie — La Valliere prawdę mi powiedziała, że król nie wie o niczem. Gdyby tylko połowę tego wiedział, co się stało, cały Pałac Królewski byłby o tej godzinie niezawodnie do góry nogami przewrócony.

CLXIX

JAK LUDWIK PRZEPĘDZIŁ CZAS OD WPÓŁ DO JEDENASTEJ, AŻ DO PÓŁNOCY.

Król, powróciwszy do siebie z pokojów dam honorowych, zastał Colberta, oczekującego na rozkazy do jutrzejszej ceremonji. Szło bowiem, jakeśmy już powiedzieli, o przyjęcie posłów holenderskich i hiszpańskich.

Ludwik XIV-ty miał ważne powody niezadowolenia przeciw Holandji, która nie była szczerą w stosunkach i, jakby nie bojąc się zerwania z Francją knuła intrygi z Hiszpanją.

Właśnie przy wstąpieniu na tron Ludwika XIV-go to jest od śmierci Mazariniego, ciągłe o to szły spory.

Było to trochę trudne do rozwiązania dla młodego monarchy, ale, że wówczas król był zupełnie zdrów, więc co postanowiła głowa, ciało gotowe było wykonać.

Trochę złego humoru, albo mocniejsze wzburzenie krwi młodzieńczej, dostateczne było wówczas, ażeby zmienić dawną drogę polityki, a wskazać zupełnie nową.

Całe staranie ówczesnych polityków polegało tedy na ułożeniu pomiędzy sobą tego, czegoby ich monarchowie potrzebować lub wymagać mogli.

Umysł Ludwika nie był zdolny do wskazania mu na teraz polityki roztropnej.

Wzruszony jeszcze sprzeczką, jaką miał z La Valliere, przechadzał się po pokoju, szukając sposobności spędzenia na cośkolwiek gniewu, który tak długo powstrzymywał.

Colbert, spostrzegłszy króla, wnet poznał jego usposobienie i dlatego też obawiał się całą wypowiedzieć prawdę.

Kiedy król zażądał opowiedzenia sobie, jaka odpowiedź miała być dana posłom nazajutrz, podintendent zaczął od okazania zdziwienia, dlaczego pan Fouquet nie objaśnił już o tem króla. On bowiem odbiera wprost doniesienia z Holandji.

Król, przyzwyczajony do słyszenia, jak Colbert mówi zawsze przeciw Fouquetowi, zostawił tą uwagę bez odpowiedzi i słuchał dalej.

Colbert, spostrzegłszy to, zaczął się wykręcać, mówiąc, że pan Fouquet nie był tak dalece winien, jak się na pierwszy rzut oka wydawało, gdyż w tych czasach bardzo był zatrudniony.

Król podniósł głowę.

— Czemże był zatrudniony?... — zapytał.

— Najjaśniejszy Panie!... ludzie są ludźmi zawsze. I pan Fouquet obok wielkich przymiotów ma także swoje ułomności.

— A któż ich niema, panie Colbert?

— Wasza Królewska Mość ma je także — rzekł zuchwale Colbert, umiejąc w potrzebie użyć ciężkich dział w lekkiej rozprawie, jak strzały, które pomimo ciężaru przedzierają powietrze za pomocą piór, co je otaczają.

Król uśmiechnął się.

— Jakąż to ułomność ma pan Fouquet?... — rzekł.

— Zawsze jedną, Najjaśniejszy Panie... mówią, że się zakochał.

— Zakochał się? a w kim?

— Nie wiem z pewnością... Nie wdaję się w te miłostki, jak to mówią.

— Ależ musisz wiedzieć, kiedy o tem mówisz.

— Słyszałem tylko wymawiane...

— Co?

— Nazwisko.

— Jakie?

— Ale go nie przypominam sobie.

— Powiedz!

— Zdaje mi się, że to jedna z dam księżny.

Król zadrżał.

— Więcej wiesz, niż chcesz powiedzieć — odrzekł król.

— Ale, Najjaśniejszy Panie!.... zapewniam, że nie.

— Przecież wszystkie te panny nam są znane, i, mówiąc nazwiska ich z kolei, może wpadniesz na to, którego zapomniałeś.

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Spróbuj.

— Będzie to nadaremne, Najjaśniejszy Panie!... kiedy idzie o nazwisko kobiety skompromitowanej. Pamięć moja staje się wówczas żelazną skrzynią, od której klucz zgubiono.

Chmura przeszła po czole królewskiem.

Ale, chcąc się pokazać panem siebie samego, wstrząsnął głową i rzekł:

— No, wróćmy do tego interesu z Holandją.

— A więc o której godzinie Wasza Królewska Mość zechce przyjąć posłów?

— Zrana!

— O godzinie jedenastej?

— To zapóźno... o dziewiątej!

— To zawcześnie!

— Dla przyjaciół to nic nie znaczy, z przyjaciółmi można wszystko zrobić, a co do nieprzyjaciół, tem lepiej, jeżeli się o to obrażą. Wyznaję, że wcalebym się o to nie gniewał, ażebym raz już skończył z tymi wodnymi ptakami, które mnie męczą swoim krzykiem.

— Stanie się tak, jak Wasza Królewska Mość zechce... A więc o dziewiątej. Wydam stosowne do tego rozkazy. Czy to publiczne posłuchanie?

— Nie!... chcę się z nimi rozmówić, ale nie rozdrażnić ich, jak się to często przy licznych zdarza świadkach, a również chciałbym, aby się jasno wytłumaczyli, iżby to raz już skończyć.

— Wasza Królewska Mość wskaże osoby, które mają być obecne.

— Ja ułożę listę... Ale czegóż ci ambasadorowie chcą?

— Połączeni z Hiszpanją nic nie zyskują, połączeni z Francją wiele utracą.

— Jakto?

— Połączeni z Hiszpanją i będąc otoczeni posiadłościami swoich sprzymierzeńców, nie będą mogli pomimo chęci nic działać. Z Antwerpji do Roterdamu nie jest tak daleko. Jeżeliby więc zamyślali coś przeciw Hiszpanji, ty Najjaśniejszy Panie, jako zięć króla hiszpańskiego, możesz być w razie potrzeby w ciągu dwóch dni w Brukseli. Idzie więc o to, aby ciebie Najjaśniejszy Panie, poróżnić tak z Hiszpanją, żebyś zupełnie był na jej interesa obojętny.

— A więc daleko jest dogodniej — rzekł król — zawrzeć ze mną zupełne przymierze, na którem ja zyskałbym cokolwiek, oni zaś wszystko.

— Bynajmniej, Najjaśniejszy Panie, gdyż dla nich, jako graniczących z Francją, Wasza Królewska Mość nie jesteś dogodnym sąsiadem. Młody, żywy, bohaterski król Francji może zadać Holandji okropny cios, jeśli się do niej zbliży.

— Pojmuję teraz zupełnie, panie Colbert, i to jest dobrze wyrozumowane, ale, proszę pana, jaki z tego koniec?

— Nigdy nie braknie mądrości postanowieniom Waszej Królewskiej Mości.

— Ale cóż mi powiedzą ci posłowie?

— Powiedzą Waszej Królewskiej Mości, że bardzo pożądają związku z Waszą Królewską Mością i to będzie kłamstwem; powiedzą Hiszpanom, że trzy mocarstwa mają się połączyć przeciw Anglji, co także będzie kłamstwem, gdyż naturalnym sprzymierzeńcem Waszej Królewskiej Mości jest dzisiaj Anglja, która ma okręty, na których Waszej Królewskiej Mości zbywa. Anglja więc powinna zrównoważyć siłę Holandji w Indjach, Anglja nakoniec jest krajem monarchicznym, gdzie Wasza Królewska Mość masz zwiazki pokrewieństwa.

— Dobrze!... Ale cóżbyś na to pan im odpowiedział?

— Jabym, Najjaśniejszy Panie, odpowiedział im z największem umiarkowaniem, że Holandja nie jest wcale przyjaźnie usposobioną dla Francji, że nastrój umysłów w Holandji jest niepokojącym dla Waszej Królewskiej Mości, że wybito pewne medale z napisami uwłaczającymi.

— Dla mnie?... — rzekł król uniesiony.

— O nie!... nie!... Najjaśniejszy Panie, nie jest to stosowne wyrażenie, omyliłem się, chciałem powiedzieć z napisami pochlebnymi bardzo dla Batawów.

— O!... jeżeli tak jest, to mało mię obchodzi duma Batawów — rzekł król, wzdychając.

— Wasza Królewska Ność ma słuszność, ale to nigdy nie jest źle w polityce, a król powinien lepiej umieć, niż kto inny, być niesprawiedliwym, ażeby pozyskać ustępstwa. Wasza Królewska Mość uskarżając się na nich, wydawać się im będziesz daleko możniejszym.

— Co to był za medal?... Bo kiedy mam o nim mówić trzeba, żebym wiedział, co mam mówić.

— Na honor!... Najjaśniejszy Panie, nie bardzo wiem o tem. Jest to jakaś alegoryczna zarozumiałość, ot wszystko; a wyrazy są niczem w porównaniu ze znaczeniem...

— Dobrze!... ja mówię wyraz medal, a zrozumieją, jeżeli zechcą.

— O! zrozumieją oni dobrze. Wasza Królewska Mość może także wcisnąć kilka słów o paszkwilach jakie się pokazały...

— Nigdy!... paszkwile daleko więcej brudzą tych, co je piszą, niż tych, co je czytają. Dziękuję panu, panie Colbert, możesz odejść.

— Najjaśniejszy Panie!

— Do widzenia, nie zapomnij o oznaczonej godzinie!

— Najjaśniejszy Panie!... czekam na listę osób.

— A prawda!

Król zamyślił się, ale nie o liście.

Zegar wybił wpół do drugiej. Widać było na twarzy króla okrutną walkę miłości i dumy.

Rozmowa o polityce dużo zmniejszyła wzburzenie króla, a blada twarz La Valliere więcej przemawiała do jego wyobraźni, niż medale i paszkwile Holendrów.

Dziesięć minut namyślał się, czy wrócić do La Valliere, czy nie?

Ale Colbert przypomniał mu z uszanowaniem listę.

Król zarumienił się, że myślał o miłości, kiedy miał do myślenia o czemś ważniejszem.

Podyktował więc:

Królowa Matka.

Księżna.

Pani de Motteville.

Panna de Chatillon.

Pani de Navailles.

— A z mężczyzn:

Książę.

Pan de Grammont.

Pan de Manicamp.

Pan de Saint-Agnan.

I oficerowie służbowi.

— A ministrowie?... — rzekł Colbert.

— Ma się rozumieć, i sekretarze.

— Najjaśniejszy Panie, idę wszystko przygotować, rozkaz każdy odbierze jutro.

— Powiedz dziś! — król odrzekł smutnie.

Druga wybiła.

Była to godzina, w której La Valliere umierała prawie ze smutku i cierpień.

Służba do rozbierania weszła.

Królowa czekała już od godziny.

Ludwik przeszedł do niej, wzdychając, choć winszował sobie stałości charakteru, jak w miłości, tak i w polityce.

CLXX

POSŁOWIE.

D'Artagnan dowiedział się prawie o wszystkiem, cośmy tu powiedzieli, gdyż na dworze miał przyjaciół we wszystkich oficjalistach, dumnych z ukłonów jakie im oddawał kapitan muszkieterów, (a kapitan muszkieterów wiele znaczył); pochlebiało to ich miłości własnej, że byli uważani za mających znaczenie przez tak walecznego, jak d'Artagnan, człowieka.

D'Artagnan dowiadywał się tym sposobem o wszystkiem, czego nie widział lub nie słyszał w przeddzień.

A z tego, co sam widział lub dowiedział się od innych, czynił notatki, które w potrzebie dostarczały mu broni, jaką uznał za dogodną.

Tak więc dwoje jego oczu czyniło tyle, co sto ócz Argusa.

Tajemnice polityczne, tajemnice domowe, różne rozmówki wymykające się dworakom, znał d'Artagnan dokładnie i wszystko zamykał w obszernym i nieprzeniklym grobie pamięci, razem z tajemnicami panujących, tak drogo okupionemi i tak wiernie strzeżonemi.

Wiedział więc o posłuchaniu Colberta, o godzinie, oznaczonej dla posłów, wiedział, że będzie mowa o medalach, i wyprowadzając wnioski z tych kilku słów posłyszanych doszedł aż do pokojów królewskich, ażeby być obecnym w chwili obudzenia się królewskiego.

Król obudził się bardzo wcześnie, co dowodziło, że spał nie bardzo dobrze.

Około godziny siódmej otworzył lekko drzwi.

D'Artagan znajdował się na swojem miejscu.

Jego Królewska Mość blady był, wydawał się zmęczonym, i nie zupełnie jeszcze był ubrany.

— Każ mi pan zawołać pana de Saint-Agnan — rzekł król.

Saint-Agnan zapewne spodziewał się tego, gdyż już ubrany pospieszył do króla.

W chwilę potem król i Saint-Agnan wyszli; król szedł pierwszy.

D'Artagnan stał w oknie, wychodzącem na dziedziniec i nie patrzył nawet, dokąd król idzie. Możnaby powiedzieć, że wiedział to naprzód.

Król poszedł do pokojów panien honorowych.

Nie dziwiło to bynajmniej d'Artagnana. On nie wątpił, że Jego Królewska Mość, chociaż mu La Valliere nic nie mówiła, ma jakiś błąd do wynagrodzenia.

Saint-Agnan szedł za królem, ale mniej niespokojny, mniej rozdrażniony, niż w przeddzień, spodziewał się bowiem, że o siódmej zrana tylko król i on już są na nogach z pomiędzy dostojnych mieszkańców zamku.

D'Artagnan stał w oknie obojętny i spokojny.

Można było przysiądz, że nie wiedział, kto byli ci dwaj obwinięci w płaszcze, idący przez dziedziniec.

A pomimo tej obojętności, nie tracił ich z oczu i, poświstując dawny marsz muszkieterów, który sobie w ważnych tylko przypominał okolicznościach odgadł naprzód całą burzę, jaka się miała zerwać za powrotem idących.

I rzeczywiście król, wszedłszy do pokoju La Valliere i zastawszy go próżnym i widząc łóżko nietknięte, przeląkł się i zawołał Montalais.

Montalais przybiegła, lecz zdziwienie jej było również wielkie, jak króla.

Wszystko, co mogła powiedzieć, było to jedynie, że słyszała, jak La Valliere długo w nocy płakała, ona jednak, wiedząc, że król tam jest, nie śmiała wchodzić.

— I — rzekł król — nie domyślasz się, dokądby poszła?

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedziała Montalais — Ludwika jest bardzo sentymentalna i często widziałam, jak równo ze świtem wychodziła do ogrodu; może i teraz tam jest.

To było możliwe, i król udał się też natychmiast do ogrodu, aby szukać zbiegłej. D'Artagnan widział go bladego i rozmawiającego żywo z swoim towarzyszem.

D'Artagnan nie ruszył się od okna, poświstując ciągle, widząc wszystko, a udając, że nic nie widzi.

— No, no, — mruknął — namiętność króla jest daleko większą, niż mniemałem; teraz czyni to, czego nigdy nie robił dla panny Macini.

Król pokazał się w kwadrans potem; szukał wszędzie i, ma się rozumieć, nie znalazł.

Saint-Agnan szedł za nim, chłodząc się kapeluszem i wypytując głosem zmienionym każdego kogo spotkał.

Manicamp także się z nim spotkał; wracał powoli z Fontainebleau, a kiedy inni wrócili w sześć godzin, on na to poświęcił dwadzieścia cztery.

— Nie widziałeś czasem panny La Valliere?... zapytał go Saint-Agnan.

Na co Manicamp, zawsze roztargniony, odpowiedział, mniemając, że go pytają o Guicha:

— Dziękuję, hrabia ma się lepiej!

To powiedziawszy, poszedł do przedpokoju, gdzie zastawszy d'Artagnana, zapytał, co znaczy to pomieszanie, jakie zauważył na obliczu królewskiem.

D'Artagnan odpowiedział, że się myli, gdyż król przeciwnie jest nadzwyczaj wesoły.

Ósma wybiła.

Król zwykle o tej godzinie jadał śniadanie.

Bo postanowione było w kodeksie etykiety dworskiej, że król o tej godzinie powinien mieć apetyt.

Kazał je sobie podać w pokoju sypialnym; zjadł prędko.

Saint-Agnan, z którym nie chciał się rozłączyć, trzymał mu serwetę.

Poczem król odbył kilka posłuchań wojskowych, podczas których posłał Saint-Agnana na zwiady.

I ciągle niecierpliwie oczekując jego powrotu, doczekał się godziny dziewiątej i udał się do wielkiego gabinetu.

Posłów było trzech holenderskich i dwóch hiszpańskich.

Król ukłonił się im.

W tejże chwili wszedł Saint-Agnan.

Przyjście to daleko było ważniejsze dla króla, niż obecność posłów; bez względu w jakiejkolwiek byli liczbie i z jakiegokolwiek kraju.

To też przedewszystkiem uczynił znak pytający, na który Saint-Agnan odpowiedział znakiem zupełnego przeczenia.

Król ledwie nie stracił przytomności, lecz, że królowie, panowie i posłowie, mieli na niego oczy zwrócone, uczynił gwałtowny wysiłek i prosił ostatnich, aby mówili.

Wówczas jeden z posłów hiszpańskich miał długą przemowę, w której dowodził korzyści związku z Hiszpanją.

Król przerwał mu, mówiąc:

— O! naturalnie to, co jest dobre dla Francji, powinno być bardzo dobre dla Hiszpanji.

Te słowa, a nadewszystko głos, jakim były wymówione, sprawiły, że poseł zbladł, a królowe zaczerwieniły się; obydwie Hiszpanki uczuły się dotknięte w swej dumie pokrewieństwa i narodowości.

Następnie mówił poseł holenderski, użalając się na uprzedzenie, jakie król ma względem jego rządu.

Król przerwał:

— Dziwi mię to bardzo, że pan się użalasz, kiedy przeciwnie ja, mając powody do użaleń, nie czynię tego wcale.

— Uskarżać się, Najjaśniejszy Panie! na Holandję i z jakiego powodu?

Król rozśmiał się z goryczą.

— Czy nie myślisz pan przyganiać — rzekł król — moim uprzedzeniom przeciw rządowi, który pozwala uwłaczać mi publicznie?

— Najjaśniejszy Panie...

— Powiadam panu — podchwycił król, oburzając się daleko więcej z wiadomej przyczyny, niż ze względów politycznych — powiadam panu, że Holandja jest krajem, dającym przytułek wszystkim ludziom, mnie uwłaczającym.

— Ależ! Najjaśniejszy Panie!...

— A chcesz pan dowodów? dobrze, łatwo je znaleźć; bo skądże pochodzą te obrzydłe paszkwile, które przedstawiają mnie, jako panującego bez chwały i sławy? skąd, jeżeli nie z waszych drukarni? I gdyby tu byli moi sekretarze, pokazałbym ci ich tytuły, z wydrukowanem nazwiskiem autora.

— Najjaśniejszy Panie!... — odrzekł poseł — paszkwil, nie jest dziełem całego narodu. Byłożby słusznie, aby tak wielki

król, jakim jesteś, Najjaśniejszy Panie, czynił odpowiedzialnym cały naród za zbrodnię kilku szaleńców, mrących z głodu.

— Niech i tak będzie! mniejsza o to. Ale kiedy mennica Amsterdamu wybija medale, mnie krzywdzące, czy to jest dziełem tylko kilku szaleńców?

— Medale — wybąknął poseł.

— Medale — odpowiedział król, patrząc na Colberta.

— Potrzeba — przemówił na to Holender — aby Wasza Królewska Mość zupełnie się przekonał.

Król patrzał ciągle na Colberta, ale Colbert milczał, udając, że nie widzi pytającego wzroku króla.

Wówczas d'Artagnan, zbliżywszy się, wydobył sztukę monety z kieszeni, a podając ją królowi, rzekł:

— Oto jest medal, o którym mowa.

Król wziął go.

Wtenczas spostrzegł wybite na nim zarozumiałe wyobrażenie Holandji, która jak Jozue zatrzymywała słońce z tym napisem:

In conspectu meo stetit Sol.

— "Na mój widok słońce się zatrzymało..." — krzyknął król rozgniewany. — Cóż teraz, chyba nie zaprzeczysz mój panie?

— A słońce — rzekł d'Artagnan — tu jest!

I wskazał na wszystkie ściany gabinetu, pokryte wyobrażeniem słońca, z tym napisem:

"Nec pluribus impar."

Gniew Ludwika, podsycany prywatnemi zmartwieniami, nie potrzebował tej podniety, aby wybuchnąć; w oczach też jego widać było piorun, mający uderzyć.

Lecz wzrok Colberta powstrzymał go.

Poseł zaczął się tłumaczyć, mówiąc, że próżność narodowa nie pociąga żadnych następstw, że Holandja dumną jest z tego, iż z tak małymi zasobami może stanąć na równi z innymi wielkimim narodami, a jeżeli duma ta upoiła cokolwiek jego rodaków, prosił króla, aby to puścił w niepamięć.

Król zdawał się szukać rady; spojrzał na Colberta, ten milczał. Znów potem spojrzał na d'Artagnana.

Ten wzruszył ramionami.

Poruszenie to było usunięciem zapory dla gniewu królewskiego, hamonowanego oddawna.

Przytomni, nie wiedząc, jak daleko gniew ten uniesie króla, milczeli.

Drugi poseł, korzystając z tego, zaczął także tłumaczyć się.

Kiedy mówił, król, wpadając powoli w zamyślenie o osobistem cierpieniu, słuchał głosu jego wzruszonego, jak człowiek roztargniony słucha głosu kaskady. Jednocześnie d'Artagnan zbliżył się do Saint-Agnan i głosem tak wyraźnym, aby i król słyszał, rzekł:

— A wiesz nowinę hrabio?

— Jaką nowinę? — spytał Saint-Agnan.

— O pannie La Valliere.

Król zadrżał i mimowolnie postąpił ku rozmawiającym.

— I cóż jej się stało?... — zapytał Saint-Agnan głosem, jaki łatwo można sobie wyobrazić.

— E! biedne dziecię — odrzekł d'Artagnan — wstąpiła do klasztoru.

— Do klasztoru? — krzyknął Saint-Agnan.

— Do klasztoru!... — wykrzyknął król w pośród mowy posła, lecz uspokoił się, przypomniawszy sobie ważność chwili. Wszelako nie przestawał przysłuchiwać się z natężoną uwagą.

— Do jakiego klasztoru?... — spytał Saint-Agnan.

— Do Karmelitanek w Chaillot.

— Któż ci, u djabła, mówił o tem.

— A ona sama.

— Toś ją widział?

— Sam ją tam zaprowadziłem.

Król nie stracił z tego ani słowa, burzył się i czerwienił.

— Ale dlaczegoż to uczyniła?... — spytał Saint-Agnan.

— Ponieważ biedna dziewczyna wypędzona została wczoraj z dworu — odrzekł d'Artagnan.

Zaledwie wymówił te słowa, kiedy król, czyniąc poruszenie nakazujące, rzekł do posła:

— Dosyć tego panie! dosyć!

Poczem, przystąpiwszy do kapitana, rzekł:

— Kto mówi, że La Valliere wstąpiła do klasztoru?

— Pan d'Artagnan — odpowiedział ulubieniec.

— I mówisz pan prawdę?... — zapytał król zwracając się do muszkietera.

— Niezaprzeczona to prawda.

Król zacisnął pięści i zbladł.

— I jeszcze coś mówiłeś, panie d'Artagnan — podchwycił król.

— Nie wiem, Najjaśniejszy Panie.

— Dodałeś, że panna La Valliere została wypędzona z dworu.

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— I to także prawda?...

— Dowiedz się, Najjaśniejszy Panie.

— Ale od kogo?...

— O!... — odrzekł d'Artagnan, jakby nie chciał nikogo wymienić.

Król powstał gwałtownie, zapominając o posłach, ministrach, dworzanach i całej polityce.

Królowa matka wstała również, gdyż i ona słyszała część tej rozmowy, a odgadła resztę.

Księżna, upadająca z gniewu i strachu, powstała również, jak królowa matka, lecz, nie mogąc się utrzymać, padła na krzesło, które, aż się w tył posunęło.

— Panowie!... — wyrzekł król — posłuchanie skończone; objawię odpowiedź, albo raczej moją wolę Hiszpanji i Holandji.

I ruchem nakazującym pożegnał posłów.

— Strzeż się, mój synu!... — rzekła królowa matka tonem oburzenia — strzeż się, nie jesteś, jak mi się zdaje, panem siebie samego.

— A!... pani — odrzekł młody lew z pogróżką — jeżeli nie jestem panem siebie samego, potrafię być nim dla tych, bądź pani pewną, dla tych, co mi uwłaczają. Pójdź pan ze mną panie d'Artagnan.

I opuścił pokój, zostawiając wszystkich w osłupieniu i przestrachu.

Król, zszedłszy ze schodów, chciał iść przez dziedziniec.

— Wasza Królewska Mość myli się; nie tędy — rzekł d'Artagnan.

— Wiem, ale idę do stajni!...

— Nie trzeba, Najjaśniejszy Panie, konie czekają gotowe na Waszą Królewską Mość.

Król odpowiedział tylko wzrokiem, ale wzrok ten przyrzekał więcej, niżby wymagania trzech d'Artagnanów mogły się spodziewać.

CLXXI

CHAILLOT.

Manicamp i Malicorne, chociaż ich nie wołano poszli również za królem.

Byli to dwaj ludzie bardzo roztropni. .

Lecz Malicorne przybywał najczęściej zawcześnie przez chęć wyniesienia się, a Manicamp zapóźno przez lenistwo.

Tym razem przybyli w porę.

Pięć koni było przygotowanych.

Dwa zostały wzięte przez króla i d'Artagnana.

Dwa przez Malicorna i Manicampa.

Paź wsiadł na piątego.

Wszyscy popędzili pędem.

D'Artagnan wybrał sam konie, prawdziwe konie dla kochanków tęskniących, konie, które nie biegły, lecz leciały.

W dziesięć minut podobni do tumanu kurzu, stanęli w Chaillot.

Król, w całem znaczeniu tego wyrazu, rzucił się z konia, ale jakkolwiek raptownie to wykonał, już d'Artagnan przytrzymywał mu rumaka.

Król skinieniem podziękował i cisnął cugle paziowi.

Podskoczył do przedsionka i wszedł do mównicy.

Manicamp, Malicorne i paź pozostali na dziedzińcu, d'Artagnan poszedł za królem.

Król, wchodząc tam, ujrzał odrazu Ludwikę, nie klęczącą, lecz leżącą u stóp ogromnego krzyża kamiennego.

Młoda dziewczyna, rozciągnięta na marmurowej podłodze wilgotnej, zaledwie widoczna była w słabem świetle, jakie dochodziło tutaj przez wązkie zakratowane okno, osłonięte pnącemi się roślinami.

Była jak martwa, zimna jak kamień, na którym leżała.

Widząc ją w tym stanie, król wydał okrzyk przerażenia, na który przybiegł d'Artagnan.

Król chwycił ją wpół, d'Artagnan dopomógł mu ją podnieść.

Król wziął ją wówczas na ręce, starając się przywrócić ją do życia.

D'Artagnan mocno zadzwonił.

Zbiegły się siostry karmelitanki.

Świętobliwe panny wydały krzyk zgrozy, spostrzegłszy kobietę w objęciach mężczyzny.

Przełożona nadeszła, a znając lepiej świat, niż inne, od pierwszego rzutu oka poznała króla po uszanowaniu, jakie mu okazywali przyboczni.

Poznawszy króla, wróciła do siebie, co było jedynym środkiem nieobrażania godności swego stanu.

Lecz jednocześnie przez mniszki przysłała różnego rodzaju lekarstwa orzeźwiające, rozkazując nadto, aby drzwi wchodowe zamknąć.

A właśnie był już czas na to, gdyż boleść króla stała się rozpaczliwą i głośną.

Król chciał już posłać po swego lekarza, ale wtem La Valliere wróciła do życia.

Otwierając oczy, ujrzała króla u swych nóg, lecz nie poznała go, gdyż wydała tylko głębokie westchnienie.

Ludwik wpatrywał się w nią z zajęciem.

Wkońcu wzrok jej błędny zatrzymał się na królu.

Teraz poznała go i chciała się wydrzeć z jego objęć.

— Jakto — rzekła słabym głosem — ofiara nie spełniła się jeszcze?...

— O nie!... nie!... — rzekł król — nie spełni się, przysięgam ci.

Powstała słaba i zmęczona.

— A jednak potrzeba, potrzeba, aby się spełniła. Najjaśniejszy Panie, nie zatrzymuj mię dłużej.

— Ja miałbym na to pozwolić — rzekł Ludwik — nigdy, nigdy.

— Teraz czas jest wyjść — pomyślał d'Artagnan — kiedy już do siebie mówią, to myśmy tu niepotrzebni.

D'Artagnan wyszedł i kochankowie zostali sami.

— Najjaśniejszy Panie — mówiła La Valliere — nie niszcz całej mojej przyszłości, to jest nadziei zbawienia; nie niszcz swojej chwały dla chwilowego przywidzenia.

— Przywidzenia?... — podchwycił król.

— Teraz, Najjaśniejszy Panie — rzekła La Valliere — poznałam twoje serce.

— Ty, Ludwiko?...

— Tak, ja!...

— Wytłumacz się.

— Pociąg niezrozumiały, nierozsądny, może być na chwilę dla Waszej Królewskiej Mości dostateczną wymówką; lecz Wasza Królewska Mość masz obowiązki, których nie można pogodzić z miłością dla biednej dziewczyny!... Powinieneś o mnie zapomnieć.

— Ja, o tobie zapomnieć!...

— Już się to stało.

— Pierwej umrzeć.

— Najjaśniejszy Panie!... nie mogłeś kochać tej, której tak okropne zadałeś męczarnie.

— Co mówisz?... wytłumacz się jaśniej!

— Powiedz, Najjaśniejszy Panie!... czegoś wymagał odemnie wczoraj rano?... Aby cię kochać?... Cóżeś mi przyobiecał nawzajem?... Że nigdy nie przejdzie północ, ażebyś mi nie przebaczy, choćbyś miał jaki żal do mnie!...

— O!... przebacz mi!... przebacz, Ludwiko!... zazdrość mię pożerała.

— Najjaśniejszy Panie, zazdrość jest złą i niewykorzenioną namiętnością. Będziesz zawsze zazdrosny, a to mnie dobije. Miej litość i pozwól mi umrzeć.

— Jeszcze jedno podobne słowo, pani, a skończę życie u nóg twoich.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, ja umiem siebie ocenić. Nie powinieneś myśleć o kobiecie, którą świat pogardza.

— Wskaż mi tylko tych, na których możesz się uskarżać!...

— Nie oskarżam nikogo!... Żegnam cię, Najjaśniejszy Panie, uwłaczasz bowiem sam sobie, mówiąc to do mnie.

— Strzeż się, Ludwiko, bo, mówiąc tak, przyprowadzisz mnie do ostatniej rozpaczy.

— O!... Najjaśniejszy Panie!... pozostaw mię tu z Bogiem!

— Wydrę cię nawet Bogu.

— Ale wprzód!... — wykrzyknęło biedne dziecię — wydrzyj mię nieprzyjaciołom, czychającym na moje życie i cześć. Jeżeli masz siłę kochać mię, miejże dosyć władzy bronić tej, o której mówisz, że ją kochasz; znieważają ją, naigrawają się, wypędzają.

I przyciśniona boleścią mimowolnie wydała tą skargę, płacząc i załamując ręce.

— Wypędzono cię!... — krzyknął król — powtórnie już słyszę te słowa.

— Haniebnie, Najjaśniejszy Panie!... Sam przyznasz, że nie mam innego opiekuna nad Boga, innej pociechy nad modlitwę, innego przytułku nad klasztor.

— Będziesz odtąd miała mój pałac i dwór na usługi. Nie lękaj się więc niczego, Ludwiko. Ale ci, co cię wczoraj wygnali, niech zadrżą, krwią swoją opłacą łzy twoje!... wymień mi ich tylko.

— Nigdy!

— Jakże chcesz, abym się pomścił na nich?....

— Ręka twoja, Najjaśniejszy Panie, stałaby się bezwładną, gydbyś chciał ich ukarać!

— Nie znasz mię jeszcze Ludwiko — rzekł król w rozpaczy — pierwej spaliłbym moje królestwo i przeklął rodzinę, pierwej zgruchotałbym tę rękę, gdyby ręka ta była tak podłą, aby miała bać się uderzyć tych, którzy są nieprzyjaciółmi najlepszej w świecie istoty.

I, to mówiąc, król uderzył ręką w stół, którzy się głucho odezwał.

La Valliere przelękła się.

Gniew młodzieńca miał w sobie coś okropnego, gdyż była to burza, wszystko niszcząca!

Żal jego zdawał się nie mieć granic, król zwyciężony był boleścią, objawiającą się w pogróżkach gwałtownych.

— Najjaśniejszy Panie, po raz ostatni, proszę, oddal się, błagam cię o to; cichość tego schronienia już mię cokolwiek wzmocniła, czuję się spokojniejszą pod opieką Boga. Bóg jest ochroną, przed którą niknie niedołężna ludzi złośliwość, Najjaśniejszy Panie. Zostaw mię więc z Bogiem.

— A więc — krzyknął król — przyznaj łepiej, żeś mię nigdy nie kochała, powiedz, że moje poniżenie i żal mój pochlebia ją tylko twojej dumie, lecz nie wzruszają serca. Powiedz, że król Francji nie jest dla ciebie czułym, pragnącym szczęścia twojego kochankiem, tylko dumnym despotą, którego chwilowa namiętność zniszczyła w twem sercu ostatnią iskrę czułości. Nie mów, że szukasz Boga, powiedz raczej, że uciekasz od kró-

la. Bóg nie jest wspólnikiem nieodwołalnych takich postanowień. Bóg przyjmuje żal z pokutą, przebacza i żąda miłości!

Ludwika cierpiała mocno, słysząc te wyrazy, które aż do głębi przenikały jej duszę.

— Nie słyszałeś więc, co mówiłam, Najjaśniejszy Panie?

— Co?

— Że jestem wypędzoną, wzgardzoną!

— Uczynię cię najgodniejszą szacunku i zazdrości z całego mego dworu.

— A więc dowiedź mi, Najjaśniejszy Panie, żeś mię nie przestał kochać.

— Jakim sposobem?

— Ucieknij stąd odemnie!

— Przeciwnie, dowiodę ci tego, nie opuszczając cię nigdy.

— Czyż możesz myśleć, Najjaśniejszy Panie, abym się na to zgodziła, byś wypowiedział wojnę całej swojej rodzinie, ażebyś odepchnął dla mnie matkę, żonę i siostrę.

— A!... przecież wymieniłaś je nakoniec!... One to więc tyle ci złego zrobiły. Na Boga, przysięgam, zemszczę się na nich okrutnie.

— To mię właśnie przestrasza, i dlatego proszę, abyś się nie mścił. Dosyć już łez, o Boże, dosyć cierpień i boleści. O!... nigdy nie chciałabym kosztować nikogo, ani łzy, ani bólu, ani jednej skargi, albowiem sama dużo cierpiałam i dużo płakałam.

— A moje łzy, boleści i skargi, żadnej nie mają ceny u ciebie?

— Nie mów tak, Najjaśniejszy Panie, błagam cię, nie mów, gdyż całej potrzebuję siły, aby dopełnić tego poświęcenia.

— Ludwiko, nie mów i ty tak do mnie; rozkazuj, mścij się, przebaczaj, ale mnie nie opuszczaj.

— Niestety, Najjaśniejszy Panie, trzeba nam się rozłączyć.

— A więc mnie nie kochasz!

— O!... Bóg widzi, że kocham.

— Kłamstwo, kłamstwo!

— O!... gdybym ciebie nie kochała, Najjaśniejszy Panie!... czyżbym nie przystała na wszystko, co chcesz, przyjęłabym nawet zemstę za zniewagę, jaką mi wyrządzono, ten słodki triumf dumy, jaki mi ofiarujesz, wtenczas kiedy ja nawet zrzekam się

słodkiej nagrody z twojej miłości, która jest życiem mojem, gdyż życzyłam sobie umrzeć mniemając, że mnie nie kochasz.

— A więc wierzę teraz i przekonany jest, że niema świętszej i szanowniejszej nad ciebie istoty. Nikt nie zasługuje więcej, nie tylko na moją, lecz i na całego świata miłość i szacunek. To też nikt nie będzie tak kochany jak ty, Ludwiko, i nikt nie będzie tak, jak ty nademną panować. Tak, przysięgam ci, że, gdy świat sprzeciwiałby się mojej ku tobie miłości, zgniótłbym go jak nędznego robaka. Rozkazujesz, abym się uspokoił, abym przebaczył, niech i tak będzie. Chcesz panować łaskawością i dobrocią, to i ja będę łaskawym i dobrym. Wskaż mi tylko moje postępowanie, a będę ci posłuszny.

— I czemże jestem?... o mój Boże, abym wskazywała postępowanie takiemu, jak ty, Najjaśniejszy Panie, królowi?

— Jesteś mojem życiem i duszą. Czyż nie dusza rządzi nami?

— A więc kochasz mnie, Najjaśniejszy Panie?...

— Na kolanach, ze złożonemi rękami, kocham cię z całej siły, jaką Bóg mi udzielił, tak mocno, że gdybyś życia mego zażądała, oddałbym ci je z radością.

— Kochasz mnie?

— O tak.

— A więc niczego już nie żądam więcej na tym świecie. Daj mi rękę, Najjaśniejszy Panie, i pożegnajmy się. Doświadczyłam bowiem w tem życiu największego szczęścia, jakie mi było przeznaczone.

— O!... nie!.. Nie mów tego, że już doświadczyłaś, gdyż życie twoje to nie wczoraj, to dziś, to jutro, to zawsze. Dla ciebie cała przyszłość, dla ciebie wszystko, co mam. Niech nie będzie myśli o rozłączeniu się naszem, ani o rozpaczy. Miłość jest potrzebą dusz naszych, miłość niech będzie naszem bóstwem. Będziemy żyli jedno dla drugiego.

— O!... Najjaśniejszy Panie, wszystko to jest tylko marzeniem.

— Dlaczego?

— Gdyż niepodobieństwo jest, abym na dwór powróciła!... Wygnana!... jakże mam ciebie zobaczyć?... Nie lepiejże pozostać w klasztorze i żyć w radosnem wspomnieniu twojej dla mnie miłości.

— Wygnana!... ty?... i któż śmie to uczynić, kiedy ja przywołuję?

— Najjaśniejszy Panie, to, co jest wyższem nad moc królewską!... opinja świata!... Zastanów się, Najjaśniejszy Panie, mógłżebyś żyć z kobietą wypędzoną, którą matka twoja splamiła podejrzeniem, a siostra napiętnowała karą; ta kobieta niegodną jest ciebie.

— Niegodną?... ta, która do mnie należy.

— Właśnie ta!... Najjaśniejszy Panie, gdyż skoro tylko była twoją, już jest niegodną.

— Masz słuszność, Ludwiko!... i wszystko, co jest najszlachetniejsze, jest w tobie. A więc!... nie będziesz wygnaną.

— Widać, Najjaśniejszy Panie, nie słyszałeś księżny.

— Odwołam się do mojej matki.

— O!... nie widziałeś i matki.

— I ona także?... o, biedna Ludwiko, a więc wszyscy byli przeciw tobie.

— Tak, tak, biedna Ludwika, którą, upadającą pod brzmieniem burzy, tyś przybył dobić.

— Przebacz!

— Wierz mi, Najjaśniejszy Panie, że nie przebłagasz ani jednej ani drugiej, złe jest bez ratunku. gdyż ci nie pozwolę użyć ani gwałtu, ani powagi władzy.

— A więc dobrze, ażeby ci dowieść, jak cię kocham, pójdę do księżny.

— Ty Najjaśniejszy Panie!

— Zmuszę ją do odwołania tego wyroku...

— Zmusisz?... o nie!... nie!...

— Prawda, zmiękczę ją!...

Ludwika poruszyła głową.

— Będę prosił, jeżeli potrzeba — rzękł Ludwik — a czy uwierzysz potem mojej miłości!

Ludwika podniosła głowę.

— O nie!... nie gniewaj się na mnie, Najjaśniejszy Panie; wolę umrzeć.

Król zamyślił się, a wyraz twarzy jego stał się ponurym.

— Będę kochał tak, jak ty kochasz, będę cierpiał, jak cierpiałaś, to będzie zmazaniem mej winy w oczach twoich. A teraz porzućmy te dziecinne rozważania bądźmy wielcy, jak nasza boleść, a silni jak nasza miłość.

I, to mówiąc wziął ją w swoje objęcia.

— Moje jedyne dobro, moje życie, pójdź ze mną.

Uczyniła ostatnie wysilenie, nie już zwyciężonej woli, ale sił fizycznych.

— Nie — odrzekła słabo — nie!... nie!... umrę ze wstydu!

— Wrócisz, jak królowa; nikt nie wie o twojem wyjściu, d'Artagnan tylko.

— On!... i on także mnie zdradził?

— Jakto?...

— Przysiągł mi...

— Przysiągłem, że nie powiem królowi — rzekł d'Artagnan, wsuwając głowę przez nawpół otwarte drzwi — i dotrzymałem słowa, mówiłem tylko o tem do pana de Saint-Agnan, a czy moja to wina, że usłyszał. Nieprawdaż, Najjaśniejszy Panie?...

— Prawda — odpowiedział król — przebacz mu więc.

La Valliere uśmiechnęła się i podała drobną i białą rączkę muszkieterowi.

— Panie d'Artagnan — rzekł król uradowany — każ poszukać jakiej karety dla pani.

— Kareta oczekuje — rzekł kapitan.

— O!... — rzekł król — jesteś wzorem sług.

— Spostrzegłeś to przecie — pomyślał d'Artagnan, ucieszony jednak tą pochwałą.

La Valliere była zwyciężona, po kilku jeszcze wahaniach dała się uprowadzić swemu królewskiemu kochankowi.

Lecz we drzwiach, wyrwawszy się raz jeszcze z rąk króla, wróciła, do krzyża kamiennego, i ucałowawszy go, rzekła:

"Boże, tyś mię powołał, tyś mię odepchnął lecz łaska twoja jest nieskończoną. Ale, gdy wrócę, już wówczas na zawsze.

D'Artagnan otarł także łzę z oka.

Król płakał.

Ludwik wyprowadził ją z pokoju, zaniósł prawie do karety i posadził z nią d'Artagnana.

Sam, wsiadłszy na konia, popędził do Pałacu Królewskiego, dokąd przybywszy, kazał uprzedzić księżnę, ażeby chciała pozwolić mu na najprędsze odwiedziny.

CLXXII

U KSIĘŻNY.

Z zachowania się króla względem posłów, najmniej przewidujący rokowali wojnę.

Posłowie nawet, sami nieświadomi tajemnic domowych króla, wytłumaczyli przeciw sobie te słynne słowa, wymówione przez króla.

"Jeżeli nie jestem panem siebie, będę dla tych, którzy mnie dotykają."

Na szczęście, dla losów Francji i Holandji, Colbert wyszedłszy za posłami, cokolwiek objaśnił im znaczenie tych groźnych słów.

Wszelako królowa matka i księżna dobrze je zrozumiały i wróciły do siebie, jeżeli nie przestraszone, to przynajmniej trochę niespokojne.

Księżna zwłaszcza przeczuwała, że gniew króla spadnie na nią, a że była śmiałą i dumną do najwyższego stopnia, zamiast szukać pomocy u królowej matki, wróciła do siebie, bynajmniej nie unikając spotkania z królem.

Od czasu do czasu, Anna Austrjacka posyłała po wiadomość, czy król nie wrócił.

Milczenie, jakie zachowali wszyscy w zamku o wypadku zniknięcia Ludwiki, było przepowiednią wielu nieszczęść dla tych, którzy znali charakter króla nieugięty i drażliwy.

Ale księżna, uzbrojona w roztropność przeciw wszelkim okolicznościom, przywołała Montalais'i, zamknąwszy się w swoich pokojach, kazała jej sobie opowiedzieć całe zdarzenie.

W chwili, kiedy wymowna Montalais kończyła opowiadanie z całą ostrożnością wytrawnego mówcy, radząc księżnie pobłażanie z dobrodziejstwem odwetu, pan Malicorne wszedł do pokoju, prosząc o posłuchanie dla króla.

Godny przyjaciel Montalais nosił na swej twarzy oznaki najwyższego wzruszenia.

I nie można się było nawet dziwić.

Rozmowa, jakiej żądał król, miała być jednym z najbardziej zajmujących rozdziałów w historji serca króla i człowieka.

Księżna zmieszała się zapowiedzianem przybyciem swego szwagra, gdyż nie spodziewała się go tak prędko.

Bo kobiety, które są tak zręczne w małych utarczkach, nigdy nie są tak zręczne i silne w walce otwartej.

Księżna, jakeśmy powiedzieli, należała do tych, co nie cofają się, i owszem miała nawet tę wadę czyli przymiot ujemny.

Poselstwo Malicorna uważała za odgłos trąby, zapowiadającej bitwę.

Podniosła śmiało rękawicę.

W pięć minut potem król już był u niej.

Skutkiem jazdy na koniu czerwony był, a suknie jego zapylone i w nieładzie stanowiły widoczną sprzeczność z wytwornem ubraniem księżny, która jednak pod warstwą różu zbladła.

Król bez przemówienia usiadł.

Montalais uciekła.

Księżna usiadła naprzeciw króla.

— Moja siostro — rzekł Ludwik — wiesz, że panna La Valliere uciekła tego rana od ciebie, unosząc boleść i rozpacz do klasztoru.

Wymawiając te słowa, głos króla był szczególnie wzruszonym.

— Pierwszy raz słyszę o tem od Waszej Królewskiej Mości.

— A ja myślałbym, że się pani już dowiedziała tego rana w czasie posłuchania.

— Po wzruszeniu Waszej Królewskiej Mości, domyślałam się, że musiało stać się coś nadzwyczajnego.

Król, który był otwarty i szedł prosto do celu, rzekł:

— Moja siostro! dlaczegożeś usunęła od siebie pannę La Valliere.

— Bo mi służba jej nie podobała się — odrzekła sucho księżna.

Król stał się pąsowym, a w oczach jego zapałał taki ogień, że, choć księżna odważną była, zaledwie zdołała go znieść.

Król powściągnął się jednak i mówił:

— Trzeba było bardzo ważnego powodu dla tak dobrej, jak ty moja siostro, ażeby, wypędzając, odebrać dobre imię, nietylko młodej dziewczynie, ale jej rodzinie całej. Wiesz, że Paryż ma oczy otwarte na postępowanie kobiet u dworu. Odesłać pan-

nę honorową, jest to przypisać jej zbrodnię, lub conajmniej błąd jaki. Jakąż to zbrodnię? jaki błąd popełniła panna La Valliere?

— Ponieważ przyjąłeś obowiązek obrońcy panny La Valliere — rzekła zimno księżna — powiem ci to, chociaż nie jestem obowiązana nikomu z tego zdawać rachunku.

— Ani nawet królowi!... — krzyknął Ludwik kładąc na głowę kapelusz w uniesieniu.

— Wasza Królewska Mość nazwałeś mię swoją siostrą, a ja jestem u siebie.

— Mniejsza o to — rzekł król, zawstydzony, że się uniósł — niech pani mówi, bo nie chcę, ażeby kto miał powiedzieć, iż w królestwie nikt nie chce tłumaczyć się przedemną.

— Jeżeli z tego zaczynasz tonu pozostaje mi tylko złożyć mój ukłon Waszej Królewskiej Mości i zamilknąć.

— Nie chwytajmy się za słowa.

— Opieka, jaką Wasza Królewska Mość okrywa La Valliere, nakazuje mi uszanowanie.

— Powtarzam, nie chwytajmy za słowa; wiesz pani dobrze, że, jako głowa szlachty francuskiej, winienem mieć w opiece sławę ich rodzin, gdy pani wypędzisz czy to pannę La Valliere, albo każdą inną.

Księżna wzruszyła ramionami.

— Albo każdą inną, powtarzam — dodał król — A ponieważ takie postępowanie pozbawia dobrego imienia, chcę więc dowiedzieć się, co zaszło takiego, ażebym mógł albo potwierdzić lub odwołać to postanowienie.

— Zmienić moje postanowienie?... — zawołała księżna wyniośle. — Jakto? jeżelim wypędziła od siebie jedną z mojego orszaku, Wasza Królewska Mość rozkażesz mi ją przyjąć napowrót.

Król milczał.

— Nie byłoby to wówczas nadużyciem władzy, Najjaśniejszy Panie, ale wprost nieprzyzwoitością.

— Pani!

— Jako kobieta, nie ulegnę temu nadużyciu, przechodzącemu granice przyzwoitości, bo, ulegając nie byłabym już księżną krwi, córką króla, lecz ostatnią ze wszystkich, niższą nawet od tej wypędzonej sługi.

Król podskoczył ze złości.

— Nie to nie serce bije w twoich piersiach; a jeżeli tak postępujesz ze mną, nie bierz za złe, że i ja podobnej użyję surowości.

Cios trafia często przypadkiem do zamierzonego celu.

Słowa, które król bez żadnego wymówił zamiaru, ugodziły w księżnę i zachwiały ją na chwilę.

Bała się, aby król kiedykolwiek nie użył odwetu.

— Wreszcie — rzekła — czegoż żądasz, Najjaśniejszy Panie?

— Pytam panią, co uczyniła panna La Valliere?

— Jest największą, jaką tylko znam intrygantką; poróżniła aż do pojedynku dwóch przyjaciół i tyle dała powodów do osławienia siebie, że na jej nazwisko wszyscy się wzdrygają.

— Ona! ona!... — rzekł król.

— Pod słodką powierzchownością — mówiła dalej księżna — ukrywa charakter chytry i złośliwy.

— Ona?

— Ty jej nie znasz, Najjaśniejszy Panie, i mogłeś się omylić, ale ja znam ją doskonale; ona jest zdolną wzniecić niezgodę między najlepszymi krewnymi i najwierniejszymi przyjaciółmi. Patrz i teraz ileż to już między nami niezgody.

— Memu zaprzeczam!... rzekł król.

— Najjaśniejszy Panie, uważaj — i teraz! żyliśmy w najlepszem porozumieniu, a jej chytrość i kłamane skargi sprawiły niezadowolenie Waszej Królewskiej Mości ze mnie

— Przysięgam, — rzekł król — iż nigdy wyraz skargi nie wyszedł z jej ust, przysięgam, że pomimo mojego uniesienia nie chciała się żalić na nikogo. Przysięgam, że nie masz dla siebie szczerszej i życzliwszej przyjaciółki, niż ona.

— Przyjaciółki... — podchwyciła księżna z wyrazem najwyższej pogardy.

— Strzeż się, pani — odrzekł król — panna La Valliere będzie tem, czem zechcę, ażeby była. Jutro, jeżeli mi się spodoba, zasiądzie na tronie.

— Ale przynajmniej na nim się nie urodziła, i wszystko możesz Wasza Królewska Mość zrobić dla jej przyszłości, ale nie dla przeszłości.

— Pani! byłem dla niej pełen względów i uprzejmości, nie chciej mi więc przypominać, że jestem królem.

— Powtórzyłeś mi to już dwa razy, Najjaśniejszy Panie! I miałam zaszczyt powiedzieć, że będę posłuszną.

— A zatem zechcesz mi sprawić przyjemność, ażeby La Valliere wróciła do ciebie.

— A to na co? skoro jej ofiarujesz tron, wówczas ja za mało jestem znaczącą, abym mogła być opiekunką takiej władczyni!

— Dość tej złośliwości i wzgardy. Zrób dla mnie tę łaskę.

— Nigdy.

— Doprowadzisz mię do niezgody w mojej rodzinie.

— Mam moją rodzinę tam, dokąd się usunę.

— Więc to pogróżka? więc do tego stopnia miałabyś się zapomnieć? Jeżeli posuniesz obrazę przeciw mnie, aż tak dalece, czyż myślisz, że twoja familja weźmie twoją stronę.

— Mam nadzieję, Najjaśniejszy Panie, że nie zmusisz mię do niczego, coby niegodnem było mojego stanu.

— Miałem nadzieję, że przypomnisz sobie naszą przyjaźń, że mię będziesz uważała za brata.

Księżna namyśliła się chwilę.

— Właśnie, że nie jest wyparciem się braterstwa takie niedopuszczenie do popełnienia niesprawiedliwości.

— Niesprawiedliwości?

— A! Najjaśniejszy Panie! gdybym opowiedziała postępowanie La Valliere światu, gdyby królowe wiedziały...

— No, Henrjetto, pozwól przemówić twemu sercu, przypomnij, żeś mię kiedyś kochała; nie zapominaj, że serce ludzi powinno być tak litościwe, jak i najwyższego Pana. Nie miej dla innych tej nieugiętości! Przebacz La Valliere.

— Nie mogę, ona mię obraziła.

— Ależ ja? ja?

— Wszystko dla ciebie uczynię, prócz tego, Najjaśniejszy Panie.

— A tak! doradzasz mi rozpacz, posuwasz mię do tej ucieczki ludzi słabych, radzisz mi gniew, wybuch.

— Najjaśniejszy Panie, radzę ci abyś był rozsądnym.

— Ja! już nim nie jestem, moja siostro.

— Najjaśniejszy Panie, bądź łaskaw!

— Moja siostro, miej litość. Pierwszy raz w życiu proszę cię, siostro; w tobie cała moja nadzieja.

— A! Najjaśniejszy Panie, ty płaczesz?

— Tak, z wściekłości i poniżenia, bo poniżony jestem aż do prośby! ja król... Całe życie przeklinać będę tą chwilę. Moja siostro, w jednej minucie dałaś mi tyle uczuć boleści, ilebym w najsmutniejszych kolejach życia może nie zaznał.

I królowi łzy popłynęły obficie; lecz były to łzy, prawdziwe gniewu i wstydu.

Księżny łzy te nie wzruszyły, bo kobieta najlepsza, w przystępie obrażonej dumy, nie zna litości lecz zlękła się, aby łzy te nie poruszyły innych w sercu króla namiętności.

— Rozkazuj więc, Najjaśniejszy Panie! a ponieważ przenosisz moje poniżenie nad swoje, chociaż moje stanie się publicznem, gdy tymczasem twoje miałoby tylko mnie za świadka, mów, będę posłuszną królowi.

— Nie! nie, Henrjetto — zawołał Ludwik, uniesiony wdzięcznością — uczynisz tylko zadość prośbie brata.

— Nie mam brata, gdy muszę być posłuszną rozkazom.

— Czy chcesz, ażebym ci oddał całe królestwo, w dowód wdzięczności!...

— O!... jakże mocno kochasz wtenczas kiedy prawdziwie kochasz.

Król nic nie odpowiedział.

Całował tylko rękę księżny.

— A więc — rzekł — przyjmiesz tą biedną dziewczynę, przebaczysz i poznasz jej słodycz i prawość charakteru.

— Będę ja trzymała w moim domu!...

— Nie!... nie, wrócisz jej swoją przyjaźń, moja siostro!...

— Ależ ja jej nigdy nie kochałam.

— Dla mojej przyjaźni obchodź się z nią dobrze, Henrjetto!

— Dobrze!... będę ją traktowała jak twoją faworytę.

Król powstał.

Słowami, które się tak niezręcznie wyrwały księżnie, zniszczyła cały urok ofiary.

Król nie był już jej za nie nic obowiązanym.

Dotknięty też do żywego, odpowiedział:

— Dziękuję ci, pani!... wieczne pamiętać będę przysługę, jaką mi uczyniłaś.

Przechodząc koło źwierciadła, spostrzegł swoje oczy zaczerwienione od płaczu i tupnął nogą z gniewu.

Ale było już zapóźno, gdyż Manicamp i Malicorne, stojący przy drzwiach, widzieli te oczy.

— Król płakał — pomyślał Malicorne.

D'Artagnan zbliżył się z uszanowaniem.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł zcicha — Wasza Królewska Mość wróci zapewne małemi schodami do siebie.

— Dlaczego?...

— Bo podróż umieściła porządną warstwę kurzu na jego twarzy.

— Do tysiąca djabłów — pomyślał d'Artagnan — wiem, co będzie tym, którzy sprawili, że król płakał.

CLXXIII

CHUSTKA PANNY LA VALLIERE.

Księżna nie była złośliwą, tylko porywczą.

Król nie był nierozsądny, tylko zakochany.

Zaledwie zrobili układ, który powracał La Valliere na dwór, a już oboje szukali, aby coś zyskać dla siebie w tym układzie.

Król chciał w każdej chwili dnia widzieć się z La Valliere.

Księżna, czując się dotkniętą groźbami króla, nie chciała bez walki dopuścić La Valliere.

Rozmaite więc robiła trudności królowi.

Król, chcąc widywać La Valliere, musiał często odwiedzać swoją bratową.

Z tego wypływała cała polityka księżny.

A że musiała wybrać kogoś do pomocy, a tym kimś była Montalais, król za każdym razem gdy przyszedł do księżny, był jakby oblężony, bo otaczano go i nie odstępowano.

Księżna w rozmowach rozwijała tyle dowcipu i uprzejmości, że wszystkich zaćmiła.

Montalais następowała po niej i wkrótce też stała się nieznośną dla króla.

I tego właśnie czekała.

Puściła więc w szranki Malicorna.

Ten znalazł sposobność powiedzenia królowi, że pewna osoba u dworu jest bardzo nieszczęśliwą.

Król spytał, która mianowicie.

Malicorne odpowiedział, że jest nią panna Montalais.

Wówczas król odpowiedział, że bardzo to dobrze, iż ona cierpi, bo innym dużo także daje do cierpienia.

Malicorne tłumaczył, że Montalais kazano tak postępować.

Królowi otworzyły się oczy.

Uważał też, że skoro tylko wchodzi, księżna wchodzi również, że jest zawsze na korytarzu, dopóki król nie odszedł i, że odprowadza króla dlatego, ażeby nie mógł rozmawiać w przedpokojach z żadną z jej panien.

Pewnego wieczora posunęła się jeszcze dalej.

Król, siedząc pomiędzy paniami, miał w ręku pod mankietem bilecik, który chciał koniecznie wsunąć do ręki La Valliere.

Księżna odgadła ten zamiar. Trudno było zabronić królowi, aby się udał, dokąd chce.

Król, który na wszystko uważał, domyślił się, że nań zastawiono sidła.

Powstając przeniósł, bez żadnego niby celu, krzesło swoje obok panny Chatillon, z którą żartował. Bawiono się w grę dorabiania wierszy do różnych końcówek; od panny Chatillon przeszedł do Montalais, później do panny Tonnay-Charente, a przez ten zręczny manewr znalazł się naprzeciw La Valliere, którą zasłaniał sobą zupełnie.

Księżna udała, że bardzo zajęta jest kwiatem, świeżo na dywanie wyszytym.

Król pokazał brzeżek listu La Valliere, ta wysunęła chustkę, a wzrok jej zdawał się mówić: "włóż go tu."

Król, niby chcąc położyć swoją chustkę, na krześle upuścił ją zręcznie na ziemię.

La Valliere zaś wsunęła swoją na krzesło.

Dość więc było La Valliere wziąć chustkę swoją, w której już był liścik.

Ale księżna widziała wszystko i rzekła do panny Chatillon:

— Chatillon, podnieś chustkę, bo upadła na dywan.

Młoda dziewczyna, spełniając rozkaz jak najspieszniej, poruszyła króla z miejsca i La Valliere zmieszała się i wtedy spostrzeżono drugą chustkę na krześle królewskiem.

— Ah! przepraszam — rzekła — Wasza Królewska Mość ma dwie chustki.

I król zmuszony był schować chustkę La Valliere razem ze swoją do kieszeni.

Zyskiwał przez to pamiątkę od kochanki, ale kochanka traciła za to czterowiersz, który kosztował króla dziesięć godzin pracy, a który miał wartość u niego długiego poematu.

Opisać z tego powodu gniewu króla, a rozpaczy La Valliere niepodobna.

Kiedy król wracał do siebie, Malicorne, niewiadomo przez kogo uprzedzony, znalazł się w przedpokoju.

Przedpokoje w Palais-Royal ciemne były i źle oświetlone.

Król lubił to półświatło, gdyż jestto ogólną cechą zakochanych, że, kiedy serce i umysł ich jest w ogniu, nie lubią gdzieindziej światła, tylko w sercu i umyśle.

Przedpokoje więc były ciemne i jeden tylko paź niósł świecę przed królem.

Król szedł wolnym krokiem, pożerany gniewem.

Malicorne, przechodząc blisko króla, prawie go trącił i prosił o przebaczenie z największą uniżonością, lecz król w złym humorze ofuknął Malicorna i ten uciekł coprędzej.

Ludwik położył się, posprzeczawszy się trochę z królową.

Nazajutrz w chwili, kiedy przechodził do swego gabietu, napadła go chętka ucałować chustkę La Valliere.

Zawołał kamardynera:

— Przynieś mi suknię, którą miałem wczoraj, uważaj tylko, abyś niczego z kieszeni nie wyrzucił.

Rozkaz spełniono, a król, szukając sam po kieszeniach, znalazł tylko swoją chustkę, chustka zaś La Valliere zniknęła.

I właśnie, kiedy wpadał na różne wnioski i podejrzenia, gdzieby się mogła podział, przyniesiono mu list od La Valliere w tych słowach:

"Jakaż to uprzejmość ze strony mego kochanego króla i pana, że mi przysłał te piękne wiersze. Jakże twoja miłość jest dowcipną i wytrwałą i jakże cię nie kochać."

— Co to znaczy — pomyślał król — w tem musi być jakaś omyłka!...

— Szukaj dobrze — rzekł do kamerdynera — szukaj chustki, musi być w którejkolwiek kieszeni, a jeżeliś ją wyjął...

Lecz zatrzymał się.

Robić wiele hałasu o stratę chustki byłoby to dać powód do rozmów; dodał więc:

— Miałem w niej ważną notatkę, która musiała się gdzieś wysunąć.

— Ależ Wasza Królewska Mość miał tylko jedną, tę oto chustkę.

— A! prawda — rzekł król, zgrzytając zębami. — O ubóstwo, jakże ci zazdroszczę! — pomyślał — szczęśliwy ten, co sam sobie wyjmuje chustki i bilety z kieszeni.

Odczytał liścik La Valliere, nie pojmując, jakimby sposobem czterowiersz mógł do niej dojść. W liście był jeszcze przypisek:

"Przesyłam przez posłańca Waszej Królewskiej Mości odpowiedź, tak mało wartą w porównaniu z jego biletem."

— A! to przecież dowiem się czegoś — rzekł z radością. — Kto przyniósł ten list? — zapytał.

— Pan Malicorne — odpowiedział bojaźliwie kamerdyner.

— Niech tu przyjdzie.

Malicorne wszedł.

— Przychodzisz od panny La Valliere — rzekł z westchnieniem.

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— I zaniosłeś coś odemnie pannie La Valliere?

— Ja, Najjaśniejszy Panie?

— Tak!

— Nie, Najjaśniejszy Panie, nie.

— Panna La Valliere wyraźnie to pisze.

— Panna La Valliere myli się.

Król zmarszczył brwi.

— Cóż to za żarty? — rzekł — wytłumacz się! dlaczego panna La Valliere nazywa pana moim posłańcem. Cóżeś zaniósł tej damie? odpowiedz natychmiast.

— Najjaśniejszy Panie, zaniosłem tylko pannie La Valliere chustkę i nic więcej.

— Chustkę? jaką chustkę?

— Najjaśniejszy Panie, w chwili, kiedym miał nieszczęście potrącić Waszą Królewską Mość, kiedy mi się zdarzyło to nieszczęście, które całe życie będę opłakiwał, nadewszystko zaś po nieukontentowaniu, jakie mi Wasza Królewska Mość oświadczył, wówczas, Najjaśniejszy Panie, stanąłem jak wryty z rozpaczy, gdyż Wasza Królewska Mość był już zadaleko, aby sły-

szeć moje uniewinnienie; wtem naraz zobaczyłem na ziemi coś białego.

— A! — rzekł król.

— Schyliłem się, była to chustka. Myślałem, że, trąciwszy Waszą Królewską Mość, spowodowałem wypadnięcie chustki z kieszeni, lecz, gdym podniósł tą chustkę, namacałem cyfrę, a była to cyfra panny La Valliere, domyśliłem się, że ona to przechodząc tamtędy upuściła chustkę i pospieszyłem zaraz jej odnieść. Oto wszystko com wręczył pannie La Valliere i błagam Waszą Królewską Mość, abyś raczył temu uwierzyć.

Malicorne był tak zmartwiony i tak pokorny, że król prawdziwą miał rozkosz, słuchając go.

Był mu wdzięczny za ten przypadek, jakby za największą przysługę.

— Oto już drugie szczęśliwe spotkanie z tobą, mój panie. Możesz liczyć na moją przyjaźń — rzekł król.

W rzeczywistości też dodajmy, Malicorne poprostu wyciągnął chustkę z kieszeni króla, jak najzręczniejszy rzezimieszek paryski.

Księżna nigdy nie dowiedziała się o tem.

Ale Montalais coś napomknęła pannie La Valliere, La Valliere opowiedziała to później królowi, a ten, śmiejąc się, nazwał Malicorna wielkim politykiem.

Ludwik XIV-ty miał słuszność, wiadomo bowiem, że znał się na ludziach.

CLXXIV

O OGRODNIKACH, DRABINACH I PANNACH HONOROWYCH.

Na nieszczęście, cuda nie zawsze trwać mogły, a zły humor księżny ciągle trwał.

Już przez cały tydzień król nie mógł spojrzeć na La Valliere, bez spotkania podejrzliwego wzroku.

Kiedy ułożono przechadzkę, księżna, aby uniknąć wypadku takiego, jak podczas deszczu, albo pod dębem królewskim, miała zawsze jakąbądź słabość na zawołanie i zaraz się oddalała, a naturalnie panny honorowe musiały powracać za nią do domu.

Widzieć się zaś w nocy było niemożliwem, gdyż przy pierwszej próbie król doświadczył bolesnego zawodu.

Bo, gdy jak w Fontainebleau, wziąwszy Saint-Agnana z sobą chciał pójść do La Valliere, zastał tam pannę de Tonnay-Charente, która tyle narobiła krzyku, iż cały regiment kobiet i paziów nadbiegł, i Saint-Agnan, który pozostał sam, dla ocalenia honoru króla, porządną dostał burę od królowej matki i księżny.

Nadto dwie osoby z rodziny Mortemart wyzwały go na pojedynek, i dla pogodzenia ich wdać musiał się w to, aż król.

Nieporozumienie to stąd nastąpiło, że księżna kazała niespodzianie zmienić mieszkanie swoim pannom, wskutek czego La Valliere i Montalais miały przeznaczony na sypialnię gabinet obok pokoi księżny.

Nic już nie można było wykonać, nie było można nawet, ani listów pisać pod okiem tak srogiego Argusa i tak niejednostajnego humoru jak księżny, gdyż było to wystawić się na największe niebezpieczeństwo.

Wyobrazić też sobie można do jakiego stopnia wzburzenia i złego humoru doprowadziły młodego lwa wszystkie te przeciwności.

Król łamał sobie głowę nad wynalezieniem jakiegoś środka, ale, nie zwierzywszy się ani d'Artagnanowi, ani Malicornowi, nie mógł znaleźć żadnego.

Malicorne miał kilka niezłych pomysłów, aby ośmielić króla do zupełnego zwierzenia się, lecz czy to przez wstyd czy niedowierzanie, król nie chciał mu zaufać.

Tak, naprzykład, pewnego wieczora, kiedy król, chodząc po ogrodzie, smutno spoglądał na okna księżny, Malicorne trącił drabinę, leżącą pod szpalerem, i rzekł do Manicampa, który szedł z nim za królem, nic nie widząc, i nic nie słysząc:

— Nie widziałeś, żem się uderzył o drabinę i tylko co nie upadł?

— Nie!... — rzekł Manicamp, jak zawsze roztargniony — aleś przecie nie upadł?

— Mniejsza o to, ależ to niebezpiecznie zostawiać tak drabiny!

— Tak! można się skaleczyć, zwłaszcza kiedy się jest roztargnionym.

— Ale ja o tem nie myślę, ja mówię, że to nie dobrze jest zostawiać drabiny pod oknami panien honorowych.

Ludwik zadrżał niepostrzeżenie.

— Jakto... — rzekł Manicamp.

— Mówże głośniej — podszepnął mu Malicorne, trącając go łokciem.

— Jakto? głośniej?... — rzekł Manicamp.

Król nadstawił uszu.

— Bo właśnie taka drabina dziewiętnaście stóp długa sięga, aż do okien.

Manicamp, zamiast odpowiedzieć, marzył.

— Pytajże mnie do jakiego okna!... — szepnął mu Malicorne.

— Ale o jakich oknach mówisz?... — zapytał głośno Manicamp.

— O oknach księżny.

— Ależ?

— Ja nie mówię, ażeby kto miał wchodzić oknem do księżny, ale w gabinecie księżny, oddzielonym cieniutkiem przepierzeniem, sypiają panna La Valliere i Montalais, a to ładne panienki.

— Tylko cienkiem przepierzeniem — rzekł Manicamp.

— Patrz oto apartamenty księżny oświetlone. Widzisz te dwa okna?

— Widzę.

— A to okno obok nich, mniej oświetlone, czy widzisz?

— Doskonale.

— To właśnie okno panien honorowych; patrzaj, oto i panna La Valliere otwiera okno i, gdyby miała jakiego śmiałego kochanka, pewnoby ten skorzystał z drabiny, aby chwilkę z nią pomówić.

— Ależ ona tam nie jest sama, bo powiedziałeś, że jest i panna Montalais.

— O! tej to jakby nie było! to przyjaciółka od dzieciństwa i zupełnie jej oddana. A zresztą jej powierzyć tajemnicę, to wszystko jedno, co wrzucić do studni.

Król słyszał całą rozmowę.

Nawet Malicorne zauważył, że król zwolnił kroku, aby mógł ją wysłuchać.

Przyszedłszy do drzwi, pożegnał wszystkich prócz Malicorna. Nikogo to jednak nie zadziwiło, wiedziano bowiem, że król jest zakochany i, że układa wiersze po księżycu, a chociaż księżyc nie świecił tego wieczora, nie przeszkadzało to zajmować się wierszami.

Kiedy wszyscy odeszli, król rzekł do Malicorna.

— Co to pan mówiłeś o jakiejś drabinie?

— Ja, Najjaśniejszy Panie, mówiłem o drabinie?

I Malicorne wzniósł oczy do góry, jakby sobie przypominał.

— Tak! o drabinie dziewiętnaście stóp długiej!

— A! prawda! Najjaśniejszy Panie, ale ja mówiłem do pana Manicamp i pewnobym się nie ośmielił, gdybym się spodziewał, że Wasza Królewska Mość nas słyszy.

— I dlaczegóżbyś nie mówił wówczas?

— Bo nie chciałbym, ażeby biedak ogrodnik był zgromiony za to, że ją tam zostawił.

— Nie bój się pan .o to! ale cóż to za drabina?

— Wasza Królewska Mość chce ją widzieć?

— Tak.

— Nic łatwiejszego, oto jest tam.

— W tym szpalerze?

— Tak.

— Pokaż mi ją.

Malicorne zaprowadził do niej króla.

— Oto jest, Najjaśniejszy Panie.

— Wyciągnij ją trochę.

Malicorne wyciągnął ją na ścieżkę.

— Hm! hm!... — rzekł król — mówisz, że ma dziewiętnaście stóp długości.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie!

— Dziewiętnaście stóp! o! to długa, ale nie zdaje mi się, ażeby tyle miała.

— Bo też tak odrazu nie można dobrze zmierzyć, Najjaśniejszy Panie, daleko łatwiej byłoby dojść prawdy, gdyby drabina była oparta o drzewo albo o mur.

— To wszystko jedno! ale mnie się jednak nie zdaje, ażeby była tak długą.

— Wiem, że Wasza Królewska Mość ma niezawodną miarę w oku, a jednak założyłbym się o to.

Król pokiwał głową.

— Jest sposób niezawodny sprawdzenia — rzekł Malicorne.

— Jaki?

— Każdy to wie, że od dołu, aż do pierwszego piętra wysokość pałacu wynosi stóp osiemnaście.

— To prawda.

— A zatem, opierając drabinę o mur, łatwo się przekonać.

— A prawda.

Tymczasem Malicorne już oparł drabinę o mur.

I czy przypadkiem, czyli też umyślnie, podstawił drabinę pod okno La Valliere.

Drabina zupełnie przypadła pod pierwsze piętro, tak, iż człowiek, stojący na jej przedostatnim szczeblu, łatwo mógł rozmawiać z osobami, stojącemi w oknie.

Skoro tylko drabina została postawiona, król porzucając udawanie, do jakiego się zmuszał, wlazł po niej do góry, a Malicorne podtrzymywał ją; lecz zaledwie był w połowie drogi, kiedy patrol z oddziału gwardji Szwajcarów pokazał się w ogrodzie, postępując wprost ku drabinie.

Król, zlazłszy coprędzej, schował się w krzaki.

Malicorne pojął, że musi się tu poświęcić.

Gdyby bowiem był także się schował, szukanoby dopóty, dopóki nie znalezionoby jego i króla.

Lepiej więc byłoby, gdyby znaleziono tylko jednego.

Dlatego też tak się tylko schował, ażeby go zaraz zobaczono, co też nastąpiło.

Aresztowano go, zaprowadzono na odwach, lecz tam został poznany i natychmiast uwolniony.

Tymczasem król, od krzaku do krzaku, dostał się do drzwi swego mieszkania, bardzo z tego zdarzenia niezadowolony.

Tembardziej, że hałas, stąd powstały, ściągnął do okna La Valliere, Montalais, a nawet księżna pokazała się w swojem oknie, zapytując co się stało.

Napróżno Malicorne i d'Artagnan, który przybiegł na wezwanie pierwszego, wysilali dowcip dla nadania jakiegoś pozoru temu wypadkowi, Malicorne musiał przyznać się wreszcie, że chciał wejść po drabinie do pokoju panny Montalais, tak, jak przedtem Saint-Agnan wyznał, że chciał otworzyć drzwi do pokoju panny de Tonnay-Charente.

Księżna była nieubłaganą z dwóch przyczyn: jeżeli istotnie Malicorne chciał wejść do pokojów w nocy po drabinie, aby widzieć pannę Montalais, był to postępek godny kary.

Jeżeli zaś Malicorne nie działając dla siebie, służył tylko za pośrednika pomiędzy La Valliere i inną, której nie chciał wymienić, osobą, występek jego był jeszcze cięższym, gdyż nie miał za sobą zaślepienia namiętności, któraby go tłumaczyła.

Księżna narobiła stąd wiele hałasu i kazała Malicorna usunąć z dworu księcia, — i w zaślepieniu gniewu zapomniała, że Malicorne i Montalais, jak to mówią, mieli ją w ręku za odwiedziny u Guicha i wiele innych równie drażliwych wydarzeń.

Montalais, rozjątrzona, chciała się natychmiast pomścić, ale Malicorne przekonał ją, że względy króla zastąpią tą niełaskę, i że nie będzie bez korzyści cierpieć trochę dla króla.

I Malicorne miał słuszność.

Dlatego też Montalais, chociaż uparta dziesięć razy bardziej, niż inne kobiety, dała się wreszcie przekonać.

A i król niemało do tego dopomógł.

Najprzód kazał wypłacić Malicornowi, jako wynagrodzenie za stracone miejsce, pięćdziesiąt tysięcy liwrów.

Potem umieścił go na swoim dworze szczęśliwy, że choć tem pomścić się może na księżnie za wszystkie jemu i La Valliere wyrządzone przykrości.

Ale, nie mając Malicorna, którýby mu kradł chustki i mierzył długość drabiny, biedny kochanek był w wielkim kłopocie.

Bo nie było nadziei zbliżyć się do La Valliere, dopóki będzie w Palais Royal.

Najwyższy majestat i największe pieniądze nie mogły temu zaradzić.

Na szczęście, Malicorne czuwał i tak się starał, że spotkał się z Montalais; wprawdzie i ona też czyniła, co mogła, aby się z nim spotkać.

— Co robisz w nocy u księżny?... — spytał ją.

— W nocy... śpię!... — odpowiedziała.

— Jakto? śpisz?

— Bezwątpienia!

— Ależ to bardzo źle spać, kiedy kto ma tak wielkie zmartwienie, jak panna?

— A jakież ja mam zmartwienie?

— Czyż nie rozpaczasz z powodu mojej nieobecności?

— Ależ nie!... dostałeś pięćdziesiąt tysięcy liwrów i miejsce u króla.

— Mniejsza o to!... jesteś bardzo zmartwioną, że mnie nie widujesz tak często, jak dawniej, i jesteś nadewszystko w rozpaczy, żem stracił zaufanie u księżny, nieprawdaż?

— O!... tak, to prawda!

— Otóż zmartwienie przeszkadza ci spać w nocy i dlatego też płaczesz, wzdychasz i ucieraz nos bardzo mocno, dziesięć razy na minutę.

— Ależ, mój kochany, księżna nie może znieść najmniejszego hałasu.

— Wiem o tem dobrze, i dlatego księżna, widząc, tak mocną twoją boleść, nie omieszka jaknajprędzej usunąć cię od siebie.

— Rozumiem!

— Nareszcie!

— Ale cóż potem będzie?

— A to będzie, że La Valliere sama jedna, rozłączona z tobą, będzie w nocy jeszcze mocniej płakać i wzdychać, niż byście to we dwie uczyniły.

— A wtenczas przeniosą ją do innego pokoju!

— Oto właśnie chodzi.

— Tak!... ale do którego?...

— Do którego?...

— Widzisz, jesteś trochę zakłopotany, mój panie wynalazco!...

— Bynajmniej; bo jakikolwiek będzie ten pokój, zawsze będzie lepszy od pokoju przy księżnie.

— I to prawda!...

— No, zacznij więc od dziś swoje jeremiady.

— Nie zaniedbam.

— I oświeć co do tego La Valliere.

— Nie bój się, dość ona płacze po cichu.

— Dobrze!... to teraz niech płacze głośno.

Po tej rozmowie rozeszli się.

CLXXV

O STOLARSTWIE I O SPOSOBIE UMIESZCZENIA SCHODÓW.

Rada, dana Montalais, udzielona została La Valliere.

Ta poznała, że nie braknie jej roztropności, i po niewielkim oporze, pochodzącym bardziej z wrodzonej bojaźliwości, niż oziębłości, zgodziła się na wykonanie planu.

Dwie kobiety, płaczące i rozpaczające w pokoju sypialnym księżnej, były arcydziełem Malicorna.

A ponieważ nic nie masz prawdziwszego nad niepodobieństwo, nic naturalniejszego nad romantyczność, pomysł ten, wyjęty prawie z Tysiąca i Jednej Nocy, udał się u księżny najdoskonalej.

Najprzód oddaliła Montalais, a w trzy dni później La Valliere.

Dano im pokoje nad pokojami szambelanów i paziów.

Jedno piętro, a właściwie jedna deska przedzielała panny honorowe od mężczyzn.

Osobne schody, pod nadzorem pani de Navaille, prowadziły do ich pokojów.

Dla większej pewności pani de Navaille, wiedząc o poprzednich zamiarach króla, kazała zakratować okna i kominy w pokoju Ludwiki.

Cnota więc panny La Valliere, której pokój był bardzo do klatki podobnym, była zupełnie zabezpieczoną.

Panna La Valliere, którą księżna, od czasu oddania jej pod dozór pani de Navaille, nie używała do usług, nie miała nic więcej do roboty, tylko wyglądać zakratowanem oknem.

Otóż pewnego poranku, wyglądając podług zwyczaju, spostrzegła Malicorna w oknie, równoległem do jej okna.

Trzymał w ręku narzędzie ciesielskie, oglądał budowle i pisał obliczenia architektoniczne na kawałku papieru.

Podobny był bardzo do inżyniera, zdejmującego plan twierdzy.

La Valliere, poznawszy go, powitała ukłonem.

Malicorne, odpowiedziawszy również uprzejmym ukłonem, umknął z okna.

La Valliere zdziwiła się tą oziębłością, niezwykłą przy jego charakterze, lecz, przypomniawszy sobie, że prawie przez nią stracił miejsce, że przeto nie mógł być dla niej bardzo uprzejmym, bo ona pewno nigdy nie będzie w stanie wynagrodzić mu tego, nie dziwiła się już jego postępkowi.

La Valliere wprawdzie spytałaby o to Montalais, lecz jej nie było, o tej bowiem godzinie Montalais pisywała listy.

Wtem spostrzegła, że coś wyrzucono z okna, w którem stał przed chwilą Malicorne; przedmiot wpadł do jej pokoju; podniosła go, była to szpulka, na której zwykle obwija się jedwab, a na której tym razem obwinięty był papier.

La Valliere odwinęła i zaczęła czytać:

"Pani!

Bardzo mię niepokoi nieświadomość dwóch rzeczy!

Po pierwsze: nie wiem, czy podłoga w pokoju pani jest z desek, czy z cegieł?

Po drugie: jaka jest odległość od łóżka pani do okna?

Proszę przebaczyć moją śmiałość i odpowiedzieć na tym samym liście, wyrzucając go oknem na ziemię. A zarazem wierzyć proszę, że jestem jej najniższym sługą."

— O!... biedny chłopiec — zawołała La Valliere — dostał pomieszania zmysłów.

I zwróciła wzrok, pełen politowania na Malicorna, stojącego w głębi okna.

Malicorne zrozumiał to i potrząsł głową, jakby chcąc wyrazić:

"Nie, nie, bądź spokojną, ja mam zdrowe zmysły."

Potem, poruszając ręką, jakby pisał, zdawał się mówić: odpisuj pani prędko. Chociażby nawet miał pomieszanie zmysłów, La Valliere nie widziała wtem nic nieprzyzwoitego, ażeby uczynić to, czego żądał: wzięła więc ołówek i napisała:

"Z desek."

Potem odliczyła dziesięć kroków od łóżka do okna i napisała:

"Dziesięć kroków."

Potem rzuciła okiem w stronę, gdzie był Malicorne, a ten dał jej poznać, że schodzi nadół.

La Valliere domyśliła się, że czyni on to dla podjęcia biletu, zbliżyła się więc do okna i wyrzuciła pismo nieznacznie.

Jeszcze szpulka, na której był bilet toczyła się po kamieniach ciosowych, kiedy Malicorne już porwał ją, rozwinął i, czytając pobiegł ku mieszkaniu pana de Saint-Agnan.

Saint-Agnan podobny do tych roślin, co dla rozwinięcia się lepszego koniecznie potrzebują słońca, wybrał albo raczej prosił o mieszkanie w bliskości króla.

Mieszkanie to składało się z dwóch pokoi w tym samym pawilonie co i królewskie.

Saint-Agnan dumny był z tego sąsiedztwa, bo dawało mu łatwiejszy przystęp do króla, a powtóre, nastręczało sposobność przypadkowego spotkania.

W tej chwili, kiedy to mówimy, zajęty był właśnie wyszukanem przyozdobieniem pokoju, licząc na szczęście, że kiedy niekiedy będzie tu miał odwiedziny królewskie, gdyż Jego Królewska Mość, od czasu zajęcia się panną La Valliere, uczynił go swoim powiernikiem i nie mógł się obejść bez niego, ani w dzień, ani w nocy.

Malicorne kazał się zaprowadzić do hrabiego, nie spotykając żadnej w tem trudności, gdyż był dobrze od króla widziany, a łaski jednego są miarą grzeczności dla innych.

Saint-Agnan spytał odwiedzającego, jakie ma nowiny.

— I wielkie — odrzekł tenże.

— No i cóż?... — spytał Saint-Agnan, ciekawy, jak każdy ulubieniec.

— Panna La Valliere zmieniła mieszkanie.

— Jakto?... — rzekł Saint-Agnan, otwierając oczy z zadziwienia.

— Tak!

— Przecież mieszkała u księżny?

— Niezawodnie. Ale sąsiedztwo to budziło księżnę i umieściła ją nad pokojami, które pan masz zająć.

— Jakto?... tam na górze?... — krzyknął Saint-Agnan zdziwiony, wskazując o piętro wyżej.

— Nie — rzekł Malicorne — tam!... — wskazał mu budowlę przeciwległą.

— Dlaczegóż więc pan mówisz, że jej pokój jest nad moim?

— Gdyż jestem pewny, że pański pokój powinien być koniecznie pod pokojem panny La Valliere.

Na te słowa Saint-Agnan spojrzał na Malicorna wzrokiem, jakim przed kwadransem spojrzała nań La Valliere.

— Zaraz odpowiem na myśl pańską — rzekł Malicorne.

— Jakto?... — podchwycił Saint-Agnan.

— Bezwątpienia, nie zrozumiałeś pan wcale tego, co mówiłem.

— Przyznaję.

— Zapewne wiesz pan, że pod mieszkaniami panien honorowych są pomieszczeni dworzanie króla i księcia.

— Tak!... gdyż Manicamp, de Wardes i inni tam mieszkają.

— Tak!... tak!... i podziwiaj pan teraz szczególność zdarzenia; właśnie dwa pokoje, przeznaczone dla pana de Guiche, są pod pokojami, w których teraz mieszkają Montalais i La Valliere.

— Więc cóż stąd?...

— A to, że pokoje te są wolne, gdyż pan de Guiche leży ranny w Fontainebleau.

— Przysięgam panu, że nie zgadnę, na co to wszystko.

— O!... gdybym ja miał szczęście być panem de Saint-Agnan, zgadłbym natychmiast.

— I cóżby pan zrobił?

— Zamieniłbym natychmiast pokoje, zajęte przezemnie, na pokoje, niezajęte przez pana de Guiche!

— Co też pan mówisz — rzekł dumnie Saint-Agnan — ja miałbym opuścić najzaszczytniejsze miejsce, to jest sąsiedztwo króla, przywilej udzielany tylko książętom krwi i parom. Ależ mój kochany panie de Malicorne, pozwól sobie powiedzieć, żeś stracił zmysły.

— Panie!... — odrzekł poważnie Malicorne. — Popełniasz dwa błędy: pierwszy, że mnie nazywasz de Malicorne, kiedy się tylko nazywam Malicorne poprostu; drugi, że przypisujesz mi utratę zmysłów.

Potem wyciągając papier z kieszeni, rzekł:

— Posłuchaj pan!... a potem pokażę panu, co tu jest.

— Słucham — rzekł Saint-Agnan.

— Wiesz pan, że księżna pilnuje tak La Valliere, jak Argus Nimfę Jo.

— Wiem o tem.

— Wiesz pan, że król chciał nieraz pomówić z La Valliere, lecz ani panu, ani mnie nie udało się nastręczyć mu do tego sposobności.

— O!... o tem, i pan wiesz dobrze, mój biedny panie Malicorne.

— No, i cóż pan myślisz?... coby spotkało tego, któryby wynalazł sposób zbliżenia dwojga kochanków?

— O!... król nie skąpiłby swych łask.

— A nie chciałbyś pan, panie Saint-Agnan, korzystać choć cokolwiek z tej łaski królewskiej?

— Czemuż nie? — względy bowiem mojego pana za dopełniony przezemnie obowiązek byłyby dla mnie najpożądańsze!

— Skoro tak, patrz na ten papier.

— Cóż to jest?... A! to jakiś plan?

— Tak! plan dwóch pokojów pana de Guiche które ja uważam już za pańskie.

— O! co nie, to nie!

— Ale dlaczegóż?

— Bo moich pokojów zazdroszczą mi panowie de Roquelaure, de la Tere i Dangeau.

— A więc żegnam pana, panie hrabio, i idę ofiarować jednemu z tych panów plan i korzyści, do niego przywiązane.

— A czemuż go pan nie zachowasz dla siebie? — spytał Saint-Agnan z niedowierzaniem.

— Ponieważ król nigdy nie uczyni mi tego zaszczytu, aby miał przyjść do mnie, co łatwo dla jednego z tych panów zrobi!

— Co? król pójdzie do jednego z nich.

— Dziesięć razy na dzień! Jakto! pan pytasz, czy król pójdzie do pokojów, które go zbliżą do panny La Valliere?

— Pięknie zbliżą!... kiedy całe piętro ich przedziela.

Malicorne znowu rozwinął swój plan.

— Panie hrabio, uważaj pan, podłoga w pokoju panny La Valliere jest z desek.

— No i cóż stąd?

— Jakto co? wezwiesz pan cieślę, który zamknięty u pana i, nie wiedząc gdzie jest, wytnie dziurę u pana w suficie, a tem samem w podłodze u panny La Valliere.

— A! mój Boże — krzyknął Saint-Agnan odurzony.

— A co — odrzekł Malicorne.

— Ja mówię, że to pomysł zbyt śmiały.

— Ale królowi wyda się bardzo prostym.

— Bo zakochani nie widzą niebezpieczeństwa.

— Jakiegoż niebezpieczeństwa obawiasz się pan, panie hrabio?

— Ależ wypiłowanie podobnego otworu spowoduje hałas, który wszyscy w zamku usłyszą.

— O! jestem pewny, panie hrabio, iż rzemieślnik, którego wskażę, zrobi to bez najmniejszego hałasu: wypiłuje sześciostopowy czworokąt piłą, owiniętą pakułami, bez najmniejszego hałasu; nawet najbliżsi sąsiedzi nie usłyszą.

— A! kochany panie Malicorne, takeś mię odurzył, zmieszał.

— Mówię dalej — rzekł spokojnie Malicorne — w pokoju, w którym każesz pan wypiłować dziurę... uważaj pan dobrze!

— Uważam!

— Każesz pan postawić schody, które dozwolą albo pannie La Valliere zejść do pana, albo królowi wejść do panny La Valliere.

— Ależ te schody każdy zobaczy?

— Nie, gdyż pan każesz je zakryć przepierzeniem i okryć obiciem takiem, jak cały pokój, od panny La Valliere zaś zakryte będą klapą, stanowiącą część podłogi; klapa otwierać się będzie pod jej łóżkiem.

— Prawda — rzekł Saint-Agnan, a oczy mu zabłyszczały radością.

— A teraz nie potrzebuję powtarzać panu, że król bardzo często odwiedzać będzie pokój, w którym będą takie schody. Zdaje mi się, że pan Dangeau zwłaszcza będzie zachwycony moim pomysłem, idę więc mu go zaproponować.

— A! kochany panie Malicorne — zawołał Saint-Agnan — zapomniałeś, żeś mnie pierwszemu go proponował, a zatem ja mam pierwszeństwo.

— A więc pan chcesz pierwszeństwa?

— Ależ i bardzo chcę!

— To pewna, że tym sposobem na pierwszy raz daję panu order, a może potem i niezłe jakie księstwo.

— A przynajmniej będę miał sposobność — rzekł Saint-Agnan, zaczerwieniony z radości — okazać królowi, że nie napróżno nazywa mię czasem swoim przyjacielem, sposobność zaś tę będę winien panu.

— I nie zapomnisz pan o tem — rzekł Malicorne z uśmiechem.

— Będzie to dla mnie chlubą.

— Ja, panie, nie jestem przyjacielem króla, tylko jego sługą.

— Jeżeli pan sądzisz. że w tych schodach jest dla mnie niebieska wstęga, zdaje mi się, że dla pana znajdzie się tam dyplom szlachecki.

Malicorne ukłonił się.

— Idzie tylko teraz — rzekł Saint-Agnan — o zmianę mieszkania.

— Zdaje mi się, że król temu się nie będzie sprzeciwiał. Spytaj go pan o to.

— Biegnę natychmiast do niego.

— A ja idę szukać rzemieślnika, którego potrzebujemy.

— Kiedyż go będę miał?

— Dziś wieczorem.

— Nie zapomnij pan o ostrożności.

— Przyprowadzę go z zawiązanemi oczami.

— A ja przyślę panu karetę.

— Tylko bez herbów.

— I jednego z moich ludzi, ale bez liberji.

— Bardzo dobrze, panie hrabio!

— Ale La Valliere?

— Cóż?

— Co ona powie, gdy zobaczy tę robotę?

— Ręczę panu, że to ją ubawi.

— Wierzę.

— Jestem nawet pewny, że kiedy król nie będzie tak śmiały, aby pójść do niej, ona będzie miała ciekawość zejść na dół.

— Miejmy więc nadzieję — rzekł Saint-Agnan.

— Tak!... spodziewamy się — powtórzył Malicorne.

— Pójdę więc do króla.

— I to będzie najlepiej.

— Ale o której godzinie rzemieślnik?...

— O ósmej.

— A jak długiego czasu potrzebować będzie do wypiłowania tej dziury?...

— Mniej więcej dwie godziny. Ale potem potrzebować będzie jeszcze dłuższego czasu do wygładzenia i przypasowania klapy, co razem ze zrobieniem schodów zajmie najmniej całą noc i pół dnia jutrzejszego.

— Dwa dni, to długo.

— No przecież, kiedy się robi drzwi do raju, trzeba, aby te drzwi były arcydziełem.

— Masz słuszność. Do widzenia więc, kochany panie Malicorne, ja będę mógł przenieść się pojutrze wieczorem.

CLXXVI

PRZECHADZKA PRZY POCHODNIACH.

Saint-Agnan, ucieszony tem, co słyszał i co przewidywał, pobiegł do pokojów, przeznaczonych dla pana de Guiche. On, co przed kwadransem pewno nie odstąpiłby swoich za miljon, teraz dałby chętnie, gdyby żądano miljon, za te dwa pokoje.

Ale go nic nie kosztowały.

Pan de Guiche nie wiedział nawet, gdzie będzie mieszkał, a będąc jeszcze cierpiący, wcale się tem nie zajmował.

Saint-Agnan zajął więc pokoje, przeznaczone dla Guicha.

Pan Dangeau dostał pokoje Saint-Agnana dając porękawicznego rządcy pana de Saint-Agnan sześć tysięcy liwrów, w przekonaniu, że najświetniejszy zrobił interes.

Dwa zaś pokoje pana Dangeau miały być na przyszłość miesz kaniem Guicha.

Co do pana Dangeau, ten był tak zmianą tą uszczęśliwiony, że mu nie przyszło nawet na myśl zastanowić się, dlaczego Saint-Agnan opuszczał te pokoje.

W godzinę potem Saint-Agnan był już w nowem mieszkaniu, a w dziesięć minut po nim przybył Malicorne z rzemieślnikiem.

Tymczasem król nieraz już zapytał o Saint-Agnana.

Posłano do jego mieszkania, lecz tam już był Dangeau, znaleziono go więc w nowem.

Król okazał już był kilka razy niecierpliwość; wtem wszedł Saint-Agnan.

— I ty mnie także opuszczasz — rzekł Ludwik XIV-sty tak żałosnym tonem, jakim przed tysiąc ośmiuset laty miał wyrzec cezar “et tu quoque.”

— Najjaśniejszy Panie! ja nie opuszczam Waszej Królewskiej Mości, lecz tylko przeprowadzam się.

— Jakto? myślałem, żeś to już od trzech dni skończył.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie! ale już mi tam niewygodnie i przenoszę się do skrzydła przeciwległego.

— A co, nie mówiłem, że mnie opuszczasz — zawołał król. — Ależ to już przechodzi wszystko. Znalazłem kobietę, która odpowiedziała mojemu sercu. Cała moja rodzina sili się, aby mi ją wydrzeć! Miałem przyjaciela, któremu powierzałem swoje cierpienia i znosiliśmy ciężar ich razem, ale i ten znudzony memi skargami, porzuca mnie, nie pożegnawszy się nawet ze mną.

Saint-Agnan zaczął się śmiać.

Król domyślił się, że w tym braku uszanowania jest jakaś tajemnica.

— Co to znaczy?... — zawołał król, pełen nadziei.

— To znaczy, Najjaśniejszy Panie, że ten przyjaciel którego Wasza Królewska Mość tak spotwarza, chce przywrócić królowi stracone szczęście.

— Ty zrobisz to, że zobaczę La Valliere?... — zawołał król.

— Nie zaręczam jeszcze, Najjaśniejszy Panie! Ale...

— Ale...

— Ale mam nadzieję.

— A jakże to? jakim sposobem? opowiedz mi Saint-Agnan, jaki masz plan, ja ci całą moją możnością dopomogę.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Saint-Agnan — nie wiem jeszcze, jakim się to stanie sposobem; ale zdaje mi się, że jutro!...

— Jutro mówisz?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— O! co za szczęście, ale dlaczegoż przeniosłeś się.

— Ażeby lepiej służyć Waszej Królewskiej Mości.

— I cóż to ma do tego?

— Czy wie Wasza Królewska Mość, gdzie są pokoje, przeznaczone dla pana de Guiche?

— Wiem!

— A więc Wasza Królewska Mość wie, gdzie mieszkam?

— Bezwątpienia, ale to mi nic jeszcze nie objaśnia.

— Jakto! i Wasza Królewska Mość nie pojmujesz, że nad pokojami temi są dwa pokoje.

— Czyje?

— Jeden z nich jest panny Montalais!

— A drugi pewno panny La Valliere?

— A tak, Najjaśniejszy Panie!

— Prawda! prawda, Saint-Agnanie, to nader szczęśliwy pomysł, pomysł przyjaciela, poety, i zbliży mnie do niej, chociaż wszyscy rozłączają. Jesteś więcej dla mnie, niżeli był Pylades dla Orestesa i Patrokles dla Achilesa.

— Najjaśniejszy Panie!... — rzekł Saint-Agnan z uśmiechem — gdy Wasza Królewska Mość pozna mój plan w całej rozciągłości, zapewne nie zrobi mi tak zaszczytnego porównania. Wiem, co powiedzą niektórzy purytanie dworscy, skoro tylko dowiedzą się, co chcę uczynić dla Waszej Królewskiej Mości.

— Saint-Agnan, umieram z niecierpliwości, usycham i nie będę czekał do jutra. Jutro, jutro, ależ to wiek cały.

— A pomimo to, trzeba, Najjaśniejszy Panie, abyś tą niecierpliwość zwyciężył długą jaką przechadzką.

— Z tobą, niech i tak będzie. Rozpatrzywszy twój pomysł, mówże mi o niej!

— Nie, Najjaśniejszy Panie, ja zostaję.

— A skimże pójdę?

— Z paniami.

— Ani myślę, mój Saint-Agnanie.

— Ale tego trzeba koniecznie, Najjaśniejszy Panie!

— Nie! nie, tysiąc razy nie. Nie chcę się wystawiać na okropne cierpienie, być o dwa kroki od niej, widzieć ją, dotykać jej sukni, przechodzić obok, a nie módz do niej ani słowa przemówić. Nie chcę tego udręczenia, które ty nazywasz szczęściem, a które jest dla mnie najokropniejszą męczarnią; widzieć ją wobec wszystkich i nie módz powiedzieć, że ją kocham nad wszystko, wtenczas kiedy cała moja istota jej to powtarza i zdradza mię przed całym światem. Przysiągłem sobie, że więcej na to się nie narażę i dotrzymam przysięgi.

— Jednakże Najjaśniejszy Panie, zauważ to!

— Ja nic nie uważam.

— W takim razie pozwolę sobie zwrócić uwagę — rzekł Saint-Agnan — abyś Najjaśniejszy Panie uznał za nieodzowne i najkonieczniejsze, ażeby księżna i jej panny były nieobecne choć dwie godziny w domu. Koniecznie potrzeba, albo polowania, albo przechadzki!

— Ależ polowanie czy przechadzka to będzie zawsze jakieś dziwactwo. Zdradzając taką niecierpliwość, okażę całemu dwo-

rowi, że serce moje nie należy już do mnie. Czyż nie mówią już że ja marzę o podbiciu świata, a nie umiem nad sobą samym panować.

— Ci, co to mówią, są nierozsądni. Zresztą ktokolwiek oni są jeżeli Wasza Królewska Mość wolisz ich słuchać, ja nic nie mam do powiedzenia, ale w takim razie dzień jutrzejszy odłożyć trzeba na czas nieograniczony.

— A więc wyjeżdżam tego jeszcze wieczora. Pojadę przy pochodniach na noc do Saint-Germain a jutro po śniadaniu wrócę około godziny trzeciej do Paryża. Czy dobrze?

— Doskonale.

— Jadę zatem o ósmej wieczorem.

— Wasza Królewska Mość zgadłeś nawet godzinę.

— I nic nie chcesz mi powiedzieć?

— Bo prawdziwie nie mogę nic powiedzieć. Na świecie przypadek gra tak wielką rolę, że najlepiej powierzać mu najważniejsze wypadki, a wtedy się najlepiej udadzą.

— Cóż robić! zdaję się na ciebie.

— I to będzie najlepsze.

Król, pełen otuchy, udał się wprost do księżny, oznajmiając jej o przechadzce.

Księżna wpadła zaraz na myśl, że przechadzka ta ułożona jest przez króla, tylko dla widzenia się jakimkolwiek bądź sposobem z La Valliere, ale nie okazała tego królowi i przyjęła zaproszenie z uśmiechem na ustach.

Wydała głośno rozkazy, ażeby panny honorowe towarzyszyły jej i postanowiła przeszkadzać, o ile możności w miłostkach króla.

Pozostawszy samą, kiedy król był pewny towarzystwa La Valliere, i kiedy myślał może w tej chwili o smutnem szczęściu zobaczenia kochanki choć zdaleka, rzekła do swych panien honorowych:

— Będę miała dosyć dwóch panien tego wieczora, to jest panny Tonnay-Charente i Montalais.

La Valliere przewidziała cios i była nań przygotowaną, gdyż ciągłe prześladowanie uczyniło ją silną.

Księżna nie miała więc pociechy wyczytać na jej twarzy, jakie sprawił wrażenie cios, godzący w jej serce.

La Valliere przeciwnie, uśmiechając się z nieopisaną dobrocią, która nadawała jej twarzy wyraz anielski, rzekła:

— A więc wolną jestem na cały wieczór?

— Tak, bezwątpienia.

— To będę pracowała nad haftem obicia, na które Wasza Wysokość raczyła zwrócić uwagę i które oddawna jej ofiarowałam.

I, ukłoniwszy się z uszanowaniem, odeszła do siebie.

Razem z nią rozbiegła się pogłoska o przechadzce, a w dziesięć minut cały zamek wiedział już o niej.

Malicorne wiedział też o rozkazie księżny i wsunął przez drzwi Montalais bilecik w tych słowach:

— "Trzeba żeby L. V. była razem z księżną tej nocy."

Montalais, podług umowy, spaliła bilecik.

A że była pełną pomysłów, natychmiast ułożyła plan, w skutku którego, udając się o godzinie oznaczonej do księżny, pobiegła przez łączkę i obok gromady dworzan, tam stojących, zgrabnie upadła, powstała natychmiast i poszła dalej, ale kulejąc.

Dworzanie nadbiegli, sądząc, ze ma zwichniętą nogę. Właśnie też tego chciała, lecz wierna obowiązkom, przybyła do księżny.

— A to co! dlaczego kulejesz... — spytała księżna — wzięłam cię za La Valliere.

Montalais opowiedziała swój wypadek.

Księżna, udała, że ją żałuje i chciała wezwać chirurga.

Lecz Montalais upewniła, że to nic wielkiego.

— Pani!... — rzekła — martwi mnie tylko to, że nie będę mogła jej służyć, i byłabym już nawet prosiła panny La Valliere, ażeby mnie zastąpiła przy Waszej Wysokości!

Księżna zmarszczyła brwi.

— Ale tego nie uczyniłam — mówiła dalej Montalais.

— I dlaczegożeś tego nie uczyniła?... — spytała księżna.

— Gdyż biedna La Valliere wydawała się tak szczęśliwą z udzielonej sobie na dzisiejszy wieczór wolności, iż nie śmiałam prosić ją, aby zastąpiła mnie dziś na służbie.

— Jakto?... to ją tak uszczęśliwia?... — spytała księżna, uderzona temi wyrazami.

— Aż do szaleństwa prawie. Ona, co tak jest ponurą, śpiewała nawet. Zresztą nic dziwnego; Wasza Wysokość wie, że charakter jej ma w sobie trochę dzikości, i dlatego nie lubi towarzystwa.

— O!... o!... — pomyślała księżna — ta wesołość wydaje mi się nienaturalną.

— Powiedziała już nawet, że jeść będzie obiad sam na sam z ulubionemi swemi książkami. Zresztą Wasza Wysokość ma sześć innych panien, które będą bardzo szczęśliwe, mogąc jej towarzyszyć.

Księżna milczała.

— Czy dobrze zrobiłam?... mówiła dalej Montalais z lekkiem ściśnięciem serca, widząc, że się jej nie udał plan, na który z taką liczyła pewnością.

— Czy Wasza Wysokość potwierdza to?... — rzekła.

Księżna myślała, że w nocy król może wyjechać z Saint-Germain, a że tylko były dwie mile do Paryża, w godzinę będzie mógł tam przybyć.

— Powiedz mi — rzekła — La Valliere, widząc ciebie cierpiącą, chciała cię przy mnie zastąpić?

— Ona nie wie o moim przypadku! A choćby wiedziała, nie chciałabym, aby dla mnie zmieniała swoje projekty. Zdaje mi się, że chce dzisiaj spróbować zabawy nieboszczyka króla, gdy mówił do pana Cinq Mars:

"Nudźmy się dziś, panie Cinq Mars, nudźmy się dobrze."

Księżna przekonaną była, że pod tem pragnieniem samotności ukrywa się jakaś tajemnica miłosna. Spodziewaną tajemnicą był pewnie powrót Ludwika w nocy, o czem La Valliere została zawiadomioną, i stąd pochodziła jej tak wielka radość z pozostania w Palais Royal.

Był to plan naprzód ułożony.

— Oho! nie zwiodą mię — pomyślała księżna.

— Panno Montalais! — rzekła — proszę zawiadomić swoją przyjaciółkę pannę de la Valliere, że jestem w rozpaczy, iż muszę zepsuć jej projekty samotności; zamiast nudzić się sama w Palais-Royal, pojedzie nudzić się z nami do Saint-Germain.

— A! biedna La Valliere — rzekła Montalais z udanem pożałowaniem, a z radością w sercu. — O! czyż niema sposobu, aby Wasza Królewska Wysokość...

— Dość tego — rzekła księżna — ja tak chcę. A zresztą przekładam towarzystwo panny Labeaume Leblanc nad wszystkie inne. Idź, przyślij mi ją tu, a sobie każ opatrzeć nogę.

Montalais nie czekała powtórzenia rozkazu wróciła do siebie napisała odpowiedź dla Malicorna i wsunęła ją za obicie.

— "Pojadą" — była odpowiedź.

Spartańczyk nie napisałby krócej.

— Tym sposobem — myślała księżna — po drodze oka z niej nie spuszczę, w nocy spać będzie przy mnie i bardzo Jego Królewska Mość będzie zręczny, jeżeli choć słówko do niej przemówi.

La Valliere przyjęła rozkaz jechania z tą samą słodyczą, z jaką wpierw rozkaz pozostania.

W duszy wszakże była uradowana, gdyż uważała zmianę w postanowieniu księżny, jako pociechę, zesłaną przez opatrzność, a mniej przewidująca, niż księżna, przypisywała to wszystko przypadkowi.

Kiedy wszyscy, prócz chorych, będących w niełasce i tych, co nogę zwichnęli, byli na drodze do Saint-Germain, Malicorne w karecie Saint-Agnana, przywiózłszy rzemieślnika, wprowadził go do wiadomego pokoju.

Rzemieślnik wziął się natychmiast do roboty, pobudzony sowitą, jaką mu obiecano, nagrodą.

A że użyto najdoskonalszych narzędzi, robota szła prędko i wkrótce kwadrat wyrznięty z sufitu, był w ręku Saint-Agnana, Malicorna, rzemieślnika i zaufanego sługi, osoby, stworzonej tylko na to, aby wszystko wiedziała, i słyszała, a nic nie powtarzała. Wskutek nowego planu Malicorna, dziura wyrznięta była w rogu pokoju. Uczyniono to dlatego, ponieważ La Valliere, nie mając drugiego pokoju do ubierania się, prosiła i otrzymała wielki parawan, który, przedzielając jej pokoik, zastępował miejsce gabinetu i był dostateczny do zasłonięcia otworu, który i tak był nieznaczny.

Rzemieślnik zrobił klapę na ukrytych zawiasach, zamykającą ten otwór tak doskonale, że najwprawniejsze oko nie mogło jej odróżnić od innych części posadzki.

Kręcące się schody, jakich już wówczas zaczynano używać, zostały kupione gotowe przez Malicorna za 2,000 liwrów i tak mocno przytwierdzone, że nietylko król, ale i cała jego rada mogliby razem śmiało wstępować bez obawy jakiegobądź wypadku. Wszystko to było w jaknajwiększej cichości wykończone podczas nocy.

Kiedy nazajutrz około godziny drugiej dwór wrócił z Saint-Germain, La Valliere, wszedłszy do swego pokoju, nie mogła mieć nawet cienia podejrzeń, że ktoś był w jej mieszkaniu, gdyż

wszystko było jak przedtem na swojem miejscu i ani odrobina wiórów nie zdradzała pogwałcenia mieszkania.

Tylko Saint-Agnan w poświęceniu się dla króla bardzo się na męczył, napocił i poobdzierał suknie i palce.

Nadewszystko dłonie jego pełne były pęcherzy.

W końcu tak usilnie pracował, iż możemy zaręczyć, że gdyby to był król widział, niezawodnie zaprzysiągłby mu dozgonną wdzięczność.

Jak przypuszczał Malicorne, rzemieślnik ukończył wszystko na czas zamierzony, a otrzymawszy w nagrodę 24 luidorów, wyszedł uradowany, gdyż była to suma, dorównywującą półrocznemu jego zarobkowi.

Nikt nie miał najmniejszego podejrzenia, co się właściwie stało w pokoju panny La Valliere.

Lecz wieczorem nazajutrz, kiedy La Valliere wróciła do swojego pokoju od księżnej, lekkie skrzypnięcie dało się słyszeć w pokoju.

Zdziwiona przysłuchiwała się, skąd to pochodzi.

Skrzypnięcie powtórzyło się.

— Kto tam?... — spytała, trochę przestraszona.

— Ja — odpowiedział głos króla, tak dobrze jej znany.

— Ty!... ty, Najjaśniejszy Panie — krzyknęła, mniemając, że marzy — ale gdzież to, gdzież?...

— Tu — odpowiedział król, usuwając skrzydła parawanu i jak cień, stając na środku pokoju.

La Valliere, krzyknąwszy, upadła drżąca na sofę.

Król postąpił ku niej z uszanowaniem.

CLXXVII

ZJAWISKO.

La Valliere wkrótce ochłonęła ze zdziwienia; uszanowanie jakie król okazywał jej, wzbudziło w niej tyle odwagi, ile wprzód niespodziewane zjawienie się nabawiło ją strachu.

Król zaś, widząc, że najwięcej niepokoiła ją nieświadomość jakim sposobem wszedł do niej, wytłumaczył jej to, broniąc się nadewszystko od podejrzeń o praktyki nadprzyrodzone.

— A... Najaśniejszy Panie — rzekła, skinąwszy ładną główką z czarującym uśmiechem — czy jesteś obecny lub nie, zawsze jesteś przytomny mej myśli.

— A to ma znaczyć, Ludwiko?...

— O!... wiesz, dobrze Najjaśniejszy Panie!... że niema chwili, kiedyby biedna dziewczyna, której podsłuchałeś tajemnicę w Fontainebleau, nie myślała o tobie.

— Ludwiko napełniasz me serce radością i szczęściem.

La Valliere ze smutnym uśmiechem mówiła dalej:

— Lecz nie zastanowiłeś się, Najjaśniejszy Panie, że twój dowcipny wynalazek nie przyda się nam na nic.

— Dlaczegóż powiedz, proszę.

— Ponieważ pokój, w którym mieszkam, nie jest wolny od poszukiwań. W każdej chwili księżna może wejść umyślnie lub przypadkiem, w każdej chwili moje towarzyszki wchodzą. Zamknąć zaś drzwi zewnątrz jest to samo, co napisać na drzwiach: "Nie wchodźcie, bo król jest tutaj:" Najjaśniejszy Pa nie, i w tej chwili nawet, nic nie przeszkadza, aby ktoś wszedł i zdybał Waszą Królewską Mość przy mnie.

— O wtenczas — rzekł król, śmiejąc się — będę naprawdę wzięty za widmo, gdyż nikt nie zgadnie, którędy wszedłem, bo tylko widma przechodzą przez ściany lub sufity.

— A!... Najjaśniejszy Panie!... czy zastanowiłeś się nad zgorszeniem, jakieby stąd wynikło; nigdy dotąd nic podobnego nie powiedziano o pannach honorowych, tych biednych stworzeniach, ktorych złośliwość i tak już nie oszczędza.

— I cóż radzisz więc, kochana Ludwiko?... No wytłumacz, powiedz.

— Że trzeba, przebacz, Najjaśniejszy Panie, wyrazowi, że trzeba zniszczyć te schody i cały pomysł, gdyż złe stąd wynikające, większem będzie, niż szczęście widywania.

— A więc, kochana Ludwiko — rzekł król pełen miłości — zamiast zniszczenia schodów, któremi przychodzę, jest inny środek, daleko prostszy, o którym ani pomyślałaś.

— Jakto?

— Ale ty mnie nie kochasz tak, jak ja ciebie, gdyż nie jesteś takim, jak ja wynalazcą. Mówisz, że będę tu, znienacka spo strzeżony, gdyż każdy może lada chwila wejść.

— Nawet kiedy to mówisz, Najjaśniejszy Panie, już drżę cała.

— Dobrze, ale ty nie będziesz znienacka pochwyconą, kiedy zejdziesz po tych schodach do pokojów na dole.

— Co mówisz, Najjaśniejszy Panie — krzyknęła La Valliere przestraszona.

—Widzisz, już od pierwszego słowa rozgniewałaś się. A czy wiesz, do kogo należą te pokoje?

— Ależ do pana hrabiego de Guiche.

— Nie. Do pana Saint-Agnan.

— Doprawdy?... — zawołała La Valliere.

I to słowo, które wyrwało się radośnie z serca dziewczyny, błysnęło promieniem nadziei w sercu króla.

— Tak!... do Saint-Agnana, naszego przyjaciela — rzekł król.

— Ale ja również nie mogę iść do tych pokoi, czy pan de Guiche, czy pan de Saint-Agnan tam mieszka.

— Dlaczegóż nie możesz, Ludwiko?

— Ale to niepodobna, nie wypada.

— Zdaje mi się, Ludwiko, że pod opieką króla wszystko wypada.

— Pod opieką króla — rzekła z wzrokiem, pełnym miłości.

— Przecież wierzysz mojemu słowu.

— Wierzę wówczas, kiedy nie jesteś obecnym, Najjaśniejszy Panie. Ale kiedy jesteś obecnym, kiedy do mnie mówisz, kiedy na ciebie patrzę, wówczas niczemu nie wierzę.

— I czegóż potrzeba, ażeby cię zapewnić.

— Wiem, że nieufność ta jest brakiem uszanowania dla króla. Ale Wasza Królewska Mość nie jesteś dla mnie królem.

— Chwała Bogu. Ale słuchaj, obecność trzeciej osoby upewni cię?

— Obecność pana de Saint-Agnan. Tak.

— Doprawdy, Ludwiko, ta nieufność jest dla mnie bolesną.

La Valliere nic nie odpowiedziała i patrząc tylko na Ludwika wzrokiem przenikającym, aż do głębi duszy, rzekła do siebie:

— Niestety!... nie ciebie unikam i nie na ciebie padają moje podejrzenia.

— Zgadzam się więc na to — rzekł król z westchnieniem — i zaręczam ci, że pan de Saint-Agnan, który jest tak szczęśliwy, że mu ufają, będzie zawsze obecnym naszym rozmowcm.

— Prawdaż to, Najjaśniejszy Panie?

— Jakem szlachcic. Ale ty z twojej strony...

— Czekaj, Najjaśniejszy Panie!... to jeszcze nie wszystko.

— Czy jeszcze jest co, Ludwiko?...

— O!... bezwątpienia, więcej cierpliwości Najjaśniejszy Panie, bośmy jeszcze nie wszystko ułożyli.

— Rozdzierasz moje serce.

— Rozumiesz sam to dobrze, Najjaśniejszy Panie, że rozmowy te, przynajmniej wobec pana de Saint-Agnan, powinny mieć jakiś cel rozsądny.

— Cel rozsądny?... — rzekł król tonem skłodkiego wyrzutu.

— Bezwątpienia... Rozważ to sam, Najjaśniejszy Panie.

— O!... prawda, posiadasz całą zręczność, i bądź przekonaną, że moją całą dążnością jest dorównać w niej tobie. Stanie się więc tak, jak sobie życzysz, Ludwiko. Nasze rozmowy będą zawsze miały przedmiot rozsądny, i wiesz, że już znalazłem ten przedmiot.

— A więc, Najjaśniejszy Panie... — rzekła Ludwika, uśmiechając się.

— Oto od jutra, jeżeli chcesz...

— Jutro?

— Chcesz powiedzieć, że to zapóźno — rzekł król, ściskając oburącz pałającą rękę La Valliere.

W tej chwili dały się słyszeć kroki na korytarzu.

— Najjaśniejszy Panie!... Najjaśniejszy Panie!... — zawołała La Valliere — ktoś nadchodzi i pewno tu wejdzie, uciekaj, zaklinam Waszą Królewską Mość.

Król jednym skokiem był już za parawanem.

Lecz zaledwie nim się zasłonił, Montalais już stała we drzwiach.

Ma się rozumieć, weszła jak zwyczajnie bez ceremonji.

Wiedziała o tem dobrze, że zapukać zamiast wejść prosto, byłoby pokazać La Valliere, że się czegoś dorozumiewa.

Weszła, a szybko rzuconem okiem dojrzawszy dwa krzesła, bardzo blisko siebie stojące, użyła tyle czasu na zamykanie opierających się drzwi, ile królowi potrzeba było na wyjście przez klapę do Saint-Agnana.

Lekki szelest, niedosłyszany dla mniej wprawnych od jej uszu, ostrzegł Montalais o zniknięciu króla; wówczas zamknęła drzwi i, zbliżywszy się do La Valliere, rzekła:

— Pomówmy, jeżeli chcesz, otwarcie, moja Ludwiko.

Ludwika, jeszcze wzruszona, usłyszała ten wyraz "otwarcie" nie bez tajemnego przestrachu.

— Mój Boże!... moja kochana Auroro, czy jeszcze co nowego?

— Tak, kochana przyjaciółko, księżna ciągle podejrzewa.

— I cóż podejrzewa?

— Czyż potrzebujemy tłumaczenia, czyż nie rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć. Uważaj, zapewne spostrzegłaś niestałe od kilku dni postępowanie księżny, uważałaś, jak cię to przywołała, to znowu odsyłała, to znów przywoływała.

— Istotnie było to szczególne; ale ja już przywykłam do tych dziwactw.

— Czekaj jeszcze. Uważałaś, że wczoraj najprzód wyłączyła cię z przechadzki, a za chwilę później kazała ci towarzyszyć.

— Naturalnie, uważałam.

— Otóż, zdaje mi się, że księżna teraz dostatecznie jest przekonaną, gdyż idzie prosto do celu, nie mogąc niczem we Francji wstrzymać tego rwącego potoku; wiesz zapewne, co rozumiem przez wyraz potok?

La Valliere ukryła twarz w dłonie.

— Rozumiem przez wyraz potok tego — mówiła złośliwie Montalais — tego, który wdarł się do Karmelitanek w Chaillot i odrzucił wszystkie przesądy dworskie, jak w Fontainebleau, tak w Paryżu.

— Niestety — szepnęła La Valliere, wciąż zakrywając twarz rękami, przez które sączyły się łzy.

— I nie martw się tak, boś dotąd dopiero w połowie swych cierpień.

— Mój Boże!... — krzyknęła La Valliere z przestrachem — i cóż tam jest jeszcze?

— Uważaj, co się stało. Księżna, pozbawiona pomocy we Francji, gdyż kolejno odwoływała się do obydwu królowych, księcia i całego dworu, ale nadaremnie, przypomniała sobie pewną osobę, która ma do ciebie mniemane jakieś prawo.

La Valliere zbladła jak posąg.

— Osoby tej — mówiła dalej Montalais — niema teraz w Paryżu.

— Tak! tak! — rzekła La Valliere zgnębiona.

— Podobno na dworze Karola II znajduje się ta osoba.

— Tak!

— Otóż tego wieczora wyprawiono list z gabinetu księżnej z rozkazem, ażeby kurjer, dojechawszy jaknajprędzej do Saint-James, dotarł bez odpoczynku, aż do Hampton Court, które, jak mi się zdaje, jest letniem mieszkaniem królewskiem o 12 mil od Londynu.

— Tak, i cóż dalej?...

— Ponieważ księżna regularnie, co dni piętnaście pisuje do Londynu, i kurjer zwyczajny przed trzema dniami był wysłany, myślę, że musiała zajść jakaś bardzo ważna okoliczność, skoro zmusiła księżnę do pisania, a wiesz, że ona jest do tego niezmiernie leniwą.

— O, to prawda.

— List ten, jak mi się zdaje, musiał być o tobie.

— O mnie! — powtórzyła nieszczęśliwa dziewczyna.

— A ja, com widziała ten list, leżący na biurku księżny, zanim jeszcze został zapieczętowany, wyczytałam nawet, jak mi się zdawało...

— Co?

— Ale możem się omyliła.

— W czem? powiedz...

— Nazwisko Bragellone.

La Valliere powstała niezmiernie wzruszona.

— Montalais — rzekła głosem, przerywanym od łkania — już zniknęły dla mnie uśmiechające się marzenia młodości i niewinności. Już teraz nie mam tajemnicy ani dla ciebie, ani dla innych. Życie moje jest już otwartem, jak książka, gdzie wszyscy mogą czytać, począwszy od króla, aż do pierwszego przechodnia. Auroro, moja kochana Auroro, co tu robić, co począć?

Montalais zbliżyła się.

— Ha, pomyśl, rozważ!

— Nie kocham pana de Bragellone, a kiedy mówię nie kocham, uważaj, niech to znaczy, że kocham go tak, jak tylko najczulsza siostra może kochać najlepszego brata: ale nie takiej miłości wymaga on odemnie i ja nie taką mu przyrzekłam.

— A zresztą, kochasz króla — rzekła Montalais — i to już dobra wymówka.

— Tak! kocham króla — odrzekła ponuro La Valliere — drogo opłaciłam prawo wymówienia tych słów. Powiedz więc, Montalais, co jest za mną, lub przeciw mnie w tem położeniu, w jakiem teraz jestem.

— Wytłumacz się jaśniej.

—I cóż ci powiem więcej.

— A zatem nic nadzwyczajnego.

— Nic — rzekła Ludwika z zadziwieniem.

— Zatem prostej tylko rady żądasz odemnie?

— Tak.

— Względem pana Raoula?

— Tak.

— To bardzo drażliwe — odrzekła Montalais.

— Nic w tem niema drażliwego. Czy trzeba go zaślubić, aby mu dotrzymać danej obietnicy? Czy trzeba, abym dalej słuchała króla?...

— Wiesz, że mnie w trudnem stawiasz położeniu — rzekła Montalais, śmiejąc się. — Pytasz mię, czyś powinna zaślubić Raoula, Raoula, którego jestem przyjaciółką i któremu śmiertelną sprawiłam przykrość, oświadczając się niegdyś przeciw niemu. Mówisz znowu, aby nie słuchać dalej króla, króla, którego jestem poddaną i którego obraziłabym, radząc przeciwnie. A! Ludwiko, to rzecz ważna.

— Tyś mię nie zrozumiała. Auroro — rzekła La Valliere, dotknięta żartobliwym tonem, jaki przybrała Montalais — jeżeli mówię o zaślubieniu Bragellone'a, to dlatego, że mogę to bez żadnej dla niego uczynić przykrości, lecz wobec tego, jeżeli słuchać będę króla, musiałabym go uczynić przywłaszczycielem dobra wprawdzie bardzo miernego, któremu jednak miłość nadaje pewną wartość. Otóż proszę cię, abyś wskazała mi środek, jak uwolnić się z całą godnością od jednej lub drugiej strony, albo raczej z którą z tych dwóch stron zerwanie będzie dla mnie więcej zaszczytne.

— Moja kochana Ludwiko, tu ja nie mogę decydować. Nie dam ci więc żadnej rady, tem bardziej, że po daniu jej byłabym więcej zakłopotaną, niż teraz. Ja, życząc ci dobrze, mogę ci powtórzyć to, com już powiedziała: "Czy chcesz, abym ci pomagała?..."

— O tak!...

— To powiedz przeciw komu, lub na rzecz czyją mam pomagać.

— A ty — rzekła La Valliere — za kim jesteś?...

— Za tobą, jeżeliś jest moją prawdziwą przyjaciółką?...

— A czyż nie jesteś powiernicą księżny?...

— To jeszcze jeden powód więcej, ażeby ci być użyteczną; gdybym nic nie wiedziała, nie mogłabym ci w niczem dopomódz. Przyjaźń żywi się podobną wzajemnością.

— Ze słów twoich wynika wszakże, iż będziesz zarazem i przyjaciółką księżny?

— Niezawodnie!... Czyż ci to co przeszkadza?...

— Nie — odrzekła La Valliere zamyślona, gdyż ta cyniczna otwartość, wydawała się jej obrazą godności kobiety i przyjaźni.

— To dobrze, bo w przeciwnym razie byłabyś bardzo nierozsądną.

— A więc będziesz mi pomagała?...

— Z zupełnem poświęceniem się, a nadewszystko, jeżeli i ty zechcesz mi dopomagać.

— Mówisz, jakbyś nie znała mego serca — podchwyciła La Valliere, patrząc na Montalais z zadziwieniem.

— O!... moja kochana Ludwiko, od czasu jak jesteśmy u dworu, bardzośmy się obie zmieniły.

— Jakto?...

— Rzecz bardzo prosta. Czyż byłaś w Blois drugą królową Francji?...

La Valliere zaczęła płakać.

Montalais spojrzała na nią szczególnym wzrokiem i rzekła zcicha:

— Biedna dziewczyna.

Potem, niby poprawiając się:

— Biedny król!... — rzekła.

I, pocałowawszy Ludwikę, wróciła do swego pokoju, gdzie na nią czekał Malicorne.

CLXXVIII.

PORTRET.

Nazajutrz, to jest w dniu, oznaczonym przez króla dla widzenia się z ukochaną u Saint-Agnana, La Valliere, otwierając parawan, znalazła na podłodze bilet, ręką króla pisany.

Bilet ten wysunięty był od dołu ku górze przez szparę w podłodze.

Żadna obca ręka, a nawet wzrok ciekawy nie mogły się dostać tą drogą, którą dostał się ten prosty kawałek papieru.

Był to jeden z pomysłów Malicorna, który, nie chcąc, aby Saint-Agnan, dworak tak potrzebny królowi, stał się jeszcze potrzebniejszym, jako posłaniec, posadę tą zatrzymał dla siebie.

La Valliere czytała chciwie bilet, który, wyznaczał schadzkę na drugą godzinę po południu i wskazywał sposób otwierania klapy w podłodze.

— Chciej być dziś piękną — dodane było w post scriptum.

Te ostatnie słowa zdziwiły ją cokolwiek, lecz uspokoiły.

Ludwika punktualna jak kapłanka Hero, podniosła klapę z uderzeniem godziny drugiej, i ujrzała króla, który czekał z uszanowaniem, aby podać jej rękę i sprowadzić ze schodów.

Tak delikatna względność czule ją dotknęła.

Zszedłszy ze schodów, zastała hrabiego, który podziękował jej za zaszczyt, jaki mu wyświadczyła temi odwiedzinami.

Hrabia, zwracając się do króla, rzekł:

— Najjaśniejszy Panie, człowiek umówiony czeka.

La Valliere spojrzała na króla niespokojnie.

— Jeżeli prosiłem panią — rzekł król — abyś mi wyświadczyła zaszczyt, przychodząc tutaj, uczyniłem to nie bez powodu. Wyszukałem malarza, który ma szczególny dar chwytania podobieństwa, i proszę, abyś pozwoliła siebie odmalować. Zresztą, jeżeli koniecznie będziesz tego wymagała, portret zostanie u pani.

La Valliere zarumieniła się.

— Patrz, oto nie będziemy już we troje, ale będzie nas czworo. Wszystko to zresztą jedno; skoro nie jesteśmy sami, może być tyle osób, ile zechcesz.

— Przejdźmy do drugiego pokoju, jeżeli się Waszej Królewskiej Mości podoba — rzekł Saint-Agnan, otwierając drzwi.

Król, idąc za La Valliere nie mógł się dość napatrzeć na jej kształty i białość szyi, spotęgowaną ciemnym kolorem sukni, na ręce nadzwyczaj delikatne, trzymające bukiet z najdroższych kwiatów, między któremi odznaczał się tulipan koloru popielatego z fioletowym, a kosztował on ogrodnika pięć lat pracy dla otrzymania tego koloru, króla zaś pięć tysięcy liwrów.

W pokoju, do którego Saint-Agnan gości swych wprowadził, czekał malarz z przyborami do malowania.

Skłonił się pannie La Valliere z poważną ciekawością artysty, królowi zaś, nie chcąc dać poznać, że go zna, jak prostemu szlachcicowi.

Potem prosił La Valliere, aby usiadła.

La Valliere usiadła na przygotowanem przez malarza krześle, opierając nogi na aksamitnej poduszce, a że malarz prosił ją, aby obrała jakiś przedmiot, któryby zajął jej uwagę, król natychmiast usiadł na poduszcze, służącej jej za podnóżek, i w ten sposób tworzyli tak piękną grupę, że malarz podziwiał ją przez kilka minut z radością, a Saint-Agnan z zazdrością.

Malarz prędko szkicował, tak, że ukazały się wkrótce pierwsze zarysy twarzy, ocienionej pięknemi srebrno-blond włosami.

Kochankowie mówili mało, lecz ciągle patrzyli na siebie, a często wzrokiem, tak omdlewającym, że malarz musiał zaprzestawać roboty.

Wówczas Saint-Agnan albo deklamował wiersze, albo opowiadał powieści, tak dobrze, jak je pisał Patru, albo Tellemant de Reux.

Jeśli La Valliere czuła się zmęczoną, zaprzestawano roboty, a natychmiast przynoszono najpiękniejsze owoce i najrzadsze wina. Król upajał się miłością, La Valliere szczęściem, a Saint-Agnan nadzieją wyniesienia.

Malarz gromadził wspomnienia na starość.

Dwie godziny tak upłynęło. Nareszcie wybiła i czwarta. La Valliere, wstawszy, dała znak królowi.

Ludwik powstał, a zbliżywszy się do portretu, powiedział kilka słów pochlebnych malarzowi.

Saint-Agnan chwalił podobieństwo.

La Valliere, podziękowawszy także z zarumienieniem, przeszła do drugiego pokoju, dokąd i król poszedł, wezwawszy Saint-Agnana.

— Do jutra, nieprawdaż?... — rzekł do La Valliere.

— Ależ pamiętaj, Najjaśniejszy Panie, że przyjdą kiedykolwiek do mnie, a jak nie znajdą...

— To cóż?

— Cóż wtenczas stanie się ze mną?

— A, jakżeś bojaźliwa, Ludwiko!

— A gdyby księżna kazała mię wołać.

— Alboż nie przyjdzie kiedy ten dzień, gdy sama mi powiesz, ażebym wszystko poświęcił, byle się z tobą nie rozłączać.

— Tego dnia zapewne będę bezrozumną i Wasza Królewska Mość nie powinien mnie wtedy słuchać.

— Do jutra, Ludwiko.

La Valliere westchnęła, nie mogąc się oprzeć woli królewskiej, i rzekła:

— Ponieważ Wasza Królewska Mość tego żądasz, do jutra, Najjaśniejszy Panie.

Po tych słowach wróciła do swego pokoju.

— I cóż, Najjaśniejszy Panie?... — spytał Saint-Agnan po jej odejściu.

— I cóż! Saint-Agnan, wczoraj myślałem, żem najszczęśliwszy z ludzi.

— A dziś, Najjaśniejszy Panie — rzekł, śmiejąc się Saint-Agnan — sądzisz, że jesteś najnieszczęśliwszym.

— Nie. Ale miłość to nieugaszone pragnienie, im więcej się pije, tem więcej się pragnie.

— Bo też po części i wina w tem Waszej Królewskiej Mości. Sam postawiłeś siebie w tem położeniu.

— Masz rację.

— Najjaśniejszy Panie, ażeby być w podobnym wypadku szczęśliwym, trzeba wmówić w siebie, że się nim jest i czekać.

— Czekać, i ty znasz to słowo czekać?

— O! Najjaśniejszy Panie, nie rozpaczaj tak. Jużem o tem myślał i jeszcze pomyślę.

Król kiwał głową z miną powątpiewającą.

— I cóż, znowu niezadowolony jesteś, Najjaśniejszy Panie?

— Owszem, mój kochany Saint-Agnan; ale na Boga wszystko dobrze obmyśl.

— Przyrzekam, lecz jest to już wszystko, co mogę na teraz przyrzec.

Król, popatrzywszy jeszcze na portret i nie mogąc napaść wzroku widokiem oryginału, wskazał kilka poprawek malarzowi i wyszedł.

Saint-Agnan pożegnał malarza.

CLXXIX.

HAMPTON COURT.

Zaledwie oddalił się król wszedł Malicorne, którego Saint-Agnan przyjął z otwartemi rękami, ale trochę ze smutkiem.

Chmura, co zakryła słońce królewskie, zaćmiła także i jego wiernego satelitę.

Malicorne spostrzegł to odrazu.

— O! panie hrabio, jakżeś smutny?

— Albożnie mam powodu nim być, kochany panie Malicorne? Wyobraź sobie, że król nie jest jeszcze zadowolony.

— Jakto niezadowolony z tych schodów?

— Owszem, schody bardzo mu się podobały.

— To zapewne ozdoby pokoju nie przypadły mu do gustu?

— Ani to; nawet nie spojrzał na nie. Nie, ale to, co się nie podobało królowi...

— To ja panu powiem, panie hrabio! Oto, że na schadzce miłosnej zamiast dwóch, było was cztery osoby? Jakto i pan tego nie odgadłeś, panie hrabio?

— A jakże mogłem odgadnąć? kiedy właśnie co do tego spełniłem tylko rozkaz i życzenie królewskie.

— To Najjaśniejszy Pan chciał pana mieć przy sobie?

— A tak.

— I czy Najjaśniejszy Pan chciał także mieć malarza, którego spotkałem wychodzącego?

— Wymagał tego, panie Malicorne, wymagał.

— O!... teraz rozumiem, że Jego Królewska Mość był niezadowolony.

— Niezadowolony z tego, że tak dokładnie wykonano jego rozkazy.

Malicorne poskrobał się w głowę.

— O której godzinie — zapytał — król zapowiedział swoją bytność u pana?...

— O drugiej.

— I pan oczekiwałeś na króla?...

— Od wpół do drugiej.

— A!... doprawdy.

— A to byłoby ślicznie, być niepunktualnym przy rozkazie królewskim.

Malicorne pomimo należnego uszanowania dla Saint-Agnana, wzruszył ramionami.

— A czy malarza król obstalował także na drugą godzinę?...

— Nie, lecz ja go już tu miałem od południa, lepiej bowiem, aby malarz czekał dwie godziny, niż król choćby minutę!...

Malicorne zaczął się śmiać.

— Nie, kochany panie Malicorne, nie śmiej się ze mnie; lecz powiedz raczej, co o tem myślisz?...

— Wymagasz pan tego.

— Ja błagam nawet o to.

— Jeżeli chcesz, panie hrabio, ażeby król był zadowolony, to gdy przyjdzie tu jutro, a ty tutaj będziesz, wymyśl sobie, jaki interes konieczny, ażeby wyjść.

— A!... a!...

— Choćby na dwadzieścia minut.

— Jakto?... zostawić króla samego przez dwadzieścia minut?... — rzekł Saint-Agnan przestraszony.

— No, jeżeli tak się pan przerażasz, to przypuść, żem nic nie mówił — rzekł Malicorne, zwracając się ku drzwiom.

— Nie, nie, owszem, kochany panie Malicorne, dokończ pan, ja już trochę pojmuję. A co z malarzem?...

— Malarz powinien się spóźnić o pół godziny.

— O pół godziny?...

— Ha!... zrobię, jak pan mówisz.

— A ja przekonany jestem, że będziesz pan z tego zadowolony. Czy wolno mi będzie przyjść jutro i dowiedzieć się, co się stało?...

— Zapewne.

— A zatem mam zaszczyt pożegnać pana hrabiego.

I Malicorne wyszedł.

— To zapewne, że chłopiec ten ma więcej, niż ja dowcipu — rzekł Saint-Agnan z głębokiem przekonaniem.

* * *

Zwierzenie wiadome, jakie Montalais uczyniła La Valliere, naprowadza nas naturalnie na głównego bohatera tej powieści, biednego rycerza, podróżującego dla kaprysu królewskiego.

Jeżeli czytelnik zechce nam towarzyszyć, przepłyniemy z nim burzliwszą niż Euripe cieśninę, dzielącą Calais od Douvru, przebiegniemy zielone niwy, przerżnięte tysiącami strumieni, oblewającemi Charing, Maidstone i dziesięć innych miast, jednych piękniejszych nad drugie, i przybędziemy do Londynu.

Tutaj dowiemy się, że Raoul, zabawiwszy kilka dni w White Hall, kilka w Saint-James, przyjęty został uprzejmie przez Monka i wprowadzony do najświetniejszych towarzystw dworu Karola II-go, i teraz znajduje się niedaleko od miasteczka Konsington, w Hampton-Court, nad Tamizą, która nie jest jeszcze w tem miejscu tą pyszną drogą, wiodącą codziennie pół miljona podróżnych i toczącą czarne, jak Kocyt, fale, a jakby mówiącą dumnie: "i ja jestem morzem."

Nie! w tem miejscu jest to jeszcze spokojna, cicha ze źwierciadlaną powierzchnią rzeka, odbijająca na swej powierzchni wierzby, olchy, buki, i mnóstwo innych drzew.

Okolice pobliskie zachwycają domy z cegieł czerwone ze sterczącymi kominami, inne, czerwoną okryte szatą, kryją się w trawie, i migają jak kwiatek pochylony wiatrem.

Ptactwo przelatujące, trzody pasące się i ruch ludzi, pracujących na polu, mile tu oko bawi.

W pośród tego krajobrazu wznosi się gmach Hampton-Court, wybudowany przez Volseya, siedziba przez dumnego kardynała uczyniona tak piękną, że pożądaną była nawet przez króla, bojaźliwy zaś dworak musiał ofiarować ją swemu panu Henrykowi VIII-mu, który na sam widok nowego zamku już zmarszczył brwi z chciwości i zazdrości.

Hampton Court, murowany, z cegły, z dużemi pięknie zakratowanemi oknami, z tysiącem wieżyczek dziwacznej budowy i mnóstwem wodotrysków, podobnych do znajdujących się w Alhambrze, Hampton Court jest kolebką róż, jaśminów i niezapominajek.

Tam rozkosz jest dla wzroku i powonienia, to najpiękniejsza ramka obrazu miłości, jaki namalował Karol II-gi, pośród lubieżnych malowideł Tycyana i Van Dyka.

Hampton Court posiada w swej galerji obraz Karola I-go, kró la męczennika, a ramy podziurawione są od kul purytańskich żołnierzy Cromwella w dniu 24 sierpnia 1648 roku, wówczas właśnie kiedy tenże przyprowadził Karola 1-go do Hampton Court, jako więźnia.

Tam miał swój dwór król, upojony zawsze rozkoszą, król niegdyś tułacz nieszczęśliwy, a teraz wynagradzający sobie dniami rozkoszy każdą chwilę, dawniej w ucisku i nędzy spędzoną.

Dzień, w którym przybywamy do Hampton Court, był pogodnym, jasnym tak jak dnie we Francji, a mnóstwo kwiatów naokoło zamku roztaczało upajający rozkoszą zapach.

Była pierwsza godzina z południa; król, właśnie wróciwszy z polowania, zjadł obiad, odwiedził księżnę Castelmaine, uprzywilejowaną faworytę, a po takim dowodzie stałości, mógł być już niewierny aż do wieczora.

Cały dwór bawił się i kochał.

Był to czas, kiedy damy jako o najważniejszej rzeczy rozmawiały z pannami, o tem jaka noga wygląda piękniej, czy ubrana w pończochę różową, czy zieloną. Był to czas, kiedy Karol drugi powiedział, że niema zbawienia dla kobiety, która nie nosi zielonych pończoch, bo panna Lucy Stewart nosiła pończochy tego koloru.

Kiedy król i wszyscy go otaczający, zajęci byli tak ważnym przedmiotem, dwie damy, odłączywszy się od towarzystwa, przeszły przez cały taras aż nad brzeg Tamizy i tam usiadły pod cieniem drzewa.

— Dokądże idziemy, Stewart?... — rzekła młodsza z nich do swojej towarzyszki.

— Widzisz dobrze, moja kochana Graffton, że idziemy tam, dokąd ty mnie prowadzisz.

— Ja?

— Ty bezwątpienia!... do tej ławki na końcu pałacu, na której młody Francuz siedzi i wzdycha.

Miss Mary Graffton nagle się zatrzymała.

— Nie!... nie!... — rzekła ja tam nie pójdę.

— Dlaczego?

— Wróćmy, Stewart.

—Przeciwnie, idźmy tam i wytłumacz się.

— Z czego?

— Z tego, że wicehrabiego Bragellone i ciebie zawsze można razem spotkać?

— A ty stąd wnosisz zapewne, że się kochamy?

— Dlaczegóżby nie? Jest to bardzo miły człowiek; ale czy mnie kto tylko nie podsłuchał — rzekła Miss Lucy Stewart, o-

glądając się z uśmiechem, który wskazywał, że niepokój jej, nie był wielki.

— Nie, nie — rzekła Mary — król jest w gabinecie owalnym z panem de Buckingham.

— A! a pan de Buckingham, Marjo?

— Cóż?

— Zdaje mi się, że po powrocie z Francji ogłosił się za twego czciciela, w jakim więc stanie jest twoje serce co do tego.

Mary Graffton wzruszyła ramionami.

— Dobrze, dobrze! spytam o to, pięknego Bragellona; chodźmy prędzej do niego.

— Poco?

— Mam mu coś powiedzieć!

— Zgoda, ale powiedz mi, Stewart, ty, co znasz wszystkie tajemnice króla...

— Tak myślisz?

— Naturalnie, jeżeli ty ich nie znasz, któżby je znał! Powiedz mi, dlaczego Bragellone jest w Anglji i co tu robi?

— To, co robi każdy przysłany od swego króla do drugiego króla.

— Niech i tak będzie, ale, mówiąc szczerze, choć nie jesteśmy bardzo biegłe w polityce, wiemy przecie, że misja pana Bragellone niema w sobie nic ważnego.

— Słuchaj!... — rzekła z udaną powagą Stewart — dla ciebie zdradzę nawet tajemnicę stanu. Chcesz, abym ci powtórzyła list osobisty, jaki Ludwik XIV-sty pisał przez pana de Bragellone do Karola II-go.

— O, powiedz, powiedz...

— Słuchaj więc! “Mój bracie! posyłam ci mojego dworzanina, pana de Bragellone, syna kogoś którego kochasz. Przyjm go dobrze i spraw, proszę cię, aby pokochał Anglję.”

— I cóż stąd wnosisz, albo raczej co król wniósł stąd.

— Że Jego Królewska Mość, król Francji ma pewne powody, ażeby oddalić pana de Bragellone i gdzieindziej go a nie we Francji ożenić.

— Tak, że w skutek tego listu...

— Król Karol II-gi przyjął pana de Bragellone wspaniale i po przyjacielsku, dał mu najpiękniejsze mieszkanie w White-Hall, a że ty jesteś najdroższą na jego dworze ozdobą, chociaż

odmówiłaś mu swego serca, chciał z ciebie uczynić podarunek Francuzowi. Otóż dlatego ty, dziedziczka trzystu tysięcy funtów, ty, przyszła księżna, ty, tak piękna i dobra, należałaś do wszystkich przechadzek, do których należał pan de Bragellone. Była to podsadzona mina, od ciebie więc zależy podpalić ją, gdyż dałam ci lont tlejący.

Miss Mary uśmiechnęła się uprzejmie, a ściskając ręce swojej przyjaciółce, rzekła:

— Podziękuj za to królowi!

— Ale strzeż się, bo pan de Buckingham jest zazdrosny!

Zaledwie te słowa zostały wymówione, kiedy pan de Buckingham, wychodząc z jednego z pawilonów, otaczających taras i zbliżając się do dam, rzekł z uśmiechem:

— Mylisz się, Miss Lucy, nie jestem wcale zazdrosnym, a Miss Mary dowodem jest, iż żałuję tego, co może być przyczyną mojej zazdrości. Wicehrabia de Bragellone siedzi sam jeden zamyślony. Biedny chłopiec! Pozwól więc, pani, abym odstąpił jemu na kilka chwil miłego jej towarzystwa, gdyż mam trochę do pomówienia z Miss Lucy Stewart.

I zwracając się do niej rzekł:

— Czy zechcesz pani podać mi rękę i pójść ze mną na powitanie króla.

I po tych słowach, Buckingham, ciągle uśmiechając się, podał rękę i odszedł z Miss Lucy.

Mary Graffton, pozostawszy sama, patrzyła z czułością na Bragellona, nie mogąc postanowić co ma uczynić.

Lecz wkońcu, kiedy to bladość, to rumieniec występowały na twarz i, wskazując wewnętrzną walkę, znikły, a twarz wróciła do barwy zwyczajnej, poszła śmiało do ławki, na której Raoul, jakeśmy mówili wyżej, siedział zamyślony.

Odgłos kroków Miss Mary, jakkolwiek był lekki na łące, ocucił Raoula.

Odwrócił głowę, a spostrzegłszy ją, postąpił naprzeciw towarzyszki, którą mu zsyłała szczęśliwa gwiazda.

— Przysyłają mię do pana — rzekła — czy przyjmujesz pan moje towarzystwo?

— I komuż mam być wdzięcznym za tak wielkie szczęście?

— Panu de Buckingham — rzekła Mary, udając wesołość.

— Mogę wierzyć, aby to uczynił pan de Buckingham, on, który zawsze tak skwapliwie szuka towarzystwa pani!

— Prawdziwie, wszystko się sprzysięga, ażebyśmy najlepsze, i najdłuższe chwile każdego dnia spędzali razem; wczoraj król chciał, abyś pan u stołu przy mnie siedział, dziś pan de Buckingham prosi, abym usiadła na ławce przy panu.

— I oddalił się, aby mi ustąpić miejsca?... — spytał Raoul, trochę zakłopotany.

— Widzisz go pan przecie już znikającego na zakręcie ulicy z Miss Stewart. Czy we Francji znajdziesz pan podobną grzeczność, panie hrabio?

— Nie wiele mogę pani powiedzieć, jak postępują we Francji, gdyż zaledwie jestem Francuzem, żyję ciągle jako żołnierz w obozach, a potem na wsi. Jestem więc na pół dzikim.

— Wszak się panu w Anglji nie podoba, nieprawdaż?

— Nie wiem — rzekł Raoul nieprzytomnie i z westchnieniem.

— Jakto! nie wiesz pan?...

— A! przepraszam — odrzekł Raoul, zbierając myśli. — Nie uważałem, co pani mówiła?

— O!... — rzekła młoda kobieta, sama teraz wzdychając — o! jakiż błąd popełnił pan de Buckingham, przysyłając mię tutaj.

— Błąd?... — odrzekł Raoul z żywością. — Masz pani słuszność. Towarzystwo moje nie jest miłem i dlatego nudzisz się pani ze mną. Tak, pan de Buckingham istotny popełnił błąd, przysyłając tu panią.

— Tak, słusznie — wyrzekła Mary mocnym i dźwięcznym głosem — dlatego, że się z panem nie nudzę, pan de Buckingham popełnił istotnie błąd, przysyłając mię tutaj.

Raoul zarumienił się.

— Ależ nie rozumiem, jak pan de Buckingham może przysyłać panią do mnie i jak możesz pani to uczynić, skoro pan de Buckingham kocha panią, a pani jesteś mu wzajemną.

— Nie!... — odpowiedziała z powagą Mary. — Pan de Buckingham nie może mnie kochać, gdyż kocha księżnę Orleańską, ja zaś nie czuję żadnej dla niego miłości.

Raoul ze zdziwieniem patrzył na nią.

— Czy jesteś pan przyjacielem księcia de Buckingham?... — spytała.

— Książę czyni mi ten zaszczyt, nazywając mię swoim przyjacielem, od czasu widzenia się naszego we Francji.

— A zatem to tylko prosta znajomość?

— Nie! gdyż książę de Buckingham jest bliskim przyjacielem pewnego szlachcica, którego ja kocham jak brata.

— Pana hrabiego de Guiche, który kocha się w księżnie Orleańskiej?

— O! co pani mówisz?

— I który przez nią jest kochany — dodała młoda dziewica.

Raoul spuścił głowę.

Miss Mary Graffton mówiła dalej, wzdychając:

— O! oni są szczęśliwi. Ale opuść mię, panie hrabio! gdyż pan de Buckingham przykrą ci wyznaczył powinność, przeznaczając mię za towarzyszkę przechadzek: serce twoje jest gdzieindziej, i zaledwie obdarzasz mię jałmużną swojego dowcipu. Przyznaj pan, nieprawdaż? Byłoby bowiem nieszlachetnie z twej strony nie przyznać się do tego?

— Przyznaję.

Mary patrzyła na niego.

Był tak skromny i piękny, w oczach błyszczała tak szczera otwartość, że nie mogło przyjść na myśl kobiecie takiej, jaką była Miss Mary, ażeby młodzieniec ten był niegrzecznym lub niedorzecznym.

Widziała tylko, iż w sercu jego jest szczera miłość dla innej kobiety.

— A! rozumiem — rzekła — jesteś pan zakochany... we Francji?

Raoul skłonił się.

— I książę wie o tej miłości?

— Nikt o tem nie wie — odpowiedział Raoul.

— A dlaczegóż pan mi o tem mówisz?

— Pani?

— No powiedz pan!

— Nie mogę.

— A więc ja panu powiem. Nie chcesz mi pan powiedzieć nie dlatego, iż jesteś teraz już przekonany, że nie kocham księcia, ale, że sądzisz, iż mogłabym ciebie pokochać, a jesteś człowiekiem, pełnym delikatności; zamiast więc przyjąć rękę, którą ci podają choćby dla chwilowej zabawy, zamiast odpowiedzieć uśmiechem na mój uśmiech, wolałeś, chociażeś młody, a ja piękna, powiedzieć: "Kocham we Francji." Dziękuję ci, panie de Bragellone, jesteś człowiekiem szlachetnym, i ja jeszcze bardziej cię kocham... przyjaźnią. Teraz nie mówmy o mnie ale

o tobie. Zapomnij, że Mary Graffton o sobie mówiła. Powiedz mi pan dlaczego jesteś smutnym, szczególnie od dni kilku.

Raoul, wzruszony jej głosem słodkim i smutnym, nie był w stanie jej odpowiedzieć.

Mary jeszcze raz przyszła mu na pomoc.

— Winieneś mnie pan żałować — wyrzekła. — Matka moja była Francuzką. Mogę więc śmiało ci powiedzieć, że i ja z s-rca jestem Francuzką. Lecz nad moją wesołością zawisła mgła i smutek Anglji. Często marzę o szczęściu, lecz ono prędko znika. I tym razem tak się też stało. Ale dość o tem. Podaj mi rękę i powierz przyjaciółce twoje cierpienie.

— Powiedziałaś pani, że jesteś Francuzką krwią i uczuciem.

— Tak i powtarzam to. Matka moja była Francuzką. Nadto ojciec mój, jako stronnik Karola I-go wygnany był do Francji, i ja tam się też wychowałam. Po wstąpieniu na tron Karola II-go, ojciec wrócił do Anglji i wkrótce umarł. Biedny ojciec! Wówczas król Karol dał mi tytuł księżny i powiększył dochody.

— Czy masz pani jakich jeszcze krewnych we Francji?... — spytał Raoul z zajęciem.

— Mam siostrę starszą odemnie o siedem lub osiem lat, zamężną we Francji, ale i ta już owdowiała. Nazywa się pani de Belliere.

Raoul uczynił poruszenie.

— Znasz ją pan?

— Słyszałem jej nazwisko.

— I ona także kocha, a ostatnie jej listy donoszą, że jest szczęśliwą. Ja mówiłam już panu, że mam w połowie jej duszę, ale nie mam połowy jej szczęścia. Ale mówmy o panu, kogoż kochasz we Francji?

— Młodą dziewicę, miłą i skromną, jak lilja.

— Dlaczegoż więc jesteś smutnym, kiedy i ona cię kocha?

— Powiedziano mi, że mię już nie kocha.

— Ale zapewne w to nie wierzysz?

— Ten, co mi to doniósł, nie podpisał się!

— Oskarżenie bezimienne. O! to jakaś zdrada — rzekła Miss Graffton.

— Patrz, pani!... — wyrzekł Raoul, podając list, który już ze sto razy odczytał.

Mary Graffton wzięła go i czytała.

"Dobrze czynisz, wicehrabio, że mile spędzasz czas między paniami dworu Karola II-go, bo na dworze Ludwika XIV-go zamek twojej miłości silnie jest oblegany. Pozostań więc na zawsze, biedny wicehrabio, w Londynie, albo powracaj natychmiast do Paryża."

— Niema podpisu — rzekła Miss Mary.

— Nie.

— A zatem nie wierz temu.

— Dobrze, ale oto drugi list.

— Od kogo?

— Od pana de Guiche.

— O! to co innego. I cóż on pisze?

— Czytaj, pani.

"Mój przyjacielu! Jestem raniony, chory. Powracaj, Raoulu, powracaj!

Guiche."

— I cóż pan myślisz czynić?... — spytała dziewica ze ściśniętem sercem.

— Moim zamiarem, po odebraniu tego listu, było pożegnać natychmiast króla.

— A kiedy pan go odebrał?

— Onegdaj.

— Datowany jest z Fontainebleau?

— To dziwne, nieprawdaż? gdyż dwór jest w Paryżu! Wreszcie byłbym odjechał, lecz kiedym mówił o tem królowi, zaczął się śmiać i rzekł mi: "Panie ambasadorze, skąd pochodzi ten odjazd; czy król, pan twój, odwołuje cię?" Zarumieniłem się, gdyż istotnie król mój przysłał mię tu, a ja nie otrzymałem rozkazu do powrotu.

Mary zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

— I pan zostajesz?... — zapytała.

— Muszę.

— A ta, którą kochasz?

— Ha!

— Pisuje do pana?

— Nigdy!

— Nigdy? a więc ona pana nie kocha!

— Przynajmniej od mego wyjazdu nie pisała, ani razu.

— A przedtem pisywała?

— Czasami. Ale spodziewam się, że musiano jej teraz przeszkodzić.

— Książę nadchodzi, więc przerwijmy tą rozmowę.

W istocie Buckingham pokazał się na końcu ulicy i, uśmiechając się, zbliżył do rozmawiających i podał im ręce.

— I cóż porozumieliście się?... — spytał.

— Co do czego?... — spytała Miss Graffton.

— A co do tego, co ciebie może, kochana Marjo, uszczęśliwić, Raoula zaś uczynić mniej nieszczęśliwym.

— Nie rozumiem cię, milordzie — rzekł Raoul.

— Czy chce Miss Mary, abym moje zdanie wynurzył wobec pana?... — rzekł Buckingham, uśmiechając się.

— Jeżeli pan chcesz powiedzieć — rzekła, z uczuciem dumy, młoda dziewica, że byłam gotowa pokochać pana de Bragellone, to już wcale niepotrzebne, gdyż właśnie sama mu to powiedziałam!

Buckingham zamyślił się, ale nie zmieniając tonu, jak się tego Miss Mary spodziewała, rzekł:

— Dlatego, że znam delikatność pani i prawość, zostawiłem cię sam na sam z panem de Bragellone, którego serce zranione, zagojone być może tylko przez takiego, jak pani lekarza.

— Ależ, milordzie, zanim mówiłeś mi o sercu pana de Bragellone, pierwej mówiłeś o swojem. Czy chcesz, abym naraz dwa serca leczyła?

— To prawda! lecz zapewne przyznasz pani, żem wkrótce przestał o tem myśleć, poznawszy, iż rana moja nie jest do uleczenia.

Mary chwilę się zastanowiła.

— Milordzie — rzekła — pan de Bragellone jest szczęśliwy. Kocha i jest wzajemnie kochany. Nie potrzebuje więc takiego, jak jak lekarza.

— Pan de Bragellone — odrzekł Buckingham — przebywa obecnie ciężką chorobę i więcej niż kiedy potrzebuje, ażeby leczono jego serce.

— Wytłumacz się pan — rzekł Raoul z żywością.

— Później cokolwiek, ale jeżeli pan żądasz, mogę powiedzieć Miss Mary to, czego pan nie możesz teraz wiedzieć.

— Milordzie, udręczasz mię, musisz bowiem coś wiedzieć.

— Wiem, że Miss Mary jest najmilszą istotą, jaką zbolałe serce może napotkać.

— Milordzie — rzekła dziewica — jużem panu powiedziała, że pan de Bragellone jest zakochany w kim innym.

— To błądzi.

— A więc wiesz coś, mości książę, skoro powiadasz, że to błąd?

— Wiem.

— Więc kogóż on kocha?... — krzyknęła młoda dziewica.

— Kocha kobietę, niegodną jego — rzekł spokojnie Buckingham.

Miss Mary Graffton krzyknęła; krzyk ten nie mniej jak wyrazy, wymówione przez Buckinghama, wywołały na twarz Bragellona bladość pognębienia i dreszcz przestrachu.

— Książę!... — zawołał tenże — wymówiłeś wyrazy, które natychmiast jadę sprawdzić w Paryżu.

— Pan pozostaniesz tu!... — rzekł Buckingham.

— Ja?!

— Tak, panie!

— Dlaczego?

— Bo nie masz prawa odjechać, bo się nie opuszcza służby królewskiej dla kobiety, choćby tak godnej kochania, jak Miss Mary Graffton.

— A więc powiedz mi pan wszystko!...

— Chętnie!... Ale zostaniesz pan.

— Zostanę; jeżeli mi wszystko powiesz otwarcie.

— Właśnie Buckingham miał mówić, kiedy spostrzegli na przeciwległym końcu ulicy lokaja królewskiego, poprzedzającego kurjera, jak się zdawało z ubioru, tylko co przybyłego.

— Kurjer z Francji. Kurjer od księżny!... — krzyknął Raoul, poznając barwę.

Lokaj i kurjer udali się do króla.

Książę zaś i Miss Graffton rzucili na siebie wzrokiem porozumienia.

CLXXX.

KURJER KSIĘŻNY.

Karol II-gi przekonywał właśnie Miss Stewart, że się nikim prócz niej nie zajmował i przyrzekał jej podobną miłość, jaką miał jego przodek Henryk IV-ty dla Gabrjeli.

Nieszczęściem dla Karola II-go, właśnie tego dnia Miss Stewart postanowiła obudzić w nim zazdrość.

Dlatego usłyszawszy podobną obietnicę, zamiast się rozczulić, jak się tego spodziewał Karol II-gi, zaczęła się śmiać niezmiernie.

— O!... Najjaśniejszy Panie — rzekła ze śmiechem — gdybym tylko zażądała jakiego dowodu twojej miłości, łatwo byłoby mi dowieść, że zmyślasz.

— Słuchaj pani — rzekł Karol II-gi — znasz te malowidła, robione przez Rafaela; wiesz, jaką do nich przywiązuję cenę, wiesz, że mi ich świat cały zazdrości. Otóż jeżeli chcesz, dziś każę je odnieść do ciebie.

— O, nie!... ja mieszkam zbyt szczupło, i byłoby mi za ciasno z takimi gośćmi.

— A więc daję pani Hampton-Court, ażebyś je miała gdzie umieścić!

— Bądź mniej hojnym, Najjaśniejszy Panie! a kochaj z większą stałością. Oto wszystko, czego żądam.

— Będę cię kochał zawsze!... Czyż to nie dosyć.

— Śmiejesz się, Najjaśniejszy Panie!

— Chcesz, żebym płakał?

— Nie!... chciałabym tylko, ażebyś był trochę smutnym!

— Bardzo dziękuję, moja piękna, byłem nim dość długo!... Czternaście lat wygnania i nędzy!... Zdaje mi się, że to już dług spłacony. A zresztą od smutku się brzydnie.

— Bynajmniej!... spojrzyj Wasza Królewska Mość na Francuza.

— A!... wicehrabia de Bragellone!... i ty także!.. no niech mię... one wszystkie poszaleją za nim. Zresztą on ma powód być smutnym!

— A jaki?

— A to co znowu, chcesz abym ci wydawał tajemnicę stanu?

— Dlaczego nie, skoro ja tak chcę!... przecież Wasza Królewska Mość powiedziałeś, że uczynisz, co zechcę.

— Dobrze!... Ot nudzi się tutaj!... Cóż, jesteś zadowoloną?

— On nudzi się?

— Tak. I to dowodzi, że jest głupcem.

— Jakto, głupcem?

— Bezwątpienia!... Wszak pojmujesz to chyba?... Ja mu pozwalam kochać Miss Mary Graffton, a on się nudzi.

— Doskonale!... Pokazuje się, że, gdyby Wasza Królewska Mość nie był kochany przez Lucy Stewart, pocieszyłbyś się łatwo, kochając Miss Mary Graffton.

— Tego nie mówię, a zresztą wiesz, że Miss Mary Graffton mnie nie kocha, a nie można się pocieszyć inaczej po stracie miłości, tylko znajdując nową. Wreszcie nie o mnie tu idzie, tylko o tego młodzieńca. Powiedziałby kto, że on tam zostawił jaką Helenę!

— To on tam kogoś zostawił?

— To jest, jego zostawiono!

— Biedny chłopiec. Ale zresztą to dobrze!

— Jakto?... dobrze!

— Tak, bo dlaczegóż odjechał?

— Myślisz, że on z własnej woli to uczynił?

— Był więc zmuszony?

— Rozkazem, moja kochana, tak, rozkazem!

— I któż to rozkazał?

— Zgadnij!

— Król?

— A tak!

— Teraz rozumiem.

— Ale przynajmniej nikomu o tem nie mów.

— O!... co się tyczy zachowania tajemnicy, równam się mężczyznom. Więc to król go tu wysłał?

— Tak!

— I w czasie jego niebytności, przywłaszczył sobie jego narzeczoną?

— Tak!... ale czy sobie wyobrazisz, że on, zamiast dziękować za to królowi, że mu zabrał narzeczoną, jeszcze się krzywi?

— Ależ to, co Wasza Królewska Mość mówisz, bardzo jest niepochlebne dla wszystkich kobiet w ogólności, a szczególniej dla narzeczonych.

— Ale chciejże mnie zrozumieć, do licha; gdyby ta, którą mu król zabrał, była Miss Graffton, albo Miss Stewart, i ja byłbym jego zdania, a nawet uważałbym, że zamało to czuje, ale jest to panienka mała, chuda i kulawa. Niech djabli porwą taką stałość, jak mówi Francuz: odrzucać bogatą dla ubogiej, tę, która go kocha, dla tej, co go oszukuje; czy widział kto coś podobnego?

— Czy Wasza Królewska Mość myślisz, że Mary ma szczerą chęć podobania się wicehrabiemu?

— Zdaje się!

— Jeżeli tak, wicehrabia przyzwyczai się do Anglji. Oho!... Mary ma dobrą główkę i co sobie postanowi, dopnie.

— Mylisz się, panno Stewart, jeżeli myślisz, że on się tu przyzwyczai, gdyż jeszcze przedwczoraj prosił mię o pozwolenie powrotu!

— A Wasza Królewska Mość odmówiłeś?

— Naturalnie. Gdyż królowi, bratu memu, więle na tem zależy, ażeby on tu pozostał; co do mnie, obchodzi to moją miłość własną. Nie chcę bowiem, aby powiedziano, żem narzucał napróżno temu młodzikowi najszlachetniejszą dziewicę Anglji!

— Bardzo jesteś grzeczny, Najjaśniejszy Panie — rzekła Miss Stewart, zrobiwszy prześliczną minkę.

— Wyłączyłem naturalnie Miss Stewart, która jedna jest tylko godną króla, a ponieważ ja ją kocham, zdaje mi się, że nikt inny nią się nie zajmie. Wreszcie powiadam, że nie napróżno okazuję tyle względów temu młodzieńcowi; on zostanie u nas i ożeni się u nas.

— Spodziewam się; że skoro się ożeni, nietylko nie będzie miał urazy do Waszej Królewskiej Mości, ale owszem będzie mu wdzięczny, gdyż wszyscy tutaj starają się mu podobać; nawet (rzecz nie do uwierzenia) pan de Buckingham nadskakuje mu.

— A nawet i Miss Stewart, która go nazywa miłym kawalerem.

— Posłuchaj, Najjaśniejszy Panie. Takeś wychwalał Miss Graffton, ,że pozwól i mnie podchwalić cokolwiek pana de Bragellone. Ale, ale, Najjaśniejszy Panie, uważam, że jesteś od niejakiego czasu nadzwyczaj dobry pamiętasz o nieobecnych, przebaczasz urazy, prawie jesteś doskonałym. Skąd to pochodzi...

Karol II-gi zaczął się śmiać.

— A to dlatego, że pozwalasz siebie kochać.

— O!... musi w tem być inna przyczyna.

— No!... chcę zobowiązać sobie Ludwika XIV.

— O nie, to nie przyczyna.

— A więc prawdziwym powodem jest, że Buckingham polecił mi owego młodzieńca temi słowy:

— "Najjaśniejszy Panie, ja zaczynam od ustąpienia Miss Graffton panu de Bragellone, uczyń tak, jak ja."

— O, to bardzo zacny człowiek ten pan de Buckingham.

— Otóż masz!... nabijaj sobie głowę teraz Buckinghamem. Zdaje się, że uwzięłaś się dzisiaj dręczyć mię na wieki.

Pobiegła otworzyć drzwi.

— Któż tam ośmiela się nam przeszkadzać?... — krzyknął z niecierpliwością Karol.

— Prawdziwie, Najjaśniejszy Panie, ktoś pozwolił sobie największej zarozumiałości i ażeby ukarać za to Waszą Królewską Mość...

Pobiegła otworzyć drzwi.

— A!... to posłaniec z Francji — rzekła Miss Stewart.

— Z Francji — zawołał król — może od mojej siostry?

— Tak, Najjaśniejszy Panie — rzekł lokaj — jest to posłaniec nadzwyczajny.

— Chodźże, tu, chodź — odrzekł Karol.

Kurjer wszedł.

— Czy masz list od księżny orleańskiej?... — spytał król.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, i tak pilny, że tylko 25 godzin poświęciłem, aby go Waszej Królewskiej Mości doręczyć, a z tych jeszcze w Calais straciłem napróżno trzy kwadranse.

— Ta gorliwość będzie wynagrodzona — rzekł król, otwierając list.

Poczem zaczął się śmiać na całe gardło.

— Na honor — rzekł — nic nie rozumiem.

I przeczytał list powtórnie.

Miss Stewart udawała skromnisię, zwalczając, ile tylko mogła niezmierną ciekawość.

— Franciszku — odezwał się król do kamerdynera — dać wszelką wygodę temu chłopakowi, a pod poduszką niech znajdzie woreczek z 50 luidorami.

— Najjaśniejszy Panie!

— Dobrze przyjacielu, dobrze, moja siostra miała słuszność zalecić ci pośpiech, gdyż list ten bardzo jest ważny.

I śmiał się jeszcze mocniej, niż przedtem.

Posłaniec, kamerdyner i Miss Stewart nie wiedzieli, jak się zachować.

— A!... — rzekł król, przechylając się ze śmiechem na krześle — kiedy myślę, żeś zamęczył... Wiele koni padło pod tobą?

— Dwa.

— Dwa konie na śmierć zajeżdżone, aby przywieźć tak ważną wiadomość, to dobrze. Idź, mój przyjacielu!

Posłaniec i kamerdyner odeszli.

Karol II-gi otworzył okno, a przechylając się zawołał: Książę... książę de Buckingham, mój kochany Buckingham, chodź tu, chodź prędko.

Książę pospieszył, lecz, spostrzegłszy pannę Stewart, zatrzymał się na progu.

— No, chodźże — rzekł król — i zamykaj drzwi.

Książę był posłuszny, a widząc króla tak wesołego, zbliżył się doń z uśmiechem.

— I cóż, mój książę, jak daleko jesteś z twoim Francuzem?

— On w jaknajwiększej rozpaczy.

— Dlaczego?

— Dlatego, że zachwycająca Miss Graffton chce iść za niego, a on nie chce.

—Niechże już raz powie — rzekła Miss Stewart — tak lub nie i niech się to skończy.

— Ależ — odrzekł poważnie Buckingham — pani zapewne wiesz, że on się gdzieindziej kocha.

— Ach!... — podchwycił król, pomagając niby pannie Stewart — to niechże powie, nie.

— To, co mu powiedziałem, dowiodło mu jasno, że myliłby się, nie mówiąc tak.

— Więc powiedziałeś mu, że La Valliere go oszukuje?

— Bez ogródki.

— I cóż on na to?

— Skoczył tak, jakby miał cieśninę przeskoczyć.

— Przecież — rzekła Miss Stewart — zdobył się na coś; na honor, to bardzo szczęśliwie.

— Lecz — mówił dalej Buckingham — wstrzymałem go, zostawiłem go w walce na uczucia z Miss Graffton i myślę, że teraz już nie tak prędko, jak zamierzał, pojedzie.

— Chciał odjeżdżać?... — zawołał król.

— Przez chwilę mniemałem, że żadna moc ludzka nie zdoła go powstrzymać, ale oczy Miss Mary Graffton były na niego zwrócone, więc zostanie.

— Otóż mylisz się, Buckinghamie — rzekł zanosząc się od śmiechu. — Takie to już przeznaczenie tego nieszczęśliwego...

— Co za przeznaczenie.

— Być oszukanym, to jeszcze nic, lecz patrzeć na to, o tego to zawiele w istocie.

— Z odległości i przy pomocy Miss Mary Graffton, cios będzie odbity.

— Otóż bynajmniej, nie będzie bowiem odbity, ani z odległości, ani przy pomocy Miss Mary Graffton, gdyż Bragellone jedzie za godzinę do Paryża.

Buckingham zadrżał.

Miss Mary patrzyła z zadziwieniem.

— Ależ Wasza Królewska Mość wie — rzekł Buckingham — że to jest niepodobieństwem.

— O, mój kochany Buckinghamie, niepodobieństwem jest, aby się stało przeciwnie.

— Najjaśniejszy Panie, wiesz dobrze, że ten młodzieniec jest szlachcicem honorowym w całem znaczeniu tych wyrazów.

— Zgadzam się na to.

— I że gniew jego jest straszliwy.

— Nie utrzymuję przeciwnie, kochany przyjacielu.

— Skoro zobaczy zbliska swoje nieszczęście, tem gorzej dla sprawcy tego nieszczęścia.

— Niech i tak będzie, ale cóż chcesz, ażebym uczynił.

— Gdyby to był król nawet — rzekł Buckingham. — Nie ręczę za niego.

— O, król ma muszkieterów, aby go strzegli — rzekł król spokojnie — ja to wiem, bom długo w Blois stał u niego w przed-

pokoju. Ma pana d'Artagnan. To mi stróż!... Wiesz, że zgodziłbym się na dwudziestu tak rozgniewanych jak ten twój Bragellone, gdybym miał czterech tylko takich, jak d'Artagnan.

— Niechże Wasza Królewska Mość, co jesteś tak dobry, zastanowi się — rzekł Buckingham.

— Masz — i podał mu list. — Przeczytaj i odpowiedz, cobyś uczynił na mojem miejscu.

Buckingham wziął list księżny i czytał zwolna te słowa, drżąc ze wzruszenia:

— "Dla mnie, dla ciebie, dla honoru i zbawienia wszystkich nas, odeślij natychmiast pana de Bragellone do Francji."

Przywiązana siostra,
Henrjetta.

— No i cóż na to mówisz... Villiers?

— Nic, Najjaśniejszy Panie — rzekł osłupiały Buckingham.

— Czyżbyś mi radził — rzekł król z uczuciem — nieposłusznym być wtenczas, kiedy siostra moja tak usilnie o to prosi.

— O, nie, Najjaśniejszy Panie, a jednak...

— Nie czytałeś post scriptum, Villiers. Jest tam pod zagięciem papieru i z początku sam go nie dojrzałem: przeczytaj.

— Książę odgiął załamny papier, który ukrywał te wyrazy:

— "Uprzejme pozdrowienie dla tych, którzy mnie kochają."

Czoło zbladłe księcia pochyliło się ku ziemi.

Papier zadrżał mu w ręce, tak, jakby zamienił się w ołów roztopiony.

Król, widząc, że Buckingham milczy, rzekł:

— Niechże idzie za swojem przeznaczeniem, jak my za naszem; każdy cierpi od czegoś na tym świecie, i ja cierpiałem za siebie i za rodzinę moją dźwigałem podwójny krzyż. Ale na cóż nam to przypominać teraz. Idź, Villiers, idź i poszukaj mi pana de Bragellone.

Książę otworzył drzwi od gabinetu i wskazał królowi Raoula i Mary, idących obok siebie.

— O, Najjaśniejszy Panie, jakież to okrucieństwo dla tej biednej Miss Graffton.

— No, zawołajże go — rzekł Karol II-gi, marszcząc czarne brwi. — Jak widzisz, wszyscy tu są bardzo rozczuleni. A!... patrzcież i Miss Stewart ociera sobie oczy. Idź do d... przeklęty Francuzie.

Książę zawołał Raoula, a wziąwszy za rękę Miss Graffton, poprowadził ją przede drzwi królewskiego gabinetu.

— Panie de Bragellone — rzekł Karol II-gi — podobno przedwczoraj żądałeś odemnie pozwolenia powrotu do Francji.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Raoul, odurzony takiem rozpoczęciem rozmowy.

— Zdaje mi się, kochany wicehrabio, żem ci odmówił.

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— I uraziłeś się za to na mnie!

— Nie, Najjaśniejszy Panie!... gdyż zapewne Wasza Królewska Mość odmówił mi dla bardzo ważnych powodów; Wasza Królewska Mość jesteś tak mądrym i dobrym, że wszystko, co czynisz uważam za dobre.

— Zdaje mi się, żem podał ci tą przyczynę odmowy; król Francji nie odwołał pana.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, istotnie to mi mówiłeś.

— Teraz namyśliłem się, panie de Bragellone. Chociaż król nie oznaczył stanowczo dnia twego powrotu, polecił mi wszakże, abym o ile można uprzyjemnił ci pobyt w Anglji, a że prośba twoja o pozwolenie wyjechania dowodzi, że pobyt w Anglji nie jest ci miły...

— Ja tego nie mówiłem, Najjaśniejszy Panie!...

— Tak, ale żądanie twoje dowodziło, że pobyt gdzieindziej przyjemniejszym ci będzie, niż tutaj.

W tej chwili Raoul zwrócił wzrok ku drzwiom, o które stała oparta Miss Mary Graffton, blada i pomieszana.

— Pan nie odpowiadasz — mówił dalej król — a więc przysłowie francuskie jest prawdziwe. Kto milczy, zezwala. Teraz, panie de Bragellone, widzę się w możności zadość uczynić twoim chęciom. Możesz wrócić do Francji, kiedy zechcesz, upoważniam cię do tego.

— Najjaśniejszy Panie!... — zawołał Raoul.

— A!... — jęknęła Mary, ściskając konwulsyjnie rękę Buckinghama.

— Możesz jeszcze tego wieczora być w Duwrze — mówił król — przypływ morza jest o godzinie drugiej zrana.

Raoul, osłupiały, wybąknął kilka słów pośrednich między podziękowaniem a usprawiedliwieniem.

— Żegnam cię, więc, panie de Bragellone i życzę wszelkich pomyślności — rzekł król, wstając — sprawisz mi przyjemność zachowując na pamiątkę ten djament, który przeznaczyłem na podarunek ślubny.

Miss Graffton była omdlewającą.

Raoul przyjął podarunek, ale nogi pod nim drżały.

Powiedział jakąś grzeczność królowi, Miss Stewart, i poszukał Buckinghama, aby go pożegnać.

Król, korzystając z tej chwili, zniknął.

Raoul znalazł księcia dodającego odwagi Miss Graffton.

— Powiedz mu, pani, żeby został, błagam cię — szepnął jej zcicha.

— Przeciwnie, powiem mu, ażeby jechał — odpowiedziała Miss Graffton, ożywiając się — nie jestem z tych kobiet, co mają więcej dumy, niż serca; jeżeli go kochają we Francji, niech wraca i niech mi błogosławi, mnie, com mu radziła ten powrót, aby znalazł tam szczęście. Jeżeli przeciwnie już go tam nie kochają, niech wróci, ja go zawsze kochać będę, a jego nieszczęście nie poniży go w moich oczach. Jest w herbie mojej rodziny napis, który Bóg wyrył w mojem sercu.

"Habenti parum, egenti cuncta."

"Bogatym mało, ubogim wszystko."

— Wątpię, przyjacielu — rzekł Buckingham — abyś tam mógł znaleść coś wyrównywającego temu, co tu zostawiasz.

— Wierzę, a przynajmniej spodziewam się — rzekł Raoul ponuro — że ta którą kocham jest godną mnie, ale jeżeli jest prawdą, tak, jak starałeś się mię przekonać, mości książę, że niegodną jest mojej miłości, wydrę ją z mego serca, choćbym miał razem z tą miłością i serce wydrzeć.

Miss Graffton spojrzała na niego wzrokiem nieokreślonego politowania, Raoul smutnie się uśmiechnął.

— Pani — rzekł — ten djament, który mi król darował, przeznaczony był dla ciebie. Pozwól mi go pani sobie ofiarować; jeżeli się ożenię we Francji, zwrócisz mi, jeżeli nie, zachowaj go dla siebie.

— Co on przez to rozumie — pomyślał Buckingham, kiedy Raoul ścisnął z uszanowaniem zlodowaciałą rękę Miss Mary.

Miss Mary zrozumiała spojrzenie Buckinghama na nią zwrócone.

— Gdyby to był pierścień zaręczynowy, nie przyjęłabym go nigdy.

— A jednak przyrzekałaś należeć do niego.

— O!... Książę — krzyknęła dziewica ze łzami w oczach — taka, jak ja kobieta, nigdy nie może być wzięta jako tylko pociecha przez takiego, jak on mężczyznę.

— Myślisz więc, że on nie wróci?...

— Nigdy — rzekła Miss Graffton głosem stłumionym.

— A więc powiem ci teraz, że tam znajdzie już swoje szczęście zniszczone, narzeczoną zgubioną, honor jej nawet dotknięty... Cóż mu więc pozostanie, coby zastąpiło twoją miłość?... Powiedz, Marjo, ty, co znasz siebie tak dobrze?...

Miss Graffton położyła białą swą rękę na ramieniu Buckinghama i kiedy Raoul pomieszany biegł ulicą Lipową, ona głosem umierającym zaśpiewała te wiersze z Rome i Julji:

"Trzeba jechać i żyć,
Albo zostać i umrzeć."

Kiedy kończyła ostatni wiersze z Romea i Julji:

Miss Graffton wróciła do siebie bardziej cicha i blada niż cień.

Buckingham, korzystając z powrotu kurjera, który przywiózł list królowi, napisał do księżny i do hrabiego de Guiche.

Król objaśnił dokładnie.

O drugiej zrana morze przypłynęło i Raoul wracał do Francji.

CLXXXI

SAINT-AGNAN IDZIE ZA RADĄ MALICORNA.

Król pilnował pracy nad portretem La Valliere z nadzwyczajną troskliwością, popierwsze dlatego, aby portret był podobnym; powtóre, aby, o ile można, jak najwięcej przedłużyć jego malowanie.

Trzeba go było widzieć, jak dążył wzrokiem za śladem pędzla, jak oczekiwał ukończenia konturów, albo efektu kolorów, jak doradzał malarzowi rozmaite zmiany, do których stosował się ten z obojętnością, pełną uszanowania.

A kiedy malarz, idąc za radą Malicorna, trochę się spóźnił i Saint-Agnan na chwilę był nieobecnym, trzeba było wsłuchać się w ową ciszę, która łączyła w jednem westchnieniu dwie dusze, bardzo skłonne do zrozumienia siebie i bardzo pożądające owego "sam na sam."

Wówczas minuty znikały niepostrzeżone; król zbliżając się do kochanki, palił ją ogniem spojrzenia.

Na najmniejszy ruch w przedpokoju — gdy albo malarz przychodził, albo Saint-Agnan wracał, uniewinniając się z nieobecności — król zaczynał mówić głośno, La Valliere również mu odpowiadała, a oczy ich mówiły Saint-Agnanowi, że w czasie jego nieobecności wiek szczęścia tu przeżyli.

Słowem, Malicorne, ten mimowolny filozof, umiał zawsze wzbudzić w królu apetyt w sytości, a żądzę w pewności posiadania.

To, czego się La Valliere lękała, nie nastąpiło.

Nikt się nie domyślał, że ona przez dwie lub trzy godziny codziennie nie jest u siebie.

Udawała, że często cierpi.

Przychodzący do niej pierwej pukali, nim weszli.

Malicorne, jako człowiek pełen dowcipnych wynalazków, wymyślił mechanizm akustyczny, za pomocą którego La Valliere w pokoju Saint-Agnana uprzedzana była o odwiedzinach, które jej składano.

Tak więc, bez wychodzenia, bez powiernicy, powracała do siebie, zbijając z tropu ukazaniem się, chociaż trochę spóźnionem, ale śmiałem, wszelkie podejrzenia najskrupulatniejszych szperaczy.

Malicorne spytał nazajutrz Saint-Agnana o nowiny.

Saint-Agnan musiał przyznać, że nieobecność jego przez kwadrans w mieszkaniu rozweselała króla na cały dzień.

— Trzeba podwoić czas nieobecności — rzekł Malicorne — ale nieznacznie, i zaczekaj pan, aż tego zażądają.

Zażądano też tak dobrze, że kiedy pewnego wieczora, to jest na czwarty dzień, malarz już wyszedł, a pokazał się Saint-Agnan, ulubieniec ten, wszedłszy, ujrzał na twarzy La Valliere cień niezadowolenia, którego ukryć nie umiała, a król mniej tajemniczy, okazał swoje nieukontentowanie aż nawet wzruszeniem ramion bardzo znaczącem.

La Valliere zarumieniła się.

— Dobrze — pomyślał Saint-Agnan — pan Malicorne będzie zachwycony tego wieczora.

I tak stało się istotnie.

— Widocznem jest — rzekł tenże do hrabiego — że panna La Valliere spodziewała się, iż choć dziesięć minut jeszcze się spóźnisz.

— A król, że choć pół godziny, kochany panie Malicorne.

— Byłbyś pan złym sługą króla — odrzekł tenże — gdybyś odmówił królowi pół godziny przyjemności.

— Ależ malarz? — rzekł Saint-Agnan.

— Biorę go na siebie, tylko pozwól mi poradzić się twarzy i innych okoliczności; to są moje magiczne zatrudnienia, bo, gdy astrolog mierzy astrolabią wysokość słońca, księżyca i ich konstelacji, ja poprzestaję na przekonaniu się, czy oczy okolone są czarną obwódką i czy usta tworzą łuk wklęsły albo wypukły.

— Uważaj więc.

— Polegaj pan na mnie.

I przebiegły Malicorne uważał tylko tak długo, jak mu się podobało.

Bo tego jeszcze wieczora król odwiedził księżnę z królową, a wzdychał tak ciężko, patrząc na La Valliere tak omdlewającemi oczyma, że Malicorne rzekł wieczorem do Montalais:

— Do jutra.

I poszedł do malarza i poprosił go, aby odłożył posiedzenie na dwa dni.

Saint-Agnana nie było również w domu, kiedy La Valliere już oswojona z niższem piętrem, podniosła klapę i zeszła na dół.

Król, jak zwykle, czekał na nią na schodach z bukietem w ręku, a spostrzegłszy ją, porwał w objęcia.

La Valliere wzruszona, oglądała się dokoła, lecz, nie widząc nikogo więcej prócz króla, uspokoiła się.

Usiedli.

Ludwik siadł u nóg jej z głową, opartą na kolanach kochanki, umieszczony tak, jak w schronieniu, z którego nic go wyrugować nie mogło, i jakby nadeszła już chwila, w której nic już nie mogło stanąć im na przeszkodzie; jednocześnie La Valliere pożerała go wzrokiem.

I z oczu jej tak słodkich, tak czystych, wydobywał się płomień, którego promienie szukały serca jej królewskiego kochanka, aby je rozgrzać a potem zapalić.

Zelektryzowany dotykaniem drgających kolan, drżący od szczęścia, kiedy ręka Ludwiki dotknęła jego włosów, król drętwiał w tej szczęśliwości, spodziewając się, że Saint-Agnan albo malarz nadejdzie.

W tem bolesnem przewidywaniu starał się chwilowo uniknąć ponęty, która wkradała się do żył jego, chciał uśpić serce i zmysły, odpychał rzeczywistość dla niego tak bliską, a gonił za cieniem.

Lecz drzwi nie otworzyły się, ani dla Saint-Agnana ani dla malarza; nawet obicie nie zaszeleściło, cisza, przesycona tajemniczością i pożądliwością, odrętwiała nawet ptaki w złoconych klatkach.

Król, zwyciężony, odwrócił głowę i przylgnął ustami do rąk La Valliere; ona, straciwszy rozum, konwulsyjnie ściskała rękami drżącemi głowę królewską.

Ludwik, na kolanach, chwiejąc się, potoczył się ku niej, a że La Valliere nie usunęła głowy, czoło więc króla było na równej linji z ustami młodej kobiety, a ona w uniesieniu dotknęła cichym i konającym prawie pocałunkiem pachnących włosów króla, które pieściły jej twarz.

Król porwał ją w objęcia, a że się nie opierała, zamienili ten pierwszy pocałunek, pocałunek ognisty, przeistaczający miłość w gorączkę.

Ani Saint-Agnan, ani malarz nie przyszli.

Rodzaj upojenia ciężkiego lecz słodkiego, które, odświeżając zmysły, sen niedotykalny, omdlewający, szczęśliwy jak życie, spadł, podobny do lekkiej chmury między przeszłe i przyszłe życie kochanków.

Na łonie tego snu, pełnego marzeń, szmer ciągły, na wyższem piętrze, wstrząsnął najprzód La Valliere, lecz nie obudził jej wcale.

Jednakże kiedy ten hałas, powiększając się, stawał coraz wyraźniejszym i przypominał coraz bardziej rzeczywistość biednej młodej kobiecie, upojonej marzeniami, powstała przerażona, piękna w swoim nieładzie, mówiąc:

— Ktoś czeka na mnie na górze!... Ludwiku!... Ludwiku!... czy nie słyszysz?...

— O!... czyż nie jesteś tą, na którą ja czekam?... — rzekł król z czułością — niech inni odtąd na ciebie czekają.

Lecz ona zlekka potrząsnęła głową.

— Szczęście to ukryte... — rzekła ze łzami — i władza ukryta... moja duma musi tak milczeć, jak i serce.

Szmer znowu się odezwał.

— Słyszę głos Montalais — rzekła.

I prędko weszła na schody.

Król postępował za ną, nie mając siły jej opuścić i okrywając pocałunkami jej ręce.

— Tak, tak — powtórzyła La Valliere kiedy już połową ciała była w swoim pokoju — tak, to Montalais która mnie woła, musiało się stać coś bardzo ważnego.

— Idź, moje bóstwo — wyrzekł król — i powracaj prędko.

— O!... ale nie dzisiaj. Do widzenia, do widzenia.

I schyliła się raz jeszcze, aby uściskać kochanka, potem wymknęła się.

Montalais czekała istotnie niespokojna i blada.

— Prędko, prędko — rzekła — już nadchodzi!...

— Kto taki, kto nadchodzi?...

— On!... ja to przewidziałam.

— Ależ co za on!... nie dręcz mię.

— Raoul — rzekła Montalais.

— Tak, to ja — wyrzekł głos radosny na ostatnich stopniach wielkich schodów.

La Valliere wydała okropny krzyk i padła na krzesło.

— Oto jestem, jestem kochana Ludwiko — rzekł Raoul, przybiegając — o!... wiedziałem dobrze, że mię zawsze kochasz.

La Valliere chciała coś mówić, lecz zdołała zaledwie wyrzec:

— Nie, nie.

I, padając na ręce Montalais, rzekła:

— Nie zbliżaj się do mnie.

Montalais dała znak Raoulowi, który stał jak skamieniały we drzwiach, nie mogąc nawet kroku postąpić.

Potem rzucając oczyma na parawan rzekła:

— O nieroztropna, nawet klapy nie zamknęła.

I podążyła w narożnik pokoju, aby zasłonić otwór parawanem, a potem zamknąć klapę.

Lecz z otworu wyskoczył król, który, usłyszawszy krzyk La Valliere, przybiegł jej na pomoc.

Ukląkł przy niej, zarzucając pytaniami Montalais, która teraz także traciła przytomność.

A w chwili, kiedy król padał na kolana, usłyszano okrzyk rozpaczy i kroki w przedpokoju.

Król porwał się, chcąc zobaczyć, kto ten krzyk wydał i kto szedł korytarzem.

Montalais chciała go powstrzymać, lecz napróżno.

Król, opuszczając La Valliere, pobiegł ku drzwiom, lecz Raoul był już daleko, i król spostrzegł tylko cień na zakręcie korytarza.

CLXXXII

DWOJE DAWNYCH PRZYJACIÓŁ.

Kiedy każdy u dworu myślał o swoich interesach, pewien mężczyzna skradał się po za placem Greve do domu, który niegdyś był oblegany przez d'Artagnana, w dniu zaburzenia.

Dom ten główne miał wejście od placu Beaudoyer.

Dosyć obszerny, otoczony ogrodami, zasłonięty od ulicy świętego Jana sklepami z żelaznemi narzędziami rolniczemi, które broniły przystępu ciekawym oczom, otoczony był potrójnym wałem, to jest murem kamiennym, ciągłym hałasem i zielonością.

Człowiek, o którym mówimy, szedł krokiem pewnym, chociaż nie był już pierwszej młodości.

Widząc jego płaszcz szary i długą szpadę, każdy poznałby w nim człowieka, szukającego przygód. A patrząc na delikatną twarz z zakręconym do góry wąsem, ukrytą pod ogromnemi skrzydłami kapelusza, któżby nie pomyślał, że przygody te muszą być miłosne.

Gdy zaledwie człowiek ten wszedł do domu, ósma wybiła na wieży św. Gerwazego.

W dziesięć minut potem dama, za którą szedł uzbrojony lokaj, do tych samych zapukała drzwi, które jej otworzyła już podeszła służąca.

Dama ta, wchodząc, podniosła zasłonę.

Nie była to już piękność, ale była to jeszcze kobieta choć nie pierwszej młodości, żywa i powierzchowności przyjemnej: pod

bogatem i gustownem ubraniem znać było wiek, którym sama tylko Ninon de Lenclos, uśmiechając się, pogardzała.

Zaledwie weszła do przedpokoju, kiedy mężczyzna, którego rysy opisaliśmy, zbliżył się do niej i, podając rękę, rzekł:

— Dzień dobry, kochana księżno!

— Dzień dobry, kochany Aramisie — odpowiedziała księżna.

Wprowadził ją do salonu, ozdobnie umeblowanego, którego wysokie okna czerwieniły się ostatniemi promieniami słońca, przyćmionemi od czarnych wierzchołków kilku jodeł.

Oboje usiedli obok siebie.

Żadnemu z nich nie przyszło na myśl zażądać światła, woleli pogrążyć się w ciemności, jakby chcieli zagrzebać w niepamięci wspólną przeszłość.

— Kawalerze — rzekła księżna — od widzenia się naszego w Fontainebleau, nie zawiadomiłeś mię nawet, czy żyjesz, a przyznaję, że obecność twoja w dniu śmierci Franciszkanina i tajemniczość zadziwiły mnie i zaciekawiły niewymownie.

— Mogę pani wytłumaczyć i moją obecność i moją tajemniczość — rzekł Aramis.

— Ale przedewszystkiem — rzekła z żywością księżna — pomówmy trochę o sobie. Przecież od tak dawna jesteśmy przyjaciółmi.

— Tak, pani, jeżeli się Bogu podoba, zawsze nimi będziemy.

— To pewna, kawalerze, odwiedziny moje są tego dowodem.

— Nie mamy teraz, mościa księżno, tych samych powodów jak niegdyś — rzekł Aramis, uśmiechając się, bo bez obawy, w ciemności nie można było zgadnąć, że uśmiech jego jest mniej przyjemnym i żywym niż dawniej.

— Tak dziś, kawalerze, mamy inne powody. Każdy wiek przynosi nowe; dziś tak dobrze rozumiemy się, rozmawiając, jak niegdyś rozumieliśmy się, nic do siebie nie mówiąc. Jeżeli więc chcesz, rozmawiajmy.

— Jestem na rozkazy, pani. Ale za pozwoleniem, jakim sposobem dowiedziałaś się o mojem mieszkaniu i dlaczego?

— Dlaczego? jużem ci to mówiła! przez ciekawość! Chciałam wiedzieć, czem byłeś dla tego Franciszkanina, z którym miałam niejakie stosunki, a który tak szczególną zmarł śmiercią. Przypominasz zapewne sobie, że, widząc się ostatni raz w Fon-

tainebleau na cmentarzu, przy grobie, świeżo usypanym, byliśmy tak dalece oboje wzruszeni, żeśmy nic sobie nie mogli powierzyć.

— Prawda, pani.

— A więc zaledwie ciebie opuściłam, jużem tego żałowała, zawsze bowiem chciwą byłam objaśnień. Wiesz zapewne, że i pani de Longueville, jest taką jak i ja, nieprawdaż?

— Nie wiem — rzekł skromnie Aramis.

— Przypomniałam sobie, żeśmy nic wzajemnie sobie na cmentarzu nie powierzyli, ani ty: czem byłeś dla Franciszkanina, którego zajmowałeś się pogrzebem, ani ja, czem dla niego byłam. Wszystko to wydawało mi się niegodnem dwojga tak dobrych jak my przyjaciół, i dlatego szukałam sposobności, ażeby zbliżyć się do ciebie, ażeby dowieść ci, że należę do twego stron nictwa, i że biedna nieboszczka Marja Michon zostawiła na tej zemi cień pełen wspomnień.

Aramis schylił się do ręki księżny i pocałował ją z grzecznością.

— Musiałaś pani mieć — rzekł — trochę trudności w wynalazieniu mnie?

— Tak — odpowiedziała niezadowolona, że Aramis naprowadza rozmowę na to, czego chciał się dowiedzieć. — Ale wiedziałam, że jesteś przyjacielem pana Fouquet, szukałam więc ciebie około niego.

— Przyjacielem! o!... — krzyknął Aramis — mylisz się, księżno. Ubogi ksiądz, zaszczycony łaską tak wspaniałomyślnego opiekuna, ma tylko dla niego serce, przepełnone wdzięcznością i wiernością. Ot tem jestem dla pana Fouquet.

— Zrobił cię biskupem.

— Tak, księżno.

— Ale wojskowość to zawsze twoja ucieczka!

— Jak dla ciebie intrygi polityczne — pomyślał Aramis. — A więc — mówił dalej — dowiedziałaś się o mnie pani w towarzystwie pana Fouquet?

— Z łatwością. Byłeś z nim w Fontainebleau, potem pojechałeś do swojej diecezji, którą zdaje mi się, jest Belle-Isle-en-Mer...

— Nie, pani, nie, diecezja moja jest Vannes.

— To właśnie chciałam powiedzieć. Zdawało mi sę tylko, że Belle-Isle-en-Mer...

— To mieszkanie pana Fouquet i nic więcej.

— Ale mówiono mi, że to twierdza, znam cię bowiem, mój przyjacielu, jako zdolnego wojskowego.

— Wszystkiegom zapomniał, od czasu jak zostałem duchownym — rzekł Aramis dotknięty.

— Mniejsza o to... Wiedziałam potem, żeś wrócił z Vannes, i posłałam do jednego z naszych dawnych przyjaciół, hrabiego de La Fere...

— A!... — rzekł Aramis.

— Ale ten, jedyny do sekretu — odpowiedział mi, że nie wie nic o tobie.

— Zawsze ten sam — pomyślał biskup. — Kto jest dobrym, zawsze nim będzie.

— Wówczas... wiesz bowiem, że nie mogę się tu pokazywać, bo królowa matka zawsze coś ma przeciw mnie.

— Tak, i dziwi mnie to mocno.

— O! to pochodzi z wielu przyczyn. Ale dajmy temu spokój... Przymuszona więc jestem ukrywać się; szczęściem spotkałam pana d'Artagnan, podobno dawnego twego przyjaciela, nieprawdaż?

— I teraźniejszego, księżno!

— On mnie oświecił, odesławszy mię do pana de Baisemeaux, gubernatora Bastylji.

Aramis zadrżał, a oczy jego w ciemności rzuciły blask, którego nie mógł przed przewidującą przyjaciółką ukryć.

— Pana de Baisemeaux — rzekł — a dlaczegóż d'Artagnan odesłał panią do pana de Baisemeaux?

— Nie wiem.

— Co to ma znaczyć?... — pomyślał biskup wysilając spryt swój, ażeby godnie wytrzymać walkę.

— Jak m mówił d'Artagnan, pan de Baisemeaux był ci mocno obowiązany.

— To prawda!

— A zawsze się wie dobrze o miejscu pobytu dłużnika jak i wierzyciela.

— I to prawda. A zatem Baisemeaux wskazał pani...

— Saint-Mande dokąd posłałam list...

— Który mam przy sobie który bardzo mi jest drogim bo mu winienem radość widzenia pani.

Księżna uradowana, że bez niebezpieczeństwa potrafiła dotknąć wszystkie prawie okoliczności w tak drażliwym położeniu, odetchnęła swobodniej.

Aramis przeciwnie.

— Stanęliśmy więc — rzekł — na odwiedzinach pani u Baisemeaux.

— Nie — rzekła, śmiejąc się — trochę dalej.

— A więc na nienawiści pani ku królowej matce?

— Jeszcze dalej — rzekła — jeszcze dalej, mówiliśmy o stosunkach...

— Jakie miałaś pani z Franciszkaninem — przerwał żywo Aramis — słucham więc, słucham z uwagą.

— To rzecz bardzo prosta — odpowiedziała księżna — wiesz zapewne, że żyję z panem de Laicques?

— Wiem pani!

— Coś nakształt męża!

— Tak mówią.

— W Brukseli?

— Tak.

— Wiesz, że mnie moje dzieci zniszczyły i obdarły?

— A! cóż za nikczemność, księżno!

— To okropne! Trzeba było koniecznie wymyślić sposób, ażeby żyć nie zaś, aby tylko wegetować.

— Ma się rozumieć.

— Miałam nie jedną zemstę do wykonania, nie jedną przysługę, do zrobienia, a nie miałam już znaczenia ani protektorów!

— Pani, coś tylu protegowała.

— To się tak zawsze dzieje, kawalerze! widziałam niedawno króla hiszpańskiego.

— Aha!

— Który tylko co mianował generała jezuitów jak to jest we zwyczaju.

— A! to taki zwyczaj.

— Jakto nie wiedziałeś o tem?

— Przepraszam, byłem roztargniony.

— Ależ powinieneś był wiedzieć o tem, ty, co w tak ścisłych byłeś stosunkach z Franciszkaninem.

— Z generałem jezuitów, chcesz, pani, zapewne powiedzieć.

— Tak, tak. Otóż widziałam króla hiszpańskiego. Chciał mnie poprzeć, lecz nie mógł. Polecił mię jednak we Flandrji, mnie i Laicquesa, skutkiem czego dostałam pensję z funduszów zakonu.

— Jezuitów?

— Tak, generał, chcę mówić Franciszkanin przybył do mnie.

— Bardzo dobrze.

— A ja, ażeby się to jakoś nie sprzeciwiało regułom zakonu, powinnam była w czemś być mu użyteczną. Wiesz zapewne, że takie jest prawo?

— Nie wiedziałem.

Pani de Chevreuse wstrzymała się, aby spojrzeć na Aramisa, ale było ciemno.

— A że to takie prawo — mówiła dalej — powinnam była w czemkolwiek być użyteczną dla zgromadzenia. Podałam projekt podróżowania w interesach zgromadzenia i zaliczono mię w poczet podróżników zakonu; pojmujesz zapewne, że to tylko był pozór i prosta formalność.

— Najzupełniej.

— Tak, więc pobierałam pensję, która była dosyć znaczną.

— Mój Boże, to, co mi opowiadasz, księżno, przeszywa mi serce jak sztyletem. Ty zmuszona być płatną przez jezuitów.

— Nie, kawalerze, przez Hiszpanję.

— Ależ, sumiennie mówiąc, to wszystko jedno.

— O nie, bynajmniej.

— Więc z tak pięknych dóbr cóż pani pozostało...

— Pozostało mi Dampiere, i nic więcej.

— Ależ i to bardzo piękne.

— Tak. Ale Dampiere jest zburzone, zniszczone tak, jak jego właścicielka.

— A królowa-matka patrzy na to obojętnie?... — rzekł Aramis, wpatrując się ciekawie, ale ciemność nie dozwoliła mu nic widzieć.

— O!... ona zapomniała o wszystkiem.

— Zdaje mi się, księżno, żeś się starała wrócić do jej łaski.

— Tak. Ale rzecz szczególna, którą trudno zrozumieć, król odziedziczył tąż samą nienawiść i odrazę, jaką miał jego kocha-

ny ojciec dla mnie. Ha!... zapewne powiesz mi, że jestem jedną z tych kobiet, które się nienawidzi, a nie jestem już z tych które się kocha.

— Kochana księżno!... przystąpmy prędko do tego, co cię tu sprowadziło, zdaje mi się bowiem, że możemy sobie być jeszcze wzajemnie użyteczni.

— Ja już o tem myślałam. Przybyłam więc do Fontainebleau w podwójnym celu. Najprzód byłam wezwaną przez Franciszkanina, którego znałeś. Ale, ale, jak ty go poznałeś?... Ja ci moją opowiedziałam historję, a tyś mi swojej nie opowiedział.

— Ja poznałem go w sposób bardzo naturalny. Uczyliśmy się razem teologji w Parmie i zaprzyjaźniliśmy się. A potem interesa, podróże, wojny rozłączyły nas.

— Wiedziałeś zapewne, że on jest generałem Jezuitów?

— Bynajmniej!

— Ale jakimże sposobem znalazłeś się także w tym domu, gdzie się zbierali podróżnicy zgromadzenia.

— O!... — rzekł Aramis głosem spokojnym — to prosty przypadek. Jechałem do Fontainebleau, do pana Fouquet, ażeby otrzymać posłuchanie u króla. W drodze spotkałem Franciszkanina umierającego i poznałem go. Resztę wiesz pani; skonał na mojem ręku.

— Tak, ale, zostawiając ci w niebie i na ziemi taką moc, żeś w jego imieniu wydał najwyższe rozkazy.

— Istotnie obarczył mię kilku poleceniami.

— A co do mnie?

— Jużem pani mówił. Kazał ci wypłacic dwanaście tysięcy liwrów. Zdaje mi się, żem już podpisał wypłatę. Nie odebrałaś ich pani jeszcze?

— Odebrałam. Ależ, mój kochany prałacie dawałeś ten rozkaz, jak mi mówiono, z taką tajemniczością i tak łaskawą pewnością, że uważano cię za następcę nieboszczyka.

Aramis zaczerwienił się z niecierpliwości.

Księżna mówiła dalej:

— Dowiadywałam się o tem u króla hiszpańskiego, i on oświecił mię w tym punkcie, że, podług ustaw zgromadzenia, generał Jezuitów powinien być Hiszpanem. A że nie jesteś Hiszpanem, nie byłeś więc mianowanym przez króla hiszpańskiego.

Aramis odpowiedział:

— Widzisz więc teraz dobrze, księżno, że byłaś w błędzie, bo ci nawet sam król hiszpański to powiedział.

— Tak, mój kochany, ale zachodzi tu inna okoliczność, o której myślałam.

— Cóż takiego?

— Wiesz bowiem dobrze, że ja o wszystkiem myślę.

— O tak, wiem.

— Umiesz po hiszpańsku?

— Każdy Francuz, co należał do Frondy, zna ten język.

— Mieszkałeś we Flandrji?

— Trzy lata.

— Bawiłeś i w Madrycie?

— Piętnaście miesięcy!

— A więc skoro zechcesz, możesz się naturalizować w Hiszpanji.

— Czy i pani tak myślisz!... — rzekł Aramis z dobrodusznością, która zawiodła księżnę.

— Bezwątpienia... Dwa łata mieszkania i świadomość języka nadają do tego prawo. A tyś mieszkał trzy lata i pół, zatem o piętnaście miesięcy więcej.

— Do czegóż więc zmierzasz, kochana księżno?

— Do tego. Jestem bardzo dobrze z królem hiszpańskim.

— I ja także nieźle — pomyślał Aramis.

— Czy chcesz, ażebym prosiła dla ciebie u króla o następstwo po Franciszkaninie?

— Ależ księżno!

— Może już je masz?

— Nie, daję słowo.

—A więc mogę ci zrobić tę przysługę.

— Dlaczegóż nie zrobiłaś jej panu de Laicques, księżno?... Jest to człowiek, pełen zdolności, i kochasz go?

— Tak, zapewne, ale to tak jakoś się nie zrobiło. W końcu co tam Laicques czy nie Laicques, chcesz?

— Nie, księżno, dziękuję ci.

Zamilkła.

— Pewno już mianowany — pomyślała.

— Jeżeli mi tak krótko odmawiasz, to nie ośmiela mię, ażebym od ciebie czegoś żądać mogła?..

— O, żądaj, pani, owszem.

— Żądać... nie mogę, jeżeli nie masz mocy udzielenia mi tego.

— O ile tylko będę mógł, uczynię. Żądaj pani, proszę.

— Potrzebuję pewnej sumy pieniędzy, ażeby podnieść Dampierre.

— A. — odpowiedział Aramis ozięble — pieniędzy?... — No i jakiejże to sumy księżno?

— Tak, dosyć dużej.

— Tem gorzej, wiesz bowiem, żem nie bogaty...

— Ty nie, ale zakon. Gdybyś był jego generałem...

— Ale wiesz pani, że nie jestem generałem.

— Ale masz przyjaciela, który jest bogaty, pana Fouquet.

— Pan Fouquet, pani!... jest już więcej niż w połowie zrujnowany.

— Mówiono mi, ale nie chciałem temu wierzyć.

— Dlaczego, księżno?

— Gdyż posiadam kilka listów kardynała Mazariniego, to jest pan de Laicques je posiada, któreby dziwnie sprostowały rachunki.

— Jakie rachunki!

— Względem sprzedaży rent, pożyczek, wreszcie nie pamiętam już jakie, wiem tylko, że za pomocą tych dokumentów pan nadintendent wziął ze skarbu ze 30 miljonów. A to rzecz niemała.

Aramis zacisnął pięści.

— Co — rzekł — masz pani takie papiery, a nie dałaś znać o nich panu Fouquet.

— O! .. — rzekła księżna — podobnego rodzaju rzeczy chowa się na ostatni wypadek. A kiedy ten nadejdzie wówczas się je wydobywa z ukrycia.

— I tak przykra chwila nadeszła?... — rzekł Aramis.

— Tak, mój kochany.

— I chcesz, pani, pokazać te listy panu Fouquet?

— Wolę o nich pomówić z tobą.

— Widać, że bardzo potrzebujesz pieniędzy, biedna przyjaciółko, ażeby o czemś podobnem pomyśleć, ty, która nieszczególne miałaś upodobanie do nędznej prozy pana Mazariniego.

— Istotnie bardzo potrzebuję pieniędzy.

— A przytem — mówił dalej Aramis obojętnie — musiałaś pani dużo cierpieć, chwytając się tego środka, gdyż jest on bolesny.

— O!... gdybym chciała źle, a nie dobrze zrobić — rzekła pani de Chevreuse — zamiast, żądać od generała zakonu, albo od pana Fouquet pięćciuset tysięcy liwrów, których potrzebuję.

— Pięćset tysięcy liwrów!

— Nie więcej. Czy uważasz sumę za wielką? Przecież dla wyrestaurowania Dampierre najmniej tyle potrzeba.

— Zapewne.

— Mówię zatem, że, zamiast prosić o tę sumę, poszłabym do mojej dawnej przyjaciółki królowej matki; listy jej męża, signora Mazariniego, posłużyłyby mi za przewodnika i poprosiłabym ją o tę drobnostkę, mówiąc: "Chcę mieć zaszczyt, aby przyjąć Waszą Królewską Mość w Dampierre; pozwólże mi Wasza Królewska Mość uczynić Dampierre godnem jej przyjęcia."

Aramis nie odpowiedział ani słowa.

— No — rzekła — o czemże myślisz?

— Robię dodawanie — rzekł Aramis.

— A pan Fouquet odejmowanie; ja zaś próbuję mnożenia. O!... doskonaliśmy rachmistrze!... i moglibyśmy się łatwo porozumieć.

— Pozwolisz mi trochę zastanowić się nad tem?... — rzekł Aramis.

— Nie, w podobnym przedmiocie, pomiędzy takimi jak my ludźmi, odpowiada się tylko tak lub nie, i to natychmiast.

— To jakieś sidła — pomyślał biskup. — Niepodobna, aby Anna Austrjacka mogła słuchać takiej kobiety.

— A więc?... — rzekła księżna.

— Ja bardzo byłbym zdziwiony, gdyby pan Fouquet mógł mieć teraz do rozporządzenia pięćset tysięcy liwrów.

— To nie mówmy więcej o tem, a Dampierre trzeba wyrestaurować jakkolwiekbądź.

— Zdaje mi się, że co do tego nie będziesz pani zakłopotaną?

— Ja nigdy nie jestem zakłopotaną.

— Zapewne królowa zrobi dla pani to, czego nadintendent nie może.

— Bezwątpienia... Ale powiedz mi, czyby nie było lepiej, gdybym ja sama pomówiła z panem Fouquet o tych listach.

— Rób pani, jak ci się podoba. Ale pan Fouquet jest, albo nie jest winnym; jeżeli jest, to tyle ma dumy, że się sam przyzna; jeżeli zaś nie, bardzo się obrazi podobną pogróżką.

— Dowodzisz, jak anioł.

I, to mówiąc, księżna powstała.

— Zatem idziesz pani oskarżać pana Fouqueta przed królową.

— Oskarżać... a!... to brzydkie słowo. Ja oskarżać nie będę, mój przyjacielu; znasz bowiem doskonale politykę, ażebyś nie wiedział, jak się podobne rzeczy dzieją. Jestem przeciwko panu Fouquet, i nic więcej.

— To prawda.

— A w wojnie stronnictw każda broń jest dobrą.

— Bezwątpienia.

— I pogodziwszy się z królową-matką, mogę się stać niebezpieczną.

— Masz do tego prawo, księżno.

— I użyję go też, kochany przyjacielu.

— Zapewne pan wiesz że pan Fouquet jest jaknajlepej z królem hiszpańskim.

— Domyślam się tego.

— Jeżeli pani zaszkodzisz panu Fouquet, on pani także się odwzajemni.

— Cóż robić!

— I będzie miał do tego prawo.

— Pewno...

— A ponieważ jest w stosunkach z Hiszpanją, tam więc znajdzie broń.

— Chcesz zapewne mówić, że będze także w bardzo dobrem porozumieniu z generałem Jezuitów?

— I to może nastąpić.

— A wtenczas wstrzymają mi pensję, którą od nich pobieram.

— Boję się tego.

— Mniejsza o to!... Mój kochany, po czasach Richeuliego, Frondy i wygnania, czegóż więcej może się obawiać księżna de Chevreuse.

— Jednakże pensja wynosi czterdzieści osiem tysięcy liwrów.

— Niestety!... wiem o tem dobrze.

— Tembardziej, jeżeli strony są w nieporozumieniu, dotknąć to może także i przyjaciół twoich i nieprzyjaciół.

— Chcesz zapewne powiedzieć, że się dostanie i biednemu Laicques.

— Więcej niż pewne, mościa księżno.

— O! on zaledwie dostaje dwanaście tysięcy liwrów pensji.

— Prócz tego król hiszpański, mając tak obszerne stosunki, za poradą pana Fouqueta może się postarać o wsadzenie pana Laicques do jakiej twierdzy.

— Tego nie bardzo się lękam, mój dobry przyjacielu. Dzięki bowiem nastąpić mającemu porozumieniu się z Anną Austrjacką, za jej staraniem, Francja zażąda wolności dla pana Laicquet.

— To prawda. Ale znowu czego innego będziesz musiała się obawiać.

— Czegóż?... — rzekła księżna, udając doskonale zadziwienie i przestrach.

— Dowiedz się, pani, może wiesz już, że wszedłszy do związku nie opuszcza się go bez trudności. Tajemnice które się podchwyciło, nie zawsze są dogodne, i niosą zarody nieszczęścia tym, którzy je odsłaniają.

— Wiem, że to ważne — rzekła — i będę się starała temu zaradzić.

I pomimo głębokiej ciemności, Aramis uczuł palące w sercu swem, jak żelazo, gorące spojrzenie księżny.

— Wyliczmy jeszcze raz korzyści i straty — rzekł Aramis, mający się teraz na ostrożności, z ręką, włożoną za surdut, gdzie ukrywał sztylet.

— Dobrze, wyliczmy. Rzetelny rachunek potrzebny jest między przyjaciółmi.

— Wstrzymanie pensji!

— Czterdzieści osiem tysięcy liwrów, a dwanaście tysięcy pana de Laicques czyni sześćdziesiąt tysięcy liwrów. Prawda?

— Zupełna i myślę nad tem, coby zrównoważyło tę stratę?

— Pięćset tysięcy liwrów, które otrzymam od królowej.

— A jeżeli ich pani nie otrzymasz.

— Znam środek, jak je dostać — rzekła nieuważnie księżna.

Słowa te wzbudziły uwagę Aramisa, umysł jego stał się tak ostrożnym, że od tej chwili coraz więcej zyskiwał przewagi nad księżną, którą ona coraz więcej traciła.

— Przypuszczam, że pani mieć będziesz te pieniądze — rzekł Aramis — ale stracisz dwa razy tyle, gdyż możesz mieć sto tysięcy liwrów pensji zamiast sześćdziesiąt tysięcy które teraz pobierasz, i to przez lat dziesięć.

— Nie, gdyż to zmniejszanie pensji cierpieć tylko będę podczas ministerjum pana Fouqueta, które najdalej potrwa jeszcze dwa miesiące.

— Aha!... — rzekł Aramis.

— Widzisz, że jestem tak, jak ty otwartą.

— Dziękuję ci za to, księżno. Mylisz się wszakże bardzo jeżeli mniemasz, że po niełasce pana Fouqueta, zakon będzie ci płacił pensję.

— Mam sposób zmuszenia zakonu do tego, tak, jak mam sposób dostania pieniędzy od królowej matki.

— Ha, jeżeli tak, jesteśmy zmuszeni poddać się tobie, księżno, przy tobie zwycięstwo i przewaga; chciej tylko być łaskawym zwycięzcą.

— Jakże?... — rzekła księżna, nieuważając szyderstwa — dla nędznych 500,000 liwrów nie chcesz oszczędzić swemu przyjacielowi, przepraszam, protektorowi, nieprzyjemności, jakie wynikną z tej walki stronnictw.

— Oto dlatego, księżno!... że, kiedy dam 500,000 liwrów, pan de Laicques także zażąda podobnej sumy, nieprawdaż?... Po wynagrodzeniu ciebie i tego, trzeba będzie dawać twoim dzieciom, twoim ubogim, słowem wszystkim, a listy te, jakkolwiek byłyby szkodzące, nie są warte trzech lub czterech miljonów. Na Boga, księżno!... zapinki królowej więcej były warte, niż te świstki z podpisem Mazariniego, a odzyskanie ich nie kosztowało czwartej części tego, ile żądasz dla siebie.

—To prawda, tak, ale kupiec ceni swój towar, jak chce, a od kupującego zależy nabyć go lub nie.

— Zresztą chcesz, żebym ci prawdziwie powiedział, dlaczego nie chcę ich nabyć?

— Dlaczego?...

— Gdyż listy te Mazariniego są zmyślone.

— Cóż znowu?...

— Niezawodnie!... Byłoby to bowiem nie do pojęcia, gdybyś ty, poróżniona z królową przez Mazarinego, zachowała z nim

tak ścisłe stosunki. To czuć coś szpiegostwem... na honor, nie chcę wymówić prawdziwej tego nazwy.

— Bądźcobądź, to, co jest zawarte w tych listach, nie ulega wątpliwości.

— Przysięgam ci, księżno, że nic ci one nie pomogą u królowej.

— O!... przeciwnie, u królowej wszystkich mogę użyć środków.

— Dobrze, — pomyślał Aramis. — Śpiewaj więc, przeklęta sroko, świszcz, nietoperzu.

Ale księżna dosyć już powiedziała. Postąpiła więc parę kroków ku drzwiom.

Aramis zachował dla niej uniżoność, uniżoność niewolnika, postępującego za wozem zwycięzcy.

Zadzwonił.

Przyniesiono światło do pokoju.

Wtenczas biskup znalazł się w promieniu światła, które odbijało się na zniszczonej twarzy księżny.

Aramis utopił przeciągły i szyderczy wzrok w tych bladych i wyschłych policzkach, w oczach rzucających iskry z pod ogołoconych z rzęs powiek, w ustach, które starannie ukrywały zżółkie i rzadkie już zęby.

Sam wysunął naprzód nogę zgrabną i silną, a z głową, dumnie do góry wzniesioną, uśmiechnął się, ażeby dać widzieć zęby, które przy świetle miały jeszcze dosyć połysku. Zestarzała zalotnica zrozumiała tę grzeczność szydzącą, będąc właśnie przed zwierciadłem, gdzie cała jej zgrzybiałość wykazała się, chociaż dość sztucznie była ukrytą. Wówczas, nie pożegnawszy nawet Aramisa, który ukłonił się jej zręcznie, jak niegdyś będąc muszkieterem, wyszła drżącym z pośpiechu krokiem.

Aramis, jak zefir, posuwał się po podłodze, aby jej aż do drzwi towarzyszyć.

Pani de Chevreuse dała znak swemu lokajowi i opuściła dom, w którym dwoje tak czułych przyjaciół nie porozumiało się; dlatego, że się dobrze na sobie poznali.

CLXXXIII

JEŻELI SIĘ TARGU NIE DOBIJE Z JEDNĄ STRONĄ MOŻNA GO DOBIĆ Z DRUGĄ.

Aramis nie omylił się.

Zaledwie wyszła z domu przy placu Baudoyer księżna de Chevreuse kazała się odprowadzić do domu. Bała się, aby jej kto nie śledził i tym sposobem nie chciała wzniecać podejrzenia.

Lecz zaledwie wróciła do domu, upewniona, że nikt za nią nie szedł, kazała otworzyć drzwi od ogrodu, które na inną wychodziły ulicę i udała się na ulicę Croix-des Petits Champs, gdzie mieszkał pan Colbert.

Była już noc ciemna.

Paryż, już o tej porze spokojny, okrywał cieniem szlachetną księżnę, prowadzącą intrygę polityczną, jak i prostą mieszczankę, która zapóźniona przez kolację w mieście, wracała z kochankiem najdłuższą drogą do mieszkania małżeńskiego.

Pani de Chevreuse aż nadto była z polityką nocną obznajmiona, ażeby nie wiedzieć, że minister nigdy nie odmówi posłuchania u siebie kobiecie młodej, bojącej się kurzu biurowego, albo bardzo podeszłym uczonym, którzy boją się nieskromnego echa ministerjum.

Lokaj przyjął księżnę w przedsionku i, powiedzmy otwarcie, przyjął niebardzo grzecznie, a nawet dowiódł jej, że o tej godzinie i w tym wieku nie przychodzi się przerywać pracy pana Colbert.

Pani de Chevreuse, nie rozgniewawszy się wcale, napisała na kawałku papieru swoje nazwisko, imię okrzyczane, które nieraz tak przykro brzmiało w uszach Ludwika XIII i wielkiego kardynała.

Napisała to nazwisko wielkiemi niezgrabnemi literami, złożyła właściwym sobie sposobem papier i oddała lokajowi, nie mówiąc ani słowa, lecz z miną, tak rozkazującą, że ten, przyzwyczajony do przewąchiwania osób, przeczuł odrazu księżnę i, ukłoniwszy się, pobiegł do pana Colbert.

Nie trzeba nawet mówić, że minister, przeczytawszy papier, krzyknął.

Krzyk ten był dostateczną wskazówką dla lokaja, że tajemnicze odwiedziny te muszą być ważne; pobiegł więc po księżnę.

Ta weszła trochę z trudnością na pierwsze piętro pięknego nowego domu, odpocząwszy trochę na schodach, ażeby nie stanąć zadyszana przed panem Colbert, który osobiście otworzył drzwi przed nią.

W progu księżna zatrzymała się trochę, aby dobrze przypatrzyć się temu, z kim miała interes.

Odrazu też ciężka ta głowa okrągła, okryta gęstymi włosami, ogromne brwi, wyraz twarzy nieprzyjemnej, naciśniętej czapeczką, podobną do czapki duchownego, całość ta przekonała księżnę, że mało w układach mieć będzie trudności, ale też, że mało zainteresowania obudzi przy roztrząsaniu punktów.

Nie można było przypuścić bowiem, aby ta ordynaryjna natura wrażliwa była na rozkosz zemsty wyszukanej, albo na pragnienie wyniesienia.

Lecz kiedy przyjrzała się bliżej małym jego czarnym przenikliwym oczom, podłużnym zmarszczkom wypukłego i surowego czoła, lekkiemu skrzywieniu ust, w których rzadko dojrzeć można dobroduszność, pani de Chevreuse zmieniła zdanie i mogła powiedzieć:

— Znalazłam takiego, jakiego mi potrzeba.

— Cóż mi sprowadza zaszczyt odwiedzin pani? — zapytał intendent skarbu.

— Interes, jaki mam do pana — rzekła księżna — jak również interes, jaki pan masz do mnie.

— Szczęśliwy jestem, żem usłyszał pierwszą część wyrazów pani, co zaś do drugiej...

Pani de Chevreuse usiadła na krześle, które jej Colbert podał.

— Panie Colbert, jesteś intendentem skarbu?

— Tak, pani.

— I wzdychasz do tego, ażeby zostać nadintendentem?

— Pani...

— Nie zaprzeczaj, gdyż byłoby to tylko przedłużeniem naszej rozmowy, a to niepotrzebne.

— Jednakże, pani, pomimo dobrych chęci, pomimo grzeczności nawet, jaką mam dla kobiety takiej, jak pani, nic mię nie zmusi do powiedzenia, że chcę wysadzić mego przełożonego.

— Ja panu nie mówiłam o wysadzeniu. Czybym przypadkiem wymówiła to słowo, e! nie zdaje mi się; wyraz ten da się zastąpić mniej napastniczym i stosowniejszym gramatycznie, jak mówi pan de Votuire. Utrzymuję więc, że pan chcesz zastąpić pana Fouquet.

— Stanowisko pana Fouquet, pani, jest silne; gra on w tym wieku rolę kolosa rodyjskiego! Okręty przechodzą pod nim, ale go nie wywrócą.

— Ja także użyłam tegoż samego porównania. Prawda, pan Fouquet gra rolę kolosa rodyjskiego, ale przypominam sobie, że mi opowiadał pan Conrart, zdaje się, członek akademji że kupiec, co kazał zrzucić ten kolos, prosty kupiec, panie Colbert, naładował czterysta wielbłądów jego szczątkami. A kupiec jest przecie daleko mniej silnym, niż intendent skarbu.

— Mogę panią zapewnić, że ja nigdy nie wywrócę pana Fouquet.

— Więc dobrze, panie Colbert, ponieważ chcesz pan koniecznie udawać czułego przy mnie, jakbyś nie wiedział, że się nazywam de Chevreuse i, że jestem starą, to jest, że masz interes z kobietą, która walczyła intrygami z panem de Richelieu i która mało ma czasu do stracenia, ponieważ — jak mówię, popełniasz tę niedorzeczność, poszukam ludzi, którzy mnie zechcą pojąć i większą mają chęć ustalić swój los.

— Jakto, pani?

— Dajesz mi pan nędzne wyobrażenie o układach w dzisiejszych czasach. Zaręczam panu, że, gdyby za moich czasów kobieta przyszła do pana de Cinq-Mars, który niezbyt był bystrego umysłu, zaręczam, że, gdyby mu o kardynale powiedziała to, co ja pan mówię o panu Fouquet, pan de Cinq-Mars dotąd jużby był działał.

— Pani! cokolwiek pobłażania.

— A więc, zdecydowałeś się pan zastąpić pana Fouquet?

— Jeżeli go król usunie i owszem.

— Jeszcze za wiele wyrazów! Dowiedzionem jest, że jeżeliś pan dotąd nie wypędził pana Fouquet, to jedynie dlatego tylko, iż nie mogłeś tego uczynić. To też i ja byłabym głupiem bydlęciem, gdybym, przychodząc do pana w tym celu, nie podała mu stosownych środków.

— Jestem w rozpaczy, pani, że muszę o to nalegać — rzekł Colbert, po chwili milczenia, która pozwoliła księżnie zgłębić całą zręczność jego udawania — ale powinienem panią uprzedzić, że od sześciu lat skarga po skardze następuje przeciw panu Fouquet, a pomimo to nic mu nie można zaszkodzić.

— Wszystko ma swój czas, panie Colbert. Ci którzy podawali skargi przeciw panu Fouquet, nie nazywali się de Chevreuse i nie mieli dowodów, dorównywujących sześciu listom pana Mazariniego, które stanowią niezaprzeczony dowód jego winy.

— Winy?

— Zbrodni, jeżeli wyraz ten więcej się panu podoba.

— Pan Fouquet popełnił zbrodnię?

— O, to dziwne, panie Colbert, pan co jesteś tak zimny i obojętny, a w tej chwili jesteś cały w płomieniach.

— Zbrodnia!

— A! nareszcie sprawia to na panu jakieś wrażenie.

— O! bo też wyraz ten tyle rzeczy zawiera w sobie.

— Zawiera w sobie patent nadintendenta skarbu dla pana, a wyrok wygnania albo Bastylji dla pana Fouquet.

— Przebacz mi, księżno, lecz wygnanie pana Fouquet wydaje mi się niepodobnem, co innego uwięzienie, albo niełaska! to i tak już wiele.

— O! ja wiem, co mówię!... — odrzekła obojętnie księżna de Chevreuse. — Nie żyję tak daleko od Paryża, abym nie wiedziała, co się w nim dzieje. Król nie lubi pana Fouquet i niezawodnie zgubiłby go, gydby mu się tylko nadarzyła sposobność.

— Trzeba więc, ażeby ta sposobność była dobra.

— O! niezła jest i właśnie ja ją szacuję na pięćset tysięcy liwrów.

— Jakto?... — rzekł Colbert.

— Rozumiem przez to, że, mając tę sposobność, oddam ją panu za wypłatą pięciuset tysięcy liwrów.

— Rozumiem panią dobrze; ale ponieważ ustanawiasz pani cenę przedmiotu, zobaczmy jego wartość.

— To rzecz najmniejsza, sześć listów autentycznych pana Mazariniego dowodzących stanowczo, że pan Fouquet obrócił na swój użytek ogromne sumy, przeznaczone na oszczędność skarbu.

— Dowodzących stanowczo!... — rzekł Colbert z iskrzącemi się oczyma.

— Stanowczo! Chcesz pan je przeczytać?

— Z całego serca, ale ma się rozumieć kopje tylko.

— Naturalnie.

Księżna wyciągnęła zza gorsa paczkę spłaszczoną.

— Czytaj pan — rzekła.

Colbert z chciwością rzucił się na nie i prawie je pożerał.

— Cudownie!... — rzekł.

— Zdaje mi się, że to dość jasne.

— Tak!... pani, tak, pan Mazarini, złożył pieniądze panu Fouquet, a ten ich użył dla siebie. Ale jakież pieniądze?...

— Widzisz pan, co za suma, i, jeżeli się porozumiemy, dodam jeszcze panu list siódmy, który ostatecznie pana objaśni w tym przedmiocie.

Colbert zamyślił się.

— A oryginały tych listów?... — zapytał.

— To zapytanie niepotrzebne!... To tak, jakbym ja pana spytała: Czy worki, które mi pan dasz, będą pełne czy próżne?...

— Prawda, pani.

— Więc już skończone?...

— Nie jeszcze!...

— Jakto?...

— Jest jeszcze jedna okoliczność, nad którą oboje nie zastanowiliśmy się.

— Jakaż?...

— Pan Fouquet może być potępiony tylko drogą procesu.

— Tak.

— Trzeba go publicznie zawstydzić.

— Tak!... A więc?...

— A więc, nie można mu ani wytoczyć procesu, ani go zawstydzić!...

— Dlaczego?...

— Dlatego, że jest generalnym prokuratorem parlamentu, gdyż wszystko we Francji, administracja, wojsko, sprawiedli-

wość, handel, wszystko to połączone jest łańcuchem jedności, czyli jak mówią, duchem stowarzyszenia. A tak, pani, nigdy parlament nie ścierpi, aby jego naczelnik pociągnięty był przed sąd, a choćby to z rozkazu królewskiego nastąpiło, nigdy on nie będzie potępionym.

— A!... panie Colbert, to już do mnie nie należy.

— Wiem pani!... ale to do mnie należy i o wiele zmniejsza wartość interesu. Na cóż mi może służyć dowód zbrodni, kiedy nie można potępić winowajcy.

— Przypuśćmy, że pan Fouquet utraci tylko posadę nadintendenta.

— To właśnie jest główne — wykrzyknął Colbert, a ponure jego rysy zabłysły w tej chwili cechą szczerej nienawiści i zemsty.

— A!... a!... panie Colbert — rzekła księżna — nie wiedziałam, że jesteś tak czułym na wrażenia, dobrze, bardzo dobrze. Ale ponieważ panu więcej czegoś potrzeba, niż mogę mu udzielić, nie mówmy więcej o tem.

— I owszem, mówmy o tem. Ale dowody...

— Tak, potrzebne są każdemu, kto chce rzetelnie zapłacić. Wieleż mi pan dajesz?...

— Dwakroć sto tysięcy liwrów.

Księżna rozśmiała się, poczem rzekła:

— Czekaj!...

— Pani przystajesz?...

— Jeszcze nie, gdyż mam inne obrachowanie.

— Jakie?...

— Dasz mi pan 300,000 liwrów.

— Nie wiem.

— No, jak pan chcesz, i to jeszcze nie koniec.

— Jeszcze!... tego już za wiele, mości księżno!...

— O!... nie wiele, jak się panu zdaje, gdyż nie o pieniądze tu idzie.

— A o cóż więc?...

— O przysługę!... wiesz pan, żem zawsze kochała królowę.

— Cóż stąd?...

— Chcę się z nią widzieć?...

— Z królową?...

— Tak, panie Colbert, z królową, która wprawdzie oddawna nie jest już moją przyjaciółką, ale może się nią stać, jeśli się jej poda do tego sposobność.

— Jej Królewska Mość nie przyjmuje nikogo. Bardzo jest cierpiącą, a paroksyzmy jej cierpienia coraz są częstsze.

— Właśnie dlatego żądam widzieć się z Jej Królewską Mością. Przecież pan wiesz, że we Flandrji mamy bardzo wiele podobnych chorób.

— O!... rak jest chorobą okropną, nieuleczalną.

— Ależ nie wierz pan temu. Chłop flamandzki jest trochę dzieckiem natury, on nie ma żony, ale ma samicę.

— Cóż stąd, pani?...

— Otóż kiedy on pali fajkę, żona pracuje, nosi wodę, ładuje produktami muły, osły, albo i siebie mało się strzegąc, i nieraz potrąci o to lub owo, a często nawet jest bitą. Rak najczęściej pochodzi z uderzenia.

— Prawda.

— Otóż Flamandki nie umierają z tego. Kiedy już bardzo cierpią, szukają lekarstwa. A Beginki z Bruges, zakonnice, są cudownemi lekarkami na te słabości. Mają wody i lekarstwa szczególnie na to skuteczne, dają więc chorej butelkę wody, ogromną błogosławią gromnicą i służą Bogu, ciągnąc korzyści. Przyniosę więc taką wodę królowej. Jej Królewska Mość ozdrowieje, a potem spali tyle gromnic, ile jej się podoba. Widzisz więc, panie Colbert, że nie popierać mnie w widzeniu się z królową jest prawie królobójstwem.

— Pani jesteś kobietą wysokiego umysłu i przekonałaś mię pani; wszakże domyślam się, że ta szczególna życzliwość dla królowej ukrywa jakiś mały interes osobisty.

— Alboż go się staram ukryć panie Colbert? Mówiłeś, zdaje mi się, mały interes osobisty, otóż wiedz, że interes to wielkiej wagi i dowiodę ci zaraz w ten sposób: Jeżeli mi ułatwisz widzenie się z królową, żądam tylko za listy trzysta tysięcy liwrów, jeżeli nie, zachowam dowody, chyba, że mi zaraz wyliczysz pięćset tysięcy liwrów.

Po tych słowach, stanowczo wyrzeczonych powstała.

Colbert w przykrem był położeniu.

Targować się było niepodobieństwem, a nie nabyć tego, było to zanadto wiele stracić.

— Pani — rzekł będę miał przyjemność wyliczyć jej trzysta tysięcy liwrów.

— Przecież — rzekła księżna.

— Ale jakim sposobem otrzymam oryginały listów.

— Sposobem najprostszym, panie Colbert. Czy masz kogo zaufanego?

Poważny finansista uśmiechał się, a brwi jego czarne, podnosząc się i spadając na żółte czoło, podobne były do skrzydeł nietoperza.

— Nikogo — rzekł.

— Przecież zrobisz pan chyba wyjątek z siebie samego?

— Jakto, pani?

— Chciałam przez to powiedzieć, ażebyś się sam pofatygował ze mną tam, gdzie są te listy, oddanoby je panu natychmiast i mógłbyś je pan porównać, sprawdzić.

— To prawda.

— Zaopatrzysz się pan w pieniądze umówione, gdyż i ja także nie ufam nikomu.

Pan intendent Colbert zaczerwienił się, jak rak, był bowiem co do rzetelności rachunkowej nieposzlakowanym.

— Wezmę z sobą sumę przyrzeczoną, w dwóch wekslach, płatnych w mojej kasie. Czy się pani na to zgadzasz?

— Czemuż te weksle nie są na miljony! Będę miała więc zaszczyt wskazać panu drogę.

— Pozwól, pani, abym kazał zaprządz do powozu.

— Kareta moja czeka przed gankiem!

Colbert pokaszliwał, jak człowiek niezdecydowany.

Przyszło mu na myśl, czy propozycja księżny nie jest jaką zasadzką; może na niego czyhają, a ta, która sprzedała mu sekret, mogła podobny układ zrobić i z panem Fouquet.

Kiedy się tak wahał, księżna, spojrzawszy mu w oczy, rzekła:

— Pan wolisz jechać swoim powozem?

— Tak, przyznaję.

— Boisz się, czy cię nie wprowadzę w jaką pułapkę?

— Mości księżna, pani jesteś wesołego usposobienia, mnie zaś potrzeba zachować pewną godność urzędową, przykroby mi więc było, gdybym był narażony na jakiś żarcik.

— Zapewne; słowem, boisz się pan!... A to weź swój powóz i tylu, ilu chcesz lokajów, tylko zastanów się nad tem, że co robimy na cztery oczy, nikt wiedzieć nie będzie, a jeśli ktoś

trzeci się dowie, wkrótce wszyscy się dowiedzą. Zresztą dla mnie wszystko to jedno niech mój powóz jedzie za pańskim, zadowoloną będę, jadąc w pańskiej karecie do królowej!

— Do królowej?!

— Alboż zapomniałeś pan?... a przecież był to jeden z punktów umowy, tak korzystnej dla pana. Mój Boże, gdybym była to przewidziała byłabym żądała dwa razy tyle.

— Namyśliłem się, mości księżno, nie pojadę z panią.

— Doprawdy?... Dlaczegóż?

— Bo mam do pani nieograniczone zaufanie.

— Zaszczycasz mię... Ale jakże odbiorę moje pieniądze?

— Oto są.

Intendent nabazgrał kilka słów na papierze, który oddał księżnie.

— Jużeś pani zapłacona — rzekł.

— To bardzo pięknie ze strony pańskiej i wynagrodzę go za to natychmiast.

To mówiąc, zaczęła się śmiać.

Śmiech pani de Chevreuse było to jakieś złowrogie mruczenie. Każdy z ludzi, który czuje w sobie siłę młodości, wiary, miłości, słowem serce silnie bijące, wołałby pewnie płacz, niż ten śmiech żałobny.

Księżna rozpięła suknię i obok zaczerwienionego łona wydobyła zwitek papierów; haftki prędko się odpinały pod jej silną i żylastą ręką; skóra ciała, natarta trochę w tem miejscu od papieru, ukazała się bezwstydnie oczom intendenta, bardzo pomieszanego niewiadomością, do czego ten wstęp dąży.

Księżna śmiała się ciągle.

— Oto są — rzekła — prawdziwe listy pana Mazariniego, już je masz, a w dodatku księżna de Chevreuse rozbierała się przed tobą, jakbyś był... nie chcę ci wymienić nazwisk, któreby obudziły w tobie dumę lub zazdrość. A teraz, panie Colbert — rzekła, zapinając z pośpiechem suknie — proszę mi towarzyszyć do królowej matki.

— Nie, pani, bo, gdybyś znowu popadła w niełaskę Jej Królewskiej Mości i gdyby dowiedziano się w pałacu, że ja panią tam wprowadziłem, królowa nigdyby mi tego nie przebaczyła. Ale ja mam tam ludzi, oddanych mi; ci panią wprowadzą, nie narażając mnie wcale.

— Jak się panu podoba, bylebym tylko tam była.

— Jak pani nazywasz te zakonnice z Bruges, które uzdrawiają chorych?...

— Beginki.

— Jesteś pani Beginką.

— Niech i tak będzie, ale jak mnie tam poznają?

— To już rzecz pani.

— Bardzo dziękuję, nie chcę się na to wystawić, aby mi odmówiono wejścia.

— I to jeszcze rzecz pani. Ja polecę pierwszemu kamerdynerowi, aby powiedział szambelanowi, będącemu na służbie u Jej Królewskiej Mości, ażeby wpuścił Beginkę, przynoszącą niezawodne lekarstwo na cierpienia Jej Królewskiej Mości. Pani masz mój list; a lekarstwo i tłumaczenie się do pani należy. Ja wrazie wypadku przyznam się, żem posłał Beginkę, ale wyprę się księżny de Chevreuse.

— O, to najmniejsza.

— Proszę, oto list, który Panią wprowadzi.

CLXXXIV

SKÓRA NIEDŹWIEDZIA.

Colbert, oddawszy list księżnie, usunął lekko krzesło, na którem siedziała pani de Chevreuse, a ona skłoniwszy się wyszła.

Colbert, poznawszy pismo Mazariniego i policzywszy listy, zadzwonił na swego sekretarza i kazał mu zawołać do siebie pana Vanel, radcę parlamentu.

Sekretarz odpowiedział, że radca, wierny swemu zwyczajowi, już oczekuje, ażeby zdać sprawę z ważniejszych wypadków dziennych, zaszłych na posiedzeniu parlamentu.

Colbert, zbliżywszy się do lampy, odczytał listy kardynała, rozśmiał się kilkakroć, poznając całą ważność dowodów, jakie mu pani de Chevreuse oddała i oparłszy wielką głowę na rękach, przez kilka minut myślał głęboko.

W tym czasie mężczyzna wysoki, otyły, z twarzą kościstą, oczami nieruchomemi, nosem zakrzywionym, wszedł do gabinetu Colberta ze skromną pewnością, która wykazywała w nim charakter giętki i śmiały, giętki w obliczu pana, rzucającego zdo-

bycz, a śmiały, przeciw psom, któreby mu tę zdobycz chciały wydrzeć.

Pan Vanel niósł pod pachą tekę dość grubą, którą położył na tem samem biurku, o które oparł się Colbert.

— Dzień dobry, panie Vanel — odezwał się Colbert, przerywając zadumę.

— Dzień dobry, Jaśnie Wielmożny Panie — odpowiedział Vanel.

— Trzeba mówić tylko, panie — podchwycił Colbert.

— Tytuł ten dają przecież ministrom — rzekł niezmieszany Vanel — a pan nim jesteś.

— Jeszcze nie!

— Ale z przekonania nazywam pana jaśnie wielmożnym panem; zresztą, dla mnie jesteś pan Jaśnie Wielmożnym Panem. Jeżeli się to nie podoba, abym dawał ten tytuł publicznie, pozwól Jaśnie Wielmożny Panie, abym go używał, gdy jesteśmy sami.

Colbert podniósł głowę do wysokości lampy, a patrząc w oczy Vanelowi, chciał się przekonać, ile było szczerości w tem jego oświadczeniu.

Ale radca umiał znieść to spojrzenie bez zmieszania.

Colbert westchnął, nic bowiem nie wyczytał z twarzy Vanela.

Vanel może był nawet uczciwym.

Colbert pomyślał, że jego podwładny tem tylko wyższy jest od niego, że ma niewierną żonę.

Właśnie, kiedy litował się nad losem tego człowieka, Vanel wyciągnął z kieszeni pachnący bilecik zapieczętowany i podał go Jaśnie Wielmożnemu Panu.

— Co to jest?

— List od mojej żony, Jaśnie Wielmożny Panie.

Colbert zakaszlał się, odebrał list, przeczytał i schował do kieszeni, gdy Vanel najspokojniej przewracał karty tomu procedury.

— Vanel — odezwał się niespodzianie protektor do protegowanego — jesteś człowiekiem, lubiącym pracę?

— Tak, Jaśnie Wielmożny Panie..

— Dwanaście godzin pracy nie przestraszy cię?

— Ja pracuję codzień piętnaście.

— Przesadzasz. Radca nie potrzebuje więcej pracować, niż trzy godziny dla parlamentu.

— O! ja robię rachunki dla jednego z moich przyjaciół, a że mi jeszcze pozostaje trochę czasu, uczę się po hebrajsku.

— Czy jesteś poważany w parlamencie?

— Zdaje mi się, że tak, Jaśnie Wielmożny Panie.

— Nie powinieneś więc spleśnieć na krześle radcy parlamentu.

— Jakże temu zaradzić?

— Kupić urząd!

— Jaki?

— Coś wielkiego, gdyż małe żądze najtrudniej nasycić.

— Tak samo, jak małą kasę najtrudniej napełnić.

— A jaki urząd masz na widoku? — spytał Colbert.

— Co prawda, nie widzę żadnego.

— Jest jednak jeden, ale potrzeba chyba być królem, ażeby za niego zapłacić. A zdaje mi się, że królowi ani przez myśl nie przejdzie chętka zostania generalnym prokuratorem.

Vanel słysząc te słowa, wlepił w Colberta wzrok pokorny, pozbawiony wszelkiego wyrazu.

Colbert pytał sam siebie, czy został odgadnięty, czy też myśli ich spotkały się tylko przypadkowo.

— O jakimże urzędzie prokuratora generalnego, mówisz mi, Jaśnie Wielmożny Panie, bo ja tylko znam jeden, który piastuje pan Fouquet.

— Właśnie o tym samym, kochany radco.

— Niezły masz gust, Jaśnie Wielmożny Panie, ale ażeby towar kupić, trzeba najprzód, ażeby był do sprzedania.

— Do sprzedania prokuratorstwo pana Fouquet?

— Tak mówią!

— Urząd, który go czyni nietykalnym, on sprzedać chce? ha, ha, ha!

I Vanel zaczął się śmiać.

— Czybyś lękał się tego urzędu? — zapytał Colbert poważnie.

— Lękać się! nie...

— Może i chęci nie masz?

— Jaśnie Wielmożny Pan żartuje ze mnie — odpowiedział Vanel — jakże to być może, ażeby radca parlamentu nie miał chęci zostać prokuratorem generalnym?

— A zatem, panie Vanel, ponieważ ja panu mówię, że urząd ten jest do sprzedania...

— Jaśnie Wielmożny Pan wie napewno?

— Takie obiegają pogłoski.

—Bo ja powtarzam, że to niepodobna, gdyż nigdy człowiek nie rzuci tarczy, która osłania jego honor, majątek i życie.

— Czasem są tacy głupcy, panie Vanel, którym się zdaje, że nic złego dotknąć ich nie może.

— Prawda, Jaśnie Wielmożny Panie, ale ci głupcy nie zrobią tej niedorzeczności dla wszystkich na świecie Vanelów.

— A to dlaczego?

— Bo Vanelowie są ubodzy.

— Prawda, urząd pana Fouquet gruboby kosztował. Cobyś też dał za niego?

— To, co tylko posiadam, Jaśnie Wielmożny Panie.

— Czyli?

— Około 40,000 liwrów!

— A urząd ten wart jest?...

— Najmniej półtora miljona. Znam takich, co już dawali za niego miljon siedmkroć, a pan Fouquet nie sprzedał. Gdyby przypadek zrządził, żeby pan Fouquet chciał sprzedać, w co nie wierzę, chociaż o tem wspominano...

— Aha! mówił ci ktoś o tem; i któż to taki?

— Pan de Gourville, pan Pellisson, ale to tylko tak nawiasowo.

— A gdyby pan Fouquet istotnie chciał sprzedać...

— To i wówczas nie kupiłbym, gdyż pan nadintendent sprzedałby go tylko za gotówkę, a któż jest w stanie odrazu miljon liwrów położyć na stół?

Colbert przerwał w tem miejscu gestem rozkazującym.

Znowu się zamyślił.

Widząc poważną minę swego pana i ciągle do jednego przedmiotu zwracaną rozmowę, Vanel oczekiwał rozwiązania tej zagadki, nie śmiejąc go wywoływać.

— Wytłumacz mi dobrze — rzekł Colbert — przywileje, przywiązane do stopnia prokuratora generalnego.

— Prawo oskarżania każdego poddanego Francuza, który nie jest księciem krwi, jak również dowolne odwoływanie oskarżenia... Prokurator generalny jest prawą ręką króla, gdy trzeba winnego ukarać, albo zgasić pochodnię sprawiedliwości. Tak

więc, pan Fouquet może nawet wystąpić przeciw królowi, podburzając parlament, a król musi go oszczędzać, ażeby potwierdzić edykty, jakie wydaje nieodwołalnie. Prokurator generalny jest więc albo bardzo użytecznem, albo niebezpiecznem narzędziem.

— Czy chcesz więc być, panie Vanel, prokuratorem generalnym? — rzekł Colbert słodszym głosem.

— Ja? — krzyknął tenże. — Ależ przecie miałem zaszczyt przedstawić Jaśnie Wielmożnemu Panu, że do tego brakuje mi najmniej miljona stu tysięcy liwrów.

— Pożyczysz tej sumy od przyjaciół!

— Nie mam bogatszych ode mnie przyjaciół.

— Człowiek tak uczciwy.

— Gdyby to wszyscy myśleli tak, jak Jaśnie Wielmożny Pan?

— Kiedy ja myślę, to dosyć, bo w potrzebie zaręczę za ciebie.

— Strzeż się przysłowia, Jaśnie Wielmożny Panie!

— Jakiego?

— Kto ręczy, ten i płaci.

— Mniejsza o to.

Vanel powstał, cały wzruszony tak nagłą i niespodziewaną ofiarą, uczynioną mu przez człowieka, który nigdy prawie nie żartował.

— Nie naigrawaj się ze mnie, Jaśnie Wielmożny Panie!

— No, kończmy prędko, panie Vanel. Mówisz, że pan Gourville wspominał ci coś o tym urzędzie pana Fouquet?

— I pan Pellisson również!

— Z polecenia pana Fouquet, czy tylko od siebie?

— Oto ich słowa: Panowie z parlamentu to ludzie dumni i bogaci. powinniby więc postarać się o dwa, albo trzy miljony dla pana Fouquet, ich protektora, ich światła.

— A pan co powiedziałeś?

— Powiedziałem, że jeśli potrzeba, to ja od siebie dam dziesięć tysięcy liwrów.

— A! to pan jesteś stronnikiem pana Fouquet — zawołał Colbert z wzrokiem, pełnym nienawiści.

— Nie, ale ponieważ pan Fouquet jest naszym prokuratorem generalnym, a zadłuża się i kompromituje, powinniśmy oszczędzić honor zgromadzenia.

— A! tym sposobem pan Fouquet będzie zawsze nietykalnym i zawsze zajmować będzie tą posadę — rzekł Colbert.

— Na to — mówił dalej Vanel — pan Gourville dodał: Dawać jałmużnę panu Fouquet to bardzo poniżające i zapewne on tego nie przyjmie. Ale zrobić składkę i odkupić urząd prokuratora generalnego od pana Fouquet, to co innego, gdyż wówczas i honor całego zgromadzenia i duma pana Fouquet będą oszczędzone.

— Ależ to formalna propozycja.

— I ja ją za taką uważam, Jaśnie Wielmożny Panie!

— A więc, panie Vanel, pójdźże zaraz poszukać albo pana Gourville, albo pana Pellisson, a może znasz kogo z przyjaciół pana Fouquet?

— Znam dobrze pana de la Fontaine.

— La Fontaine, wierszopisarza?

— Tego samego, on robił wiersze dla mojej żony, wtenczas, kiedy pan Fouquet był naszym przyjacielem.

— Udaj sie więc do niego, aby wyrobić sobie rozmowę z panem nadintendentem.

— Dobrze, ale pieniądze?

— Już się o to nie turbuj; na dzień i godzinę oznaczoną będziesz je miał.

— Jaśnie Wielmożny Panie, taka wspaniałomyślność przyćmi królewską, a o wiele przewyższa pana Fouquet!

— Chwilkę, panie... nie uwodźmy się słowami. Ja nie robię darowizny z miljona czterech kroć stu tysięcy liwrów, panie Vanel, ja mam dzieci.

— A, panie!... rozumiem, pożyczasz mi tylko, to dosyć.

— Tak, pożyczam tylko.

— Żądaj procentu i pewności, jakiej ci się spodoba, Jaśnie Wielmożny Panie, jestem gotów, a i wtenczas powtórzę, że wspaniałomyślnością przewyższasz króla i pana Fouquet. Jakież są pańskie warunki?...

— Zwrot sumy w ciągu lat ośmiu.

— O!... bardzo dobrze.

— Gwarancję stanowić będzie sam urząd.

— Doskonale, i to wszystko?...

— Czekaj, zawaruję sobie prawo odkupienia urzędu, dając ci 500,000 liwrów zysku, gdybyś przy tem urzędowaniu postępował przeciw interesom króla i moim zamiarom.

— A!... a!... — rzekł Vanel — trochę wzruszony.

— Czy warunek ten ma w sobie coś, co ci się nie podoba, panie Vanel? — rzekł Colbert ozięble.

— Nie, bynajmniej — odpowiedział Vanel z pośpiechem.

— A więc podpiszemy umowę, kiedy zechcesz.. Ale idź do przyjaciół pana Fouquet.

— W tej chwili.

— I staraj się widzieć z nadintendentem.

— Dobrze, Jaśnie Wielmożny Panie.

— I nie rób trudności.

— Rozumiem.

— A jak się ułożysz...

— Będę się starał, ażeby układ podpisał.

— Strzeż się tego... nie mów nigdy z panem Fouquet, ani o podpisie, ani o możności zerwania, nie żądaj od niego nawet słowa, rozumiesz?... inaczej wszystko będzie stracone.

— Ale cóż robić, Jaśnie Wielmożny Panie?... to bardzo trudno...

— Staraj się tylko, ażeby pan Fouquet dotknął twej ręki, to dosyć. Idź.

CLXXXV

U KRÓLOWEJ MATKI.

Królowa matka siedziała w Pałacu Królewskim w sypialnym pokoju swoim z panią de Motteville i Senorą Molina.

Król, aż do wieczora oczekiwany, nie pokazał się.

Królowa, zniecierpliwiona, często posyłała dowiadywać się o niego.

Horyzont pałacowy był zachmurzony.

Dworzanie i damy unikali siebie w przedpokojach i na korytarzach, aby nie mówić o drażliwych przedmiotach.

Książę wyjechał z królem od rana na polowanie.

Księżna pozostała u siebie, gniewając się na wszystkich.

Co do królowej matki, ta po odmówieniu pacierzy po łacinie, rozmawiała o swej rodzinie z dwiema przyjaciółkami po hiszpansku; pani de Mottevile, która rozumiała doskonale ten język, odpowiadała pa francusku.

Kiedy te dwie damy wyczerpały już wszelkie środki grzeczności i pobłażania, ażeby wyrazić, że postępowanie króla przyprawiało o śmierć prawie królową matkę i całą rodzinę; kiedy w wyrazach dobranych wywołano wszelkie złorzeczenia przeciw pannie La Valliere, królowa matka zakończyła to oskarżenie słowami, cechującemi jej charakter i sposób myślenia.

— "Estas hijos"!... — rzekła do Moliny. "To dzieci" — słowo głębokie w ustach matki, słowo okropne w ustach królowej, która, jak Anna Austrjacka, miała tyle ukrytych tajemnic w ponurej duszy.

— Tak — odrzekła Molina — i to dzieci, dla których poświęca się matka.

— Którym — odpowiedziała królowa — matka wszystko już poświęciła — i nie dokończyła swojej myśli.

Zdawało się jej, gdy podniosła oczy na obraz Ludwika XIII-go w całej wielkości, że raz jeszcze zajaśniały zgasłe oczy jej męża, że gniew rozdymał płomienne jego rysy.

Obraz ożywił się, nie mówił, lecz groził.

Głęboka cisza nastąpiła po ostatnich słowach królowej. Molina zaczęła przewracać wstążki i koronki, ułożone w ogromnym koszu. .

Pani de Motteville, zdziwiona błyskawicą spojrzenia, rzuconego między panią a powiernicą, spuściła oczy jako ostrożna kobieta, a starając się nic nie widzieć, słuch tylko wytężyła.

Nie pochwyciła nic więcej prócz znaczącego "hm" powiernicy hiszpańskiej, bóstwa ostrożności, podchwyciła też westchnienie suche, które wydobyło się z łona królowej.

Podniosła głowę.

— Wasza królewska mość cierpisz!... rzekła. .

— Nie, Motteville, nie, ale dlaczego pytasz o to?

— Wasza Królewska Mość jęknęła.

— Masz rację istotnie cokolwiek cierpię.

— Pan Vallot jest tu niedaleko, zdaje mi się u księżny.

— U księżny? po cóż.

— Księżna ma atak nerwowy.

— A to mi słabość. Pan Vallot wcale tam nie potrzebny: inny doktór z pewnością wyleczyłby księżnę...

Pani Motteville zdziwiona podniosła raz jeszcze oczy.

— Inny lekarz niż pan Vallot — rzekła — któż taki?

— Zajęcie, praca, moja kochana. O! Jeżeli tu jest kto chory, to tylko moja biedna córka.

— I Wasza Królewska Mość także.

— Tego wieczora mniej.

— Nie dowierzaj temu, Wasza Królewska Mość.

I jakby dla usprawiedliwienia tej pogróżki pani de Motteville, królowa uczuła wewnętrzną boleść gwałtowną, tak, że aż zbladła i przechyliła się na krześle.

— Krople — rzekła z cicha.

— Ba, ba — rzekła Molina i, nie śpiesząc się wcale, wydostała z szafy bardzo dużą flaszkę kryształową i, odetkawszy, podała królowej.

Ta wąchała je po kilkakroć chciwie i rzekła zcicha:

— Tem cierpieniem Bóg mię zabije. Niech się dzieje jego wola.

— E! nie umiera się dlatego, że się trochę źle zrobiło — rzekła Molina, stawiając flaszkę na miejsce.

— Wasza Królewska Mość ma się teraz dobrze?... — spytała de Motteville.

— Trochę mi lepiej.

I królowa położyła palce na ustach, nakazując milczenie swej powiernicy.

— To szczególne — rzekła po chwili pani de Motteville.

— Cóż tak szczególnego?... — spytała królowa.

— Czy Wasza Królewska Mość przypomina sobie dzień, w którym po raz pierwszy uczuła tę boleść.

— Przypominam, dzień to był dla mnie bardzo smutny.

— Nie zawsze jednak ten dzień smutnym był dla Waszej Królewskiej Mości.

— Dlaczego?

— Gdyż dwadzieścia lat temu wstecz, Najjaśniejszy nasz Monarcha, pełen chwały, syn Waszej Królewskiej Mości urodził się o tej godzinie.

Królowa krzyknęła, oparła głowę na rękach i kilka chwil tak pozostała.

Byłyż to wspomnienia? czy tylko atak choroby?

Molina wściekłym prawie rzuciła wzrokiem na panią de Motteville, a wzrok ten był tak do wyrzutu podobnym, iż zacna ko-

bieta, nie mogąc zrozumieć, już miała zapytać, co uczyniła, kiedy Anna Austrjacka, powstając raptownie, rzekła:

— Piątego września pierwszy raz uczułam moje cierpienie; wielka radość jednego dnia, wielki smutek drugiego. Wielki smutek — dodała zcicha — to pokuta za zbytnią radość.

Od tej chwili Anna Austrjacka, która, jak się zdawało już całą wyczerpała pamięć i rozum, pozostała milczącą, z okiem ponurem, myślą niepewną, z rękami zwieszonemi.

— Trzeba pójść do łóżka — rzekła Molina.

— Zaraz, Molino.

— Zostawmy królowę — rzekła uparta Hiszpanka.

Pani de Motteville wstała, duże łzy czyste, jak łzy dziecięcia, płynęły wolno po bladych licach królowej.

Molina, spostrzegłszy to, wytężyła na Annę Austrjacką czujne oczy czarne. .

— Tak, tak — rzekła natychmiast królowa. — Idź, Motteville, zostaw nas same.

Ten wyraz my niemile zabrzmiał w uszach ulubienicy francuskiej.

Mówił on, że tu zamieniane będą tajemnice lub wspomnienia.

Mówił, że jedna osoba była zbyteczną w najważniejszem miejscu zajmującego opowiadania.

— Czy Molina wystarczy na usługi Waszej Królewskiej Mości?... — zapytała Francuzka.

— Tak — rzekła Hiszpanka, a pani Motteville skłoniła się.

W tejże chwili stara pokojowa, ubrana jeszcze, jak była ubraną w roku 1620-ym, otworzyła drzwi, a podchwytując królowę płaczącą, panią Motteville, mającą wychodzić, i Molinę politykującą:

— Lekarstwo, lekarstwo!.. — krzyknęła radośnie, zbliżając się do królowej.

— Jakie lekarstwo, Chica?... — spytała Anna Austrjacka?

— Na cierpienie Waszej Królewskiej Mości.

— Któż je przynosi — rzekła spiesznie pani de Motteville. — Czy pan Vallot?

— Nie, jakaś pani z Flandrji.

— Z Flandrji, Hiszpanka?... — spytała królowa.

— Nie wiem.

— Któż ją przysłał?

— Pan Colbert.

— Jak się nazywa?

— Nie powiedziała.

— Któż ona jest?

— Sama to powie.

— Jak wygląda?

— Zamaskowana.

— Idź, zobacz Molino — rzekła królowa.

— To niepotrzebne — dał się słyszeć z drugiego pokoju głos mocny lecz miły, na który damy zadrżały, a królowę dreszcz przeszedł, i jednocześnie kobieta jakaś stanęła w progu.

I zanim królowa odezwała się, nieznajoma rzekła:

— Jestem Beginką z Bruges, i przynoszę lekarstwo, które powinno uleczyć Waszą Królewską Mość.

Wszyscy milczeli; Beginka nie postąpiła kroku.

— Mów!... — rzekła królowa.

— Gdy będziemy same — dodała Beginka.

Anna Austrjacka dała wzrokiem znak towarzyszkom i te wyszły.

Beginka wówczas postąpiła trzy kroki i ukłoniła się królowej z uszanowaniem.

Królowa patrzyła na nią z nieufnością, ta zaś na królowę błyszczącemi przez otwory maski oczami.

— Królowa Francji jest więc tak chorą — rzekła Anna Austrjacka — że wiadomość o tem, iż potrzebuje być leczoną, doszła aż do klasztoru Beginek w Bruges?

— Dzięki Bogu!... Wasza Królewska Mość nie jesteś tak dalece chorą, ażeby już nie było środka wyleczenia.

— Skądże wiesz, że jestem chorą?

— Wasza Królewska Mość ma przyjaciół we Flandrji.

— I ci przyjaciele przysłali cię. .

— Tak jest!

— Wymień mi ich.

— Niepodobna i niepotrzeba, skoro serce Waszej Królewskiej Mości nie obudziło jej pamięci.

Anna Austrjacka podniosła głowę, starając się pod osłoną maski poznać tę, która z taką poufałością tajemniczemi przemawiała wyrazami.

Lecz po chwili, znudzona ciekawością, która drażniła dumne jej nawyknienia, rzekła:

— Pani zapewne nie wiesz, że się nie mówi do głów ukoronowanych z maską na twarzy?

— Chciej Wasza Królewska Mość mieć mię za wytłumaczoną — rzekła pokornie Beginka.

— Nie mogę, ale mogę ci przebaczyć, jeżeli zdejmiesz maskę!

— Uczyniłam ślub, że nieść będę pomoc zmartwionym lub cierpiącym, nie dozwalając im nigdy widzieć mej twarzy. Mogłabym ulżyć cierpieniom duszy i ciała Waszej Królewskiej Mości, ale ponieważ Wasza Królewska Mość wzbraniasz mi, więc żegnam.

Słowa te wymówione były głosem tak dźwięcznym i z takiem uszanowaniem, że rozbroiły gniew i podejrzenia królowej, nie zmniejszając wszakże ciekawości.

— Masz rację, nie przystoi ludziom cierpiącym wzgardzać radami, które Bóg im zsyła. Mów, pani!... i obyś mogła, jak mówisz, przynieść ulgę memu ciału. Niestety, przeczuwam, że Bóg chce okrutnie mnie doświadczać!

— Mówmy trochę o duszy, jeżeli się Waszej Królewskiej Mości podoba — rzekła Beginka — o duszy, która, jestem tego pewną, cierpi także.

— Moja dusza?...

— Są rany pożerające, których postęp jest niewidzialny. Te, królowo, pozostawiają skórze ciała białość kości słoniowej i nie piętnują jej niebieskawemi plamami; lekarz, schylony nad łonem cierpiącej, nie usłyszy w żyłach pod napływem krwi zgrzytania nienasyconego jęku i ani żelazo, ani ogień nie są w stanie zniszczyć tej rany śmiertelnej. Przebywa ona w myśli i trawi ją, powiększa się w sercu i kruszy je. Oto Najjaśniejsza Pani, rak najniebezpieczniejszy. Czyż nie cierpi Wasza Królewska Mość na tę chorobę.

Anna podniosła rękę zadziwiającej białości i tak pełnych kształtów, jak za czasów swej młodości.

— Ale nie zapominaj, że tenże Pan najwyższy zsyła cierpienia w miarę sił stworzenia swojego, a siły moje nie są mniejsze od żaru; dla tajemnic cudzych dość mi miłosierdzia Boskiego, dla moich własnych mam je w obliczu mego spowiednika.

— Widzę cię jak zawsze, Najjaśniejsza Pani, odważną przeciwko nieprzyjaciołom, a niedość ufającą przyjaciołom swoim.

— Jeżeli mi nic innego nie masz do powiedzenia, albo uważasz się za prorokinię, natchnioną od Boga, odejdź, lękam się bo wiem przyszłości.

— Zdaje mi się — rzekła śmiało Beginka — że więcej boisz się przyszłości.

Jeszcze nie skończyła tych wyrazów, gdy królowa podniosła się.

— Mów — krzyknęła królowa tonem rozkazującym — mów, wytłumacz się, zrozumiale i dokładnie, bo jeżeli nie..:

— Nie groź mi królowo — rzekła z pokorą Beginka — przybyłam od jednej z twoich przyjaciółek.

— Dowiedź więc tego. Ulżyj, zamiast rozjątrzać.

— Bardzo łatwo!.. i Wasza Królewska Mość osądzisz czy mnie nie przysyła jej przyjaciółka.

— Zobaczymy. .

— Jakie nieszczęście spotkało Waszą Królewską Mość przed 23 laty?

— Ależ... wielkie nieszczęście. Czyż nie straciłam króla?

— Nie mówię o tego rodzaju nieszczęściach. Ja chcę tylko zapytać, czy od czasu... urodzenia się króla.. niedorzeczność jakiej przyjaciółki nie spowodowała pewnych przykrości Waszej Królewskiej Mości.

— Nie rozumiem cię — rzekła królowa, ściskając zęby, ażeby pokryć wzruszenie.

— Chcę się więc dać zrozumieć; Wasza Królewska Mość przypomina sobie, że król urodził się 5 września 1638 roku o godzinie kwadrans na dwunastą.

— Tak, — bąknęła królowa.

— O wpół do pierwszej — mówiła dalej Beginka—Delfin ochrzczony już został z wody przez arcybiskupa de Meaux, w oczach króla i Waszej Królewskiej Mości, i uznany był za dziedzica korony francuskiej. Król udał się do starego zamku Saint-Germain, ażeby usłyszeć Te Deum.

— Wszystko tak było — rzekła zcicha królowa.

— Rozwiązanie Waszej Królewskiej Mości nastąpiło wobec brata królewskiego, książąt i dam dworu, lekarz królewski Bouvard i chirurg pokojowy byli w przedpokoju. Około godziny

trzeciej, Wasza Królewska Mość zasnęłaś i spałaś aż do siódmej Nieprawdaż?

— Bezwątpienia, ale opowiadasz mi to, o czem wszyscy wiedzą tak dobrze, jak ja i ty.

— Przystępuję do tego, o czem nie wiele wie osób!... Niewiele osób, powiedziałam. Niestety, dwie tylko. pięć ich wiedziało dawniej; lecz od kilku lat tajemnica stała się pewniejszą przez śmierć głównych osób. Król nasz pan spoczywa w grobie przodków swych. Akuszerka Peronne wkrótce po nim umarła. Laporte dawno już zapomniany.

Królowa otworzyła usta, jakby chciała odpowiedzieć, a duże krople potu spływały po twarzy.

— Była godzina ósma — mówiła Beginka. — Król wieczerzał ochoczo, wokoło panowała radość, okrzyki wesołości, toasty, lud krzyczał z radości pod oknami. Szwajcarowie, muszkieterowie i gwardja, noszeni byli na ręku przez podpiłych studentów.

Te okrzyki radości publicznej wywoływały lekkie jęki u spoczywającego na rękach pani de Hausac, guwernantki Delfina, przyszłego króla Francji, który po otwarciu oczu miał ujrzeć dwie korony, spoczywające na dnie kolebki.

Lecz w tejże chwili Wasza Królewska Mość wydałaś krzyk przerażający, na który pani Peronne przybiegła.

Lekarze znajdowali się w dość odległym pokoju.

Pałac pusty był prawie w skutku powszechnej radości.

Akuszerka, przekonawszy się o stanie Waszej Królewskiej Mości, krzyknęła zdziwiona, a biorąc cię na ręce nieprzytomną z bólu, posłała Laporta, aby uprzedził króla, że Wasza Królewska Mość chcesz się z nim natychmiast widzieć.

Laporte, jak Wasza Królewska Mość wiesz, był człowiekiem roztropnym i krwi zimnej, nie zbliżył się więc do króla, jak sługa wystraszony i chcący przestraszyć; zresztą nie była to przestraszająca wiadomość, jaką miał król usłyszeć.

Laporte przystąpił więc do krzesła królewskiego z uśmiechem i rzekł:

— Najjaśniejszy Panie!... Królowa jest bardzo zadowoloną, ale byłaby szczęśliwszą, gdyby mogła widzieć zaraz Waszą Królewską Mość!

Tego dnia Ludwik XIII-ty oddałby był koronę pierwszemu lepszemu za jeden wyraz: "Boże, zachowaj go."

Lekki, żywy, wesoły, wstał od stołu, mówiąc tonem Henryka IV-go: "Panowie, idę zobaczyć moją żonę."

Przybył do Waszej Królewskiej Mości w chwili, kiedy pani Peronne podała mu drugiego księcia, również pięknego i zdrowego jak pierwszy, mówiąc:

— Najjaśniejszy Panie, Bóg nie chce, aby królestwo Francji spadło na kądziel!

Król w pierwszej chwili radości pochwycił dziecko i rzekł:

— Dziękuję ci, o mój Boże!

Beginka zatrzymała się w tem miejscu, uważając, jak cierpi królowa.

Anna Austrjacka, oparta o krzesło z głową spuszczoną, oczami nieruchomemi, słuchała, nie słysząc, a usta jej konwulsyjnie poruszały się, może modlitwą, może przekleństwem!...

— Ale nie wierzcie — rzekła Beginka — że jeżeli jest tylko jeden Delfin we Francji jeżeli królowa pozwoliła temu drugiemu dziecku żyć zdala od tronu, nie wierzcie, aby złą była matką. O!... nie!... są ludzie, którzy wiedzą, ile łez wylała, i mogliby zliczyć gorące pocałunki, któremi obsypywały tę biedną istotę, w zamian za życie w ciemności i nędzy, do jakiego powody polityczne zmuszały brata, bliźniaka Ludwika XIV-go.

— Mój Boże!... — mój Boże!... — wyrzekła zcicha królowa.

— Wiedzą — mówiła prędko Beginka — że król, widząc dwóch synów, równych wiekiem i prawami, zadrżał o spokój Francji. Wiedzą, że kardynał Richelieu, zawiadomiony przez Ludwika XIII-go i myśląc nad tem więcej niż godzinę, w gabinecie Jego Królewskiej Mości, wyrzekł to zdanie:

— Urodził się następca na tron po Waszej Królewskiej Mości. Bóg dał drugiego, ażeby panował po pierwszym; lecz teraz potrzebujemy tylko pierwej urodzonego; ukryjmy drugiego przed Francją, tak, jak go Bóg ukrył nawet przed rodzicami.

— Jeden następca tronu zapewnia krajowi spokój i szczęście, dwóch żądających tronu, to wojna domowa i anarchja.

Królowa porwała się z miejsca ze ściśniętemi pięściami.

— Zawiele wiesz — rzekła głosem grobowym — skoro posiadłaś tajemnicę stanu. Jeżeli od przyjaciół dowiedziałaś się o tem, to są nikczemni i fałszywi ci przyjaciele. Ty zaś wspólniczką jesteś w zbrodni. Zrzuć maskę, albo każę cię aresztować.

O!... tajemnica ta nie przestrasza mnie, ona umrze w twych piersiach. Od tej chwili życie twoje i tajemnica nie należą do ciebie.

I Anna Austrjacka, chcąc wykonać tą groźbę, postąpiła dwa kroki ku drzwiom.

— Otóż przekonaj się pani — rzekła nieznajoma, zrzucając maskę — o wierności, humorze i milczeniu opuszczonych przez Waszą Królewską Mość przyjaciół.

— Pani de Chevreuse!... — krzyknęła królowa.

— Jedyna powiernica tajemnic Waszej Królewskiej Mości.

— A!... — rzekła królowa — pójdź, uściskaj mnie, księżno. Niestety zabijamy swoich przyjaciół, gdy się naigrawamy z tak bolesnych ich smutków.

I królowa, opierając się na ramieniu starej księżny dała wolny bieg potokowi gorzkich łez.

— Jakże jesteś jeszcze szczęśliwą, Wasza Królewska Mość — rzekła pani Chevreuse ponurym głosem — skoro możesz jeszcze płakać.

CLXXXVI

DWIE PRZYJACIÓŁKI.

Królowa dumnie spojrzała na panią de Chevreuse.

— Zdaje mi się, że, mówiąc o mnie, wyrzekłaś wyraz "szczęśliwa". A jednak mnie się zdawało dotąd, że niema nieszczęśliwszej istoty nad królową francuską.

— Doprawdy, można Waszą Królewską Mość nazwać matką boleści. Ale gdy obok tej świetnej nędzy, o której w tej chwili mówiłyśmy, jesteśmy, my, tak dawne przyjaciółki, rozłączone tylko przez złość ludzką, to, obok tych, mówię, nieszczęść królewskich, doświadczasz Wasza Królewska Mość pociechy, mało wprawdzie uczuciowej, ale której świat zazdrości wielce.

— Jakiej?... rzekła gorzko królowa — Jak możesz coś podobnego mówić, księżno, ty, co w tej chwili jeszcze mówiłaś, że potrzeba lekarstwa dla mego ciała i duszy.

Pani de Chevreuse zamyśliła się trochę.

— Wasza Królewska Mość wie zapewne, że król podobno odziedziczył po ojcu swoim nienawiść ku mnie. I gdyby wiedział że jestem w Palais-Royal niezawodnie kazałby mi go opuścić.

— Nie mówię, ażeby król miał szczególną przychylność dla ciebie, księżno, ale ja mogłabym dla ciebie coś uczynić... sekretnie.

Na twarzy księżny zabłysł uśmiech pogardy który cokolwiek zaniepokoił królowę.

— Zresztą — dodała z pośpiechem królowa — bardzo dobrze zrobiłaś, żeś tu przybyła.

— Wdzięczna jestem Waszej Królewskiej Mości.

— Choćby tylko za to, żeś zniweczyła pogłoskę, jaką rozpuszczono o twojej śmierci.

— Mówiono więc, żem umarła.

— Wszędzie.

— Ależ przecież dzieci moje nie włożyły żałoby.

— A! wiesz księżno, że dwór tak często przejeżdża z miejsca na miejsce; rzadko widujemy panów d'Albert i de Luine, a te ciągłe zajęcia różne na wiele rzeczy nie dozwalają nam zwrócić uwagi.

— Wasza Królewska Mość nie powinnaś była wierzyć tej pogłosce!

— Dlaczegóż? Niestety! jesteśmy śmiertelne. Czyż nie widzisz, że ja, twoja młodsza siostra, jakeśmy się niegdyś nazywały, zbliżam się bardzo do grobu!

— Jeżeli więc Wasza Królewska Mość uwierzyła tej pogłosce, musiała bardzo być zdziwioną, że przedtem nie odebrała żadnej odemnie wiadomości.

— O! księżno, śmierć czasem tak prędko zaskoczy.

— O, Najjaśniejsza Pani! Dusze, obciążone taką tajemnicą, jak ta, o którejśmy niedawno mówiły, czują zawsze jakąś potrzebę zwierzenia się przed śmiercią. A przygotowując się do wieczności, trzeba także uporządkować i papiery.

Królowa zadrżała.

— Wasza Królewska Mość — mówiła księżna — będziesz zawiadomiona w pewien nieomylny sposób o mojej śmierci.

— Jaki?

— Bo Wasza Królewska Mość nazajutrz odbierzesz pod poczwórną kopertą wszystko to, co pozostało z naszej dawnej, a tak tajemniczej korespondencji.

— Nie spaliłaś tego — rzekła Anna z przerażeniem.

— O! Najjaśniejsza Pani — rzekła księżna — tylko zdrajcy palą korespondencje królewskie.

— Zdrajcy?

— Tak, niezawodnie! albo udając, że spalili, zatrzymują u siebie, lub sprzedają komu.

— A! mój Boże!

— Wierni zaś, przeciwnie, chowają te skarby bardzo starannie, potem starają się zobaczyć z królowa i mówiąc: Najjaśniejsza Pani, starzeję się, jestem cierpiącą, jestem w niebezpieczeństwie śmierci, co grozi wyjawieniem sekretu Waszej Królewskiej Mości, odbierz więc odemnie ten niebezpieczny papier i spal go sama.

— Co do mnie, wprawdzie mam tylko jeden, ale i ten bardzo niebezpieczny.

— O! księżno, powiedz! powiedz!

—To ten list, "datowany we wtorek 2 sierpnia, 1644 r., kiedy mi Wasza Królewska Mość poleciłaś, abym pojechała do Noisy-le-Sec odwiedzić to kochane, nieszczęśliwe dziecię. Te wyrazy kochane nieszczęśliwe dziecię — pisane są ręką Waszej Królewskiej Mości."

Nastąpiła chwila głębokiego milczenia, bo królowa zgłębiała przepaść, a pani de Chevreuse zastawiała sidła.

— O! nieszczęśliwe i bardzo nieszczęśliwe dziecię — rzekła zcicha królowa — jakże smutne wlokło życie, ażeby tak okropnie skończyć.

— Umarł więc — rzekła księżna z żywością i z ciekawością, której wyraz królowa pochwyciła chciwie.

— Umarł na konsumpcję, umarł zapomniany, zwiędły jak kwiat, dany kochance przez kochanka, a który ona chowa w szufladzie, ażeby go nikt nie dostrzegł.

— Umarł — rzekła księżna z wyrazem straconej otuchy, który bardzoby ucieszył królowę, gdyby nie był przez wątpliwość miarkowany, umarł w Noisy-le-Sec.

— Tak, na ręku swego nauczyciela, biednego, wiernego sługi, który go niedługo przeżył.

— Łatwo to pojąć, gdyż bardzo trudno nosić w sercu i żałobę i tak ważną tajemnicę.

Królowa nie zważała nawet na ten przycinek; księżna mówiła dalej:

— Ależ ja dowiadywałam się kilka lat temu w Noisy-le-Sec, o losie tego dziecięcia tak nieszczęśliwego. I mówiono mi tam, że on nie umarł, i dlatego nie martwiłam się tak mocno, mówiąc o tem z Waszą Królewską Mością. Gdybym bowiem temu wierzyła, nigdybym wspomnieniem tak godnego pożałowania wy padku, nie chciała obudzać słusznego żalu Waszej Królewskiej Mości.

— Mówisz więc, że jak powiadano, dziecię nie zmarło w Noisy-le-Sec?

— Nie, Najjaśniejsza Pani!

— A cóż więc o tem mówiono.

— Mówiono, że pewnego wieczora 1645 roku, jakaś pani pięknej postawy, co dawało się widzieć pomimo maski i obszernej mantyli, okrywającej ją, dama z wyższego stanu, zdaje się nawet, z bardzo wysokiego, przybyła w karecie na zakręt drogi tej samej, Wasza Królewska Mość przypomina ją sobie, gdzie ja zawsze oczekiwałam na wiadomości o młodym księciu, kiedyś Wasza Królewska Mość raczyła mnie posyłać po nie...

— Cóż dalej?

— Nauczyciel przyprowadził dziecię do tej damy.

— A potem?

— Nazajutrz i nauczyciel i dziecko wyjechali.

— Widzisz więc dobrze, że jest w tem trochę prawdy, gdyż właśnie wtenczas to biedne dziecię nagle umarło; słusznie twierdzą lekarze, że do siódmego roku życie dzieci wisi na włosku.

— O! to, co Wasza Królewska Mość mówi, jest prawdą, i nikt zapewne od niej lepiej o tem wiedzieć nie może, nikt też w to mocniej nie wierzy, niż ja. A jednak Wasza Królewska Mość...

— Cóż jeszcze?... — pomyślała królowa.

— Osoba, która mi doniosła te szczegóły, która dowiadywała się o zdrowie dziecięcia, osoba ta...

— Powierzałaś takie starania komuś? A! księżno.

— Komuś tak milczącemu, jak W K Mość jak ja, przypuśćmy, że to byłam ja sama. Ten ktoś, mówię, przejeżdżając w kilka miesięcy potem przez Tourraine...

— Przez Tourraine!

— Poznał nauczyciela i dziecko! przepraszam, zdawało mu się, że poznał obydwóch żyjących, zdrowych, szczęśliwych, kwit-

nących, jednego czerstwą starością, drugiego kwiatem młodości. I pomyśleć teraz, co znaczą pogłoski, jakie o tem obiegają! i wierzyć teraz temu, co mówią o tem, co się dzieje na świecie. Ale ja utrudzam W K Mość, odnowiwszy to zapewnienie mojego uszanowania i poświęcenia dla niej.

— Zatrzymaj się, księżno. Pomówmy trochę o tobie.

— O mnie. O! nie zniżaj W. K.. Mość oczu swoich aż do mnie!

— Dlaczego? Czyż nie jesteś najdawniejszą przyjaciółką? Chyba, że się gniewasz?

— Ja? mój Boże? za cóż. Czyżbym przyszła do W. K. Mości, gdybym miała jaką ku niej urazę! jaki powód żalu?

— Księżno! lata nas już gniotą. Trzeba się opierać śmierci, która już nam grozi..

— W. K. Mość rozrzewniasz mię, tak uprzejmie do mnie przemawiając!

— Nikt mię tak nie kochał, nikt tak wiernie nie służył, jak ty, księżno.

— Wasza Królewska Mość raczy sobie to przypominać?

— Zawsze! księżno. Daj dowód przyjaźni.

— A! moja dusza, moja cała istność należy do Waszej Królewskiej Mości.

— Ale daj dowód

— Jaki?

— Żądaj czego odemnie!

— Żądać...

— Wiem, że uczucia twoje są bezinteresowne, wielkie, nawet królewskie.

— Nie wychwalaj mię tak, Najjaśniejsza Pani — rzekła księżna niespokojna.

— Nigdy cię nie zdołam tyle chwalić, ile na to zasługujesz.

— Wiek, nieszczęścia zmieniły mię wielce, Najjaśniejsza Pani!

— Niechże cię Bóg wysłucha, księżno.

— Jakto?

— Tak.. Bo niegdyś piękna, dumna, uwielbiana księżna de Chevreuse odpowiedziałaby mi z niewdzięcznością; "Nic od ciebie nie żądam." Błogosławione więc niech będą nieszczęścia

które cię zmieniły, gdyż teraz może mi odpowiesz: "Przyjmuję."

Księżna umiliła wzrok i uśmiech, była oczarowaną i nie taiła się z tem.

— Mów, kochana, czego żądasz?

— Trzeba więc wytłumaczyć się...

— Bez wahania.

— A więc W. K. Mość możesz mi sprawić nieopisaną, nieporównaną radość.

— Cóż takiego? — rzekła króla — ale przedewszystkiem, moja droga de Chevreuse, pamiętaj, że jestem pod władzą syna, jak niegdyś byłam pod władzą męża.

— Nie nadużyję dobroci Waszej Królewskiej Mości.

— Nazywaj mnie Anną, jak dawniej; będzie to słodkiem wspomnieniem młodości.

— Niech i tak będzie. A więc moja szanowna pani! Anno ukochana...

— Nie zapomniałaś po hiszpańsku?. .

— O!.. nie.

— Żądaj więc odemnie po hiszpańsku!..

— Dobrze!... Spraw mi ten zaszczyt i przepędź u mnie kilka dni w Dampierre!

— I nic więcej?... — krzykneła królowa osłupiała.

— Nic.

— Nic więcej, jakto?...

— Mój Boże!... Czyżbyś mogła przypuścić, ażebym nie żądała najwyższego dobrodziejstwa. Jeżeli tak myślisz, toś mię jeszcze nie poznała. No, zgadzasz się na to?...

— Z całego serca!...

— O!... dziękuję ci.

— I będę bardzo szczęśliwą — rzekła królowa z niedowierzaniem — jeżeli moja obecność będzie ci mogła być użyteczną!...

— Użyteczną!... — rzekła księżna, śmiejąc się — o!.. nie!... nie... tylko przyjemną, miłą, rozkoszną. A więc to już przyrzeczone?...

— Najsolenniej!...

Księżna porwała rękę królowej i obsypała ją pocałunkami.

— To dobra kobieta — pomyślała królowa, dobra i szlachetnego umysłu.

— Wasza Królewska Mość zgadza się na to — rzekła księżna — że odwiedziny te nastąpią za dni piętnaście?...

— Zgoda! ale dlaczego?...

— Dlatego, że ludzie, wiedząc, iż jestem w niełasce, nie chcieli mi pożyczyć 100,000 talarów na wyrestaurowanie Dampierre. Ale teraz, gdy się dowiedzą, że to potrzebne jest na godne przyjęcie Waszej Królewskiej Mości, wszystkie kapitały Paryża spłyną do mnie!

— A!.. — rzekła królowa, poruszając głową, gdyż pojęła księżnę zupełnie. — Sto tysięcy talarów. A więc potrzeba 100,000 talarów na odnowienie Dampierre?...

— Nie więcej.

— I nikt ci ich nie chciał pożyczyć?...

— Nikt!...

— Jeżeli chcesz, ja ci ich pożyczę!...

— Doprawdy?...

— Słowo królowej!... 100,000 talarów, to nie tak wiele.

— Zapewne, że nie.

— Nie. O!... wiem, że nigdy nie kazałaś sobie zapłacić za twoją delikatność tyle, ile ona była wartą. Moja księżno, przysuń mi stolik; muszę ci napisać asygnację do pana Colberta, nie, do pana Fouquet, który daleko bardziej jest uprzejmym.

— Ale czy wypłaci?...

— Jeżeli nie, to ja wypłacę, ale byłaby to pierwsza jego odmowa.

Królowa napisała, oddała kartkę księżnie i pożegnała ją, ucałowawszy z wesołością.

CLXXXVII

JAKIM SPOSOBEM JAN DE LA FONTAINE NAPISAŁ PIERWSZĄ SWĄ POWIEŚĆ.

Wszystkie intrygi są już wyczerpane, umysł ludzki, tak obfity w pomysły, mógł i musiał się dowolnie rozwinąć.

Może wypadnie nam jeszcze mówić o polityce i intrygach w obrazie, który przygotowujemy ale pobudki ich będą tak ukryte, że tylko obrazy i kwiaty będą widzialne, tak, jak w widowiskach jarmacznych, gdzie występuje na scenę kolos, który cho-

dzi poruszony drobnemi nóżkami i słabemi rączkami dziecięcia, ukrytego w jego szkielecie.

Powracamy do Saint-Mande, gdzie nadintendent przyjmuje, podług zwyczaju, towarzystwo dobrane z epikurejczyków; od niejakiego czasu przykre przeszedł on kłopoty, i każdy uczuł w części strapienie ministra.

Niema już tych wielkich i wesołych zgromadzeń.

Zarząd skarbu był dla nich pozorem i nigdy, jak mówił dowcipnie Gourville, nie było więcej kłamliwego pozoru, gdyż nie mówiono tam ani słowa o skarbowości.

Pan Vanel silił się na podtrzymanie sławy domu.

Ale cóż, kiedy ogrodnicy, którzy zasilali kuchnię, skarżyli się na opóźnioną zapłatę.

Dostarczyciele win hiszpańskich napróżno przysyłali rachunki, których nikt nie płacił.

Rybacy, których pan nadintendent na swoim trzymał żołdzie, mówili, że, gdyby ich należność była zapłaconą, mogliby mieszkać już spokojnie na ziemi.

Świeże ryby morskie, które później przyprawiły o śmierć Valeta, nie przybywały już wcale.

Pomimo to w dniach przyjęcia zwykłego przyjaciele Fouqueta w większej niż zwykle zbierali się liczbie.

Gourville i opat Fouquet rozprawiali o finansach, to jest opat pożyczał kilka pistolów od Gourvilla.

Pellisson, siedząc z nogami założonemi, kończył układać mowę, którą Fouquet, miał mieć na otwarcie parlamentu...

A mowa ta była arcydziełem, bo Pellison układał ją dla przyjaciela, to jest tak nad nią pracował dla niego, jakby pewno dla siebie ani w części się nie trudził.

Wkrótce, po powrocie z ogrodu, sprzeczali się o jakieś wierszyki, Loret i La Fontaine.

Muzycy i malarze zwracali się także ku sali jadalnej, o ósmej siadano do stołu.

A nadintendent nigdy się nie spóźniał; już jest wpół do ósmej i apetyt dobrze się już uczuć daje.

Kiedy wszyscy stołownicy się zebrali, Gourville, wyrwawszy Pellissona z marzeń, wyprowadził na środek pokoju od którego drzwi zamknął.

— No — rzekł — co tam nowego?

Pellisson podniósł oczy słodkie i dowcipne.

— Pożyczyłem — rzekł od mojej ciotki dwadzieścia pięć tysięcy liwrów. Oto są w biletach kasowych.

— Dobrze — rzekł Gourville — braknie więc już tylko sto dziewięćdziesiąt tysięcy liwrów na pierwszą wypłatę!

— Wypłatę czego? — zapytał la Fontaine tonem, jakby pytał, czy czytałeś Barue?

— Patrzcie no na tego roztargnionego — rzekł Gourville. — Co!... ty, co właśnie zawiadomiłeś nas, że ta mała posiadłość pana Fouqueta Corbeil, miała być sprzedaną przez wierzyciela, ty, któryś pierwszy podał myśl składki przyjaciół epikura, ty co powiedziałeś, że sprzedasz swój dom w Chateau-Thierry, ażeby dostarczyć części, przypadającej na ciebie, dziś pytasz: "Na wypłatę czego?"

Na to wszyscy głośno się rozśmiali, a la Fontaine zarumienił się.

— Przepraszam, przepraszam — rzekł — to prawda, ale ja nie zapomniałem, o nie!... tylko...

— Tylko nie pamiętasz — podchwycił Loret.

— To prawda. I on ma słuszność. Bo między zapomnieć i nie pamiętać wielka zachodzi różnica.

— A zatem i ty przynosisz swego obola na ofiarę, obola ze sprzedanego domu.

— Sprzedanego?... nie!

— Nie sprzedałeś swojej zagrody?... — zapytał zdziwiony Gourville, gdyż znał bezinteresowność poety.

— Moja żona nie zgodziła się na to!... — odrzekł tenże.

Nowe śmiechy.

— A przecież po to jeździłeś do Chateau-Thierry — odpowiedziano mu.

— Naturalnie, i to konno.

— Biedny Jan!

— Ośm, coraz innych miałem koni, o! byłem zmęczony..

— Wyborny przyjaciel!... Ale tam wypocząłeś?

— Wypocząłem?... co znowu!... Tam miałem nowe zatrudnienie.

— Żona moja wszczęła romansik z tym, co miał dom kupić, ten cofnął swoje słowo, a ja wyzwałem. .

— Bardzo dobrze — rzekł Loret — i biłeś się z nim?

— Zdaje się, że nie!

— Jakto nawet nie wiesz?

— Nie!... moja żona i jej krewni wmieszali się w to. Przez kwadrans miałem szpadę w ręku, ale nie byłem raniony!

— A przeciwnik?

— I on nie, gdyż nawet nie stanął!

— A to doskonale — zawołali wszyscy — musiałeś się wściekać?

— Okropnie!... dostałem kataru, a wróciwszy, do domu, pokłóciłem się z żoną.

— Na piękne?

— Na piękne!... rzuciła mi bułkę chleba na głowę!.. i to ogromną bułką!

— A ty?

— Ja?... ja przewróciłem stół na jej biesiadników, dopadłem konia i oto tu jestem.

Nikt nie mógł wstrzymać się od śmiechu, słysząc tą bohaterską humorystykę. Wreszcie kiedy się uspokojono, odezwano się do la Fontaina:

— I to wszystko coś przywiózł nam z podróży?

— O nie, przyszedł mi doskonały pomysł?

— Jaki, mów!

— Czyście zauważyli, że teraz we Francji bardzo wiele robią ulotnych wierszy?

— A tak, tak— odpowiedzieli zgromadzeni.

— Ale się ich drukuje tylko bardzo mała liczba, — rzekł la Fontaine.

— To prawda ale bo też i prawa są ostre!

— Otóż ja dlatego pomyślałem sobie: rzadki towar, to drogi towar; i dlatego ułożyłem mały poemat bardzo swobodny.

— O!... o!... kochany poeto.

— Bardzo dwuznaczny.

— O!... o!...

— Bardzo cyniczny!

— Do djabła!

— Umieściłem tam — rzekł z powagą poeta — wszystkie wyrazy... jakie mi tylko przyszły na myśl.

Kiedy nasz poczciwy poeta dawał taki szyld swojemu towarowi, wszyscy pokładali się od śmiechu.

— I postarałem się — mówił dalej — przewyższyć wszystko to co Bokacjusz, l'Aretin i inni pisali w tym rodzaju.

— Dobry Boże!... — zawołał Pellisson — ależ będziesz potępiony.

— Tak myślisz?... — spytał dobrodusznie La Fontaine. — Przysięgam wam, żem nie zrobił tego dla siebie, tylko jedynie dla pana Fouquet.

To cudowne zakończenie zadowoliło całe towarzystwo.

— I pierwsze wydanie tego dzieła sprzedałem za osiemset liwrów — krzyknął La Fontaine, zacierając ręce. — Za książki do nabożeństwa płacą tylko połowę.

— Lepiej było — rzekł Gourville, śmiejąc się — napisać dwie książki do nabożeństwa.

— Toby zbyt długo trwało i nie było zabawne — rzekł spokojnie La Fontaine, otóż te osiemset liwrów składam.

I złożył je w ręce podskarbiego Epikurejczyków.

Potem z kolei Loret dał 50 liwrów, inni, co mieli, złożyli a po obliczeniu, ogół składki wynosił 40,000 liwrów.

I nigdy szlachetniejsze pieniądze nie brzękły na szali, gdzie waży się lito ść dobrych chęci i serc, przeciw fałszywej monecie pobożnych obłudników.

Jeszcze brzęczały pieniądze, kiedy nadintendent wszedł, a raczej wślizgnął się do sali i wysłuchał wszystko.

Zobaczono, jak ten człowiek, który obracał miljonami; jak ten bogacz, który wyczerpał wszystkie rozkosze i zaszczyty, jak to wielkie serce, ten umysł przedsiębiorczy, który połączył w sobie siłę materjalną i moralną pierwszego na świecie królestwa dotykał się delikatnymi palcami tej trochy złota i srebra.

— Uboga jałmużno — rzekł głosem czułym i wzruszonym — znikniesz w najszczuplejszym zakątku mego próżnego worka, ale napełniłaś moje serce wdzięcznością, a to się nie wyczerpie. Dziękuję wam, moi przyjaciele, dziękuję.

I, nie mogąc uściskać wszystkich obecnych, którym również łzy w oczach stanęły, chociaż byli filozofami, ucałował La Fontaina, mówiąc:

— Biedny chłopiec, z mojej przyczyny żona go wybiła, a spowiednik potępi!...

— To nic — odrzekł poeta — niech tylko wierzyciele twoi poczekają dwa lata, a zrobię sto innych powieści, każda po dwa wydania, i z pewnością zostaną zapłacone.

CLXXXVIII

LA FONTAINE POŚREDNIKIEM.

Fouquet uścisnął serdecznie rękę La Fontaina.

— Mój drogi poeto — rzekł — napisz nam sto powieści, nie dlatego tylko, aby każda z nich kosztowała 80 pistolów, ale dlatego, aby wzbogacić naszą literaturę stu arcydziełami.

— O!... o!... — rzekł La Fontaine, prostując się — nie myślcie, abym ja przyniósł tylko pomysł tych 80 pistolów dla pana nadintendenta.

— Oho!... — zawołano ze wszystkich stron — to pan de La Fontaine jest dziś przy pieniądzach!...

— Błogosławiony pomysł, jeżeli mi przynosi jeden lub dwa miljony — rzekł Fouquet wesoło.

— Oto właśnie chodzi — odpowiedział La Fontaine.

— Mów prędko, mów — zawołało całe zgromadzenie.

— Miej się na baczności — szepnął Pellisson do ucha La Fon taina — miałeś wielkie dotąd powodzenie, obyś teraz nie chybił celu.

— Bynajmniej, panie Pellisson, a ty, co masz dobry gust, sam pierwszy mnie pochwalisz.

— Idzie o miljony — rzekł Gourville.

— Mam właśnie tu jeden miljon pięćset tysięcy liwrów rzekł La Fontaine, dotykając serca.

— A to Gaskończyk z Chateau-Thierry!... — zawołał Loret.

— Ależ nie kieszeni należało dotknąć, tylko głowy — rzekł Fouquet.

— Chyba, panie nadintendencie — dodał La Fontaine — nie jesteś prokuratorem generalnym, ale poetą.

— Prawda — zawołali Loret, Conrart i inni autorowie.

— Jesteś, jak mówię, poetą, malarzem, snycerzem, przyjacielem nauk i sztuk, ale nie jesteś prawnikiem.

— Wyznaję — rzekł z uśmiechem Fouquet.

— Gdyby cię nawet mianowano członkiem akademji, pewnobyś odmówił?

— Zdaje mi się, że tak, z przeproszeniem panów akademików.

— Dlaczegóż, nie chcąc być członkiem akademji, jesteś członkiem parlamentu?

— Oho — rzekł Pellisson — zaczynamy coś o polityce..

— Ja zapytuję — mówił dalej La Fontaine — czy toga przystoi panu Fouquet, czy też nie?

— Nie o togę tu idzie — rzekł Pellisson, zniecierpliwiony śmiechem towarzystwa.

— Właśnie, że o nią tu idzie — odrzekł Loret.

— Odbierzcie togę prokuratorowi generalnemu — rzekł Conrart — a zostanie nam pan Fouquet, na co się wcale skarżyć nie będziemy; ale ponieważ niema prokuratora generalnego bez togi, oświadczamy, podług zdania pana La Fontaine, że toga jest straszydłem.

— Figiust risus, leporesque — rzekł Loret.

— Śmiechy i gracje — objaśnił jeden z uczonych.

— Ja — rzekł poważnie Pellisson — ja nie tak przetłumaczyłem wyraz lepores.

— A jakże to tłumaczysz?... — zapytał La Fontaine?

— Oto tak: “Zające uciekają, spostrzegłszy pana Fouqueta.”

Wszyscy śmiać się zaczęli, a nadintendent pomagał.

— Dlaczegóż zające?... — wtrącił Conrart dotknięty.

— Gdyż zającem będzie ten, kto się nie ucieszy, widząc pana Fouquet przy władzy parlamentarnej.

—O!... o!... — mruknęli poeci.

— Quo non ascendant — rzekł Conrart — wydaje mi się to niepodobieństwem przy todze prokuratorskiej.

— Mnie zaś bez tej togi — odrzekł uparty Pellisson. — Co o tem myślisz, Gourville?

— Ja myślę, że toga jest bardzo potrzebną, ale miljon pięćset tysięcy liwrów więcej warte jest od niej.

— I ja jestem zdania Gourville'a — wyrzekł Fouquet, przerywając temi stanowczemi słowami rozprawę.

— Miljon pięćset tysięcy — mruknął Pellisson... — Ależ znam pewną opowieść indyjską...

— To opowiedz mi ją — rzekł La Fontaine — ja muszę ją także znać.

— Opowiedz, opowiedz — zawołano.

— Żółw zawsze chował się w skorupę — rzekł Pellisson — ile razy nieprzyjaciele napastowali go. Pewnego dnia rzekł ktoś do niego: latem bardzo ci gorąco w skorupie twojej i przeszkadza

ci ona widzieć twoją piękną postać, to wąż da ci za nią półtora miljona.

— Dobrze — rzekł nadintendent, śmiejąc się.

— I cóż potem?... — rzekł La Fontaine, zajęty więcej samą bajką, niż zawartą w niej przestrogą.

— Żółw, sprzedawszy, skorupę, nie miał już ochrony. Sęp zgłodniały spostrzegłszy to, rzucił się na niego i pożarł.

— O mythos dełoi!... — rzekł Conrart.

— Bardzo dobrze zrobi pan Fouquet, jeżeli zachowa togę.

La Fontaine uraził się treścią bajki.

— Zapominasz o Eschylu!... — rzekł do swego przeciwnika.

— Cóż to ma znaczyć?

— O Eschylu łysym.

— No i cóż?

— O Eschylu, którego czaszkę sęp, zapewne ten twój sęp, wziął za kamień i rzucił z góry na żółwia, ukrytego w skorupie.

— E! mój Boże! La Fontaine ma słuszność — rzekł Fouquet zamyślony. — Każdy sęp skoro tylko zachce mu się żółwia, z pewnością skruszy jego skorupę, i bardzo szczęśliwy ten żółw, za którego skorupę wąż zechce zapłacić półtora miljona. Niech mi pokażą takiego węża, jak w twojej bajce, Pellisson, a oddam mu swoją skorupę.

— Rara avis in terris — zawołał Conrart. .

— I podobny do czarnego bociana, nieprawdaż?... — dodał La Fontaine. — O tak ptak zupełnie czarny i bardzo rzadki, ale ja takiego znalazłem!

— Znalazłeś nabywcę na mój urząd prokuratora generalnego — krzyknął Fouquet.

— Tak, panie!

— Ależ pan nadintendent nigdy nie mówił, że chce go sprzedać — rzekł Pellisson.

— Przepraszam, sam o tem mówiłeś — odrzekł Conrart.

— Jestem tego świadkiem — dodał Gourville.

— Bo mu żal tych pięknych mów, które dla mnie robi — podchwycił, śmiejąc się, Fouquet. — Ale któż jest tym nabywcą?

— Czarny ptak, radca parlamentu, człowiek poczciwy!

— Jak się nazywa?

— Vanel.

— Vanel?.. — krzyknął Fouquet — Vanel, mąż...

— A tak jej mąż!

— Dobry człowiek — rzekł Fouquet z zajęciem — i on chce zostać prokuratorem generalnym?

— On chce być tem wszystkiem, czem ty, panie, jesteś, i robić to wszystko, co ty robiłeś — rzekł Gourville.

— Ależ to bardzo pocieszne! opowiedz to nam, La Fontaine.

— To bardzo naturalne. Kiedy niekiedy widuję się z nim u niego. Teraz spotkałem go, przechodzącego na placu Bastylji, właśnie w tej chwili, kiedym miał wziąć powóz do Saint-Mande.

— Zapewne szpiegował swoją żonę — rzekł Loret.

— O! mój Boże, ależ on nie potrafi nic, nawet być zazdrosnym — odparł Fouquet.

— Przystępuje otóż do mnie, ściska, prowadzi do oberży "Pod znakiem Fiakra" i opowiada mi swoje zmartwienia.

— To on ma zmartwienia?

— Tak; żona jego pełna jest ambicji.

— I opowiadał ci...

— Że mu wspomniano o urzędzie w parlamencie, że nazwisko pana Fouquet było wymówione, że odtąd pani Vanel marzy, aby się tytułować prokuratorową generalną, i umiera każdej nocy, w której jej się o tem nie śni.

— Do djabła!

— Biedna kobieta — rzekł Fouquet.

— Ale poczekaj pan! Conrart mówi mi zawsze, że ja nie umiem robić interesów, zobaczysz więc jakem ten prowadził.

— Zobaczymy!

— A wiesz pan o tem — rzekłem do Vanela że to rzecz bardzo droga taki urząd prokuratora generalnego.

— A wieleż naprzykład kosztuje?

— Pan Fouquet nie przyjąłby jednego miljona siedemset tysięcy liwrów.

— Moja żona — rzekł Vanel — szacowała ten urząd tak coś około jednego miljona czterech set tysięcy liwrów. .

— Gotówką?... — spytałem go.

— Tak! gdyż sprzedała dobra w Gurenne i ma gotówkę.

— To ładna sumka do wzięcia naraz — szepnął Fouquet, który dotąd się nie odzywał.

— Biedna pani Vanel — dodał.

Pellisson wzruszył ramionami.

— To istny djabeł — szepnął do ucha Fouquetowi.

— I dlatego właśnie będzie bardzo dobrze naprawić szkodę pieniędzami djabła, jaką sobie dla mnie wyrządził anioł.

Pellisson spojrzał ze zdziwieniem na Fouqueta, którego umysł od tej chwili zajął się tym nowym przedmiotem.

— I cóż ten mój układ?... — zapytał La Fontaine.

— Doskonały, kochany poeto?

— Tak — rzekł Gourville — ale niejeden chce kupić konia, a niema pieniędzy i na uzdeczkę

— O gdyby tak było naprawdę, pewnoby Vanel nie mówił — wtrącił opat Fouquet.

— Nie zdaje mi się — odrzekł La Fontaine.

— Skądże wiesz o tem?

— Bo jeszcze nie znacie rozwiązania mojej powieści.

— Ależ jeżeli jest koniec, na cóż tak kołować?... — podchwycił Gourville.

— Semper ad eventum! (zawsze do końca) czy to nie tak się mówi — rzekł Fouquet tonem wielkiego pana, który wyrzekł barbaryzm!

Łacinnicy dali poklask.

— Moje rozwiązanie jest takie — wyrzekł La Fontaine — że Vanel, ten czarny, uparty ptak, wiedząc, iż jadę do Saint-Mande, błagał, ażebym go wziął z sobą.

— O! o!

— I żebym go przedstawił, jeśli to być może, Jaśnie Wielmożnemu Panu!

— A więc...

— A więc jest on tutaj, na łące Bel-Air.

— Jak chrząszcz.

— I cóż, panie Fouquet?

— Nie wypada, ażeby mąż pani Vanel dostał kataru, poślij po niego La Fontaine, skoro wiesz gdzie jest.

— A ja ci towarzyszę, poniosę worki z pieniędzmi.

— Tylko bez tych żartów — rzekł surowo Fouquet. — Jeżeli mamy zrobić interes, to poważnie. A przedewszystkiem trzeba być gościnnym. Wytłumacz mię La Fontaine, i przeproś, że musiał czekać, gdyż nie wiedziałem, że tu się znajdze.

La Fontaine, wyszedł; szczęściem, Gourville mu towarzyszył, gdyż, jak zawsze roztargniony, udał się w przeciwną stronę ku Saint-Maur.

W kwadrans potem pan Vanel wprowadzony został do gabinetu pana Fouquet, tego samego gabinetu, który już opisaliśmy na początku naszej powieści.

Fouquet, widząc go wchodzącego, zawołał Pellissona i coś mu szepnął do ucha.

— Pamiętaj o tem dobrze — rzekł — ażeby wszystkie srebra, wszystkie brylanty zapakowane były do karety. Weź kare konie, jubiler niech przyjedzie z tobą, spóźnisz wieczerzę aż do przybycia pani de Belliere.

— Ale trzeba zawiadomić ją o tem — rzekł Pellisson.

— Nie trzeba, ja to biorę na siebie.

— Bardzo dobrze.

— Jedź więc, mój przyjacielu!

Pellisson pojechał, nie pojmując dobrze, ale jak prawdziwi przyjaciele, ufając woli, której podlegają.

I to jest siłą umysłów wybranych.

Nieufność właściwa jest niższym usposobieniom.

Vanel skłonił się nadintendentowi i chciał wszcząć przemowę.

— Nie rób pan ceremonji!... — rzekł doń grzecznie Fouquet — zdaje mi się, że chcesz nabyć mój urząd?

— Jaśnie Wielmożny Panie!..

— Wiele możesz mi dać za niego?

— Jaśnie Wielmożny Pan raczy oznaczyć cenę. Wiem, że już mu to proponowano.

— Pani Vanel, jak mi mówiono, ceni go miljon czterysta tysięcy liwrów.

— To wszystko jest co posiadamy.

— Czy możesz pan dać tą sumę zaraz?

— Nie mam jej przy sobie — rzekł dobrodusznie Vanel, ogłuszony taką prostotą i wielkością, bo spodziewał się wybiegów i targów.

— A kiedy ją pan mieć możesz?

— Kiedy się spodoba Jaśnie Wielmożnemu Panu.

I zadrżał na myśl, iż Fouquet może żartuje z niego.

— Gdyby nie było potrzeba wracać do Paryża, powiedziałbym, że natychmiast..

— O! Jaśnie Wielmożny Panie!...

— Ale — przerwał nadintendent — oznaczmy wypłatę i podpisy na jutro zrana.

— Niech i tak będzie — odrzekł Vanel osłupiały.
— O godzinie szóstej — rzekł Fouquet.
— O szóstej — powtórzył Vanel.
— Do widzenia, panie Vanel, ucałuj odemnie rączki pani Vanel.
I Fouquet wstał.
Wówczas Vanel, któremu krew mocno biła do głowy, stracił prawie przytomność i rzekł:
— Jaśnie Wielmożny Panie, Jaśnie Wielmożny Panie, czy dajesz mi pan na to rękę?...
Fouquet obrócił głowę.
— Naturalnie, a pan?...
Vanel zawahał się, dreszcz go przebiegł, ale w końcu namyślił się i wysunął rękę bojaźliwie.
Fouquet przeciwnie podał mu prędko i z całą otwartością.
I ta ręka szlachetna dotknęła na chwilę spoconej ręki obłudnika.
Vanel ścisnął Fouqueta za końce palców, aby się lepiej przekonać, że to nie jest sen.
Nadintendent usunął mu zwolna rękę.
— Do widzenia — rzekł.
Vanel cofał się aż do drzwi, a doszedłszy do przepokoju, wybiegł jak najprędzej.

CLXXIX

SREBRA I BRYLANTY PANI DE BELLIERE.

Po wyjściu Vanela, Fouquet zamyślił się trochę i rzekł:
— Nie można nigdy uczynić zawiele dla kobiety, która się kocha. Małgorzata chce być prokuratorową, dlaczegóż nie zrobić jej tej przyjemności... A teraz, skoro najdrażliwsze sumienie nie mogłoby mi nic zarzucić myślmy jedynie o kobiecie, co nas kocha. Pani de Belliere musi być tam!...
I wskazał palcem ukryte drzwi.
Zamknąwszy się wewnątrz, otworzył podziemne przejście, które łączyło z jego domem dom Vincennes i udał się niem spiesznie, a będąc pewny, że przyjaciółka jego nigdy nie pominie schadzki, nie ostrzegł jej jak zwykle dzwonkiem.

Ona też już przybyła i czekała go, a gdy odgłos kroków doszedł jej słuchu, pospieszyła, aby podjąć przesunięty podedrzwiami bilet z temi słowy.

"Przybywaj pani, czekamy na ciebie z wieczerzą."

Szczęśliwa wsiadła natychmiast do karety, stojącej przed domem Vincennes, i przywitała oczekującego na nią w ganku domu Fouqueta, Gourvilla, który, aby się przypodobać lepiej swemu panu, sam na nią czekał.

Nie widziała powracających i pianą okrytych karych koni Fouqueta, które przywiozły do Saint-Mande Pellissona i tego samego jubilera, któremu pani de Belliere sprzedała swoje srebra i klejnoty.

Pellisson wprowadził go do gabinetu, którego Fouquet jeszcze nie opuścił.

Nadintendent podziękował jubilerowi, że był tak grzeczny i zatrzymał w depozycie kosztowności, które miał prawo sprzedać.

Rzucił okiem na ogół rachunku, wynoszącego miljon trzysta tysięcy liwrów.

Potem napisał asygnacją na miljon czterysta tysięcy liwrów, płatną nazajutrz przed południem.

— Sto tysięcy liwrów zysku!... — krzyknął jubiler — a!... Jaśnie Wielmożny Panie, co za wspaniałomyślność!

— Nie, mój panie — odrzekł Fouquet dotykając jego ramienia — są grzeczności, które nigdy nie dadzą się opłacić. Zysk jest prawie ten sam, jakibyś mógł był mieć, ale pozostaje jeszcze do zapłacenia procent od twoich pieniędzy.

I, to mówiąc, odpiął od rękawa guzik djamentowy, który tenże sam jubiler cenił niegdyś na trzy tysiące pistolów.

— Weź to na pamiątkę odemnie, i bądź zdrów, jesteś zacnym człowiekiem!

— A ty, Jaśnie Wielmożny Panie — zawołał jubiler głęboko wzruszony — jesteś szlachetnym panem!

Fouquet, wypuściwszy jubilera bocznemi drzwiami, poszedł przywitać panią de Belliere, którą już inni współbiesiadnicy otaczali.

Pani de Belliere piękną była, a tego dnia szczególnie jaśniała wdziękami.

— Czy panowie uważacie — rzekł Fouquet — że pani jest dzisiaj nieporównanej wspaniałości? A wiecie dlaczego?

— Bo jest najpiękniejszą z kobiet — rzekł ktoś z obecnych.

— Nie, ale dlatego, że jest z nich najlepszą. A jednak!...

— A jednak... — odrzekła z uśmiechem.

— A jednak wszystkie brylanty, które pani dziś ma na sobie są fałszywe.

Zarumieniła się.

— O!... o!... — zawołali wszyscy — to można bez obawy powiedzieć o kobiecie, która ma najpiękniejsze klejnoty w Paryżu!

— I cóż?... — rzekł cicho Fouquet do Pellissona.

—A cóż?... teraz rozumiem — odrzekł tenże.

— No przecież!... — wyrzekł Fouquet, uśmiechając się.

— Podano do stołu, Jaśnie Wielmożny Panie, — odezwał się poważnie Vatel.

Biesiadnicy trochę prędzej, niżby to wypadało uczynić w salonach ministra, ruszyli do sali jadalnej, gdzie ich wspaniały oczekiwał widok.

Na stołach, w pośród mnóstwa świateł i kwiatów, jaśniały naczynia złote i srebrne najkosztowniejsze, jakie tylko kiedy można było widzieć: były to resztki owej dawnej okazałości, na którą rzemieślnicy, sprowadzeni przez Medyceuszów z Florencji, wysilali się misternością roboty, dla przyozdobienia stołów pańskich, wówczas kiedy jeszcze dosyć było na to złota we Francji; cuda te, ukryte w czasie wojen domowych, pokazywały się bojaźliwie w przerwach wojny dobrego tonu, jak nazywano Frondę, wówczas bowiem panowie, prowadząc walkę między sobą, zabijali się wprawdzie, lecz nie rabowali

Cały ten serwis znaczony był herbem pani de Belliere. .

— Patrzcież!... — zawołał La Fontaine — patrzcie na cyfrę B. i B.

Ale najciekawszem było nakrycie stołu dla pani de Belliere. W miejscu, które dla niej Fouquet obok siebie przeznaczył, wznosiła się piramida z brylantów, szafirów, szmaragdów i mnóstwa kosztownych kamieni w płaskorzeźbach przez dawnych Greków z Azji Mniejszej wykonanych, a oprawnych w najczystsze złoto; rzadkie kamee z dawnej Aleksandrji w srebrnej oprawie, ciężkie bransolety egipskie z czasów Kleopatry, leżały na ogromnej kosztownej tacy, która spoczywała na złotym trójnogu, dziele Benvenuta.

Pani de Belliere zbladła, spostrzegłszy to, czego nie spodziewała się już nigdy widzieć.

Głęboka cisza, poprzedniczka mocnych wzruszeń zaległa pokój.

Fouquet nie kazał nawet odejść swojej służbie, która, jak pszczoły, uwijała się w około obficie zastawionych stołów.

— Panowie — wyrzekł Fouquet. — Te srebra i klejnoty, które tu widzicie, należały do pani de Belliere, lecz ona, wiedząc, iż jeden z przyjaciół jej w potrzebie jest, posłała wszystko do jubilera, aby to sprzedał. Tak piękny czyn przyjaciółki powinien być wiadomym takim, jak wy przyjaciołom. Szczęśliwy ten, kto jest tak kochany. Wypijmy zdrowie pani de Belliere.

Przyjęto z zapałem ten toast, a pani de Belliere upadła na krzesło, nieruchoma ze wzruszenia.

— A potem — rzekł Pellisson, którego każdy piękny czyn szczególnie wzruszał, — wypijmy zdrowie tego, który natchnął panią czynem tak szlachetnym, gdyż taki człowiek musi być godny kochania.

Teraz przyszła kolej na panią de Belliere.

Powstała blada, uśmiechająca się z kieliszkiem w ręku i dotknęła drżącymi palcami ręki Fouqueta a omdlałemi ze wzruszenia oczami szukała miłości płonącej w tak szlachetnem sercu.

Wieczerza, rozpoczęta w tak podniosłym tonie, stała się najprzyjemniejszą; nikt nie wysadzał się na dowcip, gdyż nikomu go nie brakło.

La Fontaine zapomniał o ulubionem winie z Gorgny i pozwolił Vatelowi, ażeby pogodził go z winem reńskiem i hiszpańskiem.

Opat Fouquet tak się rozochocił, że mu Gourville powiedział:

— Mniej się na ostrożności, panie, bo jeżeli będziesz tak dobrym, to cię zjedzą.

Godziny upływały wesoło.

Nadintendent, wbrew zwyczajowi, dotrzymywał towarzystwa. Uśmiechał się do swych przyjaciół, upojony jak każdy, który upoił szczęściem serce, pierwej niż głowę winem, i dopiero po raz pierwszy spojrzał na zegar.

Wtem turkot powozu odezwał się na dziedzińcu, i, rzecz dziwna, pomimo hucznych w sali głosów, usłyszano go.

Fouquet wytężył słuch, potem zwrócił wzrok na przedpokój, zdawało mu się, że słyszy kroki i że one, zamiast deptać podłogę, gniotą mu serce.

— Pan d'Herblay, biskup Vannes — oznajmił odźwierny.

I ponura, zamyślona postać Aramisa ukazała się we drzwiach pomiędzy szczątkami kwiatów, któremi były ozdobione.

CXC

POKWITOWANIE PANA MAZARINIEGO.

Fouquet byłby krzyknął z radości, spostrzegłszy swego przyjaciela, gdyby oziębłe oblicze i wzrok surowy Aramisa nie powstrzymały go od tego.

— Czy przybywasz, aby dopomódz nam do zjedzenia deseru?... — zapytał — ale czy cię nie przestraszył cokolwiek ten hałas, pochodzący z naszego trzpiotania?...

— Jaśnie Wielmożny Panie — rzekł z uszanowaniem Aramis — najprzód proszę mi przebaczyć, żem przerwał zabawę, a potem będę prosił o chwilę posłuchania w ważnym interesie.

Wyraz "interes" obudził uwagę kilku biesiadników.

Fouquet wstał od stołu.

— Interesy przedewszystkiem — rzekł do pana d'Herblay — a bardzo jesteśmy szczęśliwi, kiedy one przybywają już po uczcie.

I, mówiąc to, podał rękę pani de Belliere, która patrzyła nań niespokojnie, i zaprowadził ją do najbliższego pokoju, a powierzając ją opiece najtrzeźwiejszym, sam udał się z Aramisem do swego pokoju.

Tutaj Aramis odrzucił na bok udawaną etykietę i siadając, rzekł:

— Zgadnij, kogo dziś wieczorem widziałem?

— Mój kochany, ile razy podobnie zaczynasz rozmowę, zawsze spodziewam się usłyszeć coś nieprzyjemnego.

— I tym razem nie omylisz się, kochany przyjacielu — odpowiedział Aramis.

— Nie każ więc mi oczekiwać — rzekł obojętnie Fouquet.

— Dobrze! otóż widziałem panią de Chevreuse.

— Starą księżnę?

— Tak!

— Czy też jej cień?

— Bynajmniej, starą wilczycę!

— Bez zębów!

— Może. Ale z pazurami!

— Jakąż ona może mieć do mnie urazę? Przecież nigdy nie byłem skąpym względem kobiet, które nie są skromnisiami. Jest to przymiot, który oceniają nawet kobiety, nie mogące już wzbudzać miłości.

— Pani de Chevreuse wie o tem, że nie jesteś skąpym i dlatego chce ci porządną sumę wydrzeć!

— Doskonale, ale z jakiego powodu?

— Powodów jej nigdy nie zabraknie, a oto teraźniejszy.

— Słucham!

— Zdaje się, że księżna posiada pewne listy pana Mazariniego.

— To mnie nie dziwi, gdyż był to romansowy prałat!

— Tak! ale w listach tych niema wzmianki o miłości. One są, jak słyszałem, pisane w interesach pieniężnych!

— To jeszcze mniej mnie obchodzi.

— I nie domyślasz się, o czem chcę mówić.

— Ani trochę!

— Nie mówiono ci nigdy o jakiemś marnotrawieniu funduszów?

— Sto razy, tysiąc razy! Od czasu, jak jestem nadintendentem, mój kochany d'Herblay, o niczem częściej nie słyszę mówiących, niż o tem. To tak jakby tobie, biskupowi, zarzucano brak pobożności, muszkieterowi tchórzostwo; wszak ministrom skarbu nigdy nic innego nie zarzucają tylko, że skarb kradną.

— Dobrze! ale nie żartujmy, bo, jak mówi księżna, pan Mazarini dowodzi czegoś.

— Zobaczymy, czegóż dowodzi.

— Czegoś nakształt trzynastu miljonów, których zużytkowanie dla skarbu bardzo by ci podobno było trudno udowodnić.

— Trzynaście miljonów — rzekł nadintendent, wyciągając się na krześle, ażeby lepiej podnieść głowę do góry. — Trzynaście miljonów... Szukam ich pamięcią pomiędzy innymi, o jakich kradzież mnie oskarżano.

— Nie śmiej się, mój kochany, gdyż to jest bardzo poważne. Że księżna ma listy to pewne, i zdaje się, że są oryginalne, gdyż żądała za nie pięćset tysięcy liwrów.

— Za taką sumę można nabyć bardzo piękną potwarz — rzekł Fouquet.

I Fouquet zaśmiał się z całej duszy.

— Tem lepiej — rzekł Aramis, cokolwiek uspokojony.

— Przypominam sobie te trzynaście miljonów, tak, tak, to będzie to samo!

— Bardzo się z tego cieszę; cóż to takiego?

— Wyobraź sobie, mój kochany, że signor Mazarini (panie świeć nad jego duszą) zyskał te trzynaście miljonów w procesie o jakieś dobra w Valteline i wpakował to na rejestr dochodów, a przysławszy mi je. odebrał znowu na koszta wojenne.

— Bardzo dobrze, przeznaczenie więc ich jest udowodnione.

— Nie zupełnie, gdyż kardynał nie kazał odpisać, że je wziął, tylko zapisane są, że mi je oddał; ale przysłał mi pokwitowanie.

— A więc masz to pokwitowanie?

— Naturalnie!... — rzekł Fouquet, idąc do ogromnego kantorka hebanowego, wysadzonego złotem i perłową masą.

— Podziwiam w tobie — wyrzekł uradowany Aramis — najprzód pamięć, potem zimną krew i porządek, panujący w twoich interesach, w tobie, co jesteś poetą w całem znaczeniu tego wyrazu.

— Tak, powodem tego porządku jest lenistwo, bo tym sposobem unikam długiego szukania. Dlatego wiem, że pokwitowanie to jest w trzeciej szufladzie pod literą M, a otwierając tą szufladę, zaraz je znajdę, i nawet w nocy bez światła znalazłbym.

I wyjął śmiałą ręką zwój papierów z otwartej szuflady.

— Więcej ci jeszcze powiem — mówił dalej — pamiętam bowiem ten papier, jakbym go teraz widział, jest dość gruby, cokolwiek chropowaty, ze złoconymi brzegami. Mazarini zrobił plamę z atramentu na dacie... Patrzajże! ten papier widać przeczuł, że go szukają i że jest potrzebny, bo chowa się i nie chce się pokazać.

I nadintendent zaglądał do szuflady.

Aramis powstał.

— To dziwne — rzekł Fouquet.

— Pamięć cię omyliła, mój panie — rzekł Aramis — szukaj w innej plice.

Fouquet raz jeszcze napróżno przeszukał i zbladł.

— Nie upieraj się przy tej szufladzie, może jest gdzieindziej, szukaj.

— Daremnie, ja się nigdy nie mylę, nikt prócz mnie nie rusza tych papierów, i nikt nie otwiera tej szuflady, gdzie, jak widzisz, jest sekretny zamek, a nikt prócz mnie nie zna tego sekretu.

—Cóż stąd wnosisz?... — rzekł Aramis niespokojny.

— Że kwit kardynała Mazariniego skradziono mi. Pani de Chevreuse miała słuszność, kawalerze, ja zmarnotrawiłem fundusze publiczne, skradłem trzynaście miljonów z kasy skarbowej, jestem złodziejem, panie d'Herblay.

— Panie, panie, nie unoś się tak, uspokój się!

— Dlaczegóż nie mam się unosić. Zbrodnia warta jest kary. Wytoczą mi proces, osądzą i twój przyjaciel pan nadintendent pójdzie do Montfaucon połączyć się z swoim towarzyszem Euguerrand de Margini i swoim poprzednikiem Semblancay.

— Oho!... — rzekł Aramis z uśmiechem. — Nie tak to prędko!

— Jakto, nie tak prędko! Cóż myślisz, co pani de Chevreuse zrobiła z listami? Boś ty odmówił ich nabycia, nieprawdaż?

— O tak, odmówiłem zupełnie. Zdaje mi się, że poszła je sprzedać panu Colbertowi.

— A no widzisz więc?

— Mówiłem, że mi się zdaje, ale nawet pewny tego jestem, gdyż, kazawszy ją śledzić, dowiedziałem się, że wyszedłszy odemnie, poszła do siebie, a stamtąd tylnemi drzwiami udała się na ulicę Croix-des-Petits-Champs, do domu intendenta.

— A więc nieuchronną jest rzeczą proces, wstyd, hańba, i wszystko to spada na mnie, jak piorun, ślepo, bezwzględnie i bez litości.

Aramis zbliżył się do drżącego na krześle przy otwartych szufladach Fouqueta, a kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł czułym głosem:

— Nie zapominaj tego, że położenie pana Fouquet nie może być porównane z położeniem Semblancay albo Marigni.

— Mój Boże! Dlaczegóż nie?

— Bo proces tamtych ministrów był ścisłym i wykonanym został wyrok, a względem ciebie nie może to nastąpić!

— Jeszcze jeden cos! dlaczegóż? wszak zawsze i wszędzie wydzierca jest zbrodniarzem.

— Zbrodniarze, którzy umieją znaleźć punkt schronienia, nigdy nie są w niebezpieczeństwie.

— Ja miałbym sie schronić, uciekać?

— Ja o tym nie mówię bynajmniej, ale zapominasz, że tego rodzaju sprawy są wytaczane przez parlament, a wprowadzane przez prokuratora generalnego, ty zaś sam jesteś prokuratorem generalnym. Widzisz więc dobrze, że musiałbyś chyba sam siebie potępić...

— O!... — jęknął Fouquet, uderzając w stół pięścią.

— No, cóż? co takiego?

— A to, że już nie jestem prokuratorem generalnym!

Aramis z kolei zbladł jak ściana, a zaciskając pięście, tak, że aż mu w stawach zatrzeszczały, dzikiem wzrokiem rzucił na Fouqueta.

— Nie jesteś już prokuratorem generalnym?.. — spytał, cedząc przez zęby każdy wyraz.

— Nie!

— Odkądże to?

— Od czterech czy pięciu godzin!

— Uważaj — przerwał zimno Aramis — zdaje mi się, że nie jesteś przy zupełnych zmysłach, mój przyjacielu, uspokój się?

— Powiadam ci — rzekł Fouquet — że niedawno pewien jegomość przyszedł, przysłany przez moich przyjaciół, i ofiarował mi miljon czterysta tysięcy za mój urząd, a ja go sprzedałem.

Aramis zdrętwiał, a jego pojętna i żartobliwa twarz przybrała wyraz ponurego przestrachu, który uczynił większe na nadintendencie wrażenie, niż wszystkie mowy i wykrzykniki na świecie.

— Potrzebowałeś zapewne gwałtownie pieniędzy — rzekł wreszcie.

— Tak, na zapłacenie długu honorowego.

I w krótkich słowach opowiedział wspaniałomyślność pani de Belliere i sposób, w jaki zdawało mu się najstosowniej odpłacić za nią.

— To czyn szlachetny! I kosztuje cię?...

— Właśnie miljon czterysta tysięcy liwrów, to jest, cenę mego urzędu.

— Którą już odebrałeś, bez zastanowienia się! o nierozsądny przyjacielu!

— Jeszcze nie odebrałem pieniędzy, ale jutro odbieram.

— A zatem jeszcze nie skończone?

— Potrzeba to skończyć, gdyż dałem jubilerowi przekaz do mojej kasy na południe, a o szóstej zrana pieniądze od nabywcy tam wpłyną.

— Chwała Bogu — rzekł Aramis, klaszcząc w dłonie — nic jeszcze nie stracone, bo jeszcze nie odebrałeś pieniędzy.

— Ależ jubiler?

— Dostaniesz odemnie ten miljon czterysta tysięcy liwrów o trzy kwadranse na dwunastą!

— Zaczekaj, zaczekaj, ależ tego poranku o szóstej podpisuję umowę.

— O! już ja ci ręczę, że jej nie podpiszesz!

— Dałem na to słowo, kawalerze!

— Jeżeliś je dał, to je cofniesz, oto i wszystko!

— O! co mi to mówisz?... — zawołał Fouquet z wyrazem rzetelnej szczerości — cofnąć słowo, kiedy się nazywa Fouquetem.

Aramis na surowy prawie wzrok Fouqueta odpowiedział wzrokiem wściekłości.

— Panie!.. — rzekł — zdaje mi się, żem zasłużył na nazwisko prawego człowieka, nieprawdaż? w mundurze żołnierza narażałem z pięćset razy moje życie; pod suknią duchowną zrobiłem największe przysługi Bogu, Francji i moim przyjaciołom. Słowo człowieka wyrównywa wartości jego samego. Kiedy go dotrzymuje, staje się czystem złotem, ale kiedy go nie chce dotrzymać, staje się wówczas ostrem żelazem. Broni się wówczas tem słowem, jakby zaszczytną bronią; ma się rozumieć, że kiedy taki człowiek nie dotrzymuje słowa, to musi być w niebezpieczeństwie utraty życia, że więcej wtedy traci, niż przeciwnik jego zyskuje na tym interesie. W takim razie mój panie odwołuję się do Boga.

Fouquet spuścił głowę.

— Jestem — rzekł — prostym nieokrzesanym lecz upartym Bretończykiem, umysł mój podziwia twój, ale się go lęka. Nie mówię, że dotrzymuję mego słowa przez zbytek cnoty, ale do-

trzymuje go (jeżeli chcesz) przez zwyczaj; lecz zresztą my, ludzie pospolici, podziwiamy ten zwyczaj; to moja jedyna cnota, zostawże mi jej zaszczyt.

— A więc podpiszesz jutro sprzedaż tego urzędu, który jedy nie bronił cię od twoich nieprzyjaciół?...

— Podpiszę!...

— I oddasz się im ze związanemi rękami i nogami, dla fałszywego punktu honoru, któryby pierszy lepszy kazuista odrzucił.

— Podpiszę!...

Aramis westchnął, rzucił okiem w około jak człowiek, który szuka czegoś, coby mógł potłuc w kawałki.

— Mamy jeszcze jeden sposób — rzekł — i spodziewam się, że go zechcesz użyć?...

— Zapewne, jeżeli tylko jest prawy!... jak każdy, który mi podajesz, kochany przyjacielu!..

— Nic nie znam więcej prawego, nad odmówienie kupna przez nabywcę. Czy to jest twój przyjaciel?...

— Zapewne.... ale...

— Ale... jeżeli mi pozwolisz tem się zająć, nie tracę nadziei.

— O!... daję ci zupełne prawo!...

— Z kimże układałeś się?.. Co to za człowiek?...

— Nie wiem, czy znasz skład naszego parlamentu?...

— W większej części. Czy to jeden z prezydentów?...

— Nie, zwyczajny radca.

— A!... a!...

— Nazywa się Vanel!...

— Vanel — krzyknął, powstając. — Vanel!... mąż Małgorzaty Vanel.

— Ten sam.

— Twojej dawnej kochanki?...

— Tak... mój kochany, zachciało się jej być prokuratorową generalną. Należało się to biednemu Vanelowi, i zyskuję na tem bo robię przyjemność jego żonie.

Na to Aramis przystąpił do Fouqueta i wziął go za rękę.

— Czy wiesz nazwisko — rzekł z zimną krwią — teraźniejszego kochanka pani Vanel.

— A!... ma nowego kochanka, nie wiedziałem, i na honor nie wiem, jak on się nazywa...

— Nazywasię Jan Chrzciciel Colbert, jest intendentem skarbu, mieszka przy ulicy Croix-des-Petits-Champs, tam, gdzie pani

de Chevreuse zaniosła tego wieczora listy kardynała Mazariniego, chcąc je sprzedać.

— Mój Boże!.. — rzekł Fouquet, ocierając potem zlane czoło — mój Boże!...

— Pojmujesz już więc, nieprawdaż?... zrozumiałeś?...

— Tak!... że jestem zgubiony.

— Czyż nie zdaje ci się teraz, że warto mniej trochę, niż Regulus, być niewolnikiem słowa?...

— Nie!... — rzekł Fouquet.

— Ludzie uparci zawsze tak postępują, aby ich podziwiano!..

Fouquet podał rękę Aramisowi.

W tej chwili bogato ozdobiony zegar wybił godzinę szósta.

Drzwi skrzypnęły w przedpokoju.

— Pan Vanel — rzekł Gourville u drzwi gabinetu — pyta, czy Jaśnie Wielmożny pan zechce go przyjąć!...

Fouquet odwrócił oczy od Aramisa i odpowiedział:

— Prosić pana Vanela.

CXCI

BRULJON PANA COLBERT.

Vanel, wchodząc w chwili rozmowy, był dla Aramisa i Fouqueta wprost punktem który ją kończył.

Ale obecność Aramisa była dla Vanela, bardzo odmiennego znaczenia.

To też nabywca, za pierwszym do pokoju krokiem, zatrzymał na twarzy przebiegłej i surowej biskupa de Vannes, wzrok zdziwiony, który wkrótce zmienił na badawcy.

Co do Fouqueta, tego prawdziwego polityka, to jest pana samego siebie, ten siłą swej woli potrafił zniszczyć na twarzy ślady wzruszenia, wywołanego objaśnieniem Aramisa.

Nie był to już zgnębiony nieszczęściem i przywiedziony do ostateczności człowiek.

Podniósł głowę i śmiało skinął na Vanela, ażeby wszedł.

Był pierwszym ministrem i był w swoim domu.

Aramis znał nadintendenta.

Szlachetność serca i polot jego umysłu nie dziwiły go bynajmniej.

Zostawiając na później wmieszanie się do rozmowy, poprzestał chwilowo na trudnej roli człowieka, patrzącego i słuchającego, ażeby dowiedzieć się i zrozumieć.

Vanel widocznie był wzruszony.

Postąpił aż na środek gabinetu, kłaniając się wszystkim i wszystkiemu.

— Przychodzę... — rzekł.

Fouquet kiwnął głową.

— Jesteś punktualny, Panie Vanel!.. — odrzekł.

— Zdaje mi się, Jaśnie Wielmożny Panie, że w interesach punktualność jest cnotą.

— Tak, panie.

— Przepraszam — rzekł Aramis, wskazując palcem Vanela, a zwracając mowę do Fouqueta, — przepraszam. Nie jestże to ten pan, co chce kupić twój urząd.

— To ja — odpowiedział Vanel, zdziwiony tonem najwyższej dumy, jakim Aramis uczynił to zapytanie. — Ale jakże mam nazywać tego, który zrobił mi zaszczyt...

— Nazywaj mnie pan Jaśnie Wielmożnym — odrzekł sucho Aramis.

Vanel skłonił się.

— Porzućmy, panowie, te ceremonje — wyrzekł Fouquet — przystąpmy do interesu.

— Jaśnie Wielmożny Pan widzi — rzekł Vanel, — że czekam jego rozkazu.

— Przeciwnie, to ja oczekuję — odpowiedział Fouquet.

— Kogo Jaśnie Wielmożny Pan oczekuje?

— Zdawało mi się, że pan chcesz mi coś powiedzieć?

— Oh! oh! — rzekł w duchu Vanel — rozmyślił się!.. zgubiony jestem!

Ale, przybierając odwagę, rzekł:

— Nic Jaśnie Wielmożny Panie, nic, zgoła nic, jestem tylko gotów powtórzyć to; com mówił wczoraj.

— No, powiedz otwarcie, panie Vanel: czy kupno nie jest trochę przytrudne dla ciebie?

— Zapewne, Jaśnie Wielmożny Panie, 1,500,000 liwrów to wielka suma.

— Tak wielka — rzekł Fouquet — że namyśliłem się...

— Namyśliłeś się, Jaśnie Wielmożny Panie — zawołał z żywością Vanel.

— Że może nie jesteś jeszcze w stanie kupić urzędu.

— O! Jaśnie Wielmożny Panie!...

— Uspokój się, panie Vanel, nie będę ci miał za złe niedotrzymanie słowa, bo to prawdziwie zależy od twojej niemożności.

— Przeciwnie, Jaśnie Wielmożny Panie, powinienbyś mieć mnie to za złe, i miałbyś słuszność, bo byłoby to nierozsądkiem, a nawet głupotą, zobowiązywać się do tego, czego nie można dotrzymać; ja zaś zawsze uważałem rzecz umówioną za skończoną.

Fouquet zaczerwienił się, Aramis odchrząknął z niecierpliwości.

— Nie trzeba przesadzać podobnych wyobrażeń mój panie — rzekł nadintendent — gdyż umysł ludzki jest zmienny i pełen drobnych dziwactw, łatwych do wymówienia, a bardzo nawet godnych pożałowania niekiedy, i niejeden, co wczoraj żądał czegoś, po dziś osiągnięcia żałuje.

Vanel uczuł zimny pot, spływający mu po twarzy.

— Jaśnie Wielmożny Panie — wybąknął.

Aramis, widząc nadintendenta, stającego tak zimno do walki, oparł się o stół marmurowy i bawił się małym nożykiem złotym, z rękojeścią malachitową.

Fouquet po chwili rzekł:

— Uważaj, Panie Vanel, chcę ci położenie wyjaśnić. .

Vanel zadrżał. .

— Jesteś dobrze wychowanm człowiekiem, więc zrozumiesz.

Vanel zachwiał się na nogach.

— Wczoraj chciałem sprzedać...

— Jaśnie Wielmożny Pan nie tylko chciał sprzedać — rzekł Vanel — ale już sprzedał!

— Niech i tak będzie. Ale dziś proszę cię, jako o łaskę, ażebyś mi zwrócił słowo, które ci dałem wczoraj.

— To słowo otrzymałem wczoraj — rzekł aVnel, jak nieugięte echo.

— Wiem o tem — odrzekł Fouquet — dlatego też błagam cię, panie Vanel! czy słyszysz? błagam cię, abyś mi zwrócił...

Fouquet zatrzymał się.

Słowa "błagam cię", których nie spostrzegł w tej chwili skutku, słowa te, zanim wyszły, rozdarły mu gardło, przechodząc przez nie.

Aramis ciągle bawiąc się nożem, wytęża wzrok na Vanela, chcąc się nim wedrzeć aż do głębi jego duszy.

Vanel skłonił się.

— Jaśnie Wielmożny Panie — rzekł — jestem bardzo wzruszony zaszczytem, jaki raczysz mi czynić, rozmawiając o interesie skończonym, ale...

— Nie mów żadnego "ale", kochany panie Vanel!

— Niestety, pomyśl, Jaśnie Wielmożny Panie, że przyniosłem pieniądze i to całą sumę.

I otworzył ogromny pugilares.

— Patrzaj Jaśnie Wielmożny Panie — rzekł — oto kontrakt sprzedaży dóbr mojej żony, których dlatego tylko się pozbyłem; weksel jest ważny, opatrzony potrzebnemi podpisami, płatny natychmiast, to gotowe pieniądze, słowem, cały interes zrobiony.

— Mój kochany panie Vanel, niema tak ważnego na świecie interesu, któregoby nie można odstąpić dla zobowiązania.

— Zapewne — pomruknął Vanel.

— Do zobowiązania człowieka, którego zrobisz swoim przyjacielem, panie Vanel.

— Zapewne, Jaśnie Wielmożny Panie.

— A to tym większym przyjacielem, że przysługa jest wielka. No cóż panie! cóżeś postanowił?

Vanel milczał.

Podczas tego Aramis już skończył swoje spostrzeżenia.

Twarz szczupła Vanela, oczy wklęsłe, brwi okrągłe, jak łuki, odkryły biskupowi de Vannes typ skąpca, chciwego zaszczytów.

Działać namiętnością na namiętność było taktyką Aramisa. Widział Fouquet, zwyciężonego, upadającego na duchu, wystąpił więc do walki z nową bronią.

—. Przepraszam — rzekł — Jaśnie Wielmożny Panie, zapomniałeś objaśnić pana Vanel, że jego interesa są wprost przeciwne odmówieniu kupna.

Vanel patrzał z zadziwieniem na biskupa, nie spodziewał się bowiem znaleźć w nim sprzymierzeńca.

Fouquet zatrzymał się także i słuchał biskupa.

— Otóż — rzekł Aramis — pan Vanel, ażeby kupić swój urząd, sprzedał dobra żony, a więc jest i interes znaczny, bo nikt nie zgromadzi tak ogromnej sumy, jak on to uczynił, bez znacznych strat o wielkich trudnościach.

— To prawda — rzekł Vanel, któremu Aramis przenikliwemi oczami wydzierał prawdę z serca.

— Trudności — mówił dalej Aramis — zmieniają się w wydatki, a kiedy się robi interes pieniężny, wydatki zawsze zajmują pierwsze miejsce pomiędzy trudnościami.

— Tak! tak!.. — odrzekł Fouquet, który zaczynał pojmować zamiar Aramisa.

Vanel milczał.

On już zrozumiał.

Aramis spostrzegł tę oziębłość i to uchylanie się od rozmowy.

— Czekaj, obrzydła poczwaro — pomyślał Aramis — udajesz milczka, dopóki się nie dowiesz o sumie, ale, bądź spokojny, sypnę ci taką sumę, że natychmiast się poddasz.

— Ofiaruję natychmiast panu Vanel sto tysięcy talarów — rzekł Fouquet, uniesiony zwykłą hojnością.

Kwota była piękna, książę byłby z takiego zadowolony odstępnego sto tysięcy talarów w owej epoce posagiem było córek królewskich.

Vanel ani się poruszył.

— To łotr — pomyślał biskup — zapewne chce mu się pięciuset tysięcy liwrów.

I dał znak Fouquetowi.

— Możeś więcej na tem stracił, kochany panie Vanel — rzekł nadintendent. — O! pieniądze mają cenę. Tak, zapewne wielką zrobiłeś ofiarę, sprzedając dobra żony. A! gdzie też ja miałem głowę? O! podpiszę ci weksel na pięćset tysięcy liwrów. I jeszcze będę ci z całego serca wdzięcznym.

Vanel nie pokazał ani cienia radości lub chciwości.

Twarz jego była bez ruchu, żaden w niej muskuł nie drgnął.

Aramis rzucił wzrokiem rozpaczy na Fouqueta, a przystępując do Vanela wziął go za kołnierz, tak, jak to czynią ludzie, pewni siebie.

— Panie Vanel — rzekł — ani trudność w sprzedaży dóbr, ani ściągnięcie pieniędzy, ani nic podobnego nie zajmuje cię, ale masz wyższe pomysły, które ja rozumiem, otóż uważaj dobrze moje słowa.

— Dobrze Jaśnie Wielmożny Panie!

I drżał nieszczęśliwy, ogień bowiem oczu biskupa palił go okropnie.

— Daję ci w imieniu nadintendenta nie trzy ani pięćkroć sto tysięcy liwrów, ale miljon, miljon, słyszysz?

I silnie nim wstrząsnął.

— Miljon?... — powtórzył Vanel pobladły.

— Miljon, to w tych czasach znaczy siedemdziesiąt tysięcy liwrów rocznego dochodu.

— No, panie — rzekł Fouquet — tego się nie odmawia. Odpowiedz, czy przyjmujesz?

— Niepodobna — wyjąknął Vanel.

Aramis zacisnął usta i coś nakształt białej chmury powlekło jego twarz.

Można było zgadnąć, że piorun jest w tej chmurze.

Trzymał ciągle Vanela.

— Kupiłeś urząd za miljon pięćset tysięcy, nieprawdaż? Otóż dadzą ci ten miljon pięćset tysięcy, liwrów, więc zyskujesz miljon pięćset za to, żeś widział pana Fouquet i że dotknąłeś się jego ręki. Zaszczyt i zysk zarazem, panie Vanelu.

— Nie mogę — rzekł Vanel ponuro.

— Dobrze — rzekł Aramis, który tak go ścisnął za surdut, że gdy puścił Vanela, ten sam się w tył potoczył. — Dobrze, widzimy jasno, po coś tu przybył.

— O tak! widzimy — rzekł Fouquet.

— Ależ — wyrzekł Vanel, starając się nabrać odwagi, wobec słabości tych dwóch ludzi honorowych.

— Zdaje mi się, że ten łotr podnosi głos — rzekł Aramis tonem rozkazującym.

— Łotr?... — powtórzył Vanel.

— Nędznik, chciałem powiedzieć — wyrzekł Aramis, odzyskując zimną krew.

— Dalej, wyciągnij prędko akt kupna, mój panie, musisz go bowiem mieć w kieszeni przygotowany, jak zbójca pistolet lub sztylet pod płaszczem

Vanel coś pomrukiwał.

— Cicho — krzyknął Fouquet — prędzej! dawaj akt.

Vanel drżący wyciągnął z kieszeni pugilares, a z niego wypadł jakiś papier, kiedy akt podawał Fouquetowi.

Aramis podchwycił go, gdyż poznał pismo.

— Przepraszam!.. — rzekł Vanel — to bruljon aktu!

— Widzę to dobrze — odrzekł Aramis z okrutniejszym uśmiechem, niżby cięcie bicza — widzę i podziwiam, bo ten projekt aktu pisany jest ręką pana Colbert. Patrzaj, Jaśnie Wielmożny Panie.

I podał pismo Fouquetowi, który przekonał się o prawdzie, przeglądając papier, przepełniony mazaninami i wyrazami, dopisanemi na marginesach. Akt ten był żywym dowodem knowań Colberta i odkrył wszystko jego ofierze.

— I cóż?... — rzekł Fouquet.

Vanel zgromiony zdawał się szukać jakiejś dziury, aby się w nią schować.

— Oto!... — rzekł Aramis — gdybyś się nie nazywał Fouquetem, gdyby twój nieprzyjaciel nie nazywał się Colbertem i gdybyś miał tylko do czynienia z tak podłym, jak ten, co tu stoi złodziejem, powiedziałbym ci: zaprzecz!... Taki dowód obala dane słowo. Ale tym ludziom zdawałoby się, że się ich boisz mniejby się lękali ciebie, niż teraz. No podpisz — rzekł, podając mu pióro.

Fouquet ścisnął rękę Aramisa, lecz zamiast aktu, który mu podano, wziął bruljon.

— Jo nie ten, lecz ten papier — rzekł śpiesznie Aramis. — Tamten jest zbyt drogim, abyś go nie miał zachować.

— O nie — odpowiedział Fouquet — ja podpiszę na własnoręcznem piśmie Colberta i piszę! "Poświadczam pismo" — i podpisał.

— Weź to, panie Vanel — rzekł.

Vanel schwycił papier, oddal weksel i chciał uciekać.

— Chwilkę jeszcze — rzekł Aramis. Czy jesteś pewny, że tu jest ta suma? Trzeba to przejrzeć, panie Vanel, a nadewszystko skoro to są pieniądze, które pan Colbert, daje kobietom. O bo też on nie jest tak hojnym jak Fouquet, ten godny pan Colbert.

I Aramis, sylabizując każdy wyraz, każdą literę wekslu przelał swój gniew i pogardę na nędznika który przez kilka minut piekielne cierpiał męki.

Potem kazano mu wyjść, nie słowem, lecz poruszeniem ręki, jak się odprawia godnego wzgardy człowieka.

Przez chwilę po wyjściu Vanela, minister i biskup, patrząc sobie w oczy, milczeli.

— I cóż — rzekł Aramis, przerywając pierwszy milczenie — do czego przyrównasz człowieka, który mając się potykać z uzbrojonym przeciwnikiem zawziętym, występuje do walki bezbronny, przesyłając uprzejmie całusy przeciwnikowi. Dobra wiara jest bronią, panie Fouquet, której często zbrodniarze przeciw ludziom zacnym używają, i to im się udaje.

Ludzie zacni powinniby używać także nieszczerości przeciw łotrom. A zobaczyłbyś, jak byliby wtedy silnymi, nie przestając być uczciwymi.

— Ale czyny ich nazywanoby czynami nikczemników!.. — rzekł Fouquet.

— Bynajmniej, nazywanoby to wybrykiem poczciwości. Zresztą, ponieważ skończyłeś z Vanelem ponieważ pozbawiłeś się szczęścia pognębienia go odwołaniem słowa i ponieważ dałeś mu przeciw sobie jedyną broń, która ciebie mogła zgubić...

— O! mój przyjacielu — rzekł Fouquet, ze smutkiem — jesteś jak ów nauczyciel filozof, o którym kiedyś opowiadał nam La Fontaine, widział on, że dziecko tonie, a zaczynał do niego mowę, z trzech części złożoną.

Aramis uśmiechnął się.

— Filozof uczynił tak; ale ty zobaczysz, że to dziecię będzie uratowane. Teraz pomówmy o interesie.

Fouquet spojrzał nań z zadziwieniem.

— Zdaje mi się, że powierzyłeś mi kiedyś projekt zabawy w Vaux?

— O!... — rzekł Fouquet — to było za dobrych czasów.

— Zabawa, na którą, jak mi się zdaje, król sam się zaprosił.

— Nie, mój kochany, zabawa, na którą Colbert poradził królowi, aby się zaprosił.

— A! tak, a że to być miała kosztowna zabawa, uczynił to pewno, abyś się na nią zniszczył.

— Tak właśnie. Za dobrych czasów, jak ci mówiłem, miałem tą dumę, iż pokazywałem nieprzyjaciołom obfitość moich środków; miałem to sobie za honor nastraszyć ich, tworząc miljony tam, gdzie oni spodziewali się znaleźć bankructwo. Ale dziś rachuję się z państwem, królem i z sobą samym, dziś staję się skąpcem i potrafię dowieść światu, że umiem obejść się z groszem jak i z workami pistolów, i od jutra moje powozy będą sprzedane, domy zastawione, wydatki zmniejszone...

— Od jutra, kochany przyjacielu — rzekł spokojnie Aramis — zajmiesz się bez zwłoki urządzeniem zabawy w Vaux, która kiedyś powinna być wspominaną, jako najwspanialsza z twoich zabaw wydanych za dobrych czasów.

— Oszalałeś, kawalerze d'Herblay!

— Ja? bynajmniej.

— A wiesz, co kosztować będzie najskromniejsza w świecie zabawa w Vaux? Oto, cztery albo pięć miljonów.

— Ja ci nie mówię o najskromniejszej w świecie, kochany nadintendencie.

— Ale, ponieważ zabawa ta dana będzie dla króla — rzekł Fouquet, nie pojmując myśli Aramisa — nie może więc być skromną.

— Naturalnie, że powinna być najokazalszą.

— A więc wydam dziesięć do dwunastu miljonów.

— Wydasz dwadzieścia, jeżeli potrzeba — rzekł bez wzruszenia Aramis.

— Ale skądże ich wezmę?... — zawołał Fouquet.

— To do mnie należy, mości nadintendencie, nie turbuj się o to. Pieniądze prędzej będą do twego rozporządzenia, niżeli ułożysz plan tej zabawy.

— Kawalerze! kawalerze!.. — rzekł Fouquet, któremu się w głowie kręciło — dokąd mnie ciągniesz?

— Na drugą stronę przepaści, w którą wpaść miałeś — odpowiedział biskup Vannes — uczep się mego płaszcza i nie bój się niczego.

— Czemużeś mi tego nie powiedział pierwej. Był dzień w którym jednym miljonem mogłeś mię zbawić, a dziś...

— Dziś wydam dwadzieścia!... — rzekł biskup. — Niech tak będzie, ale w dniu, o którym mówisz mój przyjacielu, nie miałem miljona do rozporządzenia; dziś łatwo będę miał dwadzieścia, jeżeli zapotrzebuję.

— Niech cię Bóg wysłucha, a mnie wybawi.

Aramis dziwnie się uśmiechnął.

— Bóg mię zawsze wysłucha — rzekł — to zależy może od tego, że go proszę bardzo wysoko.

— Polegam na tobie w zupełności — rzekł Fouquet.

— O nie, przeciwnie, to ja się zdaję na ciebie. Dlatego też ty, co masz umysł delikatny i wynalazczy, urządzisz zabawę aż do najmniejszych szczegółów, tylko...

— Tylko!... — rzekł Fouquet, jako człowiek przyzwyczajony do ocenienia zastrzeżeń.

— Tobie zostawiam cały pomysł szczegółów ale dla siebie zostawiam dozór nad ich wykonaniem.

— Jakto?...

— Mówię, że zrobisz ze mnie w tym dniu niby majordoma, wyższego intendenta, rodzaj factotum, który niby będzie dowódcą straży i gospodarzem. Służba pójdzie dobrze, klucze ode drzwi będą u mnie, wprawdzie będziesz wydawał rozkazy, ale mnie będziesz je dawał, a przez moje dopiero usta dojdą do właściwego przeznaczenia, rozumiesz?...

— Nic nie rozumiem!...

— Ale zgadzasz się?...

— Całem sercem, mój przyjacielu!...

— Tego tylko nam potrzeba. Dziękuję ci więc, a teraz zajmij się listą zaproszonych.

— A kogoż mam zaprosić?...

— Wszystkich.

CXCII

AUTOR SPOSTRZEGA, ŻE CZAS JUŻ WRÓCIĆ DO WICEHRABIEGO DE BRAGELLONE.

Czytelnicy nasi widzieli w tej powieści jednocześnie rozwijające się wypadki teraźniejszego i przeszłego pokolenia.

Dla jednych z chwałą przeszłych czasów, z wspomnieniem doświadczeń bolesnych.

Dla innych znowu spokój, napełniający serce, dozwalał spokojnie krwi krążyć około blizn, które kiedyś okrutnemi były ranami.

Dla innych jeszcze były walki, miłości, egoizm, gorzkie smutki i nieopisane pociechy.

Jeżeli otóż jaka rozmaitość powstała w oczach czytelnika przy epizodach tej powieści, przyczyną tego jest podwójny odcień wypadków, które tu dają się widzieć.

Dwa bowiem obrazy następują tu razem, mieszając się i zlewając w jeden ton surowy i wesoły.

Spoczynek po wzburzeniach znajdują jedni na łonie wzruszeń drugich.

Pomówiwszy poważnie ze starcami, można rozweselić się z młodzieżą.

Dlatego też jeżeli wątek tej powieści nie wiąże ściśle rozdziału poprzedniego z rozdziałem niniejszym, nie więcej tem będziemy zakłopotani, niż suysdael, chcący odmalować niebo jesieni, gdy już odmalował niebo wiosenne.

Prosimy więc czytelnika, aby, podobnie czyniąc, połączył się z Raoulem de Bragellone, w miejscu gdzie go pozostawił nasz szkic ostatni.

Oburzony, przestraszony, zrozpaczony, a raczej oszalały, bez woli siły, nic nie postanowiwszy, wybiegł, ujrzawszy pamiętną scenę w pokoju La Valliere.

Król, Montalais, Ludwika w jednym pokoju, boleść Ludwiki, przestrach Montalais, gniew króla, wszystko to zapowiadało mu nieszczęście.

Lecz jakie?

Przybywszy z Londynu, gdzie mu oznajmiono o niebezpieczeństwie, znalazł już na pierwszym kroku jego zapowiedź.

Czyż nie dość tego było dla jego miłości?

Zapewne!

Ale nie dosyć było dla serca szlachetnego dumnego z zaufania, dla człowieka tak, jak on prawego.

Pomimo to Raoul nie szukał objaśnień tam, gdzie zwykle szukają albo zazdrośni kochankowie lub bojaźliwi mężowie.

Nie powiedział swojej narzeczonej: "Ludwiko! czy już mnie nie kochasz? Ludwiko! czy kochasz innego?"

Jako człowiek, pełen odwagi, pełen miłości i przyjaźni, niewolnik danego słowa, i wierzący słowu innych, Raoul rzekł do siebie: de Guiche musi coś wiedzieć, spytam go, co wie, i opowiem mu com sam widział.

Droga nie była daleką, de Guiche od dwóch dni przeniesiony z Fontainebleau do Paryża, wracał do zdrowia i mógł już chodzić trochę po pokoju.

Krzyknął z radości, spostrzegłszy Raoula, wpadającego do pokoju.

Raoul krzyknął z boleści, widząc Guicha, bladego, wynędzniałego, smutnego.

Dwa słowa i poruszenie, które Guiche uczynił, aby usunąć rękę Raoula, wystarczyły temu do zrozumienia, co się stało.

— Więc tak!... — rzekł Raoul, siadając obok swego przyjaciela — kochamy się i umieramy.

— Nie, nie, nie umieramy — odpowiedział Guiche, z uśmiechem, — bo już chodzę i mogę cię uścisnąć.

— Aha!... pojmuję!

— I ja ciebie pojmuję, wystawiasz sobie Raoulu, że jestem nieszczęśliwym.

— Niestety!

— Przeciwnie!... jestem najszczęśliwszy z ludzi. Ciało tylko cierpi, ale ani serce, ani dusza. O!... jestem najszczęśliwszy!

— Tem lepiej — odrzekł Raoul — byle szczęście to było trwałem.

— To już skończone, na całe życie jestem szczęśliwym Raoulu!

— O tobie nie wątpię, ale ona...

— Słuchaj, przyjacielu!... kocham ją... dlatego. Ale ty mnie nie kochasz?

— I owszem.

— Jesteś pomieszany!

— Naturalnie, najprzód zdrowie twoje...

— Toż nie to.

— Mój drogi, zdaje się, że nie wypada, abyś ty mnie wypytywał, ty.

I to ty wymówił w sposób znaczący.

— Mówisz mi to tak do mnie, Raoulu, dlatego, żem do ciebie pisał.

— No, tak... Czy chcesz, ażebyśmy o tem pomówili dopiero, gdy mi opowiesz twoje szczęście i cierpienia.

— Kochany przyjacielu!... najprzód mówmy o tobie.

— Dziękuję ci za to, bo to pali mnie. Przybyłem z Londynu o połowę prędzej, niż kurjerzy gabinetowi. Czegóż więc chciałeś?

— Tego tylko, przyjacielu, ażebyś wrócił.

— Więc jestem!

— To dobrze.

— Zdaje mi się, że o coś jeszcze innego chodzi?

— Nie.

— De Guiche!

— Na honor!

— Nie wyrywałbyś mnie tak gwałtownie z nadziei, nie wystawiałbyś mię na niełaskę króla przez powrót, który jest przekroczeniem jego rozkazów, nie wlałbyś mi zazdrości do serca... tego węża ażeby potem powiedzieć: "Wszystko dobrze, śpij spokojnie."

— Ja ci też nie mówię, śpij spokojnie, Raoulu, ale chciej pojąć mię dobrze. Ani chcę, nie mogę co innego ci powiedzieć.

— O!... przyjacielu za kogóż mnie bierzesz?...

— Jakto?

— Jeżeli wiesz coś, dlaczegóż taisz?... jeżeli nie wiesz, na cóż mię ostrzegasz?

— To prawda, zbłądziłem i żałuję tego bardzo; tak się to zdaje, że to nic napisać do przyjaciela: — wracaj... Ale mieć przed oczyma, czuć go drżącego dyszącego w oczekiwaniu wyrazu, którego powiedzieć mu nie śmie się wcale!...

—Ośmiel się!... Ja mam serce, jeżeli tobie go braknie — krzyknął Raoul, w rozpaczy.

— Widzisz, jak jesteś niesprawiedliwym. I zapomniałeś, że masz do czynienia z biednym rannym... Z połową twojego serca... No, uspokój się!... Powiedziałem ci: "Przybywaj". Przybyłeś, nie pytaj o więcej nieszczęśliwego Guicha.

— Pisałeś, ażebym przybył, w nadziei, że sam zobaczę?... nieprawdaż?

— Ale...

— Nie wahaj się... widziałem.

— A... — wyrzekł Guiche.

— Albo przynajmniej zdawało mi się...

— Widzisz, że sam wątpisz, a jeżeli wątpisz, cóż mnie pozostaje uczynić?

— Widziałem La Valliere pomieszaną... Montalais także... króla...

— Króla?

— Tak. Odwracasz głowę, a więc tam jest to złe, to nieszczęście: nieprawdaż, że to król?

— Ja nic nie mówię!

— Owszem, mówisz tysiąc razy więcej. Ale cóż zaszło?... Na Boga i przez litość, co się stało, mój przyjacielu, mój jedyny przyjacielu, mów. Serce moje tak zakrwawione, umrę z rozpaczy.

— Jeżeli tak, kochany Raoulu — odpowiedział Guiche — powiem ci, bo pewny jestem, że, przedstawie tylko rzeczy, pocieszające w porównaniu z rozpaczą, jaką w tobie widzę.

— Słucham!... słucham!...

— A zatem mogę ci powiedzieć — rzekł Guiche — o czem mógłbyś się z ust pierwszego lepszego dowiedzieć.

— Pierwszego lepszego!... To już mówią o tem?... — krzyknął Raoul.

— Zanim powiesz: "mówią o tem", trzeba wiedzieć, mój przyjacielu, o czem mówią. Przysięgam ci, że nie mówią o niczem więcej tylko o rzeczy bardzo w gruncie niewinnej, ot może o przechadzce...

— A!... przechadzce z królem?

— Ależ naturalnie z królem, ale przecie król nieraz przechadza się z damami, a nic jednak...

— Gdyby ta przechadzka nie miała w sobie nic szczególnego, nie napisałbyś do mnie!

— Wiem, że w czasie burzy dogodniej było królowi schronić się gdzieindziej, niż stać z odkrytą głową przed panną La Valliere, lecz...

— Lecz?...

— Król jest tak grzeczny!

— O!... de Guiche, o śmierć mię przyprawiasz!

— A więc nie mówmy o tem.

— O nie!... mów dalej. Po tej przechadzce zapewne nastąpiły inne?...

— Nie... to jest tak... był tam jakiś wypadek pod dębem, czy coś podobnego, ja już nie wiem!...

Raoul powstał.

Guiche starał się go także naśladować pomimo osłabienia.

— Otóż — rzekł — nie dodam ani słowa więcej. Albo za wiele, albo za mało powiedziałem. Inni niech cię objaśnią, jeżeli chcą, albo mogą. Moim obowiązkiem było ostrzedz ciebie, i to uczyniłem. Teraz sam pilnuj swoich spraw.

— Wypytywać!... niestety!... jeżeli to mi doradzasz, nie jesteś moim przyjacielem, — wyrzekł młodzieniec w rozpaczy — każdy któregobym się spytał, będzie albo głupiec, albo złośliwy złośliwy będzie zmyślał, aby mię udręczyć, głupiec jeszcze gorzej. A!... de Guiche, de Guiche, zanim dwie godziny upłyną, dziesięć kłamstw mi powiedzą, a stąd dziesięć wyniknie

pojedynków. Oszczędź mi tego!... Czyż nie lepiej dowiedzieć się o złem odrazu.

— Ależ powiadam ci, że ja nie wiem. Byłem ranny, miałem gorączkę, byłem nieprzytomny, nie pamiętam więc nic. Ale, ale, szukamy, gdzieś daleko, a mamy pod ręką... Czyż pan d'Artagnan nie jest twoim przyjacielem?

— A prawda!... prawda!...

— Pośpiesz do niego. On cię oświeci, nie rażąc tem światłem twych uczuć.

Służący wszedł.

— Cò tam?... — spytał Guiche.

— Czekają na pana hrabiego w gabinecie.

— Pozwolisz!... kochany Raoulu. Nie mogę się nacieszyć, że już mogę chodzić!

— Gdybym się nie domyślał, że odwiedzającą osobą jest kobieta, podałbym ci rękę.

— Zdaje mi się, że tak — rzekł Guiche z uśmiechem.

I wyszedł.

Raoul pozostał nieruchomy, zamyślony, zgnębiony, jak górnik, na którego sklepienie kopalni zawaliło się, a on skaleczony, krwią zlany, stara się myślą przyjść do siebie i chce unieść życie i resztki przytomności.

Kilka minut wystarczyło Raoulowi, ażeby wrócić do przytomności po tych dwóch odkryciach, i już się cokolwiek uspokoił gdy wtem zdawało mu się, że poznaje głos Montalais w gabinecie.

— To ona!... — wykrzyknął. — Tak, to jej głos. O!.. ta kobieta mogłaby mi powiedzieć prawdę, ale czyż mogę ją tu zapytywać?... Kiedy unika mnie nawet, zapewne przysłana tu jest przez księżnę. Ale pójdę do jej mieszkania, tam wytłumaczy mi swój przestrach, ucieczkę, niezręczność, z jaką starano się mnie pozbyć, wszystko mi to opowie... skoro tylko pan d'Artagnan, który o wszystkiem wie, doda mi serca... Księżna! to kobietka!... Ale, chociaż zalotna, ma swoje chwile, w których kocha... kokietka... ma ona, jak życie lub śmierć, swe kaprysy, ale ona przecie sprawiła, że Guiche uważa się za najszczęśliwszego z ludzi. On przynajmniej szczęśliwy. Ha!... idźmy.

Wybiegł z mieszkania hrabiego, a wyrzucając sobie, że w rozmowie z Guichem, siebie jedynie miał na celu, przybył do d'Artagnana.

CXCIII

BRAGELLONE NIE USTAJE W BADANIACH

Kapitan był na służbie.

Siedział w krześle, obitem skórą, ostrogami, oparty o podłogę, ze szpadą między nogami, czytał odebrane listy i pokręcał wąsy.

D'Artagnan krzyknął z radości, spostrzegając syna swego przyjaciela.

— Raoulu, mój chłopcze — rzekł — a to jakim sposobem?.... Czy król cię odwołał?...

Słowa te źle zabrzmiały w uszach młodzieńca, który, też siadając, odpowiedział:

— Na honor nie wiem, i to tylko wiem, żem wrócił.

— Hm!... — mruknął d'Artagnan, składając listy i wpatrując się w Raoula. — Cóż mi to mówisz, chłopcze? król cię nie odwołał, a tyś wrócił. Ja tego dobrze nie rozumiem.

Raoul zbladł i gniótł kapelusz w ręku, z miną niezadowoloną.

— Cóż tam, do djabła, za miny stroisz, jakaż to rozmowa niema? Czy to w Anglji tego się nauczyłeś? Do djabła, toć i ja tam byłem, a przecież wróciłem wesół jak ptak. No, będziesz mówił, hę?

— Mam wiele do mówienia!

— A! a! Jakże się ma twój ojciec?

— Wybacz, kochany przyjacielu, ale właśnie ciebie chciałem o to zapytać!

D'Artagnan podwoił bystrość wzroku, przed którym nic się nie ukryło.

— Masz jakieś zmartwienie? — rzekł.

— Przecież wiesz o niem dobrze, panie d'Artagnan.

— Ja?

— Bezwątpienia! nie udawaj zdziwionego.

— Nie udaję, mój przyjacielu.

— Kochany kapitanie! Wiem aż nadto dobrze, że w wyższości umysłu i sile daleko wyższy jesteś odemnie. A w tej chwili ja jestem głupi i bezsilny. Nie mam ani głowy, ani ręki, nie pogardzaj mną, lecz dopomóż mi ja jestem najnędzniejszy ze wszystkich żyjących istot na świecie.

— Ho! ho, a to dlaczego? — spytał d'Artagnan, odpinając szpadę i osładzając uśmiech.

— Bo panna La Valliere mnie oszukuje.

Twarz d'Artagnana nie zmieniła się.

— Oszukuje cię! oszukuje! to wielkie słowo! Któż ci to powiedział?

— Wszyscy.

— Ha! jeżeli wszyscy ci to mówią, to musi być coś w tem prawdziwego. Ja kiedy spostrzegę dym, zawsze wierzę, że się gdzieś pali. Jestto śmieszne, ale taka moja natura.

— A więc i ty wierzysz? — zawołał żywo Bragellone.

— A! jeżeli chcesz mnie wyciągnąć na słówka...

— Bezwątpienia!

— Wiesz dobrze, że ja się w podobne sprawy nie mieszam.

— Jakto? nie chcesz tego pan uczynić dla przyjaciela! dla syna!...

— Tembardziej, bo gdybyś był dla mnie obcy, powiedziałbym.. e, nicbym ci nie powiedział!... Cóż nie wiesz, jak się ma Portos?

— Panie — rzekł Raoul, ściskając go za rękę — w imię tej przyjaźni, która cię łączy z moim ojcem...

— A, do licha! jesteś bardzo chory... na ciekawość.

— To nie ciekawość! lecz miłość!

— Doskonale, znowu szumne słowo. Gdybyś był prawdziwie zakochany, byłoby to wcale inaczej.

— Co chcesz przez to rozumieć?

— Ja powiadam ci, że, gdyby miłość twoja była tak silną... Ale to niepodobna.

— Ależ mówię ci, że kocham się w Ludwice nad życie!

D'Artagnan bystrym wzrokiem przeniknął serce Raoula do głębi.

— Niepodobna powiadam ci: jesteś, jak wszyscy młodzi ludzie, nie zakochany, ale szalony.

— A choćby i tak było?

— Człowiek rozsądny nigdy nie uleczy przewróconej głowy. W życiu mojem sto razy próbowałem tego, a zawsze napróżno. Będziesz mię słuchał, ale nie usłyszysz a jeżeli usłyszysz, nie zrozumiesz; a jeżeli zrozumiesz, to nie posłuchasz.

— O! spróbuj pan, spróbuj...

— Więcej jeszcze powiem, gdybym był tak nieszczęśliwym i wiedział cokolwiek, a tak głupim, ażebym ci miał powiedzieć!... Jesteś, jak mówisz moim przyjacielem?

— O! tak.

— Dobrze! to pewno poróżnilibyśmy się. Bo tybyś mi nigdy nie przebaczył, żem zniszczył twoje złudzenia, jak wy to nazywacie w miłości.

— Panie d'Artagnan! pan wiesz o wszystkiem, a zostawiasz mię w niepewności, w rozpaczy, chcesz mojej śmierci, to okropne.

— La, la, la...

— Wiesz pan, że nigdy nie szukam kłótni. Ale ponieważ ojciec mój i Bóg nie przebaczyliby mi nigdy, gdybym sobie odebrał życie, pójdę i zapytam pierwszego lepszego, o to, co przedemną zakrywasz, i zarzucę mu kłamstwo!...

— I zabijesz go! wielka rzecz! a cóż to ma mnie obchodzić! Zabij, mój chłopcze, zabij, jeżeli ci to sprawia przyjemność. To tak, jak ludzie, którzy, cierpiąc na zęby, mówią mi: O! jak cierpię, gryzłbym nawet żelazo, a ja im opowiadam: gryźcie, moi przyjaciele, gryźcie, ale zęby na tem zostawicie.

— Ja nie zabiję nikogo! — rzekł Raoul ponuro.

— Tak! tak, wszyscy wy, młodzi, jedną piosnkę śpiewacie! dasz się zabić, nieprawdaż? jak to będzie pięknie, jak cię będę żałował, powtarzając dzień cały: Cóż to za głupiec ten Bragellone, co za głupiec! Pół życia strawiłem, ażeby go nauczyć robienia szpadą, a ten cymbał dał się wsadzić na rożeń, jak ptak jaki. Nie wiem, kto cię uczył logiki, ale niech mię djabli porwą, jak mówią Anglicy, ten człowiek, mój panie, skradł pieniądze twojemu ojcu.

Raoul ukrył twarz w ręce, mówiąc zcicha:

— Nie mam już przyjaciół! nie!

— Aha! — rzekł d'Artagnan.

— Są tylko szydercy lub obojętni.

— Banialuki! Chociaż jestem Gaskończykiem, nie jestem szydercą. A gdybym był obojętnym, pewno już od kwadransa po-

słałbym cię do wszystkich djabłów, bo najbardziej wesołego zrobiłbyś smutnym, a smutnego pewnobyś umorzył. Jakto młodzieńcze, chcesz, ażebym cię odstręczył od twojej ukochanej i nauczył cię nie cierpieć kobiet które są zaszczytem i szczęściem życia ludzkiego.

— Panie, powiedz mi, powiedz!... a błogosławić cię będę!

— E, mój kochany! czyż myślisz, że ja pamiętam wszystkie te zdarzenia ze stolarzem, malarzem, schodami i sto tym podobnych.

— Stolarz?... Co znaczy ten stolarz?

— Na honor, nie wiem: powiadano mi, że stolarz wyrznął dziurę w podłodze.

— U La Valliere!

— A, nie wiem gdzie.

— U króla?

— Dobryś!... gdyby to było u króla, myślisz, żebym ci o tem powiedział?

— U kogóż więc?

— Godzinę już męczę się powtarzając ci, że nie wiem!

— A ten malarz?... ten portret...

— Zapewne król kazał odmalować portret jednej z dam dworu!

— Panny La Valliere!

— Ty tylko to nazwisko masz w ustach!.. któż ci mówił o La Valliere!

— Jeżeli nie o niej mowa, cóż mnie to ma obchodzić?

— Ja też nie chcę, ażeby cię to obchodziło! Pytasz mię, a ja ci odpowiadam. Chcesz dowiedzieć się historyjek, opowiadam ci je, a ty zrób sobie z niemi, co chcesz!

Raoul uderzył się w głowę z rozpaczą.

— A!... to śmierci się równa!... — zawołał.

— Jużeś mi to powiedział.

— Prawda, masz słuszność.

I postąpił ku drzwiom, jakby chciał wyjść.

— Dokąd idziesz? — rzekł d'Artagnan.

— Chcę zobaczyć kogoś, kto mi powie prawdę!

— Któż taki?

— Kobietę!

— Panna de La Valliere, nieprawdaż? — rzekł d'Artagnan z uśmiechem — wiesz, doskonały masz pomysł, szukasz pociechy

i zaraz ją znajdziesz. Bo pewno panna sama o sobie nic złego nie powie.

— Mylisz się; panie — odpowiedział Raoul — kobieta, do której się udam, wiele powie mi złego.

— Założę się, że to Montalais?

— Tak, to Montalais.

— A, mój, przyjacielu, w podobnem zdarzeniu ta kobieta przesadzi ci dobre lub złe. Nie zaczepiaj Montalais, mój Raoulu!

— Chyba nie dla tej przyczyny odradzasz mi Montalais.

— Prawda, przyznaję. Zresztą pocóż mam z tobą drażnić się, jak kot z myszą. Żal mi cię doprawdy. I jeżeli żądam, ażebyś nie mówił teraz z Montalais, to jedynie dlatego, że musiałbyś wydać swoją tajemnicę, a możeby jej nadużyto. Zaczekaj, jeżeli możesz.

— Nie mogę!

— Tem gorzej, widzisz, mój drogi, gdybym to ja miał jaki projekt... ale nie mam żadnego.

— Przyrzecz mi pan tylko, że mię będziesz żałował!... to wystarczy, a pozwól mi samemu wyjść z tego kłopotu!

— O tak, zapewne, i webrnąć w błoto po uszy, ale wiesz co, siadaj tu przy stoliku i weź pióro!...

— Do czego?...

— Napisz do Montalais, prosząc ją, ażeby się zobaczyła z tobą.

— A!... — krzyknął Raoul, chwytając pióro, które mu kapitan podał.

W tejże chwili drzwi się otworzyły i jeden z muszkieterów zbliżył się do d'Artagnana.

— Kapitanie — rzekł — panna Montalais jest tu i chce z panem mówić.

— Ze mną — mruknął d'Artagnan. — Niech wejdzie, a przekonam się, czy to ze mną chce mówić.

Przebiegły kapitan zgadł.

Montalais, wchodząc i spostrzegając Raoula, krzyknęła.

— Pan, pan, o!... przebacz mi, panie d'Artagnan.

— Przebaczam ci, pani, gdyż wiem, że w moim już wieku, tym, którzy mnie szukają, muszę być bardzo potrzebny.

— Ja szukałam pana de Bragellone — rzekła Montalais.

— Jak się to dobrze złożyło, bo właśnie on szuka pani. Raoulu!... czy nie chciałbyś pójść z panią?...

— Z całego serca.

— Idź więc.

I wypchnął zlekka Raoula z gabinetu.

Potem, biorąc za rękę Montalais, rzekł:

— Chciej pani być dobrą i oszczędzaj ich oboje!...

— A!... — odpowiedziała — to nie ja będę z nim rozmawiała.

— Jakto?...

— Księżna kazała go szukać!...

— Doskonale — rzekł d'Artagnan — skoro tak, ręczę, że za godzinę chłopak będzie uleczony.

— Albo umrze — odrzekła Montalais z politowaniem. — Do widzenia, panie d'Artagnan.

I pobiegła do Raoula, który oczekiwał na nią w drugim pokoju bardzo niespokojny i ciekawy rozmowy, która mu nie obiecywała nic dobrego.

Kochankowie bardzo są czuli dla wszystkich tych, którzy bliżej obchodzą ich ukochane.

Zaledwie też Montalais zbliżyła się, Raoul serdecznie ucałował jej ręce.

— No, no — rzekła ze smutkiem dziewica. — Pocałunki te stracone są, jak kapitał, źle umieszczony, kochany panie Raoulu, gdyż nawet nie przyniosą ci procentu.

— Jakto?... Co?... wytłumacz mi to, kochana Auroro?...

— Księżna wszystko to wytłumaczy, gdyż do niej prowadzę pana.

— Co!...

— Cicho!... i nie patrz na mnie pan tak dziwacznie. Tu okna mają oczy, a mury długie uszy. Zrób mi pan tę przyjemność i nie patrz na mnie a rozmawiaj głośno o deszczu, o pogodzie, o zabawach w Anglji.

— Ależ!

— Ależ! uprzedzam pana, że księżna gdziekolwiekbądź albo na nas patrzy, albo podsłuchuje. A mnie to bardzo obchodzi, ażebym nie była albo wypędzoną, albo zamkniętą w Bastylji, rozmawiajmy więc... albo lepiej nic nie mówmy.

Raoul zacisnął pięście, wyprostował się i przybrał minę człowieka, idącego na męki.

Montalais z głową wzniesioną, okiem wesołem, krokiem lekkim, poprzedzała go najobojętniej.

Raoul został natychmiast wprowadzony do gabinetu księżny.

— Jestem pewny — pomyślał sobie — że cały dzień zejdzie, a ja się nie dowiem niczego. De Guiche za wiele ma litości nademną, porozumiał się z księżną, i oboje przez przyjaźń dla mnie oddalają rozwiązanie tej zagadki. O! Dlaczegoż nie mam pod ręką jakiego nieprzyjaciela, naprzykład tego de Wardes! Choć wiem, onby mnie kąsał, jednak już nie wahałbym się; wahać się, wątpić... to lepiej umrzeć!...

Raoul stanął przed księżną.

CXCIV

DWA UCZUCIA ZAZDROŚCI.

Henrjetta, piękniejsza niż kiedykolwiek, siedziała wpół leżąco na aksamitnych bogato haftowanych poduszkach, i bawiła się z małym kotkiem, który, to niby gryząc jej palce, to skacząc, czepiał się pazurami za fryzkę jej kołnierza.

Księżna była zamyślona i to głęboko zamyślona, tak, że potrzeba aż odezwania się Montalais i Bragellona, aby wyrwać ją z tego zadumania.

— Wasza Wysokość kazałaś mi się stawić!... — powtórzył Raoul.

Księżna poruszyła głową, jakby się ze snu budziła.

— Dzień dobry, panie de Bragellone — rzekła — wróciłeś więc z Anglji?

— Na usługi Waszej Królewskiej Wysokości.

— Dziękuję. Zostaw nas samych, Montalais.

Montalais wyszła.

— Wszak możesz mi poświęcić kilka minut, panie de Bragellone?

— Całe życie moje należy do Waszej Królewskiej Wysokości — odpowiedział z uszanowaniem Raoul, zgadując, pod pozorami tej szczególnej grzeczności księżny, coś bardzo ponurego, a ponurość ta nie była mu niemiłą, bo przekonany był, że zachodzi niejakie powinowactwo między uczuciami jego i uczuciami księżny.

I w istocie, dziwaczny charakter tej księżny, a wszyscy ludzie rozsądni ze dworu znali jej dziwaczne usposobienie, mógł mu nasunąć to przekonanie.

Księżnie nadzwyczaj pochlebiły hołdy królewskie, księżna dała powód do mówienia o sobie i natchnęła królowę śmiertelną zazdrością, która jest robakiem, toczącym najwyższe szczęście kobiety; słowem księżna, aby uleczyć zranioną dumę, stworzyła w sobie serce kochające.

Wiemy już, co uczyniła, aby odwołać Raoula, oddalonego przez Ludwika XIV-go.

List jej do Karola II-go nie był Raoulowi wiadomym, ale domyślił się tego d'Artagnan.

Któż wytłumaczy nam tę mieszaninę miłości i próżności, czułości nieograniczonej i niezmierzonej chytrości.

Nikt! nawet zły duch, zapałający pochodnię próżności w sercu kobiety.

— Panie de Bragellone — odezwała się księżna po chwili milczenia — czyś wrócił zadowolony?

Bragellone spojrzał na księżnę i zauważył jej bladość.

— Zadowolony!... — rzekł — a z czegóż miałbym być zadowolony lub niezadowolonym?

— Z tego, z czego może być zadowolony lub niezadowolony mężczyzna w twoim wieku i twojej postaci.

— Jakże ona prędko kieruje rozmowę — pomyślał Raoul z przestrachem. — Co też ona o niej mi powie?

I przestraszony tem, czego się miał dowiedzieć, i chcąc oddalić jeszcze chwilę, tak pożądaną, lecz zarazem tak okropną, w której się wszystkiego dowie, rzekł:

— Pani, zostawiłem przyjaciela zdrowego, a za powrotem znajduję chorego.

— Czy pan mówisz o hrabi de Guiche?.. — rzekła Henrjeta z zadziwiającym spokojem. A! słyszałam, że to pański wielki przyjaciel?

— Tak, pani!

— A tak, prawda, raniony był, ale ma się już lepiej. O! pan de Guiche nie jest tak nieszczęśliwy — rzekła prędko.

Lecz wnet, poprawiając się, dodała:

— Czy jest nieszczęśliwym, czy uskarżał się, czy ma jakie zmartwienie, o którembyśmy nie wiedzieli?

— Nie, pani, mówię tylko o ranach!

— To co innego, bo zresztą pan de Guiche wydaje się bardzo szczęśliwym i zawsze jest w wesołym humorze wiesz co, panie de Bragellone, mnie się zdaje, że wolałbyś mieć tak, jak on ranę w ciele! Bo zresztą cóż to znaczy taka rana?

— Znowu swoje zaczyna — pomyślał — niestety!

Nic nie odpowiadał.

— Co pan mówisz?... — rzekła.

— Ja, nic nie mówiłem!

— Nic nie mówiłeś? nie zgadzasz się przeto ze mną? A więc musisz być szczęśliwym?

Raoul zbliżył się.

— Wasza królewska wysokość chce mi coś powiedzieć i tylko wrodzona jej dobroć wstrzymuje ją od tego. Ale racz Wasza Królewska Wysokość to wypowiedzieć, jestem przygotowany usłyszeć wszystko.

— A!... — odpowiedziała Henrjeta — cóż pan przez to rozumiesz teraz?

— To, co Wasza Królewska Wysokość zechce, abym zrozumiał.

Raoul, wymawiając te słowa, zadrżał mimowolnie.

— Wprawdzie — rzekła cicho księżna — jestto okrutnie, ale skorom już zaczęła.

— Ponieważ Wasza Królewska Wysokość raczyłaś zacząć, chciejże łaskawie dokończyć.

Henrjetta, żywo powstawszy, przeszła się po pokoju.

— Co panu mówił pan de Guiche?... — spytała nagle.

— Nic, pani.

— Nic ci nie powiedział? O! jakże z tego doskonale go poznaję.

— Zapewne chciał mi oszczędzić przykrości.

— I to przyjaciele nazywają przyjaźnią. A pan d'Artagnan, z którym w tej chwili widziałeś się, ten chyba musiał ci mówić?

— Nie więcej, pani, niż de Guiche.

— To przynajmniej — rzekła — wiesz pan o tem, o czem cały dwór wiedział?

— Nie, pani, nie wiem o niczem.

— Ani o zdarzeniu wśród burzy?

— Nie, pani.

— Ani o sam na sam w lesie?

— Nie!

— Aani o ucieczce do Chaillot.

Raoul chwiał się, jak kwiatek, kosą podcięty, i nadludzkie czynił wysiłki, aby się zdobyć na uśmiech; odpowiedział jednak z zupełną słodyczą:

— Miałem zaszczyt powiedzieć Waszej Królewskiej Wysokości, że nic a nic nie wiem; jestem biedny, zapomniany, wracam dopiero co z Anglji, przedzielony byłem od osób, tu pozostałych szumiącemi falami morza, tak, że odgłos wszystkiego, o czem mi Wasza Królewska Wysokość mówisz ,nie mógł się przedrzeć do moich uszu.

Henrjettę dotknęła jego bladość, łagodność i odwaga.

Panującem uczuciem w jej sercu była w tej chwili żywa żądza zniszczenia w duszy biednego kochanka wspomnień o tej, która mu tyle sprawiła cierpień.

— Panie de Bragellone — rzekła — to, czego dla ciebie przyjaciele twoi nie chcieli uczynić, ja uczynię, gdyż szanuję ciebie i lubię. Ja będę twoją przyjaciółką. Teraz nosisz głowę dumnie, jak człowiek prawy, nie chcę więc, żebyś ją ugiął, okryty śmiesznością, a za tydzień pogardą!

— A!... — rzekł Raoul zsiniały — więc do tego już doszło?

— Jeżeli pan jeszcze nic nie wiesz, widzę, że się domyślasz. Zdaje mi się, że pan byłeś narzeczonym panny La Valliere?

— Tak, pani?

— Z tego tytułu winnam cię ostrzedz, że lada chwila wypędzę pannę de La Valliere od siebie...

— Wypędzisz pani La Valliere!... — krzyknął Bragellone.

— Bezwątpienia. Czyż mniemasz, że zawsze mieć będę wzgląd na łzy i jeremiady króla?... Nie!... nie!... Dom mój nie będzie już nadal służył do podobnego użytku!... Ale chwiejesz się?...

— Nie, pani!... przebacz — rzekł Raoul, czyniąc wysiłek — tylko mniemałem, że umrę i nic więcej. Wasza Królewska Wysokość raczyła mi powiedzieć, że król płakał i błagał?...

— Tak, ale napróżno.

Tu opowiedziała Raoulowi zdarzenie w Chaillot i rozpacz króla za powrotem, opowiedziała swoją pobłażliwość i okrutny wyraz, którym księżna znieważona i kochanka poniżona zwyciężyła gniew królewski.

Raoul opuścił głowę.

— I cóż o tem pan myślisz?... — zapytała.

— Że ją król kocha — odpowiedział.

— Ale pan jakbyś przypuszczał jeszcze, że ona go nie kocha?

— Niestety!.. myślę jeszcze o tym czasie, kiedy mnie kochała.

Henrjeta chwilę tylko podziwiała to szlachetne niedowiarstwo, potem, wzruszając ramionami, rzekła:

— Nie wierzysz mi pan?... O!... jakże mocno musisz ją kochać!... I wątpisz, że ona kocha króla?...

— Wybacz pani, ale póki nie będę miał dowodu!... Mam jej słowo, a ona jest szlachetną dziewicą!...

— Chcesz pan dowodu!... Dobrze. Chodź ze mną!...

CXCV

REWIZJA MIESZKANIA.

Księżna, poprzedzając Raoula, prowadziła go przez dziedziniec do budynku, w którym było mieszkanie La Valliere, a wstępując po tych samych schodach, któremi Raoul szedł zrana, zatrzymała się przy drzwiach pokoju, przy którym młodzieniec był tak dziwnie przyjęty przez Montalais.

Chwila dobrze była wybraną do spełnienia zamiaru, ułożonego przez księżnę. Zamek był prawie pustym.

Król, dworzanie i damy wyjechali do Saint-Germain.

Sama tylko księżna, wiedząc o powrocie Bragellona i przewidując korzyść, jaką może wyciągnąć z tego powrotu, udała chorobę i pozostała.

Księżna, będąc pewną, że niema nikogo ani w mieszkaniu La Valliere, ani u Saint-Agnana, podwójnym, jaki zawsze miała, kluczem otworzyła drzwi pokoju swojej panny honorowej.

Wzrok Bragellona utonął w pokoju, który poznał a wrażenie, jakiego stąd doświadczył, było dlań pierwszą męczarnią, z tych, które go tu oczekiwały.

Nie uszło baczności wprawnego oka księżny, co się działo w jego sercu.

— Żądałeś dowodów — rzekła — nie dziw się, że ci je daję. A teraz, jeżeli nie czujesz się na siłach, aby je znieść, jeszcze czas, wróćmy.

— Dziękuję pani — rzekł Bragellone — ale przyszedłem tu, ażeby się przekonać. Przyrzekłaś mi to Wasza Królewska Wysokość uczynić. Chciejże więc to uczynić.

— Wejdźże więc pan i zamknij drzwi za sobą!

Bragellone uczynił to, a zwracając się potem do księżny, zapytał ją wzrokiem.

— Wiesz, gdzie jesteś?... — rzekła księżna

— Wszystko mi każe wierzyć, że jestem w pokoju panny La Valliere?

— Tak jest!

— Ale pozwolisz Wasza Królewska Wysokość, zwrócić uwagę, że to jest pokój, ale nie dowód!

— Zaczekaj pan.

Księżna zbliżyła się do łóżka, a składając przy niem stojący parawan i schylając się ku podłodze rzekła:

— Patrz! nachyl się i podnieś tę klapę!

— Tę klapę!... — krzyknął Raoul ździwiony. tem bardziej, że przypomniał sobie w tej chwili, iż d'Artagnan wspomniał mu o czemś podobnem.

Lecz napróżno szukał oczyma szpary, któraby wskazała miejsce, gdzie jest klapa, albo kółka, które służyłoby do jej podniesienia.

— A!... prawda!... — rzekła śmiejąc się Henrjetta — zapomniałam o ukrytej sprężynie w czwartej tafli podłogi, w miej scu, gdzie drzewo jest spojone naciśnij pan sprężynę, naciśnij sam, wicehrabio, to właśnie tu!

Raoul blady, jak widmo, nacisnął podłogę w miejscu wskazanem, a klapa podniosła się natychmiast.

— To bardzo dowcipny pomysł — rzekła księzna — budowniczy przewidział widocznie, że drobna rączka będzie naciskała, bo widzisz pan, jak się to lekko otwiera.

— Schody!... — krzyknął Raoul.

— Tak!... a nawet bardzo ozdobne — rzekła księżna. — Uważaj, wicehrabio, że przy nich jest i poręcz, ażeby ochronić od upadku delikatne osoby, zstępujące po nich, dlatego też i ja się zejść odważę. No pójdź!... za mną, wicehrabio, pójdź!

— Nie, nie pójdę, chciej pani powiedzieć, dokąd te schody prowadzą.

— A!... prawda zapomniałam panu powiedzieć!

— Słucham — rzekł Raoul, zaledwie oddychając.

— Wiesz pan zapewne, że pan de Saint-Agnan mieszkał pierwej obok króla!

— Wiem o tem, pani, gdyż przed moim odjazdem nieraz miałem przyjemność go odwiedzać.

— Otóż otrzymał od króla pozwolenie, ażeby zamienić ten wygodny i piękny apartament, który pan znałeś, na dwa małe pokoje, do których te schody prowadzą, a które są dwa razy mniejsze, dziesięć razy bardziej oddalone od mieszkania króla, a przecież sąsiedztwo królewskie nie jest tak przykrem dla panów dworaków.

— Zapewne, pani, ale proszę mówić dalej, gdyż jeszcze nie rozumiem!

— Otóż przypadek zrządził — mówiła dalej księżna — że teraźniejsze mieszkanie pana de Saint-Agnan położone jest pod pokojami moich panien, a w szczególności pod mieszkaniem panny La Valliere.

— Ależ w jakim celu ta kłapa i te schody?

— Albo ja wiem?... jeżeli pan chcesz, zejdziemy do mieszkania pana de Saint-Agnan i tam znajdziemy może rozwiązanie tej zagadki.

I księżna dała przykład, zstępując naprzód.

Raoul szedł za nią, wzdychając.

Każde skrzypnięcie schodów zbliżało go do tych tajemniczych pokojów, które zamykały w sobie westchnienia La Valliere i zapach perfum, których używała.

Bragellone, połykając to powietrze dyszącym oddechem, poznał, że młoda dziewica przechodziła tędy.

Po tym dowodzie, niewidzialnym wprawdzie ale nieomylnym, nastąpiły kwiaty, które przekładała nad inne, i książki które lubiła.

Gdyby Raoul wątpił choć trochę o tem, przekonałoby go to tajemne połączenie smaku, dowcipu z nawyknieniami, towarzyszącemi jej życiu.

La Valliere była tu obecną dla Bragellona w meblach, wyborze materji, na każdym kroku, którego śladu nie było na lśniącej posadzce.

Milczący, zgnębiony boleścią nie potrzebował już niczego więcej, aby się dowiadywać, i postępował za swą przewodniczką, jak winowajca za katem.

Księżna, delikatna, i drażliwych nerwów, nie taiła przed nim żadnego szczegółu.

Ale powiedzmy prawdę, pomimo odrętwienia, w jakie wpadł, żaden szczegół, nie uszedłby był uwagi Raoula.

Szczęście kobiety, którą kochamy, jeżeli pochodzi od współzalotnika, męczarnią jest dla zazdrosnego, jakim był Raoul.

Dla serca jego, które po raz pierwszy gorycz przepełniła, szczęście Ludwiki było haniebną śmiercią ciała i duszy.

Odgadł wszystko.

Ręce, które się ściskały, zbliżone lica kochanków, pocałowania bojaźliwie; zbytek, ten przepych roskoszny, te troskliwe starania dla oszczędzenia najmniejszej nieprzyjemności ukochanej istocie, albo chęć sprawienia jej miłej niespodzianki, ta siła miłości, zwiększona potęgą królewską, wszystko to zadało śmiertelny cios sercu Raoula.

Jeżeli jest jakie złagodzenie dla jadu zazdrości, to tylko w niższości człowieka, którego nad ciebie przeniesiono, wyższość bowiem jego będzie większem dla ciebie cierpieniem nad piekło samo, męczarnią, na której oznaczenie niema nazwy.

W chwili podobnej zdaje ci się, że i Bóg jest przeciw pogardzonemu kochankowi.

Jeszcze jedna ostatnia boleść dotknęła Raoula.

Księżna odsłoniła jedwabną firankę, za którą Raoul ujrzał portret La Valliere.

Portret, pełen życia, i młodości roskosznej, oddychającej szczęściem.

— Ludwiko!... — wyjąkał Bragellone. — A więc to prawda, Ludwiko!... O!... tyś mię nigdy nie kochała, bo nigdyś takim na mnie nie patrzyła wzrokiem!

Zdawało mu się, że serce pękło mu w piersiach.

Księżna jakby zazdrościła tej boleści, chociaż wiedziała dobrze, że nie ma do tego prawa, gdyż ukochaną była przez Guicha tak, jak La Valliere przez Bragellona.

Raoul dostrzegł to jej uczucie.

— O!... przebacz mi — rzekł Raoul. — Wiem, że w jej obecności powinienem był więcej być panem siebie. Ale, oby Bóg nigdy nie dotknął Waszej Królewskiej Wysokości ciosem jaki mię

teraz spotyka, gdyż jesteś kobietą i pewno nie przeniosłabyś tej boleści. Przebacz mi, pani, jestem tylko ubogim szlachcicem, kiedy przeciwnie pani jesteś z grona tych szczęśliwych, wszystko mogących — z grona wybranych.

— Panie de Bragellone — odpowiedziała księżna — serce takie, jak twoje, zasługuje na współczucie nawet serca królowej. Jestem twoją przyjaciółką, panie!... i dlatego nie chciałam, aby życie twoje zatrute było przewrotnością, albo skalane śmiesznością. To ja, odważniejsza od twoich mniemanych przyjaciół, (wyjątek stanowi tu pan de Guiche) uczyniłam to, żeś wrócił z Londynu, to ja dostarczyłam ci dowodów bolesnych wprawdzie, ale potrzebnych do twego uleczenia, jeżeli jesteś odważnym kochankiem, a nie płaczliwym Amadysem. Nie dziękuj mi, ale żałuj i służ z równą jak przedtem gorliwością królowi.

Raoul smutnie się uśmiechnął:

— Prawda — rzekł — zapomniałem, że król jest moim panem.

— Idzie tu o twoją wolność lub życie.

Spojrzenia Raoula jasne i przenikliwe przekonały księżnę. że się myliła i że ostatni jej argument nie należał do tych, które mogłyby mieć jaki wpływ na młodzieńca?

— Miej się na baczności, panie de Bragellone, gdyż, jeżeli nie będziesz ważył swego postępowania na szali rozsądku, wzbudzisz gniew króla, który bardzo skłonny jest do uniesień, a przyjaciół swoich i krewnych pogrążysz w boleści. Pochyl czoło, poddaj się tej konieczności i ulecz się!...

— Oceniam rady, jakie mi Wasza Królewska Wysokość udziela i starać się będę pójść za niemi. Ale jeszcze o jedno słowo upraszam Waszą Królewską Wysokość...

— Cóż takiego?

— Czy nie będzie to uchybieniem zapytać Waszą Królewską Wysokość, jakim sposobem Wasza Królewska Wysokość odkryła tajemnicę schodów, klapy i portretu?

— O!... nic prostszego!... Mam (chcąc zawsze wiedzieć o ich postępowaniu) podwójne klucze od pokojów moich panien honorowych. Podejrzanem mi się wydało tak częste zamykanie się La Valliere również jak i to, że pan Saint-Agnan zmienił mieszkanie. Podejrzanemi mi były te codzienne odwiedziny króla, składane panu de Saint-Agnan, nim się jeszcze z sobą zaprzyjaźnili. Wreszcie wszystko, co się robiło w czasie twojej

nieobecności, a zmieniło zupełnie zwyczaje dworu, było mi podejrzanem. Nie chciałam być zwodzoną przez króla. Nie chcę być płaszczykiem dla jego miłostek, bo po płaczliwej La Valliere nastąpiłaby śmiejąca się Montalais, a po niej znowu śpiewająca Tonnay-Charente. Rola ta jest mnie niegodną. Odrzuciłam delikatność przyjaźni na stronę, odkryłam tajemnicę. Zraniłam ci serce; raz jeszcze za to przepraszam, ale było to moją powinnością. Teraz jesteś już uprzedzony; burza wkrótce nastąpi, zabezpiecz się przed nią.

— Jednakże nie mniemasz chyba, pani — rzekł Bragellone stanowczo, — ażebym pozwolił obarczać siebie wstydem i pozwalał siebie zdradzać, nie rzekłszy ani słowa.

— Postąp, panie Raoulu, jak ci się wydaje najlepszem, ale nie wymieniaj źródła, z któregoś dowiedział się prawdy. Oto wszystko, czego od ciebie żądam. Oto jedyna nagroda, jakiej wymagam za przysługę, którą ci uczyniłam.

— Nie lękaj się pani tego — rzekł Bragellone z gorzkim uśmiechem.

— Przekupiłam ślusarza, którego kochankowie przypuścili do tajemnicy. I pan także mogłeś się podobnież dowiedzieć, nieprawdaż?

— Naturalnie. Więc Wasza Królewska Wysokość nie dajesz mi żadnej rady i nie wkładasz na mnie innego obowiązku prócz tego tylko, aby jej do tego nie wmieszać.

— Tak.

— A więc proszę o pozwolenie Waszej Królewskiej Wysokości, abym tu mógł pozostać na chwilę.

— Bezemnie?...

— O!... nie!... .gdyż to, co mam uczynić, mogę uczynić i w jej obecności. Potrzebuję tylko minuty, ażeby do kogoś słówko napisać.

— To ryzykowne, panie de Bragellone, bądź ostrożny.

— Nikt nie może się domyślić, że Wasza Królewska Wysokość tu mnie zaprowadziła. A zresztą ja się podpiszę na liście.

— Rób pan, jak chcesz!...

Raoul na kawałku papieru napisał:

Panie hrabio!

"Nie dziw się, że znajdziesz ten papier, przezemnie podpisany, wprzód nim przyślę do ciebie jednego z moich przyjaciół, który będzie miał zaszczyt wytłumaczyć ci powody mojej bytności.

Wicehrabia Raoul de Bragellone.

Zwinął pismo to w trąbkę, wsadził w dziurkę od klucza do drzwi, prowadzących do pokoju kochanków, a przekonawszy się, że papier ten jest tak widoczny, iż Saint-Agnan musi go spostrzedz, dogonił księżnę, będącą już na górze.

Na korytarzu rozłączyli się. Raoul, udając że dziękuje Jej Wysokości, Henrjetta, żałując, albo udając żal serdeczny dla nieszczęśliwego, którego na tak okropne skazała męki.

— O!... — rzekła, widząc, jak się oddalał blady, z oczami, krwią zaszłemi. — O!... gdybym była to wiedziała, ukryłabym prawdę przed tym młodzieńcem.

CXCVI

METODA PORTOSA.

Mnóstwo osób, któreśmy wprowadzili do tej długiej powieści, powodem jest, że każda z nich pokazuje się na scenie o tyle tylko, o ile tego wymaga opowiadanie.

Wynika stąd, że czytelnicy nie mieli sposobności być w towarzystwie naszego przyjaciela Portosa, od czasu powrotu jego z Fontainebleau.

Zaszczyt, jaki król mu okazał, nie zmienił bynajmniej dobroduszności i uprzejmości tego zacnego pana; głowę tylko nosił trochę wyżej, niż zwykle, i jakby pewna powaga przebijała się w jego obejściu, odkąd dostąpił łaski jedzenia objadu u stołu królewskiego.

Pokój jadalny Jego Królewskiej Mości wywarł pewien wpływ na Portosie.

Pan de Bracieux et Pierrefond lubił sobie przypominać, iż w czasie tego pamiętnego obiadu mnóstwo służących i niemała liczba oficerów, stojących za krzesłami biesiadujących, dodawała wspaniałości uczcie i zdobiła pokój.

Portos postanowił utytułować także pana Mouston i zaprowadzić różne stopnie godności między swymi służącymi, co było w zwyczaju u wielkich panów, gdyż i w poprzednim wieku istniał podobny zbytek u pana de Treville, de Schomberg, de La Vieuville, nie wspominając już o panu de Richelieu, de Bouillon i Tureniuszu.

Dlaczegóż Portos, przyjaciel króla i pana Fouquet, baron, inżynier itd., dlaczegóż nie miałby on używać przyjemności, przywiązanych do wielkich bogactw i wielkich zasług?

Trochę zaniedbany przez Aramisa, który, jak wiemy, zajmował się bardzo panem Fouquet, trochę zaniedbany z powodu służby przez d'Artagnana, obojętny dla Truchen i Plancheta, Portos dziwił się sam sobie, że się nieraz zamyśla, nie wiedząc o czem; i gdyby go ktokolwiek był zapytał: "Czy panu czego brakuje?", niezawodnieby otrzymał odpowiedź: "A tak."

Właśnie po obiedzie, w którym Portos starał się przypomnieć sobie szczegóły obiadu królewskiego, nawpół wesoły, dzięki dobremu winu, nawpół smutny, dzięki marzeniom dumy, zaczynał drzemać, kiedy kamerdyner oznajmił mu, że pan de Bragellone chce z nim mówić.

Portos przeszedł natychmiast do drugiego pokoju, gdzie zastał młodego swego przyjaciela, w usposobieniu nam wiadomem.

Raoul ścisnął rękę Portosa, a ten, zdziwiony jego poważną miną, podsunął mu krzesło.

— Kochany panie du Vallon — rzekł Raoul — chcę cię prosić o jedną przysługę.

— A właśnie w dobrą porę przybywasz mój młody przyjacielu — odpowiedział Portos — przysłano mi bowiem tego rana 8,000 liwrów z Pierrefonds, i jeżeli potrzebujesz pieniędzy?...

— Dziękuję ci, ale nie potrzebuję pieniędzy, szlachetny przyjacielu!

— Tem gorzej. Ja zawsze słyszałem, jak mówiono, że to najrzadsza przysługa, chociaż najłatwiejsza do wykonania. Zdanie to uderzyło mię, a lubię powtarzać to, co mię uderza.

— Masz równie dobre serce, jak i zdrowy sąd o rzeczach.

— Jesteś bardzo grzeczny. Ale może zjesz objad?

— O nie! nie jestem głodny.

— A co, nieprawda, że to okropny kraj ta Anglja?

— Nie tak bardzo, ale...

— I wiesz, że gdyby tam nie było doskonałych ryb i przedziwnego mięsa, byłby to kraj wprost nieznośny.

— Tak! przyszedłem...

— Słucham cię. Ale pozwól tylko, niech się czego napiję. W Paryżu tak słono wszystko robią!

I kazał przynieść butelkę szampana, a nalawszy dwie szklanki dobrze pociągnął, poczem, zadowolony, rzekł:

— Koniecznie potrzeba mi było tego, ażebym cię mógł słuchać z uwagą. Teraz jestem zupełnie gotów. No kochany Raoulu, czego żądasz? Czem ci mogę służyć?

— Powiedz mi swoje zdanie co do sprzeczek kochany przyjacielu?

— Moje zdanie... Dobrze, ale objaśnij mi trochę myśl twoją — odpowiedział Portos.

— Chciałem powiedzieć, jaki masz humor wtenczas, kiedy zajdzie jaka sprzeczka między twymi przyjaciółmi i obcymi.

— O! najdoskonalszy...

— Bardzo dobrze! ale co wtenczas robisz?

— Jak tylko moi przyjaciele mają sprzeczkę, ja wyznaję zawsze jednakową zasadę!

— Jaką?

— Że czas stracony nigdy nie jest powetowany, i że nigdy żadna sprawa tak dobrze się nie załatwia, jak wtenczas, kiedy się jest jeszcze w samym ogniu sprzeczki.

— Aha, więc takie jest twoje zdanie?

— Nieodmienne. Dlatego skoro tylko sprzeczka się zaczyna, zaraz zbliżam obie strony do siebie. Pojmujesz, że wszystko układa się zaraz jak najlepiej.

— A ja myślałbym, że przeciwnie! — rzekł Raoul zdziwiony.

— Ale gdzietam, przecież miałem w życiu około 180, czy 190 jak najformalniejszych pojedynków, nie licząc w to raptownego porwania się do szpady i spotkań przypadkowych.

— To piękna liczba — odrzekł Raoul, uśmiechając się mimowolnie.

— O, to jeszcze nic, gdyż ja jestem bardzo łagodny. Ale d'Artagnan! ten liczy swoje pojedynki na setki. Wprawdzie jest on trochę za prędki i złośliwy. Ja mu to często powtarzałem.

— A tak! — rzekł Raoul — i tak samo prowadzisz pan sprawy, które ci powierzają twoi przyjaciele?

— O! nie było jeszcze zdarzenia, ażebym kiedykolwiek ich nie załatwił — rzekł Portos z błogiem zaufaniem, na które Raoul aż podskoczył na krześle.

— I załatwienia te bywają zawsze zaszczytne?

— O! za to ci ręczę i z tego względu muszę ci wytłumaczyć drugą moją zasadę. Skoro tylko przyjaciel mój zdał na mnie załatwienie sprzeczki, ja tak postępuję: Natychmiast idę do przeciwnika, uzbrajam się we właściwy takt i zimną krew, które są konieczne w podobnych razach.

— I tym przymiotom — rzekł Raoul z goryczą — zawdzięczasz pan doskonałe i niezawodne załatwienie sprawy?

— Zdaje się. Idę więc do przeciwnika i powiadam mu: "Panie! niepodobna abyś nie pojmował, do jakiego stopnia obraziłeś mego przyjaciela."

Raoul zmarszczył brwi.

— Niekiedy, a nawet często, przyjaciel mój nie był nawet obrażony, lecz sam pierwszy obraził, osądź więc, czy mowa moja nie jest zręczną.

I Portos zaśmiał się na całe gardło.

— Prawdziwie nieszczęśliwy jestem — rzekł Raoul do siebie, kiedy odgłos wesołości Portosa, jak grzmot huczał w pokoju. — Guiche zbywa mię zimno, d'Artagnan naśmiewa się, Portos nudzi. a nikt nie chce załatwić sprawy wedle życzenia. A cóż to za los!

Portos mówił dalej:

— Jednem więc słowem zwalasz winę na przeciwnika!

— Niezawsze — odrzekł Raoul roztargniony.

— O! nie, zawsze zwalam na niego winę. I wtedy właśnie rozwijam całą moją dyplomację, ażeby pomysł mój szczęśliwie do skutku doprowadzić. Przystępuję do niego z miną ujmującą i, biorąc go za rękę...

— O! — rzekł Raoul zniecierpliwiony.

— Panie — mówię doń wtedy — skoro wiesz, że jest obraza, jesteśmy pewni zadosyćuczynienia. Odtąd między moim przyjacielem i panem będzie uprzedzanie się w grzecznościach. Jestem zatem upoważniony dać ci miarę długości szpady mojego przyjaciela.

— Co? co? — rzekł Raoul.

— Czekajże!... długości szpady mego przyjaciela. Konie są przed gankiem, mój przyjaciel jest tam i czeka z niecierpliwością pańskiego uprzejmego przybycia i zabieram pana ze sobą; po drodze wstępujemy po jego sekundanta i sprawa jest ułożona.

— I! — rzekł Raoul, blady ze złości — godzisz pan przeciwników na placu?

— Co? co? — rzekł Portos — godzić? a to na co?

— A przecież mówisz, że sprawa jest ułożona.

— Bezwątpienia, gdyż mój przyjaciel czeka.

— No i cóż stąd, że czeka?

— Dlatego czeka, żeby sobie wyprostować nogi. Gdy przeciwnie tamtem jest jeszcze sztywny od konnej jazdy; stają naprzeciw siebie i mój przyjaciel zabija przeciwnika. Ot i skończyło się.

— A? zabija go? — zawołał Raoul.

— Nie inaczej! — rzekł Portos — alboż ja uważam za swoich przyjaciół tych, co się dają zabić. Mam stu i jeden przyjaciół, na czele których są: twój ojciec, Aramis i d'Artagnan, a zdaje mi się, że ci zdrowi są i żywi.

— O! mój kochany baronie — wykrzyknął Raoul, w uniesieniu radości ściskając Portosa.

— A zatem podoba ci się moja metoda? — spytał olbrzym.

— Tak dalece, że dziś odwołuję się do niej, bez zwłoki, natychmiast. Jesteś właśnie człowiekiem, jakiego mi było potrzeba.

— Dobrze, jestem na twe usługi, chcesz się więc bić.

— Nieodwołalnie!

— To bardzo dobrze. Ale z kim?

— Z panem de Saint-Agnan!

— A! znam go... bardzo miły chłopiec i był bardzo dla mnie grzecznym, kiedym miał zaszczyt jeść obiad u króla. O! oddam mu teraz grzeczność za grzeczność, chociażby to nie było moim zwyczajem. A więc to on cię obraził?

— Śmiertelnie!

— Do djabła. Będę mu więc mógł powiedzieć: Śmiertelnie!

— Jeszcze więcej, jeżeli chcesz.

— To bardzo dobrze.

— No to interes już ułożony, nieprawdaż? — rzekł Raoul, śmiejąc, się.

— Ma się rozumieć... ale gdzież na niego będziesz czekał?

— Ale uważaj pan, że to rzecz bardzo delikatna. Pan de Saint-Agnan jest w wielkiej z królem przyjaźni.

— Słyszałem o tem.

— A jeśli go zabiję...

— Niezawodnie zabijesz. Reszta do ciebie należy. Tylko, że teraz w takich razach niema trudności. Gdybyś był żył za naszych czasów, to co innego.

— Kochany przyjacielu, nie zrozumiałeś mię. Ja mówię, że z panem de Saint-Agnan, jako z przyjacielem króla, interes będzie trudniejszy do ułożenia, gdyż król może o tem wprzód dowiedzieć...

— E! nie, wiesz dobrze, jaka moja metoda: Panie, obraziłeś mego przyjaciela i...

— Tak, wiem.

— A potem. Panie, koń stoi przed gankiem. Zabiorę go więc, zanim z kimkolwiek będzie mógł pomówić.

— A czy on da się tak wyprowadzić?

— Chciałbym to widzieć! wiesz, że byłby to pierwszy. Prawda, dzisiejsza młodzież... a zresztą przyniosę go, jeżeli tego będzie potrzeba.

I Portos, łącząc czyn z wyrazami, podniósł Raoula z krzesłem.

— Dobrze, dobrze — rzekł młodzieniec, śmiejąc się. — Pozostaje nam tylko obmyślić powody dla pana de Saint-Agnan.

— Jakie powody?

— No, obrazy!

— Zdaje mi się, żeśmy już o tem dość mówili?

— Nie, mój kochany du Vallon, zwyczaj, przyjęty u nas ludzi dzisiejszych, jak mówisz, wymaga, ażeby jeszcze wyłożone były powody obrazy.

— To wasza nowa metoda, ha! więc opowiedz mi twoją sprawę.

— Tylko, że.

— A, Boże, co za nudy. Dawniej nic nie potrzebowaliśmy opowiadać. Biliśmy się, aby się bić. I ja nie znam nad to ważniejszego powodu.

— Masz rację, mój przyjacielu.

— No, słucham twoich powodów.

— Dużoby było o tem mówić. Ale że potrzeba oznaczyć je dokładnie...

— Tak, tak, djabła warta ta nowa metoda!..

— Otóż mówię, potrzeba oznaczyć dokładnie, a znowu z drugiej strony sprawa pełną jest trudności i największej wymaga tajemnicy...

— Ho! ho!

— Będziesz pan łaskaw powiedzieć tylko panu de Saint-Agnan, a pewno zrozumie, że mnie obraził: naprzód, zmieniając mieszkanie.

— Zmieniając mieszkanie? — Dobrze — rzekł Portos, i zaczął liczyć na palcach. — Cóż potem?...

— Potem, urządzając klapę w swojem nowem mieszkaniu.

— Rozumiem — rzekł Portos — klapę. Oho, to ważne. Wierzę bardzo, że musisz wściekle się gniewać za to. Jakże śmiał ten hultaj kazać urządzać klapę, nie radząc się ciebie? Klapę? miljon djabłów, u mnie klap niema, chyba może w więzieniu w Bracieux.

— Dodasz pan jeszcze — rzekł Raoul — jako ostatni powód mojej urazy: portret, o którym wie Saint-Agnan.

— I jeszcze portret. Co, zmiana mieszkania, klapa, portret. Ależ, mój przyjacielu — rzekł Portos — już jeden z tych powodów jest dostateczny, aby cała szlachta Francji i Hiszpanji pozabijała się nawzajem. A to zdaje się znaczy nie mało.

— A więc, kochany przyjacielu, jesteś już dostatecznie przygotowany.

— Biorę z sobą luźnego konia. Ty wybierz miejsce schadzki, a czekając na nas, machaj sobie szpadą, to nadaje szczególną giętkość.

— Dobrze! czekać będę w Vincennes, obok klasztoru Reformatów.

— Doskonale. A gdzież ten pan de Saint-Agnan mieszka?

— W Palais-Royal.

Portos zadzwonił, służący wszedł.

— Przygotuj mi strój galowy, mojego konia i konia luźnego. Służący wyszedł, skłoniwszy się.

— A czy wie o tem twój ojciec? — spytał Portos.

— Nie, ale napiszę o tem do niego.

— A d'Artagnan?

— Ani pan d'Artagnan, on jest tak ostrożny, że może chciałby mi to odradzić!

— Jednak d'Artagnan zawsze radzi dobrze — rzekł Portos, zdziwiony w szczerej skromności, że pomyślano o nim, kiedy był d'Artagnan na świecie.

— Kochany panie du Vallon — odrzekł Raoul — nie wypytuj mnie o nic więcej, zaklinam cię. Powiedziałem wszystko, co mogłem powiedzieć. Czekam teraz spotkania, przykrego lecz stanowczego, takiego, jakie ty umiesz przygotowywać. Dlatego wybrałem pana.

— I będziesz ze mnie zadowolony — rzekł Portos.

— A pamiętaj o tem, przyjacielu, że prócz nas, nikt o tem spotkaniu wiedzieć nie powinien.

— Zawsze podobne rzeczy się wykryją — rzekł Portos — skoro znaleziony zostanie trup w lesie. A!... kochany przyjacielu, wszystko ci przyrzekam, prócz ukrycia trupa. Leży, każdy go widzi, tego nie można uniknąć; mam zasadę nie grzebać go, gdyż to pachnie zabójstwem.

— Waleczny i kochany przyjacielu; do dzieła!...

— Zdaj się na mie — rzekł olbrzym, kończąc butelkę, gdy tymczasem służący rozkładał na krześle bogate ubranie i koronki.

Raoul wyszedł, mówiąc w duszy z radością:

— O!... osoba króla świętą jest i nietykalną. Ale jego przyjaciel, jego powiernik, jego wspólnik, ten nikczemnik zapłaci mi. Zbiję go w imieniu króla, a potem pomyślimy o Ludwice.

CXCVII

ZMIANA MIESZKANIA, KLAPA I PORTRET.

Portos z radością przyjął poselstwo, przypominające mu młodsze jego lata, i dlatego o pół godziny ubrał się prędzej, niż zwykle.

A jako człowiek, znający zwyczaje wielkiego świata, posłał najprzód służącego, aby dowiedział się, czy pan de Saint-Agnan jest w domu.

Powiedziano mu, że hrabia de Saint-Agnan powrócił już z przejażdżki do Saint-Germain, w której miał zaszczyt wraz z całym dworem towarzyszyć królowi, i że jest u siebie.

Portos pośpieszył do mieszkania pana de Saint-Agnan.

Przechadzka była prześliczną, ponieważ król, coraz więcej zakochany, a tem samem coraz szczęśliwszy, był w najlepszem humorze dla wszystkich, a jak ówcześni mówili poeci, ze szczególną, niczem niezrównaną, dobrocią dla każdego.

Pan de Saint-Agnan, jak sobie czytelnik przypomina, był wierszopisem i pochlebiał sobie, że już nie przy jednej sposobności dowiódł niezaprzeczenie prawa do tytułu poety.

A jako niezmordowany rymotwórca częstował przez całą drogę różnemi wierszykami to króla, to pannę La Valliere.

I król tym razem był także przy natchnieniu gdyż mu udało się zrobić jakiś dwu wierszowy rymek.

Panna La Valliere zaś, jak zwykle kobieta zakochana, zaimprowizowała aż dwa sonety.

Był to, jak się pokazuje, dzień bardzo dla Apollina pomyślny.

Dlatego też pan de Saint-Agnan, spodziewając się, że jego rymy będą poszukiwane, zajął się po powrocie do Paryża ich wydoskonaleniem.

I podobny do troskliwego ojca, który po raz pierwszy dzieci swoje wprowadza na świat, poprawiał i ogładzał i zapytywał sam siebie: czy publiczność przyjmie te dzieci jego wyobraźni tak, jak pragnął; tem więcej, że wiersze, improwizowane w czasie przechadzki, obiecał, za powrotem do Paryża, przesłać królowi na piśmie; zajęty tą pracą, ciągle przerabiając wiersze, zrzucał z siebie ubiór, używany podczas przechadzki i już miał wdziać szlafrok, kiedy mu oznajmiono odwiedziny pana barona de Vallon de Bracieux de Pierrefonds.

— A cóż to za szereg nazwisk?... — rzekł. Nie znam tego pana.

— To jest — odpowiedział służący — ten sam szlachcic, co miał zaszczyt jeść obiad z panem hrabią u króla, w czasie pobytu w Fontainebleau.

— U króla, w Fontainebleau!... — wykrzyknął Saint-Agnan — a prędzej, prędzej, wprowadź go tutaj

Służący pośpieszył wykonać rozkaz.

Portos wszedł.

Pan de Saint-Agnan, obdarzony pamięcią dworaka, zaraz przypomniał sobie szlachcica z prowincji z tak szczególną sławą, którego król tak uprzejmie przyjął, pomimo szyderczego niektórych dworzan uśmiechu.

Postąpił więc ku niemu z oznaką najszczerszej uprzejmości: ten zaś, wchodząc do przeciwnika, uzbroił się w najwyszukańszą grzeczność.

Saint-Agnan kazał podać krzesło.

Portos usiadł, pochrząkując.

Po zwykłych grzecznościach, hrabia, jako odbierający wizytę, odezwał się pierwszy.

— Panie baronie — rzekł — jakiejże szczęśliwej okoliczności winienem jego zaszczytne odwiedziny?

— Właśnie będę miał zaszczyt panu wytłumaczyć — odrzekł Portos — ale... przepraszam.

— Co takiego?... — spytał Saint-Agnan.

— Zdaje mi się, że się krzesło łamie podemną!

— O nie, panie, nie — rzekł Saint-Agnan.

— Ależ tak, tak, panie hrabio... i to tak niezawodnie, że, gdybym dłużej na niem pozostał przybrałbym położenie, wcale nieodpowiadające ważności mego poselstwa.

Portos wstał i czas już był wielki, bo krzesło pod tak ogromnym ciężarem rozeszło się zupełnie.

A kiedy Saint-Agnan szukał oczyma, na czemby trwalszem umieścić swego gościa, ten rzekł:

— O! te modne meble są teraz nadzwyczaj delikatne. W mojej młodości, kiedym z większą niż teraz siadał żywością, nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek złamał krzesło, siadając, chyba w oberży i to rękami.

Saint-Agnan uprzejmie na ten żart uśmiechnął się.

— Lecz — rzekł Portos, siadając na kanapie, która skrzypnęła pod takim ciężarem — nie o to tu na nieszczęście idzie.

— Jakto, na nieszczęście? Czyżbyś miał być, panie baronie, posłem nieszczęścia?

— Nieszczęścia... dla szlachcica?... o nie, panie hrabio — odrzekł Portos ze szlachetną dumą. — Przyszedłem tylko powiedzieć panu, żeś okrutnie obraził jednego z moich przyjaciół.

— Ja, panie? ja? obraziłem jednego z pańskich przyjaciół? i któregoż to? proszę?

— Pana Raoula de Bragellone.

— Ja obraziłem pana de Bragellone? ja?... — rzekł Saint-Agnan — to niepodobna, ponieważ pan de Bragellone, którego mało znam, a mogę nawet powiedzieć, wcale go nie znam, jest w Anglji, a skoro nie widziałem go tak dawno, nie mogłem go obrazić.

— Pan de Bragellone jest w Paryżu, panie hrabio — odrzekł Portos — a co do obrazy, to ta jest istotnie, ponieważ sam mi to powiedział. Tak, panie, powtarzam jego wyrazy, żeś go obraził okrutnie, śmiertelnie.

— Ależ niepodobna, panie baronie, przysięgam, że to nie może być.

— Zresztą — rzekł Portos — nie możesz pan o tem wątpić, gdyż, jak mi pan de Bragellone mówił, już o tem zawiadomił pana listownie.

— Żadnego listu nie odebrałem, daję na to słowo.

— To szczególne — rzekł Portos — bo to, co mi mówił Raoul...

— A ja pana przekonam — rzekł Saint-Agnan — żem żadnego listu nie otrzymał.

I zadzwonił.

— Basque — zawołał — wiele listów przyniesiono w czasie mojej niebytności.

— Trzy, panie hrabio.

— Jakie?

— List od pana de Fiesque, od pani de La Ferte, a trzeci od pana de La Fuentes.

— I to wszystko.

— Wszystko, panie hrabio.

— Powiedz prawdę, w obecności tego pana. Ale zupełną prawdę rozumiesz, bo to ja odpowiem za ciebie.

— Panie był jeszcze liścik od...

— Od?... mów prędko od kogo?

— Od panny La Val...

— To dosyć — przerwał Portos. — Bardzo dobrze, wierzę panu, panie hrabio.

Saint-Agnan odesłał służącego i sam za nim drzwi zamknął, lecz, wracając, spostrzegł wystający papier z zamku przyleg-

łych drzwi a był to ten sam papier, który Bragellone wsunął, wychodząc.

— Co to jest?.... — zapytał:

— He, he — rzekł Portos.

— List w dziurce od klucza — zawołał Saint-Agnan.

— Czy nie będzie to ten sam, o którym mówimy, panie hrabio — rzekł Portos — zobacz pan!

— List od pana de Bragellone — zawołał tenże.

— A widzisz pan, że miałem słuszność. Oho kiedy ja co powiem, to...

— Przyniesiony przez samego pana de Bragellone — rzekł do siebie hrabia, blednąc. — Ależ jak on tu mógł wejść?

Saint-Agnan zadzwonił, Basque wszedł.

— Kto tu był, kiedym pojechał z królem na przechadzkę?

— Nikt, proszę pana.

— To być nie może. Musiał ktoś być!

— Ależ, proszę pana, nikt nie mógł wejść, gdyż klucz miałem przy sobie w kieszeni.

— Przecież ten list, co był w dziurce od klucza, nie mógł sam wejść, musiał go ktoś przynieść.

Basque wzruszył ramionami, na znak, że tego nie pojmuje.

— Niezawodnie pan de Bragellone musiał go tu przynieść — rzekł Portos.

— A więc on tu był?

— Bezwątpienia, mój panie.

— Ale jakże to być mogło, kiedy ja miałem klucz w kieszeni — rzekł Basque.

Saint-Agnan — zgniótł list, wprzód go przeczytawszy.

— Jest w tem coś — mruknął zamyślony.

Portos, zostawił jeszcze chwilę Saint-Agnana jego myślom i kiedy lokaj odszedł, zapytał:

— Czy zechcesz pan pomówić ze mną o interesie?

— Zdaje mi się, żem go już wyczytał w tym bilecie, tak dziwnie tu przybyłym — odrzekł Saint-Agnan — pan Bragellone zapowiada mi bytność swego przyjaciela...

— Ja jestem jego przyjacielem i właśnie o mnie on mówi.

— Ażeby mnie wyzwać!

— Tak.

— I skarży się, żem go obraził.

— Okrutnie, śmiertelnie.

— Ale jakmiże sposobem, gdyż jego postępowanie jest tak skryte, że nie mogę zgadnąć powodów?

— Panie — odpowiedział Portos — mój przyjaciel zapewne ma słuszność, a co do jego postępowania, jeżeli ono jest tajemniczem, to tylko siebie możesz pan o to oskarżać.

— Tajemnica, niechże i tak będzie, cóż to więc za tajemnica?

— Przebacz pan, że w szczegóły wchodzić nie będę, a to dla bardzo ważnych przyczyn.

— Które ja doskonale pojmuję. A zatem dotkniemy ich zlekka. No cóż tedy, słucham pana.

— Najpierwszym powodem jest to, żeś pan zmienił mieszkanie — rzekł Portos.

— To prawda, zmieniłem mieszkanie — rzekł Saint-Agnan.

— A więc pan przyznajesz?... — rzekł Portos z zadowoleniem.

— Czy przyznaję? dlaczegóżbym nie miał przyznać?

— Pan przyznałeś? dobrze, to raz — rzekł Portos, podnosząc palce do góry.

— Ale cóż znowu! cóż za przykrość mogłem wyrządzić panu de Bragellone, zmieniając mieszkanie. Niechże mi pan to objaśni, bo ja zgoła tego nie rozumiem.

— Panie — rzekł Portos poważnie — to właśnie jest pierwszy powód z pomiędzy innych do urazy, jaką pan de Bragellone ma do pana, i jeżeli te powody wylicza, to dla tego, że czuje się obrażonym.

— Ależ to zakrawa na jakąś bezzasadną sprzeczkę — zawołał Saint-Agnan, tupiąc nogą z gniewu.

— Z tak ugrzecznionym, jak pan de Bragellone człowiekiem, nie można się czegoś podobnego spodziewać — odezwał się Portos. — Ale czyż nic pan nie masz dodać w przedmiocie zmiany mieszkania?

— Nic. I cóż dalej?

— Dalej, uważaj pan dobrze, żem już wymienił jedną przyczynę i tak brzydką, na którą pan mi stanowczo nie odpowiadasz. Uważaj pan tylko, pan zmieniasz mieszkanie, to obraża pana de Bragellone, i pan się z tego nie chcesz wytłumaczyć. A to doskonale!

— Jakto — zawołał z gniewem Saint-Agnan, i to z tym większym, im więcej przeciwnik zimnej krwi zachowywał — jakto!

ja, zmieniając mieszkanie, mam zapytywać pana de Bragellone, czy na to zezwoli lub nie? A to chyba pan żartujesz?

— Bardzo względnie, panie, bardzo względnie. Ale przyznasz pan, że to jest niczem w porównaniu z drugą urazą.

— Zobaczymy, cóż to za druga przyczyna?

Portos przybrał minę surową.

—A ta klapa, mój panie — rzekł — ta klapa?

Saint-Agnan zbladł niezmiernie, odsunął krzesło, na którym siedział, tak raptownie, że Portos, chociaż niedomyślny, poznał, że słowa jego trafiły do celu.

— Klapa?... — mruknął Saint-Agnan.

— Tak, panie, klapa, wytłumacz mi się pan z niej jeżeli możesz — rzekł Portos, kiwając głową.

Saint-Agnan spuścił głowę.

— O! jestem zdradzony — szepnął — wszystko wiedzą.

— O! wszystko wiedzą — rzekł Portos chociaż sam nie wiedział nic.

— Widzisz mnie pan zgnębionego tak dalece, że głowę tracę.

— Wyrzut sumienia, panie. O! sprawa pańska jest zła.

— A jak się świat o tem dowie i osądzi...

— A! panie — odrzekł z żywością hrabia — podobnej tajemnicy nikt nie powierza nawet spowiednikowi.

— To postaramy się, ażeby się to nie rozgłosiło.

— Ależ, panie — rzekł Saint-Agnan — czy pan de Bragellone, przenikając tę tajemnicę, zastanowi się nad tem, ile na siebie i innych sprowadzi niebezpieczeństwa.

— Pan de Bragellone nie spodziewa się żadnego niebezpieczeństwa, mój panie, i nie boi się żadnego, czego pan wkrótce przy Boskiej pomocy doświadczysz.

— To zapamiętały człowiek — pomyślał Saint-Agnan — czegóż on odemnie chce?

Poczem dodał głośno:

— No, panie, załagodźmy tę sprawę.

— Pan zapomniałeś o portrecie — zawołał Portos grzmiącym głosem, który ściął krew w żyłach hrabiego.

A ponieważ portret był panny La Valliere, i tu już nie można było się omylić, teraz dopiero panu Saint-Agnan otworzyły się oczy.

— A!... — zawołał — a! panie! przypominam teraz sobie zupełnie, wszak to pan de Bragellone był jej narzeczonym.

Portos przybrał minę nakazującą szanowanie i rzekł:

— Nie należy to do mnie, a tem mniej do pana, czy mój przyjaciel jest lub nie narzeczonym osoby, o której pan z tak małem uszanowaniem wspominasz. A to bardzo pogarsza pańską sprawę.

— Pan jesteś uosobioną delikatnością, grzecznością i szczerością. Już wiem, o co rzecz idzie.

— Tem lepiej — rzekł Portos.

— I — mówił dalej Saint-Agnan — dałeś mi pan to poznać w sposób najdowcipniejszy i najwyszukańszy. Dziękuję panu, bardzo dziękuję.

Portos się napuszył.

— A ponieważ teraz wiem wszystko, chciej posłuchać a wytłumaczę ci...

Portos poruszył się, jak człowiek, nie chcący słuchać, lecz Saint-Agnan mówił dalej:

— Czuję conajmniej nieszczęście, jakie spotkało pana de Bragellone, ale jakżebyś i pan w mojem połczeniu uczynił. No powiedz pan otwarcie, jakbyś postąpił?

— Nie idzie tu o to, jakbym postąpił — odpowiedział Portos — wszakże pan masz już sobie oświadczone trzy powody; nieprawdaż?

— Co do pierwszego, to jest co do zmiany mieszkania, mój panie, a mówię do pana, jak do człowieka światłego i prawego, cóżbyś pan uczynił, gdyby czyjaś inna wola zażądała tego. Czyż mogłem, czyż powinienem był nieposłusznym być?

Portos uczynił poruszenie, którego Saint-Agnan nie dał mu dokończyć.

— A! moja otwartość wzruszyła cię, panie — rzekł, — tłumacząc poruszenie jego na swoją korzyść. — Już eś pan przekonany, że mam słuszność.

Portos nic nie odpowiedział.

— Przystępuję teraz do tej nieszczęśliwej klapy — mówił dalej Saint-Agnan, opierając rękę na ramieniu Portosa — ta klapa, przyczyna złego, środek złego, ta klapa, zrobiona jest dla wiadomego użytku. Powiedz pan, czy możesz przypuścić, abym ja, z mojej własnej woli, mógł otwierać tę klapę, przeznaczoną... O nie, pan mi wierzysz! tu znowu pan czujesz, zgadujesz i pojmujesz wolę wyższą niż moja. Pan umiesz ocenić ten pociąg: nie mówię tu o pociągu miłości, tym niepohamowanym nieroz-

sądku. Mój Boże... Ale, na szczęście, mam do czynienia z człowiekiem prawym i pełnym czułości, inaczej bowiem ileż nieszczęścia i hańby dla niej, biedne dziecię... i dlatego... którego nie chcę wymienić.

Portos oburzony tym nawałem wyrazów, napróżno natężał umysł, ażeby cokolwiek zrozumieć.

Saint-Agnan, wpadłszy na drogę przekonywania, nie przestawał mówić, nadając coraz większą moc swemu głosowi i ruchom.

— Co do portretu, gdyż mniemam, że portret jest najgłówniejszym powodem urazy, co do portretu, mówię, czy jestem choć trochę winien, uważaj pan tylko! kto żądał mieć jej portret? Czy ja?... Kto się w niej kocha? Czy ja? Kto chce jej wzajemności... Czy ja? Z kimże ona jest w stosunkach?... Czy ze mną? Nie. Tysiąc razy, nie!... Wiem, że pan de Bragellone mocno to czuje, wiem, że podobne cierpienia są dotkliwe. Ale cóż robić? Jeżeli będzie walczył z tak potężnym przeciwnikiem, narazi siebie na pośmiewisko, a jeżeli będzie uparty, zgubi siebie. Zapewne powiesz pan, że rozpacz często nie zna granic. Ale pan jesteś rozsądnym, pan mnie pojmujesz, widzę to po poważnym wyrazie twarzy jego, zastanawiającym się, a nawet cokolwiek pomieszanym ważnością tego wypadku. Wracaj pan do pana de Bragellone, podziękuj mu tak, jak ja mu dziękuję, iż wybrał na pośrednika między nami tak zacnego, jak pan człowieka. Chciej pan wierzyć, iż wieczną zachowam wdzięczność dla tego, który tak szlachetnie i tak roztropnie załatwił nasze nieporozumienie. A ponieważ nieszczęście chciało, aby tajemnica ta była wiadomą czterem zamiast trzem osobom, tajemnica, która może uszczęśliwić nas, cieszę się z całego serca, że los zesłał mi pana na uczestnika. Rozporządzaj więc pan mną, jestem na jego rozkazy. Co chcesz, ażebym zrobił dla ciebie, mów panie, wymagaj, rozkazuj nawet!...

I, podług zwyczaju ówczesnych dworaków, Saint-Agnan uściskał Portosa serdecznie.

Portos siedział nieporuszony.

— Mów pan — powtórzył Saint-Agnan — czego żądasz?...

— Panie — rzekł Portos — przededrzwiami stoi koń, zrób mi pan tę przyjemność, wsiądź na niego, jest doskonale ujeżdżony i bez żadnych narowów.

— Wsiąść na konia, a to na co?... — zapytał Saint-Agnan zdziwiony.

— Pojedziemy tam, gdzie na nas czeka pan de Bragellone.

— A pojmuję, chciałby ze mną pomówić... dowiedzieć się szczegółów. Niestety, to bardzo rzecz drażliwa!... Ale w tej chwili uczynić tego nie mogę. Bo król na mnie czeka.

— To niech poczeka — rzekł Portos.

— Jakto?... co?... król niech czeka?... przerwał z uśmiechem zadziwienia Saint-Agnan, bo jako dworak nie pojmował tego, aby król mógł czekać.

— To nie długo potrwa — rzekł Portos — małą godzinkę.

— Ale gdzież na mię czeka pan de Bragellone?...

— W Vincennes, około klasztoru Reformatów.

— A toż co?... czy pan żartujesz?...

— Nie myślę o tem nawet.

I Portos nadał najsurowszy wyraz swojej twarzy.

— Ależ około Reformatorów jest zwykłe miejsce pojedynków.

— No to cóż?...

— A więc cóż ja mam tam robić?...

Portos dobył powoli szpadę.

— Oto jest długość szpady mojego przyjaciela.

— Co u licha. To warjat — krzyknął Saint-Agnan.

Portos zaczerwienił się z gniewu.

— Panie — rzekł — gdybym nie miał zaszczytu być w jego mieszkaniu i w interesie pana de Bragellone, niezawodniebym pana oknem wyrzucił. Ale pozostawiam sobie tę przyjemność na później i nie stracisz pan pewno na czekaniu. No pójdziesz pan do Reformatów?...

— E!...

— Jedziesz pan dobrowolnie?...

— Ale...

— Jeżeli pan nie chcesz iść dobrowolnie... to ja pana tam zaniosę.

— Basque!... — zawołał pan de Saint-Agnan.

Basque wszedł.

— Król wzywa do siebie pana hrabiego.

— To co innego — rzekł Portos — służba dla króla przedewszystkiem, czekamy tam na pana aż do wieczora.

I, kłaniając się z całą dworszczyzną, pożegnał pana de Saint-Agnan, nadzwyczaj z siebie zadowolony.

Po jego odejściu, Saint-Agnan pośpieszył do króla, powtarzając.

— Do Reformatów!... ha... do Reformatów. Zobaczymy, jak król przyjmie to wyzwanie, gdyż rzeczywiście wyzwany jestem i powinienem tam być.

CXCVIII

WSPÓŁZAWODNICY U DWORU.

Król, po przechadzce tak pomyślnej dla Apollina, w czasie której każdy z dworaków musiał w miarę zdolności zapłacić muzom podatek — wróciwszy do pałacu, zastał pana Fouqueta, oczekującego na posłuchanie.

Za królem szedł Colbert, który oczekiwał przybycia króla na korytarzu i postępował krok w krok, jak cień opiekuńczo-zazdrosny.

Colbert z głową prawie czworokątną, w bogatych szatach rozpiętych, podobny był bardzo do bogatego Flamendczyka po kilkunastu kuflach piwa.

Fouquet, na widok swego nieprzyjaciela, pozostał spokojnym i starał się przez cały czas jego obecności zachować jednaki sposób z nim obejścia, tak trudny dla człowieka wyższego, którego serce, przepełnione pogardą, nie śmie jej nawet okazać, z bojaźni, aby i tem nawet nie sprawić zaszczytu swemu przeciwnikowi.

Colbert nie taił radości uwłaszczającej.

Podług niego sprawa pana Fouquet była źle poprowadzona i stracona bezpowrotnie, chociaż nie była jeszcze ukończona.

Colbert należał do tej szkoły polityków, którzy podziwiają tylko zręczność a szacują pomyślny skutek.

Co więcej: Colbert, chociaż nie był zazdrosny wszystkie interesa króla uważał za swoje, i dlatego, że był prawdziwie uczciwym rachmistrzem, mógł z łatwością nabrać przekonania, wzmacnianego nienawiścią, że, gubiąc Fouqueta, ma na celu dobro państwa i godność monarchy.

Żadna z tych myśli nie uszła baczności Fouqueta, umiał on pod gęstą brwią i ciągłem mruganiem oczu przeciwnika wyczy-

tać, co się dzieje w jego sercu i znalazł w niem nienawiść i triumf.

Ale, przenikając go, chciał zostać sam nieprzeniknionym, ułożył więc twarz, uśmiechnął się tym pociągającym uśmiechem, jemu tylko właściwym i nadał giętkość i ujmującą zarazem powagę swojemu ukłonowi.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — wyczytuję z twarzy Waszej Królewskiej Mości, żeś zadowolony z przejażdżki.

— Oczarowany jestem, prawdziwie oczarowany, panie nadintendencie. Żałuj, żeś nam nie towarzyszył, chociażem cię zaprosił.

— Najjaśniejszy Panie, pracowałem — odpowiedział intendent.

Fouquet nie potrzebował nawet głowy odwrócić, nawet nie patrzał w stronę, gdzie był Colbert.

— A!... więc, panie Fouquet!... — wykrzyknął król. — Mój Boże, jakżebym chciał zawsze żyć na wsi, na świeżem powietrzu pod drzewami.

— Mam nadzieję, że Wasza Królewska Mość nie jest znudzony tronem — odrzekł Fouquet.

— Nie, ale trony z zieloności bardzo są miłe.

— Prawdziwie, Najjaśniejszy Panie, Wasza Królewska Mość, tak mówiąc, spełniasz wszystkie moje życzenia, a właśnie mam przedstawić prośbę...

— Od kogo, panie nadintendencie?

— Od nimf z Vaux.

— A!... a!... — rzekł Ludwik XIV-ty.

— Najjaśniejszy Panie, raczyłeś mi przyrzec — rzekł Fouquet.

— Tak!... przypominam sobie.

— Zabawa w Vaux, wspaniała zabawa, nie prawdaż, Najjaśniejszy Panie?... — rzekł Colbert, starając się wtrącić do rozmowy.

Fouquet, pełen pogardy, nie odpowiedział mu nic na to, jakby mu wszystko było jedno, czy Colbert mówi czy nie.

— Wasza Królewska Mość — rzekł — wie, że moją wieś Vaux przeznaczyłem na przyjęcie najpotężniejszego z królów.

— Przyrzekłem, panie — odrzekł Ludwik XIV-ty z uśmiechem — a król nie cofa słowa.

— Ja zaś, Najjaśniejszy Panie, przyszedłem powiedzieć, że jestem na jego rozkazy.

— A obiecujesz mi tam dużo cudów, panie nadintendencie?...

I Ludwik XIV-ty spojrzał na Colberta.

— Cudów, nie, ale śmiem przyrzec, trochę rozrywki, a może i trochę wypoczynku.

— Nie, nie, panie Fouquet — rzekł król — nie odstępuję od wyrazu cudów. O, jesteś czarodziejem, znamy moc twoją, wiemy, że znajdziesz złoto, choćby go nie było w świecie. Dlatego też naród mówi, że je robisz.

Fouquet uczuł, że cios ten zadany jest z podwójnego kołczanu, i że król rzucił mu strzałę ze swego łuku i z łuku Colberta, jednak zaczął się śmiać.

— O! — rzekł — lud wie doskonale, z jakiej kopalni biorę to złoto... może nawet za wiele wie; zresztą — dodał dumnie — mogę zapewnić W. K. Mość, że złoto, przeznaczone na opłacenie zabawy w Vaux, nie wyciśnie ani jednej kropli krwi, ani jednej łzy, może tylko trochę potu, ale to się zapłaci.

Król zdziwił się i chciał spojrzeć na Colberta.

Colbert chciał odpowiedzieć, ale rzut oka orli, otwarty, nawet królewski, ciśnięty przez Fouqueta, zatrzymał mu słowa w ustach.

Król ochłonąwszy, zwrócił się do Fouqueta i rzekł:

— A zatem pan formalnie zapraszasz?

— Tak jest, jeżeli W. K. Mości podoba się.

— Na kiedyż to?

— Kiedy W. K. Mości będzie najdogodniej.

— Mówisz, jak czarodziej, który robi, co chce, panie Fouquet. Ja o sobie tego nie mogę powiedzieć.

— W. K. Mość uczyni wszystko, co zechce, wszystko, co król może i co powinien. Król Francji ma podwładnych, poświęconych na jego usługi i zabawy.

Colbert chciał wyczytać z twarzy nadintendenta, czy słowa te nie są powrotem uczuć mniej nieprzyjaznych; Fouquet nie spojrzał nawet na niego.

Dla niego nie było Colberta na świecie.

— No to za ośm dni? czy zgoda? — rzekł król.

— Dobrze, za ośm dni, N. Panie.

— Mamy dziś wtorek, więc do przyszłej niedzieli.

— Czas, jaki przeznacza łaskawie W. K. Mość, będzie silnym pomocnikiem dla moich budowniczych w pracach, jakie przedsięwezmą dla uprzyjemnienia zabaw królowi i jego przyjaciełom.

— A mówiąc o moich przyjaciołach, kogoż uważasz za takich? — rzekł król.

— N. Panie! król jest wszędzie panem, król wymieni gości i da rozkazy. A wszyscy, których wymieni, będą dla mnie bardzo szacownymi gośćmi.

— Dziękuję — rzekł król, tknięty temi szlachetnemi wyrazy.

Po kilku słowach, poświęconych interesom, Fouquet, pożegnał Ludwika XIV.

Czuł, że Colbert pozostanie z królem, że będą o nim mówili, i że ani jeden, ani drugi pewno nie będą go oszczędzali. Uczucie przyjemności z zadania ostatniego ciosu, i to okrutnego, swemu nieprzyjacielowi, przedstawiło mu się jako wynagrodzenie za to, co miał jeszcze cierpieć.

Wrócił więc spiesznie, chociaż już trzymał za klamkę i, zwracając się do króla, rzekł:

— Przebacz! N. Panie, przebacz!

— Cóż mam przebaczyć? — odrzekł król uprzejmie.

— Błąd wielki, który niepostrzeżenie popełniłem.

— Błąd, pan, a! panie Fouquet, naturalnie, że muszę przebaczyć; ale przeciwko czemu, lub komu zgrzeszyłeś?

— Przeciw przyzwoitości, N. Panie. Zpomniałem zawiadomić W. K. .Mość o dość ważnej okoliczności.

— O jakiej?

Colbert zadrżał; zdawało mu się, że go oskarża, że postępowanie jego będzie odkryte.

Jedno słowo Fouqueta, jeden dowód przytoczony, a w młodzieńczej szczerości Ludwika XIV zniknęłyby wszystkie względy dla Colberta.

Zadrżał więc, aby cios tak śmiały nie obalił całej tej budowy, a właśnie była to pora do zadania go, tak piękna, że i przebiegły Aramis pewnoby jej nie odrzucił.

— N. Panie — rzekł Fouquet niedbale — ponieważ W. K. Mość był łaskawy mi przebaczyć, mam wolne sumienie. Oto dziś zrana sprzedałem jeden z moich urzędów.

— Jeden z urzędów swoich? — wykrzyknął król — któryż?

Colbert pożółkł.

— Ten, który mię ubierał w togę i nadawał twarz surową; urząd prokuratora generalnego.

Król krzyknął mimowolnie i spojrzał na Colberta.

Temu pot spływał kroplami i tylko co nie zemdlał.

— Komużeś sprzedał ten urząd? — spytał król.

Colbert oparł się o galerję kominka.

— Panu Vanel, radcy parlamentowemu, N. Panie!

— Panu Vanel?

— Przyjacielowi pana intendenta Colbert — dodał Fouquet, wymawiając te słowa z lekceważeniem nie do naśladowania, któregoby żaden malarz, aktor i poeta nie byli w stanie naśladować.

A przytłoczywszy Colberta ciężarem swej nad nim wyższości, pożegnał nanowo króla i odszedł, w połowie pomszczony osłupieniem króla i poniżeniem jego ulubieńca.

— Czyż podobna? — mówił król sam do siebie po odejściu Fouqueta. — Czy podobna, ażeby on sprzedał ten urząd?

— Tak jest, N. Panie — odpowiedział Colbert znacząco.

— Chyba zwarjował — rzekł król.

Colbert tym razem nic nie odpowiedział, bo odgadł. Myśl ta pomściła go dostatecznie. Do jego nienawiści przyłączyła się zazdrość; do jego projektów zagłady przyłączyła się pogróżka niełaski. Od tej chwili uczuł Colbert, że pomiędzy nim i Ludwikiem XIV myśli nieżyczliwe nie znajdą przeszkody, a najpierwszy błąd ze strony Fouqueta, któryby mógł posłużyć za powód, przyśpieszy jego karę.

Fouquet rzucił już broń, a nienawiść i zazdrość ją podniosły.

Colberta król zaprosił na zabawę do Vaux; ten podziękował za to, jak człowiek pewny siebie, a przyjął to tak, jak człowiek, który pojmuje, że robi łaskę. Król właśnie wpisał na listę zaproszonych gości nazwisko Saint-Agnana, kiedy odźwierny zapowiedział przybycie tegoż.

Colbert wymknął się za przybyciem tego Merkurego królewskiego.

CXCIX

WSPÓŁZAWODNICY W MIŁOŚCI.

Dwie godziny upłynęły od opuszczenia Ludwika XIV-go przez Saint-Agnana, a w obecnem podnieceniu miłości, król kiedy nie widział panny La Valliere, musiał koniecznie o niej mówić. Jedyną zaś do tego osobą był Saint-Agnan, który też stał mu się koniecznie potrzebnym.

— Ah!... to ty, panie hrabio!... — zawołał król, spostrzegając go, podwójnie uradowany, po pierwsze, że go zobaczył, powtóre, że nie patrzał na Colberta, którego twarz ponura zawsze go zasmucała. — Tem lepiej, jestem bardzo kontent, że cię widzę. Wszak będziesz należał do naszej podróży, nieprawdaż?...

— Do podróży, Najjaśniejszy Panie?... — spytał Saint-Agnan — a do jakiej podróży?...

— Do podróży, którą przedsiębierzemy aby korzystać z zaba wy, jaką nam daje pan nadintendent w Vaux. Ot dopiero zobaczysz zabawę królewską zabawę, wobec której nasze rozrywki w Fontainebleau są tylko zabawkami dziecinnemi.

— W Vaux? Nadintendent daje zabawę dla W. K. Mości i to tylko w Vaux i nic więcej.

— Nic więcej! wiesz, że pocieszny jesteś z tą miną pogardliwą. Czy wiesz o tem ty, co mówisz tak lekceważąco, że jak się ludzkie dowiedzą, iż pan Fouquet będzie mnie przyjmował w Vaux, w niedzielę za ośm dni, wiedz o tem, że zabijać się będą, aby zaproszonymi być na tę zabawę? Powtarzam więc, że będziesz nam towarzyszył.

— Chętnie, jeżeli od dziś za ośm dni nie będę już na dłuższej i mniej przyjemnej drodze.

— Jakiej?

— Przez rzekę Styx, Najjaśniejszy Panie!

— Cóż znowu — rzekł Ludwik XIV, śmiejąc się.

— Ale bez żartu, Najjaśniejszy Panie! — rzekł Saint-Agnan. — Jestem do tego zaproszony i to w taki sposób, że nie widzę, jakbym mógł się wymówić.

— Ja ciebie nie rozumiem, mój kochany. Wiem, że jesteś poetą, ale staraj się na teraz być zrozumiałym.

— A więc jeżeli Wasza Królewska Mość chce mnie posłuchać, nie będę go więcej męczył domysłami.

— Mów.

— Czy Najjaśniejszy Pan zna pana barona du Vallon?..

— Czemuż nie, wierny sługa króla mojego ojca, dobry towarzysz przy obiedzie, bo zapewne to o tym samym mówisz, co jadł obiad z nami w Fontainebleau.

— Nie inaczej. — Ale Wasza Królewska Mość zapomniał wymienić jeszcze jeden jego przymiot: jest to uprzejmy zabijacz ludzi.

— Jakto, czyżby cię pan du Vallon chciał zabić!... O!... to pocieszne!...

— Nie śmiej się, Najjaśniejszy Panie, niema nic prawdziwszego.

— I mówisz, że on cię chce kazać zabić.

— Jest to w tej chwili najgorętszą chęcią tego zacnego szlach cica.

— Bądź spokojny! jeżeli to jego wina, to ja cię obronię od tego.

— Aha!... jest już jeżeli...

— Bezwątpienia. No opowiedz mi to tak, jakby to było o kim innym, mój biedny Saint-Agnan.. Czy on winien czy nie.

— Wasza Królewska Mość osądzi.

— Cóżeś mu zrobił?

— O jemu nic, ale zdaje się, żem coś zrobił jednemu z jego przyjaciół.

— To tak samo, jakby jemu, a ten przyjaciel czy to jeden z tych sławnych czterech.

— Nie, ale to syn jednego z tych czterech. Otóż i cały sekret.

— A cóżeś temu synowi zrobił?

— Do licha, dopomogłem komuś do odmówienia mu jego kochanki.

— I ty to sam przyznajesz?

— A juścić nie mogę nie przyznać, gdyż tak jest rzeczywiście.

— W takim razie, winieneś.

— A! i to Wasza Królewska Mość mówi, żem winien?

— Tak, i na honor, gdyby cię zabił!...

— To cóż?

— To... będzie miał słuszność.

— Czy tak sądzisz, Najjaśniejszy Panie?

— A ty uważasz tę procedurę za złą?

— Nie, tylko trochę za prędką.

— Dobra sprawiedliwość jest prędką, tak mówił mój dziad Henryk IV-ty.

— W takim razie co prędzej podpisz, Najjaśniejszy Panie, ułaskawienie dla mego przeciwnika, który na mnie czeka około Reformatów.

— Jego imię i kawałek pargaminu.

— Pargamin leży na stoliku Waszej Królewskiej Mości, a co do jego imienia...

— A co do jego imienia...

— Jest to wicehrabia de Bragellone.

— Wicehrabia Bragellone — krzyknął król, przechodząc ze śmiechu do największego osłupienia. I po chwili milczenia, w ciągu której otarł pot, jaki mu na czoło wystąpił: — Bragellone!... — rzekł zcicha.

— Tak, on, Najjaśniejszy Panie — rzekł Saint-Agnan.

— Bragellone, narzeczony...

— O! mój Boże, tak, Bragellone, narzeczony.

— Ale przecież on był w Londynie?

— Ale mogę zaręczyć Waszej Królewskiej Mości, że tam nie jest.

— I jest w Paryżu?

— Tu, około Reformatów, jak miałem zaszczyt powiedzieć Waszej Królewskiej Mości.

— I wie o wszystkiem?

— I o wiele jeszcze innych rzeczach! Jeżeli Wasza Królewska Mość zechce przeczytać list, który do mnie pisał...

I Saint-Agnan wyjął z kieszeni list, nam już wiadomy.

— Gdy Wasza Królewska Mość przeczyta list, będę miał zaszczyt powiedzieć, jakim sposobem mnie doszedł.

Król, przeczytawszy niespokojnie, zapytał:

— Więc jakże.

— Wasza Królewska Mość zna pewien zamek, ozdobiony snycerszczyzną, który zamyka pewne drzwi hebanowe, co przedzie-

lają pewien pokój od pewnej świątyni, ozdobionej obiciem białem z niebieskiem.

— No, wiem, gabinet Ludwiki.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie. Otóż w dziurce od klucza w tym pokoju znalazłem ten list. Kto go tam włożył? Albo pan de Bragellone, albo djabeł. Ale list ten czuć ambrą nie siarką: wnoszę, stąd, że to nie djabeł, tylko pan de Bragellone.

Ludwik zwiesił głowę i jakby był pogrążony w smutnych myślach. Może w tej chwili coś nakształt zgryzoty przemknęło się przez jego serce.

— O!... — rzekł — a więc tajemnica odkryta?

— Najjaśniejszy Panie, postaram się, aby tajemnica ta umarła w piersiach, które ją posiadają — rzekł Saint-Agnan tonem prawdziwie hiszpańskiej chełpliwości.

I uczynił poruszenie, jakby chciał wyjść z pokoju, lecz król go zatrzymał.

— Dokąd idziesz?... — spytał król.

— Tam gdzie mnie oczekują, Najjaśniejszy Panie.

— I cóż tam będziesz robił?

— Najpewniej będziemy się bili.

— Ty bić się!... — wykrzyknął król. — Zaraz, mości hrabio, proszę zaczekać.

Saint-Agnan poruszył głową, jak uparte dziecko, któremu nie pozwalają skoczyć do studni albo bawić się nożem.

— Ależ przecie, Najjaśniejszy Panie... — odrzekł.

— Ależ zaraz, potrzebuję jeszcze objaśnienia.

— Jeżeli tylko o to idzie, niech Wasza Królewska Mość raczy pytać, a ja go objaśnie.

— Kto ci powiedział, że Bragellone był w pokoju, o którym mówimy?

— Bilet w zamku jest tego dowodem.

— A cóż cię przekonywa, że to on go tam włożył?

— Któż inny miałby śmiałość to uczynić?

— Masz słuszność, ale jakże się on tam dostał?

— A! ta wiadomość jest bardzo ważna, tembardziej, że wszystkie drzwi były zamknięte, a mój służący, Basquet, miał klucze w kieszeni.

— Zapewne przekupiono twego służącego.

— Niepodobna, Najjaśniejszy Panie.

— Dlaczego niepodobna?

— Bo gdyby go przekupiono, toby nie chciano zgubić tego biednego chłopca, którego mogliby potrzebować później.

— To prawda. A więc pozostaje tylko jedno domniemanie.

— Zobaczymy, Najjaśniejszy Panie, czy to domniemanie będzie to samo, na które i ja wpadam.

— Ja przypuszczam, że on wszedł przez schody.

— Niestety, Najjaśniejszy Panie, to mi się wydaje najpewniejszem.

— Ależ w takim razie musiał mu ktoś sprzedać tajemnicę tej klapy.

— Sprzedać, albo wydać.

— Dlaczegóż kładziesz tą różnicę?

— Ponieważ są pewne osoby, Najjaśniejszy Panie, które, będąc wyższe nad cenę zdrady, wydają tajemnice, ale ich nie sprzedają.

— Co mówisz?

— Najjaśniejszy Panie, ty, co posiadasz tyle domyślności, nie zechcesz mi przykrości sprawić, ażebym miał wymienić nazwisko.

— Prawda, że to księżna?

— Tak — odrzekł Saint-Agnan.

— Księżna, którą zmiana twego mieszkania tak niepokoiła.

— Księżna, która ma klucze od pokojów swoich panien i która jest dosyć możną, ażeby odkryć to, czego nikt, wyjąwszy ciebie, Najjaśniejszy Panie, jej nie odkryje.

— I myślisz, że ona porozumiała się z Bragellonem, tak dalece, że mu opowiedziała szczegóły?

— Może jeszcze coś więcej.

— Coś więcej... dokończ.

— Może mu towarzyszyła.

— Dokąd? na dół... do ciebie?

— Czy myślisz, Najjaśniejszy Panie, że to jest niepodobieństwem?

— Ależ!

— Wiesz, Najjaśniejszy Panie, że księżna lubi perfumy.

— Wiem! jest to zwyczaj, przejęty od mojej matki.

— Nadewszystko perfumy z róży.

— Jest to jej zapach najulubieńszy.

— Otóż cały mój pokój pełny jest tego zapachu.

Król zamyślił się.

— Ale — dodał po chwili — dlaczegóżby księżna brała stronę Bragellona przeciw mnie?

I, mówiąc te słowa, na które Saint-Agnan łatwoby odpowiedział słowami: "Zazdrość kobieca," król utopił wzrok w niego, ażeby przeniknąć czy ma pojęcie o jego stosunkach z bratową.

Ale Saint-Agnan był zbyt przebiegłym dworakiem.

Nie odważył się tak snadno zgłębiać tajemnic familijnych.

Zbyt wielkim był przyjacielem muz, ażeby nie myślał często o biednym Owidjuszu Nasonie, którego oczy tyle łez wylały, aże by zatrzeć zbrodnię, iż zobaczył w domu Augusta to, czego nie powinien był widzieć.

Ominął więc zręcznie tajemnicę księżny.

Ale ponieważ dał dowód przebiegłości w dowiedzeniu się, że to księżna była u niego z Bragellonem, należało więc zapłacić dobry procent od miłości własnej i odpowiedzieć wprost na zapytanie: "Dlaczego księżna jest z Bragellonem przeciwko mnie?

— Dlaczego?... — odpowiedział Saint-Agnan — Chyba Wasza Królewska Mość zapomniałeś, że hrabia de Guiche jest w najściślejszej z Bragellonem przyjaźni.

— Nie widzę w tem żadnego związku — odpowiedział król.

— A! przepraszam, Najjaśniejszy Panie, — odrzekł Saint-Agnan — ja mniemałem, że pan de Guiche jest wielkim przyjacielem księżny.

— To prawda — odrzekł król — niepotrzeba już dłużej szukać, cios padł stamtąd.

— A czy nie jesteś zdanie, Najjaśniejszy Panie, że trzeba zadać drugi, ażeby go odbić?

— Niezawodnie, ale nie tego rodzaju ciosy, jakie sobie zadają w lesie Vincennes — odpowiedział król.

— Wasza Królewska Mość zapomina, że jestem szlachcicem, i że mnie wyzwano.

— To ciebie nie dotyczy.

— Ależ to na mnie przeszło od godziny czekają około Reformatów, i będę shańbiony jeżeli tam nie pójdę.

— Pierwszym zaszczytem szlachcica jest posłuszeństwo dla króla. Rozkazuję, żebyś pozostał.

— Ależ, Najjaśniejszy Panie!

— Bądź posłuszny.

— Ha, jak się podoba Waszej Królewskiej Mości.

— Zresztą chcę zupełnie wyjaśnić tą sprawę, chcę wyjaśnić, kto z taką śmiałością zażartował ze mnie i dostał się do moich najtajniejszych pokojów. Tych, którzy to zrobili, nie ty, panie Saint-Agnan, ukarzesz, bo oni nie na twój, lecz na mój honor na stają.

— Błagam Waszą Królewską Mość, abyś swoim gniewem nie obarczał pana de Bragellone, który w całej tej sprawie może być przekroczył granicę roztropności, ale nie przestał być uczciwym.

— Dość tego, potrafię ja rozróżnić winnego od niewinnego, nawet w najwększem uniesieniu. Ale nadewszystko, ani słowa o tem księżnie.

— Ale jakże postąpić z panem de Bragellone, Najjaśniejszy Panie? Przecież on mnie będzie szukał i...

— Ja z nim pomówię o tem, albo każę z nim pomówić tego jeszcze wieczora.

— Jeszcze raz błagam Waszą Królewską Mość o przebaczenie.

— Panie hrabio — rzekł król, marszcząc brwi — dość długo byłem pobłażającym i czas już pokazać niektórym osobom, że jestem panem u siebie.

Zaledwie król wyrzekł te słowa, dowodzące, że do nowej urazy przyłączyła się i dawniejsza, kiedy lokaj wszedł do gabinetu.

— Cóż tam?... dlaczego przychodzisz, kiedy cię nie wołam?..

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł lokaj — Wasza Królewska Mość rozkazał mi raz na zawsze, ażebym wpuszczał pana hrabiego de La Fere, ile razy tylko zażąda.

— No i cóż?...

— Pan hrabia de La Fere jest w przedpokoju.

Król i Saint-Agnan spojrzeli po sobie wzrokiem w którym więcej było niepokoju, niż zadziwienia.

Ludwik zawahał się przez chwilę, ale prawie natychmiast, powziąwszy postanowienie, rzekł do Saint-Agnana:

— Idź, zobacz się z Ludwiką; opowiedz jej, co tu się przeciw nam knuje; nie taj tego, żek sieżna rozpoczęła znów prześladowanie i, że użyła do tego ludzi, którzy daleko lepiejby zrobili, gdyby się do tego nie mieszali.

— Gdyby się Ludwika tem przestraszyła — mówił dalej król — uspokój ją, powiedz jej, że miłość królewska jest dla niej nieprzebitą tarczą. A jeżeli już wie o wszystkiem, albo jeżeli ją

zaniepokojono, powiedz jej, Saint-Agnan — dodał król, drżąc z gniewu — powiedz jej, że w takim razie zamiast jej bronić, zemszczę się za nią, ale to tak surowo, że nikt później nie będzie śmiał wznieść na nią oczu.

CC

KRÓL I SZLACHETNOŚĆ.

Ludwik uspokoił się natychmiast i przybrał na twarzy wyraz uprzejmości.

Przewidywał, że hrabia nie przybywa przypadkiem.

Przeczuwał ważność tych odwiedzin.

Ale człowiekowi, tak zasłużonemu jak Atos, umysłu tak wybitnego, nie chciał się okazać nieprzyjemnym lub źle usposobionym.

Kiedy się więc przekonał, że się zupełnie uspokoił, chociaż tylko na pozór, rozkazał lokajowi, ażeby wprowadził Atosa.

W kilka minut potem Atos, w ubraniu dworskiem, okryty orderami, które on tylko miał prawo nosić na dworze francuskim, stawił się z miną tak poważną i uroczystą, iż król, od pierwszego rzutu oka, mógł się przekonać, czyli mylił się lub nie w swoich przeczuciach.

Ludwik, postąpiwszy krok naprzód ku hrabiemu, podał mu rękę, którą tenże pocałował z uszanowaniem.

— Panie hrabio de La Fere — rzekł król prędko — tak rzadkim jesteś gościem u mnie, że widzieć cię jest dla mnie szczęśliwym wypadkiem.

Atos ukłonił się i odpowiedział:

— Chciałbym mieć to szczęście być zawsze przy Waszej Królewskiej Mości.

Odpowiedź ta, wyrzeczona takim tonem, znaczyła właściwie:

— Chciałbym być jednym z doradców królewskich, aby mu oszczędzić błędów.

Król uczuł ją, przygotowany naprzód zachować wobec tego człowieka wyższość spokoju, wraz z wyższością dostojeństwa.

— Widzę, że mi masz coś powiedzieć, — rzekł król.

— Bez tego nie byłbym się tak śmiało stawił przed Waszą Królewską Mością.

— Mówże prędko, panie, bo chciałbym jaknajprędzej spełnić twe życzenie.

Król usiadł.

— Jestem przekonany — rzekł Atos głosem cokolwiek wzruszonym — że Wasza Królewska Mość zaspokoisz mnie zupełnie.

— A — rzekł król z pewną wyniosłością — więc pan tu przychodzisz ze skargą?

— Nie będzie to skargą — odrzekł Atos — jeżeli Wasza Królewska Mość... ale wybacz, Najjaśniejszy Panie, że muszę wrócić do początku.

— Słucham.

— Wasza Królewska Mość przypomina sobie, że, w czasie odjazdu pana de Buckingham, miałem zaszczyt z nim rozmawiać.

— W tym czasie... tak... podobno... tak, przypominam sobie, tylko przedmiotu rozmowy naszej nie pamiętam.

Atos zadrżał.

— Będę miał zaszczyt przypomnieć Waszej Królewskiej Mości. Wówczas prosiłem o rękę panny La Valliere dla pana de Bragellone.

— Otóż masz — pomyślał król. — Przypominam sobie — dodał głośno.

— Wtenczas — mówił dalej Atos — Wasza Królewska Mość tak byłeś dobrym i wspaniałomyślnym względem mnie i pana de Bragellone, że żadne ze słów Waszej Królewskiej Mości nie wyszło mi z pamięci.

— Ja?... — rzekł król.

— Król, którego wówczas prosiłem o pannę La Valliere, dla pana de Bragellone, odmówił mi.

— To prawda — odpowiedział cicho Ludwik.

— Kładąc za przyczynę — pospieszył dodać Atos — że narzeczona niema żadnego znaczenia w świecie.

Ludwik zmuszał się do cierpliwego słuchania.

— Że... — dodał Atos — nie jest bogatą.

Król wcisnął się głębiej w krzesło.

— Że jest dość niskiego urodzenia.

Nowa niecierpliwość ze strony króla.

— I że wcale nie jest piękną — dodał nielitościwie Atos.

Ten ostatni pocisk w serce kochanka pozbawił go cierpliwości.

— Panie — rzekł król — doskonałą masz pamięć.

— Ona mię nigdy nie opuszcza, kiedy mam ten wielki zaszczyt rozmawiania z królem — odrzekł hrabia niezmieszany.

— No niechże i tak będzie, powiedziałem to wszystko.

— I mam wielką wdzięczność dla Waszej Królewskiej Mości, bo słowa jego świadczyły o zaszczytnej życzliwości dla pana de Bragellone.

— Zapewne pan sobie także przypominasz — rzekł król — że był bardzo temu małżeństwu przeciwny?

— Prawda, Najjaśniejszy Panie.

— I że prosiłeś o jej rękę bardzo niechętnie.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie.

—W końcu przypominam sobie także, bo i ja prawie równie dobrą, jak pan, mam pamięć przypominam sobie, mówię, żeś wówczas wyrzekł te słowa: "Nie wierzę w miłość panny La Valliere dla pana de Bragellone." Czy to prawda?

Atos uczuł pocisk, ale się nie cofnął.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Atos — miałem już zaszczyt przeprosić Waszą Królewską Mość, ale w naszej rozmowie są rzeczy, które będą zrozumiane aż przy końcu.

— A więc kończmy ją.

— I owszem: Wasza Królewska Mość mówiłeś, żeś odroczył ten związek jedynie dla dobra pana de Bragellone.

Król zamilkł.

— Dziś pan de Bragellone jest tak nieszczęśliwy, że nie może dłużej odkładać i prosi Waszą Królewską Mość o decyzję.

— I czegóż... żąda... pan de Bragellone?... — rzekł król z wahaniem.

— Zupełnie tego samego, o co miałem zaszczyt prosić już W. K. Mość przy ostatniem widzeniu, to jest zezwolenia na jego małżeństwo.

Król zamilkł.

— Powody, jakie pierwej stawały temu na przeszkodzie — mówił dalej Atos — są już usunięte. Panna La Valliere bez bogactw, urodzenia i piękności, jest jedyną tylko partją dla pana de Bragellone a to dlatego, że on ją kocha.

Król zacisnął pięście.

— Wasza Królewska Mość się waha — zapytał hrabia, nie tracąc nic ze swojej grzeczności.

— Nie waham się — rzekł król — ale odmawiam.

Atos chwilę się namyślił.

— Miałem zaszczyt — uprzejmym wyrzekł głosem — zwrócić uwagę Waszej Królewskiej Mości że żadna przeszkoda nie tamu je uczuć pana de Bragellone i że jego postanowienie jest niewzruszone.

— Zdaje mi się, że moja wola będzie przeszkodą.

— A!... to najważniejsza — rzekł Atos.

— Przecież.

— A teraz niech mi będzie wolno najpokorniej zapytać Waszą Królewską Mość o powód odmowy.

— O powód — krzyknął król. — Cóż to?... pan mię wypytujesz?

— Zapytuję tylko, — Najjaśniejszy Panie.

Król, oparłszy obie ręce na stole, rzekł z przyciskiem:

— Zapomniałeś zwyczajów dworskich, panie hrabio. Na dworze nikt nie wypytuje króla!

— To prawda, Najjaśniejszy Panie... ale jeżeli nie wypytują, to się domyślają.

— Domyślają się, co to ma znaczyć?

— Domysły zaś prawie zawsze oznaczają brak otwartości.

— Pan się zapominasz — rzekł król, uniesiony gniewem.

— Najjaśniejszy Panie, jestem zmuszony szukać gdzieindziej tego, com spodziewał się znaleźć w obliczu Waszej Królewskiej Mości. To jest, zamiast otrzymać odpowiedź od Waszej Królewskiej Mości, muszę ją dać sam sobie.

— Panie hrabio, czas, jaki miałem wolny, jużem poświęcił tobie — rzekł król, wstając.

To oznaczało pożegnanie.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedział hrabia — nie miałem jeszcze czasu oświadczyć Waszej Królewskiej Mości tego, pocom tu przyszedł, a tak rzadko widzę Waszą Królewską Mość, że pragnę korzystać ze sposobności.

— Po domysłach zapewne pan przystąpisz do obrazy.

— A, Najjaśniejszy Panie!... ja miałbym obrazić króla?... Ja!... nigdy. Przez całe życie utrzymywałem, że królowie są wyżsi od innych ludzi, nietylko urodzeniem i władzą, ale i

szlachetnością serca i wyższością umysłu. Nie przekonam siebie nigdy, że król w słowach, które do mnie wyrzekł, ukrył myśl wsteczną.

— Co to ma znaczyć?... jaką myśl wsteczną?

— Zaraz się wytłumaczę — rzekł Atos zimno. — Jeżeli, odmawiając panny La Valliere panu de Bragellone, Wasza Królewska Mość miał może inny cel, niż szczęście i los wicehrabiego...

— A co, nie mówiłem, że mnie pan obrazisz!...

— Jeżeli, żądając zwłoki od wicehrabiego, Wasza Królewska Mość miał na celu oddalenie narzeczonego od panny La Valliere...

Król poszarpał rękawiczki, które trzymał w ręku.

— Biada tym, którzy się w moje wtrącają sprawy — zawołał. Jużem postanowił i zniszczę wszelkie przeszkody.

— Jakie przeszkody?... — rzekł Atos.

— Kocham pannę La Valliere — rzekł król z równą szlachetnością jak uniesieniem.

— Lecz — rzekł Atos — to nie przeszkadza Waszej Królewskiej Mości ożenić pana de Bragellone, który niemało już się zasłużył i uchodzi za zacnego człowieka. Król, poświęcając swoją miłość, daje dowód wspaniałomyślności, wdzięczności i dobrej polityki.

— Panna La Valliere — rzekł król ponuro — nie kocha pana de Bragellone.

— Wasza Królewska Mość wie o tem — zapytał Atos z przenikliwym wzrokiem.

— Wiem.

— To zapewne od bardzo niedawnego czasu, bo, gdybyś Najjaśniejszy Panie, wiedział, przy mojej pierwszej prośbie, niezawodniebyś mi to powiedział.

— Od niedawna.

Atos umilkł na chwilę.

— Najjaśniejszy Pani, alboś posłał pana de Bragellone, zanim byłeś kochankiem panny La Valliere, albo gdyś nim został.

Król, rozgniewany najwięcej ten, że czuł się poniżonym chciał się pozbyć Atosa poruszeniem ręki.

Ale Atos, powiedziawszy to, złamał szpadę swoją o kolano, a składając kawałki jej powoli na podłodze, wyszedł z pokoju, pokłoniwszy się królowi.

Ludwik oparł głowę na stole i tak przepędził kilka minut, zanim przyszedł do siebie, poczem zadzwonił gwałtownie.

— Zawołać pana d'Artagnan! — rzekł do przestraszonych służących.

CCI

NASTĘPSTWA BURZY.

Zapewne czytelnik zapyta, jakim sposobem Atos tak w porę znalazł się u króla, kiedy o nim słychać nie było.

Zadaniem powieściopisarza nadewszystko jest powiązanie wypadków jednych z drugiemi, prawie nie podobnych, tak, aby stanowiły wyrozumowaną całość, dlatego też natychmiast odpowiem na ten zarzut.

Portos, wierny swoim obowiązkom pośrednika, opuściwszy Pałac królewski, połączył się z Raoulem около Reformatów w lasku Vincennes i powtórzył mu w najdrobniejszych szczegółach rozmowę z panem de Saint-Agnan.

Zakończył zaś, dowodząc, że pobyt Saint-Agnana u króla opóźni cokolwiek ich spotkanie, lecz, że Saint-Agnan, opuszczając króla, pośpieszy, aby stawić się na oznaczone miejsce.

Ale Raoul mniej łatwowierny, niż jego stary przyjaciel, gdy się dowiedział od niego, że Saint-Agnan poszedł do króla i że mu wszystko opowie, pomyślał, iż król w takim razie niezawodnie wzbroni stawić się Saint-Agnanowi. W tem przekonaniu prosił Portosa, aby pozostał na miejscu, w razie gdyby Saint-Agnan przybył, lecz aby nie czekał dłużej nad godzinę lub półtory; Portos tego odmówił jednak, oświadczając, że będzie choćby rok czekał w tem miejscu na Saint-Agnana i prosił Raoula, aby, wracając od ojca wstąpił do jego mieszkania i powiedział służącemu, gdzie ma szukać Portosa, gdyby pan de Saint-Agnan przybył w miejsce schadzki.

Bragellone, opuszczając Vincennes udał się wprost do Atosa, który już od dwóch dni znajdował się w Paryżu.

Hrabia został o całem zdarzeniu uprzedzony listem d'Artagnana.

Przybycie Raoula nie zdziwiło go więc bynajmniej.

Kiedy po przywitaniu usiedli, hrabia odezwał się:

— Widzę, że przychodzisz do mnie, wicehrabio, w usposobieniu, z jakiem się przychodzi do przyjaciela, kiedy się wiele cierpi i szuka się pociechy. Powiedz mi więc powód twego przybycia?

Młodzieniec ukłonił się i rozpoczął opowiadania, które nieraz łzy przerywały, tamując głos w piersiach.

Pomimo to jednakże dokończył.

Atos wiedział już zapewne, czego się ma trzymać, gdyż, jakeśmy powiedzieli, uprzedzony był listem d'Artagnana.

Ale, chcąc zachować aż do końca ten spokój i stałość, które stanowiły prawie nadludzką stronę jego charakteru, rzekł:

— Nie wierzę niczemu, co mówią, nie wierzę i temu czego się obawiasz, Raoulu; nie dlatego, abym chciał uwłaczać osobom wiarogodnym, które mi to opowiadały, lecz dlatego, że nie mogę tego przypuścić. Staję więc w obronie króla i wkrótce przyniosę ci dowód tego, co mówię.

— Idź więc, panie hrabio, będę czekał.

To rzekłszy, usiadł z głową ukrytą w obu rękach.

Atos, ubrawszy się, wyszedł.

Wiemy już, co się stało u króla, bośmy go tam widzieli, wchodzącego i wychodzącego.

Kiedy wrócił do domu, Raoul blady i ponury, nie pozbył się jeszcze rozpaczliwej postawy.

Lecz na odgłos otwierających się drzwi, na odgłos kroków ojca, zbliżającego się do niego, młodzieniec podniósł głowę.

Atos blady był, poważny, wszedł z odkrytą głową; oddał płaszcz i kapelusz, służącemu, a odprawiwszy go skinieniem ręki, usiadł obok Raoula.

— I cóż panie! — rzekł Raoul, potrząsając smutnie głową — czyś pan się już teraz przekonał?

— Teraz już! król kocha pannę La Valliere!

— A więc przyznał się do tego? — zapytał Raoul.

— Najzupełniej — odrzekł Atos.

— A ona?

— Nie widziałem jej.

— Nie! ale król zapewne o niej mówił. Cóż więc mówił?

— Mówił, że ona go kocha!

— A widzisz pan! widzisz.

I młodzieniec poruszył się z rozpaczą.

— Raoulu — rzekł hrabia — wszystkom powiedział królowi to, cobyś ty sam mu mógł powiedzieć, i to w wyrazach przyzwoitych, lecz jasnych.

— I cóżeś mu powiedział, panie?

— Powiedziałem wszystko, powiedziałem, że nie będziesz więcej mu służył i że ja sam usuwam się nawet. Teraz pozostaje mi się dowiedzieć o jednej rzeczy.

— O jakiej? panie.

— Czyś już co postanowił?

— Co do czego?

— Co do miłości i...

— Dokończ pan.

— I co do zemsty, gdyż boję się, abyś o tem nie pomyślał.

— O! panie miłość... może kiedyś, później... potrafię ją wyrwać z serca Spodziewam się tego, przy pomocy Boskiej i twoich rozsądnych radach. O zemście nie marzyłem, chyba pod wpływem złych myśli, i zaniechałem jej...

— Więc już nie myślisz o szukaniu sprzeczki z panem de Saint-Agnan?

— Nie, panie, chociaż go wyzwałem. Jeżeli pan Saint-Agnan stanie, nie odmówię, jeżeli nie, nie będę na to nastawał.

— A panna La Valliere?

— Pan hrabia zapewne nie przypuszczał, rzeczywiście, ażebym mógł mścić się na kobiecie — odpowiedział Raoul z tak smutnym uśmiechem, że aż wywołał łzę w oku tego, który nieraz sam najboleśniej cierpiał i patrzał na cierpienia innych.

Atos wyciągnął rękę do Raoula, którą tenże podchwycił gwałtownie.

— A więc, panie hrabio, jesteś pewny, że niema już na to lekarstwa? — zapytał młodzieniec.

Atos kiwnął głową.

— Biedne dziecko — rzekł zcicha.

— Pan pomyślisz, zapewne, że się czegoś jeszcze spodziewam i dlatego mnie żałujesz. O, bo też dużo, okropnie nad tem cierpię, że muszę pogardzać tą, którą tak kochałem. Dlaczegóż nie mogę siebie nazwać względem niej winnym, o! byłbym wówczas szczęśliwym i przebaczyłbym zupełnie.

Atos spojrzał ze smutkiem na swego syna.

Te kilka słów, które Raoul wyrzekł, wydały mu się takiemi, jakby pochodziły wprost z jego serca.

W tejże chwili lokaj oznajmił pana d'Artagnan.

Nazwisko to odbiło się bardzo odmiennie w uszach Atosa i Raoula.

Zapowiedziany muszkieter wszedł z niepewnym uśmiechem na ustach. Raoul zatrzymał się, a Atos postąpił ku swemu przyjacielowi z wyrazem twarzy, który nie uszedł baczności Bragellona.

Artagnan odpowiedział Atosowi prostem mrugnięciem, poczem, biorąc za rękę Raoula:

— I cóż — rzekł, zwracając mowę naraz do ojca i syna — pocieszamy dziecko, o ile mi się zdaje.

— A ty, jak zawsze dobry, przychodzisz i teraz dopomódz mi w tak trudnem dziele.

I to mówiąc, Atos oburącz uścisnął rękę d'Artagnana.

Raoulowi zdawało się, że uściśnięcie to ma inne znaczenie, niż wyrzeczone słowa.

— Tak — odrzekł muszkieter, pokręcając wąsa ręką, wolną od uścisków Atosa — tak, i ja przychodzę.

— Bądź więc miłym gościem, panie kawalerze, nie za pociechę jaką przynosisz, lecz za siebie samego. Ja już jestem pocieszony.

I przymusił się do uśmiechu, smutniejszego od łez, które d'Artagnan nieraz widział płynące z jego oczu.

— Tem lepiej — rzekł d'Artagnan.

— Ale mówił dalej Raoul — przybyłeś pan właśnie, kiedy hrabia chciał mi opowiedzieć szczegóły widzenia się swego z królem. Wszak pan pozwolisz, ażeby dokończył.

A oczy młodzieńca chciały przeniknąć serce muszkietera do głębi.

— Widzenia się z królem? — spytał d'Artagnan tonem, tak naturalnym, iż nie można było wątpić o jego zadziwieniu — to widziałeś się z królem, Atosie?

Atos uśmiechnął się.

— Tak — rzekł — widziałem się z nim.

— Jakto? doprawdy nie wiedziałeś pan, że hrabia widział się z królem — spytał Raoul w połowie uspokojony.

— Na honor, nie, nic a nic.

— No to jestem spokojniejszy — rzekł Raoul.

— Spokojniejszy? o cóż — spytał hrabia.

— Panie — rzekł Raoul — przebacz, ale, znając przyjaźń, jaką mię zaszczycasz, bałem się, ażebyś nie za ostro wyraził królowi mój żal, a swoje oburzenie, i że król...

— I że król? — powtórzył d'Artagnan — no cóż? dokończ, Raoulu.

— Przebacz także, panie d'Artagnan — rzekł Raoul. — Przez chwilę bałem się, wyznaję, że pan tu przybył nie jako d'Artagnan, lecz jako kapitan muszkieterów.

— Oszalałeś, mój biedny Raoulu — wykrzyknął d'Artagnan ze śmiechem, od którego ścisły badacz żądałby może więcej szczerości.

— Tem lepiej — rzekł Raoul.

— Tak! jesteś warjatem, a wiesz, cobym ci poradził?

— Cóż, panie? rada od pana zawsze jest dobra.

— A więc radzę ci, abyś po podróży, z której wracasz po odwiedzinach u pana de Guiche, u księżny, czy u Portosa, po przejażdżce do Vincennes, radzę ci, powtarzam, abyś spoczął. Połóż się, prześpij się parę godzin; a jutro, wstawszy, wsiądź na dobrego konia i zmachaj go dobrze.

I przyciągając go do siebie, uścisnął, jak własne dziecko.

Atos uczynił z nim to samo, lecz widoczne było, że pocałunek ojca był czulszy i silniejszy, niż przyjaciela.

Młodzieniec raz jeszcze spojrzał na tych dwóch ludzi, starając się zbadać ich przenikliwie.

Lecz wzrok jego ześlizgnął się z twarzy śmiejącego się muszkietera, jak i ze spokojnej i słodkiej hrabiego de La Fere.

— Dokąd idziesz Raoulu? — spytał ten ostatni widząc, że Bragellone chce wyjść.

— Do siebie, panie! — rzekł tenże głosem słodkim, lecz smutnym.

— A więc tam cię znajdziemy, jeżeli ci będziemy mieli co do powiedzenia.

— Tak, panie! a czy przewidujesz, że będziesz mi miał co do powiedzenia?

— Kto to może wiedzieć! — rzekł Atos.

— Tak, może nową jaką pociechę — rzekł d'Artagnan, popychając Raoula lekko ku drzwiom.

Raoul, widząc spokój na twarzach dwóch przyjaciół, wyszedł od hrabiego, nie unosząc z sobą nic prócz uczuca osobistej boleści.

— Chwała Bogu!... — rzekł — mogę teraz o niczem więcej nie myśleć tylko o sobie.

I, owijając się płaszczem tak, aby jego smutku nie widzieli przechodnie, udał się do swego mieszkania, jak przyrzekł Portosowi.

Obaj przyjaciele spoglądali na oddalającego się młodzieńca okiem politowania.

Ale każdy z nich wyraził to w sposób zgoła inny.

— Biedny Raoul — rzekł Atos z westchnieniem.

— Biedny Raoul — rzekł d'Artagnan, wzruszając ramionami.

CCII

STAN OPŁAKANY.

— Biedny Raoul — rzekł Atos.

— Biedny Raoul — rzekł d'Artagnan.

Żałowany więc przez tych dwóch ludzi, tak silnych, Raoul musiał być bardzo szczęśliwym.

To też skoro się tylko znalazł sam jeden, pozostawiwszy nieustraszonego przyjaciela i ojca pobłażającego, skoro sobie przypomniał wyznanie miłości króla, które mu wydarło ukochaną jego Ludwikę de La Valliere, o mało mu serce nie pękło, jak każdemu z nas, którego pierwsze marzenie nie ziściło się, a pierwsza miłość zdradziła.

— A więc!... — rzekł — wszystko się skończyło. Już niczego w tem życiu ani oczekiwać, ani spodziewać się nie mogę. Guiche mój ojciec i pan d'Artagnan już mi to powiedzieli!... wszystko więc jest snem w tem życiu. A więc to był sen ta przyszłość, tak chciwie przez lat dziesięć ścigana? Połączenie naszych serc to sen! To życie pełne miłości i szczęścia snem tylko było! — O, biedny szaleńcze! tem biedniejszy, żeś marzył publicznie w obliczu przyjaciół i nieprzyjaciół, chyba dlatego, aby się przyjaciele smucili, a nieprzyjaciele szydzili z twoich cierpień i boleści. — A więc nieszczęśce moje stanie się głośną niesławą, zgorszeniem publicznem i jutro wytykać mnie będą palcami.

I pomimo spokoju, przyrzeczonego ojcu i panu d'Artagnan, wymówił kilka głuchych pogróżek.

— A jednak — ciągnął dalej — gdybym się nazywał de Wardes i gdybym miał zręczność i siłę pana d'Artagnan, śmiałbym się i przekonałbym kobiety, że ta wiarołomna, zaszczycona moją miłością, nie pozostawia we mnie niczego nad ten żal, żem został zwiedziony jej prawością mniemaną. Kilku żartownisiów bawiłoby króla moim kosztem; gdybym kilku z nich ukarał, dla mężczyzn byłbym postrachem, a kobiety ubóstwiałyby mię. — Tak najlepiej byłoby uczynić, i hrabia de La Fere inaczejby mi nie radził. Czyż nie przechodził on tych samych kolei w młodości, co i ja? czyż nie zastąpił miłości rozkoszami? Sam mi to nieraz powtarzał. Dlaczegoż ja nie miałbym zastąpić miłości roz koszą? — On cierpiał tyleż co i ja, a może i więcej. Dzieje więc jednego człowieka, są dziejami wszystkich ludzi. Cierpienie więcej długie, mniej więcej dotkliwe. Głos ogółu ludzkości jest tylko jednym przeciągłym okrzykiem bólu. — Ale cóż może obchodzić boleść innych tego, który sam cierpi? Rana zadana innym piersiom czyż zagoi moją? Nie, każdy cierpi za siebie, każdy walczy z boleścią, każdy płacze tylko własnemi łzami. — A zresztą czemże było dotąd moje życie? Oto czemś zimnem i pustem, walczyłem dla innych a nigdy dla siebie. O nieszczęśliwy!... kobiety! o gdybym mógł kazać wam wszystkim żałować za zbrodnię jednej z was? — I czegóż do tego potrzeba? Nie mieć serca i zapomnieć, że je się miało kiedyś, być silnym, nawet wobec słabości, opierać się zawsze, kruszyć. Czegóż do tego potrzeba?... Być młodym, przystojnym, silnym, walecznym i bogatym. Albo jestem, albo będę tem wszystkiem. — A honor? i cóż to jest honor? To pojęcie, które każdy tłumaczy, według swego upodobania. Mój ojciec powiedziałby: "Honor to szacunek dla tego, cośmy winni innym, a nadewszystko cośmy winni samym sobie." Ale Guiche, Manicamp, a szczególniej Saint-Agnan, powiedzieliby; "Honor zasadza się na dogadzaniu swoim namiętnościom i usługiwaniu namiętnym rozkoszom innych. Taki honor łatwy jest i zyskowny.

— Plama, jaką na mnie wypiętnowała ta kobieta, ta boleść, jaką skruszyła moje serce, mnie Raoulowi, swemu przyjacielowi dzieciństwa, nie dotyka w niczem pana de Bragellone, dobrego i walecznego oficera, który w pierwszej bitwie, okrywszy się sławą, sto razy więcej wart będzie, niż dziś panna La Valliere.

— Niestety! razem szliśmy ona i ja w pierwszej, najpiękniejszej epoce naszego życia, trzymając się za ręce na ścieżce, pełnej kwiatów i młodości i oto zapora nas rodziela; a teraz postępujemy, każde osobną drogą, która coraz więcej oddala nas od siebie. A dla dokończenia tej podróży, o Boże, ja jestem sam jeden, bez nadziei, zgnębiony.

Raoul właśnie był w tym punkcie rozmyślań kiedy przystąpił próg swego mieszkania; przybył tam, nie widząc ani ulic, którędy przechodził, ani wiedząc, jak przyszedł; otworzył drzwi i wszedł na schody.

Jak w większej części ówczesnych domów, tak i w tym schody były ciemne.

Raoul mieszkał na pierwszem piętrze; zatrzymał się, chcąc za dzwonić.

Olivan czekał na niego i przyjął od niego szpadę i płaszcz.

Raoul otworzył sam drzwi, prowadzące z przedpokoju do niewielkiego salonu, lecz dosyć gustownie umeblowanego i przyozdobionego kwiatami przez Olivana, który, znając upodobania swego pana, czynił to bez względu, czy spostrzeże on lub nie tę jego usłużność.

W salonie tym był portret panny La Valliere, ręką jej robiony, który niegdyś dała Raoulowi.

Portret ten, zawieszony nad sofą, obitą ciemnym adamaszkiem, pierwszym był przedmiotem na który Raoul, wchodząc, spojrzał i do którego wprost zwrócił swoje kroki, jak to zawsze zwykł czynić, ile razy wchodził do mieszkania.

I tym razem, jak zwykle, podszedł prosto do obrazu, ukląkł na sofie i długo mu się ze wzruszeniem przypatrywał.

Z rękami, założonemi na piersiach, z głową, lekko wzniesioną, okiem przyćmionem, ustami, ściągniętemi gorzkim uśmiechem, wpatrywał się w ubóstwiany przedmiot, a wszystko, co kiedy mówił, przemknęło przez myśl jego, wszystko, co cierpiał, zebrało w sercu, i po dość długim milczeniu, rzekł:

— O ja nieszczęśliwy!...

Zaledwie wymówił te słowa, dało się słyszeć za nim głębokie westchnienie.

Obrócił się i w kącie salonu spostrzegł stojącą kobietę zasłoniętą, którą, wchodząc, sam zasłonił otwierającemi się drzwiami, a później nie mógł jej widzieć, gdyż się nie odwrócił od portretu.

Postąpił ku tej kobiecie, o której obecności nikt go nie zawiadomił, chcąc się dowiedzieć, kto ona, gdy wtem kobieta podniosła głowę, a zrzucona zasłona dozwoliła widzieć twarz smutną i bladą.

Raoul cofnął się, jakby widmo zobaczył.

— Ludwika!... — krzyknął tak przeraźliwym, głosem, że trudno było uwierzyć, aby człowiek żyjący mógł wydać podobny głos, a wszysztkie żyły serca w nim nie pękły.

CCIII

RANA NA RANĘ.

Panna La Valliere, gdyż ona to była rzeczywiście, postąpiła krok naprzód i rzekła zcicha:

— Tak!... Ludwika.

Ale w ciągu tej chwili, jakkolwiek krótkiej Raoul uspokoił się.

— Pani?.... — rzekł.

Potem z nieopisanym wyrazem dodał:

— Pani tutaj?...

— Tak, Raoulu — rzekła dziewica — tak to ja czekałam na ciebie.

— Przepraszam; kiedym wchodził, nie wiedziałem...

— Tak. gdyż zaleciłam Olivanowi, aby cię nie uprzedzał... — i zamilkła, a że Raoul nie spieszył się z odpowiedzią, nastąpiła przez chwilę cisza, cisza, w której można było słyszeć uderzenia dwojga serc, bijących nie dla siebie, ale z równą mocą, jak jedno tak i drugie.

Kolej mówienia była na Ludwikę.

— Chciałam z panem pomówić — rzekła — potrzeba było koniecznie, ażebym go widziała sama... bez świadków... Nie cofnęłam się przed tym postępkiem, który powinien pozostać tajemnicą, gdyż nikt, prócz ciebie panie de Bragellone, nie pojąłby go wcale.

— W istocie, pani — wybąknął Raoul, pomieszany, zaledwie oddychać mogący — ja sam, pomimo dobrej, jaką pani masz o mnie, opinji, przyznaję...

— Zrób mi tę łaskę, usiądź i posłuchaj mnie — rzekła Ludwika, przerywając mu głosem, jak można najsłodszym.

Bragellone popatrzył na nią przez chwilę, potem, smutnie potrząsając głową, usiadł, a raczej upadł na krzesło.

— Mów pani — rzekł.

Ona rzuciła nieznacznie niespokojnym wzrokiem wokoło; wzrok ten był prośbą i żądał daleko silniej tajemnicy, niż przed chwilą.

Raoul powstał, a otworzywszy drzwi, rzekł:

— Olivan, niema mnie w domu dla nikogo.

Potem, zwracając się do La Valliere:

— Czy tego pani żądałaś?... — zapytał.

Niepodobna wyrazić skutku, jaki słowa te wywarły na Ludwice; znaczyły one: widzisz, że ja cię jeszcze zawsze zrozumiem! Chustką powiodła po oczach, aby otrzeć buntowniczą łezkę, poczem, uspokoiwszy się cokolwiek, wyrzekła:

— Raoulu!.... nie odwracaj odemnie twego tak dobrego i szczerego wzroku, nie jesteś bowiem z tych ludzi, którzy pogardzają kobietą, dlatego, że oddała swe serce, chociażby ta miłość miała być dla niej nieszczęściem, lub zranić jej dumę.

Raoul milczał.

— Niestety!... — mówiła dalej La Valliere — nadto jestem przekonaną, że sprawa moja jest złą, i nie wiem, od jakich zacząć ją wyrazów. Ale, zdaje mi się, że najlepiej uczynię, opowiadając ci poprostu to, co mnie spotkało. A opowiadając prawdę, nie zbłądzę z prostej drogi w tej ciemności, w powątpiewaniu, w przeszkodach, które mam do zwyciężenia, ażeby ulżyć u nóg twoich przepełnionemu sercu.

Raoul ciągle milczał.

La Valliere patrzała na niego wzrokiem, który zdawał się mówić: "Ośmiel mię przez litość choć jednem słowem!"

Lecz Raoul milczał, i dziewica zmuszona była mówić dalej.

— Niedawno — rzekła — pan de Saint-Agnan przysłany został do mnie przez króla.

I spuściła oczy.

Raoul odwrócił gdzieindziej wzrok, aby nic nie widzieć.

— Pan de Saint-Agnan był u mnie — powtórzyła — i powiedział, że wiesz o wszystkiem.

I usiłowała spojrzeć w twarz temu, któremu zadawała tę ranę po tylu innych; lecz niepodobieństwem było spotkać wzrok Raoula.

— Powiedział, że powziąłeś do mnie słuszną urazę.

Tym razem Raoul spojrzał na dziewicę, a pogardliwy uśmiech ściągnął mu usta.

— O!... — mówiła dalej — błagam cię, Raoulu nie mów, żeś inne uczucie przeciw mnie powziął niż gniew. Zaczekaj, aż ci wszystko opowiem do końca.

Czoło Raoula siłą woli rozjaśniło się i fałdy ust wygładziły się.

— A naprzód — rzekła La Valliere, ze złożonemi rękami, z czołem pochylonem, — proszę cię o przebaczenie, jako najszlachetniejszego i najwspaniałomyślniejszego z ludzi, za to, żem cię pozostawiła w nieświadomości, co się we mnie działo, bo ja przynajmniej nigdy nie miałam zamiaru oszukiwać ciebie!... O, błagam cię, Raoulu, na kolanach proszę, odpowiedz mi jedno słowo, choćby ono było obelgą. Przenoszę obelgę z ust twoich nad podejrzenie w twojem sercu.

— Podziwiam twoją delikatność pani!... — rzekł Raoul, usiłując być spokojnym. — Dać poznać, że się oszukuje — to prawość, oszukiwać jednak byłoby źle i jak się zdaje, zapewne nie uczyniłabyś tego.

— Panie!... długo mniemałam, że ciebie nadewszystko kocham i dopóki wierzyłam w moją miłość dla ciebie, powtarzałam że cię kocham. W Blois kochałam cię; kiedy król przejeżdżał przez Blois, zdawało mi się, że ciebie jeszcze kochałam i przy ołtarzu przysięgłabym na to. Lecz nadszedł dzień, który mię wywiódł z błędu.

— Należało więc w tym dniu, gdyż widziałaś pani, że cię zawsze kochałem, należało mię zawiadomić, że mnie już nie kochasz.

— W dniu tym, Raoulu, w dniu, w którym zgłębiwszy moje serce, przekonałam się, że nie ty zapełniasz wszystkie moje myśli, w dniu, w którym spostrzegłam, iż czeka mnie inna przyszłość, niż być twoją przyjaciółką, kochanką, żoną, niestety!... tego dnia, Raoulu, nie byłeś już przy mnie.

— Ale wiedziałaś, pani, gdzie byłem i należało do mnie napisać.

— Raoulu!... nie miałam odwagi. Byłam nikczemną. A zresztą, znając cię doskonale, wiedząc, jak mnie kochasz, drżałam na samą myśl, jakie ci to sprawi cierpienie: o!... wierzaj mi, Raoulu, i w tej chwili, kiedy do ciebie mówię, schylona przed tobą, z sercem ściśniętem, głosem, przerywanym od westchnień, z oczami, łez pełnemi, powiadam ci szczerze, że mam tylko tę szczerość obrony i tylko tę boleść, którą czytam w twych oczach.

Raoul silił się na uśmiech.

— Nie!... — rzekła dziewica z głębokiem przekonaniem — nie wyrządzisz mi tej obelgi, abyś miał udawać przedemną. Kochałeś mię, byłeś pewny, że mnie kochasz, nie myliłeś się w swojem przekonaniu, nie kłamałeś własnemu sercu, wtenczas gdy ja!... ja!...

I blada, z rękami do góry wzniesionemi, upadła na kolana.

— Wtenczas kiedy ty, pani — rzekł Raoul — mówiłaś mi, że mię kochasz, a kochałaś kogo innego!

— Iiestety!... tak!... — odrzekło biedne dziewczę — niestety!... kocham innego, a ten inny... Na Boga, pozwól mi powiedzieć, Raoulu, gdyż w tem cała moja obrona... Ja tego innego kocham więcej, niż życie, niż Boga samego. Przebacz mi mój błąd, albo ukarz zdradę. Przyszłam tu nie po to, aby się uniewinniać, ale ażeby ci powiedzieć: "Ty wiesz, co to jest kochać!" a więc, i ja kocham, a kocham tak, że chętnie oddałabym życie za tego, którego kocham!... Jeżeli zaś on przestanie mię kiedy kochać, wtedy umrę z boleści i żalu. Chyba, że mi Bóg dopomoże i rozciągnie swoje nademną miłosierdzie. Raoulu, przyszłam tu, aby poddać się twojej woli, jakąkolwiek ona będzie i umrzeć nawet, jeżeli tego będziesz żądał. Zabij mię więc, Raoulu, jeżeli w sercu twojem masz przekonanie, żem na śmierć zasłużyła.

— Nie zapominaj się, pani!... Kobieta, która żąda śmierci, dowodzi tem, że nic już więcej, prócz krwi, nie może dać zdradzonemu kochankowi.

— Masz słuszność!... — rzekła.

— I kochasz, nie mogąc zapomnieć?... — zapytał Raoul.

— Kocham, nie chcąc zapomnieć i nie chcąc kochać kiedykolwiek innego — odpowiedziała La Valliere.

— Dobrze!... — odrzekł Raoul. — Powiedziałaś mi, pani, wszystko, co miałaś powiedzieć, wszystko, co wiedzieć chciałem. A teraz ja, pani, proszę cię o przebaczenie, ja, który nieledwie stałem się przeszkodą w twojem życiu, bo ja myliłem się, bo ja, zwodząc sam siebie, dopomagałem ci, abyś mnie zwodziła.

— O!... — rzekła La Valliere — nie żądam tego od ciebie, Raoulu.

— Wszystko to moją jest winą, pani — mówił dalej Raoul — bo do mnie, więcej doświadczonego w trudnościach życia, do mnie należało oświecić cię i nie powinienem był spoczywać w tej niepewności, powinienem był starać się, aby twoje serce przemówiło, gdy tylko usta twoje przemówiły. Powtarzam więc pani: Przebacz mi!

— To niepodobna!.. to być nie może!.. Ty się ze mnie naigrawasz!

— Jakto niepodobna?

— Tak!... bo niepodobna być tak dobrym, szlachetnym, i doskonałym do tego stopnia.

— Wstrzymaj się; pani!... — rzekł Raoul z gorzkim uśmiechem — bo niedługo może powiesz, żem ciebie wcale nie kochał.

— O!... kochałeś mię, jak brat. i zostaw mi tę pociechę Raoulu.

— Jak brat?... o!... wyjdź z błędu, Ludwiko!.. kochałem cię, jak kochanek, jak mąż, jak najczulszy z kochających ludzi!

— Raoulu!... Raoulu!...

— Jak brat!... O!... Ludwiko, kochałem cię tak, że dla ciebie oddałbym wszystką krew moją, kroplę po kropli, całe ciało moje kawałek po kawałku, całą wieczność moją godzina po godzinie.

— Raoulu, Raoulu!... przez litość!

— Kochałem cię tak, Ludwiko!... że moje serce już umarło, wiara się zachwiała, że przygasłe oczy moje nic już nie widzą na ziemi i w niebie.

— Raoulu!... Raoulu!... mój przyjacielu!... Zaklinam cię, oszczędź mię — krzyknęła La Valliere. — O!.. gdybym była wiedziała!

— Już zapóźno, Ludwiko!... kochasz, jesteś szczęśliwą. Czytam tę radość przez łzy twoje, łzy, które szczerość twoja wylewa, i czuję westchnienia twej miłości. Ludwiko!... Ludwiko!... uczyniłaś ze mnie najostatniejszego z ludzi. Odejdź, zaklinam cię, odejdź. Bądź zdrowa.

— Przebacz mi, Raoulu!... przebacz, błagam cię!...

— O!... czyż więcej nie uczyniłem?... Czy nie powiedziałem ci, że cię zawsze kocham!

La Valliere ukryła twarz w dłoniach.

— A powiedzieć ci to, pojmujesz, Ludwiko! powiedzieć ci to w tej chwili, powiedzieć tak, jak ja mówię, to wydać na siebie wyrok śmierci. Żegnam cię.

La Valliere wyciągnęła ręce ku niemu.

— W tem życiu nie powinniśmy się więcej zobaczyć!

Chciała temu przeczyć, lecz on zamknął jej usta ręką.

Ona ucałowała tę rękę i zemdlała.

— Olivan — rzekł Raoul — weź panią i zanieś ją do powozu, czekającego przed bramą.

Olivan podniósł ją, Raoul uczynił poruszenie, jakby chciał postąpić ku La Valliere, ażeby jej dać pierwsze i ostatnie pocałowanie, lecz zatrzymał się i rzekł:

— Nie, ona nie należy do mnie.

I wyszedł do drugiego pokoju, gdy lokaje wynosili La Valliere zemdloną.

CCIV

CO RAOUL ODGADŁ.

Po dwóch wykrzyknikach, które towarzyszyły wyjściu Raoula, Atos i d'Artagnan zostali sam na sam.

Atos był znów tak spokojny, jak w chwili, kiedy przybył d'Artagnan.

— I cóż!... kochany przyjacielu, cóżeś mi przyszedł zwiastować?...

— Ja?... — spytał d'Artagnan.

— Tak, ty. Bo ty się nie pokazujesz bez przyczyny — rzekł Atos z uśmiechem.

— Ha!... cóż robić!... — rzekł d'Artagnan.

— Ja ci chcę to ułatwić, mój przyjacielu. Król rozgniewany, nieprawdaż?...

— Muszę ci przyznać się, że nie jest wcale zadowolony.

— I przychodzisz...

— Od niego, tak.

— Ażeby mnie uwięzić?

— Tak! zgadłeś, kochany przyjacielu.

— Spodziewałem się tego! A więc chodźmy.

— O! o! cóż u djabła — rzekł d'Artagnan — czy ci tak pilno?

— Boję się, ażebyś się nie spóźnił — rzekł Atos z uśmiechem.

— Mamy czas jeszcze! Czy nie chciałbyś dowiedzieć się, jak te rzeczy poszły między mną, a królem?

— Jeżeli zechcesz mi opowiedzieć, mój przyjacielu! posłucham chętnie.

I wskazał d'Artagnanowi wielkie krzesło w którem tenże, rozsiadłszy się wygodnie, rzekł:

— Muszę ci to koniecznie opowiedzieć, gdyż rozmowa między nami była bardzo ciekawa.

— Słucham więc.

— Najprzód król kazał mnie przywołać.

— Po mojem odejścu...

— Jeszcześ był na ostatnich stopniach schodów, jak mi mówili muszkieterowie. Przybywam, i wiesz, mój przyjacielu, król nie był czerwony, lecz blady. Nie wiedziałem jeszcze o niczem, co zaszło, tylko spostrzegłem na podłodze szpadę, złamaną na dwoje. "Kapitanie d'Artagnan!".. — krzyknął król, spostrzegając mię. — Najjaśniejszy Panie!... — odpowiedziałem. "Właśnie wyszedł stąd pan de La Fere, który jest zuchwalcem." — Zuchwalcem — zawołałem takim tonem, że król aż się zatrzymał. — "Kapitanie d'Artagnan — mówił dalej, ścisnąwszy zęby — powinieneś mię słuchać i być posłusznym!" — To moja powinność Najjaśniejszy Panie. — "Chciałem temu panu, pamiętając na dawniejsze jego zasługi, oszczędzić wstydu aresztowania go u mnie!" — A! a!... — rzekłem spokojnie. "Otóż — mówił dalej — weź karetę." Ja poruszyłem się. "Jeżeli ci przykro samemu go aresztować, przyślij mi kapitana mojej gwardji." — Panie — odpowiedziałem — nie potrzebny jest kapitan gwardji, gdyż ja jestem na służbie. — Nie chciałbym ci się narazić — rzekł król z dobrocią — boś mi zawsze wiernie służył,

panie d'Artagnan." — Wasza Królewska Mość bynajmniej mi się nie narazisz — odpowiedziałem. — Jestem na służbie i dosyć." — Ależ — rzekł król zdziwiony — zdaje mi się, że hrabia jest twoim przyjacielem". Gdyby nawet był moim ojcem, to bądź co bądź jestem dziś na służbie. — Król wydał się uradowanym. "A więc zaaresztujesz hrabiego de La Fere?..." — zapytał. — Bezwątpienia, jeżeli mi Wasza Królewska Mość dasz rozkaz. "A więc daję ci rozkaz!" Skłoniłem się. — A gdzież jest hrabia? Najjaśniejszy Panie? — "Poszukasz go". — Przytrzymam go gdziekolwiekbądź. — "Tak! Jednakże postaraj się, aby był u siebie. Albo jeżeli wyjechał do dóbr swoich, to dogoń go i aresztuj na drodze." Znowum się skłonił. Lecz żem się z miejsca nie ruszał: — "I cóż?" — rzekł król: — Czekam, Najjaśniejszy Panie. — "Czegóż czekasz?" Rozkazu na piśmie! — Król wydał się niezadowolonym. Wziął pióro powoli z nieukontentowaniem i napisał: "Rozkaz, wydany panu d'Artagnan, kapitanowi muszkieterów, aresztowania pana hrabiego de La Fere, wszędzie, gdzie się tylko znajduje." Potem zwrócił się ku mnie. Czekałem spokojnie. Bezwątpienia, mój spokój musiał uważać on za rodzaj pogróżki, gdyż prędko podpisał. Poczem, oddając mi rozkaz: "Idź!" krzyknął. — Byłem posłuszny i jestem tu.

Atos ścisnął rękę swego przyjaciela.

— Idźmy! — rzekł.

— O!... — rzkł d'Artagnan. — Zapewne masz coś do załatwienia, nie możesz więc opuścić tak swego mieszkania!

— Ja? bynajmniej.

— Jakto?

— A tak. Wiesz przecież dobrze, że zawsze uważałem się za podróżnego na tej ziemi, zawsze gotów byłem na rozkaz mego króla iść na koniec świata, jak też opuścić nawet ten świat na rozkaz Boga Czegóż potrzeba dla człowieka przygotowanego? Tłomoka, lub trumny. Jestem gotów dziś tak, jak zawsze, kochany przyjacielu. Możesz mię więc prowadzić.

— Ależ Bragellone...

— Wychowałem go w tych samych zasadach, jakiemi się sam rządzę i uważałeś zapewne, że spostrzegłszy ciebie, zaraz się domyślił powodu, który cię tu sprowadził. Trochęśmy go zbili z tropu, ale, bądź spokojny, on zbyt przygotowany jest na tę moją niełaskę, ażeby się tem miał bardzo przestraszyć. Idźmy.

— Idźmy — rzekł d'Artagnan spokojnie.

— Mój przyjacielu — rzekł hrabia — ponieważ złamałem szpadę u króla, spodziewam się, że to mnie uwalnia od oddania ci szpady.

— Masz słuszność, a zresztą cóżbym miał, u djabła robić z twoją szpadą?

— Czy mam iść przed tobą, czy za tobą?.. — zapytał, śmiejąc się, Atos .

— Idź obok mnie — odpowedziazł d'Artagnan.

I, wziąwszy się pod ręce, schodzili ze schodów i tak przybyli aż na ganek.

Grimaud, którego spotkali w przedpokoju, patrzył na nich nie spokojnie; znał zbyt dobrze świat, ażeby się nie miał domyślić, że w tem jest coś ukrytego.

— A! to ty, mój dobry Grimaud!..., — rzekł Atos — jedziemy...

— Użyć świeżego powietrza w mojej karecie — przerwał mu d'Artagnan, kiwnąwszy głową przyjaźnie.

Grimaud podziękował za to wykrzywieniem się, które widocznie miało chęć być uśmiechem i towarzyszył dwom przyjaciołom aż do drzwiczek karety.

Atos wsiadł pierwszy, za nim d'Artagnan, nie mówiąc ani słowa do stangreta.

Ten tak zwyczajny odjazd nie zwrócił niczyjej uwagi w sąsiedztwie.

— Jak mi się zdaje, wieziesz mnie do Bastylji... — rzekł Atos.

— Ja?... — rzekł d'Artagnan. — Ja cię zawiozę, dokąd ci się podoba, a nigdzie indziej.

— Jakto?... — rzekł hrabia zdziwiony.

— Na Boga!... — rzekł d'Artagnan — pojmujesz przecie, kochany hrabio, że przyjąłem to zlecenie tylko po to, abyś korzystał z niego, podług swojej woli. Nie myślisz zapewne, abym ja cię tak wpakował po grubijańsku bez namysłu. Gdybym tego nie był przewidział, dopuściłbym przecie, ażeby cię aresztował kapitan gwardji.

— Czy tak?... — rzekł Atos.

— A tak i powtarzam ci, jedziemy tam, dokąd zechcesz!

— Kochany przyjacelu, zawsze jesteś ten sam rzekł Atos, ściskając go.

— Zresztą, to rzecz bardzo prosta. Stangret zawiezie cię do rogatki Cours-la-Reine, znajdziesz tam konia, którego kazałem mieć w pogotowiu, a na tym koniu przebiegniesz trzy stacje bez odpoczynku, ja zaś wtedy dopiero wrócę do króla, ażeby mu donieść, żeś uciekł, kiedy niepodobieństwem już będzie dogonić cię. Przez ten czas ty dojedziez do Havru, a z Havru do Anglji, gdzie znajdziesz piękny domek, który mi darował mój przyjaciel Monk, że już nie wspominam o gościnności, z jaką cię przyjmie niezawodnie król Karol. No i cóż? co mówisz o tym projekcie?

Atos kiwnął głową.

— Zawieź mię do Bastylji — rzekł z uśmiechem.

— Uparta głowo!... — rzekł d'Artagnan — rozważ przynajmniej.

— Co?

— Że nie jesteś już dwudziestoletnim młodzieńcem. Wierz mi, mój przyjacielu, gdyż ja to uważam po sobie. Więzienie w naszych latach to śmierć. Nie, nie zniosę tego, ażebyś się miał tam męczyć. Na samą myśl, już mi się w głowie przewraca.

— Przyjacielu!... — rzekł Atos — Bóg stworzył mię silnego na ciele i umyśle, i wiesz, że takim aż do śmierci pozostanę.

— Ależ to nie będzie mocą umysłu, tylko głupstwem.

— Przeciwnie, d'Artagnan, będzie to dowód najwyższego rozumu. Nie przypuszczaj nawet, ażeby na moje postanowienie wpływała myśl, czy ty nie zgubisz siebie, mnie ochraniając; bynajmniej, gdyż i ja podobniebym postąpił. Gdyby ucieczka była właściwą, przyjąłbym ułatwienie jej od ciebie, jak ty bezwątpienia w podobnym wypadku przyjąłbyś odemnie: I znam cię dobrze tak, że wiem, żeś nawet o tem nie pomyślał.

— A! gdybyś mię posłuchał — rzekł d'Artagnan — pobiegaliby trochę, zanimby cię znaleźli.

— Kochany przyjacielu — odrzekł Atos spokojnie — chciałbym cię przekonać, że chcę być aresztowanym i, że to właśnie jest dla mnie najdogodniejszem.

D'Artagnan wzruszył ramionami.

— Wiesz — mówił dalej Atos — że, gdybyś mię puścił, to sam dobrowolnie poszedłbym do więzienia; chcę dowieść młodemu królowi, że dlatego jest się najwyższym z ludzi, aby być szlachetnym i mądrym. On mię karze, więzi, dręczy, mniejsza o to. Chcę

mu dać uczuć, co to jest wyrzut sumienia, zanim Bóg go nauczy, co to jest kara.

— Wiem, mój drogi, że gdy ty powiesz: "Nie", nic już tego nie zmieni i dlatego nie nastaję dłużej. A więc chcesz koniecznie jechać do Bastylji?...

— Chcę!...

— To jedźmy do Bastylji!... — zawołał d'Artagnan na stangreta i, wsunąwszy się w głąb karety, przygryzał mocno wąsy, z czego wniósł Atos, że albo ma już jakiś plan powzięty, albo nad nim pragnie się namyślić.

Cichość panowała w karecie. Atos wziął za rękę d'Artagnana.

— No, ale nie gniewasz się na mnie?... — rzekł.

— Ja?... broń Boże!... Bo, co ty robisz przez bohaterstwo, ja zrobiłbym to samo przez upór.

— Ale czyś także jest tego zdania, że Bóg mnie pomści?...

— Tak!... i znam ludzi na tym świecie, którzy do tego dopomogą Bogu — odrzekł d'Artagnan.

CCV

TRZEJ BIESIADNICY ZDZIWIENI, ŻE RAZEM JEDZĄ KOLACJĘ.

Kareta przybyła przed pierwszą bramą Bastylji.

Szyldwach zatrzymał ją.

D'Artagnan rzekł jedno tylko słowo i wpuszczono karetę.

Kiedy przejeżdżano przez drogę sklepioną, która prowadziła do dziedzińca, gdzie mieszkał gubernator, d'Artagnan którego wzrok ostrowidza sięgał prawie za mury, zawołał nagle:

— A!... a!.. cóż ja to widzę?...

— Co?... — rzekł spokojnie Atos — co widzisz?...

— Patrzaj!... tam!...

— Na dziedziniec?...

— Tak!... tylko śpiesz się.

— No!... widzę powóz.

— Dobrze!...

— Pewno biedny jaki więzień, tak jak i ja.

— A to byłoby zabawne!...

— Nie rozumiem ciebie?...

— Zobaczno jeszcze, kto wysiada z karety.

W tej chwili drugi szyldwach zatrzymał d'Artagnana.

Kiedy się odbywały te formalności, Atos zobaczył o sto kroków człowieka, którego mu wskazał d'Artagnan.

Człowiek ten wysiadł z karety przed mieszkaniem gubernatora.

— No cóż?... — spytał d'Artagnan — widzisz go?...

— Tak!... jakiś szaro ubrany.

— Cóż o tem myślisz?... ktoby to był?...

— Nie wiem, bo, jak ci mówię, widzę tylko człowieka w szarem ubraniu wysiadającego z karety.

— Słuchaj, założę się, że to on?...

— Co za on?...

— Aramis.

— Co? Aramis?... aresztowany?... e, to niepodobna.

— Nie mówię przecież, że jest aresztowany, gdyż sam jeden jest.

— Skoro tak, cóż on tutaj robi?

— Ho, on się zna z Baisemeaux, tutejszym gubernatorem — rzekł muszkieter znacząco. — Na honor! w porę przybywamy.

— Dlaczego?

— Bo go zobaczymy.

— Ja zaś bardzo żałuję tego spotkana. Aramis, spostrzegłszy mię, będzie niekontent, że mnie widzi, a powtóre, że będzie widziany.

— Dobrze mówisz.

— Nieszczęściem, niema na to lekarstwa, kiedy się z kim nie chce spotkać w Bastylji. Choćby się chciało wrócić, to już nie można.

— A ja mam już projekt, ażeby oszczędzić nieukontentowania Aramisowi, o którem mówiłeś.

— Jakże to zrobić?

— Zaraz ci opowiem! albo ażebym się lepiej wytłumaczył, pozwól opowiedzieć mu rzecz na mój sposób. Nie proszę cię o pomoc w kłamstwie, gdyż wiem, że jest to dla ciebie niepodobieństwem!

— A więc jakże?

— Będę kłamał za dwóch, o! to tak łatwo dla Gaskończyka!

Atos rozśmiał się, kareta zatrzymała się tam, gdzie poprzednia, to jest przed mieszkaniem gubernatora.

— Zdaj się na mnie! — rzekł d'Artagnan cicho do swego przyjaciela.

Atos potwierdził skinieniem głowy.

Weszli na schody.

Gdyby się kto dziwił łatwości przebycia bram Bastylji, niech sobie przypomni, że przy wejściu d'Artagnan zapowiedział, iż przywozi więźnia stanu.

A przy ostatniej bramie rzekł tylko do szyldwacha:

— Do pana Baisemeaux.

Wkrótce weszli obaj do sali jadalnej gubernatora, gdzie pierwsza twarz, którą ujrzał d'Artagnan, była twarzą Aramisa, siedzącego u stołu obok gubernatora, oczekującego na potrawy, których zapach już było czuć.

Jeżeli d'Artagnan udawał zdziwienie, Aramis go bynajmniej nie udawał.

Zadrżał, spostrzegłszy dwóch przyjaciół, a wzruszenie jego było widoczne.

Pomimo to Atos i d'Artagnan przywitali się z Aramisem, a Baisemeaux, zmieszany i odurzony obecnością trzech osób, sam nie wiedział, co począć.

— Ale jakimże przypadkiem? — rzekł Aramis.

— Właśnie ciebie chcieliśmy o to spytać... — odpowiedział d'Artagnan.

— Czy jesteśmy więźniami? — rzekł Aramis, udając wesołość.

— Wprawdzie — rzekł d'Artagnan — te mury djabelnie czuć więzieniem... Aleź, panie de Baisemeaux, przypominasz sobie zapewne, żeś mię onegdaj zaprosił na obiad?

— Ja? — zawołał Baisemeaux.

— A toż co? myślałby kto, że od Antypodów przybywasz? i nie przypominasz sobie tego?

Baisemeaux to bladł, to czerwienił się, i patrzył na Aramisa, a ten na niego, i w końcu wybąknął:

— Zapewne... bardzo jestem rad... ale.. na honor, że nie.. o, ta niegodziwa pamięć moja!...

— A więc, jak się pokazuje, to błąd jest z mojej strony! przepraszam — rzekł d'Artagnan, jak człowiek, niby obrażony.

— Błąd? jaki?

— Żem sobie to przypomniał.

— O! nie zważaj pan na to, kochany kapitanie — rzekł gu-

bernator — gdyż mam najsłabszą pamięć z ludzi całego królestwa. Oderwij mnie od moich gołąbków i ich gołębników, a nie wart jestem tyle, co sześciotygodniowy rekrut!

— A więc teraz pan sobie przypominasz — rzekł d'Artagnan z powagą.

— Tak! tak! — rzekł gubernator, wahając się — przypominam sobie.

— Było to na pokojach królewskich: opowiadałeś mi pan jakieś zdarzenie o rachunkach twoich z panami Louiviere i Tremblay.

— A tak! tak!

— Opowiadałeś mi pan także o względach, doświadczanych przez ciebie od pana d'Herblay.

— A! — rzekł Aramis, patrząc w oczy gubernatorowi — a pan nam mówiłeś, panie de Baisemeaux, że nie masz pamięci?

Ten przerwał muszkieterowi.

— No, proszę, jakże mogłem zapomnieć. Ale to tak, jak pan mówisz teraz sobie zupełnie przypominam. Ależ raz na zawsze chciej pan pamiętać, panie d'Artagnan, że o każdej godzinie, proszony czy nie, jesteś u mnie miłym gościem, również jak pan d'Herblay, twój przyjaciel — rzekł, zwracając się do Aramisa — i jak ten pan — dodał, kłaniając się Atosowi.

— Byłem o tem przekonany. I dlatego, nie mając dziś nic do roboty w Palais-Royal, przybyłem, chcąc cię zajść niespodziewanie ,a po drodze spotkałem pana hrabiego.

Atos skłonił się.

— Hrabiego, który tylko co opuścił Jego Królewską Mość, przynosząc mi rozkaz, wymagający prędkiego wykonania. A żeśmy byli już blisko Bastylji, pomyślałem sobie, że wstąpię na chwilę, aby ci uścisnąć rękę i przedstawić ci tego pana, o którym ci tyle mówiłem dobrego na pokojach królewskich tego samego wieczora, kiedy...

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze; zapewne mam zaszczyt widzieć pana hrabiego de La Fere?

— Tak, to on!...

— Pan hrabia miłym jest gościem!

— I będzie z wami jadł obiad, nieprawdaż! wówczas, kiedy ja biedny człowiek muszę biedz, ażeby wykonać rozkaz. Szczęśliwi jesteście ludzie — rzekł z westchnieniem, któregoby się Portos nie powstydził.

— A więc jedziesz? — rzekł Aramis i Baisemeaux, złączeni uczuciem radosnego zdziwienia.

Odcień ten pochwycił d'Artagnan.

— Zostawiam wam na mojem miejscu szlachetnego i dobrego biesiadnika.

I lekko poklepał Atosa po ramieniu, który zdziwiony także tem co słyszał, nie mógł się wstrzymać od okazania cokolwiek tego, co Aramis spostrzegł sam, gdyż Baisemeaux nie był tak biegły, jak nasi trzej przyjaciele.

— Jakto tracimy pana? — rzekł gubernator.

— Pozwólcie... na godzinę lub półtory. Na deser powrócę do was.

— O! zaczekamy na pana — rzekł Baisemeaux.

— Nie róbcie sobie tej subjekcji!

— Powrócisz? — rzekł Atos, z miną powątpiewania.

— Niezawodnie — rzekł, ściskając go poufale za rękę.

I dodał pocichu: Czekaj tu na mnie, Atosie, bądź dobrej myśli, ale nadewszystko ani słowa o zdarzeniu, zaklinam cię na Boga.

I nowe uściśnienie ręki potwierdziło hrabiemu przestrogę, aby był ostrożnym i nie dał się przeniknąć.

Baisemeaux odprowadził, aż do drzwi d'Artagnana.

Aramis mnóstwem grzeczności obsypał Atosa, chcąc go pobudzić do mówienia.

Ale Atos posiadał ostrożność w najwyższym stopniu.

Gdyby zaszła potrzeba, byłby najwymowniejszym na świecie, w przeciwnym jednak razie byłby umarł wprzód, zanimby wyrzekł słowo.

W dziesięć minut po odjeździe d'Artagnana trzej panowie zasiedli przy wygodnym stole, zastawionym ze zbytkiem gastronomicznym.

Doskonałe ryby, najrzadsza zwierzyna, owoce i najlepsze wina podawano na rachunek utrzymania więźniów, które pan Colbert śmiało mógłby był zmniejszyć o dwie-trzecie części, a jeszcze niktby nie schudł w Bastylji.

Baisemeaux sam jadł najwięcej.

Aramis brał wszystkie potrawy, ale zaledwie ich kosztował.

Atos po zupie i dwóch, czy trzech, potrawach niczego więcej nie dotknął.

Rozmowa była taką, jaka mogła być między trzema ludźmi z tak różnymi charakterami i projektami.

Aramis nie przestawał dręczyć się dociekaniem tajemnicy, jakim szczególnym wypadkiem Atos znajdował się u Baisemeaux skoro d'Artagnana już nie było i dlaczego d'Artagnana nie było, kiedy Atos pozostał.

Atos, zgłębiając umysł Aramisa, żyjącego intrygą i wybiegami, przekonał się, że jakimś ważnym zajęty jest pomysłem.

Poczem Atos, zamyślając się sam o swoich sprawach, zapytał sam siebie, dlaczego d'Artagnan opuścił tak prędko i niespodziewanie Bastylję, zostawiając więźnia, bez objaśnienia i tak źle strzeżonego.

Ale nie będziemy się zastanawiali dalej nad temi trzema osobami, pozostawmy ich przed resztkami kapłonów, kuropatw, ryb itd., a sami udajmy się za d'Artagnanem, który, wsiadając do karety, szepnął stangretowi do ucha:

— Do króla! i co konie mogą wyskoczyć.

CCVI

CO DZIAŁO SIĘ W LUWRZE PODCZAS WIECZERZY W BASTYLJI.

Jakeśmy to widzieli w rozdziale poprzednim pan de Saint-Agnan dopełnił zlecenia u panny La Valliere, ale jakkolwiek silną była jego wymowa, nie potrafił przekonać jej, że ma w osobie króla możnego opiekuna i że skoro król trzyma jej stronę nie potrzebuje ona więcej nikogo na świecie.

Na pierwszą bowiem wzmiankę powiernika o odkryciu tej drażliwej tajemnicy, Ludwika zaczęła płakać i wyrzekać, i oddała się cała rozpaczy, którą gdyby król, ukryty w kącie pokoju był widział, pewno nie byłby zadowolony.

Saint-Agnan, poseł, obraził się nią tak, jakby był uczynił jego pan, i wrócił do króla, donosząc mu, co widział i co słyszał.

I właśnie w tej chwili znajdujemy go, wzburzonego przed królem, który jeszcze więcej był niż on, wzburzony.

— Ależ — rzekł król do dworaka, kiedy ten skończył opowiadanie — cóż postanowiła?... — Czy zobaczę ją teraz, przed

wieczerzą?... Czy ona tu przyjdzie?... Czy trzeba, ażebym ja do niej poszedł?

— Zdaje mi się, że skoro Wasza Królewska Mość chce ją widzieć, trzeba będzie aż do niej odbyć drogę!

— Nic więc dla mnie!... A! to ten Bragellone tak w sercu jej siedzi? — mruknął Ludwik XIV-ty przez zęby.

— O!... Najjaśniejszy Panie, to być nie może, gdyż panna La Valliere kocha ciebie tylko i to z całego serca. Ale Wasza Królewska Mość wiesz, że Bragellone należy do tego pokolenia surowego, które gra rolę bohaterów rzymskich.

Król rozśmiał się cokolwiek.

Wiedział bowiem, co o tem myśleć, gdyż Atos tylko co go opuścił..

— Co się zaś tyczy panny La Valliere — mówił dalej Saint-Agnan — wychowana była u owdowiałej księżny, to jest w szytywności i surowości. I ci dwoje narzeczonych przysięgali sobie z najzimniejszą krwią przy świetle gwiazd i księżyca, a dziś zerwać to jakoś djabelnie jest przykro.

Saint-Agnan mniemał, że rozweseli króla, ale przeciwnie, Ludwik z uśmiechu przeszedł do surowości zupełnej.

Uczuł już to, co hrabia przyrzekł d'Artagnanowi, że nastąpi, uczuł wyrzuty sumienia.

Rozmyślał, że może oni istotnie szczerze się kochali i przysięgli połączyć się, że jedno z nich dotrzymało słowa, a drugie nadto jest prawem, aby nie miało jęczeć pod ciężarem wiarołomstwa.

A wraz z tym wyrzutem zazdrość ukłóła serce króla.

Nie rzekł już ani słowa i zamiast pójść do matki, do królowej, albo do księżny, ażeby się rozweselić i pośmiać z damami, jak to sam nieraz mówił, zasiadł w ogromnem krześle, w którem Ludwik XIII-ty, jego łaskawy ojciec, nudził się przez tyle dni i lat.

Saint-Agnan pojął, że trudno będzie rozweselić króla tego wieczora, użył więc ostatecznego środka, wymawiając imię Ludwiki.

I król podniósł głowę:

— Co Wasza Królewska Mość zamyśla czynić tego wieczora?... Czy trzeba zawiadomić pannę La Valliere?

— Zdaje mi się, że przecie jest zawiadomioną!... — odpowiedział król.

— Czy będzie dziś przechadzka?

— Właśnie wrócono z niej — odrzekł król.

— Cóż więc będziemy robili, Najjaśniejszy Panie?

— Marzmy, Saint-Agnanie, marzmy każdy na swój rachunek. Gdy panna de La Valliere, przestanie żałować tego, czego żałuje, zapewne wtenczas raczy nas o tem zawiadomić.

— A!... Najjaśniejszy Panie. czyż możesz tak źle myśleć o sercu, które tobie tylko jest oddane?

Król powstał, zaczerwieniony ze złości; zazdrość go pożerała.

Saint-Agnan w przykrem był położeniu; wtem drzwi się otworzyły.

Król prędko się odwrócił; pierwszą jego myślą było, że mu przynoszą bilet od La Valliere, lecz zamiast posłańca miłości, spostrzegł kapitana muszkieterów, wyprostowanego i milczącego.

— Pan d'Artagnan — rzekł. — A... i cóż?...

D'Artagnan rzucił oczyma na Saint-Agnana.

Król podobnież uczynił, a spojrzenia te jasno dały poznać dworakowi, że powinien się oddalić, co też, skłoniwszy się, uczynił.

Król pozostał sam z d'Artagnanem.

— A co?... już zrobione?... — zapytał król.

— Tak!... Najjaśniejszy Panie — odpowiedział kapitan muszkieterów głosem poważnym. — "Już zrobione."

— Cóż hrabia na to powiedział?

— Nic!... Najjaśniejszy Panie!

— Jednakże chyba nie musiał dać się uwięzić, nie wyrzekłszy ani słowa?

— Powiedział, że spodziewał się uwięzienia, Najjaśniejszy Pa nie!

— Mniemam, że hrabia de La Fere nie przedłużał roli buntownika?... — zapytał król.

— A najprzód, Najjaśniejszy Panie!... kogo Wasza Królewska Mość uważa za buntownika? — spytał d'Artagnan najspokojniej. — Czy w oczach Waszej Królewskiej Mości buntownikiem jest ten, który nietylko bez oporu dozwala się wpakować

do Bastylji, ale jeszcze upiera się wobec tych, którzy go nie chcą tam zaprowadzić?

— Którzy go nie chcą tam zaprowadzić? — krzyknął król. — Co słyszę?... kapitanie, czyś oszalał?

— Mówisz o ludziach, którzy nie chcieli aresztować hrabiego de La Fere.

— Tak!... Najjaśniejszy Panie!

— I któż to są ci ludzie.

— Zapewne ci — rzekł muszkieter — którym Wasza Królewska Mość to poleciłeś.

— Ależ ja tobie to poleciłem!.. — krzyknął król.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie. Mnie!

— I mówisz, że pomimo mego rozkazu, miałeś zamiar nie aresztować człowieka, który mnie uchybił?

— To było jedynym moim zamiarem, Najjaśniejszy Panie. Radziłem mu nawet, żeby wsiadł na konia, którego kazałem dla niego przygotować przy rogatce de La Conference.

— W jakimże celu kazałeś przygotować konia?

— Ależ Najjaśniejszy Panie, po to, ażeby hrabia udał się do Havru, a stamtąd do Anglji.

— A więc zdradzałeś mię, mości panie — krzyknął król, uniesiony gniewem.

— Najzupełniej.

Nie można było nic powiedzieć na wyrazy, takim wyrzeczone tonem.

Król zadziwił się tak silnym oporem.

— Musiałeś mieć przynajmniej jaki powód, ażeby tak postąpić?... — zapytał król z powagą.

— Ja zawsze mam przyczynę, Najjaśniejszy Panie!

— Nie była tu zapewne powodem przyjaźń, a przecież byłby to jedyny powód jaki mógłbyś tu przytoczyć i jaki mógłby cię tym razem wytłumaczyć, chociaż dałem ci do wyboru.

— Mnie, Najjaśniejszy Panie?

— Czyż nie pozostawiłem ci do wyboru, aresztować lub nie, hrabiego de La Fere?

— Tak, Najjaśniejszy Panie, ale....

— Ale co?... — przerwał król niecierpliwie.

— Ale, uprzedziłeś mnie, Najjaśniejszy Panie, że, jeżeli ja go nie będę aresztował, wykona to kapitan gwardji.

— Czyż nie było dostateczne, żem cię do tego nie zmuszał?

— Dla mnie? tak! Najjaśniejszy Panie, ale nie dla mego przyjaciela.

— Nie?.

— Bezwątpienia, bo, czy to bezemnie czy przez kapitana gwardji, przyjaciel mój byłby uwięziony w każdym razie.

— I to jest takie twoje poświęcenie, mój panie!... poświęcenie, które rozprawia, wybiera!... Nie jesteś pan żołnierzem, mój panie!

— Czekam, aż mi Wasza Królewska Mość powie, czem jestem.

— Jesteś spiskowcem.

— Kiedy spisków już niema, Najjaśniejszy Panie.

— Ależ jeżeli to, co mówisz, jest prawdą...

— Ja zawsze prawdę mówię.

— To pocóżeś tu przyszedł?

— Przyszedłem ażeby powiedzieć królowi: Najjaśniejszy Panie, hrabia de La Fere jest w Bastylji.

— Jak się zdaje, stało się to nie dzięki twojej gorliwości.

— To prawda, Najjaśniejszy Panie! ale koniec końców on tam jest, a skoro jest, potrzeba, abyś Wasza Królewska Mość o tem wiedział.

— A!... panie d'Artagnan, za bardzo jesteś zuchwały wobec twego króla. Upraszam cię, mój panie, nie nadużywaj mojej cierpliwości.

— Przeciwnie, panie!

— Jakto przeciwnie?

— Przychodzę po to, aby i mnie kazano uwięzić.

— Ciebie uwięzić?

— Bezwątpienia, gdyż przyjaciel mój będzie się tam nudził sam jeden; przyszedłem więc prosić Waszą Królewską Mość, abyś mi pozwolił być w jego towarzystwie. Wasza Królewska Mość rzeknij tylko słowo, a ja sam siebie zaaresztuję i zaręczam też do tego nie będzie otrzeba kapitana gwardji.

Król skoczył do stolika i porwał pióro, ażeby napisać rozkaz uwięzienia d'Artagnana.

— Pamiętaj pan, że to na całe życie — rzekł król, grożąc.

— Tak, spodziewam się — rzekł d'Artagnan.

Król rzucił pióro z gwałtownością.

— Odejdź pan — rzekł.

— Najjaśniejszy Panie!... przyszedłem tu, ażeby pomówić z nim spokojnie. Wasza Królewska Mość uniosłeś się, jestto nieszczęście, jednakże nie wstrzyma mię to, ażebym nie powiedział Waszej Królewskiej Mości tego, co miałem mu powiedzieć.

— Opuść pan natychmiast służbę — krzyknął król — natychmiast!

— Wiesz dobrze Wasza Królewska Mość, że, gdy w Blois odmówiłeś królowi Karolowi jednego miljona, który mu dał następnie przyjaciel mój hrabia de La Fere, opuściłem był służbę Waszej Królewskiej Mości.

— A więc dobrze!... czyń tak i teraz, tylko prędko!

— Najjaśniejszy Panie, nie o to tu teraz idzie. Wasza Królewska Mość wziąłeś pióro do ręki, aby mnie posłać do Bastylji.

— D'Artagnan!... ty, głowo Gaskońska!

Muszkieter gwałtownem poruszeniem wydobył szpadę, opierając rękojeść o podłogę, i zwrócił jej ostrze do swoich piersi.

Król jeszcze prędzej poskoczył ku niemu prawą ręką ujął go za szyję, lewą porwał wpół szpadę i wsunął ją do pochwy.

D'Artagnan osłupiały, blady, drżący, z winną uległością dozwolił królowi czynić co się mu podobało.

Wówczas Ludwik, rozrzewniony, wrócił do stolika, wziął pióro i, kilka słów napisawszy, oddał d'Artagnanowi.

— Co to za papier, Najjaśniejszy Panie?... — spytał kapitan.

— Rozkaz, dany panu d'Artagnan, ażeby natychmiast uwolnił hrabiego de La Fere.

D'Artagnn porwał rękę króla, ucałował ją, a chowając papier, wyszedł.

Ani król, ani kapitan nie rzekli do siebie ani słowa.

— O serce ludzkie, wskazówko królów — rzekł Ludwik, pozostawszy sam — kiedyż nauczę się czytać w skrytkach twoich, jak na kartach książki!... Nie!.... nie jestem złym królem, nie jestem słabym królem, ale jeszcze jestem dzieckiem.

D'Artagnan obiecał panu de Baisemeaux, że powróci na deser i dotrzymał słowa.

Właśnie pili wina słodkie i likiery, w które piwnica gubernatora Bastylji, jak mówiono, była obficie zaopatrzoną, kiedy o-

strogi kapitana muszkieterów, zabrzękły na korytarzu i on sam wszedł do pokoju.

Atos i Aramis mieli się na ostrożności, dlatego też jeden drugiego nie przeniknął.

Jedli, rozmawiali o Bastylji, o ostatniej podróży do Fontainebleau i o przyszłej zabawie, jaką miał dać w Vaux pan Fouquet.

Rozmowa toczyła się o rzeczach ogólnych, a nikt prócz Baisemeaux nie dotknął spraw osobistych.

D'Artagnan wszedł blady jeszcze i wzruszony po rozmowie z królem.

Baisemeaux podał mu krzesło i szklankę wina, którą muszkieter zaraz wypił. Atos i Aramis zauważył wzruszenie d'Artagnana. Co do Baisemeaux, ten, nic prócz kapitana muszkieterów Jego Królewskiej Mości nie widząc, robił honory.

Być bliskim króla było to dla Baisemeaux prawem do wszelkich jego względów.

Chociaż Aramis widział to wzruszenie, nie mógł jednakże odgadnąć powodu.

Atos tylko zdawał się je przenikać.

Dla niego powrót d'Artagnana, a nadewszystko wzruszenie to znaczyło: "Żądałem od króla czegoś, a on mi odmówił".

I przekonany, że odgadł Atos uśmiechnął się, wstał od stołu i dał znak d'Artagnanowi, jakby chciał przypomnieć mu, że mieli tu inne zajęcie, niż jeść wieczerzę.

D'Artagnan, zrozumiawszy, odpowiedział mu także skinieniem; Aramis i Baisemeaux, widząc tą niemą rozmowę, patrzyli z zadziwieniem.

Atos uznał za potrzebne objaśnić ich, co zaszło.

— Otóż powiem wam teraz, moi panowie, prawdę; ty, Aramisie, jadłeś wieczerzę z przestępcą stanu, ty zaś, panie Baisemeaux, ze swym więźniem.

Baisemeaux krzyknął z zadziwienia i prawie z radości.

Kochany ten człowiek nadzwyczaj dbały był o honor swej fortecy.

Nie licząc bowiem zysków, im więcej miał więźniów, tem był szczęśliwy, a im ważniejszymi byli, tem więcej pochlebiało to jego dumie.

Co do Aramisa, ten stosując wyraz twarzy do okoliczności, rzekł:

— Wybacz, kochany Atosie, ale domyślałem się tego, co zaszło. Zapewne z powodu Raoula i La Valliere? nieprawdaż?

— Niestety — rzekł Baisemeaux.

— A ty, jako prawdziwy wielki pan, zapomniawszy, że teraz są tylko dworacy, poszłeś do króla i powiedziałeś mu słowa prawdy?

— Zgadłeś, przyjacielu.

— Tak dalece — rzekł Baisemeaux, drżący ze strachu, iż jadł wieczerzę z człowiekiem, który popadł w niełaskę króla — tak dalece, panie hrabio!...

— Że mój przyjaciel pan d'Artagnan doręczy ci, kochany gubernatorze, ten papier, który mu wygląda z munduru, a który jest zapewne rozkazem uwięzienia mnie.

Baisemeaux wyciągnął rękę ze zwykłą sobie zręcznością.

D'Artagnan wyjął dwa papiery i jeden z nich oddał gubernatorowi.

Baisemeaux czytał go, przerywając i spoglądając zukosa na Atosa.

"Rozkaz uwięzienia, w moim zamku w Bastylji". — Bardzo dobrze. O! panie, jakże to bolesny zaszczyt dla mnie, że będę go posiadał.

— Będziesz pan miał ze mnie bardzo spokojnego więźnia. — odrzekł Atos spokojnie.

— Więźnia, który nie przebędzie u ciebie nawet miesiąca — wtrącił Aramis.

Tymczasem Baisemeaux, trzymając rozkaz w ręku, zaciągnął go do regestru.

— Ani godziny nawet — rzekł d'Artagnan, podając drugi rozkaz królewski — gdyż teraz, kochany panie de Baisemeaux, trzeba będzie, ażebyś także wpisał do regestru rozkaz bezzwłocznego uwolnienia hrabiego.

— A!... rzekł Aramis — oszczędzasz mi roboty kochany d'Artagnan.

I znacząco uścisnął go jak i Atosa za rękę.

— Jakto?... — rzekł ten ostatni — król uwalnia mię?

— Czytaj, przyjacielu — odrzekł d'Artagnan.

Atos wziął rozkaz, i, przeczytawszy, rzekł:

— Prawda!...

— Czy się gniewasz o to?... — zapytał d'Artagnan.

— O nie! przeciwnie. Nie życzę bowiem źle królowi; największe bowiem złe, jakiego można życzyć monarchom, jest to, aby popełniali niesprawiedliwość. Ale ty, mój przyjacielu, przyznaj, że niemało musiałeś mieć kłopotu? co?

— Ja? gdzietam!... — rzekł, śmiejąc się d'Artagnan. Król zawsze robi, co ja zechcę.

Aramis spojrzawszy na d'Artagnana, poznał, że kłamie, ale Baisemeaux od tej chwili, nie widział nic prócz d'Artagnana, tak bowiem był przejęty uszanowaniem dla człowieka, który robił z królem to co mu się podobało.

— Zapewne król skazuje na wygnanie Atosa?... — rzekł Aramis.

— Właściwie nie, gdyż o tem nie mówił — odpowiedział d'Artagnan — lecz zdaje mi się, że hrabia najlepiejby uczynił, gdyby... ale może chce on osobiście podziękować królowi!

— O! nie! nie!... — rzekł, śmiejąc się Atos.

— W takim razie, jak mówię, najlepiejby uczynił, gdyby odjechał do dóbr swoich. Zresztą, może przekładasz jedno miejsce pobytu nad drugie, powiedz, to ja ci to wyrobię.

— Dziękuję ci, przyjacielu!... — odrzekł Atos — nic mi bowiem nie jest milszego nad powrót do mojej samotności, do moich kwiatów, na brzegi Loary. Jeżeli bowiem Bóg jest najwyższym dusz lekarzem, pewno natura najlepszem jest lekarstwem.

A więc panie!... — rzekł, zwracając się do Baisemeaux — jestem wolny?

— Tak! panie hrabio! zdaje mi się, spodziewam się, przekonany jestem o tem; chyba — rzekł Baisemeaux — pan d'Artagnan ma jeszcze trzeci rozkaz?

— Nie, kochany gubernatorze — odrzekł d'Artagnan — nie mam trzeciego, trzymajmyż się więc drugiego i dosyć.

— A, panie hrabio — odrzekł Baisemeaux do Atosa — nie wiesz, co straciłeś. Byłbym cię umieścił na stole po trzydzieści liwrów dziennie, tak, jak generałów, ale co mówię, na pięćdziesiąt, tak, jak książąt — i co dzień jadałbyś tak, jak dzisiaj.

— Dziękuję panu — odrzekł Atos — ale przekładam nad to moją mierność.

I, zwracając się do d'Artagnana, dodał:

— Jedźmy! mój przyjacielu!

— Jedźmy — odrzekł d'Artagnan.

— Czy będę miał tę przyjemność — rzekł Atos — że będziesz mi towarzyszył?

— Tylko do bramy, mój drogi — odpowiedział d'Artagnan — poczem powiem ci tak, jak królowi. "Dziś jestem na służbie."

— A ty, kochany Aramisie — rzekł Atos — nie jedziesz ze mną? La Fere jest po drodze do Vannes?

— Mam jeszcze wiele interesów do załatwienia w Paryżu; wyjazd dziś pociągnąłby za sobą wielkie dla mnie straty!... — odpowiedział prałat.

— A zatem bądź zdrów, przyjacielu — rzekł Atos ściskając go. — Panie Baisemeaux, bardzo jestem wdzięczny za twoje dla mnie dobre chęci, a nadewszystko za próbkę smacznego obiadu w Bastylji.

I, uścisnąwszy Aramisa, podawszy rękę panu Baisemeaux i otrzymawszy od nich życzenia szczęśliwej podróży, obaj wyszli z d'Artagnanem.

Kiedy się to stało w pałacu królewskim, a potem w Bastylji, opowiedzmy, co się działo w mieszkaniu Atosa i u Bragellona.

Grimaud, jakeśmy widzieli, obecny był przy odjeździe Atosa i d'Artagnana, widział, że d'Artagnan przygryzał wąsy, a przypatrzywszy się dobrze wyrazowi ich twarzy i znając obydwóch od tak dawna, wniósł, że pod pokrywą obojętności, ważne ukrywają wypadki.

Kiedy Atos odjechał zaczął rozmyślać.

Przypominał dziwny sposób, jakim go Atos pożegnał, zakłopotanie tego, zawsze tak otwartego i zwięzłego w rozmowie człowieka, niedostrzeżone dla nikogo, prócz niego; wiedział, że Atos nie wziął z sobą nic więcej prócz tego, co miał na sobie a przekonany był, że jego nieobecność potrwa dłużej, nad kilka dni, gdyż wyraz "do widzenia", wymówiony przez Atosa, długą zapowiadał nieobecność.

Wszystko to przedstawiło mu się w umyśle, wraz z uczuciem głębokiego do Atosa przywiązania i okropnem przeczuciem samotności i tęsknoty, które zawsze przenikają umysł ludzi kochających; wszystko to, mówimy, uczyniło poczciwego Grimauda bardzo smutnym i niespokojnym.

Nie myśląc nawet o tem, błąkał się po wszystkich pokojach, szukając, że tak powiem, śladów swego pana; podobny w tem

do psa wiernego, którego nieobecność pana nie czyni niespokojnym, ale nudzi.

Tylko, że z instynktem zwierzęcym Grimaud łączył rozsądek człowieka, tęsknił więc i był niespokojny.

Nie znalazłszy żadnej wskazówki, któraby mogła do czegoś pewnego doprowadzić, nie spostrzegłszy ani odkrywszy nic takiego, coby jego wątpliwość potwierdziło. Grimaud zaczął sobie wyobrażać, coby to być mogło.

A wiemy, że wyobrażenie jest męczarnią serc czułych.

Rzadko się bowiem zdarza, ażeby człowiek, posiadający czułe i dobre serce, przedstawiał sobie, że przyjaciel jego nieobecny, zdrów jest i szczęśliwy.

Odświeżył w pamięci wszystko, co zaszło: list d'Artagnana do Atosa, list, w skutku, którego Atos był tak smutny; potem odwiedziny Raoula, po których Atos kazał sobie podać ordery i suknie odświętne; potem widzenie się z królem, w skutek którego Atos wrócił tak ponury; potem rozmowę między ojcem a synem, w końcu której Atos tak czule uściskał Raoula, gdy Raoul tak smutny wracał do siebie; potem przybycie d'Artagnana, przygryzającego wąsy, i wsiadanie d'Artagnana i Atosa do jednego powozu.

Wszystko to utworzyło dramat w pięciu aktach, bardzo jasny, nadewszystko dla takiego umysłu, jak umysł Grimauda.

W końcu Grimaud udał się do ostatecznych środków; wyszukał w surducie, zostawionym przez pana, list d'Artagnana, który brzmiał w tych słowach:

Kochany przyjacielu!

Raoul był u mnie, chcąc się dowiedzieć o postępowaniu panny La [illegible]lliere przez czas bytności jego w Londynie. Ja zaś jestem tylko biednym kapitanem muszkieterów, którego uszy przepełnione są konceptami koszarowymi. Gdybym był mu powiedział, to, jak mi się zdaje, biedny chłopiec umarłby z rozpaczy; lecz ponieważ jestem w służbie króla, nie mogłem mu wydawać tajemnic królewskich. Jeżeli serce ci tak radzi, sam mu powiedz. Rzecz ta powinna cię obchodzić więcej, niż mnie, a tyleż co i Raoula."

Grimaud wyrwał sobie kosmyk włosów, a byłby więcej wydarł, gdyby były na głowie obfitsze.

— Aha!... otóż i rozwiązanie zagadki. Dziewczyna winna, jak zwykle. To, co mówią o niej i królu, jest prawdą. Raoul został oszukany i musi o tem wiedzieć. Pan hrabia poszedł do króla i powiedział mu prawdę. Potem król przysłał pana d'Artagnana, ażeby załatwić interes. A mój Boże!... wszak to pan hrabia wrócił bez szpady!...

Odkrycie to oblało zimnym potem czoło poczciwego człowieka.

Nic już nie rozumując, nacisnął kapelusz na uszy i pobiegł do mieszkania Raoula.

Po odejściu Ludwiki, Raoul uspokoił cokolwiek jeżeli nie miłość, to przynajmniej boleść, a rzuciwszy okiem na wypadki, w które wciągnęły go niedorzeczności i opór, wyobraził sobie swego ojca, opierającego się królowi, ponieważ Atos sam się za niego na ten opór naraził.

W chwili tej nieszczęśliwy młodzieniec właśnie przypominał sobie tajemnicze znaki Atosa, dawane niespodzianie przybyłemu d'Artagnanowi, i skutki starcia się poddanego z panującym przedstawiły się przestraszonym jego oczom.

D'Artagnan, będąc na służbie, to jest przykuty prawie do miejsca, nie przyszedł zapewne do Atosa dla przyjemności, ażeby go odwiedzić.

Przyszedł zapewne, aby mu o czemś donieść.

To coś w tak trudnych okolicznościach mogło być tylko nieszczęściem, albo niebezpieczeństwem.

Raoul zadrżał, że był samolubem, że zapomniał o ojcu dla miłości, słowem, że szukał marzenia, albo rozkoszy w rozpaczy, wtenczas kiedy może szło o odparcie niebezpieczeństwa, grożącego Atosowi.

Uczucie to dodało mu skrzydeł.

Przypasawszy szpadę, pobiegł do mieszkania swego ojca. W drodze potrącił o Grimauda, który, wyszedłszy z mieszkania, pędził z równą skwapliwością dla odkrycia prawdy.

— Grimaud!... — krzyknął Raoul.

— Pan Raoul!... — krzyknął Grimaud — czy pan hrabia ma się dobrze?....

— Widziałeś go?...

— Nie.

— Szukam go!

— Gdzież jest?...
— A pan d'Artagnan?
— Wyjechał z hrabią.
— Kiedy?...
— W dziesięć minut po pańskiem odejściu!...
— Jak pojechali?....
— W karecie!
— Dokąd?...
— Nie wiem!
— Czy mój ojciec wziął pieniądze?...
— Nie.
— A szpadę?...
— Nie.
— Mnie się zdaje, że d'Artagnan przyszedł.....
— Ażeby aresztować pana hrabiego, nieprawdaż?...
— Tak! Grimaud!
— Byłbym to prrzysiągł!
— Którędy pojechali?...
— Tu po nad rzeką.
— To do Bastylji.
— A!... mój Boże!... prawda!
— Prędko, biegnijmy.
— Ale dokąd?... — zapytał Raoul zgnębiony.
— Wstąpmy do pana d'Artagnana, może się czego dowiemy.
— Nie, bo kiedy się z tem przedemną tajono u mego ojca, to i tu nic nie powiedzą. Idźmy do... Ależ, mój Boże!... ja dziś oszalałem, mój dobry Grimaud!...
— Cóż znowu?...
— Zapomniałem o panu du Vallon?
— O panu Portosie?...
— Tak!... który na mnie czeka. Niestety!... dobrzem ci mówił, żem oszalał.
— Który na pana czeka!... i gdzie?.'.
— W Vincennes, koło Reformatów!...
— Chwała Bogu!... wszakże to po drodze do Bastylji!...
— Biegnijmy prędko!...
— Panie, ja zaraz osiodłam konie.
— O tak, mój przyjacielu byle prędko!...

CCVII

PORTOS DAJE SIĘ PRZEKONAĆ, CHOĆ NIC NIE ROZUMIE.

Zacny Portos, wierny wszelkim przepisom dawnych rycerzy, postanowił czekać na pana de Saint-Agnan aż do zachodu słońca.

A że Saint-Agnan nie miał przybyć, Raoul zaś zapominał uprzedzić o tem swego sekundanta, oczekiwanie to stawało dlań się coraz dłuższem i nudniejszem.

Portos kazał sobie przez odźwiernego przynieść kilka butelek wina i dobry kawał pieczeni, ażeby mieć jakąkolwiek rozrywkę, albo wyciągając korek z butelki, albo jedząc kawał mięsa, i właśnie kończył to zatrudnienie, kiedy Raoul nadjechał cwałem w towarzystwie Grimauda.

Portos, skoro tylko spostrzegł dwóch jeźdźców, pędzących gościńcem, nie wątpił, że to są ci, na których oczekiwał, wstał więc natychmiast z murawy, na której wygodnie siedział i zaczął się przeciągać, prostując nogi i ręce.

— Otóż to się nazywa być akuratnym — rzekł — koniec końców ten nicpoń musiał przybyć. Gdybym był odszedł, nie znalazłby nikogo, i byłoby to wyszło na jego korzyść!

A wparłszy się w bok z marsową postawą okazał w całej świetności olbrzymią swą postać.

Lecz zamiast Saint-Agnana zobaczył Raoula który, zbliżywszy się doń, zawołał w rozpaczy:

— A kochany przyjacielu! a! przebacz, o jakże jestem nieszczęśliwy!

— Raoulu!... — rzekł Portos zdziwiony.

— Gniewasz się na mnie!... — rzekł Raoul, ściskając Portosa.

— Ja! a za cóż!

— Żem o tobie zapomniał. Ale widzisz, straciłem zupełnie głowę.

— Cóż znowu?

— Gdybyś wiedział, kochany przyjacielu!...

— Zabiłeś go?

— Kogo?

— Saint-Agnana.

— Niestety! nie o niego tu idzie?

— Cóż się stało?

— Oto hrabia de La Fere w tej chwili musi być już uwięziony!

Portos uczynił poruszenie, któreby niezawodnie mur przewróciło.

— Uwięziony, przez kogo?

— Przez pana d'Artagnan!

— To niepodobna!... — rzekł Portos.

— A jednakże tak jest — odrzekł Raoul.

Portos zwrócił się do Grimauda, jak człowiek, potrzebujący potwierdzenia wiadomości. Grimaud skinął głową.

— I dokąd go zaprowadzono?... — spytał Portos.

— Zapewne do Bastylji!

— Skądże to wnosisz?

— Po drodze wypytywaliśmy ludzi, którzy widzieli przejeżdżającą karetę, a inni widzieli, jak wjeżdżała do Bastylji.

— O! o!... — mruknął Portos i postąpił dwa kroki.

— Cóż postanowiłeś?... — spytał Raoul.

— Nic. Ale nie chcę, ażeby Atos był w Bastylji.

Raoul zbliżył się do zacnego Portosa.

— A wiesz pan, że aresztowanie nastąpiło z rozkazu króla?

Portos spojrzał na młodzieńca tak, jakby mu chciał powiedzieć: "A to dla mnie wszystko jedno."

Ta niema rozmowa tąk była dla Raoula przekonywująca, że wsiadł na konia, co był już uczynił i Portos przy pomocy Grimauda.

— Ułóżmy plan — rzekł Raoul.

— A tak! tak, ułóżmy plan — odpowiedział Portos.

Raoul mocno westchnął i zamilkł.

— Co ci to?... — zapytał Portos — czyś słaby?

— Nie, ale to niepodobieństwo gdyż nie możemy być tyle zarozumiali, abyśmy we trzech zdobyli Bastylję?

— Ha! gdyby d'Artagnan był z nami, kto wie — odrzekł Portos.

Raoul przejęty był podziwem, usłyszawszy to szczere zaufanie bohaterskie.

Byli to więc ci sławni ludzie, którzy, we trzech lub czterech, wpadali na kolumny nieprzyjaciół, lub zdobywali zamki; ci ludzie, którzy nawet śmierć przestraszyli, a którzy, kończąc już prawie kres życia, byli jeszcze silniejsi, niż najsilniejsi z młodzieży.

— Panie — rzekł Raoul do Portosa — słowa twoje natchnęły mnie pomysłem, ale trzeba nam koniecznie zobaczyć się z panem d'Artagnan.

— Bezwątpienia.

— Po zawiezieniu mego ojca do Bastylji, musiał już wrócić do siebie. Jedźmy do niego!

— Dowiedzmy się najprzód w Bastylji — rzekł Grimaud, który rzadko, ale dobrze mówił.

Rzeczywiście pośpieszyli przybyć do fortecy.

Przypadek, jaki często Bóg zsyła ludziom silnej woli, sprawił, że Grimaud spostrzegł karetę, wjeżdżającą przez most zwodzony do głównej bramy.

Było to w chwili (jakeśmy widzieli) powrotu d'Artagnana od króla.

Raoul napróżno puścił się pędem, aby dogonić karetę i zobaczyć, kto w niej siedzi, kareta już przejechała za bramę, a ta zamknęła się za nią.

— Mamy go już!... — rzekł Grimaud.

— Zaczekajmy trochę, gdyż pewno będzie wracał, nieprawdaż, przyjacielu?

— Chyba, że i d'Artagnan jest także uwięziony — rzekł Portos — a w takim razie wszystko stracone.

Raoul nic nie odpowiedział, wszystko bowiem można było przypuszczać.

Radził, aby Grimaud zaprowadził konie w małą uliczkę Jean-Beausire, dla nie wzbudzenia podejrzeń, sam zaś pilnie śledził powrotu d'Artagnana albo karety.

Plan ten był najlepszy, gdyż zaledwie dwadzieścia minut upłynęło, brama się otworzyła i pokazała się kareta.

Wzruszenie nie dozwoliło dostrzedz Raoulowi, kto jest w karecie.

Grimaud przysięgał, że widział dwie osoby, z których jedna była jego panem.

Portos, spoglądając to na jednego, to na drugiego, spodziewał się, że pojmie ich zamiary.

— To niezawodne, że hrabia znajduje się w karecie, więc jest wolny, albo przewożą go do innej fortecy.

— Przekonamy się o tem, którą drogą pojedzie — rzekł Portos.

— Jeżeli jest wolny, to go odwiozą do mieszkania — rzekł Grimaud.

— To prawda — odrzekł Portos.

— Ależ kareta nie tam się zwraca!... — rzekł Raoul.

Rzeczywiście powóz zwrócił się na przedmieście świętego Antoniego

— Dopędźmy — rzekł Portos — zatrzymamy karetę. Atosowi zaś poradzimy, ażeby uciekał.

— To bunt!... — mruknął Raoul.

Portos rzucił na Raoula wzrokiem, również jak przedtem wymownym, na co Raoul odpowiedział, ściskając konia ostrogami. Wkrótce trzej jeźdźcy dopędzili karetę i tak blisko za nią jechali, że osiadł na niej oddech koński.

D'Artagnan, którego zmysły zawsze czuwały, usłyszał tęteni koni. Było to w chwili, w której Raoul doradził Portosowi, ażeby wyprzedzić trochę karetę i zobaczyć kto towarzyszy Atosowi. Portos uczynił to, ale nic nie widział, gdyż firanki u okien były zapuszczone. Gniew i niecierpliwość opanowały Raoula. Zauważył to ukrywanie się towarzysza Atosa i postanowił uciec się do ostateczności. Z drugiej strony d'Artagnan poznał doskonale Portosa, a również przez szparę w firankach poznał i Raoula i zwrócił na to uwagę hrabiego. Chcieli się przekonać, czy Raoul i Portos posuną się do ostateczności. To wkrótce nastąpiło Raoul z pistoletem w ręku, skoczył do najbliższego konia karety i rozkazał stangretowi zatrzymać się. Portos, pochwyciwszy stangreta, zdjął go z kozła. Grimaud otworzył drzwiczki zatrzymanej karety, krzycząc:

— Panie hrabio! panie hrabio!

— A więc to ty, kochany Raoulu!... — rzekł Atos, upojony radością.

— Wcale nieźle!... — rzekł d'Artagnan, śmiejąc się głośno.

I obaj uściskali młodzieńca i Portosa, który trzymał już ich w objęciach.

— Waleczny Portos, najdoskonalszy przyjaciel — zawołał Atos — zawsze ten sam.

— On ma dopiero dwadzieścia lat — rzekł d'Artagnan. — Brawo Portos.

— Cóż robić!... — rzekł Portos, trochę zawstydzony — myśleliśmy, że ciebie uwieziono.

— Gdy tymczasem — rzekł Atos — była to tylko przejażdżka w powozie pana d'Artagnan.

— Jedziemy za wami od Bastylji — rzekł Raoul głosem podejrzenia i wyrzutu.

— Gdzieśmy byli na wieczerzy u pana de Baisemeaux. Czy przypominasz go sobie, Portosie?

— O! bardzo dobrze.

— I zastaliśmy tam Aramisa.

— W Bastylji?

— Na wieczerzy.

— A!... — rzekł Portos, oddychając.

— Kazał ci oświadczyć tysiąc uprzejmości.

— Dziękuję!

— Dokąd się teraz udaje pan hrabia?... — spytał Grimaud, którego pan wynagrodził już uprzejmym uśmiechem.

— Jedziemy do Blois, do domu.

— Jakto? wprost stąd?... — rzekł Raoul.

— Prosto!

— Bez żadnych rzeczy?

— E! Mój Boże Raoul miałby polecenie d'Artagnana, ażeby mi je przysłał, albo przywiózł, wracając do mnie, jeżeliby powracał?

— A jeżeli go nic nie zatrzymuje w Paryżu — rzekł d'Artagnan ze znaczącem i ostrem jak sztylet spojrzeniem, i zarówno też bolesnem, gdyż otworzyło ranę biednego młodzieńca — to dobrzeby zrobił, gdyby z tobą pojechał.

— Nic mię nie zatrzymuje już w Paryżu — odpowiedział Raoul.

— A więc jedziemy natychmiast — podchwycił Atos.

— A pan d'Artagnan?

— Ja będę towarzyszył wam aż do rogatek, a potem wróce z Portosem.

— Pójdź, mój synu — rzekł hrabia, biorąc go za szyję, ażeby go pociągnąć ku karecie i całując go raz jeszcze. — A ty, Grimaud, wrócisz do Paryża, na swoim koniu i zabierzesz konia pa-

na du Vallon, gdyż Raoul i ja wsiadamy tu na konie i zostawiamy karetę dla tych panów, ażeby nią wrócili do Paryża, a gdy przybędziesz do mieszkania, zbierzesz wszystkie nasze manatki, listy i przywieziesz do nas.

— Ale — rzekł Raoul, który chciał wyciągnąć coś z hrabiego — jak wrócisz kiedy do Paryża, nie znajdziesz wtedy, ani bielizny, ani rzeczy, a bez nich będzie bardzo niewygodnie.

— Zdaje mi się, mój Raoulu, że nie prędko wrócę do Paryża; ostatni nasz pobyt w nim wcale mię do tego nie zachęca.

Raoul spuścił głowę i nie rzekł już ani słowa.

Atos, wysiadłszy z karety, dosiadł konia na którym jechał Portos, a który wydawał się bardzo zadowolonym z tej zamiany.

Uściskano się za ręce, ucałowano się, powiedziano sobie tysiąc zapewnień wiecznej przyjaźni. Portos obiecał przyjechać i przepędzić cały miesiąc u Atosa, d'Artagnan obiecał korzystać z pierwszego urlopu. Potem, ściskając Raoula po raz ostatni, rzekł:

— Napiszę do ciebie, mój chłopcze.

Wszystko było zawarte w wyrazach, które d'Artagnan wymówił, bo on nigdy prawie nie pisywał. Raoul aż do łez był wzruszony. Wydarł się z objęć muszkietera i pojechał.

D'Artagnan wsiadł do karety i pojechał z Portosem.

— A co?... — rzekł — kochany przyjacielu!... musisz być bardzo zmęczony?...

— Nie tak bardzo. Jednakże wcześnie się dziś położę, ażeby jutro rano być gotowym.

— A to dlaczego?...

— Dlatego, ażeby skończyć to, co dziś zacząłem.

— Przestraszasz mię, mój przyjacielu, widzę cię bowiem rozdrażnionym. Cóżeś u djabła, takiego zaczął i nie skończył?....

— Uważaj, Raoul nie bił się. A więc ja muszę się bić!...

— Z kim?... z królem?...

— Jakto z królem?... — rzekł Portos osłupiały.

— A juścić z królem?... mój ty stary trzpiocie.

— Ale ja ci ręczę, że to z panem de Saint-Agnan.

— Właśnie chciałem ci to powiedzieć, że, bijąc się z tym panem, przeciw królowi dobywasz oręża!...

— A! .. — rzekł Portos, wytrzeszczając oczy — czyś tego pewny?...

— Najpewniejszy!...

— A jakżeż to załatwić inaczej?...

— Postaramy się, ażebyśmy dobrą mieli wieczerzę. Stół kapitana muszkieterów dosyć jest smaczny, zobaczysz tam tego pocz ciwego Saint-Agnana i będziesz pił jego zdrowie.

— Ja?... — rzekł Portos z oburzeniem.

— Jakto!... — rzekł d'Artagnan — odmawiasz pić za zdrowie królewskie?...

— Ależ, do kroćset djabłów, nie mówię ci tu o królu, mówię ci tylko o panu de Saint-Agnan.

— A ja ci powiadam, że to wszystko jedno.

— Ha!... jeżeli tak, to dobrze — rzekł Portos zwyciężony.

— Rozumiesz już, nieprawdaż?...

— Nie rozumiem — rzekł Portos — ale to wszystko jedno.

— Tak, to wszystko jedno — odpowiedział d'Artagnan. — Chodźmy na wieczerzę!

CCVIII

TOWARZYSTWO PANA DE BAISEMEAUX.

Nie zapomniano zapewne, że d'Artagnan i hrabia de La Fere, wyjeżdżając z Bastylji, zostawili Aramisa sam na sam z Baisemeaux.

Baisemeaux nie spostrzegł się, że przez odejście dwóch rozmowa cokolwiek, straciła. Zdawało mu się że wina deserowe, które doskonałe były w Bastylji, powinny być środkiem pobudzającym wielomówność człowieka, dobrze wychowanego, ale nie znał dobrze jego wielebności, gdyż ten był najbardziej nieprzenikniony przy końcu uczty. Lecz jego wielebność znał dobrze pana de Baisemeaux i wiedział, że środki, jakie tenże uważał za niezawodne, zrobią go właśnie wielomównym. Lubo rozmowa wydawała się ożywioną w rzeczy samej jednak ociężała, gdyż nietylko Baisemeaux mówił prawie sam, lecz nadto rozprawiał ciągle o szczególnym wypadku uwięzienia hrabiego i o tak prędko nastąpionym rozkazie uwolnienia.

Baisemeaux zauważył, że obydwa rozkazy królewskie, to jest uwięzienia i uwolnienia były własnoręczne.

Otóż król zapewne nie zadawałby sobie tego trudu, gdyby nie jakie ważne okoliczności.

Wszystko to było bardzo zajmujące, lecz razem bardzo niejasne dla Baisemeaux.

Ale, że to wszystko było bardzo jasne dla Aramisa, nie przywiązywał on do tego wypadku takiej wagi, jaką nadawał mu poczciwy nasz gubernator.

Dlatego też w chwili najmocniejszego rozumowania Baisemeaux, Aramis nagle mu przerwał:

— Powiedz mi — rzekł — kochany panie de Baisemeaux, czy żadnych innych nie masz w Bastylji rozrywek nad te, których byłem uczestnikiem podczas kilku odwiedzin, jakie ci miałem za szczyt złożyć?

Zapytanie tak było niespodziewanem, że gubernator, jak chorągiewka, kręcąca się na dachu, kiedy wiatr niespodziewanie z drugiej zawieje strony, zamilkł pomieszany.

— Rozrywek?... — rzekł — lecz ja je mam ciągle, ekscelencjo!

— O!... to chwała Bogu... A jakież rozrywki?

— Są rozmaite!

— Niezawodnie odwiedziny?

— Odwiedziny!... nie. To się nie często zdarza w Bastylji....

— Jakto?... odwiedziny są rzadkie?

— Bardzo rzadkie.

— Nawet ze strony twego towarzystwa?

— Co pan nazywasz mojem towarzystwem? Moich więźniów?

— O nie. Twoi więźniowie... o! wiem, że nie oni ciebie, ale ty ich odwiedzasz. Ale przez twoje towarzystwo, kochany panie de Baisemeaux, rozumiem towarzystwo, do którego należysz.

Baisemeaux patrzał na Aramisa; potem jak gdyby to, co przez chwilę miał w podejrzeniu, było niepodobieństwem:

— O!... — rzekł — teraz bardzo mało mam towarzystwa. I muszę się przyznać, kochany panie d'Herblay, że ludziom światowym pobyt w Bastylji wydaje się dzikim i nudnym. Tak, zanim tu przybędą, nadzwyczaj wiele mam trudności, ażeby ich do tego nakłonić. I nic dziwnego, drżą oni ze strachu widząc

te smutne wieże i myśląc, że są zamieszkane przez nieszczęśliwych więźniów którzy...

I w miarę jak Baisemeaux, rozmawiając, wpatrywał się w twarz Aramisa, język biednego gubernatora coraz się więcej plątał, aż w końcu przestał być czynnym.

— Ależ nie rozumiesz mię, kochany panie de Baisemeaux — rzekł Aramis — nie rozumiesz mię... Ja nie mówię bynajmniej o towarzystwie w ogólności, ale mówię o towarzystwie, którego jesteś członkiem.

Baisemeaux ledwie nie opuścił szklanki muszkatelu, którą niósł do ust.

— Członkiem!... — rzekł — członkiem!

— Bezwątpienia członkiem — powtórzył Aramis z najzimniejszą krwią. Czyż nie jesteś członkiem towarzystwa tajnego?

— Tajnego!

— Tajnego czy tajemniczego.

— O!... panie d'Herblay.

— Nie brońże się przynajmniej.

— Ale wierz mi!...

— Wierzę temu, co wiem.

— Przysięgam!...

— Posłuchaj mię, kochany panie Baisemeaux; ja mówię tak; ty mówisz nie; jeden więc z nas mówi prawdę, drugi zmyśla.

— A więc zaraz się o tem przekonamy.

— Dobrze — rzekł Baisemeaux — dobrze.

— Ale wypijże swą szklankę muszkatelu, kochany panie Baisemeaux — rzekł Aramis. Cóż, u djabła, jesteś tak przerażony!

— Ale nie! bynajmniej.

— Wypij więc.

Baisemeaux wypił, ale się zakrztusił.

— A więc — zaczął Aramis — jeżeli, jak mówiłem, nie jesteś członkiem towarzystwa tajnego, czy tajemniczego, mniejsza o nazwę — jeżeli mówię, nie należysz do towarzystwa, które tu wymieniam, ani słowa nie zrozumiesz z tego, co ci powiem.

— O! bądź pan pewnym, że nic nie zrozumiem!

— Doskonale.

— Spróbuj pan, zobaczymy.

— O! uczynię to. Jeżeli przeciwnie jesteś jego członkiem, natychmiast musisz mi odpowiedzieć tak, lub nie.

— Zapytuj pan — mówił Baisemeaux drżący.

— Gdyż przyznasz zapewne, kochany panie Baisemeaux — mówił dalej Aramis, z tą samą co i wpierw obojętnością — że nie można należeć do towarzystwa, ani ciągnąć korzyści, jakie ono zapewnia stowarzyszonym, aby też nie być samemu zobowiązanym do niektórych drobnych warunków.

— Istotnie — wyjąknął Baisemeaux — nieprawda! ma się rozumieć, jeżeli...

— A więc — przerwał Aramis — jest w towarzystwie, o którem ci mówię, a do którego, jak się zdaje, nie należysz...

— Za pozwoleniem — rzekł Baisemeaux — nie chciałbym wszakże mówić zupełnie...

— Jest zobowiązanie, przyjęte przez wszystkich gubernatorów i komendantów fortec, którzy są członkami towarzystwa...

Baisemeaux zbladł.

— A zobowiązanie to — rzekł Aramis głosem stanowczym — jest:

Baisemeaux powstał, nadzwyczaj niespokojny.

— Jakież to, kochany d'Herbłay, jakie? — rzekł.

Aramis wyrzekł, albo raczej powtórzył następujący paragraf, takim głosem, jakby z książki czytał:

"Tenże komendant, albo gubernator, dozwoli wejść, jeżeli tego będzie potrzeba i na żądanie więźnia, spowiednikowi, należącemu do związku."

Zamilkł. Żal było patrzeć na Baisemeaux, tak był blady i drżący. — Czy tak brzmi warunek zobowiązania?

— Ekscelencjo!... — rzekł Baisemeaux.

— A! a! dobrze, zdaje mi się, że zaczynasz pojmować.

— Ekscelencjo! — zawołał Baisemeaux — nie żartuj sobie z mojego biednego rozumu, jest on bowiem bardzo mały przy tobie, jeżeli masz złośliwą chęć wyciągnąć ze mnie całe tajemnice mego zarządu.

— O! nie, mylisz się, kochany panie Baisemeaux, ja nie o twoich małych tajemnicach zarządu chcę wiedzieć, ale o tajemnicach twojegc sumienia.

— Dobrze, niech i tak będzie co do sumeinia, kochany panie d'Herblay. Ale chciejże być trochę względny na moje nadzwyczajne położenie!

— Nie jest ono bynajmniej nadzwyczajnem, mój kochany panie — mówił nieugięty Aramis — jeżeli jesteś przyjęty do towarzystwa, ale jest bardzo naturalne, jeżeli, wolny od innych zobowiązań, nie masz innej, niż przed królem odpowiedzialności.

— A więc, panie! a więc nie... nikomu nie jestem posłusznym, tylko królowi. Komuż, mój Boże, chcesz, aby szlachcic francuski był posłusznym, jeżeli nie królowi.

Aramis nie poruszył się, ale swoim słodkim głosem:

— Bardzo jest miło — rzekł dla szlachcica francuskiego, dla prałata francuskiego, słyszeć tak szczerze wyrażającego się człowieka twoich zasług, kochany panie Baisemeaux, i słysząc ciebie, nie wierzyć więcej nikomu, tylko tobie.

— Czyś wątpił o tem, panie?

— Ja? o! nie.

— A więc już nie wątpisz?

— Nie wątpię bynajmniej — rzekł surowo Aramis — ażeby człowiek tak, jak ty, panie, nie służył wiernie panom, których sam nadał sobie dobrowolnie.

— Panom? — zawołał Baisemeaux.

— Mówię panom.

— Panie d'Herblay, zapewne jeszcze żartujesz?

— Ja to pojmuję, bo daleko trudniejszem jest położenie mieć wielu panów, niż mieć jednego, ale sobie samemu przypisz ten kłopot, ja bowiem nie jestem tego przyczyną.

— Nie, zapewne — odpowiedział biedny gubernator, więcej niż kiedy zakłopotany. — Ale cóż robisz pan, wstajesz?

— Tak!

— Odjeżdżasz pan?

— Tak, odjeżdżam.

— Ale, jakże to dziwnie postępujesz ze mną, Ekscelencjo.

— Dziwnie? i w czemże to widzisz?

— No! powiedz pan, czyś przysiągł mię dręczyć?

— Przeciwnie! byłbym tem bardzo zmartwiony!

— Zostań pan więc.

— Nie mogę!

— I dlaczegóż?

— Bo nie mam już tu nic do czynienia, a przeciwnie, mam obowiązki gdzieindziej.

— Obowiązki? tak późno?

— Tak! uważaj to dobrze, kochany panie Baisemeaux: Powiedziano mi tam, skąd przybywam: "Gubernator, albo dowódzca wpuści, jeżeli tego będzie potrzeba na żądanie więźnia, spowiednika należącego do związku." Przyszedłem, a ty nie chcesz zrozumieć, co to znaczy; wracam więc, aby powiedzieć tym ludziom, że się omylili i że trzeba, ażeby mnie dokąd indziej posłali.

— Jakto? pan jesteś? — rzekł Baisemeaux patrząc z przerażeniem na Aramisa.

— Spowiednikiem, należącym do związku — rzekł Aramis, nie zmieniając głosu.

Lecz jakkolwiek ciche były te słowa, sprawiły na biednym gubernatorze skutek pioruna.

Baisemeaux posiniał, zdawało mu się, że piękne oczy Aramisa były to płomienie, przedzierające się do głębi jego serca.

— Spowiednikiem — mruknął — ty, ekscelencjo, spowiednikiem towarzystwa.

— Tak! ja! ale ponieważ ty nie jesteś jego członkiem, nie mamy więc z sobą nic wspólnego.

— Ekscelencjo!...

— I pojmuję to dobrze, że, nie będąc członkiem zgromadzenia, odmawiasz wykonania jego rozkazów.

— Ekscelencjo! błagam cię — rzekł Baisemeaux — chciej mnie łaskawie posłuchać.

— Dlaczego?

— Ja nie mówię, ekscelencjo, że nie jestem członkiem zgromadzenia...

— A! a!

— Nie mówię, że odmawiam posłuszeństwa.

— To, co zaszło, panie de Baisemeaux, bardzo jest podobnem do oporu.

— O! nie, ekscelencjo, nie, tylko chciałem się upewnić...

— Pan, upewnić się? a co do czego? — rzekł Aramis tonem najwyższej pogardy.

— Co do niczego, ekscelencjo!

Baisemeaux zniżył głos i ukłonił się prałatowi.

— Jestem w każdem miejscu i każdej chwili na rozkazy moich panów! ale...

— Bardzo dobrze! wolę cię widzieć takiego, mój panie!

Aramis usiadł i podał szklankę Baisemeaux, który nie mógł jej napełnić, tak mu ręce drżały.

— Powiedziałeś: "Ale" — rzekł Aramis.

— Ale — odpowiedział nieszczęśliwy — nie będąc uprzedzonym, nie spodziewałem się...

— Alboż Ewangelja nie mówi: "Czuwajcie, gdyż chwila wiadomą jest tylko Bogu." A przepisy zgromadzenia czyż nie mówią: "Czuwajcie, bo to, czego ja chcę, wy zawsze chcieć powinniście." Ale z jakiegoż to powodu nie oczekiwałeś spowiednika, panie de Baisemeaux?

— Gdyż teraz niema żadnego chorego więźnia w Bastylji, ekscelencjo!

Aramis wzruszył ramionami.

— Alboż pan wiesz o tem — rzekł.

— Zdaje mi się...

— Panie de Baisemeaux — rzekł Aramis, rozpierając się w krześle — twój służący chce coś mówić!

Właśnie w tej chwili służący pana de Baisemeaux pokazał się we drzwiach.

— Co tam?... — zapytał żywo Baisemeaux.

— Panie gubernatorze — rzekł służący — w tej chwili przyniesiono raport lekarza.

Aramis spojrzał na Baisemeaux wzrokiem pewnym i jasnym.

— Niech tu wejdzie posłaniec — rzekł.

Posłaniec wszedł, a ukłoniwszy się, podał raport.

Baisemeaux rzucił nań okiem, a podnosząc głowę, rzekł zdziwiony.

— Więzień pod N-rem 2 jest chory.

— A mówiłeś przed chwilą kochany panie de Baisemeaux, że wszyscy więźniowie są zdrowi, — rzekł obojętnie Aramis.

I wypił trochę muszkatelu, nie spuszczając oczu z gubernatora.

Baisemeaux dał znak posłańcowi, aby się oddalił.

— Zdaje mi się — rzekł ze drżeniem — że jest w paragrafie "na żądanie więźnia."

— Tak, jest — rzekł Aramis. — Ale dowiedz się czego od ciebie chcą, kochany panie de Baisemeaux.

Istotnie podoficer wsadził głowę przez wpół otwarte drzwi.

— Cóż tam znowu?... — krzyknął Baisemeaux — Czyż już nie można ani chwili mieć spokojnej.

— Panie gubernatorze — rzekł podoficer — chory pod N-rem 2 zobowiązał swojego dozorcę, ażeby prosił pana o spowiednika.

Baisemeaux zaledwie się wznak nie przewrócił.

Aramis wzgardził uspokojeniem go, jak przedtem wzgardził przestraszeniem.

— Cóż trzeba odpowiedzieć?... — spytał Baisemeaux.

— Co chcesz — rzekł Aramis, zaciskając usta — do pana to należy, gdyż nie ja jestem gubernatorem Bastylji.

— Powiedz!... — zawołał z żywością Baisemeaux — powiedz więźniowi, że otrzyma to, czego żąda.

Podoficer wyszedł.

— O, wasza ekscelencjo, jakże mogłem domyślić się, jak mogłem przewidzieć!...

— Kto ci mówił, żebyś się domyślał, albo kto cię prosił, abyś przewidywał — odpowiedział z pogardą Aramis. — Zgromadzenie domyśla się, zgromadzenie wie, spodziewa-się, zgromadzenie przewiduje. Czy to niedostateczne?...

— Cóż panie, rozkażesz?... — dodał Baisemeaux.

— Ja?... nic!... Ja tylko jestem ubogim księdzem prostym spowiednikiem. Czy każesz mi iść do chorego?

— O, wasza ekscelencjo, nie każę, ale proszę!...

— To dobrze. A więc prowadź mię.

CCIX

WIĘZIEŃ.

Od czasu przemiany Aramisa, na spowiednika zgromadzenia, Baisemeaux stał się zupełnie innym człowiekiem. Dotąd uważał Aramisa za duchownego, dla którego miał obowiązki wdzięczności, lecz od chwili wyznania, które przewróciło cały porządek w jego głowie, uważał siebie za podwładnego, Aramisa zaś za przełożonego. Sam zapalił latarnię, zawołał odźwiernego, a zwracając się do Aramisa, rzekł:

— Jestem na rozkazy Waszej Wielebności.

Aramis kiwnął głową, co znaczyło: "Dobrze," i dał znak ręką, co znaczyło: "Idź naprzód". Baisemeaux ruszył, Aramis szedł za nim. Noc była cicha, niebo pokryte gwiazdami kroki trzech osób idących odbijały się o bruk dziedzińca a brzęk kluczów, zawieszonych u pasa odźwiernego, dochodząc do uszu więźni, jasno im tłumaczył, że wolność nie była ich udziałem.

Zmiana, jaka zaszła w postępowaniu Baisemeaux jakby i odźwiernych dotknęła.

Ten sam bowiem odźwierny, który w czasie pierwszych odwiedzin Aramisa był tak ciekawym i dopytującym się, teraz nietylko stał się niemym prawie, ale nawet obojętnym.

Szedł ze spuszczoną głową, jakby się bał usłyszeć cokolwiek.

Tym sposobem przybyli aż do drugiej wieży, której dwa piętra przeszli w milczeniu i bardzo powoli, gdyż Baisemeaux, chociaż posłuszny rozkazowi, wszakże bardzo powolnie go wykonywał.

Nakoniec przybyli do drzwi, które odźwierny otworzył.

Baisemeaux chciał także wejść, lecz Aramis zatrzymał go w progu, mówiąc:

— Tam wcale nie napisane, ażeby gubernator przysłuchiwał się spowiedził więźnia.

Baisemeaux skłonił się i zatrzymał.

Aramis, wziąwszy latarnię z rąk odźwiernego, wszedł i dał znak skinieniem ręki, aby drzwi za nim zamknięto.

Przez czas niejaki stał z natężonym słuchem, chcąc się przekonać, czy Baisemeaux nie podsłuchuje, lecz odgłos oddalających się, przekonał go, że towarzyszący mu opuścili wieżę wtedy postawił latarkę na stole i obejrzał pokój dokoła.

Na łóżku, pod wełnianą kołdrą, która tylko świeżością różniła się od innych używanych w Bastylji, pod obszernemi, na wpół odsłoniętemi firankami, spoczywał młodzieniec, do którego już raz wprowadziliśmy Aramisa.

Podług zwyczaju, więzień był bez światła.

O godzinie, w której gaszono światła, i on to czynił.

Stąd się pokazuje, jak wiele dla niego robiono grzeczności, bo pozwalano mu mieć światło aż do tej pory, gdy przeciwnie inni więźniowie wcale go nie mieli.

Przy łóżku, na dużem krześle, skórą obitem leżały suknie bardzo świeże.

Mały stolik, na którym nie było ani książek, ani papierów, ani pióra i kałamarza, stał pod oknem.

Kilka talerzy z nietkniętemi prawie potrawami świadczyły, że więzień albo nic, albo bardzo mało co jadł z wieczerzy.

Aramis widział wyciągniętego na łóżku młodzieńca z twarzą, wpół zakrytą obydwiema rękami.

Przybycie Aramisa nie zmieniło jego postawy, oczekiwał albo też może spał.

Aramis zapalił świecę, odsunął zlekka krzesło i zbliżył się do łóżka z widocznem przejęciem się i uszanowaniem.

Młodzieniec podniósł głowę.

— Czego chcą odemnie?... — zapytał.

— Czyż nie żądałeś pan spowiednika?

— Tak!

— Ponieważ pan jesteś chorym?

— Tak!

Potem po chwili milczenia.

— Zdaje mi się — rzekł — żem już pana widział.

Aramis skłonił się.

Wrażenie, jakie wyraz twarzy Aramisa, chytry i nakazujący, uczynił na młodzieńcu, mało zapewne połączone było z zaufaniem, gdyż dodał:

— Mam się lepiej.

— A zatem?... — spytał Aramis.

— Więc skoro mam się lepiej, zdaje mi się, że już nie potrzebuję spowiednika.

— Ani nawet włosiennicy, o której panu mówił bilet, zapewne znaleziony w chlebie, tu przyniesionym.

Młodzieniec zadrżał, lecz zanim zdołał odpowiedzieć, Aramis mówił dalej.

— Ani nawet tego duchownego nie potrzebujesz pan z którego ust masz o ważnej dowiedzieć się tajemnicy?

— Jeżeli tak — rzekł młodzieniec, kładąc głowę na poduszki — to co innego, słucham pana.

Aramis wówczas spojrzał nań z większą uwagą, i zdziwiony był rozlaną w tej twarzy wspaniałością i prostotą, której nigdy nie można nabyć, jeżeli Bóg nie wlał jej w krew lub serce.

— Usiądź pan — rzekł więzień.

Aramis skłonił się i usiadł.

— Jakże panu tu jest w Bastylji?... — zapytał biskup.

— Bardzo dobrze.

— Nie nudzi się panu?

— Nie.

— Niczego pan nie żałujesz?

— Niczego!

— Nawet wolności?

— Co pan nazywasz wolnością?... — spytał więzień głosem, jak człowiek, który się przygotowuje do walki.

— Nazywam wolnością kwiaty, powietrze, dzień, gwiazdy, możność pójścia tam, gdzie cię zaniosą silne dwudziestoletnie nogi.

Młodzieniec rozśmiał się, lecz trudno byłoby ocenić czy z poddania się nieszczęściu, czy z pogardy.

— Patrzaj!... — rzekł — oto w naczyniu tem są dwie róże prześliczne, które wczoraj jeszcze w pączkach zerwałem w ogrodzie gubernatora a dziś rozkwitły w mych oczach, napełniając ten pokój miłym zapachem. Są to, jak widzisz, najpiękniejsze róże, a róże są najpiękniejsze między kwiatami. Dlaczegóż chcesz, abym żądał innych kwiatów, kiedy mam najpiękniejsze?

Aramis patrzał na młodzieńca z podziwem.

— Jeżeli kwiaty są wolnością — dodał smutno więzień — jestem więc wolny, gdyż mam kwiaty.

— O!... ależ powietrze?... — zawołał Aramis — powietrze, tak potrzebne nam do życia?

— Dobrze, panie!... zbliż się do otwartego okna — mówił więzień. — Pomiędzy niebem i ziemią wiatr pędzi tumamy zimna, gorąca, albo miłego ciepła lub chłodu. Ja, siedząc w oknie, na poręczy krzesła i trzymając oburącz kratę, myślę nawet, kiedy wiart mile pieści twarz moją, że unoszę się w tem powietrzu.

W miarę jak młodzieniem mówił czoło Aramisa coraz się więcej zasępiało.

— Dzień?... — mówił dalej — o ja mam coś lepszego, mam słońce, to przyjaciel, co odwiedza mię bez pozwolenia guberna-

tora i towarzystwa strażnika. Przybywa on przez okno i zajmuje w moim pokoju wielki podłużny kwadrat, od okna aż do frędzli mojego łóżka. Ten świetlny kwadrat powiększa się coraz, od godziny dziesiątej do południa, a zmniejsza się od pierwszej do trzeciej tak powoli, jakby śpieszył się odwiedzić mię, a z żalem rozstawał się ze mną.

Kiedy ostatni promień jego niknie, myślę, żem tyle godzin korzystał z jego obecności. Nie jest że to dostatecznem? mówiono mi bowiem, że są nieszczęśliwi, którzy, ryjąc wnętrzności ziemi w kopalniach, nigdy takiego nie mają widoku!

Aramis otarł pot z czoła.

— Co do gwiazd, na które tak miło patrzeć, — mówił młodzieniec — widzę je w całej okazałości i blasku. Mam nawet u nich łaskę, gdybyś pan bowiem nie zapalił świecy, mógłbyś również jak ja widzieć tę ładną gwiazdę, na którą codzień patrzę z mego łóżka, a której promienie tak mile pieszczą moje oczy.

Aramis spuścił głowę, czuł się zgnębionym pod wpływem gorzkich wyrażeń tej szczególnej filozofji.

— Oto co mogę powiedzieć o kwiatach, powietrzu i gwiazdach — rzekł młodzieniec z takim, jak i przedtem spokojem. — Pozostaje przechadzka. Jeżeli pogoda, czyż przez cały dzień nie przechadzam się w ogrodzie gubernatora; a jeżeli deszcz, to po pokoju; w chłodzie, jeżeli gorąco, a jeżeli zimno, to w cieple dzięki mojemu kominkowi. A!... wierz mi, panie, — dodał więzień z wyrazem, który nie był wolny od niejakiej goryczy — ludzie, zrobili wszystko dla mnie, czego tylko człowiek może spodziewać się, lub żądać od nich.

— Zgoda na to!... to ludzie!... — rzekł Aramis, podnosząc głowę, — lecz zdaje mi się, że pan zapominasz o Bogu?

— Istotnie zapomniałem o Bogu — odpowiedział bez wzruszenia więzień — ale na cóż mi to mówisz?... — Na cóż więźniowi mówić o Bogu?

Aramis patrzył w oczy szczególnemu młodzieńcowi, który, posiadając rezygnację męczennika, miał uśmiech ateusza.

— Czyż Bóg nie jest w każdej rzeczy!... — odpowiedział więzień.

— Niech i tak będzie — rzekł Aramis — ale wróćmy do przedmiotu z któregośmy wyszli.

— I owszem!... — odpowiedział więzień.

— Jestem pańskim spowiednikiem.

— Tak.

— A więc jako spowiednikowi, winieneś mi pan szczerą wyznać prawdę.

— Niczego więcej nad to nie żądam.

— Każdy więzień popełnił przestępstwo, za które jest uwięziony. Jakiż więc pan popełniłeś występek?

— Jużeś mię pan o to pytał, przy pierwszem widzeniu się naszem — rzekł więzień.

— A pan uniknąłeś zręcznie odpowiedzi wówczas, tak; jak i dzisiaj.

— A dlaczegóż myślisz, że ci dziś odpowiem?

— Bo dziś jestem pańskim spowiednikiem.

— A zatem, jeżeli chcesz, abym panu powiedział, jaki popełniłem występek, musisz mi-pierwej wytłumaczyć, co to jest występek?... Nie czując bowiem w sobie żadnych wyrzutów, mówię, że nie jestem przestępcą.

— Często jesteśmy przestępcami w oczach świata nietylko za to, żeśmy wykonali zbrodnię, ale że wiemy, iż zbrodnia była popełnioną.

Więzień słuchał z natężoną uwagą.

— Tak!... — rzekł po chwili milczenia — pojmuję. Tak!... masz pan słuszność, bardzo być może, że dlatego jestem zbrodniarzem.

— A! zatem pan wiesz o czemś podobnem! — rzekł Aramis, uradowany tem odkryciem.

— Nie!... nic nie wiem — odpowiedział młodzieniec — ale czasem rozmyślam i wtedy mówię do siebie....

— Cóż pan sobie mówisz.

— Że gdybym więcej nad tem myślał, to albo zwarjowałbym, albo wiele odgadłbym rzeczy.

— I cóż wówczas?... — zapytał z niecierpliwością Aramis.

— Wówczas przestaję myśleć

— Przestajesz pan myśleć?

— Tak!... głowa mi ciąży, myśli moje są smutne, nudzę się żądam...

— Czego?

— Sam nie wiem, gdyż nie chcę dać się opanować żądzy tego, czego mieć nie mogę, ja co jestem kontent z tego, co mam.

— Czy lękasz się pan śmierci?... — rzekł Aramis cokolwiek niespokojnie.

— Tak!... — rzekł młodzieniec z uśmiechem.

Aramis uczuł obojętność tego uśmiechu i zadrżał.

— O! ponieważ pan boisz się śmierci — zawołał Aramis — a zatem wiesz daleko więcej, niż mówisz!

— Ależ pan!... — rzekł więzień pan, który kazałeś mi, abym zażądał ciebie, pan, który przychodzisz, przyrzekając mi mnóstwo objaśnień, dlaczego milczysz, gdy przeciwnie ja mówię?... Chyba dlatego, że obydwaj nosimy maski albo więc zachowajmy je, albo obydwaj zdejmijmy.

Aramis uczuł słuszność tych słów.

— Nie mam do czynienia ze zwyczajnym człowiekiem — pomyślał Aramis. — Ale zobaczmy... Czy jesteś pan chciwym — rzekł głośno do nieprzygotowanego na to młodzieńca.

— Cóż to jest chciwość?... — zapytał tenże.

— Jest to uczucie — odpowiedział Aramis — popychające człowieka, do żądania więcej, niż ma!

— Powiadam, że nic mi nie brakuje, ale być bardzo może, że się mylę. Nie wiem, co to jest chciwość, ale może ją posiadam. Oświeć mię pan w tej mierze, proszę.

— Chciwym — rzekł Aramis — jest ten, który żąda wywyższenia się nad swój stan.

— Ja nie żądam niczego nad mój stan — rzekł więzień z pewnością, na którą raz jeszcze zadrżał biskup de Vannes.

Zamilkł, lecz, patrząc na pałające oczy, czoło zmarszczone, postawę zamyśloną więźnia, widział, iż tenże spodziewał się czego innego niż milczenia.

Milczenie to przerwał Aramis.

— Skłamałeś pan przedemną, wówczas kiedym pana pierwszy raz widział — rzekł.

— Skłamałem?... — krzyknął młodzieniec, podnosząc się na łóżku, z takim wyrazem głosu, z taką błyskawicą w oku, że Aramis cofnął się mimowolnie.

— Chciałem powiedzieć — rzekł Aramis, kłaniając się, — że pan zataiłeś przedemną to, co wiesz o swojem dzieciństwie.

— Tajemnice każdego człowieka mój panie, należą wyłącznie do niego, nie zaś do pierwszego lepszego przybysza.

— To prawda — rzekł Aramis, kłaniając się jeszcze niżej — przepraszam ale czyż i dziś jestem dla niego pierwsyzm lepszym przybyszem?... Błagam Waszę Wysokość, odpowiedz mi?

Tytuł ten sprawił lekkie drżenie więźniowi, jednakże nie zdziwiło go to, że mu go nadawano.

— Ja pana nie znam — rzekł.

— O!... gdybym śmiał, ucałowałbym pańską rękę.

Młodzieniec uczynił poruszenie, jakby chciał podać rękę Aramisowi, lecz uczucie to przeminęło jak błyskawica, i ręka cofnęła się zimna i niedowierzająca.

— Całować rękę więźnia!.. — rzekł, potrząsając głową — i na cóż?

— Dlaczegóż powiedziałeś mi, panie!.. — rzekł Aramis — że ci tu dobrze?... Dlaczegóż powiedziałeś mi, że niczego nie żądasz?... Dlaczegóż nakoniec, przemawiając tak do mnie, powstrzymujesz otwartość z mej strony?

Tak samo jak i przedtem błyskawica zajaśniała po raz trzeci w oku młodzieńca, lecz również jak poprzednio znikła natychmiast.

— Nie dowierzasz mi, panie?... — rzekł Aramis.

— Z jakiegoż powodu?

— O!... dla bardzo prostego powodu; bo, jeżeli wiesz to, o czem musisz zapewne wiedzieć, bardzo słusznie nikomu nie ufasz!

— A więc niech cię moja nieufność nie dziwi, kiedy ci się zdaje, że wiem to, czego nie wiem.

Aramis pełen był podziwu dla tak silnego oporu.

— Wasza Wysokość przyprowadzisz mię do rozpaczy — rzekł, uderzając pięścią o krzesło.

— A ja pana nie rozumiem!... — rzekł młodzieniec.

— A więc staraj się pan mnie zrozumieć!

Więzień bystro patrzał na Aramisa.

— Zdaje mi się czasem — rzekł tenże — że mam przed oczyma człowieka, którego szukam... lecz potem...

— Lecz potem... człowiek ten znika, nieprawdaż?.. — rzekł więzień, śmiejąc się. — Tem lepiej...

Aramis powstał.

— A więc i ja nie mam nic więcej do powiedzenia człowiekowi, który mi tak dalece, jak pan nie ufa.

— A ja — rzekł więzień tym samym tonem — nie mam nic do powiedzenia człowiekowi, który nie pojmuje, że więzień nikomu ufać nie powinien!

— Nawet swoim dawnym przyjacielom?... — rzekł Aramis.

— Zanadto Wasza Wysokość jest ostrożnym.

— Swoim dawnym przyjacielom?... — Pan jesteś jednym z moich dawnych przyjaciół?... Pan?

— Przypomnij sobie Wasza Wysokość, czyś nie widywał mnie na wsi, gdzie upłynęły pierwsze lata twego dzieciństwa.

— Wiesz zatem, jak się ta wieś nazywa? — zapytał więzień.

— Noisy-le-Sec — odpowiedział śmiało Aramis.

— Mów dalej — rzekł młodzieniec z wyrazem twarzy, ani potwierdzającym, ani przeczącym.

— Proszę Waszej Wysokości, jeżeli mamy tak się wzajemnie, jak dotąd, nie znać, poprzestańmy na tem, cośmy sobie powiedzieli. Przybyłem, ażeby powiedzieć Waszej Wysokości wiele rzeczy, to prawda, ale trzeba mi okazać, że Wasza Wysokość chcesz o nich wiedzieć. Nie zacznę mówić, nim objawię ukrywane przezemnie, a ważne tajemnice. Przyznasz Wasza Wysokość, że do tego potrzeba trochę pomocy, jeżeli nie otwartości współczucia, jeżeli już nie zupełnego zaufania. Ja radzę Waszej Wysokości, ażebyś tak uczynił, jak radzę Waszej Wysokości ażebyś mi zaufał, a rozmowa ze mną przekona, że mam pańskie dobro na celu. Będziesz mi pan ufał?

— Przyrzekam panu — rzekł więzień — słuchać cierpliwie. Ale zdaje mi się, że mam prawo powtórzyć zapytanie, które już poprzednio uczyniłem, to jest kto pan jesteś?

— Czy Wasza Wysokość nie przypomina sobie, że widywał przed laty piętnastu, czy osiemnastu w Noisy-le-Sec, człowieka, towarzyszącego zawsze damie, tam przybywającej, ubranej w suknię czarną, z wstążkami koloru ognistego we włosach?

— Przypominam sobie — rzekł młodzieniec — raz nawet zapytałem o nazwisko tego pana, i odpowiedziano mi, że to jest ksiądz d'Herblay; na zadziwienie moje, że ksiądz ma tak rycerską minę, odpowiedziano mi, że nic w tem niema dziwnego. gdyż był niegdyś muszkieterem Ludwika XIII-go.

— Dobrze więc! ten niegdyś muszkieter — rzekł Aramis — wówczas ksiądz, później biskup Vannes, dziś spowiednik Waszej Wysokości, to ja.

— Wiem o tem, gdyż pana poznałem.

— Jeżeli Wasza Wysokość wiesz o tem, muszę dodać to, czego nie wiesz. To jest, że, gdyby obecność tu tego muszkietera, tego księdza, tego biskupa, tego spowiednika, była dziś królowi wiadoma, jutro ten, który wszystko poświęcił, ażeby tu przybyć, spostrzegłby pewno błyszczącą nad swoją głową siekierę kata, w więzieniu, daleko okropniejszem od twego.

Słuchając tak śmiało wymawianych wyrazów, młodzieniec podniósł się na łóżku i coraz ciekawsze zagłębiał spojrzenie w oczach Aramisa.

Spojrzenie to zdawało się obudzać w więźniu zaufanie.

— Tak — rzekł — o tak, przypominam sobie zupełnie; kobieta, o której mówisz, raz z tobą przybyła, a dwa razy z inną kobietą...

— Która odwiedzała Waszą Wysokość raz na miesiąc, nieprawdaż?

— Tak!

— Czy wiesz pan, co to była za kobieta?

Oko więźnia zajaśniało.

— Wiem, że to była dama dworu — rzekł.

— Czy przypominasz ją pan sobie dobrze?

— O! wspomnienia moje pod tym względem bardzo są mętne! — rzekł więzień — Widziałem raz tą damę w towarzystwie człowieka czterdziesto-pięcio-letniego, raz z panem i raz z damą, o której mówisz, w czarnej sukni, z wstążkami koloru ognistego na głowie. Potem dwa razy ją jeszcze widziałem z tąż samą osobą. Te cztery osoby, mój nauczyciel i stara Peronnetta, moja piastunka, były jedyne do których rozmawiałem, i mogę po wiedzieć, że jedyne, które kiedykolwiek widziałem.

— A więc pan byłeś i tam w więzieniu?

— Jeżeli tu jestem w więzieniu, to tam byłem wolnym, chociaż wolność ta bardzo była ograniczoną: dom, z którego prawie nie wychodziłem, obszerny ogród, otoczony wysokim murem, którego przebyć nie mogłem, były mojem mieszkaniem; znasz je, gdyż tam byłeś. A zresztą, przywykłszy żyć w obrębie tylko tego ogrodu i domu, nie żądałem nigdy wyjść dalej. Pojmujesz więc panie! że, nie znając świata wcale, nie mogę niczego pożądać. Jeżeli chcesz mi co opowiadać, musisz mi wszystko tłumaczyć!

— Tak też uczynię!... — rzekł Aramis, kłaniając się — gdyż to jest moją powinnością.

— Dobrze! zacznij więc od objaśnienia. Kim był mój nauczyciel?

— Dobry, a nadewszystko poczciwy szlachcic. Nauczyciel ciała i duszy. Czy Wasza Wysokość miał powody uskarżać się na niego?

— O! nie, panie, przeciwnie! Lecz on często mi powtarzał, że rodzice moi nie żyją. Czy mówił prawdę, czy kłamał?

— Przymuszony był postępować, podług danych mu rozkazów.

— A więc kłamał?

— Co do jednego. Ojciec Waszej Wysokości nie żył!

— A matka moja?

— Umarła dla ciebie!

— Ale dla innych żyje? nieprawdaż?

— Tak.

— A ja — rzekł młodzieniec, patrząc na Aramisa — ja skazany jestem na wieczne więzienie?

— Niestety! tak się zdaje!

— A to dlatego — mówił młodzieniec — że obecność moja na świecie ważną odkryłaby tajemnicę.

— Tak, bardzo ważną.

— Skoro zamknięte zostało na wieki takie, jak ja, dziecko, to mój nieprzyjaciel musi być bardzo możnym?

— Tak!

— Możniejszym od mojej matki nawet?

— Dlaczego?

— Gdyż matka moja pewnoby mię broniła!

Aramis zawahał się.

— Tak, możniejszy od matki Waszej Wysokości.

— A skoro piastunka moja i mój nauczyciel zostali porwani i rozłączeni ze mną, musiałem być tam, gdziem był, dla mego nieprzyjaciela przeszkodą?

— Tak! przeszkodą, która ustała wraz ze zniknięciem na zawsze nauczyciela i piastunki Waszej Wysokości!

— Ze zniknięciem na zawsze?.. — powtórzył więzień. — Ale jakimże sposobem zniknęli na zawsze?

— Sposobem najpewniejszym — odpowiedział Aramis. — Nie żyją!

Młodzieniec zbladł trochę i powiódł drżącą ręką po twarzy.

— Zapewne użyto trucizny?... — rzekł.

— Tak jest!

Więzień zamyślił się chwilę.

— To te dwie niewinne istoty, jedyne moje podpory na świecie, skoro jednego dnia żyć przestały, nieprzyjaciel mój musi być albo bardzo okrutnym, albo zniewolony został szczególną do tego potrzebą, gdyż ten zacny człowiek i ta biedna kobieta nigdy nikomu nie zrobili nic złego.

— Potrzeby w rodzinie Waszej Wysokości bardzo są naglące. Dlatego też właśnie potrzeba podobna zmusiła mię, lubo z żalem, do wyznania Waszej Wysokości, że ci biedni ludzie zostali zamordowani.

— O! nic mi pan nowego nie mówisz — odrzekł więzień, marszcząc brwi.

— Jakto?

— Domyślałem się tego!

— Dlaczego?

— Zaraz ci to powiem.

W tejże chwili młodzieniec, wspierając się na łokciach, zbliżył się do twarzy Aramisa z takim wyrazem godności, że biskup uczuł elektryczność zapału, spływającą w gorących iskrach ze zwiędłego serca jego aż do czaszki, jak miedź twardej.

— Mów, Wasza Wysokość. Oświadczyłem już, że ryzykuję moje życie, z nim rozmawiając. A jakkolwiek mało one warte, chętnie dam je jako okup za życie Waszej Wysokości.

— Otóż, — rzekł młodzieniec — oto dlatego podejrzewałem, że zabito moją piastunkę i nauczyciela...

— Któregoś nazywał swoim ojcem...

— Tak go nazywałem, ale wiedziałem dobrze, że nie jestem jego synem.

— Co Waszej Wysokości tę myśl nasuwało?...

— To, że tak samo, jak pan masz zawiele dla mnie uszanowania jako przyjaciel, tak on również miał go więcej, niż przystało na ojca!

— Ja nie mam zamiaru tego ukrywać — rzekł Aramis.

— Bezwątpienia, nie byłem przeznaczony do tego, ażebym wiecznie był zamknięty, a tak sądzić każe mi szczególniej to, że starano się ze mnie zrobić, o ile można człowieka dobrze wychowanego. Nauczyciel mój nauczył mnie wszystkiego, co tylko sam umiał, matematyki, astronomji, fechtowania, jeżdżenia konno. Co rano wprawiałem się w robienie bronią w pokoju na dole, a jeździłem konno po ogrodzie. Pewnego rana, a było to latem i dzień bardzo był gorący, zasnąłem w tymże pokoju na dole, a żadnego dotąd nie miałem podejrzenia względem mego nauczyciela. Żyłem jak dzieci, jak ptak, jak rośliny, powietrzem i słońcem: skończyłem lat piętnaście.

— A więc jest już temu lat osiem.

— Podobno, gdyż straciłem zupełnie liczbę czasu.

— Przepraszam! ale co mówił nauczyciel, ażeby zachęcić pana do pracy?

— Mówił mi, że człowiek powinien starać się, aby zapewnić los sam sobie, los którego mu Bóg, przy urodzeniu odmówił; i dodawał, że biedny nieznany jak ja sierota, powinien na siebie liczyć, że nikt ani się mną nie zajmuje, ani zajmować się będzie. Byłem więc, jak mówiłem w dolnym pokoju, a zmęczony fechtunkiem usnąłem. Mój nauczyciel znajdował się w swoim pokoju na pierwszem piętrze, nad tym pokojem, gdzie usnąłem. Naraz usłyszałem krzyk, który wydał mój nauczyciel, poczem wołał: "Peronetto! Peronetto!" Było to imię mojej piastunki.

— Wiem — rzekł Aramis — lecz mów pan dalej.

— Niezawodnie musiała ona być w ogrodzie, gdyż nauczyciel zbiegł prędko ze schodów. Porwałem się niespokojny — wszedł na dziedziniec, wołając ciągle: "Peronetto! Peronetto!" Okna pokoju, w którym się znajdowałem, wychodziły na dziedziniec, a chociaż okiennice były zamknięte, lecz przez szparę w jednej z nich, spostrzegłem mego nauczyciela, biegnącego do studni, która była prawie pod oknem jego pokoju. Nachylił się nad nią i znowu zaczął krzyczeć, dając rękami oznaki rozpaczy. Stąd, gdziem był, mogłem wszystko widzieć i słyszeć. Słyszałem też i widziałem.

— Proszę Waszej Wysokości mówić dalej — rzekł Aramis.

— Peronetta na ten krzyk przybiegła. Pobiegł naprzeciw niej, a wziąwszy ją za rękę, przyprowadził do studni, a gdy oboje tam patrzyli, rzekł: "Patrzaj! patrz! co za nieszczęście!" "Ależ

uspokój się! — rzekła Peronetta — Cóż się stało?" "Widzisz ten list — rzekł mój nauczyciel — ten list?" I wskazał ręką w głąb studni. "Jaki list?" zapytała piastunka. "List, co wpadł do studni, to ostatni list królowej." Na te słowa zadrżałem. Mój nauczyciel, który uchodził za ojca mego, który mi ciągle zalecał skromność i pokorę, był w stosunkach listownych, z królową? "Ostatni list królowej" — krzyknęła Peronetta, tym prostym wypadkiem również wzruszona — "a jakże on tam wpadł?" "Szczególnym zdarzeniem, moja Peronetto. Wracałem do siebie, wchodząc otwieram drzwi, a że okno było otwarte, powstał przeciąg powietrza i widzę lecący z okna papier, poznaję, że to list królowej, biegnę do okna, krzycząc, a papier, chwilę pobujawszy w powietrzu, wpada do studni". "I cóż?" — rzekła Peronetta — "jeżeli wpadł do studni, to tak samo jakby był spalony; a ponieważ królowa pali także sama wszystkie listy, które odbiera..." "Listy, które odbiera." A zatem ta kobieta, któ ra tu. co miesiąc przybywała, to była królowa?... — wtrącił więzień.

— Tak!... — odpowiedział poruszeniem głowy Aramis.

— Zapewne, zapewne — mówił dalej stary szlachcic — ale w liście tym były szczegółowe polecenia królowej, a jakże ja się teraz do nich zastosuję?" "Napisz pan natychmiast do królowej, opowiadając co się stało, a królowa napisze ci inny list w miejsce tamtego." "O! królowa nigdy nie zechce uwierzyć temu przypadkowi — rzekł poczciwiec, potrząsając głową — i pomyśli. że ja schowałem ten list umyślnie, zamiast go jej oddać jak inne i to po to, ażebym go kiedyś użył, jako broń przeciw niej. A pan Mazarini, ten djabeł włoski, gotów za najmniejsze podejrzenie, otruć nas oboje!"

Aramis uśmiechnął się z niedojrzanem prawie poruszeniem głowy.

— Wiesz bowiem, Peronetto, jak oni oboje są podejrzliwi we wszystkiem, co dotyczy Filipa."

— Filip, było to imię, którem mnie nazywano — rzekł więzień.

— "A więc niema czego czekać — rzekła Peronetta — trzeba znaleźć kogoś, coby wlazł do studni."

— "Tak! ażeby wracając, przeczytał list!"

— "Weźmy kogo ze wsi, co nie umie czytać, to będziesz pan spokojny!"

— "Dobrze! Ale ten, co wlezie do studni, czy nie domyśli się ważności pisma, skoro dla wydostania go ryzykujemy życie czło wieka? Bądź cobądź dobry masz pomysł Peronetto, ktoś musi tam wleźć, a ten ktoś to ja sam."

Tu Peronetta, zaczęła krzyczeć, wyrzekać błagać z płaczem, tak, że nauczyciel mój przyrzekł jej, że wtenczas kiedy ona pójdzie do wsi po kogoś on pójdzie szukać długiej drabiny, ażeby można zejść do studni bez przypadku. Temu, kto przyjdzie ze wsi, powiedzą, że w tym papierze zawinięty był kosztowny pierścień, a że papier rozwija się w wodzie, nic nie będzie nadzwyczajnego, skoro tylko list otwarty wydobędzie.

— Może już dotąd nawet litery na nim zniknęły — rzekła Peronetta.

— Mniejsza o to, bylebyśmy tylko dostali list. Bo, zwracając list królowej, przekonamy, żeśmy jej nie zdradzili, nie wzbudzimy podejrzenia w panu Mazarinim i nie będziemy potrzebowali lękać się niczego.

Po tem postanowieniu, rozstali się.

Ja, spostrzegłszy, że nauczyciel mój chce wejść do domu, czemprędzej upadłem na sofę, odurzony tem, co słyszałem.

Jakoż w kilka sekund potem otworzył nawpół drzwi, a myśląc, że śpię, zamknął je lekko i odszedł.

Zaledwie się oddalił, porwałem się, a słysząc, że znowu odchodzi, wróciłem do szpary w okiennicy i spostrzegłem, że się oddalił zaraz z Peronettą.

Byłem więc sam jeden w domu.

Zaledwie przeszli sień, wyskoczyłem oknem i pobiegłem do studni. I jak nachylony patrzał mój nauczyciel, tak i ja teraz patrzałem.

Coś białego drżało na powierzchni zielonawej wody.

Ten punkt biały oślepiał i pociągał mię ku sobie, oczy moje były weń utkwione, oddech stał się przyspieszonym; studnia wciągała mię prawie w obszerną swą paszczę swym zimnym oddechem; zdawało mi się, że czytam na jej dnie ogniem pisane litery na papierze, którego dotknęła się królowa.

Wówczas nie wiedząc, co czynię, popchnięty tym instynktownym prądem, który często wtrąca nas w przepaść, chwyciłem

sznur od koła studni i spuściwszy wiadro aż do wody spuściłem się po nim, obwinąwszy ręce mokrym płatem.

Kiedym się zobaczył zawieszonym nad powierzchnią czarnej wody, kiedym ujrzał niknące niebo ponad głową, zimno mię przejęło, dostałem zawrotu głowy i włosy mi powstały na głowie, lecz chęć silna przemogła słabość i przestrach.

Dotknąłem wody, w której się zanurzyłem, trzymając się jedną ręką sznura, wówczas gdy drugą pochwyciłem nieoceniony papier, który rozdarł się na dwoje w mym ręku.

Ukryłem kawałki pod ubraniem, a opierając się nogami o ściany studni i trzymając się rękami sznura, silny, zręczny, dostałem się na ocembrowanie, które zlałem wodą ciekącą z mego ubrania.

Wyszedłszy ze studni, pobiegłem tam, gdzie nie było cienia, na słońce, ażeby się osuszyć a dobiegłszy do zarośniętego dość gęsto miejsca w ogrodzie, zatrzymałem się, chcąc się tu ukryć.

Lecz zaledwie przybyłem, usłyszałem dzwonek, który za każdem otwieraniem drzwi głównych dawał się słyszeć; był to mój nauczyciel, który powracał.

Obrachowałem, że zanim do mnie przyjdzie, upłynie dziesięć minut — jeżeli zgadnie, gdzie jestem, a dwadzieścia — jeżeli będzie mnie szukał. Miałem więc aż nadto czasu do przeczytania listu i chociaż niektóre litery już znikły, przeczytałem.

— I cóż Wasza Wysokość przeczytałeś...? — spytał Aramis z żywem zajęciem.

— Wiele rzeczy, bo dowiedziałem się, że mój nauczyciel jest szlachcicem i że Peronetta, nie będąc wielką panią, była więcej niż służącą, a w końcu, że i ja sam jestem wyższego urodzenia, ponieważ królowa Anna Austrjacka, i pierwszy minister Mazarini polecali mię im z taką troskliwością.

Młodzieniec zatrzymał się w opowiadaniu, cały wzruszony.

— I cóż potem nastąpiło?... — zapytał Aramis.

— Otóż panie — odpowiedział młodzieniec — człowiek, zawołany ze wsi, pomimo pilnego szukania, nic w studni nie znalazł, a mój nauczyciel dostrzegł, iż ocembrowanie całe było mokre, Peronetta zaś spostrzegła, że i ubranie moje jest w takim stanie, ja zaś w końcu ze wzruszenia i zaziębienia dostałem gorączki, w której opowiedziałem wszystko i nauczyciel mój znalazł pod moją poduszką obydwie połowy listu od królowej.

— A!... — rzekł Aramis — teraz pojmuję!

— Odtąd wszystko można przypuścić. Bezwątpienia biedny mój nauczyciel i piastunka, nie śmiąc zamilczeć tego, co się stało, donieśli o tem królowej, odsyłając podarty jej list.

— A pan zostałeś potem przewieziony do Bastylji.

— Jak pan widzisz!

— A twoi słudzy zniknęli!

— Niestety!

— Nie zajmujmy się nieżyjącymi — rzekł Aramis — ale raczej zobaczmy, co można zrobić dla żyjących! Powiedziałeś mi pan, żeś się już poddał swemu losowi?

— I to samo powtarzam!

— Nie troszczysz się o wolność?

— Jużem to powiedział.

— I to bez żalu?

Młodzieniec nic nie odpowiadał.

— I cóż?... — rzekł Aramis — pan milczysz?

— Zdaje mi się, że dość mówiłem — odpowiedział więzień — i że teraz na pana kolej jest mówić. Ja jestem zmęczony.

— Będę Waszej Wysokości posłuszny.

Aramis zebrał myśli, i wyraz głębokiej rozwagi rozlał się na jego twarzy.

Można było spostrzedz, iż doszedł do najwyższego punktu roli, jaką przybył odegrać w więzieniu.

— Najprzód zapytanie!... — rzekł Aramis.

— Jakie? Mów pan.

— Wszak w domu, w którym pan mieszkałeś, nie było zapewne ani szkła ani zwierciadeł?

— Co znaczą te dwa wyrazy?... — zapytał młodzieniec. — Nawet nigdy ich nie słyszałem.

— Zwiercadłem nazywamy szkło, tak przyrządzone, iż odbija przedmioty, pozwalając, naprzykład, widzieć rysy własnej twarzy tak, jak pan widzisz moje gołem okiem.

— Nie! w całym domu, nie było, ani szkła, ani zwierciadeł — odpowiedział młodzieniec.

Aramis obejrzał się dokoła.

— Ani tu ich niema! Ta sama więc jest tu co i tam ostrożność.

— W jakim celu?

— Dowiesz się pan natychmiast. A teraz powiedz mi pan, czy uczono cię historji? gdyż mówiłeś, że uczono cię matematyki, astronomji, fechtowania i jeżdżenia konno?

— Nauczyciel mój opowiadał mi niekiedy wielkie czyny Ludwika Świętego, Franciszka I-go i Henryka IV-go.

— I to wszystko?

— Prawie wszystko!

— Widzę, że to czynione było także z wyrachowaniem, również jak zdjęcie zwierciadeł, które pokazują teraźniejszość, tak jak historja przeszłość. Od czasu pańskiego uwięzienia, zabroniono ci czytania książek, stąd wielu wypadków jesteś nieświadomy, za pomocą których mógłbyś wznieść rozrzuconą budowę twych wspomnień z przeszłości.

— To prawda — odrzekł młodzieniec.

— Posłuchaj więc pan, a ja w kilku słowach opowiem panu, co się stało we Francji od lat 23 lub 24, to jest od daty twego urodzenia, czyli od chwili, która pana najwięcej powinna obchodzić.

— Opowiedz pan.

I młodzieniec natężył uwagę.

— Czy wiesz pan, kto był synem Henryka IV-go?

— Wiem przynajmniej, kto był jego następcą.

— Jakżeś się pan tego dowiedział?

— Za pomocą sztuki monety z roku 1610, która wyobrażała Henryka IV-go, gdy inna z roku 1612-go przedstawiała króla Ludwika XIII-go. A ponieważ była między niemi różnica dwóch lat, wniosłem stąd, że Ludwik XIII-sty był następcą Henryka IV-go.

— A więc pan wiesz, — rzekł Aramis — że ostatnim królem panującym był Ludwik XIII.

— Wiem o tem!... — rzekł młodzieniec, rumieniąc się trochę.

— Był to monarcha pełen dobrych i wielkich pomysłów, pomysłów zawsze na później odkładanych, z powodu złych czasów i ciągłych sporów, które były pomiędzy jego pierwszym ministrem Richelieu i panami francuskimi. Osobiście (mówię o Ludwiku XIII-ym) był on słabego charakteru; umarł młodo w smutku.

— Wiem o tem.

— Długo też zajęty był myślą o swoim następcy. Bolesnem jest to zajęcie się dla monarchów, którzy potrzebują zostawić więcej niż jedno wspomnienie na ziemi, ażeby pamięć o nich przedłużyła się i ażeby rozpoczęte dzieła postępowały dalej.

— Czy Ludwik XIII-ty umarł bezdzietnie? — zapytał więzień z uśmiechem.

— Nie!... ale długo pozbawiony był tej nadziei, a myśl, że umrze, nie zostawiając następcy, wprawiała go w głęboka rozpacz, gdy w tem żona jego Anna Austrjacka...

Więzień zadrżał.

— Wiedziałeś pan? — mówił Aramis — że żona Ludwika XIII-go nazywa się Anna Austrjacka?

— Mów pan dalej — odrzekł młodzieniec nie odpowidając na zapytanie.

— Gdy wtem — mówił Aramis — królowa Anna Austrjacka zapowiedziała, iż spodziewa się mieć potomka. Radość była wielka i wszyscy błagali Boga o szczęśliwe rozwiązanie. Nakoniec 5 września 1638 roku powiła syna.

Tu Aramis spojrzał na swego słuchacza i zdawało mu się, iż tenże zbladł.

— Teraz usłyszysz pan opowiadanie, które mało ludzi mogłoby uczynić w tej chwili, gdyż rzecz ta jest tajemnicą, a mniemają, że umarła z umarłymi, albo, że zagrzebaną jest w przepaść spowiedzi.

— I pan mi powiesz tę tajemnicę?... — spytał młodzieniec.

— O!... — rzekł Aramis z przyciskiem — zdaje się, iż nic nie ryzykuję, powierzając tę tajemnicę więźniowi, który nie żąda nawet, aby wyjść z Bastylji

Aramis ciągnął dalej.

— Królowa powiła syna. Lecz kiedy wszyscy głośnymi okrzykami, wynurzyli stąd radość, kiedy król, pokazawszy ludowi i panom nowonarodzonego, zasiadł wesoło do stołu, ażeby uczcić tak szczęśliwe zdarzenie, królowa urodziła drugiego syna.

— O!... — rzekł więzień, zdradzając większą świadomość rzeczy, niżeli okazywał — mniemałem, że książe, brat krlewski, urodził się dopiero...

— Pozwól pan niech opowiem dalej — rzekł.

— Więzień westchnął niecierpliwie i słuchał.

— Tak!... — wyrzekł Aramis — królowa powiła drugiego syna, którego przyjęła Peronetta akurszerka.

— Peronetta — powtórzył zcicha więzień

— Natychmiast zawiadomiono o tem króla obiadującego, powstał od stołu i przybiegł do królowej. Lecz tym razem twarz jego okazywała nie radość, ale raczej uczucie przestrachu. Dwóch synów, bliźniąt, zamieniło w gorycz radość, którą mu sprawiło urodzenie jednego, dlatego, że we Francji (o czem zapewne pan nie wiesz) starszy syn następuje po ojcu.

— Wiem o tem.

— A lekarze i prawnicy mają powody mniemać, że nie ten, co pierwej z łona matki wychodzi, podług praw Boskich i natury, jest starszym...

Więzień wydał krzyk stłumiony i zbladł, jak prześcieradło, na którem leżał.

— Pojmujesz pan teraz — mówił dalej Aramis — że król, który był tak szczęśliwym z urodzenia następcy, musiał być w rozpaczy, myśląc, że teraz ma dwóch synów i, że może ten, co później się urodził i nie był znany, zaprzeczy kiedyś prawa starszeństwa temu, co się urodził o dwie godziny pierwej i został uznanym; i że, korzystając z rozdwojenia umysłów, może kiedyś zakłócić spokój państwa, wzniecić wojnę domową, niszcząc tem samem dynastję, którą winien był umocnić.

— O!.. pojmuję, pojmuję — wyrzekł młodzieniec.

— Dlatego — mówił dalej Aramis — jeden z synów Anny Austrjackiej (jak chodzą pogłoski) rozłączony został z bratem, ukryty i skazany na najwyższą nędzę, dlatego zniknął tak potajemnie, że nikt we Francji prócz jego matki nie wie że on żyje.

— Tak!... prócz matki!... która go opuściła — wyrzekł z rozpaczą młodzieniec.

— I prócz tej damy — mówił Aramis — w czarnej sukni i ze wstążkami koloru ognistego i wreszcie wyjąwszy...

— Wyjąwszy pana?... nieprawdaż?... pana, który mi to opowiadasz, pana, któryś obudził w mej duszy ciekawość, nienawiść, chciwość, a kto wie może i pragnienie zemsty; wyjąwszy pana, który, jeżeli jesteś tym, którego oczekiwałem, którego mi zapowiedział przesłany bilet, jeżeli wreszcie człowiekiem jesteś, którego Bóg powinien był zesłać, masz niezawodnie przy sobie...

— Co?... — spytał Aramis.

— Portret Ludwika XIV-go, który panuje teraz we Francji.

— Oto jest portret — rzekł biskup, podając więźniowi miniaturę Ludwika XIV-go na której tenże wyobrażony był piękny, dumny, prawie żywy.

Więzień porwał portret, wlepiając weń oczy, jakby go chciał pożreć.

— A teraz proszę Waszej Wysokości oto jest zwierciadło.

Aramis zostawił czas więźniowi, potrzebny do zebrania myśli.

— Co?... więc to ja jestem tak wysoko urodzony — wyszeptał młodzieniec z wlepionym wzrokiem w portret i swój obraz, odbity w zwierciadle.

— I cóż Wasza Wysokość myśli?... — spytał Aramis.

— Myślę, że jestem zgubiony — odpowiedział więzień — i że król nigdy mi nie przebaczy.

— Ja zaś zapytuję siebie — rzekł biskup, rzucając znaczące spojrzenie na więźnia — który z dwóch jest królem, czy ten, którego przedstawia portret, czy ten, którego twarz odbija zwierciadło?

— Królem, mój panie, jest ten, który siedzi na tronie — wyrzekł ze smutkiem młodzieniec — ten, który nie jest więźniem, ale przeciwnie innych rozkazuje więzić. Władza królewska to potęga, a pan widzisz dobrze, że ja jestem bezsilny.

— Wasza Wysokość — odpowiedział Aramis z uszanowaniem, jakiego dotąd nie okazywał — uważaj to dobrze: królem będzie, jeżeli zechce ten który, wychodząc z więzienia, potrafi utrzymać się na tronie, gdzie go posadzą przyjaciele.

— Nie kuś mię, panie!... — rzekł więzień z goryczą.

— Nie bądź Wasza Wysokość słabym — odrzekł z żywością Aramis. — Przyniosłem dowody urodzenia Waszej Wysokości, przeczytaj je i przekonaj sam siebie, że jesteś synem króla, a potem działajmy!...

— Nie, nie, to niepodobna.

CCX

— Chyba — rzekł szyderczo Aramis — że przeznaczeniem jest w twojej rodzinie, aby synowie, pozbawieni tronu, wszyscy byli książętami bez honoru i odwagi, jakim był Gaston Orleański, twój stryj, który dziesięć razy spiskował przeciwko królowi Ludwikowi XIII-mu, bratu swemu.

— Mój stryj, Gaston Orleański, spiskował przeciw swemu bratu!... — krzyknął książę przestraszony — spiskował, aby go pozbawić tronu?...

— Ależ pewno nie w innym celu.

— Co pan mówisz?...

— Prawdę.

— I miał przyjaciół... wiernych?...

— Takich, jakim ja jestem dla Waszej Wysokości!...

— I cóż zrobił?... — Nie powiodło mu się?...

— Nigdy mu się nie powiodło, a to z własnej jego winy i żeby okupić, nie życie, gdyż życie brata królewskiego jest święte i nietykalne, ale aby okupić wolność, stryj twój poświęcił życie swoich przyjaciół jednego po drugim.

— Rozumiem panie — rzekł książę — ale czy to przez słabość, czy przez zdradę, stryj mój zabijał swoich przyjaciół.

— Przez słabość.

— Czy myślisz, że możliwem byłoby, ażebym ja, biedny więzień, wychowany nietylko zdala od dworu, ale i od świata, ażebym ja mógł dać pomoc przyjaciołom, którzyby chcieli mi służyć?...

A kiedy Aramis chciał odpowiedzieć, młodzieniec krzyknął z gwałtownością, która znamionowała krew, z jakiej pochodził.

— Mówimy tu o przyjaciołach, ale jakimże sposobem mógłbym ich mieć, ja, którego nikt nie zna, ja, który, ażeby okupić sobie wolność, nie mam, ani siły, ani pieniędzy?...

— Zdaje mi się, że miałem zaszczyt ofiarować się Waszej Królewskiej Wysokości.

— O!... nie nazywaj mię tak, panie, gdyż to albo szyderstwem jest, albo okrucieństwem. Nie wzbudzaj we mnie innych

myśli, niż o murach mego więzienia, pozwól mi jeszcze lubić, a przynajmniej znosić moją niewolę i nicość.

— Jeżeli Wasza Królewska Wysokość powtarzać będziesz ciągle te odstręczające wyrazy; jeżeli przekonawszy się z dowodów o pewności swego wysokiego urodzenia, pozostaniesz człowiekiem słabego umysłu, ducha i woli, ja zniknę i wyrzeknę się służenia panu, dla którego z takim zapałem poświęciłem swoje życie i pomoc.

— Panie!... — odrzekł książę — zanim mi to powiedziałeś, co mówisz, czyż nie lepiej było zastanowić się nad tem, żeś mi na wieki skruszył serce!...

— Tak też chciałem uczynić, Wasza Wysokość!...

— Czyż powinieneś był pan, ażeby mi mówić o wielkości, mocy, a nawet władzy królewskiej, wybrać na to więzienie?... Chcesz, ażebym uwierzył w blask, a ukrywamy się w ciemności; wychwalasz mi sławę, a dusimy naszą rozmowę w firankach tego barłogu; okazujesz mi wszechwładność, a ja słyszę kroki wartownika na korytarzu, kroki na których odgłos ty więcej, niż ja jesteś przerażony. Ażeby mnie uczynić mniej niedowierzającym, trzeba wprzód uwolnić mię z Bastylji, pozwolić odetchnąć świeżem powietrzem, dać szpadę, ostrogi, a wtenczas może się porozumiemy.

— Właśnie zamiarem moim jest nie tylko zadosyć uczynić temu żądaniu, ale nawet jeszcze więcej. Jeżeli tylko Wasza Królewska Wysokość tego zechcesz.

— Posłuchaj mię jeszcze — przerwał książę — wiem, że przy każdem wejściu jest warta, przy każdych drzwiach rygle i zamki, przy każdej bramie działa i wojsko. Jak zwyciężysz warty, zagwoździsz działa?... czem skruszysz zamki i bramy?...

— Jakimże sposobem Wasza Królewska Wysokość otrzymałeś bilet, zapowiadający moją bytność?...

— Ażeby przysłać bilet przekupienie odźwiernego wystarczy.

— Jeżeli więc można przekupić jednego można i dziesięciu!..

— Zgoda!... wierzę, że można wyprowadzić biednego więźnia z Bastylji i że go można tak ukryć, że wysłańcy królewscy nie znajdą go; można nawet żywić go bardzo wygodnie w nieznanem ukryciu.

— Książę!... wyrzekł Aramis z uśmiechem.

— Przypuszczam, że ten, co to dla mnie uczyni, będzie więcej, niż człowiekiem, ale ponieważ mówisz mi, że jestem księciem, bratem króla, jakże dasz mi stopień, władzę, którą mi moja matka i brat odebrali?... A ponieważ mam wieść życie pełne walk i nienawiści, jakim sposobem, uczynisz mię zwycięzcą, a niezwyciężonym dla mych nieprzyjaciół. A!... panie, zastanów się nad tem i zaprowadź mię lepiej do jakiej w głębi gór jaskini, daj mi to szczęście, ażebym wolny, mógł słyszeć szmer strumieni i szum wiatru w dolinach, widzieć jasne słońce lub niebo, pokryte chmurami, a tego będzie dla mnie dosyć. Nie obiecuj mi nic więcej, gdyż istotnie nic więcej uczynić nie mógłbyś dla mnie. A zwodzić mię byłoby to zbrodnią, ty zaś mówisz, że jesteś moim przyjacielem.

Aramis słuchał w milczeniu.

— Podziwiam — rzekł po chwili namysłu — tak zdrowe zdanie Waszej Królewskiej Wysokości, które podyktowało mu te wy razy i szczęśliwy jestem, że znajduję w nim mojego pana i króla!...

— Więc jeszcze, jeszcze, a!... przez litość — rzekł książę, ściskając zlodowaciałemi rękami czoło, gorącym zlane potem — nie naigrawaj się pan ze mnie. Nie potrzebuję bowiem być królem, ażeby być najszczęśliwszym z ludzi.

— Ja zaś potrzebuję, ażebyś Wasza Królewska Wysokość był królem, dla szczęścia ludzkości.

— A!... — rzekł książę z nowem, obudzonem przez te słowa niedowierzaniem — cóż ludzkość mieć może do zarzucenia memu bratu?...

— Zapomniałem powiedzieć Waszej Królewskiej Wysokości, że jeśli zgodzisz się zostać najpotężniejszym monarchą na świecie, spełnisz tem życzenia wszystkich naszych przyjaciół, którzy się twej poświęcili sprawie, a ci są bardzo liczni!...

— Liczni?...

— A więcej jeszcze możni, niż liczni.

— Wyjaśnij mi to?...

— Teraz niepodobna!... Ale przysięgam na Boga, który mnie słyszy, że wyjaśnię to Waszej Królewskiej Wysokości, w dniu, w którym go ujrzę na tronie Francji!...

— Ależ mój brat?...

— Wasza Królewska Wysokość postanowisz o jego losie!... Czy go żałujesz?...

— Jego?... co mię skazał na nędzę w tem więzieniu?... Nie!... nie żałuję go!...

— No przecież!...

— On mógł sam przyjść tu do więzienia, wziąć mię za rękę i powiedzieć: "Bracie!... Bóg stworzył nas na to, ażebyśmy się kochali, nie zaś ażebyśmy z sobą walczyli. Przychodzę do ciebie. Dziki przesąd skazał cię, ażebyś zniknął daleko od ludzi, pozbawiony wszelkiej radości. Chcę wrócić ci wolność i przypasać do boku oręż naszego ojca. Czyż skorzystasz z tego, ażeby mię zgnębić? Czyż użyjesz danej ci broni, ażeby przelać krew moją?..." "O!... nie!... — odpowiedziałbym mu — ciebie uważam za mego pana Przez ciebie mogę kochać i być kochanym na tym świecie."

— I Wasza Królewska Wysokość dotrzymałbyś tego słowa?

— O!... życiem mojem ręczę za to!...

— Kiedy teraz...

— Kiedy teraz mam ukarać winnych!...

— Jakąż karę wyznaczysz Wasza Królewska Wysokość?...

— Co mówisz o tem podobieństwie, jakie Bóg uczynił między nami?...

— Mówię, że w tem podobieństwie była przestroga Opatrzności. której król nie powinien był zaniedbać. Mówię, że matka Waszej Królewskiej Wysokości popełniła zbrodnię, wyróżniając szczęściem jednego, a niedolą drugiego, z tych dwóch, których Bóg utworzył tak podobnych w jej łonie.

— Więc...

— Więc jeżeli za mojem staraniem zajmiesz miejsce twego brata na tronie, brat twój zajmie miejsce Waszej Królewskiej Wysokości w więzieniu!...

— Niestety!... ileż się cierpi w więzieniu, a nadewszystko, kiedy się tak obficie piło z kielicha szczęśliwości życiowych.

— Wasza Królewska Wysokość uczyni tak, jak zechce i może po ukaraniu przebaczyć, jeżeli uzna za właściwe.

— Dobrze!... A teraz wiesz pan, co panu powiem?...

— Słucham!... mości książę.

— Oto, że nikogo chyba więcej nie będę słuchał nad pana za murami Bastylji.

— Właśnie, chciałem powiedzieć Waszej Królewskiej Wysokości, że tylko raz jeszcze będę go miał zaszczyt tu widzieć.

— Kiedyż?...

— W dniu, w którym Wasza Książęca Mość opuścisz te mury.

— Niech cię Bóg wysłucha! Ale jakże uprzedzisz mnie o tem?

— Przyjdę osobiście po Waszą Królewską Wysokość!

— Pan sam?

— Pamiętaj, mości książę: nie opuszczaj tego pokoju bezemnie, gdyby cię do tego naglono w mojej nieobecności: przypomnij sobie, że ja nikogo nie przyślę!

— A zatem ani słowa o tem nikomu.

— Tak jest.

Aramis głęboko się skłonił, książę podał mu rękę.

— Panie — rzekł doń głosem z serca płynącym — mam ci ostatnie jeszcze powiedzieć słowo. Jeżeli przyszedłeś tu do mnie, ażeby mię zgubić, jeżeli jesteś narzędziem tylko moich nieprzyjaciół, jeżeli z naszej rozmowy, w której zgłębiłeś moje serce, wyniknie dla mnie coś gorszego nad więzienie, to jest śmierć: będę cię za to błogosławił, gdyż wówczas zakończysz moje cierpienia i zastąpisz spokojem piekielne męki, jakie tu od ośmiu lat znoszę.

— Zaczekaj Wasza Królewska Mość, a osądzisz mię!

— Powiedziałem, że będę cię błogosławił i przebaczę ci. Jeżeli jednak przeciwnie, przybyłeś aby przywrócić mię na miejsce, które Bóg dla mnie wyznaczył w szczęściu i chwale, jeżeli, dzięki tobie, będę mógł żyć w pamięci ludzi i dodać zaszczytu mojej rodzinie przez świetne czyny lub dobrodziejstwa, uczynione ludziom moim, jeżeli z ostatniego stopnia nędzy, w jakiej jestem, twoją wspaniałomyślną ręką dźwignięty będę do zaszczytów, wówczas dla ciebie, którego dziś błogosławię, dla ciebie wówczas połowa mojej władzy i sławy, ale i w takim razie za mało będziesz nagrodzonym, gdyż udział twój będzie niedostatecznym, gdyż nigdy nie będę w stanie podzielić z tobą szczęścia jakie mi dasz!

— Szlachetność duszy Waszej Królewskiej Wysokości przenika mię radością i podziwieniem — rzekł Aramis, wzruszony bladością i serdecznem wynurzeniem młodzieńca — Nie tobie,

panie, przystoi dziękować mi, ale ludy które uczynisz szczęśliwymi, potomkowie twoi, których uświetnisz, wdzięczni ci będą. Tak! wówczas ja dam ci więcej, niż życie, bo dam ci nieśmiertelność.

Młodzieniec wyciągnął rękę do Aramisa, którą tenże, przyklęknąwszy, ucałował.

— O!. — rzekł książę z miłą skromnością.

— Jestto pierwszy hołd, oddany naszemzu przyszłemu królowi — rzekł Aramis. — Kiedy powtórnie zobaczę Waszą Królewską Wysokość, powiem: "Dzień dobry, Najaśniejszy Panie!"

— Aż do tej chwili — krzyknął młodzieniec, przyciskając wychudłemi rękami mocno bijące serce — żadnych marzeń, żadnych silnych wzruszeń w sercu, gdyż onoby pękło. O! panie! jakże teraz moje więzienie jest małem! jak to okno jest niskie, jakże te drzwi są ciasne. Jakże tyle dumy, tyle blasku, tyle szczęścia, mogło przecisnąć się przez nie i tu zamieszkać!

— Wasza Królewska Wysokość czynisz mnie dumnym, gdyż raczysz twierdzić, że wszystko to ja sprawiłem.

Wtem zapukano do drzwi. Odźwierny otworzył i ukazał się Baisemeaux, który pomimowoli zaczynał podsłuchiwać pode-drzwiami.

Szczęściem dla rozmawiających, ani jeden ani drugi nie zapomnieli przyciszyć głosu, nawet w gwałtowniejszych wynurzeniach namiętności.

— Cóż to za spowiedź!... — rzekł gubernator, starając się uśmiechnąć — któżby temu uwierzył, że więzień, człowiek prawie umarły, popełnił tyle i tak wielkich grzechów!...

Aramis milczał.

Pilno mu było opuścić Bastylję, gdyż tajemnica, ciążąca na nim, podwoiła się od ciężaru murów.

Kiedy wrócili do mieszkania Baisemeaux, Aramis rzekł:

— No, pomówmy teraz o interesie, kochany gubernatorze!...

— Niestety!... — rzekł Baisemeaux.

— Masz odemnie żądać kwitu na 150,000 luidorów — rzekł Aramis.

— I zapłacić ci jedną trzecią część tej sumy — dodał, wzdychając biedny gubernator.

I postąpił trzy kroki ku żelaznej skrzyni.

— Oto jest kwit — rzekł Aramis.

— A oto są pieniądze — rzekł z potrójnem westchnieniem gubernator.

— Zgromadzenie kazało mi tylko dać kwit na 50,000 luidorów, ale nie kazało mi brać pieniędzy — rzekł Aramis. — Do widzenia, panie gubernatorze!...

I wyszedł, zostawiając Baisemeaux, przytłoczonego zdziwieniem i radością, wobec tego królewskiego daru, uczynionego mu przez nadzwyczajnego spowiednika Bastylji.

CCXI

JAK MOUSTON UTYŁ, NIE UPRZEDZIWSZY O TEM PORTOSA I O NIEPRZYJEMNOŚCI, JAKA STĄD WYNIKŁA DLA TEGO CZCIGODNEGO PANA.

Od czasu wyjazdu Atosa do Blois, Portos i d'Artagnan widywali się ze sobą rzadko.

Jeden zajęty był ciągle służbą przy królu, drugi kupował meble i inne rzeczy i odsyłał je do swoich dóbr, mniemając, że wprowadzi do swego mieszkania choć część tego przepychu, jaki go olśnił na pokojach króla.

Pewnego dnia d'Artagnan, mając wolną od służby chwilę, przypomniał sobie, że od dwóch prawie tygodni nie wie, co się z Portosem dzieje, wybrał się więc do niego i zastał go zaledwie wstającego z łóżka.

Zacny baron był zamyślony, więcej niż zamyślony, smutny był, siedział półnagi na łóżku z nogami, spuszczonemi na podłogę, przypatrując się mnóstwu różnego koloru, kroju i gatunku ubraniom, rozrzuconym na podłodze.

Portos w zamyśleniu nie spostrzegł d'Artagnana, tembardziej, że go osłaniał stojący w tej chwili przed nim Mouston, którego tusza bardzo dostateczna do zasłonięcia kogokolwiekbądź, zwiększona była trzymanym w ręku ubiorem szkarłatnym, który pokazywał swemu panu.

D'Artagnan, zatrzymawszy się we drzwiach, widział, jak Portos ciężko wzdycha, pomyślał więc, że czas już dać znać kaszlnięciem o swojej obecności.

— A!... — rzekł Portos, rozjaśniając twarz — otóż i d'Artagnan, no, teraz to wyjdę z kłopotu!

Mouston na te słowa, domyślając się, że ktoś przybył, usunął się na bok z miłym uśmiechem, a usuwając tem samem przeszkodę materjalną, pozwolił d'Artagnanowi zbliżyć się do Portosa.

Aż kości zatrzeszczały w nogach Portosa od szybkiego powstania; w dwóch susach już porwał d'Artagnana w objęcia, z uczuciem większej jeszcze, niż zwykle przyjaźni.

— A!... zawsze jesteś dla mnie miłym gościem, ale dziś, to dwa razy milszym — zawołał Portos.

— No, cóżto, smutnym coś jesteś — rzekł d'Artagnan.

Portos potwierdził to wzrokiem.

— Jeżeli nie jest to tajemnicą, opowiedz mi, przyjacielu, twoje zmartwienie.

— Najprzód, wiesz, że dla ciebie nie mam tajemnicy. Ale zasmuca...

— Zaczekaj, Portosie, pozwól mi pierwej wydobyć się z tego stosu sukna, aksamitów i atłasów.

— Depcz po nich śmiało — rzekł Portos — to już wszystko skazałem na wyrzucenie.

— No, no — rzekł d'Artagnan — na wyrzucenie?... Sukno po dwadzieścia liwrów łokieć, atłas pyszny i aksamit królewski?

—Jak ty uważasz te ubrania?...

— Ależ świetne, okazałe. Założę się, że ty jeden w całej Francji, gdybyś żył jeszcze sto lat od dziś, nie potrzebowałbyś krawca aż do śmierci i zawsze byłbyś świeżo ubrany.

Portos potrząsnął głową.

— Ależ, mój kochany ponurość twoja przestrasza mię; wyjeżdżaj stąd jaknajprędzej.

— O tak, mój przyjacielu, wyjadę stąd, tak!...

— Czy otrzymałeś może jaką niemiłą wiadomość z Bracieux?

— Przeciwnie, wycięto część lasu, a sprzedane drzewo przyniosło więcej zysku, niż się spodziewałem.

— Czy ryby porzuciły twoje stawy w Pierrefonds?

— Gdzieżtam! łowię je, a tem, co pozostało od sprzedaży, byłoby czem jeszcze zarybić wszystkie stawy sąsiednie.

— To może Vallon zapadło się przez trzęsienie ziemi?

— Ale cóż znowu!... piorun wprawdzie uderzył o sto kroków od pałacu, ale właśnie skutkiem tego wytrysnęło najdoskonalsze źródło, którego tam brakowało.

— Cóż więc takiego?

— A!... otrzymałem oto zaproszenie na zabawę w Vaux — rzekł Portos grobowym głosem.

— I ty się na to skarżysz, a wiesz, że król, odmawiając zaprosin, poróżnił najmniej ze sto małżeństw u dworu. Jakto?... doprawdy jesteś zaproszony?... No, no.

— Ależ tak!

— Tam się zbiera wszystko, co tylko jest największego i najgodniejszego we Francji.

— O!... — rzekł Portos, wydzierając sobie w rozpaczy garść włosów.

— Ale cóż jest, mój przyjacielu, czyś nie chory?

— Zdrów jestem jak słoń, ale to nie to...

— Cóż więc?

— Nie mam się w co ubrać.

D'Artagnan skamieniał.

— Co!... nie masz się w co ubrać?... nie masz ubrania?... a przecież tu leży ich z pięćdziesiąt na podłodze.

— Pięćdziesiąt, tak, lecz żadne z nich dobrze nie leży na mnie.

— Jakto?... każde źle leży?... alboż to miary nie biorą na ciebie, kiedy ci je robią?

— Biorą — odezwał się Mouston — ale ja na nieszczęście utyłem.

— Jakto! utyłeś?

— Tak dalece, że daleko jestem grubszy od pana barona. Czy uwierzysz pan temu?

— Zdaje mi się, że to widać!

— Widzisz, głupcze, że to widać!

— Ależ, wreszcie mój kochany Portosie — rzekł d'Artagnan trochę zniecierpliwiony — nie rozumiem, co mają za związek twoje ubrania z otyłością Moustona?

— Zaraz ci to, mój przyjacielu, wytłumaczę — rzekł Portos. — Przypominasz sobie historję, którąc mi opowiadał o Antoniuszu, generale rzymskim, dla którego zawsze było przygotowanych siedem dzików, w różnych porach dnia pieczonych, a to dlatego, ażeby miał zawsze świeżo upieczonego, skoro tylko

mu się jeść zachce. Ja zaś postanowiłem (nie wiedząc, kiedy będę wezwany do dworu, gdzie pewno zabawię z tydzień) mieć na ten wypadek zawsze siedem ubrań gotowych.

— Bardzo mądre postanowienie, mój Portosie. Tylko na takie wybryki trzeba być tak, jak ty bogatym. Nie licząc bowiem straty czasu na miarę, mody się coraz zmieniają.

— Otóż właśnie zdawało mi się, że wymyśliłem coś bardzo dowcipnego.

— No, opowiedz mi to, nie wątpię bowiem o twoim genjuszu!

— Przypominasz sobie, że Mousqueton był szczupły?

— Tak, wtenczas, kiedy się nazywał Mousqueton!

— Przypominasz sobie również epokę, w której zaczął nabierać ciała?

— Niedokładnie i przepraszam za to pana Mouston.

— Nie jest to bynajmniej pańską winą — rzekł uprzejmie Mouston — gdyż pan byłeś w Paryżu, my zaś w Pierrefonds.

— Koniec końców — rzekł d'Artagnan — była chwila w której Mouston tyć zaczął. Nieprawdaż, o tem chciałeś mówić?

— Tak, i bardzom się z tego cieszył.

— Do licha! wierzę — odrzekł d'Artagnan.

— Pojmujesz — rzekł Portos — ile mi to oszczędzało trudu?

— Nie, mój drogi, tego jeszcze nie pojmuję, ale gdy mi wytłumaczysz...

— Zaraz. Najprzód, jakeś to powiedział, stratą jest czasu poddawać się braniu miary, choćby tylko raz na dwa tygodnie, a zresztą można być w podróży, a tu zawsze chciałoby się mieć siedem garniturów gotowych. W końcu przyznam ci się, mój przyjacielu, wstręt mam do tego, ażeby pozwalać z siebie brać miarę. Przecież się jest do djabła szlachcicem. A pozwalać się mierzyć i sprawdzać jakiemuś tam ladaco, który cię od stóp do głowy rozmierza na cale i linje e! to poniżające. To albo znajduje on, że masz tu część ciała zanadto wydatną, to znowu zanadto wklęsłą, poznaje twoje wady i przymioty, i słowem kiedy się wyjdzie z rąk biorącego miarę, podobnym się jest bardzo do fortecy do której szpieg, wkradłszy się, rozpoznał już słabe i mocne punkta.

— Wiesz, mój Portosie, że ty masz szczególne i tobie tylko właściwe pomysły.

— No juścić, kiedy się było inżynierem...

— I kiedy się fortyfikowało Belle-Isle, to prawda, mój przyjacielu.

— Przyszedł mi do głowy pomysł i gdyby nie opieszałość Moustona, byłby mi się najdoskonalej udał.

D'Artagnan spojrzał na Moustona, który odpowiedział gestem znaczącym: "Przekonasz się pan, że ja temu nic a nic nie jestem winien."

— Rad byłem, jak to powiedziałem, że nabiera mnóstwo ciała i o ile mogłem, sam mu w tem dopomagałem, karmiąc go najpożywniejszemi potrawami, w nadziei, że dorówna mi co do tuszy, a wówczas zamiast ze mnie z niego brać będę miarę na ubranie.

— A! teraz rozumiem — rzekł d'Artagnan — to ci oszczędzało czasu i poniżenia.

— Naturalnie! wyobraź więc sobie moją radość, kiedy po półtorarocznem odżywianiu się stosownem, gdyż zadałem sobie pracę sam wybierać pokarmy dla tego cymbała...

— O! ale i ja w tem dużo panu dopomagałem — wtrąci Mouston skromnie.

— Tak! to prawda, wyobraź więc sobie moją radość, kiedy spostrzegłem pewnego poranku, że Mouston musi się tak, jak ja przeciskać przez małe drzwi skryte, które ten djabeł budowniczy zrobił w pokoju Pierrefonds. Ale co do tych drzwi, pytam ciebie, mój przyjacielu, ciebie, który wiesz wszystko, powiedz mi dlaczego temu bałwanowi budowniczemu, który już ze zwyczaju nawet powinien mieć miarę w oku, przyszło do głowy zrobić tak wąskie drzwi, że tylko ludzie szczupli mogą przez nie przechodzić.

— Drzwi takie — odpowiedział d'Artagnan — przeznaczone są dla kochanków, a wiadomo, że każdy kochanek winien być szczupły i wysmukły.

— Pani du Vallon nie miała kochanków — odrzekł Portos z godnością.

— To pewno, mój przyjacielu — odpowiedział d'Artagnan — ale zapewne budowniczy pomyślał o tem na przypadek twego powtórnego ożenienia.

— A! to być może — rzekł Portos. — A teraz kiedy wytłumaczyłeś mi użytek skrytych małych drzwi, wróćmy do otyłości Moustona. Ale uważaj, mój przyjacielu, jak to ostateczności się

stykają. Ja zawsze spostrzegałem, że jeden przedmiot porównywa się zaraz z drugim. Mówiłem ci o Moustonie tłustym, a wpadliśmy na rozmowę o pani du Vallon...

— Która była chudą!

— Hm! czyż to nie zadziwiające, co?

— Mój drogi, jeden z moich przyjaciół, uczony pan Costar, to samo co ty zrobił spostrzeżenie; i nazywa to po grecku jakiemś imieniem, którego nie przypominam sobie.

— A więc uwaga moja nie jest nowością — rzekł Portos zmieszany — a ja mniemałem, że to ja ją wynalazłem.

— Mój przyjacielu, to było już znane jeszcze przed Arystotelesem, czyli temu ze 2,000 lat.

— Ale niemniej uwaga moja jest słuszną — rzekł Portos zachwycony, że myślał toż samo, o czem i mędrcy w starożytności.

— Zapewne. Ale czybyśmy nie mogli wrócić do Moustona, którego zostawiliśmy, zdaje mi się, nabierającego ciała coraz widoczniej.

— Tak, panie — rzekł Mouston.

— Dobrze — odrzekł Portos. — Mouston spełnił tedy moje nadzieje, przychodząc do tej co i ja tuszy; spostrzegłem to pewnego dnia, kiedy łotr użył jednej z moich kamizelek, której haft kosztował najmniej 100 pistolów.

— To tylko dla spróbowania — rzekł Mouston.

— Od tej chwili postanowiłem — odrzekł Portos, — że Mouston, porozumiawszy się z krawcami, będzie im służył za miarę dla mnie.

— Doskonale, ale Mouston o półtory stopy niższy jest od ciebie.

— Dlatego też brano miarę długości aż do ziemi, i tak zrobiony ubiór przypadał mi wyżej kolan.

— Jakiś ty szczęśliwy, mój drogi. Podobne rzeczy nie każdemu się zdarzają.

— Tak! masz też z czego mię chwalić? bardzoś się omylił. Było to właśnie półtrzecia roku temu, kiedy wyjeżdżałem do Belle-Isle, a chciałem zawsze mieć ubranie co miesiąc, podług najświeższej mody.

— Mouston może nie dopełnił twego rozkazu? To źle byłoby, Moustonie.

— Przeciwnie, panie! przeciwnie, wypełniłem wszystko.

— Tak, nie zapomniał, bo kazał sobie co miesiąc robić ubranie, ale zapominał mi donieść, że coraz więcej tyje.

— Cóż robić. To nie moja wina. A czemuż pański krawiec nic mi o tem nie mówił.

— I to tak nagle — ciągnął dalej Portos — że w ciągu dwóch lat o 18 cali grubszy był odemnie, a stąd dwanaście moich ostatnich ubrań szersze jest na mnie od stopy aż do półtorej.

— Ależ inne? które są z tego czasu, kiedy figury wasze były jednostajne?

— Te wyszły już z mody, mój przyjacielu. Gdybym je włożył, zdawałoby się, że przybywam z Sjamu i, że przez kilka lat nie byłem u dworu.

— Rozumiem teraz twój kłopot. Masz zawiele bo aż trzydzieści sześć ubrań nowych, a nie masz co włożyć. Trzeba więc kazać zrobić trzydzieste siódme, a tamte 36 daruj Moustonowi.

— A! panie — rzekł Mouston uradowany — o! pan zawsze dla mnie był tak dobry!

— E! myślisz, że nie przyszło mi do głowy kazać tak zrobić, nie patrząc nawet, ile to będzie kosztowało. Ależ to tylko już dwa dni do tej zabawy. Otrzymawszy wczoraj wieczór zaproszenie, kazałem natychmiast przybyć pocztą Moustonowi z moją garderobą, a o nieszczęściu, jakie mię spotkało, dopiero dziś rano się przekonałem. A od dziś do pojutrza niema ani jednego krawca, bardzo wziętego któryby podjął mi się wykończyć ubranie.

— To jest strój, wyszyty złotem! nieprawdaż?

— Chcę, ażeby wszędzie było złoto!

— No, postaramy się. Odjeżdżasz dopiero za trzy dni. Zaproszenie jest na środę, a dziś jest niedziela!

— Prawda, ale Aramis polecił mi, abym tam był o 24 godzin pierwej.

— Jakto Aramis?

— No tak? gdyż to on przyniósł mi zaproszenie.

— Aha rozumiem! Jesteś zaproszony ze strony pana Fouquet.

— Bynajmniej. Ze strony króla, kochany przyjacielu! Jest bowiem na bilecie wyraźnie napisane: Zawiadamia się pana baro-

na du Vallon, że król raczył go umieścić na liście zaproszonych...

— Dobrze!... ale jedziesz z panem Fouquet.

— I kiedy pomyślę — rzekł Portos, wyłamując część posadzki tupnięciem nogi — i kiedy pomyślę, że nie mam nowego ubrania, wściekam się ze złości. Mam ochotę, albo udusić kogo, albo poszarpać co w kawałki.

— Ani nie duś nikogo, ani nie drzyj nic, ja ci to ułatwię, ubierz się w jedno z twoich 36 ubrań i pójdź ze mną do pewnego krawca.

— Ba! mój posłaniec napróżno biegał dziś do każdego.

— Nawet i do pana Percerin!...

— Kto to jest ten Percerin?...

— A dla Boga!... przecież to krawiec królewski.

— A!... tak!... tak!... — rzekł Portos — udając, że zna krawca królewskiego, chociaż pierwszy raz w życiu słyszał to nazwisko — tak, krawiec królewski... Ale myślałem, że on jeszcze więcej ma zatrudnienia.

— Pewno, że zatrudniony rzekł d'Artagnan — ale bądź spokojny, dla mnie zrobi on to, czego pewno dla kogo innego by nie zrobił. Tylko trzeba będzie koniecznie, ażebyś pozwolił, przyjacielu, wziąć z siebie miarę!...

— Ha!... — westchnął Portos — to przykro, ale cóż robić.

— A zresztą zrobisz tak, jak inni, a nawet jak sam król.

— Jakto?... królowi biorą miarę?... i on na to pozwala?...

— Mój kochany, król jest elegant, tak jak i ty, choćbyś nie wiem jak się do tego nie przyznawał.

Portos rozśmiał się z miną zwycięzcy.

— Ha, to idźmy — rzekł — do krawca królewskiego, a ponieważ bierze on miarę królowi zdaje mi się, że i ja mogę pozwolić, aby i zemnie wziął miarę.

CCXII

JAN PERCERIN.

Krawiec królewski, Jan Percerin, zajmował przy ulicy świętego Honorjusza dom dosyć duży. A że dziad i ojciec jego byli

krawcami, umiał więc dobierać pięknych materji, aksamitów i haftów.

Ród jego sięgał czasów Karola IX-go, który, jak wiemy często miewał przywidzenia odwagi, trudne do zaspokojenia.

Percerinowie za owych czasów byli Hugonotami, a zachowani zostali od powszechnej rzezi, za staraniem królowej Nawary, pięknej Margot, jak ją wówczas nazywano, a to dlatego, że tylko krawiec Percerin mógł jej dogodzić w ubiorze do konnej jazdy, którą bardzo lubiła, gdyż on tylko zdolny był ukryć pewne wady budowy ciała, które królowa bardzo starannie ukrywała.

W ten sposób zachowany przy życiu Percerin zaczął robić czarne suknie, bardzo skromne dla królowej Katarzyny, która dość była na Hugonota łaskawą, chociaż przedtem często złem nań patrzyła okiem. Ale Percerin był to człowiek bardzo roztropny; słyszał on, że dla Hugonotów nic niema niebezpieczniejszego nad uśmiech królowej Katarzyny, a spostrzegłszy, że królowa częściej, niż zwykle, do niego się uśmiecha, pospieszył przyjąć z całą swoją rodziną wyznanie katolickie i zostawszy przez to nietykalnym, doszedł do wysokiej posady nadwornego krawca korony francuskiej.

Za Henryka III, który był elegantem, jakich rzadko widziano, stan krawiecki dosięgał, najwyższego szczytu sławy. A, że Percerin był całe życie zdolnym, więc żeby tą opinję nawet po śmierci zachować umarł wtenczas, kiedy pomysły jego zaczęły słabnąć.

Zostawił syna i córkę, oboje godnych nosić odziedziczone nazwisko syn, krając ubranie z zapałem i dokładnie mierząc, córka haftując i rysując ozdoby.

Wesele Henryka IV i Marji Medicis, suknie żałobne tak ładne dla tej królowej, wraz z kilku wyrazami, które się wymknęły panu de Bassompierre, królowi mody ówczesnej, zapewniły los temu drugiemu pokoleniu Percerinów.

Pan Concino Concini i jego żona Galigai, którzy zajaśnieli na dworze francuskim, chcąc wprowadzić mody włoskie, sprowadzili krawców z Florencji; ale Percerin, uniesiony patrjotyzmem, wnet przepysznemi haftami i wyszyciami, bawełną i muślinami, zniszczył sławę przybyszów, tak dalece, że sam Concini odstąpił pierwszy od Florentczyków, a krawca Francuza w ta-

kiem miał poważaniu, iż nigdy nikomu innemu nie dał się ubierać, do tego nawet stopnia, że w dniu, kiedy mu Vitry na małem moście w Luwrze strzaskał czaszkę wystrzałem pistoletu, ubrany był w surdut, zrobiony przez Percerina.

I to właśnie ten sam, który Paryżanie mieli przyjemność poszarpać w kawałki wraz z ciałem, które okrywał.

Pomimo łaski, jaką Percerin zaszczycony został przez Concino Concini, Ludwik XIII był o tyle wspaniały, iż nie gniewał się, za to na niego i zatrzymał go w swoich usługach.

W czasie, kiedy Ludwik Sprawiedliwy potwierdzał nadany mu przydomek. Percerin wychował dwóch synów, z których jeden dał dowód swoich zdolności na weselu Anny Austrjackiej, bo wymyślił dla kardynała Richelieugo ów piękny ubiór hiszpański, w którym tenże tańcował sarabandę, porobił ubiory do tragedji Mirane i przyszył do płaszcza Buckinghama owe sławne perły, przeznaczone na to, aby się rozsypywały po posadzce Luwru.

Łatwo bardzo stać się sławnym, kiedy się ubierało pana de Buckingham. pana de Cinq Mars, pannę Ninon, pana de Beaufort i Marion de Lorme. To też Percerin III doszedł najwyższego szczebla sławy, kiedy ojciec jego umarł.

Ten sam Percerin III, stary, sławny i bogaty, ubierał Ludwika XIV. a nie mając syna, któryby tę dynastję krawców przedłużył, co wielkiem też dlań było zmartwieniem, wykształcił wielu uczniów, rokujących piękne nadzieje.

Miał on dobra. karetę, najwyższego lokaja z całego Paryża i za szczególnem pozwoleniem Ludwika XIV, psiarnię.

Ubierał panów de Lyonne i Letellier, dając do zrozumienia, że nie robi tem łaski, ale jako polityk, posiadający tajemnice stanu, nigdy nie chciał zrobić ubrania dla pana Colbert.

To się nie da stwierdzić, lecz można się tego domyślić.

Wielkie umysły w każdym rodzaju, żyjąc niewidzialnemi, nieodgadnionemi myślami, często tak czynią, same nie wiedząc dlaczego.

Wielki Percerin, bo chociaż cała dynastja była taką, ostatni jednak zasłużył prawdziwie na ten przydomek, z natchnieniem zawsze skrajał suknię dla królowej, albo dolny ubiór dla króla, wymyślił płaszcz dla księcia, albo klin do pończochy dla księż-

ny, ale, pomimo wyższości umysłu, nigdy nie spamiętał miary dla pana Colbert.

— Ten człowiek — mawiał często — przechodzi moją zdolność i nigdy nie zniósłbym widoku miary jego w zarysach mej igły.

Ma się rozumieć że Percerin był krawcem pana Fouquet i że pan nadintendent wielce go szanował.

Percerin, pomimo ośmdziesięciu lat, był jeszcze czerstwym starcem, a sława jego i majątek były tak wielkie, że nieraz książę, rozmawiając z nim o sukniach, chodził z nim, trzymając się pod ręce, a najtrudniejsi do wypłaty nie śmieli długo mu jej odwlekać, bo Percerin, gdy zrobił komu ubranie na kredyt, dopóki nie zostało zapłacone, innego nie robił z pewnością.

Łatwo więc pojąć, że taki krawiec nietylko nie szukał roboty, ale był nawet trudny w jej przyjęciu.

Percerin nigdy nie podejmował się roboty dla mieszczan lub nowej szlachty.

Mówiono nawet, że pan Mazarini za podarowany sobie przez niego bogaty ubiór kardynalski dał mu patent na szlachectwo.

Percerin był dowcipnie złośliwy, a będąc jeszcze rzeźkim, często jeszcze zalecał się kobietom.

Właśnie do mieszkania tego pana, artysty, d'Artagnan wiózł zmartwionego Portosa.

W drodze tenże mówił do swego przyjaciela:

— Bądź łaskaw, nie skompromituj tylko godności takiego, jak ja człowieka, wobec zarozumiałości tego tam Percerina, który, jak przeczuwam, bardzo musi być niegrzeczny: uprzedzam cię, że, jeśli mi uchybi, surowo go ukarzę.

— Ja cię przedstawię, więc nie masz się czego obawiać.

— Ależ bo...

— Cóż? czy masz co przeciw Percerinowi?

— Zdaje mi się, że ja już...

— Co już?

— Że ja już posyłałem Moustona do człowieka tego nazwiska!...

— I cóż?...

— A ten bałwan odmówił, nie chciał zrobić mi ubrania!...

— O, to bezwątpienia, pomyłka Moustona, którą trzeba koniecznie sprostować.

— Być może!...

— Zapewne wziął jedno nazwisko za drugie.

— To bardzo podobne do prawdy!... ten Mouston ladaco, nigdy nie pamięta nazwisk.

— Już ja to sprostuję.

— Dobrze.

— Każ zatrzymać się powozowi, gdyż jesteśmy już na miejscu.

— Jakto?... to tu?...

— Tak.

— Ależ jakże to?... Jesteśmy dopiero na placu targowym, a powiedziałeś mi, że dom jego jest na rogu ulicy Suchego Drzewa?...

— Prawda, ale patrzaj.

— Patrzę i widzę...

— Cóż?...

— Że jesteśmy na placu targowym.

— Zapewne nie chcesz, aby nasze konie wlazły na poprzedzającą nas karetę.

— Nie.

— Ani nie chcesz, ażeby powóz, nas poprzedzający, wjechał na powóz, który jest przed nim?...

— Bynajmniej.

— Ani też ażeby tamta kareta przejechała przez 30 lub 40 poprzedzających ją?...

— Na honor, masz słuszność!...

— Przecież...

— Co tu za tłok, mój drogi, co tu ludzi!...

— Co?...

— I co oni tu wszyscy robią?...

— Bardzo rzecz prosta; czekają aż na nich przyjdzie kolej.

— Ba!... Czyż to nie komedjanci z pałacu Bourbon zmieniają mieszkanie?...

— Nie!... ale tu czekają po kolei, aby wejść do Percerina!..

— A to i my także będziemy musieli czekać.

— My będziemy dowcipniejsi, a nie tak dumni, jak oni.

— I cóż uczynimy?

— Wysiądziemy tu z powozu, przejdziemy pomiędzy tym tłumem paziów i lokajów i wejdziemy do krawca, a ręczę ci za to... z warunkiem, jeżeli ty pójdziesz przedemną.

— Idźmy więc — odrzekł Portos.

I obaj udali się ku mieszkaniu krawca.

Natłok taki spowodowały zamknięte drzwi mieszkania krawca.

Lokaj, stojący przy drzwiach, odpowiadał przychodzącym, że Percerin teraz nie przyjmuje nikogo.

Według poufnych zwierzeń lokaja, objaśniono panów, których poważał, że Percerin, zamknięty w swoim gabinecie, namyśla się nad kolorem, ozdobami i krojem pięciu ubrań które ma dla króla wykończyć.

Wielu poprzestało na tej odpowiedzi, szczęśliwi, że będą mieli o czem opowiadać, wielu z uporem nastawało aby im drzwi otworzono, a pomiędzy tymi, trzech, ozdobionych orderowemi wstęgami, a wyznaczonych do baletu, którzy w nim pewno nie mogliby wziąć udziału, gdyby nie mieli ubrań, zrobionych ręką wielkiego Percerina.

D'Artagnan, poprzedzany przez Portosa rozpychającego tłum, przybył aż do kantoru, gdzie kilku chłopców odpowiadało, jak mogło, na liczne zapytania.

Zapomnieliśmy powiedzieć, że przy drzwiach nie chciano wpuścić Portosa jak i innych, lecz d'Artagnan wymówił słowa: Z rozkazu króla!... i wpuszczony został ze swoim przyjacielem.

Natłok nieukontentowanych panów utworzył obraz, pełen ciekawych i zajmujących odcieni.

Nasz kapitan muszkieterów, jako człowiek z pewnym i przenikliwym wzrokiem, jednym rzutem oka przypatrzył mu się dokładnie i wzrok swój zatrzymał na człowieku, siedzącym za kantorem wprost niego.

Człowiek ten, siedząc na ławce, zaledwie głową przewyższał otaczający go kantorek, miał lat około 40, twarz bladą, wyraz smutny, lecz oczy błyszczące.

Patrzał na d'Artagnana i innych, oparłszy brodę na ręku, jak widz spokojny, lecz ciekawy.

Wszakże, poznawszy kapitana, nasunął kapelusz bardziej na oczy.

Może to poruszenie zwróciło uwagę d'Artagnana.

Jeżeli tak było istotnie, wynikło stąd, że człowiek z nasuniętym kapeluszem na oczy, zupełnie co innego dostrzegł, niż się spodziewał.

Ubranie tego człowieka skromne i włosy, gładko uczesane, sprawiały, że wielu wzięło go za jednego z czeladników krawieckich, pilnie pracujących.

Wszelako człowiek ten zanadto często podnosił głowę, aby mógł z korzyścią pracować.

D'Artagnan nie dał się oszukać i zauważył dobrze, że jeżeli ten człowiek pracował, to pewno nie rękami.

— Cóż to — rzekł, zbliżając się do niego — to pan już zostałeś czeladnikiem krawieckim, panie Moliere?

— Cicho, panie d'Artagnan, na miłość Boską, cicho — rzekł zagadniony — bo mnie poznają.

— I cóżby w tem było złego?

— Wprawdzie złego nic, ale...

— Ale, chcesz powiedzieć, że i dobrego nic, nieprawdaż?

— Niestety tak!... gdyż bardzo byłem zajęty temi figurami, tu przybywającemi.

— No, no, pojmuję ważność, jaką dla pana ma ten przegląd i... nie będę ci przeszkadzał zbierać wzorków.

— Dziękuję.

— Ale pod warunkiem, że mi powiesz rzetelnie, gdzie jest Percerin.

— O!... bardzo chętnie, w swoim gabinecie. Tylko...

— Tylko, że się z nim widzieć nie można?

— Nieprzystępny!

— Dla wszystkich?

— A tak!... wprowadził mię tutaj abym mógł wygodnie robić moje spostrzeżenia i odszedł do gabinetu.

— Nieprawdaż, kochany panie Moliere, że pójdziesz uprzedzić go, iż ja tu jestem?

— Ja — rzekł Moliere — ja miałbym opuścić moje stanowisko, o!... panie d'Artagnan, jakże się źle ze mną obchodzisz.

— Jeżeli nie pójdziesz natychmiast uprzedzić Percerina — rzekł zcicha d'Artagnan — oświadczam, że nie pokażę ci mego przyjaciela, którego z sobą przyprowadziłem.

Moliere, nieznacznie wskazując na Portosa, rzekł:

— Tego, co tu stoi?...

— Tak!...

Moliere spojrzał na Portosa wzrokiem, zgłębiającym odrazu głowę i serce.

Spojrzenie to zapewne obiecywało mu obfity plon uwag, gdyż natychmiast udał się do drugiego pokoju.

CCXIII

PORTOS U KRAWCA.

Przez ten czas natłok nieznacznie się zmniejszał, a echo każdego kątka pokoju odbijało odgłos nieukontentowania albo pogróżek, któremi odchodzący żegnali to miejsce.

W dziesięć minut wrócił Moliere i, dając znak d'Artagnanowi, który pociągnął za sobą Portosa, zaprowadził ich, przeszedłszy kilka korytarzy, do gabinetu Percerina.

Starzec trzymał właśnie w ręku sztukę pięknej materji, lecz, spostrzegając d'Artagnana, położył ją i postąpił dosyć grzecznie ku niemu.

— Panie kapitanie muszkieterów — rzekł — przebaczysz mi zapewne, ale jestem bardzo zatrudniony.

— A tak, sukniami króla, wiem o tem, powiadano mi, że ich aż trzy robisz.

— Pięć!... mój kochany panie, pięć!

— Czy trzy, czy pięć, to mi wszystko jedno, mości Percerin, i wiem, że je zrobisz najdoskonalej.

— A ja wiem, że będą najpiękniejsze w świecie, gdy będą skończone, ale ażeby pięknemi były, należy je naprzód zrobić, a na to, panie kapitanie, potrzeba czasu.

— O!.. toć jeszcze masz dwa dni przed sobą, czyż więcej ci potrzeba, panie Percerin — odrzekł najspokojniej d'Artagnan.

Percerin podniósł głowę, jak człowiek nieprzyzwyczajony, aby mu się sprzeciwiano, nawet w jego przywidzeniach, lecz d'Artagnan nie zważał bynajmniej na ton, jaki prześwietny krawiec zaczął przybierać.

— Przyprowadzam ci klienta, kochany panie Percerin.

— A!... a!... — rzekł Percerin z miną nieukontentowaną.

— Pana barona du Vallon, de Bracieux de Pierrefonds — dodał d'Artagnan.

Percerin zrobił ukłon, a wcale się on nie spodobał strasznemu

Portosowi, który od wejścia do gabinetu patrzył już krzywo na krawca.

— Jednego z moich dobrych przyjaciół — kończył d'Artagnan.

— Będę służył panu, ale później.

— Później!... a kiedyż to?

— Jak będę miał czas!

— Jużeś to powiedział, mój panie!... memu służącemu — odezwał się z nieukontentowaniem Portos.

— Być może!... — odpowiedział Percerin — gdyż prawie zawsze jestem bardzo zajęty.

— Mój przyjacielu — wyrzekł poważnie Portos — kto chce, ten zawsze czas znajdzie.

Percerin zaczerwienił się, co u ludzi starych jest oznaką gniewu, i rzekł:

— Nikt panu nie wzbrania udać się gdzieindziej.

— No, no, panie Percerin — odezwał się d'Artagnan — wcale nie jesteś dziś uprzejmym. Otóż powiem ci słówko, które, usłyszawszy, będziesz grzeczniejszym. Ten pan nietylko jest moim ale i pana Fouqueta przyjacielem!

— A!... a!... — rzekł krawiec — to co innego.

Potem, zwracając się do Portosa, spytał:

— Pan baron należysz do pana nadintendenta?

— Należę do siebie — krzyknął Portos.

W tej chwili drzwi się otworzyły i przybyła nowa osoba.

Moliere patrzył uważnie, d'Artagnan śmiał się, Portos się zżymał.

— Ależ przecie zrobisz ubranie panu baronowi — rzekł d'Artagnan — gdyż to ja bardzo cię o to proszę. — Krawiec kiwnął głową.

— Dobrze, ale nie na tem koniec, zrobisz mu je natychmiast.

— Przed tygodniem niepodobna.

— To tak, jakbyś odmawiał zrobienia, gdyż ubranie to potrzebne jest na zabawę w Vaux!

— Powtarzam, że to niepodobna — rzekł uparty starzec.

— Przeciwnie, kochany panie Percerin, tembardziej, jeżeli ja cię o to poproszę — odezwał się przy drzwiach głos dźwięczny, metaliczny, na który d'Artagnan natężył uwagę.

Był to głos Aramisa.

— Pan d'Herblay! — zawołał krawiec.

— Aramis! — mruknął d'Arrtagnan.

— Aha! nasz biskup — rzekł Portos.

— Dzień dobry, kochani przyjaciele — rzekł Aramis. — No! kochany Percerin, zrób ubranie panu, a zaręczam ci, że wielką tem sprawisz przyjemność panu Fouquet.

Słowom tym towarzyszył znak, który zdawał się mówić:

"Przystań ńna to i pożegnaj panów."

Zdaje się, iż Aramis wywierał większy wpływ na krawca, niż d'Artagnan, gdyż Percerin, kłaniając się, na znak, że przystaje na żądanie, rzekł ostro, zwracając się do Portosa:

— Przejdź pan do tamtych pokoi i każ sobie wziąć miarę!

Portos okrutnie się zaczerwienił.

D'Artagnan, przewidując burze, zbliżył się do Moliere i rzekł doń półgłosem:

— Mój kochany panie, człowiek, którego tu widzisz, uważa się za poniżonego, kiedy mierzą ciało i kości, których mu Bóg udzielił, to dla ciebie typ, mości Arystofanie, korzystaj!

Moliere nie potrzebował być zachęcanym. Wzrokiem pożerał Portosa.

— Panie! — rzekł — jeżeli raczysz pójść ze mną, każę panu wziąć miarę tak, że go miara nie dotknie.

— O! — rzekł Portos — co mówisz, przyjacielu?

— Mówię, że miara nie dotknie pańskiego ciała. Jestto nowy sposób, któryśmy wymyślili, aby brać miarę ludziom, wysoko urodzonym, których godność brzydzi się dotknięcia motłochu. Mamy bowiem ludzi bardzo drażliwych, którzy nie mogą znieść aby byli mierzeni i rzeczywiście, czynność ta, mojem zdaniem, uwłacza osobistej godności człowieka. A jeżeli pan jesteś z tych ludzi...

— A naturalnie, że jestem!

— To właśnie dobrze się zdarza, i pan baron będziesz pierwszy, który spróbujesz tego sposobu!

— Ale jakże, u djabła, to się odbywa?... — spytał uradowany Portos.

— Jeżeli wola pańska pójść ze mną — rzekł Moliere, kłaniając się — to pan zobaczysz!

Aramis patrzył na to z zajęciem.

Zdawało mu się z wielkiego ożywienia d'Artagnana, iż tenże pójdzie z Portosem, aby przypatrzyć się końcowi sceny, tak dobrze się zapowiadającej. Ale, jakkolwiek był przewidujący, omylił się tym razem.

Portos i Moliere wyszli, ale d'Artagnan pozostał.

Dlaczego? Przez ciekawość, albo może w zamiarze korzystania dłużej z obecności swego przyjaciela, Aramisa.

Zbliżył się też do biskupa Vannes, któremu to wcale było nie na rękę.

— Zapewne i ty chcesz mieć nowe ubranie?

Aramis uśmiechnął się.

— Nie!... — odpowiedział.

— A jednakże będziesz w Vaux?

— Będę, ale nie w nowem ubraniu! Zapominasz, kochany d'Artagnan, że ubogi biskup Vannes, nie może na każdą zabawę w nowej występować szacie!

— Ba!... — odrzekł d'Artagnan, — a wiersze? Czy ich już nie piszesz?

— O!.. — rzekł Aramis — oddawna już, mój drogi, nie myślę o tych dziecińshwach!

— Słusznie!... — podchwycił d'Artagnan, bynajmniej nie przekonany.

Percerin zagłębił myśl na nowo w sztuce materji.

— Nie uważasz tego — odezwał się z uśmiechem Aramis — że przeszkadzamy temu poczciwemu człowiekowi.

— A!... a!... — rzekł do siebie d'Artagnan — to znaczy, że ja ci przeszkadzam — i dodał głośno:

— Zapewne masz coś poufnego do powiedzenia Percerinowi? Czemużeś mię o tem nie uprzedził?

— Poufnego! a tak, zapewne, ale wierz mi, że nigdy nie ma nic takiego, o czemby taki, jak ty, przyjaciel nie mógł wiedzieć.

— O! nie, nie, wychodzę — rzekł d'Artagnan, ale nadał swemu głosowi ton ciekawości, gdyż zakłopotanie Aramisa, jakkolwiek dobrze ukryte, nie uszło jego uwadze.

Wiedział bowiem, że w tej nieprzenikliwej duszy najdrobniejsze napozór rzeczy miały zawsze pewien cel, a znając charakter Aramisa, muszkieter domyślił się, że cel ten jest tym razem ważny.

Aramis, widząc, że d'Artagnan powziął podejrzenie, nalegał nań, mówiąc:

— Zostań! jeżeli łaskaw, a usłyszysz zaraz, o co idzie! — i rzekł, zwracając się do krawca:

— Mój kochany Percerin!... Jestem nawet bardzo szczęśliwy, że tu jesteś, d'Artagnanie.

— Doprawdy?... — rzekł po raz trzeci d'Artagnan, jeszcze mniej, tym razem niż przedtem, oszukany.

Percerin nie ruszał się, Aramis gwałtownie obudził go z zamyślenia, wydzierając mu z rąk materję, przedmiot jego najgłębszej uwagi.

— Mój kochany Percerin!... — rzekł — mam tu z sobą pana Lebrun, jednego z malarzy pana Fouquet.

— Dobrze!..' — pomyślał d'Artagnan. — Ale dlaczegoż tu jest Lebrun?

Aramis spojrzał na d'Artagnana, który jakby był zajęty przypatrywaniem się sztychom, wyobrażającym Marka Antonjusza.

— I chcesz mu pan kazać ubiór zrobić jak innym epikurejczykom?... — rzekł Percerin.

— Ubiór epikurejczyka?... — zapytał ciekawie d'Artagnan.

— A tak!... — rzekł Aramis z najwdzięczniejszym uśmiechem — napisano jest widocznie, że kochany d'Artagnan dowie się dziś o wszystkich naszych tajemnicach. Tak, mój przyjacielu, zapewne słyszałeś o epikurejczykach pana Fouquet, nieprawdaż?

— Bezwątpienia, to zapewne zgromadzenie poetów, do którego należą La Fontaine, Loret, Pellisson i inni, co odbywają swe posiedzenia w Saint-Mande?

— To, to. Ubieramy więc jednostajnie naszych poetów i przeznaczamy ich na usługi króla!

— Doskonale! zgaduję już; zgaduję niespodziankę, jaką pan Fouquet chce sprawić królowi. O! bądź spokojny, jeżeli to jest tajemnicą pana Lebrun, ani słowa o tem nie powiem nikomu.

— Zawsześ grzeczny, mój przyjacielu! Ale pan Lebrun nic do tego nie ma; tajemnica, która go zajmuje, ważniejszą jest, niż tamta.

— O! jeżeli jest tak ważną, wolę o niej nie wiedzieć — rzekł d'Artagnan, udając, że chce wyjść.

— Wejdź tu, panie Lebrun — odezwał się Aramis, otwierając prawą ręką drzwi, a lewą zatrzymując d'Artagnana.

— Na honor, nic nie rozumiem — rzekł Percerin.

Aramis rzekł po chwili:

— Mój kochany Percerin, robisz pięć ubiorów dla króla, nieprawdaż? jeden ze złotogłowiu, jeden sukienny do polowania, jeden aksamitny i jeden z materji florenckiej.

— Tak! ale skądże wiesz o tem, ekscelencjo?... — spytał Percerin zdumiony.

— Bardzo łatwo domyślić się tego, mój panie, gdyż będzie polowanie, bal, koncert, przechadzka i przedstawienie, a zatem te pięć gatunków ubioru są konieczne.

— To więc o wszystkiem wiesz, ekscelencjo?

— I o wielu innych jeszcze rzeczach — mruknął d'Artagnan.

— Ale!... — wykrzyknął krawiec zwycięsko — ale! nie wiesz chyba, panie, chociaż jesteś księciem kościoła, bo tego nikt nie będzie wiedział i tylko król, panna La Valliere i ja wiemy, jaki mianowicie będzie kolor tych materji, jakie ozdoby, krój, słowem, jaka będzie całość tych ubiorów?

— Dlatego też przybyłem tu — rzekł Aramis — ażeby się o tem dowiedzieć od ciebie, kochany panie Percerin.

— O!... — wyrzekł krawiec, przestraszony, chociaż Aramis wymówił te słowa najsłodszym, jakim mógł głosem.

Żądanie to wydawało się Percerinowi tak nadzwyczajnem i śmiesznem, że aż zaczął się śmiać zcicha, potem głośniej, a w końcu na całe gardło; d'Artagnan naśladował go, nie dlatego, ażeby pobudził bardziej Aramisa.

Ten dozwolił im naśmiać się dowoli, poczem rzekł:

— Na pierwszy rzut oka może się wam zdawać, żem powiedział niedorzeczność. Ale d'Artagnan, który jest wcieloną mądrością, sam powie, że inaczej być nie może, że muszę się o tem dowiedzieć.

— Zobaczymy — rzekł muszkieter, przeczuwając, że dotąd były to tylko przedwstępne utarczki, a teraz zbliża się chwila głównej walki.

— Zobaczymy — rzekł Percerin z niedowierzaniem.

— Dlaczegóż — odezwał się Aramis — pan Fouquet daje tę zabawę dla króla? Dlatego, aby mu sprawić przyjemność?

— Niezawodnie — rzekł Percerin.

D'Artagnan potwierdził to również skinieniem głowy.

— Cały szereg będzie niespodzianek, podobnych do tej, o której mówiliśmy niedawno, to jest o utworzeniu całego pułku naszych epikurejczyków.

— Cudownie.

— Otóż jest i niespodzianka. Mój przyjaciel, obecny tu pan Lebrun jest malarzem doskonałym.

— Tak — rzekł Percerin — widziałem obrazy roboty pańskiej i uważałem, że ubiory ze szczególnem staraniem były w nich opracowane. Dlatego podjąłbym się zrobić dlań natychmiast ubiory albo takie, jakie mają inni panowie epikurejczykowie, albo innego kroju.

— Kochany Percerin trzymamy cię za słowo i później cokolwiek będziemy z niego korzystali, ale w tej chwili pan Lebrun potrzebuje nie tych ubiorów, które mu przyrzekasz zrobić, ale tych które robisz dla króla.

Percerin odskoczył, a d'Artagnan, jako człowiek, spokojnie rozważający wszystko, nie uznał poruszenia tego za niewłaściwe, ponieważ żądanie, które wyrzekł Aramis, tak było dziwne i nadzwyczajne.

— Ubiory królewskie! ja dać mam komukolwiek w świecie ubiory królewskie, o!... teraz mości księże biskupie, Wasza Wielebność pewno oszalałeś!... — wykrzyknął biedny krawiec, do ostateczności doprowadzony.

— Pomóż mi, kochany d'Artagnanie — wyrzekł Aramis, coraz spokojniejszy i coraz milej uśmiechając się — dopomóż mi przekonać pana, gdyż ty już rozumiesz, o co idzie, nieprawdaż?

— E!.... e!.. przyznam się, że nie bardzo.

— Jakto, mój przyjacielu, nie domyślasz się, że Fouquet chce sprawić królowi niespodziankę, aby tenże, przybywszy do Vaux, zastał tam swój portret, a naturalnie portret musi być zupełnie podobny, musi przedstawić monarchę w takiem ubraniu, jakie król będzie miał na sobie, gdy go będzie oglądał.

— A tak!... tak!... — zawołał muszkieter, prawie przekonany, gdyż przyczyna ta wydawała się prawdopodobną — tak, mój kochany, masz słuszność, to bardzo szczęśliwy pomysł. Założę się, że to twój.

— Nie wiem — odrzekł niedbale Aramis — czy mój, czy pana Fouquet.

Potem badając twarz Percerina i spostrzegłszy wahanie, wyrzekł;

— I cóż, panie Percerin, cóż na to mówisz?

— Mówię, że...

— Że możesz odmówić, wiem o tem dobrze, i bynajmniej nie mam zamiaru zmuszać cię do tego, co więcej, powiem nawet, że pojmuję całą delikatność uczuć twoich. Jest to dowód szlachetności twego serca, panie Percerin!

Krawiec coś mruczał.

— Przyznam się, że byłoby to wcale miłem dla młodego monarchy pochlebstwem — rzekł Aramis — lecz pan nadintendent dodał, jeżeli ci Percerin odmówi, powiedz mu, że bynajmniej nie będę miał za to do niego urazy i zawsze go będę poważał. Tylko...

— Tylko?... — powtórzył Percerin niespokojnie.

— Tylko będę zmuszony — mówił dalej Aramis — powiedzieć królowi (uważaj, panie Percerin, że to nie ja, ale pan Fouquet mówi): "Najjaśniejszy Panie!... miałem zamiar ofiarować Waszej Królewskiej Mości jego portret, lecz w uczuciu delikatności może trochę przesadzonej, pan Percerin sprzeciwił się temu."

— Sprzeciwił się — zawołał krawiec, przestraszony odpowiedzialnością, jakaby na nim mogła ciążyć. — Ja miałbym się opierać chęciom lub żądaniu pana Fouquet, kiedy idzie o sprawienie przyjemności królowi? O!... okropne słowo wymówiłeś, mości księże biskupie. Bogu dzięki, że nie ja je wymówiłem. Biorę na świadka pana kapitana muszkieterów. Wszak prawda, panie d'Artagnan, że się ja niczemu nie sprzeciwiam.

D'Artagnan uczynił poruszenie, jakby chciał okazać, że nie bierze w tej rzeczy żadnego udziału.

Czuł, że to zaczątek jakiejś komedji czy tragedji.

Przeklinał siebie w duszy, że nie może tego odgadnąć, ale tymczasem chciał pozostać biernym.

Percerin zaś, opanowany myślą, że mogą powiedzieć królowi, iż on sprzeciwił się jego przyjemnościom, przysunął krzesło dla pana Lebrun i wyjmował z szafy cztery świetne ubiory (gdyż piąty był jeszcze nieskończony) i przyodziewał w nie figury drewniane, które, przywiezione do Francji za czasów Conciniego, darowane były Percerinowi II-mu przez marszałka d'Ancre, po upadku krawców, z Włoch sprowadzonych.

Malarz zaczął rysować krój, a potem koloryzować suknie.

Lecz Aramis, nie spuszczając z oka pracy malarza, nagle go powstrzymał.

— Zdaje mi się — rzekł — kochany panie Lebrun, że to nie będzie dobrze, kolory te są niewłaściwe, a na płótnie zniknie prawdziwe podobieństwo, które nam nieodzownie jest potrzebne. Trzeba więcej czasu, aby zgłębić z uwagą prawdziwy ich odcień.

— To prawda, ale cóż robić, kiedy właśnie za krótki mamy czas, mości księże biskupie — rzekł Percerin.

— Ha, to projekt nie przyjdzie do skutku — wyrzekł zwolna Aramis — i to z powodu nietrafności kolorów.

Pomimo to Lebrun rysował krój i ozdoby z największą dokładnością, na co Aramis patrzał z niecierpliwością, źle ukrytą.

— Co to za djabelska intryga?... — rzekł do siebie muszkieter.

— Nie, to się na nic nie przyda!.. — rzekł Aramis — panie Lebrun, zwiń płótno i schowaj farby.

— Ależ bo i światło jest tu niegodziwe — zauważył rozgniewany malarz.

— Ha!... wiesz co, panie Lebrun!.. gdyby tak mieć próbki tych materji i to w stosownym czasie i przy lepszem świetle...

— O!... wówczas — rzekł Lebrun — ręczę za wszystko.

— Dobrze — pomyślał d'Artagnan — to zapewne musi być głównem żądaniem w jego projekcie, aby mieć próbki materji. Do djabła!... czyżby Percerin dać mu je zechciał?

Percerin, już zwyciężony i zwiedziony zmyśloną dobrodusznością Aramisa, odciął pięć próbek materji i dał je biskupowi Vannes.

— Wolę tak zrobić — rzekł Aramis — zapewne i ty tak myślisz, d'Artagnanie?

— Ja myślę — rzekł d'Artagnan — mój kochany Aramisie, że ty zawsze jesteś ten sam.

— To jest zawsze twój szczery przyjaciel — odrzekł biskup słodkim głosem.

— Tak, tak, — wyrzekł d'Artagnan, lecz dodał cicho:

— Jeżeli jestem przez ciebie oszukany, ty, podwójny jezuito, przynajmniej nie chcę być twoim wspólnikiem, czas, ażebym stąd wyszedł...

— Do widzenia, Aramisie — rzekł głośno — idę do Portosa.

— Zaczekaj więc na mnie — odezwał się Aramis, chowając próbki do kieszeni — już i ja tu nie mam więcej nic do roboty, a będzie mi przyjemnie pomówić parę słów z naszym przyjacielem.

Lebrun zebrał płótno i farby.

Percerin schował ubiory do szafy.

Aramis trzymał rękę w kieszeni, ażeby się upewnić, że próbki dobrze są schowane, i wszyscy wyszli z gabinetu.

CCXIV

JAK MOLIERE WPADŁ ZAPEWNE NA PIERWSZY POMYSŁ DO SWOJEJ KOMEDJI "MIESZCZANIN SZLACHCICEM."

D'Artagnan zastał Portosa w sąsiednim pokoju, i to nie jak przedtem zgniewanego, wzburzonego, lecz spokojnego, uprzejmego, wesołego, rozmawiającego z Molierem, który patrzył na niego wzrokiem zachwytu, jak człowiek, który nie tylko nic lepszego, ale nawet nic podobnego nie widział.

Aramis, zbliżywszy się do Portosa, podał mu delikatną i białą rękę, która znikła w olbrzymiej dłoni dawnego przyjaciela, a lubo Aramis czynił to zawsze z przestrachem, lecz tym razem uściśnienie przyjacielskie niewele mu bólu sprawiło.

Poczem biskup, zwracając się do Moliera, rzekł:

— No i cóż, jedziesz pan ze mną do Saint-Mande?

— Wszędzie, dokąd tylko Wasza Wielebność rozkaże — odpowiedział Moliere.

— Do Saint-Mande! — krzyknął zdziwiony Portos, na widok dumnego biskupa, rozmawiającego tak poufale z krawczykiem. — Co? wieziesz z sobą pana do Saint-Mande?

— Tak — odparł z uśmiechem — mamy pilną robotę. A zresztą, mój kochany Portosie, pan Moliere nie jest wcale tem, czem się wydaje.

— Jakto? — zapytał Portos.

— Ten pan jest jednym z pierwszych pomocników pana Percerina i oczekiwany jest w Saint-Mande, dla przymierzenia nowych ubrań epikurejczykom, które pan Fouquet obstalował.

— A tak — wtrącił Moliere.

— No, to jedźmy, panie Moliere — wyrzekł Aramis — jeżeliś już skończył z panem du Vallon.

— Już eśmy skończyli — odpowiedział Portos.

— I zadowolonyś? — zapytał d'Artagnan.

— Najzupełniej — odrzekł Portos.

Moliere pożegnał Portosa mnóstwem ukłonów, a d'Artagnanowi uścisnął rękę, którą mu nieznacznie podał muszkieter.

— Panie — rzekł Portos uprzejmie — a nadewszystko bądź pan punktualnym.

— Będziesz pan miał ubranie jutro, panie baronie — odrzekł Moliere.

I wyszedł z Aramisem.

D'Artagnan, wziąwszy pod rękę Portosa, zapytał:

— Co ci ten krawiec zrobił, że tyś dla niego tak uprzejmy.

— Co on mi zrobił, przyjacielu?... co zrobił?... — powtórzył Portos z zapałem.

— Tak, pytam, co ci zrobił?

— A to zrobił, czego żaden krawiec dotąd nie uczynił, wziął mi miarę, nie dotykając mnie ani trochę.

— A opowiedz że mi, jak to było.

— Najprzód, mój drogi, przynieśli kilka figur drewnianych, w nadziei, że znajdą coś podobnego do mnie, lecz największa z nich, która wyobrażała kapelmistrza z gwardji Szwajcarów, była niższą o dwa cale, a szczuplejszą o stopę.

— Doprawdy?

— Tak jest, jak ci miałem zaszczyt powiedzieć, mój kochany d'Artagnanie, ależ to wielki człowiek, czy też, co na jedno wychodzi, wielki krawiec z tego pana Moliere. Ani trochę się tem nie zmieszał.

— I cóż zrobił?

— Rzecz bardzo prostą. Nie do uwierzenia, jak ci krawcy mogli być tak nierozsądni, że dotąd nie wpadli na taki pomysł. Ileżby mi to oszczędzono zmartwienia i poniżenia.

— Nie licząc i ubrań, mój kochany Portosie.

— Tak, trzydziestu ubrań.

— Ale powiedzże mi, jakiż to wynalazł sposób Moliere?

— Moliere?... Tak go nazywasz?... Muszę zapamiętać to nazwisko.

— Tak!.. albo jeżeli wolisz nazywaj go Poquelin.

— Nie, wolę Moliere, będę pamiętał.

— Dobrze. Ależ jaki to jego sposób?

— Posłuchaj. Zamiast rozczłonkowywać mię, jak to inne bałwany robią, zamiast zginać i prostować mnie, co jest niedorzeczne i poniżające...

D'Artagnan kiwnął potakująco głową.

— "Panie" — rzekł — dobrze wychowany człowiek powinien sam siebie zmierzyć, zrób mi pan przyjemność i zbliż się do tego lustra.

— Zbliżyłem się do lustra; ale, przyznaję, żem nie zrozumiał jeszcze, czego ten poczciwiec Moliere chciał odemnie. A że byłem ciągle w obawie, ażebym nie był mierzony "uprzedzam pana', — rzekłem — "że bardzo jestem drażliwym, zastanów się więc nad tem, co masz czynić".

Ale on miłym głosem (bo trzeba przyznać, że jest bardzo grzeczny) odrzekł:

— Panie, ażeby ubranie zrobić bez miary, trzeba mieć twój portret, a w tem lustrze mamy go. Weźmiemy więc miarę z portretu.

— I widziałeś się cały w zwierciadle, nieprawdaż; dziwi mię tylko, skąd oni wzięli zwierciadło któreby cię odbiło w naturalnej wielkości?

— Jest ono to samo, w którem król się przegląda.

— Ale król, półtory stopy niższy jest od ciebie.

— Nie wiem, jak się to stało, ha!... może dla przypodobania się królowi, ale zwierciadło było daleko większe odemnie. Wprawdzie wysokość jego składała się z trzech tafli pionowo postawionych, a szerokość z tyluż horyzontalnie położonych.

— Gdzieżeś się, u djabła, wyuczył tych terminów matematycznych?

— W Belle-Isle. Aramis powtarzał je budowniczemu.

— Aha, dobrze, ale wróćmy do zwierciadła.

— Wówczas pan Moliere zaczął rysować na zwierciadle białą farbą mój portret, powtarzając zdanie, które uważam za bardzo słuszne: "Trzeba, ażeby ubiór nie przeszkadzał ruchom osoby."

— W istocie jest to uwaga bardzo sprawiedliwa — rzekł d'Artagnan — lecz, na nieszczęście, nie zawsze ją stosujemy.

— Dlatego też bardzo mię to uderzyło, zwłaszcza gdy myśl swą rozwinął obszerniej.

— A to on myśl swą rozwinął?

— Naturalnie.

— Jakże on ją rozwinął?

— Zdarza się — rzekł — że w drażliwych lub trudnych okolicznościach, gdy się ma ubranie na sobie, nie chciałoby się go zdejmować.

— "Otóż" — mówił dalej Moliere — "potrzebujesz pan, naprzykład, dobyć szpady, a masz ubranie na sobie, co zrobisz?"

— Zrzucam je — odpowiedziałem.

— "Właśnie że nie" — odrzekł.

— Jakto!... nie?...

— Ja mówię, że ubranie powinno być tak zrobione, ażeby nawet nie przeszkadzało przy wydobywaniu szpady."

— A!... a!...

— No stań pan w postawie, jak do walki.

Uczyniłem to z taką precyzją, że aż dwie szyby z okna wyleciały.

— Nic to nie szkodzi — zostań pan w tej postawie.

Uniosłem tedy lewą rękę w powietrze, zgrabnie ją zaokrąglając, kiedy prawa, wpół wyciągnięta, zasłaniała mi bok, a pięść zakrywała piersi!...

— Tak, to piękna postawa — wyrzekł d'Artagnan — to akademicka postawa.

— Bardzo słusznie ją nazwałeś. On wówczas odszkicował moją rękę na zwierciadle, bo też w tej postawie byłem bardzo pięknym.

— Czy nie jesteś pan zmęczony?... — zapytał.

— Cokolwiek!.. — odrzekłem, przestępując z nogi na nogę — ale mogę jeszcze z godzinę tak wytrzymać.

— O, nie, nie, ja tego nie zniosę; mamy tu chłopców bardzo ugrzecznionych, którzy poczytają sobie za zaszczyt podtrzymywać panu ręce, jak niegdyś podtrzymywano ręce prorokom, wzywającym Boga.

— Bardzo dobrze — odpowiedziałem.

— Czy to jednak nie będzie dla pana poniżającem?

— Zdaje mi się — odrzekłem, że wcale co innego jest być podtrzymywanym, a co innego mierzonym.

— Tak, różnica głęboko jest pomyślana — odrzekł d'Artagnan.

— Wówczas dał znak — mówił dalej Portos — i zbliżyło się dwóch chłopców, z których jeden lewą, a drugi prawą rękę podtrzymywali mi z wielką zręcznością.

— Jeszcze jeden — rzekł.

Trzeci chłopiec zbliżył się.

— Podtrzymuj pana wpół — rozkazał.

Chłopiec objął mię wpół.

— Tak, że służyłeś za model — rzekł d'Artagnan.

— A tymczasem Moliere rysował mię na lustrze.

— To bardzo dowcipnie.

— Bardzo lubię ten sposób, jest on bowiem pełen uszanowania, i każdego w przyzwoitych utrzymuje granicach.

— I jak się to skończyło?...

— Nikt mię ani dotknął.

— Prócz trzech chłopców, którzy cię podtrzymywali.

— To co innego, gdyż zdaje mi się, żem ci dowiódł różnicy, jaka zachodzi między podtrzymywaniem a mierzeniem.

— Prawda!... — odrzekł d'Artagnan, i dodał w myśli:

— Albo się mylę, albo na honor, wart jestem, aby mi ten nicpoń Moliere dobre dał porękawiczne, gdyż niezawodnie zobaczymy tą scenę w którejkolwiek z jego komedji.

Portos uśmiechał się.

— Z czego się śmiejesz?.. — zapytał d'Artagnan.

— Jeżeli chcesz koniecznie wiedzieć, to ci się przyznam: we wszystkiem jestem szczęśliwy.

— Co to, to prawda!... a, tak!... nie znam nad ciebie szczęśliwszego człowieka. Ale jakież to nowe szczęście spotkało ciebie?..

— Powinszuj mi go, przyjacielu!..

— Bardzo chętnie!...

— Zdaje mi się, że jestem pierwszym, któremu w ten sposób brano miarę!...

— To mnie bynajmniej nie dziwi u pana Moliera, gdyż to sprytny i dowcipny człowiek.

— Jestem pewny, że będzie nadal używał tego sposobu.

— Naturalnie, że będzie go zawsze używał, gdyż wiedz o tem, mój przyjacielu, Moliere lepiej niż wszyscy krawcy ubiera na-

szych baronów, hrabiów i margrabiów i to każdego podług jego miary.

Po tych słowach, których nie będziemy rozbierali znaczenia właściwego ani trafności, d'Artagnan i Portos opuścili mieszkanie Percerina.

Zostawmy ich więc, a jeżeli się podoba czytelnikowi, wróćmy do Saint-Mande, do Moliera i Aramisa.

CCXV

UL, PSZCZOŁY I MIÓD.

Pierwsze piętro lewego skrzydła pałacu zajęte było przez najsławniejszych epikurejczyków Paryża, a zwyczajnych gości gospodarza, z których każdy krzątał się stosownie do swoich zdolności, jak pszczoły w ulu, dla zrobienia miodu, przeznaczonego do królewskiego placka, którym Fouquet chciał uczęstować Jego rólewską Mość, Ludwika XIV-go w czasie zabawy w Vaux.

Biskup de Vannes, któremu wcale nie było na rękę spotkanie się z d'Artagnanem u Percerina, wrócił do Saint-Mande nie w najlepszym humorze.

Przeciwnie, Moliere, uszczęśliwiony, że naszkicował sobie typ tak doskonały, i szczęśliwy jeszcze, że wiedział, gdzie, w razie potrzeby, znaleźć oryginał, wrócił w najlepszym humorze.

Pellisson, oparłszy głowę na ręku, układał prolog do komedji "Natręty", którą samą napisał Poquelin de Moliere, jak d'Artagnan nazywał, a Coquelin de Voliere — jak mówił Portos.

Loret z całą prostoduszną szczerością gazeciarza — zawsze bowiem gazeciarze byli prostoduszni i szczerzy — Loret przygotowywał opis zabawy w Vaux, wprzód jeszcze nim się ta zabawa odbyła.

La Fontaine, roztargniony, przeszkadzający, nieznośny, błąkał się jak mara, od jednego do drugiego, powtarając nad głową każdego tysiące niedorzeczności poetycznych.

Tak się już uprzykrzył Pellissonowi, że ten, podniósłszy głowę, z gniewem prawie rzekł do niego:

— Mój kochany, ponieważ utrzymujesz, że się ciągle przechadasz po ogrodach Parnasu, dobierz mi przynajmniej końcówkę.

— Jakiej chcesz końcówki?... — zapytał bajarz, jak go nazywała pani de Sevigne.

— Chcę końcówki do wyrazu lumiore (światło).

— Orniere, (kołej od wozu) — odpowiedział La Fontaine.

— Ależ, mój kochany, zastanów się — rzekł Loret — czyż można mówić o takich rzeczach, kiedy się wychwala rozkosze Vaux. A zresztą, niema tu końcówki.

— Jakto niema końcówki!... — krzyknął zdziwiony La Fontaine.

— Tak! masz bowiem nieznośny zwyczaj, który ci zawsze będzie przeszkodą do zostania poetą pierwszego rzędu. Rymujesz bez energji, niedbale.

— O! czy to mówisz naprawdę, Pellissonie?

— A! naprawdę, mój kochany. Pamiętaj, że końcówka nigdy nie jest dobrą, kiedy można znaleźć lepszą.

— Skoro tak, to ja odtąd tylko prozą będę pisał — oświadczył La Fontaine, który żart Pellissona wziął za prawdę. — O! nieraz nie wierzyłem temu, że jestem niedołężnym poetą, a to, niestety, jest szczerą prawdą.

— Nie mów tak, mój kochany, za bardzo siebie potępiasz, gdyż wiele jest dobrego w twoich bajkach.

— Na początek — mówił La Fontaine, zajęty myślą pisania odtąd prozą — spalę swoje wiersze, które tylko co teraz ułożyłem.

— A gdzież te wiersze?

— U mnie w głowie.

— Jeżeli są w twojej głowie, nie możesz ich spalić.

— To prawda — rzekł La Fontaine. — A jednak, jednak jeżeli ich nie spalę...

— Cóż będzie, jeżeli ich nie spalisz?

— To zostaną u mnie w głowie i nigdy ich nie zapomnę!

— Do djabła — zauważył Loret — to niebezpiecznie, możesz dostać pomieszania zmysłów.

— Cóż więc, u licha, zrobić?... — zapytał La Fontaine.

— Wynalazłem na to sposób — odezwał się Moliere, wchodząc właśnie.

— Jaki?

— Napisz je, a potem spal.

— To prawda, a ja nigdbym tego nie wynalazł. Co też to za dowcip u tego Moliera — rzekł La Fontaine...

Potem, uderzając się w czoło, dodał:

— A! Panie La Fontaine, nigdy niczem więcej nie będziesz niż osłem!

— Cóż ty znowu wygadujesz — podchwycił Moliere, zbliżając się do La Fontaina.

— Ja mówię — rzekł La Fontaine z westchnieniem — że całe życie będę osłem. Tak, mój przyjacielu — dodał ze zwiększającym się smutkiem — rymy moje są słabe, rozlazłe.

— To błąd!

— Widzisz dobrze, że jestem nędznym bazgraczem!

— Któż to powiedział?

— A któż jak nie Pellisson! nieprawdaż, że to ty, Pellisson?

Pellisson zamyślony nic nie odpowiedział.

— Jeżeli Pellisson powiedział — zawołał Moliere — to ciężko cię obraził!

— Tak myślisz?...

— Naturalnie, a ponieważ jesteś szlachcicem, radzę ci, mój przyjacielu, ażebyś nie puścił bezkarnie tak wielkiej obrazy.

— A!... — rzekł La Fontaine.

— Czy biłeś się kiedy?

— Raz tylko, mój przyjacielu, z pewnym porucznikiem.

— Cóż on ci zrobił?

— Zdaje się, że zbałamucił mi żonę!

— A!... — wyrzekł Moliere, trochę blednąc.

Lecz, że na to wyznanie La Fontaina, wszyscy z ciekawością zwrócili się ku niemu, Moliere utrzymał szyderczy na ustach uśmiech, który już ledwie nie zniknął i, chcąc usłyszeć dalsze objaśnienie La Fontaina, wyrzekł:

— I jakiż był skutek tego pojedynku?

— Taki, że mnie przeciwnik mój rozbroił, a potem przeprosił, przyrzekając, że odtąd nigdy noga jego nie postanie w mym domu.

— A ty poprzestałeś na tem?... — zapytał Moliere.

— Bynajmniej, owszem, podnosząc szpadę, rzekłem: Przepraszam pana, nie biłem się z nim dlatego, że jesteś kochankiem

mojej żony, lecz dlatego, że mi dowiedziono, iż potrzeba, abym się bił z tobą. A że nigdy nie byłem szczęśliwszym, niż przedtem, spraw mi pan tę przyjemność i bywaj jak dawniej w moim domu, jeżeli zaś odmawiasz, zaczynajmy na nowo walkę. Tym sposobem zmuszony był pozostać nadal kochankiem mojej żony, a ja jestem najszczęśliwszym mężem na świecie.

Wszyscy głośno się rozśmieli, Moliere tylko powiódł ręką po twarzy.

Dlaczego? może dla otarcia łzy, lub przytłumienia westchnienia.

Niestety, wiemy, że Moliere był moralistą, lecz nie był filozofem.

— To wszystko jedno — rzekł, wracając do swego — Pellisson cię obraził.

— Prawda, jużem był o tem zapomniał.

— Ja wyzwę go w twojem imieniu!

— Jeżeli uważasz to za konieczne, i owszem.

— Tak, to konieczne, idę więc!

— Czekaj — rzekł La Fontaine!.. — Powiedz mi swoje zdanie?

— O czem, o tej sprzeczce?

— E! nie, powiedz mi, czy istotnie Lumiere nie rymuje się dobrze z Orniere.

— Jabym takiego rymu użył.

— Widzisz? a więc ja dobrze powiedziałem?

— I ja zrobiłem sto tysięcy wierszy podobnych!

— Sto tysięcy!... — zawołał La Fontaine — to cztery razy więcej, niż w poemacie pana Chapelain. I to o tym samym, co i on przedmiocie, zrobiłeś te sto tysięcy wierszy, kochany przyjacielu?

— Ale posłuchaj mnie przecie, ty! wieczny roztrzepańcze — rzekł Moliere.

— Tak, tak, rym ten był bardzo dobry!

— Szczególnie w liczbie mnogiej!

— A tak, to prawda, użyj więc tego rymu, Pellissonie w liczbie mnogiej, a będzie zgrabniejszy — wyrzekł La Fontaine, uderzając go po ramieniu i zapominając, że ma do niego urazę.

— Co? co?... — odezwał się tenże.

— Moliere także to mówi, a on zna się na tem, bo przyznał mi się, że zrobił sto tysięcy podobnych wierszy...

— Masz go — rzekł Moliere — znowu zaczyna swoje!

— Dam sobie łeb uciąć, ale to rym doskonały!

— Ale — rzekł Moliere.

— Ja ci to mówię dlatego — ciągnął dalej La Fontaine — że piszesz podobno komedję na tą zabawę, nieprawdaż?

— Tak "Natręty."

— A tak, tak, "Natręty" przypominam sobie. A wiesz co? ja myślę, że, gdyby dodać prolog, sztuka twoja byłaby lepszą?

— Niezawodnie, że byłoby to dobrze.

— A! więc jesteś mego zdania?

— Nawet do tego stopnia, żem cię prosił, ażebyś mi zrobił ten prolog!

— Prosiłeś mię, abym ci zrobił? ja?

— Tak, ty! a kiedyś mi odmówił, prosiłem, abyś zażądał tej dla mnie przysługi od Pellissona, który właśnie teraz nad nim pracuje!

— Aha, to nad tem pracuje, Pellisson? Na honor, kochany Molierze, przekonywam się, że czasami masz słuszność!

— Kiedyż to?

— Kiedy mówisz, że jestem roztargniony. To brzydka wada, ale ja się z niej poprawię, a tymczasem zrobię ci żądany prolog.

— A przecież już go Pellisson robi.

— Prawda, jakiż ze mnie bałwan! Loret miał słuszność, że nazwał mię nędznym bazgraczem.

— Przecież to nie Loret tak cię nazwał, przyjacielu.

— Ktokolwiek mię tak nazwał, miał słuszność. Ale co mię najwięcej martwi, mój kochany Molierze, iż nie będziemy mieli ubrań epikurejczyków.

— A ty myślałeś, że będziesz je miał na tę zabawę?

— I na zabawę i na potem, gdyż moja służąca powiedziała mi, że to ubranie, które noszę, jest bardzo dojrzałe.

— Prawda, twoja służąca ma słuszność, gdyż jest więcej trochę, niż dojrzałe.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

W tejże chwili wszedł biskup Vannes, trzymając pod pachą zawinięte plany i różne papiery.

Jak gdyby anioł śmierci oziębił wesołe i żywe pomysły, tak ukazanie się bladej twarzy Aramisa, spowodowało zupełną ciszę i każdy z poetów wrócił do pióra.

Aramis, rozdawszy obecnym bilety zapraszające, podziękował im w imieniu pana Fouqueta.

— Nadintendent — rzekł — nie mogąc widzieć się z panami, gdyż jest bardzo zajęty, prosi, abyście przysłali mu cokolwiek z dzisiejszych swych prac, tak, ażeby je czytając, zapomniał o pracy, jaką przez całą noc prawie był zatrudniony.

Na te słowa wszystkie głowy pochyliły się na stół, La Fontaine również usiadł przy stoliku i szastał żywo piórem po papierze.

Pellisson przepisał na czysto epilog.

Moliere napisał kilkadziesiąt wierszy, które mu natchnęły odwiedziny u Percerina.

Loret ukończył gazeciarski artykuł, opisujący cudowne zabawy, chociaż te się jeszcze nie odbyły.

I Aramis, obciążony jak królowa pszczół zdobyczą, ozdobiony złotem i purpurą, wszedł do swego pokoju zamyślony, lecz zanim drzwi otworzył, rzekł:

— Pamiętajcie, panowie, że wszyscy jutro wieczór wyjeżdżamy!

— W takim razie muszę dać znać u siebie w domu — rzekł Moliere.

— A tak — rzekł Loret — biedny Moliere kocha się.

— Kocha się, tak — odrzekł Moliere właściwym sobie słodko smutnym uśmiechem — kocha się, ale to nie dowodzi, że go kochają.

— Co do mnie — wyrzekł La Fontaine — wiem, że mnie kochają w Chateau Thierry.

W tejże chwili wrócił Aramis.

— Może kto ze mną pojedzie — rzekł jadę bowiem przez Paryż. Ale muszę jeszcze z kwadrans pomówić z panem Fouquet.

— Chętnie pojadę z panem — rzekł Moliere — gdyż mam pilny interes.

— Ja pozostanę tu na obiedzie — odezwał się Loret — Gourville obiecał mię potraktować rakami.

— Dobierz do tego wiersz, La Fontainie.

Aramis wyszedł, uśmiechając się po swojemu.

Inni śmieli się tak głośno, że śmiech doszedł uszu pana Fouquet, właśnie gdy Aramis otwierał drzwi do jego gabinetu.

Moliere poszedł, aby wydać rozkazy do zakładania koni. Aramis zaś udał się do Fouqueta, aby jak nadmienił, pomówić z nim słów kilka.

— O! jakże się oni tam śmieją — rzekł Fouquet z westchnieniem.

— A pan nie śmiejesz się wcale?

— Pewno, że nie, panie d'Herblay.

— Zabawa się zbliża.

— Pieniądze coraz się oddalają.

— Czyż panu nie mówiłem, że to do mnie należy?

— Tak, przyrzekłeś mi miljony!

— Będziesz je miał, po przybyciu króla do Vaux.

Fouquet spojrzał bystro na Aramisa, przeciągając zimną ręką po pałającem czole.

Aramis pojął, że Fouquet wątpi o jego możności posiadania pieniędzy.

Bo i jakże mógł mniemać, że je posiada ubogi biskup, byly muszkieter.

— Dlaczegóż wątpisz?... — spytał Aramis.

Fouquet rozśmiał się i potrząsnął głową.

— Człowieku małej wiary — rzekł biskup.

— Kochany panie d'Herblay — odrzekł Fouquet — jeżeli upadnę...

— Cóż więc, jeżeli upadniesz?

— Przynajmniej z tak wysoka będę się starał upaść, abym się rozbił na miazgę.

Poczem otrząsnąwszy się, jakby chciał tych smutnych unikać myśli, zapytał:

— Skądże przybywasz, kochany przyjacielu?

— Z Paryża.

— A! z Paryża?

— Tak, od Percerina.

— I cóżeś tam u niego robił? nie przypuszczam bowiem, abyś za rzecz tak ważną uważał stroje naszych poetów?

— Nie, ale jeździłem, aby sprawić niespodziankę.

— Niespodziankę?

— Tak, królowi.

— A jak drogo będzie to kosztowało?

— O! sto pistolów tylko, które zapłacisz Lebrunowi.

— Malowidło więc. O! tem lepiej! I cóż będzie przedstawiało to malowidło?

— Opowiem ci później za jedną drogą obejrzałem i ubiory naszych poetów!

— Będą zapewne gustowne, bogate.

— Przepyszne! mało bardzo będzie wielkich panów, którzy będą mogli podobnemi się poszczycić. Da się tu widzieć różnica między dworakami bogactwa, a przyjaźni.

— Zawsześ szlachetny i dowcipny, kochany prałacie.

— Za twoim przykładem.

Fouquet ścisnął rękę Aramisa.

— A dokąd teraz jedziesz?... — zapytał.

— Jeżeli mi dasz list polecający do pana de Lyonne, pojadę do Paryża, chcę bowiem, aby mi podpisał pewien tajny rozkaz.

— Tajny rozkaz?... chcesz więc kogoś wsadzić do Bastylji?..

— Przeciwnie, chcę kogoś stamtąd uwolnić.

— A!... i kogóż to?...

— Pewnego biedaka, młodzieńca prawie dzieciaka, który tam od dziesięciu podobno lat siedzi za jakieś wiersze łacińskie, które przeciw jezuitom napisał.

— I za te wiersze biedak od dziesięciu lat siedzi w więzieniu?... I żadnego innego nie popełnił występku?...

— Po za temi wierszami, jest on tak niewinny, jak ja i ty.

— Jakże się nazywa?...

— Seldon.

— A to okropne!... i wiedziałeś o tem i nic mi nie wspomniałeś.

— Dopiero wczoraj matka jego prosiła mię, abym się wstawił.

— A ta kobieta pewno jest biedną?...

— W największej nędzy!...

— O Boże!... — rzekł Fouquet — dozwalasz czasem tak wielkich niesprawiedliwości, że pojmuję, iż się znaleźli tacy, co zwątpili o Tobie. O!... masz, panie d'Herblay.

I Fouquet, chwyciwszy pióro, napisał kilka wierszy do pana de Lyonne.

Aramis, wziąwszy list, chciał wyjść.

— Zaczekaj — rzekł Fouquet.

Otworzył szufladę i wydobył 10,000 liwrów w biletach kasowych.

— Weź to!... uwolnij syna, a matce oddaj pieniądze, ale nadewszystko nie mów jej...

— Czego?...

— Że jest o 10,000 liwrów bogatszą odemnie. Powiedziałaby, że jestem bardzo biednym nadintendentem. Jedź... spodziewam się, że Bóg pobłogosławi tym, którzy nie zapominają o ubogich.

— I ja się tego spodziewam — rzekł Aramis, całując rękę Fouqueta.

I wyszedł z pośpiechem, zabierając z sobą i list do Lyonne, pieniądze dla matki Seldona i Moliera, który zaczynał się już niecierpliwić.

CCXVI

JESZCZE JEDNA WIECZERZA W BASTYLJI.

Na zegarze w Bastylji wybiła siódma.

Zegar ten, zastosowany powierzchownością do więzienia stanu, przedstawiał świętego Piotra w okowach i liczył smutne dla więźniów godziny.

Była to pora wieczerzy u tych nieszczęśliwych.

Drzwi, skrzypiące na zardzewiałych zawiasach, przepuszczały półmiski z potrawami, których wybór odpowiedni był do godności więźnia, a znając już w tym względzie sposób postępowania pana Baisemeaux, dodajmy, że niejeden z więźni znalazł pociechę w dodanej do wieczerzy pełnej butelce.

Godzina wieczerzy dla więźni była też godziną wieczerzy dla gubernatora, a miał on u siebie gościa.

Rożen więc obracał się bardziej, niż zwykle, obciążony; zwierzyna, ryby kosztowne, przystawki i mnóstwo delikatnych potraw stanowiły kolację gubernatora.

Baisemeaux, siedząc u stołu, zacierał ręce z radości, patrząc na biskupa Vannes, ubranego w długie buty, suknie szare, ze szpadą u boku, i powtarzającego z niecierpliwością, że mu się jeść chce okropnie.

Pan Baisemeaux de Montlezun nie był przyzwyczajonym do poufałości z jego wielebnością biskupem Vannes.

Lecz tego wieczora Aramis tak był wesoły, tak wiele czynił mu zwierzeń, słowem, z prałata stał się tak znowu muszkieterem, że Baisemeaux, jak zwykle ludzie pospolici, na tę cząstkę wesołości biskupa odpowiedział wesołością, zupełnie nieograniczoną.

— Panie!... — wyrzekł — gdyż prawdziwie tego wieczora nie śmiem nazywać go Jego wielebnością.

— Owszem, słusznie, nazywaj mię tylko panem, gdyż jestem w butach — odpowiedział Aramis.

— Dobrze, a wiesz pan kogo mi dziś przypominasz?

— Na honor, nie wiem — odparł Aramis, nalewając sobie szklankę wina — zdaje mi się jednak, że przypominam dobrego koleżkę.

— Przypominasz mi pan dwie osoby... Franciszku, zamknij okno, gdyż wiatr może zaszkodzić Jego ekscelencji.

— Lepiej niech on odejdzie — rzekł Aramis — stół już jest zupełnie zastawiony, obejdziemy się bez lokaja, lubię bowiem być sam na sam z przyjacielem...

Baisemeaux skłonił się z uszanowaniem.

— Lubię bardzo sam sobie usługiwać.

— Wyjdź, Franciszku!... — zawołał Baisemeaux — Jak mówiłem, Wasza wielebność przypominasz mi dwie osoby: jedną bardzo sławną, to jest nieboszczyka kardynała, tego z pod Roszelli, co nosił buty, jak pan. Nieprawdaż?

— Tak!... prawda — rzekł Aramis — a drugą?

— Drugą... pewnego muszkietera, bardzo pięknego, bardzo walecznego, śmiałego i bardzo szczęśliwego, który z duchownego został muszkieterem, a z muszkietera księdzem...

Aramis raczył uśmiechnąć się.

— Z księdza — mówił dalej Baisemeaux, ośmielony uśmiechem Aramisa — biskupem a z biskupa...

— No, no, zatrzymaj się trochę — rzekł Aramis.

— Powiadam ci, panie, że patrzę już na ciebie jak na kardynała.

— Dajmy temu spokój, kochany Baisemeaux. Powiedziałeś, że noszę buty rycerskie, ale ja pomimo to nie chcę pokłócić się z kościołem.

— A jednak Wasza wielebność masz złe zamiary!

— O prawda, przyznaję, złe są jak i wszystko, co jest światowem.

— Biegasz pan po ulicach zamaskowany.

— Prawda, w masce.

— I nieraz dobywasz pan szpady.

— Zdaje mi się, że się to czasem zdarza, lecz wtenczas tylko, kiedy mię do tego przymuszą. Ale zrób mi tę łaskę i zawołaj Franciszka.

— Na co, wino tu stoi.

— Nie dlatego, ale tu za gorąco, a okno zamknięte.

— Ja umyślnie zamykam okna przy wieczerzy, ażeby nie słyszeć przechodzących patrolów i przybywających kurjerów.

— A więc tu słychać, gdy okno otwarte?

— Doskonale, czy to przeszkadza?

— Ależ tu bardzo duszno... Franciszku.

Franciszek wszedł.

— Proszę cię mój kochany, otwórz okno, — rzekł Aramis.

— Wszak pozwalasz, kochany panie Baisemeaux?

— Wasza wielebność jesteś u siebie — odpowiedział gubernator.

Otworzono okno.

— Wiesz pan, że wydajesz mi się pan bardzo opuszczonym, odkąd hrabia de La Fere wyjechał do Blois. Nieprawdaż, że to pański dawny przyjaciel?

— Tak, był razem z nami muszkieterem, wiesz o tem, tak dobrze jak ja.

— Ba!... z przyjaciółmi nie liczę nigdy ani lat ani butelek.

— I masz słuszność. Ale co do mnie, nie tylko kocham hrabiego de La Fere, ale go bardzo poważam.

— Ja zaś, to szczególne, przenoszę od niego pana d'Artagnana, to mi człowiek! pije tęgo i ma głowę mocną, a tacy ludzie dają wówczas poznać wszystko, co myślą.

— Słuchaj, Baisemeaux. upij mię dzisiaj, pobirbantujmy tak, jak to niegdyś, a jeżeli mam co na sercu, przyrzekam ci, że zobaczysz to tak, jakbyś zobaczył djament na dnie twojej szklanki..

— Brawo!... — rzekł Baisemeaux.

I nalał sobie potężną szklankę i wypił ją w uniesieniu radości, że się choć trochę przyczyni do tak wielkiego grzechu biskupa.

Kiedy pił, nie spostrzegł, że Aramis przysłuchiwał się z uwagą odgłosom, dolatującym z dziedzińca.

Około godziny ósmej przybył kurjer; było to już przy piątej wypróżnionej butelce, a chociaż kurjer ten narobił wiele hałasu, Baisemeaux nic nie słyszał.

— Niech go djabli porwą — rzekł Aramis.

— Kogo?... co?... — zapytał Baisemeaux. — Mniemam, że nie wino, które pijesz, ani tego, kto cię częstuje?

— Nie, ale tego konia, który tyle robi hałasu, jakby to był cały szwadron.

— To pewno jakiś kurjer — odparł Baisemeaux, pijąc znowu — słusznie, niech go djabli porwą i to jak można najprędzej, abyśmy go nie słuchali. Hurra, vivat!

— Zapominasz o mie, Baisemeaux, moja szklanka próżna — rzekł Aramis, pokazując.

— Na honor, oczarowałeś mię; Franciszku, wina!

Franciszek wszedł.

— Wina, łotrze, i to najlepszego.

— Zaraz, ale, panie, kurjer...

— Niech go djabli... powiadam.

— Jednakże...

— Niech odda papiery w kancelarji, jutro przeczytam. Jutro będzie dosyć czasu, jutro będzie dzień — rzekł Baisemeaux, śpiewając ostatnie wyrazy.

— A! panie — mruknął Franciszek — ale on...

— Zastanów się! — rzekł Aramis — zastanów się.

— Nad czem, kochany panie d'Herblay — rzekł Baisemeaux, nawpół pijany.

— List, który kurjer przywozi do gubernatora cytadeli, może być pilnym rozkazem.

— Prawie zawsze.

— Czyż rozkazy nie są od ministrów?

— Bezwątpienia, ale...

— A ministrowie czyż nie działają z rozkazu królewskiego?

— Może masz i słuszność. Jednakże jestto bardzo nie w porę, kiedy się siedzi u stołu, sam na sam z przyjacielem. Ale prze-

praszam pana, zapomniałem, że to ja jestem gospodarzem wieczerzy i że mówię do przyszłego kardynała!

— Porzućmy to, kochany Baisemeaux, a wróćmy do twego starego żołnierza Franciszka!

— Dobrze, cóż on zrobił?

— Coś napomknął.

— To źle!

— A tak napomknął i uważaj, że zaszło coś nadzwyczajnego. A może nie Franciszek źle zrobił, że napomknął, ale tyś, żeś go nie posłuchał!

— Ja uchybiłem? Ja uchybiłem Franciszkowi? o! tego już nadto!

— Uchybiłeś nieakuratnością. Przebacz, ale sądziłem, że ta uwaga nie jest wcale zbyteczną.

— Ha! może masz słuszność — wyjąknął Baisemeaux — rozkaz króla jest święty. Ale rozkazy, które przybywają w czasie wieczerzy, powtarzam, niech je djabli...

— Coby to było, gdybyś tak uczynił, kochany Baisemeaux, z rozkazem wielkiego kardynała, a do tego, gdyby ten rozkaz był ważnym?...

— Robię to dlatego, ażeby nie przerywać biskupowi, czyż to mi nie służy za wymówkę?

— Pamiętaj, Baisemeaux, że i ja nosiłem mundur i przywykłem natychmiast spełniać rozkazy.

— Chcesz pan więc?...

— Chcę, mój przyjacielu, ażebyś dopełnił powinności, i proszę cię o to, dlatego, ażeby ten żołnierz nie myślał...

— To słuszne — rzekł Baisemeaux.

Franciszek czekał.

— Niechże mi przyniosą ten rozkaz — odezwał się Baisemeaux, prostując i dodał zcicha:

— Wiesz co to będzie? otóż powiem ci, że to coś bardzo zajmującego, jak np.: "Strzeż się, aby ogień nie wybuchnął w prochowni,", albo: "daj baczność na tego lub owego, gdyż jest zręczny i łatwo może uciec." A! gdybyś pan wiedział, ile razy przebudzono mnie z najgłębszego, najsłodszego snu, takim rozkazem, przywiezionym w galopie, a zawierającym te słowa: "Czy niema co nowego, panie de Baisemeaux?" Widać, że ci, co marnują czas na pisanie podobnych rozkazów, nigdy nie noco-

wali w Bastylji. Gdyby spróbowali, poznaliby doskonale grubość murów, czujność oficerów i mnóstwo krążących patrolów. Wreszcie, widać, że ich obowiązkiem jest pisać, ażeby mię dręczyć, kiedy jestem spokojnym, ażeby mnie martwić, kiedy jestem szczęśliwym — dodał, kłaniając się Aramisowi. — Ha! niechże już pełnią swoją powinność.

— A ty spełnij swoją — rzekł biskup z uśmiechem, a spojrzenie jego, pomimo słodyczy w mowie, było rozkazujące.

Franciszek wszedł.

Baisemeaux wziął z jego rąk rozkaz, przysłany z ministerjum.

Rozpieczętował i czytał powoli.

Aramis, udając, że pije, nie spuścił go z oka.

Baisemeaux, przeczytawszy, rzekł:

— A cóż? nie mówiłem?

— Cóż takiego? — zapytał biskup...

— Rozkaz uwolnienia, proszę uniżenie, ważna nowina, ażeby nam przeszkadzać.

— Przyznasz przynajmniej, kochany gubernatorze, że to bardzo ważne dla tego, kogo ona dotyczy!

— Jeszcze o ósmej wieczorem.

— Będzie to miłosierny uczynek!

— Wiem, że to będzie uczynek miłosierny, ale dla tego głupca, który się nudzi, lecz nie dla mnie, który się bawię — rzekł z gniewem Baisemeaux.

— Czy dużo na tem stracisz, bo może więzień był na wyższej stopie utrzymania?

— Gdzież tam, jakiś biedak, za pięć franków dziennie!

— Pokaż mi — zapytał d'Herblay — ale może to nie wolno?

— Bynajmniej! czytaj!

— Napisano: "Pilno," — zauważyłeś?

— Doskonale! "Pilno!" i to człowiek, który tu od dziesięciu lat siedzi, dziś jest im pilno uwolnić zaraz, natychmiast i to wieczorem o ósmej.

I Baisemeaux, wzruszając ramionami z wyrazem najgłębszej pogardy, rzucił rozkaz na stół i zaczął jeść nanowo.

— Ci panowie — rzekł z pełną gębą — mają czasem takie kaprysy, że porywają człowieka, karmią go dziesięć lat w Bastylji i nakazują ciągle: "Czuwaj nad nim dobrze, trzymaj go w najściślejszem więzieniu." A kiedy się już człowiek przyzwyczai do tego, iż uważa więźnia za coś bardzo ważnego, wtem

bez uprzedniego zawiadomienia, piszą: "Uwolnij go" i dla satysfakcji dodają na kopercie: "Pilno." Przyznaj pan sam, że śmiało można na to wzruszyć ramionami.

— Cóż robić? — rzekł Aramis — narzekajmy jak chcemy, ale trzeba przecie dopełnić rozkazu.

— To też się go dopełni, ale cierpliwości... Nie wystawiaj pan sobie, że jestem niewolnikiem.

— Mój Boże, któż ci o tem mówi, kochany panie Baisemeaux, znamy przecież twoją niezależność.

— Dzięki Bogu!

— Ale znamy również i dobroć twego serca!

— Cóż znowu!

— Jak i posłuszeństwo rozkazom przełożonych. Bo sam to przyznasz, że kiedy się było żołnierzem, akuratność pozostanie w nas na zawsze.

— Dlatego też będę posłusznym co do joty.

— Jutro?...

— W dzień.

— Dlaczegóż nie dzisiaj, tem więcej, że na rozkazie napisano: "Pilno".

— Dlatego, że dziś jemy wieczerzę i że nam także pilno!

— Kochany Baisemeaux, chociaż dziś jestem w ubraniu świeckiem, ale zawsze czuję, że jestem duchownym, a litość ważniejszym jest obowiązkiem, niż głód i pragnienie. Nieszczęśliwy więzień długo cierpiał, gdyż sam powiadasz, że jest tu więźniem od lat dziesięciu. Skróć mu cierpienia, on nie spodziewa się szczęścia, jakie go oczekuje, daj mu je natychmiast, a Bóg latami szczęścia wynagrodzi ci to w raju.

— Chcesz pan tego koniecznie?...

— Proszę cię o to!...

— Jakto?... natychmiast w czasie wieczerzy?...

— Błagam cię o to, czyn ten wystarczy za dziesięć odpustów.

— Ha!... niech tak będzie, skoro pan chcesz. Ale potrawy nam ostygną?...

— Mniejsza o to!...

Baisemeaux zwrócił się z krzesłem ku drzwiom, ażeby zadzwonić.

Rozkaz leżał na stole.

Aramis zaś, korzystając z chwili, kiedy Baisemeaux się odwrócił, zamienił papier ten na inny, tak, jak tamten złożony, a miał go już przygotowany.

— Franciszku — rzekł gubernator — niech tu przyjdzie major z odźwiernym trzeciej wieży.

Franciszek wyszedł, skłoniwszy się, a dwaj biesiadnicy pozostali sami.

CCXVII

GENERAŁ ZGROMADZENIA.

Przez chwilę zapanowała cisza między biesiadnikami; Aramis zaś nie spuszczał z oka gubernatora.

Ten jakby nie miał zbytniej ochoty zająć się czem innem niż wieczerzą.

Widocznem nawet było, że szukał jakiegobądź słusznego lub niesłusznego powodu, ażeby opóźnić uwolnienie aż do skończenia wieczerzy.

Powód ten, jak mu się zdawało, znalazł.

— Ale!... — zawołał — to niepodobna!...

— Jakto, niepodobna?... — podchwycił Aramis. — Dlaczego, przyjacielu, cóż w tem niepodobnego?...

— Niepodobieństwem jest uwolnić więźnia o tej godzinie, dokądże on pójdzie, nie znając Paryża.

— Pójdzie tam, dokąd będzie mógł!...

— Widzisz, że uwolnić go byłoby to samo, co uwolnić ślepego?...

— Mam powóz i zawiozę go tam, dokąd zechce.

— Pan masz na wszystko gotową odpowiedź! Franciszku!... niech powiedzą panu majorowi, ażeby uwolnił z więzienia pana Seldon w wieży 0.

— Seldon?... — rzekł Aramis tonem zwyczajnym. — Zdaje mi się, że powiedziałeś Seldon?...

— Tak, Seldon!... Jestto nazwisko tego, którego uwalniają.

— O!... zapewne chciałeś powiedzieć Marchiali?... — rzekł Aramis.

— Marchiali?... gdzieżtam!... Seldon!...

— Mnie się zdaje, że mylisz się, panie Baisemeaux!...

— Przecież czytałem rozkaz!...

— I ja także!...

— I widziałem nazwisko Seldon, o!... tak wielkiemi wypisane literami.

I Baisemeaux pokazał palce.

— Zresztą przekonajmy się — dodał Baisemeaux, pewny siebie — papier leży, łatwo więc przeczytać.

— Czytam! Marchiali — wyrzekł Aramis, rozkładając papier. — Patrzaj!

Baisemeaux spojrzał i ręce mu opadły.

— Tak! prawda, Marchiali, wyraźnie napisano, prawda!

— A widzisz!

— Jakto? człowiek, którego pilnowanie codziennie mi zalecano!

— Napisano wyraźnie: Marchiali — powtórzył raz jeszcze nieugięty Aramis.

— Przyznaję! Ale nie pojmuję wcale.

— Przecież można wierzyć swoim oczom!

— Na honor! i powiedzieć, że tu napisano: Marchiali!

— I do tego bardzo wyraźnie i czytelnie!

— To nadzwyczajne! gdyż widzę jeszcze ten rozkaz i nazwisko: Seldon! Irlandczyk! A! przypominam jeszcze sobie, że pod tym nazwiskiem była plama z atramentu.

— Nie! tu niema żadnej plamy!

— Ależ była! Przypominam sobie nawet, żem, czytając ścierał piasek, którym tę plamę zasypano.

— No, cokolwiek bądź widziałeś, plamę lub nie, kochany panie Baisemeaux, w rozkazie napisane jest: uwolnić Marchialego!

— Tak, w rozkazie napisano: uwolnić Marchialego — powtórzył Baisemeaux, starając się odzyskać przytomność.

— I każesz go uwolnić; a jeżeli chcesz uwolnić i Seldona, oświadczam ci, że wcale temu sprzeciwiać się nie będę!

Aramis skończył ten frazes, z uśmiechem tak ironicznym, że uśmiech ten wytrzeźwiwszy zupełnie Baisemeaux, dodał mu nawet odwagi.

— Panie!... — rzekł — Marchiali to ten sam więzień, którego spowiednik naszego zgromadzenia tak potajemnie odwiedzał.

— Nie wiem o tem, mój panie!.. — odpowiedział biskup.

— Ale przecież to tak niedawno, panie d'Herblay.

— Być może, ale u nas daleko jest lepiej, kiedy człowiek dzisiejszy zapomina, co robił wczorajszy.

— Bądźcobądź jednak odwiedziny spowiednika były szczęśliwe dla więźnia?

Aramis nie odpowiedział, zaczął tylko jeść i pić na nowo.

Baisemeaux, nie dotykając już tego przedmiotu, wziął rozkaz i obracał go na wszystkie strony.

Takie niedowierzanie w innych okolicznościach oburzyłoby niecierpliwego Aramisa, ale biskup Vannes nie był obraźliwym na takie drobnostki, nadewszystko kiedy sobie wyrozumował, że gniewać się byłoby niebezpiecznie.

— No i cóż uwolnisz Marchialego?... — zapytał.

— Uwolnię — odpowiedział Baisemeaux — ale nie pierwej, aż przywołam kurjera, który rozkaz ten przywiózł i gdy wypytawszy się, przekonam.

— Rozkazy przychodzą zapieczętowane, a kurjer nie wie nawet, co w nich jest. O czem się więc przekonasz?

— To odeślę rozkaz ten do ministerjum, a tam pan de Lyonne albo go cofnie, albo potwierdzi.

— Na cóż tyle zachodu?... — rzekł Aramis obojętnie.

— Na co?

— Tak, pytam na co się to przyda?

— A na to, ażeby się nie omylić i nie uchybić szacunkowi jaki każdy podwładny winien swemu naczelnikowi, i ażeby nigdy nie przestąpić obowiązków służby, której się podjęło!

— Bardzo dobrze! wyrzekłeś to aż do zadziwienia wymownie. Prawda, podwładny winien jest szacunek swoim przełożonym; w takim razie omyłka jest przestępstwem i będzie pewno ukarany, jeżeli przekroczy obowiązki lub przepisy swej służby.

Baisemeaux patrzał na biskupa z zadziwieniem.

— Wynika stąd, że chcesz poradzić się, abyś miał spokojne sumienie.

— Tak jest, Ekscelencjo.

— I że jeżeli starszy ci rozkaże, będziesz posłuszny.

— Zapewne Ekscelencjo o tem nie wątpisz.

— Czy znasz pan dobrze podpis królewski, panie de Baisemeaux?

— Znam!

— Czy nie masz go na rozkazie uwolnienia?

— Jest, ale może być...

— Fałszywym, nieprawdaż.

— To się nieraz zdarzyło, Ekscelencjo.

— Masz słuszność!... a podpis pana de Lyonne.

— Widzę go dobrze na tymże rozkazie! Ale, jak można było sfałszować podpis królewski, łatwiej jeszcze sfałszować podpis pana de Lyonne.

— Olbrzymim krokiem postępujesz w logice, i dowodzenie twoje, panie Baisemeaux, jest niezbite. Ale musisz przecież na czemś opierać podejrzenie, że podpisy te są fałszywe.

— Tylko na nieobecności podpisującego! gdyż nic nie potwierdza tu podpisu króla, a nie mam też tu pana de Lyonne, ażeby mi go osobiście potwierdził.

— A więc, panie de Baisemeaux — rzekł Aramis, rzuciwszy ostrym wzrokiem na gubernatora — podzielam tak szczerze twoją wątpliwość i twój sposób widzenia, że wezmę pióro, jeżeli mi je dasz.

Baisemeaux podał pióro.

— I arkusz czystego papieru — dorzucił Aramis.

Baisemeaux podał papier.

— I napiszę: ja niezaprzeczenie obecny, nieprawdaż? rozkaz, któremu jestem pewny, że uwierzysz, jakkolwiek byłbyś niedowierzającym.

Baisemeaux zbladł na tak śmiałe zapewnienie. Zdawało mu się że głos Aramisa, przedtem tak łagodny i wesoły, stał się ponurym i złowrogim, że światło pokoju zmieniło się na światło grobowej kaplicy, a wino w szklankach w krew się obróciło.

Aramis pisał, a Baisemeaux przestraszony, czytał, stojąc za nim.

"Ad. M. D. G. — pisał biskup i położył krzyż pod temi czterema literami, które znaczyły: Ad Majorem Dei Gloriam.

"Podoba się nam, ażeby rozkaz przywieziony panu Baisemeaux de Bontlezum, gubernatorowi Bastylji, był uznany przez niego za ważny i dobry i natychmiast wykonany."

Podpisano:

d'Herblay.

z łaski Bożej Generał zgromadzenia.

Na Baisemeaux wiadomość ta tak mocno podziałał,- że rysy twarzy jego zmieniły się, a usta otwarte i oczy wytrzeszczone nie dozwoliły mu ani słowa przemówić, ani nawet się ruszyć.

A w obszernym pokoju słyszeć można było przelatującą muchę.

Aramis, nie racząc nawet spojrzeć na człowieka, którego do takiego doprowadził stanu, dobył z kieszeni lak czarny i pieczątkę, którą miał pod surdutem na piersiach zawieszoną, a przypieczętowawszy nią rozkaz podał go Baisemeaux.

Ten, cały drżący, spojrzał obłąkanym na pieczęć wzrokiem, zadrżał jeszcze mocniej i upadł na krzesło.

— No, no, — rzekł Aramis po dość długiem milczeniu, podczas którego gubernator Bastylji przyszedł cokolwiek do siebie — nie każ mi wierzyć, kochany Baisemeaux, że obecność generała zgromadzenia jest tak, jak obecność Boga, przerażającą, i że się umiera, patrząc na niego. Odważnie, wstań, podaj mi rękę i bądź posłuszny.

Baisemeaux uspokojony, chociaż niezadowolony, powstał i ucałował rękę Aramisa.

— Natychmiast — rzekł zcicha.

— O! tylko bez żadnych ostateczności, mój przyjacielu, siadaj i kończmy wieczerzę.

— Ekscelencjo, nie przebaczę sobie nigdy, żem się ośmielił śmiać, żartować z nim, uważając go za równego sobie.

— Cicho! mój stary towarzyszu — odpowiedział biskup, czując, do jakiego stopnia struna była naciągniętą i, że niebezpiecznie było ją zerwać. — Cicho żyjmy każdy, jak przystoi. Tobie odemnie należy się opieka i przyjaźń, mnie od ciebie posłuszeństwo. Postępujmy tak i bądźmy weseli.

Baisemeaux zamyślił się i jednym rzutem myśli przewidział następstwa, jakie pociągnie za sobą uwolnienie więźnia na mocy fałszywego rozkazu, a porównawszy opiekę, jakiej mu udzielał generał zgromadzenia, nie przewidywał zbyt wielkiej odpowiedzialności. Aramis odgadł jego myśl.

— Kochany Baisemeaux — rzekł — jesteś głupcem. Odzwyczaj się od rozważania, kiedy ja zadaje sobie pracę rozważać za ciebie.

— Jakże mam tu postąpić? — zapytał Baisemeaux.

— A jakże postępujesz, przy uwalnianiu więźnia?

— Mam na to przepisy.

— A więc postąp, według nich, przyjacielu.

— Idę z majorem do mieszkania więźnia i jeżeli to ważna osoba, przyprowadzam go tutaj.

— Zdaje się, że ten Marchiali nie jest nic ważnego? — rzekł niedbale Aramis.

— Nie wiem — rzekł gubernator takim tonem, jakby chciał powiedzieć: "To już pańska rzecz!"

— Jeżeli nie wiesz, postępuj z nim, jak z nic nieznaczącym.

— Dobrze, ale instrukcja mówi...

— Co?

— Instrukcja mówi, że odźwierny albo podoficer ma przyprowadzić więźnia do biura gubernatora.

— To bardzo rozsądnie. Cóż potem?

— Potem oddaje się więźniowi jego kosztowności, które miał z sobą przy uwięzieniu, suknie, papiery, jeżeli rozkaz ministra inaczej przedmiotami temi nie rozporządził.

— A cóż mówi o tem rozkaz ministra względem Marchialego?

— Nic, gdyż ten nieszczęśliwy przybył tu bez żadnych ksztowności, bez papierów, nawet prawie bez sukien.

— Widzisz, że tu niema nic ważnego. Prawdziwie, kochany Baisemeaux, robisz z muchy słonia. Zostań więc na miejscu i każ przyprowadzić więźnia do gubernatora.

Baisemeaux zawołał porucznika i dał mu zlecenie, a ten zaniósł rozkaz do kogo z prawa należało.

W pół godziny potem usłyszano zamykające się drzwi wieży, która wypuściła więźnia na wolność.

Aramis zgasił świece, prócz jednej, którą zostawił, zasłoniętą drzwiami.

Słabe to światło nie dozwalało dokładnie widzieć przedmiotów.

Kroki się zbliżały.

— Wyjdź naprzeciw nim — rzekł Aramis do gubernatora i stanął w cieniu, mogąc widzieć sam nie będąc widzianym.

Podoficer i odźwierny odeszli; Baisemeaux wszedł z więźniem i przeczytał głosem wzruszonym uwalniający go rozkaz.

Więzień słuchał bez żadnego wzruszenia.

— Teraz wykonasz pan przysięgę (takie bowiem są przepisy) że nikomu nie powiesz, coś widział lub słyszał w Bastylji.

Więzień, spostrzegłszy krzyż, wyciągnął doń rękę i przysiągł.

— Teraz jesteś pan wolnym, lecz dokąd myślisz udać się?

Więzień oglądał się w około, jakby szukał opieki, której się spodziewał.

Wówczas Aramis przystąpił.

— Jestem, ażeby wyświadczyć panu przysługę, jakiej żądać będziesz odemnie.

Więzień lekko zarumienił się i wziął pod rękę Aramisa.

— Niech cię Bóg ma w swojej świętej opiece — rzekł takim głosem, że gubernator zadrżał zdziwiony i tonem i wymową.

Aramis, ściskając rękę gubernatora, rzekł:

— Rozkaz mój mógłby kiedyś ci zaszkodzić gdyby go znaleziono przy poszukiwaniu twoich papierów.

— Radbym go zatrzymać — rzekł Baisemeaux — gdyby go szukano u mnie, byłoby to znakiem mej zguby, a w takim razie będziesz ekscelencjo, dla mnie sprzymierzeńcem.

— Będąc twoim wspólnikiem, chciałeś powiedzieć — rzekł Aramis, wzruszając ramionami. — Do widzenia, Baisemeaux.

Kareta czekała na dole. Baisemeaux odprowadził biskupa aż do niej.

Aramis, wsadziwszy swego towarzysza do karety, sam wsiadł po nim i rzekł do stangreta: — "Jedź"!

Powóz toczył się głośno po bruku, oficer, poprzedzający karetę, dawał rozkaz do przepuszczenia jej każdemu szyldwachowi.

Podczas gdy otwierano bramy, Aramis prawie nie oddychał, a serce biło mu gwałtownie.

Więzień, wcisnąwszy się w kąt powozu, nie zdradzał niczem swojej obecności.

W końcu ruch mocniejszy powozu przekonał, że już ostatnią przebyli zaporę.

Ostatnia brama twierdzy od ulicy świętego Antoniego zamknęła się za nimi.

Ani na prawo ani na lewo nie było już murów, wokoło czyste niebo, wolność i zupełne życie.

Konie, silną trzymane ręką, szły wolno aż do połowy przedmieścia, potem puściły się kłusem i, coraz prędzej biegnąc czy z własnej ochoty, czy też popędzane, przeszły do najwyższej chyżości.

Powóz jakby leciał, pędzony siłą nadziemską, i tak przybyli aż do Villeneuve-Saint-George, gdzie był przygotowany przeprząg.

Tu zamiast dwóch cztery konie pociągnęły z równąż prędkością powóz ku Melun, zatrzymawszy się trochę wśród lasu Senard

Zapewne woźnica był o tem uprzedzony, gdyż Aramis nawet znakiem nie potrzebował mu tego rozkazać.

— Co to jest?... — zapytał więzień, jakby przebudzony z długiego snu.

— To jest — rzekł Aramis — że zanim dalej pojedziemy, ja i Wasza Królewska Wysokość, potrzebujemy cokolwiek pomówić.

— Czekać będę na to stosownej pory — odrzekł książę.

— A teraz jest najlepsza, jesteśmy wśród lasu i nikt nas nie usłyszy.

— A woźnica?

— On jest głuchoniemy.

— A więc służę panu, panie d'Herblay.

— Czy się podoba Waszej Wysokości pozostać w powozie?...

— Tak, gdyż siedzimy tu wygodnie, a lubię ten powóz, bo on mi przywrócił wolność.

— Ale jeszcze jedna ostrożność — rzekł Aramis.

— Jaka?...

— Jesteśmy tu na publicznej drodze, mogą tak jak i my przejeżdżać podróżni, a ci widząc, że powóz stoi, pomyśleć mogą, iżeśmy ulegli jakiemu przypadkowi. Unikajmy więc ofiar przysługi, któreby nam były na przeszkodzie.

— Rozkaż więc pan woźnicy zjechać gdzie na bok.

— Właśnie chcę to uczynić.

Aramis dał znak dotknięciem głuchoniemego.

Ten, zlazłszy z kozła, zwrócił dwa pierwsze konie w krzaki pod ogromne drzewo, a noc ciemna i pochmurna rozpostarła nad niemi zasłonę czarniejszą od atramentu.

Potem woźnica ułożył się na murawie, a konie ogryzały gałązki

— Słucham pana — rzekł książę. — Ale cóż tam robisz?...

— Wykręcam naboje z pistoletów, gdyż nabitych już nie potrzebujemy.

CCXVIII

KUSICIEL.

— Mości książę — rzekł Aramis, zwracając się ku niemu — jakkolwiek słabem jestem stworzeniem, miernego rozumu i nader nisko stojącym w rzędzie istot myślących, nigdy nie zdarzyło mi się rozmawiać z jakimkolwiek człowiekiem, abym nie poznał, pod największą nawet maską obojętności, uczuć jego i zamiarów. Ale dziś w nocy, w ciemności, jakiemi otoczeni jesteśmy, nie będę mógł nic z jego wyczytać twarzy, a przeczuwam, że z trudnością przyjdzie mi usłyszeć od niego słowo szczerego zaufania. Błagam cię więc, nie przez przychylność dla mnie (gdyż poddani nie powinni niczem obciążać szali, którą trzyma w ręku panujący), ale przez wzgląd na siebie samego, ażebyś każdy mój wyraz, każdą zmianę głosu mojego, w szczególnej zachował pamięci, gdyż w tak ważnych okolicznościach jak obecnie, najmniejsza rzecz na pozór może być największą w istocie.

— Słucham — rzekł książę ze stanowczością — niczego nie żądam i niczego się nie boję z tego, co mi powiesz.

I głębiej jeszcze zsunął się w kąt powozu, aby nietylko wzrokiem, ale i zmysłami towarzysz jego nie mógł go dostrzedz.

Noc była ciemna, cienie, rzucone przez drzewa, jeszcze bardziej powiększały ciemność, a zamknięta zewsząd nie dałaby się przedrzeć najmniejszemu wewnątrz światełku, choćby nawet zabłysło.

— Wasza Królewska Wysokość znasz dzieje rządu dzisiejszego we Francji; król wyszedł z więzienia dziecięcego, jak i ty. Tylko zamiast niewoli więzienia, ciemności i samotności życia nędznego, w jakie zostałeś pogrążony, musiał cierpieć nędzę, poniżenie i niedostatek, obleczony nielitościwem światłem powagi monarszej. W świetle tem najmniejsza plama wyglądała, jak brudna kałuża, chwała nawet wydawała się plamą. Król dużo ucierpiał, będzie się też mścił. Złym będzie królem!... nie mówię, że będzie przelewał krew, jak Ludwik XI-ty albo Karol IX-ty, gdyż niema do pomszczenia śmiertelnej obrazy, ale pochłonie pieniądze i majątki swoich poddanych, gdyż ma do po-

niszczenia swój niedostatek i nędzę. Równoważę więc tu przymioty i wady króla, a kiedy go pamiętam, sumienie moje nic mi nie wyrzuca.

Aramis zamilkł.

Nie dlatego zapewne, aby się przekonać o spokoju w lesie, lecz dlatego, ażeby, nim zbierze nowe myśli, wyrazy, które wyrzekł, utkwiły w sercu słuchacza.

— Co tylko Bóg robi, wszystko czyni dobrze — mówił dalej biskup de Vannes — i tak jestem przekonany, że winszowałem sobie, żem został wybrany do przechowania tajemnicy, którą odkryć dopomogłem Waszej Książęcej Mości. Potrzeba było Bogu, do wykonania tego wielkiego dzieła, narzędzia ostrego i śmiałego. Tem narzędziem jestem ja. Posiadam bystrość, śmiałość i przekonanie. Rządzę tajemniczym ludem, który przyjął za hasło, hasło Boga:

"Patiens, quia aeternus".

Książę poruszył się.

— Zgaduję, mości książę, że podniosłeś głowę, i że lud, którym rządzę, zadziwia cię. Nie wiedziałeś, że rozmawiasz z królem, o!... mości książę, z królem ludu bardzo pokornego i wydziedziczonego, pokornego, bo siła jego zależy na czołganiu się, wydziedziczonego, gdyż nigdy, nigdy, w tem życiu lud ten nie zbiera plonu, jaki zasiał, ani nawet nie spożywa owoców, które hoduje. Pracując odrębnie, zgromadza on całe swe siły, ażeby z nich utworzyć człowieka, a z owoców krwawych swej pracy stwarza dla niego obłok, z którego umysł tego człowieka powinien sam utworzyć promień, jaśniejący i zdobiący koronę całego chrześcijaństwa. Oto człowiek, którego masz obok siebie. Mówiąc to, chcę powiedzieć Waszej Wysokości, że w wielkich zamiarach wyciągnąłem cię z przepaści i że chcę z tychże samych pobudek wznieść cię nad wszelką władzę tej ziemi, wyżej nad siebie samego.

Książę dotknął lekko ręki Aramisa i rzekł:

— Mówisz mi o tem zgromadzeniu religijnem, którego jesteś naczelnikiem, a wypada z tego coś mi powiedział że kiedy ci się podoba strącić tego, któregoś wyniósł tak wysoko, łatwo to uczynisz, a dziś uczynisz, co zechcesz, a tym, któregoś wczoraj wydźwignął.

— Mylisz się, książę — odpowiedział biskup — nie podjąłbym się tej strasznej gry z Waszą Królewską Wysokością, gdybym nie miał podwójnego interesu w wygranej. W dniu, w którym będziesz wyniesionym, a będziesz nim na zawsze, wyszedłszy tak wysoko, możesz odepchnąć tego, który ci pomagał wstępować, odepchnąć tak daleko, by widok jego nie przypomniał ci praw jego od twej wdzięczności.

— O!... panie!..

— Poruszenie to Waszej Wysokości dowodzi dobroci jego serca. Chciej wierzyć wszakże, że wzdycham do czegoś więcej niż do wdzięczności i przekonany jestem, że stanąwszy u celu, osądzisz Wasza Królewska Wysokość, że jestem godny twojej przyjaźni, a wówczas my we dwóch dokonamy tak wielkich rzeczy, że długo wieki potomne wspominać je będą.

— Powiedz mi więc pan otwarcie; czem dziś jestem i czem jutro zechcesz mię zrobić?

— Jesteś synem Ludwika XIII-go, bratem Ludwika XIV-go i prawym dziedzicem tronu francuskiego. Umieszczając cię przy sobie, tak jak umieszczono księcia twego brata młodszego, król zabezpieczyłby sobie prawo zasiadania na tronie starszeństwem, bo chyba tylko Bóg i lekarze mogli go jemu zaprzeczyć. A lekarze wolą króla panującego, niż spodziewanego. Bóg zaś popełniłby niesłuszność, szkodząc księciu szlachetnemu i prawemu. Lecz Bóg chciał, ażeby cię prześladowano, a prześladowanie to przeznaczyło cię dziś na króla Francji. Miałeś prawo do tronu, kiedy ci go zaprzeczano, miałeś prawo być uznanym, kiedy cię ukryto. Pochodzić musisz z krwi boskiej, kiedy jej nie śmiano przelać tak, jak krew sług twoich. Teraz spojrzyj, co Bóg dla ciebie zrobił, któregoś tyle razy obwiniał, że zapomniał o tobie, dał ci rysy, kształt, wiek i głos twojego brata, i powody prześladowania ciebie stają się dziś powodami wyniesienia. Jutro, pojutrze w każdej chwili nawet ty, żyjący portret Ludwika XIV-go, zasiąść możesz na tronie, z którego wola Boga używszy za narzędzie ręki ludzkiej, strąci go na zawsze.

— Pojmuję!... — rzekł książę — ale nie przeleję krwi mego brata?

— Jesteś samowładnym panem jego losu.

— I tajemnic, których używano przeciw mnie...

— Możesz użyć ich przeciwko niemu!... Cóż on robił aby je ukryć? Oto ciebie ukrywał? ty żyjący portret jego samego, zdradziłbyś spisek Mazariniego i Anny Austrjackiej. Ty, mości książę, też same masz powody ukryć tego, który podobny jest do ciebie, w więzieniu, gdy ty zasiądziesz na tronie.

— Powtarzam to, com ci książę już raz powiedział: któż go strzedz będzie?

— Ten, kto ciebie strzegł.

— Znając tę tajemnicę, użyłeś jej pan na moją korzyść, któż ją zna jeszcze?

— Królowa-matka i pani de Chevreuse.

— A cóż one uczynią?

— Nic, jeżeli zechcesz.

— Jakto?

— Jakże cię poznają, jeżeli będziesz tak postępował, aby cię nie poznano!

— Prawda. Ale zachodzą większe jeszcze trudności.

— Jakie, książę?

— Brat mój żonaty, a przecież ja nie mogę wziąć żony mego brata.

— Ja się postaram, że Hiszpanja zezwoli na oddalenie żony, jest to bowiem interes twojej nowej polityki i moralności ludzkiej Wszystko, co tylko jest prawdziwie szlachetnego i użytecznego na świecie, znajdzie nagrodę.

— Król uwięziony będzie mówił.

— Do czegóż będzie mówił? do murów?

— Nazywasz murem ludzi, w których masz zaufanie.

— W potrzebie. Tak. A potem.

— Cóż potem...

— Chciałem powiedzieć, zamiary boskie zawsze są dokładne i skończone. Cały plan tego wypadku daje rezultat tak doskonały, jak wypadek geometryczny. Król uwięziony tyleż zrobi Waszej Królewskiej Wysokości kłopotu, co i Wasza Królewska Mość robiłeś królowi panującemu. Bóg uczynił duszę jego pyszną i niecierpliwą, a zepsuł i rozbroił ją więcej przywyknieniem do poszanowania i najwyższej władzy. Bóg, który chciał, ażeby wypadkiem geometrycznym, o którym miałem zaszczyt mówić, było twoje wstąpienie na tron i zniszczenie tego, który ci przeszkadzał, postanowił także, że skończą się i jego cierpienia równe z

twojemi. Przygotował więc duszę jego i ciało do krótkich cierpień. Wasza Królewska Wysokość, uwięziony jako człowiek zwyczajny, nieświadomy, dlaczego byłeś pozbawiony wszystkiego i przywykły do samotności, oparłeś się cierpieniu. Lecz brat twój uwięziony, zapomniany nie zniesie tego cierpienia i Bóg powoła duszę jego do siebie w czasie właściwym, to jest: wkrótce.

W tem miejscu opowiadania puszczyk ukryty wydał przeciągły i żałobny krzyk, na który obaj zadrżeli.

— Skażę na wygnanie byłego króla — rzekł Filip — to będzie więcej ludzkiem.

— Wola króla rozstrzyga — odpowiedział Aramis. — A teraz czy dobrze obmyśliłem wszystko? I czy, podług życzeń i przewidywań Waszej Królewskiej Wysokości, rozwiązałem zadanie?

— Tak, panie, wszystko to bardzo dobre, o niczem nie zapomniałeś, wszakże są dwie rzeczy!...

— Pierwsza?

— Mówmy o niej z tą samą otwartością, jakiejśmy dotąd używali w naszej rozmowie: mówmy o powodach, które mogłyby zniszczyć powzięte przez nas zamiary, mówmy o niebezpieczeństwie na jakie się narażamy.

— Byłoby ono ogromnem, nieskończonem przerażającem, niepokonanem, gdyby, jak mówiłem, wszystko nie składało się do zniweczenia onego. Niema dla nas niebezpieczeństwa jeżeli stałość i nieustraszoność Waszej Królewskiej Wysokości, wyrównywa podobieństwu, jakie natura utworzyła między Waszą Królewską Wysokością a królem. Powtarzam więc, że niema niebezpieczeństwa, są tylko przeszkody. Wyrazu tego, chociaż we wszystkich językach jest używany, nigdy doskonale nie pojąłem, i gdybym był królem, rozkazałbym go wyrzucić z mowy, jako nic nieznaczący i niepotrzebny.

— Jednakże, panie, jest bardzo ważna przeszkoda, niebezpieczeństwo niepokonane o którem zapomniałeś.

— A!... — rzekł Aramis.

— Jestto krzyk sumienia, rozdzieranego przez zgryzoty.

— Tak, to prawda — rzekł biskup — zapomniałem o słabości serca, lecz Wasza Królewska Wysokość, przypomniałeś mi to. Masz słuszność, jest to niezmierną przeszkodą. Koń, który się boi przeskoczyć rów, wpada weń i zabija się. Człowiek, biją-

cy się ze drżeniem, zapewnia zawsze zwycięstwo przeciwnikowi. O!... to prawda!... prawda!...

— Czy masz pan brata?... — spytał młodzieniec Aramisa.

— Sam jeden jestem na świecie — odpowiedział tenże sucho i dobitnie.

— Ależ kochasz przecie kogokolwiek na ziemi?... — dodał Filip.

— Nikogo!... Ale tak, kocham Waszą Królewską Wysokość! Młodzieniec zamilkł, tak dalece, iż słychać było tylko oddech Aramisa.

— Nie wszystko jeszcze wypowiedziałem, co miałem Waszej Królewskiej Wysokości powiedzieć! Nie odkryłem jeszcze wszystkich zbawiennych rad i pożytecznych środków dla Waszej Królewskiej Wysokości. Nie idzie tu o to, aby błysnąć światłem przed oczyma lubiącego cień, ani bić z dział wspaniałości i przepychu w uszy człowieka spokojnego, lubiącego spokój i cichość. Ja mam dla Waszej Królewskiej Wysokości projektowane szczęście i opowiem je; a Wasza Królewska Wysokość, co lubisz tak niebo, czyste powietrze i zieloność łąk, korzystaj z niego. Znam okolicę rozkoszną, prawdziwy raj, gdzie wolny, nieznany, pomiędzy lasami, kwiatami, żywemi wodami, zapomnisz o wszystkiem, co głupstwo ludzkie, kusiciel Boga, przedstawiło ci niedawno jako nędzny obraz. Posłuchaj mię, mości książę, gdyż nie żartuję. Posiadając duszę, zgłębiłem siłę twojej duszy i chcę cię posunąć, wedle mojej woli, lub dumy. Wszystko lub nic! Jesteś zmęczony, chory, prawie zagasły. Zajmujmy się więc życiem, niższem, więcej do sił twoich zastosowanem. Bóg mi jest świadkiem, że z całą usilnością dążę, abyś z tej próby wyszedł szczęśliwy.

— Mów, mów — rzekł książę z żywością, która zastanawiała Aramisa.

— Znam — rzekł prałat — w niższem Poitoux okolicę, o której istnieniu nikt nie wie we Francji! Dwadzieścia mil kraju, nieprawdaż, że to ogrom? Dwadzieścia mil, pokrytych wodą, roślinami, sitowiem, przeplatanych wyspami, pełnemi lasów; tam powierzchnie wód okrytych trzciną, jak płaszczem, drzemią spokojnie, pod uśmiechem słońca. Kilka rodzin rybackich mierzy leniwie powierzchnie ich łodziami topolowemi, z daszkami trzcinowemi. Łodzie te, a raczej domy pływające błąkają się,

popychane wiatrem. Jeżeli dotkną brzegu, to tylko przypadkiem i to tak lekko, że śpiący w nich rybak nie przebudzi się od wstrząśnienia. Jeżeli przybija do brzegu, to jedynie wtedy, gdy spostrzega stada chruścieli lub czajek, kaczek lub sójek, cyranek albo bekasów, które łapie w sidła lub strzela; srebrzyste ryby morskie, ogromne węgorze, silne szczupaki lub śliczne pstrągi gromadami wpadają do jego sieci. On zaś, wybierając najlepsze, resztę wypuszcza. Nigdy, ani żołnierz, ani mieszkaniec miasta, słowem nikt tam nie zawita. Klimat jest tam łagodny; na lądach, między temi wodami, rośnie latorośl winna, której grona zarne przedziwnego są smaku; raz na tydzień łódź jedzie do ogólnej piekarni, skąd przywozi śliczny rumiany chleb, nęcący zapachem. Będziesz tam żył, ja kczłowiek w starożytności. Pan samowładny swych wyżłów, wędek, strzelb i pięknego trzcinowego domu, w obfitości i w szczęśliwym spokoju przepędzisz tam lata a Bóg dopiero zmieni twoje przeznaczenie. Oto w tym worku jest tysiąc pistolów, to więcej, niż potrzeba, aby zakupić te bagna, więcej niż potrzeba, aby żyć tyle lat, ile ci przeznaczono dni do życia, więcej niż potrzeba, aby być najbogatszym, najwolniejszym i najszczęśliwszym z całej okolicy. Przyjm to tak szczerze i z taką rozkoszą, jak ja ci to ofiarowuje. Natychmiast odprzężemy od karety dwa konie, a służący mój, głuchoniemy, zaprowadzi cię jadąc nocą a spoczywając we dnie, aż do miejsca, o którem mówiłem. A wtedy z wewnętrzną pociechcą mógłbym powiedzieć sobie, że uczyniłem Jego Królewskiej Wysokości przysługę, jaką sam sobie wybrał. Uczyniłem z niego najszczęśliwszego człowieka. A Bóg za to więcej mi pobłogosławi, niżeli gdybym z niego uczynił człowieka możnego, skoro jest to daleko trudniejsze. A więc cóż mi na to Wasza Królewska Wysokość odpowiesz, oto są pieniądze!... O!... nie wahaj się!... W Poitoux, na nic się nie wystawisz, chyba na trochę febry. A znachorzy miejscowi prędko cię z niej za pieniądze wyleczą. Wybierając zaś to, o czem Wasza Królewska Wysokość wiesz... narażasz się w istocie bo możesz być zabity na tronie, lub uduszony w więzieniu. Na honor, co do mnie, rozważywszy obie propozycje, nie wahałbym się ani chwili!...

— Panie — odpowiedział młody książę — zanim rozwiążę tę trudność, pozwól mi wysiąść z karety i, chodząc po ziemi, poradzić się głosu wewnętrznego, jaki Bóg w nas obudza wśród

swobodnej i wolnej natury. Za dziesięć minut odpowiem ci.

— Uczyń to Wasza Królewska Mość — wyrzekł Aramis, kłaniając się z uszanowaniem, tak bowiem uroczysty i szlachetny był głos, który to wyrzekł.

CCXIX

KORONA I TIARA.

Aramis, wysiadłszy pierwej, dopomógł wysiąść młodzieńcowi. A kiedy tenże stanął na ziemi, mchem pokrytej, zadrżał i postąpił kilka kroków z trudnością, chwiejąc się; zdawało się nawet, że biedny więzień nie był przyzwyczajony do chodzenia i że mu to sprawia trudność.

Było to 15 sierpnia, około jedenastej w nocy. Chmury, zapowiadające burzę, powlekły niebo, a cieniem swym zakryły wszystko przed wzrokiem; zaledwie silnie się wpatrując można było o kilka kroków dojrzeć niewyraźne przedmioty. Lecz zapach drzew i kwiatów, ciepło i świeże powietrze w nocy pierwszy raz od tylu lat dając mu uczuć nieznaną rozkosz zupełnej wolności, przemawiały doń językiem ułudy, tak, że jakkolwiek się powstrzymał, jakkolwiek udawał obojętność, nie mógł się jednak oprzeć wzruszeniu i wydał westchnienie radości i szczęścia.

Potem zwolna podniósł ociężałą głowę, a oddychając balsamiczną wonią, jaką wśród ciepłej nocy las, z rozmaitych drzew złożony, wydawał, skrzyżował ręce na piersiach, jakby wstrzymując wydzierające się z nich uczucie nieznanego mu szczęścia.

Niebo, które podziwiał, szmer wód, który go dochodził i istoty, żyjące wokoło niego, czyż nie były urzeczywistnieniem marzeń?

Czyż Aramis był nierozsądnym, wierząc, że można o innem niż o takiem szczęściu, marzyć na tym świecie?

Upajający obraz życia wiejskiego, wolnego od kłopotów, bojaźni i zabiegów, owo mnóstwo dni szczęśliwych, które się przedstawiały młodej jego wyobraźni, były to istotne sidła, w które łatwo mógł wpaść nieszczęśliwy więzień, wyniszczony w murach więzienia, zwiędły w zacieśnionem powietrzu Bastylji.

Sidłami temi otoczył go Aramis, ofiarując mu 1,000 pistolów i zaczarowany Eden, który ukrywały przed ciekawem okiem pustynie Poitoux.

Takie były uwagi Aramisa, kiedy ten z niedającym się opisać niepokojem śledził postępy radości Filipa, zagłębiającego się stopniowo w rozmyślaniu.

I rzeczywiście książę zadumany, nogami tylko dotykał ziemi, a duszą błagał Boga, ażeby go oświecił w ciężkiej niepewności, z której wypłynąć dlań miało życie lub śmierć.

Chwila ta była okropną dla biskupa Vannes. Nigdy bowiem nie był jeszcze wobec tak wielkiej wątpliwości.

Żelazna jego dusza, przywykła do walki z przeszkodami, nigdy nie upadała, a tembardziej nigdy nie była zwyciężona niemi, więc miałażby teraz nie dopiąć tak ogromnego zamiaru, dlatego iż nie przewidziała, ile wpływu na ciało ludzkie może wywrzeć kilka listków drzewa, owianych świeżem powietrzem nocy.

Aramis, przykuty do miejsca niespokojną wątpliwością, śledził bolesną walkę księcia, jaką tenże wiódł z dwojgiem nieznanych dlań uczuć.

Walka trwała nie więcej nad dziesięć minut, o które prosił młodzieniec.

Podczas tej chwili, podobnej do wieczności, Filip ciągle patrzył w niebo okiem błagającem i łzą zroszonem!

Aramis zaś nieustannie patrzył na niego, wzrokiem rozpłomienionym chciwością.

Nagle młodzieniec pochylił się, myśl jego wróciła ku ziemi, wzrok stał się ponurym, czoło się zmarszczyło, wyraz twarzy przybrał dziką odwagę, potem wlepił oczy, lecz tym razem w bogactwa tego świata, a spojrzenie to podobne było do spojrzenia szatana na górze, kiedy, chcąc skusić Chrystusa, pokazywał mu możne królestwa tej ziemi.

Wzrok zaś Aramisa o ile pierwej był ponurym, stał się teraz słodkim.

Wówczas Filip, chwytając go gwałtownie za rękę, rzekł:

— Idźmy, idźmy tam, gdzie można znaleźć koronę Francji.

— Czy takie jest postanowienie Waszej Królewskiej Wysokości?... — spytał Aramis.

— Takie jest moje postanowienie.

— Nieodwołalne?

Filip nie odpowiedział na to, spojrzał tylko śmiało na biskupa, jakby go zapytywał, czy podobna, ażeby człowiek, gdy poweźmie postanowienie, mógł je zmienić.

— Wzrok ten ognisty jest cechą charakteru — rzekł Aramis, schylając się do ręki Filipa. — Wasza Królewska Wysokość będziesz wielkim, ręczę za to!

— Wróćmy, jeżeli się panu podoba, do rozmowy poprzedniej. Powiedziałem, zdaje mi się, że chcę porozumieć się z panem w dwóch kwestjach: niebezpieczeństwa i przeszkód. Dwie te kwestje są już rozwiązane. Inne będą tylko warunkami które mi podasz. A więc, proszę mówić, panie d'Herblay.

— Warunki? mości książę...

— A tak. Bo nie zatrzymasz mnie na tej drodze dla podobnej drobnostki i nie wyrządzisz mi krzywdy, myśląc, że uwierzę, iż nie masz w całym tym projekcie swego osobistego interesu. A zatem bez bojaźni i wybiegów odkryj mi pan całą myśl swoją.

— Dobrze! Oto kiedy Wasza Królewska Wysokość zostaniesz królem...

— Kiedyż to nastąpi?

— Jutro wieczorem to jest w nocy.

— Wytłumacz mi to, jakim sposobem?

— Pierwej muszę zadać Waszej Królewskiej Wysokości zapytanie.

— Słucham.

— Posłałem był do Waszej Królewskiej Wysokości człowieka pewnego, z rozkazem, ażeby oddał mu papiery, zapisane drobno lecz czytelnie, a zawierały one uwagi, za pomocą których Wasza Królewska Wysokość poznasz dokładnie osoby, które składają lub składać będą jego dwór.

— Czytałem to wszystko.

— Ale czy z uwagą?

— Umiem to prawie na pamięć.

— I zrozumiałeś Wasza Królewska Wysokość? Przepraszam, ale mogę jeszcze o to zapytać biednego więźnia w Bastylji. Ma się rozumieć, że za osiem dni nie będę potrzebował o nic wypytywać umysłu tak bystrego, jak Waszej Królewskiej Wysokości, gdy używać będzie wolności w całej pełni.

— A więc pytaj mnie. Będę uczniem, któremu nauczyciel każe powtarzać zadaną lekcję.

— Najprzód więc mówić będę o rodzinie Waszej Królewskiej Wysokości.

— Matka moja Anna Austrjacka. Jej zmartwienie, chorobę, znam wszystko, znam.

— Młodszy brat Waszej Królewskiej Wysokości — rzekł Aramis, kłaniając się.

— Dołączyłeś pan do tych notatek, tak doskonale zrobione portrety, że przy ich pomocy, odrazu poznałem osoby, których charakter, zwyczaje i historję opisywały notatki. Książę pan, mój brat, jest blady, lecz piękny brunet, nie kocha swojej żony Henrjetty, którą ja, Ludwik XIV kochałem trochę i jeszcze czasem się do niej umizgam, chociaż musiałem z jej łaski płakać w dniu, w którym chciała koniecznie wypędzić pannę La Valliere.

— Wobec tej bądź Wasza Królewska Wysokość ostrożny — rzekł Aramis. — Ona bowiem kocha szczerze prawdziwego króla. A oczy kochającej kobiety rzadko się mylą.

— Ta blondynką jest, ma oczy niebieskie, których czułe spojrzenie potwierdzi jej tożsamość, kuleje trochę i codziennie pisze list do mnie, na który każę odpisywać panu Saint-Agnan.

— A tego znasz Wasza Królewska Wysokość?

— Jakbym go widział, umiem nawet jego ostatnie wiersze, które napisał dla mnie, również jak te, które ułożyłem w odpowiedzi.

— Bardzo dobrze. A ministrowie?

— Colbert ma twarz brzydką, ponurą, ale pojętną, włosy zakrywające czoło, głowę wielką, ciężką ale zdolną; śmiertelny nieprzyjaciel pana Fouquet.

— Co się tyczy ostatniego, możemy być spokojni.

— Tak! bo zapewne żądać będziesz jego wygnania, nieprawdaż?

Aramis, przejęty podziwieniem, odpowiedział:

— Wasza Królewska Wysokość będziesz wielkim monarchą!

— Widzisz więc, że umiem lekcję doskonale i mam nadzieję, że przy Boskiej i twojej pomocy nie omylę się bynajmniej.

— Jeszcze Wasza Królewska Wysokość zapomniałeś o dwojgu oczach bardzo przenikliwych!

— A tak, kapitan muszkieterów, pan d'Artagnan, twój przyjaciel!

— Tak, mój przyjaciel.

— Ten, który towarzyszył La Valliere do Chaillot, który Karolowi II-mu przywiózł Monka, zamkniętego w kufrze, a tak wiernie służył mojej matce, ten, któremu korona Francji wszystko winna! Czy także żądać będziesz skazania go na wygnanie?

— Nigdy, Najjaśniejszy panie! d'Artagnan jest człowiekiem, któremu w czasie właściwym odkryję wszystko, ale strzeż się go, bo gdyby (zanim mu sam wyznam) odkrył cokolwiek, to albo Wasza Królewska Wysokość albo ja, życiem byśmy przypłacili, a przynajmniej bylibyśmy uwięzieni. Jestto bardzo zręczny człowiek!

— Nie zapomnę o tem! Ale mówmy o panu Fouquet! Co chcesz z nim uczynić?

— Jeszcze chwilkę, proszę Waszej Królewskiej Wysokości! Przebacz, jeżeli uważasz za uchybienia, że wypytuję ciągle!

— Jestto twoim obowiązkiem! i masz jeszcze do tego prawo!

— Zanim przejdziemy do pana Fouquet, miałbym to na sumieniu, gdybym zapomniał o innym moim przyjacielu!

— O panu du Vallon! tym herkulesie francuskim; co do niego, los jego już zapewniony.

— Nie o nim chciałem mówić!

— To zapewne o hrabi de La Fere?

— I o jego synu, którego my we czterech uważamy za własnego syna.

— Ten chłopiec, co umiera z miłości dla La Valliere, którą mu brat mój odebrał tak nieszlachetnie? Bądź spokojny, ja mu ją powrócę. Ale powiedz mi, panie d'Herblay: czy się zapomina obelg, kiedy się kocha? Czy przebacza się kobiecie, która nas zdradziła? Czy to jest w charakterze Francuzów? i czy to wrodzone jest sercu ludzkiemu?

— Człowiek, tak mocno kochający, jak Raoul de Bragellone, zawsze kończy na tem, że zapomni zbrodni osoby ukochanej. Ale nie wiem, czy Raoul zapomni?

— Postaram się o to! A więc już to wszystko, co chciałeś powiedzieć o swoim przyjacielu?

— Nic więcej!

— Wróćmy więc teraz do pana Fouquet! Jak myślisz, co z niego zrobić?

— Proszę Waszej Królewskiej Wysokości, niech pozostanie, jak dotąd nadintendentem!

— Dobrze! Ależ on jest dziś pierwszym ministrem!

— Nie zupełnie jeszcze!

— Ależ monarsze tak nieobeznanemu i zakłopotanemu, jakim ja będę, będzie koniecznie potrzeba pierwszego ministra?

— Potrzeba będzie przyjaciela Waszej Królewskiej Mości!

— Mam tylko jedynego, ciebie!

— Później Wasza Królewska Mość będziesz miał ich więcej, ale nigdy tak szczerze poświęconych Waszej Królewskiej Mości i chwale jego, jak ja.

— Będziesz pierwszym moim ministrem!

— Nie zaraz, Najjaśniejszy Panie! Krok bowiem ten obudziłby podejrzenie.

— Pan de Richelieu, pierwszy minister mojej babki Marji de Medicis, był tylko biskupem Lubon, tak jak ty, panie, jesteś biskupem Vannes.

— Widzę, że Wasza Królewska Wysokość korzystałeś z moich notatek. Ta zadziwiająca przezorność napełnia mię radością!

— Wiem i o tem, że pan de Richelieu za staraniem królowej wkrótce został kardynałem!

— Byłoby lepiej — rzekł Aramis, kłaniając się — gdybym nie był pierwszym ministrem, dopóki Wasza Królewska Wysokość nie zrobisz mię kardynałem!

— Będziesz nim, panie d'Herblay, zanim dwa miesiące upłyną. Ależ to bagatela i bynajmniej nie obrazisz mię, żądając czegoś więcej, a zamartwisz gdybyś na tem poprzestał.

— To też ja mam o coś więcej prosić Waszą Królewską Wysokość.

— Cóż to takiego? mów!

— Wszak pan Fouquet nie będzie wiecznie się zajmował interesami, bo prędko się zestarzeje. Lubi rozkosze, które z łaski sił, jakich jeszcze używa, nie przeszkadzają dzisiej szej jego pracy, ale siłę tę pierwsze silniejsze zmartwienie albo pierwsza słabość zniszczy; zmartwienia oszczędzimy mu, gdyż jest szlachetnym człowiekiem, ale chorobie nie będziemy mogli zapobiedz; to pewnik. Gdy Wasza Królewska Wysokość zapłacisz jego długi i dochody skarbu doprowadzisz do porządku, będzie mógł królem być wśród swoich poetów i malarzy,

gdyż będzie bogatym. Wówczas ja, zostawszy pierwszym ministrem Waszej Królewskiej Mości, będę mógł pomyśleć o moich i Waszej Królewskiej Mości interesach!

Młodzieniec wpatrywał się w mówiącego.

— Pan de Richelieu, o którym mówiliśmy — rzekł Aramis — popełnił wielki błąd, zajmując się jedynie zarządem Francji. Przez to umieścił na jednym tronie dwóch królów, to jest: Ludwika XIII-go i siebie, wówczas kiedy mógł bardzo łatwo umieścić każdego z nich na oddzielnym tronie!

— Na oddzielnym tronie?... — spytał młodzieniec zamyślony.

— A tak!... — mówił dalej Aramis najobojętniej. — Kardynał, pierwszy minister Francji, wspomagany łaską i protekcją króla arcy-chrześcijańskiego, kardynał, któremu król jego pan, udzielając rady, pożyczy wojska i pieniędzy, człowiek ten podwójnieby błądził, gdyby środków tych użył tylko jedynie dla Francji.

Zresztą Wasza Królewska Wysokość — dodał Aramis, patrząc bystro w oczy Filipowi — nie będziesz takim królem, jakim był jego ojciec, słabym, powolnym, którego wszystko utrudzało: będziesz królem głową i orężem; nie poprzestaniesz na swojem państwie, gdyż ja w niem będę ci przeszkodą.

Ale ponieważ przyjaźń nasza nietylko nie powinna się zerwać, ale nawet przez myśl jakąś przelotną nie powinna być zachwianą, kiedy więc ja Waszej Królewskiej Mości dałem tron Francji, Wasza Królewska Mość dasz mi tron świętego Piotra.

A wówczas ręka twoja szczera, silna i uzbrojona, będzie miała szczerą towarzyszkę w ręce takiego, jak ja, Papieża, wówczas ani Karol V-ty, który dwie części świata posiadał, ani Karol Wielki, który go miał cały, nie dorównają ani w połowie twej sławie. Nie mam innych związków, wolny jestem od przesądów, nie sprowadzę ani prześladowania heretyków, ani wojny domowej; powiem tylko: dla nas dwóch jest cały świat, dla mnie władza duchowna, dla ciebie zaś świecka. A że z porządku rzeczy, jako starszy umrę pierwej, będziesz więc moim spadkobiercą! Cóż Wasza Królewska Mość mówisz o tym planie.

— Mówię, że na samą myśl o tem, już jestem szczęśliwy i dumny. Panie d'Herblay, będziesz kardynałem i moim pierwszym ministrem. A potem wskażesz mi, co trzeba będzie przed-

sięwziąć, ażeby cię obrano papieżem i ja tego dokonam!... Żądaj, jakiej chcesz na to pewności?...

— To niepotrzebne, gdyż, działając, zawsze tak będę działał, ażebyś coś przy tem zyskiwał i nie postąpię nigdy wyżej, nim Wasza Królewska Mość również nie postąpisz i zawsze będę w takiej odległości, że uniknę zazdrości twojej, a dosyć blisko, ażeby przysparzać ci korzyści i czuwać nad twoją przyjaźnią. Wszystkie umowy tego świata zrywane są dlatego, że jedna strona ma więcej korzyści od drugiej. Między nami nigdy tego nie będzie, a więc żadnej nie potrzebuję rękojmi.

— A więc... mój brat... zniknie...

— Najprostszym sposobem... Porwiemy go z łóżkiem za pomocą sprężyny, w podłodze ukrytej, a usnąwszy pod koroną, obudzi się w więzieniu. Od tej chwili sam będziesz rozkazywał i najważniejszą dla Waszej Królewskiej Mości rzeczą będzie, zatrzymać mnie przy sobie.

— To prawda!... Masz na to rękę moją, panie d'Herblay.

— Dozwól Wasza Królewska Mość, abym teraz z całem uszanowaniem, na kolanach go przyjął, uściskamy się dopiero w dniu, w którym będziemy mieli na głowie, ty koronę, a ja tjarę.

— Uściskaj mię dziś i bądź więcej niż wielkim, więcej niż zręcznym, więcej niż najwznioślejszym genjuszem; kochaj mnie i bądź mi ojcem.

Aramis omal nie rozczulił się, słysząc te słowa.

Zdawało mu się, że uczuwa nieznane aż dotąd sercu wzruszenie, lecz wrażenie to prędko przeminęło.

— Ojcem mu być — pomyślał — a tak, Ojcem świętym.

I wsiedli do karety, która szybko potoczyła się do Vaux-le-Vicomte.

CCXX

ZAMEK VAUX-LE-VICOMTE.

Zamek Vaux-le-Vicomte, położony o milę od Melun, wybudowany był przez Fouqueta w roku 1653.

Wówczas Francja bardzo mało miała pieniędzy.

Mazarini wszystkie zagarnął, a Fouquet resztę wydawał.

Ale że niektórych ludzi wady są użyteczne, więc i Fouquet, wydając miljony na ten pałac, znalazł sposobność zgromadzić trzech najsłynniejszych ludzi: Lavau, budowniczego, Lenotre, planistę ogrodów i Lebruna, ozdabiającego pokoje.

Gdyby można co zarzucić budowie tego pałacu, to chyba jego ogrom i wspaniałość.

Dziś weszło w przysłowie liczyć na morgi dach jego, naprawa bowiem jego za naszych czasów niejeden zniszczyłaby majątek.

W Vaux-le-Vicomte, kiedy się przebyło wspaniałą kratę, opartą na karjatydach, odsłaniała się główna budowa na obszernym dziedzińcu, okolonym fosą z przepyszną balustradą kamienną.

Nic wspanialszego nad główny pawilon, dumnie wznoszący się między czterema otaczającemi go budowlami, to mnóstwo kolumn wysokich, jak cała budowla; wierzchołki ich, ozdobione rzeźbą w arabeski, dają pojęcie o bogactwie i smaku, kopuły zaś, przewyższające wszystko, o pełności stylu i wspaniałości.

Lecz, jeżeli gust i wspaniałość uderzają w szczegółach pałacu, to bogate ozdoby wewnętrzne, mnóstwo malowideł i rzeźb, przewyższyć może chyba zwierzyniec i ogrody.

Fontanny cudowne w 1653 r., są do dziś dnia takiemi.

Wodospady wprawiały w podziw królów i książąt, ale opisać ową sławną grotę, zamieszkaną przez nimfę Vaux, którą Pellisson i La Fontaine już tak świetnie opisali, my, czując nieudolność naszą, nie odważamy się wcale.

Wejdźmy lepiej do zwierzyńca, liczącego ośm lat wieku tylko gdzie wysokie wierzchołki drzew czerwieniły się przy pierwszych promieniach wschodzącego słońca.

Drzewa były przenoszone do niego dorosłe, a sztuczna uprawa ziemi, podwyższając ich siłę żywotną, powiększyła raptownie i wzrost.

Łatwo mógł Fouquet zakupywać drzewa do zwierzyńca, on, który trzy wsie z gruntami nabył aby go powiększyć.

Pałac ten, wystawiony przez poddanego, podobniejszy był daleko bardziej do rezydencji królewskiej, niż pałace, które Wolsey zmuszony był podarować swemu monarsze, z bojaźni, by nie obudzić w nim zazdrości.

Pani Scudery mówi, opisując pałac ten w szczegółach najdrobniejszych, w dziele pod tytułem Klelia, że pan Fouquet, ażeby mieć wodę do polewania ogrodów, podzielił rzekę na tysiąc fontan, a te tysiące fontan na tysiące potoków.

Ale ciekawy czytelnik więcej skorzysta, widząc Vaux, niż czytając Klelię.

Pałac ten gotów był na przyjęcie największego w świecie monarchy.

Przyjaciele pana Fouquet zwieźli do niego: jedni autorów i ich dzieła, inni rzeźbiarzy i malarzy, inni wreszcie świeżo zaostrzony dowcip; szło bowiem o zrobienie rzeczy niespodziewanych.

Kaskady szumiały niespokojnie, nimfy, napełnione czystą jak kryształ wodą, rozlewały ją na bronzowych trytonów i nereidy, a blask słońca czynił krople podobnemi do mnóstwa brylantów.

Mnóstwo służących przebiegało obszerne dziedzińce i korytarze, pan Fouquet zaś, przybywszy od rana, przechadzał się spokojny i przezorny, wydając ostateczne rozkazy.

Było to, jakeśmy już powiedzieli, 15 sierpnia.

Słońce, rzucając prostopadłe promienie na barki bronzowych lub marmurowych bożków, ogrzewało wodę i przyśpieszało dojrzewanie przepysznych brzoskwiń, których król w pięćdziesiąt lat później miał bardzo żałować, kiedy ich zabrakło w ogrodach Marly, a które dwa razy tyle co Vaux kosztowały Francję. Wówczas wielki król rzekł do kogoś:

— Za młody jesteś, abyś mógł jeść brzoskwinie pana Fouquet.

O wspomnienie! o trąbo sławy! o chwało tego świata!

Ten, który tak doskonale oceniać umiał zasługi, ten, który mu odebrał Lenotra i Lebruna, ten, który zamknął go na całe życie w więzieniu, ten przypominał sobie tylko brzoskwinie zwyciężonego, zgubionego i zapomnianego nieprzyjaciela.

Napróżno Fouquet rzucił 10 miljonów talarów na dłuta rzeźbiarzy, do kałamarzy poetów, do tek malarzy, napróżno! wszystko to nie przechowało o nim pamięci

Ale brzoskwinia soczysta, dojrzała otoczona ostrokończostemi zielonemi liśćmi, posiadająca tak drobną cząstkę materji roślinnej, że ją lada mysz zgryzie, wystarczała Wielkiemu Królowi do wywołania z grobu pamięci, żałobnego cienia, ostatniego nadintendenta Francji.

Aramis przygotował wszystko jaknajlepiej.

Fouquet zajął się tylko ogółem, Gourville pokazywał mu teatr; wkońcu zwiedziwszy kaplicę, salony, galerje i wracając strudzony, spotkał Aramisa.

Prałat dał mu znak.

Nadintendent połączył się z przyjacielem.

Ten zatrzymał go przed ogromnym obrazem, tylko co ukończonym.

Pracując nad oczyszczeniem go, Lebrun malarz, okryty potem, powalany farbami, blady ze zmęczenia i natchnienia, suwał po nim raptownie szczotką.

Był to portret króla, którego oczekiwano w galowej sukni, którą Percerin raczył wprzód pokazać biskupowi Vannes.

Fouquet zatrzymał się przed żyjącym prawie obrazem.

Przypatrując mu się z uwagą, oceniał herkulesową pracę malarza, a nie znajdując stosownej nagrody, chwycił go za szyję i uściskał.

A wynagradzając tem malarza, zniszczył mu ubranie, które tysiąc pistolów kosztowało.

Była to piękna dla malarza, ale smutna dla Percerina chwila, który, idąc za Fouquetem, widział, jak zniszczył wspaniały ubiór. Boleść jego i utyskiwania przerwał znak, dany ze szczytu pałacu, gdyż straże, tam umieszczone, spostrzegły nadciągające powozy z drugiej strony Melun, i jeźdźców, składających orszak królewski.

— Za godzinę — rzekł Aramis do Fouqueta.

— Tak, za godzinę — odpowiedział tenże z westchnieniem.

— A ten lud zapytuje sam siebie, na co przydadzą się te zabawy królewskie — rzekł Aramis z właściwym mu chytrym uśmiechem.

— Niestety! ja, co nie jestem ludem, zapytuję siebie także o to samo.

— Odpowiem na to panu za 24 godzin. Tymczasem bądź wesół, gdyż jestto dzień radości.

— Słuchaj, wierz mi, jeżeli chcesz, d'Herblay — rzekł ze szczerością nadintendent, wskazując palcem w stronę, gdzie król się znajdował. — On mnie nie kocha i ja jego nie bardzo, ale nie wiem, czem się to dzieje, że kiedy teraz się zbliża do mojego domu...

— To co?

— Oto, kiedy się zbliża, czuję, że jest moim królem, że jego osoba jest świętą i staje mi się drogim.

— Drogim? tak — rzekł Aramis, dając podobne temu wyrazowi znaczenie, jakie później dał ksiądz Terray, mówią o Ludwiku XV.

— Nie, d'Herblay, czuję, że, gdyby tylko chciał, pokochałbym go szczerze.

— Nie mnie o tem powinieneś mówić, ale raczej panu Colbert — rzekł Aramis.

— Panu Colbert! — zawołał Fouquet — dlaczegóż?

— Bo gdy on zostanie nadintendentem, wyrobi ci za to pensję dożywotnią!

Potem Aramis skłonił się.

— Dokąd idziesz? — spytał Fouquet ponuro.

— Do siebie, aby się przebrać.

— A gdzieżeś się umieścił, panie d'Herblay?

— W pokoju niebieskim, na drugiem piętrze.

— W tym, który jest nad pokojem królewskim.

— Tak!

— Co za pomysł skazać siebie na to, ażeby się nie módz prawie poruszyć.

— Całą noc zwykle albo śpię, albo czytam w łóżku.

— Ależ twoi ludzie?

— Mam tylko jednego z sobą.

— Tak mało?

— To dosyć dla mnie, żegnam pana, nie męcz się pan zbytecznie. Zachowaj rześkość umysłu na przybycie króla.

— No, ależ zobaczymy i ciebie i twego przyjaciela, pana du Vallon.

— Umieściłem go obok siebie, ubiera się teraz.

Fouquet pożegnał go skinieniem głowy i uśmiechem i poszedł, jak główno-dowodzący generał, zwiedzający forpoczty, któremu dano znać, że się zbliża nieprzyjaciel.

Król wiechał do Melun, z zamiarem przejechania tylko przez miasto.

Młody monarcha pragnął uciech.

W czasie podróży dwa razy tylko spostrzegł La Valliere, a zgadując, że nie będzie jej mógł widzieć, chyba dopiero, po odbytych ceremonjach, podczas nocy w ogrodzie, śpieszył do Vaux.

Ale ułożył ten projekt, nie poradziwszy się ani kapitana muszkieterów, ani pana Colbert.

Nasz Gaskończyk, podobny do Kalipso, która nie mogła się pocieszyć po odjeździe Ulisessa, nie mógł się pocieszyć dlatego że nie odgadł dotąd, dlaczego Aramis chciał widzieć u Percerina suknie królewskie.

— Jednakże — mówił do siebie — to nieprzebrany w projektach umysł — i musi być koniecznie jakaś przyczyna, dla której mój przyjaciel biskup de Vannes to uczynił.

I łamał sobie nad tem głowę.

D'Artagnan, tak wtajemniczony w intrygi dworskie, znając położenie Fouqueta, lepiej niż on sam, zaraz przypuszczał do głowy najdziwaczniejsze podejrzenia co do zapowiedzianej zabawy, która zniszczyłaby najbogatszego człowieka, a niepodobieństwem była dla człowieka tak zrujnowanego, jak Fouquet.

A przytem obecność Aramisa, przybyłego z Belle-Isle i urządzającego przyjęcie z upoważnienia Fouqueta, wciśnięcie się jego do wszystkich interesów nadintendenta, odwiedziny biskupa Vannes u Baisemeaux, wszystko to od niejakiego czasu dręczyło go niezmiernie.

— Z takimi ludźmi, jak Aramis — mówił do siebie — trzeba koniecznie być uzbrojonym. Dopóki był żołnierzem, była jeszcze jaka taka nadzieja zwyciężenia go. Ale gdy podszył pancerz stułą, to już ani sposobu; ale czegóż on chce?

I d'Artagnan poskrobał głowę, tą żyzną ziemię, z której jego palce niejeden dobry wydobyły pomysł.

Z początku miał zamiar połączyć się z Colbertem.

Ale jego przyjaźń i dawne przysięgi ściśle go łączyły z Aramisem.

Odrzucił więc ten pomysł.

A zresztą nie cierpiał tego finansisty.

Chciał zwierzyć się królowi.

Ale król nie zrozumiałby jego podejrzeń, które, mówiąc prawdę, nie miały cienia rzeczywistości.

Postanowił wprost rozmówić się z Aramisem, przy pierwszem spotkaniu.

— Wezmę go krótko — rzekł do siebie — prosto, śmiało, rozrzewnię go i musi mi powiedzieć!... Ale tu jest coś!... o... do miljona djabłów, tu jest coś!...

Spokojniejszy już, zajął się przygotowaniami do podróży, starając się, aby wojskowy dwór królewski, nieliczny na ówczas, był dobrze reprezentowany.

Z tego wynikło, że król, przybywając do Melun, ujrzał się na czele muszkieterów, Szwajcarów i oddziału gwardji francuskiej.

Colbert spoglądał na to małe wojsko z radością i życzeniem, ażeby mogło być liczniejszem.

— Dlaczego — mówił król.

— Ażeby więcej sprawić zaszczytu panu Fouquet — rzekł Colbert.

— Ażeby go prędzej zrujnować — pomyślał d'Artagnan.

Wojsko okazało się przed Melun, którego przedniejsi mieszkańcy złożyli klucze królowi, z prośbą, ażeby wstąpił do ratusza i tam, podług zwyczaju, napił się wina honorowego.

Król, spodziewając się, że przejdzie tylko przez miasto, zaczerwienił się ze złości.

— Co to za głupiec sprawił mi to opóźnienie? — mruknął, podczas kiedy najstarszy z mieszczan miał mowę do króla.

— To nie ja — odpowiedział d'Artagnan. — Ale zdaje mi się, że to pan Colbert.

Colbert usłyszał wymówione swoje nazwisko.

— Co pan rozkaże? — zapytał.

— Chciałbym wiedzieć, czy to pańskiem staraniem król będzie pił wino?

— Tak, panie.

— A zatem to pana król nazwał...

— Jak?

— Nie pamiętam... ale czekaj... tak, bydlęciem, nie.... osłem, czy głupcem, tak, tak, król taką nazwą zaszczycił tego, co mu sprawił tą niespodziankę.

Poczem d'Artagnan najspokojniej zaczął głaskać swego konia.

Duża głowa pana Colberta nadęła się jak balon.

D'Artagnan, spostrzegłszy jego gniew, nie poprzestał na tem.

Mówca perorował, król coraz więcej czerwieniał.

— Do djabła!... — rzekł d'Artagnan — król może być tknięty apopleksją. Skąd ci przyszedł ten pomysł, panie Colbert, dziś nie masz jakoś szczęścia.

— Wierność moja dla króla natchnęła mi go!.. — rzekł Colbert, prostując się. — Mój panie. Melun jest miastem i to miastem, które regularnie płaci, nie trzeba więc go obrażać.

— No, proszę, a ja, nie będąc finansistą, zupełnie co innego w tym pomyśle widziałem.

— Cóż takiego?

— Że chciałeś znudzić i udręczyć Fouqueta dłuższem na nas oczekiwaniem.

Cios dobrze był wymierzonym.

Colbert czuł się zwyciężonym i oddalił się jak mówią, opuściwszy uszy.

Szczęściem, mowa skończyła się, król napił się wina i wszyscy ruszyli przez miasto.

Król przygryzał usta.

Noc nadchodziła, a z nią nikła nadzieja widzenia się z La Valliere.

Ażeby cała świta królewska przybyła do Vaux, potrzeba było co najmniej czterech godzin.

To też król zniecierpliwiony napędzał do pośpiechu królowę.

Ale w chwili wyruszenia z miejsca, nowe nastąpiły trudności.

— Czy król nie będzie nocował w Melun? — zapytał zcicha Colbert d'Artagnana.

Colbert źle się wybrał z tem zapytaniem do kapitana muszkieterów.

D'Artagnan chciał, ażeby król przybył do Vaux dla bezpieczeństwa z całą eskortą, z drugiej strony jednak czuł, że opóźnienie to burzyło charakter niecierpliwy króla.

Jakże pogodzić te okoliczności?

Chwycił Colberta za słowo i wystawił go na sztych.

— Najjaśniejszy Panie!... — rzekł — pan Colbert pyta, czy Wasza Królewska Mość nie będzie w Melun nocować?

— Nocować w Melun?... dlaczego?... nocować w Melun!... komuż, u djabła, przyszło to do głowy?... kiedy tego jeszcze wieczora oczekuje nas pan Fouquet.

— Była to bojaźń — rzekł śpiesznie Colbert — ażeby nie uchybić etykiecie, wedle której Wasza Królewska Mość możesz nocować tylko u siebie, a nim furjer oznaczy mieszkanie i zanim garnizon zajmie właściwe miejsce, będzie późno.

D'Artagnan słuchał, gryząc wąsy.

Królowe słyszały także.

Zmęczone były i chciałyby spocząć, a nadewszystko przeszkodzić przechadzce wieczornej króla z damami i panną La Valliere.

Bo, jeżeli etykieta nie pozwalała tego damom z rodziny panującej, za to damy dworskie, po skończonej służbie, mogły przechadzać się tak długo, jak im się podobało.

Wszystkie te przeszkody zbierały się w chmurę, a chmura naturalnie spowodować mogła burzę.

Król nie miał wąsów, ażeby je gryźć, ale zato gryzł rękojeść szpicruty.

Jak się z tego wywikłać?

D'Artagnan był uprzejmym, a Colbert nadętym.

Na kogo złość spędzić?

— Jakież jest zdanie w tej mierze Ich Królewskich Mości?... — zapytał Ludwik XIV-ty, kłaniając się.

Grzeczność ta dotknęła Marję Teresę, która miała serce szlachetne i dobre, a czując wolność postanowienia, odpowiedziała z uszanowaniem:

— Zawsze z przyjemnością wypełnię wolę Waszej Królewskiej Mości!...

— Jak długiego trzeba czasu na to, ażeby przybyć do Vaux?... — spytała Anna Austrjacka, cedząc każdą sylabę i przyciskając ręką zbolałe łono.

— Godzinę dla karet — rzekł d'Artagnan — drogi są bowiem dobre.

Król spojrzał na niego.

— A kwadrans dla króla — pospieszył dodać.

— A zatem przybędziemy jeszcze za dnia!... — rzekł Ludwik XIV-ty.

— Ależ umieszczenie dworu i wojska — wtrącił zwolna Colbert — opóźni przybycie Waszej Królewskiej Mości, jakkolwiek będzie ono pospieszne!...

— O ty podwójny głupcze!... — pomyślał d'Artagnan — gdybym miał jaki interes w pozbawieniu cię łaski, uczyniłbym to w dziesięć minut... Gdybym był na miejscu króla — dodał głośno — udałbym się do pana Fouquet, który jest bardzo dobrze wychowanym człowiekiem, zostawiając mój orszak, a pojechałbym, jak przyjaciel, sam jeden, z kapitanem gwardji, przez co byłbym większym i nietykalnym.

Radość zabłysła w oczach królewskich.

— To się nazywa dobra rada, moje panie!... — rzekł król. — Jedźmy, jak przyjaciele do przyjaciela. Powozy niech jadą zwolna, my zaś panowie!... dalej, naprzód!...

Wszyscy konni pojechali za nim.

Colbert ukrył wielką ze zmarszczonem czołem głowę za karkiem konia, na którym jechał.

— Wygram na tem — mówił do siebie d'Artagnan, galopując — bo się zobaczę i rozmówię z Aramisem, a zresztą pan Fouquet jest szlachetnym człowiekiem, do licha, ja to mówię i trzeba temu uwierzyć.

I tym sposobem około godziny siódmej wieczorem król, bez odgłosu trąb, bez straży i dworu przybył na dziedziniec Vaux, gdzie Fouquet, uprzedzony, oczekiwał nań z odkrytą głową, wpośród swoich sług i przyjaciół.

CCXXI

PÓŁTORA GASKOŃCZYKA PRZECIW JEDNEMU GASKOŃCZYKOWI.

Fouquet przytrzymał strzemię królowi; ten ,rzeźko zsiadłszy z konia, podał mu z uprzejmością rękę, którą Fouquet, pomimo lekkiego oporu króla, ucałował.

Król czekał na dziedzińcu, aż przybędą powozy.

Co nastąpiło wkrótce, gdyż z rozkazu nadintendenta, droga z Melun do Vaux była tak starannie naprawioną i oczyszczoną, że powozy, tocząc się po niej, jak po dywanie, przywiozły damy, wcale tą podróżą nieutrudzone.

Przyjęła je pani nadintendentowa, a w chwili przybycia tysiące świateł, jakby za dotknięciem laski czarodziejskiej, zabłysły we wszystkich oknach i ozdobach pałacu.

Cuda, które kronikarz, walcząc o pierwszeństwo z romansopisarzem, podał do potomności, świetność zwyciężonej światłem nocy, rozkosze, zadawalające umysły i zmysły, wszystko to rzeczywiście sprawił Fouquet na uczczenie swego monarchy w czarodziejskiem mieszkaniu, któremu żadna z siedzib u panujących ówczesnych monarchów Europy nie mogła wyrównać.

Opisywać nie będziemy ani uczty, danej dla Ich Królewskich Mości, ani koncertów, ani innych cudownych urozmaiceń zabawy, poprzestaniemy tylko na opisaniu wyrazu twarzy królewskiej, jaki po przybyciu, stał się ponurym, wymuszonym i wzburzonym.

Porównywał bowiem swoje własne mieszkanie i ten biedny zbytek, jaki w niem panował, przywiązany jedynie do tytułu królewskiego, a nie będący jego osobistą własnością!...

Meble i srebra Luwru, nagromadzone przez Henryka II-go, Franciszka I-go i Ludwika X-go, były tylko pamiątkami historycznemi, były tylko przedmiotami sztuki, z używaną odzieżą godności królewskiej.

U Fouqueta zaś wartość ich wyrobu przewyższała rzeczywistą.

Fouquet jadał z naczyń, które rzemieślnicy wyrobili z kruszczu i ozdobili rzeźbą li tylko dla niego.

Pił wina, których król nie znał nawet nazwiska, a pił je z puharów, z których każdy kosztowniejszy był od całej piwnicy królewskiej.

Cóż dopiero mówić o ozdobach pokojów, malowidłach rzeźbach, obrazach i mnogości służby.

Co powiedzieć o obfitości, dostatkach, tam, gdzie rozkosz, zadowolenie i skinienie biesiadników stanowiło prawo dla wszystkich, składających dom gospodarza?...

Chmary sług, spełniających rozkazy z dokładnością i jaknajwiększą ciszą, niezliczone mnostwo potraw, naczynia złote

i srebrne, potoki światła, nagromadzenie nieznanych dotąd, a najświeższych i najrzadszych kwiatów, słowem wszystko tak pełne wdzięku, a stanowiące tylko wstęp zabawy, zachwyciło tak dalece przybyłych, że okazywali swoje zadowolenie, nie głosem i gestami, lecz milczeniem i podziwem, jak dworacy, którzy nie pochwycili jeszcze tonu z piosenki swego pana.

Król nadęty nie śmiał spojrzeć na królowę. Anna Austrjacka, dumniejsza od wszystkich, poniżała gospodarza, pogardzając wszystkiemi potrawami, jakie jej podawano.

Młoda królowa, dobra i czuła, wychwalała Fouqueta, jadła z dobrym apetytem i zapytywała o nazwę owoców, któremi stół był zastawiony.

Fouquet odpowiedział, że nie wie, chociaż owoce te pochodziły z jego cieplarni, i często sam trudnił się ich uprawą gdyż biegłym był w ogrodnictwie.

Król pojął tę jego delikatność i tem więcej czuł się poniżonym.

Uważał postępowanie królowej trochę za popularne, a Anny Austrjackiej za dumne, postępowanie zaś jego samego było oziębłe, graniczące między najwyższą pogardą i zwyczajnym w podobnych zdarzeniach podziwem.

Ale Fouquet przewidział to: był to bowiem człowiek przewidujący.

Król zapowiedział, że przez czas pobytu swego u pana Fouquet chce, ażeby obiady jego nie były podciągane pod przepisy etykiety, a tem samem, że będzie jadał u wspólnego stołu.

Lecz, za staraniem nadintendenta, obiad królewski, chociaż przy ogólnym był stole, przygotowany został osobno: obiad ten złożony był z potraw, które król lubił najlepiej.

Ludwik nie mógł się więc wymówić brakiem apetytu, gdyż miał apetyt najlepszy w całem królestwie.

Fouquet postąpił jeszcze lepiej: posłuszny rozkazowi królewskiemu, siadł razem do stołu, lecz zaraz po zupie, powstawszy, usługiwał królowi, żona zaś jego królowej matce.

Pogarda więc Junony i nieukontentowanie Jowisza nie mogły walczyć z tak szczerą uprzejmością.

Królowa matka zjadła biszkopt z winem Saint Lucar, a król zjadał wszystko, co było, mówiąc do Fouqueta:

— Nigdzie nic lepszego nie jadłem.

Na to hasło, biesiadnicy zaczęli pożerać z takim zapałem, że śmiało porównać ich było można z mnóstwem szarańczy egipskiej, niszczącej zielone pola.

To wszakże nie przeszkodziło królowi po zaspokojeniu głodu być smutnym w miarę wesołości, jaką powinien był okazać, smutnym nadewszystko z zadowolenia gości, okazywanego Fouquetowi.

D'Artagnan, chociaż jadł i pił za czterech, poczynił przytem mnóstwo ciekawych dla siebie spostrzeżeń.

Po kolacji król chciał się przejść.

Zwierzyniec był oświetlony, księżyc, jakby posłuszny życzeniom właściciela Vaux srebrzył wierzchołki drzew i roztaczał brylantowo-fosforyczne światło na powierzchni wód.

Powietrze było łagodne, szpalery ciemne i miękkim wysypane piaskiem.

Radość była zupełną, gdyż król, spotkawszy La Valliere na brzegu lasku, mógł ją uścisnąć za rękę i powiedzieć: "Kocham cię."

I oprócz d'Artagnana, idącego za nim i Fouqueta, przed nim postępującego, nikt tego nie słyszał.

Czarodziejska ta noc ku schyłkowi już była, kiedy król wyraził chęć spoczynku.

Wszystko się poruszyło natychmiast.

Królowe przeszły do swoich pokojów przy odgłosie muzyki, król na schodach, wiodących do jego pokojów, zastał muszkieterów, sprowadzonych przez Fouqueta z Melun i zaproszonych na wieczerzę.

D'Artagnan zaniechał niedowierzania, zmęczony był, jadł i pił dobrze i chciał choć raz w życiu skorzystać z zabawy u prawdziwego tejże króla.

— Lubię takich, jak pan Fouquet — rzekł.

Wprowadzono króla ceremonjalnie do pokoju Morfeusza, który pokrótce winniśmy opisać czytelnikowi.

Był to najpiękniejszy i najobszerniejszy pokój z całego pałacu.

Lebrun wymalował na kopule jego, sny miłe i smutne, które Morfeusz zsyła na ludzi jak i na królów.

Wszystko, co sen może zgromadzić najprzyjemnieszego, wzbudzić lub uśpić żądze, przestraszyć lub zadziwić, wszystko to malarz zgromadził w kunsztownych freskach.

Król, wszedłszy do tego przepyszenego pokoju, zadrżał.

Fouquet zapytał o przyczynę.

— Spać mi się chce!... — odpowiedział król pobladły.

— Czy Wasza Królewska Mość każe przywołać służbę.

— Nie! mam jeszcze do pomówienia z niektóremi osobami. Niech mi zawołają pana Colberta!

Fouquet skłonił się i wyszedł.

D'Artagnan, podług zwyczaju, nie tracąc czasu, wyszukał Aramisa, który skoro tylko król przyjechał, poszedł do swego mieszkania, zapewne dlatego, aby nową jaką wymyślić dla króla niespodziankę.

Zastał go w pokoju niebieskim, na drugiem piętrze, w towarzystwie Portosa i kilku ówczesnych epikurejczyków.

Aramis przywitał go uprzejmie, posadził na najwygodniejszem miejscu; panowie zaś obecni poznawszy z twarzy muszkietera, że ma coś tajemnego do pomówienia z Aramisem, pożegnali ich i wyszli.

Portos nie ruszył się.

Po dobrym obiedzie spał w najlepsze na krześle. Nie przeszkadzał więc w rozmowie; chrapanie jego tak było jednostajne, że można było rozmawiać, jakby przy odgłosie basetli.

D'Artagnan pojął, że to on powinien wszcząć rozmowę.

Objaśnienia, jakie chciał zebrać, były drażliwe, dlatego też wprost przystąpił do rzeczy:

— Otóż i jesteśmy w Vaux?... — rzekł.

— Czy podoba ci się to miejsce?

— Bardzo! i pokochałem nawet pana Fouquet.

— Nieprawdaż? taki uprzejmy!

— Nie można nim być więcej!

— Mówią, że król z początku był bardzo względem niego zimny, ale potem udobruchał się?

— A więc nie byłeś tam obecny, skoro powiadasz: "Mówią!"

— Nie! zajmowałem się właśnie tymi panami, którzy stąd dopiero odeszli, oraz przedstawieniem teatralnem jutrzejszem i karuzelem.

— A! prawda, jesteś kierownikiem tutejszych zabaw!

— Jak wiesz, jestem przyjacielem zabaw i pomysłów. Miałem zawsze trochę poetycznej żyłki.

— Przypominam sobie twoje wiersze, o! były nawet doskonałe.

— Ja już ich zapomniałem, ale cieszę się, kiedy mogę słyszeć wiersze innych, zwłaszcza kiedy ci inni nazywają się Moliere, Pellisson, La Fontaine itd.

— Czy wiesz, co mi przyszło do głowy podczas wieczerzy?

— Nie, ale opowiedz mi, bo inaczej nie zgadnę... ty masz zawsze pełno pomysłów.

— Oto przyszło mi na myśl, że Ludwik XIV-sty nie jest prawdziwym królem Francji!

— Co?... — rzekł Aramis i mimowolnie spojrzał w oczy d'Artagnana.

— Że nim jest Fouquet.

Aramis odetchnął i rzekł z uśmiechem:

— Więc i ty jak inni jesteś zazdrosnym. Założyłbym się, że ci tę myśl nasunął Colbert.

D'Artagnan, chcąc udobruchać Aramisa, opowiedział mu niemiłe zdarzenie Colberta, z powodu wina w Melun.

— Obrzydłe stworzenie ten Colbert — rzekł Aramis.

— Na honor, masz słuszność!

— Kiedy pomyślę — rzekł biskup — że ten cymbał będzie za sześć miesięcy twoim ministrem i, że będziesz musiał mu służyć jak Richelieumu i Mazariniemu.

— Tak, jak ty służysz panu Fouquet — odrzekł d'Artagnan.

— Z tą różnicą, że Fouquet nie jest Colbertem.

— To prawda.

I d'Artagnan udał zasmuconego.

— Ale — dodał po chwili — dlaczego mówisz, że za sześć miesięcy pan Colbert będzie ministrem.

— Gdyż pan Fouquet wówczas nim nie będzie.

— Zrujnuje się, nieprawdaż?

— Zupełnie.

— Na cóż więc tak wspaniałe zabawy?... — spytał muszkieter tonem tak rzetelnego współczucia, że na chwilę oszukał biskupa. — Dlaczegóżeś mu tego nie wyperswadował?

To ostatnie wyrażenie wzbudziło jednak na nowo nieufność Aramisa.

— Szło tu o pozyskanie względów królewskich — rzekł.

— Rujnując się.

— Tak, rujnując się dla niego.

— Szczególne wyrachowanie.

— To konieczna potrzeba.

— Nie widzę jej, kochany Aramisie.

— Przecież widziałeś współubieganie się Colberta, widziałeś że Colbert podżega ciągle króla, ażeby pozbył się nadintendenta?

— To bardzo widoczne.

— Ale niepodobna jednak, ażeby król był przeciw człowiekowi, który wszystko stracił, byle mu się przypodobać.

— To prawda — odrzekł zwolna d'Artagnan, bardzo mało w to wierząc, co słyszał, a ciekawy rozpocząć o czem innem rozmowę w inny sposób. — Są niedorzeczności — mówił dalej. — Ale ja nie lubię takich, jakie ty popełniasz.

— Jakie?

— Kolacja, bal, koncert, teatr, karuzele, kaskady, ognie sztuczne, iluminacje i podarunki, dobrze, przebaczam ci je, ale czyż nie dosyć już wydatku, potrzebaż było jeszcze odnawiać dom wewnątrz, zewnątrz i wszystko w nim sprawiać na nowo?

— To prawda! Mówiłem ja o tem panu Fouquet, ale mi na to odpowiedział: że, gdyby był tak bogatym, iżby mógł przyjąć króla w domu, zupełnie od chorągiewki na dachu aż do piwnic nowym, ze wszystkimi nowymi meblami i ozdobami, to po wyjeździe króla spaliłby go zupełnie, ażeby nic z niego nie mogło komu innemu służyć.

— A to duma hiszpańska!

— I ja mu to powiedziałem, ale on dodał: kto mi będzie w tym przypadku doradzać oszczędność, będzie moim nieprzyjacielem.

— Ależ powiadam ci, to szaleństwo, również jak i ten portret.

— Jaki portret?... — zapytał Aramis.

— Portret królewski! i ta niespodzianka...

— Niespodzianka?...

— Ale ta, dla sprawiania której brałeś próbki od Percerina.

D'Artagnan zatrzymał się; wypuścił strzałę, szło teraz o to, aby przekonać się, czy dosięgła celu.

— Była to prosta grzeczność — rzekł Aramis.

D'Artagnan zbliżył się do swego przyjaciela, wziął go za ręce i patrząc mu w oczy, rzekł:

— Aramisie, czy kochasz mię jeszcze choć trochę?

— Tak, kocham cię.

— Powiedz mi więc szczerze: Dlaczego brałeś próbki sukien królewskich u Percerina?

— Pójdź ze mną spytać o to biednego Lebruna, który pracował nad tem dwa dni i dwie noce.

— To może być dostateczne dla innych, ale dla mnie...

— Doprawdy, dziwnym jesteś, d'Artagnanie.

— Bądź dla mnie dobrym Powiedz mi prawdę, nie chciałbyś przecie, ażeby mię spotkała jaka nieprzyjemność?

— Kochany przyjacielu, nie rozumiem cię. Jakież, u djabła, podejrzenie wlazło ci do głowy?

— Czy wierzysz w moje przeczucia. Niegdyś wierzyłeś im. A przeczucie to powiada mi, że masz jakiś zamiar ukryty.

— Ja? zamiar?

— Nie jestem pewny, ale przysiągłbym na to.

— Dręczysz mię, przyjacielu, znasz mię i wiesz, że jeżeli mam zamiar, o którym pdwinienem przed tobą zamilczeć, to o nim się nie dowiesz. Gdybym zaś miał taki, jaki mógłbym ci wyjawić, dawnobym to uczynił.

— Nie Aramisie, nie. Są zamiary, które się wyjawia tylko w stosownych chwilach.

— A więc, mój dobry przyjacielu — odrzekł biskup, śmiejąc się — widać, że chwila ta jeszcze nie nadeszła.

D'Artagnan smutnie potrząsnął głową.

— O przyjaźni!... — rzekł — przyjaźni! czcze słowo! Oto człowiek, który, gdybym tego zażądał, dałby się za mnie w kawałki porąbać...

— To pewno — rzekł ze szlachetnością Aramis.

— I człowiek ten, który chętnie krew swoją poświęciłby dla mnie, dziś nie chce otworzyć cząstki serca przedemną. Przyjaźni! powtarzam, jesteś cieniem tylko, bańką, świecącą napróżno, jak wszystko, co błyszczy na świecie.

— Nie mów tak o naszej przyjaźni — rzekł biskup głosem, pełnym przekonania. — Nie jest ona bowiem tego rodzaju, o jakim mówisz.

— Patrz, Aramisie, oto z czterech nas jest tu trzech. Ty mię zwodzisz, ja mam ciebie w podejrzeniu. Portos śpi; zaiste, smutny to tercet przyjacielski, smutne resztki.

— Za jedną rzecz mogę ci zaręczyć, d'Artagnanie, przysięgam ci na ewangelję, że kocham cię tak, jak dawniej. Jeżeli unikam zwierzeń się tobie, to nie przez wzgląd na ciebie lub na mnie, ale przez wzgląd na kogo innego. We wszystkiem, co tylko szczęśliwie doprowadzę do skutku, zawsze będziesz miał udział. Przyrzecz mi więc wzajemność.

— Jeżeli nie mylę się, Aramisie, wyrazy te, które w tej chwili wymawiasz, pełne są szlachetności!

— Być może.

— Knujesz spisek przeciw Colbertowi. Jeżeli tylko to jest, czemuż mi u djabła nie mówisz, mam także sposoby i chętnie ci dopomogę.

Aramis nie mógł ukryć uśmiechu pogardy, który przemknął po jego szlachetnej twarzy.

— A gdyby i tak? cóżby w tem było złego?

— Nie, to rzecz za mała dla ciebie i zapewne nie dlatego, aby obalić Colberta, żądałeś próbek od Percerina. O! Aramisie, nie jesteśmy nieprzyjaciółmi lecz braćmi. Powiedz mi, co chcesz przedsięwziąć nie będę mógł być pomocą, przysięgam, pozostanę biernym.

— Ja nic nie przedsiębiorę — odparł Aramis.

— Aramisie, głos wewnętrzny mówi mi, objaśnia, a głos ten nigdy mię nie zawiódł. Ty knujesz coś przeciw królowi.

— Przeciw królowi!... — zawołał biskup, udając niezadowolenie.

— Wyraz twarzy twej nie przekona mię. Powtarzam: przeciw królowi.

— Będziesz więc mi pomagał?.. — spytał Aramis z uśmiechem ironji.

— O! więcej niż pomocnym będę tobie! więcej niż biernym, ja cię ocalę!

— Oszalałeś, d'Artagnanie.

— Z nas dwóch ja mam zdrowszy umysł.

— Podejrzewasz mię o królobójstwo?

— Któż o tem mówi?... — podchwycił muszkieter.

— Porozumiejmy się więc. Cóż można przeciw prawemu przedsięwziąć królowi, jeżeli nie zabić go?

D'Artagnan nie odpowiadał.

— A potem masz przecież tu pod komendą gwardję i swoich muszkieterów.

— To prawda.

— Nie jesteś u pana Fouquet, ale u siebie.

— I to prawda.

— A o tej godzinie nawet pan Colbert doradza królowi przeciw panu Fouquet wszystko to, co i tybyś może doradzał, gdybym ja nie był za nim.

— Aramisie! Aramisie! przez litość, jedno słowo przyjaźni.

— Słowem tem między przyjaciółmi jest: prawda. A jeżeli mam zamiar choć palcem dotknąć syna Anny Austrjackiej, prawdziwego króla Francji, jeżeli nie mam stałego postanowienia upaść na kolana przed jego tronem i jeżeli inna jest w mojej głowie myśl, niż ta, żeby dzień jutrzejszy tu w Vaux był dniem najchwalebniejszym jego panowania, to niech mię piorun trzaśnie.

Aramis wyrzekł te wyrazy z twarzą, zwróconą do alkowy, do której d'Artagnan odwrócony był plecami, nie domyślając się nawet, że tam jest ktoś ukryty.

Powaga tych słów, z namysłem, powoli wymawianych, świętość przysięgi, zaspokoiły zupełnie muszkietera, wziął za ręce Aramisa i uścisnął je serdecznie.

Aramis zniósł wyrzuty bez wzruszenia, ale zarumienił się, słysząc pochwały.

D'Artagnan, oszukany, był dlań zaszczytem, d'Artagnan, pełen ufności, był mu hańbą.

— Czy już odchodzisz?... — rzekł, całując go, ażeby, ukryć zarumienienie.

— Tak, obowiązek mię woła. Mam jeszcze odebrać hasło nocne.

— Gdzież będziesz spał?

— Zdaje się, że w przedpokoju królewskim! A Portos?

— Wyprowadź go gdzie, gdyż chrapie, jak trąba.

— A!... to on nie mieszka z tobą?... — rzekł d'Artagnan.

— Bynajmniej! nie wiem nawet, gdzie ma swój pokój.

— Bardzo dobrze — odrzekł muszkieter, któremu rozłączenie dwóch przyjaciół ostatnie zniszczyło podejrzenie.

Targnął za rękę Portosa, ten odezwał się ryczeniem.

— Pójdź!... — rzekł d'Artagnan.

— Patrzcie, wszak to d'Artagnan. Kochany przyjacielu!... ale jakim sposobem? A prawda, jestem na zabawie w Vaux.

— W tem pięknem ubraniu.

— To bardzo grzecznie ze strony pana Moliere, nieprawdaż?

— Cicho!... — rzekł Aramis — stąpasz tak, jakbyś chciał połamać podłogę!

— Prawda — rzekł muszkieter. — Pokój ten jest nad kopułą!

— I dlatego nie trzeba robić hałasu... — rzekł biskup — na suficie u króla są rozkosze snu. Nie zapominajcież więc, że moja podłoga jest nad nim. Dobranoc, przyjaciele, za dziesięć minut już śpię.

I Aramis wyprowadził ich, uśmiechając się.

A gdy wyszli, zaryglowawszy drzwi i zakrywszy okna, zawołał.

— Wasza Królewska Wysokość! Wasza Królewska Wysokość.

Filip wyszedł z alkowy przez tajemne drzwi, zakryte łóżkiem.

— Jednakże d'Artagnan niemało miał podejrzeń.

— Wasza Królewska Wysokość poznałeś d'Artagnana.

— Zanim go nazwałeś.

— To kapitan muszkieterów Waszej Królewskiej Mości!

— I całkiem mi oddany — odpowiedział Filip, wymawiając z przyciskiem zaimek osobisty.

— Wierny, jak pies, choć czasem kąsa. Jeżeli d'Artagnan nie pozna Waszej Królewskiej Mości zanim tamten zniknie, to możesz wiecznie liczyć na niego, gdyż wówczas — jeżeli się niczego nie domyśli, zachowa swą wierność — jeżeli zaś spostrzeże się zapóźno, to z niego Gaskończyk jest, więc nigdy nie przyzna się, że się omylił.

— I ja tak sądzę... Ale cóż teraz będziemy robili?

— Musisz Wasza Królewska Wysokość usiąść przy swej spostrzegalni i przypatrzyć się, jak król się kładzie, abyś wiedział, jak masz to czynić nawpół ceremonjalnie.

— Bardzo dobrze!... Ale gdzież mam się umieścić?

— Usiądź Wasza Królewska Wysokość, na tym taborecie. Ja odsunę część podłogi, a będziesz wszystko widział przez ten otwór, odpowiadający fałszywym okonom w kopule pokoju królewskiego... Widzisz co, Wasza Królewska Wysokość?

— Widzę króla.

I Filip zadrżał, jakby na widok nieprzyjaciela.

— Cóż on robi?

— Każe usiąść przy sobie jakiemuś człowiekowi!

— Pan Fouquet?

— Nie, nie... ale czekaj...

— Notatki trzeba przypomnieć także sobie, mości książę!

— Człowiek, któremu król każe usiąść, jest to Colbert.

— Colbert przy królu!... — zawołał Aramis — niepodobna!

— Patrzaj!

— Tak — rzekł — On sam! Colbert, o! Cóż usłyszymy, mości książę, co wyniknie z tej poufnej rozmowy?

— Zapewne nic pomyślnego dla pana Fouquet.

Książę nie mylił się.

Widzieliśmy, że Ludwik XIV-sty kazał zawołać Colberta, a gdy ten przybył, rozmowa między nimi zaczęła się od najwyższego dowodu łaski, jaką król kiedykolwiek uczynił; wprawdzie król był sam tylko z poddanym.

— Siadaj, Colbercie!

Intendent, pełen radości, on który się spodziewał być odepchniętym, odmówił tego zaszczytu.

— I cóż, usiadł?... — zapytał Aramis.

— Nie! stoi!

— Słuchajmy, mości książę!

I przyszły król i Aramis z chciwością przysłuchiwali się rozmowie dwóch ludzi, których mieli pod nogami i gdyby chcieli, mogli byli ich zgnieść odrazu.

— Colbercie — rzekł król — bardzo dziś byłem z ciebie niekontent.

— Wiedziałem o tem, Najjaśniejszy Panie!

— Bardzo dobrze, lubię taką odpowiedź. Tak! wiedziałeś o tem i nie miałeś odwagi inaczej się zachować.

— Naraziłem się na gniew Waszej Królewskiej Mości i na ukrycie prawdziwego celu.

— Cóż to? bałeś się o jaki dla mnie wypadek?

— Chociażby tylko o niestrawność, Najjaśniejszy Panie!... — odrzekł Colbert — gdyż nie daje się królowi takiej uczty, chyba jedynie po to, ażeby udusić go tem mnóstwem potraw.

I, powiedziawszy tak niezgrabny żart, oczekiwał z uprzejmością skutku, jaki miał tenże sprawić.

Ludwik XIV-ty, człowiek najbardziej próżny z całego królestwa, lecz najdelikatniejszy, przebaczył jeszcze ten płaski dowcip Colbertowi.

— A tak! pan Fouquet dał mi jaknajpyszniejszą ucztę! Powiedz mi, Colbert, czy nie wiesz skąd on bierze pieniądze, aby wydołać tak ogromnym wydatkom?

— Wiem, Najjaśniejszy Panie!...

— A więc wykaż mi to!

— Najłatwiej! prawie co do grosza.

— Wiem, że biegłym jesteś w rachunkach!

— Jestto pierwszy przymiot, jaki powinien być wymagany od intendenta skarbu.

— Nie wszyscy go posiadają.

— Wdzięczny jestem Waszej Królewskiej Mości, za pochwałę z ust jego, tak dla mnie pochlebną!

— To pan Fouquet jest bogatym, bardzo nawet bogatym, wszyscy o tem wiedzą.

— Wszyscy, żywi i umarli!

— Co to ma znaczyć, panie Colbert?

— Żyjący widzą bogactwa pana Fouquet, podziwiają i wychwalają skutki, ale umarli, mędrsi od nas, znają ich źródła i oskarżają!

— A zatem pan Fouquet winien swoje bogactwa jakiemuś przypadkowi.

— Urząd intendenta często korzystny jest dla tego, co go piastuje.

— Chcesz ze mną mówić otwarcie, nie bój się, jesteśmy sami.

— Nigdy niczego się nie boję pod tarczą swego sumienia i opieki Waszej Królewskiej Mości.

I Colbert skłonił się.

— Otóż, gdyby umarli mówili...
— Mówią niekiedy. Czytaj! Najjaśniejszy Panie!
— A!... — szepnął Aramis do ucha księcia słuchającego z uwagą — usłyszysz zdarzenie, jakie Bóg sam, albo raczej djabeł poduszcza i wykonywa. Słuchaj dobrze, bo z tego skorzystarz.
Książę podwoił uwagi, widział, jak król wziął list z rąk Colberta.
— Pismo nieboszczyka kardynała — wyrzekł król.
— Wasza Królewska Mość masz dobrą pamięć — odpowiedział Colbert, kłaniając się — i to doskonały przymiot dla monarchy lubiącego pracę, iż poznać może odrazu czyjeś pismo.
Król czytał list Mazariniego, który znamy już od czasu sprzeczki między Aramisem i panią de Chevreuse.
— Nie rozumiem dobrze — rzekł król z widocznem zajęciem.
— Wasza Królewska Mość nie znasz jeszcze intendentów.
— Widzę tylko, że idzie tu o pieniądze, dane panu Fouquet.
— Trzynaście miljonów!... Piękna suma.
— Tak!... a więc tych trzynastu miljonów brakuje w ogólnym rachunku?... Otóż tego nie pojmuję dobrze, jak ci mówiłem. Dlaczego i jakim sposobem mogłoby brakować?...
— Ja nie mówię, że mogłoby brakować ale, że brakuje!...
— A więc powiadasz, że brakuje trzynastu miljonów do ogólnego rachunku.
— To nie ja mówię, lecz regestra.
— A list Mazariniego, podając obrót tej sumy, wskazuje u kogo jest złożoną?...
— O!... o tem Wasza Królewska Mość możesz się przekonać.
— Tak!... istotnie!... wynika więc stąd, że pan Fouquet nie oddał jeszcze trzynastu miljonów?...
— Tak, Najjaśniejszy Panie!... tak wypada z rachunku!...
— A więc cóż?...
— A więc. Najjaśniejszy Panie, ponieważ pan Fouquet nie oddał trzynastu miljonów, więc ma je w swej kasie, a z trzynastu miljonów można zrobić cztery razy tyle i jeszcze pokryć ułamek wydatku na przepych, jakiego Wasza Królewska Mość nie mogłeś mieć w Fontainebleau, gdzie, jeżeli Wasza Królewska Mość przypominasz sobie nie wydaliśmy nawet trzech miljonów.

Było to dla niezręcznego bardzo zręcznem oczernieniem owo przypomnienie zabawy, bo król, dzięki jednemu wyrazowi pana Colberta, spostrzegł odrazu swoją niższość.

Colbert oddał Fouquetowi to, czem ten mu się przysłużył w Fontainebleau, a jako dobry finansista, oddał mu z dobrym procentem.

Tak przygotowawszy króla, Colbert, nie miał nic prawie więcej już do czynienia; uczuł to.

Król był ponury, Colbert oczekiwał pierwszego słowa królewskiego z taką niecierpliwością, jak Aramis i Filip z wysokości swojej spostrzegalni.

— A wiesz, co z tego wyniknie, panie Colbert — odezwał się król po krótkiej rozwadze.

— Nic, Najjaśniejszy Panie, nie wiem.

— Że czyn przywłaszczenia trzynastu miljonów, gdyby był sprawdzony...

— Ależ nim jest!...

— Chciałem mówić, gdyby był dowiedziony...

— Zdaje mi się, że to nastąpi jutro; jeżeli Wasza Królewska Mość...

— Gdyby to nie było u pana Fouquet — rzekł król z niejaką godnością.

— Król jest wszędzie u siebie, a nadewszystko w domach, jego pieniędzmi zapłaconych.

— Zdaje mi się — rzekł Filip cicho do Aramisa — że architekt, który zbudował tę kopułę, powinien był przewidzieć użytek na jaki miała służyć i zrobić ją taką, aby w potrzebie mogła spaść na głowę łotra z tak podłym charakterem, jak Colbert.

— I ja pomyślałem o tem!... ale Colbert w tej chwili jest tak blisko króla.

— Prawda, to stworzyłoby kwestję następstwa tronu.

— Z którego książę, młodszy brat Waszej Królewskiej Wysokości, zebrałby owoce. A więc pozostańmy spokojni i słuchajmy dalej.

— Nie długo już będziemy słuchali — odrzekł książę.

— Dlaczegóż, mości książę!..

— Bo gdybym był królem, nicbym już nie odpowiadał.

— A cóżbyś Wasza Królewska Wysokość uczynił?

— Czekałbym do jutra rana, ażeby rozważyć.

Ludwik XIV-ty podniósł wreszcie głowę, a widząc, że Colbert czeka na jego pierwsze słowa:

— Panie Colbert — rzekł, zmieniając rozmowę — już późno, położę się spać.

— A!... — rzekł Colbert — a ja sądziłem...

— Do jutra, jutro rozstrzygnę tę sprawę.

— Bardzo dobrze, Najjaśniejszy Panie — odrzekł Colbert obrażony, chociaż powściągał się w obecności królewskiej.

Król skinął, a intedent odszedł tyłem aż ku drzwiom.

— Służba!... — zawołał król.

Służba weszła do pokoju.

Filip chciał także odejść.

— Chwilkę jeszcze — rzekł Aramis ze zwykłą sobie słodyczą — to, co tu zaszło, to nic ważnego, jutro o tem nie wspomnimy nawet, ale służba wieczór, sposób obejścia się przy rozbieraniu, te rzeczy są godne wielkiej uwagi. Naucz się, naucz, Najjaśniejszy Panie, jakim sposobem masz kłaść się do łóżka. Przypatrz się dobrze.

CCXXII

COLBERT.

Historja pozostawiła nam opis świetnej zabawy danej nazajutrz po przybyciu króla do Vaux.

Jednakże król, któremu Colbert jadem napełnił serce, król z myślą, zajętą wczorajszymi wypadkami, król przez cały ten dzień, tak świetny, tak urozmaicony niespodziewanemi zabawami, wśród których wszystkie cuda z tysiąca i jednej nocy zdawały się wyrastać pod jego stopami zimnym był, ostrożnym milczącym.

Nic nie mogło go rozweselić, przeczuwano, że w duszy jego spoczywała uraza zadawniona, jak rzeka mała przy źródle, powiększająca się coraz wpadającemi doń strumieniami: około południa wszakże był cokolwiek weselszy.

Bezwątpienia, musiał coś postanowić.

Aramis, który krok w krok dążył za nim myślą i czynem, przeczuwał, że czeka pierwszej lepszej sposobności, ażeby wybuchnąć.

Colbert tym razem postępował zupełnie podług życzeń Aramisa, a podburzając ciągle króla przeciw Fouquetowi, nie mógł lepiej usłużyć jego zamiarom.

Przez cały dzień król, który zapewne czuł potrzebę oddalania ponurych myśli, szukał starannie towarzystwa La Valliere, unikając, o ile mógł rozmowy z Colbertem i Fouquetem.

Nadszedł wieczór.

Król oświadczył, że pójdzie na przechadzkę, dopiero po skończonej grze w karty.

Pomiędzy wieczerzą, a przechadzką grano więc w karty, a król, wygrawszy tysiąc pistolów schował je do kieszeni i powstał, mówiąc:

— Chodźmy teraz, moi panowie, do zwierzyńca.

Tam zastał damy.

Król, jakeśmy powiedzieli, wygrał i schował do kieszeni tysiąc pistolów, lecz pan Fouquet potrafił przegrać dziesięć tysięcy, a suma ta, pozostawszy w ręku dworzan i urzędników królewskich, sprawiła, że twarze ich przybrały wyraz rozkosznego zadowolenia.

Na twarzy wszakże króla, pomimo wygranej, na którą nie był nieczułym, pozostawał wciąż ślad zasępienia.

Na zakręcie ulicy Colbert czekał na niego.

Intendent zapewne znajdował się tam w skutku polecenia królewskiego, gdyż Ludwik XIV-ty, który go unikał albo udawał, że unika, dał mu znak i poszedł z nim wgłąb zwierzyńca.

Ale La Valliere widziała również czoło królewskie zmarszczone i piorunujący wzrok jego, a że nic z tego, co było w duszy króla, nie uszło wzroku jej miłości, domyśliła się, że gniew, powstrzymywany dotąd, zagrażał komuś.

Stanęła więc na drodze zemsty, jak anioł miłosierdzia, smutna, pomieszana, nawpół prawie oszalała z tak długiego z kochankiem swoim rozłączenia, niespokojna z wewnętrznego wzruszenia, które odgadła, i okazała się królowi zakłopotaną, co król przy nieszczególnem usposobieniu tylko na złe wytłumaczył.

A że prawie byli sami, gdyż Colbert, spostrzegłszy ją, pozostał najmniej o dziesięć kroków, król zbliżył się do La Valliere i, biorąc ją za rękę, rzekł:

— Czy nie będzie to niegrzecznością zapytać panią, co jej jest? gdyż widzę, że jesteś wzruszona, a oczy pełne są łez.

— O!... Najjaśniejszy Panie!... jeżeli jestem wzruszoną, jeżeli oczy moje są łez pełne i jeżeli jestem smutną, to smutkiem Waszej Królewskiej Mości.

— Moim smutkiem, źleś to zrozumiała; nie, to, czego doświadczam nie jest wcale smutkiem.

— A czegóż doświadczasz, Najjaśniejszy Panie?

— Poniżenia!

— Co mówisz? poniżenia?

— Mówię ci, że tam, gdzie ja się znajduję, nikt inny nie powinienby być panem! a patrz, czym nie zniknął, ja król Francji, wobec króla tego mieszkania. O!... — mówił dalej, zaciskając zęby i pięście — o!... i kiedy pomyślę, że ten król...

— Cóż takiego?... — rzekła La Valliere przestraszona.

— Że ten król jest przeniewierczym służalcem, pyszniącym się z ukradzionego dobra mojego! Ale ja temu bezwstydnemu ministrowi przemienię radość na wieczną żałobę, taką, że nimfa Vaux, jak mówią poeci, pamiętać będzie o tem długo.

— O!... Najjaśniejszy Panie!

— Cóżto?... moja panno?... czy myślisz bronić pana Fouquet?... — rzekł król zniecierpliwiony.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, ośmielę się zapytać tylko, czy dobrze jesteś objaśniony. Gdyż nieraz już Wasza Królewska Mość przekonałeś się o prawdzie oskarżeń u dworu.

Ludwik XIV-ty dał znak Colbertowi, aby się zbliżył.

— Mów, panie Colbert — rzekł król — bo doprawdy zdaje mi się, że panna La Valliere aż twego potrzebuje potwierdzenia, ażeby uwierzyć słowom króla. Powiedz, panie, co zrobił Fouquet, ty zaś, pani, bądź łaskawą posłuchać go cierpliwie, gdyż niewiele to zajmie czasu.

Dlaczego Ludwik XIV-ty nastawał tak na to, łatwo zgadnąć! serce jego było niespokojne, umysł niezupełnie przekonany. Domyślał się pod osłoną tych trzynastu miljonów jakiejś zawiłej niewyjaśnionej intrygi i chciał, ażeby czyste serce La Valliere, oburzone myślą złodziejstwa, potwierdziło jego w tej mierze postanowienie, które jednakże wahał się wykonać.

— Mów więc, panie, mów — rzekła La Valliere do Colberta — ponieważ król chce, abym od pana usłyszała, jaką zbrodnię, popełnił pan Fouquet.

— O!... nic to wielkiego pani — rzekł Colbert — proste tylko nadużycie zaufania...

— Opowiedz to, Colbercie, a gdy skończysz, zostaw nas samych i uprzedź d'Artagnana, że mu dać mam pewne rozkazy.

— Pana d'Artagnana!... — zawołała La Valliere — i na cóż wołać pana d'Artagnana, błagam cię, Najjaśniejszy Panie, powiedz mi.

— Na Boga!... dlatego, ażeby uwięzić tego dumnego Tytana, wiernego swej dewizie: "Wedrę się do twego nieba."

— Uwięzić pana Fouqueta?

— A!... to cię zadziwia?

— W jego domu?

— Dlaczegóż nie, jeżeli jest winnym?... czy tu czy gdzieindziej, zawsze jest winnym.

— Pana Fouqueta, który rujnuje się, ażeby godnie podejmować króla!

— Doprawdy, zdaje mi się, że stajesz w obronie tego zdrajcy?

Colbert zaśmiał się zcicha.

Król na ten głos obrócił się.

— Najjaśniejszy Panie!... — rzekła La Valliere — nie w pana Fouqueta obronie, ale w twojej własnej.

— Mojej własnej?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, poniżasz się, wydając podobny rozkaz.

— Poniżam się?... — mruknął król, zsiniały z gniewu. — Doprawdy szczególną przywiązujesz wagę do tego, co mówisz.

— Przywiązuję wagę nie do tego, co mówię, Najjaśniejszy Panie, ale do tego, aby ci wiernie służyć i poświęcę chętnie życie, jeżeli tego będzie potrzeba.

Colbert chciał się odezwać, lecz La Valliere iskrzącem spojrzeniem nakazała mu milczenie, mówiąc:

— Mości panie, gdyby król czynił krzywdę mnie lub komu, mnie obchodzącemu, a postępował sprawiedliwie, milczałabym, ale gdyby wyświadczył mi dobrodziejstwo a niesłusznie, powiedziałabym mu otwarcie.

— Ale zdaje mi się — rzekł Colbert — że i ja przywiązany jestem do króla.

— Tak, panie, prawda, kochamy go oboje, ale każde z nas po swojemu — rzekła La Valliere z tak mocnem uczuciem, że serce króla zostało niem przejęte. — Ja kocham go tak mocno, że

cały świat wie o tem, tak bezinteresownie, że król sam nie wątpi o tem przywiązaniu mojem. On jest dla mnie królem i panem, ja zaś jego pokorną sługą, ale ktokolwiek targnie się na jego honor, targa się i na moje życie. A ci, co doradzają królowi uwięzienie pana Fouqueta w jego własnem mieszkaniu, targają się na jego honor i sławę.

Colbert spuścił głowę, przeczuwał bowiem, że król nie przyjdzie mu w pomoc, pomimo to jednakże rzekł:

— Miałbym jeszcze słowo do powiedzenia!

— Nawet nie mów go, panie!... gdyżbym go nie słuchała, i cóżbyś mi wreszcie nadto powiedział. Że pan Fouquet dopuścił się zbrodni?... wierzę, bo mi to król powiedział! a od chwili, w której król powiedział: "Wierzę," nie potrzebuję, aby mi inne usta mówiły: "Potwierdzam!" Ale mówię otwarcie, że, chociażby pan Fouquet ostatnim był z ludzi, osoba jego świętą jest dla króla, gdyż król jest jego gościem!... gdyby dom jego był jaskinią zbójców, kryjówką fałszerzy monet, jest świętym i nietykalnym, gdyż żona jego w nim mieszka, a schronienia tego kat nie powinien gwałcić!

La Valliere zamilkła.

Mimowolnie król, podziwiając ten zapał i szlachetność, był zwyciężonym.

Colbert zgniecionym został nierównością walki.

Wreszcie król pokiwał głową, a podając rękę La Valliere, rzekł uprzejmie:

— Dlaczegóż mówisz przeciwko mnie!... czy wiesz, że jeśli go tak pozostawię, wiem, co ten nędznik gotów uczynić?

— Mój Boże!... czy nie jest to zdobycz, która zawsze należy do Waszej Królewskiej Mości.

— A jeżeli uniknie tego, jeżeli ucieknie? — zawołał Colbert.

— Wówczas będzie to wieczną chwałą, a im więcej jest winnym, tem chwała króla będzie większą, w porównaniu z dzisiejszą hańbą i wstydem.

Ludwik ucałował rękę La Valliere, padając przed nią na kolana.

— Jestem zgubiony — pomyślał Colbert.

Lecz nagle twarz jego rozjaśniła się.

I kiedy król, osłonięty cieniem odwiecznej lipy, ściskał La Valliere z wyrazem szczerej miłości, Colbert najspokojniej przerzucał notatki w pugilaresie, skąd wyciągnął papier, złożony w kształcie listu, trochę wprawdzie zżółkły, lecz wielkiej zapewne ceny dla niego, gdyż intendent uśmiechnął się, rzucił złośliwym wzrokiem na króla i na La Valliere, uszczęśliwionych sobą, a oświeconych zbliżającemi się pochodniami.

Król, spostrzegłszy światło, rzekł do La Valliere:

— Odejdź, Ludwiko!... bo nadchodzą!

— Pani, pani, nadchodzą — dodał Colbert, ażeby przyśpieszyć odejście La Valliere.

Ludwika zniknęła między drzewami, a kiedy król, klęczący przed nią powstawał:

— A!... panna La Valliere coś zgubiła — rzekł Colbert.

— Co takiego?... — spytał król.

— Jakiś papier, czy list, coś białego. Oto leży, Najjaśniejszy Panie!...

Król schylił się i podjął list, który zgniótł w ręku.

W tej chwili pochodnie przemieniły noc w jasny dzień.

CCXXIII

ZAZDROŚĆ.

To światło, ten nowy dowód uprzejmości Fouqueta, powstrzymał postanowienie królewskie zachwiane i tak już w sercu Ludwika XIV-go przez La Valliere.

Wdzięcznym był nawet prawie Fouquetowi za daną sposobność ujawnienia szlachetności La Valliere i okazania jej nad jego sercem wszechwładności.

Była to chwila ostatnich cudów tej zabawy.

Zaledwie bowiem Fouquet przywiódł króla pod pałac, mnóstwo ogni, od wierzchołka, aż do spodu zamku, zajaśniało, zaciemniając zorzę.

Zaczęły się fajerwerki.

Colbert o dwadzieścia kroków od króla, przy którym Fouquet znajdował się, starał się uporem myśli naprowadzić myśl króla na to, co wspaniałość widoku zanadto może oddalała.

W chwili, kiedy król już miał podać rękę Fouquetowi, uczuł znajdujący się w niej papier, który, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, La Valliere, szybko oddalając się, upuściła.

I myśl kochanka pogoniła za myślą swej ukochanej.

Przy świetle wzmagających się ogni bengalskich, których cudowność podziwiały okrzyki włościan okolicznych, król czytał bilecik, mniemając, że to liścik miłosny, przeznaczony przez La Valliere dla niego.

W miarę czytania, bladość coraz większa okrywała jego twarz, a głuchy wyraz gniewu, sztucznym oświetlony ogniem, okropny sprawiał widok, na który wszyscyby zadrżeli, gdyby mogli czytać głęboką namiętność, pożerającą serce króla, dla którego zazdrość i zemsta nie miały już granic.

Od chwili, w której odkrył tę prawdę, wszystko zniknęło w nim: dobroć, litość, wzgląd na religję i gościnność.

Wśród boleści, rozdzierającej jego serce, omal nie krzyknął na swoją gwardję, aby przybyła, jakgdyby mu wielkie groziło niebezpieczeństwo.

List, podrzucony królowi przez Colberta, jak zapewne odgadł czytelnik, był to ten sam, który pisany przez Fouqueta do La Valliere, zniknął w Fontainebleau wraz z tym, który go miał, Tobiaszem.

Fouquet spostrzegł bladość króla, lecz nie odgadł przyczyny.

Colbert widział gniew i cieszył się z nadciągającej burzy.

Głos Fouqueta wyrwał króla z dzikiego zamyślenia.

— Co ci jest, Najjaśniejszy Panie? — zapytał uprzejmie nadintendent.

— Nic! — odpowiedział król.

— Lękam się, czy Wasza Królewska Mość nie jest cierpiącym?

— Istotnie cierpię, jużem to panu powiedział. Ale to nic nie szkodzi.

I, nie czekając końca ogni sztucznych, król zwrócił się ku pałacowi.

Fouquet towarzyszył królowi i wszyscy udali się za nimi. Ostatnie race smutno, bo tylko dla siebie błysnęły.

Nadintendent jeszcze zapytywał króla, lecz żadnej nie otrzymał odpowiedzi, wpadł więc na domysł, że zaszło jakieś poróżnienie między królem a La Valliere w zwierzyńcu i, że król,

oddany zupełnie miłości, gniewa się na cały świat po takiej sprzeczce.

Myśl ta pocieszyła go, uśmiechał się nawet uprzejmie, kiedy król życzył mu dobrej nocy.

Cierpienia króla nie skończyły się jeszcze, gdyż udanie się jego na spoczynek miało się odbyć z całą etykietą.

Nazajutrz był dzień odjazdu, należało więc, ażeby gospodarstwo podziękowało gościowi i prawiło mu grzeczności za wydane na jego przyjęcie dwanaście miljonów.

Jedyne uprzejme wyrazy, na jakie król mógł się zdobyć, żegnając Fouqueta, były:

— Wkrótce będziesz pan miał odemnie wiadomość, każ, proszę cię, przyjść do mnie panu d'Artagnan.

I krew Ludwika XIV, dotąd hamowana, zakipiała w żyłach jego i gotów był kazać zamordować Fouqueta, tak jak jego poprzednik kazał to uczynić z marszałkiem d'Ancre.

To też pokrył okropne postanowienie uśmiechem królewskim, zwykłym poprzednikiem podobnych zamiarów.

Fouquet pocałował rękę króla, Ludwik zadrżał, lecz nie wzbronił mu tego.

W pięć minut potem d'Artagnan, którego zawiadomiono, wszedł do pokoju Ludwika XIV.

Aramis i Filip byli w swoim pokoju, zawsze uważnie słuchający.

Król nie dał nawet czasu zbliżyć się kapitanowi muszkieterów do krzesła, na którem siedział i sam podbiegł ku niemu.

— Urządź tak, aby tu nikt nie wchodził.

— Dobrze, Najjaśniejszy Panie — rzekł d'Artagnan, który jednym rzutem oka pojął wzburzony wyraz twarzy króla.

Wydał stosowny rozkaz, a wróciwszy do króla, zapytał:

— Cóż to się stało Waszej Królewskiej Mości?

— Wielu pan masz z sobą ludzi? — zapytał król, nie odpowiadając na jego zapytanie.

— Dlaczego Wasza Królewska Mość pyta o to?

— Wielu masz ludzi? — powtórzył król, tupiąc nogą.

— Mam muszkieterów!

— Kogóż więcej?

— Dwudziestu z gwardji i trzynastu Szwajcarów.

— Wielu potrzeba ludzi dla...

— Dla?... — podchwycił muszkieter najspokojniej.

— Dla uwięzienia pana Fouqueta.

D'Artagnan odskoczył.

— Uwięzić pana Fouqueta! — rzekł śmiało.

— Może znowu powiesz, że to jest niepodobieństwem! — krzyknął król z wściekłością.

— Nigdy nie mówiłem, ażeby cokolwiekbądź podobnego było niepodobnem. — odpowiedział d'Artagnan, tknięty do żywego.

— A więc wykonaj, co kazałem.

D'Artagnan poszedł ku drzwiom, ale przed dojściem, obróciwszy się, rzekł:

— Przebacz, Najjaśniejszy Panie!

— Co? — rzekł król.

— Przebacz, że dla uskutecznienia tego rozkazu, chciałbym mieć sam rozkaz na piśmie!

— A to na co? odkądże królewskie słowo nie jest dla ciebie dostatecznem?

— Bo słowo królewskie, w gniewie wyrzeczone, może się zmienić, gdy gniew przeminie.

— Bez tych wyrażeń, mój panie. Musisz mieć w tem inną myśl ukrytą?

— Ja zawsze mam myśli i to takie, których inni, na nieszczęście, nie mają — odpowiedział d'Artagnan.

Król, pomimo uniesienia, zawsze dawał mu się powodować.

— Powiedzże mi, co myślisz? — zapytał.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł d'Artagnan. — Każęsz aresztować człowieka, będąc jeszcze jego gościem i to z gniewu tylko, a gdy on przeminie, Wasza Królewska Mość będziesz tego żałował: wówczas chciałbym pokazać podpis Waszej Królewskiej Mości. Jeżeli to nie naprawi złego, przynajmniej przekona, że Wasza Królewska Mość błądzi, unosząc się gniewem.

— Błądzi, wpadając w gniew! — zawołał król z oburzeniem. — Czy król ojciec mój i moi przodkowie nigdy się nie gniewali? Co?

— I ojciec Waszej Królewskiej Mości i jego przodkowie gniewali się tylko u siebie.

— Król jest wszędzie panem, tak, jak i u siebie!

— Jestto zdanie pochlebców i zapewne musiało wyjść do pana Colberta, ale tak nie jest. Król panem jest każdego domu, ale kiedy z niego wypędzi właściciela!

Ludwik przygryzł sobie usta.

— Jakto! — rzekł d'Artagnan. — Człowieka, który się rujnuje, ażeby przypodobać się tylko Waszej Królewskiej Mości, każesz aresztować. Do djabła, Najjaśniejszy Panie, gdybym ja nazywał się Fouquet i ze mną tak postąpiono, pochwyciłbym resztę ogni sztucznych i takbym je urządził, ażebym razem ze wszystkimi wyskoczył w powietrze. Ale mniejsza o to. Wasza Królewska Mość każesz, idę.

— Idź — rzekł król — ale czy masz też dosyć na to ludzi?

— Czy myślisz, Najjaśniejszy Panie, że choć jednego wezmę z sobą? Uwięzić pana Fouqueta to tak łatwo, że dziecko by tego dokazało. To tak samo, jak wypić kieliszek gorzkiej wódki; człowiek się tylko skrzywi i po wszystkiemu.

— A jeżeli się będzie bronił?

— On! cóż znowu! miałby się bronić, kiedy taka surowość robi go męczennikiem; wierz mi, Najjaśniejszy Panie, że jeżeli posiada jeszcze z miljon, o czem bardzo wątpię, ręczę, że chętnieby go dał, aby tak skończyć. Ale idę już!

— Zaczekaj! — rzekł król.

— Niech to uwięzienie nie będzie publicznem.

— To trudniejszem jest!

— Dlaczego?

— Gdyż nic łatwiejszego, jak wejść pomiędzy otaczające go osoby i powiedzieć: "Panie Fouquet, w imieniu króla aresztuję cię." Ale pójść do niego i tak urządzić, ażeby zapędzić go gdzieś w kąt, z którego by nie mógł uciec i ukraść go prawie współbiesiadnikom, tak, aby żadne z jego westchnień nie doszło ich uszu, to już trudność prawdziwa, wielka i zaszczytna i niech się jej podejmie zdolniejszy odemnie.

— Powiedz raczej, że to jest niepodobieństwem. A!... mój Boże, mój Boże, czyż zawsze będę otoczony ludźmi, którzy się będą sprzeciwiali temu, co chcę zrobić.

— Ja się nie sprzeciwiam Waszej Królewskiej Mości. Czy mam wykonać rozkaz?...

— Miej tylko na oku pana Fouqueta do jutra, dopóki czegoś nie przedsięwezmę.

— Wykonam to, Najjaśniejszy Panie!...

— Przyjdź jutro, jak będę wstawał, po nowe rozkazy.

— Przyjdę.

— A teraz niech mię zostawią samego.

— Wasza Królewska Mość nie potrzebujesz nawet Colberta?.. — rzekł muszkieter, wypuszczając ostatni pocisk przy wyjściu.

— Nikogo — rzekł król — nikogo, chcę być sam.

Po wyjściu d'Artagnana, król zamknąwszy drzwi na zamek, zaczął biegać po pokoju jak raniony, mający jeszcze w ciele pociski; nakoniec ulżył sobie słowami:

— A!... nędznik!... nietylko kradnie mnie, ale kradzionem złotem przekupuje moich sekretarzy, przyjaciół, generałów, artystów i zabrał mi nawet moją kochankę... A!... więc to dlatego ta niewierna broniła go z taką odwagą. Była to wdzięczność... Kto wie? może nawet i miłość.

Pogrążył się przez chwilę w dotkliwem zadumaniu.

— Ten Satyr — pomyślał z głęboką pogardą, jaką młodzież w sile wieku obarcza ludzi dojrzałych, myślących jeszcze o miłości — ten Faun, szukający miłości i nigdzie nie znajdujący oporu, gdyż płaci złotem i brylantami i posiada malarzy, aby mu malowali kochanki jego w kostjumach bogiń...

Król jęczał z rozpaczy.

— On brudzi wszystko koło mnie — mówił dalej — niszczy mi wszystko!... on mnie zabije!... człowiek ten zanadto mi dokucza. to mój śmiertelny nieprzyjaciel i musi upaść!... ja go niecierpię!... niecierpię!... niecierpię!...

A mówiąc to, bił pięściami w poręcz krzesła, na którem siedział, a z którego podniósł się, jakby tknięty wielką chorobą.

— Jutro, jutro!... o!... będzie to piękny dzień — rzekł do siebie — gdyż wschodzące słońce mnie tylko mieć będzie za współzawodnika. Człowiek ten upadnie tak nisko, że każdy, widząc zniszczenie, jakie upadek ten za sobą pociągnie, przyznać będzie musiał, żem jest większy od niego.

Król, niezdolny dłużej hamować się w gniewie, przewrócił uderzeniem pięści stolik, stojący przy łóżku, a w nadmiarze boleści, płacząc prawie ze złości, rzucił się nierozebrany na łóżko, ażeby gryźć pościel i znaleźć spoczynek dla ciała.

Łóżko skrzypnęło pod ciężarem i prócz kilku jeszcze westchnień, wyrwanych z piersi króla nic więcej nie słyszano w pokoju Morfeusza.

CCXXIV

ZBRODNIA MAJESTATU.

Oburzenie, jakie po przeczytaniu listu Fouqueta do La Valliere ogarnęło króla, stopniowo przeszło w bolesne znużenie.

Młodość, pełna siły i życia, potrzebując natychmiast zastąpić nowemi wrażeniami to, co straciła, nie doświadcza nieskończonej bezsenności i tam, gdzie człowiek dojrzały, albo zniszczony starzec znajdują ciągły dla cierpienia żywioł, tam młodzieniec, doświadczywszy niespodzianej przeciwności, okazuje boleść swą krzykiem i wyrzekaniem, walczy z nieprzyjacielem tą bronią i tem prędzej bywa pokonany. A gdy już jest pokonany, nie cierpi długo.

To też Ludwik, zwyciężony w ciągu kwadransa, zaprzestał zaciskać pięście i palić wzrokiem niewidome przedmioty swej złości, przestał wyrzekać przeciw Fouquetowi i La Valliere i z oburzenia przeszedł do rozpaczy, z rozpaczy do odrętwienia.

Przewracał się czas jakiś na łóżku, a ręce jego bezwładne opadły i głowa spoczęła na haftowanych poduszkach; zmęczone członki poruszały się lekkiem targaniem nerwów, a z piersi kiedy niekiedy wydobywało się westchnienie.

Morfeusz, samowładnie panujący w tym pokoju, któremu nadał nazwisko, a na którego Ludwik zwrócił oczy nabrzmiałe od łez i gniewu, siał mak, którego miał pełne ręce, tak, że król, zamknąwszy oczy, wkrótce zasnął.

Zdawało mu się w tem pierwszem, tak słodkiem i lekkiem usypiającem marzeniu, unoszącem ciało ponad łóżko, a duszę ponad ziemię, że bożek Morfeusz, wymalowany na suficie, patrzył na niego prawdziwemi oczami ludzkiemi, że coś ponad kopułą ruszało się i migało, że w mnóstwie marzeń spostrzegł twarz ludzką, opartą na ręce, zagłębioną w rozważnem zamyśleniu, a rzecz dziwna, człowiek ten tak był podobny do króla, że

Ludwik marzył, iż widzi własną swoją twarz w zwierciadle, tylko, że twarz ta była zasmuconą głębokim wyrazem litości.

Potem zdawało mu się, że stopniowo kopuła podnosi się i, że malowidła i postacie, wykonane na niej przez Lebruna, coraz zmniejszają się w stopniowem oddaleniu.

Poruszanie łagodne, jednostajne, jakby okrętu, zanurzającego się pod wodą, zastąpiło nieruchomość łóżka.

Król marzył zapewne, a w marzeniu tem widział koronę, podtrzymującą firanki łóżka, oddalającą się, jak i kopułę, do której była przytwierdzona, a skrzydlaty genjusz, trzymający oburącz tę koronę napróżno zdawał się wzywać króla, coraz oddalającego się bardziej.

Łóżko coraz się bardziej zagłębiało.

Ludwik z otwartemi oczami dał się oszukać temu okrutnemu złudzeniu.

Nakoniec światło, będące w pokoju, nagle się zmniejszyło, a ciemność i wilgotny chłód przejęły powietrze; miejsce malowideł i aksamitnych firanek, zastąpiły mury koloru szarego, których ciemność coraz się zwiększała. Tymczasem łóżko coraz bardziej się opuszczało i po upływie minuty, która wiekiem wydała się królowi, dosięgło warstwy powietrza ciemnego i zimnego.

Tu łóżko się zatrzymało.

Król widział światło swego pokoju, tak, jak sie widzi dzienne światło z dna głębokiej studni.

— Okropny miałem sen — rzekł do siebie — trzeba się obudzić, a więc obudźmy się.

Wszyscy też prawie doznaliby tego, co tu mówimy, i niema osoby, któraby, marząc półsennie, nie powtórzyła sobie, skutkiem przebłysku światła, ukrytego w duszy człowieka, kiedy inne światła fizyczne pogasną: "To nic, marzyłem tylko."

I właśnie toż samo powtórzył Ludwik XIV, lecz na te wyrazy: "Obudźmy się," przekonał się, że nietylko nie spał, ale że i oczy nawet miał otwarte.

Spojrzał więc wokoło siebie.

Po obu stronach łóżka stało dwóch ludzi uzbrojonych, zamaskowanych, osłoniętych obszernymi płaszczami.

Jeden z nich trzymał małą lampę, której czerwonawe światło dało widzieć oczom królewskim ten szczególny widok.

Król, myśląc, że jeszcze śni i chcąc przerwać ten stan, wyskoczył z łóżka i stanął na wilgotnej ziemi.

Wówczas, zwracając się do człowieka, trzymającego lampę, rzekł:

— Co to znaczy, co to są za żarty?

— To nie są żarty — odpowiedział grobowym głosem człowiek, trzymający lampę.

— Czy należycie do pana Fouqueta? — spytał król trochę zmieszany.

— Mniejsza o to, do kogo należymy — odpowiedziało widmo — jesteś w naszej mocy i to dosyć.

Król, bardziej obrażony, niż przestraszony, obrócił się do drugiego zamaskowanego, mówiąc:

— Jeżeli gracie komedję, powiedzcież panu Fouquet, że ją uważam za nieprzyzwoitą i rozkazuję, aby jej natychmiast zaprzestano.

Człowiek, do którego król mówił, był wzrostu wysokiego i otyły, stał prosto i nieruchomo, jak bryła marmuru.

— I cóż? — rzekł król, tupiąc nogą — nie odpowiadasz mi?

— Nie odpowiadam dlatego, mój panie, że nie mam ci nic do powiedzenia, chyba, że jesteś jednym z pierwszych Natrętów, którego pan Moliere zapomniał umieścić między swymi.

— Ależ czego chcecie odemnie? — spytał król, zakładając z gniewem ręce na piersiach.

— Dowiesz się o tem później!... — odpowiedział trzymający lampę.

— Ale gdzież jestem teraz?

— Spojrzyj.

Ludwik powiódł okiem za światłem lampy, którą podniósł człowiek zamaskowany i spostrzegł tylko wilgotne mury, na których gdzieniegdzie świecił się przylepiony ślimak.

— O! o! to loch jakiś?... — rzekł król.

— Nie, to podziemne przejście!

— Które prowadzi?...

— Idź za nami!

— Nie ruszę się stąd ani kroku!... — krzyknął król.

— Jeżeli będziesz się nam opierał, mój mały przyjacielu — rzekł tłuściejszy z nich — zawinę cię w mój płaszcz i poniosę, a jeżeli cię tam uduszę, sam temu będziesz winien.

I, mówiąc to, wysunął z pod płaszcza rękę, grożącą królowi, którą Milon z Krotony chętnieby chciał posiadać w dniu, w którym przyszedł mu do głowy nieszczęśliwy pomysł skruszenia ostatniego swojego łańcucha.

Król przeląkł się gwałtu, gdyż zrozumiał, że ludzie, w których mocy się znajdował, nie posunęliby się tak daleko, ażeby chcieli tylko skończyć na zastraszeniu go, potrząsnął więc głową i rzekł:

— Zdaje się, że wpadłem w ręce zbójców. Idźmy więc.

Na to nic żaden z nich nie odpowiedział.

Trzymający lampę poprzedzał króla, drugi szedł za nim.

Tak przechodzili przez długą i krętą galerję, ozdobioną tylu schodami, ile ich znaleźć można w ciemnych i tajemniczych pałacach Anny Radcliff.

Wszystkie te krążenia, podczas których król słyszał nieraz szumiącą wodę nad głową, doprowadziły do korytarza, zamkniętego żelaznemi drzwiami, które człowiek, niosący lampę, otworzył kluczem, wiszącym mu u pasa.

Kiedy drzwi te otworzyły się, Ludwik uczuł balsamiczny zapach, jaki wydają w nocy drzewa po gorącym dniu letnim.

Chwilę zatrzymał się, wahając, ale ogromny strażnik, postępujący za nim, wypchnął go z podziemia.

— Jeszcze jedna zniewaga!... — rzekł król, obracając się do dopuszczającego się tak zuchwałego czynu, jakim było dotknięcie monarchy. — Cóż chcecie zrobić z królem Francji?

— Staraj się zapomnieć tych słów — rzekł człowiek, niosący lampę, głosem tak stanowczym, że nie dopuszczał żadnej odpowiedzi, jak niegdyś sławne wyroki Minosa.

— Powinienbyś na pal być wbity za słowa, któreś wymówił — rzekł olbrzym, gasząc światło, które mu oddał jego towarzysz. — Szczęściem, że król jest pełen ludzkości!

Ludwik na tę pogróżkę tak gwałtowne uczynił poruszenie, iż można było mniemać, że chce uciekać, ale olbrzym, położywszy mu rękę na ramieniu, przykuł go do miejsca.

— Ale dokądże idziemy?... — spytał król.

— Chodź — rzekł pierwszy z nich z pewnym rodzajem uszanowania, prowadząc więźnia do karety, która jakby na nich czekała.

Kareta ukryta była między gałęziami, konie przywiązane były do pnia ogromnego dębu.

— Wsiadaj — rzekł tenże sam człowiek, otwierając drzwiczki i spuszczając stopień.

Król był posłuszny, wsiadł do powozu, dobrze wywatowanego, którego drzwiczki natychmiast za nim i jego towarzyszem zamknięte zostały na zamek.

Co zaś do olbrzyma, ten, porozrzynawszy pęta koni, założył je, wsiadł, na kozioł, przez nikogo nie zajęty i kareta ruszyła kłusem drogą ku Paryżowi.

W lesie Senart odbył się przeprząg koni, równie ukrytych jak i pierwsze.

Człowiek, siedzący na koźle, założył świeże konie i pędził do Paryża, dokąd przybyli o trzeciej zrana.

Powożący, przybywszy do bramy Bastylji, zawołał: "Rozkaz królewski."

Szyldwach przepuścił karetę i wjechała ona wewnątrz twierdzy, na dziedziniec gubernatora.

Tu spienione konie zatrzymały się przed gankiem i podoficer od warty przybiegł.

— Obudzić gubernatora!... — rzekł powożący grzmiącym głosem.

Oprócz tego głosu, który można było usłyszeć aż na przedmieściu świętego Antoniego, zupełna cisza panowała w fortecy i w karecie.

W dziesięć minut potem pan Baisemeaux pokazał się na ganku w szlafroku.

— Cóż tam znowu?... — zapytał — kogoście mi przywieźli?

Człowiek, niosący przedtem lampę, otworzył karetę i szepnął coś do ucha powożącemu.

Ten natychmiast zsiadł z kozła, dobył ukryty pistolet i lufę jego przyłożył do piersi więźnia.

— Jeżeli słowo wymówi, pal... — dodał głośno, wysiadający z powozu.

— Dobrze!... — odpowiedział drugi.

Po tem zleceniu przewodnik króla, wszedł na schody, gdzie go oczekiwał gubernator.

— Pan d'Herblay!.... — zawołał tenże.

— Cicho!... — rzekł Aramis — wejdźmy do pokoju.

— O! mój Boże! i co tu pana o tej godzinie sprowadza.

— Omyłka, mój kochany Baisemeaux!... — odrzekł spokojnie Aramis — zdaje się, że onegdaj miałeś słuszność!

— Z jakiego powodu?... — zapytał gubernator.

— Z powodu tego rozkazu uwolnienia, kochany przyjacielu-

— Wytłumacz mi to, panie! chciałem mówić, wasza ekscelencjo — rzekł gubernator, zadyszany z bojaźni i zadziwienia.

— Rzecz bardzo prosta!... przypominasz sobie kochany panie de Baisemeaux, że przysłano ci rozkaz uwolnienia?

— Tak, dla Marchialego!

— Nieprawdaż, że obydwu nam się zdawało, że to było dla Marchialego?

— Bezwątpienia! Jednakże przypomnij pan sobie, że ja nie chciałem w to wierzyć, że wątpiłem i że to pan do tego mię zmusiłeś.

— O! jakiegoż to wyrazu używasz, kochany panie Baisemeaux!... zobowiązałem cię tylko i nic więcej.

— Zobowiązałeś, wasza ekscelencjo! tak! zobowiązałeś mię, żem ci go oddał i wywiozłeś go w swojej karecie!

— Otóż widzisz! kochany panie de Baisemeaux, była to omyłka, sprostowano ją w ministerjum i przywożę ci rozkaz królewski uwolnienia... Seldona, tego biednego Szkota, wiesz?

— Seldona, czy jesteś, wasza ekscelencjo, tym razem pewny?

— Najpewniejszym! czytaj sam.

I Aramis podał mu rozkaz.

— Ależ — rzekł Baisemeaux. — Rozkaz ten już był w moim ręku!

— Doprawdy?

— To ten sam, który, jak twierdziłem, widziałem już onegdaj, poznaję go po plamie atramentu.

— Nie wiem, czy to ten sam, czy nie, ale to pewne, że ci go teraz przynoszę!

— Ależ ten drugi?

— Kto drugi?

— Przywiozłem ci go napowrót!

— O! to dla mnie niedostateczne; ażebym go przyjął, potrzeba na to osobnego rozkazu.

— Nie powtarzaj podobnych rzeczy, kochany Baisemeaux, gadasz bowiem jak dziecko! gdzież masz rozkaz, który otrzymałeś względem Marchialego?

Baisemeaux wyjął go z szafki. Aramis pochwycił go, rozdarł, a kawałki spalił przy palącej się lampie.

— Co robisz, wasza ekscelencjo!... — krzyknął Baisemeaux przerażony.

— Rozważ tylko okoliczności, kochany Baisemeaux — rzekł Aramis spokojnie — a przekonasz się, że to bardzo naturalne. Nie masz już rozkazu, usprawiedliwiającego uwolnienie Marchialego.

— A! mój Boże! nie mam! jestem zgubiony!

— Bynajmniej, gdyż przywiozłem ci napowrót Marchialego, a skorom go przywiózł, to tak zupełnie, jakgdyby on stąd nie wyjeżdżał.

— A!... — rzekł gubernator osłupiały.

— Bezwątpienia i każesz go natychmiast zamknąć.

— Spodziewam się.

— A wydasz mi tego Seldona, którego nowy rozkaz uwalnia. Tym sposobem wszystko będzie w porządku, rozumiesz?

— Ja... ja...

— Wiem, już rozumiesz! To bardzo dobrze!

Baisemeaux złożył ręce.

— Ależ dlaczegóż wreszcie, skoro wasz ekscelencja wziąłeś mi Marchialego, przyprowadzasz go teraz znowu!... — zawołał nieszczęśliwy gubernator, udręczony i zafukany.

— Dla tak wiernego Najjaśniejszemu Panu i dla takiego, jak ty, przyjaciela, nie mam tajemnicy.

I Aramis, zbliżywszy się do Baisemeaux, rzekł zcicha:

— Wiesz zapewne, jak bardzo ten nieszczęśliwy podobnym jest do...

— Do króla i cóż?

— Otóż wiesz, jakie były pierwszego jego wyrazy? wiesz, co utrzymywał? zgadnij?

— Jakże chcesz, ażebym zgadł?

— Utrzymywał, że on jest królem Francji!

— O! nieszczęśliwy!... — zawołał Baisemeaux.

— I, przebrawszy się w suknie podobne królewskim, wystąpił jako pretendent do korony!

— O! nieba!

— Otóż dlatego przywożę ci go napowrót. Ma pomieszanie zmysłów i każdemu jedno i to samo powtarza.

— Cóż więc robić?

— Poprostu nie dozwolić mu widywać się z nikim. Domyślasz się zapewne, że kiedy ta niedorzeczność doszła do uszu królewskich, ulitował się nad jego nieszczęściem, ale, widząc, że za dobroć swą wynagrodzony jest tak czarną niewdzięcznością, wpadł w straszny gniew, tak dalece, że postanowił, uważaj to dobrze, kochany Baisemeaux, gdyż to ciebie dotyczy, postanowił ukarać śmiercią tego, któryby mu pozwolił z kim innym widzieć się, prócz ze mną, lub z samym królem. Słyszysz, Baisemeaux! karą śmierci temu grozi!

— Czy słyszę? o! i jak jeszcze.

— A teraz zejdź i zaprowadź tego biedaka do jego więzienia, ale może chcesz wprowadzić go tu pierwej?

— A to na co?

— Zapewne! lepiej go odrazu zamknąć? nieprawdaż?

— Naturalnie!

— A więc idźmy!

CCXXV

NOC W BASTYLJI.

Baisemeaux rozkazał bębnić i dzwonić, na znak, aby każdy wrócił do siebie dla uniknienia spotkania się z tak tajemniczym więźniem.

Potem przystąpił do karety, w której był więzień, strzeżony w całej mocy instrukcji przez Portosa.

— A! jesteś tu ptaszku?... — zawołał Baisemeaux, spostrzegając króla — dobrze! dobrze!

I, wysadziwszy go z powozu w towarzystwie Portosa, zawsze zamaskowanego i Aramisa, który się zamaskował znowu, zaprowadził go do tejże wieży i do tego samego pokoju, w którym przez sześć lat jęczał Filip.

Król wszedł tam, nie mówiąc ani słowa; blady był, z dzikiem spojrzeniem.

Baisemeaux, sam osobiście zamknąwszy drzwi na zamek, wrócił do Aramisa i rzekł zcicha:

— Na honor, to prawda, że podobny jest do króla, jednakże nie tak znowu bardzo, jak pan mówiłeś...

— A więc ty nie dałbyś się oszukać tem podobieństwem.

— O!... nie!...

— Jesteś nieoceniony!... kochany Baisemeaux — rzekł Aramis. — A teraz uwolnij Seldona.

— Prawda, zapomniałem... natychmiast dam rozkaz.

— Masz czas do jutra!...

— Jutro? Nie, nie, natychmiast. Niech mię Bóg broni, ażebym miał choć minutę czekać.

— A zatem idź do swych zatrudnień, ja wracam do moich. Ale to już pewne, nieprawdaż?...

— Co takiego?...

— Że nikt nie wejdzie do więźnia, chyba za rozkazem królewskim, który ja sam przywiozę!...

— Niezawodnie, żegnam Waszą Ekscelencję.

Aramis powrócił do swego towarzysza i rzekł:

— Dalej, Portos!... ruszajmy do Vaux!... i to jaknajprędzej!...

— Konie nie będą miały nawet co ciągnąć — rzekł Portos — bo człowiek, gdy wiernie wypełni rozkaz króla, a przez to zachowa państwo od zguby, bardzo jest lekki. Ruszajmy!...

I kareta, wolna od więźnia, który w istocie był może bardzo ciężkim dla Aramisa, przebyła ostatni most zwodzony, który po jej przejeździe podniósł się znowu.

* * *

Cierpienia w tem życiu zastosowane są do siły ludzi.

Nie myślimy twierdzić, że Bóg zsyła tyle cierpień na każdego ile kto znieść może, to bowiem nie byłoby dokładne, gdyż Bóg zsyła niekiedy śmierć, jako jedyną pociechcę dla zbyt cierpiącej duszy.

Cierpienie zastosowane jest do siły, to jest: że przy jednakowem cierpieniu, słaby więcej cierpi, silny mniej; z jakich jednak żywiołów składają się siły ludzkie?

Czyż nie z ruchu, zwyczajów i doświadczenia?...

Tego dowodzić, nie zadamy sobie nawet pracy, gdyż to jest prawdą tak pod względem moralnym, jak i fizycznym.

Kiedy młody król, zgnębiony i osłupiały, spostrzegł, że jest w pokoju w Bastylji, wyobraził sobie najprzód, że śmierć, jak i sen, ma w sobie marzenia; że, po opuszczeniu się łóżka nadół w Vaux, nastąpiła śmierć i że dalej w swym śnie królewskim, Ludwik XIV umarły, marzył o jednem z niepodobieństw w życiu, to jest: o zrzuceniu z tronu, uwięzieniu i zniewadze, które, spotykały niegdyś wszechwładnego króla.

Być, jak dotykalny cień, obecnym przy bolesnej namiętności, pływać w niepojętej tajemniczości między podobieństwem a rzeczywistością, wszystko widzieć, wszystko słyszeć, bez doświadczenia szczegółów konania, czyż nie jestto okropnem cierpieniem? — mówił król do siebie — tem więcej, że może być wiecznem.

— Czyż to nazywają wiecznością? piekłem? — mówił Ludwik XIV w chwili, kiedy Baisemeaux drzwi za nim zaryglował.

Nie spojrzał nawet wokoło siebie, po pokoju, oparty tylko o ścianę, dał się unieść okropnemu przypuszczeniu, że umarł i zamknął oczy, aby nie widzieć czegoś jeszcze okropniejszego.

— Jakimże ja sposobem umarłem? — rzekł do siebie nawpół nieprzytomnie. — Czy to opuszczenie się łóżka nie było podstępnem? Ale nie! gdyż nie czułem żadnego wstrząśnienia, ani ruchu. A może też mię otruto w czasie uczty dymem ze świec woskowych? jak niegdyś Joannę d'Albert moją prababkę.

W tej chwili zimne powietrze pokoju okryło go jak płaszczem.

— Widziałem — rzekł — ojca mojego, wystawionego na katafalku w ubraniu królewskim. Twarz jego bladą, spokojną i tak zmienioną, ręce tak ruchliwe niegdyś, zupełnie nieruchome, nogi zdrętwiałe, wszystko to nie zapowiadało snu, przepełnionego marzeniami. A jednakże ileż to marzeń powinien był zesłać Bóg dla umarłego, którego tylu poprzedziło, popchniętych przez niego do wieczności. Nie! król był wówczas jeszcze królem! panował zarówno na łożu śmierci, jak i na krześle aksamitnem. Nie stracił jeszcze nic ze swego majestatu. Bóg, który go nie ukarał, nie może mnie karać, kiedym nic nie zrobił.

Szczególniejszy szelest zwrócił uwagę młodzieńca.

Obejrzał się i spostrzegł na kominie, pod niezgrabnie na ścianie odmalowanym krzyżem, ogromnego szczura, gryzącego resztki zeschłego chleba i rzucającego na nowego gościa tego pokoju wzrok ciekawy.

Król zląkł się, uczuł odrazę, krzyknął i krzyk ten przywrócił mu zupełną przytomność.

Ludwik poznał, że żyje, że jest przy zdrowych zmysłach, przekonał się o naturalnem swem istnieniu.

— Więźniem jestem!... — krzyknął — ja!... ja!... więźniem!...

Szukał oczyma dzwonka, aby kogo zawołać.

— Niema w Bastylji dzwonków — rzekł — a ja zamknięty jestem w Bastylji. Ale jakimże to się stało sposobem?... Niezawodnie jest to spisek Fouqueta!... Byłem do Vaux zwabiony w sidła. Ale Fouquet nie mógł tu sam jeden działać!... jego wspólnik... ten głos... tak, to był d'Herblay, poznałem go. Colbert miał słuszność!... Ale czegóż chce Fouquet?... panować na mojem miejscu?... niepodobna!... ale któż wie!... — rzekł król zadumany. — brat mój, książę Orleański, może tak postępuje względem mnie, jak postępował całe życie stryj mój przeciw mojemu ojcu!... ależ królowa? ależ moja matka?... ależ La Valliere?... a!... La Valliere!... ją zapewne wydano na łup księżny!... biedne dziecię!... tak!.. niezawodnie... i ją zapewne jak i mnie zamknięto! jesteśmy na wieki rozłączeni!

I na samą tą myśl kochanek zaczął wzdychać, płakać i narzekać.

— Ależ przecie jest tu gubernator!.. — rzekł król z wściekłością. — Będę z nim mówił, zawołajmy.

Wołał, lecz na głos jego nikt nie odpowiedział.

Porwał krzesło i tłukł niem w grube drzwi dębowe.

Echo mu tylko grobowym odpowiadało odgłosem, lecz nie żadna istota żyjąca.

Był to nowy dowód, jak go lekceważono w Bastylji.

Po ochłonięciu więc z pierwszego wzruszenia gniewu, spostrzegłszy zakratowane okno, przez które wdzierało się pierwsze światło dnia, Ludwik zaczął wołać z początku zcicha, potem z całej siły, lecz nikt mu nie odpowiedział.

I dwadzieścia podobnych temu zamiarów nie otrzymało skutku.

Krew się w nim burzyła, charakter, przywykły do rozkazywania, który najmniejsze drażniło nieposłuszeństwo, stopniowo gniew powiększa.

Więzień połamał krzesło i tłukł częścią jego jak taranem we drzwi, tłukł tak długo i silnie, że aż spotniał.

Hałas był niezmierny, kilka przytłumionych głosów odezwało się tu i owdzie.

Głosy te wywarły dziwny na króla skutek, zatrzymał się, aby się im przysłuchać.

Były to głosy więźniów.

Głosy te zaledwie dla grubości murów dochodzące go, wyrzekały na sprawcę tego hałasu, jak zapewne westchnienia i łzy ciche oskarżały sprawcę ich uwięzienia.

Odebrawszy tylu ludziom wolność król przybył do nich, aby jeszcze odebrać im sen.

Myśli te ledwie go nie przyprawiły o szaleństwo; podwoił siły. bardziej z chęci dowiedzenia się czegoś

Po godzinie wreszcie, usłyszał na korytarzu za drzwiami jakiś szelest i gwałtowne w jego drzwi uderzenie wstrzymało go od ponowienia ciosów.

— Cóż to oszalałeś?... — zawołał gruby głos — co cię tak opanowało dziś rano?

— Dziś rano?... — pomyślał król zdziwiony i rzekł grzecznie. — Panie, czy jesteś pan gubernatorem Bastylji?

— Mój kochany... przewróciło ci się we łbie — odpowiedział głos — ale to nie powód, ażebyś tyle robił hałasu. Bądź spokojny, do djabła!

— Czy jesteś gubernatorem? — raz jeszcze zapytał król.

Drzwi się zamknęły, odźwierny odszedł, nie racząc nawet odpowiedzieć.

Kiedy król przekonał się o tem, wściekłość jego nie znała granic.

Zręczny skoczył ze stołu na okno i trząsł kratą, stłukł szybę, której tysiąc kawałków zadzwoniło na bruku, wołał gubernatora, aż do ochrypnięcia.

Paroksyzm ten trwał godzinę, poczem nastąpiła gorączka.

Z włosami w nieładzie, przylgniętemi do czoła, z sukniami podartemi i pobrudzonemi, z bielizną w kawałki poszarpaną, król wycieńczony zatrzymał się, i wówczas poznał nielitościwą grubość murów, nieprzepuszczalność cementu, którego nic prócz czasu, w rozpacz uzbrojonego, zwyciężyć nie mogło.

Oparłszy głowę o drzwi, uspokoił się cokolwiek.

— Przyjdzie nareszcie — rzekł — chwila, w której przyniosą mi jak innym więźniom pożywienie. Przecież wówczas zobaczę kogoś, z kimś będę mówił, i odpowiedzą mi zapewne.

I król starał się przypominać sobie, o której godzinie dają pierwszy raz jeść więźniom.

Nie wiedział jednak tych szczegółów i ta myśl jakby była pchnięciem sztyletu, głuchem lecz okrutnem, był to wyrzut sumienia, że, żyjąc 25 lat, będąc królem i szczęśliwym, nie pomyślał nawet o tem, co cierpi nieszczęśliwy więzień, pozbawiony może niesłusznie wolności.

Rumieniec wstydu wystąpił mu na twarz.

Uczuł, że Bóg, zsyłając nań to okrutne poniżenie, oddawał też same męki człowiekowi, który tylu innym podobne zadawał.

Nic bardziej nad to uczucie nie było zdolnem naprowadzić ku religji duszę jego, zgnębioną uczuciem bólu.

Ale Ludwik nie śmiał nawet upaść na kolana i błagać Boga o koniec tej próby.

— Bóg dobrze i słusznie ze mną postępuje — — rzekł — podłością byłoby z mojej strony domagać się od Boga tego, czego nieraz sam odmówiłem moim bliźnim.

W chwili tego rozpamiętywania usłyszał kroki za drzwiami i odgłos klucza, otwierającego drzwi.

Poskoczył ku drzwiom, lecz, przypomniawszy sobie, że poruszenie to uwłaczałoby godności króla, zatrzymał się i przybrał postawę szlachetną i spokojną.

Stał tak, obrócony tyłem do okna, ażeby ukryć przed przychodzącym wzruszenie.

Był to odźwierny z koszem, napełnionym żywnością.

Król, oczekując, aby zaczął mówić, patrzył na niego niespokojnie.

— A ja mówiłem, że tak będzie, połamałeś krzesło. Cóż to oszalałeś, czy co?...

— Panie — rzekł król — uważaj dobrze na to, co mówisz, idzie tu bowiem o bardzo ważny dla ciebie interes.

Odźwierny postawił koszyk na stole i patrząc na mówiącego:

— Cóż to?... — rzekł z zadziwieniem.

— Powiedz, niech tu przyjdzie gubernator — rzekł król wyniośle.

— Patrzajże, moje dziecko — odrzekł odźwierny — byłeś ciągle dotąd spokojny, ale obłęd robi człowieka czasem złośliwym, ostrzegam cię więc, że za takie postępki, jak twoje, to jest za połamanie krzesła i za taki hałas, my wsadzamy do lochu. No! przyrzecz mi, że tego więcej nie będzie, a nic już nie powiem gubernatorowi.

— Chcę widzieć gubernatora — rzekł król tymże co i pierwej tonem.

— Daj pokój temu, bo on cię każe wsadzić do lochu.

— Ja chcę, rozumiesz?...

— Znowu wzrok twój staje się obłąkanym, muszę ci zabrać nóż.

I odźwierny, uczyniwszy to, co mówił, wyszedł, zamykając drzwi za sobą; pozostawiał króla bardziej zdziwionego, nieszczęśliwszego i samotniejszego, niż przedtem.

Napróżno tłukł we drzwi, napróżno wyrzucał oknem półmiski i talerze, nikt mu nie odpowiadał.

We dwie godziny potem, nie był to już król, nie był to człowiek myślący, ale szaleniec, łamiący sobie paznokcie o drzwi, wydzierający kamienie z podłogi, krzyczący tak przeraźliwie, że aż stara Bastylja zadrżała w posadach swoich, iż śmiała opierać się swojemu monarsze.

Co się tyczy gubernatora, ten ani trochę tem się nie niepokoił, chociaż warta i odźwierny donieśli mu o tem.

Ale cóż go to obchodziło?...

Czyż warjat był taką osobliwością w Bastylji, a mury czyż nie były silniejsze od szaleńca?

Pan de Baisemeaux przejęty tem wszystkiem, co mu Aramis powiedział i, posiadając formalny rozkaz królewski, tęsknił jedynie do tego, ażeby Marchiali, w przystępie szaleństwa, powiesił się u kraty okna lub zrobił coś podobnego.

Bo istotnie więzień ten więcej mu przynosił kłopotów niż zysku.

To powikłanie nazwisk Seldon i Marchiali, uwolnienie i uwięzienie na nowo, wszystko to byłoby w ten sposób bardzo dogodnie rozwiązane.

Zdawało się nawet panu Baisemeaux, że i panu d'Herblay niewielkąby to przykrość sprawiło.

— A zresztą — mówił Baisemeaux do swego majora — więzień i tak dość jest nieszczęśliwym, że jest więźniem, skoro cierpi tyle, z litości można mu życzyć śmierci. Cóż dopiero, kiedy zwarjuje i może kogoś ukąsić, albo tak, jak ten krzyczeć na całą Bastylję. Wówczas nie dość jest życzyć mu śmierci, ale byłoby nawet dobrym uczynkiem, gdyby dopomódz do niej.

I, to mówiąc, gubernator zaczął jeść śniadanie.

CCXXVI

CIEŃ PANA FOUQUETA.

D'Artagnan, odurzony rozmową, jaką miał z królem, zapytywał sam siebie, czy jest przy zdrowych zmysłach, czy zdarzenia, jakie zaszły, działy się w Vaux, czy jest jeszcze kapitanem muszkieterów, a Fouquet właścicielem zamku, gdzie Ludwik XIV-ty z tak uprzejmą podejmowany był gościnnością.

A chociaż dużo pił przy wieczerzy, uwagi te wszakże pochodziły z nadużycia wina, gdyż Gaskończyk pełen był zimnej krwi i umiał w potrzebie roztropnie sobie poradzić.

— Otóż!... — rzekł sam do siebie, opuszczając pokój królewski — rzucony jestem historycznie na drogę przeznaczeń króla i ministra; kiedyś napiszą, że d'Artagnan, ubogi szlachcic z Gaskonji, aresztował Mikołaja Fouqueta nadintendenta skarbu we Francji.

Potomkowie moi, jeżeli ich mieć będę, szczycić się będą, czytając wówczas historję tego aresztowania, jak panowie de Luynes szczycą się złapaniem biednego marszałka d'Ancre.

Idzie tu o prędkie wypełnienie rozkazu królewskiego.

Każdy potrafiłby powiedzieć panu Fouquet: "Proszę mi oddać szpadę." Ale nie wszyscy potrafią go aresztować tak, aby świat na to nie krzyczał.

Jakże więc tu postąpić, ażeby nadintendent zeszedł ze szczytu łaski na ostatni szczebel niełaski, ażeby zobaczył Vaux, zamieniające się dla niego w więzienie, ażeby odurzony kadzidłem jak Aswerus, zbliżył się do szubienicy Amana, to jest: Angueranda de Marigni.

Tu czoło d'Artagnana tak się zachmurzyło, że aż godzien był doprawdy politowania.

Muszkieter miał sumienie drażliwe.

Wydać na śmierć (gdyż bezwątpienia Ludwik XIV-sty nie cierpiał Fouqueta) tego, którego niedawno uznawał za uprzejmego i grzecznego człowieka, było to czynem, dotykającym jego sumienia.

— Powinienbym, nie chcąc być nikczemnym, zawiadomić Fouqueta o zamiarach króla względem niego.

Lecz, jeśli zdradzę tajemnicę monarchy, zdrajcą będę, a zbrodnię tę prawa wojskowe przewidziały i tak dobrze określiły, że podczas wojny widziałem najmniej ze dwudziestu, dyndających na gałęzi, za to, iż jedną setną zrobili tego, co mi moje sumienie doradza zrobić w całości. Nie zdaje mi się, ażeby człowiek dowcipny nie mógł sobie inaczej poradzić, lecz ja od lat 40-stu tak często szafowałem swoim dowcipem, że wielkiem byłoby szczęściem, gdyby mi go choć trochę pozostało.

D'Artagnan chwycił się oburącz za głowę i wyrwawszy w zamyśleniu kilka włosów z wąsów, rzekł:

— Z jakiego powodu pan Fouquet popadł w niełaskę?

Z trzech przyczyn. Po pierwsze, że go pan Colbert nie lubi; po drugie, że miał zamiar kochać się w pannie La Valliere; po trzecie, że król kocha i pana Colberta i La Valliere.

Ha! to człowiek zgubiony! ale czyż ja, człowiek prawy, mam mu położyć nóż na gardle, dlatego że upada z powodu intryg kobiecych i kancelaryjnych.

E! pfe! jeżeli on, rzeczywiście, jest tak niebezpiecznym, to go zgniotę; jeżeli jednak tylko niesłusznie jest prześladowany no! to zobaczę. Doszedłem bowiem do tego, że ani król, ani nikt nie wpłynie na moje zdanie. I gdyby Atos był w takich okolicznościach, z pewnością tak samoby postąpił.

Zamiast więc aresztować pana Fouquet po grubijańsku, będę się starał postąpić, jak człowiek dobrze wychowany. Będę wprawdzie o tem gadał, ale jaknajlepiej.

I d'Artagnan, poprawiając ubrania, udał się do pana Fouqueta, który, pożegnawszy towarzystwo, zabierał się spokojnie do spoczynku, po pochwałach, dnia tego zdobytych.

Czuć było jeszcze w powietrzu odór ogni sztucznych, dopalające się świece słabym błyskały światłem, kwiaty opadły z wieńców, zdobiących pokoje, po których snuły się grona dworzan i tancerzy.

W pośród przyjaciół, którzy mu winszowali i nawzajem odbierali powinszowania, nadintendent, z oczami nawpół przymkniętemi z utrudzenia, wzdychał do spoczynku, upadał pod ciężarem laurów, zdobytych w ciągu tych dni kilku.

Tylko co odszedł do swojego pokoju uśmiechnięty i więcej niż półsenny.

Nic już nie słyszał, nic nie widział, łóżko tylko przyciągało go do siebie.

Bożek Morfeusz, panujący w kopule malowanej przez Lebruna, rozciągał panowanie swoje i do przyległych pokoi i pełną ręką sypał mak w pokoju pana domu.

Fouquet już był w ręku swego kamerdynera, kiedy d'Artagnan pokazał się we drzwiach.

D'Artagnan nigdy nie mógł spowszednieć u dworu, chociaż go widywano wszędzie i zawsze, przybycie wszakże jego wielkie sprawiało wrażenie.

Jestto właściwe niektórym charakterom, że, podobne do grzmotów i błyskawic, zawsze przerażają, czy są spodziewane, czy nie.

— Patrzcież! wszak to pan d'Artagnan — rzekł Fouquet, już się rozbierając.

— Do usług pańskich — odpowiedział muszkieter.

— Wejdźże! proszę pana.

— Dziękuję!

— Czy nie przychodzisz zganić w czem dzisiejszej zabawie? bo pan jesteś zawsze pełen pomysłów!

— O! nie!

— Może ci kto przeszkadza w pełnieniu obowiązków.

— Bynajmniej!

— Może niewygodne masz pan mieszkanie?

— Owszem najwygodniejsze!

— A więc, to ja obowiązany ci jestem za tyle pochlebnych rzeczy coś mi powiedział.

Wyrazy te oznaczały niezaprzeczenie:

— Mój kochany d'Artagnan, idź spać i pozwól mi to samo uczynić.

D'Artagnan jakby tego nie pojmował.

— Już się pan kładziesz spać?... — rzekł do nadintendenta.

— Tak! czy masz mi pan co do powiedzenia?

— Nic, panie! nic! A więc to pan tutaj śpisz?

— Jak pan widzisz!

— Ależ piękną pan dla króla urządziłeś zabawę!

— Tak pan sądzisz!

— Przepyszną!

— Czy król jest z niej zadowolony?

— Oczarowany.

— Czy prosił pana, abyś mi o tem powiedział?

— Nie wybrałby na to tak mało znaczącego posłańca!

— Ubliżasz sobie, panie d'Artagnan.

— Czy to jest pańskie łóżko?

— Tak! ale na cóż to zapytanie? Może nie jesteś kontent ze swojego?

— Czy można mówić z panem otwarcie?

— Zapewne!

— A więc, tak! niekontent jestem.

Fouquet zadrżał.

— Panie d'Artagnan — rzekł — zajmij więc moje.

— Ja miałbym pana pozbawić własnego łóżka? Nigdy.

— Cóż więc mam zrobić?

— Pozwól pan, że je z panem podzielę.

Fouquet bystro spojrzał w oczy muszkietera.

— A!... a!... — idziesz pan teraz do króla?

— Tak, ekscelencjo!

— I król chce, ażebyś spał w moim pokoju!

— Panie...

— Bardzo dobrze, panie d'Artagnan, zrób więc, jak ci się podoba.

— Upewniam ekscelencję, że nie chciałbym nadużywać.

Fouquet obrócił się do kamerdynera i rzekł:

— Zostaw nas samych!

Służący wyszedł.

— Masz mi pan coś powiedzieć!... — rzekł do d'Artagnana.

— Ja?

— Człowiek takiego, jak pan, rozumu, nie przychodzi do takiego, jak ja człowieka. o tej porze bez ważnych powodów!

— Nie wypytuj mię pan!

— Przeciwnie? Czego pan chcesz odemnie?

— Nic więcej, tylko tego, aby być w pańskiem towarzystwie.

— To chodźmy do ogrodu, lub zwierzyńca — rzekł nadintendent.

— Nie!... — odpowiedział z żywością muszkieter. — Nie!

— Dlaczego?

— Powietrze chłodne.

— No! przyznaj się pan, że mnie aresztujesz — rzekł nadintendent do kapitana.

— Broń Boże — odrzekł kapitan.

— A więc masz pan czuwać nademną?

— Tylko na dowód czci, ekscelencjo.

— Dla zaszczytu? to co innego! a więc mię więżą we własnym domu!

— Nie mów pan tego!

— Przeciwnie głośno to powiem.

— Jeżeli zechcesz mówić pan głośno o tem, będę zmuszony zobowiązać pana do milczenia.

— Coraz to lepiej! a wię pan chcesz mi wyrządzić gwałt, w moim własnym domu.

— Nie rozumiemy się wcale. Ot widzę szachownicę, i, jeżeli się podoba ekscelencji, zagrajmy lepiej w szachy!

— A więc jestem w niełasce, panie d'Artagnan.

— Bynajmniej! jednakże...

— Jednakże, niewolno mi unikać twojego nadzoru.

— Ani słowa nie pojmuję z tego, co mi ekscelencja mówi, a jeżeli życzeniem jest pańskiem, abym odszedł, to powiedz, ekscelencjo.

— Kochany panie d'Artagnan, te wybiegi twoje przyprawiają mię o szaleństwo, umierałem ze snu, a pan mię rozbudziłeś.

— Nigdy sobie tego nie daruję i jeżeli ekscelencjo chcesz pogodzić mię samego z sobą...

— To cóż?

— Połóż się pan i śpij w mojej obecności, a będę uszczęśliwiony.

— A więc masz mię pan pilnować?
— Jeżeli tak, to pójdę!
— Nie rozumiem pana!
— Dobranoc, ekscelencjo.
I d'Artagnan udał, że wychodzi.

Fouquet zatrzymał go.

— Nie będę już spał — rzekł. — A że pan nie chcesz ze mną mówić otwarcie i puszczasz się na wybiegi, zmuszę więc pana do wyznania prawdy!

— Ba!... — rzekł d'Artagnan, śmiejąc się.

— Każę założyć konie i pojadę do Paryża — rzekł Fouquet, starając się wzrokiem przedrzeć aż do serca d'Artagnana.

— A!... jeżeli tak, to co innego.

— Aresztujesz mię więc?

— Nie, ale pojadę z panem!

— Dość tego, panie d'Artagnan!... — odrzekł Fouquet oziębłe. — Niedarmo masz opinję człowieka dowcipnego i pełnego sposobów, ale ze mną wszystko to niepotrzebne. Prosto do rzeczy! Bądź łaskaw! powiedz, za co mię aresztujesz?

— O!... nie wiem, co ekscelencja zrobiłeś i ja pana nie aresztuję... dzisiaj.

— Dzisiaj — rzekł Fouquet, blednąc — ale jutro?

— Kto może przewidzieć, co się stanie jutro!

— Nie traćmy więc czasu!... kapitanie!... pozwól mi pomówić z panem d'Herblay.

— Niestety!... to jest niepodobieństwem, ekscelencjo!... Mam rozkaz wzbronić panu z kimkolwiekbądź rozmowy.

— Nawet z panem d'Herblay, twoim przyjacielem, kapitanie?
— Czy przypadkiem pan d'Herblay nie jest jedynym z którymbym, ekscelencjo, powinien wzbronić rozmowy.
Fouquet zaczerwienił się i, zdając się na los rzekł:

— Masz pan słuszność!... odbieram naukę, której nie powinienem był wywołać. Człowiek upadły nie ma prawa nawet żądać pomocy od tych, którym los zapewnił, a tembardziej od tych, którym nie miał szczęścia żadnej zrobić przysługi. Pan zawsze ze mną w dobrych byłeś stosunkach, w stosunkach, jakie przystoją człowiekowi, przeznaczonemu do uwięzienia mię. Pan nigdy niczego odemnie nie żądałeś.

— Ekscelencjo — rzekł d'Artagnan, dotknięty tą wymowną i szlachetną boleścią — chciej mi dać słowo honoru, że nie opuścisz tego pokoju.

— Na cóż to, kiedy pan mię pilnujesz? Czy lękasz się, abym nie walczył przeciw najodważniejszemu ze wszystkich?

— Nie o to tu idzie, ekscelencjo, tylko o to, że ja pójdę poszukać pana d'Herblay, a pan zostaniesz w takim razie sam jeden.

— Poszukasz pan d'Herblaya!... i zostawisz mię samego!... — zawołał składając ręce.

— Gdzie mieszka pan d'Herblay? zdaje się, że w niebieskim pokoju?

— Tak, mój przyjacielu! tak!

— Ja pańskim przyjacielem! dziękuję ekscelencji za ten wyraz, dajesz mi go dziś, chociaż mnie niem dawniej nie zaszczycałeś?

— A!.. zbawisz mię!

— Potrzeba najmniej dziesięciu minut ażeby pójść do niebieskiego pokoju i wrócić?... — wyrzekł d'Artagnan.

— Prawie.

— Ażeby obudzić Aramisa, który, kiedy śpi, to śpi twardo i uprzedzić go, to pięć minut, ogółem kwadrans nie będę tu obecnym. A więc daj mi teraz pan słowo, że nie będziesz szukał sposobów ucieczki i że wracając, znajdę tu pana.

— Daję ci słowo na to — rzekł Fouquet, ściskając z wdzięcznością rękę muszkietera.

D'Artagnan wyszedł.

Fouquet z widoczną niecierpliwością czekał oddalenia się jego, a gdy drzw. zamknął poskoczył do skrytych szuflad, szukając w nich napróżno jakichś papierów, które pozostać musiały w Saint-Mande i żałując, że ich nie znalazł: poczem z pośpiechem, zgromadzając listy, kontrakty i inne pisma, ułożył z nich na kominku stos, który zapalił. nie zdjąwszy nagromadzonych tam wazonów z kwiatami.

Poczem jak człowiek, który wielkiego uniknął nieszczęścia i którego siły potem opuściły, upadł na krzesło.

D'Artagnan, wchodząc, zastał Fouqueta w tem położeniu.

Nie wątpił bynajmniej, że dotrzyma danego słowa, ale pomyślał, że użyje tego czasu na zniszczenie papierów, które mogłyby były pogorszyć jego położenie, gdyby je znaleziono.

A uczuwszy dym w pokoju, kiwnął głową, na znak zadowolenia.

Fouquet spojrzał także na wchodzącego d'Artagnan i poruszenie to nie uszło jego uwagi.

A spotykający się wzrok obydwóch dał im poznać, że się zrozumieli, nie mówiąc słowa do siebie.

— I cóż?... — rzekł Fouquet — pan d'Herblay?

— Na honor — odpowiedział d'Artagnan — pan d'Herblay musi lubić nocne przechadzki i zapewne w zwierzyńcu przy świetle księżyca, z którymkolwiek z pańskich poetów robi wiersze, gdyż go niema w pokoju.

— Jakto?... niema go u siebie?... — zawołał Fouquet, któremu i ta ostatnia znikła nadzieja, instynktownie bowiem tylko od niego mógł się spodziewać pomocy.

— Albo — rzekł d'Artagnan — jeżeli jest u siebie, musiał mieć powody, ażeby się nie odezwać.

— Możeś pan na niego nie wołał tak, aby mógł usłyszeć?

— Chyba, ekscelencjo, nie sądzisz, abym był tak nierozsądnym i tak już uchybiającym rozkazowi nieopuszczania pana ani na chwilę, iżbym głośnem wołaniem chciał obudzić cały dom i dać się widzieć na korytarzu do mieszkania biskupa Vannes; tym sposobem przekonałbym pana Colbert, żem ci zostawił czas do spalenia twoich papierów.

— Moich papierów?

— Bezwątpienia! przynajmniej na pańskiem miejscu tak niezawodnie bym uczynił.

— A więc tak! korzystałem z tego, dziękuję panu!

— I dobrześ pan zrobił, gdyż każdy z nas może mieć tajemnice, które kogo innego nie powinny obchodzić! Ale wróćmy do Aramisa.

— Mówiłem panu! żeś go zacicho wołał, a on nie usłyszał.

— Jakkolwiek wołałem cicho, Aramis zawsze usłyszy, jeżeli uważa za potrzebne usłyszeć; powtarzam więc, com powiedział: albo Aramisa niema, albo dla powodów których nie znam, udawał, że nie słyszy, dla powodów, których i pan zapewne nie wiesz, jakkolwiek w ścisłych jesteś stosunkach z jego wielebnością, biskupem Vannes.

Fouquet westchnął, a przeszedłszy się kilka razy w zamyśleniu po pokoju, z wyrazem pognębienia upadł na łóżko.

D'Artagnan patrzył nań z politowaniem.

— W życiu mojem — rzekł d'Artagnan ze smutkiem — widziałem niejednego aresztowanego, widziałem pana de Cinq-Mars, pana de Chalais, pana Kondeusza z książętami, pana de Retz i pana Broussel. Z przykrością jednak muszę panu powiedzieć, że w tej chwili najpodobniejszym pan jesteś do tego poczciwca Broussel. Mało brakuje, ażebyś nie włożył, tak jak on, serwety do pugilaresu, a papierami nie otarł ust. Do djabła, panie Fouquet, nie powinieneś tak tracić ducha i gdyby to widzieli twoi przyjaciele!...

— Panie d'Artagnan — odrzekł nadintendent ze smutnym uśmiechem — nie pojmujesz mię wcale. Właśnie dlatego jestem takim, jak widzisz, bo moi przyjaciele nie patrzą na mnie, a ja sam jeden nie żyję! Sam jeden jestem niczem! zważ, że całe życie starałem się o przyjaciół, którzy byliby mi pomocą. W pomyślności, szczęśliwi! a szczęśliwi przezemnie, głosy ich sławiły dla mnie pochwały i dziękczynienia; w najmniejszej przeciwności głosy ich towarzyszyły westchnieniom mojej duszy. Samotności nigdy nie znałem, ubóstwo, ta mara, którą niekiedy okrytą łachmanami, przewidywałem w końcu mojej drogi życia, ubóstwo było szkieletem, który niektórzy z moich przyjaciół od tylu lat bawiąc się, pieszcząc, uświetnili poezją, którą kochać nauczyli mnie. Ubóstwo to przyjmuję, jak siostrę wydziedziczoną, gdyż ubóstwo, to nie samotność, nie wygnanie, nie więzienie! nigdy bowiem nie będę ubogim z takimi przyjaciółmi, jakimi są: Pellison, La Fontaine, jak Moliere? z taką kochanką, jak...? Ale samotność, dla mnie, przyzwyczajonego do ruchu, do rozkoszy, o! gdy jej niema, gdy nie widzię innych... O! gdybyś pan wiedział, jak w tej chwili jestem samotnym i jak dalece pan, który rozdzielasz mię od wszystkich, co kochałem, jesteś obrazem samotności, zniszczenia i śmierci.

— Ależ powiedziałem już panu — rzekł d'Artagnan, wzruszony do żywego — że przesadzasz pan rzeczy. Król kocha pana.

— Nie! — rzekł Fouquet, potrząsając głową — Nie!

— Pan Colbert pana nie cierpi!

— Pan de Colbert? mniejsza o to.

— On pana zrujnuje!

— O! tego on nie dokaże! gdyż jestem już zupełnie zrujnowany.

Na tak dziwne wyznanie nadintendenta, d'Artagnan wymownym wzrokiem powiódł wokoło. A chociaż ust nie otworzył, Fouquet zrozumiał go i dodał:

— Cóż zrobić z temi resztkami przepychu, kiedy już nie można błyszczeć? Czy wiesz, do czego nam bogatym służą po większej części nasze posiadłości? — oto do zniechęcenia nas przez świetność samą do tego wszystkiego, co nie wyrównywa ich świetności. Vaux! — powiesz mi! cudowne Vaux! i cóż z tego! co robić z tymi cudami? Jakimże sposobem, jeżeli jestem zniszczonym, napełnię wodą urny najad, zdobiących ogrody jakim sposobem roznniecę ogień we wnętrznościach salamander, jakim sposobem napełnię powietrzem piersi trytonów? nie dosyć być średnio bogatym, trzeba być bardzo bogatym.

D'Artagnan podniósł głowę.

— O wiem dobrze, co myślisz — odpowiedział Fouquet z żywością. — Gdyby Vaux było twoją własnością, sprzedałbyś je, a natomiast kupiłbyś sobie dobra na prowincji, dobra te miałyby lasy; winnice i pola wyżywiłyby właściciela.

— Ze czterdziestu miljonów zrobiłbym dziesięć miljonów — przerwał d'Artagnan.

— Ani jednego, kochany kapitanie. Niema nikogo we Francji tak bogatego, ażeby za dwa miljony kupił Vaux; a utrzymać je tak, jak ono jest teraz, niktby nie mógł, niktby nie potrafił.

— Zresztą — rzekł d'Artagnan — miljon ..

— Cóż więc?

— To jeszcze nie nędza!

— Ale bardzo blisko tego, mój panie!

— Jakto?

— O! nie rozumiesz tego. Ja nie chcę sprzedać Vaux, ale daruję ci go, jeżeli chcesz.

I Fouquet, wymawiając to, wzruszył ramionami.

— Daruj je królowi, a lepiej pan na tem wyjdziesz.

— Król nie potrzebuje czekać, ażebym mu Vaux darował — rzekł Fouquet — jeżeli mu się spodoba, to mi je zabierze, nie pytając mię nawet i dlatego wolałbym ażeby ono zniknęło.

Wiesz co, panie d'Artagnan, gdyby król nie był pod moim dachem, tobym, wziąwszy świecę, poszedł na górę i tam, zapaliwszy pozostałe dwie skrzynie rac, cały pałac obrócił w popiół.

— E! — rzekł niedbale d'Artagnan — wszakże i w takim razie nie spaliłbyś pan ogrodów, a one są tu najpiękniejsze.

— Ale cóżem powiedział? — rzekł Fouquet. — Mój Boże! spalić Vaux, zniszczyć ten pałac? ależ Vaux nie należy do mnie, to bogactwo, te cuda należą wprawdzie jako używalność, do tego, kto za nie zapłacił, ale jako pomnik, należą do tych, którzy je zdziałali. Vaux należy do Lebruna, do Lenotre, do Pellissona, do Levan, do La Fontaina do Moliera. Vaux nakoniec należy do potomności, widzisz więc, panie d'Artagnan, że ten dom nawet nie należy do mnie.

— A!.. takie myśli to lubię — rzekł d'Artagnan — poznaję po nich pana Fouqueta. Pomysł ten oddala mię od poczciwca Broussel i nie poznaję w nich wyrzekań starego frondysty. Jeżeli jesteś zrujnowanym, ekscelencjo, pogódź się ze swoim losem; gdyż do djabła, należysz także do potomności i nie masz prawa poniżać siebie. Patrz oto na mnie, panie, na mnie, który mam jakby wyższość nad tobą dlatego, że cię aresztuję; los, co rodziela role aktorom tego świata, mnie dał do odegrania nie tak piękną rolę i mniej przyjemną od twojej. Jestem z liczby tych, co mniemają, że lepiej jest nawet na prawdziwym teatrze niż na takim, jakim jest świat, grać rolę królów lub możnych panów, niż zebraków lub służalców, słowem, pan nadużywałeś bogactw, rozkazywałeś, napawałeś się. Ja zaś wlokłem, jak mogłem, to życie, słuchałem rozkazów, cierpiałem. A jednak (chociaż nie mogę się równać z ekscelencją) wspomnienie tego, co uczyniłem jest bodźcem, nie dozwalającym mi zgiąć przedwcześnie mojej starej głowy. Będę aż do końca silnym koniem bojowym, a gdy upadnę, to upadnę odrazu, sztywno, pełen życia wybrawszy wprzód dobre do tego miejsce. Uczyń tak, jak ja, panie Fouquet, a nie będzie ci gorzej. Takim ludziom, jak ty, panie, to raz się tylko zdarza w życiu. Jest przysłowie łacińskie, którego wyrazów zapomniałem, lecz pamiętam treść jego, bom nie raz nad niem rozmyślał, a ono mówi: że, koniec wieńczy dzieło.

Fouquet powstał uścisnął d'Artagnana i rzekł:

— Piękne kazanie!

— Kazanie muszkietera, ekscelencjo!
— Musisz mię więc kochać pan, kiedy tak do mnie mówisz?
— Być może!
Fouquet zamyślił się, po chwili zapytał:
— Ale gdzieby też mógł być pan d'Herblay? Nie śmiem prosić, abyś go pan kazał poszukać.
— Choćbyś mię pan prosił, nie uczyniłbym tego. Byłoby to nieroztropnie, zarazby się o tem dowiedziano, a Aramis, nie będąc niewinnym mógłby być objętym w niełasce razem z panem.
— Zaczekam więc do jutra — rzekł Fouquet.
— To będzie najlepiej.
— A cóż we dnie zrobimy?
— Nic nie wiem, panie!
— Zrób mi jedną łaskę, panie d'Artagnan.
— Bardzo chętnie.
— Wszak, pilnując mię, wypełniasz dany ci rozkaz, nieprawdaż?
— Tak!
— A więc bądź już moim cieniem, wolę bowiem ten cień nad inny.
D'Artagnan skłonił się.
— Ale zapomnijmy, że pan d'Artagnan jest kapitanem muszkieterów i że ja jestem Fouquet, nadintendent skarbu, a pomówmy o moich interesach.
— Do licha! to trochę drażliwę, ale dla pana, zrobię niepodobieństwo.
— Dziękuję: więc cóż panu król mówił?
— Nic.
— A!... więc pan tak rozmawiasz?
— Cóż zrobić!
— Co myślisz o mojem położeniu?
— Nic.
— Jednakże!... pomimo mej chęci...
— Położenie pańskie jest trudne.
— W czem?
— W tem, że pan jesteś u siebie!
— Jakkolwiek trudne jest, pojmuję je dobrze.
— Ależ na Boga!... czy pan myślisz, że z kim innym, jak z panem, postępowałbym tak otwarcie?

— Jakto?... Tak otwarcie?... pan byłeś ze mną otwartym?... pan, który nie chcesz powiedzieć mi najmniejszej rzeczy?

— A więc czy byłbym z tylu względami?

— To co innego.

— Otóż uważaj pan, jakbym się do tego wziął z kim innym, niż z panem: przybyłbym do pańskich drzwi, wówczas gdy wszyscy, od niego wyszli, a gdyby jeszcze byli czekałbym na nich i połapałbym ich jednego po drugim, jak królików wychodzących z nory, powsadzałbym ich do ciupy cichuteńko, potem wyciągnąłbym się na dywanie przed drzwiami pańskiemi i, mając cię na oku, o czembyś pan nie wiedział nawet, zachowałbym go na śniadanie królewskie. Wszystko odbyłoby się cichuteńko, bez hałasu, bez oporu, ale też bez żadnego ostrzeżenia dla pana Fouqueta, bez tych pewnych ulg, które między ludźmi dobrze wychowywanymi w stanowczych momentach powinny być. I cóż?... czy zadowolonym byłbyś pan z takiego projektu?

— Drżę na myśl o tem.

— Nieprawdaż? byłoby to bardzo przykrem dla pana, gdybym jutro przyszedł bez żadnego przygotowania i zażądał jego szpady.

— Umarłbym ze wstydu i gniewu.

— Wdzięczność pańska za bardzo wymownie się wyraża; wierz mi pan, żem nie dosyć dla niego uczynił.

— Bądź pan pewny, że ja tego nigdy nie powiem.

— A teraz, ekscelencjo, jeżeliś ze mnie zadowolony, jeżeli uspokoiłeś się po wstrząśnieniu które, o ile mogłem, starałem się osłodzić, zostawmy wszystko czasowi; pan jesteś zmęczonym, masz zapewne nad czemś pomyśleć, zaklinam pana połóż się pan, śpij, albo udawaj, że śpisz. Ja będę spał na tem krześle, a ja kiedy śpię, to ani wystrzał z działa mię nie obudzi.

Fouquet uśmiechnął się.

— Chyba tylko w takim razie, gdyby drzwi otwierano, czy to widoczne czy skryte do wyjścia, o!... w takiem zdarzeniu, ucho moje niezmiernie staje się drażliwem, najmniejsze skrzypnięcie porusza mną, czuję do tego nadzwyczajną odrazę. Rób więc pan, co tylko chcesz, chodź, śpij, siedź, pisz, drzyj, pal, słowem co ci się tylko podoba, bylebyś drzwi nie dotykał, wte-

dy bowiem, jak mówiłem, natychmiast przebudzam się z rozdrażnionymi nerwami.

— Jesteś pan najdowcipniejszym i zarazem najgrzeczniejszym człowiekiem i bardzo żałuję, że tak późno pana poznałem.

D'Artagnan westchnął, co oznaczało:

— Niestety!... może poznałeś zawcześnie.

Poczem rozparł się na krześle, Fouquet zaś, leżąc na łóżku, rozmyślał o wypadku, jaki go spotkał.

Świece się paliły, obydwaj w tej samej postawie oczekiwali dnia, tylko, kiedy Fouquet mocniej westchnął, d'Artagnan mocniej zaczynał chrapać.

Żadne odwiedziny, nawet Aramisa, żaden hałas w domu, nie przerwał ich spoczynku.

Warty tylko i patrole, przechodząc, przerywały spokój nocny.

Dla śpiących zaś były jednem bezpieczeństwem więcej.

A wiatr i źródła szumiały, pełniąc odwieczną swą powinność i nie zważając nawet na drobne wypadki, z których składa się śmierć i życie ludzi.

CCXXVII

RANEK.

Obok smutnego losu króla, zamkniętego w Bastylji, targającego z oburzenia zamki i kraty, wymowa dawnej kroniki nie zaniedbałaby opisać, ubarwiając kwiecistemi słówkami, wprost odmiennej sceny, to jest: Filipa śpiącego pod baldachimem królewskim.

My starać się będziemy odmalować ten obraz, podobnie jak pierwszy z dokładnością.

Książę opuścił się z pokoju Aramisa podobnym sposobem jak król z pokoju Morfeusza.

Kopuła lekko opuściła się z pomocą sprężyn, poruszanych przez Aramisa, stawiając Filipa przed łóżkiem królewskim, które, złożywszy więźnia w podziemiach, wróciło na dawne swe miejsce.

Sam jeden wobec zbytku, sam wobec wszechwładności, sam wobec roli, jaką zmuszony był odegrać, Filip po raz pierwszy

uczuł otwierającą się duszę na tysiąc wzruszeń, sprawiających żywe bicie w sercu monarchy.

Lecz dreszcz go przejął na widok łóżka, zmiętego ciałem jego brata.

Niemy ten świadek wrócił na miejsce po dokonaniu zbrodni i z jej śladami i przemawiał do wspólnika jej otwarcie i bez ogródki, jak zwykle się przemawia do wspólnika, bo mówił prawdę.

Filip, schylając się dla lepszego przypatrzenia, spostrzegł chustkę Ludwika XIV-go, zmoczoną zimnym potem, jaki oblewał jego czoło.

Pot ten przestraszył go tak, jak krew Abla, przeraziła Kaina.

— Otóż jestem wobec mego dzisiejszego przeznaczenia — rzekł Filip z pałającemi oczyma i twarzą zsiniałą — czy będzie ono dla mnie bardziej przerażającem, niż niewola była bolesną? Przymuszony w każdej chwili iść za popędem przywłaszczonych myśli, czy będę mógł być posłusznym uczuciom serca?

Jednakże!... tak; król spoczywał na tem łóżku; jego to głowa wycisnęła tę wklęsłość w poduszce! gorycz snów jego zmoczyła tę chustkę, a ja waham się położyć na niem i ścisnął w ręku chustkę, ozdobioną herbami króla!...

Dalej, idźmy za przykładem pana d'Herblay, dowodzącego, że czyn wyższym zawsze być powinien, najmniej o jeden stopień od myśli, bo, myśląc tylko o sobie, człowiek nazywa siebie prawym, wówczas kiedy w rzeczywistości dokuczył, lub zdradził swoich nieprzyjaciół.

Łóżko to ja oddawnabym zajmował, gdyby Ludwik XIV-sty nie pozbawił mię go zdradą naszej matki. Chustka, ozdobiona herbami, mnie tylko samemu służyć była powinna, gdybym, jak mówi pan d'Herblay, pozostawionym był na właściwem sobie miejscu.

Filipie! synu Francji, spocznij na swojem łożu! Filipie! jedyny królu Francji, odbierz swoje herby! Filipie! jedyny prawy następco Ludwika XIII-go — ojca twego, bądź bez litości dla wydziercy, który nie czuje nawet w tej chwili wyrzutów sumienia, za twoje cierpienia!

To powiedziawszy, Filip, pomimo instynktownej odrazy, pomimo drżenia i przestrachu, które silna wola umysłu zwycię-

żyła, położył się na łóżku królewskiem i zmusił członki swoje, aby przycisnęły się do ogrzanego ciałem Ludwika XIV-go posłania i przyłożył wilgotną od potu tegoż chutkę do pałającego czoła swojego.

Kiedy głowa jego przechyliła się na miękkie poduszki, Filip spostrzegł zawieszoną nad sobą koronę Francji, podtrzymywaną, jakeśmy to już powiedzieli, przez anioła ze złotemi skrzydłami.

A teraz niech sobie czytelnik wystawi tego królewskiego przywłaszczyciela z ponurym wzrokiem i drżącem ciałem.

Podobnym był do zbłąkanego tygrysa w noc burzliwą, który przez bezdroża i przepaście przybył spocząć do jaskini nieobecnego lwa.

Zapach zdobyczy przyciągnął go, znajduje posłanie z suchych liści i mnóstwo kości pogruchotanych, wodzi dokoła bystrym wzrokiem, prostuje zdrętwiałe członki, otrząsa zbryzganą mułem skórę i wyciąga się na posłaniu, gotów do spoczynku, ale i do walki.

Kiedy niekiedy błyskawica, przedzierająca się w ciemności, trzask gałęzi drzew, lub toczący się kamień zepchnięty burzą, dają mu wyobrażenie o niebezpieczeństwie i przerywają letargiczny spoczynek, spowodowany utrudzeniem.

Można być dumnym, spoczywając na łożu lwa, ale trzeba się pozbawić nadziei, że spać można na niem spokojnie.

Filip nadstawiał ucha na najlżejszy szmer; serce mocno mu biło.

Lecz, zaufany w swojej mocy, podwojonej wobec silnego postanowienia, oczekiwał ze stanowczością, aby jaka wyższa okoliczność pozwoliła mu osądzić samego siebie; spodziewał się, że jakieś wielkie niebezpieczeństwo zabłyśnie dla niego, jak światło forsforyczne w czasie burzy, ukazujące żeglarzowi wysokość bałwanów przeciw którym walczy.

Lecz nic się takiego nie stało; cisza, ten śmiertelny nieprzyjaciel dla chciwych sławy, okrywała przez całą noc gęstym wyziewem przyszłego króla Francji, spoczywającego pod ukradzioną koroną.

Nad ranem jednakże cień jakiś wślizgnął się do pokoju królewskiego; Filip czekał nań i nie zdziwił się.

— I cóż, panie d'Herblay?... — rzekł.

— Nic! Najjaśniejszy Panie! wszystko się skończyło.

— Jakto?

— Wszystko, czegośmy się spodziewali.

— Opór był?

— Zawzięty, płacz, krzyki!

— Potem?

— Potem osłupienie.

— A wkońcu?

— Nakoniec, zupełne zwycięstwo i cisza bez granic.

— Gubernator Bastylji nie domyślił się?

— Niczego.

— A podobieństwo...

— Zapewnia zupełny skutek.

— Ależ więzień nie zaniedba tego objaśnić. Pomyśl o tem dobrze. Ja sam mogłem to uczynić, ja, który miałem do walczenia, z władzą, daleko silniej ugruntowaną, niż moja.

— Zapobiegłem wszystkiemu. Za kilka dni, a może i prędzej wywieziemy więźnia na tak dalekie wygnanie...

— Można z wygnania wrócić, panie d'Herblay.

— Na tak dalekie! powiedziałem, że siły fizyczne ludzkie i całe, jakkolwiek długie życie, nie wystarczą na powrót.

I raz jeszcze wzrok młodzieńca spotkał się z zimnym wzrokiem Aramisa.

— A pan du Vallon?... — spytał Filip, ażeby zmienić przedmiot rozmowy.

— Będzie dziś przedstawiony i powinszuje unikniono go niebezpieczeństwa, na jakie narazić chciał Waszą Królewską Mość ten przywłaszczyciel.

— Cóż z nim zrobimy?

— Damy mu patent księcia — odrzekł ze szczególnym uśmiechem Aramis.

— Z czego się śmiejesz, panie d'Herblay?

— Śmieję się z przewidywań Waszej Królewskiej Mości!

— Z przewidywań? Co przez to rozumiesz?

— Wasza Królewska Mość zapewne obawiasz się, ażeby ten biedny Portos nie stał się uprzykrzonym świadkiem i chcesz się go pozbyć.

— Robiąc go księciem?

— Nieinaczej, tem go Wasza Królewska Mość zabijesz! umrze bowiem z radości, a razem z nim tajemnica.

— A! mój Boże!

— Ja — rzekł spokojnie Aramis — stracę bardzo szczerego przyjaciela.

W chwili tej ulotnej rozmowy, którą dwaj spiskowi pokrywali radość i dumę, że im się tak dobrze udało, Aramis, usłyszawszy coś, nadstawił ucha.

— Co to jest?... — rzekł Filip.

— Już dzień! Najjaśniejszy Panie!

— I cóż stąd?

— Nim się Wasza Królewska Mość położył wczoraj na tem łóżku, zapewne wydałeś rozkaz na dzisiaj rano?

— Kazałem kapitanowi muszkieterów — rzekł młodzieniec z żywością — aby przyszedł dziś rano do mnie.

— Jeżeli tak, to on niezawodnie już idzie, gdyż to jest człowiek punktualny.

— Słyszę kroki w przedpokoju.

— To on.

— A więc zacznijmy działać — rzekł młody król z żywością.

— Strzeż się, Wasza Królewska Mość, zaczynać od d'Artagnana, byłoby to niedorzecznie. D'Artagnan nic nie wie i nic nie widział. Ani przez myśl mu nie przeszła nasza tajemnica, ale, skoro on tu pierwszy wejdzie, niezawodnie domyśli się, że coś takiego zaszło, o czem on dowiedzieć się powinien. Zanim go więc tu wprowadzimy, Najjaśniejszy Panie, trzeba zmienić powietrze nawet w pokoju, albo wprowadzić doń tyle osób, żeby najprzebieglejszy ze wszystkich nie znalazł prawdziwego śladu.

— Ale jakże go się pozbyć? — wtrącił książę, niecierpliwy zmierzenia się z tak strasznym nieprzyjacielem.

— Już ja to biorę na siebie i odrazu taki mu cios zadam, że go trochę ogłuszy.

W tem zapukano do drzwi i przeczucie nie omyliło Aramisa, gdyż był to istotnie d'Artagnan.

Widzieliśmy, jak przepędzał noc na filozoficznej rozmowie z panem Fouquet, ale udawanie snu zmęczyło go, to też skoro tylko dzień zawitał, powstał z krzesła, a poprawiwszy ubranie, zabrał się do wyjścia.

— Pan wychodzisz? — zapytał Fouquet.
— Tak, ekscelencjo! a pan?
— Ja zostaję!
— Słowo?
— Słowo!
— Dobrze. Bo wychodzę tylko dla przyniesienia panu wiadomej odpowiedzi.
— Zapewne chcesz mówić o wyroku?
— Przyznam się panu, że jest coś we mnie ze starych Rzymian. Tego rana, wkładając na siebie temblak od mojej szpady, uważałem, że o żaden guzik się nie zaczepił. A to jest znak niezawodny.
— Pomyślności?
— Tak! uważaj to pan dobrze, każdego razu, skoro tylko mi ten djabelski pas zaczepił się gdzieś na plecach, zawsze byłem albo ukarany przez pana de Treville, albo pan Mazarini odmówił mi pieniędzy. Ile razy szpada moja zatrzymała się w bandolerze, nie doszedłszy do miejsca, było potem niezawodnie jakieś przykre do wykonania zlecenie, a takich w życiu mojem nie brakło. Ile razy szpada sama poruszyła się w pochwie, był to szczęśliwy pojedynek, ile razy zaplątała mi się między nogą, lekka rana, ile zaś razy sama zupełnie wypadła z pochwy, pozostawałem na miejscu, przymuszony przepędzić kilka miesięcy w towarzystwie chirurga i bandarzy.
— Ależ nie wiedziałem, że pana tak dobrze ostrzega szpada — rzekł Fouquet ze smutnym uśmiechem. — Czy nie jest ona zaczarowana?
— Widzi pan, szpada moja to część ciała mojego. Słyszałem, że niektórzy ludzie ostrzegani są przez nogi, lub przez mocne uderzenia w skroniach. Mnie zaś ostrzega szpada, a tego ranka żadnej mi nie dała przestrogi. Ale! otóż masz!... wpadła zupełnie sama, jak tylko mogła do pasa, a wiesz, ekscelencjo, co mi to zapowiada?
— Nie.
— To mi zapowiada, że będę dziś kogoś aresztował.
— Ależ — rzekł nadintendent, więcej zdziwiony, niż rozgniewany tą zbytnią otwartością — jeżeli nic smutniejszego szpada ci nie przepowiada, nie będzie więc dla pana przykrością mnie aresztować.
— Pana aresztować? pana?

— Bezwątpienia!... ta przepowiednia!...

— O! to już pana nie dotyczy, gdyż jesteś od wczoraj aresztowany, a więc nie pana będę aresztował. Dlatego cieszę się i powiadam, że dzień ten będzie dla mnie szczęśliwym.

Wymawiając te słowa, kapitan z uprzejmością pożegnał pana Fouquet i udał się do króla.

Już wychodzącemu z pokoju Fouquet rzekł:

— Jeszcze zrób mi pan jedną grzeczność.

— Chętnie, ekscelencjo.

— Pozwól mi się zobaczyć z panem d'Herblay.

— Postaram się przyprowadzić go do pana!

D'Artagnan nie spodziewał się, że tak prędko tego dokona, ale napisane było, że dzień dzisiejszy sprawdzi wszystkie jego ranne przepowiednie.

Zapukał, jakeśmy już powiedzieli, do drzwi królewskich i kapitan mógł mniemać, że król sam mu otwiera.

Przypuszczenie to nie było niepodobieństwem po wzburzeniu, w jakiem wczoraj muszkieter zostawił Ludwika XIV, ale zamiast twarzy królewskiej, którą przygotował się z uszanowaniem powitać, spostrzegł długą i zimną twarz Aramisa.

Ledwie nie krzyknął z zadziwienia.

— Aramis! — zawołał.

— Dzieńdobry, kochany d'Artagnan — odpowiedział prałat obojętnie.

— Tu! — wybąknął muszkieter.

— Jego Królewska Mość prosi cię, abyś powiedział czekającym, że jeszcze spoczywa, po utrudzeniu, jakiego w nocy doświadczył.

— A! — rzekł d'Artagnan, nie mogąc pojąć, jakim cudem biskup Vannes, wczoraj tak daleki od łask — dziś stał się jednym z pierwszych ulubieńców króla.

Bo też rzeczywiście, ażeby powtarzać wolę królewską na progu drzwi jego pokoju, ażeby być pośrednikiem Ludwika XIV, ażeby rozkazywać w jego imieniu, o dwa kroki od niego, trzeba było być czemś więcej, niż był Richelieu względem Ludwika XIII.

Oko wyraziste d'Artagnana, nawpół otwarte usta, wąs najeżony, najjaśniej wytłumaczyły to nowemu ulubieńcowi, bynajmniej tem niewzruszonemu.

— Tembardziej — mówił dalej biskup — zechcesz polecić, panie kapitanie muszkieterów, aby tylko wielka ceremonja miała miejsce. Jego Królewska Mość bowiem chce jeszcze spać.

— Ależ — wtrącił d'Artagnan, bliski nieposłuszeństwa, a bardziej jeszcze chcąc objaśnić sobie podejrzenie, jakie w nim milczenie króla wzbudziło — Jego Królewska Mość rozkazał przyjść mi dziś rano.

— Później, później! — odezwał się z alkowy głos królewski, na który zadrżał d'Artagnan.

— A potem — rzekł biskup — ażeby ci odpowiedzieć na to, o co chciałeś zapytać króla, kochany d'Artagnan, masz oto rozkaz i przeczytaj go natychmiast, gdyż dotyczy pana Fouquet.

D'Artagnan wziął podany sobie rozkaz.

— Uwolniony? — mruknął — a! a!

Rozkaz ten wytłumaczył mu obecność Aramisa u króla, i to, że Aramis, aby otrzymać ułaskawienie pana Fouquet, musiał być oddawna w łaskach u króla, a łaska ta wytłumaczyła mu również i niezwykłą powagę, z jaką pan d'Herblay wydawał rozkazy w imieniu królewskiem; dostatecznem zaś było dla d'Artagnana cokolwiek zrozumieć, aby z tego dorozumieć się reszty.

Ukłonił się więc i chciał odejść.

— Idę z tobą — rzekł biskup.

— Dokąd.

— Do pana Fouqueta, chcę podzielić jego radość.

— A! Aramisie, jakżeś mię zaintrygował! — rzekł d'Artagnan.

— Ale teraz już zrozumiałeś?

— Naturalnie, że zrozumiałem! — poczem dodał zcicha: — Nie!... nic nie rozumiem!... ale to wszystko jedno. Jest rozkaz!... — I dodał głośno: — Proszę iść naprzód, mości księże biskupie!...

D'Artagnan zaprowadził Aramisa do Fouqueta.

CCXXVIII

PRZYJACIEL KRÓLA.

Fouquet, w niespokojnem oczekiwaniu, odprawił już niejednego ze służących i przyjaciół, poprzedzających zwyczajną przyjęcia godzinę.

Milcząc o nieszczęściu, wiszącem nad jego głową, pytał każdego z nich, gdzie jest Aramis?

Kiedy spostrzegł przychodzącego d'Artagnana z biskupem Vannes, radość jego dorównała niespokojności. Widzieć bowiem Aramisa było dlań zrównoważeniem przykrości uwięzienia.

Prałat był poważny i milczący; d'Artagnan, pomieszany nagromadzeniem tych nie do uwierzenia wypadków.

— A więc, kapitanie!... przyprowadzasz mi pana d'Herblay.

— I coś jeszcze lepszego, ekscelencjo.

— Cóż takiego?

— Wolność!

— Jestem wolny!

— Tak jest, oto rozkaz królewski!

Fouquet wytężył wzrok pytający, zwrócony na Aramisa.

— Możesz pan śmiało podziękować księdzu biskupowi Vannes, gdyż to jemu winieneś tą zmianę w królu.

— O!... — rzekł Fouquet, więcej poniżony przysługą, niż wdzięczny za skutek.

— Ależ ty!... — mówił dalej d'Artagnan do Aramisa — ty, co tak opiekujesz się panem Fouquet, czyż i dla mnie nie zrobisz jednej rzeczy?

— Wszystko, co się tylko podoba, kochany przyjacielu!... — odrzekł biskup spokojnie.

— Jedno tylko, a będę zupełnie zaspokojony. Oto objaśnij mię, jakim sposobem stałeś się ulubieńcem króla, ty!... który z nim więcej nad dwa razy w życiu nie rozmawiałeś!

— Dla takiego jak ty, przyjaciela — rzekł chytrze Aramis, — nic nie mogę zataić.

— A więc powiedz?

— Otóż tobie się zdawało, że ja tylko dwa razy widziałem się z królem, gdy tymczasem widziałem go przeszło sto razy, tylko żeśmy się z tem ukrywali, ot i wszystko!

I nie starając się przygasić nowego rumieńca, który to odkrycie wywołało na twarz d'Artagnana, Aramis obrócił się do pana Fouqueta, również zdziwionego jak i muszkieter.

— Ekscelencjo — rzekł — król zobowiązał mię, abym oświadczył panu, że jest więcej niż kiedy twoim przyjacielem i że zabawę twoją tak piękną i tak szlachetnie ofiarowaną, ocenia szczerze.

Poczem, z takiem uszanowaniem skłonił się Fouquetowi, że ten nie mogąc pojąć tak wysokiej dyplomacji, pozostał niemy, bez myśli i ruchu.

D'Artagnanowi zdawało się, że pojął iż ci dwaj ludzie mają sobie coś do powiedzenia i miał już posłuchać tego wewnętrznego uczucia grzeczności, które mu nakazywało zostawić ich samych, kiedy niepokonana ciekawość, pobudzana tylu tajemnicami, doradziła mu pozostać.

Wtenczas Aramis, obróciwszy się do niego, rzekł z uprzejmością:

— Zapomniałeś zapewne, kochany przyjacielu, o rozkazie, aby nikt teraz nie wchodził do króla?

Wyrazy te były jasne; muszkieter zrozumiał, skłonił się Fouquetowi, potem Aramisowi z cieniem szyderstwa i odszedł.

Fouquet, którego niecierpliwość ledwie tej chwili doczekała, poskoczył i, zamknąwszy drzwi na zamek, wrócił do biskupa i rzekł:

— Kochany d'Herblay, zdaje mi się, że już czas wytłumaczyć mi, co się tu dzieje, bo doprawdy nic a nic nie rozumiem.

— Wytłumaczę ci to wszystko — rzekł Aramis, siadając obok Fouqueta. — Ale od czegóż chcesz, abym zaczął?

— Przedewszystkiem od tego, dlaczego król uwolnił mię?

— Powinienbyś raczej zapytać, dlaczego kazał cię uwięzić!

— Od chwili uwięzienia mię, zastanawiałem się nad tem, i zdaje mi się, że musiała na to wpływać trochę i zazdrość. Zabawa, dana przeze mnie, sprzeciwiała się widokom pana Colberta, a ten podburzył króla przeciw mnie czemśkolwiek! Czy nie idzie tu o Belle-Isle?

— Nie, nie idzie jeszcze o Belle-Isle.
— A o cóż więc?
— Przypominasz sobie pokwitowanie z trzynastu miljonów, które ci Mazarini ukradł?
— O!... tak!... i cóż stąd!
— Oto uznano cię za złodzieja!
— Mój Boże!
— To nie wszystko! Przypominasz sobie list, któryś pisał do La Valliere?
— Niestety! to prawda!
— Widzisz, że jesteś już uznany za zdrajcę i podżegacza do złego.
— A więc dlaczegóż mi przebaczono?
— Jeszcześmy nie skończyli wyliczać powodów. Zwróć pan uwagę na czyny, uważaj dobrze. Król wie, że zataiłeś fundusze, a chociaż ja przekonany jestem, że tego nie było, ale król nie widział pokwitowania i nie może inaczej sądzić tylko, że jesteś przestępcą.
— Wybacz, ale ja nie wierzę...
— Zaraz zobaczysz. Co więcej, król, przeczytawszy miłosny twój list i propozycje, w nim zawarte, do La Valliere, nie wątpi bynajmniej o zamiarach, jakie względem niej miałeś, nieprawdaż?
— Zapewne, ale kończ!
— Natychmiast. Król więc dla ciebie jest nieprzyjacielem głównym, nieubłaganym, wiecznym!
— Zgoda. Ale czy jestem tak możny, że, pomimo środków, jakie mu moja słabość czy nieszczęście podają, nie może mnie zgubić?
— Dowiedzionem jest — mówił dalej zimno Aramis — że król na zawsze poróżnił się z tobą!
— Ależ kiedy mnie uwalnia...
— Tak myślisz?... — rzekł Aramis, rzucając znaczące spojrzenie.
— Może nie wierzę w szczerość jego serca, ale wierzę w rzeczywistość czynu.
Aramis lekko wzruszył ramionami.
— Dlaczegóż więc Ludwik XIV-ty zobowiązał cię, abyś powiedział mi to, coś mi już doniósł?

— Król nic mi względem ciebie nie polecił.

— Nic!... — rzekł nadintendent osłupiały. — A więc ten rozkaz....

— A! tak! jest rozkaz! to prawda!

I słowa te z tak dziwnym wyrazem wymówione były przez Aramisa, że Fouquet zadrżał.

— Widzę, że mi coś ukrywasz!... — rzekł.

Aramis pogładził podbródek delikatną swą ręką.

— Król więc skazuje mię na wygnanie?

— Nie rób że tak, jak dzieci, w tej grze, przy której odgadują schowany przedmiot zapomocą odzywającego się dzwonka, kiedy się zbliżają do niego, a przestają dzwonić, kiedy się oddalają.

— Powiedz więc?

— Zgadnij?

— Przestraszasz mię!

— Ba! bo zapewne nie zgadłeś!

— Cóż ci król powiedział? Zaklinam cię na przyjaźń naszą, nie ukrywaj tego przedemną.

— Król nic mi nie odpowiedział.

— Umrę z niecierpliwości! Czy jestem jeszcze nadintendentem?

— Dopóki tylko zechcesz!

— Ale cóż za szczególną i tak raptowną przewagę wziąłeś nad umysłem króla?

— A tak!

— Robi to, co ty chcesz?

— Zdaje mi się!

— Ależ to niepodobne do prawdy.

— Tak, zapewne wszyscy będą o tem mówić.

— D'Herblay! na związek nasz, na przyjaźń naszą, na wszystko, co masz najdroższego na świecie, na mnie samego nawet, zaklinam cię, powiedz czemu zawdzięczasz to zbliżenie się do Ludwika XIV-go: gdyż wiem, że cię nie lubił?

— Król teraz będzie mnie kochał!... — rzekł Aramis z przyciskiem.

— Musiałeś mieć z nim coś szczególnego?

— Tak!

— Może jaka tajemnica.

— Tak jest, tajemnica!

— Tajemnica, zmieniająca poglądy Jego Królewskiej Mości.

— Jesteś prawdziwie wyższym człowiekiem, ekscelencjo! Zgadłeś! istotnie odkryłem tajemnicę, która zmienia położenie króla Francji.

— A!... — rzekł Fouquet, wstrzymując się od dalszych zapytań, jako człowiek, dobrze wychowany.

— I osądzisz!... — mówił dalej Aramis — czy się mylę co do ważności tej tajemnicy?

— Słucham! ponieważ jesteś tak dobrym, że chcesz mi ją powierzyć; uważaj jednak, że ja tego nie wymagam.

Aramis zamyślił się na chwilę.

— Nie mów nic!... — rzekł Fouquet. — Jeszcze czas!

— Czy przypominasz sobie chwilę urodzenia się Ludwika XIV-go — rzekł biskup ze spuszczonemi oczyma.

— Jakby to dziś było.

— Słyszałeś co szczególnego o tem urodzeniu?

— Prócz tego tylko, że król nie jest prawdziwym synem Ludwika XIII-go.

— To najmniejszego nie ma na nas, ani na królestwo wpływu, gdyż prawo powiada, że ten jest synem ojca, którego ojciec przyznał!

— To prawda: jednak to ważne jest, gdy idzie o przymioty pochodzenia.

— Podrzędny wzgląd. A więc o niczem nie wiedziałeś innem?

— Nie!

— Otóż tu zaczyna się moja tajemnica.

— A!

— Królowa zamiast powić jednego syna, powiła dwóch.

Fouquet podniósł głowę.

— A drugi umarł zapewne!... — rzekł.

— Zobaczysz! bliźnięta te powinny były być dumą matki i nadzieją Francji; ale słabość królewska, przesąd, wzbudziły w nim obawę sporów pomiędzy dwojgiem dzieci, równych w prawach i dlatego ukrył jedno z bliźniąt.

— Ukrył? powiadasz?

— Czekaj. Te dwoje dzieci dorosło, jeden na tronie i pan jesteś jego ministrem, drugi w ukryciu i zaniedbaniu.

— A ten drugi?...

— Jest moim przyjacielem.

— Boże! cóż mi to mówisz, panie d'Herblay? I cóż robi ten biedny książę?

— Zapytaj mię pierwej, co dotąd robił.

— Tak! tak!

— Wychowywany był na wsi, a potem wpakowany został do Bastylji.

— Czy podobna!... — zawołał nadintendent, składając ręce.

— Jeden z nich był najszczęśliwszym z ludzi, a drugi najnieszczęśliwszym z nędzarzy.

— A matka jego nie wie o tem?

— Anna Austrjacka wie o wszystkiem.

— A król?...

— O! król nic nie wie.

— Tem lepiej — rzekł Fouquet.

Wykrzyknik ten jakby sprawił na Aramisie wrażenie i dlatego patrzał on z niespokojnem zamyśleniem na mówiącego.

— Przepraszam, żem ci przerwał — rzekł Fouquet.

— Mówiłem ci już — odrzekł Aramis, — że biedny ten książę był najnieszczęśliwszy z ludzi, lecz Bóg, który nie zapomina o żadnem ze swoich stworzeń, przyszedł mu w pomoc

— O! jakże to?

— Zobaczysz! król panujący... mówię król panujący, domyślasz się zapewne dlaczego?

— Nie, dlaczego?

— Bo obydwaj, korzystając zarówno z praw urodzenia, powinni byli królami być. Czyż nie tego jesteś zdania?

— Zupełnie!

— Stanowczo?

— Stanowczo! Bliźnięta są jednem w dwóch ciałach.

— Cieszy mię to, że tak biegły prawnik i wysoki urzędnik, jak ty, podziela moje zdanie! Przekonani więc jesteśmy, że obydwaj mieli jedne i też same prawa. Nieprawdaż?

— Tak, przekonani! Ależ, mój Boże, co za szczególne zdarzenie?

— Jeszcze nie koniec. Cierpliwości!

— O! będę ją miał.

— Bóg zesłał uciśnionemu mściciela, albo raczej podporę. Zdarzyło się, że król panujący, przywłaszczyciel!... zapewne

jesteś mego zdania, bo używanie spokojne, samolubne całego dziedzictwa, do którego się tylko w połowie ma prawo, jest przywłaszczeniem.

— Tak jest i to bardzo stosowny wyraz.

— Mówię więc dalej, Bóg chciał, że przywłaszczyciel miał jako pierwszego ministra człowieka zdolnego, z wielką duszą i umysłem!

— Dobrze, dobrze!... — zawoła Fouquet — rozumiem! liczyłeś na pomoc moją w wynagrodzeniu niesprawiedliwości, uczynionej bratu Ludwika XIV-go? Nie omyliłeś się też! chętnie ci w tem dopomogę i dziękuję ci za to, panie d'Herblay, dziękuję.

— Ależ bynajmniej nie o to idzie — rzekł niewzruszony Aramis — nie pozwalasz mi skończyć.

— Już milczę.

— Pan Fouquet, mówiłem, będąc ministrem króla panującego wpadł w niełaskę i zagrożony był utratą majątku, wolności, a może i utratą życia, przez intrygi i nienawiść, w które król uwierzył. Lecz Bóg dozwolił, dla podźwignięcia uciśnionego księcia, że pan Fouquet miał znowu poświęconego sobie przyjaciela, który, posiadając tę tajemnicę stanu, uczuł się na siłach wydać ją najaw, mając wprzód dosyć mocy, aby ukrywać ją w swem sercu przez lat 20.

— Nie mów już dalej — rzekł Fouquet pełen szlachetnych uczuć. — Pojmuję cię i odgadłem wszystko! Zapewne dowiedziawszy się o mojem uwięzieniu, poszedłeś do króla, błagałeś go o moją wolność. On odmówił, wówczas zagroziłeś mu wydaniem tajemnicy, a Ludwik XIV-sty, przestraszony, zgodził się na to, czego wprzód na szlachetne twoje wdanie się nie chciał uczynić! Rozumiem już, rozumiem, masz króla w swojem ręku.

— Nic zgoła nie rozumiesz i ciągle mi przerywasz, mój przyjacielu. A zresztą pozwól sobie powiedzieć, żeś stracił pamięć i bardzo rozminąłeś się z logiką.

— Jakto?

— Wiesz, od czego zacząłem rozmowę naszą?

— Od nieubłaganej nienawiści Jego Królewskiej Mości ku mnie. Ale jakaż nienawiść mogłaby się oprzeć rozgłoszeniu podobnej tajemnicy?

— Podobnej tajemnicy! ot właśnie tu brakuje logiki. Możesz przypuścić, że gdybym coś podobnego powiedział królowi, to byłbym jeszcze przy życiu?

— Wszak niema dziesięciu minut, jak byłeś u króla!

— Niech i tak będzie! może nie miałby dość czasu, aby kazać mię zabić, ale miałby dosyć czasu aby kazać mię związać i zamknąć gdzie w lochu! Trzebaż przecie mieć, do djabła, ścisłość w rozumowaniu.

I ten człowiek nigdy się nie zapominający, tym razem zapomniał, bo wyrażał się po muszkietersku. Fouquet pojął, do jakiego stopnia zapału uniósł się zimny i spokojny biskup Vannes i zadrżał.

— A potem — rzekł Aramis, uspokoiwszy się — czyż byłbym takim, jakim jestem człowiekiem, byłżebym prawdziwym twoim przyjacielem, ażebym ciebie, którego król tak nienawidzi, narażał na okropniejsze jeszcze uczucia młodego króla! Okraść go niczemby było, zalecać się jego kochance, drobnostka, ale trzymać w swem ręku jego honor i koronę, o! wtedy prędzejby ci własnemi rękami wydarł serce.

— A zatem nie odkryłeś mu tej tajemnicy?

— Wolałbym odrazu wypić wszystką truciznę, jaką Mitrydates pił potrochu przez lat 20, aby nie być otrutym.

— Cóżeś więc uczynił?

— A! otóż w tem cała rzecz. Zdaje się, że teraz wzbudzę w ekscelencji trochę zajęcia, wszak słuchasz mię pan z uwagą?

— Z największą. Mów dalej.

— Zapomniałem ci powiedzieć — rzekł Aramis — o pewnej, godnej uwagi osobliwości, co się tyczy tych bliźniąt, że Bóg stworzył ich tak podobnych do siebie, iż chyba on sam mógłby ich tylko rozróżnić. Matka nawet tegoby nie dokazała.

— Czy podobna!... — zawołał Fouquet.

— Ta sama szlachetność w rysach, tenże sam chód, tenże sam kształt, tenże głos.

— Ale myśli, zdolności, znajomość życia?

— O! tu zupełna nierówność, ekscelencjo, więzień bowiem Bastylji niezaprzeczoną ma pod tym względem wyższość nad swym bratem. I gdyby ten nieszczęśliwy z więzienia przeszedł na tron, Francja nie miałaby może nigdy szlachetniejszego i z większemi zdolnościami monarchy.

Fouquet, uderzony tą okropną tajemnicą, zamyślił się głęboko, oparłszy głowę na rękach. Aramis zbliżył się do niego.

— Jeszcze jest jedna różnica — rzekł, prowadząc dalej dzieło pokusy — różnica dla ciebie, ekscelencjo, w tych bliźniętach dzieciach Ludwika XIII-go, ta mianowicie, że później urodzony nie zna pana Colberta.

Fouquet porwał się blady i wzruszony, cios ugodził go nie w serce, ale w umysł.

— Rozumiem cię — rzekł — przedstawiasz mi spisek.

— Coś podobnego.

— Jeden z tych projektów, które, jakeś powiedział na początku naszej rozmowy, zmieniają losy państw.

— I nadintendentury!... tak jest, ekscelencjo.

— Słowem, proponujesz mi udział w zamianie syna Ludwika XIII-go, syna, który nateraz jest więźniem na syna Ludwika XIII-go, co w tej chwili śpi w pokoju Morfeusza.

Aramis rozśmiał się śmiechem, tak złowrogim, jak jego myśl.

— Przypuśćmy, że tak — wyrzekł.

— Ależ — odrzekł Fouquet, przerywając chwilę uciążliwego milczenia — nie zastanowiłeś się nad tem, że czyn ten polityczny sprawić może ogromne w państwie zamieszanie, że, aby wyrwać to drzewo, tak głęboko zakorzenione, które nazywają królem, ażeby go innym zastąpić, fundament nigdy nie będzie tak mocnym, ażeby nowy król mógł oprzeć się dawnej burzy i działaniom swych własnych stronników.

Aramis ciągle się uśmiechał.

— Pomyśl — mówił dalej Fouquet, zapalając się siłą zdolności, twórczą i czyniącą pomysł dojrzałym w kilku sekundach, — zastanów się, że potrzeba nam będzie zwołać stany, szlachecki, duchowny i średni, złożyć z tronu panującego monarchę, poruszyć ten okropnem zgorszeniem grób Ludwika XIII-go, pozbawić życia i sławy Annę Austrjacką, spokoju i życia może Marję Teresę, i że to wszystko przepadnie, jeżeli my zginiemy.

— Nie rozumiem pana — odparł obojętnie Aramis — bo w tem wszystkiem, coś pan powiedział, niema ani jednego stosownego wyrazu.

— Jakto!... — podchwycił nadintendent zdziwiony — niepodobna, aby człowiek taki, jak ty nie dowodził możności wykonania, a ograniczał się tylko do dziecinnej radości z planów

politycznych i nie dbał o dobry lub zły rezultat działania, to jest o rzeczywistość?

— Powiedz mi, mój przyjacielu — odrzekł Aramis, nadając znaczenie wyrazowi przyjaciel, poufało-pogardliwe — jak czyni Bóg, kiedy daje jednego króla na miejsce drugiego?

— Bóg!... — zawołał Fouquet — Bóg daje rozkaz sile działającej, a ta porwawszy skazanego, osadza na opróznronym tronie jego następcę. Ale zapominasz, że siła ta nazywa się "śmierć." Ależ, mój Boże!... Czy nie masz czasem, panie d'Herblay, zamiaru?...

— Nie o to tu idzie, ekscelencjo, doprawdy dalej pan sięgasz niż zamierzyłem. Któż tu panu mówi o śmierci Ludwika XIV-go kto mówi o naśladowaniu Boga w niepojętych jego dziełach, nikt. Chciałem tylko powiedzieć panu, że Bóg działa bez wywoływania zamieszek, bez zgorszenia, bez wysiłków nadzwyczajnych i że ludziom natchnionym od Boga, tak się udaje w ich zamysłach i przedsięwzięciach, jak i Jemu samemu!

— Co mówisz.

— Mówię ci, mój przyjacielu — rzekł Aramis wymawiając wyraz przyjacielu z tym samym co i pierwej odcieniem, — mówię ci, że jeżeli było jakiekolwiek zamieszanie, zgorszenie, a nawet wysiłek w zastąpieniu więźniem króla, to proszę mi tego dowieść!

— Co?... co?... — zawołał Fouquet, bielszy niż chustka, którą się z potu ocierał. — co mówisz?...

— Idź do pokoju królewskiego — rzekł spokojnie Aramis — i pan, co wiesz o tajemnicy, nie poznasz, że więzień z Bastylji spoczywa na łożu swego brata.

— Ależ król?... — zapytał Fouquet, przejęty zgrozą na tę wiadomość.

— Jaki król?... — spytał słodziutkim głosem Aramis — czy ten, który cię nienawidzi, czy ten który cię kocha?

— Król... wczorajszy.

— Król wczorajszy?... zastąpił miejsce swej ofiary w Bastylji, która tam zbyt długo pozostawała.

— Sprawiedliwe nieba!... i któż go tam osadził?

— Ja!

— Ty?

— Tak, i to najprostszym sposobem! porwałem go tej nocy i kiedy zstępował w ciemności, drugi wychodził na światło, i zdaje mi się, że to się bez najmniejszego stało szelestu. Błyskawica bez grzmotu nikogo nie obudzi.

Fouquet wydał jęk przytłumiony, jakby mu kto niewidzialny cios zadał i ściskając konwulsyjnie głowę rękami:

— I tyś to uczynił?... — zapytał.

— Dosyć zręcznie, cóż myślisz o tem?

— Zepchnąłeś króla z tronu i uwięziłeś go?

— Tak.

— I czynu tego dokonano tu, w Vaux?

— Tu, w Vaux, w pokoju Morfeusza czyż on nie jest jakby umyślnie na to zbudowany?

— I to się stało?

— Tej nocy.

— Tej nocy?

— Pomiędzy dwunastą godziną, a pierwszą.

— Fouquet uczynił poruszenie, jakby się chciał rzucić na Aramisa, lecz się powstrzymał.

— W Vaux?... u mnie?... — rzekł przytłumionym głosem.

— Ależ tak, u ciebie, bo to twój dom, od chwili, jak pan Colbert nie może ci go wydrzeć.

— A więc tu u mnie dopełniono tej zbrodni?...

— Tej zbrodni?... — rzekł Aramis osłupiały.

— Tej okropnej zbrodni!... — mówił Fouquet ze wzrastającem uniesieniem — zbrodni okropniejszej nad zabójstwo! zbrodni, która, hańbiąc na wieki imię moje, skazuje mię na wzgardę potomności!

— Ależ ty jesteś chyba w gorączce, mój panie! — odpowiedział Aramis niepewnym głosem — mówisz za głośno, strzeż się.

— Krzyczeć będę tak głośno, że cały świat będzie mię słyszał.

— Panie Fouquet, strzeż się!

Fouquet spojrzał śmiało w oczy prałatowi.

— Tak! — rzekł — shańbiłeś mię, dopełniając tej zbrodni na moim gościu, na tym, który z zaufaniem pod moim spoczywał dachem, o! biada mi!

— Biada temu, który pod twoim dachem układał zamiar zniszczenia twego majątku i odebrania ci życia, czy zapomniałeś o tem?

— On był moim gościem, moim królem!

Aramis powstał, a oczy jego krwią nabiegły.

— Czy mam do czynienia z bezrozumnym człowiekiem? — zapytał.

— Masz do czynienia z człowiekiem prawym.

— Szalonym!

— Z człowiekiem, który przeszkodzi ci dokończyć twej zbrodni.

— Szalony!

— Z człowiekiem, który woli zginąć, woli zabić ciebie, niż dopuścić. byś go tak shańbił.

I Fouquet błysnął ostrzem szpady, którą pochwycił, tej samej, którą mu zwrócił d'Artagnan.

Aramis zmarszczył brwi, wsunął rękę za piersi, jakby tam szukał ukrytej broni; poruszenie to Fouquet dostrzegł.

A szlachetny w swej wielkoduszności, odrzucił od siebie szpadę i bezbronną ręką dotykając ramienia Aramisa:

— Panie — rzekł — byłoby mi słodko umrzeć, aby nie widzieć mojej hańby i jeżeli jesteś choć trochę moim przyjacielem, zabij mię.

Aramis milczał nieporuszony.

— Nie odpowiadasz mi?

Aramis podniósł zwolna głowę, a iskra nadziei raz jeszcze zabłysła w jego oczach.

— Zastanów się pan — rzekł — nad tem, co nas czeka, sprawiedliwość została wykonaną, lecz król żyje jeszcze, a więzienie jego zachowuje ci życie.

— Tak — rzekł Fouquet — być może, żeś w moim działał interesie, ale ja nie przyjmuję tej przysługi. Jakkolwiekbądź nie chcę cię zgubić. Opuść ten dom natychmiast.

Aramis tłumił wzburzenie, jakie go ogarniało.

— Jestem zarówno dla wszystkich gościnnym — mówił dalej Fouquet z nieopisaną wspaniałością — nie staniesz się pastwą zemsty, jak i ten któregoś zgubę ułożył.

— Ale ty będziesz zgubionym — rzekł Aramis głosem przepowiedni — będziesz zgubionym, będziesz!

— Przyjmuję tę przepowiednię, panie d'Herblay, ale nic mię nie powstrzyma. Opuścisz natychmiast Vaux i Francję, daję ci cztery godziny czasu do uniknienia pogoni królewskiej.

— Cztery godziny? — rzekł Aramis z szyderczem niedowierzaniem.

— Jakem Fouquet, przez ten czas nikt nie pójdzie w pogoń za tobą, a więc o cztery godziny będziesz zawsze na przodzie od wszelkiej pogoni.

— Cztery godziny! — powtórzył Aramis, czerwieniejąc z gniewu.

— To więcej, niż potrzeba, ażebyś dostał się do Belle-Isle, gdzie ci pozwalam szukać schronienia.

— A! — mruknął Aramis.

— Belle-Isle jest moją dla ciebie, tak jak jest Vaux mojem dla króla. Jedź więc tam, panie d'Herblay, jedź, a dopóki żyję, włos ci z głowy nie spadnie.

— Dziękuję — rzekł Aramis z ponurem szyderstwem.

— Jedź więc i podaj mi rękę, abyśmy obaj szczęśliwie dobiegli, ty do oszczędzenia twego życia, ja do podźwignięcia mojego honoru.

Aramis wyciągnął rękę, którą trzymał na piersiach.

Skrwawioną była, szarpał bowiem piersi paznokciami, jakby chciał ukarać ciało, że mu zrodziło pomysły tak próżne, tak niedorzeczne i prędzej kończące się na niczem, aniżeli życie człowieka.

Fouquet, dotknięty litością, uścisnął go.

— Nie miałem broni przy sobie — rzekł Aramis z dziką rozpaczą, jak cień Dydony.

Potem, niedotknąwszy nawet ręki Fouqueta, cofnął się o dwa kroki.

Ostatniem jego słowem było złorzeczenie, ostatniem poruszeniem przekleństwo, nakreślone zakrwawioną ręką, z której kilka kropel bryzgnęło na twarz Fouqueta.

Obydwaj pobiegli przez tajemne schody, prowadzące na wewnętrzny dziedziniec.

Fouquet kazał najdzielniejsze założyć konie, Aramis zatrzymał się przededrzwiami Portosa.

Długo tak stał zamyślony, a powóz Fouqueta pędem wyruszył z dziedzińca.

— Uchodzić samemu?... — rzekł do siebie Aramis — uprzedzić o tem księcia?... O wściekłości!... a uprzedziwszy księcia, co robić?... uchodzić z nim? ciągnąć za sobą wszędzie to oskarżające świadectwo?... wojnę?... wojnę domową, nieubłaganą, bez żadnych środków, niestety!... niepodobna!... ale cóż on pocznie bezemnie?... o! bezemnie upadnie, tak jak i ja!... ale któż to wie?... niech się spełni przeznaczenie!... był już skazanym, niechże nim pozostanie. Boże!... szatanie! ponura i szydercza siło! którą zowią genjuszem człowieka! nie jesteś niczem więcej, tylko niepewnym i niepotrzebnym powiewem wiatru szumiącego w górach, nazywają cię przypadkiem, ale jesteś niczem!... Obejmujesz wszystko swojem tchnieniem, poruszasz góry, dźwigasz skały, a jednak moc twoja niknie na widok krzyża, z uschłego drzewa zrobionego, po za którym żyje inna władza niewidzialna, której możeś zaprzeczył istnienia! która mści się na tobie i druzgocze cię, nie robiąc ci nawet zaszczytu, by powiedziała, czem jest i skąd pochodzi!... Zgubiony jestem, zgubiony!... co czynić?... uciekać do Belle Isle!..

Tak! a Portos, który tu pozostanie i wszystko opowie. Portos, który także będzie może cierpiał... a nie chcę, ażeby on cierpiał. Jest on częścią mnie samego, jego cierpienie jest mojem! Portos pojedzie ze mną. Portos musi los mój podzielić! Tak trzeba!

I Aramis, pełen bojaźni, aby nie spotkać się z kim, komuby pośpiech ten wydawał się podejrzanym, wybiegł na schody, niepostrzeżony przez nikogo i lekki, jak cień wszedł do pokoju, a dotknąwszy ręką śpiącego olbrzyma:

—Dalej — zawołał — wstawaj, Portosie, wstawaj prędko

Posłuszny Portos wstał, otworzył oczy, wprzód nim jeszcze mógł zrozumieć, o co chodzi.

— Jedziemy — rzekł Aramis.

— A!... — rzekł Portos.

— Pojedziemy konno, ale tak prędko, żeśmy nigdy jeszcze tak szybko nie lecieli.

— A!... — powtórzył Portos.

— Ubieraj się, przyjacielu.

A pomagając mu do tego Aramis, włożył mu do kieszeni pieniądze i brylanty.

Nagle, zwrócił uwagę jego lekki szelest u drzwi, obrócił się i spostrzegł d'Artagnana, we drzwiach stojącego.

Aramis zadrżał.

— Co, u djabła, tak się spieszycie?... — rzekł muszkieter.

— Cicho!... — rzekł Portos.

— Jedziemy z tajemnem poleceniem — dodał biskup.

— Jesteście bardzo szczęśliwi — odrzekł muszkieter.

— A!... — rzekł Portos — tak jestem zmęczony, że wolałbym spać, ale cóż!... służba królewska!...

— Czy widziałeś się z panem Fouquet?... — rzekł Aramis do d'Artagnana.

— W tej chwili, w powozie.

— I cóż ci powiedział?...

— Powiedział mi: "Bądź zdrów."

— I nic więcej?....

— A cóż chciałeś, ażeby mi powiedział?... czyż już niczem nie jestem od czasu, jak ty jesteś w łaskach?...

— Słuchaj — rzekł Aramis, ściskając muszkietera — wróciły twoje dobre czasy, nie będziesz nikomu niczego zazdrościł.

— Cóż znowu?

— Przepowiadam ci na dziś zdarzenie, które podwoi twoją wziętość.

— Doprawdy?...

— Wszak wiesz, że mam zawsze pewne wiadomości!...

— O!... tak!...

— No Portosie, jużeś gotów?... Jedźmy.

— Jedźmy!...

— I uściskajmy d'Artagnana.

— Z całego serca!...

— Konie!...

— Nie brak ich tutaj. Chcesz to ci dam moje?...

— Nie, Portos ma swoje. No, bądź zdrów, do widzenia.

Dwaj zbiegi wsiedli na koń w oczach kapitana muszkieterów, który jeszcze przytrzymywał strzemiona Portosowi, a potem patrzył na oddalających się, dopóki mu z oczu nie zniknęli.

— W każdym innym razie — myślał Gaskończyk — ledwiebym nie przysiągł, że ci dwaj ludzie uciekają; ale dziś polityka

tak się zmieniła, że to się nazywa jechać z tajnem poleceniem. Niech i tak będzie!... Chodźmy do swoich zatrudnień.

I w filozoficznem rozmyślaniu wrócił do siebie.

CCXXIX

JAK ROZKAZ SZANOWANY BYŁ W BASTYLJI.

Fouquet, wzburzony tem, o czem się dowiedział, pędził, co konie mogły wyskoczyć.

— Czemże była — myślał — młodość tych ludzi, którzy w wieku podeszłym zdołali ułożyć i wykonać takie zamiary.

— Niekiedy przychodziło mu na myśl, czy to wszystko, co mi Aramis opowiedział, nie było snem tylko, albo sidłami, na niego zastawionemi i że, przybywając do Bastylji, znajdzie rozkaz uwięzienia i tym sposobem podzieli więzienie z zepchniętym z tronu królem.

Dlatego też w czasie przeprzęgu koni wysłał kilka rozkazów zapieczętowanych do d'Artagnana i innych dowódzców, których wierność nie mogła być w podejrzeniu.

— Tym sposobem — rzekł do siebie Fouquet — czy będę uwięzionym lub nie, zrobiłem to, co mi honor nakazywał. Jeżeli będę wolnym, rozkazy przybędą już po moim powrocie i nie będą jeszcze rozpieczętowane. Jeżeli zaś przeciwnie, to będę miał pomoc dla siebie i króla. Tak przygotowany przybył do Bastylji, zrobiwszy dwie i pół mili w godzinę.

To, co się nigdy nie zdarzyło Aramisowi w Bastylji, spotkało pana Fouquet, gdyż pomimo, że się dał poznać, nie został wpuszczony do twierdzy.

Prosząc, grożąc, rozkazując, zmusił szyldwacha, że zawołał strażnika, który doniósł o jego przybyciu majorowi.

Co do gubernatora, nawet nie śmiano go trudzić tą drobnostką.

Fouquet, siedząc w karecie przed bramą fortecy, zżymał się, oczekując podoficera, który nareszcie przybył z miną nieukontentowaną.

— I cóż powiedział major? — zapytał Fouquet niecierpliwie.

— I cóż, panie!... ot wyłajał mię i powiedział, że pan Fouquet jest teraz w Vaux, a choćby był w Paryżu, pewnoby nie wstał o tej godzinie.

— A niech djabli porwą to bydło — krzyknął Fouquet z wściekłością, wyskakując z powozu.

I zanim się podoficer spostrzegł, Fouquet wcisnął się przez otwartą furtkę i biegł dalej pomimo krzyku żołnierza wołającego o pomoc.

Fouquet pospieszał, nie zważając na krzyki szyldwacha, które obudziły baczność żołnierza, stojącego przy drugiej bramie.

Ten nadstawił pikę, chcąc wstrzymać ministra, lecz Fouquet silny, zręczny i rozjątrzony, wyrwawszy mu ją z rąk, ściągnął go porządnie po plecach i podoficer, za blisko niego stojący, także oberwał.

Obydwaj wrzeszczeli na całe gardło.

Na krzyk ten, cała warta zbliżała się już, lecz wreszcie jeden z pomiędzy nich poznał Fouqueta i zawołał:

— Jego ekscelencja!... a! to jego ekscelencja! zatrzymajcież się, dajcie spokój!

I warta zatrzymała się, chociaż była gotową pomścić obelgi swych towarzyszy.

Fouquet rozkazał otworzyć bramę, ale zasłoniono się przeciwnym rozkazem.

Kazał więc dać znać gubernatorowi, ale ten, usłyszawszy już krzyk żołnierzy, w mniemaniu, że chcą zdobyć twierdzę, przybył na czele dwudziestu ludzi w towarzystwie majora, lecz, poznawszy Fouqueta, opuścił szpadę, którą trzymał podniesioną.

— A! przepraszam, ekscelencjo!...

— Panie — rzekł nadintendent, spocony i zaczerwieniony ze zmęczenia — winszuję, służba ostro idzie, bardzo dobrze.

Baisemeaux zbladł, mniemając, że wyrazy te były szyderstwem i przepowiednią gniewu.

Lecz Fouquet, odetchnąwszy, zawołał pokrzywdzonych szyldwacha i podoficera.

— Oto 20 pistolów dla żołnierza, a 50 dla podoficera — rzekł — a o reszcie doniosę królowi; teraz z panem mam do pomówienia, panie Baisemeaux.

I oddalił się z gubernatorem do jego mieszkania.

Baisemeaux drżał ze wstydu i strachu.

Zdawało mu się, że odwiedziny Aramisa pociągają teraz za sobą następstwa, których urzędnik śmiało mógł się obawiać.

— Czy pan dziś zrana widziałeś pana d'Herblay?...

— Tak!... ekscelencjo.

— I nie czujesz okropności zbrodni, jakiej stałeś się wspólnikiem?...

— Masz tobie — pomyślał Baisemeaux i dodał głośno:

— Ale jakiej zbrodni, ekscelencjo?...

— Za to powinieneś być ćwiartowanym!... ale nie czas teraz mówić o tem; zaprowadź mię natychmiast do więźnia!...

— Do jakiego więźnia?... — spytał Baisemeaux drżący.

— Udajesz, że nie wiesz?... dobrze, i to jest najlepiej dla ciebie!... Bo istotnie, gdybyś był wspólnikiem, byłoby już po tobie!... Chcę więc tym razem uwierzyć w nieświadomość twoją.

— Ależ, ekscelencjo.

— Dobrze!... dobrze już, ale prowadź mię do więźnia!...

— Do Marchialego?...

— Kto to jest ten Marchiali?...

— Jestto więzień, przywieziony dziś przez pana d'Herblay!..

— Nazywają go Marchiali?... — rzekł Fouquet, zmieszany w swoich domysłach prostoduszną otwartością Baisemeaux.

— Tak jest!... ekscelencjo!... pod tem nazwiskiem jest tu zapisany.

Fouquet, przywykły do czytania w sercach ludzi, przekonał się o zupełnej jego szczerości, a potem, przypatrzywszy się z uwagą wyrazowi twarzy Baisemeaux, nie mógł już przypuścić, ażeby Aramis powierzył mu tajemnicę.

— I to ten więzień — spytał gubernatora — którego d'Herblay wczoraj zabrał z sobą?...

— Ten sam!... ekscelencjo.

— Ten, którego odwiózł dziś napowrót?... — dodał żywo Fouquet, domyśliwszy się całego planu Aramisa.

— Tak jest!... ekscelencjo.

— I nazywa się Marchiali?...

— Marchiali. A jeżeli ekscelencja przybyłeś aby go zabrać, tem lepiej, bo właśnie chciałem pisać o nim do jego ekscelencji.

— Poco?...

— Od dzisiejszego rana bardzo jestem niekontent z niego, ma jakieś przystępy szaleństwa, takie, iż myślałby kto, że na jego rozkaz Bastylja się zawali.

— Ja cię też uwolnię od niego.

— Chwała Bogu!

— Prowadź mię więc do niego.

— Proszę ekscelencję o rozkaz!...

— Jaki rozkaz?...

— Królewski.

— Zaraz napiszę panu.

— To nie będzie dostateczne, ekscelencjo, gdyż na to potrzeba rozkazu samego króla.

Fouquet oburzył się.

— Pan, co jesteś takim formalistą, aby więźnia odwiedzić, pokaż mi rozkaz, na mocy którego wprzód go uwolniłeś?

Baisemeaux pokazał rozkaz uwolnienia Seldona.

— I cóż z tego?... — rzekł Fouquet — to Seldon nie Marchiali?

— Bo też Marchiali nie jest uwolniony i jest tu ekscelencjo.

— Ależ przecie pan mówisz, że pan d'Herblay wywiózł i odwiózł Marchialego?

— Nie mówiłem tego.

— Mówiłeś i to tak wyraźnie, iż zdaje mi się, że i teraz słysze to samo.

— Chyba mi się język poplątał.

— Panie Baisemeaux, strzeż się!

— Niczego się nie boję, ekscelencjo, gdyż w niczem nie uchybiłem formalności.

— I pan śmiesz to mówić?

— Przysiągłbym nawet! pan d'Herblay przywiózł mi rozkaz uwolnienia Seldona i Seldon jest wolnym.

— Ale ja panu powiadam, że Marchiali wyszedł z Bastylji.

— Trzebaby mi tego dowieść, ekscelencjo.

— Pozwól mi się z nim zobaczyć.

— Ekscelencjo, jako zarządca państwa, wiesz o tem bardzo dobrze, że nikt bez wyraźnego rozkazu króla nie może się widzieć z więźniem.

— A pan d'Herblay przecie widział się z nim.

— Niema na to dowodu, ekscelencjo.

— Panie Baisemeaux, ostrzegam cię, uważaj, co mówisz.

— Akta są moim dowodem!

— Pan d'Herblay przepadł zupełnie.

— Pan d'Herblay przepadł? Niepodobna.

— Widzisz, że to on na pana taki wpływ wywarł.

— Największy wpływ wywiera na mnie służba królewska i ściśle pełnię swoją powinność! Daj mi ekscelencjo, rozkaz króla, a natychmiast zobaczysz się z więźniem.

— Słuchaj, panie gubernatorze! daję ci na to słowo, że po widzeniu się z więźniem natychmiast dam panu rozkaz królewski.

— Daj mi go, ekscelencjo, pierwej.

— A jeżeli mi odmówisz, każę cię ze wszystkimi twymi oficerami natychmiast aresztować.

— Nie dopuścisz się tego gwałtu, ekscelencjo! Chciej zwrócić na to uwagę, że będziemy posłuszni, tylko rozkazowi królewskiemu i że tak dla widzenia Marchialego, jak i dla zrobienia mnie niewinnemu tej krzywdy, potrzebny jest wyraźny rozkaz królewski.

— To prawda — podchwycił Fouquet z wściekłością — prawda, a więc, panie de Baisemeaux — rzekł dobitnie, przyciągając go do siebie — wiesz, dlaczego tak usilnie pragnę mówić z więźniem?

— Nie wiem, ekscelencjo i racz uważać, jak mię przestraszasz, jestem cały drżący, siły mnie opuszczają.

— Jeszcze się bardziej przerazisz, panie de Baisemeaux, jak powrócę tu z 10,000 wojska i 30 działami.

— A! mój Boże!... ekscelencja dostał pomieszania zmysłów.

— Kiedy podburzę przeciw tobie i twoim przeklętym murom całą ludność Paryża i kiedy, wyłamawszy bramy, każe ciebie na najwyższej baszcie powiesić.

— Ależ, ekscelencjo, miej litość!

— Daję ci dziesięć minut do namysłu — dodał Fouquet spokojnie — czekam na to, oto w tem krześle. Jeżeli po upływie tego czasu, będziesz się opierał, odjadę i miej mnie za szalonego lub nie; ale zobaczysz!

Baisemeaux załamywał ręce, jak człowiek w rozpaczy, ale nic nie odpowiadał.

Widząc to Fouquet porwał pióro i pisał:

— "Rozkazuję panu starszemu zgromadzenia kupców, ażeby tenże, zebrawszy gwardję miejską, uderzył na Bastylję, dla dobra królewskiego."

Baisemeaux ścisnął ramionami, Fouquet pisał dalej:

— Rozkazuję księciu de Bouillon i księciu Kondeuszowi, ażeby wziąwszy Szwajcarów i inne gwardje, uderzyli na Bastylję dla dobra królewskiego."

Baisemeaux zamyślił się. Fouquet pisał:

— Rozkazuję każdemu żołnierzowi obywatelowi i szlachcicowi, chwytać i pojmać gdziekolwiekby się znajdował, kawalera d'Herblay biskupa Vannes i jego wspólników, którymi są: 1) Pan de Baisemeaux, gubernator Bastylji, podejrzany o zbrodnie zdrady, buntu i o zamach stanu...

— Wstrzymaj się pan — zawołał Baisemeaux — nic z tego nie rozumiem; ale tyle nieszczęść może we dwie godziny spaść na Bastylję, że król, który mnie sądzić będzie, sam uzna, że musiałem uledz groźbie tak strasznych losów. Idźmy więc do wieży, ekscelencjo, a tam zobaczysz Marchialego.

Fouquet wybiegł z pokoju, Baisemeaux szedł za nim, ocierając pot, spływający strumieniem po twarzy.

— Co za okropny ranek — powtarzał — co za zdarzenie!

— Idź prędzej — rzekł Fouquet.

Baisemeaux, bojąc się swego towarzysza, dał znak odźwiernemu, aby szedł naprzód, co spostrzegłszy Fouquet, zawołał:

— Dosyć tego dziecińśtwa, zostaw tu tego człowieka, weź sam klucze i pokazuj mi drogę, nikt bowiem, rozumiesz pan, nikt nie powinien słyszeć co się tam stanie.

— A!... — rzekł Baisemeaux, wahając się.

— Jeszcze?... — krzyknął Fouquet. — Odpowiedz lepiej natychmiast, że nie, a ja wyjadę z Bastylji, rozwożąc osobiście moje rozkazy.

Baisemeaux opuścił głowę i wziąwszy klucze, szedł naprzód po schodach.

W miarę jak postępował wyżej po kręconych schodach, tem wyraźniej dolatywał go jakiś przytłumiony z początku głos, który zmieniał się w okropny krzyk złorzeczeń i przekleństw.

— Co to takiego?... — zapytał Fouquet.

— A to pański Marchiali — rzekł gubernator — posłuchaj pan, jak wyją warjaci.

Odpowiedzi tej towarzyszył rzut oka na Fouqueta, więcej obrażający, niż grzeczny.

Ten zadrżał, w krzyku bowiem okropnym poznał głos króla.

Zatrzymał się, wyrwał pęk kluczów z rąk Baisemeaux, który myślał już, że mu Fouquet chce niemi głowę roztrzaskać.

— A! pan d'Herblay — zawołał — nic mi o tem nie mówił.

— Dawaj klucze — rzekł Fouquet, wyrywając mu. — Który jest od drzwi?

— Ten!

Okropny krzyk, a potem mocne uderzenie we drzwi dało się słyszeć w korytarzu.

— Odejdź stąd — rzekł groźnie Fouquet do Baisemeaux.

— Właśnie tego żądam — rzekł tenże do siebie. — To będzie ładnie, jak ci dwaj warjaci spotkają się z sobą, pewny jestem, że jeden drugiego udusi.

— Idźże!... — powtórzył Fouquet — a jeżeli nogą stąpisz na ten korytarz, zanim ciebie zawołam, bądź pewny, że zajmiesz na wieki miejsce najnędzniejszego z więźniów w Bastylji.

— Umrę niezawodnie — mruczał Baisemeaux, oddalając się krokiem chwiejnym.

Krzyki więźnia stawały się coraz głośniejszymi.

Fouquet, upewniwszy się, że Baisemeaux jest już na dole, otworzył pierwszy zamek.

Wówczas wyraźnie usłyszał ochrypły głos królewski, który z wściekłością wołał:

— Na pomoc!... jestem królem!... na pomoc!...

Klucz od drugiego zamku nie był ten sam co od pierwszego. Fouquet zmuszony był szukać go w pęku kluczy.

Król, przyprowadzony prawie do szaleństwa krzyczał z całych sił:

— To Fouquet kazał mię tu zaprowadzić, na pomoc przeciw panu Fouquet, jestem królem, na pomoc królowi przeciw Fouquetowi.

Krzyki te, rozdzierające serce ministrowi, poprzedzały uderzenia we drzwi połamanemi krzesłami.

Fouquet dobrał wreszcie klucza; króla opuszczały siły, nie mówił już, ale ryczał.

— Śmierć Fouquetowi — zaryczał — śmierć zbrodniarzowi Fouquet.

Drzwi się otworzyły.

CCXXX

WDZIĘCZNOŚĆ KRÓLEWSKA.

Dwaj ci ludzie, którzy, jak się zdawało mieli się rzucić na siebie, zatrzymali się, wydając okrzyk przerażenia.

— Czy przychodzisz zabić mnie?... — rzekł król, poznając Fouqueta.

— Król w takim stanie — szepnął minister.

Nic bowiem nie było bardziej okropniejszego nad widok młodego monarchy, w chwili, kiedy go ujrzał Fouquet.

Suknie i bielizna podarte, przesiąknięte potem i poplamione krwią, sączącą się z poszarpanych piersi i rąk.

Z dzikim wzrokiem, blady, zapieniony, z włosami najeżonymi, Ludwik XIV-ty przedstawiał prawdziwy obraz rozpaczy, głodu i przestrachu, połączonych w jednym posągu.

Fouquet, rozrzewniony tym widokiem, poskoczył do króla z otwartemi rękami i łzami w oczach.

Ludwik podniósł na Fouqueta kawał złamanego stołka, którym przed chwilą bił we drzwi.

— Jakto? — rzekł Fouquet drżącym głosem — nie poznajesz więc, Najjaśniejszy Panie, najwierniejszego z twoich przyjaciół?

— Ty moim przyjacielem — odpowiedział Ludwik, zgrzytając zębami, a w głosie przebijała się nienawiść i żądza najprostszej zemsty.

— Poświęconym sługą — rzekł Fouquet, padając na kolana.

Król opuścił broń, jaką trzymał w ręku.

Fouquet, zbliżywszy się, ucałował kolana jego, a chwyciwszy w objęcia, zawołał:

— Mój królu! dziecię moje! a! cóżeś wycierpiał!

Ludwik, tą zmianą położenia przywrócony do przytomności, opamiętał się, a zawstydzony nieładem ubrania, prawie szaleństwem i opieką, jakiej teraz doznawał, cofnął się o kilka kroków.

Fouquet nie zrozumiał tego poruszenia.

Nie przeczuł, że pycha królewska nie przebaczy mu nigdy, iż był świadkiem tylu słabości.

— Chodź, Najjaśniejszy Panie, jesteś wolnym — rzekł.

— Wolnym? — powtórzył król. — Dajesz mi wolność, kiedyś śmiał podnieść na mnie rękę?

— Nie wierzysz zapewne sam temu, Najjaśniejszy Panie — rzekł Fouquet oburzony — abym mógł być choć najmniej winnym w tej sprawie.

I krótko, lecz z zapałem, opowiedział mu całe zdarzenie, którego szczegóły są nam wiadome.

Dopóki trwało opowiadanie, Ludwik cierpiał okropnie, lecz potem nie tyle go uderzyła wielkość nieszczęścia, jakie nań spadło, ile ważność tajemnicy brata jego, bliźniaka.

— Panie — rzekł do Fouqueta — to podwójne urodzenie jest kłamstwem i niepodobieństwem jest, abyś dał się temu uwieść.

— Najjaśniejszy Panie!

— Niepodobna, mówię ci, aby podejrzewano cześć i cnotę mo jej matki, niepodobna, aby mój pierwszy minister nie wymierzył dotąd przykładnej kary na tych zbrodniarzy.

— Nim puścisz wodze uniesieniu, zastanów się dobrze, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Fouquet — urodzenie brata Waszej Królewskiej Mości...

— Ja tylko jednego mam brata, a tym jest książe. Znasz go tak dobrze, jak i ja i powiadam ci, że to jest spisek, a początek dał gubernator Bastylji.

— Uważaj, Najjaśniejszy Panie, że ten człowiek był tak, jak i wszyscy, zwiedzony podobieństwem księcia.

— Podobieństwem? cóż znowu!

— Musi być jednakże Marchiali bardzo podobnym do Waszej Królewskiej Mości, skoro oczy wszystkich się zawiodły — rzekł Fouquet.

— Niedorzeczność!

— Nie mów tego, Najjaśniejszy Panie; ludzie, którzy są gotowi śmiało stanąć w oczy twoim ministrom, matce, oficerom i całej rodzinie, ludzie ci bardzo muszą być pewni podobieństwa.

— To prawda — mruknął król. — Ale gdzież są ci ludzie?

— W Vaux.

— W Vaux? i ty cierpisz tam ich obecność?

— Dla mnie najpilniejszem się zdawało uwolnić Waszą Królewską Mość. Dopełniłem tej powinności i teraz oczekuję rozkazów mojego monarchy.

Ludwik zamyślił się na chwilę.

— Zbierzmy wojsko w Paryżu — rzekł.

— Rozkazy co do tego są już wydane — odpowiedział Fouquet.

— Wydałeś rozkazy? — zawołał król.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, Wasza Królewska Mość będziesz za godzinę na czele 10,000 wojska.

Za całą odpowiedź król, porwawszy rękę Fouqueta, ścisnął ją tak serdecznie, iż łatwo było poznać, jak dotąd nie dowierzał swemu ministrowi.

— I z tem wojskiem — mówił król — pójdziemy oblegać w twoim domu buntowników, którzy zapewne przygotowując do oporu, tam się okopali.

— Toby mnie zadziwiło — odrzekł Fouquet.

— Dlaczego?

— Gdyż, skoro wykryliśmy ich naczelnika, główną sprężynę tego przedsięwzięcia, cały zamiar spełzł na niczem.

— Zdarłeś zatem maskę temu fałszywemu księciu.

— Nie, nawet go nie widziałem.

— O kimże więc mówisz?

— Kierownikiem tego przedsięwzięcia, nie był ten nieszczęśliwy. On jest tylko narzędziem, jak widzę, przeznaczonem na nieszczęśliwe nadal życie.

— Niezawodnie!

— Był nim ksiądz d'Herblay, biskup Vannes!

— Twój przyjaciel.

— Był nim, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Fouquet ze szlachetnością.

— To bardzo nieszczęśliwie dla ciebie — odrzekł król, mniej szlachetnie.

— Podobna przyjaźń dopóty, dopóki nie wiedziałem o zbrodni, Najjaśniejszy Panie, nie była hańbiącą.

— Trzeba było przewidzieć.

— Jeżeli jestem winnym, oddaję się w ręce Waszej Królewskiej Mości.

— A! panie Fouquet, nie to chciałem mówić — rzekł król zmartwiony, że tak niezręcznie wydał się z myślą swoją. — Powiadam ci, że, pomimo przybranej maski, jaką ten człowiek okrywał się, miałem jakieś przeczucie, że nie kto inny, tylko on to zrobił. Ale z tym kierownikiem przedsięwzięcia był ktoś drugi, ten co mi zagrażał zawsze swoją siłą herkulesową! ktoby to był?

— Zapewne jego przyjaciel baron du Vallon, dawny muszkieter.

— Przyjaciel d'Artagnana! i hrabiego de La Fere. A! — zawołał król na tę ostatnią myśl — nie zaniedbujmy tej łączności pomiędzy spiskowymi i panem Bragellone.

— Najjaśniejszy Panie! nie zapędzaj się tak daleko! pan de La Fere jest najzacniejszym z całej Francji człowiekiem. Poprzestań na tych, których ci wydaję.

— Których mi wydajesz? dobrze, gdyż zapewne wydasz mi innych?

— Jak to Wasza Królewska Mość rozumiesz?

— Rozumiem — odpowiedział król — że, przybywszy do Vaux z wojskiem, wszystkich połapiemy bez wyjątku w tem gniedzie nietoperzy.

— Wasza Królewska Mość ukarzesz ich śmiercią! — zawołał Fouquet.

— Bez wyjątku!

— O! Najjaśniejszy Panie!

— Zrozumiejmy się dobrze, panie Fouquet — rzekł król wyniośle. — Nie żyję już w tych czasach, kiedy zabójstwo było jedynym środkiem dla króla. Ja mam parlamenty, które sądzą w mojem imieniu, i rusztowania, na których wykonywują moją najwyższą wolę.

Fouquet zbladł.

— Ośmielę się zwrócić uwagę Waszej Królewskiej Mości, że jakikolwiek proces w tej mierze, wieczną będzie dla tronu hańbą! Nie wydaje mi się dobrem, aby łaskawe imię Anny Austrjackiej przechodziło przez usta ludu, otwarte już do drwinek.

— Ale trzeba, aby sprawiedliwość była wykonaną, mój panie.

— Dobrze, Najjaśniejszy Panie! ale krew królewska nie może płynąć na rusztowaniu.

— Krew królewska! i ty wierzysz temu? — zawołał król z wściekłością, tupiąc nogą. — To podwójne urodzenie jest bajką i wymysł ten największą jest zbrodnią pana d'Herblay i tę zbrodnię chcę ukarać, bardziej niż gwałt i zniewagę.

— Ukarać śmiercią?

— Śmiercią! tak, panie!

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł ze stanowczością Fouquet, którego głowa długo schylona, podniosła się ze szlachetną dumą. — Jeżeli się podoba, Wasza Królewska Mość każesz ściąć głowę Filipowi, księciu Francji, swemu bratu, to należy do Waszej Królewskiej Mości i zapewne poradzisz się w tem Anny Austrjackiej, matki Waszej Królewskiej Mości. To, co każesz, będzie słusznem, nie chcę się więcej w to mieszać, nawet dla zaszczytu korony Waszej Królewskiej Mości. Ale proszę Waszej Królewskiej Mości o jedną łaskę!

— Mów — rzekł król, zmieszany ostatniemi słowami ministra — czego żądasz?

— Łaski dla pana d'Herblay i dla pana du Vallon!

— Moich zabójców? O! spodziewałem się, że będziesz prosił o łaskę dla swoich przyjaciół.

— Moich przyjaciół — rzekł Fouquet dotknięty.

— Tak jest!... twoich przyjaciół!... ale bezpieczeństwo państwa mojego przykładnej wymaga kary na zbrodniarzy!

— Nie będę zwracał na to uwagi Waszej Królewskiej Mości, że ja właśnie wróciłem mu wolność i zachowałem życie.

— Panie!

— Nie będę na to zwracał uwagi Waszej Królewskiej Mości, że, gdyby pan d'Herblay chciał być zabójcą, nic nie byłoby mu łatwiejszego jak zabić dziś rano Waszą Królewską Mość w lesie Senart, i wszystko byłoby skończone.

Król zadrżał.

— Wystrzał prochem z pistoletu w twarz — mówił dalej Fouquet — a twarz Ludwika XIV-go byłaby się zmieniła przez opalenie i uwolniłaby na zawsze pana d'Herblay od odpowiedzialności.

Król zbladł z przerażenia, na myśl o przebytem niebezpieczeństwie.

— Gdyby pan d'Herblay miał być zabójcą — mówił dalej Fouquet — zapewne nie opowiadałby mi swoich zamiarów, a

gdyby się pozbył prawdziwego króla, fałszywy nie mógłby być zaprzeczon[illegible] był nawet poznany przez Annę Austrjacką, to zawsze byłby jej synem, a dla sumienia pana d'Herblay byłby to zawsze król ze krwi Ludwika XIII-go. Co więcej, spiskowy był pewnym osobistości i tajemnicy. I wszystko to dałby mu jeden wystrzał z pistoletu. Łaski więc dla niego Najjaśniejszy Panie, zaklinam na zbawienie.

Król zamiast być ułagodzonym tem odmalowaniem szlachetności Aramisa, uczuł się poniżonym; jego niczem nieposkromiona duma nie mogła oswoić się z myślą, że jeden człowiek trzymał na włosku życie królewskie.

Każdy wyraz, który Fouquet uważał za mogący wyjednać łaskę dla jego przyjaciół, dodawał nową kroplę trucizny do zranionego serca Ludwika XIV-go, i nic go nie mogło zmiększyć.

Dlatego też z gwałtownością rzekł do Fouqueta:

— Nie wiem doprawdy, dlaczego prosisz mię o łaskę dla tych ludzi? i na co prosić o to co można i bez tego otrzymać?

— Nie rozumiem Waszej Królewskiej Mości.

— A jednakże to bardzo łatwo, gdzież ja jestem:

— W Bastylji, Najjaśniejszy Panie.

— Tak, w więzieniu! i uchodzę za warjata?

— Prawda, Najjaśniejszy Panie.

— I nikt mnie tu nie zna, tylko Marchialego?

— Niezawodnie!

— A więc nie zmieniaj w niczem mego położenia, zostaw warjata, niech gnije w więzieniu Bastylji, a panowie d'Herblay i du Vallon, obejdą się bez mojej łaski. Ich nowy król uniewinni ich zupełnie.

— Wasza Królewska Mość, krzywdząc mię, popełniasz błąd — rzekł obojętnie Fouquet. — Ani ja, ani pan d'Herblay nie jesteśmy tak ograniczeni, ażebyśmy mieli zapomnieć, i na to nie zwrócić uwagi, że gdybym chciał, jak Wasza Królewska Mość mówisz mieć nowego kró a, nie potrzebowałbym zdobywać bram Bastylji, ażeby Waszą Królewską Mość stąd wydobyć. To jasne jak słońce, gniew pomieszał rozumowanie Waszej Królewskiej Mości, bo inaczej nie obrażałbyś najniesłuszniej tego z twych sług, który ci największą w życiu uczynił przysługę.

Ludwik poznał, że za daleko się posunął, że drzwi więzienia były jeszcze zamknięte, kiedy szlachetne oburzenie Fouqueta coraz się bardziej uspakajało.

— Nie mówiłem tego, aby ci ubliżać, broń Boże! — odpowiedział król. — Ale ponieważ udajesz się do mnie o łaskę, ja ci odpowiadam, wedle mego sumienia, a podług niego, winni za którymi przemawiasz, nie są godni ani łaski, ani przebaczenia.

Fouquet milczał.

— Postępowanie moje — mówił dalej król — jest równie szlachetnem, jak twoje, gdyż jestem w twojej mocy, powiem nawet, że jest szlachetniejszym, gdyż nakładasz mi warunki, od których mogą zależeć wolność moja i życie; odmówić zaś jest to zrobić z nich ofiarę.

— Zbłądziłem — rzekł Fouquet — to jest, zdawać się mogło Waszej Królewskiej Mości, że chcę wymódz na nim przyrzeczenie. Żałuję tego i przepraszam Waszą Królewską Mość.

— I chętnie ci przebaczam, kochany panie Fouquet — rzekł król z uśmiechem wesołości, którą tyle poprzednich wypadków od wczoraj zatruło.

— A więc ja otrzymałem łaskę dla siebie — rzekł uporczywie minister — ale panowie d'Herblay i du Vallon.

— Nie otrzymają jej nigdy, dopóki żyję — odrzekł król nieugięty.

— Zrób mi przysługę, nie domagając się tego nigdy.

— Będę posłusznym Waszej Królewskiej Mości.

— I nie będziesz miał za to do mnie urazy?

— O!... nie, Najjaśniejszy Panie, gdyż przewidziałem ten rezultat.

— Przewidziałeś, że odmówię ułaskawienia dla tych panów?

— Tak jest i dlatego przedsięwziąłem stosowne środki.

— Co przez to rozumiesz?... — zawołał król zdziwiony.

— Pan d'Herblay przybył, że tak powiem oddać się w moje ręce, pan d'Herblay dał mi szczęście zbawić tego monarchę i państwo, nie mogłem go także wystawić na sprawiedliwą zemstę Waszej Królewskiej Mości, byłoby to toż samo, co zabić go własną ręką.

— A więc, cóżeś zrobił?

— Najjaśniejszy Panie, dałem panu d'Herblay moje najlepsze konie i cztery godziny czasu nim jakakolwiek pogoń z rozkazu Waszej Królewskiej Mości pójdzie za nim.

— Niech i tak będzie — mruknął król — ale świat dość jest wielkim i pogoń wysłana przezemnie dopędzi ich przecież i zniweczy te cztery godzin pośpiechu.

— Dając im cztery godzin naprzód, dałem im życie i oni je zachowają.

— Jakto?...

— Pędząc cztery godziny naprzód od muszkieterów Waszej Królewskiej Mości przybędą do mego zamku w Belle-Isle, gdzie dałem im schronienie.

— Mniejsza o to, ale zapomniałeś, żeś mi darował Belle-Isle

— Ale nie dla uwięzienia moich przyjaciół.

— A więc mi je odbierasz?...

— Na ten raz tylko, Najjaśniejszy Panie!...

— Moi muszkieterowie zdobędą wyspę i wszystko będzie skończone.

— Ani muszkieterowie, ani całe wojsko nie dokaże tego, Najjaśniejszy Panie — rzekł zimno Fouquet — Belle-Isle jest niezdobyte.

Król posiniał, błyskawica wypadła z jego oczu.

Fouquet uczuł, że jest zgubiony, ale nie był on z liczby tych, co się cofają przed głosem honoru.

Wytrzymał złowrogi wzrok króla ten zaś, pokrywszy milczeniem swą wściekłość, rzekł po chwili:

— Jedźmy do Vaux.

— Jestem na rozkazy Waszej Królewskiej Mości, ale zdaje mi się, że nieodzownem byłoby dla Waszej Królewskiej Mości zmienić ubiór, zanim się pokażesz całemu dworowi.

— Wstąpimy do Louvru!... — rzekł król — jedźmy!...

I przeszli obok osłupiałego Baisemeaux, który, widząc raz jeszcze wychodzącego Marchialego, wydarł sobie resztę włosów.

Wprawdzie Fouquet dał mu kwit na uwolnienie więźnia, na którym król napisał:

"Widziałem i potwierdzam

Ludwik."

Co Baisemeaux, nie mogąc zebrać myśli, przyjął i palnął się porządnie pięścią w twarz.

CCXXXI

SAMOZWANIEC.

W Vaux tymczasem rządy samozwańcze śmiało się rozwijały.

Filip wydał rozkaz urządzenia wielkiego przyjęcia porannego dla tych, co gotowi już byli złożyć hołd swój królowi.

Zdecydował się na nie, pomimo nieobecności d'Herblay'a, który nie zjawił się, — czytelnikom naszym wiadomo dlaczego.

Sądząc, że nieobecność ta nie przeciągnie się zbytecznie, młodzieniec, jak wszystkie umysły zuchwałe, chciał spróbować sił swoich i szczęścia, bez wszelkiej podpory i rady.

Jeden jeszcze powód skłaniał go do tego. Anna Austrjacka również obecną być miała; występna matka miała stanąć przed synem, ofiarą swoją.

Filip nie chciał, w razie upadku na duchu, mieć świadka w człowieku, przed którym winien był uwydatnić całą siłę charakteru swego.

Otworzył więc drzwi naścież i kilkanaście osób weszło w milczeniu.

Dopóki ubierali go pokojowcy, nie ruszył się z miejsca. Przypatrzył się bowiem w przeddzień tego obyczajowi brata. Udawał króla w ten sposób, aby nie obudzić najmniejszego podejrzenia.

Na przyjęcie gości wystąpił w ubiorze myśliwskim.

Własna jego pamięć i wskazówki Aramisa, ze wszystkiem go ozbnajmiły.

Najpierw tedy wejść miała Anna Austrjacka, którą brat królewski pod rękę prowadził, następnie małżonka jego Henryka z panem de Saint-Agnan.

Twarze tych ostatnich powitał uśmiechem, a na widok matki zadrżał.

Jej szlachetne i nakazujące uszanowanie oblicze, poorane cierpieniem, przemówiło mu do serca w obawie tej dawnej królowej, która dla dobra państwa, dziecię swe oddała na ofiarę.

Piękną mu się wydała matka.

Wiedział, że Ludwik XIV-ty ją kochał, postanowił kochać ją także i nie stać się kaźnią lat jej podeszłych.

Na brata patrzył z rozrzewnieniem, łatwym do pojęcia.

Ten nie był wydziercą i nikomu na drodze nie stanął.

Gałęź, rosnąca bocznie, nie zawadzała rozwojowi pnia, nie troszcząc się o wyniesienie i majestat dla siebie.

Filip postanowił być dobrym bratem dla księcia, któremu wystarczało złoto, uprzyjemniające mu życie.

Powitał uprzejmie pana de Saint-Agnan, całego w uśmiechach i pełnych uniżoności ukłonach; drżącą rękę wyciągnął do Henryki, bratowej swojej, której piękność silne wrażenie uczyniła na nim. Lecz w oczach jej dostrzegł chłód pewien, który mu był pożądany, dla uproszczenia przyszłych z nią stosunków.

— Wolałbym bratem być tej kobiecie, aniżeli kochankiem — mówił sobie w duchu — gdyby nawet chciała darzyć mnie tym chłodem, na jaki brat mój zdobyć się nie mógł dla niej, co mnie nakazuje obowiązek święty.

Jedne tylko odwiedziny strachem go przejmowały, a mianowicie królowej; serce i umysł jego tylu wstrząśnień doznały z powodu tych prób nagłych i gwałtownych, iż nie czuł się na siłach, aby przenieść nowe to wstrząśnienie.

Na szczęście, królowa nie przyszła.

Anna Austrjacka wszczęła rozprawę dyplomatyczną o przyjęciu, jakie urządził pan Fouquet rodzinie królewskiej.

Niechętne wyrazy przeplatała uprzejmemi słówkami do króla, pytaniami o zdrowie jego, macierzyńską troskliwością i manewrami, pełnemi dyplomacji.

— I cóż, mój synu — rzekła nakoniec — czy postanowiłeś co względem pana Fouquet?...

— Saint-Agnan — odezwał się Filip — zechciej dowiedzieć się, co słychać u królowej.

Pierwsze te słowa, wymówione głośno przez niego, ta różnica nieznaczna, jaka zachodziła w dźwiękach z głosem Ludwika XIV-go, dziwnie uderzyła słuch macierzyński.

Anna Austrjacka wpatrzyła się w syna z uwagą.

Saint-Agnan wyszedł.

Filip mówił dalej:

— Pani, nie znoszę, aby odzywano się przy mnie z niechęcią o panu Fouquet, wiesz o tem i sama też niejednokrotnie przemawiałaś za nim przychylnie.

— Nie przeczę; zapytuję też jedynie, jak jesteś usposobiony dla niego.

— Najjaśniejszy Panie — przemówiła Henryka — ja zawsze bardzo lubiłam pana Fouquet. Jest on miłym i zacnym człowiekiem.

— I nadintendentem, który nigdy nie skąpi — dodał książę — a płaci złotem wszelkie przekazy, jakie mam do niego.

— Tutaj zanadto każdy o sobie tylko myśli, — odezwała się stara królowa. — Nikt nie patrzy na pana Fouquet z uwagi na dobro państwa, a to fakt, że pan Fouquet prowadzi państwo do upadku.

— Co znowu, moja matko! — cichszym głosem odpowiedział Filip — czyż i ty także stajesz się tarczą pana Colberta?

— Co to ma znaczyć?... — zagadnęła królowa matka zdziwiona.

— Bo prawdziwie odzywasz się w ten sposób, jak gdybym słyszał mówiącą twoją dawną przyjaciółkę panią de Chevreuse.

Nazwisko to wywołało bladość na twarz Anny Austrjackiej, zacięła usta.

Filip podrażnił lwicę.

— Na co mi mówisz o pani de Chevreuse — odparła — i co upatrzyłeś dziś do mnie?...

Filip ciągnął dalej:

— Czyż pani de Chevreuse nie sprzysięga się wiecznie na kogoś... czyż nie odwiedziła cię, moja matko?

— Panie — odparła stara królowa — przemawiasz do mnie w ten sposób, iż zdaje mi się, że słyszę króla, ojca twojego.

— Ojciec mój nie lubił pani de Chevreuse i miał zupełną słuszność — rzekł Filip. — Ja nie mniej nie lubię jej i jeżeli poważy się nawiedzać nas, jak niegdyś bywało, siać rozdwojenie i nienawiści pod pozorem zebrania pieniędzy, wtedy!...

— Wtedy?... — wyniośle podchwyciła królowa, sama rozniecając burzę.

— Wtedy — odparł stanowczo młodzieniec, — wypędzę panią de Chevreuse z królestwa, a z nią razem wszystkich sprawców tych tajemnych knowań.

Nie obliczył doniosłości tego słowa okrutnego, a może chciał wywołać wrażenie, lub też jak ci, co cierpią nieuleczalnie, usiłował przerwać jednostajność tego cierpienia, uciskając ranę, dla sprawienia sobie dotkliwszego bólu.

Anna Austrjacka bliska była zemdlenia; oczy jej otwarte szeroko, przez chwilę nic nie widziały przed sobą; wyciągnęła ramiona ku drugiemu synowi, który objął się w uścisku, nie lękając się rozdraźnić króla.

— Najjaśniejszy Panie — szepnęła — okrutnie obchodzisz się ze swoją matką.

— W czem takiem, pani?... — odpowiedział — Mówię tu o pani de Chevreuse jedynie, a czyż moja matka przenosi ją nad spokój państwa i bezpieczeństwo mojej osoby?... Otóż powiadam, że pani de Chevreuse przybyła do Francji, dla zaciągnięcia pożyczki pieniężnej, że udała się z tem do pana Fouquet, aby mu sprzedać pewną tajemnicę.

— Tajemnicę?... — wykrzyknęła Anna Austrjacka.

— Odnoszącą się do pewnych sprzeniewierzeń, których miał dopuścić się pan nadintendent, co jest fałszem — dodał Filip. — Pan Fouquet oburzony kazał ją wypędzić, przekładając szacunek królewski nad wszelkie spólnictwo z intrygantami. Wtedy pani de Chevreuse panu Colbertowi sprzedała tajemnicę; a ponieważ nienasyconą jest i nie dość jej tego, iż wydarła sto tysięcy talarów temu kanceliście, wyżej się skierowała, czy nie znajdzie tam bogatszych źródeł... Wszak to jest prawdą, pani?...

— O wszystkiem wiesz, Najaśniejszy Panie — powiedziała królowa więcej zaniepokojna, niż gniewna.

— Tedy — ciągnął dalej Filip — mam wszelkie prawo mieć urazę do tej kobiety, która przychodzi na dwór mój z zamachem na dobrą sławę jednych, a innych na ruinę. Jeżeli Bóg ścierpiał niektóre zbrodnie spełnione i w cieniu miłosierdzia swego je ukrył, nie przypuszczam, aby pani de Chevreuse miała władzę stawania w poprzek Jego wyrokom.

Zakończenie tej mowy Filipa tak wzburzyło królowę matkę, że syna zdjęła nad nią litość.

Podniósł rękę jej do ust i ucałował z czułością.

Nie pojęła ona, iż w pocałunku tym, pomimo buntu i urazy serdecznej, tkwiło przebaczenie za ośm lat ciężkich męczarni.

Filip zamilkł na chwilę, aby osłabić wzruszenie, które owładnęło obecnych; następnie jakby wesoło rzekł:

— Nie wyjedziemy stąd dziś jeszcze, mam pewien zamiar.

I zwrócił się ku drzwiom, gdzie miał nadzieję ujrzeć Aramisa którego nieobecność ciężyć mu poczynała.

Królowa matka chciała go pożegnać.

— Pozostań, moja matko — rzekł — chcę cię z panem Fouquet pogodzić.

— Ależ ja nie mam żadnej do niego urazy, bałam się tylko jego rozrzutności.

— Zaprowadzimy w tem porządek i zważać będziemy tylko na jego zalety.

— Kogo szuka Wasza Królewska Mość?... — odezwała się Henryka, widząc, że król wciąż się ku drzwiom ogląda, a pragnęła go pytaniem w samo serce ugodzić, przypuszczała bowiem, iż oczekuje La Valliere, lub listu od niej.

— Siostro — odparł młodzian, zgadując jej myśl, dzięki wrodzonemu darowi spostrzegawczemu, który obecnie los pozwolił mu rozwinąć — siostro, oczekuję właśnie osobistości bardzo niepospolitej, doradzcy najwytrawniejszego, którego pragnę wszystkim przedstawić, polecając go względom waszym. A!... d'Artagnan, proszę wejść.

D'Artagnan ukazał się.

— Co Wasza Królewska Mość rozkaże?...

— Powiedz mi, gdzie jest jego ekscelencja biskup z Vannes, twój przyjaciel?...

— Ależ, Najjaśniejszy Panie...

— Doczekać się go nie mogę. Niechże mi go sprowadzą.

D'Artagnan wpadł w osłupienie chwilowe; lecz, zastanowiwszy się wkrótce, że Aramis opuścił Vaux potajemnie, jako wysłaniec króla prawdopodobnie, wywnioskował, iż temu ostatniemu chodziło o zachowanie sekretu.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedział — czy koniecznie Wasza Królewska Mość rozkazujesz, aby sprowadzić tu pana d'Herblay?

— Nie tak znowu koniecznie — odparł Filip — nie jest mi on tak gwałtownie potrzebny, lecz gdybym go miał tutaj...

— Rozumiem już — pomyślał w duchu d'Artagnan.

— Ten pan d'Herblay to biskup z Vannes?... — odezwała się Anna Austrjacka.

— Tak, pani.

— Przyjaciel pana Fouqueta?

— Tak, pani, niegdyś muszkieter.

Na twarz starej królowej wystąpił rumieniec.

— Jeden z tych czterech zuchów, którzy ongi tylu dokazali cudów.

Pożałowała królowa-matka docinku; urwała rozmowę z zamiarem zachowania odwetu na później.

— Jakimkolwiek wybór twój będzie. Najjaśniejszy Panie — rzekła — zgóry uznaję go za doskonały.

Wszyscy skłonili głowy.

— Ujrzycie — ciągnął dalej Filip — umysł głęboki pana de Richelieu, bez cienia skąpstwa pana Mazariniego.

— Pierwszy minister, Najjaśniejszy Panie?... — zagadnął książę.

— Później ci to opowiem, mój bracie, ależ to coś dziwnego, że pan d'Herblay się nie pokazuje?

Zawołał:

— Proszę zawiadomić pana Fouqueta — rzekł — że mam z nim do pomówienia... O! w waszej obecności, przy wszystkich, nie odchodźcie.

Pan de Saint-Agnan powrócił z zadawalniającą wieścią od królowej, która przez ostrożność jedynie w łóżku pozostała, aby nabrać sił do spełnienia rozkazów królewskich.

Podczas gdy szukano na wszystkie strony pana Fouqueta i Aramisa, nowy król z całym spokojem panowanie swe rozwijał, a całe otoczenie, rodzina, oficerowie, służba, uznawali w nim swego władzcę z postawy, głosu i wszystkich nawyknień.

Filip znów, ze swej strony, sprawdzając na wszystkich twarzach wierne wskazówki spólnika swego Tramisa, tak się zachowywał, aby w umysłach otaczających go osób nie wzbudzić najmniejszego podejrzenia.

Nic nie było w stanie zakłócić nadal spokoju samozwańca.

Z jakąż zadziwiającą łatwością Opatrzność zniweczyła szczęście najwyższe tego świata, dając na jego miejsce najgłębszą niedolę

Wielbił też Filip tę dobroć Boga, względem siebie, wspierał ją wszystkimi tymi środkami, w jakie hojnie obdarzyła go natura.

Czuł jednak odrazu cień jakiś, przesłaniający promienie nowej chwały.

Aramis nie ukazywał się.

Rozmowa poczęła się wyczerpywać w rodzinie królewskiej; Filip w roztargnieniu zapomniał pożegnać brata i małżonkę jego, Henrykę.

Ci znowu, pełni zdziwienia, poczynali tracić cierpliwość.

Anna Austrjacka, pochyliwszy się do syna, rzuciła mu kilka słów po hiszpańsku.

Filipowi obcym był najzupełniej ten język, niespodziana ta przeszkoda pokryła twarz jego bladością.

Lecz jak gdyby duch nieomylnego Aramisa stał mu się puklerzem, niezmieszany bynajmniej, powstał nagle z siedzenia.

— I cóż ty na to?... Najjaśniejszy Panie, odpowiedz mi — rzekła Anna.

— Co to za hałas?... — zagadnął Filip, zwracając się ku drzwiom, prowadzącym na boczne schody.

Naraz dał się słyszeć głos podniesiony;

— Tędy, tędy!... Kilka stopni jeszcze, Najjaśniejszy Panie!

— To głos pana Fouqueta?... — odezwał się d'Artagnan, stojący przy królowej-matce.

— Pan d'Herblay także musi być niedaleko — dodał Filip.

Lecz naraz ujrzał przy sobie, czego się wcale nie spodziewał.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku drzwiom, skąd pana Fouqueta oczekiwano; nie on jednakże tam się ukazał.

Okrzyk przeraźliwy dał się słyszeć ze wszystkich stron komnaty, okrzyk rozdzierający, który wyrwał się z piersi króla i otoczenia całego.

Nawet ci ludzie, których przeznaczenie składa się z żywiołów najniezwyklejszych i z cudownych wydarzeń, nie mogą mieć przed oczami widoku, jaki w tej chwili przedstawiała komnata królewska.

Nawpół przymknięte okiennice przepuszczały niepewne światło, siejące się po przez firanki aksamitne, podbite ciężką materją.

W tym półcieniu miękkim oczy rozszerzały się stopniowo, a obecni, zamiast widzieć, przeczuwali raczej.

W warunkach podobnych wszelako dochodzi się do pewnej wprawy co do widzenia szczegółów otaczających, a każdy nowy przedmiot jaśniej się zarysowuje, jak gdyby na nim spoczywał promień słoneczny.

Tego właśnie doświadczył Ludwik XIV-sty, skoro ukazał się blady z brwią ściągniętą stając pod draperją, zwieszającą się nade drzwiami od tajemnych schodów.

Po za nim ukazała się twarz Fouqueta, nacechowana smutkiem i wyrazem, pełnym powagi.

Królowa matka, trzymająca w swej dłoni rękę Filipa, ujrzawszy Ludwika XIV-go, wydała ten krzyk straszliwy, jakgdyby przerażające widmo ukazało się jej oczom.

Książę, jak olśniony, odwrócił głowę od króla, przy którym stał, ku królowi, co przed nim się zjawił.

Księżna rzuciła się naprzód, sądząc, iż ma przed sobą odbicie w zwierciadle postaci szwagra swojego

Złudzenie możebnem było w istocie.

Dwaj książęta, nawpół przytomni, nie podejmujemy się bowiem odmalowania przygnębienia Filipa, drżący obydwaj, z kurczowo zaciśniętemi pięścami, mierzyli się wzrokiem, jeden drugiemu zatapiając w duszy spojrzenia, równające się ostrzu sztyletów.

Niemi, z piersią dyszącą, z ramionami, podanemi naprzód, jakby byli gotowi zdusić jeden drugiego.

To niesłychane podobieństwo twarzy, ruchów i postawy, wszystko, aż do ubrania, które dał przypadek, Ludwik bowiem przebrał się w Luwrze w kostjum z aksamitu fjołkowego, ta jednakowość bez cienia różnicy ostatecznie zachwiała równowagę w sercu Anny Austrjackiej

Jednakże nie mogła jeszcze pojąć całej prawdy. Są takie nieszczęścia, których nikt w życiu swym nie jest w stanie przypuścić. Łatwiej uwierzyć w rzeczy nadprzyrodzone, nieprawdopodobne.

Ludwik nie liczył na tę przeszkodę. Pewnym był, że skoro się ukaże, natychmiast będzie poznanym.

Żywy przedstawiciel słońca nie znosił przypuszczenia, jak mógł być porównywany z kimkolwiek. Przekonany był, iż wszel-

kie światło zamienić się musi w ciemności odrazu, tam, gdzie zajaśnieje promień jego zwycięski.

To też na widok Filipa, więcej niż ktokolwiek z otaczających, czuł się osłupiałym, a milczenie i nieruchomość jego, były chwilą skupienia i ciszy, poprzedzającej gwałtowny wybuch gniewu.

Lecz któżby był w stanie wypowiedzieć przerażenie i podziw Fouqueta, wobec żywego portretu jego władzcy? Pomyślał on tylko, że nie mylił się Aramis, że przybysz ten również czystej rasy jest królem, jako i pierwszy i ażeby zrzec się wszelkiego udziału w tym zamachu stanu, uczynionego przez generała jezuitów, trzeba było entuzjastą być szalonym, na zawsze niegodnym mieszania się do spraw politycznych.

Była to wreszcie krew Ludwika XIII-go, którą dla tejże samej krwi Fouquet poświęcał; a zatem była to ambicja samolubna, której ambicję szlachetną dawał na ofiarę; było to poświęcenie prawa własności na rzecz prawa zachowawczego.

Widok nowego pretendenta w jednej chwili odkrył mu całą rozciągłość popełnionego błędu.

Wszystko to, co się przez umysł Fouqueta przewinęło, nie uszło uwagi obecnych.

Pięć minut, zaledwie miał do zastanowienia się nad tym skrupułem sumienia; pięć minut, równających się pięciu wiekom dla niego, podczas których dwaj królowie i rodzina ich zaledwie mieli czas ochłonąć po tak straszliwem wstrząśnieniu.

D'Artagnan, plecami o ścianę oparty, a twarzą do Fouqueta zwrócony, zapatrzony w niego jak w tęczę, badał w myśli przyczynę tak niesłychanego cudu. Na razie nie mógł sobie zdać sprawy z przypuszczeń swoich; lecz wiedział napewno, że mógł coś przypuszczać i że w tem zejściu się dwóch Ludwików XIV-ch polegała cała trudność i ta nieprzenikniona sprawa skutkiem której tak podejrzanem się stało dla muszkietera postępowanie Aramisa.

W każdym razie domyślność jego była grubą okryta pomroką.

Aktorowie tej sceny jakby się nurzali w atmosferze przebudzenia się ze snu ciężkiego.

Nagle Ludwik XIV-sty, jako gwałtowniejszy i do rozkazywania nawykły, rzucił się do okiennicy, którą otworzył, drąc fi-

ranki. Jasne światło napełniło komnatę, zmuszając Filipa do cofnięcia się w głąb alkowy.

Ruch ten Ludwik pochwycił z zapałem i zwracając się do matki:

— Matko — rzekł Ludwik — nie poznajesz syna, skoro wszyscy króla się swojego zaparli?

Anna Austrjacka wstrząsnęła się cała i ręce ku niebu wzniosła, nie będąc w stanie słowa jednego przemówić.

— Matko — głosem spokojnym odezwał się Filip — czy nie poznajesz twojego syna?

Tym razem Ludwik się cofnął.

Anna Austrjacka zaś straciła wszelką równowagę, ugodzona w głowę i serce strasznym wyrzutem sumienia.

Nikt nie pospieszył jej z pomocą, wszyscy bowiem stali w osłupieniu i ona ze słabym jękiem osunęła się na siedzenie.

Ludwik znieść nie był w stanie tej ujmy i tego widoku.

Skoczył do d'Artagnana, którego zawrót głowy począł ogarniać tak, że chwiał się, ku drzwiom sięgając, jako jedynego punktu oparcia, który mu pozostawał.

— Do mnie, muszkieterze!... — zawołał. — Spójrz na twarze nasze i osądź, który z nas dwóch jest bledszy.

Krzyk ten wytrzeźwił d'Artagnana i gorączkę karności w sercu jego poruszył.

Otrząsnął z czoła ciężar zwątpienia i bez wahania dalszego, prosto do Filipa przystąpił i kładąc rękę na jego ramieniu, rzekł:

— Panie, jesteś moim więźniem!

Filip nie wzniósł ku niebu oczu, nie poruszył się z miejsca, gdzie stał jak wryty, ze wzrokiem, utkwionym w królewskiego swego brata.

Wzniosłe to milczenie pełne było wyrzutu za wszystkie nieszczęścia minione i ciężkie męczarnie w przyszłości.

Król nie czuł się na siłach, aby przenieść tej mowy duszy zbolałej; spuścił ku ziemi oczy, gwałtownie uprowadził brata i bratowę, zapominając o matce, leżącej bez czucia o trzy kroki od syna, na którego po raz drugi wydała wyrok śmierci.

Filip zbliżył się do Anny Austrjackiej i słodko ze wzruszeniem, pełnem szlachetności przemówił:

— Matko, gdybym nie był twym synem, przekląłbym ciebie za to, żeś uczyniła mnie tak nieszczęśliwym.

D'Artagnan uczuł dreszcz, przejmujący go do szpiku kości.

Z całym szacunkiem skłonił się młodemu księciu i z głową schyloną, rzekł:

— Wybacz mi, książę, lecz żołnierzem tylko jestem, a przysięgałem temu, co z tej komnaty wyszedł.

— Dzięki ci, panie d'Artagnan. Lecz co się stało z panem d'Herblay.

— Wasza Książęca Mość, pan d'Herblay jest bezpieczny — odezwał się głos poza nimi — nikt żywy, ani umarły nie może sprawić, aby jeden włos spadł z jego głowy.

— Pan Fouquet!... — rzekł ze smutnym uśmiechem książę.

— Przebacz mi książę — przemówił Fouquet, klękając przed nim — lecz ten który stąd wyszedł, gościem był moim.

— Oto dzielni przyjaciele i serca uczciwe — szepnął Filip z westchnieniem. — Dla nich żałuję świata. Chodź, panie d'Artagnan, idę za tobą.

Gdy już kapitan muszkieterów opuścić miał komnatę, ukazał się Colbert, który mu wręczył rozkaz królewski i zniknął.

Odczytał go d'Artagnan i z wściekłością zmiął papier w dłoni.

— Co takiego?... — zapytał młody książę.

— Przeczytaj, Wasza Książęca Mość — odparł muszkieter.

Filip odczytał te słowa, skreślone naprędce ręką Ludwika XIV-go:

"Pan d'Artagnan zawiezie więźnia na wyspę św. Małgorzaty. Twarz mu maską żelazną zasłoni, której więzień pod karą śmierci nie będzie mógł zdjąć."

— Słusznie — z poddaniem rzekł Filip. — Jestem gotowy.

— Miał słuszność Aramis — cichutko przemówił Fouquet do d'Artagnan — ten jak i tamten zarówno jest królem.

— Więcej!... — dorzucił muszkieter. — Brak mu tylko mnie i pana.

CCXXXII

GDZIE PORTOS SĄDZI, ŻE JEST W POGONI ZA TYTUŁEM KSIĄŻĘCYM.

Aramis i Portos, korzystając z czasu, udzielonego im przez Fouqueta, szybkością jazdy zaszczyt czynili kawalerji francuskiej.

Portos nie rozumiał dokładnie, jaki rodzaj posłannictwa zmuszał go do podobnego pośpiechu, lecz widząc, jak Aramis używa ostrogi z wściekłością, on używał jej z furją.

Tym sposobem dwanaście mil francuskich oddzieliło ich od Vaux, następnie wypadało zmienić konie i w dalszą drogę puścić się pocztowymi.

Podczas jednego z takich przeprzęgów, Portos odważył się nieśmiało wybadać Aramisa.

— Cicho, sza!... — odparł mu tenże — wiedz tylko, iż szczęście nasze zależy od pośpiechu.

Portos jak gdyby był jeszcze owym muszkieterem bez grosza przy duszy w roku 1626, spiął konia i puścił się przodem.

Wyraz ten, szczęście, zawsze czarownie brzmi w uszach człowieka.

Znaczy ono dosyć, dla pozbawionych wszystkiego; a mającym do syta zbytek obiecuje.

— Księciem mnie zrobią — odezwał się głośno Portos.

Mówił to do siebie.

— Bardzo być może — odpowiedział z właściwym sobie uśmiechem Aramis, wyprzedzony przez konia Portosa.

Jednakże Aramisowi płonęła głowa; ruch fizyczny nie był w możności stłumić burzy w umyśle.

Wszystkie furje ryczące, boleści, zatapiające szpony swe zaostrzone, groźby śmiertelne, wiły się gryzły i grzmiały w umyśle zwyciężonego prałata.

Ślady tej ciężkiej walki widoczne były na jego twarzy. Puszczał też folgę wściekłości swojej, widząc, iż zdala od ludzi krępować się nie potrzebuje i na każde zboczenie konia, lub drogi nierówność nie szczędził przekleństw straszliwych. Blady,

niekiedy potem gorącym oblany, to znowu cały skostniały, bił konie, krwawił im boki. Portos cierpiał na tem niewysłownie, choć czułość zbyteczna nie należała do wad jego kardynalnych.

Pędziil w ten sposób osiem godzin z okładem i przybyli do Orleanu. Była godzina czwarta z południa.

Aramis sięgnął pamięcią i doszedł do wniosku, iż nic nie zdradzało pogoni.

Bezprzykładnem byłoby, aby jakibądź oddział zdolnym był ich pochwycić nawet rozstawnymi końmi, w przeciągu ośmiu godzin na przestrzeni czterdziestu mil francuskich.

Przypuszczając więc pogoń, której nic nie zdradzało, uciekający mieli zgórą pięć godzin zyskanych nad ścigającymi.

Aramisowi przyszła myśl do głowy, że spocząć nie byłoby rzeczą zbyteczną, lecz podróż bez przerwy była stanowczo potrzebną.

Rzeczywiście, dwadzieścia mil, z równą szybkością zyskanych, pochłoniętych i nikt teraz, sam nawet d'Artagnan, nie dognałby nieprzyjaciół królewskich.

Portos z bólem serca wsiadł znowu na konia. Pędzili tak do godziny siódmej wieczorem; jedna tylko stacja dzieliła ich od Blois.

Lecz tam zatrwożyła Aramisa piekielna przeszkoda. Na poczcie zabrakło koni.

Pytał się prałat sam siebie, za jaką sprawą djabelską udało się nieprzyjaciołom jego pozbawić go środków do dalszej podróży, jego, który nie uznawał przypadku, jego który we wszelkim fakcie znajdował przyczynę; więcej też skłonnym był wierzyć, iż odmowa poczmistrza o tej porze i w tych okolicach, była następstwem rozporządzenia dla schwytania w ucieczce fabrykanta królewskiej godności.

Lecz w chwili, gdy bliskim był uniesienia, żeby zdobyć bądź wyjaśnienie, bądź konia, nagle przyszła mu myśl do głowy.

Przypomniał sobie, iż niedaleko mieszkał hrabia de la Fere.

— Nie jestem podróżnym — rzekł — i nie całą drogę pocztą odbywam. Daj mi pan dwa konie abym mógł odwiedzić jednego z moich przyjaciół, mieszkającego w tych stronach.

— Kogo takiego?... — zapytał pocztmajster.

— Pana hrabiego de la Fere.

— O!... — odpowiedział urzędnik, zdejmując kapelusz — czcigodny to pan. Lecz jakkolwiek pragnąłbym przysłużyć się jemu, nie mogę dać panu dwóch koni; wszystkie, jakie posiadam, są zamówione przez księcia de Beaufort.

— A!... — westchnął zawiedziony Aramis.

— Tylko że — ciągnął dalej poczmajster — jeżeli pan zechce wsiąść na wózek, który posiadam, każę założyć do niego starego ślepego konia, któremu tylko nogi jeszcze służą, a on zawiezie panów do hrabiego de la Fere.

— To warte luidora — rzekł Aramis.

— Nie, panie, nie więcej, jak talara; tak samo płaci mi pan Grimaud, intendent hrabiego, za każdym razem, gdy wózka mojego używa, a nie chciałbym, aby pan hrabia miał mi do zarzucenia, że zdarłem jednego z jego przyjaciół.

— Stanie się, według żądania pańskiego — rzekł Aramis — a nadewszystko jak sobie życzy pan hrabia de la Fere, któremu nie chciałbym się narazić. Dostaniesz pan talara; ale prawo mi służy ofiarować ci luidora za świetny twój pomysł.

— Bezwątpienia — odparł rozradowany gospodarz.

I sam jął zaprzęgać starą szkapę do skrzypiącej bryczki.

Tymczasem, Portos przedstawiał ciekawy widok. Wyobrażał sobie, iż odkrył tajemnicę i nie posiadał się z radości: najpierw że odwiedziny u Atosa sprawiały mu szczególniejszą przyjemność; następnie, że miał nadzieję znaleźć tam dobrą kolację i łóżko wygodne.

Kiedy już zaprzągł, właściciel zaproponował jednego ze swoich parobków dla zawiezienia podróżnych do La Fere.

Portos umieścił się z Aramisem na bryczce i szepnął mu do ucha:

— Rozumiem.

— A! a!... — odpowiedział Aramis — i cóż rozumiesz, drogi przyjacielu?

— Wieziemy Atosowi wielką jakąś propozycję od króla.

— Phi!... — było całą odpowiedzią Aramisa.

— Możesz mi nic nie mówić — dodał Portos mocno trzymając się bryczki dla uniknięcia gwałtownych podskoków trzęsącego się wehikułu — możesz mi nic nie mówić, ja sam zgadnę.

— Zgaduj, zgaduj, mój przyjacielu! tak będzie najlepiej.

Około dziewiątej wieczorem, przy cudnym świetle księżyca przybyli do Atosa.

Jasność nocy pogodnej radowała nad wszelki wyraz Portosa; niezadowolenie Aramisa z tego powodu równało się uciesze tamtego. Okazał to Portosowi, który odparł mu na to:

— Dobrze, dobrze! i to rozumiem: misja tajemna.

To były ostatnie słowa, wyrzeczone na wózku.

Przerwał mu woźnica, mówiąc:

— Proszę panów, jesteśmy na miejscu.

Portos wraz z towarzyszem wysiedli przed bramą zameczku.

Tam to odnajdziemy Atosa i Raula, których, z chwilą odkrycia niewierności La Valliery, straciliśmy z oczu.

Bolesna rana Raoula, cierpienia jego beznadziejne, zbliżyły ku niemu ojca, a Bogu jednemu wiadomo, jak słodkiemi były pociechy, płynące z wymownych ust i szlachetnego serca Atosa.

Rana ta jednak nie zabliźniła się wcale, lecz skutkiem rozmów z synem, zestawienia swojego życia z życiem młodzieńca, udało się Atosowi przekonać go poczęści, że boleść, spowodowana pierwszą niewiernością, potrzebną jest każdemu człowiekowi i kto kocha zaznać jej musi.

Bywało, że nieraz słuchał go Raoul, lecz nie pojmował. W sercu, dotkniętem miłością, nic nie jest w stanie zastąpić wspomnienia ukochanego przedmiotu. Wtedy Raoul odpowiadał ojcu:

— Panie, prawdą jest wszystko to, co mi mówisz; wierzę, iż nikt sercem tyle, co ty nie cierpiał; lecz nadto rozumnym jesteś, zbyt wytrawnym w nieszczęściu, aby nie wybaczyć słabości żołnierzowi, który po raz pierwszy tak cierpi. Płacę haracz, którego po dwakroć płacić nie będę; pozwól mi tonąć w boleści, niechaj w niej siebie zapomnę, niech rozum mój w niej utopię.

— Raoulu! Raoulu!

— Posłuchaj mnie, panie; nigdy nie oswoję się z myślą, ażeby Ludwika, najczystsza i najniewinniejsza z kobiet mogła tak nikczemnie oszukać człowieka, równie prawego i kochającego jak ja; nigdy nie zgodzę się aby twarz pełna słodyczy była obliczem fałszywem z wyrazem rozwiązłym. Ludwika upadła! Ludwika nikczemna! A! panie, to okrutniejszem jest dla mnie, niż Raoul opuszczony, Raoul nieszczęśliwy.

Wtedy Atos używał trucizny jako lekarstwa. Brał stronę Ludwiki i przewrotność jej usprawiedliwiał miłością.

— Kobieta, która oddałaby się królowi dlatego, że jestem królem — mówił on — zasługiwałaby na nazwę nikczemnej; lecz ona kocha Ludwika. Oboje młodzi, zapomnieli, on o stanowisku swojem, ona o swoich przysięgach. Miłość rozgrzesza, Raoulu. Dwoje tych młodych kocha się szczerze.

I ugodziwszy go tym sztyletem, Atos z bólem serca widział Raoula, wijącego się pod ciosem i chroniącego do lasu najgęstszego lub do swego pokoju, skąd za jaką godzinę potem wychodził blady, drżący, lecz uspokojony. Wracał wtedy do Atosa z uśmiechem, całował mu rękę, jak pies obity łasi się panu swemu, aby winę okupić. Raoul słabość swoją tylko okupywał i boleść ciężką uznawał.

Tak przemijały dnie od chwili tej sceny, w której Atos tak gwałtownie dotknął niezwalczonej dumy królewskiej. W rozmowach swoich z synem nigdy wzmianki o tem nie było. Nigdy nie obznajmił go ze szczegółami tego silnego starcia, które być może przyniosłoby młodzieńcowi pociechcę, przedstawiając mu poniżenie rywala.

Atos nie chciał aby obrażony kochanek zapomniał o czci, należnej królowi.

A kiedy Bragellone, rozgorączkowany, rozszalały, ponury z odrazą mówił o słowach królewskich, o wierze zwodniczej, jaką niejedni szaleńcy pokładają w przyrzeczeniach, spływających z tronu, kiedy myślą przeskakując lat dwieście z szybkością ptaka, szybującego ponad cieśniną, dzielącą dwa lądy, jął przepowiadać, że przyjdzie czas innych pojęć, Atos mówił mu głosem jasnym i przekonywającym:

— Masz rację, Raoulu, stanie się kiedyś, jak mówisz, bo i gwiazdy blask swój tracą, gdy czas ich się wypełni. Lecz nas już wtedy nie będzie, Raoulu. Zapamiętaj to, co ci mówię: na tym świecie potrzeba, aby wszyscy, mężczyźni, kobiety i królowie, żyli w teraźniejszości; w przyszłości żyć powinniśmy tylko dla Boga.

Taką była rozmowa Atosa z Raoulem, przechadzających się w długiej alei lipowej, gdy nagle zadźwięczał dzwonek, wzywający zwykle hrabiego na posiłek, lub oznajmiający wizytę.

Machinalnie, żadnej nie przywiązując do tego wagi, zawrócił wraz z synem z drogi, a w tem przy końcu alei spotkali się oko w oko z Portosem i Aramisem.

CCXXXIII

OSTATNIE POŻEGNANIE.

Raoul z okrzykiem radosnym rzucił się w objęcia Portosa.

Aramis i Atos uścisnęli ię, jak ludzie, wiekiem wystudzeni.

Uścisk ten nawet stanowił rodzaj zapytania dla Aramisa, który też, nie zwlekając, rzekł:

— Przyjacielu drogi, policzone są chwile, które wspólnie mamy tu przebyć.

— A!... — wydobyło się z piersi hrabiego.

— Tyle tylko — przerwał Portos — aby o szczęściu mojem wam opowiedzieć.

— A!... — wykrzyknął Raoul.

Atos popatrzył w milczeniu na Aramisa, którego ponury wyraz twarzy nie wydał się licującym z dobrą nowiną, jaką zapowiadał Portos.

— Cóż to za szczęście pana spotyka?... — Ciekawym — zagadnął z uśmiechem Raoul.

— Król nadaje mi tytuł książęcy, tytuł z dyplomem!... — nachylając się do ucha Raoulowi, szepnął poczciwy Portos z miną tajemnicą.

Lecz gdy szeptał to z taką mocą, że mógł być przez wszystkich słyszanym; szept jego równał się rykowi.

Atos usłyszał i z piersi jego wyrwał się okrzyk, który dreszczem przejął Aramisa.

Ujął więc Atosa pod ramię i poprosił Portosa o pozwolenie porozmawiania na stronie.

— Drogi mój Atosie — rzekł do hrabiego — widzisz mnie ciężko strapionym.

— Ty ciężko strapiony?... — A!... drogi przyjacielu!... — zawołał hrabia.

— Krótko mówiąc: zrobiłem spisek przeciwko królowi; spisek nie powiódł się, a obecnie, bezwątpienia jestem ścigany.

— Ty ścigany!... Spisek!... Co mówisz, mój drogi!

— Smutną prawdę. Poprostu, jestem zgubiony.

— A Portos... ów tytuł książęcy... cóż to wszystko ma znaczyć?

— W tem właśnie tkwi moje najcięższe strapienie; to mi serce rani do głębi. Wierząc w nieomylność powodzenia swojego, wciągnąłem w tę sprawę Portosa. Oddał się jej, jak go znasz, całemi siłami, nie wiedząc o niczem, a dziś skompromitowany i zgubiony jest wraz ze mną.

— Boże wielki!

I spojrzał Atos w stronę Portosa, który przyjaźnie uśmiechał się do nich.

— Trzeba, abyś zrozumiał wszystko. Wysłuchaj mnie — ciągnął Aramis.

I jął opowiadać znaną nam historję.

Atos, słuchając tego, czuł pot, występujący mu na czoło.

— Pomysł koloosalny — rzekł lecz błąd ogromny.

— Za który jestem ukarany, Atosie.

— Nie powiem ci też wszystkiego, co o tem myślę.

— Powiedz.

— To zbrodnia.

— Najwyższa, wiem o tem. Obraza majestatu.

— Portos!... biedny Portos!

— Cóż chcesz, abym był uczynił... Jak ci powiedziałem, powodzenie było pewnem.

— Pan Fouquet jest człowiekiem szlachetnym.

— A ja głupcem jestem, że tak go źle osądziłem — syknął Aramis. — O!... mądrości ludzka!... a!... kamieniu młyński niezmierzony, co w proch ścierasz świat cały, a przyjdzie dzień, że jedno ziarno piasku skądciś się weźmie i koła zatrzyma!

— Nie ziarnko piasku, ale raczej djament, Aramisie. Stało się. Cóż myślisz robić?

— Uprowadzam Portosa. Król nigdy uwierzyć nie zechce, aby ten zacny człowiek działał bezwiednie; nie uwierzy, iż Portos dopuścił się tego w przekonaniu, że sprawie królewskiej służy; błąd mój głową by musiał okupić. A ja tego nie chcę.

— Dokąd go uprowadzasz?

— Do Belle-Isle najpierwej. Jest to schronienie niezdobyte. Następnie mam statek dla przebycia morza, bądź do Anglji, gdzie mam dużo stosunków...

— Ty? w Anglji?

— Tak. Lub też do Hiszpanji, gdzie mam ich jeszcze więcej.

— Uwożąc z kraju, rujnujesz go, król bowiem skonfiskuje mu dobra.

— Wszystko już przewidziane. Niechaj się tylko dostanę do Hiszpanji potrafię pogodzić się z Ludwikiem XIV-tym i wyrobić dla Portosa ułaskawienie.

— Masz wpływy, Aramisie, jak widzę! — zauważył od niechcenia Atos.

— Niemałe, przyjacielu Atosie, a przedewszystkiem na usługi przyjaciołom moim.

Słowom tym towarzyszył serdeczny uścisk ręki.

— Dzięki — odparł hrabia.

— A skoro się o tem zgadało — mówił Aramis — i ty także do malkontentów należysz; ty i Raoul macie jakąś urazę do króla. Pójdź za naszym przykładem. Przejedźcie się do Belle-Isle. A potem zobaczymy... Zaręczam ci, słowem honoru, że za miesiąc najdalej wybuchnie wojna pomiędzy Francją a Hiszpanją z powodu tego syna Ludwika XIII-go, który także jest infantem, a którego Francja więzi tak nieludzko. A że Ludwik XIV-ty nie zechce o to wojny prowadzić, zaręczam za układy, które nadadzą Portosowi i mnie godność grandów hiszpańskich, a tobie, który już nim jesteś, tytuł książęcy. Czy przystajesz?

— Nie; wolę pozostać z moją urazą do króla, jest to duma, rodowi mojemu wrodzona, aby dążyć do wyższości nad rodem królewskim. Uczyniwszy to, co mi radzisz, stałbym się obowiązanym królowi; bezwątpienia, zyskałbym na tem materjalnie, lecz w sumieniu mojem straciłbym wiele. Dziękuję.

— Zatem, udziel mi dwóch rzeczy, Atosie: najprzód rozgrzeszenia...

— O!... daję ci je z całego serca, jeśli rzeczywiście, chciałeś pomścić bezbronnego i uciśnionego przeciw tyranowi obronić.

— To mi wystarcza — odrzekł Aramis z rumieńcem na czole, który pokryły ciemności nocne. — A teraz daj mi dwa najlepsze z twoich koni, dla przedostania się do drugiej stacji pocztowej, bo odmówiono mi ich pod pozorem, że podróżuje pan de Beaufort tym traktem.

— Dostaniesz je, Aramisie, a pamiętaj, że polecam ci Portosa.

— O!... nie lękaj się o niego. Słówko jeszcze: czy sądzisz, że kieruję nim właściwie?

— Skoro złe się stało, tak; ponieważ król nigdyby mu nie przebaczył, a niech co chce będzie, ty zawsze masz oparcie u pana Fouqueta, który was nie opuści, jako na równi z wami skompromitowany, pomimo bohaterskiego wystąpienia swego.

— Masz rację. Dlatego też właśnie zamiast odrazu puścić się na morze, co oznaczałoby strach i przyznanie się do winy, pozostaję na gruncie francuskim. Lecz Belle-Isle będzie dla mnie gruntem takim, jakim ja zechcę: angielskim, hiszpańskim czy rzymskim; dla mnie wszystko od tego zależy, jaki zatknę pawilon.

— Jakim, sposobem?

— To ja ufortyfikowałem Belle-Isle, nikt jej nie weźmie, dopóki ja bronić jej będę Następnie, jak sam to przed chwilą powiedziałeś, mamy pana Fouqueta. Nie przypuszczą szturmu do Belle-Isle bez jego podpisu.

— Słusznie. Bądź co bądź, miej się na baczności. Król przebiegłym jest i silnym.

Aramis uśmiechnął się.

— Polecam ci Portosa — powtórzył jeszcze Atos, z rodzajem chłodnego nalegania.

— Hrabio! to, co mnie spotka, spotka i brata naszego, Portosa — odparł tym samym tonem Aramis.

Atos uścisnął z ukłonem rękę Aramisa i poszedł ucałować serdecznie Portosa.

— W czepku się rodziłem, wszak prawda? — mruknął w uniesieniu olbrzym, owijając się szerokim swym płaszczem.

— Pójdź, najdroższy — przemówił Atos.

Raoul poszedł naprzód, dla wydania rozkazu, aby osiodłano dwa konie. Rozłączyli się już. Atos patrzył na przyjaciół swoich, gotujących się do odjazdu; mgła jakaś zasłoniła mu oczy i kamieniem spadła na serce.

— To coś dziwnego — pomyślał. — Skąd mi ta chęć uściskania raz jeszcze Portosa?

Jednocześnie Portos zawrócił i szedł z otwartemi ramionami do przyjaciela. Ostatni ten uścisk czułym był jak w młodości, jak za czasów, gdy serce było gorące, a życie szczęśliwe.

Następnie Portos dosiadł swego konia. Aramis także powrócił, aby objąć ramieniem szyję Atosa.

Ten zaś widział potem ich białe płaszcze majaczące w cieniach nocy na szerokiej drodze. Podobni do dwóch widm zdawali się odrywać od ziemi i nie w mgle, ani w pochyłości gruntu zniknęli, ale na skraju horyzontu, jakby, odbiwszy się od ziemi, rozwiali się w obłokach.

Wtedy Atos zawrócił do domu, z sercem ściśnionem, mówiąc do Bragellona:

— Raoulu, coś mi w duszy mówi, że dwóch tych ludzi widziałem po raz ostatni.

— Panie, myśl twoja nie dziwi mnie wcale — odparł młodzieniec — bo i mnie to samo przyszło do głowy i ja pomyślałem, że nigdy już nie zobaczę panów du Vallon i d'Herblay.

— O!... ty mówisz tak, jak, człowiek smutkiem zgnębiony, ty z innej przyczyny wszystko widzisz w ciemniejszych barwach; ale młodym jeszcze jesteś i jeśli nie zobaczysz ich więcej, to dlatego, że ich nie będzie na świecie, na którym tobie pozostaje jeszcze wiele lat do przebycia. Lecz ja...

Raoul zlekka potrząsnął głową i wsparł się na ramieniu hrabiego; tak szli obaj w milczeniu, z sercem, przepełnionem żałością.

Naraz tętent koni i głosy rozliczne uderzyły ich słuch od strony drogi, z Blois prowadzącej.

Konni pachołkowie, jadąc przodem, oświecali drogę jeźdźcom, poza nimi ciągnącym, sypiąc wesoło skrami pochodni pośród rozłożystych drzew przydrożnych.

Światła te, hałas, tumany kurzu i chrzęst kilkunastu koni, w bogate rzędy przybranych, dziwną stanowiły sprzeczność wśród nocnych ciemności, z głuchem, grobowem zniknięciem dwóch cieni Portosa i Aramisa.

Atos powrócił do siebie.

Zaledwie jednak przestąpił próg domostwa brama wyjazdowa stanęła w płomieniach, pochodnie, ile ich było, zatrzymały się zalewając światłem dziedziniec.

Głos tubalny zawołał:

— Jaśnie oświecony książę de Beaufort!...

Atos wybiegł z pośpiechem na ganek.

Książę zsiadł już z konia i rozglądał się wokoło.

— Jestem na usługi Waszej Książęcej Mości — odezwał się Atos.

— E!... dobry wieczór, hrabio — odpowiedział książę z właściwą sobie serdecznością, która mu tak wszystkie serca zjednywała. — Czy nie zapóźno jednak na przyjęcie przyjaciela?

— O!... mój książę, proszę pod dach mój — rzekł hrabia.

Pan de Beaufort wsparł się na ramieniu Atosa i weszli tak razem do domu, za nimi Raoul, który skromnie i z postawą, wyrażającą szacunek, postępował w ogronie oficerów księcia, pomiędzy którymi znalazł niemało dobrych znajomych.

CCXXXIV

PAN DE BEAUFORT.

Książę obejrzał się właśnie, gdy Raoul, chcąc zostawić go sam na sam z Atosem, zamykał drzwi za sobą, aby sprosić oficerów do pokoju przyległego.

— To ten młodzieniec, którego tak nieboszczyk książę wychwalał?... — zagadnął pan de Beaufort.

— Tak, mości książe, ten sam.

— Żołnierzem jest!... nie będzie nam przeszkadzał: zatrzymaj go, hrabio.

— Pozostań, Raoulu, skoro Jego Książęca Mość pozwala — powiedział Atos.

— Piękny młodzieniec, na honor!... — mówił dalej książę. — Dałbyś mi go, hrabio, gdybym tego zażądał?...

— W jakiem znaczeniu to mówisz, Wasza Książęca Mość?... — odparł Atos.

— W takim, że na pożegnanie tu przybywam.

— Na pożegnanie?...

— Tak, doprawdy. Nawet pojęcia nie masz, czem będę na przyszłość.

— Ależ tem, czem dotąd jesteś, księciem walecznym i dobrym szlachcicem.

— Stanę się księciem afrykańskim i szlachcicem beduińskim. Król posyła mnie do Arabów po zdobycze.

— Co mówisz, książę!...

— Dosyć to osobliwe, nieprawdaż?... Ja, paryżanin z krwi i kości, ja, który rej wodziłem w najwykwintniejszych dzielnicach, a którego zwano "królem targowisk," przerzucam się raptem z placu Maubert do minaretów Dżidżeli; staję się frondystą awanturniczym!...

— O!... książę, gdyby nie to, że sam mi to mówisz...

— Trudnemby do uwierzenia było, wszak prawda?... Wierzaj mi jednak, i pożegnajmy się. Oto wynik powrotu do łask.

— Do łask?...

— Tak. Uśmiechasz się?... A!... drogi hrabio, czy wiesz, dlaczego to przyjąłem?... Czy się domyślasz?...

— Ponieważ Wasza Książęca Mość sławę nadewszystko miłujesz.

— O!... nie, wcale to niezaszczytne brać na cel dzikie plemiona. Nie tak ja sławę pojmuję, a jest wszelkie prawdopodobieństwo, że co innego tam znajdę. Chciałem tylko i chcę tego, pojmujesz, drogi hrabio?... Aby życie moje, w którem tyle dziwacznych świateł się łamało w ciągu lat pięćdziesięciu, aby tym ostatnim promieniem trysnęło. Gdyż przyznasz nareszcie, iż dość jest niezwykłem urodzić się synem królewskim, przeciw królom walczyć, stać w rzędzie spółczesnych sobie mocarzy, odpowiadać godnie stanowisku swemu, w żyłach mieć krew Henryka IV-go, być wielkim admirałem francuskim i dążyć do Dżidżeli na zabicie, hen pomiędzy tych Turków, Saracenów i Maurów.

— Książę, czemu coś podobnego przypuszczać — odezwał się zaniepokojny Atos. — Jak można sądzić, aby życie, pełne świetnej chwały, miało zagasnął tak nędznie?...

— Czyż myślisz, prostoduszny człowieku, że, skoro jadę do Afryki, dla tego śmiesznego powodu, nie postaram się wybrnąć bez śmieszności?... Że nie narobię rozgłosu?... O!... aby go dziś zdobyć, dziś, gdy jest książę królewski, pan de Tureniusz i wielu innych moich współczesnych, mnie admirałowi Francji, synowi Henryka IV-go, królowi Paryża, czy co innego pozostaje prócz szukania śmierci?

Cordieu! będą mówili o mnie, wierzaj mi; a ja wbrew wszystkiemu i wszystkim będę zabity.

Jeżeli nie tam, to gdzieindziej.

— Dość tego Mości Książę — odparł Atos — dość tej przesady, którą okazywałeś dotąd jedynie w męstwie nieustraszonem.

— Peste! drogi przyjacielu, nielada to męstwo iść na skorbut, dyzenterję, szarańczę, strzały zatrute, jak pradziad mój święty Ludwik. Wiesz, że dotąd jeszcze ci dzicy mają zatrute strzały?

A wreszcie, zdaje mi się, że znasz mnie oddawna i wiesz, że gdy czego chcę, umiem postawić na swojem.

— Chciałeś, książę i wydostałeś się z Vincennes.

— O! z twoją pomocą, mój zuchu; ale, ale, patrzę na wszystkie strony i nie widzę starego druha mojego, pana Vangrimaud. Jakże on się miewa?

— Pan de Vangrimaud zawsze jest najuniżeńszym sługą Waszej Królewskiej Mości — z uśmiechem rzekł Atos.

— Mam tu sto pistolów dla niego, które jako zapis przywożę.

- Testament mój sporządzony, hrabio.

— O! co Wasza Królewska Mość mówisz.

— A pojmujesz, że gdyby znaleziono w nim Grimauda...

I począł się śmiać książę; następnie, zwracając się do Raoula, który od początku tej rozmowy wpadł w zamyślenie głębokie.

— Młodzieńcze — rzekł — wiem ja tu o pewnem winie, Vanorejskiem, o ile mi się zdaje.

Raoul pospieszył spełnić rozkaz księcia.

Tymczasem pan de Beaufort, ująwszy rękę Atosa, zapytał:

— Co myślisz z nim robić?

— Jak na teraz, nic, Wasza Książęca Mość.

— A! a! wiem; od czasu namiętności króla dla... La Valliere.

— Tak, Mości Książę.

— Więc to wszystko prawda?...

— Zdaje mi się, że znałem tą małą La Valliere. Nie jest piękna o ile mi się widzi...

— Wcale nie Mości Książę — odparł Atos.

— Czy wiesz kogo mi ona przypomina?

— Przypomina kogoś Waszej Książęcej Mości?

— Młodą dziewczynę dość miłą, której matka mieszkała w hallach.

— A! a!... — uśmiechnął się Atos.

— Dobre to były czasy!... — dodał pan de Beaufort. Tak, La Valliere przypomina mi tę dziewczynę.

— Która miała syna, wszak prawda?

— Zdaje mi się, że tak — odparł książę z tą prostodusznością bez troski i pełnem uprzejmości zapomnieniem, którego brzmienia niktby odtworzyć nie był w stanie. — Tedy, ów biedny Raoul, który także jest twoim synem, hę?

— Tak Wasza Książęca Mość, to syn mój.

— Otóż biedny chłopiec, odprawiony z kwitkiem przez króla dąsa się?

— Gdyby tylko to, lecz trawi się sam w sobie.

— I pozwolisz mu zapleśnieć? To źle. Słuchaj, daj mi go.

— Pragnę pozostawić go przy sobie. Prócz niego, nikogo nie mam na świecie i dopóki sam mnie nie opuści...

— Dobrze, dobrze — odparł książę. — Jednakże doszedłbym z nim do ładu, niedługo czekając. Zaręczam ci, że to materjał na marszałka Francji i wielu ja takich widziałem.

— Być może, Wasza Królewska Mość; lecz król tylko robi marszałków Francji, a on nicby od króla nie przyjął.

Rozmowę tę przerwał powrót Raoula.

Poprzedzał on Grimauda, którego krzepkie jeszcze ręce trzymały tacę z kieliszkiem i butelką wina, ulubionego przez księcia.

Na widok starego sługi, książę wykrzyknął radośnie:

— Grimaud! dobry wieczór Grimaud; jak się miewamy?

Stary sługa, również uradowany, nisko się skłonił.

— Jesteśmy przyjaciółmi!... — rzekł książę, uderzając silnie po ramieniu zacnego Grimaud.

Jeszcze jeden głębszy ukłon i radość promieniejąca z oblicza starego wojaka.

— Co widzę, hrabio? Jeden tylko kieliszek!

— Piję z Waszą Książęcą Wysokością, lecz tylko wtedy, gdy mnie upoważnisz — rzekł Atos z pełnem szlachetności uniżeniem.

— Cordieu! miałeś słuszność, żeś kazał jeden kieliszek przynieść, będziemy pili z niego, jak dwaj towarzysze broni.

Zaczynaj więc, hrabio.

— Uczyń mi, książę, zupełną łaskę — rzekł Atos, zlekka usuwając kieliszek.

— Jesteś najmilszym przyjacielem — odparł książę de Beaufort, wychyliwszy złoty kubek i podając go towarzyszowi.

— Ale nie koniec na tem — ciągnął dalej książę — jeszcze mam pragnienie i chcę się napić do tego pięknego chłopca, który tam stoi.

— Przynoszę szczęście, wicehrabio — rzekł zwracając się do Raoula — zapragnij czego pijąc z mojego kieliszka, a niech mnie zaraza zdusi, jeżeli nie spełni się to, co sobie życzysz.

Podał Raoulowi kieliszek, ten z gorączkowym pośpiechem umoczył w nim usta i rzekł również gwałtownie:

— Pomyślałem już o czemś, Wasza Książęca Mość.

Oczy jego ponurym ogniem zabłysły, na twarz wystąpił krwawy rumieniec; uśmiech jego przeraził Atosa.

— A czegóż zapragnąłeś?... — zagadnął książę, osuwając się na fotel i jednocześnie podając Grimaudowi butelkę i sakiewkę z pieniędzmi.

— Mości Książę, czy raczysz mi przyrzec, iż zgodzisz się na życzenia moje?

— Pardieu! słowo się rzekło

— Pragnę jechać z Waszą Książęcą Mością do Dżidżeli.

Atos pobladł, nie będąc w stanie ukryć pomieszania swego.

Książę popatrzył na przyjaciela z wyrazem, jakgdyby chciał mu dopomódz, do odparcia tego nieprzewidzianego ciosu.

— To trudno, drogi mój wicehrabio, bardzo trudno — dodał głosem zniżonym.

— Wybacz mi, książę, niedelikatność moją — odparł głosem stanowczym Raoul — lecz ponieważ sam upoważniłeś mnie do objawienia mych życzeń...

— Opuszczenia mnie — odezwał się Atos.

— O! panie... jak możesz przypuszczać?

— Niech co chce będzie!... — zawołał książę — ma rację wicehrabia, co on tu będzie robił? zmarnieje z żalu.

Raoul zaczerwienił się, książę w uniesieniu ciągnął dalej:

— Wojna to zagłada: wszystko w niej zyskać można, a stracić jedno tylko, życie; tem gorzej, zatem!

— Lub pamięć — podchwycił Raoul — czyli, tem lepiej!

Pożałował słów swoich nierozważnych, widząc jak Atos powstawszy podszedł ku oknu, aby je otworzyć.

Ruch ten był dla pokrycia wzruszenia. Raoul pospieszył do hrabiego.

Lecz Atos uśmierzył już żal swój i powrócił do świata z obliczem wypogodzonem i obojętnem.

— No i cóż!... — odezwał się książę — jedzie czy nie jedzie? jeżeli jedzie, hrabio, będzie moim adjutantem, synem moim.

— Książę... — wykrzyknął Raoul, zginając przed nim kolana.

— Mości Książę — zawołał Atos ujmując Beauforta za rękę — Raoul uczyni, jak będzie chciał.

— O! nie panie, jak ty rozkażesz — przerwał młodzieniec.

— Corbleu!... — zaklął książę — nie tak będzie, jak chce hrabia lub wicehrabia, lecz tak jak ja będę chciał. Zabieram go. Marynarka to świetna przyszłość, przyjacielu.

Tak smutno uśmiechnął się Raoul, że tym razem serce Atosa ścisnęło się boleśnie i odpowiedział mu spojrzeniem, pełnem surowości.

Zrozumiał to Raoul; zapanował nad sobą i ani jednem słówkiem nie zdradził się już więcej.

Książę, widząc, że późna godzina, powstał, mówiąc z pośpiechem:

— Pilno mi; lecz, gdyby mi powiedziano, że straciłem czas na rozmowie z przyjacielem, odpowiedziałbym, że zrobiłem dobry majątek.

— Wybacz mi, książę — przerwał mu Raoul — lecz nie mów o tem królowi, bo nie jemu służyć będę.

— E! a komu, przyjacielu?

— Minęły te czasy kiedybyś mógł powiedzieć: "Należę do pana de Beaufort." Nie, dziś, wszyscy należymy do króla, wielcy i mali.

Dlatego też, jeżeli będziesz służył na moich okrętach, żadnych dwuznaczników, drogi wicehrabio, bo wiadomo, iż królowi tylko będziesz służył.

Atos z niecierpliwą radością oczekiwał odpowiedzi Raoula jako nieprzejednanego wroga króla na tę kwestję tak drażliwą dla niego. Ojciec żywił nadzieję, że ta przeszkoda zniweczy je-

go zapędy. Dziękował w duchu panu de Beaufort, którego lekkomyślność, czy też szlachetne zastanowienie podały w wątpliwość odjazd syna, jedynej pociechy jego życia.

Lecz Raoul, pełen stanowczości i spokoju odpowiedział:

— Mości Książę, trudności, jakie mi stawiasz, rozważyłem już w umyśle moim. Będę służył na okrętach twoich, skoro czynisz mi łaskę i zabierasz mnie z sobą; lecz potężniejszemu niż sam król panu oddam służby moje, Bogu je poświęcę.

— Bogu! w jaki sposób?.. — wykrzyknęli razem Atos i książę.

— Zamiarem moim jest wykonać śluby i zostać kawalerem maltańskim — dodał Bragellone, cedząc słowo po słowie, z większym jeszcze chłodem, niż lodowate krople, spadające z czarnych gałęzi drzew po minionej burzy zimowej.

Ostatni ten cios zachwiał Atosem, sam książę czuł się wzruszonym.

Grimaud wydał jęk głuchy i puścił butelkę, która rozbiła się na kobiercu, na co nikt nawet nie zwrócił uwagi.

Pan de Beaufort wpatrzył się w oblicze młodzieńca, a chociaż ten miał oczy spuszczone, wyczytał z jego rysów niezłomne postanowienie, przed którem wszystko musiało się ugiąć.

Atos znał tę głęboko czującą i nieugiętą duszę.

Nie liczył na to, aby zwrócić ją z nieszczęsnej drogi, jaką sobie obrała.

Uścisnął rękę, którą wyciągnął do niego książę.

— Hrabio, za dwa dni wyjeżdżam do Tulonu — odezwał się pan de Beaufort. — Czy podążysz za mną do Paryża, abym dowiedział się o postanowieniu twojem?

— Będę miał zaszczyt złożyć Waszej Książęcej Mości dzięki moje za dobroć — odparł hrabia.

— I w każdym razie przywieź mi wicehrabiego, czy pojedzie ze mną lub nie — dodał książę — ma moje słowo, czekam tylko na twoje.

Zlawszy w ten sposób odrobinę balsamu na ranę serca ojcowskiego, pociągnął zlekka Grimauda za ucho, który począł niby z bólu mrugać straszliwie oczami i zwrócił kroki ku dziedzińcowi, w którym oczekiwała go eskorta.

Wypoczęte i orzeźwione chłodem pięknej nocy konie, szyb-

kim biegiem oddalały pana swego od zamku. Atos i Bragellone sam na sam pozostali.

Biła jedenasta godzina.

Ojciec i syn zachowywali wobec siebie milczenie, w którem bystry spostrzegacz dosłyszałby jęków i łkań rozdzierających.

Lecz dwaj ci ludzie byli wykuci jakgdyby ze stali, wszelkie wzruszenia przemijały pozornie bez śladu, gdy postanowili zamknąć je w tajnikach swego serca.

Tak minęła im godzina, poprzedzająca północ, w milczeniu i ze ściśnioną piersią.

Odgłos zegara na wieży zwrócił dopiero ich uwagę, ile minut trwała ta podróż bolesna, jaką odbyły ich dusze w obszarach wspomnień z przeszłości i obaw bolesnych na przyszłość.

Pierwszy Atos powstał z siedzeznia mówiąc:

— Późno już... Do jutra, Raoulu!

Raoul podniósł się także i przystąpił, aby uściskać ojca.

Ten przytulił go do piersi i rzekł głosem zmienionym:

— Za dwa dni masz mnie więc opuścić, opuścić na zawsze, Raoulu?

— Panie — odparł młodzieniec — miałem zamiar własną szpadą serce swoje przebić na wylot, lecz mógłbyś mnie o tchórzostwo posądzić; zrzekłem się tego zamiaru, gdyż wtedy przyszłoby nam rozstać się na zawsze.

— Wyjeżdżając, również mnie porzucasz, Raoulu.

— Panie, raz jeszcze mnie wysłuchaj, błagam cię o to. Jeżeli nie odjadę, umrę tutaj z miłości i bólu. Wiem zgóry, ile mi tu życia pozostaje. Wypraw mnie coprędzej, lub ujrzysz, jak nikczemnie wyzionę ducha w twoich oczach, pod twoim dachem; to silniejsze nad wolę moją, to siły moje przechodzi, widzisz, że w ciągu miesiąca trzydzieści lat przeżyłem i zbliżam się do kresu życia mojego.

— Jedziesz więc do Afryki — przemówił chłodno Atos — aby tam dać się zabić?... O!... powiedz już raz... czemu kłamać.

Raoul pobladł i zamilkł na chwilę, która ojcu była dwugodzinnem konaniem; potem nagle odezwał się:

— Panie, postanowiłem Bogu się poświęcić. Wzamian za poświęcenie, jakie z młodości i swobody mojej czynię, o jedną rzecz tylko błagać go będę, to jest, aby mnie zachował dla cie-

bie, gdyż jesteś jedynem dobrem, które z tym światem mnie wiąże. Jeden Bóg może mi dodać siły, abym nie zapomniał, iż wszystko ci zawdzięczam i że w sercu mem najpierwsze miejsce winieneś zajmować.

Atos czule uścisnął syna i rzekł:

— Odpowiedziałeś mi jak człowiek szlachetny; za parę dni będziemy u pana de Beaufort w Paryżu; od ciebie zależeć będzie postanowienie, jakie masz uczynić. Wolny jesteś, Raoulu, Żegnaj mi!...

I wolnym krokiem powlókł się do sypialni.

Raoul skierował się w stronę ogrodu i tam w alei lipowej całą noc przepędził.

CCXXXV

PRZYGOTOWANIA DO ODJAZDU.

Atos nie silił się daremnie na walkę z tym postanowieniem niewzruszonem. Dołożył tylko wszelkich starań, aby wciągu dwuch dni, udzielonych mu przez księcia, wygotować całą wyprawę Raoula.

Praca ta polegała na zacnym Grimaudzie, który ze znanem sercem i rozumem, wykonał, ją na poczekaniu.

Atos rozkazał temu niezrównanemu słudze, puścić się w drogę do Paryża, skoro tylko wszystko będzie gotowe, a sam, aby nie dać księciu czekać na siebie, wybrał się z Raoulem w podróż, nazajutrz po odwiedzinach pana de Beaufort.

Wzruszenie biednego młodzieńca łatwem było do zrozumienia, na myśl o powrocie do Paryża, w pośród tych wszystkich ludzi, którzy go znali i kochali.

Każda twarz przypominała temu, co cierpiał, cierpienia jego, temu, co kochał okoliczność jakąś, towarzyszącą miłości jego.

Zbliżając się do Paryża, czuł Raoul, że serce w nim zamiera.

Skoro na miejscu już stanął, zdało mu się, że życie z niego ucieka.

Gdy poszedł odwiedzić pana de Guiche, powiedziano mu, iż de Guiche znajduje się u księcia brata królewskiego.

Udał się zatem do pałacu Luksemburskiego, a przybywszy

tam i nie przypuszczając, że znajduje się w miejscu pobytu La Valliery, usłyszał tyle muzyki rozgłośnej; tyle rozkosznych woni piersi jego poiło, tyle śmiechów obiło mu się o uszy a przed oczami tyle cieni tańczących przemknęło się, że gdyby nie pewna litościwa kobieta, która dostrzegła go pod portjerą napół martwego i bladego, byłby tam chwilę pozostał, a potem odszedł, aby nie powrócić już więcej.

Lecz, jak powiedzieliśmy, zatrzymał swe kroki w pierwszych przedpokojach dlatego jedynie, aby nie mieć nic wspólnego z tymi szczęśliwcami, używającymi w przyległych salonach chwilowych rozkoszy.

A gdy jeden z pokojowców księcia, poznawszy go, zapytał, czy żąda się widzieć z księciem lub księżną, Raoul zaledwie był w stanie odpowiedzieć mu i zatoczył się na ławkę w pobliżu aksamitnej portjery, spojrzawszy na zegar, który już od godziny bieg swój zatrzymał.

Nadszedł drugi więcej wtajemniczony pokojowiec i zapytał Raoula czyby sobie życzył, aby dano znać panu de Guiche.

Nawet to imię nie rozbudziło uwagi biednego Raoula.

Pokojowiec, nie ustępując, jął opowiadać, że de Guiche wymyślił nową grę w loterję i obznajmiał z nią obecne tu damy.

Raoul, patrząc przed siebie z wyrazem roztargnienia, wielkiemi oczami, nie odpowiadał; lecz smutek jeszcze grubszym cieniem pokrył jego oblicze.

Zapomniany przez wszystkich, z głową, wtył przechyloną, bezsilny, z otwartemi ustami, aby dać ujście ciężkim westchnieniom, siedział tak Raoul w owym przedpokoju, gdy naraz zaszeleściała suknia we drzwiach bocznych, prowadzących z salonu do tej galerji.

Kobieta młoda, ładna, z twarzyczką śmiechem rozpromienioną, wchodziła tamtędy, strofując oficera służbowego, a wyrażała się jakby w żywem uniesieniu.

Oficer odpowiadał spokojnie lecz stanowczo; była to raczej sprzeczka pomiędzy kochankami, aniżeli spór ludzi światowych, skończyła się więc ucałowaniem koniuszków palcy, pieszczonych rączek młodej damy.

Nagle, spostrzegłszy Raoula, dama zamilkła i odpychając oficera:

— Uciekaj, Malicorne — szepnęła — nie przypuszczałam, aby ktoś się tu znajdował. Przeklinam cię, jeżeli słyszano nas lub też widziano!

Malicorne zemknął rzeczywiście.

Młoda dama postąpiła z tyłu ku Raoulowi i wyciągając z rozkoszną minką szyję:

— Pan jesteś człowiekiem rycerskim — rzekła — i bezwątpienia...

I urwała aby wydać okrzyk.

— Raoul!... — rzekła, rumieniąc się.

— Panna de Montalais!... — wymówił Raoul blady, jak śmierć.

Zerwał się z siedzenia cały chwiejący i chciał uciekać, potykając się na śliskiej mozajce posadzki; lecz ona zrozumiała tę dziką i okrutną boleść, czuła, że w ucieczce Raoula tkwiło oskarżenie jej, lub conajmniej podejrzenie, na niej ciążące.

Kobieta czujna i przytomna, nie uważała za właściwe opuszczać sposobności usprawiedliwienia się z zarzutu, ale przytrzymany przez nią pośród galerji Raoul, jakby nie był skłonnym do poddania się bez walki.

Tak chłodno i sztywno względem niej się postawił, że, gdyby ktoś ich tak zastał oboje, cały dwór nie miałby już najmniejszej wątpliwości o postępku panny de Montalais.

— A!... panie — odezwała się pogardliwie — postępowanie twoje jest wcale niegodne szlachcica. Serce moje pragnie rozmowy z tobą; kompromitujesz mnie grubjańskim nieledwie przyjęciem; źle robisz, mój panie, że nie jesteś w stanie odróżnić przyjaciół od wrogów swoich. Żegnaj!

Raoul poprzysiągł nigdy o Ludwice nie mówić, nie spojrzeć na tych, co na nią patrzyli; uciekał w kraje nieznane, aby nigdy nie spotkać tego na czem wzrok Ludwiki spoczął, lub czego dotknąć się mogła.

Lecz gdy przeminęło pierwsze wzburzenie zranionej dumy, widok Montalais, tej towarzyszki Ludwiki, Montalais, która przypomniała mu wieżyczkę w Blois i jasne dni pierwszej młodości, przytomność mu odjął.

— Wybacz mi pani, nie mam i nie mogę mieć zamiaru być względem niej grubjańskim.

— Chcesz pan pomówić ze mną?... — odezwała się z dawnym swoim uśmiechem. — Chodźmy zatem gdzieindziej, gdyż tutaj moglibyśmy być podsłuchani.

— Gdzie?... — zapytał.

— Spojrzała na zegar z pewnem wahaniem, nareszcie po krótkim namyśle:

— Do mnie — mówiła dalej — mamy całą godzinę do rozporządzenia.

I lekko biegnąc jak czarodziejka, weszła do swego pokoju. a za nią Raoul.

Tam, zamknąwszy drzwi i oddając płaszczyk który miała przewieszony na ręku, pokojówce swojej:

— Chcesz się pan z panem de Guiche zobaczyć?... — zapytała Raoula.

— Tak, pani.

— Zaraz każę go tu poprosić, skoro się tylko z panem rozmówię.

— Jak pani rozkaże.

— Masz pan do mnie urazę?

Raoul popatrzył na nią przez chwilę, następnie spuszczając oczy:

— Tak — odpowiedział.

— Wierzysz w to, że przyłożyłam rękę do spisku dla zerwania pomiędzy wami?

— Zerwania?... — powtórzył z goryczą. — O!... pani, niema zerwania tam, gdzie nigdy nie było miłości.

— Złudzenie — odparła Montalais. — Ludwika kochała pana.

Raoul zadrżał.

— Nie miłością namiętną, wiem o tem; lecz kochała cię i powinieneś ją był zaślubić, zanim do Londynu wyjechałeś.

Raoul wybuchnął straszliwym śmiechem, który Montalais przeniknął dreszczem.

— Łatwo pani tak mówić!... Czyż to każdy może zaślubić tę, której pragnie? Zapominasz, widocznie, iż król zgóry zachował dla siebie kochankę, o której mówimy.

— Posłuchaj mnie — przerwała mu młoda kobieta, ściskając zimne ręce Raoula — cała wina spada na ciebie, mężczyzna w

twoim wieku nie powinien pozostawiać samej kobiety tych lat, co ona.

— Więc niema na świecie dobrej wiary? — rzekł na to Raoul.

— Nie, wicehrabio — spokojnie odpowiedziała Montalais. — Winnam ci jednak powiedzieć, że, gdybyś zamiast kochać Ludwikę, chłodno i filozoficznie, starał się miłość w niej wzbudzić...

— Dość tego, proszę — przerwał jej Raoul. — Czuję, iż wszyscy jesteście z innego wieku niż ja. Umiecie drwinkować uprzejmie i śmiać się ze wszystkiego. Ja kocham pannę de...

Nie mógł wymówić jej nazwiska.

— Kochałem ją i wierzyłem w nią święcie; dziś skwitowany jestem z miłości mojej.

— O!... wicehrabio!... — odezwała się Montalais wskazując mu zwierciadło.

— Wiem, co pani chcesz powiedzieć, mocno się zmieniłem, wszak prawda? A czy wiesz dlaczego? Ponieważ twarz moja jest serca mojego zwierciadłem: tam wewnątrz ta sama co i nazewnątrz jest zmiana.

— Pocieszyłeś się pan?... — cierpko zagadnęła Montalais.

— Nie, nigdy nie znajdę pociechy.

— Nie zrozumieją cię ludzie, panie de Bragellone.

— Mało to mnie obchodzi. Ja sam aż nadto dobrze rozumiem siebie.

— Czy nie próbowałeś nawet pomówić z Ludwiką.

— Ja!... — wykrzyknął z zaiskrzonemi oczami młodzieniec — ja!... Dziwię się, doprawdy, że mi pani nie radzisz, abym ją poślubił? Dziś król możeby już zgodził się na to.

I powstał pełen gniewu i oburzenia.

— Widzę — odezwała się Montalais — że jesteś nieuleczony i że Ludwika ma jednego nieprzyjaciela więcej.

— Jednego więcej nieprzyjaciela?

— Tak, faworyty niezbyt są dobrze widziane na dworze francuskim.

— O!... dopóki ma kochanka, aby jej bronił, czyż to nie dosyć? Wybór jej padł na człowieka takiego stanowiska, że wobec niego wrogowie nie znaczą nic.

Lecz zastanowiwszy się nagle:

— A wreszcie, w tobie, pani, ma przyjaciółkę — dodał z odcieniem ironji, która nieześlizgnęła się po Montalais, bez zadraśniecia młodej kobiety.

— Mnie? O!... nie! nie należę już do tych, na które panna La Valliere spoglądać raczy, ale...

To ale, ciężarne groźbą i burzą; to ale, na które zabiło serce Raoula, zwiastujące tyle bólu dla tej, którą niegdyś tak kochał; to ale, zawierające tyle znaczenia w ustach kobiety takiej, jak Montalais, zostało przerwane dość wyraźnym szmerem, który doszedł do uszu dwojga rozmawiających z poza obicia alkowy.

Montalais nadstawiła ucha, a Raoul się podniósł, gdy wtem najspokojniej weszła jakaś kobieta ukrytemi drzwiami, które za sobą zamknęła.

— Księżna!... — wykrzyknął Raoul poznawszy bratowę królewską.

— O!... ja nieszczęsna!... — wyszeptała Montalais.

I poskoczyła, lecz zapóźno, aby drogę zagrodzić księżnej.

— O całą godzinę omyliłam się!

Tyle jednak starczyło jej czasu, aby uprzedzić księżnę, prosto do Raoula zmierzającą.

— Pan de Bragellone, pani.

Na te słowa cofnęła się księżna, krzyknąwszy z przerażenia.

— Wasza Królewska Wysokość — szybko przemówiła Montalais — jest tyle dobrą, aby myśleć o tej loterji i...

Księżna poczęła tracić równowagę.

Raoulowi spieszno było wyjść, nie pojął jeszcze wszystkiego, czuł tylko, że jest tu zbytecznym.

Księżna miała już w pogotowiu jakieś słówko do powiedzenia, aby dać sobie czas na oprzytomnienie, gdy naraz otworzyła się szafa, stojąca wprost alkowy i pan de Guiche wyszedł z niej rozpromieniony cały.

Przyznać należy, iż i tym razem najbledszym ze wszystkich był Raoul.

Księżna jednak bliską była zemdlenia i usiadła w nogach łóżka.

Nikt nie ośmielił się jej pospieszyć z pomocą.

Scena ta kilka minut przetrwała w milczeniu przerażającem.

Pierwszy przerwał ją Raoul, postąpił ku hrabiemu, pod którym z niewysłowionego wzruszenia dygotały kolana i ujmując jego rękę:

— Drogi hrabio — przemówił — zechciej powiedzieć księżnie, iż zbyt nieszczęśliwym jestem, abym nie zasługiwał na przebaczenie; zechciej jej także powiedzieć, że kochałem w ciągu mojego życia i, że ohyda zdrady, jakiej padłem ofiarą, czyni mnie nieubłaganym na wszelkie sprzeniewierzenia, spełniające się pod moim bokiem. Oto dlaczego, pani — dodał, uśmiechając się do Montalais — za nic nie rozgłoszę tajemnicy odwiedzin przyjaciela mego u pani. Wyjednaj u księżny, która jest tak dobrotliwą i wspaniałomyślną, niechaj ci je także przebaczy, wyjednaj u niej, która was zeszła tu niespodzianie.

Wolni jesteście oboje, kochajcie się i bądźcie szczęśliwi!

Księżna wpadła chwilowo w rozpacz niewysłowioną; pomimo najwyższej delikatności, jakiej Raoul dał dowody, wstręt ją ogarniał na myśl znajdowania się na czyjejś łasce lub niełasce.

Równy wstręt uczuwała do korzystania z tej furtki do wyjścia otwartej tak szlachetnym wybiegiem.

Gwałtowna i nerwowa z natury buntowała się przeciw wszelkiemu kąsaniu jadowitych gadów, zależnością zwanych.

Zrozumiał ją Raoul i raz jeszcze pospieszył jej z pomocą.

Zgiąwszy przed nią kolano, przemówił zcicha:

— Pani, za parę dni opuszczam Paryż, a za dwa tygodnie żegnam na zawsze Francję; nie ujrzą mnie tu już nigdy.

— Odjeżdżasz pan? — a radość sercem jej zawładnęła.

— Z panem de Beaufort.

— Do Afryki!... — zawołał de Guiche. — Ty, Raoulu?... O!... mój najdroższy, do Afryki skąd nikt żywy nie powraca.

I niepomny na nic, zapominając, iż tem więcej jeszcze niż obecnością swoją kompromituje księżnę.

— Niewdzięczny — rzekł on — nie poradziłeś mnie się nawet.

I rzucił się w jego objęcia.

W ciągu tego czasu Montalais usunęła księżnę i sama znikła bez śladu.

Raoul przesunął ręką po czole i rzekł z uśmiechem:

— Chyba to był sen!

Następnie, zwracając się do Guiche, jak gdyby wracała mu przytomność, rzekł gorączkowo:

— Przyjacielu, przed tobą, który jesteś wybrańcem serca, nie mam nic skrytego; ja życie moje tam położę, tajemnica twoja roku nie przeżyje.

— O!... Raoulu!... mężczyzną jesteś!

— Chcesz poznać myśl moją, Guiche? Słuchaj; oto więcej żyć będę leżąc pod ziemią, aniżeli żyję w ciągu tego miesiąca, niosąc na ziemi ciężar strasznej boleści swojej.

Chrześcijaninem jestem, drogi przyjacielu i gdyby tak dłużej potrwało, nie ręczyłbym za duszę moją.

De Guiche chciał go przekonywać.

— Ani słowa już o mnie — przerwał mu Raoul — jedna tylko rada dla ciebie, drogi przyjacielu; to, co ci mam powiedzieć, jest o wiele ważniejszem.

— Dlaczego?...

— Bezwątpienia, ty daleko więcej ryzykujesz, aniżeli ja, bo jesteś kochanym.

— O!...

— Słodko mi nad wyraz, iż mogę w ten sposób odezwać się do ciebie!... Słuchaj, de Guiche, nie ufaj Montalais!...

— Ona jest bardzo życzliwa.

— Była życzliwą dla tej... o której wiesz... ona zgubiła ją przez pychę.

— Mylisz się.

— A dziś, kiedy ją zgubiła, pragnie pozbawić jedynej rzeczy, która kobietę tę czyni w mych oczach wytłumaczoną.

— Jakiej?....

— Miłości, którą czuje.

— Co chcesz przez to powiedzieć?...

— Chcę powiedzieć, że spisek jest uknuty przeciwko tej, która jest kochanką królewską, uknuty w samym domu bratowej króla.

— Czy możesz to przypuszczać?...

— Ja pewny tego jestem.

— Przez Montalais?...

— Uważaj ją za najmniej szkodliwą z nieprzyjaciółek, których obawiam się dla... tamtej.

— Wytłumacz się jaśniej, drogi Raoulu, a jeżeli będę mógł cię zrozumieć...

— Krótko mówiąc: Księżna zazdrosną jest o króla.

— Wiem o tem...

— O!... niczego się nie obawiaj, kochanym jesteś... de Guiche... o!... czy czujesz całą wartość tych dwóch wyrazów?... Znaczą one, iż możesz mieć czoło swobodne, spać spokojnie, możesz Bogu dziękować w każdej chwili życia twojego!... Jesteś kochanym. to znaczy, że wszystkiego wysłuchać możesz, nawet rady przyjaciela, który szczęście twe pragnie ci zachować. Kochanym jesteś, de Guiche, kochanym!... Nie będziesz strasznych nocy przepędzał, tych nocy bez końca, które ludzie, na śmierć skazani, spędzają, z okiem wyschłem, a z sercem, ogniem strawionem. Ty długo żyć będziesz, jeżeli tak, jak skąpiec będziesz zbierał szczypta po szczypcie, okruchy za okruchami, djamenty i złoto. Kochanym jesteś!... Pozwól tylko sobie powiedzieć co czynić należy, abyś został nim na zawsze.

De Guiche zaś czas jakiś patrzył na nieszczęśliwego młodzieńca nawpół oszalałego z rozpaczy, a duszę jego przeniknął rodzaj wyrzutu za szczęście własne.

Raoul zwolna począł przychodzić do siebie po tem uniesieniu gorączkowem, a głos i oblicze jego przybrały wyraz człowieka obojętnego.

— Oni skażą na cierpienia tę, której chciałbym jeszcze módz imię wymówić. Przysięgnij mi, że nietylko nie przyłożysz ręki do tego. lecz jeszcze bronić jej będziesz, według możności, jakbym ja sam to był czynił.

— Przysięgam!... — odpowiedział de Guiche.

— A kiedyś, gdy oddasz jej wielką jaką przysługę, kiedyś, gdy dziękować ci za to będzie, przyrzeknij mi, że powiesz jej te słowa: “Wyświadczyłem ci tę przysługę, pani, z polecenia pana de Bragellone, któremu tyle złego zrobiłaś.”

— Przysięgam!... — wyszeptał rozrzewniony de Guiche.

— To wszystko. Żegnaj!... Jutro lub pojutrze wyjeżdżam do Tulonu. Jeżeli masz kilka gozin wolnych, poświęć mi je.

— Wszystkie!... wszystkie!... — wykrzyknął młodzieniec.

— Dzięki!...

— A co teraz robić zamyślasz?...

— Mam się zejść z panem hrabią u Plancheta, gdzie spodziewamy się zastać pana d’Artagnana.

— Pana d’Artagnana?

— Pragnę uściskać go przed wyjazdem. Jest to człowiek zacny który mnie kochał.

— Adieu, przyjacielu drogi; czekają na ciebie z pewnością; zastaniesz mnie, skoro zechcesz, w mieszkaniu hrabiego.

Uścisnęli się.

Ci, co by ich razem widzieli, nie omieszkaliby powiedzieć, wskazując na Raoula:

— Ten chyba jest człowiekiem szczęśliwym.

CCXXXVI

SPIS INWENTARZA PANA PLANCHET.

Podczas bytności Raoula w Luksemburgu, Atos udał się rzeczywiście do Plancheta, dla zasięgnięcia wieści o d'Artagnanie.

Przybywszy na ulicę Lombardu, zastał sklep przepełniony; nie było to jednak przepełnienie przez kupujących, lub też po nadejściu transportu świeżych towarów.

Nie było tam, jak zwykle, Plancheta, rozpościerającego swą władzę wśród worków i beczek. O!... nie.

Jeden z chłopców z piórem za uchem, inny znowu z książeczką rachunkową w ręku, spisywali całe kolumny cyfr, podczas gdy inny jeszcze liczył i ważył.

Chodziło tu o spis inwentarza.

Atos, nie mający z handlem nic wspólnego, czuł się onieśmielonym cokolwiek wśród tych przeszkód, tamujących mu ruchy, i wobec uroczystego zachowania się tych, co tam byli zajęci.

Widział, jak odprawiono kilku kupujących i pytał się w duchu, czy on, który nie przychodził po zakupy, tembardziej nie będzie tu zbytecznym.

Zapytał też nader uprzejmie, czyby nie można pomówić z panem Planchet.

Odpowiedź brzmiała dość obojętnie, że pan Planchet, kończy właśnie pakować swoje kufry.

Słowa te dziwnie uderzyły słuch Atosa.

— Jakto, swoje kufry? — zapytał — pan Planchet wyjeżdża?

— Tak, panie, natychmiast.

— Zechcijcie tedy, panowie, kazać go uprzedzić, że pan hrabia de la Fere życzy sobie pomówić z nim na chwilę.

Usłyszawszy to nazwisko, jeden z chłopców, który widocznie słyszał je nieraz wymawiane z największym szacunkiem, oddalił się, by zawiadomić Plancheta.

Stało się to właśnie, gdy Raoul, oswobodziwszy się nareszcie, po bolesnem zajściu z Montalais, wchodził do sklepu korzennego.

Planchet porzucił zajęcie, posłyszawszy o gościu od chłopca i nadbiegł z pośpiechem.

— A! panie hrabio — zawołał — co za radość! jakaż to szczęśliwa gwiazda sprowadza hrabiego?

— Mój drogi Planchecie — odezwał się Atos, ściskając ręce syna, którego oblicze zasmucone dostrzegł ukradkiem — przychodzimy, by dowiedzieć się od ciebie... Lecz w jakiemże zamieszaniu ja cię tu znajduję! ubielony jesteś, jak młynarz; gdzieżeś wlazł, u licha?

— A! djabli nadali! ostrożnie, nie zbliżaj się do mnie, panie hrabio, dopóki się nie otrzepię.

— E! mąka, czy cukier, wszystko to jedno, zawsze tylko bielą.

— Nie, nie, to co pan widzisz na moich rękach, to arszenik.

— Arszenik?

— Tak. Robię sobie zapasy na szczury.

— O! w takim jak ten, zakładzie, szczury muszą się dawać we znaki.

— Zakład ten wcale mnie nie zajmuje, panie hrabio; więcej mi one tu zjadły, aniżeli jeszcze zjedzą.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wszak to widoczne, panie hrabio, że robi się spis mojego inwentarza.

— Wycofujesz się z handlu?

— A tak, mój Boże! zakład mój odstępuje jednemu z subjektów.

— Ba! zbogaciłeś się już widocznie?

— Panie, miasto zbrzydło mi ostatecznie; nie wiem, czy się starzeję, i że, jak mówił kiedyś pan d'Artagnan, gdy się w lata zachodzi, częściej powraca się myślą do młodości swojej; ale od

jakiegoś czasu dziwny czuję pociąg do wsi i ogrodnictwa; byłem i ja niegdyś wieśniakiem.

Planchet uczynił nacisk na to wyznanie, śmiejąc się nieco za pretensjonalnie, jak na człowieka, spełniającego akt pokory.

Atos potwierdzająco skinął głową.

— Kupujesz majątek? — odezwał się następnie.

— Kupiłem już, panie.

— A! tem lepiej!

— Mały domeczek w Fontainebleau i jakieś tam dwadzieścia sążni gruntu dokoła.

— Bardzo dobrze, Planchet, winszuję ci.

— Ależ panie hrabio, niezbyt nam tu wygodnie: przeklęty ten pył kaszlu syna nabawił. Co, u djabła! nie radbym wcale otruć najzacniejszego pana w całem królestwie.

Niezręczny żarcik Plancheta nie pobudził bynajmniej Atosa do wesołości.

— Tak! — odparł — porozmawiajmy gdzie na uboczu, w mieszkaniu twojem naprzykład. Wszak masz tu jeszcze swój kącik?

— Rozumie się, panie hrabio.

— Może tam na górze?

I widząc zakłopotanie Plancheta, sam aby go ośmielić, ruszył naprzód.

— Bo to... — odezwał się z wahaniem Planchet.

Nie zrozumiał Atos znaczenia tego zaambarasowania i przypisał je obawie, jakiej podlegać mógł kupiec korzenny, że nie jest w stanie ofiarować należnej mu gościnności.

— Mniejsza z tem! — mówił, postępując wciąż naprzód — w dzielnicy tej mieszkanie kupca nie może przecież być pałacem. Chodźmy.

Raoul zwinnie podskoczył i pierwszy stanął na progu.

Dwa, a nawet trzy wykrzykniki dały się słyszeć jednocześnie, jak na komendę.

Jeden z nich zagłuszył wszystkie; wyrwał się on z piersi kobiecej.

Drugi wyszedł z ust Raoula. Był to okrzyk, znamionujący zdziwienie. Krzyknął i natychmiast drzwi zamknął przed sobą.

Trzeci oznaczał przerażenie. Biedny Planchet nie był w stanie go powściągnąć.

— Przepraszam! — dodał z pośpiechem — bo tam... pani się ubiera.

Raoul, widocznie przekonany na własne oczy o prawdzie słów Plancheta, miał się już do odwrotu.

— Pani?... — odezwał się Atos. — A! przepraszam cię, mój kochany, nie wiedziałem, że masz tam na górze...

— To Truchen — dodał Planchet, pokraśniały nieco.

— Jak ci się podoba, dobry mój Planchecie; wybacz niedelikatność naszą.

— Nie, nie! wejdźcie teraz, panowie, bardzo proszę.

— Nie zrobimy już tego — rzekł Atos.

— O! ponieważ pani wie, o co idzie, miała już dość czasu...

— Nie, Planchecie, nie!

— E! panowie, nie zechcecie przecież zrobić mi tej przykrości, pozostając na schodach, lub odchodząc stąd, nie odpocząwszy nawet.

— Gdybyśmy byli wiedzieli, że masz damę u siebie — odpowiedział Atos z zwykłą sobie krwią zimną — bylibyśmy prosili o pozwolenie przywitania się z nią.

Ta wyszukana impertynencja tak zmieszała Plancheta, że rozpaczliwym ruchem rzucił się naprzód do drzwi i otworzył je na rozścież przed hrabią i jego synem.

Truchen już była zupełnie ubrana, jak przystało na bogatą i mocno zalotną kupcową; spojrzenie Niemki skrzyżowało się ze spojrzeniem Francuzów. Dygnąwszy dwukrotnie, udała się do sklepu.

Nie obeszło się tam bez podsłuchiwania pode drzwiami, przez ciekawość, co dwaj odwiedzający panowie mówić będą o niej do Plancheta.

Atos był tego pewnym, unikał więc potrącenia tej kwestji.

Plancheta znów paliło, żeby się usprawiedliwić z tego co goście widzieli.

Że zaś nieraz, jak wiadomo, upór bywa twardszy od niejednych silnych postanowień, Atos zmuszony był zatem wysłuchać Plancheta, opowiadającego szczęśliwą idyllę swoją, w mowie, nacechowanej większą jeszcze skromnością, niż ta, w jakiej Longus celował.

Opowiadał więc Planchet, jako Truchen była osłodą jego wieku dojrzałego i wniosła do jego domu pomyślność, jak Ruth do domu Booza.

— Nie zbywa ci więc na niczem, chyba na spadkobiercach pomyślności — zauważył Atos.

— Gdybym miał chociaż jednego, dostałoby mu się trzysta tysięcy liwrów — odparł Planchet.

— Trzeba się o niego postarać — rzekł flegmatycznie Atos — choćby dlatego tylko, aby twój mająteczek nie poszedł na marne.

Słowo to: "mająteczek" odrazu przyprowadziło Plancheta do porządku, jak onego czasu głos podoficera, gdy Planchet niczem więcej niebył, tylko dojeżdżaczem w pułku piemonckim, gdzie Rochefort go umieścił.

Zrozumiał Atos, że Planchet, poślubiwszy Truchen, chcąc nie chcąc, zostanie założycielem swego rodu.

Tem oczywistszem mu się to wydało, gdy się dowiedział, że subjekt, któremu Planchet sklep swój odprzedał, był kuzynkiem nadobnej Truchen.

Przypomniał sobie, że miał on włosy kędzierzawe, szerokie ramiona, a płeć czerwoną, jak świeżo rozkwitły gwoździk.

Wiedział więc wszystko, co wiedzieć można i potrzeba o losie kupca korzennego. Piękne suknie Truchen nie byłyby w stanie wynagrodzić nudów, jakichby doznawała pośród zajęć sielankowo-ogrodniczych, w jedynem towarzystwie szpakowatego małżonka.

Atos zatem, jak powiedzieliśmy, zrozumiał rzecz dokładnie i, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, zagadnął:

— Co porabia pan d'Artagnan? w Luwrze go niema.

— A! panie hrabio, pan d'Artagnan zniknął.

— Zniknął? — powtórzył ze zdziwieniem Atos.

— O! panie hrabio, wiadomo już, co to ma znaczyć.

— Lecz ja nic nie wiem.

— Ile razy pan d'Artagnan znika, to zawsze dla misji jakiejś, lub sprawy.

— Musiał mówić z tobą o tem?

— Nie, nie.

— Jednakże onego czasu wiedziałeś o jego wyjeździe do Anglji?

— To z powodu spekulacji — wyrwało się Planchetowi.

— Spekulacji?

— Chciałem powiedzieć... — bąkał zaambarasowany Planchet.

— Dobrze, dobrze, nie idzie tu o twoje, a tembardziej przyjaciela naszego sprawy; zajęcie jedynie, jakie on w nas obudza, skłoniło mnie do pytań, które ci zadałem. Skoro więc niema tu kapitana muszkieterów, a niepodobna zasięgnąć u ciebie wiadomości o miejscu, gdzie pana d'Artagnana możnaby spotkać, pożegnamy cię zatem. Do widzenia, Planchet!... do widzenia!... Chodźmy, Raoulu!...

— Panie hrabio, radbym panu powiedzieć...

— Niepotrzeba; nie jestem zdolny wyrzutu czynić dobremu słudze za jego dyskrecję.

Słowo to: "słudze", niemile dotknęło półmiljonera Plancheta, lecz uszanowanie i wrodzona poczciwość wzięły górę nad próżnością dorobkiewicza.

— Nie będzie to niedyskrecją, gdy powiem panu hrabiemu, że pan d'Artagnan był tutaj niedawno.

— A!...

— I że przez kilka godzin siedział nad mapą geograficzną.

— Dobrze, mój kochany, lecz nie mówmy już o tem.

— A dowodem ta sama mapa — dodał Planchet, idąc po nią do pobliskiej ściany, gdzie wisiała na sznurku, tworzącym trójkąt i zdjął mapę, nad którą zasiadał kapitan, podczas ostatniej bytności u Plancheta.

Poczem podał hrabiemu de la Fere mapę Francji, a na tej mapie wprawne oko hrabiego odkryło szlak drogowy, nakłóty małemi szpileczkami; tam gdzie kończyły się szpilki zastępowała je dziurka i kreska.

Atos, wiodąc oczami po szpilkach i dziurkach, dowiedział się, że d'Artagnan podążył w stronę południa aż do morza Śródziemnego, w okolice Tulonu.

Przy Cannes dopiero kończyły się znaczki i nakłucia.

Hrabia łamał sobie przez chwilę głowę, po co muszkieter do Cannes się wybrał i co go skłoniło do badania tamtych okolic.

Pomimo wytężenia umysłu, nie mógł, dojść do żadnego wniosku. Wrodzona mu bystrość zawiodła go tym razem.

Raoul tymbardziej nie domyślał się niczego.

— Mniejsza z tem!... — rzekł młodzieniec do hrabiego, który w milczeniu wskazał mu końcem palca drogę d'Artagnana — przyznać tylko należy, iż jest jakaś opatrzność, zbliżająca losy nasze z losami pana d'Artagnana. On w stronę Cannes podążył, a ty, panie, odprowadzisz mnie conajmniej do Tulonu. Zapewniam cię hrabio, iż łatwiej nam przyjdzie spotkać go na drodze, niż na tej mapie.

Pożegnawszy następnie Plancheta, gderającego na chłopców, a nawet na kuzynka nadobnej Truchen, a swego następcę, obydwaj panowie wyszli, aby złożyć wizytę księciu de Beaufort.

Przy wyjściu ze sklepu, ujrzeli brykę podróżną, gotową na pomieszczenie wdzięków panny Truchen i worków z talarami pana Plancheta.

— Każdy dąży ku szczęściu drogą, przez siebie obraną — rzekł ze smutkiem Raoul.

— Do Fontainebleau!... — krzyknął na woźnicę Planchet.

CCXXXVII

SPIS INWENTARZA PANA DE BEAUFORT.

Rozmowa o d'Artagnanie z Planchetem, widok tegoż opuszczającego Paryż, dla spoczynku w cichem ustroniu, były dla Atosa i Raoula, jakoby pożegnaniem ostatniem zamętu i gwaru stolicy, pożegnaniem ich ubiegłego życia.

Cóż w istocie pozostawiali za sobą, ci dwaj ludzie, z których jeden wyczerpał cały wiek chwały, a drugi nieliczne lecz ciężkie lata nieszczęścia.

Oczywiście, ani jeden ani drugi nie spodziewali się i nie żądali niczego od spółczesnych sobie!

Pozostało im tylko oddanie wizyty panu de Beaufort i ułożenie warunków podróży.

Książę mieszkał w Paryżu wspaniale.

Wiódł on świetne życie, na wzór tych wielkich bogaczy, o których pamiętali jeszcze niektórzy starcy, z czasów kwitnących hojności i rozrzutności za Henryka III-go.

Wtedy to rzeczywiście niektórzy wielcy panowie bogatsi byli, niż nawet sam król.

Wiedzieli oni o tem, korzystali z tego i nie szczędzili sobie satysfakcji, upokorzenia Jego Królewskiej Mości.

Była to owa arystokracja samolubna którą Richelieu w tak zwanej wtedy usłudze królewskiej zmusił do okupu własną jej krwią, workiem i pokłonami.

Od czasów Ludwika XI-go, okrutnego możnych pogromcy, aż do Richelieugo, ileż rodzin podniosło głowy!...

Ileż ich zginęło na nowo, od Richelieugo do Ludwika XIV-go, aby nie podnieść się więcej!...

Ale pan de Beaufort urodził się księciem, z krwi, która na rusztowaniu się nie przelewa, chyba za wyższym wyrokiem.

Tedy książę ten przechował obyczaj świetnego życia.

Ileż on wydawał na konie, służbę i stół!... Nikt tego nie wiedział, a on sam mniej niż ktokolwiek.

Tylko, że owego czasu synowie królewscy mieli ten przywilej, iż nikt nie odmawiał zostania ich wierzycielem, bądź przez uszanowanie, bądź przez przywiązanie, lub w przekonaniu, że kiedyś dług zostanie zwrócony.

Atos i Raoul zastali dom księcia, przepełniony w rodzaju siedziby Plancheta.

Książę także inwentarz swój sporządzał, czyli rozdzielał pomiędzy przyjaciół i wierzycieli swoich każdy większej wartości przedmiot z domu swojego. Mając około dwóch miljonów długu, co na owe czasy stanowiło ogromną cyfrę, pan de Beaufort obliczył sobie, że niepodobna mu odpłynąć do Afryki bez pokaźnej sumy, ażeby zaś ją znaleźć, rozdarowywał pomiędzy dawniejszych wierzycieli zastawę stołową, broń, drogie kamienie i sprzęty, co wspanialszem było, niż sprzedaż, a przytem opłacało się w dwójnasób.

Rzeczywiście, jakim sposobem ktoś, komu należało się dziesięć tysięcy liwrów, mógłby odmówić przyjęcia podarku, sześć tysięcy wynoszącego, którego wartość podnosiło to, że należał do potomka Henryka IV-go i jakim sposobem przyjąwszy ten dar, śmiałby odmówić pożyczki nowych dziesięciu tysięcy liwrów temu wspaniałomyślnemu panu?

Tak się też stało. Książę nie potrzebował już domu, będącego zbytecznym dla admirała, którego mieszkaniem jest okręt.

Nie miał już broni zbytkownej, bo obrał sobie miejsce pomiędzy armatami; nie miał drogich kamieni i złotych naczyń, gdyż morze pochłonąćby je mogło; lecz zato w kufrach swoich posiadał około czterystu tysięcy liwrów.

W całym więc domu panował ruch pełen wesela, sprawiany przez ludzi przekonanych, że jaśnie pana wyzyskują na swoją korzyść.

Książę posiadał w najwyższym stopniu sztukę uszczęśliwiania najbardziej godnych pożałowania wierzycieli.

Każdy, którego nagliła potrzeba, każdy próżny worek spotykał się z jego cierpliwością i głębokim zrozumieniem własnego stanowiska.

Do jednych mówił:

— Chciałbym tyle posiadać, ile ty, przyjacielu wtedy oddałbym ci wszystko. .

Do innych znowu:

— Nie mam nic prócz tej srebrnej nalewki; w każdym jednak razie warta ona z jakie pięćset liwrów; zabierz ją.

Dzięki temu, książę bezustannie odnawiał wierzycieli swoich, nadrabiając miną brak gotówki na spłatę.

Tym razem nie zadawał sobie trudu najmniejszego; rzecby można, iż rabunek się odbywał; co miał, wszystko oddawał.

Przypowieść wschodnia o owym ubogim Arabie, wynoszącym ze zrabowanego pałacu kociołek, na którego dnie ukrył worek złota, a inni nic a nic nie podejrzewając, dali mu wyjść swobodnie, niczego mu nie zazdroszcząc, przypowieść ta sprawdziła się na księciu.

Przeważna ilość dostawców płaciła sobie zapasami spiżarnianymi.

Tak więc, będący na liście dostarczycieli zapasów żywności grabili szatnię i składy uprzeży, zabierali przedmioty, bez żadnej dla nich wartości, które znowu siodlarze i krawcy cenili wysoko.

Żądnych przyniesienia swym żonom konfitur, któremi jaśnie pan ich obdarzył, widzieć było można, jak skakali z radości pod ciężarem słojów i butelek, wspaniale nacechowanych książęcemi herbami.

Pan de Beaufort zakończył rozdaniem koni i siana ze strychów.

Przeszło trzydziestu uczynił szczęśliwców, rzucając im na pastwę całą baterję sprzętów kuchennych, a ze trzystu uszczęśliwił wartością swych piwnic.

Nadto cała ta czerń wynosiła się z tem przekonaniem, że pan de Beaufort postępował tak w przewidywaniu nowych skarbów, pod namiotami arabskimi ukrytych.

Pustosząc pałac, opowiadano sobie, że król wysyła go do Dżidżeli, aby tam odzyskał utracone bogactwa; że skarby afrykańskie mają być podzielone między admirała i króla francuskiego, a mieszczą się one w kopalniach djamentów i innych bajecznych kamieni; kopalnie zaś srebra i złota u stóp Atlasu wobec tych bogactw, nawet na wzmiankę nie zasługują.

Prócz wnętrza ziemi do wyzyskania, co miało po wojnie nastąpić, będą jeszcze łupy, zdobyte przez armję.

Pan de Beaufort pełnemi garściami zbierze to wszystko, co bogaci korsarze morscy pokradli chrześcijaństwu od czasów bitwy lepańskiej.

Było tam miljonów bez liku.

Na cóż tedy miałby oszczędzać mizernych zapasów z lat minionych ten, który wybiera się na zdobycie skarbów niesłychanych?

I odwrotnie, na co się zdało oszczędzać dobra człowieka, który sam tak je lekceważył?

Taki był stan rzeczy.

Atos zdał sobie z niego sprawę na pierwszy badawczy rzut oka.

Zastał admirała, podciętego nieco, wstał bowiem od stołu na pięćdziesiąt nakryć, gdzie spełniano liczne toasty za powodzenie wyprawy; po deserze, resztki pozostawiono służbie, a ciekawym półmiski.

Książę pijany był własną ruiną i popularnością swoją zarazem.

Wypił stare wino swoje za zdrowie wina, które miał mieć w przyszłości.

Ujrzawszy Atosa z Raoulem:

— Witaj, mój adjutancie — zawołał.

Tędy, tędy hrabio; tędy, wicehrabio.

Atos upatrywał wolnego przejścia pomiędzy stosami naczyń stołowych i bielizny.

— A! tak, hrabio, przejdź odrazu.

I podał mu kielich, pełen po brzegi.

Atos nie odmówił; Raoul zaledwie końce ust umoczył.

— Masz tu upoważnienie rządowe do żeglugi odezwał się książę do Raoula. — Przygotowałem je, licząc napewno na ciebie. Popędzisz przedemną do miasta Antibes.

— Dobrze, Wasza Książęca Mość.

— Oto rozkaz.

I wręczył mu pergamin.

— Czy obeznany jesteś z morzem, wicehrabio?

— Tak, Wasza Książęca Mość, podróżowałem z księciem bratem nieboszczyka króla.

— To dobrze. Wszystkie galery i statki drobniejsze poczekają na mnie jako eskorta, aż do przewozu zapasów moich. Za dwa tygodnie najdalej armja musi odpłynąć.

— Stanie się, jak Wasza Książęca Mość każe.

— Obecny tu rozkaz nadaje ci prawo zatrzymywania się i czynienia poszukiwań na wszystkich wyspach, znajdujących się wzdłuż brzegów; możesz stamtąd zaciągnąć do wojska i zabrać, kogo ci się podoba.

— Dobrze, Mości Książę.

— A jako człowiek czynny i pracowity, dużo pieniędzy wydasz.

— Spodziewam się, że tak.

Intendent mój przygotował przekazy na tysiąc liwrów płatnych we wszystkich miastach południowych. Dostaniesz ich sto! Ruszaj, kochany wicehrabio.

Atos przerwał księciu tę mowę.

— Zachowaj, Mości Książę, swoje pieniądze; u Arabów wojna prowadzi się pieniędzmi zarówno jak i ołowiem.

— Ja zaś chcę spróbować inaczej — odparł mu książę — a wreszcie znasz, hrabio, pojęcia moje o całej tej wyprawie: wiele hałasu, dużo strzałów, a ja zniknę wśród dymu, jeżeli tego potrzeba.

To mówiąc pan de Beaufort chciał wszystko śmiechem zagłuszyć; źle się jednak z tym wybrał wobec Atosa i Raoula. Spostrzegł się też natychmiast.

— A! tacy to z was ludzie, że nie trzeba spotykać was po dobrym obiedzie, sztywni i oschli, kiedy ja jestem pełen ognia, życia i wina. Nie, niech mnie djabli porwą! ciebie, wicehrabio, chcę naczczo tylko widywać; a ciebie, hrabio, nigdy, jeżeli się nie poprawisz.

Mówiąc to, ściskał rękę Atosa, który odparł mu z uśmiechem:

— Mości Książę, nie głoś tak o wielkich pieniądzach swoich. Przepowiadam ci, że zanim miesiąc upłynie, staniesz oschły, sztywny i zimny wobec kufrów twoich, a wtedy, mając obok siebie Raoula, zdziwisz się, widząc go wesołego i hojnego, gdyż on to będzie miał talary nowiutkie na twoje usługi.

— Dajże to Boże!... — wykrzyknął zachwycony książę. — Zostaniesz ze mną, hrabio.

— Nie, jadę z Raoulem; polecenie, którem książę go obarczasz, jest ciężkie i trudne do spełnienia.

Samemu zatrudno byłoby je spełnić. Wasza Książęca Mość nie zastanowiłeś się, iż dałeś mu dowództwo pierwszego rzędu.

— Ba!

— I to w marynarce!

— To prawda. Lecz czyż nie można wykonać wszystkiego, gdy się jest doń podobnym?

— Mości Książę, nigdzie tyle gorliwości i rozsądku nie znajdziesz, a zarówno i odwagi prawdziwej, jak u Raoula; lecz jeżeli czegoś brakować będzie w tej wyprawie morskiej, to już wina będzie księcia.

— Patrzajcie, łajać mnie zaczyna!

— Mości Książę, aby zaopatrzyć flotę w zapasy, postawić ją na stopie wojennej, zrekrutować służbę okrętową, dla admirała potrzeba na to roku całego. Raoul jest kapitanem kawalerji, a przeznaczasz mu dwa tygodnie.

— Ja ci mówię, że on z tego wybrnie.

— I ja tak myślę; lecz chcę mu dopomódz.

— Coprawda, bardzo liczyłem na ciebie i liczę, że, dostawszy się do Tulonu, nie puścisz go samego.

— O! — westchnął Atos, wstrząsając głową.

— Cierpliwości! cierpliwości!

— Mości Książę, pozwól się pożegnać.

— Idźcie więc i niech moje szczęście wam sprzyja!

— Żegnam, Waszą Królewską Mość i niechaj ono i księciu sprzyja zarówno!...

— Wyprawa dobrze się zaczyna — odezwał się do syna Atos. — Ani żywności, ani rezerwy, ani statków ładunkowych; cóż oni bez tego poczną?...

— Nic nie szkodzi — mruknął Raoul — jeżeli wszyscy po to, co ja tam, jadą, nie zabraknie żywności.

— Mój panie — odparł surowo Atos — nie bądź niesprawiedliwym i szalonym w egoiźmie, czy też w strapieniu swojem, jak ci się podoba to nazwać. Skoro idziesz na tę wojnę, w zamiarze szukania w niej śmierci, nie potrzebujesz nikogo i żal się Boże było polecać cię panu de Beaufort. Z dniem, w którym poddajesz się rozkazom księcia głównodowodzącego i przyjmujesz odpowiedzialność, jaką wkłada na ciebie ranga, nie chodzi tu już o ciebie, lecz o tych wszystkich biednych żołnierzy, którzy tak samo, jak ty, mają serce i ciało, którzy płakać za ojczyzną będą i cierpieć wszelkie braki przy zaspokojeniu potrzeb ludzkich. Wiedz o tem, Raoulu, iż oficer jest kapłanem również jak ksiądz pożytecznym i więcej, niż on, winien mieć miłosierdzia w sercu.

— Panie, ja wiedziałem o tem i wprowadzałem w czyn tę zasadę; i terazbym jeszcze tak czynił... ale...

— Zapominasz również, że należysz do kraju, dbałego o chwałę wojenną; umieraj, jeśli tego tak pragniesz. lecz z honorem i korzyścią dla Francji. Słuchaj, Raoulu, niech cię nie zasmucają słowa moje; kocham cię i chcę abyś był doskonałością.

— Lubię, panie, gdy mi czynisz wyrzuty, — odparł młodzieniec łagodnie — one mnie leczą i dowodzą, że jest jeszcze ktoś, co mnie kocha.

— A teraz jedźmy, Raoulu; pogoda tak piękna, niebo tak czyste, to niebo, które zawsze ponad głowami naszemi mieć będziemy, które w Dżidżeli jeszcze przezroczystsze ujrzysz i tobie tam, jak mnie tutaj, będzie mówiło o Bogu.

Dwaj ci szlachetni ludzie, zrozumiawszy się w ten sposób, rozmawiali jeszcze o roztrzepaniu starego księcia i przyznali, że Francja źle obsłużoną będzie w duchu i czynie wyprawy, a doszedłszy do wniosku, iż w polityce tej głównym czynnikiem

jest próżność, puścili się w drogę, czyniąc tem zadość woli swej, więcej niż woli przeznaczenia.

Ofiara została spełnioną.

CCXXXVIII

SREBRNY PÓŁMISEK.

Podróż była bardzo przyjemną.

Atos z synem przejechali wzdłuż Francję, robiąc po piętnaście mil dziennie, a niekiedy i więcej, stosownie do tego, jak Raoul był usposobiony.

Dwa tygodnie zeszło im na drogę do Tulonu, a w Antibes stracili już zupełnie ślad d'Artagnana.

Wszystko zdawało się przemawiać za tem, że kapitan muszkieterów pragnął zachować w tych stronach ścisłe incognito.

Atos bowiem nabrał już pewności, dowiedziawszy się po drodze, jako jeździec, odpowiadający kompletnie jego opisowi, zostawił konie wierzchowe w Avignonie, stamtąd zaś udał się w dalszą podróż karetą zamkniętą.

Raoul był niepocieszony, myśląc, że nie spotka już d'Artagnana.

Tkliwe serce młodzieńca potrzebowało pożegnania i pociechy hartownego przyjaciela.

Atos wiedział z doświadczenia, iż d'Artagnan umiał stać się nieprzeniknionym, skoro tylko zajął się sprawą jaką, czy to osobistą, czy też w usługach króla.

Obawiał się nawet, aby nie zaszkodzić przyjacielowi, rozpytując o niego zanadto.

Skoro Raoul rozpoczął już prace swoje około montowania flotylli, gdy zaczął werbować ochotników i wysyłać ich do Tulonu, jeden z rybaków opowiedział hrabiemu, że statek jego był rozbity i oddany do naprawy, gdyż musiał przewozić pewnego szlachcica któremu bardzo pilno było wypłynąć na morze.

Atos, myśląc, że rybak kłamie, ażeby uwolnić się od służby i zarabiać więcej, łowiąc sam ryby, gdy jego towarzysze się oddalą, nastawał na to, aby opowiedział mu ze szczegółami o swojej przygodzie.

Rybak tedy opowiedział hrabiemu, jako przed sześciu dniami, mężczyzna jakiś przyszedł do niego w nocy, dla wynajęcia statku, aby jechać zaraz na wyspę św. Honorjusza.

Umówili się o cenę, lecz szlachcic przyprowadził ogromną karetę zamkniętą, jaką, pomimo największych trudności pragnął na statek wpakować.

Rybak chciał zerwać umowę.

Począł krzyczeć i grozić, lecz opór jego miał taki jedynie skutek, że oberwał niezliczoną ilość kijów, wymierzonych ręką silną i wprawną.

Klnąc i złorzecząc, rybak udał się pod opiekę syndyka w Antibach, który rozciąga swą pieczę nad rybakami i sprawiedliwość im wymierza; lecz szlachcic pokazał papier jakiś, na którego widok syndyk począł kłaniać się nisko, a jemu, rybakowi, rozkazał być posłusznym, a w dodatku wyłajał za to, iż śmiał stawiać opór.

Zaraz potem odbili od brzegu, ma się rozumieć z ładunkiem, jaki wpakował ów szlachcic.

— Lecz to wszystko nie tłumaczy mi, dlaczego się twój statek rozbił?... — rzekł Atos.

— Oto jak było: odbiłem od wyspy św. Honorjusza, tak jak mi mówił ów szlachcic, lecz w drodze zmienił on zdanie i utrzymywał, że nie potrafię przepłynąć z południowej strony opactwa.

— Dlaczegóż to?

— Dlatego, proszę pana, że naprzeciw wieży czworokątnej klasztoru Benedyktynów, jak raz na południe, znajduje się skała Mnichów.

— Jaka skała?... — zapytał Atos.

— Skała podwodna, przejście niebezpieczne okrutnie, lecz ja przebywałem je z tysiąc razy; mój szlachcic zażądał tedy, ażebym go wysadził na wyspę, św. Małgorzaty.

— Cóż dalej?

— Otóż proszę pana — zawołał rybak zę złością — albo jest się marynarzem, albo niczem; albo zna się dobrze wszystkie przesmyki, lub jest się poprostu kałużą wody słodkiej. Uparłem się, że przepłynę... Szlachcic ujął mnie za gardło i najspokojniej w świecie oświadczył, że będzie zmuszony zadusić mnie... Potrzebowaliśmy przecie pomścić zniewagę... Lecz

szlachcic wziął szpadę do ręki i wywijał nią tak szybko, iż nie mogliśmy się zbliżyć.

Miałem właśnie cisnąć mu topór na głowę, boć miałem prawo do tego, wszak prawda proszę pana?... Marynarz na swoim pokładzie tak samo jest panem, jak mieszczanin w izbie swojej... Miałem otóż, dla własnej obrony rozciąć na dwoje szlachcica, gdy nagle (możesz mi pan nie wierzyć, jeśli ci się podoba) gdy nagle, mówię, straszna kareta otworzyła się, nie wiem jakim sposobem i wylazł z niej duch jakiś w czarnym kasku na głowie i z czarną maską na twarzy, coś tak przerażającego, tak okropnego... i w dodatku wygrażał nam pięścią...

— To był?... — rzekł Atos.

— To był djabeł, proszę pana — ponieważ szlachcic, ujrzawszy go, zawołał ucieszony:

— O!... dziękuję Waszej Wysokości.

— To dziwne!... — szepnął hrabia patrząc na Raoula.

— Cóż zrobiliście?... — zapytał tenże rybaka.

— Pojmuje pan, że dwóch takich biedaków to zanadto na dwóch szlachciców, a cóż dopiero przeciw djabłu!... Nie pisnęliśmy ani słówka, ani ja, ani mój towarzysz, tylko jednym susem znaleźliśmy się w morzu; byliśmy, o jakie ośmset stóp od wybrzeża...

— A potem?

— Potem, proszę pana, ponieważ wiatr dął z południo-wschodu, barka płynęła dalej i utknęła na mieliźnie przy św. Małgorzacie.

— A podróżni?...

— Ba!... niema strachu!... Najlepszy dowód, że jeden był djabłem i pomagał drugiemu, bo skoro dopłynęliśmy do statku, widząc, iż stanął na piaskach, to zamiast zastać obydwóch rozbitych przez uderzenie, nie zastaliśmy nikogo na pokładzie, proszę pana, nic nawet karety.

— Dziwne!... doprawdy dziwne!... — powtarzał hrabia. — Lecz potem, przyjacielu, cóżeście robili?

— Zaniosłem skargę do gubernatora św. Małgorzaty, który nakiwał mi palcem pod nos i oświadczył, że jeżeli mu będę podobne brednie opowiadał, to mi zapłaci za nie rzemieniem...

— Pan gubernator?

— Tak, panie, a jednak mój statek rozbity był i to jak jeszcze! przód został nadziany na skałę św. Małgorzaty a cieśla żąda sto dwadzieścia liwrów za naprawę.

— Kiedy tak — odparł Raoul — uwalniam cię od służby. Możesz odejść.

— Popłyniemy na św. Małgorzatę, czy zgadasz się?... — rzekł potem Atos do Raoula.

— Z chęcią, panie. trzeba wyjaśnić tę sprawę, zdaje mi się bowiem, że rybak nie wszystko nam opowiedział.

— I ja tak myślę, Raoulu. Cała ta historja człowieka w masce i w karecie, która znikła bez śladu, wydaje mi się zmyśloną dla pokrycia gwałtu, jakiego dopuścił się pewnie ten gbur, będąc na pełnem morzu, względem swego pasażera, aby ukarać go za to, że wsiadł na statek...

— Podejrzewam, że w karecie prędzej były skarby, niż człowiek jakiś.

— Przekonamy się, Raoulu. Prawda, że szlachcic, o jakim opowiadał, podobny jest do d'Artagnana, poznaję go po sposobie obejścia... Niestety! już my nie ci niezwyciężeni co dawniej! Kto wie, czy topór lub drąg dobrego rybaka nie dokonały tego, czego najwprawniejsze szpady całej Europy, kule i granaty nie zdziałały przez lat czterdzieści!

Tegoż samego dnia wybrali się na św. Małgorzatę lekką łodzią, sprowadzoną umyślnie z Tulonu.

Dziwnie miłego wrażenia doznali przybywszy na miejsce.

Wyspa pełna była kwiatów i owoców; wszystkie grunta uprawne służyły za ogród gubernatorowi.

Pomarańcze, cytryny i figi gięły się pod ciężarem owoców złocistych i lazurowych.

Dokoła tych ogrodów, w miejscach nieuprawionych, stada kuropatw czerwonych biegały pomiędzy krzewami jarzyn i kępami jałowca.

Co krok wymykały się z pod stóp Raoula i hrabiego białe kró liki, uciekając z wonnej macierzanki i gęstej laurny, aby schować się w nory, wykopane w ziemi.

Rozkoszna wyspa była zgoła niezamieszkaną.

Bez wzgórz i skał, miała jedną zatokę, służącą do przybijania statków kontrabandzistów, którzy, dzieląc się korzyścią z

gubernatorem, składali czasowo na wyspie towary, pod warunkiem niestrzelania do zwierzyny i nie niszczenia ogrodów.

Układ taki z kontrabandzistami pozwalał gubernatorowi utrzymywać ośmiu tylko ludzi w załodze fortecy i dwanaście armat, zardzewiałych na wałach.

Szczęśliwy był człowiek z tego gubernatora, tłoczył wino i oliwę, zbierał figi, pomarańcze i cytryny, smażył konfitury i składał wszystkie zapasy w kazamatach.

Jedyną obronę warowni stanowiła głęboka fosa dokoła murów i trzy baszty, strzelające w niebo, a połączone tarasem, mchem zarosłym.

Atos i Raoul przez jakiś czas chodzili dokoła parkanu ogrodowego, nie mogąc trafić na kogoś, coby ich do wnętrza zaprowadził.

Weszli nakoniec do ogrodu, a była to chwila największego upału...

Wtedy wszystko, co żyje, czeka ukrycia w cieniu.

Niebo zieje ogień na ziemię, jakgdyby chciało stłumić wszelki ruch i życie.

Ptaszęta i muszki, wszystko zasypia pod listkami, powietrze nawet zdaje się drzemać w przestworzu.

Atos dostrzegł jedynie na drugim dziedzińcu żołnierza, który niósł na głowie coś na kształt kosza z żywnością.

Po chwili ten sam człowiek powracał bez kosza i znikł w budce szyldwacha.

Hrabia domyślił się, że żołnierz nosił obiad dla kogoś i, że po tej czynności powrócił, aby sam także udać się na posiłek.

Nagle usłyszał, że go ktoś woła, a podniósłszy głowę ujrzał coś białego w żelaznej ramie okna, coś nakształt ręki, trzymającej przedmiot, błyszczący w promieniach słońca.

Zanim zdał sobie sprawę z tego, co widział, błysk pomieszany ze świstem, zwrócił jego uwagę na ziemię.

Następnie odgłos upadku głuchego dał się słyszeć w fosie, a Raoul pobiegł i podniósł półmisek srebrny, który potoczył się po piasku wyschniętym.

Ręka, która wyrzuciła ten półmisek, skinęła na dwóch panów i zniknęła po za kratami.

Wtedy Raoul i Atos zbliżyli się do siebie i zaczęli się przy-

glądać pilnie naczyniu, pyłem okrytemu i odkryli na spodzie słowa, wyryte końcem noża:

"Jestem bratem króla Francji, — było wypisane — więźniem dzisiaj, jutro szaleńcem. Szlachto francuska i chrześcijańska, módl się za duszę i rozum syna twoich władzców!

Półmisek wypadł z rąk Atosa, podczas gdy Raoul starał się przeniknąć znaczenie tajemnicze tych słów grobowych.

W tejże chwili zawołano z wieży fortecznej.

Raoul ruchem szybkim jak błyskawica pochylił głowę i zmusił ojca, aby to samo uczynił.

Lufa muszkietera zabłysła na szczycie warowni.

Biały dym, jak pióropusz buchnął z lufy, kula padła i spłaszczyła się na kamieniu o sześć cali od dwóch szlachciców.

Drugi muszkieter ukazał się i celował.

— Przebóg!... — krzyknął Atos — czyż tu bezbronnych mordują?... Zejdźcie na dół, tchórze jacyś?

— Tak, przyjdźcie zmierzyć się z nami!... — rzekł Raoul wściekły, grożąc pięścią do wieży.

Jeden z napastników, ten właśnie, który mierzył obecnie, odpowiedział wykrzyknikiem, pełnym zdziwienia, a ponieważ towarzysz jego brał za broń, świeżo nabitą i już miał wystrzelić, podbił mu lufę do góry, a strzał poszedł w powietrze.

Atos i Raoul, widząc, że ich prześladowcy znikli z platformy, przypuszczali, iż przyjdą do nich, stali więc w miejscu, oczekując, co będzie dalej.

Nie upłynęło pięć minut, gdy zaczęto bębnić w fortecy, a ośmiu z załogi stanęło pod bronią po drugiej stronie fosy.

Na czele oddziału znalazł się oficer, który pierwszy strzelał z platformy.

Rozkazał on żołnierzom wziąć na cel dwóch szlachciców.

— Czyż chcą nas rozstrzelać!... — zawołał Raoul. — Bierzmy za szpady i skoczmy do fosy. Przynajmniej choć po jednym z tych błaznów zabijemy.

Raoul, nie tracąc czasu, rzucił się naprzód, za nim poszedł Atos, gdy niespodzianie głos, dobrze znany, ozwał się po za nimi.

— Atos!... Raoul!... — wołał ten głos.

— D'Artagnan!... — odpowiedział hrabia i syn jego.

— Mordioux!... do nogi broń!... — krzyknął kapitan muszkieterów na żołnierzy. — O!... byłem pewnym tego, co mówiłem.

Żołnierze spuścili muszkiety.

— Co to się znaczy?... — zapytał Atos. — Strzelają do nas, nie uprzedziwszy o tem?

— To ja sam chciałem was rozstrzelać — odparł d'Artagnan — a jeżeli gubernator nie trafił do was, ja nie byłbym chybił z pewnością, kochani przyjaciele. Co za szczęście, że przyzwyczaiłem się mierzyć długo, zanim dam ognia! Zdawało mi się, że was poznaję... O, co za szczęście, najdrożsi moi!...

D'Artagnan otarł pot z czoła, biegł bowiem szybko, a wzruszenie dech mu zapierało.

— Więc to jest sam gubernator, ten, który do nas strzelał?...

— Tak, we własnej osobie.

— Z jakiegoż powodu?... Cóżeśmy mu zawinili?...

— Przecież podnieśliście to, co więzień wyrzucił.

— A!... prawda.

— Ten półmisek... więzień napisał coś na nim wszak prawda?...

— Tak.

— Byłem pewny. O, mój Boże!...

D'Artagnan z oznakami najwyższego niepokoju, wziął półmisek, przeczytał napis i zbladł śmiertelnie.

— O, Boże!... powtórzył.

— Więc to prawda?... — rzekł Atos półgłosem.

— Cicho!... gubernator nadchodzi.

— Cóż nam zrobić mogą?... Czyż to nasza wina?...

— Cicho!... mówię wam, sza!... Jeżeli domyślą się, że czytaliście, jeżeli podejrzewać będą, że zrozumieliście, w takim razie, drodzy przyjaciele, wiecie, że dałbym się zabić za was... lecz...

— Lecz?... — powtórzyli jednocześnie Atos i Raoul.

— Lecz nie wybawię was od więzienia dożywotnego, gdybym nawet potrafił uchronić was od śmierci. Dlatego też błagam was, nie mówcie ani słowa!...

Gubernator przebył fosę po kładce położonej i zbliżał się właśnie.

— Co to jest!... — rzekł do d'Artagnana — dlaczego się wstrzymaliśmy?...

— Jesteście Hiszpanie, nie rozumiecie ani słowa po francusku — rzekł kapitan cicho do przyjaciół. — Otóż — dodał, zwracając się do gubernatora — miałem rację, ci panowie to dwaj wojskowi hiszpańscy, których poznałem w Ypres w zeszłym roku. Nie umieją wcale po francusku.

— A!... — rzekł gubernator, przypatrując się z uwagą.

I starał się przeczytać napis na półmisku.

D'Artagnan porwał mu go z rąk i litery zatarł ostrzem szpady.

CCXXXIX

WIĘZIEŃ I DOZORCA.

— Co pan robisz!... — zawołał gubernator, gdy d'Artagnan wrwał mu z rąk półmisek — Nie będę mógł przeczytać?...

— Tajemnica stanu — odparł krótko d'Artagnan — a ponieważ król rozkazał, o czem pan wiesz dobrze, iż ktokolwiekbądź dowie się o niej, umrzeć musi, zatem, jeżeli pan chcesz, pozwolę ci przeczytać, a następnie każę pana rozstrzelać.

Podczas tej przemowy, Atos i Raoul milczeli, jakby nic nie rozumiejąc.

— To niepodobna, ażeby ci panowie nie rozumieli wcale po francusku?...

— Daj pan pokój!... chociażby rozumieli nawet, co do nich mówią, toby nie przeczytali pisanego. Pamiętaj pan, że szlachcic hiszpański nie powinien nigdy umieć czytać.

Gubernator musiał się zadowolić tem objaśnieniem, a jednak był bardzo upartym.

— Poproś kapitanie, tych panów, ażeby weszli do fortecy.

— I owszem, miałem nawet sam to zaproponwać — drzekł d'Artagnan.

W rzeczywistści kapitan zupełnie co innego myślał i pragnął by był widzieć przyjaciół swoich o sto mil od fortecy.

Odezwał się po hiszpańsku z zaproszeniem dwóch szlachciców, na co oni przystali.

I udali się do wejścia głównego, a ponieważ rzecz się wyjaśniła ośmiu żołnierzy powróciło do słodkiego farniente, przerwanego na chwilę niebywałem wydarzeniem.

Skoro rzekomi Hiszpanie weszli już do fortecy i kiedy gubernator zajął się przygotowaniem na przyjęcie swych gości, Atos zapytał:

— Wytłumacz mi co to znaczy, drogi przyjacielu?...

— Zaraz to uczynię — odparł muszkieter. — Przywiozłem więźnia na wyspę, więźnia, którego według rozkazu króla, nikt nie powinien widzieć. Przybyliście tutaj, rzucono wam coś poprzez kraty okna; jadłem właśnie obiad z gubernatorem i widziałem, jak Raoul podniósł z ziemi to, co upadło. Nie wiele potrzeba, ażeby się skrompromitować, ja też posądziłem was, że macie stosunki z więźniem moim. Wtedy...

— Wtedy kazałeś ognia dać do nas.

— Na honor... przyznaję; lecz pomimo, że pierwszy za muszkiet chwyciłem, za to celowałem do was ostatni...

— Gdybyś mnie był zabił, d'Artagnanie, miałbym szczęście i zaszczyt umrzeć za sprawę rodziny królewskiej, a w dodatku śmierć z ręki najdzielniejszego obrońcy tejże rodziny, nie małym także byłaby zaszczytem.

— Co ty mi opowiadasz, o jakiejś królewskiej rodzinie, Atosie! — bełkotał d'Artagnan. — Jakto! ty, hrabio, człowiek rozumny, ty wierzysz w brednie, napisane przez jakiegoś warjata?

— Wierzę całą duszą...

— Tem więcej to wiary wzbudza, drogi kawalerze, że masz rozkaz zabicia każdego, ktoby temu wierzył — dodał Raoul.

— Dlatego — odparł kapitan muszkieterów — dlatego, że każda potwarz im jest niedorzeczniejszą, tem większą szansę stania się popularną pomiędzy ludem...

— Nie, d'Artagnanie drogi — rzekł Atos pocichu — dlatego, że król nie chce, aby tajemnica rodzinna doszła do ludu i okryła hańbą katów syna Ludwika XIII.

— No, no, nie praw dzieciństw, Atosie, albo pomyślę, żeś rozum postradał. A zresztą, wytłumacz mi, jakim sposobem syn Ludwika XIII mógłby się znajdować na wyspie świętej Małgorzaty?

— Dlaczegoby nie? skoro przywiozłeś tego syna królewskiego, zakutego w maskę, statkiem rybackim?...

D'Artagnan zastanowił się.

— Aha! — powiedział — skąd wiesz o statku rybackim?...

— Przywiózł cię on do wyspy świętej Małgorzaty, wraz z karetą, w której więzień był zamknięty; więzień, którego tytułowałeś Waszą Wysokością. O! wiem o wszystkiem — dodał hrabia.

D'Artagnan przygryzł wąsy.

— Choćby to było prawdą, że przywiozłem tu więźnia zamaskowanego i w karecie zamkniętej, nic jednak nie dowodzi, ażeby to był książę... i to książę krwi królewskiej.

— Zapytaj o to Aramisa — odrzekł chłodna Atos.

— Aramisa! — zawołał muszkieter pomieszany. — Widziałeś więc Aramisa?

— Widziałem po przegranej w Vaux tak, widziałem Aramisa, uciekającego, ściganego, zgubionego na zawsze; Aramis tyle mi powiedział, iż wierzę skargom, jakie ten nieszczęsny wyrył na tacy srebrnej.

D'Artagnan spuścił głowę znękaną.

— Otóż to — rzekł — w jaki sposób Bóg krzyżuje plany mądrości ludzkiej! Śliczna mi tajemnica, o której piętnaście conajmniej osób w tej chwili rozprawia!

— Atosie, mówię ci, niech przeklętym będzie traf, który cię zbliżył do mnie w tej sprawie, albowiem obecnie...

— Cóż z tego! — rzekł Atos ze słodką powagą — czyż tajemnica twoja traci co na tem, że ja wiem o niej? Czyż straszniejszych daleko nie posiadałem w mem życiu? Przypomnij sobie, mój drogi...

— Nigdy na tobie nie ciążyła tak niebezpieczna — odparł d'Artagnan ze smutkiem. — Mam przeczucie złowrogie, że każdy, co się dotknie tej tajemnicy, umrze, umrze okrutnie...

— Stań się wola Boża, d'Artagnanie! Ale otóż gubernator przyszedł.

D'Artagnan i jego przyjaciele podjęli napowrót swoje role.

Szorstki i podejrzliwy gubernator wobec d'Artagnana był grzecznym i uniżonym. Dla podróżnych kazał zastawić stół obficie i milcząc, obserwował ich bacznie.

Atos i Raoul poznali, że starał się podchodzić ich znienacka, lub złapać na jakiem słowie czy uczynku; lecz żaden z nich nie dał się zmieszać. To, co powiedział d'Artagnan było, jeżeli nieprawdziwem, przynajmniej mogło wydać się prawdopodobnem.

Po jedzeniu poszli wypocząć.

— Jak się nazywa ten człowiek? wstrętną ma fizjognomję — rzekł Atos po hiszpańsku do muszkietera.

— De Saint-Mars — odrzekł kapitan.

— Więc on będzie dozorcą młodego księcia?

— Czyż ja wiem? Może mnie zostawią na zawsze tutaj!

— Ciebie? cóż znowu?

— Przyjacielu drogi, ja jestem jak ten skarb, znaleziony na pustyni. Ten, kto go znalazł, chciałby zabrać ze sobą, ale nie może; chciałby zostawić, lecz boi się tego uczynić. Król nie wezwie mnie z powrotem, bojąc się, że nikt inny tak dobrze pilnować tu nie będzie, a żal mu, że nie ma mnie przy sobie, bo czuje, iż nikt tak, jak ja, wiernie nie potrafi mu służyć.

— To samo, że nie wiesz pan nic pewnego — zauważył Raoul — to samo dowodzi, iż pobyt pański tutaj jest czasowym tylko i że powrócisz do Paryża.

— Kapitanie! — przerwał Saint-Mars — zapytaj tych panów, poco na wyspę przyjechali.

— Słyszeli o klasztorze Benedyktynów na świętym Honorjuszu i o doskonałem polowaniu na św. Małgorzacie.

— Może raczą zapolować razem z panem?

D'rtagnan podziękował.

— Kiedy wyjeżdżają? — dodał gubernator.

— Jutro — odparł d'Artagnan.

Saint-Mars poszedł obejść fortecę i zostawił d'Artagnana samego z mniemanymi Hiszpanami.

— Otóż to życie i towarzystwo obrzydłe! — zawołał d'Artagnan. — Ja niby rozkazuję temu człowiekowi, a on mnie szpieguje. Chodźmy lepiej strzelać króliki, to nas rozerwie trochę. Przechadzka nie będzie długą i męczącą. Wyspa ma długości półtory mili, a pół tylko szerokości, nie większą jest od parku. Chodźmy zabawić się nieco.

— Pójdziemy, dokąd ci się podoba, d'Artagnanie, lecz nie dla rozrywki, tylko ażeby pogadać swobodnie.

D'Artagnan rozkazał przynieść strzelby.

— Teraz odpowiedzcie na zapytanie, uczynione przez tego podejrzliwego Saint-Marsa; co myślicie robić na naszych wyspach?

— Pożegnać się z tobą!

— Pożegnać się? Co to znaczy? Raoul odjeżdża?...

— Tak.

— Założyłbym się, że z panem de Beaufort.

— Z panem de Beaufort! O! ty wszystko odgadniesz, drogi przyjacielu.

— Przyzwyczajenie.

Podczas gdy tak rozmawiali, Raoul z ciężką głową, z sercem zbolałem, usiadł na skale omszałej, położył muszkiet na kolanach, a patrząc na morze to znów na niebo, pozwolił oddalić się myśliwym.

D'Artagnan zauważył nieobecność młodzieńca.

— Zawsze taki zgnębiony, wszak prawda? — odezwał się do Atosa.

— Ugodzony śmiertelnie!

— Sądzę, że przesadzasz. Raoul jest mężny... Serca szlachetne mają dwie powłoki. Skoro pierwsza krwawi, druga opór stawia....

— Nie! — odrzekł Atos — Raoul tego nie przeżyje.

— Mordioux! — syknął d'Artagnan smutnie.

Nie dorzucił ani słowa więcej.

Po chwili zaczął:

— Dlaczego pozwalasz mu jechać?

— Bo chce tego.

— A sam czemu z nim nie jedziesz?

— Bo nie chcę patrzeć na zgon syna...

D'Artagnan spojrzał prosto w oczy przyjaciela.

— Wiesz o tem — ciągnął hrabia, opierając się na ramieniu kapitana — wiesz, że w życiu mojem mało czego się obawiałem. — Otóż teraz boję się nieustannie, strach ten nurtuje mnie, nie mogę go przezwyciężyć; boję się dożyć dnia, w którym będę trzymał w objęciu trupa tego dziecka nieszczęśliwego...

— O! — jęknął d'Artagnan.

— On umrze, wiem to, jestem pewny, a ja nie chcę patrzeć na jego śmierć.

— Jakto? Atosie, stoisz wobec człowieka najwaleczniejszego według ciebie, wobec człowieka, nie mającego sobie równego, jak go niegdyś nazywałeś i mówisz doń z rękami założonemi, iż boisz się widoku śmierci twego syna, ty, któryś widział wszystko, co można na tym świecie zobaczyć! Dlaczego boisz się tego, Atosie? Człowiek powinien wszystkiego spodziewać się na tej ziemi, wszystkiemu umieć czoło stawić.

— Posłuchaj, przyjacielu; z całego mego życia burzliwego zachowałem tylko dwa uczucia, dwie wiary: tu na ziemi przyjaźń gorącą i obowiązki ojca; w wieczności zaś miłość i poszanowanie Boga. Obecnie zaś czuję, że gdyby ten Bóg dopuścił, iżby w mojej obecności przyjaciel lub syn mój skonał... O! nie, d'Artagnanie, nawet tobie tego nie powiem...

— Powiedz! Powiedz!

— Silny jestem na wszystko, prócz na zgon tych, których kocham. Na to jedynie niema lekarstwa. Kto umiera, ten wygrywa, kto patrzy na śmierć ten traci. Wiedzieć o tem, że nie spotkam już nigdy, nigdy na ziemi tych, których oglądałem z radością... wiedzieć, że nigdzie nie będzie już d'Artagnana, nie będzie Raoula, o!... Stary jestem, nie mam już odwagi: proszę Boga, aby miał wzgląd na słabość moją; lecz, jeżeli prawica jego dosięgnie mnie w ten sposób, przeklnę wtedy Boga!

A szlachcic i chrześcijanin nie powinien przeklinać Boga swego, d'Artagnanie; to dosyć już, gdy musiał przekląć króla.

— Hm!... — mruknął d'Artagnan, wzburzony tym gwałtownym wybuchem rozpaczy.

— D'Artagnanie, przyjacielu, ty, który kochasz Raoula, spojrzyj na niego — dodał, wskazując syna — spojrzyj na boleść, nigdy go nie opuszczającą. Czy znasz coś okropniejszego, nad patrzenie bezustanne na konanie powolne tego biednego serca?

— Pozwól mi z nim pomówić! Kto wie?

— Spróbuj; lecz pewny jestem, że się to nie uda.

— Nie będę go pocieszał; ja mu przysługę wyświadczę.

— Ty?

— Bezwątpienia. Czyż nie zdarza się, że kobieta niewierna powraca do pierwszej swej miłości? Powiadam ci, że spróbuję.

Atos wstrząsnął głową z niedowierzaniem i odszedł w głąb wyspy, d'Artagnan zaś powrócił do Raoula i podał mu rękę.

— Miałeś zamiar pomówić ze mną, Raoulu? — odezwał się.

— Chciałem prosić pana o jedną przysługę — odparł Bragellone.
— Słucham.
— Powracasz za dni parę do Francji?
— Tak się spodziewam.
— Jak sądzisz czy powinienem napisać do panny La Valliere.
— Nie trzeba.
— Mam jej tak dużo do powiedzenia!
— Więc powiedz jej to osobiście.
— Nigdy!
— Skądże przypuszczasz, że list większe uczyni wrażenie, niż żywe słowo?
— Masz pan rację...
— Ona kocha króla — rzekł d'Artagnan bez ogródki: — to uczciwa dziewczyna.
Raoul zadrżał.
— A ciebie, ciebie, którego zdradziła, kocha może więcej, niż króla, tylko w inny sposób.
— D'Artagnanie, czy wierzysz w to, że ona króla kocha?
— Ubóstwia go. To serce czyste, niezdolne do innego uczucia. Gdybyś został przy niej, stałbyś się jej najlepszym przyjacielem.
— O! — jęknął Raoul z wybuchem rozpaczy.
— Czy chcesz tego?
— Byłbym podłym!
— Brzydkie słowo! Raoulu, które byłoby w stanie zachwiać wiarę w twój rozum. — Słuchaj, nie nazywa się podłością, gdy postępujemy, według tego, co nam serce nakazuje. Jeżeli twoje serce mówi ci: "Idź do niej, lub umrzyj", słuchaj go, Raoulu. Czyż była podłą wtedy, ona, która cię kochała, przenosząc króla nad ciebie, ponieważ serce kazało jej to uczynić? Nie, była wtedy najuczciwszą ze wszystkich kobiet. Zrób tak samo, słuchaj tylko siebie samego. — Czy wiesz, Raoulu, czego jestem najpewniejszym?
— Nie wiem.
— Że, patrząc na nią zbliska, oczami człowieka zazdrosnego...
— To co?
— Przestałbyś ją kochać.
— Drogi przyjacielu, słowa twoje zdecydowały mnie...

— Abyś się z nią widział?

— Nie, abym odjechał i nie ujrzał jej więcej... Ponieważ ja chcę ją kochać zawsze.

— Szczerze mówiąc — zaczął muszkieter — jestto wniosek, jakiego się nie spodziewałem.

— Słuchaj, przyjacielu, pójdziesz do niej i list ten oddasz, list, który ją objaśni, co się dzieje w sercu mojem. Przeczytaj go; dziś w nocy pisany. Coś mi mówiło, że cię zobaczę.

Podał list, a d'Artagnan czytał:

"Pani, nie obwiniam cię, że mnie nie kochasz. W tem tylko zawiniłaś, iż pozwoliłaś mi sądzić, że jestem kochany. Pomyłka ta to śmierć moja. Przebaczam ci, lecz sobie nigdy nie przebaczę. Powiadają, że szczęśliwi w miłości głusi są na skargi kochanków pogardzonych. Ty taką nie będziesz. Jestem pewny, że gdybym był nalegał, abyś przyjaźń dla mnie w miłość zamieniła, byłabyś uległa, z obawy, ażebym życia sobie nie odebrał, lub ażeby mój szacunek dla ciebie się nie zmniejszył... Słodko mi jest umrzeć, wiedząc, iż zostaniesz wolną i zadowoloną. Pewny jestem, że kochać mnie będziesz, gdy mnie już nie stanie, bo zniknie obawa smutnych spojrzeń moich i wymówek zasłużonych! Będziesz mnie kochała, bo, jakkolwiek przedmiot twego nowego uczucia wydaje ci się najdoskonalszym, czuję jednak, że nie jestem w niczem niższym od niego, a oddanie się moje tobie, pani, poświęcenie i śmierć moja z tej strasznej boleści dają mi w oczach twoich wyższość nad nim nieskończoną. Nie potrafiłem utrzymać skarbu, który do mnie należał. W naiwności serca mojego nie chciałem ci się stać natrętnym, a wiedziałem jednak, że kochasz mnie o tyle, iż gdybym był się starał płomień ten rozdmuchać, pokochałabyś była jeszcze więcej. To przekonanie odejmuje całą gorycz memu cierpieniu i doprowadza do tego, że winę przypisuję tylko sobie.

"Przyjmiesz ostatnie pożegnanie i błogosławić mnie będziesz, żem odszedł tam, gdzie milknie wszelka nienawiść, a pozostaje tylko miłość wieczna. Żegnaj pani. Gdyby tego potrzeba było, krwią swoją okupiłbym szczęście twoje i jeszcze szczęśliwym czułbym się w niedoli mojej,"

"Raoul, wicehrabia de Bragellone."

— Dobrze napisane — rzekł kapitan — jedną rzecz można tylko zarzucić...

— Co takiego, powiedz pan? — zawołał Raoul.

— List ten mówi wszystko, oprócz tego, co, jak trucizna śmiertelna, bije z oczu twoich i z serca; prócz o miłości bezrozumnej, jaką płoniesz jeszcze...

— Czemu nie napisałeś tych słów jedynie:

"Pani!

"Zamiast przeklinać, kocham cię i umieram."

— A! to prawda — rzekł Raoul z radością złowrogą.

Odebrał list, podarł w drobne kawałki i na kartce z pugilaresu skreślił te kilka wyrazów;

"Ażeby mieć szczęście wypowiedzenia ci raz jeszcze, o ile drogą mi jesteś, spełniam podłość, pisząc do ciebie, i ażeby ukarać się za tę podłość, odchodzę, by umrzeć."

Podpisał nazwisko swe u dołu.

— Oddasz jej tę kartkę wszak prawda, kapitanie? — rzekł do d'Artagnana.

— Kiedy mam to uczynić? — odparł tenże.

— W dniu — rzekł Bragellone, wskazując frazes ostatni — w dniu, w którym położysz tu datę...

Następnie odwrócił się i pobiegł na spotkanie Atosa.

Morze poczęło się marszczyć i przy powrocie burza prawie zaskoczyła myśliwych.

Z pod wznoszących się bałwanów jakiś przedmiot nieforemny sterczał przy brzegu.

— Co to jest?... — zapytał Atos. — Łódź strzaskana?...

— Nie, to nie żaden statek — rzekł d'Artagnan.

— Przepraszam, to barka, spiesząca do przystani — odezwał się Raoul.

— Rzeczywiście, to barka tam u wejścia do portu, barka, która ma rację, że przed burzą się chroni; lecz to, co wskazuje Atos, tam w piaskach na wybrzeżu... zagrzebane...

— Tak, tak, widzę.

— To kareta, którą wrzuciłem do morza, po wylądowaniu z więźniem...

— Wierz mi, d'Artagnanie — rzekł Atos — spal tę karetę, ażeby z niej nawet śladu nie pozostało, w przeciwnym razie rybacy, którzy sądzili, iż mają z djabłem do czynienia, postarają się dowieść, że twój więzień był tylko człowiekiem.

— Dobrze radzisz, Atosie, tej jeszcze nocy każę to zrobić, a raczej sam zrobię; lecz wracajmy, bo deszcz zaczyna padać, a błyskawice są przerażające.

Przechodząc galerję na szańcach, od jakiej d'Artagnan klucz posiadał, ujrzeli Saint-Marsa, zmierzającego do pokoju, zajętego przez więźnia.

Na znak d'Artagnana, ukryli się za węgieł arkady.

— Co się stało?... — rzekł Atos.

— Zaraz się dowiecie, patrzcie tylko. Więzień powraca z kaplicy...

Przy świetle błyskawic krwawych, w szarej mgle, ciskanej wiatrem z obłoków, ujrzeli o kilka kroków po za gubernatorem idącego poważnie człowieka, w ubraniu czarnym, z maską stalową na twarzy, przytwierdzoną do takiegoż samego kasku, zakrywającego mu głowę całą.

Ogień z nieba rzucał płowe odbłyski na powierzchnię stali błyszczącej, które, igrając, w ciemności wydawały się spojrzeniami, ciskającemi błyskawice.

Pośrodku galerji więzień przystanął, patrzył na horyzont bezmierny, oddychał powietrzem, siarką przesyconem, i zdawał się pić krople deszczu ciepłego; następnie jęknął boleśnie.

— Chodź pan — odezwał się Saint-Mars ostro, w obawie, że za długo więzień spogląda po za mury. — Chodź pan prędzej!...

— Powiedz: "Wasza Wysokość"! — zawołał z ukrycia Atos głosem tak uroczystym i strasznym, że gubernator zatrząsł się cały.

Atos oddawał zawsze cześć majestatowi upadłemu.

Więzień obrócił się.

— Kto tu mówi?... — zapytał Saint-Mars.

— Ja — odpowiedział d'Artagnan, ukazując się. — Wiesz pan przecie, że taki jest rozkaz.

— Nie nazywajcie mnie ani panem, ani Wysokością — rzekł z kolei więzień głosem, który poruszył do głębi Bragellona — nazywajcie mnie "przeklętym!..."

Poszedł, a drzwi żelazne za nim się zawarły.

— Otóż to nieszczęśliwy!... — mruknął głucho muszkieter, wskazując pokój, zamieszkany przez księcia.

CCXL

OBIETNICE.

Zaledwie d'Artagnan wszedł z przyjaciółmi do mieszkania, gdy tuż za nim żołnierz służbowy przybiegł, prosząc go w imieniu gubernatora.

Statek, spostrzeżony przez Raoula, któremu tak pilno było zawinąć do portu św. Małgorzaty, przywiózł depesze dla kapitana muszkieterów.

D'Artagnan, otworzywszy kopertę, poznał pismo króla.

"Sądzę — pisał Ludwik XIV-ty — żeś już spełnił moje rozkazy, panie d'Artagnanie; wracaj coprędzej do Paryża i staw się w mojej rezydencji w Luwrze."

— Skończyło się wygnanie!... — zawołał muszkieter — chwała Bogu, przestaję być dozorcą więziennym!...

I pokazał list Atosowi.

— Więc nas porzucasz?... — odparł tenże ze smutkiem.

— Zobaczymy się, drogi przyjacielu, przecież Raoul nie jest dzieckiem i potrafi sam wybrać się w podróż z panem de Beaufort, a będzie wolał zapewne, ażeby ojciec jego powracał w towarzystwie d'Artagnana, niż gdyby miał samotnie dwieście mil przebywać aż do La Fere, nieprawdaż, Raoulu?

— Z pewnością — rzekł młodzieniec z wyrazem czułej wymówki.

— Kochany przyjacielu — przerwał Atos — nie opuszczę Raoula, aż do chwili, gdy okręt, który będzie go unosił, zniknie mi z oczu na widnokręgu. Dopóki on będzie we Francji, dopóty razem będziemy.

— Jak wola twoja, drogi przyjacielu, lecz przynajmniej razem opuścimy świętą Małgorzatę; skorzystajcie ze statku, który mnie odwiezie do Antibes.

— Z całego serca pragnąłbym jak najprędzej z tych miejsc się oddalić, smutne wrażenie na mnie uczyniły...

Pożegnali zatem gubernatora, odpłynęli z wyspy złowrogiej, a przy ostatnich błyskach burzy, ujrzeli raz jeszcze bielejące mury fortecy.

D'Artagnan zaraz w nocy pożegnał przyjaciół, po obejrzeniu płonącej karety, spalonej przez Saint-Marsa, z rozkazu kapitana.

Uściskawszy Atosa, gdy miał już konia dosiąść, odezwał się:

— Przyjaciele, podobniście bardzo do placówki opuszczającej stanowisko. Zdaje mi się, że Raoula powinien ojciec powstrzymać, lub go nie opuszczać. Czy chcecie, ażebym prosił o pozwolenie jechania do Afryki z setką walecznych muszkieterów? Król mi nie odmówił a wtedy razem popłyniemy.

— Panie d'Artagnan — odparł Raoul, ściskając go z uczuciem — dzięki ci za ofiarę, któraby nam więcej szczęścia sprawiła, niż nawet marzyć możemy. Młody jestem... potrzebuję pracy umysłowej i zmęczenia fizycznego; pan hrabia zaś potrzebuje spokoju... Jesteś jego najlepszym przyjacielem: polecam ci mego ojca... Czuwaj nad nim, a będziesz miał w ręku dwa nasze istnienia...

— Trzeba jechać; koń się niecierpliwi — rzekł d'Artagnan, u którego zmiana przedmiotu rozmowy oznaczała najwyższe wzruszenie. — Jak długo jeszcze Raoul zabawi na lądzie?

— Trzy dni najwyżej.

— Ile czasu potrzebujesz do powrotu?

— Dużo, bardzo dużo — odparł Atos. — Nie chcę zbyt prędko oddalać się od Raoula. Morze i tak uniesie go szybko w stronę przeciwną... Będę jechał bardzo wolno...

— Poco, drogi przyjacielu? Podróż powolna zasmuca duszę, a przebywanie w oberżach nie przystoi takiemu, jak ty człowiekowi.

— Przyjechałem pocztą, lecz teraz pragnę nabyć parę dobrych koni. Otóż, chcąc je doprowadzić zdrowo do domu, nie wypada więcej nad siedem mil dziennie robić.

— Gdzie Grimaud?

— Przybył wczoraj z rzeczami Raoula, a teraz odpoczywa.

— Nic zatem zmienić się nie da — szepnął d'Artagnan. — Do widzenia, kochany Atosie, jeżeli będziesz dbał o siebie, uściskamy się prędzej...

To powiedziawszy, włożył nogę w strzemię, które Raoul mu podtrzymywał.

— Żegnam — rzekł młodzieniec, ściskając muszkietera.

— Żegnam — wymówił d'Artagnan, wskakując na siodło.

Koń pomknął i oddalił jeźdźca od przyjaciół.

Scena ta miała miejsce przed małym domkiem na przedmieściu Antibes, wybranym na mieszkanie czasowe przez Atosa, gdzie d'Artagnan, po kolacji z przyjaciółmi, rozkazał konie swoje przyprowadzić. Stąd właśnie droga się poczynała i wiła się, jak biała wstęga w mgle nocnej. Wierzchowiec parskał i nozdrzami rozdętemi wciągał ostry zapach, wydzielający się z błot słonych.

D'Artagnan puścił się kłusa; Atos i Raoul zawrócili smutnie do domku.

Naraz doleciał ich zbliżający się tętent, przystanęli myśląc, że to echo powtarza chód koni. Lecz jeździec to powracał... D'Artagnan powracał galopem do swoich przyjaciół.

Krzyknęli zdziwieni radośnie; kapitan zaś zeskoczył na ziemię, jak młodzieniec dwudziestoletni i ujął w ramiona dwie ukochane głowy Atosa i Raoula.

Trzymał je tak długo do piersi przytulone, nie wyrzekłszy ani słowa, nie wydawszy westchnienia, które mu piersi rozrywało... Nakoniec uciekł prędzej jeszcze, niż powrócił, porąc ostrogami boki konia galopującego.

— Niestety!... — szepnął hrabia — niestety!

— Zła przepowiednia!... — mruczał d'Artagnan, pędząc co koń wyskoczy. — Nie mogłem zmusić się do uśmiechu... Zła przepowiednia!

Nazajutrz Grimaud, wypocząwszy, był już na nogach. Wszystko, co rozkazał pan de Beaufort, przychodziło do skutku pomyślnie. Flotylla, wyprawiona przez Raoula do Tulonu, wiozła poza sobą w małych łódkach, żony i przyjaciół rybaków i przemytników, zasekwestrowanych do służby we flocie.

Czas szybko płynął, niewiele już chwil pozostało do spędzenia razem dla Raoula i Atosa.

Powrócili do Tulonu, gdzie z każdym dniem przybywało więcej wozów z żywnością, z bronią, oraz koni, mających być na okręty wprowadzonymi. Rozlegały się w powietrzu marsze wojenne, bębny biły jak do ataku, ulice zalewali żołnierze, ciury obozowi i przekupnie różni.

Pan de Beaufort był wszędzie obecnym, pilnując ładowania okrętów z gorliwością wytrawnego dowódzcy.

Łagodnie przemawiał do szeregowców, a ostro obchodził się z oficerami, nawet z dowódzcami oddziałów.

Zapasy, bagaże, amunicje, wszystko sam oglądał; badał uzbrojenie każdego niemal żołnierza, rewidował konie, uprząż i wozy pod bagaże.

Lekkomyślny i samolubny w spoczynku, stawał się odrazu znakomitym dowódzcą, czując wielką odpowiedzialność, jaką na siebie przyjął.

A jednak, trzeba to przyznać, iż pomimo gorliwości przygotowań do wyjazdu, znać było pośpiech i jakąś lekkomyślność oraz brak przezorności, owej przezorności, która żołnierza francuskiego wynosi na pierwsze w świecie stanowisko, jeżeli nie pozostawia go jedynie własnemu przemysłowi.

Admirał ze wszystkiego był zadowolony, lub przynajmniej udawał zadowolenie; powinszował Raoulowi zdolności rekwizycyjnych i wydał ostatnie rozkazy do podniesienia kotwicy, co miało nastąpić nazajutrz o pierwszym dnia brzasku. Zaprosił hrabiego z synem na obiad do siebie, lecz ci, pod pozorem obowiązków służbowych, odmówili księciu. Powrócili do oberży, posilili się naprędce i poszli nad morze.

Noc była piękna, jak zawsze w tym kraju błogosławionym.

Księżyc wschodził z po za wierzchołków skał i srebrne blaski słał na błękit morza.

W przystani statki krążyły cicho, stawając w szeregi, dla lepszego odbicia od lądu.

Morze, przesycone fosforem, świeciło poruszane czółnami, przewożącemi bagaże i amunicję, a z każdego wiosła spadały krople, niby djamenty przejrzyste.

Marynarze, rozweseleni hojnością admirała, nucili pieśni monotonne...

Od czasu do czasu zgrzyt łańcuchów wtórował uderzeniom kul, spadających na dno okrętu.

Widok ten i głosy, płynące od morza, ściskały serce obawą, to znów naprzemian nadzieję weń wlewały.

Atos z synem usiedli na mchu skalnym. W powietrzu snuły się wielkie nietoperze, uganiając się za zdobyczą.

Skoro księżyc wynurzył się całkowicie, srebrząc szczyty sąsiednie, gdy już morze, jak okiem zajrzeć, blaskiem się pokryło, a małe światełka czerwone zabłysły na okrętach, wtedy Atos, zebrawszy całą odwagę, przemówił do syna.

— Bóg uczynił to wszystko, na co patrzymy Raoulu; Bóg nas także stworzył, nas, nędzne atomy, błąkające się po świecie bezmiernym...

Świecimy, jak ogniki na wodzie, jak gwiazdy na niebie... burzymy się jak fale, cierpimy jak wielkie okręty, prujące fale, posłuszne wichrom, pchającym je do celu... tak samo, jak tchnienie Boga prowadzi nas także przez życie...

Wszystko żyć pragnie, Raoulu i pięknem jest wszystko, co wyszło z rąk Stwórcy!

— Panie — odrzekł młodzieniec — masz słuszność prześliczny widok mamy przed oczami...

— O! jakiż d'Artagnan jest dobry — przerwał Atos — cóż to za szczęście niezrównane mieć przez życie całe takiego przyjaciela!

Ot tobie takiego brakowało zawsze, drogi Raoulu.

— Jakto!... — zawołał Raoul — ja przyjaciela nie miałem?

— Pan de Guiche to wyborny towarzysz — ciągnął hrabia chłodno — sądzę jednak, że dzisiejsi ludzie więcej się zajmują własnemi sprawami i własnemi przyjemnościami, niż to bywało za moich czasów...

Ty zawsze szukałeś samotności, Raoulu; nic w tem złego niema, lecz, oddając się marzeniom, straciłeś siłę woli i odwagę do życia. My zaś we czterech nie kochaliśmy się w abstrakcjach w jakich ty się lubujesz, lecz umieliśmy za to stawić czoło burzy, gdy na nas spadła...

— Nie przerywałem ci, ojcze, ażeby powiedzieć, iż miałem przyjaciela i, że tym przyjacielem był pan de Guiche. Powtarzam nawet, że jest dobrym i szlachetnym i że mnie kocha... Lecz życie moje upływało pod skrzydłem innej przyjaźni, równie silnej, równie drogiej, jak ta o jakiej wspomniałeś, ponieważ była to przyjaźń twoja...

— Nie byłem odpowiednim dla ciebie przyjacielem, Raoulu — rzekł Atos.

— Dlaczego?

— Ponieważ przedstawiałem ci życie jednostronnie; ponieważ sam smutny i surowy, bezwiednie, Bóg mi świadkiem, mroziłem twoje młode porywy i uczucia; jednem słowem, ja w chwili obecnej wyrzucam sobie, iż nie uczyniłem cię człowiekiem otwartym, roztrzepanym i lubiącym życie hulaszcze...

— Wiem, dlaczego mówisz to, ojcze. Lecz mylisz się... nie ty uczyniłeś mnie tem, czem jestem; to miłość nieszczęsna, która opanowała mnie w dzieciństwie; ta wrodzona stałość mojego charakteru...

Sądziłem, że nic się nigdy nie zmieni; sądziłem, że pójdę drogą utartą, usianą kwiatami...

Czułem się pewnym, pod twoją strażą i opieką, opierałem się na tobie i myślałem, że i ja także jestem silny... Nieprzygotowany na to, doznałem ciosu jedynego w życiu, i ten jeden cios zgruchotał mnie na całe życie...

O! ojcze, w przeszłości mojej byłeś szczęściem, a w przyszłości jesteś nadzieją moją! Nie mam nic do wyrzucenia życiu, jakie mi stworzyłeś, błogosławię cię owszem i kocham gorąco!

— Drogi Raoulu, słowa twoje wlewają balsam w serce me zbolałe i dowodzą, że w przyszłości będziesz postępował, myśląc o mnie choć trochę.

— Tylko dla ciebie żyć będę ojcze...

— Raoulu, odtąd nie będę już twoim ojcem jedynie, a stanę się przyjacielem najczulszym... Skoro powrócisz, będziemy żyli w zaufaniu, bez tajemnic, jak bracia rodzeni... Wszak powrócisz niedługo?...

— Z pewnością, ojcze; taka, jak nasza wyprawa, nie może być długotrwałą.

— Wtedy, Raoulu, zamiast żyć skromnie z procentów, oddam ci cały mój majątek. Wystarczy nam na utrzymanie w wielkim świecie do mojej śmierci, a mam nadzieję, że ród mój nie zginie...

— Zrobię wszystko, co rozkażesz, drogi ojcze — odparł Raoul pomieszany

— Pamiętaj, synu, iż pomimo, że jesteś adjutantem wodza naczelnego, nie powinieneś się narażać. Wojna z Arabami to wojna pełna zasadzek, podejść i mordów.

— Tak mówią...

— Niewielka to chwała zginąć w zasadzce. Śmierć taka dowodzi zuchwalstwa i nieopatrzności... Najczęściej ten, co w taki sposób kończy, żalu nawet nie wzbudza i ginie bez pożytku... A w dodatku zwycięzca się śmieje... a my nie powinniśmy pozwolić, aby niewierna dzicz korzystała z błędów naszych... Ty mnie rozumiesz, Raoulu? Niech Bóg uchowa, abym namawiać cię miał do tchórzostwa!...

— Jestem z natury ostrożny i bardzo szczęśliwy — rzekł Raoul z uśmiechem, który zmroził serce biednego ojca — albowiem — pospieszył dodać młodzieniec — znajdowałem się w dwudziestu bitwach, a jedną tylko lekką ranę otrzymałem.

— Oprócz tego — rzekł Atos — klimat jest zabójczy: straszna to rzecz umierać na febrę. Król Ludwik Święty błagał Boga, ażeby mu zesłał strzałę zatrutą, lub jaką zarazę, zamiast febry.

— O! mój ojcze, zachowując się wstrzemięźliwie...

— Pan de Beaufort przyrzekł mi — przerwał Atos — że co dwa tygodnie wysyłać będzie depesze do Francji. Jako adjutant, będziesz je wyprawiał, a zatem nie zapomnisz o mnie...

— Nie zapomnę, ojcze — rzekł Raoul głosem, łzami nabrzmiałym.

— Nakoniec, Raoulu, jako wierni chrześcijanie, powinniśmy polecić się opiece Boga i naszych niołów Stróżów... Przyrzeknij mi, że, w razie nieszczęścia, pomyślisz o mnie najpierw...

— O tak! pomyślę!

— I zawołasz mnie...

— Natychmiast.

— Czy ci się śnię kiedykolwiek, mój synu?

— Co noc, ojcze... W dzieciństwie widziałem cię zawsze we śnie z ręką, wyciągniętą ponad moją głową i dlatego tak dobrze sypiałem....wtedy...

— Zanadto się kochamy — rzekł hrabia — zanadto dusze nasze z sobą są miłością związane, abyśmy, pomimo rozłączenia, nie odczuwali cierpień wspólnych; gdy smutek cię ogarnie, Raoulu, wtedy, wiem to napewno, serce moje gorycz zaleje, a gdy znów przyjdzie chwila, w której uśmiechnie się, myśląc o ojcu twoim, wtedy bądź pewny, że będzie to promień radości, przesłany z dalekich stron od ciebie.

— Nie obiecuję ci, ojcze, wesołości — odparł młodzieniec — lecz bądź pewny, iż w każdej dnia godzinie myśleć będę o tobie; przysięgam ci to... chyba, że umrę...

Atos nie był w stanie dłużej nad sobą panować; otoczył ramieniem szyję syna i tulił go do serca tkliwie.

Księżyc zaszedł za góry, złotawa zorza na niebie zwiastowała bliski wschód słońca.

Atos zarzucił swój płaszcz na ramiona Raoula i uprowadził go do miasta, gdzie już roiło się od ludzi, jak w ogromnem mrowisku.

W niewielkiem oddaleniu spotkali cień jakiś, kryjący się, jakgdyby w zawstydzeniu. To Grimaud, niespokojny o swego pana, czekał tu na niego.

— Kochany Grimaud!... — zawołał Raoul — przyszedłeś powiedzieć, że czas już odjeżdżać, wszak prawda?

— Sam?... — mruknął Grimaud, wskazując Raoula i patrząc z wyrzutem na hrabiego.

— Ty zawsze masz rację!... — rzekł Atos. — Raoulu, nie pojedziesz samotnie na obcą ziemię, nie oddalisz się bez przyjaciela, który cię pocieszać będzie i przypominać wszystkich, których kochałeś...

— Ja!... — rzekł Grimaud.

— Tak, ty!... — zawołał Raoul, wzruszony do głębi.

— Kochany Grimaudzie — rzekł Atos — niestety! bardzoś już stary.

— Tem lepiej — odparł tenże z uczuciem.

— Za chwilę odpływamy — dodał Raoul — a tyś nieprzygotowany...

— Już — rzekł Grimaud i pokazał klucze od swoich i swego młodego pana kufrów, razem związane.

— Nie możesz przecie opuścić pana hrabiego — zaprotestował Raoul — nigdy się z nim nie rozłączałeś?

Grimaud spojrzał smutnie na Atosa, jakgdyby chciał jego i swoje postanowienie zbadać.

Hrabia milczał.

— Pan hrabia będzie zadowolony — odpowiedział stary sługa

— Tak — odparł Atos.

Odezwały się bębny, trąbki i napełniły powietrze odgłosem wesołym.

miasta poczęły wychodzić pułki, biorące udział w wyprawie.

Szło ich aż pięć, każdy złożony z czterdziestu oddziałów. Królewski postępował pierwszy, w białych mundurach z niebieskiemi ozdobami. Przy każdym oddziale powiewała chorągiew z krzyżem zielonym i fioletowym, otoczonym złotemi liljami, na

czele szła biała chorągiew z krzyżem, z samych lilji złotych splecionym.

Na skrzydłach muszkieterowie, z buławami w ręku i bronią na ramieniu; środkiem ułani z lancami czternaście stóp długiemi, schodzili wesoło do łodzi, które ich na okręty przewoziły. Następowały potem pułki: Pikardji, Nawary, Normandzki i ten, co miał stać załogą na okręcie królewskim. Pan de Beaufort wybrał sobie najdzielniejszych!

Na ostatku ukazał się sam książę; zamykał pochód, otoczony sztabem swoim przybocznym.

Raoul z Atosem skierowali się ku przystani, aby młodzieniec zająć mógł właściwe miejsce w otoczeniu wodza naczelnego.

Grimaud z młodzieńczą werwą transportował bagaże Raoula na okręt admiralski.

Atos trzymał syna pod rękę i oddawał się czarnej rozpaczy.

Nadbiegł oficer ze świty książęcej, donosząc, że pan de Beaufort pragnie mieć Raoula przy boku swoim.

— Chciej pan powiedzieć księciu — zawołał młodzieniec — iż proszę go o tę ostatnią godzinę swobody, ażeby ją spędzić z hrabią de La Fere.

— Nie, nie — przerwał Atos — adjutant nie ma prawa odstępować swego generała. Racz pan donieść księciu, że wicehrabia stawi się natychmiast.

Oficer zawrócił i popędził galopem.

— Musimy rozstać się — dodał hrabia — a czy to nastąpi tutaj, czy tam, za parę minut później, zawsze to będzie rozstanie. Poprawił starannie ubranie na synu, a idąc gładził mu ręką włosy.

— Potrzebujesz pieniędzy, Raoulu — rzekł — pan de Beaufort otacza się zbytkiem; pewny jestem, że będziesz miał ochotę kupić konie piękne i broń wykwintną, a rzeczy te są właśnie doskonałe tam, dokąd się udajesz. Ponieważ zaś jesteś ochotnikiem, nie powinieneś rachować ani na żołd, ani na żadne inne dochody. Chcę zatem ażeby ci na niczem nie zbywało w Dżidżeli. Daję ci dwieście pistolów wydaj je, Raoulu drogi, jeżeli chcesz mi przyjemność uczynić.

Raoul uścisnął rękę ojca, a tuż na skręcie ulicy zobaczyli pana de Beaufort na pysznym białym dzianecie hiszpańskim, kła-

niającego się na wszystkie strony, w odpowiedzi na okrzyki pochwalne mieszczanek.

Książę przywołał Raoula, a hrabiemu podał rękę. Mówił z nim długo i wlał trochę pociechy w serce ojca nieszczęśliwego.

A jednak zdawało się obydwom, tak ojcu, jak synowi, że idą na tortury.

Nastała okrutna chwila, ta, kiedy, opuszczając ziemię, żołnierze i majtkowie żegnali się po raz ostatni z rodzinami i przyjaciółmi: chwila to straszna, bo pomimo blasku słońca, pomimo pięknej dokoła przyrody, wszystko wydaje się czarnem, ponurem i gorzkiem, wszystko nieomal każe wątpić o Bogu!...

Według zwyczaju, admirał ze świtą ostatni opuszczał brzeg; armaty oczekiwały wystrzału, gdy wódz naczelny stanie na pokładzie swego okrętu.

Atos zapomniał i o admirale i o flocie i o swym harcie człowieka silnego, otworzył ramiona i tulił syna do piersi konwulsyjnie.

— Jedź z nami na pokład — rzekł książę wzruszony — skorzystasz jeszcze z dobre pół godziny...

— Nie — rzekł Atos — już się pożegnałem... Nie chcę tego czynić po raz drugi.

— A zatem, wicehrabio, siadaj do łodzi co żywo!... — dorzucił książę, chcąc oszczędzić łez tym dwom ludziom.

I czule, po ojcowsku, z siłą, jaką tylko Portos mógł się pochwalić, uniósł Raoula i postawił w szalupie, która też zaraz, na znak dany, odbiła od lądu.

I zapominając o przynależnej mu powadze, wskoczył sam na burt szalupy i nogą ją od brzegu odepchnął.

— Żegnam!... — zawołał Raoul.

Atos odpowiedział skinieniem jedynie, lecz w tej chwili poczuł, jak coś gorącego padło mu na rękę: był to pocałunek Grimauda, ostatnie pożegnanie psa wiernego.

Po tym pocałunku Grimaud wskoczył także do łodzi.

Atos usiadł na schodach portu i pozostał tam ogłuszony, zmartwiały i samotny na zawsze.

Każda sekunda zacierała mu i zabierała z sobą bladą postać syna... Z rękami obwisłemi, z sercem złamanem, patrzył ciągle na oddalającą się szalupę.

Morze unosiło powoli i łódź i ludzi na niej aż nareszcie zmalało wszystko i znikło, a pozostał tylko punkt czarny, majaczący jak wspomnienie.

Atos widział jeszcze, jak syn jego wstępował na pokład, jak oparł się o poręcz, starając się wysunąć naprzód, aby go oko ojcowskie dojrzeć mogło.

Chociaż rozległ się wystrzał armatni, choć na głosy z okrętu odpowiadały okrzyki z lądu, ani hałas nie zagłuszył uszu ojcowskich, ani dym nie zaćmił wzroku jego. Raoula widział do ostatniej chwili, a gdy już w oddaleniu ginął mu jak atom, zlewając się z przestrzenią, Atos dłużej go widział oczami duszy, niż wielkie okręty z rozdętemi żaglami!...

Około południa, gdy zaledwie widniał już tylko szczyt masztu na skraju morza, Atos obaczył wznoszący się dym biały, który rozwiał się natychmiast; był to ostatni wystrzał armatni, jakim pan de Beaufort żegnał brzegi ojczyste.

Nakoniec wszystko znikło, wszystko ucichło i samotny Atos powrócił znękany do oberży.

CCXLI

POMIĘDZY KOBIETAMI.

D'Artagnan nie potrafił ukryć boleści pożegnania przed przyjaciółmi swymi.

Żołnierza, pełnego odwagi, człowieka, całe życie pod bronią, zwalczyły jednak złe przeczucia i obawa, i on nawet uległ słabości ludzkiej.

Skoro tylko uspokoił się nieco i nakazał milczenie sercu zranionemu, odwrócił się do milczącego pachołka, gotowego zawsze do posłuszeństwa.

— Rabaud — powiedział — wiedz o tem, iż muszę dziennie trzydzieści mil robić!...

— Dobrze, kapitanie — odparł Rabaud.

Od tej chwili d'Artagnan przyrosł do konia, jak prawdziwy Centaur, i jakby się niczem nie zajmował, co znaczyło, że zajmował się wszystkiem.

Rozmyślał. dlaczego król go przywoływał, dlaczego Maska Żelazna cisnęła srebrną tacę pod nogi Raoula.

Wiedział, że król przywołuje go z potrzeby; czuł, że Ludwik XIV-ty pragnie pomówić poufnie z tym, którego posiadanie strasznej tajemnicy stawiało narówni z pierwszemi potęgami państwa, lecz nie był w stanie określić dokładnie, czego właściwie król żąda.

Muszkieter nasz pewnym był, co popchnęło nieszczęśliwego Filipa do odkrycia stanu i urodzenia swojego.

Filip, zakuty na wieki w maskę żelazną, wywieziony na wyspę, gdzie ludzi prawie niema, Filip, pozbawiony nawet towarzystwa d'Artagnana, który otaczał go szacunkiem i przychylnością, nie miał już żadnej nadziei, a ponieważ rozpacz zaczynała go ogarniać, postanowił wyjaśnić żale swoje, sądząc, że znajdzie mściciela.

Fatalny traf, że o mało nie zabił najlepszych przyjaciół swoich, dziwne przeznaczenie, które sprowadziło Atosa i wcieliło go niejako w tajemnicę stanu; pożegnanie Raoula, smutna przyszłość młodzieńca, który jakby dążył na śmierć, wszystko to nasuwało d'Artagnanowi najczarniejsze przeczucia, jakich nawet szybkość podróży rozpędzić nie była w stanie.

Od tych rozmyślań d'Artagnan przechodził do wspomnień Portosa i Aramisa.

Widział ich w myśli, uciekających, ściganych zrujnowanych obydwóch, wyzutych z dostojeństw i bogactw, tak pracowicie gromadzonych; a ponieważ król przywoływał jego, wykonawcę rozkazów swoich, w chwili zemsty i gniewu, zatem d'Artagnan drżał z obawy, ażeby nie otrzymał polecenia, które serce by mu zakrwawiło.

Niekiedy, jadąc pod górę, gdy wierzchowiec zdyszany zwalniał kroku, kapitan rozmyślał nad charakterem Aramisa, nad duchem chytrości i intrygi, jakie wyrobiły w nim Fronda i wojna domowa.

Żołnierz, ksiądz i dyplomata; rycerski, chciwy i przebiegły, Aramis zbierał słodycze życia dlatego jedynie, aby wznieść się po nich do celów nie zawsze godziwych.

Szlachetny umysł, serce wyborne, Aramis jeżeli uczynił co złego, to jedynie, aby błyszczeć więcej.

Przy końcu karjery, w chwili gdy miał stanąć u celu, postąpił jak ów patrycjusz Fiesque; uczynił jeden krok fałszywy i wpadł do morza...

Lecz Portos, poczciwy, niewinny Portos!

Patrzeć na Portosa zgłodniałego, na Mousquetona bez złotych galonów, a może w więzieniu zamkniętego... ujrzeć Pierrefonds i Bracieux, z ziemią zrównane, lasy i zagajniki wycięte, tego było zawiele dla d'Artagnana, na samą myśl o tem wstrząsał się, jak rumak, ostrogą ukłuty i pędził przed siebie jak wściekły.

Lecz wszystko ma swój koniec na tym świecie, jakoż i podróż dobiegła kresu i d'Artagnan stanął w Paryżu zdrów i cały, jak atleta, przygotowany do zapasów.

Król nie spodziewał się go tak prędko i pojechał właśnie na polowanie w okolicę Meudon.

D'Artagnan, zamiast podążyć za królem, jakby to był dawniej zrobił, rozebrał się, wziął kąpiel i oczekiwał, aż powróci monarcha, znużony i zakurzony na polowaniu.

Poświęcił godziny oczekiwania na to, ażeby obeznać się z położeniem i uzbroić przeciw możliwym złym szansom.

Dowiedział się, że król od dwóch tygodni był ciągle smutny, że królowa-matka cierpiąca i smutna, że brat króla oddawał się praktykom religijnym, bratowa zaś miała ciągle spazmy, a pan de Guiche wyjechał na wieś do swego majątku.

Dowiedział się, że Colbert był w wyśmienitym humorze, a pan Fouquet wzywał codzień innego lekarza, że żaden mu nie pomagał i że główną chorobę jego uleczyćby mógł chyba doktór, znający się na polityce.

Opowiedziano d'Artagnanowi, że król jest czuły dla pana Fouqueta i pragnie mieć go zawsze przy boku swoim, lecz minister skarbu, ugodzony śmiertelnie w serce, nikł w oczach, pomimo promieni łaski królewskiej.

D'Artagnan dowiedział się, że panna de La Valliere stała się królowi niezbędną; że monarcha jeżeli na polowaniu nie miał jej przy sobie, pisywał do niej po kilka razy, i to już nie wierszami ale prozą, co było znacznie niebezpieczniejszem i nie krótkie bileciki, ale listy na czterech stronach pisane.

Widziano tedy, największego monarchę tego świata, tak go nazywały plejady owego czasu — jak zsiadał z konia i na ron-

dzie kapelusza kreślił ołówkiem długie tyrady, które pan de Saint-Agnan, wierny adjutant, odstawiał lotem strzały ukochanej La Valliere.

Przez ten czas jelenie i bażanty zmykały i kryły się, ścigane tak leniwie, że, jak mówiono, sztuka polowania, jeżeli tak potrwa dłużej, zaginie zupełnie na dworze francuskim.

D'Artagnan pomyślał wtedy o zleceniu biednego Raoula, o tym liście desperackim, przeznaczonym dla kobiety, której życie upływa w oczekiwaniu, a ponieważ lubił filozofować, postanowił zatem skorzystać z nieobecności króla i rozmówić się z panną de La Valliere.

Przyszło mu to z łatwością; podczas polowania królewskiego piękna Ludwika spacerowała w towarzystwie kilku dam dworskich w jednej z galerji pałacu; tam właśnie, gdzie nasz kapitan muszkieterów miał interesy służbowe.

D'Artagnan nie wątpił, że, skoro tylko będzie mógł zacząć roz mowę o Raoulu, Ludwika nie omieszka powiedzieć coś takiego, co mu pozwoli napisać list przyjemny do biednego wygnańca, a w takim stanie umysłu, w jakim znajdował się Raoul, jakakolwiek nadzieja, lub słówko pociechy, stawały się promieniem słońca, zachętą do życia dwóch ludzi, tak drogich kapitanowi.

Udał się też zaraz tam, gdzie jak wiedział, przebywa ulubienica króla.

D'Artagnan zastał pannę La Valliere w licznem towarzystwie.

Faworyta królewska, pomimo rzekomego odosobnienia, odbierała hołdy jak sama królowa, a może nawet więcej niż królowa, odbierała hołdy, z których ongi bratowa Ludwika XIV-go była tak dumną, wtedy, kiedy wszystkie spojrzenia króla były dla niej tylko, a tem samem i oczy dworzan jeno do niej się zwracały.

D'Artagnan nie był wcale nadskakującym — a jednak miał wielki mir u kobiet; odznaczał się rycerską i poważną grzecznością, a sława nieustraszonej odwagi jednała mu przyjaźń mężczyzn i uwielbienia kobiet.

To też skoro się tylko ukazał, wszystkie damy honorowe otoczyły go i zapytaniami zasypały.

Gdzie był? Co się z nim działo?

Dlaczego nie widziano go na pysznym rumaku, harcującego pod balkonem królewskim?

Odpowiedział, że przybywa z kraju pomarańcz.

Damy zaśmiały się chórem.

W owym czasie wszyscy podróżowali, a jednak podróż stumilowa stanowiła czasem o śmierci i życiu.

— Z kraju pomarańcz?... — zawołała panna Tonnay-Charente. — Z Hiszpanji?

— Oho!... — odparł muszkieter.

— Z Malty?... — rzekła Montalais.

— Niedaleko jesteś pani od prawdy, na honor!

— A więc z wyspy?... — zapytała La Valliere.

— Nie będę pani męczył domysłami: wracam z miejsca, z którego w tej chwili odpływa pan de Beaufort do Algieru.

— Czy widziałeś pan armję?... — zapytało naraz kilka głosów.

— Tak, jak panie widzę teraz — odrzekł d'Artagnan.

— I flotę?

— Widziałem wszystko.

— Czy jest tam dużo przyjaciół?... — odezwała się panna de Tonnay-Charente chłodno, lecz w taki sposób, aby zwrócić uwagę na to, co powiedziała.

— Są tam panowie de La Guilletiere, de Monk, de Bragellone — odrzekł d'Artagnan.

La Valliere zbladła.

— Pan de Bragellone?... — zawołała chytra Athenais. — Jakto!... i on pojechał na wojnę!...

Montalais udepnęła ją w nogę, lecz to nic nie pomogło.

— Czy wiesz pan, co mi się zdaje?... — ciągnęła bez litości, zwracając się do d'Artagnana.

— Nie wiem, proszę pani, a chciałbym bardzo wiedzieć.

— Mnie się zdaje, że ci panowie, którzy wybrali się do Algieru, są to wszystko ludzie w miłości nieszczęśliwi, a zatem postanowili spróbować, czy czarne piękności nie będą dla nich łaskawsze, niż nasze białe dziewice...

Niektóre z pań zaczęły się śmiać; biedna La Valliere mieszała się coraz bardziej.

Montalais kaszlała z całych sił.

— Myli się pani — przerwał d'Artagnan — mówiąc, że kobiety w Dżidżeli są czarne; wprawdzie nie są też białe, ale żółte...

— Żółte!

— Proszę się nie dziwić; nie można sobie wyobrazić nic piękniejszego nad taką płeś przy oczach czarnych i ustach pąsowych jak korale...

— Tem lepiej dla pana de Bragellone — dodała panna Tonnay-Charente. — Biedny chłopiec! będzie mógł się łatwiej pocieszyć...

Po tych słowach nastała cisza głęboka.

D'Artagnan przyszedł do wniosku, że słodkie i czułe kobietki, niewinne i bez żółci, jak gołąbki, gryzą się pomiędzy sobą nie gorzej, niż tygrysy i niedźwiedzie.

Nie wystarczało to Athenais, że pokryła trupią bladością lica La Valliery, pragnęła teraz, aby zarumieniła się ze wstydu.

Zaczęła więc na nowo:

— Czy wiesz, Ludwiko — rzekła — że ciężki masz grzech na sumieniu?

— Cóż to za grzech?... — zapytała nieszczęśliwa, oglądając się napróżno za poparciem otaczających.

— Pytasz jeszcze?... — ciągnęła Athenais — przecież wicehrabia był twoim narzeczonym... Ubóstwiał cię, a tyś go odrzuciła.

— Miała prawo tak postąpić, jako kobieta uczciwa — podjęła Montalais z powagą. — Lepiej odtrącić człowieka, niż go nie szczęśliwym uczynić!...

Ludwika nie wiedziała, czy gniewać się, czy dziękować swojej obronicielce.

— Bardzo to dobrze odtrącić niekochanego — rzekła Athenais — lecz nie jest to głównym grzechem panny de La Valliere. Wysłała na wojnę, na śmierć niechybną pana de Bragellone i to właśnie jest winą najcięższą.

Ludwika przeciągnęła rękę po czole, oblanem zimnym potem.

— Jeżeli tam śmierć znajdzie — ciągnęła nielitościwa dziewczyna — ty winna temu będziesz.

Ludwika napół żywa wzięła pod rękę kapitana muszkieterów, na którego twarzy malowało się wzruszenie głębokie.

— Chciałeś pan pomówić zemną, panie d'Artagnan — rzekła głosem od łez nabrzmiałym. — Cóż mi powiesz zatem?

D'Artagnan zaprowadził Ludwikę wgłąb galerji i zaczął:

— To, co miałem pani powiedzieć, już usłyszałaś od panny Tonnay-Charente, wprawdzie wyrażone brutalnie, lecz niemniej przeto prawdziwie.

Ludwika wydała jęk cichy i zgnębiona tym nowym ciosem, uciekła, jak ptaszę zranione, które pragnie umrzeć w samotności.

Znikła we drzwiach galerji, w chwili, gdy król wchodził drzwiami przeciwnemi.

Ludwik XIV szukał spojrzeniem La Valliery, a nie znalazłszy jej, zmarszczył brwi i zwrócił się do kłaniającego się z uszanowaniem d'Artagnana.

— A! to pan — rzekł — stawiłeś się na zawołanie, kontent jestem z pana.

Była to najwyższa oznaka zadowolenia królewskiego; dużo ludzi poszłoby na śmierć, ażeby tylko usłyszeć te słowa

Przy wejściu króla, damy honorowe i dworzanie otoczyli go, lecz, widząc, że chce mówić z kapitanem muszkieterów, usunęli się na bok.

Król obejrzał się jeszcze, czy nie ujrzy La Valliery, nie mogąc zrozumieć, dlaczego jej niema, nareszcie wprowadził d'Artagnana aż do gabinetu swojego i tam zapytał:

— No cóż, gdzie więzień?

— W więzieniu, Najjaśniejszy Panie.

— O czem rozmawiał przez drogę?

— Nic nie mówił, Najjaśniejszy Panie.

— A co robił?

— W chwili, gdyśmy się przeprawiali na św. Małgorzatę, rybak, na którego statku płynęliśmy, zbuntował się i chciał mnie zabić. Otóż... więzień bronił mnie, zamiast starać się skorzystać ze sposobności i myśleć o ucieczce...

Król pobladł.

— Dosyć! — rzekł.

D'Artagnan skłonił się znowu.

Ludwik chodził wzburzony wzdłuż i wszerz gabinetu.

— Byłeś w Antybach — rzekł — kiedy pan de Beaufort tam przybył?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, wtedy właśnie wyjechałem.

— A!

Znowu milczenie.

— Cóż tam widziałeś?

— Dużo ludzi — odparł d'Artagnan chłodno.

Król poznał, że d'Artagnan nie ma ochoty opowiadać.

— Rozkazałem ci powrócić, kapitanie, aby ci powiedzieć, że masz jechać i przygotować dla mnie kwaterę w Nantes.

— W Nantes? — zawołał d'Artagnan.

— W Bretanji!

— Tak, Najjaśniejszy Panie, wiem, że to w Bretanji. Wasza Królewska Mość udaje się aż do Nantes?

— Zbierze się tam wielka rada — odrzekł król. — Mam jej postawić dwa żądania; chcę zatem zrobić to osobiście.

— Kiedy mam wyjechać?

— Dziś w wieczór... jutro wieczorem, ponieważ potrzebujesz odpocząć.

— Nie jestem zmęczony, Najjaśniejszy Panie.

— Tem lepiej... Zatem dziś, albo jutro, jak ci się podoba.

D'Artagnan pożegnał króla i chciał wyjść, lecz, widząc, że tenże chciałby jeszcze coś powiedzieć:

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się, zbliżając — czy Wasza Królewska Mość zabiera dwór z sobą?

— Ma się rozumieć.

— Więc z pewnością potrzebni będą muszkieterowie?

Król spuścił oczy przed bystrym wzrokiem kapitana.

— Zabierz całą brygadę — odpowiedział.

— Czy to już wszystko?... Król nie ma innych do wydania rozkazów?...

— Nie... Ale!... ale...

— Słucham.

— W zamku Nantejskim, który jest bardzo źle utrzymany, postawisz wartę muszkieterów przy drzwiach każdego z głównych dygnitarzy, jacy ze mną przybędą.

— Naprzykład: przy drzwiach pana de Lyonne?...

— Tak.

— Pana Letellier?...

— Tak.

— Pana de Brienne?...

— Tak.

— I pana ministra skarbu?...

— Ma się rozumieć.

— Dobrze, Najjaśniejszy Panie. Wyjeżdżam jutro.

— Słówko jeszcze, panie d'Artagnanie. Spotkasz się w Nantes z księciem de Gevres, dowódzcą gwardji. Staraj się rozstawić swoich muszkieterów, przed przybyciem jego straży... Kto pierwszy, ten lepszy.

— Rozumiem, Najjaśniejszy Panie.

— A wrazie gdyby pan de Gevres chciał od ciebie tłumaczenia?...

— Co znowu, Najjaśniejszy Panie!... czyżby pan de Gevres śmiał mnie zapytać nawet?...

To powiedziawszy, muszkieter wykręcił się na pięcie i znikł po za drzwiami.

— Do Nantes!... — mruczał, schodząc ze schodów. — Dlaczego nie odważył się powiedzieć odrazu, że idzie na Belle-Isle?...

Przy drzwiach na dziedziniec dogonił go urzędnik z biura pana de Brienne.

— Panie d'Artagnan!... — wołał — przepraszam...

— Co takiego, panie Ariste?...

— Jest tu przekaz od króla...

— Do waszej kasy?... — zapytał muszkieter.

— Nie, panie, do kasy pana Fouquet.

D'Artagnan zdziwiony, czytał przekaz na dwieście pistolów, pisany własną ręką króla.

— To tak!... — pomyślał, podziękowawszy uprzejmie urzędnikowi pana de Brienne — więc to pan Fouquet zapłaci koszta podróży!... Mordioux!... tak zrobiłby tylko Ludwik XI-ty. Czemu nie kazał zapłacić z kasy pana Colberta?... Onby to z wielką radością uczynił!...

I wierny zasadzie, ażeby nigdy nie przetrzymywać długo przekazów na okaziciela, udał się wprost do pana Fouquet, dla odebrania dwustu pistolów.

CCXLII

UCZTA POŻEGNALNA.

Pan minister skarbu wiedział zapewne o rychłym wyjeździe do Nantes, ponieważ zaprosił przyjaciół swoich na obiad pożegnalny.

Cały dom, od dołu do góry, roił się od lokajów noszących półmiski i urzędników kończących pracę dzienną zamykaniem rachunków na gwałt, co świadczyło o bliskiej zmianie tak w banku, jak i w kuchni.

D'Artagnan z czekiem w ręku zjawił się w biurze, gdzie mu powiedziano, że zapóźno już na wypłaty, że kasa zamknięta...

Odpowiedział tylko te słowa:

— Polecenie królewskie.

Urzędnik, zmieszany poważną fizjognomją kapitana, odezwał się, iż rozumie, że to jest godne poszanowania, lecz również godne są poszanowania zwyczaje banku; i że skutkiem tego uprasza oddawcę, aby raczył przyjść jutro zrana.

D'Artagnan zażądał widzenia się z panem Fouquetem.

Urzędnik oznajmił, że pan minister nie zajmuje się takiemi szczegółami i niewiele myśląc, chciał zamknąć ostatnie drzwi przed nosem d'Artagnana.

Muszkieter nasz, nie w ciemię bity, przewidział, co może nastąpić i zawczasu postawił nogę pomiędzy drzwiami a progiem, co też nie pozwoliło ich zamknąć, a urzędnik znalazł się znów twarz w twarz ze swoim interlokutorem. To też spuścił z tonu i odezwał się grzecznie:

— Jeżeli pan życzy sobie rozmówić się z ministrem, proszę udać się do przedpokoju; tutaj jest biuro jedynie, jego ekscelencja nie przychodzi tu nigdy.

— Trzeba było odrazu tak mówić! — rzekł d'Artagnan.

— Po drugiej stronie dziedzińca — mówił urzędnik, rad z pozbycia się muszkietera.

D'Artagnan przeszedł podwórze i wpadł na całą czeredę sługusów.

— Ekscelencja nie przyjmuje o tej godzinie — odpowiedział mu fagas, niosący na złoconym półmisku trzy bażanty i dwanaście przepiórek.

— Powiedz panu ministrowi — rzekł kapitan, ujmując brzeg półmiska — że przyszedł pan d'Artagnan, dowódzca muszkieterów Jego Królewskiej Mości.

Lokaj krzyknął ze zdziwienia i ulotnił się.

D'Artagnan udał się wolno za nim. Spotkał w przedpokoju Pellissona, który, zmieniony trochę, wybiegł z sali jadalnej na zwiady.

D'Artagnan spojrzał na niego z uśmiechem i rzekł:

— Nic nadzwyczajnego się nie stało, panie Pellisson, nic, tylko chodzi o wypłatę małego czeku.

— A! — westchnął z widoczną ulgą, przyjaciel Fouqueta.

Ujął pod rękę kapitana i wciągnął go do sali, gdzie znaczna liczba najserdeczniejszych przyjaciół otaczała ministra, siedzącego w miękkim fotelu.

Znajdowali się tam w komplecie wszyscy epikurejczycy, jacy niegdyś w rezydencji Vaux korzystali z rozumu i bogactw pana Fouqueta.

Towarzysze w szczęściu, przywiązani i wierni, nie opuścili protektora swojego za zbliżeniem się burzy; pomimo groźnych chmur na horyzoncie, pomimo usuwania się gruntu z pod nóg ministra, otaczali go z uśmiechem na ustach, uprzedzający i oddani w niedoli, tak samo, jak w dniach powodzenia.

Po lewej stronie ministra siedziała pani de Belliere, po prawej pani Fouquet; nie zważając na opinję świata, dwa te anioły opiekuńcze podały sobie ręce i podtrzymywały nieszczęśliwego człowieka, w chwili przejść okrutnych.

Pani de Belliere, blada i drżąca, okazywała wielki szacunek dla pani Fouquet, która z ręką, opartą na ramieniu męża, patrzyła niespokojnie na drzwi, któremi Pellisson wprowadzał d'Artagnana.

Kapitan wszedł z dobrą miną, pełną ugrzecznienia, a następnie uwielbienia, gdyż bystrem spojrzeniem odgadł odrazu wyraz twarzy wszystkich zgromadzonych.

Fouquet uniósł się z fotelu.

— Wybacz, panie d'Artagnanie — rzekł — że nie przyjmuję cię tak, jak wypada przyjąć wysłańca królewskiego.

Ostatnie słowa wymówił tonem, tak smutnym i zrezygnowanym, iż dreszcz przejął jego przyjaciół.

— Ekscelencjo! — odparł d'Artagnan — przychodzę do pana w imieniu króla, lecz tylko dla odebrania dwustu pistolów.

Twarze wszystkich rozjaśniły się, Fouquet tylko został pochmurnym.

— Może pan także do Nantes wyjeżdżasz? — powiedział.

— Nie wiem, dokąd wyjeżdżam, ekscelencjo.

— Ale w tej chwili zapewne nie odjeżdżasz, panie kapitanie — odezwała się pani Fouquet — więc nie przeszkodzi ci to zasiąść z nami do stołu.

— Pani, byłby to dla mnie wielki zaszczyt, lecz, jak pani widzi, jest mi tak pilno, iż zmuszonym byłem przerwać państwu zabawę, aby jaknajprędzej mieć przekaz wypłacony...

— Złotem będzie wypłacony — rzekł Fouquet, dając znak intendentowi, który wyszedł natychmiast z czekiem, podanym przez d'Artagnana.

— Spokojny byłem o wypłatę — rzekł tenże — kasa jest odpowiedzialna...

Bolesny uśmiech zarysował się na bladej twarzy Fouqueta.

— Niedobrze panu?... — zapytała pani de Belliere.

— Czy znowu atak?... — zapytała pani Fouquet.

— Nic mi nie jest, dziękuję — odrzekł minister.

— Czy chory jesteś, ekscelencjo?... — zapytał z kolei d'Artagnan.

— Dostałem febry po uroczystości w Vaux.

— Zaziębienie zapewne, w ogrodzie w nocy?

— O nie; miałem wzruszenia, ot i wszystko.

— Zanadto wziąłeś pan do serca wizytę króla — odezwał się La Fontaine, nie podejrzewając, iż wypowiedział świętokradztwo.

— Nigdy nie można zanadto brać do serca przyjęcia swego króla — rzekł łagodnie Fouquet do poety.

— Chciałeś pan zapewne powiedzieć, że za wiele trudu zadał sobie pan minister — przerwał d'Artagnan. — Zaprawdę, ekscelencjo, nie widziano chyba nigdy gościnności takiej, jak ta, jaką otoczyłeś króla u siebie...

Na twarzy pani Fouquet malowało się wyraźnie, że jeżeli

mąż jej spełnił obowiązek swój względem króla, król mu nie odpłacił tą samą monetą.

Lecz d'Artagnan znał straszną tajemnicę... on jeden znał ją tylko i Fouquet drugi... tych dwóch ludzi nie miało odwagi ani żałować się, ani obwiniać...

Przyniesiono kapitanowi złoto, miał właśnie pożegnać towarzystwo, gdy Fouquet, wstając, wziął szklankę i kazał drugą podać d'Artagnanowi.

— Panie — rzekł — za zdrowie króla, cobądź się stanie.

— I za zdrowie wasze, ekscelencjo, cobądź się stanie.

Po tych złowróżbnych słowach, pożegnał całą kompanję i wyszedł; wszyscy powstali i przysłuchiwali się odgłosom ostróg, brzękających na schodach marmurowych.

— Sądziłem przez chwilę, że po mnie, a nie po moje pieniądze przysłał — rzekł Fouquet, próbując uśmiechu.

— Po pana!... — zawołali zebrani jednogłośnie — a toż dlaczego? na Boga!

— Nie łudźmy się, kochani bracia epikurejczycy — rzekł minister — nie chcę porównywać nędznego grzesznika z Bogiem, którego czcimy, lecz przypomnijcie, że zebrał niegdyś swych przyjaciół na ucztę, jaką nazywamy Wieczerzą Pańską, a taką była uczta pożegnalna, jak ta obecnie...

— Zamknijcie drzwi — rzekł Fouquet.

Służba się usunęła.

— Przyjaciele — ciągnął minister, głos zniżając — czem ja byłem niegdyś? a czem jestem teraz? Porozumiejcie się pomiędzy sobą i odpowiedzcie. Taki, jak ja człowiek, upada przez to samo że już się nie wznosi; a cóż powiedzieć dopiero gdy upadł rzeczywiście? Nie mam już pieniędzy; nie mam kredytu; mam tylko wrogów potężnych i przyjaciół, którzy nic nie mogą...

— Panie mój!... — zawołał Pellisson, powstając — ponieważ wypowiedziałeś szczerze, co myślisz, my także objawiamy zdanie nasze. Tak, wiemy o tem, jesteś zgubiony, lecisz w przepaść bez ratunku, lecz powstrzymaj się... Pierwsza rzecz, ile ci pozostało pieniędzy?

— Siedemset tysięcy liwrów — rzekł minister.

— Zaledwie na chleb powszedni — szepnęła pani Fouquet.

— Zatem biegnę na pocztę, zamawiam konie, a ty, panie, zabieraj się, trzeba uciekać!

— Dokądże ucieknę?

— Do Szwajcarji, do Sabaudji, dokądkolwiek, lecz uciekaj!

— Jeżeli jego ekscelencja ucieknie — odezwała się pani de Belliere — powiedzą, że, czując się winnym, uczynił to ze strachu.

— Więcej powiedzą... powiedzą, że zabrałem z sobą dwadzieścia miljonów...

— Napiszemy pamiętniki pańskie i wykażemy niewinność twoją — rzekł La Fontaine — lecz teraz uciekaj!

— Zostanę — przerwał Fouquet — a wreszcie, czyż nie mam gdzie schronić się przed napaścią?

— Masz przecie Belle-Isle!... — zawoł opat Fouquet.

— Z Nantes pojadę na swoją wyspę, tamtędy droga prowadzi; cierpliwości zatem, panowie!

— Chcesz być w Nantes pierwej, tyle drogi!... — rzekła pani Fouquet.

— Tak, wiem o tem — odparł Fouquet — lecz cóż na to poradzić? król wzywa mnie... Przeczuwam, pewny nawet jestem, że wzywa, aby mnie zgubić; odmówić jednak przyjazdu nie mogę, bo bym bojaźń okazał.

— Otóż znalazłem sposób na wszystko!... — wykrzyknął Pellisson — pojedziesz pan do Nantes.

Fouquet spojrzał na niego zdziwiony.

— Pojedziesz pan z przyjaciółmi, swoją własną karetą, aż do Orleanu, a nawet aż do Nantes. Będziesz gotów do obrony, jeżeli cię zaczepią, a do ucieczki, jeżeli grozić będą; jednem słowem, zabierzesz z sobą pieniądze na wszelki wypadek, a choćbyś uciekał nawet, będzie to wyglądało, jakbyś spieszył na rozkaz króla; a potem, gdy dotrzesz do morza, popłyniesz do Belle Isle; i stamtąd puścisz się, dokąd ci się żywnie spodoba, rozwiniesz lot, jak ptak, który wzbija się w przestrzeń, skoro go w gnieździe zaatakują.

Ogólnem uznaniem przyjęto projekt Pellissona.

— Uczyń tak — rzekła pani de Belliere.

— Uczyń, uczyń!... — zawołali przyjaciele.

— Niechże się stanie, według woli waszej — odparł Fouquet — zrobię, jak chcecie.

— Zaraz, dziś wieczorem?

— Za godzinę.

— Natychmiast!

— Mając siedemset tysięcy liwrów odbudujesz majątek swój i znaczenie... — odezwał się opat. — Któż nam zabroni uzbroić korsarzy, gdy w Belle-Isle staniemy?

— W razie potrzeby, pójdziemy na odkrycie nowego świata — dodał La Fontaine któremu projekty w głowie zawróciły.

Stuknięcie we drzwi zamknięte przerwało radosne marzenia.

— Kurjer królewski!... — zawołał marszałek dworu.

Nastała cisza głęboka, jakgdyby ten kurjer przyniósł odpowiedź na wszystkie projekty, przed chwilą wygłoszone.

Czekano, co zrobi gospodarz domu, któremu grube krople potu wystąpiły na czoło, a gorączka zdawała się powiększać.

Fouquet przeszedł do gabinetu na przyjęcie posła Jego Królewskiej Mości.

Cisza panowała w pokojach i pomiędzy służbą, słychać też było w sali jednej głos Fouqueta odpowiadający:

— Dobrze, panie.

A jednak głos ten był złamany znaczeniem i wzruszeniem.

Za chwilę Fouquet przywołał Gourvilla.

Nakoniec ukazał się sam w sali, lecz nie był już blady i mizerny jak wtedy, gdy opuszczał towarzystwo, teraz stał się sinym, istny trup żyjący, który z tamtego świata przyszedł powitać dawnych znajomych.

Wszyscy powstali i podbiegli ku niemu.

On zaś, patrząc na Pellissona, wsparł się na ramieniu żony i uścisnął zimną rączkę pani de Belliere.

— Patrzcie... — odezwał się głosem grobowym.

— Co się stało?... na Boga!... — zawołano.

Fouquet wyciągnął rękę prawą i pokazał papier, który Pellisson pochwycił.

Czytał, co następuje, ręką króla skreślone:

"Miły nam i kochany panie Fouquet przyślij nam pieniędzy, które mamy u ciebie, siedemset tysięcy liwrów, jakie potrzebne są nam dzisiaj, na wyjazd nasz z Luwru.

"Wiedząc, że zdrowie pańskie jest w złym stanie, prosimy Boga, aby ci je powrócił i miał cię w świętej swojej opiece.

Ludwik".

"List ten oznacza pokwitowanie."

Szmer przerażenia rozszedł się po sali.

— Odebrałeś pan ten list!... — zawołał Pellisson.

— Tak, odebrałem.

— Co pan myślisz zrobić?

— Nic, ponieważ go odebrałem.

— Lecz...

— Ponieważ go odebrałem, Pellissonie, to znaczy, że wypłaciłem — rzekł minister z prostotą, serca zakrwawiającą.

— Wypłaciłeś!... — zawołała pani Fouquet w rozpaczy — o!... teraz jesteśmy zgubieni!...

— Dosyć — przerwał Pellisson — nie czas na próżne słowa. Zabrali pieniądze, a potem życia zażądają. Panie mój!... siadaj na koń co żywo!...

— Opuść nas!... — jęczały obie kobiety, oszalałe z boleści.

— Panie mój!... ratując siebie, nas wszystkich ratujesz... Uciekaj!...

— Ależ on na nogach utrzymać się nie może!...

— O!... skoro zaczniemy rozważać!... — odparł nieustraszony Pellisson.

— On ma rację — szepnął Fouquet.

— Ekscelencjo!... ekscelencjo!... — krzyczał Gourville, pędząc po schodach.

— Co tam znowu?...

— Eskortowałem, jak panu wiadomo, kurjera królewskiego z pieniędzmi.

— Tak, wiem...

— Otóż, przybywszy do pałacu, zobaczyłem...

— Odpoczynij, biedny przyjacielu, nie możesz tchu złapać...

— Coś zobaczył?... — wołano niecierpliwie...

— Widziałem muszkieterów dosiadających koni — rzekł Gourville.

— Widzisz pan!... — zawołano jednogłośnie. — Niema chwili do stracenia!...

Pani Fouquet pobiegła wołać o konie.

Pani de Beliere powstrzymywała ją, mówiąc:

— Pani, na miłość Boską, powstrzymaj się, nie okazuj przestrachu.

Pellisson wybiegł, ażeby wydać rozkazy zaprzęgania karety.

Przez ten czas Gourville zbierał do kapelusza od płaczących i przerażonych to, co mogli ofiarować ze złota i srebra.

Ostatnia jałmużna, dana niedoli przez biedaków.

Minister, niesiony i ciągniony, wepchnięty został nakoniec do karety.

Pellisson podtrzymywał omdlałą panią Fouquet.

Pani de Belliere silniejszą była i została też za to wynagrodzoną; otrzymała ostatni pocałunek Fouqueta.

Pellisson wytłumaczył służbie, że pospieszny wyjazd nastąpił wskutek rozkazu króla, powołującego ministra do Nantes.

CCXLIII

W KARECIE PANA COLBERTA.

Prawdę powiedział Gourville, muszkieterowie królewscy dosiedli koni i wyruszyli za swoim dowódzcą.

D'Artagnan wyprowadził tylko muszkieterów, następnie zdał dowództwo nad oddziałem porucznikowi, a sam udał się końmi pocztowymi, przykazawszy podwładnym baczność w drodze.

Lecz choćby jaknajspieszniejszym dążyli marszem, nie mogli jednak pierwej od niego stanąć u celu.

Przejeżdżając ulicą Małych-Pól, miał czas ujrzeć coś, co mu dało dużo do myślenia.

Zobaczył oto pana Colberta, wychodzącego z domu i zamierzającego wsiąść do karety, oczekującej przed drzwiami.

W karecie zaś d'Artagnan ujrzał kapelusze damskie, a ponieważ z natury był ciekawym, postanowił zatem dowiedzieć się, co to za kobiety ukrywały się w powozie.

Trudno było tego dokonać, bo panie miały się na baczności i plecami do okna się zwracały, poradził sobie jednak, podjechał koniem tak blisko, że swoim butem ogromnym uderzył w pudło karety i zachwiał nią całą.

Damy przelęknione krzyknęły, jedna cienkim młodym głosem, druga zaś poważnym, oznaczającym osobę, conajmniej półwiekową.

Podniosły zasłony u kapeluszy i d'Artagnan wiedział już, co chciał wiedzieć: jedną była pani Vanel, drugą księżna de Chevreuse.

— Dobryś!... — pomyślał d'Artagnan. — Stara księżna nie przebiera jak dawniej w znajomościach. Umizga się teraz do kochanki pana Colberta! Biedny Fouquet! źle z tobą!

Odjechał nabok.

Colbert wsiadł do karety i zacna trójka udała się wolnym truchtem do lasku Vinceńskiego.

Pani de Chevreuse wysadziła panią Vanel po drodze przed jej domem, a zostawszy sama z Colbertem, pojechała dalej na spacer, rozmawiając o interesach. Niewyczerpana była w rozmowie kochana księżna, a ponieważ mówiła zawsze źle o drugich a dobrze o sobie samej, opowiadanie jej zatem bawiło towarzysza i było dla niej nie bez korzyści.

Dowiedział się Colbert (o czem nie wiedział), jakim to on był wielkim ministrem, a jaką nic nie znaczącą osobą pan Fouquet.

Obiecała mu, że, skoro zostanie ministrem skarbu, wprowadzi go do towarzystwa najwyższej arystokracji francuskiej i zasięgała zdania jego, czy można i w jakim stopniu pozostawić La Vallierze wpływ na króla.

Pochlebiała mu, to znów zlekka ganiła, dość, że mu zupełnie zawróciła głowę. Tyle mu naodkrywała tajemnic, różnych sekretnych machinacji, że Colbert przez chwilę sądził, iż ma z samym szatanem do czynienia.

A gdy zapytał ją naiwnie, dlaczego tak okrutnie nienawidzi Fouqueta:

— A dlaczego pan go nienawidzisz?... — odrzekła.

— Różnica zdań w polityce, szanowna księżno, sprowadza zwykle nienawiść pomiędzy ludźmi.

Według mego zdania, pan Fouquet działał na szkodę interesów monarchy.

Przerwała mu:

— Nie będę mówiła więcej o panu Fouquet — rzekła. — Podróż króla do Nantes najlepiej nas oświeci o losie jego i wartości. Dla mnie pan Fouquet to człowiek, należący do przeszłości. I pan tak samo myślisz.

Colbert milczał.

— Po powrocie z Nantes — ciągnęła księżna — król, który tylko szuka pretekstu, uzna, że zebranie rady źle postępowało, że za mało poświęciło dla dobra kraju.

Zebranie zaś powie, że podatki są za ciężkie i że intedentura zgubiła naród. Król zwali całą winę na pana Fouquet, a wtedy...

— Cóż wtedy?... — rzekł Colbert.

— Fouquet popadnie w niełaskę. Wszakże i pan tak myślisz?

Colbert spojrzał na księżnę wzrokiem, który mówił wyraźnie: "Jeżeli w niełaskę jedynie popadnie pan Fouquet, a nic gorszego go nie spotka, to nie będzie twoją winą."

— Potrzeba koniecznie — dodała spiesznie pani de Chevreuse — aby twoje stanowisko, panie Colbert jasno było określone. Czy znasz kogo, któryby stanął pomiędzy królem i tobą, po upadku pana Fouqueta?

— Nie rozumiem pani — odpowiedział.

— Zrozumiesz zaraz. Jak daleko sięga twoja ambicja?

— Nie mam jej wcale.

— Niepotrzebnie zatem wyrugowałeś ministra skarbu, panie Colbert.

— Miałem zaszczyt oświadczyć pani...

— O wiem, tak, dla dobra króla... lecz nakoniec pomówmy o twoich interesach.

— Moim interesem jest sprawować dobrze interesy Jego Królewskiej Mości.

— Powiedz mi nakoniec, czy chodzi ci o zgubę pana Fouqueta, czy nie? Odpowiedz mi bez wykrętów.

— Mnie o niczyją zgubę nie chodzi.

— Nie pojmuję zatem, dlaczegoś mi tak drogo zapłacił za listy Mazariniego, dotyczące Fouqueta, tak samo, jak pojąć nie mogę, po co całą tę korespondencję przedstawiłeś królowi?

Colbert patrzył na księżnę wzrokiem osłupiałym.

— Ja znów pojąć nie mogę — odezwał się — jak pani śmiesz mi to wymawiać, pani, która wzięłaś za to pieniądze?

— Dlatego — odparła stara dama — że trzeba wiedzieć przecie czego chcemy, chyba, że nie jesteśmy w możności zrobić tego, co zamierzamy...

— Właśnie też — rzekł Colbert, zbity z tropu tą prostą logiką.

— Jakto, więc nie możesz?

— Przyznaję, że nie jestem w stanie zwalczyć niektórych wpływów, działających na króla...

— Na korzyść pana Fouqueta? Jakież to wpływy? Poczekaj, może ja zgadnę...

— I owszem, proszę pani...

— La Valliere?

— Wpływ słaby bardzo, żadnej znajomości interesów, brak ducha intrygi...

— Pan Fouquet zalecał się jej przecie...

— Nie może go bronić, aby to jej nie zaszkodziło.

— I ja tak myślę.

— Któż więc inny działa na króla?

— Jest ktoś, bardzo nawet potężny.

— Może królowa matka?

— Jej Królewska Mość, królowa matka ma daleko większą słabość dla pana Fouqueta, niż dla syna swojego...

— Nie wierz pan temu — rzekła stara z uśmiechem.

— O ja bardzo często na to patrzyłem — odparł Colbert z niedowierzaniem.

— Dawniej, wszak prawda?

— Teraz, świeżo, księżno, w czasie pobytu w Vaux. Ona przecież przeszkodziła aresztowaniu pana Fouqueta.

— Zdania się zmieniają, kochany panie. To, czego królowa pragnęła wczoraj, może nie chcieć dzisiaj...

— Dlaczego?

— Cóż panu zależy na powodach?

— Przeciwnie, zależy bardzo; ponieważ, gdybym miał pewność, że nie obrażę Jej Królewskiej Mości, w takim razie pozbyłbym się skrupułów...

— Słyszałeś zapewne o wielkiej tajemnicy?

— O tajemnicy?

— Nazywaj to, jak ci się podoba. Otóż królowa matka czuje wstręt do wszystkich, którzy w jakikolwiek bądź sposób przyczynili się do odkrycia tej tajemnicy, a pan Fouquet, jak sądzę, jest jednym z tych ludzi...

— Można być zatem pewnym przyzwolenia królowej matki?

— Widziałam dziś Najjaśniejszą Panią i z jej ust to słyszałam.

— Wierzę pani.

— Więcej ci powiem: znasz może człowieka, który był serdecznym przyjacielem pana Fouquet, niejakiego d'Herblay, biskupa, jak mi się zdaje.

— Biskupa z Vannes.

— Otóż tego pana d'Herblay, znającego również straszną tajemnicę, królowa matka rozkazała ścigać zapamiętale.

— Doprawdy!

— Z taką zawziętością, że, gdyby nawet nie żył już, pragnęłaby głowę jego posiadać, aby przekonać się, że nie przemówi więcej.

— Więc takie jest życzenie królowej?

— Taki rozkaz.

— Znajdziemy pana d'Herblay, księżno.

— O! wiem ja dobrze, gdzie on się znajduje.

Colbert spojrzał na księżnę.

— Powiedz pani, gdzie go szukać.

— Na wyspie Belle-Isle.

— U pana Fouqueta?

— Tak, u pana Fouqueta.

— Będziemy go mieli.

Teraz księżna się uśmiechnęła.

— Nie myśl, że to tak łatwo — powiedziała — i nie obiecuj lekkomyślnie.

— Dlaczegóż to, proszę pani?

— Pan d'Herblay nie należy do tych, których może wziąć pierwszy lepszy.

— Takiż to straszny buntownik?

— My wszyscy, panie Colbert, buntowaliśmy się całe życie, a jednak, jak widzisz, nie tylko wolni jesteśmy, ale w dodatku pozbawiamy wolności innych.

Colbert spojrzał ponuro na starą damę i rzekł ze stanowczością.

— Minęły te czasy, kiedy poddani, tocząc walkę przeciw monarsze, wygrywali tytuły i księztwa dziedziczne. Jeżeli pan d'Herblay jest spiskowcem, skończy na rusztowaniu.

Mało nas obchodzi, czy się to podoba lub nie naszym wrogom.

Słowo nas w ustach Colberta, dało księżnie dużo do myślenia.

Spostrzegła, że z tym człowiekiem rachować się należy.

Colbert poczuł, że ma wyższość nad tą kobietą i chciał ją zachować do końca.

— Żądasz pani — rzekł — abym paną d'Herblay kazał aresztować?

— Ależ ja niczego od pana nie żądam.

— Tak mi się zdawało. Omyliłem się, dajmy zatem spokój tej sprawie. Zresztą król nic o tem jeszcze nie mówił.

Księżna przygryzła wargi.

— A zresztą — ciągnął Colbert — marna to strasznie zdobycz! Cóż dla króla znaczy jakiś tam biskup?... O! nie, nie będę nawet tem sobie głowy zaprzątał.

Cała nienawiść księżny wyszła teraz na jaw.

— Jest to zdobycz kobieca — rzekła — a królowa jest kobietą. Jeżeli chce, ażeby ujęto pana d'Herblay, to ma ważne potemu powody... A czyż pan d'Herblay nie jest przyjacielem tego, który popadł w niełaskę?

— O! to nic nie znaczy!... — mówił Colbert. Będziemy patrzyli przez szpary na pana d'Herblay, jeżeli tylko nie jest wrogiem króla.

Czy się to panie nie podoba?

— Wszak ja nic nie mówię.

— Tak... chciałabyś go pani widzieć w więzieniu, w Bastylji naprzykład.

— Sądzę, że mury Bastylji pewniej ukryją tajemnicę, niż mury Belle-Isle.

— Pomówię o tem z Najjaśniejszym panem.

— Zanim to nastąpi, biskup wam się wymknie. Ja sama takbym zrobiła.

— Ucieknie mówisz, pani! A gdzieżby on się schował? Europa cała do nas należy...

— Znajdzie on schronienie, mój panie. Znać zaraz, że nie wiesz, z kim masz do czynienia. Nie znasz pana d'Herblay, jak nie znałeś Aramisa.

Jest to jeden z czterech muszkieterów, którzy za nieboszczyka króla, Richelieugo obawą napełniali, a podczas regencji masę kłopotów sprawiali Mazariniemu.

— Ależ, pani, cóż on może poradzić, chyba, że posiada państwo udzielne?

— Posiada je, mój panie.

— Pan d'Herblay!

— Powtarzam panu, że jeżeli mu będzie potrzebne, to je już ma, lub mieć będzie.

— Jeżeli wreszcie tak bardzo pani chodzi, ażeby ten buntownik był uwięziony, to zaręczam, że go złapiemy.

— Belle-Isle ufortyfikowana jest, panie Colbert, a ufortyfikowana przez niego samego.

— Choćby jej sam nawet bronił, to przecież nie jest niezdobytą; jeżeli biskup z Vannes zamknie się w Belle-Isle, w takim razie zarządzimy oblężenie i dostaniemy pana biskupa.

— Mogę panu zaręczyć, że królową wzruszy gorliwość pańska i, że czeka cię wspaniała nagroda; lecz cóż mam powiedzieć królowej o zamiarach pańskich względem tego człowieka?

— Że skoro go tylko dostanę, wpakuję go do takiej ciemnicy, skąd nigdy tajemnica jego na świat nie wyjdzie.

— Bardzo dobrze, panie Colbert, od tej chwili jesteśmy prawdziwymi sprzymierzeńcami, a ja zawsze gotową będę na twoje usługi.

— O, pani, to ja oddaję się na twoje... Kawaler d'Herblay jest szpiegiem hiszpańskim, wszak prawda?

— Trochę więcej.

— Ambasadorem tajnym?

— Idź pan wyżej.

— Król Filip III-ci jest bigotem. Zatem... spowiednikiem Filipa III-go?

— Jeszcze wyżej.

— Mondieu!... — krzyknął Colbert, zapominając się wobec wielkiej damy, przyjaciółki królowej, wobec księżny de Chevreuse — więc to generał Jezuitów?

— Zgadłeś pan — odparła księżna.

— O pani, trzeba się spieszyć, bo, jeżeli my go nie zgubimy, ten człowiek nas zgubi!...

— Takie było i moje zdanie, lecz nie śmiałam z niem się odzywać.

— Szczęście całe, że zamiast do nas, zabrał się do spraw królewskich.

— Zanotuj to sobie, panie Colbert: pan d'Herblay nie zniechęca się nigdy, jeżeli raz mu się co nie uda, zaczyna na no-

wo. Nie udało mu się wprawdzie zrobić króla po swojej myśli, lecz prędzej czy później wynajdzie sobie innego, u którego pan nie będziesz pierwszym ministrem.

Colbert zmarszczył groźnie czoło.

— Rachuję na to, że więzienie ureguluje nam tę sprawę, w sposób zadawalający nas oboje. .

Księżna się uśmiechnęła.

— O!... gdybyś pan wiedział, z ilu to już więzień Aramis sie wydostał!...

— Postaramy się, aby teraz tak nie było.

— Czy nie słyszałeś, co przed chwilą mówiłam?... Czy nie pamiętasz, że Aramis był jednym z czterech niezwyciężonych, których Richelieu nawet się obawiał?... A w owej epoce czterej muszkieterowie nie mieli tego, co dziś posiadają: pieniędzy i doświadczenia.

Teraz Colbert przygryzł usta.

— Damy spokój więzieniu — rzekł zcicha — znajdziemy schronienie, skąd i niezwyciężony nie wyjdzie.

— Tak będzie lepiej, kochany nasz sprzymierzeńcze!... — odrzekła księżna. — Lecz późno już, może powrócimy?...

— Tem chętniej, łaskawa pani, że muszę się przygotować do wyjazdu z królem.

— Do Paryża!... — krzyknęła księżna woźnicy.

Kareta zawróciła na przedmieście świętego Antoniego, po zawarciu traktatu, jaki wydawał na śmierć ostatniego przyjaciela pana Fouquet.

Ostatniego obrońcę Belle-Isle.

Dawnego kochanka Marji Michon, a obecnie wroga księżny.

CCXLIV

DWA GABARY.

D'Artagnan udał się w drogę.

Fouquet także wyjechał pośpiesznie i ze wszelkiemi ułatwieniami, jakie obmyślili dla niego wierni i przywiązani przyjaciele.

Pierwsze chwile podróży tej, a właściwie powiedziawszy, ucieczki, zakłócał ciągły niepokój i obawa pogoni.

Trudno było przypuścić, aby Ludwik XIV-ty, jeżeli miał ochotę pochwycić tę zdobycz, puścił ją tak łatwo od siebie; młody lew znał już swą siłę i umiał polować, a posiadał w dodatku gorliwych doganiaczy, na których mógł śmiało polegać.

Powoli jednak wszystkie obawy pierzchły; minister skarbu wmówił w siebie, iż za wielka przestrzeń dzieli go od wrogów, ażeby którykolwiek dosięgnąć go był w stanie. Co się tyczy pozorów wyjazdu, postarali się o nie wierni przyjaciele. Czyż nie jechał na spotkanie króla w Nantes, a pośpiech sam czyż nie dowodził gorącego pragnienia usług dla monarchy?

Znacznie też uspokojony, choć zmęczony okrutnie, przybył do Orleanu, gdzie zastał piękny, ośmiowiosłowy gabar, przygotowany przez wysłanego naprzód kurjera.

Gabary, takie, zbudowane na podobieństwo gondoli, szerokie i mocne, posiadające mały pokoik, przykryty daszkiem na przodzie pomostu i drugi z tyłu w kształcie namiotu, służyły w owej epoce do przebywania drogi rzekę Loarą z Orleanu do Nantes.

Podróżni wogóle woleli jechać wodą, niż traktem głównym, gdzie na stacjach pocztowych czekały ich konie pomęczone i powozy trzęsące.

Fouquet bez straty czasu wsiadł na statek i odbił od brzegu.

Wioślarze, wiedząc, że to jest minister skarbu, wiosłowali z całych sił, spodziewając się sowitej nagrody od tego, który rządził skarbem państwa.

Gabar lotem ptaka sunął po nurtach Loary.

Wschodzące słońce purpurą i złotem oblewało cudne wybrzeża, a świeży i chłodny wiatr poranny przywrócił spokój Fouquetowi.

Do Beaugency żaden wypadek nie zatrzymał szybkiej podróży.

Minister spodziewał się, że najpierwszy w Nantes stanie, że porozumie się tam z głównemi powagami rządu i zapewni sobie ich poparcie; wiedział, że potrafi stać się potrzebnym, co zresztą łatwem było człowiekowi, jak on, zasłużonemu, a tym sposobem, jeżeli nie uniknie katastrofy zupełnie, to przynajmniej odwlecze ją na czas nieograniczony.

Gourville zaś powtarzał mu ciągle.

— Dowiemy się, lub odgadniemy w Nantes, jakie są zamiary wrogów pańskich, przygotujemy konie, ażeby dostać się do Piotou, przygotujemy łódź pewną, a będąc już na morzu, pamiętajmy o tem, że Belle-Isle jest twierdzą niezdobytą. Widzisz pan przecie sam, że nikt nas nie szpieguje i nikt nie goni za nami.

Zaledwie to skończył, gdy na zakręcie rzeki ujrzano w oddali żagiel dużego gabaru, płynącego także z biegiem wody.

— Wioślarze Fouqueta wydali okrzyk zdziwienia.

— Co się stało? — zapytał minister.

— Panie miłościwy — odrzekł sternik statku — to coś niepojętego prawdziwie: jakiś gabar szybko, jak huragan płynie za nami.

Gourville zadrżał i wstąpił na wzniesienie, aby lepiej widzieć.

Fouquet nie poszedł za nim, tylko rzekł z tajoną nieufnością:

— Zobacz, co takiego, mój drogi.

Gabar minął załam rzeki i płynął tak prędko, iż widać było po za nim białą pianę na wodzie, błyszczącą w blasku słońca.

— A to lecą! — powtarzał sternik — to mi dopiero śmigają! muszą być dobrze zapłaceni. Nie przypuszczałem nigdy, ażeby można lepiej od nas wiosłować; przekonywam się teraz, że jednak można!...

— Spodziewam się! — zawołał jeden z ludzi — jest ich dwunastu, a nas ośmiu tylko.

— Dwunastu przy wiosłach! — rzekł Gourville — to niepodobna!

Nie używano bowiem nigdy więcej, nad ośmiu wiośladzy na gabar, nawet dla króla samego.

— Co to znaczy? — mówił Gourville, starając się rozpoznać kto jest na pomoście statku.

— A to im pilno! Lecz to nie król jedzie — rzekł sternik.

Teraz Fouquet zadrżał.

— Po czem poznajesz, że to nie król? — zapytał Gourville.

— Najprzód po tem, że niema chorągwi białej w żółte lilje, która zawsze znajduje się na gabarze królewskim.

— Następnie — przerwał Fouquet — dlatego, że niepodobna, ażeby to był król, Gourvillu; przecież król wczoraj jeszcze znajdował się w Paryżu.

Gourville odpowiedział spojrzeniem, które mówiło: "Pan także byłeś wczoraj w Paryżu."

— Po czem poznajesz, że tamtym pilno?

— Po tem, proszę pana — odparł sternik — że musieli późno po nas wyruszyć, a pomimo to prawie nas dopędzili.

— Kto ci powiedział — rzekł Gourville — że nie wyjechali z Beaugency, albo z Niort nawet?

— Tylko w Orleanie są takie duże gabary. Ten pochodzi z Orleanu, proszę pana i spieszy się okrutnie.

Fouquet i Gourville spojrzeli po sobie porozumiewająco.

Sternik zauważył niepokój panów. Gourville odezwał się, aby go zbić z tropu:

— Pewnie to jaki dobry przyjaciel, który założył się, że nas dogoni; otóż wygrajmy zakład i nie dajmy się złapać.

Sternik chciał odpowiedzieć, że to niepodobieństwo, gdy Fouquet odezwał się z dumą:

— Jeżeli to ktoś, co chce nas dogonić, pozwólmy mu na tę satysfakcję.

— Spróbujemy sił naszych, panie miłościwy — rzekł sternik nieśmiało. — Dalej, chłopcy, żwawo naprzód!

— Przeciwnie! — rzekł Fouquet — stanąć na miejscu.

— Panie! to szaleństwo! — przerwał Gourville nachylając się do ucha swemu panu.

— Stanąć na miejscu! — powtórzył Fouquet.

Ośm wioseł opar̄ło się w wodzie, aż statek w tył się cofnął i stanął nieruchomo.

Drugi gabar nie odrazu spostrzegł manewr pierwszego i zbliżył się prawie na strzał muszkietu.

Fouquet miał wzrok słaby, Gourvillowi blask słońca przeszkadzał, sternik tylko, z tą dokładnością i wprawą, jaką daje ciągła walka z żywiołami, dostrzegł podróżnych na gabarze.

— Widzę! — zawołał — jest ich dwóch.

— Ja nie nie widzę — rzekł Gourville.

— Niezadługo i pan zobaczysz; najwyżej dwadzieścia uderzeń wioseł, a będą o dwadzieścia kroków od nas.

Nie sprawdziło się jednak to, co mówił sternik; garbar naśladował rozkaz, dany przez Fouqueta i, zamiast się zbliżać, stanął na środku rzeki.

— Nic z tego nie rozumiem — rzekł sternik.

— Ani ja również — odezwał się Gourville.

— Ponieważ tak dobrze widzisz ludzi na tamtym gabarze — podjął Fouquet — staraj się opisać nam, jak wyglądają.

— Zdawało mi się, że dwóch widzę — odparł przewoźnik — a teraz jeden jest tylko pod namiotem.

— Jak wygląda?

— Brunet, szeroki w plecach, z krótką szyją.

Niewielki obłok przysłonił słońce. Gourville, ciągle zwrócony w stronę gabaru, ujrzał nareszcie to, co chciał widzieć, a zeskoczywszy nagle z wzniesienia, pobiegł do Fouqueta.

— Colbert! — rzekł głosem zmienionym.

— Colbert! — powtórzył Fouquet — o to zadziwiające doprawdy; lecz nie, mylisz się, to niepodobna!

— Poznałem go, mówię panu i on mnie poznał i nawet schował się do kajuty na tyle statku... Może król go wysłał, ażeby nas zawrócił?

— W takim razie nie stałby na miejscu. Cóż on tam robi?

— Przygląda nam się z pewnością.

— Nie znoszę sytuacji niepewnej! — zawołał Fouquet. Płyńmy wprost na niego.

— O, panie! nie czyń tego, gabar pełen jest zbrojnych.

— Więc mnie aresztują, Gourvillu? Czemuż zatem nie przychodzą?

— Panie, godność twoja nie pozwala nawet, abyś szedł na zgubę własną.

— Mamże ścierpieć, aby mnie, jak złoczyńcę ścigano?

— Nic nie dowodzi, aby cię ścigano, bądź pan cierpliwy.

— Cóż mam robić zatem.

— Nie zatrzymuj się, panie; spieszyłeś, aby sądzono, żeś tak do serca wziął rozkaz królewski. Każ podwoić szybkość teraz, a kto dożyje, ten zobaczy!

— Masz rację. Dalej! — krzyknął Fouquet — ponieważ tamci stoją na miejscu, my ruszajmy w drogę.

Sternik dał znak wioślarzom, którzy, po chwilowym wypoczynku, raźno ujęli za wiosła.

Zaledwie gabar posunął się o jakie sto uderzeń, gdy druga dwunastowiosłówka ruszyła także z miejsca. I tak trwało dzień cały, bez żadnej zmiany w odległości dwóch statków.

Pod wieczór już Fouquet zapragnął wypróbować zamiarów swego prześladowcy. Rozkazał zatem skierować do brzegu, jak gdyby chciał na ląd wysiąść.

Gabar Colberta naśladował ten sam manewr, zmierzając ukosem do wybrzeża.

Dziwnym jakimś trafem, w miejscu, gdzie Fouquet niby chciał wylądować, przechadzał się stajenny z zamku Langeais prowadząc za sobą trzy konie osiodłane. Załoga dwunastowiosłówki sądziła zapewne, że konie te czekają na Fouqueta, aby mu ułatwić ucieczkę; kilku też ludzi, zbrojnych w muszkiety, wyskoczyło na ląd z gabaru i szło brzegiem, z zamiarem wyprzedzenia wierzchowców.

Fouquet zadowolony, że zdemaskował nieprzyjaciela, wiedział już, co o nim trzymać. Rozkazał zatem, aby statek płynął prosto i szybko, jak przedtem.

Ludzie Colberta wsiedli zaraz na swój gabar i pogoń zaczęła się na nowo.

Widząc to, Fouquet zrozumiał, że niebezpieczeństwo jest bliskie i głosem proroczym odezwał się do Gourvilla:

— A cóż ci mówiłem na ostatniem u mnie zebraniu? Czy nie zbliżam się do mojej ruiny?

— O! panie!

— Dwa te staki, idące za soba z taką zawziętością, jakgdyby nam z Colbertem szło o wzięcie nagrody za żeglugę na Loarze, czyż nie przedstawiają dwóch przeznaczeń i czyż nie wierzysz w to Gourvillu, że jeden z nich w Nantes na dno pójdzie?

— Niema jeszcze pewności — zaprzeczył Gourville — pokażesz się pan w radzie królewskiej; dasz poznać wartość swoją; twoja wymowa, genjusz twój w prowadzeniu interesów, są tarczą, która ci posłuży, jeżeli nie do zwycięstwa, to przynajmniej do obrony... Bretończycy nie znają cię, panie, lecz skoro tylko zobaczą i ocenią, wtedy sprawa twoja wygrana. O! niech Colbert ma się na baczności, bo jego gabar, równie jak twój, zatonąć może.

Obydwa szybko dążą, jego nawet szybciej, niż twój, panie, to prawda, lecz zobaczymy, który pierwszy rozbije się u celu.

Fouquet ujął rękę Gourvilla.

— Przyjacielu — rzekł — tak sądzono, wspomnij na przysłowie: "Pierwsi wprzód giną." Otóż Colbert nie myśli prześcignąć mnie! Colbert to mądry ptaszek!

Miał rację Fouquet; gabary płynęły aż do Nantes, obserwując jeden drugi. Skoro minister przybił do przystani, Gourville spodziewał się, że zdoła uniknąć spotkania i wsiąść do powozu.

Próżne nadzieje, drugi gabar zrównał się z pierwszym, a Colbert zbliżył się do Fouqueta i powitał go na bulwarze, z oznakami głębokiego uszanowania.

Wskutek owego demonstracyjnego powitania, cała ludność wybrzeża otoczyła ich.

Fouquet panował nad sobą: czuł to, że w ostatniej chwili wielkości swojej, ma obowiązek względem siebie samego.

Pragnął upaść z takiej wysokości, aby upadkiem swoim zmiażdżyć mógł nieprzyjaciół zawziętych.

Colbert stał mu na drodze, tem gorzej dla Colberta.

To też minister skarbu podszedł do niego i przymrużywszy oczy arogancko, odezwał się:

— Co widzę! to pan Colbert?

— Tak, to ja jestem, dla złożenia mego hołdu waszej ekscelencji — odpowiedział tenże.

— To pan byłeś na tamtym gabarze?

I wskazał dwunastowiosłówkę.

— Tak, ekscelencjo.

— Dwanaście wioseł! — rzekł Fouquet — co za zbytek, panie Colbert! Zdawało mi się przez chwilę, że tam jest królowa matka, albo sam król!

— Ekscelencjo...

Colbert się zaczerwienił.

— O! to podróż kosztowna dla tych, co za nią płacą, panie intendencie — rzekł Fouquet. — Lecz nakoniec przybyłeś. Widzisz jednak — dodał po chwili — że pomimo, iż miałem tylko ośm wioseł, przybyłem jednak pierwszy.

Odwrócił się tyłem, zostawiając Colberta w niepewności, czy wszystkie manewry jego barki uszły wzroku Fouqueta, czy też poznał się na nich.

Nie miał tej rozkoszy, aby widzieć jakąkolwiek obawę w postępowaniu ministra. Nie stracił jednak pewności pozornej i odpowiedział:

— Ekscelencjo, nie mogłem płynąć prędzej, ponieważ naśladowałem poruszenia statku, przodem idącego.

— Dlaczegóż to, panie Colbert? — zawołał Fouquet, oburzony nikczemnością swego wroga — dlaczego, mając możność po temu, nie zrównałeś się ze mną, a nawet nie prześcignąłeś?

— Przez szacunek dla ekscelencji — odrzekł Colbert, kłaniając się do ziemi.

Fouquet wsiadł do karety, przysłanej mu przez radę miejską, i udał się do przeznaczonego sobie w Nantes mieszkania, odprowadzony przez tłumy, jakie od kilku dni gromadziły się pod niecone, oczekując na zebranie się rady państwa.

Zaraz po zainstalowaniu się, Gourville wyszedł, ażeby zamówić konie pocztowe na drogach, prowadzących do Poitiers i do Vannes i kazał trzymać w pogotowiu statek w przystani Paimbeuf.

Wszystko to uskuteczniał w tajemnicy, w sposób, pełen ostrożności i gdyby nie był się wmieszał w tę sprawę przypadek niespodziany, który często krzyżuje najpewniejsze napozór kombinacje, Fouquet byłby ocalony z pewnością.

W nocy rozeszła się wieść po mieście, że król jedzie z wielkim pośpiechem i najdalej za dwanaście godzin do Nantes przybędzie.

Lud, czekając na króla, cieszył się widokiem muszkieterów, świeżo przybyłych ze swym kapitanem, panem d'Artagnanem, którzy rozkwaterowali się w zamku jako straż honorowa monarchy.

Pan d'Artagnan, który zawsze był grzecznym bardzo, poszedł około dziesiątej wieczorem złożyć wizytę ministrowi skarbu, a pomimo, że Fouquet miał febrę i dotkliwe cierpienia potem oblewały zbolałą jego głowę, przyjął jednak d'Artagnana, którego uradował wielce ten zaszczyt, jak to da się widzieć z rozmowy, jaką zawiązał z ministrem.

CCXLV

RADA PRZYJACIELA.

Fouquet leżał w łóżku, starając się zachować siły, tak potrzebne do walki z losem, siły, które tak prędko zużywają się w przeciwnościach.

D'Artagnan ukazał się na progu i został mile powitany przez ministra.

— Dobry wieczór, ekscelencjo — odrzekł muszkieter — jakże się pan czuje po tej podróży?...

— Dziękuję... Dosyć dobrze.

— Jakżeż tam z gorączką?...

— Mam ją, niestety. Leczę się, jak pan widzisz. Zaledwie przybyłem, zaraz nałożyłem kontrybucję na miasto i kazałem dostarczyć sobie ziółek.

— Najprzód, ekscelencjo, trzeba się starać zasnąć.

— Kochany panie d'Artagnan, spałbym z ochotą.

— Cóż panu przeszkadza?

— Ty, panie d'Artagnan.

— Ja, ekscelencjo?

— Ma się rozumieć. Czyż w Nantes tak samo, jak w Paryżu, nie przychodzisz pan w imieniu króla?

— Ależ na Boga, ekscelencjo — odrzekł kapitan — zostawże już raz króla w spokoju! W dniu, w którym przyjdę, w imieniu króla, w sprawie, o jakiej pan myślisz, przyrzekam panu, że nie dam mu oczekiwać długo na objawienie tego. Wtedy położę rękę na szpadzie, jak tego prawo wymaga i odrazu głosem urzędowym wyrzeknę: "Ekscelencjo, w imieniu króla, aresztuję cię!"

Tyle prawdy było w słowach rozumnego Gaskończyka, że Fouquet zadrżał pomimo woli. To, co teraz, mówił jako przypuszczenie, przerażało zarówno jak rzeczywistość.

— Przyrzekasz mi pan szczerość, jeśliby do tego przyszło?.. — rzekł minister.

— Przysięgam, na honor! Lecz obecnie nie zanosi się na nic podobnego, wierz mi, ekscelencjo.

— Skąd wiesz o tem, panie d'Artagnan?... Ja sądzę przeciwnie.

— Nie słyszałem, aby była mowa o czemkolwiek — odrzekł d'Artagnan.

— Nie wierzę!... — bąknął Fouquet.

— Pomimo gorączki jesteś, ekscelencjo, najprzyjemniejszym człowiekiem. Król z pewnością kocha pana w głębi duszy.

Fouquet się skrzywił.

— A pan Colbert?... — rzekł — czy on także mnie kocha?

— Nie mówię o panu Colbercie — odrzekł d'Artagnan. — O! to człowiek wyjątkowy! Być może, że on pana nie kocha, lecz mordioux! wiewiórka, jeżeli tylko zechce, może uciec przed jaszczurką.

— Mówisz do mnie jak przyjaciel i wierz mi, że w życiu mojem nie spotkałem człowieka z takim rozumem i z takiem jak pan sercem.

— Tak się panu podoba mówić — rzekł d'Artagnan. — Czekałeś pan aż do dnia dzisiejszego, ażeby mi ten komplement powiedzieć!

— O! ślepoto ludzka!... — mruknął Fouquet.

— Otóż znów chrypka — rzekł d'Artagnan. — Napij się, ekscelencjo, ziółek. I podał mu filiżankę napełnioną!

Fouquet przyjął i podziękował uśmiechem.

— To już takie moje szczęście — mówił muszkieter. — Dziesięć lat ocierałem się o pana, wtedy kiedy grzebałeś się w złocie; cztery miljony pensji rocznej sam dla siebie posiadałeś, ekscelencjo, a spostrzegłeś mnie dopiero w chwili...

— W chwili upadku — przerwał Fouquet. — Tak, to prawda, prawda święta, panie d'Artagnan.

— Ja tego nie mówię.

— Lecz myślisz tak, co na jedno wychodzi. Otóż jeżeli upadnę, to wierz moim słowom, iż codzień powtarzać będę, bijąc się w czoło: "Głupi szaleńcze! miałeś pana d'Artagnan pod ręką, a nie poznałeś się na nim! złotem go nie obsypałeś!"

— Za wiele łaski — rzekł kapitan — to też przepadam za waszą ekscelencją.

— Jeszcze jeden, który myśli inaczej, niż pan Colbert — rzekł minister.

— Ten Colbert więcej dręczy ekscelencję, niż gorączka nawet.

— Mam słuszne powody — rzekł Fouquet. — Osądź sam, proszę.

I opowiedział szczegóły podróży gabarem oraz prześladowania tajemne Colberta.

— Czyż to nie najlepszy znak upadku mojego?

D'Artagnan spoważniał.

— Racja — rzekł. — Tak, to źle pachnie, jak mawiał pan de Treville.

Mówiąc to, utkwił w ministra wzrok, pełen znaczenia.

— Prawda, kapitanie, że jestem skazany nieodwołalnie? Prawda, że król sprowadził mnie do Nantes, ażeby wydalić z Paryża, gdzie otoczony jestem ludźmi, zawdzięczającymi stanowisko swe wpływom moim i po to, ażeby zawładnąć moją Belle-Isle?...

— Gdzie jest obecnie pan d'Herblay!... — przerwał d'Artagnan.

Fouquet podniósł głowę.

— Mnie osobiście — ciągnął d'Artagnan — zaręczyć to mogę, król nie mówił przeciw panu, ekscelencjo.

— Naprawdę?

— Król rozkazał mi udać się do Nantes, to prawda i rozkazał nic nie mówić o tem panu de Gesvres.

— Mojemu przyjacielowi.

— Panu de Gesvres, pańskiemu przyjacielowi, tak, ekscelencjo — ciągnął muszkieter, a oczy jego co innego mówiły, niż usta.

— Król rozkazał mi zabrać brygadę muszkieterów, co wydawać się może zbytecznem, ponieważ kraj jest spokojnym.

— Całą brygadę?... — rzekł Fouquet, unosząc się na łokciu.

— Dziewięćdziesięciu sześciu kawalerzystów, tak, ekscelencjo, taką samą liczbę, jakiej użyto do aresztowania panów: de Chalais, de Cinq-Mars i Montmorency.

Fouquet słuchał ciekawie tego, co niby od niechcenia prawił muszkieter.

— Cóż dalej?... — zapytał.

— Kilka jeszcze nic nie znaczących rozkazów, jako to: strzedz zamku, strzedz wszystkich mieszkań, nie pozwolić panu

de Gesvres zaciągnąć żadnej warty... panu de Gesvres, pańskiemu przyjacielowi.

— A względem mnie — zawołał Fouquet — jakie rozkazy?

— Nie odebrałem żadnego polecenia, ekscelencjo.

— Panie d'Artagnan... tu chodzi o mój honor, o życie moje może...

Czy mnie nie zwodzisz?

— Ja!... w jakimże celu? Czyż panu co zagraża? Aha, jeden jeszcze rozkaz, dotyczący ekwipaży, statków i łodzi na rzece...

— Rozkaz?

— Tak, lecz to pana nie powinno obchodzić. Prosta ostrożność policyjna.

— Jakaż to kapitanie?

— Ażeby nie pozwolić wyjechać, ani odpłynąć z Nantes nikomu i bez karty z podpisem królewskim.

— Wielki Boże, lecz...

D'Artagnan zaczął się śmiać.

— Wszystko to wejdzie w wykonanie dopiero po przyjeździe króla do Nantes; widzisz zatem, ekscelencjo, że rozkazy pana nie dotyczą.

Fouquet się zamyślił, d'Artagnan udawał, że tego nie uważa.

— Zwierzając się ekscelencji ze wszystkich rozkazów otrzymanych, daję tem samem dowód wielkiego przywiązania, jako też i tego, jak mi chodzi, ażeby go przekonać, że żaden z tych rozkazów nie jest skierowany przeciwko niemu.

— Zapewne — rzekł Fouquet roztargniony.

— Powtórzmy sobie zatem — ciągnął kapitan z oczami, utkwionemi w ministra: — Strzedz bacznie i surowo zamku, w którym wyznaczono kwaterę waszej ekscelencji, wszak prawda?... Czy znasz pan ten zamek?... A! ekscelencjo to prawdziwe więzienie!

Usunąć zupełnie pana de Gesvres, który szczyci się pańską przyjaźnią. Zamknąć wszystkie bramy miasta i przystanie rzek, z wyjątkiem jednego wejścia, lecz to wszystko dopiero po przybyciu króla.

Gdybym podobne rzeczy opowiadał komuś, co ma sumienie zaniepokojone, a nie takiemu człowiekowi, jak pan jesteś, to jest pierwszemu dostojnikowi królestwa, pojmujesz pan, że

skompromitowałbym się na wieki? Boć to pyszna okazja dla kogoś, kto miałby ochotę umknąć! Ani policji, ani straży; rzeka wolna, żadnych rozkazów, drogi wszystkie otwarte, a pan d'Artagnan nawet zmuszony dać swoje konie, jeżeli zażądają! Panie Fouquet, powinno to pana zupełnie uspokoić, gdyż król nie byłby mi zostawił tyle swobody, gdyby żywił jakie złe zamiary względem swego ministra. A teraz, ekscelencjo, żądaj ode mnie wszystkiego, co ci się podoba, jestem na rozkazy twoje, a wzamian ośmielę się prosić o jedną przysługę tylko: pozdrowisz, ekscelencjo, odemnie Aramisa i Portosa, wrazie jeżelibyś udał się do Belle-Isle, jak to masz prawo uczynić, nie tracąc ani chwili czasu, nawet nie przebierając się, nie zdejmując szlafroka, w którym obecnie jesteś.

Przy tych słowach muszkieter skłonił się głęboko, rzucił jeszcze przyjaznym wzrokiem na ministra i znikł za drzwiami. Nie doszedł jeszcze schodów przedsionka, a już Fouquet bezprzytomny prawie, szarpnął za taśmę dzwonka, wołając:

— Koni! gabar szykować!

Nikt nie odpowiadał.

Minister zerwał się i ubrał w to, co znalazł pod ręką.

— Gourville!... Gourville!... — wołał, wsuwając zegarek do kieszeni.

Ciągnął jeszcze za dzwonek, powtarzając ciągle:

— Gourville!... Gourville!...

Gourville wpadł blady, zdyszany.

— Uciekajmy! uciekajmy!... — krzyknął Fouquet, gdy go ujrzał.

— Zapóźno!... — rzekł wierny przyjaciel nieszczęśliwego Fouqueta.

— Zapóźno! Dlaczego?

— Posłuchaj pan...

Przed zamkiem rozlegały się sygnały na trąbach, bito w bębny...

— Co to znaczy, Gourvillu?

— Król przybywa, ekscelencjo.

— Król!

— Tak, panie mój, król, który nie zatrzymywał się na przeprzęgach, który pozabijał konie i przyjechał o ośm godzin wcześniej, niż pan rachowałeś.

— Zgubiony jestem!... — jęknął Fouquet. — Zacny d'Artagnan zapóźno mnie ostrzegł!

Król właśnie wjeżdżał do miasta; odezwały się armaty na wałach, a odpowiedziały im armaty ze statku, stojącego w dole rzeki.

Fouquet zmarszczył brwi, przywołał służbę i kazał się ubierać w strój galowy.

Ukryty za firanką, widział z okna lud, tłoczący się dokoła orszaku królewskiego i znaczny oddział wojska, który niewiadomo jakim sposobom, znalazł się razem z monarchą.

Odprowadzono króla do zamku z wielką ostentacją. Fouquet widział, jak z konia zsiadł i mówił coś do ucha d'Artagnana, który przytrzymywał strzemię królowi.

Skoro król wszedł do przedsionka, d'Artagnan skierował się do mieszkania Fouqueta, lecz tak wolno, tak pomaleńku, zatrzymując się co chwila dla rozmowy z muszkieterami, w rząd ustawionymi, iż rzecby można, że rachował minuty, lub kroki swoje, zanim miał spełnić posłannictwo.

Fouquet roztworzył okno, aby z nim się rozmówić.

— Oho!... — zawołał d'Artagnan, zobaczywszy ministra — jeszcześ pan w domu, ekscelencjo?

Słowo "jeszcze" wymówione z naciskiem przekonało Fouqueta, jak pożytecznemi były rady i wskazówki, udzielone mu podczas odwiedzin muszkietera.

Minister westchnął jedynie.

— Tak, panie jestem jeszcze w domu — odpowiedział — przybycie króla przeszkodziło mi do wykonania zamiaru...

— To ekscelencjo wiesz, że król przyjechał?...

— Widziałem króla i sądzę, że tym razem z jego rozkazu przychodzisz...

— Dowiedzieć się o zdrowie ekscelencji i prosić, jeżeli będziesz mógł, abyś zechciał udać się do zamku.

— Zaraz, panie d'Artagnanie, natychmiast.

— Niema rady!... — rzekł kapitan — obecnie gdy król jest tutaj, niewolno nikomu spacerować po mieście; rozkaz królewski rządzi wszystkimi, zarówno mną jak i panem...

Fouquet westchnął raz ostatni, wsiadł do karety, tak był bowiem osłabiony, że iść nie był w stanie i udał się do zamku w towarzystwie d'Artagnana którego grzeczność obecna o tyle była przerażającą, o ile wpierw była wesołą i dodającą odwagi.

CCXLVI

W JAKI SPOSÓB KRÓL LUDWIK XIV-TY ODEGRAŁ SWOJĄ ROLĘ.

W chwili, gdy Fouquet wysiadał przed zamkiem z karety, człowiek jakiś wystąpił z tłumu i z oznakami wielkiego uszanowania, list mu doręczył.

D'Artagnan przeszkodził posłańcowi mówić z Fouquetem i na bok go usunął, lecz list był już w ręku ministra.

Fouquet rozdarł kopertę, przeczytał, a przerażenie na twarz mu wystąpiło, co z łatwością spostrzegł d'Artagnan.

Minister schował papier i szedł dalej do apartamentów królewskich.

D'Artagnan idąc za Fouquetem, widział przez okna, wybite w murze na każdem piętrze, jak człowiek, który oddał Fouquetowi bilet, rozglądał się po placu dokoła i dawał znaki kilkunastu osobom, które znikły następnie w ulicach bocznych, powtórzywszy wprzód znaki, otrzymane od tajemniczego posłańca.

Fouquetowi kazano czekać przez chwilę na tarasie, dotykającym korytarza, prowadzącego do gabinetu króla.

D'Artagnan wyprzedził wtedy ministra, za którym szedł dotąd z tyłu i udał się do króla.

— Co słychać?... — zapytał go Ludwik XIV, zarzucając zielone sukno na stół, pełen papierów.

— Najjaśniejszy Panie, rozkaz spełniony.

— A Fouquet?

— Pan minister skarbu idzie za mną — odparł d'Artagnan.

— Za dziesięć minut niech go do mnie wprowadzą — rzekł król, żegnając d'Artagnana skinieniem.

Muszkieter wyszedł, lecz zaledwie był w korytarzu, na którego drugim końcu Fouquet oczekiwał, gdy przywołał go z powrotem dzwonek królewski.

— Czy bardzo był zdziwiony?... — zapytał król.

— Kto taki!... Najjaśniejszy Panie?

— Fouquet — powtórzył król, nie dodając żadnego tytułu, co utwierdziło podejrzenia muszkietera.

— Nie, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział.

— Dobrze.

I po raz drugi Ludwik odprawił d'Artagnana.

Fouquet nie ruszał się z tarasu, gdzie go zostawił muszkieter.

Odczytywał list, który zawierał te słowa:

"Knują coś przeciw panu. Nie ośmielą się może zaatakować pana w zamku, lecz pewnie nastąpi to przy powrocie. Mieszkanie otaczają muszkieterowie. Nie powracaj pan, koń biały czeka na pana poza esplanadą."

Fouquet poznał pismo i gorliwość Gourvilla, a nie chcąc skompromitować wiernego przyjaciela, wrazie gdyby go aresztowano, podarł list na drobne kawałki i cisnął na wiatr przez balustradę.

D'Artagnan zszedł go, gdy patrzył na rozlatujące się ostatnie kawałki papieru.

— Ekscelencjo — przemówił — król czeka na pana.

Fouquet przechodził z całą swobodą ruchów przez korytarz, w którym zajęci byli pp. de Brienne i Rose, podczas gdy książę Saint-Agnan, siedząc na niskiem krzesełku, jakby oczekiwał rozkazów, a tymczasem ruchem niecierpliwym przerzucał szpadę z ręki do ręki.

Zadziwiło to Fouqueta, że panowie de Brienne, Rose i Saint-Agnan, zazwyczaj grzeczni i uważni, zaledwie się poruszyli, gdy on, minister skarbu, przechodził.

Lecz czegóż mógł się spodziewać od dworaków ten, którego król nazywał poprostu Fouquetem?

Wyprostował się, podniósł głowę do góry i zdecydowany stawić czoło burzy, wszedł śmiało do gabinetu monarchy.

Król, nie podnosząc się z krzesła, skłonił mu się lekko głową i zapytał troskliwie:

— Jakżeż tam ze zdrowiem, panie Fouquet?

— Mam właśnie paroksyzm febry, lecz jestem na usługi króla mojego.

— Cieszy mnie to; jutro zbiera się wielka rada stanów: czy masz pan gotową przemowę?

Fouquet spojrzał na króla zdziwiony.

— Nie mam Najjaśniejszy Panie — powiedział — lecz powiem z pamięci. Znam stan interesów dokładnie, nie potrzebuję zatem przygotowania. Jedno tylko chciałbym uczynić zapytanie, czy pozwolisz mi, Najjaśniejszy Panie?

— Owszem, pozwalam.

— Dlaczego Wasza Królewska Mość nie raczyła uwiadomić o tem swojego pierwszego ministra jeszcze w Paryżu?

— Byłeś pan chory, nie chciałem cię trudzić.

— Nigdy żadna praca, żadne wyjaśnienie, nie męczy mnie, Najjaśniejszy Panie, a ponieważ nadeszła chwila, że chcę błagać mojego króla o wyjaśnienie...

— O, panie Fouquet!... jakichże wyjaśnień żądasz?

— Chcę wiedzieć, jakie są zamiary Waszej Królewskiej Mości, względem osoby mojej.

Król poczerwieniał.

— Oczerniono mnie — mówił żywo Fouquet — powinienem zatem żądać sprawiedliwości królewskiej...

— Niepotrzebnie to mówisz, panie Fouquet, wiem dobrze, co mi wiedzieć potrzeba.

— Wasza Królewska Mość może wiedzieć tylko to, co mu powiedziano, ja zaś nie odzywałem się nigdy, podczas gdy inni pozwalali sobie...

— Co chcesz przez to powiedzieć, panie Fouquet?... — przerwał król, chcąc skończyć niemiłą rozmowę.

— Zmierzam prosto do celu, Najjaśniejszy Panie i oskarżam, że jest człowiek, który pragnie zgubić mnie w opinji Waszej Królewskiej Mości.

— Nikt tego nie czyni, panie Fouquet.

— Najjaśniejszy Panie, ta odpowiedź przekonywa mnie, iż miałem rację.

— Panie Fouquet, nie lubię, gdy kto oskarża..

— Nawet gdy się jest oskarżonym!...

— Za dużo mówimy o tej sprawie.

— Nie chcesz, Najjaśniejszy Panie, ażebym się usprawiedliwił?

— Powtarzam panu, że cię nie obwiniam.

Fouquet cofnął się wtył i skłonił lekko.

— Nie ulega wątpliwości — pomyślał — że już coś postanowił. Ten tylko, kto nie może się cofnąć, jest tak upartym przy zdaniu swojem. Gdybym w tej chwili udawał, że nie widzę niebezpieczeństwa byłbym ślepym chyba, a gdybym nie starał się go uniknąć, zasłużyłbym na miano głupca.

Głośno zaś odezwał się:

— Czy Wasza Królewska Mość wezwał mnie, z powodu jakiej pracy?

— Nie panie Fouquet, chciałem ci tylko jednej rady udzielić.

— Oczekuję zatem, Najjaśniejszy Panie.

— Odpocznij, panie Fouquet, nie nadużywaj sił swoich, posiedzenie rady nie będzie długiem, a po zamknięciu go, pragnę, aby choć przez dwa tygodnie nie było mowy o interesach w całem moim państwie.

— Czy król mój nie ma nic do powiedzenia mi o przebiegu narady, odbyć się mającej?

— Nie, panie Fouquet.

— Mnie ministrowi skarbu?

— Odpocznij pan, proszę; oto wszystko, co mam ci powiedzieć.

Fouquet przygryzł usta i spuścił głowę.

Kiełkowała mu w mózgu myśl niespokojna.

Niepokój ten udzielił się królowi.

— Czyż pana to gniewa, że możesz odpocząć?... — powiedział.

— Najjaśniejszy Panie, nie przywykłem do odpoczynku.

— Chory jesteś, powinieneś się ochraniać.

— Wasza Królewska Mość mówiłeś mi o mowie na jutro?

Król nie odpowiedział; zmieszało go to zapytanie.

Fouquet zrozumiał ważność chwili.

Czytał w oczach młodego króla, że, gdyby okazał nieufność, pogorszyłoby to sprawę.

— Jeżeli pozna, że się boję — pomyślał — to będzie już po mnie...

Król ze swej strony bał się właśnie nieufności Fouqueta.

— Czyżby się domyślił czego?... — szepnął do siebie.

— Jeżeli się teraz ostro odezwie — pomyślał dalej Fouquet — jeżeli się gniewem uniesie lub będzie tylko gniew udawał, aby mieć pretekst jakiś, nie będę miał wtedy sposobu wyjść ca-

ło z tej awantury. Starajmy się zamydlić mu oczy... Gourville miał rację...

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się naraz — ponieważ dobroć twoja rozciąga pieczę nad zdrowiem mojem do tego stopnia, że uwalnia mnie od pracy, czy mogę mieć nadzieję, że wolnym będę od rady jutrzejszej? Użyłbym tego dnia na wypoczynek w łóżku, prosząc mojego króla, aby pozwolił swemu doktorowi zapisać jakie lekarstwo na tę przeklętą febrę.

— Niech będzie, jak żądasz, panie Fouquet. Uwalniam cię na jutro, przyślę doktora mojego i spodziewam się, że zdrowie odzyskasz.

— Dziękuję — rzekł Fouquet z głębokim ukłonem.

Następnie dodał:

— Czy będę miał szczęście odprowadzenia mojego króla do Belle-Isle, do mnie?

I patrzył prosto na Ludwika, ażeby osądzić, jakie wrażenie uczyni podobna propozycja.

Król znów poczerwieniał.

— Czy wiesz mój panie — odpowiedział starając się uśmiechnąć — żeś powiedział:

Do Belle-Isle, do mnie?

— Prawda, tak powiedziałem, Najjaśniejszy Panie.

— Czy nie pamiętasz otóż — ciągnął król wesoło — żeś mi Belle-Isle podarował?

— I to prawda, Najjaśniejszy Panie. Tylko ponieważ nie przyjąłeś jej wtedy, Wasza Królewska Mość, więc teraz pójdziesz i weźmiesz w swoje posiadanie...

— Bardzo tego pragnę.

— Widzę, że było to zamiarem nietylko moim, lecz i Waszej Królewskiej Mości i niewypowiedzianie szczęśliwym i dumnym się czuje, że król mój zabrał z sobą z Paryża całą straż przyboczną i masę wojska na ten akt uroczysty.

Król bąknął, iż nietylko dlatego zabrał swoich muszkieterów.

— O!... wierzę bardzo — rzekł Fouquet z żywością. — Wasza Królewska Mość zanadto jest pewnym, iż sam jeden przyjąć może z laską w ręku i jednem skinieniem obalić fortyfikacje Belle-Isle.

— Do licha!... — zawołał król — nie chcę wcale niszczyć tych pięknych fortyfikacji, których wystawienie musiało drogo

kosztować... O nie!... niech trwają jaknajdłużej na postrach Anglji i Holandji... Nie zgadniesz nigdy, panie Fouquet, co pragnę oglądać w Belle-Isle: otóż piękne tamtejsze mieszkanki, dziewczęta i kobiety z wybrzeży, co tak ładnie tańczą i są zachwycające w swoich czerwonych spódniczkach!... Bardzo mi zachwalano twoje wasalki, panie ministrze, chciej zatem mi je pokazać.

— Kiedy tylko spodoba się Waszej Królewskiej Mości.

— Czy masz w pogotowiu statki do przeprawy?... moglibyśmy jutro zaraz odpłynąć.

Minister zrozumiał, o co królowi idzie.

— Nie mam, Najjaśniejszy Panie, nie wiedziałem o życzeniu Waszej Królewskiej Mości, a przedewszystkiem nie domyślałem się, że królowi tak spieszno widzieć Belle-Isle i dlatego nie przygotowałem się...

— Masz jednak swój własny statek?

— Mam ich aż pięć, lecz tu żadnego; są one w Port albo w Paimbeouf, a chcąc je sprowadzić, potrzeba byłoby conajmniej dwudziestu czterech godzin. Czy mam kurjera posłać?

— Wstrzymaj się jeszcze; pozbądź się febry najprzód; poczekaj do jutra.

— A!... prawda. Jutro może zupełnie co innego przyjść nam do głowy?... — odparł Fouquet, blady bardzo i pewny już, czego ma się spodziewać.

Król zadrżał i wyciągnął rękę do dzwonka, lecz Fouquet go uprzedził.

— Najjaśniejszy Panie — powiedział — mam febrę, drżę cały; jeżeli chwilę jeszcze zmuszony będę stać tutaj, czuję, że zemdleję. Upraszam Waszą Królewską Mość o pozwolenie udania się do domu.

— Rzeczywiście, drżysz, panie Fouquet, aż przykro patrzeć. Idź już, idź do siebie, przyślę niedługo dowiedzieć się, jak się miewasz...

— Dziękuję Waszej Królewskiej Mości. Mam nadzieję, że za godzinę będzie mi znacznie lepiej...

— Chcę, ażeby cię kto odprowadził — rzekł król.

— Z ochotą wsparłbym się na kimkolwiek.

— Panie d'Artagnan!... — zawołał król, poruszając dzwonkiem.

— Najjaśniejszy Panie — przerwał Fouquet, śmiejąc się gorzko — przeznaczasz kapitana muszkieterów, dla odprowadzenia mnie do domu? Zaszczyt to dwuznaczny okrutnie!... Wystarczy pierwszy lepszy lokaj w tym razie.

— Dlaczegóż to, panie Fouquet? Pan d'Artagnan wszak mnie samego odprowadza nieraz!

— Tak, Najjaśniejszy Panie, lecz czyni to na rozkaz króla; podczas gdy mnie...

— Cóż dalej?

— Jeżeli ja powrócę do domu z dowódzcą muszkieterów królewskich, powiedzą wszyscy, że każesz mnie aresztować.

— Aresztować?... — powtórzył król, bledszy od samego Fouqueta — aresztować!... co znowu?...

— Czegóż to ludzie nie powiedzą!... — ciągnął Fouquet ze śmiechem — założę się, iż znajdą się tacy, którzy śmiać się z tego będą...

Żarcik ten zmieszał monarchę.

Fouquet miał tyle zręczności, czy szczęścia, iż Ludwik XIV-ty bał się kroku, jaki miał uczynić.

Skoro d'Artagnan wszedł, dostał rozkaz przysłania jednego z muszkieterów dla towarzyszenia panu ministrowi.

— Nie potrzeba — odezwał się tenże — wolę powrócić z Gourvillem, który czeka na dole. Lecz to nie przeszkodzi mi korzystać z towarzystwa pana d'Artagnana. Cieszy mnie bardzo, że taki znawca ujrzy Belle-Isle i oceni przynajmniej godnie fortyfikacje wyspy.

D'Artagnan skłonił się, nie pojmując nic, co zaszło pomiędzy królem i ministrem.

Fouquet złożył jeszcze jeden ukłon królowi i udając wielkie osłabienie, wyszedł krokiem powolnym.

Gdy znalazł się już w niejakiej od zamku odległości:

— Nareszcie, jestem ocalony!... — szepnął. — O tak!... ujrzysz Belle-Isle, królu wiarołomny, ujrzysz ją, lecz gdy mnie już tam nie będzie!

I znikł w cieniu ulic bocznych.

D'Artagnan z królem pozostał.

— Kapitanie — odezwał się monarcha — pójdziesz za Fouquetem...

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Zaaresztujesz go w moim imieniu i zamkniesz w karecie.

— W karecie? Dobrze.

— Ażeby nie mógł z nikim rozmawiać w drodze, ani też wyrzucać kartek jakich ludziom, których napotka.

— O!... to, Najjaśniejszy Panie, będzie bardzo trudne!

— Nie...

— Przepraszam Waszą Królewską Mość; nie mogę przecie udusić pana Fouquet, zamykając okna i zapuszczając firanki, jeżeli zażąda odetchnąć świeżem powietrzem. Będzie krzyczał i wyrzucał kartki, o ile mu się spodoba.

— Przewidziałem to, panie d'Artagnan. Kareta z okratowanemi oknami usunie niebezpieczeństwo, o jakiem mówisz...

— Kareta z kratą żelazną!... — zawołał d'Artagnan — czyż podobna takie kraty zrobić przez pół godziny, a przecież Wasza Królewska Mość rozkazuje mi udać się natychmiast do pana Fouqueta.

— Taka kareta jest już gotową.

— To co innego — rzekł kapitan. — Jeżeli ekwipaż gotów, potrzeba tylko kazać konie założyć.

— Już założone.

— A!

— Woźnica i straż wojskowa oczekują w drugim dziedzińcu.

D'Artagnan pochylił głowę.

— To pozostaje mi tylko zapytać króla dokąd mam odwieźć pana Fouqueta?

— Najprzód do zamku Angres.

— Dobrze, Najjaśniejszy Panie.

— A potem, zobaczymy...

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Panie d'Artagnan, jeszcze słowo: zauważyłeś pewnie, iż do ujęcia Fouqueta, nie użyłem mojej straży, co do wściekłości przyprowadzi pana de Gesvres.

— Wasza Królewska Mość nie używa swej straży — rzekł kapitan — ponieważ nie ufa panu de Gesvres.

— Dlatego, że ufam panu.

— Wiem o tem, Najjaśniejszy Panie, nie trzeba mi przypominać.

— Tylko dlatego to robię, mój panie, aby ci oznajmić, że od tej chwili, gdyby się przytrafił jakikolwiek przypadek, a pan Fouquet zdołał uciec... trafiają się takie wypadki, panie.

— O! Najjaśniejszy Panie, bardzo często; lecz trafiają się innym, ale nie mnie...

— Dlaczego nie panu?

— Ponieważ była chwila, w której chciałem ocalić pana Fouqueta.

Król zadrżał.

— Ponieważ — ciągnął kapitan — miałem do tego prawo, bo odgadłem plany Waszej Królewskiej Mości, choć ani słowa o tem nie powiedział, a w dodatku pan Fouquet spodobał mi się bardzo. Wolno mi było przecież okazać mu współczucie?...

— Coprawda, mój panie, to wcale nie wzbudzasz zaufania mego tem opowiadaniem!...

— Gdybym go był wtedy ocalił, byłbym niewinnym zupełnie; co więcej, dobrze bym uczynił, albowiem pan Fouquet nie jest złym człowiekiem.... Lecz on sam tego nie chciał; zła jego gwiazda zwyciężyła; nie umiał korzystać z dobrej chwili... Tem gorzej dla niego!... Obecnie jestem na służbie i posłusznym będę rozkazom otrzymanym... Wasza Królewska Mość może uważać pana Fouqueta, jako już aresztowanego, jako zamkniętego nawet w zamku Angers.

— Powoli... kapitanie... jeszcześ go nie ujął!...

— To do mnie należy, Najjaśniejszy Panie, tylko raz jeszcze proszę, namyśl się królu... Czy na serjo każesz mi aresztować pana Fouquet, Najjaśniejszy Panie?...

— Tak, po tysiąc razy, tak!...

— Napisz to własnoręcznie, Najjaśniejszy Panie.

— Oto masz rozkaz gotowy.

D'Artagnan przeczytał, skłonił się i wyszedł.

Z wysokości tarasu spostrzegł Gourvilla, który z miną uradowaną zmierzał ku mieszkaniu pana Fouqueta.

CCXLVII

KOŃ BIAŁY I KOŃ CZARNY.

— Otóż to dziwne doprawdy — mówił kapitan do siebie — Gourville rozpromieniony, Gourville, biegający po ulicach wtedy, gdy ma pewność, że pan jego w niebezpieczeństwie; wtedy gdy ja znów pewny jestem, że to Gourville podał przed chwilą, kartkę panu Fouquet, ową kartkę, podartą następnie w drobne kawałki i na wiart rzucone. Gourville zaciera ręce, to znaczy, że mu się coś powiodło... Skąd on się wziął tutaj?... Przyszedł z ulicy Chwastów. Dokąd prowadzi ulica Chwastów?...

D'Artagnan z wysokości badał wzrokiem miasto Nantes, badał szeregi ulic, zupełnie, jakgdyby stał nad mapą topograficzną, tylko, że zamiast martwego papieru, miał przed oczami miasto, życiem wrące, pełne postaci ludzkich, snujących się jak cienie. Poza miastem ciągnęły się zielone płaszczyzny, sięgając aż do zaróżowionego horyzontu, który odbijał się w niebieskich wodach Loary i czarnych błotach nadrzecznych.

Od bram Nantes rozchodziły się dwie drogi, jak dwie olbrzymie ręce, w przeciwne strony wyciągnięte.

D'Artagnan, idąc przez taras zamkowy, objął wzrokiem całą panoramę, a śledząc ulicę Chwastów, przekonał się, że dotyka ona jednej z dróg, poczynających się u wyjścia z Nantes.

Jeden krok jeszcze a byłby już zeszedł ze schodów i udał się do warowni, aby, zabrawszy tam karetę okratowaną, pojechać do mieszkania pana Fouueta. Traf jakiś zdziałał że w tej właśnie chwili spojrzał raz jeszcze w przestrzeń i zauważył punkt biały, pędzący szybko po drodze.

— Co to może być? — pomyślał muszkieter — koń zapewne... koń, który uciekł komuś... ale rwie z kopyta!

Biały punkt skręcił raptem na pole lucerną zasiane.

— Koń biały... — ciągnął kapitan, który na tle ciemnem odróżnił teraz wyraźnie kolor i kształty zwierzęcia; — ktoś na nim siedzi... chłopiec jakiś z pewnością... nie może utrzymać wierzchowca, spieszącego naprzełaj do wody...

Myśli te, jak błyskawica przeszły mu przez głowę; zapomniał już o nich nawet, gdy z ostatniego schodu zstępując, spostrzegł białe płatki papieru, podrzucane wiatrem na kamieniach.

— Oto! — pomyślał — resztki listu, podartego przez pana Fouqueta! Biedny człowiek! tajemnicę swoją powierzył wichrom i burzy; lecz wicher i burza nie chcą jej, oddają królowi w ręce! — Niema szansy nieszczęsny minister! W nierówną grę wdałeś się, nieboraku; wszystko przeciw tobie spiskuje! Gwiazda Ludwika XIV twoją zaćmiła; jaszczurka silniejszą jest, a może zręczniejszą tylko od wiewiórki!

D'Artagnan nachylił się i podniósł jeden kawałek papieru.

— Pismo Gourvilla — zawołał, przyglądając się — nie omyliłem się zatem...

Przeczytał wyraz: "koń".

— To coś znaczy — rzekł.

Obejrzał drugi kawałek, na którym nic nie było.

Na trzecim za to stało wyraźnie: biały.

— Koń biały! — powtórzył jak dziecko, składające wyrazy — Boże mój! — zawołał zmieszany — koń biały!

Podejrzenie zaczęło kiełkować w głowie d'Artagnana, a tak szybko wzrastało, że, nie czekając, zawrócił z powrotem na taras.

Koń biały cwałował ciągle w kierunku Loary, na której wodach, otulony we mgły, kołysał się mały statek o żaglu białym.

— O — krzyknął muszkieter — tylko człowiek, unikający pogoni pędzi w ten sposób przez pola uprawne... Tylko Fouquet, tylko biuralista bez doświadczenia, jest w stanie na białym koniu uciekać! Tylko pan i władzca Belle-Isle może szukać zbawienia w kierunku morza, kiedy tuż, o dwadzieścia kroków ma las czarny przed sobą i tylko jeden d'Artagnan na świecie jest w stanie dogonić pana Fouqueta, chociaż go tenże wyprzedził o pół godziny, a w niespełna godzinę ma nadzieję dostać się do swej gabary na rzece...

Po takim monologu, nasz muszkieter rozkazał co prędzej zaprowadzić karetę i ukryć ją w małym lasku poza miastem. Wybrał konia najlepszego, dosiadł go i puścił się ulicą Chwastów, następnie brzegiem Loary, nie zaś drogą, którą udał

się Fouquet, pewnym będąc, że zyska na czasie i niespodziewanie zabiegnie drogę ministrowi.

D'Artagnan, zwykle tak dobry i delikatny dla pana Fouqueta, obecnie, gdy mu się tenże wymykał, zapalił się, jak myśliwy za zwierzyną i sam czuł, że stawał się okrutnym, a nawet krwiożerczym dla swojej ofiary.

Długi czas leciał, nie widząc konia białego; zapał we wściekłość się zmienił, wątpił już o sobie, przypuszczał, że Fouquet zapadł się gdzieś pod ziemię może, lub zmienił konia białego na jednego z tych sławnych, czarnych biegunów, mogących iść z wiatrem w zawody, których szybkość i wytrwałość d'Artagnan, będąc w Saint-Mande, podziwiał.

W tej właśnie chwili, gdy wiatr ciął w oczy, siodło paliło, gdy koń, kłuty ostrogami, ostatnich sił dobywał i wyrzucał po za sobą chmury piasku i kamieni, a d'Artagnan, stojąc w strzemionach, nie widział nic na wodzie, nic pod drzewami i jak błędny szukał czegoś wzrokiem w powietrzu, wtedy to, powiadamy d'Artagnan zmysły postradał prawie.

W przystępie obłędu marzył o drogach powietrznych, jakie dopiero wiek przyszły miał odkryć, wspominał Dedala skrzydła szerokie, które go wybawiły z niewoli kreteńskiej.

Straszne westchnienie pierś mu rozdarło... i mówił, pożerany obawą śmieszności:

— Ja! wyprowadzony w pole przez Gourvilla, ja!... Powiedzą, że się starzeję, powiedzą, że miljon dostałem, ażebym puścił wolno Fouqueta!

Zatopił ostrogi w brzuch konia, przeleciał milę w przeciągu kilku minut.

Nareszcie w oddali, po za płotami, ujrzał punkt biały, który z początku majaczył zaledwie, nakoniec wyłonił się na wzgórzu.

D'Artagnan zadrżał z radości; uspokoił się natychmiast, otarł pot z czoła spływający, pofolgował koniowi, puścił mu wolniej lejce i pozwolił na mniej szybki bieg wspólnikowi swojemu w tem polowaniu na ludzką zwierzynę. Mógł tedy zbadać drogę i położenie względem Fouqueta.

Minister zmęczył wierzchowca białego, przebywając ziemię zaoraną, pragnął zatem jaknajprędzej na grunt twardy się wydostać.

D'Artagnan zaś potrzebował iść prosto pod osłoną wzgórza, zakrywającego go przed wzrokiem nieprzyjaciela; w takim razie pewnym był, że przetnie mu drogę. Tam dopiero zacznie się pogoń prawdziwa, tam walka o śmierć i życie!

— D'Artagnan pozwolił odetchnąć swemu koniowi. Spostrzegł, że Fouquet jechał wolnym kłusem, a zatem także chciał pewnie, aby jego koń odpoczął.

Lecz zanadto spieszno było obydwum, aby tak długo trwać miało. Biały wierzchowiec, skoro stanął na twardym gruncie, puścił się lotem strzały. D'Artagnan ściągnął cugle, a czarny koń jego ruszył galopem. Obydwaj jechali tą samą drogą, odgłosy kopyt mieszały się; Fouquet nie widział jeszcze d'Artagnana.

Lecz gdy wydostali się na czyste pole, rozległ się, jak grzmot tentent konia czarnego. Fouquet obejrzał się i o sto kroków po za sobą ujrzał wroga swojego, pochylonego na szyi bieguna. Nie mógł wątpić: błyszcząca zbroja i mundur czerwony zdradzały muszkietera. Fouquet ściągnął konia i odsadził się o dwadzieścia kroków naprzód.

— Oho! — myślał d'Artagnan — nie na zwyczajnym koniu ucieka Fouquet, baczność tedy!

I z uwagą badał okiem znawcy postać i zalety bieguna.

Odznaczał się on budową silną, a żylastą; nogi suche, pewne, jak ze stali, a kopyta twardsze niż marmur. Dał ostrogę swojemu, lecz przestrzeń dzieląca ich wcale się nie zmniejszała. D'Artagnan nadstawił uszu: nie było słychać dyszenia końskiego, a przecież Fouquet pędził jak wiatr.

Przeciwnie, koń czarny, jak w paroksyźmie kaszlu, rzęził i robił bokami.

— Niech padnie — myślał muszkieter — lecz dopędzić go muszę...

I zaczął mundsztukiem krwawić pysk biednego zwierzęcia, a ostrogi w brzuch mu zagłębiać.

Przyprowadzony do ostateczności, koń pomknął naprzód i zbliżył się na strzał pistoletowy do Fouqueta.

— Odwagi! — mruczał muszkieter — odwagi! biały przecie ustanie, a jeżeli koń nie padnie, jeździec długo nie wytrzyma!

Lecz koń i jeździec trzymali się ostro i coraz na odległości zyskiwali.

D'Artagnan wydał okrzyk dziki; minister się odwrócił.

— A to wściekły jeździec i koń zarazem! — przeklinał kapitan.

— Hola! mordioux, panie Fouquet! hola! stój! z rozkazu króla!

Fouquet nie odpowiedział.

— Czy pan słyszysz? — zawył d'Artagnan, którego koń się potknął.

— Słyszę! — odparł Fouquet lakonicznie.

I dalej leciał.

D'Artagnan o mało nie oszalał; krew napływała mu do skroni, do oczu, w uszach szum się rozlegał.

— Z rozkazu króla! — krzyknął jeszcze — stój! lub strzelę...

— Proszę — odrzekł Fouquet, nie przestając uciekać.

D'Artagnan porwał pistolet, odwiódł kurek, spodziewając się, że chrzęst stali powstrzyma nieprzyjaciela.

— Masz pan także pistolety! — zawołał — broń się zatem...

Fouquet odwrócił się i patrząc prosto w twarz kapitana, rozpiął prawą ręką ubranie na piersiach, lecz olstrów się nie dotknął.

Dwadzieścia zaledwie kroków ich dzieliło.

— Mordioux! — rzekł d'Artagnan — nie zostanę pańskim zabójcą przecież.... jeżeli strzelać nie chcesz, poddaj się zatem... cóż znaczy więzienie?...

— Wolę śmierć na miejscu — odparł Fouquet.

D'Artagnan z rozpaczy, cisnął pistolet o ziemię.

— Żywcem cię wezmę! — rzekł.

I cudem, do jakiego on tylko był zdolnym, podjechał tak blisko do konia białego, że wyciągnął już rękę po zdobycz.

— Zabij mnie! — rzekł Fouquet.

— Nie! żywego wezmę!

Po raz drugi koń się potknął; Fouquet wysunął się naprzód.

Straszny, niebywały widok przedstawił ten pościg piekielny, gdzie konie zdawały się iść już tylko silną wolą panów.

Można rzec było, że d'Artagnan leciał niosąc wierzchowca swego pomiędzy kolanami.

Po szalonym galopie kłus nastąpił, a i ten wolniał z każdą chwilą, a jeźdźcom jednak zdawało się, że pędzą ciągle równie szybko.

D'Artagnan uczynił wysiłek nadludzki; skoczył do Fouqueta, uchwycił go za nogę i głosem dyszącym, złamanym, wołał:

— W imieniu króla! aresztuję pana; roztrzaskaj mi głowę w ten sposób obydwaj spełnimy naszą powinność

Fouquet do rzeki cisnął pistolety, z obawy by ich d'Artagnan nie pochwycił i zsiadłszy z konia, przemówił:

— Jestem jeńcem twoim, panie, oprzyj się na mnie gdyż widzę, że omdlewasz.

— Dziękuję — szepnął d'Artagnan, który rzeczywiście czuł ziemię, chwiejącą się pod nim.

Padł też jak długi na piasek, bez tchu i bez życia prawie.

Fouquet zeszedł do rzeki, zaczerpnął wody w kapelusz, zlał skronie muszkietera i parę kropel wpuścił mu w usta.

D'Artagnan uniósł się i wodził dokoło błędnemi oczyma.

Zobaczył pana Fouqueta klęczącego, z mokrym kapeluszem w ręku i z uśmiechem nieskończonej słodyczy na ustach.

— Więc pan nie uciekłeś! — zawołał. — O! wierzaj mi! że prawdziwym królem, ze względu na prawość serca i wielkość duszy, nie jest wcale ani Ludwik XIV, ani Filip z twierdzy św. Małgorzaty, lecz ty, panie, ty wygnańcze, ty potępiony!

— Ja, który ginę dziś przez jedną wielką pomyłkę, panie d'Artagnan.

— Jakąż to, na miłość Boską?

— Powinienem był ciebie mieć przyjacielem. Lecz jakże dostaniemy się z powrotem do Nantes? Djabelny kawał drogi!

— To prawda — rzekł d'Artagnan ponuro.

— Mój biały koń pójdzie może; a! co to był za dzielny rumak! Siadaj, panie d'Artagnan, ja pójdę obok, dopóki nie odpoczniesz.

— Biedne zwierzę! ranione! — rzekł muszkieter.

— Mówię panu, że pomimo to pójdzie jeszcze, znam ja go dobrze; najlepiej będzie, gdy obydwaj wsiądziemy...

— Spróbujmy — rzekł kapitan.

Zaledwie wsiedli, gdy zwierzę pod tym podwójnym ciężarem zachwiało się i padło obok czarnego konia, który już martwy leżał.

— Pójdziemy piechotą, tak chce przeznaczenie; spacer będzie cudowny — dodał Fouquet, ujmując pod rękę d'Artagnana.

— Mordieux!... — zawołał tenże z rozpaczą — Wolałbym nie dożyć tej chwili!...

Szli wolno te cztery mile oddzielające ich od lasku, po za którym stała kareta z eskortą.

Skoro Fouqlet ujrzał okrutną machinę, odezwał się do d'Artagnana, spuszczającego oczy, jak gdyby wstydził się za Ludwika XIV-go.

— Otóż to pomysł wcale nieszlachetny, kapitanie d'Artagnan, nie od ciebie pochodzi z pewnością... Poco te kraty żelazne?...

— Ażebyś pan nie mógł wyrzucać kartek jakich przez okna.

— Dowcipny wynalazek, niema co mówić!...

— Wprawdzie, nie możesz pan pisać, lecz mówić, któż ci zabroni?... — rzekł d'Artagnan.

— Choćby do pana?...

— Jeżeli tylko taka wola pańska...

Fouquet zamyślił się, następnie patrząc prosto w oczy kapitanowi:

— Jedno tylko, jedyne słowo — rzekł — czy zapamiętasz?...

— Zapamiętam.

— I powiesz temu, którego wskażę?...

— Powiem.

— Saint-Mande... — wyszeptał Fouquet.

— Dobrze!... komu powiedzieć?...

— Pani de Belliere lub Pellissonowi.

— Będą wiedzieli.

Kareta minęła Nantes i udała się drogą do Angers.

CCXLVIII

WIEWIÓRKA UPADA, A JASZCZURKA SKRZYDEŁ DOSTAJE.

Godzina druga z południa.

Król niecierpliwie mierzy gabinet, to znów taras, a od czasu do czasu roztwiera drzwi korytarza, dla zobaczenia, co robią sekretarze.

Pan Colbert siedzi na tem samem miejscu, gdzie zrana pan de Saint-Agnan wysiadywał tak długo i rozmawia z panem de Brienne.

Ludwik XIV-ty gwałtownie drzwi otworzył i zwrócił się do nich.

— O czem rozmowa?... — zapytał.

— O pierwszem posiedzeniu rady — rzekł de Brienne, powstając.

— Bardzo słusznie — powiedział król i wrócił do siebie.

W pięć minut potem dzwonek przywołał pana Rose, który był właśnie na służbie.

— Skończyłeś przepisywać?... — zapytał król.

— Jeszcze nie, Najjaśniejszy Panie.

— Przekonaj się, powiadam.

— Nie jeszcze, Najjaśniejszy Panie.

— Idź natychmiast...

— Kiedy wiem, że nie powrócił, Najjaśniejszy Panie.

— Dziwne, niepojęte!... — szeptał monarcha.

— Przywołaj pana Colberta...

Colbert wszedł; czekał on na tę chwilę od samego rana.

— Panie Colbert — rzekł król prędko — trzeba się dowiedzieć, co się stało z panem d'Artagnan.

Colbert odrzekł spokojnie.

— Gdzie Wasza Królewska Mość każe mi go szukać?

— Czyż nie wiesz mój panie, dokąd go posłałem?... — mówił król cierpko.

— Nie powiedziałeś mi tego, Najjaśniejszy Panie.

— Panie Colbert, są rzeczy, które się odgaduje, a przedewszystkiem panu to z łatwością przychodzi...

— Mogłem przypuszczać, Najjaśniejszy Panie, lecz nie ośmieliłbym się odgadywać.

Zaledwie Colbert wymówił te słowa, gdy głos ostry przerwał rozmowę pomiędzy nim i monarchą.

— D'Artagnan!... — zawołał król uradowany.

D'Artagnan zły i blady odezwał się do króla:

— Najjaśniejszy Panie, czy Wasza Królewska Mość wydał rozkaz moim muszkieterom?

— Jaki rozkaz?... — zapytał król.

— Co do mieszkania pana Fouquet.

— Żadnych poleceń ani rozkazów nie dawałem.

— A!... — rzekł d'Artagnan gryząc wąsy. — Nie omyliłem się zatem: to ten jegomość...

I wskazał Colberta.

— Cóż to się stało?... — zapytał Ludwik XIV-sty.

— Wydał rozkaz rewizji całego domu, kazał bić służbę i urzędników, odbijać zamki i szuflady, przewrócić do góry nogami mieszkanie prywatne spokojnego obywatela; mordioux! dziki nie powstydziłby się takiego czynu!

— Panie!... — przerwał Colbert rozjątrzony.

— Panie!... — mówił swoje d'Artagnan — król tylko jeden, czy słyszysz pan?... król tylko ma prawo rozkazywać moim muszkieterom; panu zaś zabraniam stanowczo i mówię to w obecności Najjaśniejszego Pana; szlachta, nosząca szpady, to nie twoi kanceliści zbrojni w piórko za uchem.

— D'Artagnan! d'Artagnan! — upominał Ludwik XIV-sty.

— To wstyd, to hańba — ciągnął muszkieter — żołnierze moi shańbieni. Ja przecie nie dowodzę rabusiami albo jakimś tam piszczykami z intendentury, mordioux!

— Powiedzże raz, o co chodzi?... — przemówił król rozkazująco.

— Ten oto pan, który nie potrafił domyśleć się rozkazów Waszej Królewskiej Mości i co za tem idzie, nie wiedział, że pojechałem aresztować pana Fouqueta, pan ten, który zbudował klatkę żelazną na swego wczorajszego zwierzchnika, posłał pana de Roncherat do mieszkania pana Fouqueta, aby zabrać jego papiery, przyczem poniszczono i połamano wszystkie sprzęty. Muszkieterowie pilnowali domu od rana, tak im rozkazałem. Dlaczego ośmielono się rozkazać wejść im do środka? Dlaczego, zmuszając ich do obecności przy rabunku, zrobiono z nich niejako wspólników? Mordioux! my służymy królowi, nie zaś jakiemuś tam panu Colbert!

— Pan d'Artagnan — rzekł król surowo — uważaj, co mówisz; w obecności mojej, podobne słowa nie powinny mieć miejsca.

— Działałem tak, mając na celu dobro króla — rzekł Colbert głosem zmienionym — przykro mi być traktowanym w ten sposób przez oficera Waszej Królewskiej Mości, gdy w dodatku nie mogę mu odpłacić tą samą monetą, z powodu szacunku winnego mojemu królowi.

— Szacunek, jaki winieneś pan królowi — zawołał d'Artagnan z wzrokiem płomiennym — polega na tem aby nakazać ludowi poszanowanie dla władzcy i miłość dla osoby królewskiej. Każdy przedstawiciel tej władzy reprezentuje króla, a gdy lud przeklina rękę karzącą, to Bóg składa odpowiedzialność na głowę panującego, czyś pan zrozumiał? Potrzeba, ażebym ja, żołnierz, który od lat czterdziestu patrzę na krew i rany, dawał ci lekcję, mój panie? Czyż miłosierdzie powinno być moim udziałem, a twoim okrucieństwo wściekłe?... Rozkazałeś aresztować i pakować do więzienia samych niewinnych!

— Mogą to być wspólnicy pana Fouqueta — rzekł Colbert.

— Kto panu powiedział, że Fouquet ma wspólników, lub że sam jest winnym? Król tylko wie o tem, a sprawiedliwość jego nie jest ślepą. Skoro powie: aresztuj, zamknij do więzienia tego a tego trzeba władzcy słuchać...

Nie mów pan o czci twojej dla króla, a strzeż się pogróżek dla mojej osoby, ponieważ król nie pozwoli niezręcznym służalcom grozić temu, który mu wiernie służy, a w razie gdyby mój władzca, co nie daj Boże, był o tyle niewdzięcznym, to ja potrafię sam dla siebie szacunek nakazać.

To powiedziawszy, d'Artagnan wyprostował się dumnie, z błyskawicą w oku, z ręką na szpadzie, z wargą drżącą i udawał więcej jeszcze gniewu, niż go czuł w istocie.

Colbert poniżony, wściekły, skłonił się królowi, jakgdyby prosił o pozwolenie odejścia.

Król, podrażniony w dumie, a ciekawy nad wyraz, nie wiedział, co począć. D'Artagnan widział i osądził, że dłuższa obecność pozbawiłaby go wyższości, potrzebował zaś koniecznie upokorzyć Colberta, a jedynym na to sposobem było podrażnić króla do żywego, aby Najjaśniejszy Pan nie znalazł innego wyjścia, nad przychylenie się wyraźne na stronę jednego z przeciwników.

D'Artagnan tedy ukłonił się tak samo jak Colbert, lecz król, któremu szło o dowiedzenie się szczegółów aresztowania ministra skarbu, tego ministra, przed którym raz jeden w życiu drżał przez chwilę, a widząc, że zły humor d'Artagnana opóźni o kwadrans przynajmniej zwierzenia, Ludwik XIV-sty, zapomniał o Colbercie, który nie miał nic nowego ani ciekawego do

powiedzenia i przywołał z powrotem dowódzcę muszkieterów swoich.

— Zostań pan — rzekł — zdaj raport najprzód, odpoczniesz potem.

D'Artagnan miał właśnie próg przekroczyć, lecz cofnął się na głos króla, a Colbert skonfudowany musiał wyjść za drzwi. Zaczerwienił się okropnie, a małe czarne oczki paliły się złością z pod brwi krzaczastych; skłonił się raz jeszcze przed królem, wyprostował, mijając d'Artagnana i wyszedł nareszcie wściekły z gniewu.

D'Artagnan, zostawszy sam z królem, złagodniał natychmiast, ułożył twarz uprzejmie i rzekł:

— Młodym monarchą jesteś, Najjaśniejszy Panie. Poranek zwykle zapowiada dzień pogodny lub burzliwy. Królu mój, jakąż wróżbę wyciągnie o twojem panowaniu lud, przez Boga ci powierzony, jeżeli pomiędzy nim, a tobą staną ludzie, chciwi gwałtów?

Lecz wracajmy do mego posłannictwa, Najjaśniejszy Panie, porzućmy rozprawy, które nie przystoją mi może.

Aresztowałem pana Fouqueta.

— Dużo czasu na to użyłeś — rzekł król niechętnie.

D'Artagnan spojrzał na króla.

— Źlem się wyraził — odpowiedział — donosząc Waszej Królewskiej Mości, żem aresztował pana Fouqueta.

— Tak? cóż dalej?

— Powinienem był donieść, że pan Fouquet mnie zaaresztował, byłoby to sprawiedliwiej. Prostuję zatem pierwsze doniesienie: zostałem aresztowany przez pana Fouqueta.

Teraz Ludwik XIV-sty nie mógł wyjść z podziwu. Jego Królewska Mość osłupiał...

D'Artagnan odgadł, co się dzieje w umyśle monarchy. Nie zostawił mu czasu na pytania.

Opowiedział poetycznie, malowniczo — jak to on sam tylko potrafił — ucieczkę Fouqueta, pogoń za nim, a nakoniec szlachetność niezrównaną ministra, który mógł dziesięć razy uciec, mógł dwadzieścia razy zabić przeciwnika, a który wołał więzienie, a może coś nawet gorszego, niż upokorzenie człowieka, który mu wolność odbierał. W miarę opowiadania kapitana muszkieterów, król rozpalał się, połykał jego słowa i ręce tarł ze wzruszenia.

— Z tego wynika, Najjaśniejszy Panie, w moich oczach przynajmniej, że człowiek, tak postępujący jest człowiekiem prawym i uczciwym, a zatem nie może być wrogiem króla. Oto jest moje zdanie. Wiem, co mi król odpowie i naprzód pochyłam głowę: sprawa stanu!

Nich tak będzie, uważam to za bardzo ważne. Jestem żołnierzem, dostałem polecenie, wykonałem je, z bólem serca, copraw da, lecz wykonałem. A teraz milczę.

— Gdzie jest Fouquet obecnie?... — zapytał król po chwili.

— Pan Fouquet, Najjaśniejszy Panie — odparł d'Artagnan — zamknięty w żelaznej klatce, przygotowanej przez Colberta, pędzi co koń wyskoczy do Angers.

— Dlaczego opuściłeś go w tej drodze?

— Ponieważ nie miałem polecenia jechać do Angers. Najlepszym tego dowodem, że przed chwilą król kazał mnie poszukiwać... a w dodatku miałem inne jeszcze powody.

— Jakież to?

— Gdybym został, biedny pan Fouquet nie próbowałby nawet wydostać się na wolność.

— A więc!... — zawołał król osłupiały.

— Najjaśniejszy Panie, najgorętszem życzeniem moim jest widzieć pana Fouquet wolnym. Straż nad nim powierzyłem brygadjerowi, największemu niedołędze ze wszystkich moich muszkieterów, z tą myślą, ażeby więzień uciekł.

— Czyś oszalał, panie d'Artagnan!... — zawołał król, krzyżując ręce na piersiach.

Czy podobna mówić takie rzeczy, jeżeli na nieszczęście ma się je w myśli?

— O! Najjaśniejszy Panie, nie spodziewasz się chyba, ażebym był nieprzyjacielem pana Fouquet, po tem, co dla mnie i dla ciebie uczynił.

Nie każ mi go, królu, pilnować, nie każ nigdy, jeżeli chcesz, aby pozostał w niewoli; chociażby klatka lepiej jeszcze okutą była, to skończy się na tem, że ptaszek wyfrunie.

— Dziwię się mocno — rzekł król ponuro — żeś pan odrazu nie przeszedł na stronę tego, którego pan Fouquet chciał na tronie moim posadzić. Wszytko cię tam ciągnęło: przywiązanie i wdzięczność... W mojej zaś służbie, mój panie, służy się tylko jednemu panu.

— Gdyby pan Fouquet nie poszedł był wyciągnąć Waszej Królewskiej Mości z Bastylji — odparł d'Artagnan ponuro — to wiesz dobrze, Najjaśniejszy Panie, że jest człowiek, który byłby tam poszedł, a tym człowiekiem ja jestem.

Król zamyślił się nad oświadczeniem szczerem, a prostem kapitana swoich muszkieterów, bo gdy słuchał tego, wspomniał niejedno wydarzenie. Wspomniał, jak to ongi, d'Artagnan, ukryty za kotarą łóżka, strzegł go, gdy lud paryski z kardynałem de Retz na czele przyszedł sprawdzić obecność jego, wspomniał, jak pozdrawiał ręką d'Artagnana, udając się do Notre-Dame po powrocie do Paryża; pamiętał porucznika, którego przywołał, gdy skon Mazariniego oddał mu władzę do rąk; a zawsze przedstawiał się d'Artagnan pamięci monarchy, jako człowiek prawy, odważny i oddany mu sercem całem.

Ludwik uchylił drzwi i przywołał Colberta.

Colbert, czy ty kazałeś zrobić rewizję u pana Fouqueta?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Cóż znalazłeś?...

— Pan de Ronchechart, wysłany z muszkieterami Waszej Królewskiej Mości, oddał mi papiery.

— Sam je przejrzę. Podaj mi pan rękę.

— Rękę Najjaśniejszy Panie?

— Tak, złączę ją z ręką pana d'Artagnan — dodał — zwracając się z uśmiechem do żołnierza, który w obecności urzędnika przybrał znów postawę wyniosłą — poznajcie się, panowie.

A wskazując Colberta:

— Jestto mierny pracownik na stanowisku podrzędnem, lecz będzie wielkim człowiekiem, skoro wyniosę go na pierwsze miejsce.

— Najjaśniejszy Panie!... — jąkał Colbert, przejęty radością i obawą zarazem.

— Rozumiem teraz przyczynę — szepnął d'Artagnan do ucha królowi — zazdrość go pożerała.

— Właśnie i ta zazdrość nie pozwalała mu skrzydeł rozwinąć.

— Będzie to obecnie wąż skrzydlaty — mruczał muszkieter, nie mogąc odrazu pozbyć się uprzedzeń do niedawnego przeciwnika.

Lecz Colbert podszedł do niego z obliczem odmiennem zupełnie, niż dotąd u niego widział; słodycz i dobroć malowały się na twarzy, a spojrzenie miało tyle inteligencji szlachetnej, że d'Artagnan, który znał się na powierzchowności ludzkiej, zmiękł i prawie zmienił zdanie o ministrze.

Colbert uścisnął mu rękę.

— To, co król panu teraz powiedział, dowodem jest, o ile Najjaśniejszy Pan zna się na ludziach.

Ścigając i prześladując nadużycia, nie zaś ludzi, chciałem dać dowód, iż pragnę monarsze mojemu przygotować świetne panowanie, a ojczyźnie mojej zapewnić szczęście i wielkość. Masę mam projektów, panie 'dArtagnan, ujrzysz je w czyn wprowadzone, skoro pokój w kraju zakwitnie, a jeżeli nie mam pewności, czy zdobędę przyjaźń ludzi zacnych i dobrze myślących, spodziewam się jednak na ich szacunek zasłużyć. Życie moje poświęcę dla otrzymania takiej nagrody.

Te wzniosłe uczucia, ta zmiana gwałtowna i milcząca aprobata króla dały dużo do myślenia muszkieterowi.

Ukłonił się też bardzo grzecznie Colbertowi.

Widząc, że są pojednani, król pożegnał ich skinieniem, poczem wyszli obydwaj. Skoro znaleźli się po za gabinetem, nowy minister zatrzymał kapitana temi słowy:

— Czy to podobna, panie d'Artagnan, abyś ty taki przebiegły i bystry, od pierwszego rzutu oka nie poznał się na mnie?

— Panie Colbert — odparł muszkieter — gdy słońce świeci, gwiazdy nikną na niebie. Człowiek, stojący u szczytu władzy, roztacza jasność dokoła, pan wiesz o tem, a ponieważ to teraz twoja rola, dlaczegóż miałbyś prześladować tego, co popadł w niełaskę?

— Ja, panie?... — odrzekł Colbert — o, wierzaj mi, ja nigdy prześladować nie będę. Chciałem zarządzać, ponieważ jestem ambitny, a nadewszystko, ponieważ znam wartość moją. Wiem, że wszystko złoto mojego kraju przyjdzie do mnie, a ja lubię ogarniać złoto mojego króla, a choćbym żył lat trzydzieści na stanowisku ministra, ani jeden szeląg nie przylgnie mi do ręki.

Z pomocą tego złota zbuduję spichrze ludowe, ażeby składać zapasy na lata głodu; wzniosę miasta, gmachy i pomniki, zbuduję porty morskie, stworzę marynarkę, uzbroję okręty, które

poniosą daleko sławę i imię Francji najpierwszy i najbogatszy kraj na ziemi. Oto masz pan powody niechęci do pana Fouquet, który przeszkadzał mi w działaniu.

Potem zaś, gdy stanę się wielkim i silnym, potem ja także zawołam: Przebaczenie!

— Przebaczenie!... wyrzekłeś pan, zatem błagajmy króla, niech go uwolni.

Król, tylko że względu na pana, aresztował Fouqueta.

Colbert podniósł głowę do góry.

— Wiesz pan dobrze — rzekł — iż nie o to chodzi; król osobistą ma urazę do pana Fouquet... nie do mnie należy mówić o tem panu.

— Król się znuży, zapomni.

— Panie d'Artagnan, król nigdy nie zapomina... Posłuchaj pan, król woła kogoś, zapewne ma coś do rozkazania; przekonasz, się co powie, a wszak ja na niego nie wpływałem?

Rzeczywiście król przywołał sekretarzy.

— Pan d'Artagnan?... — rzekł także.

— Jestem, Najjaśniejszy Panie.

— Odkomenderuj dwudziestu muszkieterów; oddaj ich panu de Saint-Agnan, aby strzegł pana Fouqueta.

D'Artagnan i Colbert zamienili spojrzenia.

— Z Angers — ciągnął król — odprowadzą więźnia do Bastylji.

— Miałeś pan rację — szepnął kapitan do ministra.

— Saint-Agnan — mówił król — każdego, ktoby chciał rozmawiać z panem Fouquet, każesz rozstrzelać na miejscu.

— A ja, Najjaśniejszy Panie?... — rzekł książę.

— Będziesz z nim mówił tylko w obecności muszkieterów.

Książę ukłonił się i wyszedł.

D'Artagnan zamierzał odejść także; król go zatrzymał.

— A ty, panie — rzekł — udasz się zaraz dla zajęcia wyspy i twierdzy Belle-Isle.

— Ja sam, Najjaśniejszy Panie?...

— Weźmiesz tyle wojska, ile wymaga oblężenie, na wypadek, gdyby warownia poddać się nie chciała.

Szmer powątpiewania dał się słyszeć w otoczeniu.

— Bywały takie wypadki — rzekł d'Artagnan.

— Tak, widziałem to w dzieciństwie moim i nie chcę widzieć więcej. Słyszałeś pan?... Idźże z Bogiem i powracaj nie inaczej, jak z kluczami twierdzy.

Colbert przysunął się i rzekł do d'Artagnana.

— Polecenie to, jeżeli go dobrze wykonasz, sprowadzi panu buławę marszałkowską...

— Dlaczego pan mówisz: "jeżeli dobrze wykonam?..."

— Dlatego, że jest trudnem.

— W czemże znów?...

— Twoi przyjaciele schronili się na Belle-Isle, panie d'Artagnan, a takim jak pan ludziom, nie łatwo jest dochodzić do celu po trupach przyjaciół.

D'Artagnan spuścił głowę, a Colbert wrócił do króla.

W kwadrans potem kapitan otrzymał rozkaz na piśmie, aby w razie oporu, Belle-Isle w powietrze wysadzić, rozkaz nadał mu też prawo życia i śmierci nad mieszkańcami stałymi i czasowymi, z nadmienieniem, ażeby nie wypuścić nikogo.

— Colbert ma rację — myślał d'Artagnan — życiem moich przyjaciół musiałbym opłacić buławę marszałka Francji. Zapomina jednak, że moi przyjaciele to mądre ptaszki, czekać nie będą, aż ptasznik ich za łeb weźmie... Wskażę im dobrze tego ptasznika... tak dobrze, że będą mieli czas wyfrunąć. Biedny Portos!... biedny Aramis!... Bądźcie spokojni, waszym kosztem nie będę dobijał się honorów...

Po tej uwadze d'Artagnan zebrał armję królewską, wsadził na okręty w Paimbeuof i bez straty czasu rozwinął żagle.

CCXLIX

BELLE-ISLE.

Po wybrzeżu tamy, o którą rozbijało się morze przypływem wieczornym wzburzone, dwaj mężczyźni, trzymając się pod ręce spacerowali i rozmawiali żywo i poufnie, bez obawy, aby słowa ich doszły uszu ludzkich; słowa, które wiatr porywał i niósł po wierzchołkach fal morskich.

Słońce tylko co zaszło, tonąc w oceanie ognistym od jego ostatnich blasków.

Od czasu do czasu jeden z panów zwracał się w stronę wschodnią i wpatrywał w horyzont z niepokojem.

Drugi zaś, badając wyraz twarzy towarzysza, zdawał się szukać rozwiązania zagadki w jego spojrzeniu. Następnie obydwaj milkli, obydwaj nurtowani smutnemi myślami, poczynali przechadzkę na nowo.

Był to Aramis i Portos, dwaj wygnańcy, szukający przytułku na Belle-Isle, od chwili gdy zawiodły nadzieje i zuchwałe plany pana d'Herblay.

— Mów co chcesz, kochany Aramisie — powtarzał Portos, wciągając w potężne płuca słone, morskie powietrze — mów, co ci się żywnie podoba, lecz jest rzeczą nadzwyczajną to zniknięcie wszystkich łodzi rybackich, jakie przed dwoma dniami wyruszyły na połów. Nie było przecie burzy... Pogoda stała, najmniejszego wiatru.. a gdyby nawet burza je spotkała przecież wszystkie statki nie mogły zatonąć... Powtarzam swoje, że to jest nadzwyczajne, niepojęte i mówię ci, zadziwia mnie nieskończenie.

— Prawda — mruknął Aramis. — Masz rację, przyjacielu Portosie, jest w tem coś niepojętego.

— A co więcej — dodał Portos, któremu uznanie biskupa dodało wiary w siebie — czy zauważyłeś, że żaden szczątek rozbitej łodzi na brzeg nie wypłynął?

— Uważałem, mój drogi...

— Czy zwróciło to twoją uwagę, że dwie ostatnie łodzie, pozostałe na wyspie, jakie wysłałem na poszukiwanie zaginionych...

Aramis przerwał wykrzyknikiem i poruszeniem tak gwałtownem, że Portos skamieniał.

— Co mówisz, Portosie? Jakto, wysłałeś dwie łodzie...

— W celu odszukania tamtych?... Tak, pzyjacielu — odrzekł Portos spokojnie.

— Nieszczęśliwy!... coś uczynił?... Zgubieni jesteśmy zatem!... — zawołał biskup.

— Co mówisz!... zgubieni? Dlaczego? Powiedz, Aramisie, dlaczego jesteśmy zgubieni?

Aramis przygryzł wargi.

— Nic, nic, wybacz, chciałem powiedzieć...

— Co takiego?

— Że gdyby nam przyszła ochota przejechać się po morzu, nie moglibyśmy tego zrobić...

— Masz się też czem martwić! Piękna przyjemność, na honor! Wcale mi jej nie żal... Nie obchodzą mnie przyjemności jakich można używać na Belle-Isle... Jeżeli tęsknię za czem, to za Pierrefonds, za Braciex, za Vallon, za moją piękną Francją! Mów, co chcesz, ale tu nie Francja, drogi przyjacielu, tutaj jest coś takiego, czego nazwać nawet nie potrafię... Nie gniewaj się mój kochany, lecz powiem ci szczerze, iż wcale nie czuję się szczęśliwym na Belle-Isle. Doprawdy, nie jestem tu wcale szczęśliwym.

Aramis westchnął głęboko.

— Kochany przyjacielu — odrzekł — otóż właśnie dlatego przykro mi, żeś wysłał ostatnie dwie łodzie na poszukiwanie zaginionych... Gdyby nie to, bylibyśmy wyspę opuścili!

— Opuścili, Aramisie, a rozkaz?

— Jaki rozkaz?

— Rozkaz, do licha, jaki powtarzałeś mi przy każdej sposobności, że mamy bronić Belle-Isle przed samozwańcem, wiesz przecie!

— Prawda — mruknął znów Aramis.

— Widzisz sam, mój drogi, nie możemy odjechać, a wyprawienie łodzi w niczem nam nie przeszkadza...

Aramis zamilkł, tylko okiem sokolem badał horyzont.

— Z tem wszystkiem, kochany Aramisie — ciągnął Portos — czekam napróżno, ażebyś mi wytłumaczył, co mogło przytrafić się tym nieszczęśliwym rybakom...

Gdziekolwiek się obrócę, wszędzie jęki i narzekania; dzieci płaczą, patrząc na matki w rozpaczy i zwracają się do mnie, jakby to w mojej było mocy, powrócić im ojców i mężów... Co przypuszczasz, przyjacielu i co powinienem mówić!

— Przypuszczajmy wszsytko, dobry Portosie, a nic nie mówmy...

Nie zadowoliła Portosa taka odpowiedź.

Odwrócił się zły i coś mruczał.

Aramis powstrzymał walecznego żołnierza.

— Czy pamiętasz — rzekł ze smutkiem, ściskając z uczuciem ręce olbrzyma — czy pamiętasz, przyjacielu Portosie, piękne dni młodości, kiedy byliśmy silni i odważni, my dwaj... i gdy-

by nam przyszła ochota powrócić do Francji, wtedy przestrzeń ta wody słonej nie przeszkodziłaby dokonać naszego zamiaru?

— Cóż znowu!... — rzekł Portos — nędzne sześć mil!

— Gdybyś był zobaczył, że puszczam się na jednej desce, czy zostałbyś na lądzie?

— Nigdy! przenigdy, przyjacielu. Lecz dzisiaj, jakiejżeby nam deski potrzeba, Aramisie, szczególnie dla mnie!

I pan Bracieux spojrzał z dumą na swoją objętość.

— Powiedz szczerze, Aramisie, wszak i ty nudzisz się trochę na wyspie? i wołałbyś swój rozkoszny pałac biskupi w Vannes? Przyznaj się, przyjacielu...

— Nie — odrzekł Aramis, nie patrząc na Portosa.

— Zostańmy więc tutaj — rzekł Portos nie mogąc powstrzymać westchnienia. — Zostańmy! zostańmy! A jednakże — dodał — gdyby była szczera chęć, chęć stała, niczem niezwalczona powrotu do Francji, to choćby nie było łodzi...

— Czy zauważyłeś, przyjacielu, jedną jeszcze osobliwość. Wszakże od chwili zniknięcia statków, od dwóch dni nieobecności rybaków naszych, ani jedna jakakolwiek barka nie zawinęła do brzegów wyspy.

— O tak, masz rację, zwróciło to i moją uwagę, co mi tem łatwiej przyszło, iż przed tym fatalnym dniem udania się na morze rybaków ciągle przybijały przeróżne statki.

— Trzeba koniecznie powziąć jakąś wiadomość — rzekł nagle Aramis. — Choćby mi przyszło nawet zbić tratwę...

— Znajdziemy tu jeszcze jaką małą łódkę, drogi przyjacielu, czy chcesz ażebym wyszukał i do drogi ją przygotował?

— Mała łódka!... co ci się zdaje, Portosie? ażeby pójść na dno! Nie, nie — odparł biskup — nie nasza to rzecz walczyć z falą morską... Czekajmy lepiej, czekajmy...

Aramis nie przestawał chodzić z oznakami wzburzenia coraz gwałtowniejszego.

Portos, zmęczony bieganiem za rozgorączkowanym przyjacielem, on który w swej dobrej wierze nie pojmował rozpaczy, objawiającej się poruszeniami gwałtownemi, poważny i flegmatyczny Portos powstrzymał przyjaciela.

— Usiądźmy na tej skale, Aramisie, przysuń się do mnie i na miłość nieba, wytłumacz mi raz jasno, tak ażebym zrozumiał, jaka jest rola nasza tutaj...

— Portosie... — rzekł Aramis zmieszany.

— Wiem, iż król samozwaniec chciał znieść z tronu monarchę prawego, to rozumiem...

— Tak — rzekł Aramis.

— Wiem, że tenże samozwaniec miał zamiar zaprzedania Belle-Isle Anglikom, to także rozumiem...

— Tak.

— Wiem, żeśmy tu przyszli, ażeby kierować robotami inżynierskiemi i objąć dowództwo nad dziesięcioma oddziałami na żołdzie pana Fouqueta, czyli nad oddziałami zięcia jego... to wszystko rozumiem jeszcze...

Aramis porwał się zniecierpliwiony.

Portos przytrzymał go za rękę.

— Czego nie rozumiem, czego pomimo całego wysiłku rozumu pojąć nie jestem w stanie i nigdy nie pojmę, to, że zamiast przysłać nam wojsko, zamiast posiłków w ludziach, amunicji i żywności, pozostawiają nas bez statków, Belle-Isle bez dowozu i bez pomocy; iż zamiast porozumiewać się z nami, czy zapomocą korespondencji, czy sygnałów, lub ustnie przez ludzi zaufanych, zamiast tego wszystkiego zerwano wszelkie z nami stosunki... No, Aramisie, odpowiedz mi przecie, lub może wolisz ażebym ja co myślę powiedział? Chcesz wiedzieć, co o tem sądzę i co mi do głowy przychodzi?

Biskup spojrzał na Portosa.

— Otóż, przyjacielu — ciągnął tenże — przyszło mi do głowy, że we Francji stało się coś nadzwyczajnego... Śnił mi się noc całą pan Fouquet, śniły mi się ryby nieżywe, jaja potłuczone, jakieś pokoje brudne i źle umeblowane. Złe to sny, kochany d'Herblay, nic nie wróżą dobrego!

— Portosie, co tam widać? — przerwał Aramis, powstając szybko i wskazując przyjacielowi punkt czarny na skraju horyzontu.

— Statek — rzekł Portos — tak, statek z żaglem... Nareszcie, będziemy mieli wiadomości!

— Dwa!... — zawołał biskup spostrzegając drugi żagiel — dwa! trzy! cztery!

— Pięć — dodał Portos. — Sześć! siedem! A!... na Boga!... cała flota!... Mój Boże!... Mój Boże!...

— Nasze statki powracają prawdopodobnie — rzekł Aramis, niespokojny, pomimo pewności, jaką chciał okazać.

— Strasznie duże, jak na łodzie rybackie — zauważył Portos — a w dodatku, czy widzisz, drogi przyjacielu, że płyną od ujścia Loary?

— Tak... od Loary...

— Spojrzyj no, nie tylko my to widzimy: oto kobiety i dzieci na brzeg wylegają.

Stary rybak przechodził właśnie.

— Czy to nasze statki?... — zapytał Aramis.

Starzec przysłonił ręką oczy i patrzył w przestrzeń.

— Nie eminencjo — odpowiedział to są holowniki z marynarki królewskiej.

— Z marynarki królewskiej?... — rzekł Aramis, zadrżawszy — poczem poznałeś?

— Po fladze rozwiniętej.

— Ależ, przyjacielu — odezwał się Portos — zaledwie można dojrzeć statki, jakimże u djabła, sposobem, rozróżniasz flagę?

— Widzę tylko, że powiewa na maszcie — odparł starzec — a nasze, ani kupieckie, nie mają żadnych flag. To są statki, służące do przewożenia wojska.

— A!... — westchnął Aramis.

— Wiwat!... — krzyknął Portos — nareszcie idą posiłki, wszak prawda, Aramisie?

— Bardzo być może...

— Byleby tylko nie Anglicy...

— Od ujścia Loary?... czy pomyślałeś, Portosie, że musieliby chyba iść na Paryż?

— Masz rację, to są posiłki stanowczo albo też żywność...

Aramis wsparł głowę na ręku i nie odpowiedział.

Następnie odezwał sie raptem:

— Portosie, każ na alarm dzwonić.

— Na alarm?... co ty gadasz?

— Tak, kanonierzy zaś niech staną przy armatach, cała obsługa ma być na właściwem miejscu, szczególniej niech baczą na baterje nadbrzeżne.

Portos wytrzeszczył oczy, patrzył uważnie na przyjaciela, jakgdyby chciał się przekonać, czy ten zmysłów nie postradał.

— Pójdę sam, mój dobry Portosie — ciągnął Aramis najsłodszym głosem — sam dopilnuję wykonania rozkazów, jeżeli ty nie chcesz, kochany przyjacielu.

— Ależ idę, w tej chwili!... — rzekł Portos odchodząc i oglądając się, czy biskup, po namyśle, nie odwoła go z powrotem.

Zadzwoniono na alarm, trąby i bębny ozwały się; wielki dzwon jęczał na wieży.

Wybrzeża i przystań zaroiły się ciekawymi i żołnierstwem; lonty zabłysły w rękach artylerzystów, ustawionych po za armatami ciężkiego kalibru, stojącemi na podstawach kamiennych.

Skoro każdy był już na swojem miejscu, skoro wszelkie przygotowania obrony poczyniono; Portos nieśmiało szepnął do ucha przyjaciela:

— Pozwól mi, Aramisie, postarać się zrozumieć...

— Aż nadto prędko zrozumiesz — odparł d'Herblay.

— Flota, płynąca z rozpiętymi żaglami, która zmierza do przystani Belle-Isle, jest flotą królewską, wszak prawda?

— Ponieważ dwóch jest królów we Francji, jak sądzisz, Portosie, do którego z nich flota należy?

— O!... otworzyłeś mi oczy nareszcie — odparł olbrzym, pobity tym argumentem.

I udał się dla dopilnowania, ażeby każdy wiernie powinność swą spełniał.

Aramis z okiem w horyzont utkwionem, sprawdzał zbliżanie się floty.

Ludność i żołnierze, stojąc na skałach, mogli już odróżnić maszty, żagle, a nakoniec wielki maszt środkowy, na którym powiewała flaga królewska.

Noc już zapadła, gdy jeden ze statków wojennych, którego obecność wzruszyła całą ludność wyspy, odłączył się i stanął na odległość strzału armatniego od fortecy.

Pomimo ciemności ruch jakiś na pokładzie spostrzegać się dawał, potem łódź spuszczono, którą trzech marynarzy pchało całą siłą do portu.

Dowódzca tej łodzi na ląd wyskoczył.

Trzymał biały papier w ręku, poruszał nim w powietrzu i zdawało się, jakgdyby pragnął z kimś się porozumieć.

Był to pilot z wyspy, właściciel jednej z dwóch łodzi, zarezerwowanych przez Aramisa, które Portos, niespokojny o los rybaków, wysłał na morze w celu ich odszukania.

Pilot zażądał, aby go zaprowadzono do pana d'Herblaya.

Na rozkaz sierżanta, dwóch żołnierzy wzięło go pomiędzy siebie i udało się do biskupa.

Aramis stał na bulwarze.

Pomimo pochodni, niesionych przez żołnierzy za Aramisem, ciemno było okrutnie.

— No i cóż, Jonathas!... od kogóż przychodzisz?

— Eminencjo, od tych, co mnie zabrali.

— A któż cię to zabrał?

— Wiesz, eminencjo, że wypłynęliśmy na poszukiwanie naszych kolegów?

— Wiem, cóż dalej?

— Otóż, eminencjo, o jaką milę od wyspy złapała nas łódź strażnicza królewska.

— A!... — rzekł Aramis.

— Którego króla?... — odezwał się Portos.

Jonathas wpatrzył się w Portosa.

— Mów dalej — przerwał biskup.

— Złapano nas i złączono z tymi, których pojmano wczoraj.

— Skądże znów ta manja łapania was wszystkich?... zaczął Portos.

— A to, proszę pana, dlatego, żebyśmy nie donieśli panom, co się z tamtymi stało — odparł Jonathas.

Teraz znów Portos nic nie zrozumiał.

— A dziś was puścili?... — zapytał.

— Ażebym panom powiedział, że nas złapali.

— Coraz się więcej plącze — pomyślał zacny Portos.

Przez ten czas Aramis rozmyślał.

— A zatem flota królewska blokuje przystań?

— Tak, eminencjo.

— Kto jest dowódzcą?

— Kapitan muszkieterów królewskich.

— D'Artagnan?

— D'Artagnan!... — powtórzył Portos.

— Zdaje mi się, że tak się nazywa.

— On sam ci ten list oddał?

— Tak, eminencjo.

— Zbliżyć się ze światłem.

— To jego pismo — rzekł Portos.

Aramis czytał co następuje:

"Rozkaz królewski zajęcia wyspy Belle-Isle."

"Rozkaz wzięcia załogi w niewolę."

"Rozkaz wymordowania tejże załogi, jeżeliby opór stawiała."

"Podpisano: d'Artagnan, który przedwczoraj aresztował pana Fouquet i odprowadził go do Bastylji."

Aramis zgniótł papier w ręku.

— Co to znaczy?... — zapytał Portos.

— Nic, mój przyjacielu.

— Mów dalej, Jonathas?

— Co, eminencjo?

— Rozmawiałeś z panem d'Artagnanem?

— Tak, eminencjo.

— Co mówił?

— Że sam osobiście udzieli eminencji wiadomości.

— Gdzież to?...

— Na pokładzie.

— Na pokładzie swego statku?...

Portos powtórzył:

— Na pokładzie swego statku?...

— Pan muszkieter — ciągnął Jonathas — kazał mi zabrać do łodzi pana biskupa i pana inżyniera i do siebie dostawić.

— Jedźmy — rzekł Portos. — Drogi, kochany d'Artagnan!...

Aramis go wstrzymał.

— Czyś oszalał?... — zawołał. — Skąd wiesz, że to nie jest podstęp?...

— Tego drugiego króla?... — odparł Portos tajemniczo.

— Podstęp i dosyć na tem, przyjacielu!

— Może być bardzo, a zatem, co robić?... Jeżeli d'Artagnan nas wzywa, to jednakże...

— Kto ci powiedział, że to d'Artagnan?...

— Jego pismo przecie...

— Można podrobić pismo. To jest podrobione właśnie, trzęsące się jakieś, krzywe...

— Masz rację, jak zawsze; lecz tymczasem znów jesteśmy jak w rogu.

Aramis milczał.

— Coprawda — dodał poczciwy Portos — nie potrzebujemy nic wiedzieć...

— Co ja mam robić?... — zapytał Jonathas.

— Powrócisz na pokład kapitana.

— Dobrze, eminencjo.

— I powiesz, że prosimy, aby raczył sam przybyć na wyspę.

— Rozumiem — rzekł Portos.

— Dobrze, eminencjo — odrzekł Jonathas — a jeżeli kapitan odmówi?

— Jeżeli odmówi, zrobimy z armat użytek, ponieważ je posiadamy.

— Przeciwko d'Artagnanowi?...

— Portosie, jeżeli to d'Artagnan, to przyjdzie tutaj. Odjeżdżaj, Jonathas.

— Na honor, nic a nic nie rozumiem — mruczał Portos.

— Przyszła chwila, drogi przyjacielu, że wszystko ci wytłumaczę: siadaj tu obok mnie, nadstaw uszu i słuchaj.

— O!... bądź pewny, słucham uważnie!...

— Mogę odbić od brzegu, eminencjo?... — wołał Jonathas.

— Jedź i powracaj z odpowiedzią.

— Hola!... przepuścić statek!...

Statek odpłynął do okrętu wojennego.

Aramis ujął za rękę Portosa i rozpoczął wyjaśnienia.

CCL

WYJAŚNIENIA ARAMISA.

— To, co ci, powiem, przyjacielu Portosie zadziwi cię prawdopodobnie, lecz pomoże do zrozumienia wielu rzeczy.

— Lubię bardzo rzeczy nadzwyczajne — rzekł Portos dobrodusznie — nie oszczędzaj mnie, proszę. Jestem wytrwały na wzruszenia, nie bój się zatem i mów śmiało.

— Trudno to, Portosie... trudno, albowiem naprawdę, powtarzam po raz drugi, mam ci powiedzieć rzeczy bardzo dziwne, bardzo nadzwyczajne...

— O, przyjacielu drogi, masz taki dar opowiadania, że słuchałbym dniami całemi. Zaczynaj więc, proszę bardzo; lecz uważaj, przychodzi mi myśl dobra: ułatwię ci to zadanie, pomogę w wygłoszeniu tych okropności, zadając pytania.

— Zgadzam się.

— Dlaczego będziemy walczyli, kochany Aramisie?...

— Jeżeli więcej takich zapytań zrobisz, jeżeli w ten sposób chcesz ułatwić mi zadanie, powiem ci szczerze, Portosie, że utrudnisz mi je tylko. Bo to jest właśnie węzeł gordyjski. Z takim jak ty człowiekiem, z człowiekiem szlachetnym i ufającym. potrzeba, przez wzgląd na niego i na siebie, odważnie przystąpić do rzeczy... Oszukiwałem cię, zacny przyjacielu...

— Tyś mnie oszukiwał?...

— Boże mi przebacz, lecz tak jest...

— Aramisie, czyś to dla mego dobra robił?...

— Tak sądziłem, Portosie, tak przekonany byłem najszczerzej, przyjacielu.

— W takim razie — rzekł szlachetny pan na Bracieux — wyświadczyłeś mi przysługę, za co ci dziękuję, albowiem, gdybyś mnie był nie oszukiwał, mógłbym był łatwo sam się omylić. Powiedzże, w czem takim mnie oszukiwałeś?...

— W tem, że służyłem sprawie przywłaszczyciela, przeciw któremu Ludwik XIV-ty wszystkie swe siły wytęża.

— Przywłaszczyciela — rzekł Portos, drapiąc się w czoło — to jest... Nie rozumiem dobrze.

— To jeden z dwóch królów, którzy wydzierają sobie koronę Francji.

— Bardzo dobrze!... Zatem, ty służyłeś temu, który nie jest Ludwikiem XIV-tym?...

— Trafiłeś od razu, od pierwszego słowa...

— Z tego wypada, że...

— Że jesteśmy buntownikami, biedny przyjacielu.

— Tam do djabła!... — zawołał Portos niezadowolony.

— Uspokój się, kochany Portosie, znajdziemy jeszcze sposób do ucieczki, wierz mi...

— To mnie wcale nie obchodzi — odrzekł Portos — przykro mnie tylko dotyka brzydkie słowo: "buntownik"...

— A! o to chodzi!...

— W ten sposób, obiecany tytuł księcia...

— Dostaniesz go od tamtego.

— To zupełnie co innego, Aramisie — rzekł poważnie Portos.

— Gdyby to odemnie zależało, dawno byłbyś księciem...

Portos zaczął obgryzać paznokcie z wyrazem melancholji.

— Otóż w tem nie miałeś racji, oszukując mnie, bo ja na ten tytuł liczyłem... Liczyłem na pewno, znając cię, jako człowieka, który dotrzymuje słowa...

— Zacny Portosie! Przebacz mi, błagam cię o to!...

— To znaczy — nastawał Portos, nie odpowiadając na prośbę biskupa — to znaczy, że nie mogę już liczyć na Ludwika XIV?

— Ja to wszystko naprawię, najdroższy przyjacielu, całą winę przyjmę na siebie...

— Aramisie!...

— Portosie! zaklinam cię, pozwól mi działać. Poco unosić się niepotrzebną szlachetnością, poco to poświęcenie niewczesne! Tyś nie znał moich zamiarów, nie robiłeś nic sam przez się... Ja co innego... ja jestem twórcą spisku. Potrzebowałem ciebie jako nierozłączonego towarzysza. Przywołałem cię i stanąłeś, pomny na godło nasze dawne: "Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich." Cała moja zbrodnia na tem polega, żem był samolubem.

— Otóż to mi się podoba — rzekł Portos — odkąd wiem, że działałeś w swoim wyłącznie interesie, odtąd nie potrafiłbym mieć żalu do ciebie. To takie naturalne przecie!

Po tem wzniosłem zdaniu, Portos uścisnął serdecznie rękę przyjaciela.

Aramis poczuł się małym wobec tej nieświadomej siebie wielkości duszy.

Po raz wtóry zmuszony już był pochylić głowę przed rzeczywistą wyższością serca, o wiele wspanialszą, niż świetność umysłu.

Odpowiedział milczącem uśmiechem na szlachetny objaw przyjaźni Portosa.

— Obecnie zaś odezwał się Portos — skoro wyjaśniliśmy położenie, skoro zrozumiałem, czego spodziewać się możemy od króla Ludwika, sądzę, kochany przyjacielu, że możesz mi dać poznać intrygę polityczną, jakiej jesteśmy ofiarą, ponieważ, pewny jestem, że musi tu coś się kryć...

— D'Artagnan przyjdzie tu niebawem, dobry Portosie, on ci opowie wszystko dokładnie; wybacz mi, boleść mną owładnęła, troski przybiły, a potrzebuję całej przytomności umysłu, całej rozwagi, ażeby wyciągnąć z błota mojego przyjaciela, w jakie tak go nierozważnie wtrąciłem... Lecz sądzę, że obecnie położenie staje się jasnem. Król Ludwik XIV-ty ma teraz jednego tylko wroga, a tym wrogiem ja jestem. Ty zaś, zabrany gwałtem, musiałeś iść za mną; dziś wracam ci wolność, a ty wracasz do pana swojego. Widzisz, Portosie, niema żadnej przeszko dy do kroku takiego.

— Tak sądzisz? — odezwał się Portos.

— Pewny jestem tego.

— Dlaczegóż zatem — rzekł Portos ze swoim chłopskim rozumem — dlaczego, pytam, jeżeli położenie jest tak łatwe, po co, drogi przyjacielu, ustawiamy armaty, broń nabijamy i gotujemy się do wszelkiej możliwej obrony? Zdaje mi się, że prościej byłoby powiedzieć kapitanowi d'Artagnan: "Kochany przy jacielu, grzeszyliśmy i obiecujemy poprawę; otwórz drzwi, pozwól nam przejść i do widzenia!"

— Ba! — rzekł Aramis, kręcąc głową.

—Jakto? nie pochwalasz planu mojego?

— Widzę w nim trudność jedną.

— Jakąż to?

— Przypuszczenie, że d'Artagnan ma takie rozkazy, iż zmuszeni będziemy do obrony.

— Co też mówisz! bronić się przeciw d'Artagnanowi! Szaleństwo! Ten poczciwy d'Artagnan!...

Aramis znów głową pokręcił.

— Słuchaj, Portosie — rzekł — jeżeli kazałem lonty pozapalać i wycelować armaty, jeżeli rozkazałem dzwonić na alarm, zwołałem ludność na stanowiska przy fortyfikacjach, tych fortyfikacjach Belle-Isle, któreś tak znakomicie wzmocnił, to muszę mieć swoje powody... Poczekaj, zanim sąd wydasz, albo nie czekaj...

— Cóż robić zatem?

— O! gdybym wiedział, przyjacielu...

— Jest jeszcze jedna rzecz, daleko prostsza, niż walka: siadać do łodzi i w drogę do Francji, gdzie...

— Kochany przyjacielu — przerwał Aramis ze smutnym uśmiechem — przestańmy rezonować, jak dzieci; bądźmy ludźmi w radzie i w wykonaniu. Oto sygnałują jakiś statek w porcie. Portosie, teraz wytężmy całą uwagę!

— D'Artagnan z pewnością — rzekł Portos głosem grzmiącym, podchodząc do poręczy.

— Tak, to ja — odpowiedział kapitan muszkieterów, wskakując lekko na schody tamy, prowadzące na małą wyniosłość.

Portos i Aramis spostrzegli po za d'Artagnanem oficera, który krok w krok szedł za nim.

Kapitan przystanął na chwilę, towarzysz jego uczynił to samo.

— Każcie oddalić się ludziom waszym — wołał d'Artagnan do Portosa i Aramisa — każcie oddalić się, aby głos nasz ich nie dochodził.

Portos wydał rozkaz.

Wtedy d'Artagnan zwrócił się do swego towarzysza:

— Panie — rzekł — tu już nie jest pokład okrętu królewskiego, gdzie, ufny w dane ci rozkazy, odzywałeś się do mnie z arogancją.

— Panie — odparł oficer — nie było w tem arogancji, posłuszny byłem jedynie temu, co mi rozkazano. Powiedziano mi, ażeby na krok pana nie odstępować, ja też za panem idę. Powiedziano, ażebym nie pozwolił na rozmowę z kimkolwiek na osobności, ja też słucham, co mówić będziesz.

D'Artagnan zatrząsł się z oburzenia, a Portos i Aramis, słuchając tego dialogu, drżeli także, lecz z obawy.

D'Artagnan, gryząc wąsy, co było oznaką najwyższego podniecenia i bliskości wybuchu wściekłego, podszedł do oficera.

— Panie — rzekł głosem niskim, udając spokój — panie, gdy wysyłałem łódź, pragnąłeś wiedzieć, co piszę do obrońców Belle-Isle. Pokazałeś mi rozkaz, a ja w tej chwili list ci pokazałem. Skoro odpowiedź od tych panów odebrałem (i wskazał ręką Portosa i Aramisa), słuchałeś do końca raportu posłańca. Na to miałeś rozkaz i byłeś w porządku, wszak prawda?

— Tak, panie — jąkał oficer — tak, zapewne, lecz...

— Lecz... Nie chodzi tu o pana Colberta, lub o kogokolwiekbądź innego, który dał panu polecenie; chodzi tu o człowieka, przeszkadzającego d'Artagnanowi, znajdującego się sam na sam z tymże d'Artagnanem, na wysokości schodów, u których stóp ryczą bałwany morskie; niebezpiecznem jest położenie tego człowieka, bardzo niebezpiecznem! ostrzegam pana!

— Lecz panie, jeżeli przeszkadzam — rzekł oficer nieśmiało — to nie moja wina, służba moja...

— Wyrządzasz mi pan zniewagę, ty, lub ci, którzy cię przysłali. Nie mogę ukarać twoich mandatarjuszów, nie znam ich, lub są zbyt daleko... Lecz pana mam pod ręką i przysięgam ci, na Boga w niebie, jeżeli krok jeden postąpisz, jeżeli pójdziesz za mną aż do tych panów... klnę się na wszystko najświętsze, iż głowę ci rozpłatam i wrzucę w otchłań morską. Niech co chce nastąpi. Sześć razy w życiu mojem wpadłem w gniew okrutny, a pięć razy w takich okolicznościach zabiłem przeciwnika.

Oficer nie drgnął nawet, zbladł tylko pod tą straszną groźbą i odparł spokojnie:

— Źle czynisz, panie, idąc wbrew rozkazom.

Portos i Aramis wołali do muszkietera:

— Drogi d'Artagnanie, upamiętaj się!

D'Artagnan skinął na nich, aby milczeli, a sam ze spokojem przerażającym począł wstępować na schody, potem ze szpadą w ręku odwrócił się i patrzył, czy oficer idzie za nim.

Oficer przeżegnał się i szedł.

Portos i Aramis, znając d'Artagnana, wydali okrzyk zgrozy i rzucili się, aby go powstrzymać.

Lecz d'Artagnan przełożył broń do lewej ręki.

— Panie — rzekł do oficera głosem wzruszonym — jesteś mężnym i uczciwym człowiekiem. Powinieneś lepiej zrozumieć to, co powiem obecnie, niż to, co przed chwilą mówiłem.

— Mów, panie d'Artagnan, słucham — odrzekł oficer.

— Ci panowie, którzy tam oto stoją i do których odnoszą się twoje polecenia są przyjaciółmi moimi.

— Wiem o tem, panie...

— Pojmujesz tedy; czy powinienem postępować z nimi, według twoich poleceń...

— Rozumiem skrupuły pańskie...

— A zatem pozwól mi rozmówić się bez świadka.

— Panie d'Artagnan, gdybym zadość uczynił żądaniu pańskiemu, złamałbym słowo moje; w przeciwnym razie, obraziłbym pana... Wolę pierwsze niż drugie; rozmawiaj, ile chcesz z przyjaciółmi i nie pogardzaj mną bardzo za to, że robię to z miłości dla ciebie, dla ciebie, którego poważam i uwielbiam, nie pogardzaj mną, że dla ciebie pierwszego w życiu spełniam zły uczynek.

D'Artagnan w uniesieniu uściskał młodzieńca i pobiegł do przyjaciół.

Oficer okrył się płaszczem i usiadł na schodach, mokrych od mgły nocnej.

— Widzicie co za straszne położenie!... — rzekł d'Artagnan przyjaciołom — osądźcie sami...

Uściskali się serdecznie i długo trzymali w objęciach, jak to bywało w szczęśliwych dniach młodości.

— Co znaczą te wszystkie prześladowania?... — zapytał Portos.

— Musisz się chyba domyślać, kochany przyjacielu — odrzekł d'Artagnan.

— Bardzo niewiele, zaręczam ci, drogi kapitanie, nic takiego nie uczyniłem, ani Aramis także — dodał pospiesznie ten zacny człowiek.

D'Artagnan spojrzał z wyrzutem na prałata, co przeszyło jak ostrzem to serce, zatwardziałe w egoizmie.

— Kochany Portosie!... — zawołał biskup.

— Widzicie, co postanowiono — rzekł d'Artagnan — chwytać wszystko, co wychodzi z Belle-Isle i wszystko, co się do niej udaje. Wszystkie wasze statki morskie zatrzymać. Gdybyście chcieli uciekać, wpadlibyście w ręce straży, krążącej około wyspy. Król chce was dostać i dostanie napewno...

D'Artagnan, mówiąc to, szarpał wąsy siwe.

Aramis spochmurniał, Portos wpadł w gniew straszny.

— Miałem taki zamiar — ciągnął d'Artagnan. — Sprowadzić was obydwóch na pokład mojego okrętu i następnie wrócić wam wolność. Lecz teraz, kto mi zaręczy, że gdy powrócę nie zastanę tam już innego zwierzchnika, że rozkazem tajemnym

nie odbiorą mi dowództwa i nie powierzą komu innemu, a ten inny rozrządzi mną i wami bez nadziei znikąd ratunku?

— Zostaniemy w Belle-Isle — przekł odważnie Aramis — a zaręczam ci, że poddamy się, jedynie pod dobrymi warunkami.

Portos nic nie mówił.

D'Artagnan zauważył milczenie przyjaciela.

— Spróbuję jeszcze rozmówić się z towarzyszącym mi oficerem. którego szlachetny upór daje miarę, że mamy do czynienia z uczciwym człowiekiem, co więcej warto, niż gdyby był podłym pochlebcą. Spróbujmy i dowiedzmy się, co może dla nas zrobić, co mu pozwala, a czego zabrania rozkaz otrzymany.

— Spróbujmy — rzekł Aramis.

D'Artagnan nachylił się przez barjerę i przywołał oficera.

— Panie — przemówił po zamianie ukłonów, pełnych szacunku — powiedz mi, proszę, cobyś uczynił, gdybym chciał zabrać z sobą tych oto panów?

— Nie stawiałbym oporu, lecz, mając ścisłe polecenie, wziąłbym ich pod straż moją.

— A!... — rzekł d'Artagnan.

— Wszystko skończone — odezwał się Aramis z rozpaczą.

Portos milczał ciągle.

— Zabierz koniecznie Portosa — mówił biskup — potrafi on dowieść królowi, ja mu do tego pomogę i ty także, d'Artagnanie, że do niczego nie należał w tej sprawie.

— Hm!... — mruknął d'Artagnan. — Czy chcesz iść zemną, Portosie? Król bardzo dobry i łaskawy.

— Żądam czasu do namysłu — rzekł Portos wyniośle.

— Więc zostajecie?

— Aż do nowego rozkazu — zawołał Aramis żywo.

— Aż przyjdzie nam pomysł jaki — podjął d'Artagnan — a sądzę, że to niedługo nastąpi, bo już mam coś na myśli.

— Pożegnajmy się zatem!... — mówił Aramis — lecz, kochany Portosie, powinieneś jechać z d'Artagnanem.

— Nie!... — rzekł krótko tenże.

— Jak ci się podoba — zaczął Aramis, urażony nieco w swej podejrzliwości nerwowej grobowym tonem przyjaciela. — Uspakaja mnie tylko obietnica pomysłu d'Artagnana, który odgadłem, jak sądzę.

— Powiedz!... — odezwał się muszkieter, przysuwając ucho do ust Aramisa.

Aramis wyrzekł prędko kilka słów, na które d'Artagnana odpowiedział.

— Zupełnie to samo myślałem.

— Zatem, to niezawodne!... — zawołał Aramis wesoło.

— Korzystaj z pierwszego wrażenia, jakie sprawi to postanowienie i ułóżcie się, drogi Aramisie.

— O!... bądź spokojny!

— A teraz, panie — rzekł d'Artagnan do oficera — przyjm tysiączne podziękowania! Zyskałeś trzech przyjaciół, oddanych ci na śmierć i życie.

— Tak — dodał Aramis.

Portos skinął głową jedynie.

D'Artagnan po czułem uściskaniu przyjaciół, opuścił Belle-Isle razem z nieodłącznym towarzyszem, dodanym mu przez Colberta.

Oprócz pewnych objaśnień, któremi zadowolił się zacny Portos, napozór nic się położenie się zmieniło.

— Pozostaje nam tylko — mówił Aramis — pomysł d'Artagnana.

D'Artagnan zaś, powracając na pokład okrętu, rozważał w myśli wszystko o czem się dowiedział.

Wiadomo, że, gdy d'Artagnan przejął się czemś, zwykle musiał to zbadać.

Co się tyczy oficera, ten, milcząc z uszanowaniem, pozwolił d'Artagnanowi rozmyślać dowoli.

To też stając na pokładzie okrętu, nasz kapitan muszkieterów miał już plan gotowy.

Zwołał natychmiast radę.

Rada owa składała się z ośmiu oficerów, będących pod jego rozkazami:

Z dowódzcy siły zbrojnej morskiej; dowódzcy artylerji; inżyniera; znanego nam oficera; i czterech poruczników.

D'Artagnan zgromadził ich w pokoju na tyle okrętu, odkrył głowę i zaczął w te słowa:

— Panowie, jeździłem dla obejrzenia Belle-Isle, znalazłem tam załogę mocną, a co więcej, przygotowania do obrony, która może być bardzo silna. Mam tedy zamiar sprowadzić tu

dwóch głównych stamtąd oficerów, abyśmy mogli porozumieć się z nimi. Skoro znajdą się odłączeni od wojska swego i swoich armat, łatwiej nam pójdą układy. Czy takie jest wasze zdanie, panowie?...

Powstał dowódzca artylerji.

— Panie — rzekł z uszanowaniem lecz ze stanowczością zarazem — powiadasz, że forteca szykuje się do obrony. A zatem, według tego, co mówisz, chce ona stawić oprócz władzy prawej?

D'Artagnan został zbity z tropu niejako, lecz nie był to człowiek, dający zmieszać się tak małą rzeczą, zaczął też na nowo:

— Odpowiedź pańska jest zupełnie sprawiedliwą. Lecz wiesz, zapewne, że Belle-Isle jest to własność pana Fouqueta i z dawnych czasów ma prawo uzbrojenia wewnętrznego.

Major się poruszył.

— Nie przerywaj pan — ciągnął d'Artagnan. — Powiesz mi, że prawo zbrojenia się przeciw Anglikom nie jest prawem zbrojenia się przeciw królowi swojemu. Lecz sądzę, że nie pan Fouquet rządzi w tēj chwili w Belle-Isle, ponieważ nie dalej, jak pozawczoraj, aresztowałem pana Fouquet. Otóż mieszkańcy i obrońcy wyspy nic nie wiedzą o tem aresztowaniu. Choćby pan im to zwiastował, nie uwierzą nigdy, tak to jest dla nich nieprawdopodobnem. Bretończyk służy tylko jednemu panu, a służy mu wiernie, dopóki nie ujrzy go na marach. Otóż Bretończycy nie widzieli jeszcze trupa pana Fouquet, nic dziwnego zatem, że są przeciwko wszystkiemu, co nie jest nim samym lub jego podpisem.

Major skłonił się na znak zgody.

— Otóż dlatego — ciągnął d'Artagnan — otóż dlatego mam zamiar sprowadzić na pokład dwóch głównych oficerów. Zobaczą oni was, moi panowie, zobaczą siły, jakiemi rozporządzamy, a co za tem idzie, będą wiedzieli, co ich czeka, w razie gdyby bunt podnieśli. Zaręczymy im honorem, że pan Fouquet uwięziony i że stawianie oporu zaszkodziłoby im tylko... Powiemy im, że pierwszy strzał armatni sprowadzi gniew króla, niczem nie przebłagany. Wtedy, tak się spodziewam przynajmniej, nie będą się opierali. Poddadzą się, bez walki, a my zdobędziemy bez trudu warownię, która w innych warunkach mogłaby nas dużo kosztować.

Oficer który jeździł z d'Artagnanem na wyspę, zabierał się do odpowiedzi, lecz d'Artagnan mu przerwał.

— Wiem, co pan chcesz mi powiedzieć, wiem, że istnieje tajny rozkaz królewski, aby nie dopuścić komunikowania się z obrońcami Belle-Isle, i dlatego właśnie proponuję, ażeby porozumieć się z nimi w obecności całego sztabu naszego.

D'Artagnan skłonił głowę do swoich oficerów, jakgdyby chciał dać im ocenić to ustępstwo.

Oficerowie patrzyli na siebie, chcąc wyczytać w oczach swoich zdanie ogółu, a potem mieli zamiar widocznie postąpić, według woli d'Artagnana.

Nasz kapitan myślał już, że rezultatem narady będzie wysłanie łodzi po Aramisa i Portosa, gdy w tem oficer królewski wyjął zzanadrza skrypt opieczętowany i podał d'Artagnanowi.

Na skrypcie tym wypisany był Nr. 2.

— Co to jest?... — mruknął kapitan zdziwiony.

— Czytaj pan — rzekł oficer, kłaniając się z niejakim smutkiem.

D'Artagnan rozwinął papier i czytał te słowa:

"Zabrania się panu d'Artagnanowi zwoływania jakiejbądź rady, przed poddaniem się Belle-Isle i przed rozstrzelaniem jeńców wojennych.

"Podpisano: Ludwik."

D'Artagnan zapanował nad drżeniem, całe jego ciało wstrząsającem, i z uśmiechem najmilszym wyrzekł:

— Dobrze, panie zastosujemy się do woli królewskiej.

CCLI

NASTĘPSTWA POSTANOWIEŃ KRÓLEWSKICH I USIŁOWANIA D'ARTAGNANA.

Cios wymierzony był po mistrzowsku, nieubłaganie, śmiertelnie.

D'Artagnana wściekłość ogarnęła, że król myśl jego uprzedził, nie poddał się jednak rozpaczy i nie rozstawał z zamiarem z jakim Belle-Isle opuścił, tusząc, iż będzie on nowym środkiem ocalenia jego przyjaciół.

— Panowie — nagle przemówił — skoro król komu innemu, a nie mnie, zlecił tajemne rozkazy swoje, to znaczy, iż zaufa-

nia jego już nie posiadam, nie zgodziłbym się zatem na zatrzymanie dowództwa, podlegającego tylu obelżywym podejrzeniom. Jadę więc natychmiast do króla, aby podać się do dymisji. Oznajmiam to wobec was wszystkich, nakazując wam cofnięcie się wraz ze mną ku brzegom Francji, aby tym sposobem nie narażać sił, jakie Jego Królewska Mość mi powierzył.

Skutkiem tego wracajcie na stanowiska swoje, i zakomenderujcie do odwrotu; przypływ będziemy mieli za godzinę.

Na stanowiska, panowie!

Przypuszczam, — dodał widząc wszystkich gotowych do posłuszeństwa, z wyjątkiem nadzorującego oficera —, że tym razem nie będziecie mieli rozkazu, sprzeciwiającego się temu?

D'Artagnan, mówiąc te słowa, czuł nieledwie swój triumf.

Plan ten był zbawieniem jego przyjaciół.

Blokada zostałaby zniesiona, mogli więc natychmiast wsiąść na statek i zawinąć ku Anglji lub też Hiszpanji, bez obawy choćby najmniejszej przeszkody.

W trakcie tej ich ucieczki, on przybywa do króla, powrót swój usprawiedliwia oburzeniem, spowodowanem nieufnością Colberta ku niemu; następnie powraca z pełną władzą, zdobywa Belle-Isle, czyli kłatkę, nie tykając ptaków, które z niej uleciały.

Zamysłom tym jednakże oficer przeciwstawił drugi rozkaz królewski.

Zawierał się on w tych słowach:

"Z chwilą, w którejby pan d'Artagnan objawił życzenie podania się do dymisji, nie będzie już uważany za dowódzcę wyprawy, a wszelki oficer, podlegający przedtem jego rozkazom, obowiązany będzie odmówić mu posłuszeństwa.

Nadto, rzeczony pan d'Artagnan, tracąc tytuł naczelnego wodza wyprawy przeciw Belle-Isle, winien niezwłocznie odpłynąć do Francji w towarzystwie oficera, który dostarczy mu to pismo i który odtąd uważać go będzie za więźnia, będącego na jego odpowiedzialności."

D'Artagnan pobladł, on, tak mężny i niepoddający się troskom.

Wszystko tak ściśle, z głębokim namysłem było obliczone, iż po raz pierwszy od lat trzydziestu przypomniało mu niezachwianą przezorność i nieugiętą logikę wielkiego kardynała.

Wsparł głowę na ręku, zadumał się, a w piersi tchu mu zabrakło.

— A gdybym tak rozkaz schował do kieszeni — mówił sobie w duchu — któżby o tem wiedział i kto mógłby mi przeszkodzić? Zanimby to doszło do króla, ocaliłbym nieszczęśliwych.

Tylko śmiało! Dalejże!

Głowa moja nie należy do rzędu tych, które kat za nieposłuszeństwo strąca.

Bądźmy więc nieposłuszni!

Lecz w chwili powzięcia tego postanowienia, spostrzegł jak otaczający go oficerowie czytali te same rozkazy, rozdane im przez wykonawcę piekielnego pomysłu Colberta.

Wypadek nieposłuszeństwa również był przewidziany.

— Panie — odezwał się oficer, podchodząc do niego — oczekuję na łaskawe przygotowanie się pańskie do odjazdu.

— Jestem gotów — odparł kapitan, zgrzytając zębami.

Oficer wydał natychmiast rozkaz spuszczenia łodzi na przyjęcie d'Artagnana.

Widok tego wszystkiego o szaleństwo go przyprawiał.

— Jakże tu poradzą sobie — zapytał głosem, stłumionym — z poprowadzeniem rozmaitych oddziałów?

— Skoro już pana nie stanie — odezwał się dowódzca okrętów — mnie król swoją flotę powierzy.

— A zatem — dorzucił poplecznik Colberta zwracając się do nowego wodza — ostatni ten rozkaz, w moje ręce złożony, do pana się odnosił. Radzibyśmy wiedzieć, jaką jest pańska władza?

— Oto jest — rzekł marynarz, okazując podpis królewski.

— A to są instrukcje dla pana — odparł oficer, wręczając mu papier złożony.

I, zwracając się do d'Artagnana:

— Czas na nas, panie — dodał głosem wzruszonym, widząc rozpacz, malującą się na obliczu tego żelaznego człowieka — zechciej pan wejść do łodzi.

— Zaraz — słabo odparł d'Artagnan przybity, obezwładniony nieubłaganą koniecznością.

I jak automat zstąpił do statku, który, party wiatrem pomyślnym i przypływem morza, śmignął ku brzegom francuskim.

Gwardziści królewscy popłynęli z nim razem.

Pomimo to wszystko, dzielny ten muszkieter żywił jeszcze nadzieję, iż przybędzie na czas do Vannes i wymownie obroni sprawę drogich mu towarzyszów broni, dla złagodzenia zaciętości królewskiej.

Łódź, jak jaskółka, szybowała po ciemnej wód głębinie.

Przed oczami d'Artagnana ziemia francuska rysowała się na tle białych obłoków czarną ostrą sylwetą.

— A!... — westchnął zcicha, zwracając się do oficera, z którym od godziny słowa nie zamienił — dużobym dał za to, aby poznać instrukcje, dane nowemu dowódzcy!... Wszak one są najzupełniej pokojowe, czy tak?... i...

Nie skończył; oddalony huk armatni zagrzmiał, wstrząsając powierzchnią fal, poczem drugi, trzeci, w coraz krótszych odstępach nastąpiły po sobie.

— Bombardują Belle-Isle — odpowiedział oficer.

Łódź przybiła do brzegu.

CCLII

PRZODKOWIE PORTOSA.

Rozstawszy się z d'Artagnanem, Aramis i Portos udali się do głównej części warowni, aby tam naradzić się bez przeszkody.

Troska nieschodząca z czoła Portosa, nie w smak była Aramisowi, jego bowiem umysł nigdy tak swobodny nie był jak dzisiaj właśnie.

— Kochany Portosie — nagle odezwał się do niego — teraz odkryję ci zamiar d'Artagnana.

— Jaki zamiar?...

— Zamiar, dzięki któremu, będziemy wolni za nim upłynie dwanaście godzin.

— A!... czy być może, ciekawym!.. — zawołał Portos zdziwiony.

— Zauważyłeś pewnie po zajściu, jakie miał przyjaciel nasz z oficerem, że tego ostatniego krępują jakieś rozporządzenia, nas dotyczące.

— Zauważyłem.

— Otóż, d'Artagnan złoży swoją dymisję królowi, a podczas zamieszania wynikłego z jego nieobecności, my dostaniemy się, a raczej ty, Portosie, dostaniesz się na pełne morze, jeżeli ucieczka będzie możliwą tylko dla jednego.

Na to Portos potrząsnął głową przecząco i odpowiedział:

— Razem uciekać będziemy, Aramisie, lub zostaniemy tu obydwaj.

— Szlachetne serce z ciebie — odparł mu Aramis — zasmuca mnie tylko ponure usposobienie i niepokój, jaki w tobie widzę.

— Niepokoju niema we mnie wcale — odpowiedział Portos.

— To może się gniewasz na mnie?

— Nie mam do ciebie urazy najmniejszej.

— Czemuż więc ten wyraz grobowy na twojej twarzy, przyjacielu drogi?

— Powiem ci dlaczego: sporządzam ostatnią swoją wolę.

Mówiąc to, poczciwy Portos ze smutkiem patrzył na Aramisa.

— Ostatnią wolę?... — wykrzyknął biskup. — Co znowu! masz się za straconego?

— Czuję się znużonym. Pierwszy to raz w życiu, a w mojej rodzinie jest pewne przeznaczenie.

— Jakież to, przyjacielu?

— Dziad mój był dwa razy silniejszym odemnie i...

— O! o!... — wykrzyknął Aramis. — To ty miałeś dziadka Samsona?

— Nie. Antoni było mu na imię. Otóż w moim wieku był właśnie, gdy razu jednego, wybierając się na polowanie, uczuł osłabienie w nogach, czego dotąd nigdy nie doznawał.

— I cóż to oznaczać miało?

— Nic dobrego, jak sam się o tem przekonasz, gdyż pomimo, że nogi odmawiały mu posłuszeństwa, pojechał, natrafił na dzika, który natarł na niego, dziad mój chybił z rusznicy, a straszny zwierz rozpruł mu wnętrzności. Skonał na miejscu.

— Nie idzie zatem, abyś ty miał niepokoju jakiego doznawać drogi Portosie.

— O! zaczekaj, a dowiesz się jeszcze więcej. Ojciec mój znowu o połowę więcej miał siły, niż ja.

Twardy to był żołnierz Henryka III-go i Henryka IV-go, nie Antoni, a Kacper było mu na imię, tak jak pan Coligny. Wiecznie na koniu i nie znał, co to zmęczenie.

Pewnego wieczora, wstając od stołu, zachwiał się na nogach.

— Być może, iż zadługo ucztował?... — zauważył Aramis — rzecz prosta, że się zatoczył.

— a! przyjaciel Bassompiera? Cóż zowu! Nie, zaręczam ci, i bezsilność ta zdziwiła go tak mocno, że powiedział do mojej matki: "Możnaby sądzić, że spotkam się z dzikiem, jak nieboszczyk pan du Vallon, mój ojciec." Ona poczęła z niego żartować.

— Cóż dalej?... — zagadnął zaciekawiony Aramis.

— A to, lekceważąc osłabienie swoje, ojciec, zamiast położyć się do łóżka, zapragnął przejść się po ogrodzie: na pierwszym stopniu potknął się; schody były strome; padł na słup kamienny, w którym tkwiła żelazna zawiasa, trafił na nią skronią i nie podniósł się więcej.

Aramis spojrzał przyjacielowi w oczy i rzekł:

— Zaiste, dwa to wypadki fenomenalne; jednakże nie róbmy z nich wniosków, aby trzeci miał się wydarzyć.

Człowiekowi tak dzielnemu, jakim ty jesteś, nie przystoi być zabobonnym, zacny mój Portosie, zresztą nie znać tego wcale, aby nogi uginały się pod tobą.

Tak rzeźkim i wspaniałym, jak dzisiaj, nigdy chyba nie byłeś; zdaje się, iż dom cały uniósłbyś na swych barkach.

— Teraz już lepiej się czuję; ale przed chwilą słaniałem się, byłem bezwładny, a w ostatnich czasach fenomem ten, jak go nazywasz, powtórzył się cztery razy.

Nie powiem, aby mnie to miało zatrważać, ale gniewa mnie niewymownie; życie jest rzeczą przyjemną.

Mam pieniądze, mam piękne posiadłości ziemskie, mam konie moje ulubione, przyjaciół których kocham nad wszystko: D'Artagnana, Atosa, Raoula i ciebie.

Niezrównany Portos nie zadawał sobie trudu, aby ukrywać, że Aramisa stawia w ostatnim rzędzie przyjaciół swoich.

Aramis uścisnął mu rękę.

— Przeżyjemy jeszcze długie lata — rzekł — aby zachować światu próbki ludzi niepowszednich.

Zaufaj mi, przyjacielu drogi: nie mamy żadnej odpowiedzi od d'Artagnana, to dobry znak; musiał on wydać rozkaz zgromadzenia floty, dla odpłynięcia.

Ja także wydałem rozporzadzenie zatoczenia łodzi aż do ujścia wielkiego podziemia Lokmarja, wiesz, tam gdzieśmy tyle razy czatowali na lisy.

— Tak, tam, gdzie korytarz styka się z małą arkadą, odkryta przez nas tego dnia, w którym ów wspaniały lis wymknął się tamtędy.

— Tam właśnie. Na wypadek nieszczęścia, łódź nasza ukryje się w podziemiu; już ona tam być musi. Wyczekamy chwili przyjaznej i osłonięci ciemnością nocy, na morze!

— Piękny pomysł, a co na tem zyskamy?

— Zyskujemy to, że nikt o tej grocie nie wie, prócz dwóch lub trzech myśliwych tutejszych; zyskujemy, że w razie zajęcia wyspy, poczty, wysłane na zwiady, nie dostrzegłszy łodzi przy brzegu, nie będą podejrzewały, aby ktoś wymknąć się zechciał i przestaną dawać baczenie.

— Rozumiem.

— A jakże teraz nogi?

— O! przewybornie.

— A widzisz, że wszystko się składa, aby zapewnić nam spokój i nadzieję. D'Artagnan uwolni morze i pozostawi nam swobodę zupełną.

Niema już obawy przed flotą królewską, ani wkroczenia wrogów na wyspę.

Jak Bóg żywy! Portosie, pół wieku szczęśliwości pozostaje nam jeszcze, a niech tylko stanę na ziemi hiszpańskiej, przysięgam ci — dodał z przerażającą energją biskup — że dyplom twój książęcy nie jest tak niepewnym, jak to niektórym utrzymywać się podoba.

— Miejmy nadzieję — zcicha przemówił Portos pokrzepiony nieco zapałem towarzysza.

Naraz zabrzmiał okrzyk:

— Do broni!

Okrzyk ten, stoma powtórzony głosami, doszedł do uszu dwóch towarzyszów, wprawiając jednego z nich w podziw, a drugiego w niepokój wielki.

Aramis otworzył okno; ujrzał tłumy ludzi, biegających z pochodniami.

Kobiety uciekały, zbrojni zaś spieszyli na stanowiska.

— Flota, flota! — krzyknął jeden z żołnierzy, poznawszy Aramisa.

— Flota?... — powtórzył tenże.

— Na pół armatniego strzału.

— Do broni!... — krzyknął Aramis.

— Do broni!... — zagrzmiał potężny głos Portosa.

I pędem pobiegli ku tamie, aby ukryć się pod osłoną baterji.

Tymczasem ukazały się szalupy, naładowane żołnierstwem; płynęły one w troistym kierunku, aby w trzech punktach na ląd ich wysadzić.

— Co zrobić?... — zapytał oficer od straży.

— Wstrzymać je; a jeżeli nie staną, ognia! — zakomenderował Aramis.

W pięć minut potem zagrzmiały strzały armatnie.

Były to te same, które usłyszał d'Artagnan, przybijając do brzegów francuskich.

Ale szalupy zablisko już były, aby strzały armatnie mogły celnie mierzyć; przybiły do brzegu i rozpoczęła się walka zażarta.

— Co ci się stało, Portosie?... — zapytał Aramis towarzysza.

— To nic... moje nogi... doprawdy to niepojęte... przyjdą do siebie, nacierając na nieprzyjaciela...

Rzeczywiście z taką siłą natarli na napastników, tak w podkomendnych zagrzali ducha, że królewscy w popłochu cofnęli się do łodzi, unosząc swych rannych, jako zdobycz jedyną.

— E! Portosie — krzyknął Aramis — nam jeńca potrzeba, żywo, spiesz się.

Portos pochylił się ku schodom na tamie, uchwycił za kark oficera, który stał tam, czekając, nim żołnierze jego zejdą do szalupy, aby pójść za nimi ostatni.

Ramię olbrzyma uniosło w górę swą zdobycz, czyniąc z niej puklerz, osłaniający go przed kulami nieprzyjacielskiemi.

— Masz jeńca — odezwał się Portos, niosąc go Aramisowi.

— A widzisz — zawołał tenże, śmiejąc się do rozpuku — a teraz jeszcze będziesz obmawiał swoje nogi.

— Nie nogami go wziąłem — smutnie odpowiedział Portos — porwałem go ręką.

CCLIII

SYN BISCARRATA.

Zwycięstwo odniesione dodało odwagi Bretończykom na wyspie; wszelako Aramis nie zachęcał ich do dalszych utarczek.

— Z tego wyniknie — mówił on, gdy rozeszli się wszyscy — że na wieść o tym oporze obudzi się gniew królewski ,i skoro wyspę zdobędą, mężny ten naród zdziesiątkowany lub spalony zostanie; niechybnie na tem się skończy.

— Pokazuje się więc — odparł Portos — że dzieło nasze było bez pożytku?...

— Przyda się ono na coś chwilowo — odpowiedział biskup — mamy bowiem jeńca, od którego dowiemy się, co zamierzają nieprzyjaciele nasi.

— Zapewne, wybadajmy go — podchwycił Portos — a najprostszym sposobem, dla rozwiązania mu języka będzie zaprosić go na kolację; pijąc, stanie się rozmownym.

Tak się też stało. Zaniepokojony zrazu oficer uczuł się bezpiecznym, widząc, z kim ma do czynienia.

Nie mając powodu obawiania się zdrady, opowiedział szczegółowo o dymisji i odjeździe d'Artagnana.

Objaśnił, jak potem nowy dowódca wyprawy wydał rozkaz napadu na Belle-Isle. Dalej nie był już w stanie nic więcej powiedzieć.

Aramis i Portos zamienili spojrzenie, świadczące o ich rozpaczy.

Przepadła nadzieja na niezwalczoną pomysłowość d'Artagnana, przepadła zatem wszelka nadzieja w razie przegranej.

Prowadząc dalej badanie, zapytał Aramis więźnia, co królewscy zamyślali zrobić z przywódzcami Belle-Isle?

— Rozkazano — odpowiedział tenże — jeżeli podczas walki nie zostaną zabici, powiesić ich potem.

Aramis i Portos jeszcze spojrzeli na siebie.

Oblicza obydwóch krwią nabiegły.

— Ja jestem za lekki dla szubienicy — odparł Aramis — nie wiesza się takich, jak ja, ludzi.

— A ja za ciężki jestem — rzekł Portos — tacy jak ja, powrozy zrywają.

— Jestem pewny — odparł uprzejmie więzień — że postaralibyśmy się dla panów o uwzględnienie wyboru śmierci.

— Tysiączne dzięki — rzekł Aramis poważnie.

Portos skłonił się w milczeniu.

— Napijmy się jeszcze za zdrowie pańskie — rzekł, wychylając swój kielich.

Przy gawędce przedłużyła się kolacja; oficer, który był rozsądnym szlachcicem, zwolna uczuł się oczarowany niepospolitym umysłem Aramisa i serdeczną dobrodusznością Portosa.

— Wybaczcie mi, panowie — rzekł — iż ośmielę się zadać wam jedno pytanie lecz kończącym szóstą butelkę służy pewne prawo śmiałości.

— Pytaj pan — odezwał się Portos — nie krępuj się.

— Czy nie służyliście, panowie obydwaj w muszkieterach nieboszczyka króla?

— A tak, i to w najlepszych, pozwól pan sobie powiedzieć — odpowiedział Portos.

— To prawda: powiedziałbym nawet, że w najlepszych nad wszystkich żołnierzy, gdybym nie bał się obrazić pamięci mojego ojca.

— Pańskiego ojca? — wykrzyknął Aramis.

— Czy wiecie, panowie, jak się nazywam?

— Nie, słowo daję; ale pan mi powiesz i...

— Nazywam się Jerzy Biscarrat.

— O! — wykrzyknął Portos — Biscarrat! Aramisie, przypominasz sobie to nazwisko.

— Biscarrat?... — powtórzył w zamyśleniu biskup. — Zdaje mi się....

— Sięgnij pan pamięcią — odezwał się oficer.

— Na Boga! zaraz, zaraz — mówił Portos. Biscarrat, zwany Kardynałem... jeden z czterech, którzy przeszkodzili nam te-

go dnia, gdyśmy ze szpadą w ręku wchodzili w przyjazne stosunki z d'Artagnanem.

— Tak, panowie.

— Jedyny, któregośmy nie ranili — żywo dorzucił Aramis.

— Dzielny rębacz widocznie — zauważył jeniec.

— To prawda, o! święta prawda — jednogłośnie przywtórzyli starzy muszkieterowie. — Na honor, panie de Biscarrat, szczęśliwi jesteśmy, poznając tak zacnego człowieka.

Biscarrat uścisnął wyciągnięte ku niemu dwie dłonie dawnych muszkieterów.

Aramis spojrzał na Portosa, jakby chciał mu powiedzieć: "Znalazł się człowiek, który nam pomoże." I nie czekając:

— Przyznaj pan — rzekł — że warto być uczciwym człowiekiem.

— Zawsze mi to, panie, powtarzał mój ojciec.

— I przyznaj także, że smutną jest okoliczność w jakiej się znajdujesz, spotykając ludzi, skazanych na rozstrzelanie lub powieszenie, i dowiadując się, że ludzie ci są dawnymi, starymi twoimi dziedzicznymi znajomymi.

— O! los tak okrutny nie jest wam przeznaczony, panowie i przyjaciele moi — z żywością przemówił młodzieniec.

— Ba! sam to powiedziałeś.

— Powiedziałem, nie wiedząc, kto panowie jesteście: a teraz, poznawszy was, mówię: Unikniecie przeznaczenia tego, jeżeli zechcecie.

— Jakto, jeżeli zechcecie? — zawołał Aramis, a oczy zabłysły mu przenikliwością, patrząc kolejno na Portosa i jeńca.

— Z warunkiem — podchwycił Portos, wpatrując się nieustraszonym, pełnym szlachetności wzrokiem w Biscarrata i biskupa — z warunkiem, że wymagać nie będą od nas podłości.

— Niczego żądać od was nie będą, panowie — odparł oficer królewski — czegóż oni chcieć mogą? Jeżeli was znajdą, zabiją, to rzecz postanowiona; starajcie się więc, aby was nie znaleziono.

— Sądzę, iż się nie mylę — odezwał się Portos z godnością — lecz zdaje mi się, że, ażeby nas znaleźć, tutajby musieli po nas przyjść.

— Masz w tem najzupełniejszą słuszność, zacny przyjacielu — odparł Aramis, nie spuszczając badawczego oka z oblicza,

milczącego i pełnego przymusu Biscarrata. — Chcesz nam coś powiedzieć, panie Biscarrat, jakieś odkrycie chcesz nam uczynić i nie śmiesz, wszak prawda?

— A! drodzy moi panowie, mówiąc, dopuszczam się zdrady; ale słuchajcie, oto głos, który mnie uwalnia od tego.

— Wystrzał armatni! — odezwał się Portos.

— Armaty i ogień muszkieterów! — wykrzyknął biskup.

Słyszeć się dał z oddali, z pomiędzy skał, złowrogi odgłos bitwy, który umilkł wkrótce.

— Co to jest? — zapytał Portos.

— E! przebóg! — zawołał Aramis — spodziewałem się tego.

— Czego takiego?

— Napad, wykonany przez was, był tylko zmyślonym, nieprawdaż, panie? a gdy oddziały wasze dozwoliły się odeprzeć, zapewniliście sobie wylądowanie z innej strony wyspy.

— W kilku punktach, panie.

— Zatem jesteśmy zgubieni — z najwyższym spokojem wymówił biskup z Vannes.

— Zgubieni! bardzo być może — odparł dziedzic Pierrefonds — lecz nie pojmani jeszcze, ani też powieszeni.

Mówiąc to, powstał od stołu, podszedł do ściany i z zimną krwią zdjął z gwoździa szpadę i pistolety swoje, opatrzył je starannie, jako stary żołnierz, gotujący się do walki, który czuje, iż życie jego zależy głównie od wyborowej i dobrze utrzymanej broni.

Na wieść o niespodzianym napadzie, przy huku strzałów armatnich, ludność, straciwszy głowy, tłumnie rzuciła się do warowni. Rady i pomocy domagała się od dowódzców.

Aramis, blady i upadły na duchu, ukazał się w oknie, wychodzącem na wielki dziedziniec, oświeciwszy twarz swoją dwiema pochodniami; roiło się tam od żołnierzy, wyczekujących rozkazów, i mieszkańców, z przerażeniem błagających o pomoc.

— Dzieci moje — przemówił d'Herblay głosem smutnym i dźwięcznym — pan Fouquet, opiekun wasz, przyjaciel, wasz ojciec, został z rozkazu króla uwięziony i zamknięty w Bastylji.

Przeciągły okrzyk zgrozy i wściekłości wzniósł się ku oknu, w którem stał biskup.

— Pomścijmy Fouqueta! — krzyczeli najzapaleńsi. — Śmierć królewskim.

— Nie, dzieci moje, uroczyście odpowiedział Aramis — nie trzeba nie stawiajcie oporu. Król jest wysłannikiem Boga. Król i Bóg dotknęli pana Fouqueta. Kochajcie Boga i króla, których ręka spadła na niego, a nie mścijcie się za opiekuna waszego, nie starajcie się o to nawet. Daremnie poświęcilibyście siebie, żony wasze, dzieci, mienie i wolność waszą. Złóżcie broń, przyjaciele' skoro król tak każe i w spokoju powróćcie do domów. Ja to nakazuję wam, ja proszę was o to, ja, nakoniec, jeżeli tego potrzeba, żądam tego od was w imieniu pana Fouqueta.

Tłumy, zgromadzone pod oknem, zawrzały z gniewu i przerażenia.

— Wojsko Ludwika XIV wkroczyło na wyspę — mówił dalej Aramis — Odtąd więc już nie bitwa, lecz rzeź wynikłaby z tego. Rozejdźcie się więc i puśćcie wszystko w niepamięć, ja to raz jeszcze rozkazuję wam w imieniu pana Fouqueta.

Krnąbrni zwolna się rozeszli w milczeniu, poddając się głosowi rozsądku.

— Masz tobie! I cóżeś ty wygłosił, przyjacielu? — odezwał się Portos.

— Panie — przemówił Biscarrat do biskupa — zbawiasz wszystkich mieszkańców, lecz dla ciebie i przyjaciela twego niema ocalenia.

— Panie de Biscarrat — rzekł biskup tonem pełnym szlachetności, w połączeniu z najwyższą grzecznością — zechciej łaskawie uważać się za wolnego.

— Z największą chęcią, panie, lecz...

— To nam przysługę wyświadczy; bo oznajmiając pełnomocnikowi królewskiemu o poddaniu się zbuntowanych, dla nas możesz łaskę jaką otrzymać, objaśniając go, w jaki sposób poddanie to się odbyło.

— Łaskę! — powtórzył Portos z zaiskrzonemi oczyma — łaskę! — nie znam tego słowa!

Aramis z niecierpliwości trącił go w łokieć, jak to zwykł był czynić w pięknych dniach ich młodości, wtedy, gdy chciał mu dać do poznania, że palnął bąka.

— Zrozumiał Portos i zamilkł.

— Pójdę, panowie — odrzekł Biscarrat, zdziwiony nieco tem słowem "łaska", wymówionem przez dumnego muszkietera, któ-

rego czyny bohaterskie z takim zapałem opowiadał i wychwalał przed chwilą.

— Żegnaj więc, panie Biscarrat — z ukłonem powiedział Aramis, — a jako ostatnie wspomnienie. przyjm wyrazy najwyższej wdzięczności naszej.

— Ależ wy, panowie, wy, których mam zaszczyt przyjaciółmi mymi nazywać, skoro raczyliście zgodzić się na to miano, cóż z wami przez ten czas się stanie?... — odparł oficer cały wzruszony, żegnając się z dawnymi przeciwnikami ojca swojego.

— My zaczekamy na miejscu.

— Lecz, Boże mój! rozkaz jest nieodwołalny!

— Ja jestem biskupem z Vannes, panie de Biscarrat, a tak samo jak nie wiesza się biskupa tak szlachcica nie skazuje na rozstrzelanie.

— A!... tak, dostojni panowie —odparł Biscarrat — to prawda, to jeszcze pozostaje, co za wami przemawia. Odchodzę zatem, udaję się wprost do głównodowodzącego nad wyprawą. Żegnam was, panowie; a raczej, do widzenia!...

Zacny młodzieniec dosiadł konia, którego podać mu rozkazał Aramis, i popędził w kierunku kanonady, która przed chwilą taki popłoch rzuciła na ludność miejscową i przerwała rozmowę dwóch towarzyszy z ich młodym jeńcem.

Aramis popatrzył za odjeżdżającym, i zostawszy sam na sam z Portosem:

— I cóż, czy pojmujesz o co chodzi?... — zapytał.

— Nie, na honor.

— Czy Bascarrat nie zawadzał ci tutaj?...

— Nie, dzielny z niego chłopiec.

— Nie przeczę; zapominasz jednak o Lokmarji, czyż potrzeba, aby wszyscy o niej wiedzieli?

— A!... prawda, prawda, rozumiem. Mamy się wymknąć przez podziemie.

— Jeżeli raczysz zezwolić na to — odparł słodziutko Aramis. — W drogę, przyjacielu Portosie!... Statek nasz oczekuje na nas, król nie złapał nas jeszcze!

Podziemie to dość oddalone było od tamy, szli więc powoli nie chcąc zrazu szafować zbytecznie siłami, zwłaszcza, że

późno już było; północ wybiła na zegarze warowni, Aramis zaś i Portos obciążeni byli pieniędzmi i bronią.

Szli więc polem piaszczystem, dzielącem przystań od podziemnego przejścia, nasłuchując każdego szelestu, z myślą, zwróconą ku możliwości zasadzki.

Po lewej stronie ich, drogą, którą omijali bacznie, przemykali się od czasu do czasu mieszkańcy wsi, przerażeni wieścią o wylądowaniu wojsk królewskich.

Aramis z Portosem, ukryci za bokiem skały, wysłuchiwali urywanych rozmów zbiegów, drżących ze strachu, którzy unosili z sobą rzeczy, mające dla nich najwięcej wartości.

Ze skarg i narzekań tych nieszczęśliwych starali się oni zasięgnąć choć cokolwiek potrzebnych wiadomości.

Nakoniec, po wytrwałym, lecz skutkiem przezorności, dość często przerywanym marszu, doszli do pieczar owych głębokich, gdzie, za staraniem przewidującego biskupa z Vannes, oczekiwała na nich wygodna i mocna łódź, zdolna wytrzymać przydłuższą żeglugę morską.

— Przyjacielu kochany — odezwał się Portos, odsapnąwszy jak miech kowalski, w celu przyniesienia ulgi potężnym swym płucom — jesteśmy na miejscu, o ile mi się zdaje; lecz przypominam sobie, iż mówiłeś mi o trzech pomocnikach, którzy towarzyszyć nam mieli. Czemuż ich tu nie widzę?

— Na cóż miałbyś ich widzieć, drogi Portosie? Z pewnością czekają na nas w pieczarze odpoczywając, po spełnieniu ciężkiego zadania, jakie mieli z zatoczeniem na wałkach ogromnej naszej łodzi.

I wstrzymał Portosa, chcącego wejść do podziemia.

— Pozwól, mój drogi — odezwał się do olbrzyma — niech ja pierwszy tam wejdę. — Ja tylko znam hasło, znane tym ludziom; oni zaś, nie słyząc go, mogliby przypadkiem dać ognia lub też w ciemnicy nożami cię powitać.

— Idź więc, kochany Aramisie, idź przodem ty, który jesteś uosobieniem mądrości i przewidywania. Tembardziej, że oto znowu ogarnia mię osłabienie, o którem ci już mówiłem.

Aramis pozwolił Portosowi usiąść u wejścia do groty, a sam, zgięty we dwoje, wsunął się do jej środka, naśladując wołanie puszczyka.

Z głębi podziemia odezwało się krótkie żałosne gruchanie, zaledwie dosłyszalne dla ucha.

Aramis ostrożnie postępował w ciemności, i wkrótce zatrzymany został głosem puszczyka, podobnym do tego, jakim sam dał hasło; głos odzywał się o jakie dziesięć kroków od niego.

— Jesteś tam Yvonie?... — zapytał biskup.

— Tak, Jaśnie Panie. Jest tu i Greunee z synem.

— Dobrze. Czy wszystko gotowe?

— Tak, Jaśnie Panie.

— Dobry mój Yvonie, idźcie do wejścia pieczary, znajdziecie tam Jaśnie Pana de Pierefonds, który zmęczony drogą odpoczywa trochę. Gdyby nie mógł się dźwignąć przypadkiem, weźcie go na ręce i przynieście tu do mnie.

Trzej Bretończycy spełnili rozkaz.

Okazało się, iż zlecenie Aramisa było zbyteczne.

Odpocząwszy bowiem przez chwilę, Portos schodzić zaczął, a ciężkie jego kroki rozlegały się pod sklepieniami, które podpierały kolumny z krzemienia i granitu.

CCLIV

PIECZARA LOCKMARIA.

Gdy pan de Bracieux połączył się już z biskupem, Bretończycy zapalili latarnię, którą z sobą przynieśli, Portos zaś zapewnił przyjaciela, że czuje się najzupełniej dobrze.

— Obejrzyjmy łódź — odezwał się Aramis — a nadewszystko przekonajmy się, co ona zawiera.

— Nie tak blisko ze światłem, Jaśnie Panie — rzekł przewodnik Yvon — gdyż, według rozkazu pańskiego, złożyłem pod ławkę wtyle łodzi, pakę z baryłką prochu i nabojami muszkietowymi, które Jaśnie Pan przysłał z fortecy.

— Dobrze — bąknął Aramis.

I, wziąwszy latarnię, z miną człowieka, wolnego od obaw, a świadomego niebezpieczeństw, opatrzył drobiazgowo wszystkie składowe części statku.

Łódź była długa, lekka, mało biorąca wody, z dnem wąskiem, jedna z tych, jakie w Belle-Isle budowano, o dość wysokich

burtach, trzymająca się równo na powierzchni wody, zwrotna, zaopatrzona w deski, które w czasie burzliwym tworzyć mogły rodzaj pokładu, po którym prześlizgiwałyby się bałwany, co stanowiłoby zarazem ochronę dla osady.

W dwóch, szczelnie zamkniętych skrzyniach, umieszczonych pod ławkami, w tyle i na przodzie statku, Aramis zastał chleb, suchary, owoce suszone, połeć słoniny i dobry zapas wody w kubełkach; wszystko to wystarczało na czas dłuższy do wyżywienia osady, na wypadek odcięcia jej od wybrzeży.

Broń, w liczbie ośmiu muszkietów i tyluż pistoletów, nabita i w pełnym porządku, złożona była w skrzyni, szczelnie zamkniętej.

Były tam i wiosła zapasowe, i żagiel mały trójkątny, który wspólnie z wiosłami przyspiesza bieg łodzi, nie ciążąc statku, a w czasie wiatru jest wielce pożyteczny

Aramis skoro już wszystko obejrzał, widocznie zadowolony z oględzin, rzekł:

— Naradźmy się teraz, drogi Portosie, czy mamy wyprowadzić barkę przeciwległym otworem pieczary, o którym nikt nie wie, kierując się po pochyłości w cieniu podziemia, czy też pod gołem niebem przesunąć ją na wałkach, pomiędzy krzakami, przesadzając ją przez skały wybrzeża, mające w tem miejscu nie więcej nad dwadzieścia stóp wysokości, a od strony morza głębię na trzy lub cztery sążnie, z dnem równem i twardem.

— Mniejsza o to, Jaśnie Panie!... — z uszanowaniem odezwał się przewodnik Yvon — ale nie zdaje mi się, aby po pochyłości podziemia, w ciemnicy, gdzie będziemy zmuszeni statkiem naszym kierować, droga była równie dogodną, jak pod gołem niebem.

Znam ja dobrze skały nadbrzeżne i mogę zaręczyć, iż gładkie są jak trawnik ogrodowy; a wnętrze groty, przeciwnie, chropowate jest; nie licząc, że przy samym końcu napotkamy zwężenie kanału, prowadzącego do morza, przez które prawdopodobnie statek nie przejdzie.

— Mam ja swoją rachubę — odpowiedział biskup — i pewność wszelką, że przejdzie.

— Nie przeczę, Jaśnie Panie, lecz jabym nie radził — nalegał przewodnik — Wasza Wysokość wie przecież, że, aby prze-

dostać się do zwężonego kanału, trzeba podnieść ogromny kamień, ten, pod którym lis się zawsze przemyka, a który, jakby drzwi jakie, tamuje drogę.

— Podniesiemy go — odezwał się Portos — to fraszka.

— O! ja wiem, że Jaśnie Pan ma siły za dziesięciu ludzi — odparł Yvon — ale, to może być niebezpiecznem.

— Wiesz, że on może ma rację — rzekł Aramis.

Spróbujemy pod gołem niebem.

— Tembardziej, Jaśnie Panie — ciągnął dalej rybak — że nie zdążymy wypłynąć przededniem, tyle jest przytem krzątaniny, a skoro się tylko rozwidni, nieodzownie potrzebną nam będzie placówka nazewnątrz groty, dla podpatrzenia obrotów statków wojennych i gabarów, któreby na nas mogły czatować.

— Tak, tak, Yvonie, dobrą jest twoja rada, przeprawimy się przez skały nadbrzeżne.

I trzech barczystych Bretończyków, umieściwszy łódź na wałkach, już miało ją w ruch wprowadzić, gdy dało się słyszeć szczekanie psów, dochodzące z odległej płaszczyzny.

Aramis wypadł z groty, jak szalony, a za nim Portos.

Brzask zaróżowił purpurą i oblał srebrem powierzchnię fali; smutne karłowate sosenki rysowały się w półświetle poranka, a długie stada kruków czarnemi skrzydłami szybowały ponad jałowem polem, gryką zasianem.

Kwadrans jeszcze, a dzień zajaśnieje w całej swojej pełni; ptaki zwiastuny śpiewem radosnym zapowiadały go przyrodzie.

Usłyszano szczekanie psów, które wstrzymało rybaków, gotowych do poruszenia statku, Aramisa zaś i Portosa zmusiło do wyjścia z groty; nie przestawało ono rozbrzmiewać w przedłużeniu głębokiego podziemia, nieomal na milę francuską od groty.

— To polowanie — rzekł Portos — psy tropią zwierza.

— Co to takiego? kto poluje o tej porze? — pytał w duchu Aramis.

— A przedewszystkiem w tych stronach, to coś dziwnego — ciągnął dalej Portos — tu, gdzie obawiają się wojsk królewskich!

— Coraz bliżej słychać szczekanie. Tak, masz słuszność Portosie, psy gonią za śladem.

— A to co?... — nagle zawołał Aramis. — Yvonie, Yvonie, chodźże tu!

Rybak nadbiegł, rzuciwszy wał drewniany, który miał pod barką podłożyć w chwili, gdy wołanie biskupa przerwało mu tę czynność.

— Co znazy to polowanie?... — zapytał go Portos.

— E! Jaśnie Panie — odparł Bretończyk — nic a nic tego nie rozumiem. Dziedzic Lockmaria nie polowałby o tej porze. Nie; a jednak, te psy....

— Mogły wyrwać się z psiarni.

— Nie — odezwał się Greunee — to nie są psy dziedzica Lockmaria.

— Dla ostrożności — rzekł Aramis — powróćmy do groty; ani chybi, głosy się zbliżają, lada chwila dowiemy się, co o tem sądzić.

Skryli się znowu; lecz, zanim sto kroków uszli w ciemnościach, gdy odgłos chrapliwego oddechu wystraszonego zwierzęcia rozległ się w pieczarze, i naraz, zdyszany, wylękniony, szybki jak błyskawica, przemknął się lis przed kryjącymi się zbiegami, jednym susem przesadził barkę, zostawiając po sobie pasmo ostrej woni zwierzęcej.

— Lis!... — krzyknęli Bretończycy z radosnem zdziwieniem myśliwców.

— Przekleństwo!... — krzyknął biskup — kryjówka nasza odkryta.

— Jakto? .. — odezwał się Portos — mielibyśmy przelęknąć się lisa?

— E! co ty gadasz, przyjaielu, cóż cię ten lis obchodzi? Przebóg! nie o niego tu idzie! Ale, czyż nie wiesz Portosie, że za lisem psy, a za psami ludzie nadejdą.

Portos wdół zwiesił głowę.

Jakby na potwierdzenie słów Aramisa, ponowiło się ujadanie psiarni, zbliżając się z przerażającą szybkością w ślad za zwierzyną.

Sześciu uganiających się psów wpadło na polankę, naszczekując na podobieństwo zwycięskiej fanfary.

— Otóż i psy — odezwał się Aramis, stojąc zaczajony we wgłębieniu pomiędzy dwiema skałami — a teraz, kto są myśliwi?

— Jeżeli to dziedzic Lockmaria — odpowiedział przewodnik — to pozwoli psom przeszukać podziemie; on je zna i sam tu nie wejdzie, pewny będąc, że lis drugą stroną wyjdzie; tam on na niego poczeka.

— To nie dziedzic Lockmaria poluje — odparł biskup, blednąc pomimowolnie.

— A zatem któż to być może?... — zagadnął Portos.

— Patrz.

Portos przyłożył do otworu oko i ujrzał na szczycie wzgórza z tuzin jeźdźców, pędzących za psami z nawoływaniem, "Huź go ha!"

— Gwardja!... — rzekł.

— Tak, przyjacielu, gwardja królewska.

— Gwardja królewska, mówisz, Jaśnie Panie?...— wykrzyknęli Bretończycy, blednąc śmiertelnie.

— A na ich czele Biscarrat na moim siwku — ciągnął dalej Aramis.

Psy, jak lawina wpadły do groty, a głębie pieczary napełniły się ogłuszającym wrzaskiem.

— Do kroćset djabłów!... — syknął przez zęby Aramis, odzyskując wobec nieuniknionego niebezpieczeństwa zimną krew swoją. — Wiem o tem, żeśmy zgubieni; lecz jedna przynajmniej pozostaje nam szansa; jeżeli gwardziści, idąc za psami, dowiedzą się o wejściu do podziemi, wszelka nadzieja stracona; wejdą i zobaczą barkę i nas przy niej. Potrzeba, aby psy stąd nie wyszły. Potrzeba, ażeby właściciele ich wejść tu nie mogli.

— Tak — rzekł Portos.

— Słuchajcie — dodał biskup dobitnie i rozkazująco — psów jest sześciu, muszą się one zatrzymać przy wielkim kamieniu, pod którym przemknął się lis; dla nich za ciasne to przejście, tam zatrzymają się i będą zabite.

Bretończycy z nożami w ręku rzucili się w tę stronę.

Po upływie kilku minut zaledwie, rozległo się wycie, skomlenie żałosne jęki śmiertelne, a potem cisza zupełna.

— Dobrze — chłodno powiedział Aramis. — A teraz, do panów!...

— Co począć?... — zapytał Portos.

— Czekać, aż nadejdą, i z ukrycia pozabijać.

— Pozabijać?... — powtórzył Portos.

— Jak dotąd, jest ich szesnastu.

— I uzbrojeni, jak należy — dodał Portos, z uśmiechem pocieszającym.

— Dziesięć minut wystarczy — szepnął Aramis. — Baczność!...

I ruchem stanowczym wziął muszkiet do ręki, a w zęby ostry nóż myśliwski.

— Yvon i Greunee z synem — ciągnął Aramis — podawać nam będą muszkiety. Ty, Portosie, nie czekając, pal. Sześciu ich położymy, zanim reszta się domyśli, to pewne, następnie, pięciu nas, tak jak jesteśmy, z nożem w ręku, załatwimy się z pozostałymi.

— A ten biedak Biscarrat?... — odezwał się Portos.

Aramis zastanowił się chwilę.

— Biscarrat najpierwszy — odparł obojętnie. — On tylko nas zna.

CCLV

W PODZIEMIU.

Pomimo wysokiego daru odgadywania, jaki posiadał Aramis, całe to zdarzenie, podlegające jak wszystko na świecie, zrządzeniom wypadku, nie wzięło takiego obrotu, jaki przewidywał biskup z Vannes.

Lepszego mając wierzchowca, niż jego towarzysze, Biscarrat pierwszy stanął u otworu groty, pojmując, że w jej wnętrzu lis i psy się zaprzepaściły.

Tylko zdjęła go zabobonna jakaś odraza, właściwa każdemu człowiekowi, na widok podziemnej i ciemnością zaległej drogi.

Stanął więc i czekał na przybycie towarzyszy.

— A co tam?... — zapytali go, nadbiegłszy zdyszani i nie mogąc sobie zdać sprawy z jego bezczynności.

— A to, że psów wcale nie słychać; chyba, że przepadły w podziemiu wraz z lisem.

— Zbyt dobrze goniły, ażeby się tak stropić miały odrazu — odezwał się jeden z gwardzistów. — Wreszcie, słychaćby je było ujadające z jednej lub z drugiej strony. Ma słuszność Biscarrat mówiąc, że zostały w grocie.

— Czemuż się tedy nie odzywają?... — zauważył jeden z oficerów.

— To dziwne — odezwał się inny.

— Na cóż tu czekamy — wtrącił czwarty z kolei — wejdźmy do środka. — Któż nam tego może zabronić?...

— Nikt — odparł Biscarrat. — Tylko, że tam czarno, jak w kominie, i można kark skręcić.

— Dowodem tego psy nasze — rzekł jeden z nich, — z któremi widocznie się to stało.

— A tak, co u djabła z nimi się stało?... — chórem zapytali wszyscy.

I poczęli wołać po imieniu, każdy swojego, gwizdać, wabić, lecz wszystko było nadaremnie, żaden z psów nie dawał znaku życia.

— Może ta grota jest zaczarowana — odezwał się Biscarrat. — Trzeba zobaczyć.

I, zsiadłszy z konia, zmierzał do groty.

— Zaczekaj, zaczekaj, ja z tobą pójdę — odezwał się jeden z gwardzistów, widząc Biscarrata, znikającego w ciemnościach.

— Nie chcę — odparł tenże — musi tam być coś niezwykłego; nie narażajmy się wszyscy odrazu. Jeżeli za dziesięć minut nie odezwę się, wejdziecie, ale już wszyscy razem.

— Niech i tak będzie — odpowiedzieli mu towarzysze, nie widząc wreszcie niebezpieczeństwa w tem przedsięwzięciu — czekamy na ciebie.

I, nie zsiadając z koni, otoczyli wejście do groty.

Biscarrat zapuścił się więc w ciemności i dotarł aż do samej lufy muszkietu Portosa.

Opór, jaki pierś jego napotkała, zdziwił go niepomału; wyciągnął przed siebie rękę i zimną stal w nią uchwycił.

Jednocześnie Yvon zamierzył się nożem na niego i byłby go ugodził całą siłą pięści Bretońskiej, gdyby nie powstrzymało go w połowie drogi żelazne ramię Portosa.

Następnie głos, jak grzmot przytłumiony, rozległ się w ciemnościach:

— Ja nie chcę, aby go zabito.

Biscarrat znalazł się naraz pomiędzy obroną i napaścią, jedna jak druga wydała mu się zarówno groźną.

Pomimo całej odwagi, młodzieniec wydał krzyk, który stłumił odrazu Aramis, usta chustką mu zaciskając.

— Panie de Biscarrat — wyszeptał on głucho — nie mamy złych zamiarów względem ciebie, o czem winieneś być przekonany, jeżeli poznałeś, z kim masz do czynienia; lecz, jeżeli piśniesz chociażby, słówko będziemy zmuszeni zabić cię, jak pozabijaliśmy psy wasze.

— Poznaję was, panowie — cicho odparł młodzieniec. — Ale dlaczego tu jesteście?... co tu robicie?... Nieszczęście!... nieszczęście!... Pewny byłem, iż jesteście w warowni.

— A pan miałeś wyjednać dla nas warunki jakieś, o ile mi się zdaje.

— Uczyniłem, co mogłem, panowie, lecz...

— Lecz?...

— Rozkaz jest nieodwołalny.

— Aby nam odebrać życie?

Biscarrat nie odpowiedział.

Nie mógł przemódz na sobie, aby szlachcie zwiastować stryczek.

Zrozumiał Aramis jego milczenie.

— Panie Biscarrat — rzekł on — gdyby nie wzgląd na młodość twoją i dawny nasz związek z twym ojcem, nie żyłbyś już teraz; możesz jednak wyjść cało, jeżeli przysięgniesz, że słówkiem nie zdradzisz tego, co tu widziałeś.

— Nie tylko milczeć będę — odrzekł Biscarrat — lecz przysięgam, iż wszystko na świecie uczynię, aby nie dozwolić towarzyszom moim wejść do tej groty.

— Biscarrat... Biscarrat!... — zagrzmiało kilka naraz głosów, jak huragan wstrząsając podziemiem.

— Odezwij się — rzekł Aramis.

— Jestem!... — krzyknął Biscarrat.

— Wyjdź pan, polegamy na twej prawości.

I puścił młodzieńca.

Biscarrat szedł, kierując się wpadającem zzewnątrz światłem.

— Biscarrat!... Biscarrat!.. — wołały zbliżające się głosy.

I kilka cieniów ludzkich zarysowało się wewnątrz groty

Biscarrat rzucił się naprzód dla powstrzymania. towarzyszy i spotkał ich, zapuszczających się w podziemie.

Aramis i Portos, nadstawili ucha z natężeniem, jak ludzie. których życie zawisło na włosku.

Biscarrat dotarł do wyjścia, a za nim podążyli koledzy.

— O!... o!... — odezwał się jeden z nich, wyszedłszy na światło — jakiś ty blady!

— Blady!... — wykrzyknął inny — powiedz raczej zielony!

— Ja?... — odparł młodzieniec, usiłując odzyskać władzę nad sobą.

— Ależ na Boga, co ci się stało?... — zapytały wszystkie głosy razem.

— Ani kropli krwi nie masz już w żyłach, biedaku — śmiejąc się zauważył jeden z nich.

— To nie żarty, panowie — odezwał się któryś — gotów nam zemdleć; nie macie tu soli trzeźwiących?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem rozgłośnym.

Pytania te i docinki krzyżowały się koło uszu Biscarrata, jak kule, świszczące w powietrzu podczas zaciętej utarczki.

Wśród tej nawały badań i spostrzeżeń, siły mu zwolna wracały.

— Cóż chcecie, abym tam zobaczył?... — zapytał. — Zgrzany byłem, wchodząc do groty, i zimno mnie przejęło; nic więcej.

— Ale czy nie wiesz, co się z psami zrobiło? nie dowiedziałeś się? czy nie słyszałeś co o nich?

— Przypuszczać należy, że poszły inną drogą — odparł Biscarrat.

— Panowie — odezwał się jeden z młodych ludzi — w tem wszystkiem, co się tu dzieje, w pobladłej twarzy i milczeniu naszego kolegi, kryje się jakaś tajemnica, której Biscarart nie chce lub nie może wyświetlić. Jeden jest tylko pewnik, że Biscarrat coś w grocie zobaczył. Otóż jestem ciekawy widzieć to, co i on, choćby to był sam djabeł. Do groty, panowie!... do groty!

— Do groty!... — powtórzyli wszyscy chórem.

A echa podziemi, jak straszną groźbę powtarzały Aramisowi i Portosowi te straszne słowa:

"Do groty! do groty!"

Biscarrat zastąpił kolegom drogę.

— Panowie!... panowie!... nie wchodźcie tam, na Boga!... — wołał rozpaczliwie.

— Cóż tam jest tak strasznego w tym podziemiu?... — zapytało kilka głosów.

— Słuchaj, Biscarrat, powiedz nam.

— Ani chybi djabła tam zobaczył — odezwał się ten, co już raz to przypuszczenie zrobił.

— Jeżeli go zatem widział — zawołał drugi — niech nie będzie egoistą i nam go też pozwoli zobaczyć.

— Panowie!... panowie!... zmiłujcie się!... — nalegał Biscarrat.

— Puszczajże nas.

— Nie wchodźcie, panowie, błagam was!

— A ty dlaczego tam wszedłeś?

Wtedy jeden z oficerów, dojrzalszy od innych wiekiem, który trzymał się na uboczu i milczał, wystąpił naprzód:

— Panowie — rzekł on głosem spokojnym, stanowiącym sprzeczność z ożywieniem młodych ludzi — jest tam coś czy ktoś, co djabłem nie jest bynajmniej, lecz czemkolwiekbądź jest dość ma jednak władzy, aby kazać psom naszym zamilknąć. Trzeba więc zbadać, co to jest takiego.

Biscarrat po raz ostatni jeszcze usiłował powstrzymać towarzyszów; daremne jednak były te wysiłki.

Napróżno zagrodził drogę najnieustraszeńszym, uczepił się u skały, aby zatamować wejście, wszyscy razem wtargnęli do pieczary za tym, co przemówił ostatni, lecz najpierwszy rzucił się z bronią w ręku, aby mężnie stawić czoło niebezpieczeństwu nieznanemu.

Odepchnięty przez kolegów, Biscarrat, nie mogąc iść z towarzyszami pod grozą zdrady i krzywoprzysięstwa wobec Aramisa i Portosa, oparł się o chropowatą ścianę skały, z rękoma, wciąż złożonemi błagalnie, słuchem wytężonym, nadstawiwszy piersi w kierunku skąd spodziewał się strzałów dwóch muszkieterów.

Gwardziści zaś szli wciąż przed siebie z okrzykami, słabnącemi w miarę, jak zagłębiali się w podziemie.

Nagle strzały muszkietów zagrzmiały, wstrząsając kamiennem sklepieniem.

Parę kul padło, płaszcząc się o skałę, przy której stał Biscarrat.

Jednocześnie powstały jęki, przekleństwa, chrapanie, i mały ten oddział szlachty ukazał się, kilku z nich bladych, krwią o-

ciekających, a wszyscy owinięci obłokiem dymu, który zdawał się ulegać sile, przyciągającej zewnętrznego powietrza.

— Biscarrat!... Biscarrat!... — wołali uciekający — tyś wiedział o zasadzce w pieczarze i nie ostrzegłeś nas!

— Biscarrat!... tyś sprawcą, że czterech z nas trupem padło; biada ci, Biscarrat!

— Tyś sprawcą, żem ja raniony śmiertelnie — przemówił jeden młodzieniec, zebrawszy w dłoń, krew lejącą się z rany, i bryznął nią w twarz Biscarrata — krew moja niech spadnie na ciebie!

I, konając, runął u nóg młodzieńca.

— Powiedz nam przynajmniej, kto tam jest? — krzyknęło kilka rozwścieczonych głosów.

Biscarrat milczał, jak skała.

— Mów lub umieraj!... — zawołał ranny, dźwignąwszy się na jedno kolano i ramieniem bezwładnem podnosząc broń na niego.

Biscarrat skoczył ku niemu, z piersią, na cios obnażoną; lecz ranny upadł na nowo, aby nie powstać już więcej, wydawszy ostatnie westchnienie.

Biscarrat z włosem najeżonym, z błędnemi oczyma, bezprzytomny skierował kroki wewnątrz jaskini, mówiąc:

— Macie słuszność, winienem umierać, ja, który dozwoliłem towarzyszów moich pomordować! jestem nikczemny!

I, odrzuciwszy daleko szpadę, gdyż chciał umrzeć bezbronny, rzucił się z głową, w dół pochyloną w głębie podziemia.

Reszta młodych ludzi poszła za jego przykładem.

Jedenastu pozostałych wraz z nim zanurzyło się w otchłani.

Lecz również jak poprzednicy ich nie postąpili dalej, powtórne strzały pięciu na zimny piasek zwaliły, a ponieważ niepodobieństwem było dojrzeć, skąd padały te ognie śmiertelne, reszta cofnęła się w popłochu, trudnym do pojęcia.

Nie myśląc uciekać jak tamci, Biscarrat zdrów i cały, usiadł na odłamie kamienia i czekał.

Sześciu szlachty już tylko zostało.

— Bez żartu — odezwał się jeden z pozostałych przy życiu — chyba to sam djabeł?

— Na honor, to coś gorszego — dorzucił drugi.

— Spytajmy Biscarrata, on wie.

— Gdzie jest Biscarrat?

Młodzieńcy obejrzeli się dokoła, widząc, że Biscarrat nie stawia się na wołanie.

— Zabity!... — odezwało się parę głosów.

— Wcale nie — odparł inny — ja go widziałem wśród dymu, siadającego spokojnie na skale, jest w pieczarze i czeka na nas.

— Musi on znać tych, co się tam znajdują.

— Jakim sposobem?

— Był więźniem rokoszan.

— To prawda. Zawołajmy go więc i dowiedzmy się, z kim mamy do czynienia.

I zawołali wszyscy:

— Biscarrat! Biscarrat!

Żadnej odpowiedzi.

— Dobra!... — odezwał się oficer, który tyle zimnej krwi w tej sprawie okazał — już go nie potrzebujemy, oto nadciągają nam posiłki.

Istotnie, oddział gwardji, pozostawionej przez starszyznę, którą uniósł zapał myśliwski, składający się z sześćdziesięciu do ośmdziesięciu ludzi, nadjeżdżał w pełnym porządku, pod wodzą kapitana i adjutanta.

Pięciu oficerów pospieszyło naprzeciw żołnierzy swoich i z wymową, łatwą do pojęcia, opowiedziano zajście, żądając pomocy.

Ten potok słów przerwał im kapitan.

— Gdzież są wasi towarzysze?... — zapytał.

— Zabici.

— Ależ szesnastu was było!

— Dziesięciu nie żyje, Biscarrat w pieczarze, a nas jest tu pięciu.

— Biscarrat zatem jest więźniem?

— Prawdopodobnie.

— Nie, patrzcie, oto idzie.

Biscarrat rzeczywiście ukazał się z groty.

— Daje znak, abyśmy tam poszli — odezwali się oficerowie. — Chodźmy!

— Chodźmy!... — powtórzyli wszyscy.

I ruszyli na jego spotkanie.

— Panie — przemówił do Biscarrata kapitan — zaręczają mi, że wiesz, co to za ludzie są w grocie którzy się tak rozpaczliwie bronią. W imieniu króla nakazuję ci, abyś zeznał prawdę.

— Kapitanie — rzekł Biscarrat — nie potrzebujesz nakazywać mi, słowo moje zwrócono mi w tej chwili, i w imieniu tych ludzi przychodzę.

— Oznajmić mi, iż się poddają?

— Oznajmić, iż, zdecydowani są bronić się do śmierci, jeżeli nie ofiarują im korzystnych układów.

— Ilu ich więc jest?

— Dwóch, — odparł Biscarrat.

— Dwóch, i oni chcą nam układy narzucać?

— Jest ich dwóch, a zabili nam już dziesięciu — rzekł Biscarrat.

— Cóż to więc za ludzie? olbrzymy?

— Więcej, niż olbrzymy. Czy przypominasz sobie, kapitanie, historję bastjonu świętego Gerwazego?

— Gdzie czterech muszkieterów królewskich całej armji stawiło czoło?

— Otóż ci ludzie są dwoma z tych muszkieterów.

— I nazywają się?...

— W owych czasach nazywano ich Portos i Aramis. Dziś zaś zwą się: pan d'Herblay i pan du Vallon.

— Cóż oni mają w tej sprawie.

— Oni to bronili Belle-Isle dla pana Fouqueta.

Dwa te imiona "Portos i Aramis" szmer wzbudziły pomiędzy wojownikami.

— Muszkieterowie!... muszkieterowie!... — powtarzano sobie.

I pełnych odwagi młodzieńców dreszcz zapału i trwogi zdjął, na myśl spotkania oko w oko tej znanej chwały armji francuskiej.

Cztery te imiona, d'Artagnan, Atos, Portos i Aramis, były wielbione przez wszystkich tych, co szpadę nosili, tak jak w starożytności imiona Herkulesa, Tezeusza, Kastora i Polluxa.

— Dwóch tylko!... — zawołał kapitan — i dziesięciu wam zabili, podwakroć strzeliwszy. To niemożliwe, panie Biscarrat.

— E!... kapitanie — odparł młodzieniec — tego nie mówię, iżby nie mieli przy sobie dwóch lub trzech ludzi, zarówno jak muszkieterowie z bastjonu św. Gerwazego, którzy mieli do pomocy trzech czy czterech pachołków; lecz wierzaj mi, kapitanie, ja tych ludzi widziałem, byłem wzięty przez nich, wiem, co to za jedni; we dwóch zdolni są cały korpus w puch rozbić.

— Zobaczymy to — rzekł kapitan i, nie czekając długo, zawołał: — Baczność, panowie!

Na tę odpowiedź, wszyscy stanęli, czekając dalszych rozkazów.

Biscarrat jednak nie dał za wygraną.

— Panie — mówił on przyciszonym głosem — wierzaj mi, odejdźmy stąd; ludzie ci to dwa lwy nieustraszone i bronić się będą do śmierci. Dziesięciu nam już zabili, drugie tyle położą trupem, i sami, zamiast się poddać odbiorą sobie życie. I cóż zyskamy, walcząc przeciwko nim?

— Zyskamy czyste sumienie i przeświadczenie, że nie cofnęliśmy się, my w liczbie ośmdziesięciu gwardzistów królewskich przed dwoma rokoszanami. Zostałbym człowiekiem shańbionym i wojsko swoje bym shańbił. Naprzód, wiara!

I pierwszy postąpił do otworu groty.

U samego wejścia zatrzymał się chwilę.

Było to dla dania czasu Biscarratowi, aby tenże wraz z towarzyszami obznajmił go z położeniem wnętrza groty.

Nabrawszy tedy przybliżonego pojęcia o miejscowości kapitan oddział swój na trzy grupy podzielił, które, wchodząc jedna po drugiej, utrzymywać miały we wszystkich kierunkach ogień nieustający.

W tym ataku można było liczyć na pewną stratę pięciu, a może dziesięciu ludzi; lecz skończyć się musiało niewątpliwie na ujęciu opornych, skoro innego wyjścia nie mieli, a wziąwszy wszystko w rachubę, przypuścić było trudno, aby dwóch ludzi, ośmdziesięciu żołnierzy trupem położyło.

— Kapitanie — odezwał się z prośbą Biscarrat — ja chcę pójść na czele pierwszego oddziału.

— Zgoda!... — odparł kapitan. — Należy ci się ten zaszczyt, którym cię obdarzam.

— Dzięki!... — odparł młodzieniec z wyniosłą stanowczością, właściwą pochodzeniu swemu.

— Weź szpadę.

— Pójdę tak, jak stoję, kapitanie — odpowiedział Biscarrat — nie idę siać śmierci, lecz na to, aby sam być zabitym.

I z głową odkrytą, rękami, skrzyżowanemi na piersiach, stanął na czele pierwszego oddziału.

— Naprzód, panowie!... — zawołał.

CCLVI

PIEŚŃ HOMERA

Czas nam przejść do innego obozu i przedstawić zarazem pole bitwy i walczących na niem.

Aramis i Portos zapuścili się w głąb groty Lockmaria, wiedząc, iż spotkają tam trzech pomocników bretońskich wraz ze statkiem, i mając nadzieję przedostania go wąskiem wyjściem podziemnem aby przeprawić się ukradkiem i uciec.

Zjawienie się lisa, a za nim psów gończych, zmusiło ich do pozostania w ukryciu.

Grota ciągnęła się na przestrzeni około stu sążni, kończąc się pochyłością, wchodzącą w morze.

W zamierzchłej przeszłości, jako świątynia bóstw pogańskich, podziemie to nieraz było świadkiem niejednej ofiary ludzkiej, spełnionej w tych pełnych tajemnic głębiach.

Do pierwszego przedsionka, będącego kształtu lejkowatego, schodziło się po lekkiej pochyłości, nad którą nagromadzone pokłady skał tworzyły arkady.

Całe to wnętrze o nierównym gruncie, niebezpieczne z powodu ostrych skalistych wyskoków sklepienia, dzieliło się na kilka przedziałów, po sobie następujących, połączonych chropowatemi z pokruszonych kamieni stopniami, a po prawej i lewej stronie wielkie naturalne słupy granitowe podpierały ściany.

W trzeciej już komorze sklepienie tak niskie było, a ściany tak zbliżone do siebie, że statek; ocierając się o nie z trudem, dał się przeciągnąć, wszelako w chwilach rozpaczliwych, kurczy się drzewo, a kamień ustępuje pod tchnieniem silnej woli człowieka.

Tak myślał Aramis, gdy, rozpocząwszy walkę, trwał jednak w postanowieniu ucieczki, bezwątpienia niebezpiecznej wielce,

gdyby przypuścić nawet możliwość spuszczenia łodzi na morze, ucieczka odbywałaby się wśród dnia białego, w obecności pozostałej garstki zwyciężonych, podrażnionych niemożliwością pogoni za zwycięzcami.

Gdy strzały dwukrotnie położyły dziesięciu ludzi trupem, Aramis, obznajmiony z zaułkami podziemia, poszedł przypatrzeć się każdemu zbliska, dym bowiem przyciemniał światło, zzewnątrz wpadające; następnie natychmiast rozkazał zatoczyć łódź aż do wielkiego kamienia, zamykającego wyjście, stanowiące o ich ocaleniu.

Portos, dobywszy sił, oburącz ujął statek i podniósł do góry, Bretończycy zaś z pośpiechem wałki pod spód wtoczyli.

Tym sposobem dostali się do trzeciej komory i dotarli do kamienia, tamującego wyjście.

Portos ujął w podstawie ów kamień olbrzymi, podparł potężnem ramieniem i pchnął aż granit zazgrzytał.

Ze sklepienia podniósł się obłok kurzu z prochami dziesięciu tysięcy pokoleń ptactwa morskiego, których gniazda, jak kit żelazny, do skały się przylepiły.

Za trzeciem pchnięciem, kamień poruszył się i zawahał przez chwilę.

Portos, oparłszy się o przeciwległą ścianę plecami, z nóg swoich utworzył pochyły filar, który wyważył bryłę z naleciałości wapiennych, spajających ją z bocznemi skałami, na podobieństwo zawias i pieczęci.

Olbrzymi głaz runął, a pełne wesela i słońca światło dzienne wpadło do podziemia, ukazując zachwyconym oczom Bretończyków błękitny obszar morza.

Natychmiast poczęto przesadzać barkę przez tę zastawę.

Już tylko dwadzieścia sążni, a statek ześlizgnie się na fale oceanu.

W ciągu tego czasu właśnie nadszedł oddział wojska, uszykowany przez dowódzcę i stał w pogotowiu do szturmu.

Nie uszło to bacznemu oku Aramisa.

Widział on posiłki, policzył ludzi, i na pierwszy rzut oka przekonał się o zgubnem niebezpieczeństwie, w jakieby ich wciągnęła walka ponowna.

Uciekać morzem, gdy podziemie opanowane już będzie to niepodobna!

Nie ulega wątpliwości, że światło, wpadające otworem, rozjaśniło o tyle dwie ostatnie komory, iż nieprzyjaciel dostrzeże barkę, sunącą ku morzu, i dwóch rokoszan, oddalonych na odległość strzału muszkietów, które, jeśli nie zabiją pięciu żeglarzy, to conajmniej statek ich podziurawią, jak rzeszoto.

Prócz tego, przypuściwszy nawet, że łódź i załoga ujdą cało, czyż na ten widok nie zrobią oni alarmu? nie dadzą znać do gabarów królewskich? jakim więc sposobem drobna łódź, osaczona na morzu i szpiegowana z lądu, nie wpadłaby w ich ręce, zanimby dzień upłynął?

Aramis, targając z wściekłością siwiejące włosy, wzywał pomocy z nieba i otchłani piekielnych.

Skinąwszy na Portosa, skuteczniej pracującego, niż wałki pomocnicze i Bretończycy:

— Przyjacielu — rzekł mu zcicha — przeciwnikom naszym nadciągnęły posiłki.

— A!... — westchnął łagodnie Portos — co tedy robić?

— Bitwę na nowo rozpocząć, może nam się powiedzie jeszcze.

— Zapewne, niepodobieństwem jest, aby jednego z nas nie zabito, a nieulega wątpliwości, że skoro jeden padnie, drugi da się zabić odrazu.

Słowa Portosa bohaterstwem i prostotą równały się potędze jego fizycznej.

Aramis uczuł, jakby go ostroga ukłuła w samo serce.

— Żyć obydwaj będziemy, przyjacielu Portosie, jeżeli spełnisz to, co ci powiem.

— Mów.

— Oni zejdą do groty.

— Bezwątpienia.

— Więcej nad piętnastu nie położymy trupem.

— Ilu ich jest ogółem?

— Nadciągnęły im posiłki w liczbie siedmdziesięciu pięciu ludzi.

— A pięciu dawniejszych to razem ośmdziesięciu... A! a! — z namysłem mówił Portos.

— Niechaj razem dadzą ognia, a poszarpią nas w strzępy kulami.

— Ani chybi.

— Nie licząc, iż wystrzały mogą spowodować zawalenie się pieczary.

— Rzeczywiście, właśnie przed chwilą odłamek skały lekko zranił mi ramię.

— Czy nie mówiłem.

— Ale to nic.

— Trzeba nam zdecydować się odrazu. Bretończycy w dalszym ciągu będą statek ku morzu prowadzić.

— Bardzo dobrze.

— A my tu we dwóch ukryjemy proch, kule, i muszkiety.

— Strzelając z dwóch naraz muszkietów, nie wiele przyniesiemy im szkody.

— Obmyśl więc lepszy sposób.

— Mam go!... — nagle wykrzyknął olbrzym. — Zrobię na nich zasadzkę, ukryję się za tym wyskokiem skały ze sztabą żelazną w ręku, i niewidzialny, nieprzystępny, niech tylko hurmem tu wpadną, sztabę moją spuszczę im na czaszki dziesięć razy na minutę!

Hę! co mówisz o tym projekcie? podoba ci się?

— Wyborny, drogi przyjacielu, znakomity, niezmiernie mi się podoba; tylko, że gdy będą przerażeni losem swych poprzedników, reszta ich nazewnątrz pozostanie i nie ruszą się dopóki nas głodem nie wezmą.

Jedyną niezbędną rzeczą jest zniweczenie całego korpusu; jeden żołnierz, który pozostanie przy życiu, zgubę naszą stanowić będzie.

— Masz słuszność, przyjacielu, lecz proszę cię, jakim sposobem przywabić ich tu wszystkich?

— Nie ruszając się z miejsca, dobry mój Portosie.

— Niech i tak będzie, a więc gdy zgromadzą się tu wszyscy?

— Wtedy już polegaj na mnie, mam ja pewien pomysł.

— Jeżeli tak, zgadzam się na wszystko... pomysł twój musi być dobry... jestem spokojny.

— Stań na czatach, Portosie, a każdego co wejdzie tutaj, porachuj drągiem żelaznym.

— A ty co będziesz robić?

— Nie troszcz się o mnie, mam ja swoje zadanie.

— Zdaje mi się, że słyszę głosy.

— To oni. Na stanowisko! Trzymaj się tak, abym cię głosem i ręką dosięgnąć zdołał

Portos skrył się do drugiej komory, w której zupełnie było ciemno.

Aramis wyślizgnął się do trzeciej; olbrzym trzymał w dłoni sztabę żelazną, pięćdziesiąt funtów ważącą Portos lewarem tym władał z łatwością zadziwiającą; służył on do podważania łodzi. A Bretończycy tymczasem pchali statek ku skałom nadbrzeżnym.

W przedziale oświetlonym, Aramis schylony, w kąciku ukryty, zajęty był tajemniczą jakąś robotą.

Naraz usłyszano głośną komendę.

Był to ostatni rozkaz, wydany przez dowodzącego kapitana.

Dwudziestu pięciu ludzi ruszyło do pierwszego przedziału groty, a skoro tylko poczuli pewniejszy grunt pod nogami, poczęli prażyć z muszkietów.

Zagrzmiały echa, świst przeszył sklepienia, gęsty dym napełnił pieczarę.

— Na lewo! na lewo!... — wołał Biscarrat, znając już z poprzedniego ataku drugą komorę groty, a podniecony zapachem prochu prowadził naoślep swoich żołnierzy.

Cały poczet rzucił się wlewo; tu przejście z przedziału do przedziału zwężało się stopniowo. Biscarrat z rękoma, naprzód podanemi, gotowy na śmierć, przodował z nabitym muszkietem.

— Za mną! za mną!... — wołał — widzę światło przed sobą!

— Bij, Portos!... — odezwał się grobowym głosem Aramis.

Westchnął Portos, lecz był posłuszny.

Sztaba żelazna spadła prostopadle na głowę Biscarrata, który padł nieżywy z niedomówionemi słowami na ustach.

Okrutny lewar, następnie, w ciągu dziesięciu minut po dziesięćkroć podnosił się i opadał, za każdym poruszeniem przysparzając trupa.

Żołnierze nic nie widzieli; słyszeli tylko krzyki i chrapanie przedśmiertne; tratowali po ciałach, lecz nie byli w stanie zdać sobie z tego wszystkiego sprawy, tłoczyli się tylko i, potykając się jedni o drugich, naoślep przed siebie dążyli.

Nieubłagane żelazo, wciąż spadając, pierwszy pluton zmiotło co do nogi; żołnierze bowiem, wchodząc po jednemu nie mieli

czasu ostrzedz kolegów o ciosie, który ich tak nagle i znienacka pozbawiał życia.

Ale dowodzący drugim plutonem kapitan, wyłamał karłowatą sosenkę, rosnącą na skale, i ze smolnych jej gałęzi, związanych w wiechę, zrobił pochodnię, i za nadejściem na miejsce, straszliwy obraz oświecił.

Tam Portos, jak anioł zagłady, niszczył wszystko, czego tylko dotknął; idący przodem cofnęli się niemi z przerażenia; na ogień plutonu ani jeden strzał stąd nie odpowiedział, a jednak deptali po trupach, we krwi dymiącej brodzili.

Portos nie ruszył się ze swej kryjówki.

Gdy płomień palącej się sosny oświecił tę rzeź wstrząsającą, kapitan, daremnie szukając przyczyny, ustąpił wtył do słupa kamiennego, za którym stał Portos.

Wtedy wyłoniła się z ciemności ręka olbrzym, i przypiła się do gardła kapitana, dobywając zeń głuche rzężenie; zerwał on ręce do góry i upuścił pochodnię, która z sykiem we krwi zagasła.

Razem prawie z pochodnią runęło ciało kapitana, podwyższając stos trupów, tamujących drogę.

Wszystko to odbyło się w sposób tajemniczy, jakgdyby siłą czarodziejską sprawione.

Dziwny odgłos, dobywający się z gardła kapitana, zwrócił uwagę przybocznych; zobaczyli wtedy rozkrzyżowane ramiona i występujące z orbitów oczy; potem wiecha upadła i ciemność otoczyła wszystkich.

Adjutant wiedziony instynktem zachowawczym, krzyknął:

— Ognia!..

Wnet z trzaskiem i hukiem odezwały się strzały, w pieczarze zagrzmiało, zatrzęsły się sklepienia, sypiąc oberwanemi gruzami skał.

Znowu rozjaśniło się na krótko, i znów nastała ciemność nieprzebita, spotęgowana gęstym dymem prochowym.

Podziemie zaległa cisza, zdaleka tylko dolatywał odgłos kroków trzeciego plutonu, wkraczającego w podziemie.

CCLVII.

ZGON TYTANA.

Portos, więcej oswojony z ciemnością niż świeżo przybyli ze światła, obejrzał się dokoła, czy nie dostrzeże jakiego znaku od Aramisa; naraz, uczuł lekkie dotknięcie ramienia i doleciało mu do ucha zaledwie dosłyszalne słowo:

— Pójdź.

— O!... — odezwał się Portos.

— Sza!... — ciszej jeszcze wymówił Aramis.

I przy rozlegającym się odgłosie marszu trzeciej brygady, wśród złorzeczeń tych, co zostali przy życiu, i chrapaniu dogorywujących, Aramis i Portos niespostrzeżeni, prześlizgnęli się wzdłuż granitowej ściany podziemia.

Biskup zawiódł Portosa do przedostatniej komory i ukazał mu w zagłębieniu kilkudziesięcio-funtową baryłkę prochu, z przeprowadzonym do niej lontem.

— Przyjacielu — rzekł mu — tę baryłkę u której ja lont zapalę, rzucisz pomiędzy naszych wrogów; czy będziesz mógł tego dokonać?

— Fraszka — odparł Portos.

I podniósł baryłkę jedną ręką.

— Zapalaj!

— Czekaj — szepnął Aramis — niech się tu wszyscy zgromadzą, a wtedy, mój Jupiterze, piorun ten rzuć na nich.

— Zapalaj! — powtórzył Portos.

— A ja — ciągnął Aramis — podążę za Bretonami naszymi i każę łódź spuścić na morze.

— Zapalaj! — po raz ostatni rzekł Portos.

— Zrozumiałeś? — zapytał Aramis.

— Do licha! — odparł Portos ze śmiechem, nie usiłując nawet go tłumić — jak mi kto wytłómaczy należycie, to zrozumiem przecież; idźże już, a zostaw mi krzesiwo.

Aramis podał mu hubkę tlejącą, a Portos, mając ręce zajęte, nadstawił mu ramię do uścisku.

Aramis oburącz ścisnął je serdecznie i zgięty we dwoje, pomknął do oczekujących nań wioślarzy.

Portos, ujrzawszy się sam, bez namysłu ogień do lontu przyłożył.

Drobniutka ta iskierka, zarodek ogromnego pożaru, błysnęła w ciemności, jak robaczek świętojański w locie, następnie przysiadła na loncie, zatliła go, tworząc szersze światełko, które Portos tchnieniem własnem rozdmuchał.

Dym chwilowo się rozproszył, a przy świetle żarzącego się lontu, bliższe przedmioty na bardzo krótko zarysowały się wyraźniej

Błyskawiczny, lecz wspaniały był widok tego olbrzyma, z obliczem bladem, krwią zbryzganem, oświetlone czerwonym odbłyskiem żarzącej się w ciemnościach nici, nasyconej saletrą.

Dostrzegli go żołnierze. Zobaczyli baryłkę, trzymaną w ręku i straszna prawda stanęła im przed oczyma.

Przejęci zgrozą i przerażeniem na widok tego, co się spełniło i co nastąpić miało, zawyli ze zgrozy i bólu, jakgdyby w męczarniach konania.

Byli tacy, co w ucieczce chcieli ocalenia szukać, lecz dążąca naprzeciw nim brygada zatamowała drogę; inni znów machinalnie zmierzyli się i dali ognia z muszkietów; a reszta, sparaliżowana strahem śmiertelnym, rzuciła się na kolana.

Paru oficerów poczęło wołać na Portosa, że wolnym go uczynią, jeżeli daruje im życie.

Dowódzca trzeciej brygady zakomenderował: ognia! lecz przed żołnierzami stali zbici nieszczęśni ich towarzysze broni, tworząc dla Portosa szaniec żyjący.

Jak się rzekło, błyski światła, rozdmuchanego przez Portosa, trwały parę sekund najwyżej, lecz oto co ukazały patrzącym: olbrzyma, spotęgowanego ciemnością, potem, w odległości dziesięciu kroków od niego, stos ciał zakrwawionych, zmiażdżonych, po których przebiegały dreszcze konania, poruszające tą masę, jak ostatnie tchnienia, wznoszące łono potwora, dogorywającego wśród nocy.

Każde dmuchnięcie Portosa, rozżarzające lont, rzucało na ten stos trupów błyski niebieskawe, z przelatującemi smugami purpury.

Oprócz tej kupy ciał zbitych, leżały jeszcze w grocie pojedyńczo rozrzucone trupy tych, co goniąc ostatkiem życia, zawlekli się dalej, i tu śmierć ich spotkała; straszne te szczątki osamotnione zdawały się grozić szeroko rozwartemi ranami.

Ponad tym gruntem, przesiąkłym kałużą krwi, wzniosły się nieme i ponure sklepienia, grożąc ostro wyskakującemi zębami, których czarne kontury uwydatniały wgłębienia, oblane mdławem, przelotnem światełkiem.

Wszystko to ukazywało się przy drżącym płomyku tlejącego lontu, połączonego z baryłką prochu, czyli pochodnią, która rzucić miała światło na dzieło śmierci, już dokonane, i na to, co spełnić się miało.

Mówiliśmy już, że widok ten trwał parę sekund zaledwie.

Korzystając z tej króciutkiej chwili, jeden z oficerów trzeciej brygady zebrał ośmiu żołnierzy, zbrojnych w muszkiety i zza węgła kazał do Portosa dać ognia.

Lez żołnierze taką drżączką byli zdjęci, że, po wystrzale trzech padło na ziemię bez zmysłów prawie, a pięć nabojów pozostałych, świsnąwszy w powietrzu, zrysowało tylko sklepienie, zaryło się w ziemi, lub odskoczyło od bocznych ścian pieczarzy.

W odpowiedzi na grzmot wystrzałów, ozwał się rozgłośny wybuch śmiechu; potem ramię olbrzyma zakreśliło w powietrzu koło, ciągnąc za sobą, na podobieństwo gwiazdy spadającej, smugę ognistą.

Baryłka, na odległość trzydziestu kroków rzucona, przeleciała przez szaniec trupów i wpadła w zbitą kupę wyjących z przerażenia żołnierzy, którzy twarzą padli na ziemię.

Oficer powiódł okiem za smugą ognistą; chciał rzucić się na baryłkę, by wyrwać lont, zanim iskra dosięgnie prochu, w niej zawartego.

Daremne poświęcenie; pęd powietrza rozrzucił płomyk trawiący tę nić przewodnią. Lont, który, pozostawiony w spokoju, byłby się tlił pięć minut jeszcze, spłonął w przeciągu trzydziestu sekund, i dzieło piekielne zostało dokonane.

Zamęt nieopisany, wir, trzask i świst palącej się siarki i saletry, zniszczenie płomieniem rozsadzającym, przeraźliwy grzmot wybuchu, oto co przyniosła jedna sekunda wślad za dwiema opisanemi powyżej; dzieło zniszczenia i zagłady, po-

częte w pod ziemię. równającem się grozą jaskini szatanów. Skały, jak miekkie deski sosnowe, pękały na sztuki.

Z wnętrza groty wytrysnął słup płomieni, dymu i odłamków kamiennych, rozszerzając się w miarę, im wyżej wzbijał się w górę.

Olbrzymie ściany z krzemienia słaniać się poczęły, nareszcie runęły w piasek, który, wyparty z twardego łożyska, stał się jednem więcej narzędziem męczarni, kłując i siekąc po twarzach miljonami ostrych ziarn.

Krzyki, wycie, klątwy, wszystko — trzask ten, niezmierny pochłonął wraz z życiem nieszczęsnych ofiar.

Trzy pierwsze komory zamieniły się w otchłań w którą kolejno, według swej ciężkości, spadały z powrotem szczątki roślinne, kamienne i szmaty ciał ludzkich.

Potem, jako lżejsze, piasek i popioły zwolna ustępować poczęły, rozpościerając szarawy całun na tym grobowcu ponurym, z którego uniosły się niebieskawemi smugami dymy kadzideł żałobnych.

A teraz szukajcie w tym grobowcu ognistym. w tym podziemnym wulkanie, szukajcie gwardzistów królewskich w błękitnych mundurach, srebrem naszywanych.

Szukajcie starszyzny, błyszczącej od złota, broni na którą liczyli, że ich uchroni od śmierci, szukajcie kamieni które ich zabiły, gruntu, po którym stąpali.

Jeden człowiek zdziałał chaos więcej zmącony, bezkształtny, straszniejszy, niż ten, który był na godzinę przedtem, zanim Bóg powziął myśl stworzenia świata.

Z trzech pierwszych przedziałów nic nie pozostało. nic zgoła, w czem Stwórca sam poznaćby mógł swoje dzieło.

Portos zaś. rzuciwszy między wrogów ową baryłkę z prochem, uciekł, według rady Aramisa, do ostatniego przedziału. do którego przez otwór po usuniętym kamieniu przenikało powietrze, światło i słońce.

Zaledwie też zawrócił około skały. dzielącej trzecią komorę od ostatniej, ujrzał przed sobą barkę, kołyszącą się na błękitnej wód fali; tam przyjaciele jego, tam swoboda, tam życie i zwycięstwo czekały na niego.

Sześć kroków już tylko, a stanie pod gołem niebem: stamtąd kroków parę, a łodzi dosięgnie.

Nagle uczuł uginające się pod sobą kolana, nogi wypowiedziały mu posłuszeństwo, w muskułach dziwna miękkość osiadła.

— O!... o!... — wyszeptał zdziwiony — znowu mnie ogarnia to samo zmęczenie; ani kroku dalej postąpić nie mogę. Co to ma znaczyć?

Aramis patrzał na niego przez otwór i nie pojmował dlaczego się zatrzymuje.

— Przybywaj, Portosie! spiesz co tchu! — wołał na niego.

— O!... — odpowiedział olbrzym, naprężając daremnie wszystkie muskuły ciała — nie mogę.

I, mówiąc to, padł na kolana; ale silnemi jeszcze rękami uczepił się skały i dźwignął się na nogi.

— Prędzej!... prędzej!... — powtarzał Aramis, wychyliwszy się z łodzi, jakgdyby chciał Portosa w ramiona swoje przyciągnąć.

— Jestem — wybełkotał Portos, zbierając wszystkie siły, aby chociaż krok jeden postąpić.

— Portosie, przybywaj! na Boga!... przybywaj... tylko patrzeć jak wybuch nastąpi!

— Przybywaj, jaśnie panie — krzyczeli Bretończycy na Portosa, szamocącego się jak we śnie.

Lecz już zapóźno było: rozległ się huk straszny, porysowała się ziemia, dym, buchający z szerokich rozpadlin, zaciemnił niebiosa, morze się cofnęło, jakgdyby zdmuchnięte płomieniami wytryskującymi z groty, jak z paszczy smoka olbrzymiego; odpływ uniósł barkę na dwadzieścia sążni, skały zatrzeszczały w podstawach i jak rozsadzone klinami, rozpadły się na ćwierci: ukazała się nareszcie część sklepienia. wylatająca pod niebo szyb ko po sobie następującemi rzutami. Zielono-różowe ognie siarkowe wraz z czarną lawą roztopionych pokładów gliniastych starły się chwilowo pod wspaniałą kopułą dymu; potem, zadygotały, pochyliły się i zwaliły wreszcie te długie skały, stykające się pod kątem, których siła wybuchu nie zdołała z wiekowych podstaw wyważyć; i jak starcy pełni powagi i spokoju, pozdrowiwszy się wzajemnym pokłonem, legły na wieki w grobowcu, prochem i gruzem usłanym.

Zdawało się, jakoby straszne to wstrząśnienie przywróciło Portosowi siły utracone, i powstał ten olbrzym pośród olbrzymów.

Lecz kiedy w ucieczce już mijał rząd podwójny widm granitowych, ostatnie z nich, których nie podtrzymywały odpowiednie ogniwa, z trzaskiem walić się poczęły w krąg tego Tytana, zdając się być strącone z nieba ku skałom, które on ku niemu wyrzucił.

Portos czuł, jak mu pod stopami trzęsła się ziemia, zachwiana ustawicznem targaniem.

W prawo i w lewo rozpostarł ręce, by skały walące się odepchnąć. Dwa olbrzymie słupy wsparły mu się na piersiach; pochylił głowę i wielki odłam granitu zwalił mu się na barki.

Ugięły się na chwilę ramiona Portosa, lecz Herkules wytężył się i dwie ściany więzienia, walące się na niego, ustąpiły zwolna, robiąc mu miejsce swobodne.

Chwilkę jedną ukazał się w tej oprawie z granitu, na podobieństwo anioła przedwiecznego chaosu; lecz, kiedy odpierał te boczne ściany, pozbawił punktu oparcia kamień, ciążący mu na barkach, a bryła ta, gniotąc całym swoim ciężarem, zmusiła olbrzyma, aby padł na kolana.

Skały poboczne, odchylone na chwilę, skłoniły się ku sobie, ze zdwojoną siłą potęgując ciężar, który dziesięciu ludzi zmiażdżyć byłby w stanie.

Olbrzym upadł, nie wołając ratunku; upadł ze słowami pociechy i nadziei dla Aramisa, bo, dzięki podporom, jakie z własnych ramion utworzył sobie, sądził przez chwilę, iż otrząśnie się z tego potrójnego ciężaru.

Ale Aramis widział, jak słupy zwolna osuwać się poczęły; lecz pięści zaciśnięte, ostatnim wysiłkiem naprężone ramiona ugięły się, ręce skrwawione poczęły słabnąć, a skała powoli wciąż się chyliła.

— Portos! Portos! — rwąc sobie włosy, krzyczał Aramis — Portos, gdzie ty? Odezwij się!

— Tutaj! tu! — odezwał się Portos głosem gasnącym — cierpliwości! cierpliwości!

Zaledwie słów tych dokończył, siła rzutu spotęgowała ciężkość: skała zwaliła się, a na nią dwie pozostałe i pochłonęły Portosa, kryjąc go nagrobkiem z kamieni strzaskanych.

Usłyszawszy przytłumiony głos przyjaciela, Aramis na ląd wyskoczył.

Podążyli za nim dwaj Bretończycy z lewarem, trzeci pozostał na łodzi.

Chrapowaty oddech, wydobywający się z piersi dzielnego zapaśnika, przewodniczył im pomiędzy zgliszczami.

Aramis, ognisty, wspaniały, młodzieńczy, jak w latach dwudziestu, rzucił się na stos kamienny własnemi rękoma, wypieszczonemi, jak u kobiety, cudem wysiłku uniósł róg płyty, kryjącej olbrzymi grobowiec.

Wtedy ujrzał w ciemnościach jamy głębokiej, błyszczące życiem oczy swego druha, któremu, uniesiony chwilowo gniotący go ciężar, oddech przywrócił.

Dwaj wioślarze skoczyli natychmiast, podsuwając lewar pod głaz uniesiony i uwiesiwszy się potrójnym ciężarem i siłą, na przeciwnym jego końcu, nie dlatego już, aby odwalić, lecz chociaż podtrzymywać uniesioną bryłę kamienną.

Wszystko napróżno: trzech mężów zesłabło pod tym ciężarem, wydając krzyki pełne żałości, a na widok tej walki bezowocnych i ciężkich zapasów, odezwał się chrapliwy głos Portosa z ostatniem tchnieniem a jednak drwiąco, mówiąc te słowa:

— Za ciężkie!...

Poczem, przygasły oczy, zamknęły się powieki, oblicze, zbladło, zbielały ręce i Tytan opuścił głowę, wydając westchnienie ostatnie.

Z chwilą zgonu opadła skała, którą, konając, jeszcze podpierał!...

Trzej ludzie wypuścili z rąk lewar, który z brzękiem potoczył się na kamień grobowy.

Aramis blady, dyszący, z czołem, oblanem potem, nasłuchiwał z piersią ściśnioną, rozdartem sercem.

Wszystko skończone!...

Spał olbrzym snem wiekuistym w grobowcu, który, według jego miary, sam Bóg mu zbudował.

CCLVIII

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE PORTOSA.

Aramis milczący skostniały, szczękając zębami i, drżąc niby dziecię lękliwe, jak wryty stał nad tym głazem.

Chrześcijanin nie lekceważy grobu.

Na nogach mógł się utrzymać, lecz nie był w stanie kroku jednego zrobić.

Rzecby można, iż cząstka zmarłego Portosa zamarła w jego istocie.

Nie odstąpili go wierni Bretończycy; osunął się w ich objęcia i trzej marynarze zanieśli go do łodzi.

Złożywszy go tam na ławce u steru, w ruch wprawili wiosła, nie chcąc rozpinać żagla, który ucieczkę ich mógłby uczynić widoczną.

Na zrównanym z ziemią pagórku, gdzie była grota Lockmaria, na tem wybrzeżu spłaszczonem, jedyny wzgórek przyciągał spojrzenia.

Aramis nie mógł od niego oczu oderwać, a w miarę jak na pełne morze wypływano, dumny głaz skalny zdawał się prostować, jak przedtem Portosa postać wyniosła, i jak ten dzielny przyjaciel jego, strzelał ku niebu czołem pogodnem i niezwyciężonem.

Dziwne jest przeznaczenie tych mężów ze spiżu.

Ten, co nosił w piersi serce najszczersze, najchytrzejszego był sprzymierzeńcem; siła cielesna powodowana przebiegłym rozumem; a kiedy w chwili stanowczej siła owa ocalić mogła ducha i ciało, głaz, odłam skalisty, nikczemny i martwy ciężar, przemógł dzielność i odwagę i pozbawił ją ducha, miażdżąc silne ciało.

Szlachetny Portos! zrodzony, aby innym nieść pomoc, zawsze gotowy poświęcić siebie dla ocalenia słabych, jakgdyby ta siła daną mu była przez Boga na ten jedynie użytek.

Umierał z przekonaniem, iż spełnia warunki umowy, zawartej z Aramisem, umowy, którą sam Aramis sporządził, a którą

Portos znał o tyle tylko, aby wziąć za nią na siebie straszną odpowiedzialność.

Szlachetny Portosie! I na cóż ci te zamki, sprzętami zapchane, lasy, przepełnione zwierzyną, bogactwem przeładowane piwnie? na co służby tyle w liberji błyszczącej, a pośród nich Mousqueton, dumny z władzy przez ciebie nań przelanej?

O zacny Portosie! zbieraczu skarbów troskliwy, potrzeba ci było tyle się trudzić dla osłody późniejszych dni twoich, aby złożyć kości strzaskane na wybrzeżu samotnem pod zimnym głazem, gdzie się tylko rozlega krzyk ptactwa morskiego!

Poco nakoniec, było tyle złota zbierać, aby na pomniku swoim nie mieć nawet napisu, skreślonego przez mizernego choćby poetę.

Dzielny Portos! dotąd pewnie śpi on tam jeszcze snem wiecznym, zapomniany, samotny, pod tym kamieniem, który pasterze nadmorscy biorą za dach olbrzymi nad starożytnym grobowcem galijskiego rycerza.

A gęsto bujające tam wątłe krzewiny, mchy puszyste słonym powiewem oceanu głaskane, porosty pełne siły roślinnej, sarkofag ten tak z ziemia spoiły, że przechodzeń nie dałby wiary, aby podobna bryła granitu podpieraną być kiedyś mogła barkami śmiertelnej istoty.

Aramis, wciąż blady, pół martwy ciałem, z sercem, goryczą wezbranem, patrzał, dopóki ostatni promień dnia nie zagasł, na wybrzeże, niknące na widnokręgu.

Z ust jego ani jedno słowo nie wyszło, ani jedno westchnienie ze ściśnionej nie wydobyło się piersi.

Zabobonni Bretończycy wpatrywali się w niego ze drżeniem.

Nie istoty, duchem ożywionej, lecz postaci kamiennej, zachowywał milczenie.

Tymczasem, gdy pierwsy zmrok z nieba zstępować począł, rozwinięto żagiel, który zaokrąglony miękkim pocałunkiem powiewu morskiego, uniósł statek od brzegu, zmierzając w stronę Hiszpanji, w poprzek tak burzliwej zatoki gaskońskiej.

A wpół godziny zaledwie, po rozpięciu żagla, wioślarze nie mając nic do czynienia przycupnęli na ławkach, i dłonie w kułak złożywszy, wciąż przez nie patrzyli, ukazując sobie wzajemnie rysujący sie na horyzoncie biały punkt, nieruchomy, jak mewa, kołysana lekkiem falowaniem oceanu.

Jednakże to, co dla oka nieobeznanego wydawaćby się mogło stojącem na miejscu, w oczach marynarzy przybliżało się z niezaprzeczoną szybkością.

Czas jakiś, widząc odrętwienie, w jakiem pan ich był pogrążony, brakło im śmiałości budzić go z tego stanu, i choć zaniepokojeni, poprzestawali na zamianie własnych przypuszczeń wypowiadanych szeptem.

Aramis, tak zawsze czynny i czujny, on, którego oku, jak oku ostrowidza, ani we dnie ani w nocy nic nigdy nie uszło, teraz miał duszę, rozdartą rozpaczą, w senność głęboką zapadłą.

Tak upłynęła godzina, w ciągu której stopniowo noc rozpościerała swe cienie.

Wszakże i okręt nie próżnował wcale, i tak się do barki zbliżył, iż Grennee, jeden z trzech marynarzy, odważył się głośno przemówić:

— Jaśnie Panie, ścigają nas!

Aramis nic nie odpowiedział, okręt wciąż gonił za nimi.

Wtedy z własnego popędu majtkowie zwinęli żagiel, który, jako jedyny punkt widoczny ponad powierzchnią morza, przestał być wskazówką dla ścigającego nieprzyjaciela.

Przeciwnie zaś, okręt, miany na oku, podwoił swój bieg przez rozpięcie dwóch małych żagli, umieszczonych na wierzchołku masztów.

Nieszczęściem, była to para najpiękniejszych i najdłuższych dni i jasnych letnich nocy.

Drobny okręcik o dwudziestu wiosłach, barkę ścigający, pędzony wiatrem, pół godziny zmroku miał jeszcze przed sobą, a całą noc bez ciemności.

— Jaśnie Panie! już po nas!... — przemówił Yvon — spójrz oni nas widzą, jakkolwiek żagiel nasz zwinięty.

— Nic w tem dziwnego — mruknął jeden z majtków — powiadają, że ludzie z miast, za sprawą djabelską, budują narzędzia, przez które zarówno dobrze widzą w nocy czy we dnie, zbliska czy zdaleka.

Aramis dobył z dna łodzi lunetę i, milcząc, skierował ją na okręt, a następnie podał ją majtkowi, mówiąc:

— Weź i spójrz!

Zawahał się przesądny Bretończyk.

— Uspokój się — mówił biskup — w tem niema grzechu, a gdyby nawet był biorę go na siebie.

Majtek przyłożył do oka lunetę i z piersi okrzyk mu się wydobył. Zdało mu się, że cudem jakoby, okręt który był przedtem na odległość strzału armatniego, raptem jednym rzutem przestrzeń tę przeskoczył.

Jednakże, odjąwszy przyrząd od oka, przekonał się, iż statek na tem samem prawie co pierwej znajdował się miejscu.

— Zatem i oni nas także widzą — wyszeptał z trwogą.

— Widzą — odparł Aramis.

I znowu zapadł w stan odrętwienia.

— Czy to być może! oni nas widzą?... — zawołał Yvon — to niepodobna.

— Weź i spojrzyj — rzekł majtek.

I podał mu lunetę.

— Czy Jaśnie Pan zaręcza — pytał biskupa sternik — że djabeł nie wmieszał się w tę sprawę?

Aramis wzruszył ramionami.

Yvon przyłożył lunetę do oczu.

— O! to chyba cud, Jaśnie Panie, tuż, tuż są przy nas; zdaje się, że ręką dosięgnąć ich można.

Jest tam ich conajmniej dwudziestu pięciu! A! widzę kapitana na przodzie okrętu. Trzyma taką samą lunetę, patrzy na nas... A! zwraca się ku swoim, wydaje rozkazy; na przód okrętu zataczają armatę; nabijają, celują... Litości! strzelają do nas!

Sternik pomimowolnie cofnął lunetę, przedmioty obserwowane stanęły w mierze właściwej.

Okręt był na odległość jednej mili francuskiej; lecz opowiadanie Bretończyka o działaniach załogi zgadzało się z prawdą.

Ponad żaglami ukazał się lekki obłoczek dymu, rozwijając się jak kielich kwiatu, który się rozchyla; następnie w pewnej odległości od barki świsnęła kula, szczerbiąc grzbiety kilku bałwanom, dalej wyryła w powierzchni białą bruzdę i w toń zapadła, nieszkodliwa, jak odskok kamyka od powierzchni wody, którym kaczki zbija dziecko rozigrane.

Była to pogróżka i przestroga zarazem.

— Co tu począć?... — zagadnął Yvon.

— Chcą nas zatopić — odezwał się Grennee — ojcze wielebny, daj nam rozgrzeszenie.

I wszyscy trzej przed biskupem uklękli.

— Zapominacie, że patrzą na nas — rzekł tenże.

— To prawda — odparli marynarze, zawstydzeni brakłem własnej energji. — Rozkazuj, Jaśnie Panie, dla ciebie śmierć ponieść jesteśmy gotowi.

— Zaczekajmy — odparł im na to Aramis.

— Jakto zaczekajmy?

— A tak; czyż nie jest widocznem, jak sami mówiliście przed chwilą, że, jeżeli sprobujemy uciekać, za jednym strzałem armatnim do dna pójdziemy?

— Lecz może... może, dzięki ciemności nocnej, zdołamy im pogoń zmylić?

— O!... — odpowiedział Aramis — mają tam oni z pewnością ognie gregorjańskie, aby nam i sobie rozświecić drogę!

Naraz, jakgdyby w odpowiedzi na wyzwanie Aramisa, powtórny obłok dymu wzniósł się powoli z okrętu ku niebu, a z łona obłoku trysnęła strzała ognista, zataczając półkole, na podobieństwo łuku tęczowego i spadła w morze, płonąc jeszcze na wodzie. Przestrzeń w promieniu ćwierćmilowym stanęła w ogniu, uwydatniającym wszystko, co na niej było.

Bretończycy spojrzeli po sobie z najwyższem przerażeniem.

— Przekonaliście się teraz — odezwał się Aramis — iż lepiej będzie poczekać.

Majtkowie wypuścili z rąk wiosła, barka stanęła, kołysając się tylko na fali.

Noc zapadała szybko, ale okręt wciąż się zbliżał.

Rzecby można, iż wraz z ciemnością, bieg swój podwajał.

Od czasu do czasu, jak jastrząb z szyją skrwawioną głowę swą z gniazda podnosi, tak straszny ten ogień wybuchał z łona okrętu, spadając w ocean pożogą, rozpryskującą się w białe jak śnieg tumany.

Nareszcie już tylko odległość strzału z muszkietu dzieliła statek od łodzi.

Na pokładzie cała załoga stała pod bronią, kanonierzy przy działach, trzymając w pogotowiu lonty zapalone.

Tak wyglądali, jakgdyby chodziło o starcie z fregatą, mającą załogę liczebnie silniejszą, a nie o łódź, bronioną przez czterech tylko ludzi.

— Poddajcie się!... — krzyknął przez tubę komendant statku.

Majtkowie spojrzeli na Aramisa.

Aramis skinął głową twierdząco.

Yvon uczepił białą chustę na końcu bosaka i powiewał nią w powietrzu. Czynność ta oznaczała spuszczenie flagi na znak poddania.

Statek zbliżał się pędem konia wyścigowego.

Cisnął nowym snopem ognia gregorjańskiego, który, padając o dwadzieścia kroków od łodzi, jaśniej ją oświecił, niż najjaśniejszy promień słoneczny.

— Za pierwszą oznaką oporu — krzyknął komendant — ognia!

Żołnierze złożyli się do wystrzału.

— Powiedziano wam, że poddajemy się — zawołał Yvon.

— Żywcem! żywcem! kapitanie!.. — wołali żołnierze w uniesieniu — żywcem ich wziąć musimy.

— Rozumie się, że żywcem — odparł kapitan.

Następnie, zwracając się do Bretończyków.

— Wszystkim daruję życie!... — zawołał — z wyjątkiem kawalera d'Herblay.

Aramis zadrżał nieznacznie.

Na chwilę utkwił wzrok w głębinah oceanu, którego powierzchnię oświecał dopalający się ogień gregorjański, a światełka migotały po bokach fal, kołysząc się na ich grzbietach, jak pióropusze ogniste, czyniąc tem ciemniejszą, więcej tajemniczą i straszną otchłań, którą kryły pod sobą

— Jaśnie Panie, czy słyszysz?... — odezwali się Bretończycy.

— Słyszę.

— Co rozkażesz?

— Zgódźcie się.

— Lecz ty, panie nasz.

Aramis pochylił się ku zielonkawej toni, końcami delikatnych palcy igrając z jej powierzchnią uśmiechnięty do tej otchłani, jako do zbawczyni swojej.

— Zgódźcie się — powtórzył.

— Zgadzamy się — zawołali majtkowie — lez jaką pewność mieć będziemy?

— Słowo szlacheckie — rzekł oficer. — Klnę się na stopień i na nazwisko moje, że wszyscy, prócz kawalera d'Herblay, mogą być pewni życia Jestem porucznikiem fregaty królewskiej "Pomoc", a nazywam się Ludwik, Konstanty de Pressigny.

Aramis, przegięty już ku morzu, napół wychylony z łodzi, nagle wyprostował głowę zerwał się na nogi, i z ognistem spojrzeniem, i uśmiechem na ustach:

— Spuścić drabinę, panowie — rzekł głosem donośnym, jakgdyby wydawanie rozkazów do niego należało.

Wola jego została spełnioną.

Wtedy Aramis, chwyciwszy za poręcz sznurową, pierwszy wszedł na pokład, lecz, zamiast przerażenia, jakie spodziewano się ujrzeć na jego obliczu, ku wielkiemu zdziwieniu załogi przystąpił krokiem pewnym do komendanta, spojrzał mu prosto w oczy, czyniąc ręką znak tajemniczy, na którego widok oficer zbladł, zadrżał i czoło pochylił.

Aramis podniósł jeszcze w milczeniu rękę swą do oczu komendanta i pokazał mu kamień w pierścieniu, który miał na serdecznym palcu u lewej ręki.

Czyniąc ten ruch z postawą wspaniałą, wyniosłą i pełną milczącej powagi Aramis podobny był do panującego, który rękę do pocałowania podaje.

Komendant skłonił powtórnie głowę, z oznakami najgłębszego szacunku.

Następnie, wyciągnąwszy rękę ku tyłowi okrętu, czyli ku mieszkaniu swemu, ustąpił nabok, aby Aramisa puścić przodem przed sobą.

Trzej Bretończycy, którzy wspięli się za biskupem na pokład, w osłupieniu spoglądali po sobie.

Zapanowało milczenie ogólne.

W kilka minut potem komendant przywołał pomocnika, który niezwłocznie powrócił z rozkazem płynięcia w stronę Koronji.

Gdy spełniano to rozporządzenie, Aramis zjawił się na pokładzie i usiadł przy parapecie.

Noc zupełna nastała, księżyc jeszcze nie wszedł, on jednak patrzył uporczywie w stronę Belle-Isle.

Yvon zbliżył się do komendanta, który na stanowisko swoje powrócił, i cichutko, z pokorą, zapytał:

— Dokąd płyniemy, kapitanie?

— Tam, dokąd podoba się jego eminencji — odparł oficer.

Aramis noc przepędził, wsparty na poręczy pokładu.

Nazajutrz Yvon, zbliżywszy się do niego, zauważył, iż noc musiała być bardzo wilgotna, gdyż drzewo, na którem biskup wspartą miał głowę, było jakgdyby rosą obfitą zwilżone.

Kto wie, czy rosa ta nie była pierwszemi łzami, jakie z oczu Aramisa spłynęły!...

Czyż może być nad to szczytniejsze wspomnienie pośmiertne dla ciebie, zacny Portosie!...

CCLIX

PATROL PANA DE GESVRES

D'Artagnan nie był przyzwyczajony do oporu, jakiego świeżo doznał.

Powrócił do Nantes, wzburzony do głębi.

U tego człowieka, pełnego energji, wzburzenie podobne objawiło się napadem gwałtowności, przed którą mało kto, jak do tąd przynajmniej, czy to król czy olbrzym, ostać się był w możności.

D'Artagnan, cały wrzący, prosto do pałacu się udał, żądając rozmowy z królem.

Było to około godziny siódmej zrana, a od przybycia swego do Nantes, król wstawał bardzo wcześnie.

Lecz, doszedłszy do znanej nam galerji, spotkał pana de Gesvres, który z całem ugrzecznieniem zatrzymał go, prosząc, aby nie mówił głośno, bo król się może obudzić.

— Król śpi?... — zapytał d'Artagnan. — Nie będę go więc budził. A kiedy, jak pan przypuszczasz, król wstanie?...

— O!... najmniej za parę godzin: król cała noc się nie kładł.

D'Artagnan nałożył kapelusz, pożegnał pana de Gesvres i poszedł do siebie.

O wpół do dziewiątej powrócił.

Powiedziano mu, że król był przy śniadaniu.

— To mi bardzo na rękę — odparł — rozmówię się z królem, podczas gdy jeść będzie.

Pan de Brienne zwrócił uwagę d'Artagnana, że król w czasie posiłku nikogo nie przyjmuje.

— Ale pan może nie wiesz, panie sekretarzu, — rzekł d'Artagnan, krzywo na Brienna spojrzawszy — że ja mam wstęp wolny wszędzie i o każdej porze.

Brienne ujął kapitana za rękę i rzekł doń łagodnie.

— Tylko nie w Nantes, drogi panie d'Artagnan, król w tej podróży zmienił cały porządek domowy.

D'Artagnan ułagodzony zapytał, o jakiej porze król skończy śniadanie.

— Niewiadomo — odparł Brienne.

— Jakto, niewiadomo?... Co to ma znaczyć?... Nie wiadomo, ile król potrzebuje czasu na spożycie śniadania?... Zazwyczaj godzinę, a jeżeli przypuścić, iż powietrze z nad Loary dodaje mu apetytu, niechaj będzie półtory, to dostateczne, jak mi się zdaje; tutaj więc zaczekam.

— O!... drogi panie d'Artagnan, rozkaz jest wyraźny, aby nie pozwolić nikomu przebywać w tej galerji; ja mam polecenie aby tego przestrzegać.

D'Artagnan powtórnie zakipiał gniewem. Szybko się oddalił, obawiając się zawikłania sprawy wybuchem złego humoru.

Znalazłszy się po za obrębem pałacu, począł wszystko rozważać.

— Król — mówił sobie w duchu — nie chce mnie przyjąć, to rzecz jasna; rozgniewał się na mnie ten młodzieniaszek; lęka się słów, które mógłby usłyszeć odemnie. Tak, ale tymczasem oblegają Belle-Isle i biorą w niewolę, lub może zabijają moich przyjaciół. Biedny mój Portos! bo co do tego szczwanego Aramisa, wykrętów mu nie zbraknie i spokojny jestem o niego... jednakże nie, nie, Portos nie jest jeszcze inwalidą, a Aramis starcem zidjociałym. Pierwszy, z pomocą potężnej pię-

ści, drugi z wyobraźnią i pomysłami swojemi, dadzą żołnierzom Jego Królewskiej Mości nielada orzech do zgryzienia. Kto wie!... może tam będzie, ku zbudowaniu arcychrześcijańskiego Najjaśniejszego Pana, małe powtórzenie bastjonu św Gerwazego?... Nie tracę nadziei. Mają tam działa i dobrą załogę.

— Jednakże — snuł dalej myśli swoje d'Artagnan, przytakując im głową — sądzę, że lepiejby było przerwać tę walkę. Gdyby tu o mnie chodziło, nie zniósłbym ani pychy, ani odstępstwa ze strony króla; lecz dla moich przyjaciół, niechaj mnie kopie, niech poniewiera, wszystko znieść powinienem. A gdybym tak poszedł do pana Colberta?... — począł dalej rozważać. — Oto figura, którą trzeba będzie przyzwyczaić, ażeby się mnie lękał. Idźmy do pana Colberta.

I d'Artagnan żwawo wyruszył w drogę.

Na miejscu dowiedział się, że pan Colbert pracował z królem na zamku w Nantes.

— Masz tobie!... — zawołał, wracają się dla mnie te czasy, w których mierzyłem drogę od pana de Treville do mieszkania kardynała, od kardynała do królowej, a od królowej do Ludwika XIII-go. Słusznie powiedziano, że ludzie starzejąc się dziećmi się stają. A więc do zamku!...

Powrócił.

Wychodził właśnie pan de Lyonne.

Podał d'Artagnanowi obydwie ręce i oznajmił mu, że król pracować będzie do wieczora, a może i noc całą, i że rozkazano nie wpuszczać nikogo.

— Nawet kapitana, przychodzącego po rozkazy?... — wykrzyknął d'Artagnan. — Tego już za wiele!

— Nawet — powiedział pan de Lyonne.

— Jeżeli tak — odparł d'Artagnan, dotknięty do żywego — jeżeli dowódzca muszkieterów, który zawsze wchodził do sypialni królewskiej, teraz nie ma wstępu do jego gabinetu lub sali jadalnej, to chyba, król nie żyje, albo kapitan popadł w jego niełaskę. W jednym lub drugim wypadku jestem mu niepotrzebny.

Panie de Lyonne, ty, który pozostajesz w łaskach, uczyń mi tę przyjemność, powróć tam i wyraźnie powiedz królowi, że podaję się do dymisji.

— D'Artagnan, zastanów się!... — zawołał pan de Lyonne.

— Idźże już, jeżeli mi sprzyjasz.

I popchnął go zlekka w stronę gabinetu.

— Idę — rzekł pan de Lyonne.

D'Artagnan czekał, chodząc wielkiemi krokami wzdłuż galerji.

De Lyonne powrócił.

— Co król na to powiedział?!... — spytał d'Artagnan.

— Król powiedział, że dobrze — odparł pan de Lyonne.

— Że dobrze — wybuchnął kapitan — to znaczy, że przystaje?

Ha! Wolny jestem nareszcie. Teraz jestem mieszczuchem, panie de Lyonne; do miłego widzenia. Żegnaj mi, zamku, galerjo przedpokoju! mieszczuch, który nareszcie odetchnie swobodnie, żegna was! — I nie czekając, wypadł na schody, na których niegdyś odnalazł podarte kawałki listu Gourvilla. W pięć minut już był w zajeździe, gdzie, według zwyczaju wyższych oficerów, mających w zamku mieszkanie, wynajmował pokój.

Tam zamiast odpiąć szpadę zrzucić płaszcz, wziął pistolety, wpakował w duży skórzany trzos pieniądze, posłał do pałacowej stajni po swoje konie i postanowił wyruszyć nocą do Vannes.

Wszystko poszło, według jego życzenia.

O ósmej wieczorem kładł nogę w strzemię, gdy przed zajazdem zjawił się pan de Gesvres na czele dwunastu gwardzistów.

D'Artagnan patrzył na to z pod oka; trzynastu konnych musiał przecie zobaczyć; udawał jednak, że nie zwraca na nic uwagi i najspokojniej nogę przez siodło przełożył.

Gesvres prosto na niego najechał.

— Panie d'Artagnan!... — głośno się odezwał.

— A! pan de Gesvres, dobry wieczór panu!

— Zdaje się, iż pan dosiadasz konia?

— Jeszcze więcej, bo już go dosiadłem, jak pan widzisz.

— Dobrze się stało, że pana spotkałem.

— Po mnie pan przychodzisz?

— Ależ tak, mój Boże.

— O zakład, że król mię szuka.

— Nie inaczej.

— Tak, jak dwa czy trzy dni temu, ja szukałem pana Fouquet?

— O!

— Słuchaj, chcesz mnie zbyć pieszczotami mnie? Daremne trudy, słuchaj, powiedz lepiej odrazu, że przychodzisz mnie aresztować.

— Ja, pana aresztować? Dobry Boże, wcale nie!

— Na cóż więc z dwunastu ludźmi na koniach po mnie przyjeżdżasz?

— Jestem z patrolem.

— Wcale nie źle! i w tym objeździe zabierasz mnie z sobą?

— Ne zabieram, spotykam i proszę, abyś udał się ze mną.

— Dokąd?

— Do króla.

— Dobra! — z drwiącą miną bąknął d'Artagnan.

Król więc nie ma już nic lepszego do roboty?

— Zmiłuj się, kapitanie — cicho przemówił pan de Gesvres do muszkietera — nie kompromitujże się: ludzie cię słyszą.

D'Artagnan śmiać się począł.

— Ruszajmy. Zazwyczaj aresztowani postępują pośrodku między sześcioma jadącymi przodem i sześcioma z tyłu.

— Ponieważ jednak ja pana nie aresztuję, będziesz więc łaskaw jechać za mną.

— Zatem traktujesz mnie przyzwoicie, masz słuszność, książę; bo gdyby mnie wypadło kiedykolwiek jeździć z patrolem w okolicy twego mieszkania na mieście, również grzecznie obszedłbym się z tobą, słowem szlacheckiem ręczę! A teraz jeszcze jedną wyświadcz mi grzeczność. Czego król odemnie chce?

— O! król wścieka się ze złości!

— Mniejsza o to — odparł d'Artagnan — król, który zadał sobie tyle trudu, ażeby się rozzłościć, popracuje także nad uspokojeniem swojej osoby, i basta. Nie umrę z tego, przysięgam ci.

— Wierzę; lecz...

— Lecz poślą mnie dla dotrzymania towarzystwa biednemu Fouquetowi? Mordioux! miły i zacny z niego człowiek. Bardzo zgodnie żyć z sobą będziemy, możesz mi pan wierzyć.

— Jesteśmy już na miejscu — odezwał się de Gesvres. — Kapitanie, zmiłuj się! zachowaj się spokojnie wobec króla.

— Patrzcie! jaki szlachetny ze mną jesteś, książę!... — zauważył d'Artagnan, zaglądając w oczy panu de Gesvres. — Mówiono mi, że się kusiłeś o przyłączenie swoich gwardzistów do moich muszkieterów, a zdaje mi się, że obecnie nadarza się po temu sposobność.

— Nie skorzystam z niej, kapitanie, Boże mnie uchowaj!

— A to czemu?

— Dla wielu a wielu powodów; i dlatego nareszcie, że, gdybym zaaresztowawszy cię, odziedziczył twoich muszkieterów...

— A! przyznajesz więc, że mnie aresztujesz!

— Nie, nie.

— Powiedz tedy, żeś się tylko ze mną spotkał. Jeżeli zatem po spotkaniu się ze mną, odziedziczyłbyś?

— Twoi muszkieterzy, podczas pierwszych ćwiczeń z bronią palną, przez nieuwagę do mnie mogliby wymierzyć.

— A!... co do tego, nie przeczę bynąjmniej. Ci ladaco bardzo mnie kochają.

Gesvres puścił d'Artagnan przodem, wiodąc go wprost do gabinetu, w którym król oczekiwał na swego kapitana muszkieterów, a sam pozostał w przedpokoju.

Słychać było wyraźnie głośną rozmowę króla z Colbertem, tak samo jak przed kilku dniami rozmawiał z d'Artagnanem

Gwardziści pozostali na pikiecie przed drzwiami głównemi, a po mieście rozeszła się wieść o aresztowaniu z rozkazu króla kapitana muszkieterów.

Zagotowało się wśród podkomendnych d'Artagnana, jak za dobrych czasów Ludwika XIII-go i pana de Treville; głuche szmery wzbijać się poczęły z dziedzińca ku wyższym piętrom, podobne do jęków chrapliwych fal, w czasie przypływu morza.

Pan de Gesvres mocno był zaniepokojony.

Przypatrywał się swoim gwardzistom, którzy, połączywszy się zrazu z muszkieterami i zwolna usuwać się poczęli, zdradzając pewną nieufność.

D'Artagnan nie żywił bynajmniej obaw, które pana de Gesvres obległy.

Od czasu wejścia, przysiadł na krawędzi okna i orlem swojem spojrzeniem odrazu wszystko ogarniał, lecz najmniejszem drgnieniem fizjonomji nie okazał wrażenia, jakie widok ten na nim sprawił.

Ani jeden odcień wzrastającego wzburzenia, na wieść o aresztowaniu, nie uszedł jego uwagi, czuł zbliżającą się chwilę wybuchu; a wiadomo, że przewidywania jego nie zawodziły go zgoła.

— Zabawnem by było — mówił sobie w duchu — gdyby dzisiejszego jeszcze wieczora, pretorjanie moi królem francuskim mnie obwołali.

Lecz w chwili najbardziej stanowczej wszystko się zatrzymało.

Gwardja, muszkieterzy, starszyzna, żołnierze, szmery i wzburzenie rozproszyły się, rozwiały, zniknęły; już było po burzy, umilkły groźby, skończyło się wzburzenie.

Jedno słowo zażegnało wiszące w powietrzu gromy.

Król przemówił głosem wołającego Brienna:

— Cicho!... panowie, przeszkadzacie królowi!...

Westchnął d'Artagnan.

— Po wszystkiem — rzekł sobie w duszy — dzisiejsi muszkieterowie nie podobni są do tych, którzy byli za Ludwika XIII-go. Już po wszystkiem.

— Pan d'Artagnan do króla!... — zawołał woźny.

CCLX

KRÓL LUDWIK XIV-TY.

Król siedział w gabinecie, zwrócony plecami do drzwi i przerzucał papiery; naprzeciw było lustro w które rzuciwszy tylko okiem, mógł widzieć tych co przychodzili do niego.

Nie ruszył się z miejsca, za przybyciem d'Artagnana, tylko zarzucił zieloną jedwabną zasłonę na stolik z papierami i tym sposobem zakrył je przed ciekawemi oczyma.

D'Artagnan zrozumiał to postępowanie i nie ruszał się z miejsca, tak, że król, po kilku chwilach, nie słysząc nic, zmuszony był zawołać:

— Czy niema tu pana d'Artagnana?...

— Jestem!... — odpowiedział muszkieter postępując naprzód.

— Cóż mi pan masz do powiedzenia?... — rzekł król, patrząc mu bystro w oczy.

— Ja, Najjaśniejszy Panie!... — rzkł d'Artagnan, czekając tylko pierwszej zaczepki przeciwnika, aby dobrze ją, odeprzeć — nic nie mam do powiedzenia, tylko to, że Wasza Królewska Mość kazałeś mię aresztować, i oto jestem tu!...

Król chciał odpowiedziać, że go nie kazał aresztować, ale to wydawało mu się tłómaczeniem, zamilkł więc.

D'Artagnan milczał uporczywie.

— Panie!... — rzekł król, patrząc śmiało w oczy d'Artagnanowi. — Powiedz mi, proszę, jaki ci dałem rozkaz co do Belle-Isle.

Teraz d'Artagnan bardzo był szczęśliwym, gdyż król widoczną dał mu nad sobą przewagę.

— Zdaje mi się — rzekł — że Wasza Królewska Mość czyni mi zaszczyt, pytając, co miałem robić w Belle-Isle.

— Tak jest, panie!...

— Nie wiem, Najjaśniejszy Panie!... i nie mnie trzeba o to pytać, ale raczej tego mnóstwa różnego stopnia oficerów, którym dano nieskończoną liczbę rozmaitych rozkazów, gdy tymczasem mnie, dowódzcy tej wyprawy, nie dano żadnego stanowczego.

Król uczuł się dotkniętym i okazał to w swej odpowiedzi.

— Dano tylko rozkazy, mój panie, tym, o których wierności nie wątpiono!...

— To też dziwiło to mnie, Najjaśniejszy Panie, że kapitan muszkieterów, równy w stopniu marszałkowi Francji, znajdował się pod dowództwem pięciu czy sześciu poruczników, czy majorów, dobrych może na co innego, ale nigdy na dowódzców wyprawy. I dlatego przybyłem prosić Waszą Królewską Mość o objaśnienie, lecz odmówiono mi posłuchania, a zniewaga ta, uczyniona takiemu, jak ja człowiekowi, zmusiła mnie do opuszczenia służby Waszej Królewskiej Mości.

— Panu zawsze się jeszcze zdaje — rzekł król — że żyjesz dotąd w czasach, kiedy królowie byli zależni i prawie pod rozkazami swoich podwładnych. Zdaje mi się, że zapomniałeś o tem, iż król Bogu tylko samemu zdaje sprawę ze swych czynów!...

— O niczem nie zapomniałem — rzekł muszkieter, dotknięty tą przestrogą. — A zresztą, nie widzę tu, jak człowiek prawy może obrazić monarchę, upraszając go, o oznajmnienie, w czem mu źle usłużył.

— Źle mi usłużyłeś, mój panie!... biorąc stronę moich nieprzyjaciół!...

— Jacyż to są nieprzyjaciele Waszej Królewskiej Mości?...

— A ci, dla zwyciężenia których, posłałem ciebie.

— Dwóch ludzi!... miałoby być przeciwnikami wojsk Waszej Królewskiej Mości?... To nie do uwierzenia, Najjaśniejszy Panie!...

— Nie do pana należy oceniać moją wolę!...

— Ale do mnie należy oceniać moją przyjaźń, Najjaśniejszy Panie!...

— Kto służy swym przyjaciołom, nie służy swemu panu!...

— Tak, to dobrze pojąłem, Najjaśniejszy Panie, i z największem uszanowaniem prosiłem Waszą Królewską Mość o uwolnienie mnie od służby.

— Które też panu udzieliłem — rzekł król. — Ale, zanim się z panem rozłączę, chciałem przekonać go, że umiem dotrzymać słowa.

— Wasza Królewska Mość więcej uczyniłeś, niż przyrzekłeś, bo Wasza Królewska Mość kazałeś mię uwięzić, a nigdyś mi tego nie obiecywał — rzekł d'Artagnan.

Król wzgardził tym żartem i rzekł surowo:

— Patrz, mój panie, do czego mię zmusiło twoje nieposłuszeństwo.

— Moje nieposłuszeństwo?... — odezwał się d'Artagnan zaczerwieniony.

— Jest to najłagodniejsze słowo, jakie mogłem wynaleźć. Zamiarem moim było uwięzić i ukarać buntowników, a cóż mię to ma obchodzić, że oni są twymi przyjaciółmi?

— Ale było to nietrafnie, Najjaśniejszy Panie!... posyłać mię, aby uwięzić moich przyjaciół i przyprowadzić ich na szubienicę!

— Była to, mój panie, próbka wierności, jaką chciałem zrobić z moimi mniemanymi sługami, którzy jedzą mój chleb i obowiązani są bronić mej osoby. Próba ta nie udała się panu, d'Artagnan.

— Za jednego złego sługę, którego tracisz Wasza Królewska Mość — rzekł d'Artagnan — znajdujesz dziesięciu, którzy właśnie tegoż samego dnia dali dowody swej wierności. Ale racz posłuchać mię, Najjaśniejszy Panie!... Uważałem za złe ścigać aż do śmierci dwóch ludzi, o których życie pan Fouquet, zbawca Waszej Królewskiej Mości, błagał. Tembardziej, że ci dwaj ludzie byli moimi przyjaciółmi. Mieli zginąć w przystępie gniewu jedynie!... a potem dlaczegoż nie dozwolono im uciec?... Jakąż zbrodnię popełnili?.. Wyznaję, że nie mam prawa sądzić postępowania Waszej Królewskiej Mości!... Ale dlaczegoż otaczać mię zausznikami?... Dlaczego odbierać mi cześć w obliczu wojska?... Dlaczego mnie, którego Wasza Królewska Mość aż dotąd zaszczycałeś swem zupełnem zaufaniem, mnie, który od lat trzydziestu przywiązany jestem do Jego osoby i tysiąc dałem dowodów wierności, bo muszę to przypomnieć, kiedy jestem oskarżony; dlaczego przymuszać mię, abym staczał bitwę na czele trzech tysięcy wojska królewskiego z dwoma ludźmi!

— Musiałeś zapomnieć — rzekł król ponuro — co ci ludzie mi zrobili i, że ja przez nich o mało nie zginąłem na zawsze.

— Ale Wasza Królewska Mość racz nie zapominać, że ja tegobym nie dopuścił.

— Dość tych osobistości, panie d'Artagnan, ćmiących słońce moich pomysłów. Tworzę państwo, w którem nie będzie więcej nad jednego pana: kiedyś ci to przyrzekłem, i właśnie nadeszła ta chwila. Chcesz ulegać swoim widokom tylko i przyjaźni, krzyżując woli mojej zamiary, broniąc swych przyjaciół?... Albo się rozstaniemy, albo musisz od tego odstąpić. Poszukaj dogodniejszego dla siebie pana. Wiem, że inny monarcha nie postąpiłby z tobą tak, jak ja, i zapomniałby przeszłości, ale ja dobrą mam pamięć, a przysługi mnie zrobione, są dla mnie świętym obowiązkiem wdzięczności i bezkarności. Innej przestrogi nad tę nie będziesz miał, panie d'Artagnan, i dla ukarania ciebie za nieposłuszeństwo, nie będę naśladował mych poprzedników w gniewie, nie naśladując ich w łaskawości. A zresztą inne jeszcze powody zniewoliły mię do tak łagodnego z tobą obejścia się; najprzód: że jesteś człowiekiem rozsądnym i, że będziesz dobrym sługą tego, kto tobą wreszcie owładnąć potrafi, i dlatego, że znikły już powody tego nieposłuszeństwa.

Przyjaciele twoi, już są przezemnie zniszczeni. Zniknął więc ten punkt oparcia który był podstawą twych dziwactw, gdyż w tej chwili wojsko moje, albo uwięziło albo zabiło buntowników w Belle-Isle.

D'Artagnan zbladł.

— Wzięci albo zabici!... — zawołał — o!... Najjaśniejszy Panie!... gdybyś był przekonanym, że to, co mówisz, jest prawdą, wówczas, zapominając o sprawiedliwości i wspaniałej łagodności słów twoich, nazwałbym to wypadkiem, sprzeciwiającym się godności twojej. Racz przyznać, jacy to są ludzie tacy, jak pan d'Herblay, pan du Vallon i ja; oni wzięci albo zabici!... o!... o!... Najjaśniejszy Panie, powiedz mi, jeżeli ta wiadomość jest prawdziwą, wiele cie to kosztuje ludzi i pieniędzy. A policzymy czy wygrana warta była stawki.

Kiedy to mówił, król zbliżył się do niego i rzekł z gniewem:

— Jest to buntownicza mowa, panie d'Artagnan, bądźże łaskaw powiedzieć mi, kto jest królem Francji? Czy znasz innego nademnie?

— Najjaśniejszy Panie!... — odrzekł kapitan, — 'przypominasz sobie chwilę, w której zadałeś toż samo zapytanie w Vaux wielu osobom, tam obecnym; one nie umiały na to odpowiedzieć i ja tylko odpowiedziałem; a kiedy wówczas poznałem swego monarchę, gdy rzecz nie była tak łatwą, dziś, gdy jestem sam na sam z Waszą Królewską Mością, pytanie to jest zbyteczne.

Na te słowa, Ludwik XIV-ty spuścił oczy; zdawało mu się, że cień nieszczęśliwego Filipa przesunął się między nim a d'Artagnanem, przypominając mu to zdarzenie.

Prawie w tej samej chwili wszedł oficer, podając papiery królowi, a ten czytając je, zbladł.

D'Artagnan dostrzegł to.

Król stał nieruchomy, milczący przez kilka chwil, poczem rzekł:

— O tem, co mi donoszą, dowiesz się zapewne skądinąd. Lepiej więc, ażebym ci to sam powiedział. Już się bili w Belle-Isle.

— A!... a!... — rzekł d'Artagnan, udając spokój, chociaż serce zaledwie mu z piersi nie wyskoczyło. — I cóż, Najjaśniejszy Panie?

— A!... straciłem stu sześciu ludzi

— A buntownicy?... — zapytał d'Artagnan.

— Uciekli — rzekł król.

— Lecz flota moja otacza wyspę i pewny jestem, że ani jedna łódka nie wymknie się.

— A więc jeżeli ich schwytają — rzekł d'Artagnan smutnie.

— Powieszą ich — rzekł król najobojętniej.

— I oni wiedzą o tem?... — odpowiedział d'Artagnan, wstrząsając się.

— A przecież, sam im to powiedzieć musiałeś i wie o tem cała wyspa.

— Jeżeli tak, ręczę, Najjaśniejszy Panie, że ich nie dostaną żywych.

— A!... — rzekł król niedbale. — To na jedno wyjdzie, panie d'Artagnan, boć i ja dlatego tylko kazałem ich schwytać, aby ich kazać powiesić!

D'Artagnan otarł pot, spływający mu po twarzy.

— Jużem ci powiedział kiedyś — mówił dalej Ludwik XIV-ty — że będę dla ciebie przywiązanym i stałym. Dziś jesteś jedynym z dawnych ludzi, godnym mego gniewu, lub przyjaźni. Nie będę ci skąpił, według twego postępowania, jednego lub drugiego. Czy mógłbyś?... powiedz mi, panie d'Artagnan czy chciałbyś służyć królowi, który miałby w tem samem królestwie stu innych królów, równych sobie. Czyż mógłbym, powiedz mi, przy takiej słabości, wykonać moje wielkie zamiary?... Widziałeś kiedy, aby rzemieślnik, wykonywujący jakąś doskonałą robotę, używał do niej lichych narzędzi? Odrzućmy ten pierwiastek nadużyć feodalnych!... Fronda, która miała zgubić monarchję, oswobodziła ją. Jestem panem u siebie, kapitanie d'Artagnan, i będę miał sługi, którzy, nie wyrównywując tobie dowcipem, posuną poświęcenie i posłuszeństwo do bohaterstwa. Mniejsza o to, że Bóg nie dał rozumu rękom i nogom, ale dał go głowie!.... a głowie wszystko jest posłuszne, jak o tem wiesz dobrze!... a ja jestem głową!

D'Artagnan zadrżał.

Król, chociaż spostrzegł to, udał wszakże, że nie widzi, i mówił dalej:

— A teraz skończymy pomiędzy sobą ten targ, jaki ci przyrzekłem niegdyś w dniu, kiedy mnie w Clois, za tak mało zna-

czącego osądziłeś. I bądź mi wdzięczny, panie! za to, że nikomu nie każę płacić za łzy wstydu, jakie wówczas wylałem. Obejrzyj się wokoło!... wszystkie największe głowy ugięły się. Poddaj się więc, jak oni, albo wybieraj najdogodniejsze dla ciebie miejsce wygnania, a tam zastanowiwszy się, przyznasz może, że król ma szlachetne serce, skoro licząc na twoją prawość, pozostawił cię wolnym, choć posiadasz tak ważną tajemnicę stanu. Wiem, że jesteś prawym człowiekiem, ale dla czegożeś mię osądził przedwcześnie.

Sądź moje postępowanie od dnia dzisiejszego, d'Artagnanie, z jaką tylko chcesz surowością.

D'Artagnan stał osłupiały, poraz pierwszy może w życiu niepewny, jak ma postąpić; znalazł właśnie przeciwnika, godnego siebie.

To, co słyszał nie było podejściem, lecz jawnością, nie było gwałtem, lecz siłą, nie było gniewem, lecz silną wolą, nie było pogróżką, lecz radą.

I młody ten król, który obalił Fouqueta i mógł obejść się bez d'Artagnana, bardzo pomieszał rachubę w głowie, cokolwiek upartej, kapitana muszkieterów.

— No i cóż cię powstrzymuje?... — rzekł król uprzejmie. — Żądałeś uwolnienia? czy chcesz, ażebym ci go odmówił? przyznaję, że przykro będzie staremu, jak ty żołnierzowi, cofnąć to, co się w zapędzie gniewu wyrzekło!

— O!... — odpowiedział smutno d'Artagnan — nie to mię zastanawia, ale waham się, czy mam pozostać w służbie, bo jestem już stary i mam nawyknienia, które z trudnością przyjdzie mi zmieniać.

Teraz bowiem potrzebować będziesz Najjaśniejszy Panie, dworaków, którzyby cię potrafili bawić, i dających się zabijać za twoje wielkie dzieła.

Czuję to, że będą one wielkie!... ale może przypadkiem nie uznałbym je za takie, widziałem już wojnę i pokój, Najjaśniejszy Panie!... służyłem pod Richelieum i Mazarinim, zardzewiałem z ojcem Waszej Królewskiej Mości w ogniu Roszelli; podziurawicny szablą i kulami zmieniłem, jak wąż, więcej niż dziesięć razy moją skórę. Po tylu dotkliwych zdarzeniach doszedłem do dowództwa, które niegdyś miało znaczenie, bo na-

dawało prawo mówienia prawdy królowi. Ale teraz kapitan muszkieterów będzie tylko stróżem drzwi.

Doprawdy, Najjaśniejszy Panie, jeżeli takie odtąd ma być jego przeznaczenie, skorzystaj z okoliczności i odbierz mi ten stopień.

Nie myśl, Najjaśniejszy Panie! ażebym miał choćby najmniejszą urazę!... Nie!... owładnąłeś mną, jak mówisz, ale muszę przyznać, że, czyniąc to, zmniejszyłeś mnie, a przyginając mnie. przekonałeś o mojej słabości.

O! gdybyś wiedział, Najjaśniejszy Panie! jak nędzną będę miał minę, wąchając pył dywanów. Najjaśniejszy Panie! żałuję szczerze czasów kiedy królowie Francji widzieli w przedpokojach swoich szlachtę dumną, wychudłą, przeklinającą, kłótliwą, ale która djabelnie gryzła w dniu bitwy.

Ludzie tacy najlepszymi są dworakami dla ręki, która ich karmi; trochę złotych galonów na kołnierzu sukni, trochę siwizny we włosach, a zobaczysz znowu parów, książąt i sławnych marszałków Francji...

Ale na cóż ja to wszystko mówię; król jest moim panem, chce, ażebym wiersze pisał, żąda, ażebym atłasowymi trzewikami polerował mozajkową podłogę jego pokojów, to trudno, ale robiłem trudniejsze nad te rzeczy.

Będę więc to robił, ale dlaczegóż?... Dlatego, że lubię pieniądze?... mam ich dosyć! a może dlatego, że jestem chciwy tytułów? moja karjera jest ograniczoną! bo lubię dwór? Nie!... pozostanę! dlatego, że od lat trzydziestu przywykłem co wieczór odbierać rozkaz od króla i słyszeć wymówione do mnie wyrazy:

"Dobranoc, d'Artagnan" z uśmiechem, którego żebrać teraz będę. Przystajesz na to, Najjaśniejszy Panie?

I d'Artagnan przychylił siwiejącą głowę, na której król z dumą położył białą swą rękę.

— Dziękuję ci, mój stary sługo! mój pierwszy przyjacielu — rzekł. — A ponieważ od dziś dnia nie mam już nieprzyjaciół we Francji, pozostaje mi tylko posłać cię na obcą ziemię, abyś znalazł tam buławę marszałka. Wierz mi, niedługo zdarzy się sposobność; a tymczasem spożywaj mój najlepszy chleb i śpij spokojnie.

— Dobrze! Najjaśniejszy Panie — rzekł d'Artagnan wzruszony. — Ale ci biedacy w Belle-Isle, jeden z nich nadewszystko i tak szlachetny!...

— Czy żądasz ich ułaskawienia?

— Na klęczkach, Najjaśniejszy Panie!

— Dobrze!... zawiadom ich o niem, jeżeli czas jeszcze!... Ale zaręczysz mi za nich?...

— Ręczę swojem życiem!...

— Jedź więc!... jutro wracam do Paryża, pośpiesz tam czemprędzej, bo nie chcę, abyś mię już więcej opuszczał!...

— Bądź spokojnym, Najjaśniejszy Panie!... — zawołał d'Artagnan, całując rękę królewską.

I puścił się z sercem, przepełnionym radością, drogą do Belle-Isle.

CCLXI

PRZYJACIELE PANA FOUQUETA.

Król wrócił do Paryża, a z nim d'Artagnan, który, zebrawszy w przeciągu dwudziestu czterech godzin wiadomości o Belle-Isle, nic wszakże nie wiedział o tajemnicy, którą zachowały ciężkie skały Lockmaria, stanowiące potężny grób Portosa.

Kapitan dowiedział się tylko, czego ci dwaj odważni, ci dwaj przyjaciele, o których ocalenie życia z takiem poświęceniem się starał, dokazali przy pomocy trzech Bretończyków przeciw sile przemagającej.

Widział na polach sąsiednich rozrzucone członki ciał ludzkich, krwawiące rosnącą trawę.

Dowiedział się także, iż mała łódka widzianą była na morzu i że okręt królewski dogonił ją i pochłonął, jako swą zdobycz.

I tu kończyły się wszystkie wiadomości d'Artagnana, ale zaczynało się mnóstwo domysłów.

Ale cóż można było z tego wszystkiego wnosić? okręt nie wrócił, a chociaż od kilku dni panował silny wiatr, ale okręt mocno był zbudowany i dobre miał żagle, nie lękał się więc wiatru i musiał, podług domniemań d'Artagnana, albo zawinąć do Brestu, albo do ujścia Loary.

Takie były mniej więcej uspakajające bądź cobądź wiadomości, jakie d'Artagnan przywiózł wracającemu z całym dworem do Paryża królowi

Ludwik, zadowolony z powodzenia, milszy i bardziej uprzejmy, czuł się więcej możnym, i ani na chwilę nie przestał kłusować przy karecie La Valliery.

Wszyscy inni starali się, aby zapomniały obie królowe to zaniedbanie syna i męża.

Wszystko oddychało przyszłością, przeszłość była niczem dla wszystkich.

Tak, przeszłość była niczem dla wszystkich.

Ale przeszłość ta dotykała jak świeża rana kilka dusz czułych i oddanych dawniejszym wspomnieniom.

I zaledwie król przybył do Paryża, miał zaraz żywy tego dowód.

Ludwik XIV-sty tylko co wstał i zjadł pierwsze śniadanie, kiedy kapitan muszkieterów stanął przed nim.

D'Artagnan był blady i pomieszany.

Król spostrzegł za pierwszym rzutem oka to pomieszanie, na twarzy jego zwykle obojętnej.

— Co ci to jest d'Artagnan?... — zapytał król.

— Najjaśniejszy Panie! wielkie nieszczęście spotkało mię!

— Mój Boże! cóż takiego?

— Straciłem Najjaśniejszy Panie, jednego z moich przyjaciół pana du Vallon przy rozprawie w Belle-Isle.

I mówiąc to, d'Artagnan bystro spojrzał królowi w oczy, aby odgadnąć, jakie na nim wiadomość ta sprawi wrażenie

— Wiedziałem o tem!... — odpowiedział król.

— Wiedziałeś o tem i nie raczyłeś powiedzieć mi, Najjaśniejszy Panie?

— I na cóż? Boleść twoja, mój przyjacielu, tak jest szacowną, że powinienem ci jej był oszczędzić! Zawiadamiać cię o nieszczęściu, jakie cię dotknęło, byłoby to naigrawać się. Tak, wiedziałem, że pan du Vallon zagrzebał się pod skałami Lockmaria; wiedziałem, że pan d'Herblay zabrał mi okręt z całym rynsztunkiem i ludźmi, i kazał się zawieźć do Bajonny. Ale chciałem, ażebyś wprost od niego dowiedział się o tem. dlatego, ażebyś się przekonał, że moi przyjaciele są dla mnie świętymi i nietykalnymi, i że we mnie zawsze człowiek poświęci się

dla człowieka, gdy król często jest przymuszony poświęcać ludzi dla swego majestatu i władzy.

— Ale, Najjaśniejszy Panie, jakim sposobem wiesz...

— A jakże ty dowiedziałeś się o tem?

— Z listu, który pisał do mnie z Bajonny Aramis, wolny od niebezpieczeństw.

— Patrzaj — rzekł król, wyciągając z szufladki stolika kopję listu Aramisa — oto ten sam list, którego kopję doręczył mi Colbert ośm godzin wprzód, zanim ty twój odebrałeś. Zdaje się, że dobrze mi służą?

— Prawda, Najjaśniejszy Panie — wybąknął muszkieter — jedynym jesteś człowiekiem, którego szczęście zdolne było opanować nawet szczęście i siłę moich przyjaciół. Zwyciężyłeś, Najjaśniejszy Panie! ale zapewne raczysz nie skorzystać ze zwycięstwa!

— D'Artagnan!... — rzekł król z uśmiechem dobroci. — Mógłbym kazać porwać pana d'Herblay z Hiszpanji i przywieźć tu żywego, dla wymierzenia mu przykładnej sprawiedliwości. Ale bądź pewnym, że nie pójdę za tym pierwszym popędem tak naturalnego uczucia. Jest wolnym! niechże nim pozostanie nadal.

— O! Najjaśniejszy Panie! nie zawsze będziesz tak szlachetnym, łaskawym i wspaniałym, jak się okazałeś względem mnie i pana d'Herblay, znajdziesz zapewne doradzców, którzy uleczą cię z twej słabości.

— Mylisz się, d'Artagnanie, zarzucasz moim doradzcom, że chcą pobudzić mię do surowości. A rada oszczędzania pana d'Herblay właśnie pochodzi od Colberta.

— A! Najjaśniejszy Panie — rzekł osłupiały d'Artagnan.

— Co do ciebie — rzekł król z nadzwyczajną dobrocią — wiele ci mam dobrych wiadomości do powiedzenia, ale dowiesz się o nich. kochany kapitanie, gdy się ułatwisz z niektórymi interesami. Powiedziałem już, że ci zapewnię los, a słowa moje wkrótce się urzeczywistnią.

— Dziękuję po tysiąc razy, Najjaśniejszy Panie, mogę jeszcze zaczekać. Ale kiedy chcę i mogę być cierpliwym, niech Wasza Królewska Mość raczy zająć się biednymi ludźmi, którzy oddawna, oblegając jego przedpokój, przychodzą z pokorą podać prośbę do podnóżka tronu Waszej Królewskiej Mości.

— Któż to taki?

— Nieprzyjaciele Waszej Królewskiej Mości.

Król podniósł głowę.

— Przyjaciele pana Fouquet — dodał d'Artagnan.

— Jak się nazywają?

— Pan Gourville, pan Pellisson i poeta pan Jan de La Fontaine.

Król chwilę się zamyślił i rzekł:

— Czegóż oni chcą?

— Nie wiem.

— Jak wyglądają?

— W żałobie!

— Co mówią?

— Nic!

— Cóż robią?

— Płaczą.

— Niech wejdą — rzekł król, marszcząc brwi.

D'Artagnan podniósł zasłonę we drzwiach, prowadzących do sali, i rzekł głośno.

— Wprowadzić!

I wkrótce we drzwiach gabinetu królewskiego pokazały się trzy osoby, wymienione przez d'Artagnana.

W czasie ich przejścia, głęboka panowała cichość. Dworzanie, za zbliżeniem się przyjaciół nieszczęśliwego nadintendenta skarbu, cofali się, jakby bojąc się zarazy, nieszczęścia i nie łaski.

D'Artagnan tylko wziął ich drżących za rękę i, ośmielając przy wejściu do gabinetu, przyprowadził ich przed krzesło, na którem król siedział, ukryty we framudze okna, oczekując na proszących, z całą surowością dyplomatyczną.

Najpierwszy z przyjaciół Fouqueta, który przystąpił, był Pellisson, nie płakał już, bo łzy mu dlatego jedynie płynąć przestały, ażeby król lepiej mógł słyszeć jego prośbę.

Gourville, wstrzymując łzy przez uszanowanie dla króla, przygryzał usta.

La Fontaine ukrył zupełnie twarz w chustce i gdyby nie konwulsyjne poruszanie od płaczu ramion, możnaby powiedzieć, że nie żył.

Król zachował zupełną godność.

Twarz jego była bez żadnego wyrazu, zachował nawet marszczenie brwi, które miał przy zapowiedzeniu przez d'Artagnana odwiedzających osób.

Dał znak ręką, nakazując i stał, patrząc bystro na proszących, pełnych rozpaczy.

Pellisson skłonił się prawie aż do ziemi, La Fontaine padł na kolana, jakby był w kościele.

To uporczywe milczenie, przerywane tylko westchnieniami i płaczem, zaczęło obudzać w królu nie litość, lecz niecierpliwość.

— Panie Pellisson — rzekł dobitnie i sucho — panie Gourville, i ty panie!...

I nie wymienił nazwiska La Fontaina.

— Bardzoby mi było przykro, gdybyście mieli prosić za największym zbrodniarzem, jakiego powinna ukarać moja sprawiedliwość. Król powinien być wzruszonym łzami albo skruchą: lecz tylko łzami niewinnego, a skruchą przestępcy. Nie wierzę ani w skruchę pana Fouqueta, ani w łzy jego przyjaciół, gdyż pierwszy zepsuty jest aż do gruntu serca, a ci nie mieliby tyle śmiałości, iżby przychodzić chcieli dla uwłaczania mi w moim własnym domu. Dlatego też proszę was panowie, nic takiego nie mówcie, coby wyraźnie nie wskazywało szacunku, jaki macie dla mojej woli.

— Najjaśniejszy Panie!... — odpowiedział Pellisson, drżąc, gdy usłyszał tak groźne wyrazy — nie przyszliśmy, aby cokolwiekbądź takiego powiedzieć, coby nie było najwyższem i najszczerszem przywiązaniem, jakie się należy monarsze od jego poddanych.

Sprawiedliwość Waszej Królewskiej Mości jest straszną, lecz każdy z uległością, jak równie i my przyjmuje jej wyrok.

Daleką od nas jest myśl bronienia tego, który miał nieszczęście obrazić Waszą Królewską Mość. Popadły w niełaskę Waszej Królewskiej Mości, może być naszym przyjacielem, ale mógł być nieprzyjacielem państwa. Wydajemy go z płaczem surowości królewskiej!...

— A zresztą — rzekł król, uspokojny ich pokorą i przekonywującymi wyrazy — parlament będzie go sądził. Sprawiedliwość zarówno posiada miecz jak i wagę i nikogo nie karze, nie zważywszy wprzód występku.

— Cała też nasza nadzieja jest w bezstronności Waszej Królewskiej Mości i spodziewamy się, że głos nasz w obronie oskarżonego przyjaciela, za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości, będzie słyszany.

— A więc! czegóż panowie teraz żądacie?.... — rzekł król z nakazującą postawą.

— Najjaśniejszy Panie!... — rzekł Pellisson — oskarżony pozostawił żonę i rodzinę. Szczupłe mienie, jakie posiadał, zaledwie wystarczyło na opłacenie długów, a panią Fouquet, od czasu uwięzienia jej męża, wszyscy opuścili. Ręka Waszej Królewskiej Mości dotyka tak, jak ręka Boga. Bo kiedy ręka Boga zsyła trąd, lub zarazę na jaką rodzinę, wszyscy uciekają od zapowietrzonych. Rzadko kiedy szlachetny jaki lekarz ośmielił się przestąpić próg przeklętego domu, narażając odważnie swe życie dla walki ze śmiercią. Ona jest jedyną ucieczką chorego, jedynem narzędziem miłosierdzia Boskiego. Najjaśniejszy Panie! błagamy cię z pokorą na kolanach, tak, jak się błaga Boga, za panią Fouquet, która niema ani przyjaciół, ani żadnego środka utrzymania, płacze w domu opustoszałym, nie ma ani oparcia, ni pomocy, bo ci nawet ją opuścili, którzy niegdyś, w chwilach łaski, oblegali drzwi jej mieszkania. Przynajmniej nieszczęśliwy na którym ciąży gniew Waszej Królewskiej Mości, jakkolwiek jest winny, dostaje pożywienie codziennie, które skrapia łzami. Ale to nas zasmuca, że ze wszystkiego ogołocona pani Fouquet, małżonka nadintendenta skarbu Waszej Królewskiej Mości, pani Fouquet, niema kawałka chleba!

Tu śmiertelna cisza, którą dotąd zachowywali przyjaciele Pellissona, przerwana została rzewnym płaczem; d'Artagnan nawet, dotknięty do żywego tak pokorną prośbą, obrócił się w kąt gabinetu i, gryząc niemiłosiernie wąsy, wstrzymywał łzy, cisnące się do oczu.

Król zachował surową twarz i suche oko, ale twarz jego zaczerwieniła się, a surowość wzroku zmniejszyła się widocznie.

— Czegóż więc żądacie?... — rzekł głosem wzruszonym.

— Przyszliśmy błagać Waszą Królewską Mość!... — rzekł z pokorą Pellisson, coraz bardziej wzruszony — ażebyś raczył nam pozwolić zebrane od przyjaciół pana Fouquet 2,000 pistolów oddać jego wdowie, niech jej nie zbywa na pierwsze potrzeby życia!

Na wyraz "wdowie", wyrzeczony przez Pellissona, wówczas kiedy Fouquet żył jeszcze, król pobladł niezmiernie, duma jego upadła, a litość, ogarniając serce, spłynęła do ust. Spojrzawszy wzrokiem rozczulonym na klęczących i z płaczem błagających, wyrzekł:

— A niechże Bóg broni, ażebym winnych mieszał z niewinnymi; ci którzy wątpią o litości mojej względem słabych, źle mnie znają. Jeżeli uderzam, to tylko w zarozumiałych. Uczyńcie więc wszystko, panowie, co tylko serce wam dyktuje, dla ulżenia boleści pani Fouquet.

Idźcie więc, panowie! idźcie!

Trzej ludzie podnieśli się w milczeniu, z okiem suchem; łzy oschły na rozpalonych twarzach. Nie mieli nawet siły, aby podziękować królowi, który przerwał ich pełne uszanowania ukłony zastawiając się z żywością krzesłem, na którem siedział.

D'Artagnan sam pozostał z królem.

— Dobrze!... Najjaśniejszy Panie!.. dobrze — zbliżając się do króla, rzucającego nań pytającym wzrokiem — gdybyś nie miał już dewizy, zdobiącej twe słońce, radziłbym ci przyjąć tę, którą niech pan Conrart tłómaczy po łacinie:

"Łagodny dla słabych, surowy dla silnych".

Król uśmiechnął się, przechodząc do przyległego pokoju, i rzekł do d'Artagnana:

— Daję ci urlop, którego zapewne potrzebujesz, dla zarządzenia interesami nieboszczyka pana du Vallon, twego przyjaciela.

CCLXII

TESTAMENT PORTOSA.

W Pierrefonds wszystko było smutne.

Dziedzińce puste, ścieżki pozarastane, stajnie pozamykane. Wodotryski zatrzymane, niegdyś tak wesołe, świetne i huczne.

Na drogach, prowadzących do zamku, kilka poważnych figur jechało na mułach, lub roboczych koniach.

Byli to sąsiedzi, proboszcz i dzierżawcy, a wszyscy w milczeniu wchodzili do zamku, wprowadzani przez strzelca, czarno ubranego, Mousqueton zaś przyjmował ich na progu.

Od kilku dni Mosqueton tak schudł, że suknie wisiały na nim, jak na kołku.

Na rumianej i pełnej niegdyś jego twarzy, a dziś wybladłej i chudej, strumienie łez pozostawiły widoczne ślady.

Z każdym nowo przybywającym Mousqueton płakał, że aż litość brała, patrząc na jego smutek nieudany.

Wszyscy przybyli mieli na celu wysłuchanie testamentu Portosa, na dziś zapowiedziane, a chciała tu być obecną jak chciwość tak i przyjaźń dla zmarłego, nie zostawiającego krewnych.

Kiedy wszyscy się zgromadzili, za uderzeniem na zegarze godziny dwunastej, przeznaczonej na otwarcie testamentu, zamknięto drzwi pokoju.

Rejent Portosa, a naturalnie był nim następca p. Couquenart zaczął powoli rozwijać pergamin, na którym silna ręka Portosa wypisała ostatnią wolę.

Gdy oberwał pieczęcie, włożył na nos okulary, odkaszlnął poprzednio, wszyscy natężyli słuch.

Mousqueton wcisnął się w najodleglejszy kąt, aby więcej płakać, a mniej słyszeć.

Jednocześnie drzwi zamkniętego pokoju jakby cudem otworzyły się, i szlachetna twarz męska ukazała się na progu.

Był to d'Artagnan, który, nie spotkawszy nikogo na swe przyjęcie, przywiązał konia na dziedzińcu i wszedł do sali.

Szmer obecnych, a bardziej jeszcze, instynkt wiernego psa, wyrwały Mousquetona z zadumania.

Podniósł głowę, o poznając dawnego przyjaciela swego pana, rycząc z żalu, padł mu do nóg i łzy jego zrosiły marmurową podłogę.

D'Artagnan, podniósłszy go, uściskał jak brata, a po wzajemnem z obecnymi przywitaniu, usiadł trzymając za rękę Mousquetona, siadającego przy jego nogach.

Poczem rejent, również jak inni wzruszony, zaczął czytać.

Portos, po wyznaniu wiary, prosił nieprzyjaciół swych, aby mu przebaczyli złe, ktore im wyrządził.

W tem miejscu promień niezwykłej radości błysnął w oczach d'Artagnana.

Przypomniał sobie dawnego żołnierza i wszystkich nieprzyjaciół, powalonych waleczną ręką Portosa, a przebiegłszy myślą ich liczbę, rzekł do siebie, że Portos mądrze zrobił, nie wyliczając ich imiennie, w takim bowiem razie czytanie ich nazwisk byłoby utrudzeniem dla czytającego.

Potem następowały wyliczenia w tych słowach:

— Posiadam z łaski Boga, w tej chwili:

— 10 Dobra Pierrefonds z polami, lasami, pastwiskami, wodami, otoczone mocnym murem.

— 20 Dobra Bracieux, z zamkami, lasami, rolą dobrze uprawną, składające się z trzech folwarków.

— 30 Małą wieś Vallon tak nazwaną dlatego, że leży w dolinie.

Dobry Portos.

— 40 Pięćdziesiąt kolonji w Touraine, każda zawierająca 500 morgów.

— 50 Trzy młyny na rzecze Cher, każdy czyniący rocznego dochodu 600 liwrów.

60 Trzy stawy w Berry, z których każdy przynosi rocznie 200 liwrów dochodu.

— Co się tyczy dóbr ruchomych, dlatego tak nazwanych, że się mogą przenosić z miejsca na miejsce, jak mi to wytłumaczył uczony mój przyjaciel biskup de Vannes...

D'Artagnan zadrżał na posępne wspomnienie tego nazwiska.

Rejent bez przerwy czytał dalej:

— Składają się:

— 10 z mebli, któremi przyozdobione są moje pokoje; nie wymieniam ich tu dla szczupłości miejsca, ale spis ich posiada mój zarządca.

Obecni zwrócili oczy na Mousquetona, pogrążonego w boleści.

— 20 z dwudziestu koni wierzchowych i pociągowych, które są w stajniach zamku Pierrefonds nazywają się: Bayard, Roland, Charlemagne, Pepin, Dunois, la Hire, Ogier, Samson, Milon, Nemrod, Urgande, Armida, Falstrade, Dalila, Rebecca, Volande, Fentte, Grisette, Lisette i Musette.

— 30 z sześćdziesięciu psów, składających sześć sfor, podzielonych jak następuje: pierwsza na jelenia, druga na wilka, trze-

cia na dzika, czwarta na zające, dwie zaś ostatnie, jedna do polowania legawego, druga do straży.

— 40 z brodni wojennej i myśliwskiej, zamkniętej w zbrojowni.

— 50 z wina andegaweńskiego, zebranego dla Atosa, który je niegdyś lubił; wina burgundzkie, szampańskie, bordeaux i hiszpańskie, umieszczone są w dwunastu piwnicach, rozmaitych moich mieszkań.

— 60 z posągów i obrazów, o których mówią, że są znacznej wartości, a tak liczne, że zmordowałyby oko patrzącego.

— 70 z księgozbioru, złożonego z sześciu tysięcy tomów zupełnie nowych, gdyż ich nikt wcale nie otwierał nawet.

— 80 z naczyń srebrnych, które chociaż trochę zużyte, mogą ważyć jednak od tysiąca do tysiąca dwustu funtów, gdyż z trudnością mogłem podnosić kufer, zamykający je, i z tym ciężarem sześć razy tylko obejść mogłem pokój dokoła.

— 90 Wszystkie te przedmioty, a do tego bielizna stołowa i inna, umieszczone są w mieszkaniu które nad inne przekładałem.

Tu czytający zatrzymał się, aby odetchnąć, inni westchnęli, odkaszlnęli i natężyli uwagę.

Rejent zaczął znowu:

— "Żyłem bezdzietny, i zapewne mieć już dzieci nie będę, co dla mnie dotkliwą jest boleścią! Jednakże mylę się, mam bowiem syna, wspólnie z innymi mymi przyjaciółmi, a nim jest pan Raoul, August-Juljan de Bragellone, rzeczywisty syn hrabiego de La Fere.

— "Młodzieniec ten wydał mi się godnym do odziedziczenia spadku po trzech walecznych ludziach, których jestem przyjacielem i najniższym sługą.

Tu dał się słyszeć brzęk, który sprawiła szpada d'Artagnana, wypadłszy z pochwy na marmurową podłogę; wszyscy, obróciwszy się w tę stronę, dostrzegli, że bujna łza stoczyła się po twarzy d'Artagnana.

— "I dlatego — czytał dalej rejent — zapisuję wszystkie moje dobra ruchome i nieruchome, wyżej wymienione, panu wicehrabiemu Raoulowi Augustowi, Juljanowi de Bragellone, ażeby go pocieszyć w smutku, jakim jest dotknięty i dać mu możność noszenia z chlubą swego nazwiska."

— "Z obowiązkiem, aby pan wicehrabia de Bragellone dał panu d'Artagnan, kapitanowi muszkieterów królewskich te z dóbr moich, których rzeczony kawaler d'Artagnan żądać będzie."

— "Z obowiązkiem, ażeby pan wicehrabia de Bragellone płacił stosowną do jego potrzeby pensję przyjacielowi mojemu panu d'Herblay, jeżeli tenże przymuszony będzie żyć na wygnaniu."

— Obowiązuję również pana wicehrabiego de Bragellone, aby zatrzymał tych z moich służących, którzy dziesięć lat przebyli w mej służbie, a innym dał po 500 liwrów każdemu.

— Zapisuję rządzcy mojemu Mousquetonowi, całą moją garderobę paradną, wojskową i myśliwską, w przekonaniu, że będzie ją nosił przez pamięć i przywiązanie do mnie."

"Nadto polecam panu wicehrabiemu Bragellone mojego starego sługę i wiernego przyjaciela, Mousquetona, z tym obowiązkiem, aby Mousqueton, umierając, oświadczyć mógł, że nigdy nie przestał być szczęśliwym.

Mousqueton, słysząc te słowa, skłonił się, blady i drżący i powstał z twarzą, na której ciężka boleść wyrytą była, błądząc oczyma i szukając wyjścia z pokoju.

— Mousqueton! mój dobry przyjacielu, idź przygotuj się do podróży, zabieram cię z sobą do Atosa, dokąd stąd pojadę.

Mousqueton, nic nie mówiąc, zaledwie oddychając, jakby wszystko dla niego było obce, powoli wyszedł z pokoju.

Rejent skończył czytanie, poczem wszyscy, którzy przybyli dla wysłuchania ostatniej woli Portosa, odeszli przejęci szacunkiem do nieboszczyka.

D'Artagnan, po pożegnaniu z rejentem, podziwiał głęboki rozsądek Portosa, tak słusznie obdarzającego majątkiem najgodniejszego i najpotrzebniejszego, i to z delikatnością, w jakiejby najbardziej ugrzeczniony i najszlachetniejszy dworak nie przeszedł go zapewne.

Portos zalecając Raoulowi de Bragellone, ażeby dał to d'Artagnanowi, czegoby tenże zażądał, wiedział dobrze, iż ten niczego nie zażąda, a gdyby zażądał nawet, wicehrabia nie odmówiłby mu tego udziału.

Portos przeznaczał pensję dla Aramisa, który, gdyby się zanadto domagał, musiałby się powściągnąć, za przykładem d'Artagnana; a słowo o wyznaniu, wtrącone jakby nieumyślnie,

czyż nie było najłagodniejszą ale zarazem i najwyszukańszą przyganą postępowania Aramisa, które spowodowało śmierć Portosa.

Nakoniec w testamencie nie było wzmianki o Atosie, bo czyż mógł Portos sądzić inaczej, że syn da najlepszą część ojcu; szorstki rozum Portosa pojął to wszystko lepiej, niż każdy najbieglejszy prawnik.

— Portos miał szlachetne serce — rzekł z westchnieniem d'Artagnan, i zdało mu się, że usłyszał jęki na górze.

Przyszedł mu natychmiast na myśl biedny Mousqueton, potrzebujący ukojenia w boleści i żalu.

Wszedł na pierwsze piętro i spostrzegł rozrzucone po pokoju Portosa suknie jego w rozmaitych kolorach, a na nich leżącego Mousquetona.

Był to udział tego wiernego przyjaciela, i dany mu z serca.

Mousqueton rękami obejmował te święte dlań relikwje, a okrywając je swem ciałem, z twarzą obróconą do ziemi, jakby je całował.

D'Artagnan zbliżył się, aby go pocieszyć.

— Mój Boże!... — rzekł — nie rusza się, zemdlał zapewne!...

D'Artagnan mylił się.

Mousqueton już nie żył; nie żył, podobnie jak pies, który, tracąc swego pana, kładzie się na jego sukniach i żyć przestaje.

CCLXIII

STAROŚĆ ATOSA.

Kiedy te wypadki rozdzierały na zawsze czterech muszkieterów, niegdyś tak ściśle z sobą połączonych, Atos, pozostawszy samotnym po odjeździe Raoula, zaczął już wypłacać dług śmierci, skutkiem słabości ,jaką sprowadza nieobecność miłych nam osób.

Powróciwszy do Blois i nie mając nawet Grimauda przy sobie, aby choć spojrzeć na miłą jego twarz, Atos codziennie czuł niknącą siłę żywotną, niegdyś tak wielką.

Wiek, cofnięty otoczeniem miłych mu osób, obarczał go teraz w towarzystwie cierpień, powiększających się, w miarę długiego na nie oczekiwania.

Atos nie miał już obok siebie syna, aby przymuszać się dla jego przykładu do pogardzania cierpieniem i nie poddawać się starości; nie miał przy sobie błyszczących oczu młodzieńca, tego ogniska uczuć, w którem nieraz swój wzrok ożywiał.

I poddał się boleści, nie znajdując nic obok siebie, coby ją wstrzymywało.

Hrabia de la Fere, zachowawszy młodość aż do sześćdziesiątego drugiego roku, i pomimo trudów wojen, utrzymawszy czerstwą siłę, i pomimo cierpień moralnych, tęgość umysłu i słodki spokój duszy, pomimo Milady, pomimo Mazariniego i La Valliery, Atos w ciągu dni ośmiu stał się starcem, to jest odkąd stracił podporę ze wspomnień swej młodości.

Przywykły do ruchu i trudów, zaniedbał ten rodzaj życia po odjeździe Raoula.

Domownicy, przywykli widzieć go równo ze świtem na nogach podczas lata, nieraz dziwili się, że już siódma wybiła, a pan ich jeszcze nie wstał z łóżka.

Atos leżał z książką w ręku, lecz nie spał i nie czytał.

Leżał tylko dlatego, aby nie musiał dźwigać osłabionego ciała, a dusza jego i umysł, opuszczając ciało, ulatywały do Boga lub do syna.

Nieraz przejęci byli strachem, widząc go, przez kilka godzin pogrążonego w niemem i odrętwiałem dumaniu.

Nie słyszał nawet kroków przybywającego sługi, chcącego się dowiedzieć, czy pan jego śpi, lub czuwa.

Nieraz zapomniał, że dzień przeszedł już w połowie i że nie jadł ani śniadania, ani obiadu.

Gdy go budzono, wstawał, i osiwiały, zgarbiony, chwiejącym się krokiem przechadzał się po ulubionym ciemnym szpalerze, później wychodził na słońce, jakby chciał choć przez chwilę podzielić jego promienie z nieobecnem dziecięciem, poczem znowu przechadzał się ponury, milczący, dopóki wycieńczenie nie zaprowadziło go do łóżka, ulubionego dlań schronienia.

Przez wiele dni hrabia nie mówił ani słowa, nie przyjmował odwiedzających go, a w nocy widziano jak przy świetle lampy pisał, lub przerzucającego stare jakieś papiery.

Atos pisał listy do Vannes i do Fontainebleao, lecz pozostały bez odpowiedzi! wiemy dlaczego: Aramis opuścił Francję, d'Artagnan był w podróży z Nantes do Paryża, a z Paryża do Pierrefonds.

Służący jego spostrzegł, że codzień skraca przechadzkę.

Widziano hrabiego, z trudnością dochodzącego do środka alei, tam siadał na ławce z darniny i czekał powrotu sił, albo raczej nadejścia nocy.

Wkrótce sto kroków już go męczyło; wkońcu Atos nie chciał już wcale wstawać, nie przyjmował pożywienia, a chociaż się nie uskarżał, chociaż zawsze z uśmiechem na ustach, miłym głosem przemawiał, ludzie jego przestraszeni udali się do Blois do nadwornego lekarza ś. p. księcia i przywieźli go do hrabiego, urządzając rzecz tak, że lekarz mógł widzieć chorego, nie będąc widzianym, bo prosili go, aby się nie pokazywał ich panu tenże mógłby to wziąć im za złe, że sprowadzili lekarza pomimo wiedzy jego i woli.

Lekarz przystał na to, Atos bowiem szanowany i kochany był przez wszystkich.

Mieszkańcy Blois szczycili się tą świętą resztką dawnej chwały Francji.

Atos wielkim był i dawnym panem, w porównaniu z nową szlachtą, którą król tworzył, dotykając młodem i płodnem berłem wyschłych pni heraldycznych drzew na prowincji.

Atosa poważano i kochano.

Lekarz nie mógł znieść płaczu służących i zbiegowiska biednych z całej okolicy, którym Atos dawał utrzymanie i pociechę dobrocią słów i jałmużną.

Z ukrycia zgłębiał to złe, które codzień niszcząc więcej, zbliżało do grobu człowieka, niedawno tak pełnego życia i chęci do życia.

Poznał na twarzy Atosa rumieniec gorączki, wolnej, nielitościwej, zrodzonej w zakątku serca, i stamtąd grożącej niechybną śmiercią cierpiącemu.

Hrabia nietylko do nikogo, ale nawet do siebie nic nie mówił; myśl jego, bojąc się najmniejszej przerwy, dotykała ostatnich krańców najwyższego uniesienia.

Człowiek, tak zadumany, znajdował się pomiędzy niebem a ziemią.

Lekarz kilka godzin zgłębiał tę bolesną walkę woli z siłą wyższą.

Przestraszył się, widząc te oczy, zwrócone ciągle ku niewidzialnemu przedmiotowi, przeląkł się tego jednostajnego bicia serca, oznaczającego ból, bez żadnego westchnienia; niekiedy bowiem ostra boleść wzbudza nadzieję w lekarzu.

Pół dnia tak upłynęło; w końcu lekarz, jak człowiek szlachetny i stałego umysłu, wyszedł nagle z ukrycia, przystąpił śmiało do Atosa, który jakby nawet nie zauważył tak niespodziewanego przybysza.

— Przepraszam, panie hrabio — rzekł — ale muszę ci zrobić wyrzut, który zaraz usłyszysz.

I usiadł obok Atosa, który z trudnością przerwał swe zamyślenie.

— Cóż to takiego, doktorze? — zapytał hrabia po chwili milczenia.

— Jesteś pan chory, a nie dajesz się leczyć.

— Ja chory! — rzekł Atos, uśmiechając się.

— Cierpisz na gorączkę trawiącą, osłabienie i widoczne niknienie sił żywotnych, panie hrabio.

— Osłabienie? być może? bo nie wstanę już z łóżka.

— Porzuć, panie hrabio, to zwątpienie! wszakże jesteś dobrym chrześcijaninem.

— Zdaje mi się! — rzekł Atos.

— Czyż chciałbyś zadać śmierć sam sobie?

— Nigdy! doktorze!

— A więc, panie! tak postępując, dobrowolnie się zabijasz; ulecz się z tego, panie hrabio! ulecz!

— Ale z czegóż? dowiedź mi pan najprzód, żem chory. Co do mnie, nigdy, jak teraz, nie miałem się lepiej, nigdy niebo nie wydawało mi się piękniejszem, nigdym więcej nie lubił swoich kwiatów.

— Masz jakiś ukryty smutek?

— Ukryty?... bynajmniej, cierpię na nieobecność mego syna, i oto cała moja choroba i wcale jej nie ukrywam.

— Twój syn żyje, panie hrabio, silny, ma przed sobą całą przyszłość ludzi swego rodu i zasług, żyj więc dla niego!...

— Ależ żyje, doktorze! o! bądź spokojnym — dodał ze smutnym uśmiechem — będziemy wiedzieli, jak długo Raoul żyć będzie, bo dopóki on żyje, póty i ja będę żył.

— Co pan mówisz?

— Rzecz bardzo prosta. W tej chwili, doktorze, utrzymuję jeszcze życie w sobie, ale byłoby to nad siły moje prowadzić życie wesołe, zapominające, obojętne, kiedy niema Raoula obok mnie. Nie możesz żądać, aby lampa zapaliła się, kiedy ogień nie dotknął knota; nie żądaj więc, abym i ja żył, wesoło i silnie, jak dawniej. Trwam, przygotowywam się i oczekuję. Słuchaj, doktorze, przypomnij sobie żołnierzy, których nieraz widzieliśmy razem, jak oczekiwali w porcie chwili wsiadania na okręt, leżąc obojętni, z myślą w połowie o jednym, w połowie o drugim żywiole, a nie byli myślą ani na miejscu, dokąd ich morze zanieść miało, ani na miejscu skąd opuszczali ziemię, lecz przygotowani, z natężonym umysłem oczekiwali przyszłości. Powtarzam te słowa, bo są one wiernym obrazem teraźniejszego mojego życia. Leżąc, jak ci żołnierze, z wytężonym na każdy szelest słuchem, chcę być gotów na pierwsze zawołanie. Kto mię zawoła?... czy Bóg, czy Raoul, śmierć lub życie?... jestem gotów duszą i ciałem, i czekam znaku. Czekam, doktorze!... czekam!...

Doktór znając, stanowczy umysł hrabiego, zamyślił się na chwilę, przekonał się, że słowa nic tu nie pomogą, a każde lekarstwo będzie niedorzecznością, odjechał więc, zalecając domownikom aby pana swego ani na chwilę nie opuszczali.

Atos, po odjeździe doktora, nie okazał nic gniewu, ani nieukontentowania, że mu przerwano; nie zalecił nawet, aby mu coprędzej oddawano listy, jakie nadejdą, wiedząc dobrze, że każde rozerwanie myśli, jest dla niego radością, pociechą, jakąby jego domownicy kosztem krwi okupili byleby mu ją sprawić.

Sen rzadkim był u niego.

Atos, myśląc ciągle po kilka godzin, błąkał się w najgłębszych, najciemniejszych marzeniach, które inni wzięliby za przywidzenia senne.

Chwilowy spoczynek, który dawał ciału, dręczył mu duszę, bo Atos w tym obłędzie myśli żył podwójnie.

Pewnej nocy śniło mu się, że Raoul ubierał się w namiocie do bitwy, dowodzonej osobiście przez księcia de Beaufort.

Młodzieniec był smutny i zwolna przypinał zbroję i oręż.

— Co ci jest?... — zapytał go z czułością ojciec?...

— Martwi mię śmierć dobrego naszego przyjaciela Portosa!... — odpowiedział Raoul — cierpię tu tęż samą boleść, jaką i ty tam czujesz!...

I marzenie znikło razem ze snem Atosa.

Zaledwie świtać zaczęło, służący wszedł i oddał hrabiemu list, przybyły z Hiszpanji.

— Pismo Aramisa!... — pomyślał Atos.

I zaczął czytać.

— Portos nie żyje!... — zawołał hrabia, przeczytawszy kilka wierszy. — O Raoulu!... Raoulu!... dziękuję ci!... dotrzymujesz przyrzeczenia!... ostrzegasz mię!...

I Atos, śmiertelnym oblany potem, zemdlał, ze zbytku osłabienia.

CCLXIV

WIDZENIE ATOSA.

Po przejściu omdlenia, Atos, wstydząc się wrażenia, jakie sprawił na nim tak nadnaturalny wypadek, ubrał się i kazał sobie podać konia, postanowiwszy udać się do Blois, aby stamtąd zawiązać pewniejszą korespondencję, bądź z Afryką, bądź z d'Artagnanem lub Aramisem.

List Aramisa opisywał hrabiemu nieszczęśliwe skutki wyprawy do Belle-Isle i zarazem tak szczegółowo opisywał śmierć Portosa, że czułe jego i poświęcające się serce było nawskroś wzruszone.

Atos chciał oddać ostatnie pożegnanie Portosowi.

Ażeby dopełnić hołdu, należnego dawnemu towarzyszowi broni, miał nadzieję, że zawiadamiając o tem d'Artagnana, namówi go do podróży z sobą do Belle-Lsle i dopełni w jego towarzystwie smutnej pielgrzymki do grobu Portosa, którego tak kochali, poczem wróci do domu i tam będzie posłuszny temu tajem-

niczemu wpływowi, prowadzącemu go do wieczności tak skrytemi drogami.

Lecz zaledwie uradowani służący ubrali go, widząc ukontentowanie wyryte na twarzy pana, z zamierzonej podróży, która miała choć w części rozpędzić jego czarne myśli, zaledwie najspokojniejszy koń przyprowadzony został przed ganek, Atos, czując zawrót w głowie i słabnące coraz nogi, przekonał się, że kroku nie będzie mógł zrobić.

Zażądał, aby go wyniesiono na słońce; położono go na ulubionej ławce z darniny, gdzie dobrą przepędził godzinę, zanim cokolwiek sił odzyskał.

Osłabienie to, po przepędzonych tylu dniach bez ruchu, było naturalnem.

Atos zjadł trochę buljonu i umoczył spieczone usta w winie andegaweńskiem, które najlepiej lubił, a o którem wspomniał Portos w swym testamencie.

Wzmocniony trochę i weselszy, kazał sobie podać konia, ale potrzebował pomocy ludzi, i z trudnością wsiadł na niego.

I zaledwie odjechał sto kroków, kiedy jakiś dreszcz go przeszedł.

— To szczególne — rzekł do towarzyszącego mu sługi.

— Zatrzymajmy się!... zaklinam pana!... — rzekł wierny sługa — pan bardzo zbladł.

— Kiedy jużem się wybrał, to pojadę dalej — odpowiedział hrabia.

I pojechał dalej.

Lecz raptem koń zatrzymał się.

Poruszenie którego Atos nie mógł sobie wytłómaczyć; ściągnął cugle.

— Coś chce!.. .abym dalej nie jechał. Przytrzymaj mnie — rzekł, wyciągając ręce — prędko, czuję osłabienie i spadnę z konia.

Służący dostrzegł to, zanim otrzymał rozkaz.

Przybiegł prędko i przytrzymał hrabiego, a, że niedaleko jeszcze byli do zamku, służący pozostali na ganku, i przypatrujący się odjazdowi, spostrzegli to zamieszanie, a wezwani znakiem i głosem służącego, będącego przy Atosie, przybieli z troskliwością.

Zaledwie Atos zbliżył się kilka kroków ku domowi, uczuł się lepiej.

Siły i rzeźkość zdawały się wracać, a razem i chęć pojechania do Blois; zwrócił więc konia, lecz za pierwszym krokiem wpadł w odrętwienie.

—No!... — rzekł do siebie — widocznie mam pozostać w domu.

Ludzie zsadzili go z konia i z troskliwością zanieśli do domu; tam położyli go na przygotowanem łóżku.

— Pamiętajcie — rzekł, przygotowując się do snu — że dziś oczekuję listów z Afryki.

— Syn Błażeja pojechał do Blois konno, ażeby o godzinę pierwej od posłańca zwyczajnego przywieźć listy — rzekł kamerdyner.

— Dziękuję!.. — odpowiedział Atos ze zwykłym uśmiechem dobroci.

Hrabia usnął; sen jego był niespokojny. Czuwający przy nim, widział na jego twarzy piętnujące się wewnętrzne cierpienie. Może mu się śniło coś przykrego.

Dzień przeszedł. Syn Błażeja wrócił, nie było żadnych listów.

Hrabia z rozpaczą liczył minuty i godziny.

Przypuszczenie, że tam o nim zapomniano, okropną w sercu sprawiło mu boleść.

A w domu nie spodziewał się przybycia kurjera, bo godzina, o której tenże przybywał zawsze, dawno już przeszła.

Cztery razy posłaniec jeździł do Blois i nic nie przywiózł dla hrabiego.

Atos wiedział, że kurjer przybywa tylko raz na tydzień.

Miał więc jeszcze ośm dni okropnych przepędzić.

Noc nadeszła przy tem bolesnem jego oczekiwaniu.

Wszystko to, co tylko człowiek chory, wzburzony cierpieniem, dodać może do smutnej rzeczywistości ze smutniejszej jeszcze wyobraźni, wszystko to w myślach Atosa zgromadziło się w pierwszych godzinach tej okropnej nocy.

Gorączka się wzmogła, jak oświadczył lekarz, przywieziony z ostatniej podróży Błażeja do Blois.

Lekarz po dwakroć puścił krew choremu, lecz to osłabiło tylko ciało, pozostawiając całą siłę gorączki w głowie.

Jednakże stopniowo gorączka zmniejszała się i o północy ustąpiła zupełnie.

Doktór, widząc niezaprzeczone polepszenie, wrócił do Blois, zostawiając jakąś receptę i zaręczając, że hrabia jest ocalony.

Atos, wpadł w szczególny, nie dający się opisać stan. Mając myśl wolną, uleciał do Raoula, swego najukochańszego syna.

Wyobraźnia jego przedstawiła mu pola Afryki w bliskości Dżidżeli, te właśnie, na które powinien był z wojskiem wylądować pan de Beaufort.

Były to szare skały, mające na sobie zielonawy kolor wody morskiej, kiedy morze wzburzone wylewało się na nie.

Za temi skałami, podobnemi do mogił, wznosiło się w kształcie amfiteatru, wpośród drzew mastyksu i kaktusów, miasto, pełne dymu, niewyraźnej wrzawy, i dziwacznego w niem ruchu.

Raptem z łona dymu tego buchnął płomień; czołgając się, objął całą powierzchnię mieściny, a coraz zwiększając się, pochłonął ją w swych wirowych zwojach; płacze, krzyki i ręce, wzniesione ku niebu.

Przez chwilę był to okropny chaos, walących się domów, kamieni rozpalonych i upadających od pożaru drzew.

Rzecz dziwna! w tym zamęcie, w którym Atos widział wzniesione do góry ręce, słyszał krzyki, płacz i narzekania, nawet westchnienia, nie dostrzegł nigdzie ludzkiej postaci.

Działa grzmiały, w oddaleniu słychać było strzały ręcznej broni, morze huczało, trzody biegały bezładnie po polach, lecz ani jednego majtka, ani jednego pasterza nie było widać.

Po zniszczeniu mieściny i wałów, ją otaczających, zniszczeniu nadprzyrodzonem, bez udziału w tem żyjącej istoty ludzkiej, płomień zgasł, i tylko dym, wznosząc się, zmniejszał się bladł, a wkońcu zniknął zupełnie.

Noc pokryła ten krajobraz, noc ciemna na ziemi, jasna na niebie; duże i świetne gwiazdy nieba afrykańskiego, jasno błyszczały, oświecając tylko same siebie.

Długa cichość nastąpiła, która na chwilę pozwoliła spocząć wzburzonej wyobraźni Atosa, który czując, że to, co widział nie skończyło się jeszcze, wytężył znów z większą uwagą wzrok duszy na ten szczególny widok, który mu przedstawiała jego wyobraźnia.

Widok ten dla niego trwał dalej.

Księżyc łagodny i jasny, wschodząc z poza gór, oświecił najprzód morze, które się uspokoiło, po wzburzeniu, jakiemu uległo, w widzeniu Atosa, i rozlał swe brylantowe światło na przyległe doliny i krzaki.

Szare skały, jak milczące widziadła, zdawały się, wznosząc zielonawe głowy, przypatrywać przy świetle księżyca polu bitwy, i Atos także dostrzegł, że pole to, zupełnie próżne podczas bitwy, pokryte teraz było niezliczonemi trupami.

Nieopisany dreszcz przestrachu i zgrozy owładnął jego duszą, na widok białych z niebieskiem mundurów żołnierzy pułku Pikardyjskiego, na widok długich dzid z niebieskiemi drzewcami i broni ich, oznaczonej białą lilją.

Zobaczył ziejące rany, zimno patrzące na błękitne niebo, jakby żądały zwrotu dusz, które tam uleciały.

Potem spojrzał na pobite z wydartemi wnętrznościami konie, broczące we krwi już spiekłej, i walające się w niej piękne ich grzywy.

W tem spostrzegł w pierwszym szeregu z potrzaskanym łbem białego konia pana de Beaufort.

Atos powiódł ręką po zimnem czole, dziwiąc się, że ono ogiem nie pała.

Przekonał się tem dotknięciem, że był obecny, nie w gorączce, nazajutrz po bitwie, stoczonej na polu Dżidżeli przez wojsko, tam wysłane, które widział, jak opuszczało Francję i niknęło na widnokręgu, i które pożegnał myślą, na ostatni strzał działa, który książę de Beaufort przesłał jako pożegnanie ojczyźnie.

Kto zdoła odmalować okropne cierpienie, z którem czujna jego dusza jakby bystrem okiem, oglądała każdego trupa, czy w nim nie pozna ukochanego Raoula?

Któż znowu potrafiłby powstrzymać upajającą radość Boską, z jaką Atos ukorzył się przed Bogiem, dziękując mu, że nie znalazł tego, kogo szukał pomiędzy nieżyjącymi?

Wszystkie te bowiem pobite, skrzepłe już ciała, lecz łatwe do rozpoznania, zdawały się z uszanowaniem i uprzejmością zwracać w tym grobowym przeglądzie ku Atosowi, aby lepiej być przez niego widzianemi.

Lecz dziwił się Atos, że widzi trupy, a nie widzi żyjących!

Przyszedł już do tego stopnia złudzenia, że widzenie ono było dlań rzeczywistością, podróżą, przedsięwziętą przez ojca do Afryki, aby otrzymać pewne o synu wiadomości.

To też zmęczony, przebiegając tyle mórz i lądów, starał się spocząć pod jednym z rozbitych namiotów poza skałą, na której wierzchołku powiewała biała choragiew, pokryta kwiatami lilji.

Szukał żołnierza, aby ten zaprowadził go do namiotu księcia de Beaufort. A wówczas kiedy wzrok jego błądził po równinie, spostrzegł białą postać za krzakiem mirtu.

Postać ta miała na sobie mundur oficera; trzymając w ręku złamaną szpadę, zbliżała się zwolna do Atosa, który, zatrzymawszy się i patrząc na nią wytężonym wzrokiem, nie mógł ani mówić, ani się ruszyć, a chciał jednak wyciągnąć ręce, bo w tej milczącej postaci bladej, poznał Raoula.

Hrabia chciał krzyknąć, lecz głos zamarł mu w piersiach.

Raoul, położywszy palec na ustach nakazał mu milczenie i cofał się powoli, chociaż Atos nie dostrzegł nóg jego.

Hrabia drżący i bardziej od syna blady, postępował z trudnością za nim, przez pola, kamieniami zasłane, krzaki i parowy.

Raoul, jakby nie dotykał ziemi, i żadna przeszkoda nie wstrzymywała lekkości jego ruchów.

Hrabia, któremu przeszkody na ziemi wyczerpały siły, zatrzymał się.

Raoul ciągle dawał mu znaki, aby szedł za nim.

Czuły ojciec, któremu miłość sił dodawała, zebrał ostatki sił i wdrapał się na górę za synem, który wzywał go znakami i uśmiechem.

Wkońcu dostał się na wierzchołek góry i spostrzegł na czarnych chmurach, oświeconych światłem księżyca, powietrzne i poetyczne kształty Raoula.

Atos wyciągnął rękę, aby zbliżyć się do ukochanego dziecięcia, a Raoul także podawał mu rękę, lecz zarazem jakby mimowolnie ciągnięty, cofał się ciągle, opuszczał ziemię i Atos spostrzegł pomiędzy ziemią i postacią syna błyszczące niebo.

Raoul, wznosząc się ciągle ku niebu, wzywał go znakami i uśmiechem.

Atos wydał okrzyk przerażonej miłości i spojrzał na dół; spostrzegł zniszczony obóz i jakby białe trupy wojsk królewskich.

A potem, podnosząc głowę, widział ciągle syna, wznoszącego się i wzywającego go ku sobie.

CCLXV

ANIOŁ ŚMIERCI.

Atos widział to właśnie, kiedy złudzenie przerwane zostało mocnym hałasem, pochodzącym od strony drzwi wchodowych.

Słychać było po stwardniałej ziemi galopującego konia, odgłos żywej rozmowy doszedł aż do pokoju, gdzie hrabia marzył.

Atos nie ruszył się z miejsca, zaledwie tylko zwrócił ku drzwiom głowę, aby prędzej dowiedzieć się o przyczynie tego zgiełku.

Ciężkiemi krokami zbliżał się ktoś do pokoju Atosa.

Drzwi się otworzyły i Atos głosem słabym rzekł:

— Zapewne kurjer z Afryki?...

— Nie, panie hrabio — odezwał się głos, na który Atos zadrżał.

— Grimaud — szepnął do siebie.

Pot wielkiemi kroplami spływał mu po wynędzniałej twarzy.

Grimaud pokazał się we drzwiach.

Nie był to już ten sam Grimaud, rześki, z odwagą i poświęceniem, któregośmy widzieli jak wskakiwał do łodzi, mającej prze wieźć Bragellona do okrętu królewskiego.

Był to surowego oblicza wybladły starzec; suknie miał, kurzem okryte, rzadkie włosy ubielone wiekiem w nieładzie.

Drżąc opierał się o ramę drzwi, i ledwie nie zemdlał, spostrzegłszy przy bladem świetle lampy twarz swego pana.

Dwaj ci ludzie, którzy tyle czasów przeżyli wspólnie, których oczy, przywykłe do oszczędzania wyrazów, potrafiły zawsze objaśnić sobie tyle rzeczy; dwaj ci starzy przyjaciele, równi co do szlachetności, chociaż, nierówni mieniem i urodzeniem, zdrętwieli, patrząc na siebie.

Jednym bowiem rzutem oka zgłębili wzajemnie swe serca.

Na twarzy Grimauda wyryty był ślad zadawnionego cierpienia, zdawało się, że tylko jedna smutna myśl zalega cały jego umysł.

Jak niegdyś przyzwyczaił się nie mówić nic, tak teraz nie uśmiechał się nawet.

Atos jednem spojrzeniem wyczytał wszystkie te odcienie na twarzy Grimauda i tym samym głosem jakiegoby użył, mówiąc do Raoula w swem marzeniu, rzekł:

— Grimaud, Raoul umarł?... nieprawdaż?

— Tak!... — rzekł starzec, wyrywając prawie tę jedną sylabę ze zbolałych piersi.

Wtenczas głośny płacz powstał między obecnymi i napełnił żalem i modlitwą pokój, w którym konający ojciec, szukał oczyma portretu syna swego.

Było to dla niego przejściem, wracającem go do marzeń.

Bez krzyku, bez wylania jednej zły, cierpliwie i z poddaniem się, jak męczennik, wzniósł oczy ku niebu, aby na nowo ujrzeć nad górami Dżidżeli, ukochany cień, który oddalił się od niego za wejściem Grimauda.

Bezwątpienia, patrząc w niebo i wracając do cudownego widzenia, przebiegł myślą na nowo tęż samą drogę, którą widzenie, tak straszne i tak słodkie zarazem, wprzód go prowadziło, bo, mając przedtem nawpół przymknięte oczy, otworzył je teraz zupełnie i uśmiechnął się; zapewne spostrzegł Raoula, również doń się uśmiechającego.

Z rękami, złożonemi na piersiach, z twarzą, ku oknu zwróconą, przez które świeżość nocy przynosiła mu zapach kwiatów, Atos pogrążył się, aby już z niego nie wyjśc więcej, w rozpamiętywaniu raju Boskiego, którego żyjący nigdy nie widzą.

Bóg chciał zapewne otworzyć temu wybranemu skarby wiecznej szczęśliwości, w chwili, w której inni ludzie drżą z bojaźni przyszłego życia, które dostrzegają przy grobowej pochodni śmierci, i całemi siłami przywiązują się do życia doczesnego, chociaż dobrze im znanego.

Atos prowadzony był przez czystą duszę swego syna, która była cząstką duszy ojca; wszystko dla tego sprawiedliwego męża było harmonją niebiańską w przykrej drodze, jaką przebywają dusze wracając do swej ojczyzny w niebie.

Po godzinie takiego zachwytu, Atos wzniósł do góry białe i wychudłe ręce i z uśmiechem, który nie opuścił ust jego, wymówił zaledwie dosłyszalnym głosem te dwa słowa, odpowiadając na wezwanie boskie, czy Raoula.

— "Oto jestem!"

I ręce jego wolno opadły na łóżko.

Śmierć tego szlachetnego człowieka lekką była i spokojną.

Oszczędziła mu okropnych mąk konania; otworzyła łaskawą ręką drzwi wieczności dla tej wielkiej duszy, godnej łask nieba. Bóg to zapewne rozkazał dlatego, aby wspomnienie tej pobożnej śmierci pozostało wyryte w pamięci obecnych i innych ludzi, wskazując im, jak łatwem jest przejście z jednego do drugiego życia dla tych, którzy nie lękają się ostatecznego sądu.

Atos, po śmierci nawet, zachował spokojny uśmiech, jako ozdobę, towarzyszącą mu do grobu.

A spokój ten i uśmiech, pogoda i szczęście, po całej rozlane twarzy, długo kazały przywiązanym doń sługom wątpić o jego śmierci.

Obecni chcieli wyprowadzić Grimauda, stojącego opodal i pożerającego wzrokiem bladnącą twarz swego pana, a niezbliżającego się doń z bojaźni, aby mu nie przyspieszyć śmierci.

Ale jakkolwiek zmęczony był, nie chciał oddalić się; usiadł tylko na progu, pilnując swego pana z czujnością straży, aby otrzymać przy jego obudzeniu się pierwsze spojrzenie lub ostatnie westchnienie śmierci.

Wszystko ucichło w domu, aby nie przerywać snu hrabiego.

Ale Grimaud wytężywszy słuch, przekonał się, że hrabia nie oddycha.

Podniósł się i, opierając się rękami o podłogę, patrzał, czy choć najmniejsze drgnienie nie poruszy ciałem hrabiego.

Ale nie! przeląkł się, powstał zupełnie, a w tej chwili usłyszał kroki na schodach; brzęk ostróg i szpady wstrzymał go idącego do łóżka hrabiego.

I głos silny i dźwięczny odezwał się o trzy kroki od niego.

— Atos!... Atos!... mój przyjacielu!... — wołał głos, aż do łez wzruszony.

— Panie d'Artagnan!... — wyjąknął Grimaud.

— Gdzież on jest?... — mówił dalej muszkieter.

Grimaud, kościstemi palcami, chwytając go za rękę, wskazał łóżko, na którem leżał trup hrabiego.

Przerywane westchnienia i łzy napełniły pierś d'Artagnana.

Z sercem rozdartem, drżący, na palcach, lękając się odgłosu własnych kroków, zbliżył się do łóżka.

Przyłożył ucho do serca Atosa, twarz do twarzy hrabiego; najmniejszego oddechu.

D'Artagnan cofnął się.

Grimaud śledził go oczyma, każdy z ruchów d'Artagnana był dlań objaśnieniem; usiadł bojaźliwie przy łóżku, i przylgnął ustami do kołdry, którą uniosły trochę skrzepłe już nogi jego pana.

Strumień łez potoczył się z zaczerwienionych jego oczu.

I starzec pochylony, płaczący z rozpaczy, bez wymówienia jednego słowa, przedstawił d'Artagnanowi najbardziej wzruszający widok, jaki kiedy w swojem, pełnem wzruszeń życiu, mógł napotkać.

Kapitan stał, wpatrując się w tę twarz uśmiechającą się tak, jakby ostatnią myślą jej było, nawet po śmierci, mile przyjąć człowieka, którego po Raoulu najwięcej kochał na świecie, i d'Artagnan, jakby odpowiadając na tak uprzejmą gościnność, ucałował czoło Atosa i drżącą ręka zamknął mu oczy.

Potem bez obawy usiadł przy śmiertelnych zwłokach tego, który mu przez lat 35 był tak miłym, i z rozrzewnieniem przechodził myślą wspomnienia, które szlachetna twarz hrabiego tłumem mu naprowadzała, jedne miłe, kwitnące, jak jego uśmiech, drugie ponure, zimne, jak twarz z zamkniętemi na wieki oczyma.

Żal ścisnął mu serce, a nie będąc panem wzruszenia, powstał i, spiesznie wychodząc z pokoju, gdzie nieżywego zastał tego, któremu chciał donieść o śmierci Portosa, tak gorzko zaczął płakać, że słudzy, którzy jakby tylko oczekiwali wybuchu boleści, odpowiedzieli na to głośnemi i rozpaczliwemi narzekaniami, a psy hrabiego żałosnem wyciem.

Grimauda tylko głosu nie było słychać; nawet w przystępie najwyższego żalu, nie śmiał uwłaczać śmierci, ani po raz pierwszy w życiu, przerwać snu swego pana.

Zresztą, Atos przyzwyczaił go do milczenia.

Świtać zaczęło, kiedy d'Artagnan, chodząc po pokoju na dole i gryząc pięście, aby przytłumić westchnienia, raz jeszcze poszedł na górę, czekając chwili kiedy Grimaud zwróci się ku niemu, dał znak, aby zbliżył się doń, co wierny sługa uczynił, lecz tak jak cień cicho.

D'Artagnan w towarzystwie Grimauda zeszedł nadół.

A będąc już w sieni, rzekł, biorąc za rękę starca:

— Grimaudzie!... widziałem, jak umarł ojciec, teraz powiedz mi, jak umarł syn...

Grimaud wyciągnął z zanadrza ogromny list, na którego kopercie był adres do Atosa.

D'Artagnan poznał pismo pana de Beaufort, odpieczętował je i zaczął czytać przy pierwszem świetle dnia, szerokiemi krokami chodząc po kasztanowej alei, zdeptanej widzialnymi jeszcze śladami hrabiego, dziś już nieżyjącego.

CCLXVI

WIADOMOŚĆ.

Książę de Beaufort pisał do Atosa. List, przeznaczony dla żyjącego, przybył do trupa. Bóg zmienił adres.

— "Kochany hrabio! — pisał książe wielkiemi, jak niewprawny uczeń, literami — wpośród wielkiego triumfu wielkie dotknęło nas nieszczęście.

Król stracił najwaleczniejszego żołnierza: ja przyjaciela, a ty straciłeś pana Bragellona.

Umarł chwalebnie i tak chwalebnie, że nie mam siły, abym mógł, tak, jakbym chciał, opłakiwać go.

Przyjm smutne me powinszowanie, kochany hrabio!... Bóg udziela nam boleści, według wielkości serc naszych. Tak, jest ona niezmierną, lecz nie silniejszą od twej odwagi."

Twój dobry przyjaciel

Książę de Beaufort."

Do listu tego dodany był szczegółowy opis, skreślony przez jednego z sekretarzy księcia.

Było to wzruszające opowiadanie, prawdziwie smutnego wypadku, które kończyło się śmiercią dwóch ludzi.

D'Artagnan, przywykły do wzruszeń bitwy, i uzbroiwszy serce przeciw rozczuleniu, nie mógł jednakże nie zadrżeć, wyczytując imię Raoula, imię ukochanego dziecięcia, które tak jak i jego ojciec było już tylko cieniem.

— Rano, — pisał sekretarz księcia, — Jaśnie Oświecony Pan nakazał ogólny atak. Pułki Pikardji i Normandji, zajęły pozycję pomiędzy szaremi skałami, na których pochyłości wznosiły się szańce Dżidżeli.

— Wystrzał działowy rozpoczął bitwę. Pułki, mając broń do ataku, szły naprzód z odwagą, książę z rezerwą postępował, bacząc na wszystko, aby w potrzebie wzmocnić natarcie.

— Obok księcia byli najstarsi dowódzcy, jego adjutanci, i pan wicehrabia de Bragellone, który otrzymał rozkaz nie opuszczania ani na chwilę Jego Wysokości.

Tymczasem działa nieprzyjacielskie, które z początku strzelały do ogólnej masy wojska, lepiej skierowały ogień, a kule, lepiej celowane, zabiły kilku ludzi koło księcia. Pułki, idąc w kolumnach ku szańcom, także ucierpiały trochę, a nadto widząc niekorzystne działanie naszej artylerji, zachwiały się.

I w istocie, baterje, które w wigilję bitwy usypano, nie odpowiadały celowi, gdyż strzelając z góry na dół nie mogły działać korzystnie.

— Książę, widząc zły skutek dział oblężniczych rozkazał fregatom, stojącym na kotwicy w przystani, rozpocząć silny ogień przeciw twierdzy.

— Pan de Bragellone chciał zanieść ten rozkaz, lecz książę sprzeciwił się temu.

— Książę miał słuszność, kochał bowiem i chciał oszczędzić młodziana, a wypadek sprawdził jego przewidywanie i odmowę, gdyż zaledwie podoficer, którego Jego Wysokość w miejsce pana de Bragellone wysłał, przybył nad brzeg morza, został trafiony dwoma wystrzałami z dział nieprzyjacielskich i padł trupem na mokry piasek.

Co widząc pan de Bragellone uśmiechnął się do księcia, który mu rzekł:

— Patrz, wicehrabio, ocaliłem ci życie, powiedz o tem później hrabiemu de La Fere, ażeby, dowiadując się o tem z ust twoich, był mi wdzięcznym!

Młodzieniec roześmiał się smutnie i odpowiedział księciu!

— To pewne, Jaśnie Oświecony Panie, że, gdy by nie twoja życzliwośc, byłbym tam zabity, gdzie leży ten podoficer, zupełnie już spokojny.

Pan de Bragellone wyrzekł to takim tonem, że książę odezwał się z żywością:

Na Boga, młodzieńcze!... mówisz to jakbyś do tego tęsknił, ale na duszę Henryka IV, przyrzekłem twemu ojcu zwrócić cię żywego, i jeżeli się Bogu podoba, dotrzymam tego przyrzeczenia.

Pan de Bragellone zarumienił się — i rzekł ciszej:

— Przebacz mi, Jaśnie Oświecony Panie, błagam cię o to, że mam chęć ciągłą znajdowania się w ogniu, gdyż jakże to miło odznaczyć się w oczach swego generała, a nadewszystko kiedy tym generałem jest książę de Beaufort.

— Książę ułagodził się trochę i, zwróciwszy się do oficerów, stojących wkoło niego, dawał im rozmaite zlecenia.

— Grenadjerzy dwóch pułków przybyli blisko fosy i rzucili granaty, które dały rezultat.

— Tymczasem pan d'Estrees, dowódzca floty, widząc usiłowania podoficera, zbliżającego się do okrętów, domyślił się, o co rzecz idzie, i silny rozpoczął ogień.

— Wówczas Arabowie, widząc, że są wzięci we dwa ognie, widząc walące się mury, wydawali przeraźliwe okrzyki.

— Jeźdźcy ich w całym pędzie rzucili się na naszą piechotę, lecz odepchnięci przez nią, z wściekłością zwrócili się ku głównemu sztabowi, który w tej chwili wcale nie był broniony.

— Niebezpieczeństwo było wielkie!

Sam książę dobył szpady, a znajdujący się przy nim oficerowie rozpoczęli z tymi szaleńcami bitwę.

— Tu pan de Bragellone mógł zaspokoić chęć, jaką okazywał od początku bitwy, bo walczył obok księcia z nadzwyczajną odwagą; własną ręką zabił trzech Arabów.

— Widocznem wszakże było, że odwaga jego nie pochodzi z właściwej dumy walczących. Gwałtowną była, przymuszoną, nawet udaną, i starał się upoić siebie widokiem rzezi.

— Tak się zapalił, że aż książę rozkazał mu, aby się powstrzymał!

— Musiał zapewne usłyszeć głos księcia, gdyż my, będąc obok niego również słyszeliśmy.

Jednakże nie zatrzymał się i pędził ciągle ku szańcom.

— A że pan Bragellone zawsze był uległy, nieposłuszeństwo to zadziwiło wszystkich, i książę de Beaufort zawołał znowu:

— Zatrzymaj się Bragellone! dokąd lecisz? zatrzymaj się! rozkazuję ci!

— Na ten rozkaz, myśleliśmy, że pan de Bragellone powróci, ale gdzie tam! pędził ciągle ku okopom.

— Zatrzymaj się Bragellone — zawołał książę, jak mógł najgłośniej — zatrzymaj się!... w imię ojca twojego!

— Na te słowa pan de Bragellone odwrócił się, twarz jego

wyrażała mocną boleść, lecz nie zatrzymał się, i wówczas sądziliśmy, że go koń uniósł.

— Kiedy książę spostrzegł, że pan de Bragellone nie był panem swego konia i, że przebył już pierwszą linję żołnierzy, zawołał:

— Muszkieterowie, konia pod nim zabijcie!... sto pistolów dam temu, kto tego dokaże.

— Ale nikt nie odważył się tego uczynić. Nakoniec wysunął się jeden, a był to doskonały strzelec, z pułku gwardji nazwiskiem Luxerne, który wziąwszy na cel konia, przestrzelił mu grzbiet, gdyż na białej jego sierści, pokazała się krew lecz szalony koń, zamiast upaść, jeszcze bardziej pędził.

— Cały pułk Pikardji, widząc młodzieńca lecącego na śmierć oczywistą, krzyczał, co miał siły:

— Rzuć się na ziemię, panie wicehrabio!...

— Pan de Bragellone był bardzo lubiany przez wszystkich.

— Wicehrabia przybył do opoków na wystrzał pistoletowy, a wówczas strzał ręcznej broni z twierdzy okrył go chmurą dymu. Straciliśmy go z oczu, lecz kiedy dym ustąpił, dostrzegliśmy go, idącego piechotą, koń bowiem był zabity.

— Arabowie wezwali wicehrabiego, aby się poddał, lecz ten, dając im poruszeniem głowy znak odmowy, szedł dalej ku okopom.

— Była to najwyższa nieroztropność. Lecz kiedy nieszczęście zaprowadziło go tak blisko, całe wojsko było mu wdzięczne za ten zaszczyt.

Uszedł jeszcze kilka krokłw, a oba pułki klaskały w ręce

— Znowu zatrzęsły się mury od powtórnego wystrzału, wicehrabia de Bragellone znikł w tumanie dymu, a gdy się dym rozwiał, już się Bragellone nie podniósł, leżał rozciągnięty na zie mi.

Arabowie już mieli wyjść z okopów, aby zabrać ciało jego lub uciąć głowę, według ich barbarzyńskiego zwyczaju.

— Lecz książe de Beaufort, patrząc z boleścią na ten wypadek i widząc Arabów, biegnących dla porwania ciała, krzyknął:

— Grenadjerowie!... czy pozwolicie zabrać to szlachetne ciało?

— I, dobywając szpady, poskoczył sam ku nieprzyjacielom z okrzykiem, również strasznym, o ile okrzyk ich był dziki.

— Tak zacięta bitwa wszczęła się przy ciele pana de Bragellone, że sześćdziesięciu Arabów padło trupem obok pięćdziesięciu naszych.

— Porucznik pułku Normandzkiego porwawszy ciało Bragellona, wrócił z niem do nas szczęśliwie.

— Korzystnie nateraz rozpoczętą bitwę poparły rezerwy i wkrótce szańce zostały zdobyte.

— O godzinie trzeciej ogień Arabów ucichł, bitwa bronią sieczną trwała dwie godziny, była to rzeź prawdziwa.

— O godzinie piątej, na wszystkich punktach byliśmy zwycięzcami, nieprzyjaciel opuścił stanowisko, a książę kazał na najwyższem wzgórzu zatknąć białą chorągiew.

— Wówczas pomyślano o panu de Bragellone, mającym ośm ran, z których krew uszła prawie zupełnie.

— Jednakże oddychał jeszcze, co niezmiernie uradowało księcia, który obecnym był przy pierwszem opatrzeniu ran jego i naradzie lekarzy.

— Dwóch z nich ręczyło za jego życie. Książę uściskał ich serdecznie, obiecując każdemu, jeżeli go wyleczą, po tysiąc luidorów.

— Wicehrabia słyszał to uniesienie radości, i czy był tem zrozpaczony, czy też cierpiał mocno z ran, twarz jego nabrała wyrazu jakby bólu, że mu się sprzeciwiano, i to dużo dało do myślenia.

— Trzeci przybyły lekarz był to brat Sylwester, zakonnik, najbieglejszy ze wszystkich; obejrzał rany i zamilkł.

— Pan de Bragellone otworzył osłupiałe oczy, jakby usłyszeć albo wyczytać chciał z twarzy zdanie uczonego doktora.

— Ten, zapytany przez księcia, odpowiedział, że z ośmiu ran trzy są prawie śmiertelne, ale ufny w miłosierdzie boskie i siłną młodość chorego ma nadzieję, że wyjdzie szczęśliwie, jeżeli najmniejszego nie uczyni poruszenia.

— Brat Sylwester, obracając się do felczerów, dodał:

— Nadewszystko ani go palcem nie ruszcie, bo skona.

— Wyszliśmy wszyscy, cokolwiek pocieszeni.

— Sekretarz, wychodząc spostrzegł smutny uśmiech na ustach wicehrabiego, kiedy książę wyrzekł do niego z czułością:

— O! ocalimy cię, wicehrabio!

— Lecz w wieczór, kiedy mniemano, że chory obudził się już, jeden z chirurgów wszedł do namiotu jego i natychmiast wybiegł, krzycząc przeraźliwie.

— Wszyscyśmy przybiegli wraz z księciem, i ujrzeliśmy ciało Bragellona na ziemi, z łóżka ściągnięte i broczące w resztce krwi, jaka w niem była jeszcze.

— Prawdopodobnie, konwulsyjny ruch, zrzucił go z łóżka, a upadek ten spowodował śmierć, przepowiedzianą przez brata Sylwestra.

— Podniesiono wicehrabiego już nieżywego i zimnego; w prawym ręku trzymał promień jasnych włosów i ręka ta przyciśnięta była do serca.

Tu następowały szczegóły o nowem odniesionem zwycięstwie nad Arabami.

D'Artagnan zatrzymał się, po przeczytaniu szczegółów śmierci biednego Raoula.

— Och!... szepnął — nieszczęśliwe dziecię!... samobójstwo!...

I, zwracając wzrok ku pokojowi, gdzie Atos spoczywał snem wiecznym, rzekł zcicha:

— Dotrzymali sobie słowa!... Teraz zapewne są szczęśliwi!... bo się połączyli!...

Dziedziniec i ulice napełniać się zaczęły zasmuconymi sąsiadami, którzy, przygotowując pogrzeb opowiadali sobie to podwójne nieszczęście.

CCLVII

OSTATNI ŚPIEW POETY.

Nazajutrz szlachta okoliczna i prawie ze wszystkich stron, gdzie tylko doszła ta smutna wiadomość, zgromadziła się licznie.

D'Artagnan zamknął się, nie chcąc się z nikim widzieć.

Te dwie śmierci, tak dla niego bolesne, które nastąpiły wkrótce po śmierci Portosa, na długo przywaliły ciężarem cierpienia niczem dotąd niedręczony umysł; wyjąwszy Grimauda, który wszedł do jego pokoju, nikogo więcej nie widział.

Po przyspieszonym ruchu domowników, przechodzących z pokoju do pokoju, domyślił się przygotowań do pogrzebu.

Napisał do króla, prosząc o przedłużenie urlopu.

Grimaud, wszedłszy do pokoju d'Artagnana, usiadł przy drzwiach na ławce, jak człowiek, głęboko się namyślający, poczem wstał, dając znak d'Artagnanowi, aby poszedł za nim.

Ten uczynił to w milczeniu.

Grimaud, wszedłszy do pokoju sypialnego hrabiego, wskazał kapitanowi próżne łóżko i wymownie wzniósł oczy ku niebu!

— Tak!... — odpowiedział d'Artagnan — mój dobry Grimaud, już on jest przy synu, którego tak kochał.

Grimaud z tego pokoju udał się do sali, gdzie podług zwyczaju miejscowego, trumna z ciałem ustawiona była przed pogrzebem na katafalku.

D'Artagnan zdziwił się, widząc tam dwie trumny otwarte, zbliżył się do nich i spostrzegł w jednej z nich Atosa, pięknego nawet po śmierci, a w drugiej Raoula, z zamkniętemi oczami, bladą twarzą i uśmiechem na zsiniałych ustach.

Zadrżał, widząc, że ciała ojca i syna, których dusze uleciały, przedstawiają dwa trupy, niezdolne połączyć się, choć tak blisko były siebie.

— Raoul tutaj! a Grimaud, niceś mi o tem nie mówił?

Grimaud kiwnął głową, lecz nic nie odpowiedział, a biorąc d'Artagnana za rękę i, przyprowadziwszy go do trumny Raoula, pokazał mu zczerniałe rany, przez które uleciało zapewne jego życie.

Kapitan odwrócił oczy od tak bolesnego widoku i, wiedząc dobrze, że zapytany Grimaud nic nie odpowie, przypomniał sobie, że sekretarz księcia więcej napisał, niż on miał odwagę czytać.

Wracając więc do opisu bitwy, którą Raoul okupił życiem, napotkał wkońcu następujące wyrazy.

— Książę rozkazał, aby ciało pana de Bragellona było balsamowane, jak to jest zwyczajem u Arabów, chcących, aby ich ciała spoczywały w ziemi rodzinnej. Książę również kazał urządzić przeprzęgi, ażeby człowiek który wychował wicehrabiego, mógł zawieźć ciało jego do hrabiego de La Fere.

— A więc!... — pomyślał d'Artagnan — ja stary, niepotrzebny nikomu na świecie, pójdę za twoją trumną, moje dziecię ukochane, i przysypię garścią ziemi czoło, które przed dwoma miesiącami ściskałem w mych objęciach. Bóg tak chciał i

tyś tego żądał. Nie mam prawa płakać nawet po tobie, gdyż sam obrałeś śmierć, która zdawała się mieć więcej ceny dla ciebie, niż życie!

Zbliżyła się nakoniec chwila, w której zimne te zwłoki oddane być miały ziemi.

Taki był natłok ludu, że droga od zamku aż do dość odległego cmentarza zawalona była pieszymi i jeźdźcami.

Atos oddawna wybrał na tym cmentarzu miejsce na swój ostatni spoczynek i wybudował tam kaplicę z kamieni, sprowadzonych z Berry, z rozwalin zamku — gdzie upłynęła jego młodość — z wyrytym na nich rokiem 1550.

Kaplica ta otoczona była topolami i jaworami. W każdą niedzielę odprawiało się tam nabożeństwo przez proboszcza sąsiedniego miasteczka, któremu Atos płacił za to rocznie 200 liwrów, i wszyscy jego poddani i słudzy, w liczbie około czterystu, z żonami i familjami, słuchali tam mszy, nie mając potrzeby udawać się do miasta.

Za tą kaplicą, pomiędzy gęsto rosnącym żywym płotem z rozmaitych drzew, otoczonym głębokim rowem, zostawione było próżne miejsce, porosłe mnóstwem dzikich kwiatów; tam z pod dużego kasztana, wypływało źródło, do wanny marmurowej; mnóstwo pszczół, szukających tu pożywienia, wesoło brzęczało, a ptactwo wesoło śpiewało.

Tam złożono, pośród mnóstwa płaczących, dwie trumny w świeżo wykopaną mogiłę.

Po skończeniu nabożeństwa i po ostatniem pożegnaniu umarłych, wszyscy obecni rozeszli się rozmawiając przez drogę o pięknych i szlachetnych cnotach ojca i nadziejach, jakie wzbudzał syn, tak smutnie zgasły na brzegach Afryki.

Powoli wszystko ucichło, duchowny po raz ostatni pobłogosławił groby i wrócił zwolna do plebanji.

D'Artagnan, pozostawszy sam jeden, spostrzegł, że już noc nadeszła.

Myśląc o umarłych zapomniał o godzinie.

Powstał więc z ławki, na której siedział w kaplicy, i poszedł pożegnać podwójną mogiłę, pod którą spoczywali zmarli jego przyjaciele.

Na mogile spostrzegł klęczącą kobietę.

Zatrzymał się więc na progu kaplicy, ażeby jej modłom nie przeszkodzić, a zarazem chciał przekonać się, co to za pobożna przyjaciółka dopełnia tego świętego obowiązku.

Nieznajoma kryła twarz w dłoniach, białych jak alabaster. Po szlachetnie skromnem ubraniu poznać można było kobietę z wyższego towarzystwa.

Zewnątrz podróżna kareta i kilku jezdnych oczekiwało na nią.

D'Artagnan nie mógł zgadnąć, co ją tak opóźniało.

Modliła się, ocierając często twarz chustką. D'Artagnan domyślił się, że płakała.

Widział bijącą się w piersi, jak prawdziwie pobożną chrześcijankę i usłyszał wymykające się po kilkakróć ze zranionego serca te wyrazy: "Przebacz! przebacz!"

A, że boleść jej była tak silną, wpośród płaczu i modłów, iż jakby upadała pod tym wysiłkiem, d'Artagnan, przez przychylność ku zgasłym swym przyjaciołom, postąpił kilka kroków ku grobowcowi, ażeby przerwać tę szczególną rozmowę pokutnicy z umarłymi.

Lecz zaledwie kroki jego dały się słyszeć, nieznajoma podniosła głowę i ukazała d'Artagnanowi zalaną łzami, lecz znaną mu twarz.

Była to panna de La Valliere.

— Pan d'Artagnan! — szepnęła.

— Pani tutaj? — rzekł kapitan ponurym głosem — o! pani! wolałbym był widzieć cię w mieszkaniu hrabiego de La Fere, przystrojoną w kwiaty, a wtedy pani, on i ja, daleko byśmy mniej płakali.

— Panie!... — rzekła płacząc.

— Boś to ty, pani! ty! — rzekł nieubłagany przyjaciel zmarłych — wpędziła ich obydwóch do grobu!

— O! oszczędź mię pan!

— Niechże Bóg broni, abym miał uwłaczać kobiecie, lub łzy jej wyciskać napróżno; ale powinienem ci, pani, powiedzieć, że miejsce mordercy nie jest na grobie jego ofiar.

Chciała mu odpowiedzieć.

— To, co tu mówię — rzekł zimno — toż samo powiedziałbym królowi.

— Wiem, iż jestem powodem śmierci pana de Bragellone — rzekła.

— A! wiesz to pani!

— Wczoraj wiadomość ta przyszła do dworu. Dziś od godziny drugiej rano przejechałam 20 mil, aby prosić hrabiego o przebaczenie, mniemając, że on jeszcze żyje, i błagać Boga na grobie Raoula, by zesłał na mnie wszystkie nieszczęścia, prócz jednego. — A teraz wiem, że śmierć syna zabiła ojca, dwie mam ja zbrodnie do wyrzucenia sobie, i podwójnej też od Boga oczekuję kary.

— Powtórzę pani to — rzekł d'Artagnan — co mi o tobie w Antibes powiedział pan de Bragellone, myśląc już wówczas o śmierci:

"Jeżeli duma i zalotność wciągnęły ją do tego, przebaczam jej, pogardzając. Jeżeli zaś miłość tylko była powodem jej upadku, przebaczam jej również, przysięgając, że niktby jej mocniej nademnie nie kochał."

— Wiesz pan — przerwała mu Ludwika — że dla miłości gotowa byłam poświęcić siebie, wiesz, com cierpiała, kiedyś mię spotkał zbłąkaną, opuszczoną, umierającą.

Nigdy odtąd tak, jak dziś nie cierpiałam, wówczas jeszcze pragnęłam i miałam nadzieję, dziś nic mi do życzenia nie pozostaje, śmierć bowiem pochłonęła całe me szczęście i złożyła w tym grobie. Bo ja nie umiem kochać bez wyrzutów sumienia, a ten którego kocham, czuję to, i słuszne to zupełnie, że odda mi też same męki i cierpienia, jakie inni dla mnie ponieśli.

D'Artagnan milczał, czuł bowiem dobrze, że się nie myliła.

— A więc, kochany panie d'Artagnan, zaklinam cię, nie obarczaj mię wyrzutami, jestem jak gałąź, od pnia oderwana, nic mię nie wiąże na tym świecie idę dokąd potok unosi mię z sobą, nie widząc sama.

Kocham zapamiętale, kocham do tego stopnia, że śmiem ci to mówić, bezbożna, na grobie tego nieszczęśliwego, i nie rumienię się wcale i nie czuję wyrzutów sumienia.

Miłość ta jest moją religją. Ale kiedy później, ujrzysz mnie samą, zapomnianą, wzgardzoną, kiedy zobaczysz mię ukaraną za to, za co dziś masz prawo ukarać mię, teraz oszczędź mię w moim chwilowem szczęściu, zostaw mi jeszcze ono przez kilka dni, przez kilka minut.

Już może ono nie istnieje w chwili, w której ci to mówię. O mój Boże! ja może już to podwójne morderstwo odpokutowałam.

Jeszcze mówił, kiedy głos rozmawiających ludzi i tentent koni obił się o uszy d'Artagnan.

Pan de Saint-Agnan szukał panny La Valliere, z rozkazu króla, którego, jak mówił, trawiła zazdrość i niepokój.

Saint-Agnan nie widział d'Artagnana, okrytego cieniem drzew, padającym na groby.

Ludwika podziękowała mu i pożegnała ręką.

Wyszedł więc za ogrodzenie.

— Widzisz pani!... — rzekł kapitan z goryczą — że szczęście jej jeszcze istnieje.

La Valliere, przybrawszy poważną postać, rzekła:

— Przyjdzie czas, w którym żałować będziesz, żeś mię tak źle ocenił. Tego dnia prosić będę Boga, aby ci przebaczył, żeś był względem mnie niesprawiedliwym. A zresztą tak będę mocno cierpieć, że będziesz jednym z pierwszych, co żałować mnie będą. Tego szczęścia nie wyrzucaj mi, panie d'Artagnan, drogo mnie ono kosztuje, i nie wypłaciłam jeszcze za nie całego długu.

To mówiąc, uklękła raz jeszcze i rzekła z rozrzewnieniem:

— Przebacz mi!... po raz ostatni, Raoulu, mój narzeczony. Zerwałam łańcuch, łączący nas, i oboje przeznaczeni jesteśmy umrzeć z rozpaczy. Tyś pierwszy skończył, ale nie bój się, wkrótce pójdę za tobą. Zważ jednak, że nie jestem nikczemną i żem sama przybyła aby pożegnać cię!... Bóg mi jest świadkiem, Raoulu, że, gdyby życie moje potrzebnem ci było do szczęścia, chętniejbym je oddała. Ale nie mogłam ci dać miłości. Przebacz mi więc! ten raz jeszcze proszę cię o to.

Ułamała gałązkę i zatknęła ją na grobie, potem, otarłszy oczy, ukłoniła się d'Artagnanowi.

Kapitan patrzył na odjeżdżające powozy, i konnych, potem, krzyżując ręce na wzdętych piersiach, rzekł głosem wzruszonym:

— Kiedyż nadejdzie czas mojej podróży?... Czegóż człowiek może żądać jeszcze po młodości, miłości, chwale, przyjaźni, sile i bogactwach?... Skał, pod któremi spoczywa Portos, co wszystko to posiadał, albo mchu tego, pod którym spoczywają Atos i Raoul, co więcej jeszcze posiadali.

Chwilę stał niepewny z okiem osłupiałem, potem nagle prostując się, rzekł:

— Idźmy jednak zawsze naprzód. Kiedy czas nadejdzie, Bóg zawiadomi mię o nim, jak zawiadomił innych.

Dotknął palcami zroszonej ziemi, przeżegnał się jakby wodą święconą i ruszył sam, sam na wieki, drogą do Paryża.

EPILOG

We cztery lata po zdarzeniu, któreśmy tu opisali, dwóch jeźdźców przejeżdżając przez Blois, na przyległych polach, przedzielonych Loarą, dotykających z jednej strony do Meung, z drugiej do Ambosse, urządzało dla króla polowanie.

Byli to: nadzorca myśliwstwa i sokolnik, urzędnicy królewscy, wielce słynni za czasów Ludwika XIII-go, lecz cokolwiek zaniedbani pod jego następcą.

Dwaj ci jeźdźcy, po rozpoznaniu miejsca, wracali, kiedy spostrzegli małe oddziały wojska, gdzieniegdzie przez podoficerów rozstawione.

Żołnierze ci, byli to muszkieterowie królewscy.

Za nimi jechał na dzielnym koniu kapitan, odznaczający się ubiorem suto haftowanym złotem, włosy i broda były już dobrze podsiwiałe, wydawał się cokolwiek zgarbionym, pomimo to jednakże dzielnie uwijał się na koniu.

— Pan d'Artagnan nic się nie postarzał — rzekł nadzorca łowów do swego towarzysza sokolnika — a chociaż o dziesięć lat najmniej starszym jest od nas, wygląda daleko młodziej.

— To prawda — rzekł sokolnik — od lat dwudziestu, jak zapamiętam, żadna w nim nie zaszła zmiana.

— Mylisz się wszakże — odparł nadzorca — d'Artagnan od czterech lat najmniej postarzał o dwanaście. Czas położył piętno swoje na całej jego twarzy: włosy były gęstsze, a ręce niegdyś brunatne i żylaste, dziś pobielały tak, jakby w nich krew zaczęła już stygnąć.

D'Artagnan zbliżył się do dwóch tych oficerów, z wyrazem uprzejmej grzeczności, cechującym ludzi wyższych. Od nich otrzymał ukłony, pełne uszanowania.

— A! i cóż to za szczęście sprowadza pana do nas?... — rzekł sokolnik.

— Ja to powinienem do pana powiedzieć, bo w dzisiejszych czasach król częściej używa muszkieterów niż sokołów.

— Nie tak to było za dobrych czasów — rzekł z westchnieniem sokolnik. — Przypominasz pan sobie te czasy, kiedy król polował na ptaki w okolicach Beaugency? Wtenczas nie byłeś jeszcze kapitanem, panie d'Artagnan.

— A pan byłeś tylko wtenczas młodziutkim podoficerem — rzekł wesoło d'Artagnan. — Ale pomimo to, były to dobre czasy, panie nadzorco myśliwstwa.

— Zaszczyt mi tem czynisz, panie hrabio — odrzekł zagadnięty.

D'Artagnan nic nie odpowiedział: tytuł hrabiego, który otrzymał przed czterema laty, nic go nie obchodził.

— Nie jesteś, panie kapitanie, utrudzony, a długą odbyłeś podróż — rzekł sokolnik — wszak to ze sto mil będzie stąd do Pignerol.

— Sto trzydzieści tam i tyleż napowrót — odrzekł spokojnie d'Artagnan.

— A jakże się On ma — rzekł zcicha sokolnik.

— Kto?... — zapytał d'Artagnan.

— Ten biedny pan Fouquet!... — rzekł zcicha sokolnik.

— Niedobrze!... — rzekł d'Artagnan — biedak bardzo jest zmartwiony — nie pojmuje tego, że wieczne więzienie jest dla niego łaską; dowodzi, że parlament skazał go tylko na wygnanie i, że wygnanie, to wolność. Nie przypuszcza tego, aby mógł był być na śmierć skazanym, i że ocalić życie ze szponów parlamentu jest wielką łaską Boga.

— O! tak! biedak bliski był bardzo rusztowania!... — odpowiedział sokolnik — mówią, że pan Colbert już był dał rozkaz gubernatorowi Bastylji i, że wszystko do jego egzekucji było gotowe.

— Skończyło się — rzekł d'Artagnan z miną zamyśloną, tak, jakby chciał przerwać rozmowę.

— Tak, skończyło się — rzekł nadzorca myśliwstwa — i pan Fouquet ma to, na co zasłużył. Siedzi w Pignerol i dość dla niego zaszczytu, żeś go pan tam zaprowadził. Nie mało naokradał króla.

D'Artagnan, rzuciwszy na naczelnika psiarni gniewnym wzrokiem, rzekł:

— Gdyby mi powiedziano, mój panie, że zabierasz sobie żywność, psom przeznaczoną, nietylko nie uwierzyjbym temu, ale gdybyś za to skazany był na oćwiczenie lub więzienia, szczerze

bym cię żałował, i nie zniósłbym, ażeby o tobie ktokolwiek źle mówił. Jednakże pozwól pan sobie powiedzieć, że, jakkolwiek jesteś uczciwym człowiekiem, ręczę ci, że nie jesteś poczciwszym od biednego Fouqueta.

Usłyszawszy to napomnienie, naczelnik myśliwstwa królewskiego, spuścił nos na kwintę, a sokolnik podniósł się o dwa stopnie w oczach d'Artagnana.

— Kontent jest z siebie!... — rzekł sokolnik cicho do kapitana — widać, że charty są dziś w modzie; gdyby był sokolnikiem, nie zadzierałby tak nosa do góry.

D'Artagnan smutnie się uśmiechnął na myśl, że tak ważny interes polityczny, obudzał tak niskie osobiste widoki; zamyślił się o świetności niegdyś nadintendenta i upadku jego szczęścia, o smutnej śmierci, jaka go czekała, i kończąc niby tę myśl, rzekł:

— Czy pan Fouquet lubił polowanie na ptaki?

— O! namiętnie, panie! — odpowiedział sokolnik, gorzko wzdychając, a westchnienie to było już pochwalną mową pogrzebową dla Fouqueta.

D'Artagnan zamilkł, zostawiając jednego w złym humorze, drugiego zmartwionego i jechał dalej po płaszczyźnie.

Dostrzegano już wymykających się strzelców z lasu; białe pióra koniuszych w ciemnym lesie, przez który przebiegali, migały jak świetne gwiazdy.

— Ale — rzekł d'Artagnan — czy to polowanie będzie długie? Wiesz co, prosiłbym cię, ażeby się to prędko skończyło, bo okropnie jestem zmęczony; a jakiż to będzie ptak, czy czapla? czy łabędź?

— I jeden i drugi, panie d'Artagnan; ale nie lękaj się pan, król nie zna się na tem i poluje tylko dla zrobienia rozrywki damom.

Wyraz damom był tak dobitnie wymówionym, że zwrócił uwagę d'Artagnan.

— O!... — rzekł do sokolnika, patrząc nań z zadziwieniem.

Naczelnik myśliwstwa uśmiechał się zapewne dlatego, aby wrócić do łaski kapitana.

— O! śmiej się pan, bo prawdziwie o niczem nie wiem, wróciłem dopiero wczoraj po miesiącu niebytności. Zostawiłem dwór w smutku po śmierci królowej matki. Król zupełnie za-

przestał był zabaw, ale wszystko ma swój koniec. A jeżeli już jest wesołym, tem lepiej.

— I wszystko na nowo się zaczyna — rzekł naczelnik myśliwstwa, śmiejąc się głośno.

— A!... — rzekł znowu d'Artagnan, chcąc sie dowiedzieć, a godność nie pozwalała mu wypytywać niższych od siebie, — jest coś, jak się zdaje, co się zaczyna? — Naczelnik mrugnął znacząco oczyma.

Ale d'Artagnan nie chciał nic od niego dowiadywać się.

— Czy rano król przybędzie?.. — zapytał sokolnika.

— O siódmej każę wypuścić ptaki.

— Któż przyjeżdża z królem? Jak się ma księżna i królowa?

— Lepiej cokolwiek.

— Jakto chorowała?

— Po ostatniem, jakie ją dotknęło zmartwieniu Jej Królewska Mość była cierpiącą.

— Jakiem zmartwieniu? nie bój się, możesz mi to powiedzieć.

— Zdaje się, że królowa, cokolwiek więcej od śmierci królowej matki przez króla zaniedbywana, żaliła się na to królowi, który miał jej niby na to powiedzieć: "alboż nie zawsze razem przestawamy, czegóż chcesz więcej?"

— A!... — rzekł d'Artagnan — biedna kobieta, musi też bardzo niecierpieć panny La Valliere.

— O! to nie o pannę La Valliere chodzi — odpowiedział sokolnik.

— O kogóż więc?

Odgłos trąb przerwał rozmowę. Zwoływał całe myśliwstwo. Naczelnik jego i sokolnik polecieli cwałem, zostawiając d'Artagnana i urywając rozmowę.

Król pokazał się zdaleka w towarzystwie dam i dworzan. Całe towarzystwo postępowało zwolna i w pięknym porządku.

Nic dzisiaj nie może nam dać wyobrażenia o ruchu i świetności tej zabawy, chyba tylko kłamliwe bogactwo i udana wspaniałość przedstawień teatralnych.

D'Artagnan, lubo osłabionym już cokolwiek wzrokiem dostrzegł za jezdnymi trzy karety, jedną z nich przeznaczoną dla królowej.

Była próżną.

D'Artagnan, nie widząc panny La Valliere obok króla, szukał jej oczyma i dostrzegł w drugiej karecie.

Siedziała w niej w towarzystwie dwóch kobiet, które tak zdawały się być znudzonemi, jak i ich pani.

Po lewej stronie króla, na dziarskim koniu jaśniejąca wdziękami, jechała kobieta. Oboje uśmiechali się do siebie.

Całe towarzystwo za każdym jej wyrazem również się śmiało.

— Znam skądciś tę kobietę... — pomyślał d'Artagnan — ale któż to taki?

I, zbliżywszy się do sokolnika, zapytał o nią.

Lecz właśnie kiedy ten miał odpowiedzieć, król, spostrzegłszy d'Artagnana, zawołał:

— A! jużeś wrócił, hrabio, dlaczegóż cię dotąd nie widziałem?

— Najjaśniejszy Panie!... — odpowiedział kapitan — Wasza Królewska Mość raczyłeś spać, kiedym przybył, a jeszcześ nie był wstał, kiedy już dziś rano zająłem się zwyczajną służbą.

— Zawsze ten sam!... — rzekł król głośno z zadowoleniem — wypocznij, hrabio, rozkazuję ci, będziesz dziś u mnie na obiedzie.

Szmer pochlebnego zadziwienia doszedł uszu kapitana, każdy cisnął się do niego. Zaproszenie przez króla na obiad było zaszczytem, którym Jego Królewska Mość nie obdarzał tak hojnie jak Henryk IV-ty.

Król postąpił kilka kroków, a d'Artagnana otoczyła nowa gromadka, w której był Colbert.

— Dzieńdobry, panie d'Artagnan — rzekł uprzejmie minister — jakże? podróż była szczęśliwą?

— Tak, panie!... — odpowiedział d'Artagnan, nisko kłaniając się.

— Słyszałem, że król zaprosił pana na obiad do siebie, znajdziesz tam jednego dawnego przyjaciela.

— Dawnego przyjaciela? — rzekł d'Artagnan, sięgając myślą smutnych wspomnień, które pochłonęły od dawna jego przyjaciół.

— Księcia Alameda — rzekł Colbert — przybyłego dziś z Hiszpanji.

— Księcia Alameda? — rzekł d'Artagnan, starając się przypomnieć.

— Mnie! to mnie! — rzekł starzec z białym, jak śnieg, włosem, wysiadając zgarbiony z karety, na przyjęcie muszkietera.

— Aramis! — krzyknął d'Artagnan osłupiały.

I pozwolił uścisnąć siebie wyschłemi rękami starca.

Colbert, popatrzywszy na nich chwilkę z uwagą, odjechał zostawiając sam na sam dwóch przyjaciół.

— A więc — rzekł muszkieter, biorąc Aramisa za rękę — ty, buntownik, wygnaniec, wróciłeś znowu do Francji.

— I będę z tobą u króla na obiedzie — rzekł uśmiechając się, biskup de Vannes. — Nieprawdaż, że zadajesz sobie pytanie, na co się przyda wierność na tym świecie? — Patrzaj, przepuśćmy karetę biednej La Valliere, jakże ona jest niespokojną! jakże jej zapadłe od łez oczy gonią za królem, jadącym konno.

— Z kim?

— Z panną Tonney Charente, która dziś jest panią de Montespan — odrzekł Aramis.

— Jest więc zazdrosną, jest już więc zwodzoną?

— Jeszcze nie, mój d'Artagnanie, ale to wkrótce nastąpi.

Rozmawiali z sobą, postępując za polowaniem a stangret Aramisa był tyle zręcznym, że przybył właśnie wczas, kiedy sokół, zmęczywszy ptaka, zwyciężył go.

Król zsiadł z konia, pani de Montespan także, właśnie zbliżali się ku kaplicy, otoczonej drzewami, których liście opadły od wiatrów jesiennych. Za tą kaplicą było ogrodzenie, zamknięte kratowanemi drzwiami.

Sokół zmusił ptaka upaść w to zagrodzenie, i król wszedł tam, aby wyrwać pierwszy pióro zwyciężonemu, wedle zwyczaju.

Inni otoczyli wokoło ogrodzenie, nie mogące wszystkich pomieścić.

D Artagnan zatrzymał Aramisa, chcącego wysiąść, i głosem przerywanym rzekł:

— Czy wiesz Aramisie, dokąd nas los zaprowadził?

— Nie — odpowiedział książę.

— Tu spoczywają zwłoki ludzi, których niegdyś znałem — rzekł d'Artagnan wzruszony.

Aramis, niczego się nie domyślając, drżącym krokiem wszedł do kaplicy, którą mu d'Artagnan otworzył.

— Gdzież ich groby? — rzekł.

— Tam, za tem ogrodzeniem; oto krzyż pod tym małym cyprysem, zasadzonym na ich grobie, ale nie idź tam teraz, bo właśnie czapla upadła tam i król poszedł.

Aramis zatrzymał się ukryty w cieniu i spostrzegli wówczas, sami niewidziani, jak La Vallière, zapomniana w karecie, patrzyła na wszystko ze smutkiem, a wkońcu, nie mogąc się oprzeć zazdrości, weszła do kaplicy, i oparta o filar, przypatrywała się uśmiechającemu się królowi, który, stojąc za ogrodzeniem, wzywał znakami panią de Montespan, aby zbliżyła się bez bojaźni.

Pani de Montespan zbliżyła się: ujęła rękę króla, podaną sobie, a ten, wyrywając pióro czapli, którą sokół udusił, przypiął je do kapelusza pięknej towarzyszki.

Wtenczas ona z uśmiechem radości ucałowała rękę, dającą jej ten podarunek.

Król zaczerwienił się z radości, spojrzał na panią de Montespan wzrokiem, silną miłość wyrażającym.

— Cóż mi dasz wzamian? — rzekł.

Ułamała gałązkę cyprysu i podała ją królowi, upojonemu nadzieją.

— Ależ — rzekł cicho Aramis do d'Artagnana — smutny to podarunek, gdyż cyprys ten ocieniał grób.

— Tak! a grób ten pokrywa zwłoki Raoula de Bragellone — rzekł głośno d'Artagnan — Raoula, spoczywającego obok ojca swego, Atosa.

Głuchy jęk rozległ się za nimi, spostrzegli kobietę zemdloną; panna La Valliere wszystko widziała i słyszała.

— Biedna kobieta! — zawołał d'Artagnan, dopomagając kobietom, aby przenieść ją do karety. — Dla niej odtąd same już cierpienia pozostały.

Tegoż dnia wieczorem d'Artagnan siedział u stołu królewskiego, obok Colberta i księcia d'Alameda.

Król bardzo był wesoły, tysiące prawił grzeczności królowej i księżnie, siedzącej po lewej jego stronie i bardzo smutnej; zdawało się, że wrócą do czasów, w których król śledził w oczach matki potwierdzenia lub zganienia tego, co powiedział.

O kochankach nie było wzmianki król odzywał się po kilkakroć do Aramisa, nazywając go ambasadorem, co powiększyło

i tak już wielkie zadziwienie d'Artagnana, że jego przyjaciel tak mile był przyjęty u dworu.

Król, wstając od stołu, podał rękę królowej, i dał znak Colbertowi, który widocznie go oczekiwał.

Colbert odprowadził na stronę Aramisa i d'Artagnana, król zaczął rozmowę z bratową, kiedy książę, rozmawiając z roztargnieniem z królową, rzucał niespokojnym okiem to na króla, to na żonę.

Colbert, Aramis i d'Artagnan rozmawiali o obojętnych przedmiotach.

Mówiono o dawnem ministerjum, Colbert opowiadał o Mazarinim i słuchał opowiadania o Richelieum.

D'Artagnan nie mógł wyjść z podziwienia, patrząc na tego człowieka, o gęstych brwiach, niskiem czole, posiadającego tyle wiadomości, i tyle wesołego humoru.

Aramis dziwił się bystrości dowcipu, dozwalającej opóźnić z korzyścią chwilę ważniejszej rozmowy, o której żaden z nich nie zrobił wzmianki, chociaż dobrze do niej byli przygotowani.

Z twarzy księcia łatwo można było wyczytać, ile rozmowa króla z jego żoną niepokoiła go; księżna miała oczy zaczerwienione, czyżby się miała skarżyć? mogłażby to uczynić wobec tak licznego zebrania?

Król, odprowadziwszy ją na stronę, głosem tak słodkim, że przypomniał jej czasy, w których była dla samej siebie tylko kochaną, rzekł:

— Siostro!... dlaczegóż twe piękne oczy płakały?

— Ale, Najjaśniejszy Panie... — rzekła.

— Nieprawdaż, moja siostro, że książę jest zazdrosny?

Spojrzała w stronę, gdzie był mąż, a spojrzenie to nieomylnym było znakiem, że o nim rozmawiają.

— Tak!... — rzekła.

— Posłuchaj mię, jeżeli twoi przyjaciele kompromitują cię trochę, jest to winą twego męża.

Słowa te z taką wyrzekł czułością, że księżna ośmielona, a od niejakiego czasu tyle miała zmartwienia, ledwie się nie rozpłakała ze wzruszenia.

— No!... no!... kochana moja siostrzyczko — rzekł król — opowiedz nam twe cierpienia, a jakem brat, podzielę je z tobą, i jakem król, położę im koniec.

Wzniosła ze smutkiem piękne oczy i rzekła:

— Nie, przyjaciele to moi kompromitują mnie, gdyż są nieobecni lub ukryci; podburzono niełaskę Waszej Królewskiej Mości na nich, a przecież są tak poświęcający się, dobrzy i szlachetni.

— Mówisz to o Guichu, którego skazałem na wygnanie, gdyż żądał książę.

— A on od czasu tego niesprawiedliwego wygnania, szuka raz przynajmniej na dzień sposobności, aby mógł być zabitym.

— Niesprawiedliwego?... mówisz, siostro.

— Tak niesprawiedliwego, że gdybym nie czuła dla Waszej Królewskiej Mości szacunku i przyjaźni, to...

— To cóż?

— To prosiłabym mego brata Karola, u którego wszystko mogę....

Król zadrżał.

— O cobyś prosiła?

— Prosiłabym, żeby przedstawił Waszej Królewskiej Mości, że książę i jego ulubieniec kawaler Lotaryński, nie powinni bezkarnie być katami mojej sławy i szczęścia.

— Kawaler Lotaryński — rzekł król — ta ponura figura?

— Jest moim śmiertelnym nieprzyjacielem. Dopóki on będzie w moim domu, gdzie książę go trzyma, dając mu zupełną władzę dopóty będę uważaną za ostatnią kobietę z całego państwa.

— A więc — rzekł król powoli — uważasz brata twego z Anglji za lepszego przyjaciela odemnie?

— Czyny tego dowodzą, Najjaśniejszy Panie.

— I wolałabyś żądać pomocy od...

— Od mego kraju — rzekła dumnie — tak, Najjaśniejszy Panie.

— Jesteś wnuczką Henryka IV-go, moja przyjaciółko, a ja jestem ci bratem i szwagrem, czyż to nie nadaje ci prawa szukania u mnie pomocy?

— A więc daj mi ją, Najjaśniejszy Panie.

— Zawrzyjmy umowę.

— Zacznij.

— Mówisz, że niesłusznie wygnałem Guicha.

— O!... — rzekła, rumieniąc się.

— Guiche powróci.

— Dobrze.

— Mówisz znowu, że błądzę, zostawiając w twym domu kawalera Lotaryńskiego, który podburza przeciw tobie księcia.

— Uważaj dobrze i nie zapomnij tego, co ci powiadam, najjaśniejszy Panie; jeżeli źle kiedykolwiek skończę, pamiętaj, że nikt temu nie będzie winien, tylko kawaler Lotaryński; dusza jego zdolną jest do wszystkich zbrodni.

— Kawaler Lotaryński nie będzie ci więcej zawadzał, zaręczam ci.

— Wówczas będzie to prawdziwy pokój, który naprzód podpisuję... Ale ponieważ Wasza Królewska Mość powiedziałeś, co dla mnie uczynisz, powiedz wzajemnie, czego żądasz?

— Zamiast poróżnić mię z twoim bratem, Karolem, trzeba mi z niego zrobić najwierniejszego przyjaciela.

— To bardzo łatwo.

— Nie tak łatwo, jak ci się zdaje, bo w przyjaźni zwyczajnej, całują się, częstują się wzajemnie, a to kosztuje tak mało, ale w politycznej przyjaźni...

— A!... to będzie przyjaźń polityczna?...

— Tak, moja siostro, i tu zamiast uścisków i zabaw, trzeba dostarczać żołnierzy, dobrze uzbrojonych dla przyjaciela, trzeba przysłać okręty gotowe do wyjścia pod żagle, i zaopatrzone w żywność, a bywa czasem, że kiedy idzie o podobną przyjaźń nie zawsze się ma pełne kufry na jego usługi.

— A!... masz słuszność — rzekła księżna — kufry króla angielskiego od niejakiego czasu wcale nie są ciężkie.

— Ale ty, siostro, co taki masz wpływ na brata, pewno otrzymasz to, czegoby żaden poseł nie uzyskał.

— To chyba musiałabym pojechać do Londynu, kochany bracie.

— Myślałem już o tem — rzekł król z żywością — i, zdaje mi się, że ta podróż rozerwie cię trochę.

— Ale, może być — wtrąciła księżna — że mi się to nie uda, król angielski ma bardzo niebezpiecznych doradzców.

— Chyba doradczynie, chciałaś powiedzieć.

— Tak właśnie, a jeżeliby przypadkiem Wasza Królewska Mość miał zamiar, przyznam to tylko, żądać tej przyjaźni dla prowadzenia wojny.

— Wojny?...

— Tak, wówczas doradczynie króla, których jest siedem, jako to: panna Stewart, panna Wels, panna Gwyn, pani Orchay, pan-

na Zunga, pani Davis i hrabina de Castelmaine, przedstawią królowi, że wojna kosztuje dużo pieniędzy, że lepiej za nie dawać bale i obiady w Hampton-Court, aniżeli uzbrajać okręty w Portsmouth i Grenwich.

— A wówczas twoja propozycja upadnie.

— O!... te panie wszystko, czego tylko serce nie proponuje, wniwecz obracają.

— Czy wiesz, moja siostro, co mi przyszło na myśl?...

— Słucham.

— Że, dobrze poszukawszy możebyś znalazła w swoim domu jaką doradczynię, i tam ją zawiozła a jej wymowa zniszczyłaby może złe chęci tamtych siedmiu.

— Doprawdy, to niezły pomysł, Najjaśniejszy Panie, i właśnie szukam.

— Znajdziesz zapewne.

— Spodziewam się.

— Potrzeba wybrać osobę przystojną, gdyż zawsze milszą jest twarz piękna, niż brzydka, nieprawdaż...

— Niezawodnie.

— Żywą, wesołą, śmiałą.

— Koniecznie.

— Dobrze wychowaną, o tyle, ile potrzeba, aby się zbliżyć bez nieśmiałości do króla, i do tego nie bardzo dumną z urodzenia.

— Bardzo sprawiedliwie.

— I którąby umiała cokolwiek po angielsku.

— A!... mój Boże, znalazłam — zawołała księżna — co myślisz, panna de Kerouaille?...

— A tak — rzekł Ludwik XVI-ty — znalazłaś, moja siostro.

— Wezmę ją więc z sobą, a spodziewam się, że nie będzie tego żałowała.

— Bynajmniej, tymczasem mianuję ją pełnomocną uwodzicielką i dodam do tego tytułu i dobra... tak, widzę cię już w drodze, moja siostrzyczko, pocieszoną po zmartwieniach.

— Pojadę, ale pod dwoma warunkami: pierwszy, że wiedzieć będę, o co mam traktować?...

— Powiem ci. Holendrzy, jak wiesz, codzień mi uwłaczają w gazetach i swoją formą republikańską; ja nie lubię rzeczypospolitych.

— Łatwo to pojąć, Najjaśniejszy Panie.

— Widzę z przykrością, że ci królowie morza (tak bowiem siebie nazywają) wstrzymują handel francuski w Indjach i, że ich okręty wkrótce wszystkie porty europejskie zapełnią; podobna siła, moja siostro, zbyt jest mi bliskim sąsiadem.

— Jednakże są twoimi sprzymierzeńcami.

— Dlatego też bardzo zbłądzili wybiciem wiadomego ci medalu, przedstawiającego Holandję zatrzymującą słońce, jak Jozue, z napisem: "Słońce zatrzymało się przedemną." To nie po bratersku, nieprawdaż?...

— Mniemałam, żeś zapomniał o tej drobnostce.

— Niczego nigdy nie zapominam, siostro, i jeżeli moi prawdziwi przyjaciele, jak naprzykład, twój brat Karol zechcą mi pomagać...

Księżna zamyśliła się.

— Słuchaj... jest do podziału panowanie na morzu — rzekł Ludwik XIV-ty — a w tym podziale, którego Anglja weźmie połowę, czyż nie mógłbym tak dobrze, jak Holendrzy, posiadać drugiej?

— Mamy pannę de Keroualle, do załatwienia tego przedmiotu — rzekła księżna.

— A jakiś drugi warunek do wyjazdu?... zapytał król.

— Pozwolenie na to od księcia, mojego męża.

— To natychmiast.

— A więc jużbym wyjechała, mój bracie.

Po tych słowach Ludwik XIV-ty zwrócił się w stronę sali, gdzie się znajdował Colbert, Aramis i d'Artagnan, i dał ministrowi znak potwierdzający.

Colbert, przerwawszy natychmiast ogólną rozmowę, rzekł do Aramisa:

— Czy nie pomówilibyśmy o interesie, panie ambasadorze?

D'Artagnan odszedł na stronę przez grzeczność, stanął koło kominka tak, aby mógł usłyszeć, co król powie księciu, który pełen niespokojności szedł na jego spotkanie.

Twarz królewska była ożywioną, na czole jego wyrytą była silna wola, która, nie znajdując już oporu we Francji, wkrótce nie miała go znaleźć w całej Europie.

— Książę!... — rzekł król do brata — jestem bardzo niekontent z kawalera Lotaryńskiego, a ty co raczysz się nim opiekować, poradź mu aby wyjechał gdzie w podróż na kilka miesięcy.

Wyrazy te, jak grom spadły na księcia, ubóstwiającego swego ulubieńca i na niego zlewającego całą, do jakiej był zdolny, czułość.

Zawołał więc:

— Czemże kawaler mógł zasłużyć na niełaskę Waszej Królewskiej Mości?

I tu rzucił gniewliwym na księżnę wzrokiem.

— Powiem ci to wtenczas, gdy on wyjdzie, — rzekł król obojętnie — i kiedy księżna, tu obecna, będzie już w Anglji.

— Księżna do Anglji? — szepnął książę osłupiały.

— Za osiem dni musi tam być, mój bracie — odpowiedział król — my tymczasem pojedziemy tam, gdzie...później ci o tem powiem.

I król odszedł, uśmiechnąwszy się wprzód do księcia, aby osłodzić, ile można, gorycz dwóch tych wiadomości.

Colbert rozmawiał ciągle z księciem d'Alameda.

— Panie! — rzekł Colbert do Aramisa — nadeszła chwila, w której powinniśmy porozumieć się; ja pogodziłem pana z królem i powinienem był to uczynić dla człowieka twoich zdolności, ale ponieważ czasami oświadczać pan raczyłeś mi swą przyjaźń, zdarza się teraz sposobność dania mi stanowczego dowodu. Zresztą, więcej jesteś Francuzem niż Hiszpanem. Czy będziemy mieli, powiedz mi szczerze, neutralność Hiszpanji, gdybyśmy rozpoczęli wojnę z Holandją?

— Panie! — odpowiedział Aramis — interes Hiszpanji jest bardzo jasny. Poróżnić Holandję z resztą Europy, która czuje zastarzałą do niej urazę za zdobytą wolność, oto jest nasza polityka. Ale król Francji jest sprzymierzeńcem Holendrów; nie wątpisz także zapewne, że to będzie wojna morska, a nie wiem, czy Francja jest w stanie prowadzić ją z korzyścią.

Colbert, szukając wzrokiem d'Artagnana, spostrzegłszy go, zawołał i rzekł cicho do Aramisa:

— Czy możemy rozmawiać o tem z d'Artagnanem?

— O! zapewne — odpowiedział ambasador.

— Właśnie rozmawialiśmy o tem z panem Alamenda, że wojna z Holandją będzie morską wojną.

— To niezawodnie — odpowiedział muszkieter.

— I cóż o niej myślisz, panie d'Artagnan?

— Myślę, że aby prowadzić tą wojnę morską, potrzeba nam będzie wielkiej siły lądowej.

— Co? co? — rzekł Colbert, któremu zdawało się, że nie dosłyszał.

— Do czegóż wojsko lądowe — zapytał Aramis.

— Dlatego, że król, jeżeli nie będzie miał pomocy Anglików, pewno pobity będzie na morzu, poczem wkrótce Holendrzy wtargną do Francji morzem, a Hiszpanja lądem.

— Hiszpanja neutralna! — rzekł Aramis.

— Dopóty, dopóki król będzie silniejszym — rzekł d'Artagnan.

Colbert podziwiał tą biegłość, nie dotykającą żadnego zadania, aby go nie rozwiązać.

Aramis uśmiechnął się, wiedział dobrze, że co do polityki, d'Artagnan nie potrzebował nauczyciela.

Colbert, jak wszyscy pyszni, zachował dotąd milczenie, będąc pewnym skutku, i rzekł:

— Kto panu powiedział, panie d'Artagnan, że król nie ma floty?

— Nie znam się na tych szczegółach — rzekł kapitan — bardzo ze mnie słaby marynarz, bo jak każdy drażliwy, nie cierpię morza; zdaje mi się wszakże, że mając okręty, łatwoby we Francji znaleźć majtków.

Colbert, wyciągnąwszy z kieszeni długi papier, podzielony na dwie kolumny, na których z jednej strony były nazwiska okrętów, a na drugiej liczba dział i ludzi, znajdujących się na nich, rzekł do d'Artagnana.

— Podobnie, jak i pan, myślałem i kazałem sobie podać spis okrętów, które ogółem czynią 35 okrętów.

— Trzydzieści pięć okrętów? niepodobna! — zawołał d'Artagnan.

— Około 2,000 dział na tychże, i to właśnie król posiada tylko na teraz. Trzydzieści pięć okrętów czyni trzy eskardy, a ja chcę mieć pięć.

— Pięć! — zawołał Aramis.

— I te przed końcem roku będą już na morzu, moi panowie, król więc posiadać będzie 50 okrętów linjowych, a z niemi można trochę się potrzymać, co?

— Zbudować okręty, chociaż trudno, ale jednak można — rzekł d'Artagnan — ale jakże je uzbroić, Francja nie posiada ani ludwisarni, ani warsztatów okrętowych.

— Ba! — odpowiedział Colbert z radością — od półtora roku wszystko to urządziłem. Znasz pan, pana d'Infreville?

— D'Infreville? nie.

— Jest to, jak odkryłem, człowiek, posiadający szczególną zdolność i ma dar dobrego użycia rzemieślników: on to w Tulonie kazał poodlewać działa i obrobić drzewo, sprowadzone z Burgundji, a zresztą, może mi uwierzysz, panie ambasadorze, że mi przyszedł jeszcze jeden pomysł do głowy.

— O. wierzę panu — rzekł Aramis z grzecznością.

— Wystawcie sobie, panowie, że, znając charakter naszych sprzymierzeńców, Holendrów, powiedziałem sobie: to są kupcy i w dobrych stosunkach z Jego Królewską Mością; będą oni bardzo szczęśliwi, mogąc sprzedać królowi to, co dla siebie wyrabiają, a im więcej się kupi... Ale muszę powiedzieć jeszcze, że mam pana Forant... Znasz Foranta, d'Artagnanie?

Colbert zapomniał się, mówiąc tak do d'Artagnana krótko, jak król.

Kapitan, uśmiechając się, rzekł:

— Nie, nie znam go.

— Jest to także człowiek, w którym szczególną odkryłem zdolność do kupna.

— Ten tedy Forant kupił mi 350,000 funtów kul żelaznych 200,000 funtów prochu, dwanaście ładunków drzewa północnego, lontów, granatów, żywicy, dziegciu i Bóg wie czego! taniej o siedem na sto procentów, niżby mię to kosztowało przy wyrobie we Francji.

— Niezły pomysł — rzekł d'Artagnan — kupować u Holendrów kule, które do nich wrócą.

— Nieprawdaż? i jeszcze ze stratą...

I Colbert zaczął się serdecznie śmiać, kontent ze swego żartu.

— Co więcej — rzekł — ciż sami Holendrzy budują w tej chwili dla króla sześć okrętów, podług najlepszych wzorów ich marynarki Destoucha... A!... ale może nie znacie pana Destouches?

— Nie, panie.

— Jest to człowiek, posiadający tak wprawne oko, że spojrzawszy na stojący w porcie okręt, natychmiast spostrzeże jego przymioty lub błędy. A to rzecz, jak wiecie nader ważna, natura jest dziwaczną; otóż ten Destouches, zdawał mi się być bardzo pożytecznym człowiekiem w porcie i to on doziera robo-

ty tych sześciu okrętów, każdego o 78 działach, które Holendrzy budują dla Najjaśniejszego Pana, a stąd wynika, kochany panie d'Artagnan, że gdyby król chciał poróżnić się z Holendrami, niezłą będzie miał flotę. A pan znów wiesz lepiej niż kto inny, czy wojsko lądowe jest dobre?

D'Artagnan i Aramis spojrzeli na siebie, podziwiając tę olbrzymią i tajemniczą pracę, jaką ten człowiek dokonał w dwóch latach.

Colbert zrozumiał ich, i miłem mu było to nieme pochlebstwo, najlepsze ze wszystkich.

— Jeżeliśmy nie wiedzieli o tem we Francji — rzekł d'Artagnan — za granicami jej, mniej jeszcze o tem wiedzą.

— I dlatego mówiłem do pana ambasadora, że Hiszpanja, przyrzekła nam neutralność, a Anglja pomaga.

— Jeżeli Anglja będzie nam pomagała — rzekł Aramis — ręczę za neutralność Hiszpanji.

— Daj na to rękę — rzekł śpiesznie z porywczą dobrodusznością Colbert — ale co do Hiszpanji, nie masz pan panie d'Alameda, orderu złotego runa, a przypominam sobie, że król właśnie wspominał o tem, że byłby rad gdyby widział noszoną przez ciebie wielką wstęgę św. Michała.

Aramis ukłonił się.

— O!... — pomyślał d'Artagnan — dobry Portosie niema cię już, a ileż to łokci wstążki widziałbyś w tej łasce.

— A teraz co do nas, panie d'Artagnan, założyłbym się, że miałbyś chęć zaprowadzić swoich muszkieterów do Holandji?.. Ale, umieszże pływać?

Tu zaczął się śmiać, jak człowiek w najlepszym humorze.

— Jak węgorz — odpowiedział d'Artagnan.

— Ale bo widzisz, panie d'Artagnan, tyle tam jest przepraw przez kanały i bagna, że i najlepsi pływacy toną czasem.

— Jest to mój obowiązek — odpowiedział d'Artagnan — poświęcić życie dla Jego Królewskiej Mości. Tylko, że w czasie wojny więcej można znaleźć ognia niż wody, a zawczasu zapowiadam, że wolę ogień. Już starzeję się, panie Colbert, woda bardzo mię oziębia, ogień zaś rozgrzeje.

Mówiąc to, d'Artagnan zajaśniał taką dumą i odwagą młodzieńczą, że Colbert nie mógł go nie podziwiać.

D'Artagnan dostrzegł skutek, jaki wywarł na Colbercie i przypominał sobie, że dobry to kupiec, co wysoko ceni swój towar, kiery ten ma odbyt, i zawczasu oznacza cenę.

— A więc — rzekł Colbert — idziemy do Holandji.

— Tak jest — odpowiedział d'Artagnan — tylko...

— Tylko?... — rzekł Colbert.

— Tylko — powtórzył d'Artagnan — w każdem przedsięwzięciu zachodzi interesowność i miłość własna i lubo piękną jest płaca kapitana muszkieterów, ale uważaj pan, mamy prócz tego gwardję i cały dwór wojskowy Jego Królewskiej Mości; kapitan muszkieterów powinien tem i wszystkiem dowodzić, a wówczas musi najmniej wydać sto tysięcy liwrów rocznie na koszta reprezentacji i stołu.

— Czy nie myślisz przypadkiem, że król będzie się z panem targował? — rzekł Colbert.

— E!... panie, nie zrozumiałeś mię — odpowiedział d'Artagnan pewny, że już przezwyciężył kwestję interesu — ja mówiłem, że ja, stary kapitan, niegdyś dowódzca gwardji Królewskiej, będący na równi z marszałkami Francji, bywałem nieraz przeskoczonym w stopniu przez trzech, to jest, przez kapitana gwardji i dwóch pułkowników dowodzących Szwajcarami, otóż za nic w świecie tego nie zniosę; mam stare swoje zwyczaje, których się trzymam.

Colbert zrozumiał, o co idzie, i był już na to przygotowanym.

— Myślałem już o tem — rzekł — coś mi pan teraz powiedział.

— O czem, panie?

— Mówiliśmy o kanałach i bagnach, gdzie można się utopić.

— Cóż stąd?

— Otóż, jeżeli się kto topi, to zapewne niema łódki, deski, albo choćby laski.

— Chociażby najkrótszej laski — rzekł d'Artagnan.

— A tak — rzekł Colbert — to też nie ma przykładu, ażeby się kiedykolwiek utopił marszałek francuski.

D'Artagnan zbladł z radości i głosem drżącym rzekł:

— Gdybym był marszałkiem Francji, byłoby to wielkim zaszczytem dla moich stron rodzinnych, lecz, ażeby otrzymać buławę marszałkowską, trzeba wprzód naczelnie dowodzić w jakiej wojnie.

— Otóż w tych notatkach jest plan wojny, nad którym się zastanowisz, a który król rozkazał mi oddać panu wraz z wojskiem do tej wojny, na przyszłą wiosnę przeznaczonem.

D'Artagnan drżąc przyjął notatki, a gdy ręka jego dotknęła ręki ministra, Colbert uścisnął ją szczerze.

— Panie — rzekł — mieliśmy obydwaj odpłacić sobie wzajemnie, ja zacząłem, teraz na pana kolej.

— Przepraszam pana za przeszłość — rzekł d'Artagnan — i proszę powiedzieć królowi, że pierwszą bitwę, jaka się zdarzy, niech uważa za wygraną, albo żyć nie będę.

— Ja zaś od dziś — rzekł Colbert — każę haftować lilje do twej buławy marszałkowskiej.

Nazajutrz Aramis, wracając do Madrytu, ażeby doprowadzić do skutku neutralność Hiszpanji, przyszedł do domu d'Artagnana, aby pożegnać go.

Długo dwaj przyjaciele byli w objęciach wzajemnych.

— Kochajmy się za czterech — rzekł d'Artagnan — gdyż nas już tylko dwóch pozostało.

— I pewno mię więcej nie zobaczysz, kochany d'Artagnanie — rzekł Aramis. — O!... gdybyś wiedział, jak cię kochałem, teraz jestem już stary, niedołężny, trup chodzący.

— Przyjacielu, dłużej niż ja, żyć będziesz, dyplomacja rozkazuje ci żyć, mnie zaś honor każe umierać.

— Ba!... ludzie tacy, jak my, panie marszałku — odpowiedział Aramis — umierają wtedy dopiero, kiedy już są syci radości i chwały.

— A!... — odpowiedział d'Artagnan ze smutnym uśmiechem — teraz nie czuję do tego apetytu, mości książę.

Jeszcze się raz uścisnęli, a we dwie godziny potem rozłączyli się.

ŚMIERĆ PANA D'ARTAGNANA.

Na przekór temu, jak się to zwykle dzieje, czy to w polityce, czy innych wypadkach, tym razem każdy, dotrzymując obietnic, zrobił zaszczyt swemu zobowiązaniu.

Król przywołał z wygnania pana de Guiche, a wygnał kawalera Lotaryńskiego, i to w taki sposób, że aż książę to przechorował.

Księżna, pojechawszy do Londynu, tak szczerze się wzięła do dzieła, że Karol II-gi, brat jej, zasmakowawszy szczególnie w politycznych radach panny de Keroualle, przymierze między Francją i Anglją podpisał, i flota angielska, poparta kilku miljonami dukatów francuskich, zadała okropną klęskę marynarce holenderskiej.

Król II-gi, wynagradzając rad polityczne panny de Keroualle, zrobił ją księżną Portsmouth.

Colbert, obiecawszy królowi okręty, potrzeby wojenne i zwycięstwa, dotrzymał, jak wiemy słowa.

Nakoniec Aramis, na którego przyrzeczenie najmniej rachowano, napisał do Colberta list następujący, co do układów, z Hiszpanją mu powierzonych.

Panie Colbert!

"Mam zaszczyt polecić panu księdza d'Oliva, przyszłego generała Jezuitów i mego następcę, a teraźniejszego mego zastępcę.

"Szanowny ojciec wytłómaczy panu, że zawsze jestem na czele interesów naszego zakonu, co się tylko tyczy Francji i Hiszpanji, ale nie chcę używać tytułu generała, rzucającego zbyt wiele światła na interesa, jakie Jego Królewska Mość Katolicka raczyła mi powierzyć, lecz wrócę do niego z rozkazu Jego Królewskiej Mości, kiedy prace, które przedsięwziąłem, wspólnie z panem na większą chwałę Boga i Jego kościoła, doprowadzone będą szczęśliwie do końca.

"Szanowny ojciec d'Oliva, również Ci powie, że Jego Królewska Mość Katolicka podpisała neutralność, w razie mogącej wyniknąć wojny między Francją i Holandją.

Umowa ta będzie nawet i wtenczas ważną, gdyby Anglja, zamiast czynnej pomocy, ograniczyła się do neutralności.

Co do Portugalji, o której z panem mówiliśmy, mogę zapewnić, że całemi siłami pomagać będzie w wojnie królowi arcychrześcijańskiemu.

„Proszę pana zachować mi swą przyjaźń i wierzyć szczerze mojemu przywiązaniu, jak również złożyć odemnie hołd u stóp tronu Jego Arcychrześcijańskiej Mości.

Podpisano: książę d'Alameda".

Aramis dotrzymał więcej, aniżeli przyrzekł; pozostaje nam teraz wiedzieć, jak król, pan Colbert i d'Artagnan dotrzymali swoich przyrzeczeń.

Na wiosnę, jak to przewidział Colbert, wojsko lądowe rozpoczęło wojnę.

Poprzedzało ono w świetnym porządku Ludwika XIV-go, który na koniu, otoczony dworem i karetami pełnemi dam, prowadził na tę krwawą zabawę wybór młodzieży swojego państwa.

Oficerowie armji nie mieli wprawdzie mniej nad grzmot dział z twierdz holenderskich muzyki, ale było to dostateczne dla tych, którzy tam znaleźli zaszczyty, stopnie, majątek lub śmierć.

D'Artagnan udał się z 12,000 korpusem, z rozkazem zdobycia różnych miejsc obronnych, tworzących strategiczną sieć, którą nazywają Fryzją.

Nigdy wojsko lepiej nie było prowadzone; oficerowie przekonani byli, że wódz tak roztropny, przebiegły i odważny nie poświęci ani jednego cala ziemi napróżno.

Miał dawne zwyczaje, to jest żył kosztem kraju, z którym wojował, i widział zawsze swoich żołnierzy śpiewających, nieprzyjaciół zaś płaczących.

Kapitan muszkieterów, aż do drobiazgowości posuwał dowody znajomości sztuki wojennej, to też nigdy nie widziano pozycji lepiej obranych, silniejszego natarcia, błędów nieprzyjaciół, obróconych na korzyść strony przeciwnej.

Wojsko, dowodzone przez d'Artagnana, w ciągu miesiąca zdobyło dwanaście fortec.

Właśnie zdobywał trzynastą i ta opierała mu się od sześciu dni. D'Artagnan kazał otworzyć przykopy, jakby nie przypuszczając, aby oblężeni mieli się kiedy poddać.

Pionerzy pracowali z największą ochotą dlatego, że wódz, uważając ich na równi z innymi żołnierzami, czynił ich pracę zaszczytną i nie dozwolił ich zabijać nieprzyjacielom, chyba, że już nie mógł zrobić inaczej.

To też trzeba było widzieć zapał, z jakim przewracali błotnistą ziemię Holandji.

D'Artagnan wysłał kurjera do króla, donosząc mu o ostatnich powodzeniach, co podwoiło wesołość Jego Królewskiej Mości i gotowość dania świetnej dla dam zabawy.

Zwycięstwa pana d'Artagnan tyle dodawały majestatu królowi, że pani de Montespan nigdy inaczej nie nazywała króla, jak tylko Ludwikiem Niezwyciężonym.

To też panna La Valliere, która nazywała tylko króla Ludwikiem Zwycięzcą, dużo straciła z łaski Jego Królewskiej Mości, a potem często miała oczy zaczerwienione; a dla niezwyciężonego, nic nie jest tak odpychającem, jak płacząca kochanka, kiedy wszystko wokoło niego uśmiecha się; i gwiazda panny La Valiere w jej własnych łzach utonęła.

Ale za to wesołość pani de Montespan podwajała się wraz z królewskiem powodzeniem i pocieszała go z drobnych przeciwności, a to wszystko winien był król d'Artagnanowi.

Jego Królewska Mość, chcąc wynagrodzić jego zasługi, pisał do Colberta:

"Panie Colbert! mamy jeszcze do spełnienia obietnicę względem pana d'Artagnan, gdyż ten swoich przyrzeczeń dotrzymał. Zawiadamiam, że czas jest to uskutecznić, i wszystko co do tego potrzeba będziesz miał sobie w czasie stosownym doręczone.

Ludwik."

Wskutek czego Colbert, który zatrzymał u siebie posłańca d'Artagnana, napisał do niego list przesyłając mu niewielką hebanową, złotem nabijaną skrzynkę, która, na pozór nie wydając się ciężką, ważką wszakże być musiała, gdyż posłańcowi, niosącemu ją, dodano straż z pięciu złożoną ludzi.

Ludzie ci, przybywszy o świcie przed oblęganą twierdzę, udali się do kwatery generała, lecz im powiedziano, że pan d'Artagnan, rozgniewany wycieczką, jaką wczoraj zrobił gubernator twierdzy, człowiek chory, podczas której nie tylko, że zniszczył pracę pionierów, ale zabił 77 ludzi, wyszedł tylko z dziesięciu kompanjami grenadjerów aby powetować tę stratę.

Posłaniec pana Colberta miał rozkaz doręczyć mu to, co posyłano, gdziekolwiekby się znajdował, czy to w dzień lub w nocy.

Udał się więc na miejsce, gdzie się znajdował d'Artagnan.

Spostrzegł pana d'Artagnan na otwartej płaszczyźnie, w ugalowanym kapeluszu, z długą laską i w złotem lśniącym mundurze, przygryzającego siwe wąsy i zatrudnionego zmiataniem z sukni lewą ręką piasku, który sypały nań przechodzące mimo po ziemi kule fortecy.

To też w okropnym ogniu, napełniającym świstem powietrze, widziano nietylko żołnierzy, ale i oficerów z motyką w ręku,

silnie pracujących przy przykopach, innych znowu w kilkunastu niosących ogromne pęki faszyny i pobudzanych wściekłym zapałem dowódzcy.

We trzy godziny wszystko naprawiono i d'Artagnan zaczął rozmawiać uprzejmiej, i zupełnie się ułagodził, kiedy dowódzca pionierów doniósł mu, że przykop już zupełnie gotowy.

Zaledwie to doniósł, kiedy kula urwała mu nogę i padł na ręce d'Artagnana.

Ten podniósł go i spokojnie, z całą uprzejmością, spuścił do przykopu, z towarzyszeniem szalonych oklasków całego pułku.

Od tej chwili nie był to już zapał, ale gorączka; dwie kompanje, wyrwawszy się, pobiegły aż do forpoczt nieprzyjacielskich; w mgnieniu oka kompanje zniosły je. Kiedy towarzysze ich, powstrzymani z trudnością przez d'Artagnana spostrzegli, że ci już są na bastjonie rzucili się także z wściekłością na zdobycie kontrskarpy, od której zależał los twierdzy.

D'Artagnan widział, że niema innego sposobu zatrzymania wojska, jak tylko wkwaterować je do twierdzy, kazał więc całemu wojsku nacierać na dwa wyłomy, które oblężeni usilnie starali się naprawić; natarcie było strasznem, ośmnaście kompanji brało w niem udział; d'Artagnan z resztą wojska posunął się z boku na pół wystrzału działowego, aby wspierać natarcie.

Słyszano wyraźnie krzyki kanonierów holenderskich, zabijanych przez grenadjerów d'Artagnana, walka powiększała się rozpaczą gubernatora, który zacięcie się bronił.

D'Artagnan, chcąc raz temu koniec położyć, posłał świeżą kolumnę, która jak świder, wpadłszy przez wyłom fortecy, wkrótce dała się widzieć na wałach, w strasznym ogniu, goniąc zrozpaczonych oblężeńców.

Wówczas to generał, oddychając wesoło, usłyszał obok siebie wymówione wyrazy:

— Panie, to od pana Colbert.

Rozpieczętował list, zawierający następne słowa:

"Panie d'Artagnan, król rozkazał mi zawiadomić Ciebie, że, wynagradzając Twoje zasługi, i zaszczyt, jaki robisz jego wojsku, podniósł Cię do stopnia marszałka Francji.

"Król zadowolony jest z działań, jakie dotąd uskuteczniłeś, poleca ci szczególniej dokończenie rozpoczętego oblężenia, ze szczęściem dla ciebie, a chwałą dla Niego."

D'Artagnan z rozpłomienioną twarzą, iskrzącem okiem spojrzał na mury, otoczone czarnymi i czerwonymi tumanami ognia i dymu.

— Skończyłem — rzekł do posłańca — za kwadrans miasto się podda.

Czytał dalej:

"Szkatułkę przyjm jako podarunek odemnie; nie będziesz zapewne gniewał się, przekonawszy się, że kiedy wy wojownicy dobywacie szpady w obronie króla, ja spokojnie podniecam sztuki, ozdabiające was nagrodą, godną czynów waszych.

"Polecam się twojej przyjaźni, panie marszałku, prosząc, abyś szczerze uwierzył mojej".

"Colbert".

D'Artagnan, upojony radością, dał znak posłańcowi; ten zbliżył się, trzymając skrzynkę w ręku.

Lecz w chwili, kiedy marszałek chciał się przypatrzyć, silny ogień odezwał się na wałach i zwrócił tam całą jego uwagę.

— To szczególne!... — rzekł — dlaczego dotąd nie widzę zatkniętej chorągwi królewskiej na wałach.

Posłał więc jeszcze 3000 ludzi pod dowództwem pełnego zapału oficera i kazał nowy zrobić wyłom.

Potem uspokojony zwrócił oczy na skrzynkę, którą mu podawał posłaniec Colberta, była to bowiem nagroda, na którą szczerze zasłużył.

Wyciągnął już rękę, aby otworzyć skrzynkę, gdy w tem kula działowa z twierdzy, druzgocząc skrzynkę w ręku posłańca i uderzając w piersi d'Artagnana, powaliła go na ziemię.

Buława marszałkowska, przyozdobiona złotemi liljami, potoczyła się z rozbitej skrzynki, ku osłabionej ręce marszałka.

D'Artagnan usiłował powstać.

Mniemano, że upadł nieraniony, lecz wkrótce okropny krzyk dał się słyszeć w gronie otaczających go oficerów.

Marszałek był skrwawiony, a bladość śmiertelna zwolna występowała na szlachetną twarz jego.

Oparty o ręce ze wszystkich stron do niego wyciągnięte, mógł raz jeszcze zwrócić wzrok ku twierdzy i dostrzedz na głównym bastjonie powiewającą białą chorągiew królewską, a uszy jego pozbawione już słuchu, dosłyszały bęben ogłaszający zwycięstwo.

Wówczas, ściskając skrzepłą ręką buławę ozdobioną złotemi liljami, spuścił na nią oczy, które nie miał już siły zwrócić ku niebu i upadł, szepcząc dziwaczne słowa, które wydały się obecnym zaklęciami kabalistycznemi, wyrazy, które niegdyś tyle miały znaczenia na świecie, a których teraz nikt więcej prócz umierającego nie rozumiał.

— Atos i Portos!... do zobaczenia, Aramis!... bądź zdrów na zawsze!...

Z czterech walecznych ludzi, których opowiedzieliśmy historję, pozostało tylko jedno ciało, Bóg zabrał duszę.

KONIEC.

SPIS RZECZY

TOM II.

ROZDZIAŁ Stronica

0,-

po dezynfekcji